

JULIAN HARDY

JAZDA

NA

RYDOWANIE

*Gdy znajdziesz się na granicy śmierci,
już zawsze będziesz kochał życie.*

NOVAE RES

JULIAN HARDY

**JAZDA
NA
RYDWANIE**



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

1. Święto wiosny
2. Wojenne drogi
3. Laura
4. Na wojnie
5. Hamburg
6. Płaszcz, sztylet i łyż
7. Kairskie dni, noce arabskie
8. Zemsta
9. Eden
10. Warszawa jest smutna bez ciebie
11. Co do grosza
12. Marion
13. Babie lato w Cassis
14. Lou Lou
15. Jesienna lekkość bytu

Wszelkie podobieństwo do osób czy zdarzeń rzeczywistych jest niezamierzone i przypadkowe. Postaci historyczne, ich wypowiedzi i charakterystyki oraz zdarzenia historyczne zostały przedstawione w sposób fikcyjny.

*All the world's a stage,
And all the men and women merely players*

- William Szekspir, *Jak wam się podoba*, akt II, scena VII

1. ŚWIĘTO WIOSNY

Kwiecień 1938 r., Bydgoszcz

Zagrzmiało dwukrotnie. Odległe gromy z jasnego nieba zwiastowały wiosenną burzę. A może to bogowie zwoływali się na ucztę? Co uradzą przy biesiadnym stole? Pozostawią za sobą radosne śmiechy i zapach ambrozji czy porozbijane w gniewie naczynia i świat potrzaskany?

Robert Meissner wyszedł ze szkoły wyjściem od Reymonta. Stał wśród obsypanych młodymi listkami drzew i wdychał zapachy. *Piękny dzień, nawet w niebie dzisiaj radośnie* – pomyślał i odruchowo spojrzał w górę. Nad jego głową, na trzech poziomach, wiosna odgrywała swój spektakl. Na najwyższym pierzaste cirrusy grały w berka z wiatrem. Niżej jaskółki zawzięcie atakowały stada muszek. A nad samą ziemią para bąków odgrywała taniec godowy, wirując wokół niewidocznej osi. Tak się zapatrzył, że nie usłyszał dziewczęcego głosu. Zawołała po raz drugi, głośniejsze.

- Robert, co żeś się tak zamyślił?

Usłyszał wprawdzie wołanie, nadal jednak nie reagował. Od dawna nikt go tak nie nazywał. W szkole i na podwórku był Koniem. Tak właśnie: Koniem w wołaczku. Nie pamiętał już, kto przed laty wymyślił tego Koniem. Przewisko nie było obraźliwe. Nawet do niego pasowało, przynajmniej wtedy. Miał wysokie czoło, pociągłą twarz, wydatną

szczękę z siodełkiem pośrodku brody i zapadnięte policzki. Jeśli spojrzeć obiektywnie, jego fizjonomia rzeczywiście przypominała koński łeb. Z resztą ciała było podobnie. Nogi długie, chude, z wystającymi kolanami i stopami, które nie wyglądały wprawdzie jak kopyta, ale w proporcji do reszty były za duże. I tak został Koniu. Nie przepadał za swoim przezwiskiem, nie miał już końskiej twarzy, jednak się do niego przyzwyczyił.

- Robert, nie słyszysz?

Dopiero teraz zrozumiał, że dziewczyna woła właśnie jego. To Pyza, zdrobniale Pyzik, koleżanka z pierwszej licealnej dziewcząt. Siedziała na murku i machała nogami. Wyglądało, jakby na niego czekała. Podszedł do niej.

- Cześć!

Chciał powiedzieć „Cześć, Pyza!”, na szczęście w porę ugryzł się w język. Jeżeli ona nie nazywała go Koniu, on nie powinien nazywać jej Pyzą. Nie przepadał za Koniu, ona bez wątpienia nienawidziła tej Pyzy. Zapomniał imienia, to nieszczęsne przezwisko przylgnęło do niej na dobre. Zupełnie jak Koniu do niego. Usiłował sobie przypomnieć, nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

Po raz pierwszy przyjrzał się jej dokładnie. W białej bluzce i granatowej, plisowanej spódnicy, mundurku dziewcząt z „Dwójki”, wyglądała uroczo. Jedynym odstępstwem od regulaminu była rozpięta o guzik za głęboko bluzeczka. Jaka wysoka! Nie zauważył, kiedy tak wystrzeliła w górę. Włosy do ramion, czarne, poskręcane w loki. Z pewnością nie była piękna urodą, jakiej się oczekuje od debiutującej aktoreczki. Nie miała ślicznej twarzy, widział drobne mankamenty. Nos troszkę za długi, usta zbyt szerokie, kości policzkowe nieco wystające. Dwa małe pryszczki na policzku. Nie był zresztą pod tym względem lepszy. Ale te oczy! Przepastne, czarne, o migdałowym, orientalnym owalu. Roześmiane. Pod nimi niewielkie, dodające uroku woreczki. Nie była lalką, lecz urokliwą, pełną życia panną. Owszem, pucułowatą, jednak nazwanie jej Pyzą było teraz draństwem. Wysmukłała, nabrała kobiecych kształtów, urosły jej piersi. Nie

przypominała niskiej i grubej dziewczynki, jaką zapamiętał sprzed dwóch lat. Na murku, dyndając nogami, siedziała atrakcyjna dziewczyna. Mijali się codziennie, a on nie dostrzegał przemian, jakie w niej zachodziły.

Wika wiele by dała, żeby pozbyć się tej okrutnej Pyzy, była jednak bezradna. Od szkolnego przezwiska nikt jeszcze nie uciekł. Przed dwoma laty postanowiła zrobić wszystko, aby straciło rację bytu. Przestała podjadać, jeździła na rowerze, chodziła na lekcje jazdy konnej i tańca. Przez ten czas wyrosła i wypiękniała. Część kilogramów zgubiła, część poszła w dodatkowe centymetry. Do zrzucenia pozostało naprawdę niewiele. Pyza, która przylgnęła do niej jak rzep i nie chciała się odzepić, była obecnie przezwiskiem zdecydowanie krzywdzącym.

Przeszła do rzeczy bez zbędnych słów.

- Nie wiesz, jak mam na imię? - Było jej przykro, że nie pamiętał, ale przynajmniej nie nazwał jej Pyzą. Nie obraziła się. - Wiktoria, Wika. W następną sobotę jest zabawa dla klas licealnych - zagaiła. - Przyjdziesz?

- No nie wiem, nie zastanawiałem się. Prawdę powiedziawszy, nie umiem tańczyć.

- Wybierzmy się razem. Poćwiczymy i nie będziesz podpierać ściany. Do balu jeszcze dziesięć dni, mnóstwo czasu. Wystarczy, jeśli się postaramy. Co o tym myślisz?

- Naprawdę chciałabyś? Będziesz mnie uczyła?

Nie powiedział wszystkiego. Fakt, nie tańczył najlepiej, na szkolną zabawę nie chciał jednak pójść z zupełnie innej przyczyny. Nie miał ochoty siedzieć przy stoliku w towarzystwie klasowych oferm i gapić się z zazdrością, jak inni tańczą z najładniejszymi dziewczynami. Przypomnił sobie katastrofę sprzed roku. Wtedy załamał się po czwartej odmowie. Koleżanki najwyraźniej za nim nie przepadały. Wyszedł grubo przed końcem i pomaszerował prosto do swojej dobrej wróżki, pani Anieli, wyłąć u niej żale na świat, a na kobiety w szczególności.

Wikę podjęcie decyzji o zaproszeniu Roberta wiele kosztowało. W końcu to chłopcy są od zapraszania dziewcząt, nie odwrotnie. Nie miała jednak wyboru, bo kto poprosi do tańca Pyzę? Żeby się koledzy naśmiewali: „Wszystkie odmówiły, więc tylko Pyza ci pozostała”? Znała te teksty. Niejedną noc przepłakała, kiedy docierały do jej uszu. Robert nie był wyśnionym rycerzem, przynajmniej kilku pociągało ją bardziej, mieli już jednak dziewczyny. W grę wchodziłi jeszcze koledzy z innych szkół, lecz bała się, że odmówią, a na dokładkę rozpowiedzą, że ich zapraszała. Tego by już nie zniosła. W jej chłodno kalkulującej główce Robert był drugim, ale bezpieczniejszym wyborem.

- Dlaczegoż by nie...

- Wspaniale. Gdzie będziemy ćwiczyć?

- U mnie w domu. Mam gramofon i płyty. Podejrzewam, że jesteś beznadziejny, ale jeżeli poćwiczymy, będzie dobrze.

- Co na to twoi rodzice? Możesz mnie zaprosić?

- Tatusia nie ma, on zawsze w pracy, mama jest wyrozumiała, we wszystkim się zgadzamy, a brat jest młodszy, więc go przegnam, żeby nam nie przeszkadzał.

- To kiedy zaczynamy?

- Gdzieś się spieszysz?

- Ani trochę, nie mam na dzisiaj żadnych planów.

- Myślałam, że gnasz do domu zakuwać matkę, kujonie.

- Oj, Wika, daj spokój.

Był nastawiony pokojowo. Nie mogło być inaczej, tak go oczarowała.

- Tylko nie obiecuj sobie za wiele. Jest mi potrzebny partner do tańca, do niczego więcej. Mam chłopca, ale jest z Torunia i nie może przyjechać na naszą zabawę. - Tego chłopca, wiedzioną intuicją, wymyśliła na poczekaniu.

- O! - Nie umiał ukryć rozczarowania. - Ale skoro jesteś zajęta...

- A gdybym nie była zajęta, coś by to zmieniało?

Mogła być Pyzą, inteligencji jej jednak nie brakowało.

- Nie, skądże, ale szkoda. Twój chłopak jest na pewno starszy?

Wiek pozostawał istotnym kryterium atrakcyjności. Starszy chłopak bił na głowę młodszych rywali. Zupełnie jak u morsów.

- Nooo. O dwa lata, jest studentem. I jest taaaki przystojny. Ale niedawno się na niego zbiesiłam. Może nawet z nim zerwę. Chciałbyś, żebym go rzuciła?

Nie miała do tej pory wielu okazji do flirtowania. Wiadomo, Pyza. W trakcie rozmowy odkrywała w sobie ten dar i to odkrycie ją upajało. Tym chłopakiem z Torunia zupełnie go dobiła. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał żadnego doświadczenia we flirtach i w odróżnieniu od niej brakowało mu talentu do takich słownych potyczek.

- Zrobisz, jak zechcesz. - Jedyne taka, niezbyt błyskotliwa, odpowiedź przyszła mu do głowy. Ona pierwsza zwróciła na niego uwagę. Zapewne dlatego z każdą chwilą piękniała w jego oczach.

Nie jest wcale gruba, żadna z niej pyza. Jest taka ładna. Wiedział, że jej ojciec, inżynier Kawecki, pracuje w Polskim Kablu. Wika od czasu do czasu urządzała prywatki, co peszyło go jeszcze bardziej. Nigdy nie był zapraszany na domowe imprezy urządzone przez kolegów i koleżanki z zamożniejszych domów. Zamknięte towarzystwo, do którego przepustką była pozycja rodziców. Jego spowijała gęsta jak mgła aura obojętności. Dotąd specjalnie mu to nie przeszkadzało.

Wika doszła do wniosku, że przesadziła i spieszyła chłopaka, który był jej potrzebny. Żeby to szybko odkręcić, zaczęła wyjaśniać kroki do one-stepa. Naturalnym gestem położyła dłoń na jego ramieniu, tak jej podpowiadała intuicja. Poczł, że w miejscu, którego dotyka, skóra pulsuje żywym ogniem. Nie umiał się skupić na skomplikowanych krokach.

Dotarli do ładnej, położonej w głębi ogrodu willi. Nie imponowała wielkością, jednak wszystko w niej było proporcjonalne i pełne małomiasteczkowego uroku. Drzwi otworzyła elegancka kobieta w średnim wieku. Podobieństwo z córką było widoczne. Pomyślał, że

jej matka ładnie się starzeje. Miała ciepłe, mądre oczy i sympatyczne kurze łapki.

- To jest Robert, mamó. Chodzi do naszego liceum. Będziemy się uczyli tańczyć.

- Miło mi pana poznać, zapraszam. - Uśmiechała się przyjaźnie. Córnka wtajemniczyła ją wcześniej w swoje plany.

Zaprowadziły go do salonu umeblowanego meblami gdańskimi. Wykonane z ciemnego dębu, bogato rzeźbione, stwarzały atmosferę mieszczańskiej solidności. Mama Wiki wyszła na chwilę. Wróciła z herbatą i domową szarlotką.

- Zanim zaczniecie tańczyć, zjedzcie coś.

Nie wiedział, jak się zachować. Mieszkał w oficynie, dwa szczeble drabiny społecznej niżej. Szczebel wyżej byli ci, którzy mieszkali od frontu. Na samym szczycie elita, dzieci wyższych urzędników i zamożnej inteligencji, jak Wika Kawecka. Podziały wśród dorosłych przenosiły się na uczniów. Siedząc w salonie Wiki, zrozumiał, jak bardzo brakuje mu obycia. Nigdy w takim domu nie był i nie wiedział, co wypada. Ten salon, gdańskie meble, towarzystwo eleganckich, pewnych siebie kobiet. Wszystko to go przytłaczało. Na szczęście obie panie zadbały, żeby czuł się swobodnie, a szarlotka była doskonała. Mama Wiki posiedziała chwilę, potem zostawiła ich samych.

- Mammy dwie godziny, zwiń dywan!

Klasnęła jak instruktorka tańca i włączyła gramofon - najnowszy model z napędem elektrycznym. Na licealnych potańcówkach tańczono popularne tańce: bostona, shimmy, one-stepa, walca, walczyka, tango, mazura, charlestona. Zaczęli od walca. Poszło nieźle, Robert umiał tańczyć walca. Żeby nie tracić czasu, przeszli do mazura. Mazura też znał. Wika zrobiła wielkie oczy.

- Czy ty mnie przypadkiem nie zrobiłeś w konia?

Dostali głupawki i nie mogli się w żaden sposób uspokoić. Aż jej mama zajrzała, żeby sprawdzić, co ich tak rozbawiło.

- A cóż to za hałasy, moi państwo?

Próbowali wyjaśnić, jednak bez przerwy wybuchali śmiechem. Wreszcie Wika, ocierając łzy, wyjaśniła, dlaczego im tak wesoło.

- Koniu nie zrobił cię w konia. Znam tylko dwa tańce. Kroków nauczyła mnie sąsiadka, starsza pani, która tańczyła kiedyś w balecie.

Miał słuch i niezłe się poruszał, więc szło im doskonale. Wika prowadziła. Okazało się, że tańczy bardzo dobrze. Brała lekcje w prywatnej szkole tańca dla panien i tańczyła na prywatkach. Na tych, które sama urządzała. Na inne nie chodziła, nawet jeśli była zapraszana.

- Na razie ja poprowadzę, potem ty przejmiesz wodzenie. W tańcu - dodała znacząco - potrzebujemy zdecydowanych mężczyzn, którzy poprowadzą.

- A już ty szczególnie potrzebujesz, żeby ci ktoś mówił, co masz robić. Czy zezwalasz swojemu chłopakowi, aby tobą dyrygował?

- Prawdę mówiąc, mój chłopak mię nuży. Muszę pomyśleć o zmianie. - Obserwowała, jak zareaguje. - Wymienię go na innego, naturalnie studenta.

Na szczęście przeszli do one-stepa i nie mogła go dłużej dręczyć.

- Dzisiaj to ostatni taniec. Jutro też masz się postarać.

- Jak najbardziej, pani profesor, stanę na głowie, obiecuję.

One-stepa zatańczyli z przytupem, bawiąc się doskonale. Nawet się spocili, ona niewiele, za to on porządnie.

Jakie ma urocze rumieńce, a że policzki troszkę pucułowate? Jeszcze nigdy nie był tak blisko z dziewczyną. Odkrył właśnie, że to niezrównane przeżycie. Nozdrza wypełniały odurzające zapachy. Nuta jej potu, woń kwiatów we włosach i coś jeszcze. W tajemnicy przed mamą użyła kropelkę jej perfum. W tańcu przybliżył głowę i wdychał czarujący bukiet.

Skończyli punktualnie, jak zaplanowała.

- Całkiem niezłe. Nie przypuszczałam, że tak udatnie¹ nam pójdzie.

- Bardzo jesteś łaskawa. Dla rezerwowego to wielki zaszczyt.

- Ależ proszę. - Dygnęła przed nim jak dobrze wychowana panienka. - Jeszcze jedno. Jak u ciebie z ubraniami?

Lekko zaczerwienił się ze wstydu.

- Kiepsko. Urosłem ostatnio, więc już dawno należało kupić nowe.

Tu był jego słaby punkt. Pocerowane, niemodne, czasami przenicowane ubrania zamiast zachęcać do zawarcia znajomości, odstraszały nieliczne dziewczyny, które mogły się nim zainteresować. Na lepsze stroje nie było go jednak stać.

- Są ci potrzebne spodnie i koszula. Najlepiej dwie, jak się spocisz, będziesz mógł zmienić. Wielu tak robi na balach.

- Ty też zmieniasz bluzkę? - Po raz pierwszy pozwolił sobie na więcej niż poprawność.

- Ja się nie pocę. Ale na wszelki wypadek, gdybym była rozrywana, wezmę zapasową.

- Z pewnością będziesz. Do takiej ślicznej dziewczyny ustawi się kolejka.

Właśnie powiedział swój pierwszy komplement. Nawet nieźle wypadł. Jej się spodobał. Nic by nie miała przeciwko takiej kolejce.

- Chyba nie jesteś zazdrosny?

- A może jestem?

- Żeby być zazdrosnym, trzeba mieć do tego jakiś grunt. Zazdrosnym może być mąż, narzeczony, kochanek. - Uśmiechała się ironicznie. - Do której kategorii ty aspirujesz? Niech zgadnę: narzeczonego!

- Ale ty jesteś okrutna!

Zauważył już, że ona ogrywa go łatwo i z wdziękiem, a w szermierce słownej nigdy jej nie dorówna.

Szybko powróciła do tematu jego stroju.

- Znam jednego krawca. Jest niedrogi i solidny. Jeżeli zechcesz, jutro po lekcjach zaprowadzę cię do niego.

- Jesteś kochana. W wakacje zarobiłem trochę pieniędzy. I tak bym musiał kupić coś z ubrań, a ty mi przynajmniej doradzisz.

- Postaram się.

- To do jutra.

Wracał zygzakami i w podskokach. Im bliżej domu, tym podskoków i zygzaków było mniej. Nie cieszył się jak jeszcze przed chwilą. Zawsze tak było. Dom nie był tym dobrym miejscem, do którego wracamy we wspomnieniach i nosimy w sercu przez całe życie. Mieszkał z matką, Jadwigą Meissner, w maleńkim dwupokojowym mieszkaniu na drugim piętrze oficyny przy Nowodworskiej. Wychowywała go samotnie.

Ojcem Roberta był Piotr Sahajdaczny, zawadiacki oficer wywodzący się z kozackiej szlachty, która przed wiekami osiadła w Rzeczypospolitej. Rotmistrz Sahajdaczny służył w stacjonującym w pobliskim Toruniu 18 Pułku Ułanów. Kiedy Jadwiga powiedziała mu, że jest w ciąży, odmówił ślubu. Nie pociągała go i nie miał zamiaru przez resztę życia płacić za szaleństwa nocy świętego Antoniego. W ową upalną czerwcową noc za dużo wypił i stracił głowę. Poczęli Roberta na nadwiślańskich błoniach. Piotr miał dwadzieścia dwa lata, był podporucznikiem, a świat stał przed nim otworem. Z niezrozumiałych powodów syna nie uznał, alimentów nie płacił.

Robert wyrastał na ładnego, pogodnego i mądrego chłopca. Zawstydzona Opatrzność postanowiła w ten sposób wynagrodzić mu brak ojca, nie miała jednak żadnego wpływu na matkę. Jadwiga Meissner nienawidziła mężczyzn, przenosząc na płęć męską zbiorową odpowiedzialność za postępek Sahajdacznego.

Rodzina Meissnerów mieszkała we Lwowie od pokoleń. Przybyli do Galicji z austriackiego Tyrolu. Podczas wojennej zawieruchy młodziutka Jadwiga straciła rodziców i przywędrowała za pracą do Bydgoszczy. Jeszcze we Lwowie skończyła szkołę ekonomiczną. W Bydgoszczy pracowała jako księgowa w Bydgoskiej Fabryce Maszyn. Zarabiała tyle, że była w stanie utrzymać ich dwoje, również w trudnych czasach wielkiego kryzysu.

Była kobietą pozbawioną ciepła, wręcz zimną. Nie potrafiła zapewnić synowi czułości, dotyku, pocałunków, pieśczoł, słów

miłości i poczucia bezpieczeństwa, którymi inne mamy tak szczerze obdarowują swoje dzieci. Miał matkę, która ciągle narzekała, ciągle go krytykowała i ciągle czegoś zabraniała, nie dając w zamian matczynej miłości. Nieustannymi przesłuchaniami, tyradami, a jeśli zaszła potrzeba – podstępem, wyciągała z małego chłopca jego najskrytsze tajemnice po to tylko, aby je obwieścić całemu światu.

Wracając ze szkoły z podbitym okiem, był z siebie dumny. Taka jest kolej rzeczy. Chłopcy bili się od zawsze i będą się bili do końca świata, ponieważ leży to w ich naturze. Dziewczynki niezawodnie to wyczuwają. Chętnie się bawią z największymi łobuzami, maminsynków nie lubią.

Jego rozpacz uosabiała powracająca z pracy matka. Wydobywała z niego imię rywala, następnie szła na skargę do rodziców kolegi, który miał nieszczęście z nim zadrzeć, a nawet do szkolnej wychowawczynie. Nie przespał wiele nocy, rozpaczając po takich interwencjach. Co następnego dnia wygadywali koledzy, jakich obelg musiał wysłuchać, ile razy do lima pod okiem dołączało boleśniejsze, na sercu – tylko on wiedział.

Kiedy był starszy, uświadomił sobie, że nie zdarzyło się jej powiedzieć czegoś pogodnego. Nigdy nie pochwaliła ani jego, ani kogokolwiek. W jej ponurym świecie wszyscy byli źli, wszyscy czemuś winni. Słowa nie służyły wymianie myśli, lecz karaniu i zadawaniu bólu. Musiał wysłuchiwać sączonego z jej ust jadu dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Nie spoczęła, dopóki nie postawiła na swoim. Niezależnie od okoliczności, niezależnie, jak istotna była sprawa, musiała mieć rację.

- Czy mogę pójść na podwórko, mammo?
- Odrobiłeś już lekcje, Roberciku?

Nienawidził tego Robercika. Prosił, żeby go tak nie nazywała. Jak grochem o ścianę.

- Tak, mammo, odrobiłem.
- Co miałeś zadane?

Karnie wymienił zadania domowe, chociaż pilno mu było na podwórko.

- Ta pokaż, co masz w kieszeniach.

Robiła to rzadko, lecz akurat dzisiaj miała ten kaprys.

- Co to jest? - Trzymał w ręku pudełko zapalek.

- To zapalki, mamó. Pudełko jest puste. Do zabawy.

- W co się będziecie bawili, syneczku?

- Pójdziemy do parku i będziemy się bawili w budzik. To taka fajna zabawa. Łapiemy do pudełka pszczołę i przykładamy do ucha. Ona wtedy bzyczy jak budzik. - Uśmiechał się na myśl o czekającej go zabawie.

Powiedziała „syneczku”, uśpiła jego czujność. Zamiast powiedzieć: „Jeszcze nie wiem”, wyznał prawdę.

- Kategorycznie zabraniam tej idiotycznej zabawy. Nie pójdziesz dzisiaj na podwórko!

- Ale, mamó, co złego w takiej zabawie? Wszystkie dzieci się tak bawią. Jak pszczoła już pobzyczy, to ją wypuszczamy. Nie robimy jej krzywdy.

- Tobie, głuptasie, stanie się krzywda. Użądli cię! Od użądlenia osy można umrzeć.

Nienawidziła pszczoł i os. Jak zresztą wszelkich stworzeń, dużych i małych. Z wzajemnością. Jeżeli bzyczący huncwot wleciał do mieszkania, rozpoczynała taniec świętego Wita. Wymachiwała rękami, próbując odgonić przybłądę. Zdarzało się, że podrażniona osa odpłacała użądleniem, pogłębiając jej nienawiść do bzyczącego bractwa.

- Lubię się bawić w budzik, wszyscy lubimy, będę ostrożny, mamó, obiecuję. Pszczoła mnie nigdy nie użądliła. Naprawdę.

- Ta się ze mną nie handrycz. Wiesz, że tego nie znoszę - prychnęła.

Dalsza rozmowa przebiegała według ustalonego scenariusza. Prędzej czy później musiał przyznać, że zabawa w budzik jest

niebezpieczna, że jest jej wdzięczny, ponieważ go uchroniła przed użądleniem, i więcej nie będzie się tak bawił.

- Tak, mamu, zrozumiałem. Miałaś oczywiście rację.

Jak dziecko ma się mierzyć z dorosłym, własną matką, która zapewnia, że chce dla niego jak najlepiej, a nieustannie go krzywdzi? Nachodziły go myśli o ucieczce z domu. Marzenie ośmiolatka - uciec jak najdalej. Był za mały, aby zrozumieć przyczynę, zrozumieć niesprawiedliwość, z jaką traktuje go los. Był za mały, żeby się odciąć emocjonalnie od dręczącej go kobiety. Była matką, a on, jak każde dziecko, kochał matkę. Wołanie „mamu”, gdy nie słyszał w odpowiedzi „słucham cię, synku”, pozostawiało w ustach gorzki posmak. Wystąpiły symptomy nerwicy, chociaż ani on, ani matka nie zdawali sobie sprawy, jaka jest przyczyna jąkania, dlaczego niemal codziennie wymiotuje. Jadwiga Meissner była zbyt prymitywna, żeby pojąć związek pomiędzy objawami nerwicowymi syna a swoimi metodami wychowawczymi.

- Mamusiu, bardzo, bardzo cię proszę.

- Proszę, zgódź się.

- Mamusiu, proszę, co ci zależy?

Nie pojmowała znaczenia chwytającego za serce słowa „proszę”. Dla niej ten, kto prosił, chciał odebrać coś, co się jej należało. Nienawidziła mówić „tak”, ponieważ wyrażenie zgody było równoznaczne z przyznaniem się do porażki. Rzadsze i rzadsze prośby chłopczyka odbijały się od nieczułego serca.

Jej apodyktyczność przybierała najróżniejsze formy. Prawie nigdy nie udawało mu się dokończyć zdania. Już w połowie wiedziała, co ma do powiedzenia i przerywała. Swoje sprawy do niego przedstawiała, na nic się nie oglądając, nie było dla niej świętości. Czy jadł, czy odrabiał lekcje, czy niósł akurat wazę gorącej zupy, cokolwiek. Nie stanowiło dla niej problemu natychmiastowe wstrzymanie każdej aktywności. Jeżeli coś do niego miała, wymagała niepodzielnej uwagi, bezzwłocznego wykonania polecenia.

Miała też inne obsesje. Szczególnie dwie dawały mu się we znaki, pomimo że same w sobie nie wyglądały groźnie. Problemem była ich nagminność. Chora wyobraźnia chorej kobiety podpowiadała wykroczenia, za które synowi należy się reprimenda. Większość owych przewin, na ogół drobnych, była wyimaginowana. Po prostu źle się czuła, jeżeli przez dłuższy czas go nie krytykowała. Czegoś jej wtedy brakowało. Drugi irytujący zwyczaj polegał na wydawaniu polecenia zrobienia czegoś, co właśnie robił albo przed chwilą skończył robić.

Nie wiadomo, co nią powodowało. Najbardziej prawdopodobne było, że zbierała plusy w jakimś paranoicznym konkursie na antymatkę. Była jak automat, którego pan konstruktor nie wyposażył w sprzężenie zwrotne i z tego powodu nie docierały do niego informacje o reakcji otoczenia na jego poczynania. Dlatego nigdy ich nie korygował, niezależnie od konsekwencji, do autodestrukcji włącznie.

Z tym wszystkim czuł, że jest nikim. Z wiekiem twardniał jednak i zaczynał rozumieć, że pozbawiła go dzieciństwa, pozbawiła poczucia bezpieczeństwa, odebrała pewność siebie. Doświadczał zła w czystej jego postaci.

Jakim sposobem zachował pogodę ducha, pogodny uśmiech, pozostanie niewyjaśnioną tajemnicą. Mimo to płacił nieswoje rachunki. W szkole nie był lubiany. Nie potrafił dociec przyczyny. W podstawówce, owszem, bywał złośliwy. Szybko jednak zrozumiał, że to do niczego dobrego nie prowadzi. W gimnazjum bardzo się zmienił. Przestał dokuczać, był uczynny, dawał ściągać, nie wymądrzał się i nie wrywał do odpowiedzi. Odkrył zalety powściągliwości. Niechęć rówieśników jednak pozostała. Nie umiał zgłębić jej natury. Może dziewczyny wyczuwały zło, które w jego duszy zasiała matka. Niebezpieczeństwo, przed którym przestrzegala kobieca intuicja. Wika na szczęście żadnego zła nie wyczuła.

Ciepło i miłość odnalazł u Anieli Ćwiklińskiej - sąsiadki, która mieszkała na pierwszym piętrze ich oficyny. Starsza pani pięknie przeżyła swoje życie. Młodziutka Aniela przyjechała do Warszawy z prowincji. Debiutowała jako tancerka w rewii. Występowała w warszawskich teatrach i kabaretach. Prześliczna i powabna, potrafiła wykorzystać swe uroki. Kochanków miała legiony. Przez buduar uroczej Anieli przewijali się dziedzice rodzinnych fortun, ogniści oficerowie carscy, synowie przemysłowców, rasowi bogacze. Latami umiejętnie łączyła niezbyt imponującą karierę artystyczną z wygodnym życiem utrzymanki. Bywała muzą poetów i malarzy. Przychodzili dla ponętного ciała, którym ich obdarowywała szczerze i bezinteresownie, oraz w poszukiwaniu natchnienia. Literaci i podobne im pięknoduchy przy kielichu absyntu dyskutowali w jej przytulnym gniazdku o Młodej Polsce. Byli wśród nich prawdziwi rewolucjoniści, którzy w wolnej ojczyźnie zasłużyli na własną ulicę.

Burzliwa młodość przeminęła, a pani Aniela nadal wiodła ciekawe życie. Lata wojenne stanowiły w jej biografii sekretną kartę. Nie wiadomo, co wtedy porabiała. Przy Nowodworskiej zamieszkała w 1926 roku. Zarabiała na życie lekcjami gry na pianinie. Raz w roku sprzedawała cenną błyskotkę z kolekcji, którą przewidująco zachowała na jesienne lata. Pieniądze z lekcji uzupełniane dochodami ze sprzedaży klejnotów pozwalały żyć na przyzwoitej stopie.

Poznała Roberta, kiedy poszedł do pierwszej klasy. Na prośbę matki opiekowała się nim do jej powrotu z pracy. Miała pięćdziesiąt lat i niezaspokojony instynkt macierzyński. Chłopiec przebojem zdobył jej serce. Opowiadała zapamiętane z dzieciństwa baśnie. Siedział na kanapie, zasłuchany, z piernikiem toruńskim w rączce i ufną trwogą w sercu. Były to jego najpiękniejsze chwile.

Pani Aniela okazywała mu serce, ratowała rozdeptywaną duszę, rozmawiała jak z dorosłym i o wszystkim, co jego interesowało. Nigdy nie narzucała swojej woli. Przekonał się, że również on może mieć rację, nie musi zawsze ustępować. To ona uczyła go gry na pianinie, podtykała niemoralne powieści, które pożerał jak grzeszny zakonnik

dzieła z Indeksu. A przede wszystkim z uwagą wysłuchiwała wszystkiego, co miał do powiedzenia. Kiedy podrósł, odwdzięczał się drobnymi przysługami. Przynosił węgiel z piwnicy, rąbał drewno na podpałkę, robił zakupy, wyzymał ciężkie pranie i rozwieszał we wspólnej suszarni na poddaszu. Ratunek w osobie wyrozumiałej, ciepłej i mądrej pani Anieli nadszedł w ostatniej chwili. Do przełomu doszło przed czterema laty. Do Jadwigi Meissner dotarło wreszcie, że syn bardziej kocha starszą panią z pierwszego piętra niż matkę. Zabrała się energicznie za jego dyscyplinowanie.

- Masz od dzisiaj przestać chodzić do tej... do tej... - póki co zmeła w ustach obelgę - Ćwiklińskiej. Mój błąd, że cię do niej posyłałam, ale nie miałam innego wyjścia. Niedawno się dowiedziałam, że ta kobieta się źle prowadziła. Nie ma potrzeby, żebyś ją odwiedzał.

- Mamo, co w tym złego, że raz na jakiś czas wpadnę do pani Anieli? Ona tyle wie, bardzo się o mnie troszczy, lubi mnie, rozmawiamy.

- No właśnie, rozmawiacie. Czy nie mówiłam, że była lafiryndą? Masz przestać do niej chodzić! Ta zrozumiałaś?! - już się nie hamowała.

Bardziej go zranić nie mogła. Nazwanie pani Anieli, osoby mu najbliższej, lafiryndą było tą kroplą, która przelała czarę goryczy. Pojął, że nic nie jest winien kobiecie, która go urodziła, bo ona jest zła. Niedobrze się stało, że przez wszystkie te lata maltretowania nigdy nie płakał. Gdyby po słowach tak okrutnych wybuchął płaczem, matka być może ograniczyłaby swe zapędy pedagogiczne. Lecz nie płakał, tylko w milczeniu przełykał krzywdy zamiast łez, a ona nie widziała powodu do zmiany postępowania. Wszak wszystko robiła dla jego dobra. Jak choćby w ten dzień, dwa miesiące temu. Nieopatrznie wyznał, że po lekcjach co bardziej przedsiębiorczy chłopcy obmacują koleżankom piersi. Bogiem a prawdą wyciągnęła od niego tę skandaliczną informację podstępem. Zapytała, obiecując, że nikomu nie powie. Na wywiadówce, z mściwym błyskiem w oku, obwieściła to

zaskoczonym rodzicom. Wymieniła nawet nazwiska jawnogrzeszników płci obojga. Przecież dziewczynki, które się pozwalają obmacywać, są współwinne. Nie dopowiedział, że jedną obmacuje kilku i ona nie ma wtedy wiele do powiedzenia, ponieważ dwóch ją przytrzymuje. Napawała się spojrzeciami, jakimi obrzucali ją oburzeni rodzice. Jeżeli były nienawistne, czuła się najlepiej. Jakie to przyniesie konsekwencje, jej nie obchodziło.

O tym, co zrobiła, dowiedział się następnego dnia. Był to najgorszy dzień w jego życiu. Został najbardziej znienawidzonym i pogardzanym uczniem w klasie. Wieść o podłej zdradzie i o postępkach matki obiegła zresztą całą szkołę.

- Koniu: jąkała i kapuś!

Nie wiedział, gdzie się podziać, przepłakał wiele nocy. Dla kolegów i koleżanek, szczególnie tych obmacywanych, był od tej pory trędowaty. Wstydził się powiedzieć pani Anieli, bo to on zawinił. Wygadał się, choć powinien przewidzieć, jakie będą skutki tej jego niedyskrecji.

Nazywając uroczą starszą panią lafiryndą dlatego, że miłością i oddaniem zajęła w sercu syna miejsce jej przeznaczone, Jadwiga Meissner popełniła błąd. Nieokrzepły w życiowych zmaganiach czternastolatek został postawiony przed diabelską alternatywą. Dana przez naturę miłość do matki czy ratowanie własnej duszy, resztek szacunku dla siebie. Zbuntował się. Wypowiedział naturze jej prawa, wypowiedział matce posłuszeństwo, które miał wryte w sercu.

Przez lata wypracował zdumiewający sposób przekazywania myśli. Rozmawiając z nią, każde - literalnie każde - zdanie poddawał autocenzurze. Rozpatrywał wszelkie możliwe reakcje matki. Zastanawiał się, co może wykorzystać przeciwko niemu. Jeżeli analiza wypadła negatywnie, zmieniał treść albo z niego rezygnował. Ta unikalna umiejętność pozwoliła wyleczyć się z jąkania. W nadzwyczajnym tempie, bez pomocy psychologów, psychiatrów, logopedów. Jąkała, kiedy zdanie ułoży się w głowie i zaczyna je wypowiadać, z góry wie, na którym słowie się zatnie. Zacina się

właśnie dlatego, że wie. Potrafił nawet w trakcie mówienia zastępować krytyczny wyraz synonimem, jakby znał na pamięć słownik wyrazów bliskoznacznych.

Chcąc uniknąć rozmów korekcyjnych, przed którymi nie miał się gdzie skryć, spotykał się z panią Anielą w parku. Gawędzili sobie, siedząc na ławce pod kasztanem. Nie wiadomo, jak by się ta zimna wojna skończyła, zapewne po raz kolejny uległby emocjonalnemu szantażowi, który pozostawał niezawodną bronią matki. Swoją ofiarę, własne dziecko, szantażowała cynicznie, bez skrupulów.

Zrządzeniem Opatrzności wtedy właśnie Jadwiga Meissner zapadła na gruźlicę. Choroba miała nieostry przebieg, jednak ją wyczerpywała. Nie była już w stanie narzucać swojej woli w każdej, nawet nieistotnej sprawie. Zabrakło sił, żeby dręczyć syna tak długo, aż ustąpi.

Odczuwał niewyobrażalną ulgę i nawet się tego uczucia nie wstydził. Gotów był oddać duszę diabłu, byle koszmary nie powróciły. Dom pozostał miejscem pozbawionym szczęścia, lecz zdatnym już do zniesienia, chociaż jeszcze niedawno z każdego kąta wypełzało szaleństwo. Przestał zwracać uwagę na to, co mówiła. Potrafił, patrząc jej hardo w oczy, wycedzić: „Idź do diabła!”, trzasnąć drzwiami i zejść piętro niżej.

Pierwsze kroki skierował naturalnie do pani Anieli. Musiał się z nią podzielić swoim szczęściem.

- Poznałem dziewczynę. Ma na imię Wika i jest cudowna!

Pani Aniela wysłuchiwała zachwyków i opisów niezliczonych zalet Wiki z wyrozumiałością. Z przenikliwością kobiety znającej życie dostrzegła w tych jego zachwykach nadzieję na głębokie uczucie. Co jakiś czas zadawała dociekliwe, lecz życzliwe pytanie. Udzieliła też kilku wskazówek. Radząc mu, jak powinien postępować z dziewczyną, z góry wiedziała, że i tak postąpi po swojemu.

Zakochany młody dureń nawet najlepszych rad nie posłucha - rozmarzyła się. Wychodził z ociąganiem, najchętniej rozprawiałby

o niej do rana. Zamiast pójść do domu, długo jeszcze wałęsał się po parku, przeżywając swoje szczęście. Pani Aniela odprowadzała go wzrokiem. Widząc jego swobodny, jak nigdy jeszcze, krok, przeniosła się wspomnieniami w odległą przeszłość. Niżynski... Jak on lekko tańczył.

Rok 1913. Niezapomniany wieczór kwietniowy. Na scenie „Balety Rosyjskie” Diaghilewa, prapremiera *Święta wiosny*. Siedziała w łoży Teatru Maryjskiego w Petersburgu z generałem Brusilowem. Była jego kochanką. W sąsiedniej łoży piękny jak młody bóg Jesienin² z żoną - Isadorą³. Kłaniał się i rozjaśniał świat swoim naiwnym uśmiechem wiejskiego chłopca. Jak Robert, kiedy opowiadał o swojej dziewczynie.

Do domu wrócił późno, matka już spała. Jej nic nie powie. Gdyby się nieopatrznie wygadał, chciałyby wiedzieć, kim są jej rodzice, ile zarabiają, jaki mają dom, i w ten sposób zbrukałyby pierwsze kochanie. Dlatego nie powie.

W domu Wiki Kaweckiej, po wyjściu Roberta, odbyła się ważna rozmowa.

- No i jak, mamó?

- Nooo... - pani Hanka zawiesiła głos.

- Och, nie dręcz mnie, powiedz, co o nim myślisz. - Wika straciła cierpliwość.

- Myślę, że Bodo to on nie jest, ale ujdzie. Ujdzie... A jak ci poszło?

- Doskonale! Nie wiedziałam, że oni są tacy, no wiesz, naiwni. Jak naopowiadałam o swoim chłopaku, zwiesił nos na kwintę. Dałam mu do zrozumienia, że nie jest bez szans, tylko się musi baaardzo postarać. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Kocham cię, mamusiu. Pędzę do krawca.

Pani Hanka brakiem powodzenia córki i jej ohydny przezwiskiem martwiła się jeszcze bardziej niż Wika. Prawdę mówiąc,

to ona podpowiedziała, żeby zamiast się wyplakiwać w poduszkę w oczekiwaniu na księcia z bajki, wzięła sprawy w swoje ręce.

- Czemu sama nie zaprosisz jakiegoś sympatycznego chłopca? Nie musi być najprzystojniejszy, wystarczy, że się przy nim pokażesz. Potem pójdzie gładko. Ci, do których wzdychasz, będą zabiegali o wpis w karneciku. Przekonasz się!

Pobiegła do pracowni Abrahama Nomberga. Krawiec był godny zaufania, jednak, jak każdy dobry fachowiec, nie był tani. Za bardzo jednak zależało jej na sobotniej zabawie, aby taka błahostka ją powstrzymała. Po drodze przeskakiwała z nogi na nogę, jakby grała w klasy.

- Panie Abrahamie, przyprowadzę kolegę ze szkoły. U niego się nie przelewa, a ma pójść ze mną na bal. Zrobmy tak. Pan poda najniższą cenę, żeby nie dopłacać. To raptem spodnie i dwie koszule. On się nie może o naszej rozmowie dowiedzieć - wyrecytowała jednym tchem.

- Rozumie się i powodzenie składam.

Tym razem to Robert na nią czekał.

- Jak ci minął dzień? - wpatrywał się w nią z zachwytem i niezbyt mądrym wyrazem twarzy.

- Doskonale. A tobie? - Podziw odebrała jako należyty hołd.

- Nadzwyczajnie.

Nadzwyczajność polegała na liczeniu minut do spotkania z nią.

- Idziemy do krawca.

Z wdziękiem weszła mu na głowę, a on się jej podporządkował. Nomberg powitał ich uprzejmie. Rodzina Kaweckich ubierała się u niego od lat.

- Dzień dobry, szanowne państwo. Jaki szykowny kawaler! Z panienką Wiką piękna z was para.

Nie skomentował, jedynie lekko poczerwieniał. Wika zarumieniła się jeszcze bardziej, jednak - ku jego zaskoczeniu - nie sprostowała. Okazało się, że doskonale wie, jakich koszul on potrzebuje.

- Dopasowana w ramionach, luźna w rękawie, wykładany kołnierz w stylu romantycznym - instruowała krawca. - Będziesz wyglądał jak Lord Byron.

Widziała, że wprawdzie chudy, ale ma wypukłą klatkę i w tym fasonie będzie mu do twarzy. Taki krój nie pasował na chuderlaka, lecz dla niego był doskonale dobrany.

- I koniecznie białe guziki w błękitnym odcieniu. Tak, te przystają. Widać było, że moda ją pasjonuje.

Po uzgodnieniu szczegółów Robert zadał najważniejsze pytanie.

- Ile to będzie kosztowało?

Miał odłożone dwadzieścia trzy złote, wątpił jednak, czy to wystarczy.

- Przyszedszy do ceny, uszyję taka jedna koszula za pięć złoty.

Dla krawca najważniejsze było, żeby panienska wyszła zadowolona.

- Doskonale - ucieszył się. - Naprawdę świetna cena. Prawdziwa okazja.

Wierzysz w okazja, chłopcze? Życie cię nauczy, że okazja nie ma - pomyślał Nomberg, wzdychając.

- Spodnie dobrze leżące w stanie, szersze w nogawkach. Na dole nieco zwężone. Naturalnie delikatna wełna. Taka lejąca się. Kolana nie będą się wypychały - wyjaśniła, chcąc się wykazać zmysłem praktycznym.

Krawiec dokładnie go obmierzył.

- Za spodnie jak dla szanowny pan za ledwie piętnaście złoty.

Na szczęście niewiele zabrakło, w razie czego doniosę.

- Mam, proszę pana, tylko dwadzieścia trzy. Może sam przyszyję guziki? - zaproponował. Trochę wstydział się przed Wiką.

Krawiec machnął ręką. Przywykł do targowania, a zobaczywszy Roberta, spodziewał się, że będzie gorzej.

- Szanowny pan mnie wyjścia nie zostawiasz. Uszyję ubrań z guzikiem za dwadzieścia trzy.

Wika chętnie by mu pożyczyła dwa złote, nie chciała go jednak zawstydzić.

Potańcówka, szumnie nazywana balem, była z wyjątkiem wyczekiwana przez licealistów. Tych, którzy nie podpierali ścian. Przygotowania nie poszły na marne, Robert i Wika pięknie się prezentowali. Wdzięk i elegancja tańczącej pary rzucały się w oczy. Dziewczyna wpisywała do karnecika chętnych na kolejne tańce, a Robert bezradnie się przyglądał. Kilku chłopców z drugiej licealnej zamierzało najwyraźniej odbić mu partnerkę. Takie miała plany. Pokazać się i wymienić Roberta na któregoś z tych, do których od dawna wzdychała.

Tańczyła z Władkiem z klasy maturalnej, najmłodszym synem starosty. Starsi bracia zadbali o edukację seksualną młodego. Robił to już z wiejskimi dziewczuchami. Wiką nie był specjalnie zainteresowany. Chciał jedynie pokazać kolegom, że żadna mu się nie oprze.

- Widzę, Pyziku, że Koniu się w tobie zabujają. Nawet ładnie wyglądadacie, ale do siebie nie pasujecie. Zasługujesz na kogoś lepszego.

Była zirytowana, nazwał ją Pyzikiem, jemu jednak gotowa była wybaczyć wszystko. No, niemal wszystko. To do niego najczęściej wzdychała. Powiedziała zatem coś, co mogło go zainteresować. *Niech nie myśli, że jest gęś.*

Władek trafnie odebrał zachętę, podniecała go myśl o ściąganiu majteczek Pyzie, która mu się coraz bardziej podobała. Żeby wziąć zadatek, manewrował w kierunku najciemniejszego kąta. Zamiast podejść do sprawy jak należy, stworzyć nastrój, na którym dziewczynie zależało, poszedł na skróty i obmacywał jej piersi. Nie wziął pod uwagę, że ona w tych sprawach była zielona.

Robert zauważył oczywiście te oburzające manewry. *Chusteczka wysunięta z kieszonki, krawat w kretyńskie wzorki... No po prostu bubek...! Palant! Co ona w nim widzi?* - Był zazdrosny jak Otello, właśnie przerabiali Szekspira. - *Zatańczyłem z nią parę razy i już ten*

kretyn mi ją odbija. Podchodzi i bierze jak swoją. A ona się do niego mizdrzy jak, jak... No nie, Desdemona była wierna.

To, co zrobił Władek, to było dla niej za szybko i zaszło za daleko. Odtąd, sama nie wiedząc dlaczego, chętnym na taniec wyjaśniała, że właśnie obiecała kilka kolejnych Robertowi.

- Karnecik gdzieś się zapodział.

Kiedy orkiestra zrobiła przerwę, młodzież wysypała się przed budynek, chcąc w zakamarkach ogrodu skryć się przed ciekawskimi. Wika i Robert znaleźli się w najdalszym jego zakątku.

- Pierwszorzędnie nam idzie, naprawdę. Nie przypuszczałam, że tak dobrze wypadniemy.

- To przede wszystkim twoja zasługa. - Komplementy wychodziły mu coraz lepiej.

Stali w półmroku, on wielce speszony. Nie wiedział, jak się zachować, nie był jeszcze tak blisko z dziewczyną. No i sceneria - noc, ogród. Chciał ją objąć, ale jak? Pani Aniela trafnie przewidziała, pogrążył się w jej oczach i wyleciały mu z głowy wszelkie jej rady. Wreszcie zebrał się na odwagę i otoczył Wikę ramieniem. Niezdarnie i niepewnie. Był przekonany, że go zaraz odepchnie i jeszcze wyśmiej. Jednak nic takiego nie zrobiła. Zapytała:

- Ciekawe, czy umiesz całować. Sprawdźmy? Tak na próbę?

Długo czekała na tę chwilę, kiedy przestanie być Pyzą, a będzie tą dziewczyną, za którą uganiają się chłopcy. Nie chciała marnować tego dnia tylko dlatego, że Władek był taki niegodziwy.

- Tak na próbę - zgodził się skwapliwie.

Pierwszy raz się całował. Stali pod starym wiązem, więc odruchowo przyparł ją do drzewa. Całym ciałem czuła jego docisk. Była podekscytowana, a nawet podniecona. Większość koleżanek miała już swoich chłopców. Kiedy zadzierały nosa, zazdrościła im. Nareszcie i ona się całowała, poznawała smak pocałunku. Nie mogli przestać. Gdy im się wreszcie udało, zmieszani i zawstydzeni tkwili w bezruchu, dotykając się jedynie dłońmi. Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Wika, bardziej obyta, podjęła rozmowę.

- Potrafisz całować - pochwaliła na wyrost. - Podobało ci się?

Nie sprzeciwiała się, więc pocałował ją ponownie. Poszło jeszcze lepiej. Nie zderzyli się zębami.

Orkiestra zaczęła grać, więc wrócili na parkiet. Tańczyli bostona, potem tango. Zmęczeni przysiedli na chwilę i pili lemoniadę. Wodzirej zawołał:

- Biały walc! Panie proszą panów.

Niektóre dziewczęta już wcześniej zwróciły uwagę na Roberta. Urok tej pary nie mógł ujść ich uwagi. Nawet dwie chciały z nim zatańczyć i jednocześnie ruszyły w jego kierunku. Wika zauważyła oczywiście to małe zamieszanie. Zrobiła się zazdrosna. Aby nie wypaść gorzej, zaprosiła Marka, który już wcześniej chciał z nią tańczyć. A on zapytał wprost:

- Chodzisz z Koniem? Nie wiedziałem.

- Ależ skąd! Nie, jesteśmy tylko... no... dzisiaj tańczymy.

- Umów się ze mną. Zapraszam do kina, potem pójdziemy na lody.

Nie było go na liście marzeń, w sekretnej klasyfikacji stał jednak nieporównanie wyżej od Roberta. Chodził do klasy maturalnej, był przystojny, świetnie grał w piłkę, wystrzałowo się ubierał i podobał się dziewczynom. Takiego chłopaka wszystkie by jej zazdrościły. Wahala się. Przed chwilą całowała się z Robertem, teraz podrywa ją Marek. Dwa lata wyrzeczeń nie poszły na marne.

- No, Pyza, jak będzie?

Koszmarne! Właśnie stracił swoją szansę.

- Wspaniale, że zapraszasz, ale na randki brak mi czasu. Mam inne zajęcia.

- Daj znać, jak zmienisz zdanie. Będę czekał.

Robert tańczył z Brigitte, pogodną Niemką, która chodziła do jednej klasy z Wiką. Nie była tak ładna, lecz miała w sobie to coś: nadzwyczajne piersi, i jak mało która poruszała biodrami. Mieszkała w sąsiedniej kamienicy. Znali się, a na podwórku dzieciaki gadały, jak im pasowało, po polsku lub niemiecku. Rozmawiali po niemiecku. To był ukłon w jej stronę.

- Wika jest twoją dziewczyną?
- Nieee, tylko ze sobą tańczymy.
- To mi nie wygląda na „tylko tańczenie”. Jesteście dzisiaj nierozłączni.

- „Z Wiką nie ma żartów – w miłości czy w gniewie. Co myśli, nikt nie zgadnie; co robi, nikt nie wie”⁴.

Rozbawił ją do łez.

Wika zawrzała słusznym oburzeniem. *A to ciećwierz! Ledwo go spuściłam z oka, już podrywa tę krowę!* Następny taniec był wolny, nadający się do przytulania, jak również do robienia wymówek.

- Coś jej naopowiadał? – naskoczyła na niego. – Nawet stąd słyszałam, jak wam wesoło. Może zmienisz partnerkę? Mię tak nie rozśmieszałeś – irytowała się.

- Nie chcę zmieniać partnerki. Chcę z tobą tańczyć, rozmawiać, chodzić na spacer, całować cię, tylko ty mi się podobasz.

Poczuła w sercu przyjemne ciepło, zdobył się na kolejną deklarację.

- Skąd ci przyszło do głowy, że ja mam ochotę się z tobą spotykać?

- No, nie wiem, ale bardzo bym chciał.

- I sądzisz, że jak się raz jeden pozwoliłam pocałować, to marzę o randkowaniu z tobą?

- Na pewno chcesz wrócić do tego swojego chłopaka. – Śmiałość szybko go opuszczała.

- Gdybyś nie flirtował z Brigitte, to kto wie? Może bym wybrała ciebie.

- O jakim flircie mówisz? Raz zatańczyliśmy.

- A co ją tak rozśmieszyło?

- Spytała, czy jesteś moją dziewczyną.

- I co jej powiedziałaś? – zainteresowała się.

Powtórzył jej ten wierszyk.

- I to ją aż tak rozśmieszyło? – Też parsknęła śmiechem.

- No właśnie.

- Twoje szczęście, że nie próbowałeś udawać mojego chłopaka. - Wyjaśnienie ją usatysfakcjonowało. Nie drążyła więcej tematu.

- Gdzie byś mię zaprosił, gdybym się zgodziła? - Patrzyła na niego teraz łaskawszym okiem.

- Może spacer nad Brdą, potem lody u Wiktora?

Była to najlepsza kawiarnia w Bydgoszczy. Położona na bulwarze, z widokiem na zakole rzeki, przytulna, pachnąca kawą. Ulubione miejsce spotkań zakochanych.

- Niech będzie, dam się zaprosić - przyzwoliła łaskawie. - Ale tylko dlatego, że lubię lody od Wiktora, więc sobie za wiele nie obiecuj.

Samo domniemanie, że może coś sobie obiecywać, wielce mu pochlebiało. Odprowadził ją pod sam dom. Po drodze się całowali, a Wika za nic by nie wyznała, co naprawdę się z nią dzieje. On już wiedział, co czuje. Tak bardzo mu się podobała. Zauroczyła go urodą, uśmiechem, dowcipem, sposobem poruszania, zapachem, spojrzeniem. Wszystkim. Mógłby ją całować bez końca. Nieustannie o niej myślał. Umówili się na randkę w niedzielne południe na Plantach.

Po śniadaniu poszedł do pani Anieli o wszystkim jej opowiedzieć. Wika go zaczarowała. Pani Aniela знаła ten stan. Jej kochankowie, wprawdzie nie po pierwszych pocałunkach, byli w podobnym. Jej syn - tak o nim myślała - przeżywał pierwszą miłość. Mogła podpowiedzieć, jak się dobrać do Wiki, za nic jednak nie odarłaby jego uczucia z magii, nie pozbawiła przeżywanych na jej oczach rozterek.

Niepokoili się, widząc, jak podle potraktował go los. Nie miał ojca, okazało się, że ma bezduszną matkę. Nadchodziły chwile, kiedy naprawdę się o niego obawiała. Również ona odetchnęła, gdy Jadwiga Meissner zachorowała. Nie przeszkadzało jej, że mijając ją na schodach, okazuje oblicze Meduzy⁵. Z rozbawieniem patrzyła, jak zachowując pozory, nieudolnie ją obraża. W ustach meła

nieodmiennie tę „kurwę”. Wymawiała bezgłośnie, lecz tak poruszała wargami, żeby Aniela wiedziała. Na nic innego nie było jej stać. Widząc, że syn nic sobie z jej słów nie robi, a kiedy wprost obraża Anielę, karze ją, schodząc piętro niżej, poprzestawała na epitecie „ta kobieta”. To określenie tolerował, chociaż wiedział, jaka bezbrzeżna nienawiść się za nim kryła.

Pani Aniela była tak szczęśliwa, widząc, jak Robert otrząsa się z destrukcyjnego wpływu matki, że zniosłaby nawet wykrzychaną w twarz obelgę. Cieszyła się razem z nim, gdyż i ona miała udział w tym sukcesie.

Wysłuchiwała z wyrozumiałością peanów na cześć Wiki. Zorientowała się, że Robert nie za bardzo wie, co dziewczyna może mu dać, wobec tego, zamiast podpowiadać, zacytowała poetę:

*Kto po wzięciu pocałunku
i po dalszy ciąg nie sięga,
godzien stracić to, co zyskał,
stary, głupi niedołęga...*

Kolejną zwrotkę dopowiedziała już w myślach.

*Mówisz, że to gwałt? Lecz gdybyś
duszę kobiet dobrze znał ty,
wiedziałbyś, że nic miłszego
nie ma dla nich nad te gwałty...*⁶

*Pierwsza miłość to nie pora na branie gwałtem. Te mądrości
muszą na swój czas poczekać. Najlepiej, jeśli sam do nich dojdzie.*

Przyszedł nad Brdę przed czasem. *Na pewno nie przyjdzie. Umówiła się, żeby mi przytrzeć nosa.* Na jej widok twarz mu pojaśniała, serce zabiło mocniej. Jednak przyszła! Wika, najcudowniejsza dziewczyna na świecie. Wzięła go pod rękę. Czegóż więcej mógł chcieć? Chłopak jak on, przeciętny z przeciętnych, nawet

nie marzył, że dziewczyna z dobrego domu pójdzie z nim do łóżka. Szczytem oczekiwań były pocałunki, może niewinne pieszczoty.

Uważała podobnie. Przez myśl jej nie przeszło, że to właśnie on będzie tym pierwszym. Chciała jedynie czuć to samo, co pod więzmem. Oparła się o drzewo i zamknęła oczy. Natychmiast poczuła na ustach jego wargi. Rozchyliła je i wysunęła język. Miała ochotę poznać smak nieprzyzwoitych pocałunków. Była otwarta, do pewnych granic oczywiście. Masturbowała się, marząc o niektórych kolegach albo aktorach. Nie mogła się powstrzymać, pomimo że ksiądz Ozga, szkolny katecheta, grzmiał, jaki to straszny grzech. Na spowiedzi pytał dziewczyn, czy to robiły. Nie wprost, ale tak, żeby było wiadomo, o co chodzi. Była na tyle roztropna, by się nie przyznawać.

Poczuł jej język w ustach, zakręciło mu się w głowie i stracił kontrolę nad sobą. Ona zaś znalazła się w innym świecie. Czowała więcej i bardziej niż za pierwszym razem. Głucho westchnęła, nie rozumiejąc, co się z nią dzieje. *Dlaczego jestem tak podniecona? To są chyba te motylki w brzuchu. Czy z innym będzie tak samo? Nieźle. Całujemy się, a ja myślę o innych.* Jej język śmieiej zatrzepotał.

Kiedy się wreszcie od siebie oderwali, pogłaskała go delikatnie po twarzy.

- Podobam ci się, prawda?

- Zakochałem się w tobie! - wyrwało mu się bezwiednie.

Kiedy ta deklaracja padła, zrozumiał, że jest najszczerzą prawdą. Teraz to Wika całowała jego, było jej niewyraźnie. Chciała go wykorzystać, a on wziął wszystko na poważnie. *Oj, Koniu, co ja z tobą teraz pocznę?* Tego mu nie wyjawiała, lecz robiła to, co jej wychodziło najlepiej, flirtowała.

- Potrafisz dziewczynę zbałamucić! Zaś ja daję wiarę wszystkim twoim zapewnieniom. Jestem niemądra, prawda?

- Jesteś najcudowniejszą dziewczyną na świecie.

Pogoda była piękna, panował nietypowy jak na kwiecień gorąc. Doszli do końca bulwaru i nie mieli ochoty wracać, poszli więc dalej

drogą ciągnącą się wzdłuż rzeki. Natrafili na polanę. Mieli ją tylko dla siebie. Usiedli na trawie.

- Powiedz, co ci się u mnie podoba?

Wbrew pozorom zadała trudne pytanie. Był zbyt nieśmiały, żeby wymienić piersi albo tyłek. A te były bez wątpienia mocnymi stronami Wiki. Czuł, że porusza się po niebezpiecznym terenie.

- No... oczy, brwi, śliczny nosek. I jesteś taka zgrabna! - Na nic innego się nie odważył.

- Zaledwie tyle? I nic więcej ci się u mnie nie podoba?

- Wszystko mi się podoba.

- Zechciałbyś rozwinąć temat? - Jego zakłopotanie ją rozbawiło.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc postanowiła mu pomóc.

- A moje piersi? Czy ci się podobają?

Jak już sama zapytała, przemógł nieśmiałość.

- Są takie piękne. Jak senne marzenie.

Przynajmniej się nie bierze do obmacywania. Przez myśl mi nie przeszło, że Władek potrafi być taki bezczelny.

- Jakie znowu marzenie, przecież tu jestem. Jeżeli bardzo pragniesz, może zezwolę dotknąć. Chciałbyś?

- Naprawdę? Pozwolisz dotknąć?

Coś się w nim wtedy przełamało. Poczuł, że nieśmiałość mu ciąży i musi się jej jak najprędzej pozbyć. Próbował ją dotknąć. Zaśmiała mu się w nos i uchylila. *Jak Władek mnie obmacywał, obraziłam się, a jemu wszystko uchodzi, wcale się na niego nie gniewam. Oj, Wika, pilnuj ty się!*

- Nie obiecałam, że pozwolę dotykać teraz. Powiedziałam, że może kiedyś...

Jej słowa już do niego nie docierały. Dосkoczył, objął ją i przycisnął do trawy. Wyrwała się i uciekła. Na skraju polanki leżała kłoda. Wystarczająco duża, żeby się za nią schować. Gonili się wokół niej. Miał niewielką szansę schwywania Wiki, chyba że zechce pomóc. Tak wypadło, że spóźniła się przy zawracaniu, a on ją wtedy złapał. Zdyszana i zaróżowiona czekała, co zrobi, a samo czekanie było

ekscytujące. Musiał ją tam dotknąć. Wyciągnął rękę, jednak coś kazało mu się powstrzymać. Trwali tak przez dłuższą chwilę, wreszcie zamknęła oczy i drząc, podała mu swoją pierś.

- I jak się teraz czujesz, bezecniku? Nie chciałeś czekać, aż zezwolę, tylko wzięłeś siłą. Czy już zawsze będziesz mię zmuszał do wszystkiego przemocą?

Branie siłą ma swój urok. Kiedy ją przytrzymał, a ona się wyrывała, czuł, jak jej ciało się pręży, a ona dyszy podnieceniem. Z trudem nad sobą panował.

- Wiesz, że niczego bez twojej zgody nie wezmę. Przysięgam! Nie będę cię nakłaniał, żebyś robiła coś wbrew sobie.

Wika chrząknęła, zadowolona z tej deklaracji.

- Co teraz powiesz o moich piersiach? Nadal ci się podobają czy zmieniłeś zdanie? Znalazłeś może jakieś mankamenta?

- Twoje piersi są takie... takie... Nie ma piękniejszych!

Kiedy jej dotykał, czuła, że dzieje się z nią coś niesamowitego. *Jak tak dalej pójdzie, skończę zupełnie nie tam, gdzie zamierzałam.* Uświadomiła sobie, że niewinny flirt zaczyna wymykać się spod kontroli, a jej to zupełnie nie przeszkadza. *Trudno, nic nie poradzę. Muszę się tylko bardziej pilnować.*

- Chodźmy na te lody. U Wiktora będę przynajmniej bezpieczna.

W podziękowaniu za błyskotliwy dowcip pocałował ją w policzek.

- Proszę, jaki się szarmancki zrobiłeś. Gdyby nie ta brutalna napaść na bezbronną kobietę, pewnie bym się dała nabrać.

- Przecież nie byłem brutalny! - zaprotestował oburzony.

- I jeszcze nieustannie mi przerywasz! Widzę, że żadna przy tobie nie jest bezpieczna. Najlepiej zajmij się Brigitte. Ona z pewnością przystanie na wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

- Wiesz dobrze, że inne dla mnie nie istnieją.

- Nie wątpię. Nie istnieją, dopóki nie zniknę za rogiem.

- Jesteś niemożliwa, ale twoje dowcipy są nadzwyczajne. Lubię, jak się nade mną pastwisz.

- A to paradne! Ja ci przymawiam, ponieważ na to absolutnie zasługujesz, a ty masz z tego przyjemność. Nie wiesz przypadkiem, dokąd nas to zaprowadzi?

Do Wiktora. Tym razem byli zgodni. Zjedli pyszne lody, a on zapłacił. Chciała się dołożyć, jednak nie pozwolił, pomimo że były to jego ostatnie pieniądze.

- Mam do ciebie prośbę.

- Słucham. Gdzie tem razem chcesz mię dotknąć?

Polubił jej żarty. Były cięte i z klasą.

- Gdybyś przypadkiem znała kogoś, kto potrzebuje korepetycji... mogę dawać z matmy i historii.

Spodobało się jej, że sam rozwiązuje swoje problemy. *Pewno, że pomogę, nieuków nie brakuje. Od dzisiaj jest moim chłopakiem. Dobrze, że postuchała dobrych rad mamy i zaprosiła go na bal. Tylko plany miałam zupełnie inne...*

- Obiecuję, zrobię, co mogę.

Miał zmartwienie. Potrzebował pieniędzy. Tak chciał zaimponować swojej dziewczynie, że nieustannie o nich myślał. Pragnął zapraszać ją na lody, na tańce, jak koledzy z zamożnych domów. Dla niej był gotów na wszystko. W wyobraźni ratował ją z wszelkich opresji. Wymyślanie takich przygód stało się jego pasją. Nie wiedział niestety, jak zdobyć pieniądze. Na zarabianie brakło już czasu. Zresztą, ile mógł zarobić, był przecież uczniem. Przez chwilę naturalna dla jego wieku uczciwość walczyła z próżnością, z chęcią imponowania dziewczynie. Rezultat był łatwy do przewidzenia. Zdecydował, że ukradnie coś wartościowego. *Co jest wartościowe? Wiadomo, złoto! Tylko gdzie ja znajdę złoto?*

Odpowiedź nadeszła sama. Na lekcji religii. Pękaty jak imbryk ksiądz Ozga z namaszczeniem wykaligrafował na tablicy temat katechezy. Siódme przykazanie: „Nie kradnij!”. Rozejrzał się po klasie. Spochmurniał na widok Roberta. Nie udało się usunąć go ze szkoły. Na radach pedagogicznych próbował coś w tej materii zrobić,

natrafiał jednak na mur niechęci. Dyrektor, nauczyciel historii, nauczycielka geografii, która się w historyku podkochiwała, i inni nie pozwolili posłać aroganckiego bękarta na zieloną trawkę. *Wiadomo, poczęty w grzechu, którego piętno będzie nosił całe życie.* Wielu księży myślało podobnie. Uczniowie pisali w ciszy i skupieniu, on przeniósł się w czasy inkwizycji. O czym ksiądz śnił na jawie, zdradzać nie wypada. Nigdy się ze swoich marzeń nie wyświadał.

Robert z ponurą miną siedział nad pustą kartką. Jakkolwiek by się starał, i tak dostanie pałę. Po co się wysilać? Na szczęście za każdym razem, kiedy katecheta próbował wywalić go ze szkoły, rada pedagogiczna usadzała go.

Wtedy doznał olśnienia. Złoto jest w kościele, zawsze tam było, dużo złota! Okradnie kościół św. Stanisława, w którym Ozga był proboszczem. Nie miał wyrzutów sumienia. Jak sprzedać ukradzione przedmioty, pomyśli później. Nie wszystko naraz. Kielich mszalny, monstrancja, patena, złota puszka i relikwiarz. Te dewocjonalia poznał na religii, a były jeszcze inne.

Nieźle się obłowię! Muszę wziąć worek, żeby wszystko zabrać. Nic nie zostawię katabasowi⁷! To będzie zemsta za moje krzywdy. Chyba nie mogę się pomodlić za powodzenie, chociaż dlaczego nie? Czy to Bóg go zatrudnił, czy się sam na synekurę wprosił?

Nie zdąży ukraść i spieniężyć sprzętów liturgicznych do niedzieli, ale na przyszłą randkę powinien być gotowy. Im szybciej to zrobi, tym lepiej, nie ma co zwlekać, bo się jeszcze z tego zwlekania rozmyśli. No i straci mniej nerwów. Co jest potrzebne do włamania? Solidny łom, worek, latarka i saperka. Łom i worek znalazł w piwnicy. Saperkę pożyczył od kolegi.

Zaschło mu w gardle, ręce drżały, czoło pokryły kropelki potu, tętno przyspieszyło. Z trudem nad sobą zapanował i z duszą na ramieniu wyruszył na swój pierwszy skok. Przekradając się ciemnymi zaułkami, dotarł do kościoła, który był położony wyjątkowo korzystnie. Okolica odludna, las blisko. Przeskoczył przez płot przykościelnego

cmentarza, dotarł do tylnych drzwi i łomem wyważył je z zawiasów. Odgłosy, jakie się rozległy, były głośnie jak wystrzały armatnie. Zamarł, gotów do ucieczki. Nikt się nie pojawił, było cicho, aż dzwoniło w uszach. Owinął głowę chustą, zostawiając szparę na oczy, jak w gangsterskich filmach. Dotąd nie znalazł się w tak wielkim niebezpieczeństwie. Mógł jedynie zgadywać, jak się zachowa. Niespodziewanie przestał się bać. Myśli miał klarowne, oddech spokojny, a tętno lekko przyspieszone.

Pochłonęła go aksamitna ciemność nasycona zapachem stearyny. Drzwi prowadzące na zakrystię były zamknięte, więc je również wyłamał. Wszedł do środka i zapalił latarkę. W pomieszczeniu było jedno ozdobione witrażem okno. Centralne miejsce zajmowała solidna, okuta szafa. Spróbował ją otworzyć. Mimo że się natężył, sztaby nie ustąpiły. Zbierał siły do kolejnej próby, gdy wtem usłyszał szuranie. Ktoś szedł przez kościół. To nie był duch, odgłosy pochodziły z tego świata. Zgasił latarkę. Drogę ucieczki miał odciętą. W ostateczności mógł wyskoczyć przez okno. Nie otwierało się, więc musiałby je wybić.

Ksiądz Ozga wracał z brydża. Grał słabo, nie wynik się jednak liczył, ale z kim grał. Jego partnerami byli ludzie wpływowi. Podczas gry gawędzili o ważnych sprawach. Brydżyk był zakrapiany, więc nabrał ochoty na kielicha przed zaśnięciem, a na plebanii wódka się skończyła. Wszedł do zakrystii, nie zwracając uwagi, że drzwi są otwarte. Wszedł i stanął oko w oko z zamaskowanym bandytą. Strach go sparaliżował.

Robert uderzył owiniętym w komżę łomem, trafiając w skroń. Ozga upadł na podłogę. Chłopak spojrzał na leżącą bez ruchu bryłę. Wtedy dotarło do niego, że zabił człowieka! Krew uderzyła mu do głowy. Czytał w bulwarówkach opisy brutalnych morderstw popełnianych przez zaskoczonych na gorącym uczynku włamywaczy. Planując swój skok, nawet o tym nie pomyślał. Jemu morderstwo nie mogło się przytrafić! Bryła drgnęła i zajęczała, ksiądz ożył. Odczuł niewyobrażalną ulgę. Wyciągnął sznur z jakiejś sukienki i związał

księdzu ręce. Ozga odzyskał przytomność i płacząco błagał o litość. Chłopak obszukał mu kieszenie. Znalazł wypchany portfel i pęk kluczy. Jeden pasował do szafy. Pakował do worka wszystko, jak leci. Przerażony ksiądz nie protestował. Robert się nie odzywał, żeby Ozga nie rozpoznał go po głosie.

Wyszedł z kościoła i przeskoczył przez płot. Przemykał ulicą Kapliczną. Od Fordońskiej nadchodził patrol. W ostatniej chwili schował się we wnęce budynku. Serce waliło jak oszalałe, zagłuszając stukot butów. Kiedy go minęli, odczekał chwilę, przeciął Fordońską i zapadł w las. Był wreszcie bezpieczny. Z ostrożności nie zapalił latarki. Szedł wolno, uważając na wystające korzenie, gałęzie i doły. Dopiero za miastem wybrał odpowiednie miejsce i wykopał dół. W portfelu znalazł pięćdziesiąt złotych – akurat dzisiaj księdzu szła karta. Pieniądze włożył do kieszeni. Portfel wrzucił do worka, który ukrył w wykopie. Zakopał dół, starannie zamaskował ślady. „Przestępcy wpadają przez przypadek” – doradzali początkującym kryminalistom autorzy kryminałów. Na koniec porobił znaki. Świtało. Ozga z pewnością wszczął alarm i cała policja w Bydgoszczy została postawiona na nogi, dlatego wyszedł z lasu dopiero wtedy, kiedy na ulicach zaroilo się od spieszących do pracy robotników. Do domu wrócił przed siódmą. Matka krzątała się przy śniadaniu. Dziwiło ją, że się gdzieś szwendał po nocy, ale o nic nie pytała.

- Zarobiłem na korepetycjach. - Dał jej trzydzieści złotych.

Przytuliła go. Zawsze się wtedy irytował, lecz tego nie okazywał. Nie potrafił wybaczyć, więc musiał udawać. Jej czas minął – choćby go przytulała sto razy dziennie, przeszłości nie zmieni. Z jej oczu poleciały łzy. Wydała ostatnie pieniądze, a do wypłaty pozostały trzy dni.

Był z siebie dumny. Jak Robin Hood obrabował bogatego opata, a pieniądze rozdał ubogim. Matka była bez wątpienia uboga.

Następnego dnia mieli religię. Katecheta pojawił się w szkole z obandażowaną głową. Nie mógł się pohamować i przez pół godziny grzmiał o mękach piekielnych, jakie czekają bandytę, który podniósł

rękę na Kościół. W takich chwilach głos księdza, ku jego wielkiemu niezadowoleniu, stawał się piskliwy.

- Kto okradł Pana Boga, jest na wspaniałe przesiąknięty złem. Jego grzech śmiertelny na obliczu śmierci będzie mu wypomniany, znakiem czego zbawienia ten zbrodniarz nie dostąpi. Będzie się smażył w piekle! - wykrzyknął mściwie.

Nieustannie prosił o modlitwę i ofiarę na odkupienie dewocjonaliów. Wyglądało, że najbardziej zależy mu na datkach. Na przerwach wszyscy dyskutowali o napadzie. Koledzy prześcigali się w obrzucaniu obelgami bandyty, który obrabował Kościół. Słuchając ich, doskonale się bawił.

Po lekcjach zaszedł do biblioteki. W encyklopedii, tej z Europą na byku⁸, wyczytał, że temperatura topnienia złota wynosi ponad tysiąc stopni, więc zrezygnował z pomysłu przetopienia łupu. Nawet na oko była to za wysoka temperatura. Dowiedział się również, że złoto jest łatwo kowalne. Potrzebował jedynie bezpiecznego miejsca, gdzie go nikt nie nakryje, i narzędzi.

Umówili się z Wiką na sobotę. Zaprosił ją na zabawę ludową, potańcówkę pod gołym niebem. Na plantach nad Kanałem Bydgoskim było miejsce specjalnie do tego przeznaczone. Drewniany podest, na którym tańczyło kilkadziesiąt par. Wika nigdy na takiej zabawie nie była. *Idę na randkę z moim chłopakiem* - powtarzała, zachwycona perspektywą randki i tańców.

Grała wojskowa orkiestra, było gwarnie i wesoło. Bawili się doskonale, tańczyli tylko ze sobą. Wyjaśnił, że takie tutaj panują obyczaje. Nie chciał, żeby tańczyła z innymi, było to proszenie się o kłopoty. Na tańce przychodzili chłopcy z robotniczych dzielnic. Z nimi żartów nie było. Przypadkowy partner mógł wpaść na pomysł, że to jemu należą się następne tańce, jak również względy dziewczyny. Przez cały wieczór niewiele się działo. Pod koniec niektórzy sporo wypili. Jeden, szczególnie agresywny, przyczepił się i próbował odciągnąć Wikę. Nie było wyjścia, musiał się o nią bić.

Przeciwnik był kilka lat starszy, niższy, ale dużo więcej ważył i cieszył się zasłużoną sławą awanturnika. Na wiadomość, że będą się bili o dziewczynę, zgromadził się tłumek widzów. Wika, nieświadoma swojej roli trofeum dla zwycięzcy, stanęła nieco z boku i wystraszona śledziła rozwój wydarzeń. Widzowie byli zgodni, z jej chłopaka zostanie mokra plama. Przestraszyła się wtedy jeszcze bardziej i zbladła.

Walka nie trwała długo. Serią lewych prostych powstrzymywał chaotyczne ataki przeciwnika. Tańcząc na nogach, był dla niego nieuchwytny. Wyczekał, aż się odsłoni, wtedy uderzył. Prawym sierpowym trafił bezpośrednio na szczękę i było po zabawie. Niedoszły partner Wiki z trudem dźwigał się na nogi. O dalszej walce nawet nie myślał. Kibice patrzyli z niedowierzaniem. Chudy dryblas bez trudu rozłożył ich kompana. Robert, nie czekając na rozwój zdarzeń, wyprowadził Wikę z parku. Było już późno, więc i tak by wychodzili. Wpatrywała się w niego z podziwem. Wprawdzie nie znosiła przemocy fizycznej, on jednak walczył w jej obronie. Czuli się jak dama dworu, która rzuciła rękawiczkę swojemu rycerzowi.

- Ale chryja! Czy możesz wyjaśnić, co się wydarzyło i jakżeś to zrobił? - W pytaniu nie było tym razem ironii.

- Od pewnego czasu trenuję boks. W szkole nikt o tym nie wie. Koledzy się nabijali: maminsynek i takie tam. Ciągłe obrywałem, było mi wstyd. Miałem tego dosyć, dlatego zacząłem trenować. Wiesz, jak to jest.

Kilka lat temu zgłosił się do sekcji bokserskiej Zawiszy Bydgoszcz. W wojskowym klubie boks stał na wysokim poziomie. Trener przyglądał się chuderlakowi z rezerwą. Widząc jego determinację, zgodził się jednak na trening próbny. Okazało się, że ma wrodzony talent, robił szybkie postępy.

Wiedziała, jak to jest. Nauczyła się, że słowa potrafią zadać ból. Jej ta nieszczęsna Pyza pozostawiła podobne sińce, jak jemu pięści kolegów.

- Ten łobuz, który się tobie narzucał, nie miał szansy.

- Nic ci się nie jest? - język się jej plątał z wrażenia.
- Nawet mnie nie trafił.
- Należy ci się podziękowanie.

Pocałunek był słodki, zaś księżyc życzliwie im przyświecał. Kiedy się żegnali, była rozkojarzona. Pierwszy raz przeżyła taką przygodę. I musiała przyznać, że było to ekscytujące doświadczenie.

- Spotkajmy się jutro. Będę wiedziała, jakie masz korepetycje.

Nie zdradził, że pieniądze nie są już potrzebne. Sprawiłby jej przykrość. Z natury delikatny, szanował uczucia innych. Rozumiał, jakie to istotne, ponieważ matka się z nim nie liczyła. Nie chciał być taki jak ona.

- Zrobiłam to specjalnie dla ciebie.

Jej pierwsze wyznanie. Nie padły magiczne dwa słowa, ale było blisko. Tylko - co powiedzą koleżanki? Ona i Koniu. Będą dokuczać, nabijać się z jego byle jakich ubrań, ze wszystkiego. Nawet z tej nieszczęsnej oficyny. Przypomną sobie, że nie ma ojca. Słowo „bękart” nie padnie. Od czasu, kiedy dyrektor szkoły przywołał do porządku księdza, który nazywał tak Roberta, nikt sobie na takie draństwo nie pozwalał. Znajdą inne sposoby, będą robić złośliwe przytyki. Co tam, niech gadają. W domu również szykuje się niezła przeprawa. Owszem, podoba się mamie, ale przecież nie jako chłopak ukochanej córeczki.

W niedzielę, tradycyjnie, poszli na błonia. Wika przyniosła koszyk z kanapkami i owocami. Zabrała też pled, na którym wygodnie się zmieścili. Na polanie szybko się rozpakowali. Wtulona w niego sięgnęła do koszyka, z którego wyjęła kartkę zapisaną jej eleganckim, kobiecym pismem. Data, adres, nazwisko, przedmiot i cena za lekcję. Przeczytał, ile zarobi, i zmienił zdanie. Za sprawą talentów negocjacyjnych Wiki suma była wyższa, niż oczekiwał, a pieniądze się przydadzą. Jak to zakochani, rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Jestem szczęściarzem, że mam taką dziewczynę.
- Coś ty!

- Może ja na ciebie nie zasługuję? Jesteś za ładna, za mądra i w ogóle. Jak ci się odwdzięczę?

- Pozwól, głuptasie, że sama będę decydowała, kto na mnie zasługuje. Jak myślisz, czemu żem cię zaprosiła na bal? Tak przypadkiem, bo nikogo nie było pod ręką? Ja też lubię nasze spotkania. Tylko nie mogę sobie przypomnieć, kiedy zostałam twoją dziewczyną. To na pewno wina mojej kiepskiej pamięci. A czym się wywdzięczysz? Przychodzi mi do głowy kilka pomysłów. Poczekam, aż będziesz miał pokaźniejszy dług. Teraz chcę ponownie usłyszeć, co ci się we mnie podoba. Tem razem nie pomiń żadnego szczegółu.

- Nogi masz piękne. Takie długie i smukłe, że trudno od nich oderwać wzrok. A jaki zgrabny tyłek. Dasz dotknąć?

Wiedziała, że tak chłopcy nazywają ich pupy. *To takie podniecające, kiedy twój chłopak mówi, że masz zgrabny tyłek i jeszcze pcha się z łapami!*

- Zaledwie tyle, nic więcej? Myślałam, że ci się bardziej podobam.

- Twoje piersi! Są miękkie i jednocześnie takie sprężyste.

Do czegoś się to dotykanie przydało. Przynajmniej wie, jakie mam piersi. Była z nich bardzo dumna. Łazienkowe lustro, niemy powiernik, służyło nieustannemu potwierdzaniu tej opinii.

- Jak możesz chwalić coś, czego nie widziałeś? - Zatkano go tak, że zaniemówił. - No co, zamurowało cię?

- Pokażesz mi swoje piersi? Naprawdę?

- Może tak, a może jednak nie. Sama nie wiem. Chyba nie pokażę. Muszę się zastanowić. Ale staraj się, staraj. Myślałam, że się na mnie rzucisz i rozerwiesz mi bluzkę, jak wczoraj.

- Przecież ja...! Skąd ci... Nie... - protestował przeciwko takiej insynuacji.

- Widzę, że nabierasz manier - przerwała nieudolne tłumaczenia. Ale ten tyłek? Fuj! Gdzieś się takich skandalicznych wyrazów nauczył? Na pewno od koleśków z klubu bokserkiego. W naszym liceum nikt się tak nie wyraża.

Zmienił podejście. Po co się tłumaczyć, skoro można całować? Po kilku pocałunkach sama nabrała ochoty na więcej. Pokaże kawałeczek ciała, taki niewielki, tylko – co pokazać? W końcu nie ma się czego wstydzić. Od walki bokserskiej zaczęła się też interesować jego ciałem.

- Zdejmuj koszulę, chcę cię obejrzeć. Nie kupię kota w worku.

Na plaży chłopcy i dziewczęta opalali się obok siebie. Nie wzbudzało to większych emocji. Czym innym było zdjęcie koszuli, kiedy byli sami. Poczuli się niezręcznie, jednak ją z ociąganiem ściągnął. Dzięki wyczerpującym treningom był proporcjonalnie zbudowany. Z pewnością nie jak atleta, ale mięśnie wyraźnie rysowały się pod skórą. Szerokie ramiona, wypukła klatka piersiowa, płaski brzuch. Jedynie ta chudość. Mogła policzyć żebra. Skóra na nich była mocno naciągnięta. Jednak i to się jej podobało. Widziała filmy z Jamesem Stewartem. Nawet się w nim podkochiwała, a też był chudy.

Nie przypuszczała, że tak wygląda, oceniała po zapadniętych policzkach. Widywała kolegów w strojach do zajęć fizycznych i w samych kąpielówkach na plaży. Nie przypominali Roberta. Był jednym z wyższych w szkole. Miał aż sto osiemdziesiąt dwa centymetry. Podniecało ją, że jest taki wysoki. Poskręcane w kędziory czarne włosy i wyraziste piwne oczy. Bez skrupowania gładziła go po torsie. Śledziła palcem falistą linię, jaką tworzyły sterczące nad klatką piersiową żebra. Oszołomiony, zamknął oczy. Wice też było łatwiej, kiedy nie patrzył. Przestała, a on jeszcze długo czuł jej dotyk.

- Opowiedz o treningach. Wiesz, że wczoraj byłeś niesamowity? Nigdy bym nie pomyślała, że potrafisz tak boksować.

- Trenuję od trzech lat. Zgłosiłem się do klubu, jak Horst, ten Niemiec z „Jedynki”, po raz kolejny złożył mi skórę.

- Horst, ten rudzielec z odstającymi uszami?

- Właśnie on. Trener uważa, że mam talent, jednak nie mam zacięcia na zawodowego boksera. Wystarczy mi w zupełności boks amatorski.

Trenować zaczął, kiedy choroba pozbawiła matkę energii niezbędnej, aby mu się przeciwstawić. Wcześniej nawet o tym słyszeć nie chciała. Wymusiła na nim przyznanie, że boks jest brutalnym sportem i nie będzie go uprawiać. Po tej rozmowie wymiotował złością. Potem poszedł prosto do pani Anieli, która miała swoje sposoby, żeby go postawić na nogi. Tego już naturalnie Wice nie zdradził.

- Lubisz się bić?

- W ringu tak, nawet bardzo. To uczciwa walka. Jeden na jednego. Ta sama waga, takie same rękawice, przejrzyste zasady. Nie wolno uderzać poniżej pasa. A ciosy zadane rękawicą nie bolą tak, jak się wydaje. W życiu jest inaczej, dlatego wolę boks.

Ścisnęła jego biceps, wypukły i twardy jak kamień.

- Z tobą czuję się bezpieczna.

- Do bezpieczeństwa nie jestem ci potrzebny. Takiej pięknej dziewczyny nikt nie skrzywdzi.

- Nie bądź naiwny. Właśnie te ładne są krzywdzone najczęściej.

- W takim razie jestem potrzebny, będę cię bronił.

Resztę dnia przegadali. O szkole, o nauczycielach, o kolegach i koleżankach, o wszystkim, co było dla nich ważne.

- Jak spędzisz kanikułę?

- Pojadę do Włocławka, do Celulozy⁹. Mama załatwiła pracę.

Bardzo chciała, żeby wakacje spędzili razem. Jednak również z jej strony istniała przeszkoda.

- Wyjeżdżamy z mamą i bratem do Francji. Ciocia wyszła za Francuza. Mają śliczny domek nad morzem, widziałam zdjęcia. Jeszcze u niej nie byliśmy. Gdyby to był inny wyjazd, tobym się wymigała, żeby spędzić wakacje z tobą. Za to następne wakacje będą nasze. Będziemy po maturze i będziemy dorośli. - *A ja stracę z tobą cnotę.* Uśmiechnęła się tajemniczo. - Praca w Celulozie jest na pewno ciężka, dasz sobie radę?

- Przynajmniej dobrze płacą. Jestem silny, więc sobie poradzę. Jak będzie ciężko, pomyślę o tobie. Jeżeli już mówimy o tym, co nas czeka

po maturze, mam pewne obawy.

- Obawy? Czego się boisz?

Pomyślała, że teraz powie, że wydarzy się coś złego i ją zostawi.

- Powiem, tylko obiecaj, że nikomu nie powtórzysz.

- Obiecuję, kochany. - Uwielbiała wszelkie sekrety.

„Kochany”. Pierwszy raz tak go nazwała. Dla niego wielkie przeżycie.

- Myślę, że w przyszłym roku będzie wojna.

- Wojna? - przestraszyła się. - Przecież nic nie zapowiada wojny.

- Tak się wszystkim zdaje. Ja uważam inaczej. Wojna będzie.

Wezmę w niej udział, bo dostanę powołanie do wojska. Chociaż nie mam ochoty, nie będę zgrywał bohatera. Obawiam się, że jak zacznę kochać ojczyznę, to mnie będzie bolało.

- Wszyscy mówią, że gdyby, nie daj Boże, doszło do wojny, wspólnie z Francuzami pokonamy Niemców. Mamy wspaniałą armię. Wygraliśmy z bolszewikami, więc i z Niemcami sobie poradzimy.

- Nie mam zamiaru cię przekonywać. Myśl, co chcesz. Musiałem ci powiedzieć, bo cię kocham. Prosiłem tylko, żebyś nie rozpowiadała, ponieważ za takie słowa mogę mieć kłopoty. I to poważne.

Na jednego zdrajcę przypadał tysiąc niewinnie posądzonych o zdradę.

- Za jakie słowa? - zaniepokoiła się.

- Obawiam się, że wojnę z Niemcami przegramy. Mają nowoczesną armię, tysiące czołgów i samolotów, a my? My mamy kawalerię! Nie pomogą parady, prężenie mięśni, nawet błogosławienie armat. Jeszcze niedawno myślałem jak wszyscy. W gazetach na okrągło piszą, jacy to wspaniali jesteśmy. Ciągłe te same napuszone, głupie frazesy, od których rzygać się chce.

Nauczyciel historii, profesor Imiałek, żołnierz II Brygady Legionów, na kółku historycznym dyskutował z uczniami. Nie mówił wprost, ale wystarczająco jasno dawał do zrozumienia. Pani Aniela myślała podobnie: „Rządzą nami głupcy, dlatego wojna będzie, a my ją przegramy”.

- Brzmi to jak jakiś koszmar. Jak cię słucham, zaczynam się bać.
- Przepraszam, Wika. - Objął ją. - Niepotrzebnie cię wystraszyłem. Nie powinienem, rozmawialiśmy przecież o wakacjach.
- Przynajmniej jesteś szczerzy i nie traktujesz mnie protekcjonalnie, czego nie znoszę. Nie masz za co przepraszać. Mówisz, że będzie wojna i my ją przegramy? To straszne! Nic nie można zrobić?
- Nic. Ani oni, ani my swojej polityki nie zmienimy. Jedziemy na zderzenie czołowe. Nie mówiłem ci jeszcze, ale chciałem studiować u Wawelberga.
- Tak, żeby się mnie pozbyć! - Tupnęła.
- Przestań na chwilę żartować, chciałem zostać inżynierem, jak twój ojciec.
- Jesteś ambitny, już zauważyłam. Może tego nie dostrzegasz, ale interesuje mnie wszystko, co jest ważne dla ciebie. Mam nadzieję, że wojny nie będzie, pójdziesz do Wawelberga i skończysz z wyróżnieniem. A jeżeli liczysz, że w ten sposób czmychniesz, to się srodze mylisz. Pojadę za tobą. Pójdę na Uniwersytet Warszawski. - *No, wciąż jeszcze nie wiesz?* - Niestety, muszę już iść, zrobiło się późno. Nie rozumiem, jak ten czas tak szybko zleciał.
- W takim razie na następną randkę zabieram cię na kajak. Popłyniemy w górę Brdy tak daleko, jak damy radę, potem wrócimy z prądem.
- Cudownie! Psujesz mnie. Sama nigdy bym na to nie wpadła.

Czekały go pracowite dni. Pierwszy raz poszedł na wagary i od razu na cały tydzień. Z domu wymknął się o czwartej nad ranem. W torbie miał latarkę, kowadło, saperkę, dwa różnej wielkości młotki, kanapki i termos z herbatą.

Szybko odnalazł miejsce, w którym ukrył łup. Ziemia była spulchniona, więc bez trudu wydobył worek ze złotem. Zasywał dół, zarzucił worek na ramię i ruszył przed siebie. Niewielki lasek nie spełniał jego wymagań. Był za mały, kręciło się po nim zbyt wielu

spacerowiczów. Przeszedł w dwie godziny dwanaście kilometrów. Nawet się nie zasapał, pomimo że torba była ciężka. Dotarł do rzeki parę kilometrów za miastem. W tym miejscu przepływała przez bujny las. Skreślił w wąską ścieżkę prowadzącą w głąb niego i znalazł zagubioną w puszczy niewielką polanę, na której nie było śladów człowieka.

Ustawił kowadło i zaczął wyklepywać sztabkę z monstrancji. Żałował, że niszczy piękny przedmiot, jednak nie miał wyboru. Zamierzał uformować regularny kształt. Poszło nadspodziewanie łatwo. Złotą cegiełkę włożył do wewnętrznej kieszeni bluzy. Ważyła, jak się miało okazać, niemal czterysta gramów, trzynaście uncji. Sprawdził w banku, kurs wynosił trzydzieści pięć dolarów za uncję czystego złota¹⁰. Jego złoto było niższej próby. Liczył, że dostanie połowę, czyli siedemnaście do osiemnastu dolarów za uncję. Za sztabkę wychodziło dwieście trzydzieści. Po obowiązującym kursie – tysiąc dwieście złotych.

Będziemy bogaci. Matka zrezygnuje z pracy. Stać nas będzie na dobre jedzenie, lekarza. Na wszystko.

Pomimo ciężkich przejść nie przestawał się o nią troszczyć. Dana przez naturę więź trzymała na krótkiej smyczy, chociaż rozum podpowiadał inaczej. Ten sam instynkt czynił ją bezkarną, kiedy go niszczyła, usiłując kształtować wbrew woli. Mówi się, że matczyzna miłość jest ślepa. Nie wiadomo dlaczego, nie mówi się, że miłość dziecka do matki jest tak samo ślepa.

We wtorek pojechał pociągiem do Warszawy. Odwiedził kilku jubilerów. Rzeczywistość sprowadziła go na ziemię. Złoto było wysokiej próby, osiemnastokaratowe, żaden jednak nie chciał dać tyle, na ile liczył. Widzieli przed sobą młodego chłopaka, więc zamierzali go wycisnąć jak cytrynę. Wybrał trzech, którzy oferowali najwyższą cenę, i rozpoczął negocjacje. Wreszcie sprzedał sztabkę. Dostał dziewięćset złotych. Mniej, niż oczekiwał, nadal jednak były to dla niego oszałamiające pieniądze. Cały czas bał się, że ktoś go

zadenuncjuje i zostanie aresztowany, więc po zainkasowaniu zapłaty odetchnął z ulgą.

- Gdybyś miał tego więcej, wal prosto do mnie - zaproponował jubiler.

- Prawdę mówiąc, liczyłem na trochę wyższą cenę.

Nie chciał się niepotrzebnie narażać, więc zdecydował, że niezależnie od ceny sprzeda złoto temu jubilerowi.

- Pogadamy, jak przyjdiesz. Może coś dorzucę.

Korzystając z okazji, omówili szczegóły następnej transakcji. Pijąc koniak na zapleczu, Robert poczuł się bardzo ważny. Jubiler w młodości był włamywaczem. Wiedział, kiedy się wycofać. Za pieniądze z napadów otworzył własny interes. Domyślił się oczywiście, skąd pochodzi złoto. Podpytał podekscytowanego transakcją i alkoholem młodzieńca i zaproponował, że kupi kamienie półszlachetne, które ten powydlubywał z precjozów przed ich przerobieniem na sztabki.

- Nie mają wielkiej wartości, ale szkoda, żeby się zmarnowały. Wprawię je w pierścionki zaręczynowe. Cierpiałoby obmacywane przez klechów, na dziewczęcych palcach będą szczęśliwe. - Mrugnął porozumiewawczo. - A ty trzymaj gębę na kłódkę, jedziemy teraz na jednym wózku.

- Najładniejszy kupię dla mojej dziewczyny.

- Masz dziewczynę? Gratuluję. Zaradny jej się chłopak trafił.

Był w domu o dwudziestej drugiej. Matka jeszcze nie spała. Położył na stole siedemset złotych.

- Złożysz wypowiedzenie. Do końca tygodnia pieniędzy będzie dużo więcej. Umówisz wizytę u doktora Knauffa.

Knauff był znanym ftyzjatrą. Wizyta u niego kosztowała trzydzieści złotych.

- Przed pójściem do lekarza kup sobie jakieś ubranie. Jutro koniecznie idź do banku i załóż konto. Wpłać na nie czterysta złotych.

- Skąd masz tyle pieniędzy?

- Nie pytaj, bo i tak nie powiem. Nie grozi mi niebezpieczeństwo, nie zrobiłem nic, czego bym się wstydził.

Nie musiała pytać. O napadzie na kościół mówili wszyscy. Skojarzenie kilku faktów nawet dla niej nie stanowiło problemu. W dniu napadu wyszedł z domu na całą noc, teraz przynosi tyle pieniędzy. Przewlekła choroba pozbawiła ją energii. Słyszając, że nie będzie musiała pracować, odczuła wielką ulgę. Pomyślała, że to los wynagrodził ją za to, że dobrze wychowała syna.

Spał zaledwie kilka godzin. Tego dnia przekuł na sztabki pozostałe przedmioty. Na czwartek zaplanował wyjazd do Warszawy. Jeżeli nic złego się nie wydarzy, wróci jako bogaty człowiek. Postanowił, że niczego w swoim życiu nie zmieni. Z kryminałów dowiedział się, że przestępcy wpadają, ponieważ zamiast siedzieć cicho, szastają forszą. Jemu takie niebezpieczeństwo nie groziło. Musiał zachować pieniądze na przynajmniej rok utrzymania. Za bardzo nie było czym szastać. Matka, zanim zachorowała, zarabiała trzysta złotych miesięcznie. Teraz jedynie dwieście dwadzieścia, ponieważ musiała ograniczyć czas pracy.

Miał wilczy apetyt, toteż zażyczył sobie obfitszych posiłków. To również będzie kosztować. Jak przytyje, bardziej spodoba się Wice. Na tym zależało mu najbardziej. Nie będzie ograniczał wydatków. Lody, tańce, kino. Kupi sobie wreszcie przyzwoite ubrania. Wika pomyśli, że wydaje pieniądze zarabiane na korepetycjach. Zresztą, może tak zrobić, pieniądze za korepetycje wydawać na randkach. Policzył, ile potrzebują, i nie uważał się za bogacza. Do bogactwa sporo mu jeszcze brakowało.

Wracał z Warszawy z duszą na ramieniu. W wewnętrznej kieszeni bluzy miał trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt złotych. Prawdziwą fortunę. Usiedli z matką w kuchni. Położył na stole trzy tysiące pięćset. Pobladła i zakryła twarz dłońmi.

- O mój Boże. Aż tyle!?

- Te pieniądze ukryję. Nie możesz ich wpłacić na konto.

Skinęła głową. Wiedziała, dlaczego nie może złożyć w banku takiej sumy.

- Zrobiłam, jak mówiłeś, założyłam konto i wpłaciłam czterysta. Reszta się rozeszła. Wydałam na lekarza, kupiłam wyjściowy kostium. Mój najlepszy był poprzecierany w wielu miejscach. W tym nowym od razu lepiej się poczułam. Poszłam do fryzjera, wykupiłam lekarstwa i zrobiłam wielkie zakupy do domu. Niewiele zostało.

- Doskonale! Potrzebujemy trzy tysiące na rok, tyle w zupełności wystarczy. Nie będziesz pracowała, dlatego życie będzie trochę tańsze. Mamy więc rezerwę. Wystarczy na lekarza, lekarstwa i - uniósł palec - pojedziesz do Ciechocinka. Na cały miesiąc. To najlepsze uzdrowisko na twoje dolegliwości i jest blisko.

Zostawił ją, bo tak płakała, że rozmowa nie miała sensu. Pomyślał z goryczą, że odpłaca wielkodusznością za całe zło, jakiego od niej doświadczył. Nic do niej nie czuł, jednak była matką, więc miał obowiązek tak postępować.

W sobotę poszedł do pani Anieli. Nie mógł się doczekać spotkania, miał dla niej prezenty. W księgarni na Brackiej kupił *Flirt z Melpomeną* Boya. Podarował jej elegancko zapakowaną książkę, bombonierkę z ulubionymi pralinkami i bukiet róż. Bardzo się wzruszyła. Żeby ukryć łzę, poszła do kuchni nalać wody do flakonu. Wróciła opanowana. Wzięła go pod brodę i zajrzała w oczy. To, co w nich wyczytała, najwyraźniej ją zainteresowało.

- Opowiadaj o Wice.

Wiedziała, że nie podziękowaniami, lecz tą nieskomplikowaną prośbą sprawi mu największą radość.

W niedzielę przyszedł na przystań przed czasem. Powietrze było rześkie, woda błękitna, a niebo bezchmurne. Zrzucił kajak na wodę, wymył, przyniósł wiosła i kapoki. Czekał, śmiał się do siebie i odmieniał „moja dziewczyna” przez wszystkie przypadki. Przyniosła koszyk pełen smakołyków. Chciała płacić, była zaskoczona, że już

zapłacone. Przebrała się w kostium kąpielowy i powiosłowali w górę rzeki. Usiadła z przodu. Wolała siedzieć z tyłu, było jednak w zwyczaju, że kobiety siadają z przodu.

- O, piękna nieznajoma, w górę rzeki popłyniemy, jak usiedliśmy. Z powrotem siądziesz z tyłu i zostaniesz kapitanem.

- Naprawdę? Strasznie dziękuję, tajemniczy nieznajomy. Chciałam siedzieć z tyłu, ale wiem, że my, nieporadne kobiety, mamy przykazane siadać z przodu.

- Zmieniam ten głupi zwyczaj w hołdzie dla twojej urody.

Pierwsza godzina zeszła na odnajdywaniu wspólnego rytmu, co wcale nie było łatwe. Nie mieli wprawy - jego nie było dotąd stać na wypożyczenie kajaka, ona nie miała z kim pływać - w dodatku wiosłowali pod wartki na tym odcinku prąd. Cieszyło ich wszystko, co robili wspólnie. Po dzisiejszej wycieczce wiele sobie obiecywali. Otoczenie nastrajało optymistycznie. Piękna pogoda, rzeka, kajak i ich dwoje. Niczego więcej do szczęścia nie potrzebowali. Brda wiła się malowniczo wśród zarośli z łożyny poprzeplatanej przygarbionymi do ziemi, rosochatymi wierzbami. Kolor wody zmieniał się z pogodą. W słońcu mieniła się barwami tęczy.

Wreszcie się zgrali. Wiosła poruszane zgodną pracą rąk i barków miarowo rozcinały wodę. Nie był to wielki wysiłek, odczuwali przyjemne zmęczenie. Wiosłowanie dawało im wiele radości. Ze swego miejsca mógł podziwiać piękno natury, jak również magię wdzięcznie się skręcających kobiecych bioder. Przesłonięte woalem czarnych włosów, z fascynującymi wycięciami, wygrały bezapelacyjnie z pięknem przyrody. Płynęli już trzy godziny. Na jej plecach pojawiła się ciemna, z wolna rosnąca plama. W tym miejscu rzeka przepływała przez sosnowy las. Dopłynęli do opadającej ku wodzie bindugi, z której przed laty flisacy spuszczały pnie, żeby je spławić z prądem. Znaleźli na niej doskonałe miejsce na piknik. Nasłonecznione, porośnięte trawą, suche, zasłonięte od rzeki krzakami. Robert wciągnął kajak na brzeg i wyjął koc. Rozłożyli zapasy i zgłodnieli po kilku godzinach wiosłowania, rzucili się na jedzenie. Po zaspokojeniu

apetytu Wika wyciągnęła się na słońcu. Jego ułożyła tak, żeby głowę opierał wygodnie na jej podbrzuszu. Ptaki śpiewały, rzeka bystro toczyła swoje wody, nozdrza wypełniał jej zapach, odurzający zapach młodej kobiety. Głaskała go po włosach, bawiła się, nawijając na palce loki, drapała pazurkami po ramionach, po szyi. Wydawało mu się, że trafił do raju.

- Nie ugniatam cię?

- Takie już jesteśmy. Dociskacie, przyciskacie, a nam nie przeszkadza. - Miało zabrzmieć dwuznacznie.

Leżeli tak długo, aż natura wzięła górę i zaczęli się całować. Rozgrzane słońcem ciała w kostiumach kąpielowych były jak nagie. Na jej skórze pojawiły się drobniutkie kropelki potu.

- Czy nie uważasz, że jesteśmy Adamem i Ewą? Jak myślisz, nadaję się na Ewę? Jestem wystarczająco ładna?

- Jesteś od niej piękniejsza. Podasz jabłko?

- Ktoś nas wtedy przegoni. Wąsaty leśniczy z dubeltówką.

Fizyczna bliskość podniecała, wpatrywali się w siebie jak para bobrów na wiosnę.

- Zakochałam się w tobie, zupełnie nie rozumiem, jak to się stało. Łatwo mogę stracić głowę, przeto musimy coś z tem zrobić. Rozumiesz, najmilszy, że nie mogę ci się oddać, chociaż bardzo tego pragnę. Powiem, co nam wolno robić, a czego w żadnym razie nie powinniśmy - wyznała nieoczekiwanie.

Nie spodziewał się, że jego dziewczyna jest taka otwarta. Nie miał pojęcia, co mogą, a czego nie mogą.

- Nie wiem, co możemy robić. Bez twojej zgody nawet nie mrugnę.

- Widzisz, kochany, w tem problem. Mogę się zgodzić na coś, czego później będę żałowała.

- Aż tak?

- Aż tak, aż tak. A co myślałeś, że jestem z lodu? Możesz mnie dotykać, ale tylko powyżej pasa. Jeżeli masz ochotę, naturalnie. Poniżej jest zabronione. - Zmarszczyła nos, udając smętną minę.

Zobaczy jej cudowne piersi, będzie je pieścił i całował. Nawet o tym nie marzył. Fala gorąca rozlała się po całym ciele. Próbował jej dotknąć, ale go odepchnęła. Miała jednoczęściowy, dopasowany kostium. Z bliska, przez cienki materiał, widział szczegóły, których wcześniej nie dostrzegał. Fascynował go wzgórek łonowy i pojedyncze czarne włoski na wewnętrznej stronie ud, zapowiedź czekających go rozkoszności.

Z niewinnym uśmiechem opuściła ramiączko. Powoli przesunęła ręką wzdłuż ciała i strąciła drugie. Pochłaniał ją wzrokiem, jak zaczarowany. Kostium trzymał się już tylko na piersiach. Pociągnęła w dół, odsłaniając niewinne, dziewczęce piersi. Pełne, białe w delikatnym odcieniu różu, kształtu połówki dorodnego jabłka. Od białego tła wydatnie odcinały się obrzmiałe, ciemnoczerwone sutki. Zsunęła kostium do bioder i podwinęła, żeby nie opadł.

- I jak, najdroższy, podobają się? Mowę ci odjęło? No dobrze, nie musisz nic mówić, zajmij się nimi, gapo. - Obrzuciła go tym swoim spojrzeniem.

Zatonął w jej piersiach. Były twarde i miękkie jednocześnie. Brodawki w jego ustach stwardniały. Wika wydawała przy tym pobudzające zmysły, pożądliwe odgłosy. Nigdy takich nie słyszał. Dotarł do niego zapach, jakiego nie znał. Przywodzący do szaleństwa zapach podniecenia kobiety. Miał potężny wzwód.

- Coś ci tam urosło - zachichotała.

- Urosło, ale to wcale nie jest zabawne. - Przestał się wstydzić swoich przeżyć. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to męczące.

Było jej szczerze żal, że się męczy dlatego, że ona aż tak mu się podoba.

- Nie pomogę ci, biedaku, chociaż bardzo bym chciała.

Jak wszystkie dziewczyny, była nieuświadomiona. Przez myśl jej nie przeszło, że może, nie tracąc dziewictwa, zaspokajać ukochanego. Wiedzę o miłości innej niż platoniczna młodzież wykradała, skąd się dało. Robert chodził do biblioteki miejskiej i stojąc przy regale, przeglądał podręczniki medyczne. Wstydził się zabrać „taką” książkę

do stolika. Za wiele z tych podręczników nie wyczytał, lecz zdobył przynajmniej ogólną wiedzę, co ma kobieta w miejscu, które go najbardziej interesowało. Były też grzeszne dzieła literackie, które podtykała pani Aniela, oraz wiedza szeptana od kolegów.

Kąpali się, chlapiąc jak dzieci, Wika piszcziała i śmiała się jednocześnie. Ścisnął ją pod wodą, pieścił jej piersi rozbryzgami. Wreszcie, wysuszeni słońcem, zjedli resztki prowiantu i z żalem odpłynęli.

- To był cudowny dzień. - Była ogromnie utrudzona i jeszcze bardziej zachwycona. - Tyle atrakcyj! A największą byłeś ty. Chcę jeszcze! A może wolisz Brigitte? - nie dawała spokoju Bogu ducha winnej dziewczynie.

- Nie opowiadaj głupstw. Mogę na ciebie patrzeć bez końca.

- Skoro tak, urwijmy się jutro z lekcyj. Co ty na to?

- Niezły z ciebie numerek! Taka porządna panienka, kto by pomyślał. No pewnie!

- A co! Uwielbiam narobić głupot. I ciebie mam ochotę sprowadzić na złą drogę.

We wtorek poszedł na plebanię. Drzwi otworzył ksiądz Ozga.

- Proszę księdza, ten napad mnie oburzył. Trzeba szatana, żeby podnieść rękę na Kościół. - Wyjął z kieszeni pogniecione wcześniej dwadzieścia złotych, starannie rozprostował i podał księdzu. - Na odkupienie zrabowanych przedmiotów. Zarobiłem na korepetycjach.

- Bóg zapłać, synu. Zrobisz większą przysługę sobie i Panu Bogu, jak również z następnych korepetycji przyniesiesz datek.

Cynizmu nauczyła go matka. Gdyby tylko umiała czytać w myślach. Zapewniał, z odpowiednim na tę okazję wyrazem twarzy, że tak, że ma rację, jak zwykle go przekonała, że ją kocha za wszystko, co dla niego zrobiła - myśląc, jak go upokorzyła. Wymuszona dwulicowość stała się jego drugą naturą. Uczciwy pozostawał wobec tych, których kochał i szanował. Lista była wyjątkowo krótka. Pani Aniela, Wika i profesor Imiałek. Wobec

kolegów był na swój sposób uczciwy. Zdystansowany; jak miał skłamać – nie mówił nic.

Ozga był w zgoła odmiennym nastroju. *Może byłem zbyt surowy dla tego chłopaka? Pierwszy przyniósł pieniądze, chociaż bękart. Oto zagadka wyroków boskich.* Na następnej religii pochwalił go za szczodrość i dał za przykład.

Robert w tajemnicy przed Wiką poszedł do krawca i zamówił ubranie. Nie garnitur, jak zamożniejsi koledzy. Na wojenną tułaczkę potrzebował solidnego ubrania podróżnego z najlepszego angielskiego sukna.

– Nie wiem, jak szanowny pan policzyć. Panienska Wika i jej rodzina to moje najlepsze klienty. Dlatego u mnie dla nich wielka rabata. Kiedy panienska pan przyprowadziła, dla niej dałem rabata. Bez panienska, proszę zrozumieć, nie mogę. Ja muszę utrzymać piątka dzieci i żona. A moja dzieci taka apetytna...

Wyraźnie się rozpędzał, więc mu przerwał.

– Zapłacę bez rabata.

Kiedy usłyszał cenę, pomyślał, że coś się z tą rabatą nie zgadza, ale niech tam. Do targów z panem Abrahamem jeszcze nie dorósł.

– Zgoda. A pan się postara, żeby ubranie było wystrzałowe.

– Będzie wystrzałowe, niech się szanowny pan nie obawia. Panienska Wika pan jeszcze bardziej polubi w ten ubrań.

Z rozpędu kupił dwie pary doskonałych butów Baty i dobrej jakości bieliznę.

– Poproszę jeszcze wełniany sweter w szpic. Aha, i tę czapkę z daszkiem. – Zawsze o takiej marzył.

Pani Aniela podejrzewała go od dnia, w którym podarował jej prezenty. Wiedziona intuicją poskładała w całość kilka faktów. Pralinki od Bliklego – czyli był w Warszawie, i to w tajemnicy? Zdobył niemałe pieniądze. Zaglądając mu w oczy, dostrzegła w nich pewność siebie i zadziorny optymizm. Już wtedy się domyśliła. Kiedy zauważyła, że Jadwiga Meissner nie pracuje, a żyją na

dotychczasowym poziomie, miała już pewność. To Robert okradł kościół!

Wiedziała, że wkrótce wybuchnie wojna. Przeczuwała, że jej nie przeżyje. Już na ten temat rozmawiali. Własnych dzieci nie miała, więc nadzieję na spełnione życie pokładała w nim. Na swój sposób była z niego dumna. Osiemnastoletni chłopiec potrafił popełnić ryzykowne przestępstwo, spieniężyć łup i nie dać się przy tym złapać.

Do wakacji pozostał miesiąc. Czas uciekał zakochanym z prędkością Błękitnego Ekspresu. Wika na przemian roniła łzy i się śmiała, nie wiadomo właściwie z czego.

- Masz mi być wiernym, pamiętaj! Żadnych dziewczyn. Jak się spotkamy po wakacjach, poznam, bo jestem czarownicą - ostrzegła, marszcząc śmiesznie nos.

W Celulozie zameldował się bezpośrednio po zakończeniu roku szkolnego. Początkowo chciał zrezygnować, ale Wika wyjechała, a rezerwa finansowa nie była wielka. Liczył, że za zarobione pieniądze będzie jej mógł fundować kino, kawiarnię, tańce, drobne prezenty, jak to robili chłopcy z zamożnych domów. Z korepetycji miał zamiar zrezygnować, żeby z nią spędzać więcej czasu.

Trafił do czteroosobowej brygady. Przerzucali bale z zalegającego na placu stosu na taśmociąg. Drewno trafiało do kadzi, w której wygotowywano z niego celulozę. Praca była ciężka, nawet dla nawykłych do wysiłku robotników.

Wynagrodzenie wypłacano co tydzień. Pierwsza wypłata okazała się twardą lekcją życia. Koledzy dostali po osiemdziesiąt złotych. Nadeszła jego kolej. Kasjer wypłacił zaledwie pięćdziesiąt. Oczywiście zaprotestował.

- Jesteś młodociany, więc tyle się należy - powiedział kasjer i chciał zakończyć dyskusję, zatraskując okienko.

Ich nieformalny szef Zygmunt Zaremba był szybszy. Zablockował je.

- Słuchaj, gnido. Albo wypłacisz, ile trzeba, albo ten złodziejski ryj tak objemy, że cię własna matka nie pozna.

Wystraszony kasjer bez słowa dopłacił trzydzieści złotych. Próbował oszukać. Liczył, że Robert nie będzie dochodził należnych pieniędzy. Nie wyszło, ponieważ ładowacze stanęli za nim murem. Dla nich ważne było, że nie odstawał w pracy. Polubili go i traktowali jak swego.

Wynajmowali kwaterę składającą się z dużego pokoju, do którego wstawili cztery łóżka, kuchni z piecem na drewno i łazienki. Prowadzili wspólną kuchnię. Wpłacali po równo, gotowali na zmianę jednodaniowe posiłki. Dało się wytrzymać. Przywykł do ciężkiej pracy i nie narzekał.

Przeszedł przy okazji skrócony kurs nauk politycznych. Jego towarzysze należeli do Polskiej Partii Socjalistycznej. PPS po odzyskaniu niepodległości odgrywała istotną rolę. Pierwszy premier II RP, Ignacy Daszyński, był socjalistą. Zaremba tłumaczył, dlaczego nie wolno stawiać znaku równości pomiędzy socjalizmem a komunizmem, jak to cynicznie i notorycznie czyniła prawica, żeby zniechęcić do nich wyborców.

- Socjalizm to sprawiedliwy podział zysku pomiędzy pracownikami a pracodawcą. Bismarck powiedział: „Kto nie był socjalistą za młodu, ten będzie skurwysynem na starość”. A komunizm? Sam wiesz, szkoda gadać!

Socjalistyczna wizja porządku świata odpowiadała Robertowi. Nie tolerował prawicy, która odmieniając przez wszystkie przypadki wzniosłe hasła „Bóg, honor, ojczyzna”, pośród nienawistnej wrzawy, dla zdobycia władzy posuwała się do każdej nikczemności. Prawica dysponowała jednak istotnym atutem. Bezwarunkowym poparciem Kościoła. Doszedł do wniosku, że socjalizm oparty jest na sprawiedliwych podstawach. Nie widział powodu, dla którego miałyby szanować kapitał oraz przyznawać ludziom rzekomo lepiej urodzonym absurdalne przywileje. Zdefiniował swoje poglądy polityczne. Został

demokratą i socjalistą. Postanowił, że ze światopoglądem nie będzie się afiszował.

W Celulozie przepracował pełne dwa miesiące.

Wrócił do domu tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego. Rozpierała go duma, zaoszczędził pięćset złotych. Matka przyjechała z Ciechocinka wcześniej. Z entuzjazmem opowiadała o zabiegach, wieczornych potańcówkach i znajomościach, które nawiązała. Słuchał jednym uchem.

Wieczorem odwiedził panią Anielę. Kupił dla niej różę. Czerwoną, wysmukłą, poetycką. Miała akurat urodziny. Podarował jej kopertę.

- Wiem. Damom pieniędzy się nie daje, nadchodzą jednak ciężkie czasy, dlatego odstąpiłem od zasady.

W kopercie było pięćdziesiąt dolarów. Zrobiło się jej wilgotno pod oczami. *Nawet o tym pomyślał!*

- Więcej tego nie rób. Nigdy! Wiesz, o czym mówię, prawda?

- Pani wiedziała?

- Naturalnie, że wiedziałam. Proszę, nie rób tego więcej. Chciwość zatruwa duszę. A teraz opowiadaj, jak było w Celulozie.

Nie mógł się doczekać spotkania z Wiką. Wróciła wkrótce po nim. Rozpromieniona, opalona i stęskniona. Wakacje udały się nadzwyczajnie. Zwiedziła Francję, poznała wielu młodych Francuzów. Język знаła dobrze, zatem mogła z nimi rozmawiać, a nawet flirtować. Dzielnie odrzucała zaloty wykraczające poza niewinny flirt. Nie mogła się wyleczyć z miłości do Roberta.

Ciocia Julka okazała się czarującą kobietą. Z urody podobna do siostry, mamy Wiki, miała odmienny charakter. Mieszkała we Francji od siedemnastu lat, podziwiała francuską kulturę, styl życia, jak również powszechną swobodę obyczajów. Nie była libertynką, jednak poglądy na seks miała otwarte. Szybko się zaprzyjaźniły. W domu, położonym parę minut spacerem od morza, każdy spędzał czas, jak

lubił. Ciotka zabierała ją do pobliskiego miasteczka. Zadbana, żeby dziewczyna poznała miejscową młodzież.

- Jesteś młoda, piękna, możesz tańczyć, flirtować. Życie jest krótkie, a uroda przemija. Drugi raz nie będziesz miała osiemnastu lat. Jeżeli się nie wyszumisz, będziesz sobie potem wypominała - przekonywała z goryczą w głosie.

Spacerowały po plaży. Brodząc w płytkiej wodzie, gawędziły godzinami. O życiu, o miłości, o sztuce, o wszystkim. Julka odkryła, że siostrzenica jest nieświadoma. W katolickim kraju nie miała z kim rozmawiać o seksie. Z mamą się rozumiały, nie potrafiły jednak przełamać bariery wstydu. Postanowiła ją wyedukować. *Nic im nie wyjaśnią, a potem lamentują, jak dziewczę zajdzie w ciążę. Najchętniej by ją wtedy ukamienowali. Załgana klerokracja!* Po jej wykładach Wika była najlepiej uświadomioną dziewczyną z II LO.

Korzystając z resztek lata, niemal codziennie pływali kajakiem. Zatrzymywali się na bindudze, do której droga robiła się coraz krótsza. Dla ochrony przed deszczem zbudowali szałas. Zaczęli od solidnego szkieletu, który wykonał Robert. Potem wspólnie poprzetykali żerdzie cienkimi witkami wierzbowymi. Konstrukcja była gotowa. Wystarczyło pokryć ją gałęziami. Podłogę wyłożyli drobnymi gałązkami świerkowymi. Rozłożyli w środku koc i mieli przytulne, pachnące żywicą schronienie.

- Nasz pierwszy dom - rozmarzyła się Wika.

- Dom, który razem zbudowaliśmy. - Zaniósł ją do środka.

Ciepłem swoich ciał rozgrzali wewnątrz, zrobiło się intymnie. Z rzeki szałas był niewidoczny. Stapiał się z leśnym tłem, zapewniał poczucie bezpieczeństwa. Nawet w niepogodę spędzali czas na błogim migdaleniu. Wika zataiła nowo nabytą wiedzę. Zdecydowała, że przyjdzie na to czas, kiedy drzewa się zazielenią. Gdyby zaczęli teraz, całą zimę żyliby jedynie wspomnieniami.

Wrota Świątyni Marsa z wolna się otwierały¹¹. Jeszcze w 1938 istniała szansa na sojusz Polski z III Rzeszą, o co usilnie zabiegali Niemcy. Hitler planował agresję na Francję już w 1939 roku. Najpierw jednak musiał zabezpieczyć tyły. Do tego niezbędny był sojusz z Polską. Nazywany przez Piłsudskiego idiotą minister spraw zagranicznych Józef Beck swoją polityką potwierdził niestety opinię Marszałka. Odrzucając propozycję Hitlera, izolował Polskę. Żaden rozsądny polityk nie mógł traktować poważnie gwarancji, jakich 3 kwietnia 1939 roku udzieliły Polsce, nie mając zamiaru ich dotrzymać, Anglia i Francja. Już wkrótce okazało się, że nie są warte papieru, na którym je spisano.

Rozwścieczony Hitler zażądał teraz zgody na przyłączenie do III Rzeszy Wolnego Miasta Gdańska oraz eksterytorialnej autostrady do Prus Wschodnich, niezbędnej w wojnie z ZSRR, do której nakłaniały go elity angielskie i francuskie. Wystarczyło przeczytać *Mein Kampf*, żeby wiedzieć, że akurat do tego nie trzeba go było specjalnie przekonywać. Niemcy mogli zaatakować ZSRR wyłącznie z Prus Wschodnich. Żeby prowadzić wojnę z terenu odciętych od III Rzeszy przez polski „korytarz” Prus, Hitler musiał mieć Gdańsk oraz eksterytorialną autostradę. Nie było innego sposobu transportowania wojsk na front wschodni przez terytorium neutralnej Polski.

Gdańsk formalnie pozostawał wolnym miastem. Wolą gdańszczan był częścią Niemiec. Polaków zamieszkiwało w nim zaledwie sześć procent. Polska, „oddając Gdańsk”, potwierdziłaby jedynie stan faktyczny, „oddałaby” miasto, które do niej nie należało. Niemiecki ruch tranzytowy przebiegał polskimi drogami. Kilkanaście procent dochodów budżetu II RP pochodziło z niemieckich opłat tranzytowych. Na wybudowanie autostrady zgoda była. Układ Wersalski zobowiązał Polskę do zapewnienia tranzytu do Prus Wschodnich oraz Gdańska. Umożliwiając tranzyt, wydając zgodę na budowę autostrady, nikomu zatem łaski Polska nie robiła. Poprawiała jedynie warunki tranzytu, zapewniając zwiększenie dochodów z opłat tranzytowych. Kością niezgody była eksterytorialność liczącej

kilkadziesiąt kilometrów autostrady. Eksterytorialność zapewniająca niezakłócone funkcjonowanie podczas wojny z ZSRR.

Czy mgliste pojęcie „honor narodu”, którym Beck uzasadnił w Sejmie odmowę, warte było sześciu milionów wymordowanych Polaków, wywózek kolejnych milionów nieszczęśników na Syberię, niewyobrażalnych cierpień, straszliwych zniszczeń, utraty w wyniku „zwycięskiej” wojny jednej trzeciej terytorium, wreszcie pięciu lat brutalnej okupacji, po której nastąpiło pół wieku dyktatury komunistycznej? Czy ustępstwa zapobiegłyby wojnie? Niewykluczone, że potrzebne byłyby kolejne. Trudno odgadnąć, jakie. Dla każdego polityka, który zachował odrobinę rozsądku, jasnym było, że odmowa oznacza wojnę. Beck doprowadził do wojny z III Rzeszą, tak naprawdę wojny w obronie ZSRR, którą Polska przegrać musiała, a sam uciekł do Rumunii. Bezpieczny, w luksusowym hotelu w rumuńskim Braszow, udzielił wywiadu, w którym, na przekór faktom, bronił swojej samobójczej polityki¹².

Robert co jakiś czas spotykał się potajemnie z Horstem, nicponiem, za przyczyną którego trenował boks. Łączyła ich mistyczna więź, byli bliźniakami zamieszkującymi inne wymiary. Spotykając się w krzakach nad Brdą, obaj wielce ryzykowali. Horst, członek Hitlerjugend, przekazywał niepokojące wieści.

- I co, pierdolony Polaczku, myślisz, że z nami wygracie?

- No nie, pojebany faszysto, tym razem nie wygramy.

- Zostały ci resztki rozumu, czubku, dlatego dam ci radę. Dobrą radę, więc zrób, co mówię. Po kapitulacji nie wracaj do Bydgoszczy. Przyczaj się gdzieś, gdzie nikt nie będzie zadawał pytań. Na kilka miesięcy, nawet dłużej.

Tak gawędzili ukryci w krzakach, pijąc najtańsze wino z jednej butelki. Pierwszy wychodził Horst. Robert dopiero chwilę po nim.

Z Wiką nie rozmawiał o polityce ani o nadchodzącej wojnie, nie chciał jej niepokoić. Nadeszła zima. Spotykali się w kawiarniach, na które było go stać, na lodowisku, na spacerach. Chodzili do kina na każdy nowy film. Zajmowali miejsca w ostatnim rzędzie, przy ścianie.

Zdarzały się filmy, z których nic nie pamiętali. Nie mieli swojego miejsca, w którym mogli być razem, więc z niecierpliwością odliczali dni do wiosny. Do wypraw kajakowych powrócili pod koniec marca, nie zważając na wiosenne chłody. Szałas przetrwał nienaruszony. Dodatkowo go uszczelnili, a przed wejściem rozpalali niewielkie ognisko. W środku było ciepło i przytulnie.

Patrząc na Roberta, Wika nie mogła wyjść ze zdumienia. *Jak on się zmienił! Zupełnie nie przypomina chudzielca, jakim był przed rokiem.* Nie mogła się nacieszyć, że ma chłopca, którego zazdrościła jej koleżanki. Nabrał ciała, żebra nie sterczały. Był teraz szczupły w pociągający sposób. Największa przemiana zaszła na twarzy, z pewnością nie przypominała już końskiego pyska.

Zapatrzona w swojego pięknego chłopaka, zdecydowała zrobić użytek z nauk cioci Julki. Mieli dziewiętnaście lat, czuli się dorośli. Migdalili się w szałasie, wtedy położyła rękę na jego namiocie. Pierwszy raz go tam dotykała, dla obojga ogromne przeżycie. Speszył się.

- Jesteś tego pewna? Czy nasza umowa przestała obowiązywać?

- Umowę zawsze można zerwać albo zmienić. Zmieniam naszą, od dzisiaj nie mamy już niektórych zakazów.

- Wiesz, że niczego bardziej nie pragnę, ale liczysz się tylko ty, twoje dobro.

- Moje dobro szepcze mi do ucha, żebyś wreszcie ściągnął te gatki.

Ze wstydu poczerwieniał, ale oczywiście ściągnął. Uwolniony penis sterczał jak maszt.

- O rany! Jaki wielki. Jeszcze nigdy nie widziałam, to skąd miałam wiedzieć?

Najpierw mu się przyglądała, pochylając komicznie głowę to na jedną, to na drugą stronę, jakby chciała podejrzeć, co ma z boku. Potem ujęła w dłoń i pogłaskała. Zesztywniał, jakby miał zaraz eksplodować.

- Teraz moja kolej. Zobaczysz, co mam pod majteczkami. Byłeś ciekawy, prawda?

Był zbyt podniecony, aby odpowiedzieć. Ściągnęła spódnicę. Została w samych majtkach, które zdejmowała wolno, cała w pąsach. Chwila była magiczna. Po raz pierwszy widział ją nagą. Obcował z bóstwem, olśniewającą niebianką, zbyt doskonałą na kobietę z krwi i kości. Urzeczony pięknem jej ciała, wpatrywał się w nią z uwielbieniem, nie potrafiąc wydusić z siebie słowa.

- Jaka jesteś piękna - odzyskał wreszcie mowę.

- Przy tobie czuję się piękna. - Ślicznie się uśmiechając, wyciągnęła rękę. - Chodź do mnie.

- Uwielbiam, kiedy się tak uśmiechasz.

- Co chcesz zrobić? Tylko się na mnie gapić? Na nic więcej nie masz ochoty?

Tym pytaniem przywołała go do rzeczywistości. Nie wiedział, co robić. Wiedział, co chce zrobić. Wejść w nią, przeżyć to wreszcie.

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że... że sam nie wiem. - Wyglądał, jakby się zgubił i nie wiedział, dokąd iść.

Ujęła swoją drżącą dłonią jego drżącą dłoń i położyła na cipce. Prowadząc rękę, odkrywała przed nim najskrytsze sekrety swojego ciała. Miał wrażenie, że dotyka najcenniejszego klejnotu. Kiedy ich dłonie się rozłączyły, na jego dłoni pozostał ślad jej tajemnicy.

Obydwoje poskramiali dłonią szalejące hormony, on robił to zresztą znacznie częściej, znali więc swoje ciała. Teraz uczyli się zaspokajać wzajemnie. Czas upływał w zaczarowanym świecie spojrzeń, dotyków i westchnień.

Nie mógł zasnąć, przeróżne myśli krążyły mu po głowie. Dotyczyły, jakżeby inaczej, pożądania, które nieustannie bywa wyklinane, a ci, którzy ciskają na nie gromy, księża oraz ich poplecznicy, boją się, a nawet nienawidzą kobiet. Najchętniej by wymazali Pieśń Salomona ze Starego Testamentu. A przecież rozgraniczanie miłości od pożądania nie ma sensu. Rozsadzało go uczucie spełnienia. Koledzy się przechwalali, że to robili. Podejrzewał,

że niektórzy chcieli sobie dodać ważności. A on miał najwspanialszą dziewczynę na świecie i nawet żywcem przypalany nie zdradziłby, co robili.

Przez całą wiosnę uczyli się swoich ciał i nigdy nie mieli dosyć.

Dzień był upalny. Leżeli na trawie, kropelki potu błyszczały w słońcu. Dotknęła go.

- Czemu on tak sterczy?

- Bo chce ciebie.

- I jak mię chce, to sterczy jak drąg?

- Sterczy jak drąg.

- Im bardziej chce, tem bardziej sterczy?

- Im bardziej chce, tym bardziej sterczy.

- A jak nie sterczy, to co? Nie chce mnie wtedy?

- Chce, oczywiście, że chce, tylko inaczej.

- Aha! A skąd się bierze, to co z niego wytryskuje?

- Z moich jajek.

- Z twoich jajek? Jajka znoszą kury. Czemu u ludzi jest odwrotnie?

- Nie wiem, na biologii o tym nie mówili.

- Ale się z tobą dyskutuje. No przemów wreszcie!

- Czy możesz rozsunąć nogi? Chcę cię dotknąć.

- Tylko jedno ci w głowie. Jak mam z tobą rozmawiać?

Nalegał, żeby na wakacje wyjechała za granicę. Nie chciała o tym słyszeć. Była szczęśliwa i nie miała zamiaru trwonić swego szczęścia. Zresztą, jej rodzice nie planowali wakacji za granicą. Był jednak nieugięty. Zawsze ustępliwy, tym razem się postawił i nawet nie chciał dyskutować. Koniec końców uległa namowom. Napisała do cioci z prośbą o zaproszenie. Nie chciała w liście wyjaśniać wszystkiego. Wiedziała, że nie przekona rodziców do przeczekania nadciągającej wojennej zawieruchy poza Polską.

Ojciec Wiki, inżynier Kawecki, nigdy by się nie zgodził. Był patriotą, wierzył, że Polska poradzi sobie z Niemcami, a alianci przyjdą z pomocą. Został powołany do wojska 30 sierpnia, wzięty do niewoli 20 września. W ciągu tych trzech tygodni jego oddział był

w nieustannym odwrocie. Jak się straszliwie mylił, zrozumiał pewnej ponurej kwietniowej nocy 1940 roku, wieziony wraz z innymi wziętymi do niewoli oficerami „czarną wroną” do Lasu Katyńskiego. W ostatniej modlitwie dziękował Bogu, że córka jest bezpieczna.

Tłumaczył Wice, że we Francji będzie miała możliwość wyboru. W zależności od sytuacji może zostać albo wracać. W końcu się zgodziła, pod warunkiem, że cały lipiec spędzą razem. Dla niego nie był to żaden warunek, lecz najwspanialszy prezent. Nie miała pomysłu, jak się urwać spod kurateli rodziców. Wciągnęła do spisku dwie koleżanki, które miały podobny problem. Sprytnie smarkule obmyśliły plan. Powiedzą, że jadą do Zakopanego i będą chodziły po górach. Odprowadzane przez troskliwych rodziców, wsiądą do pociągu Tatry. Wsiądą na najbliższej stacji i pierwszym powrotnym wrócą do swoich ukochanych. Ponowne spotkanie wyznaczyły na 31 lipca.

W maju zdawali maturę. Zamiast, jak większość maturzystów, wkuwać przedmioty egzaminacyjne, z wielkim zapałem zgłębiali anatomię ludzkiego ciała. Gdyby to był przedmiot maturalny, zdaliby z wyróżnieniem. A tak musieli się zadowolić przeciętnymi ocenami. Stopnie na świadectwach straciły znaczenie. W przeddzień wojny królową nauk była balistyka.

Pani Aniela poprosiła o radę porucznika Szpota, a potem odbyła poważną rozmowę ze swoim wychowankiem. Przekonany rozsądnymi argumentami, złożył podanie do Wyższej Szkoły Budowy Maszyn w Poznaniu. Po dwóch tygodniach otrzymał pismo informujące, że został przyjęty. Chętnych na studia, ze zrozumiałych względów, nie było wielu. Pojechał do Poznania i wpłacił sto osiemdziesiąt złotych wpisowego. Odebrał zaświadczenie o wpisaniu na listę studentów. Jeszcze tego samego dnia zaniósł je pani Anieli. Większość maturzystów z wpisowym wstrzymywała się do jesieni. Porucznik Szpot zaniósł zaświadczenie do Wojskowej Komendy Uzupełnień. Na podstawie zaświadczenia o przyjęciu na studia WKU awansowała Roberta Meissnera na stopień podchorążego. Dzięki

dalekowzroczności pani Anieli był jedynym absolwentem II LO rocznika trzydziestego dziewiątego, który na wojnę wyruszył jako podchorąży. Pozostali zaczęli w stopniu szeregowego.

Uzgodnili, że wakacje spędzą pod żaglami. Romantycznie i będą się mogli zajmować wiadomo czym. Przyszedł list od cioci Julki:

Wujek ma kłopoty ze zdrowiem. Lekarze zalecili zmianę klimatu. Sprzedaliśmy dom w Bretanii, przeprowadzamy się do Szwajcarii. Zapraszamy na wakacje. Doskonale się składa, bo Wika pomoże nam się zagospodarować w nowym domu.

Wyjechali 16 czerwca. Autobusem do Chojnic, potem dwie godziny na piechotę do miejscowości Charzykowy. W Polsce było niewiele jezior¹³. Miasteczko stało się więc niejako z konieczności ośrodkiem żeglarskim. DZ - dezeta, jacht, który wycarterowali, wyglądała jak szalupa okrętowa. Długości ośmiu metrów, miała dwa maszty. Była wprawdzie przeznaczona dla liczniejszej załogi, ale dwoje żeglarzy bez czterech lewych rąk mogło sobie poradzić. Dezeta oferowała dwuosobowej załodze naprawdę komfortowe warunki. Za niewielką dopłatą wypożyczyli namiot rozpinany na bomie, pomiędzy masztami. Jacht miał odkryty pokład, dlatego namiot był przydatny.

Sezon żeglarski jeszcze się nie rozpoczął, dostrzegli tylko dwa żagle w oddali. Pierwszego dnia poznawali zasady żeglowania. Zrezygnowali ze stawiania niewielkiego foka, a pod dwoma żaglami jacht okazał się prosty w obsłudze. Kosztem trzech niekontrolowanych zwrotów przez rufę, w pakiecie z guzami od przelatującego bomu i beczką śmiechu - opanowali podstawowe umiejętności. Wypatrzyli dogodne miejsce na biwak z niewielką, piaszczystą plażą i po długim, pełnym emocji dniu dobili do przystani. Postawili namiot i rozłożyli materace, zamieniając jacht w hotel na wodzie. Zjedli kolację, którą wspólnie przygotowali. Wika chciała pokazać, jak o niego dba, ale chętnie zgodziła się na wspólne gotowanie. Szczególnie zadowolona była, ponieważ obrał, a nawet

pokroił w kostkę cebulę. Tej czynności nie znosiła. Po kolacji pływali w jeziorze, z którego wygonił ich dopiero chłód.

- Co ci tak dynda? - Wskazała skurczonego od zimna ptaszka. - Czy on już taki zostanie? Nazwę go koliberek. - Krztusiła się ze śmiechu.

- Nie wiesz, że od zimna się kurczy? - Zaraził się jej wesołością.

Kochali się pod gwiazdami, potem siedzieli przy ognisku otoczeni ciszą i zapachami nocy. Wtuleni w siebie wpatrywali się w milczeniu w snopy iskier. Prócz nich na całej planecie nie było nikogo. Po północy wrócili na jacht. Wyczerpani przeżyciami pierwszego dnia wakacji natychmiast zasnęli.

Obudzili się późno, wykąпали, zjedli śniadanie, potem podnieśli żagle. Wiało mocniej. Szkwały pokrywały błękitną toń jeziora zmarszczkami. Z żeglowaniem też sobie lepiej radzili. Na obiad popłynęli do Charzykowa. W sezonie otwierano tam jadłodajnię. Jedzenie podawali smaczne. Zdecydowali, że będą się w niej stołować. Pienięży mieli aż za dużo, Wika dostała kieszonkowe na wczasy. Nie mogła tylko pojąć, skąd Robert miał przez cały rok na wszystkie wydatki. Na szkolne imprezy i na randki przychodził w nowych, eleganckich ubraniach. Na co dzień również lepiej się ubierał. Trochę jeszcze podrośł, a przede wszystkim nabrał ciała i zmężniał. Nie uszło to uwadze dziewcząt. Te, które go nie zauważały, nagle się nim zainteresowały. Pociągał je, tym bardziej że miał dziewczynę, co w ich rozumieniu oznaczało, że przekroczył próg wtajemniczenia. Gdyby Wika chciała go teraz poderwać, miałyby konkurentki.

Odbili od kei. Na całym jeziorze bieleły się tylko trzy żagle, gdzieś w dali. Wika zdjęła kostium i wyciągnęła się na dnie. Podał jej złożony koc.

- Podłóż pod siebie, bo ci gretingi odcisną na tyłku wzorek w szkocką kratę.

- A ty? Nie rozbierzesz się? Wydaje ci się, że dziewczyny mają inne potrzeby? Możesz oglądać mię do woli, i jak widzę po kąpielówkach, patrzenie na mnie nie sprawia ci przykrości. Ja też

chcę popatrzeć. Oprócz twojego, zaznaczam skromnie, nie widziałam innego, ale coś mi się wydaje, że jest wielki.

Najwspanialsze dzieło natury, misterium miłości i płodności, ludzie o chorych duszach przedstawiali jako plugawość. Mimowolnie uległ tej obłudnej kulturze grzechu. Rozmawiając o akcie miłosnym, odczuwał skrępowanie. Wika była niezależna, presji katechetów nie uległa. Zazdrościł jej swobody, z jaką rozprawiała o erotyce.

- Nie bądź taki skromny, ściągaj te gatki. Jak długo mam czekać?

Jego kołek, uwolniony wreszcie, wyskoczył jak sprężyna.

- Miarkując po tym, jaki zrobił się wielgachny, dzisiaj pragnie mnie nawet bardziej niż wczoraj. - Wpatrywała się w penisa z nietajoną satysfakcją.

- No pewnie! A nawet sobie nie wyobrażasz, jak pragnął cię wczoraj.

Patrząc na nią, obmyślał, co będą robili w nocy. Opryskał ją. Zaprotestowała głośno, piszcząc, i natychmiast mu się zrewanżowała. Tak byli sobą zajęci, że zapomnieli o bożym świecie. Dopiero łopot żagli ich otrzeźwił. Zacumowali w swojej zatoce. Wykąpali się, potem zjedli kolację. Było jeszcze jasno, lecz słońce rzucało coraz dłuższe cienie. Wika poszła na jacht, pogrzebała w bagażu, a kiedy wróciła, położyła coś na kocu.

- Wiesz, co to jest?

Przed nim leżały trzy prezerwatywy.

- Czy to znaczy...?

- Tak, najdroższy, to znaczy, że stracę dziewictwo, razem je stracimy.

Chłonał ją każdą cząstką swojego ciała. Obrzmiałe pożądaniami piersi, twarde sutki, płaskości i gładkości brzucha, doskonałość pępka, pokryty czarnymi włosami magiczny trójkąt, ucisk oplatających go ramion, smak rozchylonych ust, wilgoć rozpuszczonych włosów i zakochaną twarz.

Czuła, jak jego ciało twardnieje, czuła kąsanie w piersi, wstrząsał ją dreszcz pożądania.

- Och tak, tak, tak! - dyszała w jego niecierpliwe usta.
- Taka piękna, taka moja. - I już na niej był.
- Och, Ro bert, Ro bert. Teraz! Tak! - Żeby go przyjąć, wypchnęła biodra.

Wchodził w nią ostrożnie, niezdarnie.

Poczuła w sobie opór.

- Wbij się! - krzyknęła, nieprzytomna z pragnienia.

Gwałtownym pchnięciem wdarł się w jej śliską, gorącą miękkość.

- Jak boli!

- Przestaną! - Chciał z niej wyjść, ale go uwięziła w splocie ud i ramion.

- Nie... Tak...! Chcę, żeby bolało! Moje serce, poruszyłeś moje serce! - Łapczywie chwytła powietrze.

Wedrzeć się w głąb przez ustępujący pod naciskiem obrzmiałego penisa elastyczny opór. Wyciągnąć i wsadzić, i jeszcze raz, i do końca. Jęcząc z rozkoszy, przepychał się przez mokry i ciasny tunel.

- Nie jestem ze szkła. Możesz mocniej. Tak, tak, tak! Ja spadam, Robercie. Spa...dam!

Fale rozkoszy uderzały w nią, jedna po drugiej. Oczy zamknięte, brwi ściągnięte, paznokcie drapiące po plecach. Rozedrgane mięśnie pochwy obkurczały się, wyciskając nasienie.

Było to dla nich magiczne przeżycie. Głośne krzyki przecinały nocną ciszę. Później, dużo później, leżąc w jego objęciach, opowiadała, jak cudownie jej było.

- Tak marzyłam, żebyś to ty był moim pierwszym.

- Nigdy nie myślałem o innej. Gdyby nie ta popieprzona wojna, po studiach prosiłbym cię o rękę.

Podobni innym kochankom, żywili się powtarzaniem miłosnych zaklęć. Wszeptywał jej do ucha, jak ją ubóstwia.

Spała z twarzą wtuloną w swoje ulubione miejsce pod jego obojczykiem. Ze szczęścia nie mógł zasnąć. Wsłuchiwał się w jej sny. Oddychała miarowo i cicho. Rano, w południe, przeciągając się szeroko, rzucił światu wyzwanie z nieposkromioną pychą dojrzałego

samca. A ona się tej demonstracji męskości przyglądała z wielkim zainteresowaniem.

Byli wściekle głodni, więc zrezygnowali z kąpeli i na śniadanie popłynęli do Charzykowa. Powitało ich zupełnie inne miasteczko. Zaroilo się od żeglarzy. Była niedziela i prawdziwy początek wakacji. Popołudnie spędzili na tarasie kawiarenki. Łatwo im przychodziło nawiązywanie znajomości. Poznali żeglarzy, którzy co roku przyjeżdżali pod żagle. Było też kilka par, głównie studentów, którzy spędzali wakacje podobnie jak oni.

- Miałaś doskonały pomysł z tą dezetą. Trudno będzie znaleźć odludne miejsce na brzegu.

- Nie widzę problemu, nikt się nie zorientuje, jesteś cichutka jak myszka.

Dotąd takie żarty były zarezerwowane dla niej. W nagrodę poczęstowała go lekkim kopnięciem pod stołem. Zrewanżował się, gładząc jej nogę stopą. Odpowiedziała dyskretnym uśmiechem. Po obiedzie żeglowali wzdłuż brzegu. Odkryli wiele zagubionych w głuszy uroczych zakątków. Wika była optymistką.

- Może jachty na tę noc pozostaną na przystani, a my będziemy mieli naszą zatoczkę tylko dla siebie?

- Z pewnością nie będzie nikogo. Jesteś w czepku urodzona, a mnie przy tobie szczęście sprzyja. - Zaraziła go swoim optymizmem.

- No widzisz, zaczynasz myśleć do przodu. O jak dobrze!

Ostatnia uwaga odnosiła się do tego, co robił. Pieścił jej piersi. Były bardzo wrażliwe. Poznawał je gorliwie, więc wiedział, jak się nimi zajmować. Zrozumiał, że w miłości daniem bierze się więcej niż braniem. Nie wiedział, czy każdy tak czuje. Wika na pewno. Tyle dawała, że musiała mieć z tego czystą radość. Dopłynęli do swojej zatoczki, a ona zarządziła koniec żeglowania. Uśmiechała się przy tym tajemniczo. Był przekonany, że coś knuje, i to coś będzie słodkie. Czas spędzili na kąpielach i opalaniu. Nasmarował ją olejkiem do opalania. Szczególnie starannie wysmarował piersi i wewnętrzną stronę ud. Pachniała oszałamiająco. Kiedy słońce zaszło, pogrzebała

w bagażu, potem poszła gdzieś ścieżką wzdłuż jeziora. W rękę trzymała kosmetyczkę.

Zapadł zmierzch, rozpalili ognisko. Rozbierała się, oświetlona migotliwym blaskiem płomieni. Kiedy ściągnęła majteczki, oniemiał. Znikła dolna część futerka. Pozostało na wzgórku łonowym, między nogami była wygolona. Mógł dokładnie obejrzeć cipkę. Przełknął ślinę, bo na sam widok zaschło mu w gardle.

- Wyglądasz cudownie, a ja zupełnie tracę głowę.

- Podobam ci się? A myślałam, że mię nazwiesz kobietą upadłą.

- Wpierw musiałbym stracić rozum. Jestem najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Mam ciebie i mam cię tylko dla siebie. To jest tak, jakbym powiesił w domu oryginał Mony Lizy i nikomu nie pokazywał.

- Porównujesz mię do Mony Lizy?

- Jesteś daleko piękniejsza. Chodziło mi o to, że mam cię dla siebie.

- Skoro tak uważasz, należy ci się nagroda. Niech no pomyślę. Ty zrób, co masz zrobić. Wiesz, co masz zrobić, prawda?

Szybko ściągnął kąpielówki. Usiadła na kocu i poklepała obok siebie.

- Chodź tu, nie bój się, nie gryzę.

Akurat to zapewnienie miało znaczenie. Usiadł, a ona ułożyła się tak, że penis znalazł się blisko jej twarzy. Zaskakiwała go nie raz, jednak o tym, co zamierzała, nawet nie marzył. Zupełnie niespeszona, wzięła w rękę i lizała po samym czubku. Pomyślał, że jeżeli trafi do nieba i tak go nic lepszego nie spotka. Widok rozpalił do białości, a lizanie było spełnieniem nienazwanych marzeń. Spróbowała wziąć do buzi. Miała trudność, ale dała radę. Zaczęła przesuwać ustami w górę i w dół. Wyczuła, że jest blisko, więc się odwróciła na plecy i zachęcająco rozwarła nogi. Jej uda miały kształt tak doskonały, jakby je wyrzeźbił Michał Anioł. Pieścił ich wewnętrzną stroną, coraz bliżej cipki. Poczł nieznaną zapach tak odurzający, jak woń jej podniecenia. Całował już między nogami. Wtedy się rozśpiewała, a dźwięki, które

wydawała, przypominały muzykę. Delikatnie, mięsniąciami języka, lizał lechtaczkę. Tak potraktowana, wbiła się dłońmi w jego włosy, a jej ciało poruszało się własnym rytmem. Unosiła biodra i je opuszczała. Wydawała gardłowe, takie dzikie odgłosy.

Wreszcie spłynął na nią orgazm. Ciałem wstrząsały dreszcze, oczy uciekły gdzieś w bok i w głąb. Krzyki z wolna ucichały.

- O Boże! Co to było? Aż się wierzyć nie chce!

- Musiało być niesamowite, bo słyszeli cię nawet w Charzykowie. Czy wiesz, jak dźwięk niesie po wodzie?

- Wielkie mi halo, niech dziewczyny zazdroszczą.

Przywarli do siebie i znieruchomieli. Szeptał jej do ucha słowa, które w takich chwilach szepczą kochankowie. Potem podgryzał wypełnione szeptami ucho, ona wkładała do jego ucha koniuszek języka. Uśmiechała się przy tym z wyrazem twarzy, jakiego u niej dotąd nie widział.

- Żebyś o mnie źle nie myślał, muszę ci coś wyjaśnić. W wakacje ciocia się zorientowała, że jestem zielona w *ars amandi*, zaczęła powyjaśniała to i owo. Zapewniała, że tak się we Francji kochają niemal wszyscy. Naturalnie u nas o takich sprawach się nie mówi. Jeśli masz inne fantazje, chętnie się z nimi zapoznam. Po tem, com przeżyła, jestem otwarta.

- Uwielbiam twoją ciocię. Marzyłem o tobie, a nie, jak to będziemy robili. Będę to musiał nadrobić.

Od samego rana na jeziorze zaroilo się od jachtów. Na niewielkim akwenie pływały blisko siebie. Wiała trójka. Wspaniała żeglarska pogoda. Podciągnęli się w obsłudze jachtu i nie musieli świecić oczami. Jadłodajnia w porze obiadowej była obleżona. Nawiazywali znajomości. Wika, jak Wenus, ściągała na swą orbitę zauroczonych jej urodą panów. On nie był równie popularny wśród pań. Brakowało mu pewności siebie, którą płec piękna nadzwyczaj ceni. A ona rozkoszowała się popularnością. Choć jej serce było zajęte, miłym jej było, że wielu pragnie, żeby było wolne. Po obiedzie całe towarzystwo przeniosło się na wystawione na kei ławki. Dyskutowali o wielu

sprawach, jednak temat wojny powracał nieustannie. Dominował optymizm i wiara w zwycięstwo. Mężczyźni celowali w buńczucznych deklaracjach. Podczas rozmów o wojnie Robert się nie odzywał. Ponieważ inni mieli aż za wiele do powiedzenia, formułując mimochodem kaskady odkrywczych myśli, jego milczenie uchodziło niezauważone.

Wika wiedziała, że wojna jest nieunikniona. Przekonywał ją, jednak teraz sama to rozumiała. Trudno było przewidzieć, kiedy się zakończy wojenna zawierucha. Robert twierdził, że muszą przegrać. Im lepiej go poznawała, tym bardziej doceniała jego inteligencję i bardziej ufała jego osądom.

Żeglarze, kiedy się już wygadali, przy okazji rozbijając w pył Wehrmacht, gromadnie wypłynęli na jezioro. Na wodzie zapanował wesoły rejwach, słychać było przekrzykiwania i śmiechy. Pod wieczór Robert i Wika wpłynęli do swojej zatoczki. Cumowały tam cztery jachty, a dzień się jeszcze nie skończył. Niedaleko stara wierzba pochylała się nad trzcinami. Do niej zacumowali i dołączyli do studenckiego bractwa przy ognisku. Niektórych zdążyli już poznać. Powitano ich serdecznie.

Po kolacji ktoś puścił w obieg flaszkę, potem drugą. Dziewczyny popijały już wódkę, ale nigdy przy ognisku i z gwinta, jak niebieskie ptaki. Kiedy pierwsza pociągała łyk, reszta dodawała jej odwagi oklaskami i okrzykami. Każda chciała zasłużyć na uznanie, więc nie trzeba ich było namawiać. Atmosfera zrobiła się swobodna, a dziewczyny śmiały się najgłośniej.

Jeden grał na gitarze, wszyscy śpiewali. Piosenki żeglarskie, żołnierskie, harcerskie i inne ze *Śpiewnika Śniegockiego*. Ognisko, dźwięk gitary, młode, radosne głosy utworzyły magiczny krąg. Oczy błyszczały, znikły wszelkie problemy, liczyło się tu i teraz. Skończyli w nocy. Wszyscy mieli małe namioty, które wcześniej rozbili na polanie. Tylko oni nocowali na wodzie. A noc na jachcie niosła z sobą zapach przygody, dalekich rejsów, egzotycznych krajów.

Kolejne dni upływały jak w kalejdoskopie. Wiedząc, że czasu utraconego nie odzyskają, cieszyli się każdą chwilą, nawet wspólnym milczeniem.

- Moje serce, obejmij mnie, nim czar pryśnie. Nie mów nic, lękam się, że spłoszymy nasze wspólne myśli.

Wskazówka zegara nieubłaganie dobijała do dwunastej. Przyszłość widzieli zasnutą gęstą mgłą. Wrócili do Bydgoszczy kilka dni przed wyjazdem Wiki do Szwajcarii. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Ani się nie obejrzał, jak ze łzami w oczach, ściskając w rękę kartkę z adresem, spoglądał na znikający w oddali pociąg. I jeszcze pożegnalny gwizd lokomotywy...

Więcej czasu spędzał z matką. Miał przeczucie, że jej już nie zobaczy. W trosce o swoje życie zdecydował, że po zakończeniu działań wojennych nie powróci do Bydgoszczy. Horst przekazywał niepokojące informacje, ostrzegał i nalegał. Niemcy robili listy Polaków. Nie wiadomo było, co planowali. Mógł się spodziewać najgorszego.

Martwił się o panią Anielę. Nie miała innych znajomych, oprócz pewnego niepozornego pana, który często ją odwiedzał. Przez przypadek dowiedział się, że jest porucznikiem, nazywa się Krzysztof Szpot. Zastanawiał się nieraz, w jakim celu przychodzi. Jeżeli na niego wpadał, nieodmiennie siedzieli w salonie i jak wyczuwał, przed jego przyjściem o czymś dyskutowali.

A ona nikogo się nie bała. Boga, śmierci ani ludzi. Miała tylko jedną słabość. Bezgranicznie kochała swojego przybranego syna. W roku 1926 za zasługi dla ojczyzny miała otrzymać Order Orła Białego. Pamiętnej kwietniowej nocy, po powrocie z premiery Baletów Rosyjskich, kiedy wyczerpany zmaganiem miłosnymi Brusilow wreszcie zasnął, Aniela zakradła się do gabinetu lekkomyślnego kochanka i przejrzała dokumenty, które leżały na biurku i w szufladach. To, co zapamiętała, wystarczyło, żeby Austriacy doszli, kim jest rosyjski szpieg o kryptonimie Opernball-13¹⁴. Był nim szef

sztabu 8 Korpusu C.K Armii, pułkownik Redl. Postawiony przed wyborem: hańba lub samobójstwo, palnął sobie w łeb. Straty, jakie na skutek jego działalności poniosły podczas wojny Austro-Węgry, były niewyobrażalne. Dokonania pani Anieli pomogły brygadierowi Piłsudskiemu wynegocjować z Austriakami zgodę na utworzenie Legionów. Kapituła zapoznała się z wnioskiem o przyznanie Anieli Ćwiklińskiej zaszczytnego odznaczenia. Wydawało się, że jednomyślnie zaaprobuje wniosek. Głos zabrał wtedy prymas, kardynał Hlond. Pod nieobecność Piłsudskiego przewodniczył posiedzeniom kapituły. Wykorzystując absencję Marszałka, który znał zasługi pani Anieli, purpurat oświadczył z nieskrywanym obrzydzeniem, że „taka kobieta” niegodna jest zaszczytu noszenia Orderu Orła Białego. Nikt z członków kapituły nie zapytał, co oznacza „taka kobieta”. Wszyscy i tak się domyślali, co Jego Eminencja miał na myśli. W ten oto sposób prymas Hlond pozbawił panią Anielę odznaczenia, które akurat jej najbardziej się należało.

Już jako przewodniczący kapituły, z upierścienioną ręką na sercu, rekomendował przyznanie Orderu Orła Białego Hermannowi Göringowi.

Od powrotu z wakacji odwiedzał ją codziennie. Mieli sobie jeszcze wiele do powiedzenia. Znała wszystkie, najskrytsze nawet myśli swego przybranego syna. Wtedy objęła go, szepnęła „mój synku” i podarowała pięknie wydany tomik *Sztuki kochania* Owidiusza.

- Gdy twe serce się pogubi, odpowiedzi znajdziesz w tej książeczce.

Sztuką jest kierować okręt

przez oceanu otchłanie...

Sztuką - jazda na rydwanie...

Sztuką jest też miłowanie...

Takie było jej ostatnie przesłanie dla syna. Mieli się już nie spotkać. Powołanie do wojska dostał trzy tygodnie przed ogłoszeniem

powszechnej mobilizacji. Wczesnym rankiem 20 sierpnia 1939 roku wyruszył na wojnę.

A świat w tej absurdalnej tragedii zmierzał ku katastrofie.

¹ Wika mówi językiem wyższych sfer, który wyróżnia się: słownictwem, różnicami we fleksji, nieco innym akcentem, wtrąceniami francuskimi oraz angielskimi.

² Siergiej Jesienin – znakomity rosyjski poeta, przedstawiciel imażynizmu.

³ Isadora Duncan – słynna tancerka amerykańska, pionierka tańca modern.

⁴ Parafraza Aleksandra Fredry.

⁵ Meduza była córką Forkosa, jej spojrzenie zamieniało żywe istoty w kamień.

⁶ Owidiusz, *Sztuka kochania*, Warszawa 1922, przeł. Julian Eysmont. Wszystkie cytaty w powieści, jeśli nie oznaczono innego autora, pochodzą z utworu Owidiusza.

⁷ Pogardliwe określenie księdza.

⁸ Znak firmowy wydawnictwa Księgarnia Trzaski Everta i Michalskiego.

⁹ Fabryka celulozy uwieczniona w powieści *Pamiętka z Celulozy* Igora Newerly.

¹⁰ Kursy walut oraz ceny kruszcu podane w powieści rzeczywiście obowiązywały w tamtym czasie historycznym.

¹¹ W Cesarstwie Rzymskim wrota świątyni Marsa otwierano na czas wojny.

¹² Melchior Wańkowicz, *Droga do urzędowa*.

¹³ Pojezierza Pomorskie i Mazurskie przed wojną nie należały do Polski.

¹⁴ Działalność szpiegowska Redla jest faktem historycznym.

2. WOJENNE DROGI

Nadeszły czasy dalekie od wszelkiego zacisza, od normalności i bezpieczeństwa.

21 sierpnia Robert Meissner dotarł do 42 Pułku Artylerii Lekkiej¹⁵ w Gródku Jagiellońskim pod Lwowem. Uniknął chaosu powszechnej mobilizacji, którą Naczelny Wódz ogłosił dopiero 31 sierpnia. Artylerzyści maszerowali, dwadzieścia sześć dziewiętnastowiecznych, lecz nadal skutecznych armat kalibru siedemdziesiąt pięć milimetrów ciągnęły konie. Trafił dobrze, choć na przekór rodzinnej tradycji koni się bał. Czterdziestym drugim dowodził pułkownik dyplomowany Cezary Rębisz. Nazywany Napoleonem z racji nikczemnego wzrostu, doświadczenie zdobywał w dwóch wojnach. Miał serce do walki oraz – cenną na polu bitwy – rozagę. Pod ogniem nie tracił głowy. Kawaler orderu Virtuti Militari, w 1914 roku porzucił studia i zaciągnął się do 1 Pułku Ułanów. Pod dowództwem Beliny przemierzył szlak bojowy Legionów. Virtuti otrzymał za bitwę pod Komarowem. 31 sierpnia 1920 roku poprowadził na czele swojego szwadronu szarżę 2 Pułku Szwoleżerów na sowiecką 6 Dywizję.

Tego deszczowego dnia, w ostatniej wielkiej bitwie kawaleryjskiej stoczonej w Europie, rozbita została niepokonana dotąd Konarmia Budionnego. Straty 2 Pułku były olbrzymie. Spośród dowódców szwadronów przeżył jedynie Rębisz.

Panował niebywały entuzjazm. Zawodowi żołnierze, jak i poborowi, zgodnie uważali, że wojna potrwa krótko, a przed świętami wrócą do domów. Polacy, wspólnie z sojusznikami – Anglią i Francją – z łatwością pokonają Hitlera. Okazało się, że na wojnie nie należy składać podobnych zapewnień. Jedynie dwie osoby nie podzielały powszechnego zapału. Pułkownik Rębisz i pewien świeżo upieczony zastępca dowódcy plutonu. Dopiero w pułku Robert pojął, jaka jest różnica pomiędzy podchorążym, który korzysta z wielu przywilejów oficera, a szeregowym, mającym tylko obowiązki. Przyszywając do munduru ozdobne pagony, wspominał z wdzięcznością panią Anielę.

Rębisz, zawsze wierny Marszałkowi, miał zaszczyt odprowadzania go na wieczną wartę. Szczególnie zapamiętał jeden wieczór. Piłsudski poczuł się nieco lepiej. Przy łóżku siedzieli najwierniejsi: Walery Sławek i Wieniawa. Wspominali legionowe czasy, on pełnił funkcję ordynansa. Marszałek niespodziewanie podniósł głowę i – wiedziony przecuciem – wypowiedział słowa przestrogi, mające prześladować pułkownika do końca jego dni: „Wy w wojnę beze mnie nie lećcie, wy ją beze mnie przegracie”.

Tym drugim, który nie wpadł w euforię, był Robert. Nie okazywał swych obaw, zdając sobie sprawę, że zyska reputację tchórze, a nawet zdrajcy. Unikał towarzystwa oficerów, którzy dawali mu odczuć swoją wyższość służbową, jak również towarzyską, choć do tego nie mieli prawa. Nie uczestniczył w oficerskich popijawach, czas spędzał z szeregowcami. W ich towarzystwie czuł się lepiej.

25 sierpnia otrzymali rozkaz przemarszu do rejonu koncentracji w okolicy Przeworska. Rębisz był rozeźlony. Jego zdaniem wysunięcie wojsk tak daleko na zachód było ogromnym błędem strategicznym. Decyzja, z wojskowego punktu widzenia katastrofalna, miała nieoczekiwane konsekwencje. Bezpośrednim skutkiem zgrupowania głównych sił wzdłuż granicy zachodniej było szybkie i łatwe zwycięstwo Wehrmachtu. Niemcy stosowali taktykę wojny błyskawicznej – *blitzkriegu*. Dywizje pancerne pozostające

w kontakcie radiowym z zastępującym artylerię mobilniejszym i skuteczniejszym lotnictwem szturmowym przełamały obronę na swoich kierunkach natarcia. Postępujące za nimi oddziały piechoty wdzierały się w wyłomy, otaczały, a następnie brały do niewoli całe dywizje. Obiecana pomoc aliantów nie nadeszła.

Decyzja błędna strategicznie okazała się zbawienna w wymiarze ludzkim. Pozostawienie na wschodzie słabych sił osłonowych spowodowało, że większość żołnierzy trafiła do niewoli niemieckiej, a Niemcy w zasadzie przestrzegali Konwencji Genewskiej. Polscy oficerowie wojnę spędzili w obozach jenieckich - oflagach. Warunki były trudne, lecz niemal wszyscy przeżyli. Jeśli umierali, to na skutek chorób. Ci, którzy mieli nieszczęście trafić do niewoli sowieckiej, zostali z bezmyślnym okrucieństwem wymordowani w Katyniu.

Wojna przyspieszyła tętno czasu. Już 10 września Niemcy dotarli pod Warszawę. Kampania wrześniowa została rozstrzygnięta. Łańcuch dowodzenia przestał funkcjonować. Naczelne dowództwo Wojska Polskiego nie sprawdziło się w trudnej sytuacji. Panował niebываły chaos. Dowódcy nie wiedzieli, kiedy i z kim mają się bić. Jeżeli dostawali rozkazy, okazywały się sprzeczne, oparte na błędnych, od dawna nieaktualnych informacjach. Niewykonalne. W tej fazie działań wojennych linia frontu przestała istnieć. Większe jednostki nie broniły pozycji, których obrona, po okrążeniu przez Niemców Warszawy, straciła sens. Zyskały więc na krótko zdolność manewrową. Dowódcy mieli niewielką, bo ograniczoną działaniami przeciwnika swobodę ruchu.

Od pierwszego dnia wojny nieustannie spychany na wschód, 42 Pułk toczył zacięte walki. Nacierał na nich XXII Korpus Pancerny¹⁶. Bito ich, lecz i oni się odgryzali. 11 września Rębisz musiał podjąć dramatyczną decyzję. Jego pułk w nieustannym boju, atakowany z ziemi i z powietrza, poniósł duże straty. Chcąc ocalić resztki jednostki, musiał się za wszelką cenę oderwać od przeciwnika. Miał dwie możliwości. Odejść na wschód, w kierunku granicy sowieckiej,

lub na południowy wschód, w kierunku rumuńskiej. Rozkazów żadnych nie otrzymał, wokół czyhały niebezpieczeństwa. Nie spał pół nocy. Decyzja była niezmiernie trudna. Odwrót w stronę granicy sowieckiej niczego nie zmieniał. Mogli jedynie przedłużyć przegraną wojnę. Nie mógł przewidzieć, że ten wybór oznaczał śmierć w katyńskim lasu. Była też droga w nieznaną, ku granicy rumuńskiej. Robert nie zdawał sobie sprawy, że tej nocy decyduje się jego los. Od tej jednej decyzji miała zależeć cała jego przyszłość.

Przychodzimy na świat, wędrujemy w czasie i przestrzeni, odchodzimy. Życie każdego z nas składa się z danej nam liczby dni. Spośród tych dni nie każdy jest jednakowo ważny. Są takie, podczas których niezależnie, co zrobimy, niezależnie, co powiemy i co pomyślimy, przyszłości w żaden sposób nie odmienimy. Są też dni wyjątkowe, decydujące o naszym losie.

Następnego dnia pułkownik Rębisz, rześki i pogodny, zwołał odprawę.

- Panowie, za godzinę wyruszamy. Kierunek: południowy wschód! Na Zaleszczyki!

Maszerowali wśród ciągłych walk, jednak napór Niemców osłabł. Świadomi zwycięstwa, unikali zbędnych strat. Dla nich wojna dopiero się zaczęła.

13 września los nie był dla Roberta łaskawy. Przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Podczas przemarszu ostrzelała ich nieprzyjacielska artyleria. Wprawdzie niezbyt celnie, jednak akurat jemu się oberwało. Pocisk eksplodował obok działa, przy którym stał. Zginęły dwa konie, on był niegroźnie ranny. Ostry jak brzytwa odłamek na długości kilku centymetrów przeciął policzek do samej kości. Ranę szybko, fachowo i bez znieczulenia zszyl lekarz pułkowy major Donimirski. Po zabiegu Robert z ulgą otarł pot z czoła.

- No, chłopcze, już po wszystkim - powiedział major, bandażując policzek. - Zagoi się szybko, ale pozostanie blizna. Szczęściarz z ciebie.

- Szczęściarz? - *Chyba się przestyszałem.*

- A żebyś wiedział, szczęściarz jesteś!

Nie było więcej rannych. Doktor wyciągnął piersiówkę, pociągnął solidny łyk i podał Robertowi.

- Wypij, dobrze ci zrobi.

Alkohol był mocny, w smaku jedwabisty. Jeszcze takiego nie pił.

- Niezłe, co?

- Znakomite. Co to jest, panie majorze?

- Leżakowana dwadzieścia lat starka. Nie znam lepszego alkoholu. A dlaczego szczęściarz? Masz sympatyczną twarz. Tacy się kobietom podobają. One wychodzą za ładnych i sympatycznych, żeby się nimi opiekowali, a śnią o tych niegrzecznych, poznaczonych bliznami.

- Skąd pan to wie, majorze?

- Takich ran jak twoja zszywałem już wiele. Zapewniam, że mężczyźni z bliznami na twarzy są przez kobiety uwielbiani¹⁷. Powodzenia, chłopcze.

Nocą z 14 na 15 września maszerowali na południe. Była to sprawdzona taktyka, ciemność chroniła przed bombardowaniami z powietrza, Wehrmacht w nocy wojował niechętnie. Mijała godzina za godziną, a oni szli w ciszy i porządku. Noc była ciepła i gwiazdzista, równie pięknego września nie było od lat. Robert obtarł boleśnie nogę, dlatego włókł się na końcu.

Znienacka dostali się pod ostrzał. Pułk piechoty Wehrmachtu, kwaterujący w pobliskiej wsi, otworzył do nich ogień. Niemcy wypatrzyli maszerujący skrycie oddział. Nie było w tym winy dowódcy. Opuściła go akurat wojenna fortuna. Koń zarżał w nieodpowiednim czasie, inne odpowiedziały, przeciwnicy zachowali czujność. Rębisz musiał wyprowadzić swój pułk spod ostrzału. Wydzielił niewielki oddział, który pozorując natarcie, miał odwrócić uwagę wroga, umożliwiając wycofanie na bezpieczną odległość.

Dowódca niemiecki, pułkownik Balck, przesunął całą kompanię, żeby dała im odpór. Artyleria kontynuowała ostrzał.

Wtedy na pole bitwy dotarła kompania straży tylnej dowodzona przez porucznika Niegowskiego. Stracili kontakt z pułkiem, musiał zatem podejmować decyzje samodzielnie. Wydał ryzykowny w tych okolicznościach rozkaz. Licząca dziewięćdziesiąt bagnatów kompania ruszyła do ataku. Zdarzenia zatraciły uporządkowany charakter i przeszły w chaotyczną bijatykę. Wpadli znienacka pod intensywny ostrzał z broni ręcznej. Niemców było niewielu – pluton zwiadu zabezpieczający ten kierunek. I choć walczyli dzielnie, ponieśli straty i musieli się wycofać. Jeden z pierwszych poległ Niegowski. Robert biegł obok niego. Zagubiony i przerażony, usiłował utrzymać kontakt z dowódcą. Porucznik zginął na jego oczach, a on nie wiedział, co ze sobą zrobić. Strzelali do niego! W bałaganie typowym dla nocnych starć Balck nie zorientował się jeszcze, że jego pułk atakuje z drugiego kierunku. Żołnierze zalegli w brzdach i trzęsąc się ze strachu, czekali, kiedy Niemcy ich wystrzelają. Robert, wystraszony jak inni, usłyszał pytanie, które przywróciło go do rzeczywistości.

- Jakie rozkazy, panie podchorąży?

Dotarło do niego, że po śmierci porucznika jest najstarszy stopniem i przejmuje dowodzenie. Oficer zawodowy z pewnością kontynuowałby natarcie. Patriotycznie wychowani, honor, wierność ojczyźnie stawiali ponad wszystko, śmierć mieli w pogardzie. On jednak nie brał pieniędzy za to, że w razie czego da się zabić, honor go nie interesował, do ojczyzny miał pretensję, że go bez pytania o zdanie wysłała na bezsensowną rzeź, a śmierci się bał. Dlatego szukał bezpieczniejszego wyjścia.

- Rozkazy! Panie podchorąży, jakie rozkazy?

- Pozostać na miejscu. Okopujemy się! - Chciał nakazać odwrót, jednak do wydania tego rozsądnego rozkazu zabrakło mu odwagi.

- Zmienia pan rozkaz porucznika Niegowskiego? Nie atakujemy, panie podchorąży? - Sierżant, wykorzystując brak doświadczenia

i młody wiek nowego dowódcy, wywierał na niego niedopuszczalną presję.

Odzyskał pewność siebie. Wiedział już, co należy zrobić.

- Ogłuchliście, sierżancie?! Wydałem rozkaz, okopujemy się!

Dobrze, że nie nakazałem odwrotu, bo by mnie kretyn zastrzelił na miejscu.

Leżeli pomiędzy bruzdami na świeżo zoranym polu. Okopywanie ćwiczyli nieustannie, więc po chwili ukryli się w płytkich wgłębieniach.

- Otworzyć ogień, oszczędzać amunicję - wydał kolejny rozkaz.

Niemiecki dowódca znalazł się nieoczekiwanie w trudnym położeniu. Od południa jedna kompania prowadziła wymianę ogniwą z nierozpoznanym przeciwnikiem. Jednocześnie został zaatakowany z północnego wschodu. Sytuacja była skomplikowana, a on nie miał żadnych informacji o nieprzyjacielu. Rozkazał:

- Zająć pozycje obronne!

Kontynuując atak, kompania Roberta zredukowana w walce do osiemdziesięciu ludzi, czyli wzmocnionego plutonu, nacierałaby na liczący tysiąc żołnierzy pułk grenadierów pancernych. Niemcy by ich zdmuchnęli, a on poległby śmiercią bohatera.

Rębisz, widząc, że nieprzyjaciel go nie ściga, odetchnął z ulgą. Pułk artylerii ma wartość bojową, przystępując do walki z działami gotowymi do strzału, wspierany przez piechotę. W przemarszu dysponuje niewielką siłą ognia. Wysłał adiutantów, żeby przekazali rozkaz wycofania się.

Po całonocnym marszu i bitwie dochodzili do siebie we wsi zamieszkałej przez Ukraińców. I znów było ich mniej, wojna beznamiętnie zbierała swój haracz. Ci, których wojenna fortuna oszczędziła, dyskutowali o nocnej potyczce. Oficerowie byli zdziwieni, że Robert zmienił rozkaz Niegowskiego. Nikt wprost nie zarzucił mu tchórzostwa, oskarżenie zawisło jednak w powietrzu. Skurczył się

w sobie, kiedy te pogłoski do niego dotarły. Jak każdy żołnierz, tego pomówienia bał się najbardziej.

Rębisz miał na ten temat swoje zdanie. Uważał, że Meissner podjął rozsądną decyzję, osiągając cel najmniejszym kosztem. Od przejęcia dowództwa żaden podkomendny Roberta nie zginął, kilku było niegroźnie rannych. Pułkownik świadomy złych nastrojów, przygnębiony bezsensu przegranej wojny, zarządził apel. Wykorzystując okazję, zamierzał zajrzeć swoim ludziom w oczy, dodać otuchy. Czuł się za nich odpowiedzialny.

Zabrakło gromkich okrzyków. Artylerzyści w posępnym milczeniu sformowali czworobok. Brudni, nieogoleni, wielu obandażowanych, mundury złachmanione, broń niewyczyszczona. Widoczne było rozprężenie. Wystąpił przed szereg.

- W nocy nawiązaliśmy kontakt bojowy z nieprzyjacielem. Pułk nie został rozbity. Dosyć szczęśliwie. Jak na okoliczności, w których przyszło walczyć, ponieśliśmy straty... hmm... niewielkie, można powiedzieć. Porucznikowi Niegowskiemu przyznaję pośmiertnie Krzyż Walecznych.

Zapadła cisza.

- Podchorąży Meissner, wystąp!

Wystąpił przed front. Przez szereg przebiegł szmer. Rębisz kontynuował, nie zważając na poruszenie.

- Wojna stawia przed nami wielkie wymagania. Trzeba wykazać rozsądek, oceniać skomplikowaną sytuację. Podchorąży, mimo młodego wieku, wykazał się opanowaniem. Za zachowanie zimnej krwi, za odwagę przyznaję panu Krzyż Walecznych. Gratuluję, panie podchorąży.

Może i odznaczenie było na wyrost, ale ucinało narastającą wokół niego złą atmosferę, a to chciał osiągnąć Rębisz. Robert dostał symboliczne oklaski.

W wojnie dostrzegał jedynie krwawą jatkę, cierpienie i wszechogarniający strach. Mdlący trupi odór. Na jego oczach

umierali koledzy. Niektórzy w niewyobrażalnych męczarniach. Patrząc na nich, spoglądał w oczy śmierci. W pamięć wryły się obrazy oderwanych kończyn, wywleczonych wnętrzności, „Okropności wojny” na żywo. Na wspomnienie wiwatujących na paradach tłumów robiło mu się niedobrze. Polityków, dziennikarzy i kogo tam jeszcze, karmiących naród nienawiścią do Niemców, mitami o niezwyciężonej armii, znienawidził. Stworzyli ułudę, w którą Polacy bezmyślnie uwierzyli. Zwid potęgi. Za tępotę otumanionego narodu, za brak realnej polityki przyszło zapłacić najwyższą cenę.

Kolejne dni przynosiły same złe wiadomości. Przestali wreszcie liczyć na pomoc sojuszników. W pierwszych dniach wojny Polacy naiwnie oczekiwali, że lada dzień na niebie pojawią się angielskie samoloty, a Francuzi uderzą z zachodu i w kilka dni dotrą do Berlina. Rębisz od pewnego czasu o sytuacji na froncie dowiadywał się z komunikatów Polskiego Radia. Nikt już nie dowodził Wojskiem Polskim. Naczelnny Wódz, Rydz-Śmigły, wywoził do Rumunii meble i cenne przedmioty. Kardynał Hlond pozostawił swoje owieczki na łasce losu i uciekł dzień wcześniej.

Dwa dni później, 17 września, wojna dla 42 Pułku dobiegła końca. Tego dnia Polskie Radio nadało komunikat, że o świcie Sowieci przekroczyli granicę i zadali Polsce cios w plecy. Znaleźli się pomiędzy niemieckim młotem a sowieckim kowadłem. Stalin, tchórzliwy szakał, zaczekał, aż Hitler przegryzie Polsce gardło, dopiero wtedy dołączył do krwawej uczty. Rębisz niczego nie ukrywał.

- Wojna się dla nas skończyła, niestety. Ponieśliśmy klęskę. To koniec tej wojny, ale nie koniec Polski. Jesteście potrzebni ojczyźnie, wasz czas nadejdzie - mówił głośno i dobitnie. Kontynuował ciszej, spokojnym głosem. - Pomaszerujemy zwartą kolumną w stronę przejścia w Zaleszczykach. Spodziewam się, że dzisiaj, najdalej jutro, Naczelnny Wódz wyda stosowne rozkazy. Kiedy je otrzymam, rozformuję jednostkę. Nie przewiduję dalszej walki z Niemcami,

a tym bardziej z Sowietami. Jeżeli zostaniemy okrążeni, będziemy się przebijać. Po rozformowaniu każdy podejmie decyzję samodzielnie.

Już następnego dnia Wódz Naczelny oraz rząd uciekli z Polski. Panowała przygnębiająca atmosfera. Nikt się nie odzywał. Wieczorem pułkownik zaprosił oficerów do swojej kwatery. Zapowiedział, że jeszcze tej nocy wyda rozkaz o rozformowaniu jednostki. Odtąd każdy będzie sobie radził na własną rękę. Przygotował również rozkazy o awansach, nawet w beznadziejnej sytuacji troszczył się o podwładnych. Robert w wieku dziewiętnastu lat został podporucznikiem. Rębisz wiedział, że dodatkowe gwiazdki z pewnością jego chłopcom nie zaszkodzą. Nic więcej nie mógł dla nich zrobić.

Cały wieczór przegadali przy szklaneczce śliwownicy. Żeby choć trochę poprawić podłe nastroje, co raz ryczeli: „Daje krzepę, krasica, nasza łącka śliwowica”. To była jedyna radość, jaka im pozostała. Każdy miał inne plany. Większość oficerów wracała do domu, licząc, że Niemcy ich nie internują. Zaledwie kilku chciało przekroczyć granicę, aby walczyć dalej. Robert zrozumiał, że los podarował mu szansę. Rębisz nie zdradzał swoich planów. Podszedł do Roberta, który stał przy oknie, w milczeniu spoglądając w noc, i podał kieliszek.

- A pan, poruczniku, co planuje?

- Zamierzam przekroczyć granicę, panie pułkowniku. I to jak najszybciej. Nie wiadomo, kiedy Sowietci dotrą do Zaleszczyk. Nie warto ryzykować.

- Czyli nie wraca pan do domu. Bardzo rozsądnie... Ma pan rodzinę?

- Mam matkę, panie pułkowniku. Już o tym rozmawialiśmy - uprzedził nasuwające się pytanie.

W rzeczywistości nie rozmawiał z matką. Zabrakło mu sił na tę rozmowę.

- Chce pan powiedzieć, że jeszcze przed wojną przewidział naszą klęskę? Nikt się nie spodziewał, liczyliśmy na pomoc sojuszników.

- A pan, pułkowniku, czego oczekiwał?

Tym pytaniem go zaskoczył. Rębisz przez chwilę zbierał myśli.

- Sojusznicy zapewniali, że udzielą pomocy. Nasz kłopot polega na tym, że uwielbiamy takie poklepywanie po ramieniu. Przypisujemy znaczenie pustym gestom, które nic znaczą. Może się jutro spotkamy na drodze do Zaleszczyk?

- To dla mnie zaszczyt, pułkowniku.

- No to jesteśmy umówieni. - Odruchowo chciał poklepać go po ramieniu, ale się powstrzymał. - O której wyruszamy?

Zaproponował szóstą rano. Chciał uniknąć porannego rozgardiaszu, wymiany adresów i tym podobnych bzdur. *Jestem cywilem* - odetchnął z ulgą.

Punktualnie o szóstej pojawił się przed kwaterą pułkownika, który już czekał. Rębisz sporo wypił, nie było jednak po nim tego widać. Robert miał dokładną mapę okolicy, którą zabrał z magistratu. Ruszyli niespiesznie, w milczeniu. Fala uchodźców, poprzetykana mundurami, płynęła ku granicy. Natrafiali na porzucone wzdłuż drogi bagaże, mijały ich nieustannie samochody wypełnione uciekinierami i spiętrzonymi na dachach walizami. Po kilku godzinach dotarli na mostek nad niewielką rzeką. Rozłożyli mapę.

- Panie pułkowniku.

- Cezary, mów mi Cezary, Czarek. Już nie jesteśmy w wojsku. Jesteś młody, masz więcej siły, poprowadzisz.

- Do Zaleszczyk mamy ponad sześćdziesiąt kilometrów. Może dojdziemy w nocy, chociaż to mało prawdopodobne. Zresztą w nocy nie przekroczymy granicy. Mamy zatem drogę na dwa dni. Możemy iść szosą, jednak jest wojna, wszystko może się zdarzyć. Na mapie jest zaznaczona droga równoległa. Prowadzi wierzchołkami wzgórz, jest niewiele dłuższa, a z pewnością bezpieczniejsza.

- Idźmy wzgórzami. Za mostkiem możemy skręcić.

Dwa dni wędrowali polnymi drogami. W mijanych wioskach dostawali mleko i chleb. Wieśniacy byli życzliwi, lecz wystraszeni. Na tych terenach, w Zachodniej Galicji, w czasie poprzedniej wojny popełniono niezliczone zbrodnie. W tej urokliwej okolicy, z dala od wielkich miast, dwudziesty wiek pokazał po raz pierwszy swoje mroczne oblicze. Ofiarami prześladowań padali głównie Żydzi. Pogromy Wielkiej Wojny przeprowadzali na własną rękę dowódcy oraz żołnierze walczących stron. Narodowi żyjącemu na tej ziemi zapadły w pamięć historyczne zdarzenia, dlatego obojętne mu były butne deklaracje o „nieoddawaniu guzika”.

Noc spędzili w szałasie pasterskim zbudowanym z czarnych od starości bali.

Robert nie mógł zasnąć. Myślał o Wice. Następnego dnia zeszli ze wzgórz i po południu dotarli do celu. Sowietów na razie nie było. Zaleszczyki były typowym galicyjskim miasteczkiem. Jedynie przejście graniczne wyróżniało je spośród wielu podobnych. Senne miesciny leżące na skrzyżowaniu dawno opustoszałych traktów. Rynki dla okolicznych wieśniaków i ośrodki kultury. Samotne wyspy polskości w morzu ludności ukraińskiej. Miasta zamieszkałe przez Polaków i Żydów, którzy od wieków zgodnie egzystowali. Jedynie nieliczni przeczuwali, że już niedługo ich świat przestanie istnieć. Hitlerowcy ręką w rękę z ukraińskimi nacjonalistami z niesłychanym okrucieństwem zamienią galicyjskie miasteczka w upiorne cmentarze.

Weszli do oberży w rynku. Robert zostawił Rębisza nad kuflem piwa i poszedł do księgarni za rogiem.

- Czego szanowny pan sobie życzysz? - Za ladą stary Żyd w okularach i jarmulce przerwał czytanie.

Uciekinierzy przelewali się przez Zaleszczyki z dnia na dzień liczniejszą falą, nikt jednak nie kupował książek.

- Potrzebny mi jest słownik angielsko-polski, poproszę najlepszy.

Księgarz podał jednotomowy, oksfordzki, w skórzanej oprawie. Takiego właśnie potrzebował. Poręczny, wystarczająco szczegółowy.

Dobrał trzy zeszyty w twardej oprawie. Pióro miał. Mont blanc, prezent od pani Anieli za maturę.

- Może coś jeszcze, panie oficer?

- Tak, atrament. Może być granatowy. Najlepiej Pelikan.

Księgarz podliczył i podał sumę. W złotych. Można było oczekiwać, że okupant dokona wymiany pieniędzy, co jest najprostszym sposobem wywłaszczenia podbitego narodu. Stary człowiek najwyraźniej się tym nie przejmował. Wiedział, że tej wojny nie przeżyje. Czytał prasę, słuchał radia, zdawał sobie sprawę, że Hitler, a za nim naród niemiecki skazali Żydów na zagładę. Od przyjaciela, aptekarza, dostał pigułkę z cyjankiem. Drugą aptekarz zachował dla siebie. Postanowili, że kiedy nadejdzie pora, odejdą w ciszy, spokoju, z godnością. Pozostało niewiele czasu, więc chciał się nacieszyć życiem do końca. Zdjął z półki poezje Leśmiana i podał Robertowi.

- Żyd, ale dobry poeta. Pan porucznik, ja się zapytywam, czy Gdańsk miał dla Polski takie wielkie znaczenie? Przecież on nie był nasz. Tam sam Niemiec mieszkał. Ja bym namawiał minister Beck i reszta bubki dyplomatyczne więcej rozumu. Bez dwóch zdań, oni się wpuścili w strych¹⁸.

Nie odpowiedział. Nie było sensownego wytłumaczenia.

Pułkownik czekał. Zjedli skromny posiłek, wypili po kuflu piwa i poszli szukać noclegu. Znaleźli pensjonat Ariadna¹⁹. Stał nad granicznym Dniestrem, oknami spoglądając na rumuński brzeg.

- Nazwa poniekąd symboliczna. Po nici Ariadny wrócimy do Polski. - Rębisz zachował resztki optymizmu.

Właścicielka, ubrana na czarno starsza pani, powitała ich uprzejmie, lecz chłodno. Zastrzegła, że zapłaty w złotówkach nie przyjmuje. Wymieniła cenę, piętnaście dolarów od osoby, dosyć wygórowaną. Pułkownik bez słowa podał trzydzieści. Robert wyjął z portfela piętnaście, żeby zapłacić za siebie, ale starszy oficer pokręcił głową.

- Zatrzymaj, chłopcze. Pieniądze na wojennej tułaczce zawsze się przydadzą.

Chciał zaprotestować, jednak pułkownik tak na niego spojrzał, że nic już nie powiedział. Rębisz był w sentymentalnym nastroju. Opróżnił szklanekę śliwownicy i zagrał na pianinie *Pożegnanie ojczyzny* Ogińskiego.

Kanapy pozasiadali w niedbałych pozach wymuskani oficerowie sztabowi. Towarzyszyły im piękne kobiety w wieczorowych sukniach. Ziemiańska młodzież. Nie byli rozbawieni, ale też ich nastrój trudno było nazwać posępnym. Najwyraźniej nie przejmowali się sytuacją. Ot, pechowe koleje wojny, którą można przeczekać u Misi w Paryżu albo u kuzynki Daisy w Brighton.

Tego dnia major Piotr Sahajdaczny, otoczony przez Sowietów, kapitulował z resztkami swojego szwadronu przed politrukiem 45 Dywizji Strzeleckiej.

Rano byli artylerzyści przekroczyli granicę. Rumuńscy pogranicznicy byli przyjaźnie nastawieni, współczuli Polakom. Pracownicy polskiego konsulatu z Czerniowiec rozdawali uciekinierom kartki z powielacza, zawierające informacje przydatne w drodze do Francji. Dyplomaci dwoili się i troili.

W palącym słońcu, popijając kwas chlebowy, czekali na transport do obozu dla internowanych. Na punkt graniczny zajechała limuzyna, czarny horch udekorowany chorągiewką ze swastyką. Przybył nim niemiecki pułkownik, *attaché* wojskowy.

Rumuni byli sojusznikami III Rzeszy, zachowali jednak margines niezależności. Hitler był lojalny wobec sprzymierzeńców. Wymagał bezwzględnego podporządkowania, jeżeli je uzyskał, zezwalał na pewien zakres swobody i na ogół dotrzymywał zobowiązań. Niemcy bezskutecznie próbowali wymóc zamknięcie granicy. Usłyszeli jednak „nie!”. Rumuni internowali wprawdzie przekraczających granicę polskich żołnierzy, jednak kto chciał, bez problemu uciekał. Jedynym, który mógł to zmienić, był Adolf Hitler. Jego żądań król Karol II nie mógł ignorować. Hitler, pomimo licznych apeli otoczenia, nie zrobił

nic. Niemiec usiłował nakłonić dowódcę posterunku do zamknięcia przejścia. Niczego nie wskórawszy, buksując wściekle kołami, odjechał.

Dalsza podróż upłynęła bez szczególnych zdarzeń. Zbiegli z obozu i zaokrętowali na przystosowany do przewozu żołnierzy transportowiec MS Mołdawia. Francuski rząd nie wypełnił zobowiązań sojuszniczych, jakie wziął na siebie, udzielając Polsce gwarancji, a teraz wykorzystywał sytuację. Polscy żołnierze, wyszkoleni, z doświadczeniem frontowym, byli dla Francuzów bezcenni.

Trasa rejsu wiodła przez Bosfor, Morze Egejskie i dalej wzdłuż Morza Śródziemnego. Wyruszając na wojnę, nawet sobie nie wyobrażał, że będzie żeglował szlakiem Ulissea i Argonautów. Chciwie wdychał zapach morza, pachniało solą i makiją²⁰. Zawsze fascynowały go pierwsze cywilizacje. Na własne oczy oglądał Morze Śródziemne, kolebkę naszej kultury.

Marsylia powitała ich deszczem i miąką niechęcią Francuzów, bardzo się różniącą od życzliwości Rumunów. Przewrotni sojusznicy uważali, że przez niezrozumiały opór Polaków wobec rozsądnych żądań Adolfa Hitlera muszą toczyć zupełnie niepotrzebną wojnę z III Rzeszą. Były to Himalaje hipokryzji, ponieważ Hitler w tajnych negocjacjach z polskim rządem w '38 wyznaczył cenę za niepodległość Polski. Zachowanie neutralności, kiedy Niemcy będą się rozprawiali z Francją. Politycy francuscy doskonale o tym wiedzieli.

Uchodźcami zajął się przedstawiciel tymczasowego rządu emigracyjnego generała Sikorskiego. Legionista, bohater wojny z bolszewikami, wszedł podczas przewrotu majowego w konflikt z Piłsudskim i został odsunięty na boczny tor. Na premiera rządu na uchodźstwie, wbrew woli ustępującego z urzędu prezydenta Mościckiego, wyznaczyli go Francuzi, ponieważ ulegał im we wszystkim. Nie był to z pewnością mąż stanu wybitnego formatu, jaki

powinien stanąć na czele narodu w tak przełomowym momencie jego dziejów. Legenda śmierci człowieka spuściła zasłonę milczenia na błędy polityka.

Organizacja Armii Polskiej we Francji przebiegała sprawnie. Robert został ponownie zmobilizowany i w połowie listopada trafił do obozu szkoleniowego w Camp de Coëtquidan, którego nazwę spolszczono na swojsko brzmiący „Koczkodan”. Było ich we Francji osiemdziesiąt pięć tysięcy. Głównie uczestników kampanii wrześniowej. Resztę stanowili ochotnicy, Polacy z Francji i Belgii.

Jeszcze z Marsylii wysłał list do Wiki. Pisał ten list całe dwa tygodnie. Nieustannie coś zmieniał i poprawiał. W ostatecznej wersji był długi na siedem stron. Napisał, że jak będzie miał adres zwrotny, wyśle następny.

Francja była w stanie wojny z III Rzeszą, lecz na froncie niewiele się działo. Obóz, w którym formowano 1 Dywizję Grenadierów, został zorganizowany profesjonalnie. Służba była monotonna, jednak mieli świadomość, że to cisza przed burzą. Walki na pełną skalę mogły wybuchnąć w każdej chwili. Żołd był przyzwoity, więc oszczędzał na czarną godzinę. Obserwując francuskich towarzyszy broni, utwierdził się w przekonaniu, że Francja tę wojnę przegra. Nie widział w nich ducha walki.

Napisał do Wiki. Mógł jej wreszcie podać adres. Po cichu liczył, że się urwie ze Szwajcarii i przyjedzie, bodaj na parę dni. Dostawał przepustki, jednak w czasie wojny nie mógł wyjechać do innego kraju, nawet neutralnego.

Pisali do siebie tak często, jak to było możliwe. Pisał, że kocha, że liczy dni do spotkania, że jest tą jedną jedyną. Pisał, jak bardzo brakuje mu jej ciała i wszystkich cudownych rzeczy, które robili. Napisał nawet kilka rymowanych hymnów na cześć jej urody. Ona pisała listy, jakie pisze zakochana dziewczyna. Po Nowym Roku z niepokojem zauważył, że liczba jej listów spadła, uległy ochłodzeniu. Nocami nie mógł zasnąć, godzinami przewracał się z boku na bok.

Wyobrażał sobie, że jest teraz z innym. Całują się, ona go pieści, jak pieściła jego. Pieprzą się, zupełnie jak oni. Dobijała go niepewność. Jednego dnia ją przeklinał, żeby następnego wynajdywać tysiące wytłumaczeń, jaka może być przyczyna nagłej zmiany. Może jest chora i nie chce go martwić. Niepokoi się o rodziców i nie potrafi rozdzielić swoich uczuć... W jego listach pojawiła się zazdrość.

Wika zapewniała, że nie ma powodu do zazdrości, jednak pisała coraz rzadziej. Nareszcie w marcu się ulitowała i napisała wprost. Ma innego. Zakochała się, nic na to nie poradzi. Dalej nie czytał, podarł list na kawałeczki, które rozrzucił na wietrze. Dla zapomnienia biegał codziennie po kilkanaście kilometrów. Wracał mokry i ledwo żywy, dopiero wtedy czarne myśli odparowywały. Przeszedł żal do Wiki za jej wiarołomstwo, jedynie na sercu pozostała blizna.

Za zaoszczędzony żołd kupił browninga FN z magazynkiem na trzynaście naboju. Polubił ten pistolet, dobrze mu leżał w ręce. Kiedy tylko mógł, trenował strzelanie. Na wojnie to przydatna dyscyplina. Na strzelnicę przychodził wczesnym rankiem, kiedy wszyscy spali. Po pół roku osiągnął mistrzowski poziom.

10 maja 1940 roku Niemcy zaatakowali. Tego dnia został przeniesiony do nowo formowanej 3 Dywizji Piechoty. Pokonanie Francji zajęło Wehrmachtowi zaledwie dziesięć dni. Czołgi Guderiana dotarły do Kanału La Manche, wojna została rozstrzygnięta. 3 Dywizja nie weszła do walki. Była jedyną polską jednostką ewakuowaną do Anglii w sposób zorganizowany. Udało się przewieźć co czwartego żołnierza. Był jednym ze szczęśliwców. Szczęście kosztowało sto dolarów łapówki dla oficera dowodzącego posterunkiem przy trapie. Wolał nie myśleć, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby tych pieniędzy nie miał. Po krótkim rejsie MS Louisiana zacumowała do nabrzeża w Plymouth.

¹⁵ Jednostka fikcyjna. Pułków artylerii lekkiej było w Wojsku Polskim trzydzieści dziewięć.

¹⁶ XXII Korpus Pancerny oraz jednostki wymienione z nazwy, za wyjątkiem 42 Pułku Artylerii Lekkiej, to oddziały biorące udział w walkach w miejscu i czasie opisanym przez autora.

¹⁷ Do lat trzydziestych XX wieku studenci niemieccy należący do korporacji pojedynkowali się na szable. Celem pojedynku zwanego menzurą było naznaczenie twarzy trwałą blizną.

¹⁸ Idiom pochodzący z języka jidysz, który można przetłumaczyć: 'dali się zwieść'.

¹⁹ W 1939 roku w Zaleszczykach był pensjonat Ariadna. Jego okna wychodziły na Dniestr.

²⁰ Niskopienna roślinność porastająca wybrzeże Morza Śródziemnego.

3. LAURA

Wojenne losy rzuciły go do Anglii. Nie był szczęśliwy, że jego przewidywania się potwierdziły, klęska Francji była jednak faktem. Niewielu polskich żołnierzy udało się ewakuować. Francja została pokonana tak szybko, że przetransportowanie do Wielkiej Brytanii większej ich liczby okazało się niemożliwe. Zostali przewiezieni do kilku obozów w Szkocji. Robert trafił do Moffat, siedemdziesiąt kilometrów od Edynburga, w którym, jak chodziły słuchy, od października miało się rozpocząć formowanie brygady strzelców. Z bitnej, liczącej milion żołnierzy armii polskiej, która stanęła do walki z Niemcami, do Francji przedostało się sześćdziesiąt tysięcy. Na Wyspy dotarło zaledwie dwadzieścia siedem tysięcy. Większość oficerów zawodowych oraz rezerwy, kwiat polskiej inteligencji, gniło w oflagach. Reszta wpadła w łapy Sowietów.

Zapewne dlatego, że było ich niewiele, Wódz Naczelny zatwierdził dla Roberta Meissnera stopień podporucznika. Przestał być oficerem czasu wojny. Został oficerem zawodowym, dla dwudziestolatka wielkie osiągnięcie.

Pobył w obozie go frustrował. Koledzy rwali się do walki. Pomysł, żeby walczyć z Niemcami akurat teraz, uważał za idiotyczny. Pokonali właśnie bez trudu najsilniejszą armię w Europie. Przemyślał sprawę i doszedł do dosyć oczywistego wniosku. Inwazji nie będzie jeszcze długo. Potrzebny był cud, żeby nie walczyć z nimi na angielskiej

ziemi. Nie miał zamiaru marnować życia w szkockiej dziurze, oczekując na desant w Europie, tym bardziej że zapowiadało się długie czekanie.

Wędrował przed siebie wąską ścieżką wijącą się wśród wzgórz. Przedzierając się przez rozłożyste wrzosy, obsypane kwiatami wrzośce i czepliwe kolcolisty, dotarł w miejsce, które wyglądało na koniec świata. Chwila była przed zmrokiem, wrzosowiska skryły się w wieczornej mgle. Stąpał po chmurach, otulony absolutną ciszą. Wtedy jakieś zwariowane lichy podpowiedziało pewien niepoważny pomysł.

Porozmawiał z zatrudnionymi w obozie Anglikami. Potwierdzili, że prestiżowe są uniwersytety w Oksfordzie i Cambridge. Jeżeli nie tam, może próbować w pobliskim Edynburgu. Szczęśliwie czerwiec był okresem rekrutacji. Pisanie listów nie miało sensu, w najlepszym razie mogły trafić do kosza. Przede wszystkim nie miał na czesne, zatem jego szanse marnie wyglądały. Wybór kierunku był oczywisty. Literatura niemiecka, germanistyka. Na wojnie zawsze potrzebni są tacy, którzy znają język wroga. Pierwszym wyborem był Oksford, do którego miał łatwiejszy dojazd. Miasto to dawało też lepsze możliwości znalezienia pracy, ponieważ było od Cambridge znacznie większe. Zdecydował, że jeżeli mu się nie powiedzie, spróbuje w Edynburgu.

Jak ma się dostać na uniwersytet, na którym nikt go nie chce, i z czego płacić niebotyczne czesne, jeżeli jakimś cudem zostanie przyjęty? Nie przejmując się kalkulacjami, przełamał wrodzone u samców gatunku *homo sapiens* lenistwo, wsiadł do pociągu i z wiarą w siebie wyruszył na spotkanie Przeznaczenia. Do Oksfordu dotarł wieczorem. Na dworcu dopytał o nocleg i po chwili stał przed wejściem do pensjonatu B & B, co oznaczało, że się wyśpi, a rano go nakarmią. Po solidnym śniadaniu, składającym się z jajek na bekonie, fasoli na gorąco, kiełbasek i tostów z dżemem, bardzo podniesiony na duchu wyruszył na podbój Oksfordu. Znalezienie właściwego wydziału zajęło trochę czasu. Nareszcie dotarł do okazałego budynku,

w którym studiowano literaturę niemiecką. Znalazł gabinet kierownika kursu, do którego dostępu broniła z poświęceniem Margaret Patridge, kobieta lat jesiennych. Miała siwiejące włosy, młode oczy i inteligentne spojrzenie.

- Chcę się spotkać z dziekanem.

- Czy był pan umówiony?

- Nie, proszę pani, nie byłem.

- Dziekana dzisiaj nie będzie. - Z jej twarzy znikł profesjonalny uśmiech.

- Nie szkodzi. Zaczekam, aż będzie.

- Jeżeli nie byłś umówiony, na pewno cię nie przyjmie - zakomunikowała oschle.

- Jednak spróbuję. Mam pewien istotny argument. - Obdarzył ją ciepłym uśmiechem.

- A jaki to argument?

- Pani wybaczy, to tajemnica. Ważna tajemnica. Z całym szacunkiem, wyłącznie do wiadomości dziekana.

- Przecież mówiłam, profesora dzisiaj nie będzie! - powiedziała opryskliwym tonem, nie starając się nawet ukryć, co o nim myśli.

- Pomimo to poczekam. Lubię oczekiwanie, przenoszę się wtedy w inny wymiar - odparł z głupekowatym uśmiechem.

Zrozumiała, że ma do czynienia z wariatem, a jej obowiązkiem jest chronić przed nim szefa.

- Mam wrażenie, że się nie rozumiemy. Jeżeli natychmiast nie wyjdiesz, wzywam ochronę!

- Już wychodzę. Tu jest trochę duszno, no i chyba przeszkadzam ci w pracy, Margaret. Poczekam na dziekana przed kolegium. Kiedy go poproszę, na pewno zgodzi się mnie przyjąć.

Mrs. Patridge zaczęła mieć złe przeczucia. Postanowiła dopytać, jak chce czekać na kogoś, kogo nie zna. *To niebezpieczny wariat. Muszę go uspokoić.*

- Jesteś sympatycznym młodym człowiekiem, Robercie. Może zamiast czekać na dziekana, pójdiesz do domu? Jak chcesz go

rozpoznać, jeżeli go nie znasz? – zapytała uprzejmym tonem, usiłując zachować pozory spokoju.

– Będę pytał każdego wchodzącego, czy jest dziekanem. To chyba oczywiste.

Dobry Boże! Wariat przed kolegium!

W tym momencie do sekretariatu wpadł z impetem dziekan we własnej osobie. Był wzrostu Roberta i podobnie jak on szczupły. Ubrany wytwornie, z klasyczną niedbałością, nosił się z roztargnionym wdziękiem angielskiego profesora.

Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Margaret odetchnęła z ulgą. Obawiała się, że Robert napadnie na szefa i zrobi mu jakąś krzywdę. Ale on siedział spokojnie, nawet się do niej uśmiechał. Niewiele wiedziała o chorobach psychicznych, uznała, że to jakaś niegroźna odmiana. Po piętnastu minutach poczuła się nieswojo, po kolejnym kwadransie westchnęła ciężko i zapukała.

– W czym rzecz, Margaret?

– Panie profesorze, przed gabinetem siedzi wariat.

– Nie opowiadaj głupstw, moja droga. Ten chłopak wygląda zupełnie normalnie.

Z przejęciem streściła szefowi ostatnie wydarzenia, podkreślając, że robiła wszystko, aby intruza spławić.

– No dobrze, sam się przekonam, co to za jeden.

Postanowił przyrzec się natrętowi osobiście, zanim go wpuści do gabinetu. Wszedł za Margaret do sekretariatu.

– Chciałeś ze mną rozmawiać, młody człowieku?

– Tak, panie dziekanie. – Wstał z ławki.

– Czy możesz mi wyjaśnić, z jakiego powodu nie skorzystałeś z przyjętej w naszym kraju formy umawiania spotkań? My robimy to przez telefon.

– Wiedziałem, że jeżeli przedstawię cel spotkania, pan dziekan mnie nie przyjmie.

Profesor zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z obcokrajowcem. Przez chwilę się zastanawiał. Odpowiedź była logiczna, nie zauważył

niczego niepokojącego.

- W takim razie proszę za mną.

Wszedł do gabinetu pierwszy i zamknął za nimi drzwi. Po wysłuchaniu relacji Margaret i wymianie zdań w sekretariacie był wyraźnie rozbawiony.

- Zatem słucham.

- Chciałbym studiować na pana wydziale.

- Bardzo mi to pochlebia, ale obawiam się, że istnieją pewne przeszkody. Dlaczego chcesz studiować akurat u mnie?

- Znam biegle język, a niemiecka literatura fascynuje mnie od dawna.

- Bez wątpienia dobre powody. - Dziekan przeszedł na niemiecki.

- Z jakiego kraju pochodzisz?

- Jestem Polakiem.

- Aha, rozumiem.

Po kapitulacji Francji w prasie pojawiły się artykuły informujące, że niewielka grupa polskich żołnierzy dotarła do Wielkiej Brytanii. Był najwidoczniej jednym z nich.

- Jaki jest twój ulubiony pisarz niemiecki?

- Jest kilku. Cenię Brechta. Z pewnością Tomasza Manna. Podziwiam jego kunszt literacki. Czytałem *Buddenbrooków*, a *Czarodziejską Górę* odłożyłem na później. No i Remarque, lecz to w dzisiejszych czasach niebezpieczna persona.

Miał przygotowaną odpowiedź na to dosyć oczywiste pytanie. Mówił po niemiecku ze swobodą, która nawet na dziekanie germanistyki zrobiła wrażenie. *Ten Polak nie jest wariatem, tylko naiwnym młodym człowiekiem.*

- Dlaczego według ciebie akurat Remarque jest niebezpieczny?

- Jest pacyfistą. Podczas wojny taka literatura jest źle widziana.

- Z całą pewnością. Czy jest jeszcze ktoś? - Zastanawiał się, jak spławić intruza. Pytanie zadał, aby zyskać na czasie.

- Lubię Hessego, czytałem *Wilka stepowego*.

- Co tak młody człowiek znalazł w *Wilku stepowym*?

- Wolną miłość i jazz - odparł z uśmiechem.

Lyddell Hall miał poczucie humoru na miarę profesora literatury z Oksfordu. Spodobało mu się, że Robert nie udaje kogoś, kim nie jest. *Nieźle o nim świadczy, że ma rozległe zainteresowania.*

- Tak, rozumiem. Jak masz na imię?

- Robert.

- Posłuchaj, Robercie. Mówisz po niemiecku płynnie, z niezłym akcentem. Bez wątpienia znasz literaturę niemiecką i za to należy ci się uznanie. Jednak nawet ja nie mogę ignorować regulaminu naszej uczelni. Istnieje, jest zatwierdzona i przestrzegana procedura przyjmowania na uniwersytet w Oksfordzie. To część naszej tradycji. Nic na to nie poradzę. Naprawdę. Bardzo mi przykro.

Sądził, że Robert zrozumie sytuację, wstanie i wyjdzie. On jednak zabrnął za daleko. Dotarł do Oksfordu, rozmawiał z dziekanem. Nie mógł tak łatwo pogodzić się z porażką.

- Panie dziekanie, doskonale rozumiem pański punkt widzenia. Wiem również, że stawiam pana w niezręcznej sytuacji. Mam pewną propozycję. Kompromisową. Panu zapewni spokój sumienia przy podpisywaniu pisma o odmowie przyjęcia, mnie pozwoli zachować twarz.

Lyddell Hall był już zirytowany. Czas, jego czas, upływał na jałowej dyskusji. Z drugiej strony pomysł Roberta go zaciekał.

- Słucham - oświadczył oficjalnym tonem. - Jaka to propozycja?

- Proszę mi pozwolić napisać pracę na zadany temat. Na miejscu, w dziekanacie, nikomu nie będę przeszkadzał. Niech ktoś oceni mój tekst. Jeżeli ocena będzie negatywna, już mnie pan nie zobaczy, zaakceptuję porażkę. Jeżeli jednak uzyskam ocenę celującą, rozważy pan, tylko rozważy, czy istnieje szansa, żebym podjął studia.

- Skąd przyszedł ci do głowy taki dziwaczny pomysł?

- W Chinach przez tysiąclecia w ten właśnie sposób wyłaniano elity. Kandydaci przystępujący do egzaminu państwowego mieli za zadanie napisać poemat czy coś podobnego. Chińczycy uważali, że to

dobry sposób wyboru urzędników. Mandarynami zostawali najlepsi. Tak sobie pomyślałem...

- Zgoda, to jest właśnie *fair play*. - Lyddell Hall się rozkręcał. Jego dziadek tłumił w Chinach powstanie bokserów. - Ale obiecujesz zaakceptować ocenę, jaką uzyskasz?

- Obiecuję, gra pan ze mną bardzo *fair*.

Nie wspomniał nawet, że liczy na obiektywną ocenę. Gdyby to powiedział, straciłby z trudem zdobytą szansę.

- Przyjdź jutro o dziesiątej. Usiądziesz w dziekanacie, Margaret znajdzie miejsce. Nie będziesz jej przeszkadzał. Przygotuję dla ciebie temat.

Następnego dnia za pięć dziesiąta pojawił się w dziekanacie. Margaret przygotowała miejsce, podała karteczkę z tematem i czyste kartki.

- Kończysz o trzynastej - zakomunikowała z pełnym otuchy uśmiechem.

Wyjął pióro i zaczął pisać. Wpół do dwunastej podała herbatę. Zakończył o dwunastej pięćdziesiąt. Resztę czasu przeznaczył na korektę. Podał wypełnione równym pismem kartki Margaret i wyszedł przed budynek. Powiedziała, że ocena będzie pojutrze. Temat mu nie leżał. Choć nie był też całkowicie nietrafiony. Postanowił zaryzykować, i tak nie miał nic do stracenia. Przyjął kontrowersyjne tezy i ich bronił. Czy to wystarczy? Miał wątpliwości.

Impet uderzenia powalił go na ziemię. Zamysłony, wszedł pod rozpędzony rower. Z trudem stanął na nogi. Miał rozciętą skórę na łydce. Niefortunny rowerzysta wygrzebał się spod roweru. Była to dziewczyna. Zamiast przeprosić, skłęła go i zwymyślała od ślepych łązęgów.

- To oczywiście twoja wina. I ty o tym wiesz!

Więc przeprosił, chociaż podejrzewał, że to jej sprawka, w końcu szedł chodnikiem. Przeprosiny skwitowała uprzejmym:

- Mato! - Wskoczyła na siodło i jak gdyby nigdy nic popędziła dalej. Wyglądało, że jest w jednym kawałku.

Obolały, pokuśtykał do pensjonatu. Przez resztę dnia i cały następny wychodził ze swojego pokoju tylko na posiłki. Z obozowej biblioteki wypożyczył kryminały, dzięki temu miał zajęcie. Trzeciego dnia z duszą na ramieniu wszedł do dziekanatu. Optymizm, który go dotąd niósł, znikł nie wiadomo gdzie. Margaret na widok Roberta przygryzła wargę i podała list zaadresowany na jego nazwisko. Wszedł, znalazł ławkę, usiadł i otworzył.

*Szanowny Panie Meissner,
niestety...*

Nie czytał dalej, schował list do kieszeni. Pozbierał myśli, potem powlókł się do pensjonatu. Zabrał swój skromny bagaż i poszedł na dworzec. Nie był załamany, było mu niezmiernie smutno. Do odjazdu pociągu pozostawała godzina. Przetrwał ją, czytając kryminał. Detektyw Philip Marlowe miał poważne kłopoty. Zapowiedzieli pociąg do Edynburga. Zajął miejsce w niemal pustym wagonie. Trwała wojna i choć sezon był urlopowy, nikt na urlop się nie wybierał.

Przed odjazdem do przedziału wszedł dystyngowany dżentelmen w średnim wieku. Po chwili przybysz zapytał, czy będzie problemem, jeśli zapali.

- Dym tytoniowy mi nie przeszkadza, proszę pana.
- Skąd pochodzisz?

Będę musiał popracować nad akcentem. Nigdy nie będę mówił jak rodowity Anglik, ale nie może być tak, że rozpoznają we mnie cudzoziemca, ledwo otworzę usta.

- Jestem Polakiem, proszę pana.
- Mów mi Basil, młody człowieku.

Basil był bezpośredni. Być może wojna sprawiła, że porzucił konwenanse.

- Nazywam się Robert Meissner.
- Jakie wiatry przywiały cię do Anglii w takim niespokojnym czasie, Rob?

- To nie wiatry, lecz wichry. Wichry wojny.

- Biłeś się ze szkopami?

- W Polsce i we Francji. Na rozstrzygnięcie w Polsce Niemcy potrzebowali dziesięciu dni. Rozprawa z Francją i waszym korpusem ekspedycyjnym zajęła im dokładnie tyle samo. Po dziesięciu dniach wynik wojny był przesądzony. Tak się pospieszyli, że moja dywizja z powodu ogólnego bałaganu nie wzięła udziału w walkach. Rzeczywiście, wojna błyskawiczna.

- Bądź tak uprzejmy i opowiedz o swoich doświadczeniach. Uczestniczyłeś w wojnie, która może niestety dotrzeć na naszą wyspę.

- Jeżeli pozwolicie Niemcom postawić choćby stopę na waszej ziemi, to po was. Oczywiście, opowiem o swoich przeżyciach, nie są tajemnicą, zresztą nie ma w nich nic interesującego. Wojna jest najbardziej skomplikowaną machiną, jaką wymyślił człowiek, dlatego będzie prościej, jeżeli odpowiem na twoje pytania. Co chciałbyś wiedzieć?

Przegadali całą drogę do Edynburga. Zrobili jedną przerwę. Basil zaprosił go na lunch do restauracyjnego. Zawsze za siebie płacił, tym razem odetchnął z ulgą.

- Dziękuję. Prawdę powiedziawszy, całe oszczędności wydałem na dojazd do Oksfordu i kilkudniowy pobyt.

- Co robiłeś w Oksfordzie, zwiedzałeś miasto?

- Wpadłem na nedorzeczny pomysł studiowania na uniwersytecie. Oczywiście mnie nie przyjęli.

- Na jakim kierunku zamierzałeś studiować?

- Na germanistyce. Niemiecki jest moim drugim językiem. Pochodzę z miasta, w którym polskie i niemieckie dzieci bawiły się na jednym podwórku, chodziły do tej samej szkoły.

- Są takie miasta? Nie wiedziałem.

- Są, a raczej były. Jedno jest pewne: po tej wojnie wszystko się zmieni. Na lepsze albo na gorsze - zapewnił z błyskotliwą przenikliwością.

Wrócili do przedziału i kontynuowali rozmowę. Basil przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- Opowiedziałeś o wojnie. Czy możesz podsumować, co o tym wszystkim myślisz?

- Cóż powiedzieć, na polityce się nie znam. Wiem jedynie, że Niemcy wybrali na kanclerza człowieka niezrównoważonego psychicznie, a konsekwencje ponosi cały świat. Hitler niestety tę wojnę wygrał. Nikt nie wie, co teraz robi. Należy oczekiwać najgorszego.

- Jak to, wygrał?! Anglia się nie poddała. I nie podda się nigdy! - zdenerwował się jego rozmówca.

- Żeby was pokonać, nie jest potrzebna inwazja. To byłby poważny błąd.

- Co ty powiesz? - Anglik uniósł brew. - To co ma zrobić? Oświeć mnie.

- Wystarczy, że przetrzuci do Afryki kilka dywizji pancernych. Jakie macie siły w Egipcie? To żadna tajemnica. Jak informuje prasa, w skład waszego korpusu wchodzić dwie dywizje. Zaledwie dwie dywizje. Nawet jeżeli we Francji stracił połowę jednostek pancernych, już dzisiaj może rozpocząć przetrzucanie do Afryki kilku dywizji, którymi z pewnością dysponuje. Jeżeli to robi, nie powstrzyma go nikt. Do Kairu dojadą, rozjeżdżając was po drodze, i ruszą dalej. Mezopotamię, Persję zajmą bez oporu, nie ma tam waszych wojsk. Zdobędą dostęp do nieograniczonych zasobów ropy, której bardzo potrzebuje ich machina wojenna. Gdyby Stalin spróbował zaatakować sojusznika, nic z tego nie będzie. Zanim podejmie decyzję, zakończy przygotowania, niemieckie czołgi i bombowce pojawią się na granicy irańsko-sowieckiej, dwieście kilometrów od Baku. Rosjanie ropę wydobywają niemal wyłącznie spod dna Morza Kaspijskiego. Stalin doskonale o tym wie, dlatego nie zaatakuje z obawy, że Niemcy zbombardują jego szyby naftowe i rafinerie albo nawet je zajmą.

- Wystarczy, wystarczy, wystarczy! - Basil uniósł ręce w geście kapitulacji. - Właśnie przegraliśmy wojnę. Tak na serio, na spokojnie

przemysle twoją koncepcję. Mam nadzieję, że Hitler wybierze inne rozwiązanie. - Z wyrazu twarzy Basila poznać było, że nie żartuje.

- W jego otoczeniu są z pewnością tacy, którzy to rozwiązanie sugerują²¹. Jeżeli pomyślał o nim taki dyletant jak ja, to tym bardziej wielu niemieckich oficerów musiało je dostrzec. Czy Hitler ich posłucha? Dotąd błędu nie popełnił, może to będzie jego pierwszy.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Nie chcę być niegrzeczny, ale prawda jest taka, że czytam książki, przeglądam prasę, znam geografie i myślę. To nie są skomplikowane rozważania i nie wymagają wiedzy specjalistycznej. Pewne odpowiedzi nasuwają się same. W Monachium Chamberlain nie bredziłby o pokoju, gdyby sprawdził w pierwszym lepszym roczniku statystycznym, jak szybko rosną: zadłużenie zagraniczne i jednocześnie rezerwy złota III Rzeszy, co, jak wiesz, oznacza, że kraj przygotowuje się do wojny. Żeby zrozumieć dramatyzm sytuacji w Afryce, wystarczy policzyć dywizje.

- Niedobrze, bardzo niedobrze, że jedyna nadzieja w błędach pana Hitlera. Kurczę blade! Nasi nieudacznicy generałowie szykowali się do poprzedniej wojny, Niemcy do następnej i mamy to, co mamy.

- Nie ma większego znaczenia, kto zwycięży w jednej czy drugiej bitwie, ważna jest ta ostatnia. A wojenna fortuna z pewnością się odwróci - pocieszał Robert.

- Oby! - zakończył Anglik. Zbliżali się do celu podróży. - Czy możesz mi dać adres? Mam zamiar do ciebie napisać. Zamiast czytać „Timesa”. spędziłem czas bardzo pożytecznie. Do zobaczenia. - Schował kartkę z adresem do kieszeni i opuścił przedział. Pociąg wjeżdżał na stację w Edynburgu.

Robert usiłował zapomnieć o porażce. Spędzał czas na miłym sercu każdego mężczyzny próżniaczeniu. Wałęsał się bez celu po okolicy, grał w karty, zachodził na piwo do pubu. Przeszła mu ochota na studiowanie. Od wyjazdu do Oksfordu minęły dwa tygodnie. Poczta

dotarła jak zwykle o jedenastej. Nie ruszył się ze swojej kwatery, listy z Polski nie docierały. Kolega wrócił ze stołówki, gdzie rozdzielano pocztę, i rzucił na łóżko kopertę.

- Nie łam się, i do ciebie ktoś napisał. Przyznaj się! Podczas ostatniego wypadu zaliczyło się Angielkę. Mówili, że brzydkie, a one całkiem, całkiem są.

List był zaadresowany „Mr. Robert Meissner”. Rzeczywiście, do niego! Stempel uniwersytetu w Oksfordzie. Gorączkowo rozerwał kopertę.

Szanowny Panie Meissner!

Wprawdzie... Jednakże... Nowe okoliczności...

Lyddell Hall nie przesądzał sprawy, zapraszał na rozmowę. I to za tydzień. Nie zwlekał z wyjazdem. Jeżeli ma studiować, jeszcze przed spotkaniem z dziekanem powinien wiedzieć, w jaki sposób ma zarobić na czesne i na utrzymanie. Dotąd się nad tym nie zastanawiał. Pierwsze kroki skierował do pensjonatu pani Henderson przy Howard Street. Poznała go i bardzo się ucieszyła.

- Pan Meissner, jaka wspaniała niespodzianka!

- Dla mnie z pewnością wspanialsza.

Następnego dnia zawitał w dziekanacie wydziału germanistyki.

Margaret na jego widok też się ucieszyła. To ona pisała obydwa pisma. Wręczając pierwsze, była przygnębiona, znała jego treść. Początek ich znajomości był w sumie zabawny, ale kiedy na spokojnie poukładała sobie wszystko w głowie, odczuła coś na kształt podziwu dla jego determinacji i sprytu.

- Dzień dobry, Robercie. Jak się cieszę, że cię widzę. Nie za wcześnie przyjechałeś?

- Margaret, kocham cię! - Uniósł starszą panią jak piórko i wycalował. Nie potrafił pohamować rozpierającej go radości.

- Wy, Polacy, jesteście kompletne wariactwo.

Udawała, że się złości, ale pierwszy raz, od kiedy tu pracowała, student zrobił coś równie niestosownego.

- Jak mogłeś! To nie wypada. - Nie mogła dłużej udawać, że się na niego gniewa. - Co cię sprowadza? Czy masz zamiar czekać na dziekana pięć dni?

- Nie przyszedłem do dziekana, tylko do ciebie. Nikogo w Oksfordzie nie znam, a potrzebuję pomocy.

- Mów, mów śmiało. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Martwię się, Margaret. Nie mam pracy, nie mam zawodu, nie mam rodziny, która by mnie wspomogła. Jak zarobię na chesne i na utrzymanie? Chyba zrobiłem z siebie idiotę i niepotrzebnie naraziłem was na kłopoty.

- O chesne się nie martw. Jestem zaledwie sekretarką, jednak czasami udaje mi się, przez przypadek oczywiście, coś usłyszeć. Ten cosiek pozwala uspokoić cię w kwestii chesnego. W końcu nie jesteśmy głupcami. Jeżeli rozmawiamy na poważnie o twoich studiach, to zdajemy sobie sprawę, że nie masz pieniędzy. Są pewne możliwości. A jeśli idzie o drugą sprawę: co umiesz robić? - Margaret, jeśli zachodziła potrzeba, była niezwykle praktyczna.

Z kartką, którą od niej dostał, biegał po Oksfordzie. Obiecał sobie, że za pierwsze zarobione pieniądze kupi rower. Odwiedził fabryczki na obrzeżach, garaże, w których naprawiano samochody, puby i restauracje. Zapisywał to, czego się dowiedział, i liczył, liczył, liczył. Na dzień przed spotkaniem miał już pomysł, jak zarobi na utrzymanie.

Lyddell Hall przyjął go serdecznie.

- Znalazło się stypendium dla ciebie. Na utrzymanie musisz zarabiać. Nie będzie łatwo studiować i pracować. Mam nadzieję, że sobie poradzisz. Będę z tobą szczery. To ja zadecydowałem, żeby cię nie przyjmować, pomimo że napisałeś bardzo dobry, oryginalny esej. Bardzo dobry, jednak w mojej ocenie nie celujący. Staralem się być obiektywny. Byłem zmuszony zmienić zdanie, bo mój brat życ mi nie dawał.

- Pana brat, dziekanie?

- No, Basil, którego poznałeś w pociągu. Zdradzę ci pewien sekret. Wierzę w przeznaczenie. Waszego spotkania inaczej wytłumaczyć nie potrafię. Tylko się nie wygadaj, bo mnie koledzy wyśmieją. To zgraja socjalistów i anarchistów. Nie chciał zdradzić, o czym rozmawialiście. Ale uważaj! Będę cię miał na oku, żadnej taryfy ulgowej. Przeciwnie, będę wymagał więcej.

- Poradzę sobie - zapewnił z przekonaniem.

Pracę znalazł dzięki Maggie, która pogadała z siostrzeńcem, a on szepnął słówko menedżerowi popularnego pubu Dickowi Howe. Został klezmerem. Pani Aniela byłaby dumna ze swojego ucznia. Byłaby, gdyby nie zmarła tej wiosny w samotności i zapomnieniu.

Okres, jaki pozostał do rozpoczęcia roku akademickiego, przepracował w pubie oraz w piekarni. Rozsądna decyzja, ponieważ zarobki okazały się, jak zazwyczaj bywa, niższe od spodziewanych. Z pierwszej wypłaty kupił okazji pordzewiały rower renomowanej marki Pashley. Rozebrał go, przeszlifował, pomalował i przesmarował wszystkie ruchome części. Po konserwacji wyglądał wspaniale i chodził jak nowy. Pracował w pubie siedem dni w tygodniu, od dziewiętnastej do dwudziestej trzeciej. Nie mógł pojąć, z jakiego powodu zamykają, kiedy gości jest najwięcej i chcą się bawić. Z pubu szedł do piekarni, w której pracował od poniedziałku do piątku do piątej rano. Nie było łatwo.

Początek roku akademickiego zbiegł się z przesileniem Bitwy o Anglię. Los świata, wydawało się, że ostatecznie przesądzony, stawał się ponownie sprawą otwartą. Hitler popełnił poważny błąd. Zamiast dokonać inwazji na pełną skalę w Afryce i zadać Brytyjczykom decydujący cios, bezmyślnie obrzucał ich bombami. Być może uwierzył Göringowi, który obiecał, że „rzuci Anglię na kolana”. Polscy piloci z wielkimi sukcesami uczestniczyli w tej podniebnej bitwie. Narodowość przestała być obciążeniem.

Znajomością niemieckiego nie ustępował nikomu ze swojego kursu. Nie uczył się języka wyłącznie na podwórku. Dużo czytał w oryginale. Profesor Imiałek powiedział kiedyś:

- Powinniście znać przynajmniej dwa języki. Wrogów i przyjaciół.

Ktoś spytał:

- Kto jest naszym wrogiem, a kto przyjacielem, panie psorze?

- Niemcy.

- Są przyjacielem czy wrogiem?

Imiałek wzruszył ramionami. Na to pytanie sam nie znał jeszcze odpowiedzi.

Był inteligentny, miał doskonałą pamięć, znał język, z nauką nie miał więc problemów. Rozwiązały się też kwestie finansowe. Pomocna dłoń załatwiła pierwsze korepetycje. Wyrobił sobie opinię, wtedy znaleźli się kolejni chętni. Opanowanie języka wroga było dla wielu Anglików pilną potrzebą. W piątek cztery godziny, w sobotę sześć, po kilka w tygodniu - udzielał korepetycji. Dwadzieścia godzin dawało większy zarobek niż trzydzieści w piekarni. Uznając, na przekór klasykom, wyższość pracy umysłowej nad fizyczną, zrezygnował z etatu w piekarni. Uzgodnił także nieco krótszy czas występów w pubie. Zaczynał o dwudziestej, kończył, jak poprzednio, o dwudziestej trzeciej. Mógł się nareszcie wysypiać jak normalny człowiek. Miał też trochę czasu dla siebie.

Zgłosił się do sekcji bokserskiej. Trener - typ sierżanta, twardziela - przyglądał mu się sceptycznie.

- My w tym składzie trenujemy od roku. Będiesz odstawał, chłoptasiu.

- Nie sędzę, trenerze. Trenowałem boks, poradzę sobie.

- Twierdzisz, że sobie poradzisz? No to zobaczymy. Hej, Tim, jest tu taki jeden, któremu się wydaje, że sobie poradzi.

Tim był rudzielcem niższym od Roberta, lecz mocniej zbudowanym. Już do tego przywykł, był wysoki i szczupły, a jego przeciwnicy z postury zwykle przypominali Tima. Dali mu rękawice

i po chwili stał w ringu. Sam był ciekaw, jak sobie poradzi. Już po pierwszej rundzie wiadomo było, który z nich jest lepszym bokserem. Po drugiej trener przerwał nierówny pojedynek.

- No proszę! Tim był do dzisiaj naszym najlepszym zawodnikiem półciężkiej. A ty, ile ważysz?

- Mam sześć stóp, ważę sto siedemdziesiąt funtów.

- To już półciężka. Nie wyglądasz na tyle. Pewnie dlatego, że jesteś zbudowany z samych mięśni. No, znakomicie, zapraszam do sekcji.

Nadeszła wiosna. Hitler nadal mógł wygrać wojnę. Do Afryki wysłał zaledwie dwie dywizje. Gdyby dał Rommlowi cztery dywizje pancerne, jak sugerował w raporcie złożonym osobiście 25 stycznia 1941 roku generał wojsk pancernych baron Hans von Funck, nic by Wielkiej Brytanii nie uratowało. Führer jednak zamiast słuchać, co mówi jego generał, irytował się, że patrzy na niego z góry i przez monokl. A na dodatek jest baronem. Funck musiałby kucnąć, żeby patrzeć wodzowi prosto w oczy z tej przyczyny, że był o trzynaście centymetrów wyższy. Z powodu pechowych trzynastu centymetrów, monokla oraz jednego tytułu barona III Rzesza przegrała wojnę²².

Dziekan zaprosił Roberta na kolację. Takie zaproszenie było wielkim wyróżnieniem. W drzwiach przywitali go Allan i jego żona. Tajemnica się wyjaśniła, kiedy z gabinetu wyszedł Basil. Nie zdążył się przywitać, a już podjął temat z pociągu.

- Zastanawiałem się nad twoimi teoriami. Muszę przyznać, że jest w nich wiele racji.

Allan nie rozumiał, o co chodzi, a Basil nie kontynuował wątku. Usiedli do stołu. Jedno miejsce pozostawało niezajęte. Nie pytał, dla kogo jest przeznaczone, chociaż męczyła go ciekawość. Wkrótce sprawa się wyjaśniła. Do jadalni wbiegła dziewczyna. Ta, która... rozjechała go przed dziekanatem. Chociaż zaskoczona, nie zdradziła, że już się spotkali. Miała na imię Laura.

Mógł się jej dokładnie przyjrzeć. A było na co patrzeć. Miała śliczne, niebieskie oczy, zgrabny, śmiesznie zadarty nosek, urocze dołeczki pośrodku policzków, gęste i długie kasztanowe włosy. Opisu dopełniała brzoskwiniowa cera oraz dodające wyrazu niewielkie woreczki pod oczami. Były też, a jakże, piegi tu i ówdzie, które ją bardzo irytowały, a jego jeszcze bardziej zachwyciły. Oddałby wiele za przywilej ich policzenia na całej właścicielce.

Wyglądała, jakby przyjechała prosto z wiejskiej rezydencji. Kremowy sweter w szpic o widocznym splocie wyhaftowany w fantazyjne kotki. Prosta, zapinana na guziki bluzka w podobnym odcieniu. Spódnica dobrana kolorystycznie, ceglasta z deseniem w kwiaty, i brązowe sznurowane buciki na niewielkim obcasie²³. Domyślał się, że pod efektownymi ciuszkami skrywała pełną kuszących zaokrągleń figurę. Nawet najlepsza przyjaciółka wytknęłaby Laurze szereg wad, z których pierwszą było kilka zbędnych funtów tu i ówdzie. On, zauroczony, żadnych wad nie dostrzegał. Laura zauważyła naturalnie, jakim wzrokiem na nią patrzył, nic jednak nie powiedziała. Przypadkowo ich spojrzenia się spotkały, a ona raczyła odwzajemnić uśmiech. Po kolacji przeszli do gabinetu. Allan z bratem omawiali sprawy rodzinne, on znalazł się nieoczekiwanie w jej towarzystwie.

- Studiujesz u taty? - zapytała uprzejmie.

- To dla mnie wielkie wyróżnienie. Dostać się na te studia nie było łatwo.

- Znasz niemiecki? Gdzie się tak dobrze nauczyłeś?

- W obozie szkoleniowym Abwehry²⁴.

- Dobry dowcip. A naprawdę?

- Jestem Polakiem. Pochodzę z Bydgoszczy. Przed wojną mieszkało u nas wielu Niemców. Języka nauczyłem się od nich. Byliśmy sąsiadami. Raz gorszymi, raz lepszymi, ale sąsiadami. Do władzy doszedł Hitler, wtedy przestaliśmy być dobrymi sąsiadami.

- Jak to jest mieszkać w jednym mieście ze szkopami? - Temat ją zainteresował.

- Mnie tam nie przeszkadzało. Jeden z moich niemieckich kolegów, Horst, prawdopodobnie uratował mi życie.

- W jaki sposób? - Dziewczyna była ciekawska jak kotka.

- Trenowaliśmy w jednym klubie. Poszedłem do Wojska Polskiego, on do Wehrmachtu. Kto wie, może do siebie strzelaliśmy. Ale tuż przed wojną co jakiś czas się spotykaliśmy. W tajemnicy, w krzakach nad rzeką, żeby nikt nie zobaczył, bo i jego, i mnie zaraz by oskarżono o zdradę. Ostrzegał, abym po wojnie nie wracał do domu. Nic więcej nie chciał powiedzieć, jednak miałem przecucie, że powinienem go posłuchać. We Francji dowiedziałem się, że po zajęciu miasta hitlerowcy urządzili masakrę. Gdybym wrócił, rozstrzelaliby mnie.

- Boże, jakie to potworne! Rozstrzeliwują niewinnych ludzi. Jak było na wojnie? Na pewno strasznie. Bardzo się bałeś?

- Czy się bałem? Jeszcze jak! Pewnego razu nasz pluton miał osłaniać odwrót. Beznadziejna sprawa. Dowódca zobaczył, że jestem blady jak ściana, podszedł i mówi: „Nie bój się, umrzesz za ojczyznę i będziesz z tego bardzo dumny”. Więc się przestałem bać, a jak popatrzyłem na swoje emocje, to się zdziwiłem.

Parsknęła śmiechem.

Dziekan i Basil w międzyczasie skończyli omawiać sprawy rodzinne.

- Lauro, Robercie, dołączcie do nas. Kochanie, Robert jest jednym z najzdolniejszych studentów na roku.

Przemilczał komplement, bo cóż mógł powiedzieć.

- Nie musisz mnie przekonywać, tato. Jest bardzo utalentowany, w sekundę popsuł mój rower.

Ładna i dowcipna. Przypomniała mu się Wika, jednak śmiał się najgłośniej.

- Rozmawiałem z Robertem o wojnie - dołączył do rozmowy Basil.

- Ma interesujące poglądy. Na szczęście jego obawy na razie się nie sprawdzają.

- O! Taki genialny jesteś? Nie wiedziałam. Jeżeli mamy w domu geniusza, musimy to wykorzystać. Zdradź nam koniecznie, co się

wydarzy w '41.

- Wiele się wydarzy. - Na wróżkę się nie nadawał.

- Jaka błyskotliwa przepowiednia. Też tak potrafię! - Była wniebowzięta, że może mu dokuczyć. Robiła to zresztą z wdziękiem.

- Niemcy napadną na Rosję!

Zupełnie nie rozumiał, dlaczego to powiedział. Może chciał się popisać przed Laurą? Wszyscy byli zaskoczeni, a najbardziej Basil.

- To niemożliwe. Niemcy i Sowieci zawarli pakt o przyjaźni na dziesięć lat. W tej wojnie są sojusznikami. - Basil naiwnie wierzył w traktaty.

- Wiem, bo w tym pakcie Ribbentrop i Mołotow podzielili Polskę.

- Wobec tego dlaczego tak sądzisz? - Basil potraktował go poważnie.

- Sam nie wiem, ale jeżeli Hitler nie wyraził zgody na przerzucenie do Afryki większych sił, musiał mieć istotny powód. Agresja na ZSRR jest jedynym, jaki mi przychodzi do głowy. Pozostało niewiele państw, których jeszcze nie podbił. Wszystkie oprócz Rosji są tak słabe, że mógłby bez problemu dać Rommlowi te kilka dodatkowych dywizji. Poza tym istnieje kilka hipotez, według których Hitler nie lubi Stalina.

- Oby to była trafna przepowiednia. - Basil myślał logicznie. - To by było dla nas najlepsze. Nareszcie nie bylibyśmy sami.

- Musisz, wujaszku, wiedzieć więcej, przecież masz kontakty²⁵. Jeżeli tak twierdzisz, to wspaniale.

Ku jego rozczarowaniu, pożegnała się i wyszła. Wybierała się na imprezę. Pomyślał, że taka dziewczyna musi mieć chłopaka i wielu chętnych w kolejce. Zrobiła na nim wrażenie...

Naszła go nostalgia za ojczyzną, w niemal pustym pubie grał melodie Ordonówny. Weszła Laura w towarzystwie trzech studentów. Poczuli zazdrość. Nie potrafił się jednak przemóc, podejść i przywitać, wstyd nie pozwalał. Mógł się jedynie przyglądać, jak ją podrywają, a ona,

podekscytowana, cieszy się z dowcipów i komplementów. Widział, że go poznała, jednak nie podeszła.

Był pogodny czerwcowy dzień, a jemu się nigdzie nie spieszyło. Wracił do pensjonatu, prowadząc rower za kierownicę.

- Hej, Rob! - dobiegł zza pleców wesoły, kobiecy głos.

To była Laura, właśnie wyszła ze sklepu. Miała na sobie jasnobrązową bluzkę z krótkim rękawem i ciemnobrązową spódnicę do pół łydki. Zauważył, że dobierała strój pod kolor włosów.

- Cześć, Lauro. Jesteś czarującą dziewczyną. Wyglądasz wspaniale.

- Dziękuję, Rob. Dokąd idziesz?

- Wracam z zajęć, idę do swojego pensjonatu.

- Gdzie to jest?

- Przy Howard Street, niedaleko stąd.

- Dobrze się składa, bo idę w tym samym kierunku. - Popatrzyła na niego uważnie i zaskakująco intymnym gestem przejechała palcem po bliźnie. - Pamiątka z wojny?

- O tak, miałem sporo szczęścia. - Nie wyjaśnił oczywiście, na czym to szczęście polegało.

- Z blizną ci do twarzy. Wyglądasz... wyglądasz jak... - szukała właściwego skojarzenia. - Wyglądasz jak pirat.

- Dla ciebie gotów jestem zostać piratem.

- Opowiedz, skąd się wzięła ta blizna.

- To było we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Służyłem w artylerii konnej. Niemiecka artyleria ostrzelała nas z nienacka. Całe straty, jakie ponieśliśmy, to dwa zabite konie i moje draśnięcie. Odłamek przeciął policzek jak brzytwą.

- Tylko koni żal, ciebie ani trochę. Co było dalej?

- Walki trwały jeszcze kilka dni, stale byliśmy w odwrocie. 17 września napadli na nas Sowieci. Miałem szczęście, ponieważ mój pułk już wcześniej skierował się w stronę granicy rumuńskiej. Za nic

w świecie nie chciałbym trafić do sowieckiej niewoli. Udało mi się przekroczyć granicę i przez Francję dotarłem tutaj.

- Specjalnie po to, żeby popsuć rower. I jeszcze podarłeś moją ulubioną spódnicę! - Jej oburzenie było tak szczere, jakby wierzyła w to, co mówi.

*Utrzymawała bezczelna,
że strój jej został rozdarty...
Niżli się kłócić z kobietą
łatwiej zwalczać dzikie Party...*

Zdażył już zauważyć, że dziewczyna, jeśli chłopak wpadł jej w oko, bywa troszkę złośliwa. W ten sposób się przed nim popisuje. Pod żadnym pozorem nie należy się z nią wtedy spierać, a jeżeli nie ma racji, natychmiast ją przeprosić. Słowem więc nie wspomniał, że to ona jechała po chodniku i to była jej wina. Za bardzo mu się podobała.

- Naprawiłaś już?

- Naprawiłam. Uważam teraz na gapy z pierwszego roku. Ile ty właściwie masz lat?

- We wrześniu skończę dwadzieścia jeden.

Doszli właśnie do pensjonatu pani Henderson.

- Myślałam, że jesteś starszy. Tutaj mieszkasz? Zaprosisz mnie?

- Z wielką przyjemnością.

Powiedziawszy to, ugryzł się w język. Było już jednak za późno. Weszli do pokoju.

- Jaki malutki. Zupełnie jak w koszarach. - Z uznaniem oceniła nienaganny porządek.

Poszedł do wspólnej kuchni zrobić herbatę. Dla niej czarnego liptona z jedną kostką cukru. Modlił się, żeby nie zauważyła wierszyka na ścianie. Kiedy wrócił, jakżeby inaczej, stała przed wierszem i głośno się śmiała.

Do L...

*Laura taka doskonała
A ja jestem pełen wad
„Ale z nich dobrana para!”
Śmieje się z nas cały świat
Laura – anioł, przeurocza
Ja mrukliwy, słowem: gbur
Laurę Amor by unosił
Ja zaś błędzę pośród chmur*

- Co jest? – spytała, widząc, jak się spieszył.

- Jeśli wyjaśnię, i tak nie uwierzysz.

- Spróbuj przynajmniej. Wierszyk jest uroczy. Szkoda, że nie jestem doskonała. Ale przyjemnie coś takiego o sobie usłyszeć.

- No więc czasami piszę wierszyki, takie tam rymy częstochowskie.

- To widzę.

- Rzecz w tym, że ja wierszy nie piszę, one się układają same. Ten wyfrunął z treścią: „Pani taka doskonała”. I tak dalej. Dla żartu zmieniłem „pani” na „Laura”. Rymowanki lęgnące się w mojej głowie nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Przecież nie jestem taki beznadziejny jak ten gość z wiersza.

- Coś ty? – Parsknęła śmiechem.

- A ty – kontynuował niezrażony – inteligentna, urocza i śliczna, na doskonałość musisz jeszcze poczekać.

- Rozczarowałeś mnie. – Spojrzała zalotnie. – Myślałam, że się we mnie zabujałeś i dlatego napisałeś ten wiersz.

- Jasne, tak myślałaś i się z tego śmiałaś.

- To zupełnie nie tak. Nie z ciebie się śmiałam, tylko z wierszyka. Jest strasznie zabawny. Nawet jeśli się we mnie nie zakochałeś, dziękuję, że mnie go zadedykowałeś.

Usiedli przy mikroskopijnym stoliku i pili herbatę.

- Ale, ale, mój geniuszu. Już czerwiec, a obiecanej wojny jakoś nie widać.

- Pomyliłem się. Może zmienimy temat.

Miała widocznie dzień dobroci dla Roberta, bo nie drażyła tematu niefortunnej, jak się wtedy wydawało, przepowiedni.

- Twierdzisz, że się we mnie nie zakochałeś. Może masz już dziewczynę?

- Na razie się w tobie nie zakochałem. Nie było okazji. Dziewczyny nie mam.

- To do zakochania potrzebna jest specjalna okazja? Nie wiedziałam.

- Przecież rozmawialiśmy zaledwie dwa razy. Z czego pierwszy, jak pamiętasz, nie był wymarzonym początkiem romansu.

- Pamiętam. Nazwałam cię matołkiem. Nie powinnam, prawdę mówiąc, to była moja wina.

- Ale jesteś dzisiaj łagodna. Jak baranek.

- Prawda? Jak owieczka. To było urocze spotkanie. Muszę już iść. Mam nadzieję, że mnie jeszcze zaprosisz. Na ścianie będzie wtedy wisiał wiersz do jakiejś M. - Nacisnęła ręką materac. - Jaki twardy! Cegieł do niego nawkładałeś? Nic dziwnego, że nie masz dziewczyny. Na takim materacu każda sobie tyłek odbije. - Zrobiła zabawną minę i śmiejąc się, zbiegła po schodach.

Jeśli tylko chciała, potrafiła być urocza.

Tydzień później, 22 czerwca, Hitler napadł na Związek Radziecki. Wojna weszła w decydującą fazę. W ciągu zaledwie dwóch tygodni wojska niemieckie wdarły się setki kilometrów w głąb Rosji, zabijając i biorąc do niewoli miliony czerwonoarmistów. Całe armie szły w rozsypkę. Pojawiły się opinie, że wojna potrwa krótko, a porażka Sowieców jest przesądzona. Komentatorzy różnili się jedynie w ocenie, jak długo ZSRR będzie się trzymał. Wiadomości z frontu wschodniego przez wiele miesięcy były przygnębiające. Niemcy kroczyli od zwycięstwa do zwycięstwa.

Na początku października, tuż po rozpoczęciu roku akademickiego, do pubu przyszła Laura. Była sama i tym razem podeszła do pianina. Było niewielu gości, mogli więc swobodnie rozmawiać.

- Cześć, Rob, dawno się nie widzieliśmy. Byłam na wakacjach i niedawno wróciłam. Co słychać?

- U mnie wszystko w porządku, tylko wokół nas same problemy.

- Rzeczywiście, wygląda to wszystko tragicznie, a ja nie znoszę jesieni. Te mgły i wilgoć. Jak idzie uwodzenie Angielek, zrobiłeś jakieś postępy?

- Lauro, nie zamęczaj mnie tym tematem. Nie mam dziewczyny i basta.

- Mówiłam przecież, żebyś zmienił materac. Miałeś dziewczynę? - zapytała z tym uroczym uśmiechem, który kobietom przychodzi na zawołanie.

- Miałem, oczywiście, że miałem. W Polsce.

- Kochałeś ją?

- Bardzo. Ona mnie też kochała.

- Jest teraz w Polsce?

- Nie, na szczęście przed wojną wyjechała do swojej ciotki. Jest w Szwajcarii. Od roku nie mam z nią kontaktu.

- To smutne.

- Dla mnie smutne, dla niej już nie. Znalazła sobie innego.

Laura miała piękne włosy. Podczas rozmowy bezwiednie bawiła się lokiem.

- Wspaniale grasz. - Spojrzał na nią pobłaźliwie. - Lubisz grać, prawda?

- Owszem, lubię, jednak mierny ze mnie pianista. Krzesło klezmera jest najwyższym szczeblem moich aspiracji.

- A jak u ciebie z tańczeniem?

Oczami wyobraźni zobaczył siedzącą na murku i dyndającą nogami Wikę.

- Z czego się śmiejesz? Powiedziałam coś zabawnego?

- Nie, skądże, powróciły wspomnienia. Tańczę jako tako. Nauczyła mnie moja dziewczyna. Tak się poznaliśmy.

- No, nie myślisz chyba...

Laura mu się podobała, nawet bardzo, jednak romans z córeczką dziekana groził nieprzewidywalnymi konsekwencjami.

Zaczęli się schodzić goście. Laura była umówiona z przyjaciółmi. W odróżnieniu od poprzedniej wizyty nie byli to adoratorzy, a koleżanki i koledzy z jej kursu. Wesołe, rozgadane i wyjątkowo sympatyczne towarzystwo.

- Rozmawiałaś z klezmerem? - Diana była najlepszą przyjaciółką Laury. - Skąd go znasz?

- Tak, to student taty, Polak. Nic specjalnego.

- Nic specjalnego, mówisz. Też mi się tak wydaje. Taki jakiś dziwny, podejrzenie wygląda. I jeszcze ta szkaradna blizna. Nigdy bym się nie domyśliła, że jest studentem, prędzej jakiś oprych. Ci Polacy podobno piją na umór. A jak koszmarnie ubrany!

- Wcale nie jest dziwny. Jest przystojny, a z blizną wygląda tajemniczo. Zresztą, jest z wojny. I dostał medal! - zaperzyła się.

Medal dodała od siebie. Nie mogła przecież pozwolić, żeby jej najlepsza przyjaciółka wyrażała się źle o chłopaku, którym była zainteresowana.

Tu cię mam. Diana parsknęła śmiechem. Wymyśliła wszystko na poczekaniu, żeby ją podpuścić.

- To jak w końcu jest? Nic specjalnego czy się podkochujemy? Amore, la la la - zanuciła całkiem głośno.

- Ciszej, idiotko! - syknęła Laura. - Jak możesz tak myśleć?! To, że jest przystojny, nie znaczy, że się będę zaraz podkochiwała. Co najwyżej on się podkochuje. Nawet wiersz dla mnie napisał. A i tak nie ma szansy. - Zadarła w górę nosek, aby pokazać, co o nim na ogół sądzi.

- O! Jaki zdolny! Skoro ci nie zależy, nie obrazisz się, jak z nim poflirtuję? Tak dla sportu, żeby się rozerwać. - Systematycznie dokręcała śrubę.

Laura obrzuciła ją morderczym spojrzeniem. *Jak możesz mi to zrobić? A ja myślałam, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką.*

- Naturalnie, nie widzę problemu. Ale musisz wiedzieć, że on tu pozaliczał co drugą. Chwalił się, taki okropny typ.

- Jeżeli jest, jak mówisz, ma na pewno doświadczenie. No wiesz, w czym... Chętnie z nim spędzę rozkoszne *tête-à-tête* - zachichotała.

- Jesteś podła! - Laura w końcu nie wytrzymała, a Diana tylko na to czekała.

- Trzeba tak było od razu! Myślałaś, że dam się nabrać?

- Jesteś naprawdę ostatnia z ostatnich!

- Wcale nie jestem. A twojego chłopaka nawet nie tknę. Zgadza się, jest przystojny, więc życzę powodzenia.

Laura pokazała jej język. Zaczęły się głośno śmiać i rzucać w jego kierunku niby ukradkowe spojrzenia. Doskonale się przy tym bawiły. On też był w znakomitym nastroju. Dwie śliczne i wesołe dziewczyny się z niego podśmiewają i jednocześnie puszczają oko. Co tu kryć, wielce mu to pochlebiało.

W grudniu świat zamarł. Niemieckie czołgi przedarły się pod Moskwę. Upadek Związku Radzieckiego wydawał się przesądzony. Zdarzył się jednak cud. Rosjanie obronili stolicę. Nastroje w Anglii uległy poprawie. Po raz pierwszy pojawiła się nadzieja, że tę wojnę uda się wygrać.

Nowego Roku nie musiał, jak większość wojennych tułaczy, spędzać samotnie. W pubie urządzono imprezę noworoczną. Goście byli przypadkowi, więc nikogo nie znał. Ponieważ w ten jeden dzień do tańca grała wynajęta orkiestra, nie miał żadnych obowiązków. Dick poprosił, żeby tańczył z samotnymi kobietami. Ze wszystkimi, niezależnie od wieku i urody. Zaczął się tłumaczyć, ale Robert przeciął te wyjaśnienia.

- Nawet gdybyś nie prosił, też bym to zrobił. Obiecuję, obtańczę wszystkie. Tyle dla mnie zrobiliście.

- Jesteś równy gość. Baw się dobrze. - Dick klepnął go w ramię i popędził do swoich obowiązków.

Samotnych kobiet było nadspodziewanie wiele. Walki w Europie ustały w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie pod Moskwą, ale Anglia toczyła wojnę w Afryce oraz na Dalekim Wschodzie. Tuż przed Nowym Rokiem Rommel został zatrzymany. Jeszcze nie pokonany, jednak i tak było to wielkie zwycięstwo.

Partnerki Roberta były samotnymi kobietami, których mężowie przebywali na froncie. Były też, niestety, i wdowy. One nie tańczyły. Wojna zbierała haracz nawet w Oksfordzie. Na szczęście większość gości przyszła parami i to oni nadawali zabawie radosny, noworoczny charakter.

Dziekan zaprosił studentów na kolację w Magdalen College. Przyszła z nim Laura i usiadła obok Roberta. Zrobiła to świadomie, przyspieszając mu gwałtownie puls. Przy deserze niechcący trąciła go nogą. Z uprzejmości nieco się odsunął. Po chwili ponownie poczuł nacisk. Tym razem nogi nie cofnął. Jej stopa rozkosznie powolnym ruchem sunęła w górę. Z miną niewiniątka rozmawiała z kolegą z drugiej strony. Jedyne kąciki ust drgały nieznacznie. *Co za dziewczyna! Przecież gdyby chciała, mogła znaleźć mnóstwo lepszych okazji.* Po chwili kobieca stopa opuściła miejsce, do którego dotarła w mozolnej wspinaczce. Zachowywała się naturalnie, nawet uważny obserwator niczego by nie zauważył.

Po kolacji dyskutowali o wojnie. Nie znosił tego tematu. Gadaniem się wojen nie wygrywa. Tym razem wszyscy byli zgodni: sprawy idą we właściwym kierunku.

- A co ty o tym sądzisz, Rob? Kiedy wojna się skończy? - zapytała Laura.

- No cóż, po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny wynik jest przesądzony. A ile jeszcze potrwa? Kilka lat, jak przypuszczam.

- Kilka lat? - Wszyscy byli poruszeni.

- Tak to niestety widzę. W przyszłym roku inwazja na kontynent jest mało prawdopodobna. Pozostaje 1944. Dopiero czterdziesty czwarty. Zaciągnę się pod koniec czterdziestego trzeciego, żeby zdążyć na inwazję.

- A twoje studia? - Po raz pierwszy okazała zainteresowanie jego sprawami.

- W Wielkiej Brytanii znalazłem bezpieczne schronienie. Wasz rząd finansuje moje studia. To honorowy dług, dlatego muszę go spłacić. Mam doświadczenie, znam ich język, więc się przydam, a zabić mnie będzie trudno. Przemykam między kulami.

Wyszedł przed nią, nie poszedł jednak do siebie. Stał tuż za rogiem. Nie musiał czekać długo, po chwili w drzwiach pokazała się Laura. Podszedł do niej.

- Dokąd idziesz? Mogę cię odprowadzić?

- A ty co tu robisz? Myślałam, że się gdzieś spieszysz, tak szybko wyszedłeś.

- Zmieniłem zdanie. Więc jak, mogę cię odprowadzić?

- Nie mogę ci zabronić, ale uprzedzam, wybieram się na randkę!

- Nic nie szkodzi. Odprowadzę cię tylko i znikam.

- Mój narzeczonemu nie będzie zachwycony.

- Masz narzeczonego? Nie mówiłaś.

- Bo nie pytałaś. Pewnie, że mam. To jeden z tych, z którymi kiedyś przyszłam do pubu. Ten najwyższy. Jest bardzo silny i trenuje rugby.

- Co za zbieg okoliczności, ja też jestem silny. I uprawiam boks.

- Trenujesz boks? Nieustannie mnie zaskakujesz. W takim razie Martin nie będzie miał wyrzutów sumienia, jak cię spierze na kwaśne jabłko.

- Pewnie! Za kim ty będziesz?

- Jak to za kim? Rozumie się, że za nim.

Narzeczonemu się nie przejął, objął ją i próbował pocałować. Z początku energicznie się opierała. Nie na tyle jednak, żeby mu się wyrwać. Wreszcie, dysząc z wysiłku i prychnając ze złości, uległa.

Wydawało mu się nawet, że oddaje pocałunek. Kiedy się od niego oderwała, była zaczerwieniona. Jej oburzenie było tak widoczne, że przez chwilę sądził, iż go spoliczkuje. Chyba miała taki zamiar, jednak w ostatniej chwili się opanowała.

- Jak śmiałeś?!

- Długo marzyłem o tym pocałunku. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

- A ta napaść? - zapytała, nadal oburzona.

- Jaka znowu napaść? Przecież to był tylko pocałunek.

- Tylko pocałunek, tylko pocałunek. - Złość jej jeszcze nie przeszła. - Jesteś nieznośny, a twój tupet nie zna granic. Gdyby mi przy kolacji ktoś powiedział, że będę się z tobą szamotała na środku ulicy i jeszcze pozwolę się pocałować, to naprawdę, naprawdę...

- Nie będę się narzucał. Idź na randkę, życzę powodzenia.

Okręcił się na pięcie i zostawił ją samą na środku ulicy z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Na następne spotkanie nie musiał długo czekać. Sama przyszła do pubu.

- Halo! - zawołała.

- Och, halo, Lauro!

- Mam nadzieję, że twoje skandaliczne zachowanie się nie powtórzy. Wiesz, o czym mówię, prawda?

- Ależ skąd! Nie! Tak, to znaczy nie. Wykluczone! Bez twojej zgody cię nie pocałuję - zapewniał z fałszywym uśmiechem.

- Znakomicie się składa, bo nigdy mnie nie pocałujesz, nawet gdybyś się zachowywał jak dżentelmen, czego nie potrafisz i co powinnam była przewidzieć. Ale do rzeczy. Za parę dni jest bal karnawałowy. Martin wyjeżdża, a ja nie mam z kim pójść. Koledzy z mojego kursu to jeszcze dzieciaki. Jeśli chcesz, to zapraszam. - Przyglądała mu się z wyżyn swej kobiecej doskonałości.

- Pewnie, że chcę. Z tobą...

- Mówisz „chcę”, a wyglądasz, jakbyś był nieobecny. Nie musisz się poświęcać, znajdę innego. - *Nieba! Ale z niego nielot, jeszcze się nie domyślił!*

- Wybacz. To nie ma nic wspólnego z tobą. Coś mi się przypomniało z przeszłości. To kiedy ten bal?

- W przyszłą sobotę w Rhodes House. Mówiłeś, że potrafisz tańczyć, więc czeka nas dobra zabawa.

- Nie mam pojęcia. Nie tańczyłem od dawna.

- Spotkajmy się jutro w sali tanecznej. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Wika była doskonałą nauczycielką, więc poszło im dobrze. Nie był już tym nieśmiałym chłopcem, który wszedł z Wiką do przerobionej na salę balową sali gimnastycznej. Fizycznie się zmienił, zmężniał. Przeżycia wojenne sprawiły, że mając dwadzieścia jeden lat, był dojrzałym mężczyzną. Laura czuła, że on ją prowadzi. Musieli przećwiczyć tylko dwa najnowsze tańce przywiezione przez amerykańskich żołnierzy.

- Nie spodziewałam się, że tak dobrze tańczysz.

- Z taką tancerką jak ty nawet stołowej nodze pójdzie doskonale. Zakręcisz raz i drugi...

- Dziękuję za komplement. Już się cieszę na bal.

- Muszę jeszcze kupić koszule. Te z Polski zrobiły się ciasne, za dobrze mnie tu karmią.

- Nie mów, jesteś taki szczupły. - Przesunęła palcem po jego piersi.

Chętnie bym cię podtuczyła, kotku.

Umówili się przed salą balową. Na jej widok odebrało mu mowę. Zawsze uważał, że jest piękna, lecz dzisiaj, w skromnej, dopasowanej do jej figury błękitnej sukience, wyglądała zjawiskowo. Nie mógł oderwać od niej wzroku. W świetle kryształowych żyrandoli jej włosy miały poblask bursztynu. Starając się ukryć zauroczenie, podziwiał jej kobiece kształty. Była pogodna, pełna życia, wesoła i piękna. Tak po prostu. No i miała rewelacyjne nogi.

- Cześć! Wchodzimy. Nie marnujemy czasu. - Domyśliła się oczywiście, jakie wrażenie na nim zrobiła, i wcale jej to nie zmartwiło.

Na sali była już większość gości. Laura cieszyła się, że rodzice nie przyszli, bo by ją krępowali. Ustawiła się do niej kolejka oczarowanych jej urodą panów. Przyszedł na bal dla niej, więc nie przeszkadzało mu, że ma takie powodzenie. Od przyjazdu do Anglii nie pił alkoholu. Z pieniędzmi było krucho i za ciężko pracował, żeby pozwalać sobie na kaca. Przeszedł do bufetu i obserwując tańczące pary, pił czerwone wino.

- Porzuciła cię? - usłyszał nad uchem kobiety głos. Stała za nim Diana.

- Nie, skądże. Ma powodzenie, każdy chce z nią choć raz zatańczyć.

- Nie przeszkadza ci to?

- Dlaczego miałyby przeszkadzać, przecież nie jest moją dziewczyną.

- I nie jesteś o nią zazdrosny? - nie ustępowała.

- Żeby być zazdrosnym, trzeba być mężem, narzeczonym, kochankiem czy coś tak.

- Zabawny jesteś. Laura mówiła, że łamiesz kobietom serca.

- Nie przypominam sobie, żebym łamał kobiece serca. Musiało ci się źle usłyszeć.

- Jeżeli z Laurą nie wyjdzie, spróbuj ze mną. Może ci się bardziej poszczęści. - Uśmiechnęła się znacząco.

Laura kątem oka dostrzegła, że rozmawia z Dianą. Zatrzęsło ją ze złości. Ze zdawkowym „przepraszam” porzuciła zaskoczonego partnera na środku parkietu i energicznym krokiem szła w ich stronę. Diana również ją obserwowała. Kiedy już była blisko, położyła rękę na ramieniu Roberta. Laura parsknęła z oburzenia. Chętnie by wygarnęła swojej najlepszej, fałszywej przyjaciółce, co o niej myśli. Zreflektowała się jednak. *Nie będę robiła z siebie widowiska.*

- Widzę, że się świetnie bawicie. Nie przeszkadzam? - zapytała z wymuszonym uśmiechem.

Starła się mówić od niechcienia, nie za bardzo jej jednak wychodziło. Poczuła, że na policzkach ma zdradzieckie rumieńce.

- Ależ skąd. Wspaniale, że masz takie powodzenie - usiłował rozładować sytuację. - Mną się nie przejmuj. Będę cię podziwiał, pijąc wino.

- Mam ochotę zatańczyć z tobą. Możemy? Wybaczysz, Diano? - Posłała jej zatrute jadem spojrzenie.

Diana puściła oko do Roberta, odwróciła się na pięcie i poszła sobie. Widział, jak wściekła jest Laura, i nie chciał jej prowokować. Była oburzona i chciała mu wygarnąć, ale doszła do wniosku, że to nie jego wina. To przecież Diana go podrywała!

Poddała się zatem zasadom tej misternej gry, uśmiechała kusząco, odchyłała głowę, pokazując, jaką piękną ma szyję, zaglądała w oczy. Była frywolna, niedostępna i zalotna jednocześnie. A on pieścił wzrokiem jej ponętne ciało.

Odprowadził ją pod sam dom. Był luty, ale pogoda nie przypominała polskiej zimy. Nie było śniegu, nie było mrozu, za to wiele wilgoci w powietrzu.

Przy pożegnaniu, z ponadczasową niewieścią maestrią, dała mu do zrozumienia, że może ją pocałować. Nie wyrywała się, a kiedy ją przyciągnął, przywarła do niego jeszcze bardziej. Całowała namiętnie, bez skrępowania. Z trudem się od siebie oderwali.

- Zrobiłeś to, ty czarciu! - Roześmiała się.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Nie rozumiesz? No to ci wyjaśnię! Jestem w tobie zakochana. Tak to sobie zaplanowałaś, prawda? No, jaki oniemiały, ogłupiały wyraz twarzy. Nie wierzysz mi? - Była zaskoczona swoją śmiałością, bo przecież nigdy tak otwarcie nie rozmawiała z mężczyznami o uczuciach.

Umówili się w parku. Na powitanie zarzuciła mu ręce na szyję. Całując, czuł nacisk jej sprężystych piersi, a ona jeszcze bardziej jego sztywniejącą męskość. Wzięła go za rękę i śmiejąc się, pociągnęła za

sobą. Wynajmowała skromne, gustownie zabałaganione mieszkanie z oddzielnym wejściem na parterze starej, stylowo zaniedbanej willi. Niewielki salon i sypialnia, do której wchodziło się z salonu, oraz wydzielony aneks kuchenny.

Podgrzała w piecyku smakowicie wyglądające risotto, on otworzył butelkę wina. Zapaliła świece w lichtarzu, oświetlając intymnym blaskiem stół. Jedli, pili wino i z obiecującymi wszystkim uśmiechami pochłaniali się wzrokiem. Póki co wystarczała wyobraźnia. Na deser podała pyszny suflet czekoladowy. Jajka i czekoladę, które były reglamentowane, wyniosła po kryjomu z domu. Kiedy skończyli, uśmiechnęła się niewinnie, podniosła szklanę jak do toastu i wypła. On zrobił to samo, odstawił szklanę, pochylił się i pocałował ją w usta. Następnie posadził okrakiem na kolanach. Miał ją wreszcie dla siebie. Całował, pieścił, zwiedzał dłońmi ciało.

Zdejmował bluzeczkę, zabawiając się rozpinaniem guzików. Uwolnił ją od stanika, spod którego wyłoniły się kształtne piersi. Pomagała mu, niby w roztargnieniu, przy bardziej skomplikowanych czynnościach. Zafascynowany patrzył, jak spod białego, koronkowego materiału wyłania się futerko w kolorze włosów i na końcu urocza, zawstydzona swą nagością cipka. Laura była urzeczona jego fascynacją. Nie mogła się doczekać, kiedy i on się rozbierze. Zaniósł ją do łóżka i na nie rzucił, bezwstydnie ciesząc się z tej demonstracji posiadania. Leżała przed nim, taka świeża i taka chętna, że mu się od jej widoku zakręciło w głowie. Okazała się rozkoszniejsza od sufletu. I ten blask w jej oczach. Trwało to tak długo, że wreszcie nie wytrzymała.

- Zrób to, chcę widzieć, jak we mnie wchodzisz. - Uniosła się na łokciach.

Wepchnął do końca, a ona sapnęła zadowolona. Zamknęła oczy i była już daleko; oprócz jego w sobie, niczego nie potrzebowała. Podczas tej ich wspólnej gonitwy brykała i dokazywała pod nim jak narowista klaczka. Należała do kobiet, które nie lubią pośpiechu.

Miała dosyć czasu, żeby dotrzeć do *grande finale*, a satysfakcję wyraziła bardzo głośno.

- Och tak, właśnie tak. Błagam, nie prze ry waj, nie prze ry waj - jęczała.

Uwielbiał takie kobiece koncerty a cappella. Tej muzyki mógł słuchać bez końca. Na głębokie, wydobywające się z przepony pojękiwania nakładały się dźwięki wysokie, sopranowe i bardzo kobiece. Uzupełniające się zapachy i dźwięki tworzyły kompozycję równie ważną jak odczucia penisa. Nałożył prezerwatywę i dokończył, potem się z niej zsunął, objął ją i przytulił. Odwróciła się plecami, pośladkami przylgnęła do jego podbrzusza. Skubał zębami ucho, a ona chichotała. Kiedy ochłonęli, ponownie się nią zajął. Ustawił na czworakach i podziwiając kształtny tyłek, pieprzył, wykorzystując biodra jako poręczne uchwyty.

Wtulona w niego czekała, aż będzie gotowy na więcej. Twarz zmieniła wyraz, rysy złagodniały. Przyglądała się pożądliwie penisowi. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Wyciągnęła rękę i dotknęła ostrożnie, jakby to było dzikie zwierzątko, które wielkiej krzywdy wprawdzie nie uczyni, może jednak boleśnie ugryźć. Przesuwała palcami wzdłuż całej długości. Przełykała ślinę, wzrok miała rozmyty. Sięgnął między nogi, mógł się teraz zabawiać cipką. Pociągał za *labia*, skręcał je, przesunął palcem wzdłuż wgłębienia, jakie tworzyły, naciskał na sam wlot pochwy, podrażniał nabrzmiąłą lechtaczkę. Ta zabawa zawsze go podniecała, a Laura była nieskomplikowana, pragnęła wszystkiego, wszystko ją pobudzało. Dotykanie tak ją rozпалиło, że u wylotu cipki pojawiła się kropla śluzu, potem druga. Wsunął się w nią i uniósł, utrzymując cały ciężar na nogach i łokciach. Jedynym miejscem, w którym ich ciała się stykały, było teraz jej wnętrze. Zaczęła unosić biodra w górę i w dół, jakby go chciała wyręczyć. Wtedy stracił nad sobą kontrolę, całował tak, że pogryzł jej wargi. Ją to podnieciło do szczytowania. Dokończył, wgniatając ją w pościel. Leżała na plecach z zachęcająco rozchylonymi nogami, czekając, co z nią zrobi. Usiadł w nogach łóżka

i oglądał cipkę. Miała niewielką. Małe, dosyć grube *labia*, teraz nabrzmiące podnieceniem, karminowe. Prztyczek, jak zdążył sprawdzić, wyjątkowo wrażliwy. Leżała przed nim kobieta stworzona do miłości.

Wracała z niebytu. Nikt jej tak jeszcze nie zaspokoił. Jej partnerzy w łóżku lubili się spieszyć. Miewała chwile ekstazy, namiętne noce, nie przypominały one jednak w żaden sposób rozkoszy, jakie z nim przeżywała. Dla zachęty przytuliła się i wzięła w rękę. Uśmiechała się, jakby chciała powiedzieć: „Zrób mi to jeszcze raz”. Tym razem nasadził ją na siebie. Widać było, że woli, kiedy jej jest na górze. Miała wąską szparę, opadając, pokonywała swoim ciężarem opór, jaki stawiała. Zamknęła oczy, oblizywała wargi. Znalazła się w swoim własnym świecie, w którym nie istniało nic poza rozkoszą. Chciała się w nim zatracić i zostać już na zawsze. Krew w jej żyłach wrzała, porozrywane na strzępy zmysły trawił ogień.

Przypominała ilustrację z bajki dla bardzo niegrzecznych chłopców. Przykrył cycki dłońmi i na przemian zaciskał, potem rozluźniał uchwyt. Sutki miała wydatne, ciemnoczerwone. Kontrastowały z kremowobiałymi piersiami. Naciskając, czuł, jakie są ciężkie w środku. Jakby były zbudowane z różnych materiałów. Lżejszego i sprężysto-miękkiego na powierzchni, cięższego i twardszego pod spodem. Przekonał się, jakie są wrażliwe na dotyk. Pociemniały jeszcze bardziej, naprężyły się, a antenki stanęły na baczność. Wydawała z siebie intrygujące dźwięki. Sypialnię wypełnił lepki i gęsty zapach. Zwietrzył ten czarowny aromat, od którego zakreśliło mu się w głowie, i chciwie wciągał w nozdrza. Mógł tym razem dłużej, a ona mogła się nim bardziej nacieszyć. Wyczuwała, że jest blisko, wtedy przerywała. Kiedy napięcie opadło, zaczynała ponownie. Powiedział, żeby kończyła, bo dłużej nie wytrzyma. Dokończyła ręką. Wzięła się gorliwie do pracy i po chwili trysnął strumień spermy. Patrzyła na tę fontannę z fascynacją. Wziął prysznic. Kiedy wrócił, na stoliku stała otwarta butelka wina i taca z owocami.

- Napij się, skarbie, bo mi zasłabniesz. Muszę dbać o swój stan posiadania.

Podszedł od tyłu, uniósł szlafrok i ugryzł ją w tyłek.

- Jest taki apetyczny, że nie mogłem się powstrzymać.

Rozsunął szlafrok i głaskał uda po ich wewnętrznej stronie. Za chwilę dłoń powędrowała w górę, lekko przy tym drapiąc. Zamknęła oczy i rozchyliła wargi. Im wyżej wędrowała dłoń, tym szybciej oddychała. Teraz już mocno zagryzała wargi. Potem, jakżeby inaczej, temperatura pocałunków wzrosła, szlafrok zsunął się z ramion, światła przygasły i ponownie znaleźli się w łóżku. Im dalej w tę długą noc, tym bardziej ich ciała się otwierały. Aż wreszcie, zmęczeni rozkoszą, usnęli.

Obudziła się późno, przeciągnęła lubieżnie, odrzuciła kołdrę i zadowolona z widoku dosiadła go, leniwie unosząc się i opadając. Oczy miała przymknięte, wargi napuchnięte od pocałunków. Robert przenosił się z marzeń sennych w marzenia na jawie.

- Przyjdiesz wieczorem? - upewniała się.

- Dzisiaj nie mogę, mam już umówione korepetycje, ale jutro jestem wolny. Jeśli mnie zaprosisz...

- No pewnie, że zapraszam. - Nie skrywała radości, obce jej były gierki.

- Wczoraj wziąłem wolne. Nie mogę się zwalniać zbyt często, za to będę kończył wcześniej. Do ciebie dotrę koło jedenastej. Nie za późno?

- Na to nigdy nie jest za późno. - Niebieskie oczy lśniły pożądaniem. - Poczekam. A w niedzielę nie pracujesz?

- Pracuję, ale wezmę dzień wolny, żeby się tobą nacieszyć.

- W takim razie masz być ze mną cały dzień.

- Ale ty jesteś zachłanna.

- A żebyś wiedział. Mnie się tak łatwo nie pozbędziesz. Nawet na to nie licz, mój drogi. I zapomnij o Dianie. Jestem zazdrosna, ona dla ciebie nie istnieje.

Była trochę zazdrosna, ale po tym wyznaniu poczuła się lepiej. Chcąc pokazać, jaka jest szczęśliwa, całowała, delikatnie kęsając dolną wargę. Szlafroczek przy tym odchylił się zdradziecko, odsłaniając nabrzmiały cycek, czekający niecierpliwie, żeby się nim zajął.

- Jesteś cudowna. Było jak w niebie.
- Szczerze, czy mówisz, żeby nie sprawić przykrości?
- To święta prawda, jesteś stworzona do miłości.

Dla Laury czekanie na następną schadzke było nieznośne. Nawet w domu, do którego wpadła na chwilę, była rozdrażniona. Wargi lekko opuchnięte, cipka przypominająca, że jest i ma swoje potrzeby. Diana nieomylnym wzrokiem rozpoznała stan przyjaciółki. Między zajęciami podeszła do niej i ją objęła.

- Widzę, że się wreszcie dałaś przelecieć.
- Co? Jak? Czemu tak uważasz?
- A jak myślisz, co masz wypisane na twarzy? Wyglądasz jak kobieta zerżnięta. Idiotyczny uśmiech, rozmyty wzrok, gdzieś tam zapatrzona. Tylko on mógł cię tak przelecieć. Mam rację?
- Masz, masz. A czy ty? No wiesz...
- Ale gęś z ciebie. Jasne, że nie. Wprawdzie mi się podoba, ale jemu ty się podobasz, poza tym nigdy bym przyjaciółce takiego świństwa nie zrobiła.
- To co w takim razie było na balu?
- Widziałam, jak wokół niego krążysz i nie wiesz, jak się zabrać do rzeczy. Więc ci pomogłam. Wystarczyła jedna miarka staroświeckiej zazdrości i od razu poszłaś z nim do łóżka.
- Nie wiem, co powiedzieć. Byłam na ciebie wściekła.
- Lepiej powiedz, jak było.
- Nie uwierzysz! Bajecznie. Jeszcze wczoraj podobał mi się, ale nie byłam pewna swoich uczuć. Dzisiaj jestem zakochana.
- Cóż on takiego uczynił, żeś mu wianek panieński oddała?

Po następnej schadzce Laura długo nie mogła zasnąć. Nie zdawała sobie sprawy, że przeżycia seksualne mogą być takie

intensywne. Czuły i subtelny, jednocześnie twardy i męski, sprawiał, że oszołomiona intensywnością doznań zapominała o całym świecie. Poznała go lepiej i nabrała większego zaufania. Wiedziała, że nie będzie się obnosił z ich romansiem, nie potraktuje jej jak zdobyczy. Spotykali się w jej mieszkaniu, ponieważ pensjonat nie zapewniał intymności. Bez entuzjazmu, lecz z rozsądku wzięła na siebie obowiązek gotowania. Był tak przeciążony pracą, że temu zadaniu by nie podołał. W niedzielne przedpołudnie poszli na daleki spacer. Na obiad przygotowała wykwintne menu. Wołowinę w sosie miętowym i pudding. Maleńkie porcje, mięso było racjonowane.

- I jak, smakuje ci? Nalej sobie wina, skarbie. - Przyglądała się z satysfakcją, jak pochłania swoją porcję. Sama zadowolona się mniejszą.

Jedz, kochany, jedz. Będziesz tej nocy potrzebował duuużo energii. Po obiedzie gawędzili o studiach, o życiu, o literaturze. Nie rozmawiali o wojnie ani o polityce. Te tematy zostawiali za drzwiami. Tak się umówili.

Usiadła mu na kolanach i palcami rozczesywała włosy. Lubiała to robić. Bujne, czarne - pasowały do niego. Po chwili się całowali, a on obmacywał jej ciało. Przerwała to sympatyczne zajęcie, rozebrała się i ze śmiechem pobiegła do łóżka. Przystanął w progu i pożerał ją wzrokiem. Miała gładką i delikatną skórę, tu i ówdzie pokrytą piegami. Ułożyła się na brzuchu. Nogi zgięła w kolanach i zalotnie wymachiwała nimi w powietrzu. Linie ciała zaobliły się. Mógłby tak stać i upajać się tym widokiem w nieskończoność.

- Czemu sterczysz jak ten słup w Patagonii i się na mnie gapisz? Nie przyjdiesz do mnie?

- Stoję jak słup dlatego, że jesteś niewiarygodnie piękna. W niczym nie jest ci tak do twarzy, jak w niczym.

Obok łóżka położył niewielką torbę, rozebrał się i dał nura w pościel. Najpierw rozgrzał ją pocałunkami, potem zniknął w łazience. Wrócił z ręcznikiem, jej kremem i miską ciepłej wody.

- Co się dzieje? - spytała zaniepokojona.

Z tajemniczą miną rozłożył ręcznik, a potem ją na nim ułożył. Z torby wyciągnął pędzel i maszynkę do golenia.

- O nie! Nie zrobisz tego! - zawołała, potrząsając nim, oburzona na taką bezczelność. - Wybij sobie z głowy takie zabawy!

Nie miał zamiaru rezygnować, więc zaczęła protestować jeszcze energiczniej. Usiadła na łóżku i wyciągnęła spod siebie ręcznik.

- Jeśli się zgodzisz, będziesz mi jeszcze dziękowała. Przekonasz się.

- Dziękowała? Za to, co chcesz zrobić? Żartujesz chyba. Przecież będę wyglądała jak dziwka. Ani się waż! Rozumiesz?

- Założymy się? Jeżeli nie podziękujesz, zrobię wszystko, czego zażadasz. Absolutnie wszystko!

- A jeśli jakimś cudem podziękuję, chociaż to nieprawdopodobne?

- Wtedy ty zrobisz, co każę.

- Ale te żądania wyłącznie w sypialni. Nie każesz mi biegać nago po Oksfordzie?

- Tylko w sypialni, chociaż sam pomysł jest znakomity. Co byś powiedziała na przejażdżkę kabrioletem? Będą cię nazywali Lady Godiva²⁶ *la moderne*.

- Nie na takiej sławie mi zależy. Niech już będzie, rób te swoje niegodziwości. Gdybym wiedziała, jaki jesteś, w życiu bym z tobą nie poszła do łóżka, chociaż przyznaję, że twoja obecność dobrze mi robi.

Zaczęła obmyślać, czego zażąda, kiedy wygra zakład. A futerko odrośnie. Rajcowało ją, że jakiś czas będzie wyglądała jak dziwka. Spięła się, kiedy poczuła dotyk palców na cipce. Wyczuł to napięcie, które jak prąd przebiegło po całym ciele. Pędzel wywoływał przyjemne sensacje. Dotyk miękkich, bobrowych włosków, szczególnie na wrażliwej łechtaczce, bardzo ją podniecał. Były też inne doznania. Goląc między nogami, odciągał płatki. Korzystając z okazji, tarmosił, uciskał i pociągał. Doszła do wniosku, że samo golenie jest przyjemnym doznaniem. A skutki? *Już on mi zapłaci!*

Wygolił ją dokładnie, namoczył kawałek ręcznika w ciepłej wodzie i starannie wytarł. Potem przystrzygł włosy na wzgórku łonowym.

Nieco skrócił i wyrównał. Zakończył, wmasowując krem w zaróżowioną skórę.

Odkryła, że nie pozbawił jej całego futerka, a jedynie dolnej części. Doszła do wniosku, że tak mu się podoba jej cipeczka, że chce ją oglądać bez woalu. To gotowa była wybaczyć. Ale o dziękowaniu nie mogło być mowy. Kto komu powinien dziękować! *Chcesz popatrzeć, dobrze, ale nie myśl, że będę ci jeszcze dziękowała.*

Zlikwidował swój przenośny zakład fryzjerski, wtedy zapytała o umowę. Odpowiedział lapidarnym: „Potem”. Wyciągnął się między jej nogami i zaczął robić coś, na co zupełnie nie była przygotowana. Najbliższy kwadrans spędziła w niebie. Odczekał, aż się uspokoi.

- Możemy sfinalizować zakład. Jeżeli nie podziękujesz, to obawiam się, że zapomnę, jak się to robi.

Zaniemówiła. Podszedł ją podle. *Jak mógł? To nieuczciwe!* Nie pomyślała o miłości francuskiej. Wykorzystał perfidnie jej brak doświadczenia. Naturalnie, że nie zrezygnuje z takich przeżyć. Z przymilnym uśmiechem zaproponowała:

- Darujmy sobie ten głupi zakład. - Pogłaskała go nogą pod kołdrą.

- Nie ma mowy. Dziękujesz albo więcej cię tak nie obsłużę.

Nadąsana, podziękowała. Wtedy przypomniała sobie, że musi spełnić jego życzenie. A pokazał, do czego jest zdolny! Oczekiwała, że każe jej zrobić to, co on jej. *Nawet dobrze, postaram się, żeby i dla niego było to cudowne przeżycie.* Miał jednak inne zamiary. Z torby wyciągnął krótką linkę z obu stron zakończoną pętlami. Zanim zdążyła zaprotestować, przywiązał ją do łóżka. Miało u wezglowia metalowe poręcze, więc wystarczyło przepleść linkę, włożyć obie ręce w pętle i zaciągnąć. Próbowwała się bronić, kiedy było za późno. Jedną rękę unieruchomił w zaciśniętej pętli, drugą mocno trzymał. Rozczapierzyła palce, ale uśmiechając się pod nosem, ścisnął je i nałożył pętlę na przegub. Jej los się dopełnił.

Cierpliwie czekał, podczas kiedy ona protestowała na różne sposoby. Ciszej i głośniejsze. Prośbą i groźbą. Zaproponowała, że

w zamian za uwolnienie zrobi mu to, co on jej. Pozostał nieugięty. Przestała prosić, widząc, że nic nie wskóra, a wtedy w nią wszedł. Było jak zawsze, tylko ręce miała związane. Przyszło jej na myśl, że tak się czuły niewolnice, kiedy ich panowie się z nimi zabawiali. Pomyślała, że to nie takie straszne. Jeżeli on tak bardzo tego chce, może się kiedyś zgodzi. Ale nie teraz, absolutnie. *Jeszcze pomyśli, że jestem dziwką.*

Nie rozwiązując, obrócił ją i ustawił na czworakach. Wydawało mu się, że to będzie długa jazda, ona jednak rączo pomknęła do mety. Była z natury gorąckrwista. Potrzebowała jedynie kogoś, kto tę jej naturę oswobodzi z gorsetu pruderyjnej, mieszczańskiej moralności. Wziął ją jeszcze raz. Wtedy zaczęła pływać. Była tak roznamiętniona, że nie mogła się opanować. Jej usta oszalały. Całowała, jakby go chciała pochłonąć. Poprzedniej nocy była przekonana, że sięgnęła szczytu. Okazało się, że może wspiąć się wyżej.

*Słodko mi jest słyszeć głos jej
drżący szczęściem, półomdlały,
gdy mię prosi, żebym zwolnił
namiętności mej zapaty...*

*Wzrok oślepty od szaleństwa.
Oczy od miłości mrące
zwraca ku mnie rozkochana,
pieszczot dając mi tysiące...*

- Piszesz dla mnie wiersze, recytujesz tak pięknie, kiedy się kochamy. Kim ty właściwie jesteś? - Po drzeniu głosu odgadł, jak nadzwyczajnie jest przejęta.

Nie spodziewała się po nim takiej wrażliwości. No i wypieprzył ją tak właśnie, do szaleństwa. Była beznadziejnie zakochana. Rozwiązał ją i jak zwykle zakończył klapsem. Jak zwykle zaprotestowała głośnym „auu”.

- Wykończyłaś mnie. Choćbym się nie wiem jak starał, nie dam rady.

- Popadasz w ascezę, kocie. - Parsknęła śmiechem.

- Nie do wiary! Jak możesz! - zawołał oburzony.

- Chce mi się płakać! - oświadczyła i zachichotała. - Czy to nie urocze?

- Było cudownie, a najbardziej, kiedy czułem, że i tobie jest ze mną dobrze...

Rozmawiali jeszcze długo. Zastrzegła, że nie życzy sobie więcej wiązania. Protesty były jednak nieprzekonujące, bardziej dla zachowania twarzy niż z prawdziwej potrzeby. Podjął temat.

- Od zawsze kobiety były niewolnicami. Przeczytaj *Arabskie noce*. Akceptację niewolnictwa znajdziesz w Biblii, afirmację w Koranie.

- Ależ ty potrafisz uroczo bujać. Jak możesz tak zmyślać?!

- A o czym śnią kobiety? O porwaniu przez arabskiego księcia.

- Skąd możesz wiedzieć, o czym marzę? W moich marzeniach nie napotykam książąt, nawet arabskich.

- W takim razie jesteś właścicielką plantacji bawełny, ja zaś jednym z twoich niewolników.

- Ty moim niewolnikiem? To znakomity pomysł, koteczku. Kazałabym cię wychłostać! Nie, wychłostałabym cię bardzo, bardzo osobiście!

- Pewnie do krwi, ty mała, krwiożercza istoto?

- No coś ty! Byłbyś wtedy do niczego. Sobie bym przecież krzywdy nie zrobiła. Tylko troszkę, żeby ci przypomnieć, kto rządzi. - Bawili się doskonale. Laura wpadła na pomysł. - Możemy częściej tak rozmawiać. To takie ekscytujące.

- Rano policzę na tobie piegi. Wszystkie.

- Ani się waż! - zawołała oburzona. - Zrobisz to? Naprawdę?

Obudzili się z tym cudownym uczuciem zmęczenia miłosnymi zmaganiem, jakie przynosi zakochanie. Byli szczęśliwi i było im ze sobą dobrze. Na początku trochę się obawiała jego pomysłów. Ale nie wracał do wiązania ani nie proponował innych niegodziwości.

Najpierw była zadowolona, potem zdziwiona, w końcu zaczęła przemyśliwać powtórzenie tego, co robili. Wstydziła się jednak powiedzieć mu o tym.

W marcu 1943 roku otrzymał obywatelstwo brytyjskie. Laura tej nocy hojnie szafowała swymi wdziękami. Zdecydował, że pod koniec roku wstąpi do wojska. Próbowała go od tego zamiaru odwieść, jednak tym razem jej nie słuchał.

- Nie zmienię decyzji. Mamy dla siebie kilka miesięcy. Cieszymy się, inni tyle nie mieli.

Była zakochana. Tak bardzo zakochana, że zaczęła myśleć o ślubie. Któregoś dnia zdobyła się na odwagę i napomknęła o małżeństwie.

- Czy mnie kochasz? - Pytanie, które zadawała już milion razy.

- Kocham cię, pragnę cię, jestem twój. Dobry Bóg stworzył cię dla mnie.

- A co sądzisz o małżeństwie? - Czekala na odpowiedź z niepokojem.

- Małżeństwo? To cudowna podróż w nieznane.

- Tak myślisz? I chciałbyś się ze mną ożenić? - Pojaśniała.

Niepotrzebnie się bałam tej rozmowy. On przecież nie mógł poruszyć tematu. Przez te nieszczęsne bariery klasowe. Kto je wymyślił i po co?

- Pewnie, wyższa klasa połączy się z niższą i z tego się urodzi równość. Nazwiemy naszą córkę *Equality*.

- Ty to sobie ze wszystkiego żarty stroisz. - Roześmiała się, bardzo z siebie zadowolona.

- Tylko kiedy jestem szczęśliwy.

O nic więcej nie pytała. Było dla niej oczywiste, że wezmą ślub po jego powrocie z wojny. Kupił pierścionek zaręczynowy.

- Skromny, ale od serca - powiedział, wkładając jej na palec.

- Wolę taki od ciebie niż brylant od innego.

Rok akademicki się skończył, mieli teraz więcej czasu dla siebie. Przyszedł jej do głowy genialny pomysł. Wyjadą do zacisznego hoteliku. Wspólnie wybrali pensjonat nad morzem w walijskim miasteczku Tenby.

- To jest nasz miodowy miesiąc - oświadczyła, gdy po długiej podróży dotarli do celu.

I rzeczywiście, spędzali ten czas jak nowożeńcy. Przed wszystkim w łóżku. Jeżeli mieli na chwilę dosyć, spacerowali brzegiem morza. W soboty i niedziele chodzili na tańce do pobliskiego miasteczka. Zrobili wypad do Swansea na spektakl letniego teatru. Spodobało im się, ponieważ było o wojnie i o miłości, czyli o nich. Mieli wszystko, czego można pragnąć od życia. Mogli się kochać, zasypiać i budzić w swoich objęciach.

Oprócz nich w Hoteliku pod Różami mieszkały inne pary, które wykradały dla siebie ostatnie chwile szczęścia przed wyjazdem mężczyzn na wojnę.

Usadowili się na sofie. Laura usiadła bokiem i ułożyła swoje stopy na jego kolanach. Masował je, całował i podgryzał.

- Opowiedz mi coś - przymilała się.

- Opowiem ci o niebie i piekle. Może być?

- O niebie nie musisz, właśnie do niego trafiłam.

- Tak ci się tylko wydaje. Kiedy Kościół zaczął sprzedawać odpusty, Szef nie mógł oczywiście tolerować sytuacji, w której Święty Piotr sprowadził Sąd Ostateczny do sprawdzania rachunków. Na jego polecenie wymiar sprawiedliwości przejęło Piekło. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Niebo zasiedlili wszelakiej proweniencji zbrodniarze, których stać było na odpust. Dochodziło nieustannie do scen z piekła rodem. Porządni ludzie trafiali do Piekła, które miało w sobie coś z platońskiej Akademii, gdzie pensjonariusze spacerując, prowadzili filozoficzne dysputy. Każdy zbrodzień wiedział, że może popełniać najpodlejsze czyny, byle wykupił odpust, zatem z usług anielskich nikt nie chciał korzystać. Ulubioną rozrywką złoczyńców stało się obrzucanie aniołów krowimi plackami. Rozgoryczone anioły

powróciły do Nieba. Pędziły bimber, wpadały w alkoholizm. Zioło, a i owszem. Uprawiały seks lesbijski, który po maryśce smakował najlepiej. Z podszeptu ambitnego anioła Zachariasza spiskowały przeciwko Piotrowi, sprawcy wszystkich tych nieszczęść. Obawiając się o swoje bezpieczeństwo, Święty zwrócił się do Lucyfera, który, w dowód przyjaźni, podesłał do osobistej ochrony Piotra tuzin słynących z waleczności diabłów tasmańskich.

- Przestań opowiadać takie niestworzone historie, bo od śmiechu boli mnie brzuch. Jeszcze nikt mnie tak nie rozśmieszył. - Po chwili dodała: - Nie mówiłam, żebyś przestał zajmować się moimi stopami. Podobają ci się?

Tej nocy szepnęła mu do ucha:

- Możesz mnie przywiązać do łóżka, zresztą rób ze mną, co chcesz.

- Nie będę cię do niczego przywiązywał. Wiem, że tego nie lubisz.

- Skąd wiesz, że nie lubię, może się droczyłam?

- Nie wiem, kochanie, ale akurat dzisiaj nie mam ochoty na wiązanie.

- A ja właśnie mam! - Zaskoczyła go swoją śmiałością.

- Nic z tego, nie mam linki.

- Masz to zrobić! - zawołała, potrząsając nim, oburzona za tę bezczelność, która zagrażała jej znakomitemu planowi. Wstała z łóżka i rozjaśniając półmrok bielą pośladków, podeszła do okna. Wisiały na nim zasłony przesuwane za pomocą sznura. Weszła na krzesło i odwiązała sznur. - Proszę bardzo. - Zaoferowała mu linkę i samą siebie, z niewinnym uśmiechem na dokładkę.

- Czy to nie jest próba namówienia mnie do czegoś?

- Na co czekamy, kocie? - zapytała uprzejmie, wyobrażając sobie, jakie to niegodziwości będzie z nią wyprawiał, i ułożyła się wygodnie na łóżku.

Nie znał powodu, dla którego to robiła. Albo jej się spodobało, albo chce mu przed rozstaniem sprawić wyjątkową radość.

Przywiązał ją do łóżka i brał w każdej pozycji, jaka mu przychodziła do głowy. Po pewnym czasie zażądała:

- Zrób coś jeszcze, wszak jestem twą niewolnicą, panie. Musisz mnie ukarać. Zasłużyłam na surową karę, bo śniłam o innym. - Przeciągnęła się rozkosznie.

Nie spuszczał z niej wzroku, wyciągał pasek ze spodni; obrócił ją na brzuch i dosiadł. W rękę trzymał złożony pas. W pokoju paliła się lampka nocna, w jej świetle naciągnięta skóra przybrała kolor kości słoniowej. Przejechał paskiem po pośladkach. Sterczały prowokująco. Przejechał ponownie. Oczekiwała w napięciu. Pod przesuwającym się pasem odruchowo napinała mięśnie, widział je wyraźnie pod skórą. Poczula między nogami dłoń.

Jedną ręką drażnił, drugą uderzył. Nie przestając pobudzać, uderzył ponownie. Tym razem mocniej. Przygryzła wargi, nadal nie wydając dźwięku. Pobudzał i czekał. Uderzył, kiedy usłyszał głośny jęk rozkoszy. Mocniej. Tym razem wyrwało się jej ciche „auuu”, na tyłku wykwitła czerwona pręga. Uderzył ponownie, słabiej. Tak manipulowana nie przestawała jęczeć. Obrócił ją na plecy i zsunął się między nogi. Wystarczyło, że kilka razy przejechał językiem, żeby eksplodowała. Ciało wykonywało rozwiązłe ruchy. Z cipki wyciekał śluz. Kropla za kroplą spływał po udzie.

Rozwiązał ją i przytulił. Całował w dołeczek na karku, podszczypywał cycki, podgryzał ucho. Długo nie mogła się uspokoić. Pobudzanie i smagnięcia doprowadziły ją do nirwany. Prócz jednego, uderzenia nie bolały. No, troszeczkę. Podniecenie było zasługą wyobraźni.

Miesiąc dobiegł końca, musieli wracać. W Oksfordzie z Robertem skontaktował się Basil.

- Nie zmieniłeś zdania?

- Naturalnie, że nie zmieniłem.

Pożegnanie z Laurą było przepełnione smutkiem. Miała zaczerwienione oczy i stale się do niego tuliła. Błagała, żeby na siebie uważał, nie zgrywał bohatera i trzymał z daleka od Niemek, a ona

wynagrodzi mu to po powrocie. Z okna pociągu widział jej malejącą sylwetkę.

W grudniu 1943 dotarł do obozu treningowego 147 Brygady wchodzącej w skład 49 Dywizji Piechoty. Basil miał duże wpływy. Był brygadierem i historykiem wojskowości. W MI6²⁷ zawsze wysłuchiowano go z uwagą. Dzięki jego poparciu dostał dwie gwiazdki i dowództwo plutonu zwiadu. Został porucznikiem, ponieważ ten stopień odpowiadał funkcji dowódcy plutonu. Dołączył do brygady, która się od wielu miesięcy intensywnie szkoliła. Dowódca jego batalionu, major Simon Knox, był młodym na swój stopień, lecz doświadczonym żołnierzem. Ukończył Akademię Wojskową w Sandhurst²⁸ i kontynuował rodzinną tradycję. Jego ojciec w czasie Wielkiej Wojny również walczył we Francji. Miał niebywałe szczęście. Przeżył jako jeden z nielicznych młodszych oficerów, którzy trafili na front zachodni w 1914. Katastrofalna polityka mocarstw europejskich doprowadziła do powtórki z historii.

Na powitanie Roberta Simon wyciągnął butelkę whisky.

- Simon Knox. - Podał mu rękę.

- Robert Meissner.

- Rozgość się, Rob. Opowiedz o przebiegu swojej służby. - Nalał whisky.

Simon dysponował rozkazem powołującym Roberta na dowódcę plutonu, ale chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

Był usatysfakcjonowany tym, co usłyszał.

- Będziecie naszymi oczami i uszami. Całego batalionu. Dobrze, że znasz niemiecki, brakowało oficera ze znajomością języka. Jest kapral w drugiej kompanii, ale to nie to samo. Najlepiej mu wychodzą bluzgi po niemiecku.

Po wyjściu od majora poszedł do swojego plutonu. Sierżant Colin Garrick miał dwadzieścia osiem lat i był weteranem. Średniego wzrostu, potężnie zbudowany twardziel z East Endu²⁹, wyglądał jak oprych. Walczył we Francji w 1940 roku. Został ewakuowany

z Dunkierki jako jeden z ostatnich. Następnie bił się z Rommlem w Afryce. Ciężko ranny w pierwszej bitwie pod El Alamein³⁰, został przetransportowany do Anglii. Przez następny rok szkolił rekrutów. Należał do tych podoficerów, którzy troszczą się o swoich ludzi. Przybycie Roberta zdjęło z niego obowiązek dowodzenia plutonem. Przyglądał się nowemu dowódcy z niepokojem. Od niego będzie zależało, czy przeżyją. Jeżeli popełni błąd, oni za ten błąd zapłacą własną krwią.

- Czołem, sierżancie!

Był przekonany, że z dowodzeniem niewielkim plutonem, w którym każdego pozna osobiście, poradzi sobie bez trudu. Kazał sierżantowi zebrać oddział. W szeregu stanęło osiemnastu żołnierzy, kilku było na przepustkach. Pluton zwiadu liczebnie był dwa razy mniejszy od plutonu piechoty.

- Baaczność!

- Dajcie spocznij, sierżancie.

Przeszedł wzdłuż szeregu, zamieniając z każdym kilka zdań. Zwykli żołnierze, wielu na bakier z dyscypliną, właśnie takich brali do zwiadu. Przemówił. Wiedział, że nie znoszą frazesów, im mniej powie, tym lepiej. Przedstawił się, powiedział, gdzie walczył, i wyjaśnił, dlaczego właśnie on został ich dowódcą.

- Rozejść się! - wydał swój pierwszy rozkaz. - Sierżancie, pójdziecie ze mną.

Znaleźli spokojne miejsce na rozmowę.

- Siadaj, Colin. Musimy się dogadywać, od tego będzie zależało nasze życie. Przed wydaniem rozkazu możesz dyskutować. Kiedy podejmę decyzję, wykonasz bez dyskusji.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Jak jesteśmy sami, mów mi po imieniu. Przejdźmy do rzeczy. Zależy mi, żebyśmy przeżyli. Wszyscy! Naszym zadaniem będzie znalezienie takiego sposobu wykonania rozkazów, żeby nas przy okazji nie pozabijali. Bohaterstwo pozostawimy bohaterom.

Colin skinął głową z uznaniem. Wiedział już, że jego nowy dowódca to nie chłopak po Sandhurst, który ku chwale nazwiska bez zastanowienia postawi na szali życie zarówno swoje, jak i swoich ludzi. Takich żołnierze się bali.

- Zacznijmy od uzbrojenia. Czym dysponujemy?

- W naszym plutonie są trzy drużyny po siedmiu żołnierzy i dowódca, czyli ty. Ja dowodzę pierwszą, drugą kapral Williams, trzecią kapral Hartley. Na drużynę przypada jeden bren³¹. Pozostali mają karabiny, ty rewolwer.

- To wszystko?

- Zgodnie z przydziałem.

- Nie wiem, czy się zgadasz, ale na szkopów to nie wystarczy.

Colin się zgadzał. Robert wyciągnął butelkę whisky i zaczęli dyskutować, jak dozbroją pluton. Najpierw rozważali celowość uzbrojenia w rusznicę przeciwpancerną. Każdy pluton piechoty dysponował jedną taką rusznicą.

- Po co nam broń przeciwpancerna? Jak zobaczymy czołgi, to zwiejemy. Znasz to? Jaka jest najlepsza broń przeciwpancerna? Długie nogi!

Breny? Jeden na drużynę to stanowczo za mało. Uzgodnili, że są potrzebne przynajmniej dwa. Moździerz kalibru dwa cale? Ważył pięć kilogramów i miał zasięg czterystu pięćdziesięciu metrów. Byli zgodni - jeden będzie przydatny.

- Czy coś przeoczyliśmy? - Colin miał większe doświadczenie, więc Robert czekał na jego opinię.

- Nie wydaje mi się. Jak zamierzasz uzupełnić uzbrojenie?

- Na froncie będzie wiele okazji.

Sierżant pokiwał głową. Pozbierają broń po poległych. Mogli się teraz zaopiekować drugą butelką. Colin odkrył, że polscy oficerowie mają pewne zalety. Na świat spoglądał z większym optymizmem. Robert sprezentował mu przydziałowy rewolwer.

- A ty z czego będziesz strzelał?

- Kupiłem we Francji, jeszcze w trzydziestym dziewiątym. -
Z dumą pokazał browninga.

Rano spotkali się w kantynie i na widok zapuchniętych oczu parsknęli śmiechem. Po śniadaniu Colin zebrał pluton na placu ćwiczeń. Dwóch żołnierzy wróciło z przepustek, jeden był w lazarecie. W obozie treningowym nie brakowało najprostszych przyrządów do ćwiczeń. Potrzebne były piętnastokilogramowe bale.

- Chłopaki! Biegniecie z tymi wykałaczkami jedno okrążenie. Dowódca wyznaczył nagrody. Pierwsze miejsce trzy funty, drugie dwa, trzecie funciaka.

Zawyli z radości. Niewielkim kosztem zdobył ich przyjaźń.

- To co, zaczynamy? - Colin wyciągnął z kabury rewolwer i wystrzelił.

Walka była zacięta, każdy chciał wygrać. Dowódcy ironicznie się uśmiechali. Oprócz nagród finansowych zwycięzcy zdobyli przywilej targania ważących jedenaście kilogramów brenów z dziesięciokilogramowymi magazynkami. O tej „nagrodzie” dowiedzą się, kiedy zdążą zapomnieć o biegu.

Obóz szkoleniowy 147 Brygady był jednym z wielu, w których armia przygotowywała się do inwazji. Zaaplikowano im wyczerpujący trening, dla nikogo nie było taryfy ulgowej. Im dłużej trwała wojna, tym generałowie bardziej doceniali przydatność należytego wyszkolenia. Niewyszkoleni żołnierze ginęli w pierwszych tygodniach pobytu na froncie. Mieli walczyć z doborowymi jednostkami wroga, w których oprócz poborowych z najmłodszych roczników służyli również weterani. Dowódcy zdawali sobie z tego sprawę, dlatego przez intensywne treningi przygotowywali żołnierzy do morderczego starcia.

Po kilku tygodniach, kiedy już lepiej poznał swoich ludzi, spotkał się ponownie z Garrickiem. Mieli do omówienia taktykę prowadzenia zwiadu.

- Jak będziemy prowadzić rozpoznanie? - zapytał sierżant.

- Zamiast się skradać jak Indianie, sprowokujemy szkopów ogniem. Ostrzelamy miejsca dogodnie na zasadzkę. Żywopłot, stodołę, rów melioracyjny. Jeżeli tam będą, odpowiedzą ogniem. Rozpoznając pozycje przeciwnika, wykonamy zadanie. Zdobywanie umocnionych stanowisk nie jest zadaniem zwiadu - przedstawił swój pomysł Robert.

- Nie będziemy oszczędzać amunicji, a przy okazji ustrzelimy parę owiec.

- Tak, Colin. Sprowokować ujawnienie pozycji. Następnie, w zależności od sytuacji, zlikwidować albo się wycofać. Owce wypatroszyć i zjeść.

Lubiany za powściągliwość i skromność, cechy typowo angielskie, nie robił żadnych planów, za wiele nie myślał, a nieliczne wolne chwile przeznaczał na typowo żołnierskie rozrywki.

147 Brygada nie wzięła udziału w desancie, czym się nie zmartwił. Weszli do walki w drugim rzucie, gdy przyczółki zostały twardo uchwycone.

²¹ Jednym z tych oficerów był admirał Erich Raeder, dowódca Kriegsmarine.

²² S.W. Mitchman Jr., *Niemieccy dowódcy pancerni*, Warszawa 2010, Spotkanie, jego okoliczności, w tym powody irytacji Hitlera, wedle relacji jego adiutanta.

²³ W latach czterdziestych eleganckie kobiety nie chodziły w szpilkach, które zaczęły być modne dopiero w latach osiemdziesiątych.

²⁴ Niemiecki wywiad i kontrwywiad wojskowy w latach 1921-1944.

²⁵ Postać Basila wzorowana jest na wybitnym historyku wojskowości sir Basilu Liddell Hartie.

²⁶ Według legendy jej mąż zgodził się obniżyć podatki, jeżeli naga przejedzie konno przez Coventry. Lady Godiva spełniła warunek. Podczas jej przejazdu ulice były puste.

²⁷ Military Intelligence Section 6 - brytyjska agencja wywiadu.

²⁸ Royal Military College - elitarna brytyjska uczelnia wojskowa.

²⁹ Dzielnica Londynu o nie najlepszej reputacji.

³⁰ Zakończona wynikiem nierozstrzygniętym bitwa stoczona w dniach 1-27 lipca 1942 roku między niemieckimi oddziałami Afrika Korps a brytyjską 8 Armią.

³¹ Ręczny karabin maszynowy produkowany w Anglii na licencji czechosłowackiej.

4. NA WOJNIE

Wylądowali w Normandii tydzień po desancie. Pierwszym zadaniem brygady było wsparcie sił pancernych w bitwie o Caen. Bitwie, która miała wyjątkowo niepomyślny przebieg. Zgodnie z planem zatwierdzonym przez SHAEF, Naczelne Dowództwo Sprzymierzonych, Caen miało zostać zajęte dwa dni po lądowaniu, czyli 8 czerwca. Brytyjczycy zdołali zająć je dopiero 19 lipca. Niemieckie dywizje pancerne stanowiące odwód strategiczny nie zdążyły na plażę Normandii, nie zepchnęły aliantów do morza. Dotarły jednak do Caen i zmasakrowały atakujących Kanadyjczyków i Brytyjczyków. Nie pomogło panowanie w powietrzu. Niemcy bili się profesjonalnie. Przez wiele tygodni Montgomery, pomimo miażdżącej przewagi, był bezradny. Jego żołnierze płacili krwią za każdą piędź zdobytego terenu. W trakcie zażartych walk toczonych na ograniczonym obszarze pluton zwiadu był w akcji nieustannie. Alianci ponosili wielkie straty, nie mieli więc problemu ze zorganizowaniem dodatkowego uzbrojenia. Znaleźli uszkodzonego dżipa i po remoncie przywrócili go do używalności. Knox zaakceptował ten akt zaradności, plutony piechoty miały dżipy na wyposażeniu. Dysponując samochodem terenowym, mogli się poruszać szybciej. Zapasową amunicję, moździerz i część wyposażenia przewozili.

Taktyka ostrzeliwania wszystkiego, co podejrzane, zaskakująco się sprawdziła. Niemcom ukrytym za gęstymi żywopłotami *bocage*³²,

którymi usiana była Normandia, puszczały nerwy i odpowiadali ogniem, przekonani, że Anglicy strzelają, ponieważ odkryli zasadzkę. Nie mieli zresztą innego wyjścia. Znienawidzony przez aliantów *bocage* nadawał się znakomicie do urządzania zasadzek, nie zapewniał jednak solidnej osłony, szczególnie przed ostrzałem morderczym. Być może dlatego Fortuna im sprzyjała, podczas walk w Normandii żaden jego podkomendny nie stracił życia. Mieli rannych, czterech na tyle poważnie, że wojna się dla nich skończyła. W miejsce ewakuowanych docierały uzupełnienia. Po zdobyciu Caen przeszli do pościgu za nieprzyjacielem. Na początku jesieni dotarli nad granicę holenderską.

Montgomery postanowił wtedy przejść do historii. W jego równie ambitnej, co pozbawionej talentów głowie powstał plan operacji „Market Garden”, zakończonej bolesną porażką³³. Bezpośrednie konsekwencje nieudanego desantu nie były znaczące, a poniesione straty w skali frontu niewielkie. Niepowetowaną stratą było zatrzymanie 3 Armii amerykańskiej George’a Pattona. Ten wybitny dowódca parł naprzód jak niszczycielski cyklon. Na jego drodze nie było już zorganizowanych jednostek niemieckich, które mogły powstrzymać 3 Armię w marszu na Berlin. Wszystkie, które próbowały tego dokonać, zostały rozbite.

Historia jest determinowana przez zdarzenia, na które jednostka, nawet genialna, nie ma wpływu. Upadek Cesarstwa Rzymskiego był przesądzony. Żaden cesarz, nawet tak wybitny jak Cezar, nie był go w stanie powstrzymać, mógł co najwyżej opóźnić. Podobnie było z odkryciem Nowego Świata – jeżeli nie Kolumb, to kilka lat później ktoś inny dotarłby do Ameryki. Historia bywa jednak czasami kapryśna jak kobieta, uchyla na chwilę okno przed wybranym, który zmieni jej ustalony bieg. Jeżeli są sprzyjające okoliczności i pojawi się ktoś taki, poddaje mu się. Jedynie dzięki Wielkiemu Kryzysowi Hitler mógł wpływać na losy świata. Okno uchyliło się również na chwilę w jesieni 1944 roku. Wojna mogła się zakończyć przed Bożym Narodzeniem, zajęciem Berlina przez aliantów. Człowiekiem zdolnym

zmienić bieg zdarzeń był Patton. Zatrzymał go jednak Monty. Ograniczenia w transporcie nie pozwalały zaopatrywać jednocześnie 3 Armii i operacji „Market Garden”. Patton był bezradny, pomimo że szalał z wściekłości i robił wszystko, żeby kontynuować natarcie. Jego pozbawione paliwa oraz amunicji czołgi zostały unieruchomione na kilka tygodni. W podarowanym czasie Niemcy otrząsnęli się po porażkach, podciągnęli odwody, przegrupowali. Obsadzili Linie Zygryda, pas umocnień wzdłuż granicy, i byli gotowi do zażartej obrony. Moment zaskoczenia przeszedł bezpowrotnie. Roosevelt dogadał się z Churchillem, rozsądek przegrał z polityką. Stawiając na Monty’ego, dwaj starsi panowie przedłużyli wojnę o pół roku, oddali Polskę Stalinowi i pozwolili Hitlerowi wymordować kolejny milion niewinnych ofiar.

Podczas operacji „Market Garden” działania 147 Brygady ograniczały się do zabezpieczania zajętych pozycji.

Prawie codziennie pisał do Laury. Od niej otrzymywał listy bardzo kobiece, w których zapewniała o miłości, domagała się wierności, wypisywała różne nieprzyzwoitości i plotła trzy po trzy. Upstrzone wielokropkami, potrójnymi znakami zapytania i wykrzyknikami. Urocze.

Było tak do sierpnia. Zauważył wtedy, że jej listy się zmieniły. Znikła namiętność, pozostała tkliwość i troska o niego. Wysłał pięć listów, jeden po drugim, od niej nie dostał żadnego. Napisał kolejne, każdy inny w treści, jednak ich nie wysłał. Nie wiedział, jak ma pisać. Czy spytać wprost, dlaczego nie odpisuje, czy pisać zdawkowe listy, nie zrażając się brakiem odpowiedzi.

Na takich gorzkich rozważaniach zeszły następne tygodnie. Plik niewysłanych listów rósł z każdym dniem. Targały nim sprzeczne emocje, nie potrafił oderwać się od wspomnień. Na początku października przyszedł nareszcie list. Otwierał z niepokojem. To nie był list, lecz oficjalne powiadomienie o ślubie, na którym dopisała swoim starannym pismem: „Zawsze Twoja”. Był oszołomiony,

zdruzgotany, rozpacz dudniła mu w skroniach. Poszedł przed siebie, gdzie oczy poniosą, wrócił dopiero nad ranem. Knox wezwał go do siebie. Wiedział już, że wydarzyło się coś złego.

- Siadaj, stary.

Wyciągnął trzymaną na specjalne okazje butelkę dwudziestoletniej glenfiddich, cudowny specyfik na wszelkie dolegliwości, również sercowe. Nalał do szklanek i cierpliwie czekał. Wiedział, że w takiej sytuacji nie należy wypytywać. Jeśli będzie chciał, powie, co go gryzie. Robert wyciągnął z portfela zdjęcie i powiadomienie. Z natury dyskretny, nikomu wcześniej nie pokazywał fotografii. Bez słowa podał je Simonowi, który na widok Laury gwizdnął.

- Wyjątkowa piękność!

Chciał coś powiedzieć, jednak w porę ugryzł się w język. W milczeniu patrzył na zawiadomienie. Do podobnych dramatów podczas wojny dochodziło nieustannie. Oddał zdjęcie i powiadomienie.

- Przykra sprawa. - Powściągliwość była wyjątkowo na miejscu.

Robert opowiedział o Laurze. Jak się kochali, jacy byli szczęśliwi. Odtwarzając historię ich miłości, miał niezrozumiałe odczucie, że nie mówi o nich, a o dwojgu nieznanym z przeszłości. Był aż za bardzo opanowany.

- Zaskoczyło mnie, że się tak szybko pozbierałem. Kiedy tu siedzę i piję twoją whisky, cała gorycz przemija. Nie potrafię wytłumaczyć, z jakiej przyczyny, ale jest mi jej żal.

- Wiesz może, skąd się to współczucie bierze?

- Odpowiedź jest ukryta w głębi mnie. Ale nie będę się nad tym rozwodził.

W ciągu kilku dni otrząsnął się z przeżycia, jakim był ślub Laury. Nie miał do niej żalu. Pozostały piękne wspomnienia i kolejna blizna na sercu. *Lauro, najdroższa, co się stało, dlaczego nie napisałaś? Dlaczego nie napisałaś?*

Zawieszenie działań na froncie brytyjskim dobiegło końca po Nowym Roku. Brygada Roberta trafiła w sam środek zażartych walk. Niemcy stawiali rozpaczliwy opór, bronili swojej ojczyzny do ostatniego żołnierza. W pierwszych dniach marca walki toczyły się na terenie Niemiec. W 147 Brygadzie panowało wyczuwalne poruszenie. Zostali poinformowani, że wkrótce pójda do natarcia. Naprzeciw nich, blokując drogę na wschód, zajęła pozycję Kampfgruppe Hauser. Hermann Hauser, Brigadeführer - generał major SS - miał reputację doskonałego żołnierza. Rosjanie nazwali go „Katem Briańska”. Jak wielu oficerów SS był zbrodniarzem wojennym i jednocześnie utalentowanym dowódcą.

Grupa bojowa, z którą przyszło im się zmierzyć, została sformowana w rezultacie doświadczeń wojennych, ale i konieczności. Niemcy zbierali niedobitki wszelkich jednostek i stawiali rozpaczliwy opór. 147. miała przed sobą formację złożoną z weteranów oraz fanatycznych, lecz przerażonych szczeniaków z Hitlerjugend. III Rzesza nadal była zdolna do zadawania dotkliwych ciosów. Musieli się liczyć z zażartym oporem i wysokimi stratami. Im bliżej końca wojny, tym trudniej przychodziło patrzeć, jak umierają koledzy.

Pluton zwiadu otrzymał rozkaz: Rozpoznać pozycje nieprzyjaciela i znaleźć słabe punkty obrony. Wyruszyli, kiedy słońce zaszło. Po zapadnięciu zmroku dotarli do lasu. Szli wąską ścieżką. Istniała niewielka szansa, że będzie broniona. Niemcy utrzymywali kluczowe pozycje, nie byli już jednak w stanie obsadzić ciągłej linii frontu. Niebo zasnuwały chmury, widoczność była ograniczona.

Prowadził kapral Hartley. W cywilu kłusownik kocim wzrokiem przenikał ciemności. Przez godzinę nikogo nie napotkali, Robert zaczął się niepokoić. Pokonali chyba pięć kilometrów i weszli w głąb pozycji nieprzyjaciela. Zwolnili, szli ostrożnie, zachowując ciszę.

Po godzinie takiego skradania usłyszeli warkot silnika. Nie czekając na rozkazy, zalegli po obu stronach ścieżki. Pomiedzy drzewami błyskało cyklopie oko reflektora. Dwóch żołnierzy

z latarkami stanęło na poboczu. Kiedy motocyklista się zbliżył, zaświecili mu w oczy, a Robert ryknął:

- *Halt!*

Zdezorientowany i przerażony Niemiec wywrócił się. Przystawili mu do głowy karabin. Potulnie podniósł ręce. Był sierżantem w mocno średnim wieku, widoczne było, że Niemcy sięgają po ostatnie rezerwy ludzkie. Robert przywitał się z nim uprzejmie. Kurier był zaskoczony, słysząc nienaganny niemiecki angielskiego porucznika. Przedstawił się, podając stopień wojskowy, informacje wymagane przez konwencję haską.

- Sierżant Hans Klinger.

- Dzisiaj twój szczęśliwy dzień, Hans, wojna się dla ciebie skończyła. Niedługo wrócisz do domu.

Niemiec pokiwał głową. Na jego twarzy widać było ogromną ulgę, dotarło do niego, że nie zostanie rozstrzelany. Robert zarządził postój. Nie było pośpiechu, przeniknęli w głąb pozycji nieprzyjaciela, a minęła dopiero dziewiąta. Znaleźli niewielką polanę. Osobiście zaparzył kawę dla siebie i dla jeńca. Dał mu kawałek czekolady, poczęstował papierosem. Żołnierze byli zaskoczeni, że traktuje szkopa z taką wyrozumiałością, więc zaciekawieni czekali, co z tego wyniknie. Robert i Hans usiedli na pniaku w pewnej odległości od pozostałych. Niemiec z lubością zaciągnął się amerykańskim, pił prawdziwą kawę, której smaku nie pamiętał.

- Masz rodzinę, Hans?

- Mam żonę i trójkę dzieci. Dwie córki chodzą jeszcze do szkoły, syn jest w wojsku. Wszyscy się o niego martwimy. - Z portfela wyciągnął zdjęcia i usiłował je wcisnąć Robertowi. - Ma pan dziwny akcent. Prusy Wschodnie?

- Nie, jestem Polakiem.

- Wziął mnie do niewoli angielski porucznik, Polak, mówi po niemiecku jak rodowity Niemiec. - Hans się rozluźnił.

- W życiu spotykają nas różne niespodzianki - zauważył filozoficznie Robert i otworzył mapnik znaleziony przy Niemcu. -

Wiozłeś zapieczętowane rozkazy ze sztabu do jednostek pierwszoliniowych. To nam zaoszczędzi kłopotliwych przesłuchań. Wystarczy, jeśli sobie poczytam. Powiedzą nam więcej, niż wiesz. Ty nam nic nie powiesz, ponieważ jesteś dobrym Niemcem i wierzysz, że walka do ostatniego żołnierza jest patriotycznym obowiązkiem.

- Prawdę mówiąc, panie poruczniku, ja tak bynajmniej wcale nie uważam.

- Teraz wszyscy jesteście przeciwnikami Hitlera. Kto w takim razie na niego głosował w trzydziestym drugim?

- Uważa pan, że kłamię, jednak powiedziałem prawdę. Byłem w SPD, Socjalistycznej Partii Niemiec, do zdelegalizowania w trzydziestym trzecim. Przed wojną fedrowałem na kopalni, w Zagłębiu Ruhry. Górnicy nie byli za Hitlerem. - Na dowód, że mówię prawdę, pokazał stwardniałe od pracy dłonie. - Toczyliśmy prawdziwe bitwy z SA, oddziałami szturmowymi NSDAP. Miałem szczęście, że nikt nie zakapował, bo bym skończył w Dachau.

- Masz okazję udowodnić, że mówisz prawdę. Jeżeli odmówisz, włos ci z głowy nie spadnie, przestrzegamy konwencji genewskiej. Z dokumentów, jakie przy tobie znaleźliśmy, nie uzyskam niestety pewnej istotnej dla mnie informacji. Jechałeś ze sztabu grupy bojowej. Chcę wiedzieć, gdzie jest ten sztab.

Przyjazna rozmowa zakończyła się równie prędko, jak się rozpoczęła.

- Złożyłem przysięgę i jej nie złamię - odparł szorstko Klinger.

- Bez wątplenia, żołnierz nie powinien łamać przysięgi. Pogadamy, Hans?

- Tak jest, panie poruczniku. Rozmawiać mogę, ale i tak nic nie powiem.

- Nic nie szkodzi, nigdzie nam się nie spieszy. Czy uważasz - kontynuował flegmatycznie, jakby temat go nudził - że Niemcy przegrali wojnę?

- Hitler ciągiem gada o *Wunderwaffe*, cudownej broni.

- Załóżmy, że ma tę swoją *Wunderwaffe*. Dlaczego jej nie użył? Codziennie giną pod bombami tysiące niemieckich kobiet i dzieci, o żołnierzach nie wspominając. Jeżeli ma tę cudowną broń, powinien jej użyć, żeby ulżyć waszym cierpieniom. Jeżeli tego nie zrobił, to znaczy, że ma was wszystkich w dupie.

- Rozumiem, panie poruczniku. Jeżeli pomyśleć, rzeczywiście nie ma żadnej cudownej broni. Powiniennem sam na to wpaść.

- Wszyscy popełniamy błędy. Warto jednak rozmawiać, nawet jeżeli się nie zgadzamy - mówił pozbawionym emocji tonem. - Ponieważ, jak uzgodniliśmy, nie istnieje cudowna broń, to Niemcy przegrali wojnę?

- Na to wychodzi, panie poruczniku.

- Mów mi Robert. Jestem z Bydgoszczy. Przed wojną mieszkało u nas wielu Niemców. Z niektórymi się nawet przyjaźniłem.

Stanął mu przed oczami obraz tańczącej walca roześmianej Brigitte. To było w innym życiu. Powrócił do wojennej rzeczywistości.

- Zgadzasz się, że Niemcy tej wojny nie wygrają? - Wyciągnął piersiówkę i poczęstował jeńca. - Wypijmy za pokój, Hans.

- Ten toast wypiję z radością.

- Czy nie uważasz, że każdy Niemiec powinien postępować tak, żeby ograniczyć liczbę ofiar po waszej stronie?

- Jak najbardziej! Tak trzeba.

- Zdradzę ci pewną tajemnicę. Wkrótce na wasze pozycje uderzy brytyjski korpus. Piętnaście tysięcy bagnetów, czołgi, artyleria, wsparcie lotnicze. Was jest, jak obliczamy, od sześciu do siedmiu tysięcy. W części doświadczeni żołnierze, ale reszta... Sam wiesz najlepiej. Nie macie czołgów, Luftwaffe nie istnieje. Im silniejszy opór stawicie, tym więcej ludzi zginie, głównie po waszej stronie. Zgadzasz się, że jeśli walki są zacięte, jest więcej ofiar?

- Zawsze tak jest. - Wzruszył ramionami.

- Dzięki waszemu twardemu oporowi wojna potrwa dłużej. O dzień, może dwa. Wiesz może, co się wtedy wydarzy?

- Nie mam pojęcia.

- Mam dar jasnowidzenia. Zaraz się dowiesz.

Objął głowę dłońmi, palcami naciskając na skronie. Odezwał się po dłuższej chwili.

- To, co widzę, jest tak przerażające, że strach opowiadać.

Zrobił pauzę. Kątem oka dostrzegł, że Hans niespokojnie się kręci.

- Pierwszego dnia polegnie twój syn. Pocisk artyleryjski rozerwie go na strzępy. Widzę kawałki ciała. Oderwaną dłoń. Czy pamiętasz, jak trzymałeś małą rączkę twojego synka, idąc z nim na spacer? To ta sama dłoń. Nie będzie grobu, nie da się tych krwawych strzępów pozbierać. Widzę coś jeszcze. Drugiego dnia amerykańska superforteca zrzuca bombę na wasz dom. Pod gruzami twoja rodzina. Martwe, porozrywane ciała, wszyscy zginęli, żona, córeczki. Wiesz, dlaczego nie żyją? Ponieważ ty dotrzymałeś przysięgi.

Podczas „widzenia” Hans odruchowo się zęgnął. Teraz, wyraźnie wstrząśnięty, drapał się po głowie. Po odegraniu ponurego spektaklu Robert zamilkł. Cisza trwała i trwała, wreszcie Hans westchnął ciężko i zapytał:

- Co chcesz wiedzieć? - W samo „widzenie” nie wierzył, jednak przesłanie do niego dotarło.

- Mądrze zdecydowałeś. Jeszcze będziesz z siebie dumny. Zostaniesz potraktowany specjalnie. Załatwię ci lepsze jedzenie, papierosy. Nie obiecywałem, bo nie chciałem cię przekupywać, zależało mi na twojej samodzielnej decyzji. Wiedzieć chcę jedno. Gdzie stacjonuje sztab Hausera i jak silna jest jego obrona?

- Ty jesteś od zadawania pytań, ale po co ci ta wiedza?

- Nie wiesz? Zaatakujemy i zniszczymy sztab. Niezależnie od tego, jak się powiedzie, wasza obrona będzie słabsza, bo zapanuje chaos. Na tym mi zależy.

- Czyste szaleństwo. Sztabu broni kompania SS. Nie mają pełnego stanu, ale jest ich ponad setka. Słynna Kompania Centaurów, to demony zła! W samym sztabie jest ponad dwudziestu oficerów. Wystrzelają was, wszyscy zginiecie!

- Wystrzelają, mówisz? Taka jest wojna. Stawka jest wysoka, więc muszę spróbować. Zresztą, rzuciła mnie dziewczyna i przestało mi zależeć na życiu.

Hans popatrzył na niego podejrzliwie. Nie wiedział, czy mówi poważnie.

- Nie patrz tak, Hans, żartowałem. Dziewczyna mnie rzuciła, lecz nie mam zamiaru dać się z tego powodu zabić.

- Jesteś szalony. Podobno większość Polaków jest szalona, ale nie wiedziałem, że aż tak. Szkoda, żebyś zginął, a zginiesz na pewno. Wszyscy zginiecie!

- Śmierć to nie jest dobre rozwiązanie. Podobno jej wady przerastają zalety.

Napisał krótki list do Knoxa. Prosił o życzliwe traktowanie Hansa i wyjaśnił, co zamierza zrobić.

- Jesteśmy towarzyszami, kameraden, też jestem socjalistą. Masz tu list. Pojedziesz prosto tą ścieżką. Po kilku kilometrach dotrzesz do naszych pozycji. Zatrzymasz motocykl i dasz reflektorem sygnał SOS. Jak cię wywołają, krzyknij „*Capitulation, kapitulieren!*”. Daj im list i rozkazy, które wiozłeś, wtedy odpowiednio cię potraktują. Wiesz, jak nadać SOS?

- Poradzę sobie. Puszczasz mnie samego?

- Taa, nic mi po tobie.

- A jeżeli skłamałem i wrócę do swoich? Pomyślałeś o tym?

- To tak nie działa, Hans. Swojego przeznaczenia nie można zmienić. Ja mam się tej nocy zmierzyć z centaurami.

- Nie ucieknę i życzę powodzenia. Odważny jesteś. Obawiam się jednak, że odwaga tej nocy nie wystarczy. - Uścisnął Robertowi rękę i odjechał. Wyglądało na to, że dotrzyma obietnicy.

- Jak to, panie poruczniku, puścił go pan wolno? - Byli zaskoczeni.

- Nigdzie go nie puściłem. Jedzie się poddać.

- I pan mu wierzy?

- Wyobraźcie sobie, że wierzę, ujawnił pozycję sztabu grupy bojowej Hausera. Chcę potwierdzić, zaatakować, zniszczyć.

Podnieśli wrzawę, niemal jawny bunt.

- To szaleństwo! Jak mamy w dwudziestu zaatakować sztab? Tam musi być silna obrona, pewnie kompania sztabowa!

- Koniec wiecowania, ja wydaję rozkazy!

- Czy przemyślał pan ten rozkaz, sir? - Zdesperowany Colin próbował dyskutować.

- Nie twoja rzecz pytać: dlaczego? Masz rozkaz wykonać lub polec, kolego.

Takiego go dotąd nie znali. Zawsze na luzie, uśmiechnięty, nagle zeszywniał.

- Macie wybór: pójść ze mną albo odmówić wykonania rozkazu i trafić przed sąd wojenny. Wasza wola. Jedno mogę obiecać, zawołam: „Za mną!” - mówił energicznie i rzeczowo.

Głuchy na podszepty zdrowego rozsądku, nie oglądając się za siebie, zniknął w mroku. Poszli za nim. Całą drogę spierali się zawzięcie z Garrickiem. Sierżant zarzucił mu wszystko, od grzechu pierworodnego począwszy. O siebie się nie obawiał, był zawodowym żołnierzem i wiedział, że za żołd płaci się krwią. Wkurzył się, że Robert, któremu tak ufał, prowadził jego chłopców na pewną śmierć. Ale on się zaparł. Garrick zrozumiał, że nie zmusi go do zmiany decyzji. Jeżeli tak, on, sierżant Garrick, zrobi wszystko, żeby temu popierdolonemu Polaczkowi się udało i żeby ocalało ich jak najwięcej.

- Jeżeli jakimś cudem przeżyjemy, zdefasonuję ci ryja. Przysięgam.

Przeżywali nieopisany strach. Każdy na swój sposób, w przeraźliwej samotności, jakiej dotąd nie poznał, ponieważ kiedy śmierć nadchodzi, pozostajemy z nią sam na sam. On również był przerażony, nawet bardzo. Nie okazywał lęku, lecz nie był wcale tak zdecydowany, jak to demonstrował. Argumenty Colina stanowiły aż za dobrą wymówkę dla zarządzenia odwrotu. Kilkakrotnie zwalniał już krok. Wtedy z głębi lasu dobiegało pohukiwanie puszczyka:

„Musisz! Musisz! Musisz!”.

I tajemniczy puszczyk zahukiwał głos rozsądku. Do celu mieli cztery godziny, nie musieli się spieszyć. Prześwitującą między chmurami Wielką Niedźwiedzicę mieli za przewodnika. Na miejsce dotarli przed czwartą. Była to najlepsza pora, jeszcze ciemno, lecz świt blisko. Krew płynie najwolniej, sen jest najgłębszy, dusza pogrążona w błogiej nieświadomości.

Głęboko za linią frontu Niemcy nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia. Wiedzieli od Klingera, że jest tylko dwóch wartowników. Zajęli się nimi Hartley i Garrick. Kłusując na szkockich wrzosowiskach, Hartley bezszelestnie podchodził jelenie. W bezksiężycową noc nie miał problemu z podejściem tej „zwierzyny”. Jeden po drugim wartownicy zostali ogłuszeni, potem zarżnięci. Podrzynając gardła, mały Szkot czuł upojenie. *To esesmani. Do piekła tędy, proszę.*

W odległości kilkudziesięciu metrów od sztabu znajdowało się obłożone workami z piaskiem gniazdo karabinu maszynowego, w którym czuwała obsługa. Mieli ich załatwić granatami. Podzielili się na cztery grupy. Trzech, uzbrojonych w breny, pod dowództwem Garricka, ogniem z flanki ostrzela esesmanów wybiegających z oznaczonej jako cel „B” kwatery usytuowanej kilkadziesiąt metrów od budynku sztabu. Ostrzał od czoła, z przejętego cekaemu, zapewni dwóch. Moździerz będzie ostrzeliwał budynek „B” i jego przedpole, w razie potrzeby inne cele. Po wyczerpaniu amunicji obsługa dołączy do Garricka. Pozostali, pod dowództwem Roberta, wedrą się do sztabu oznaczonego jako budynek „A” i zabiją wszystkich, których napotkają. Plan był prosty, jednak należało się spodziewać niespodzianek.

Minuty ciągnęły się, jakby czas stracił poczucie czasu. Choć otaczali go towarzysze broni, tak naprawdę był sam z głową pełną lęków, czekając na sygnał, który wyrwie go z odrętwienia, aby poprowadzić na spotkanie z przeznaczeniem. O czwartej wrzucili granaty do stanowiska cekaemu. Pierwszy nie trafił i odbity od worka wybuchł na placu. Drugi wpadł do środka i eksplodował. Kapral

Williams z pomocnikiem dopadli do stanowiska. Worki były porozrzucane, niektóre porozrywane, ale zdołali je ułożyć tak, że przynajmniej osłaniały od strony budynku „B”. Na tym szczęście się skończyło. Wybuch spowodował zacięcie karabinu maszynowego. Usiłowali go odblokować.

Ze swojej kwatery wysypali się esesmani. Breny Colina zalały ich lawiną ołowiu. To wystarczyło, żeby zostawiwszy na placu kilku zabitych i ciężiej rannych, cofnęli się.

Ryknął dziko: „Za mną!”, i wybiegł z lasu na otwartą przestrzeń. Sadził długimi susami, za nim podążała reszta plutonu. Do drzwi pozostało niewiele, kiedy ze świetlika przy bramie zaterkotał erkaem. Kilku padło, pozostali strzelali w biegu do okienka rozbłyskującego śmiercionośnymi ognikami. Erkaem oddał jeszcze serię w niebo i zamilkł. Moździerz ostrzeliwał budynek „B”. Pociski zdemolowały poddasze, nie przebiły jednak stropu do poziomu, na którym kwatrowali esesmani. Obsługa zaprzestała bezcelowego ostrzału i czekała na pojawienie się dogodniejszego celu.

Nieoczekiwanie strach go opuścił. Jak wtedy w kościele. Nie myślał już, że może zginąć. Po prostu wiedział, że przeżyje, ponieważ to jego dzień. Dzień Konia. Dobiegli do wejścia wszyscy niemal jednocześnie. Podrzucili pod zaryglowane drzwi wiązkę granatów i odskoczyli na bok. Nagle wszystko znikło w błysku i huku. Eksplozja wyrwała drzwi razem z framugą i kawałkami muru. Wpadli do środka, w chmurę pyłu. Rzucili granaty wzdłuż korytarza. W budynku trwała gorączkowa bieganina. Z pokojów, z pistoletami w ręku, wybiegali zdezorientowani oficerowie w białych i boso. Nieliczni zdążyli naciągnąć spodnie. Bez przerwy wybuchały granaty. W zasnuwających korytarz obłokach gryzącego dymu, w brzęku tłuczonego szkła, wśród krzyków i jęków umierających, upojeni krwią, wrzaskami i kanonadą, strzelając na oślep wzdłuż korytarza, wymietli Niemców, którzy przeżyli wybuchy granatów. Oni również ponieśli straty. Po opadnięciu kurzu doliczył się dziewięciu. Wydzielił trzech, z zadaniem wykończenia tych, którzy przeżyli i gdzieś się ukrywają.

Potem mieli bronić wejścia, kiedy esesmani przebijają się przez zapórę ogniową.

Moździerz strzelał od czasu do czasu. W huku wystrzałów rozróżnił charakterystyczny terkot. Williams uruchomił wreszcie karabin maszynowy, znienawidzony przez aliantów MG 42. Nie dawał jednak kapralowi wielu szans. Za chwilę esesmani rozwalą go z granatników.

Przeskakując po trzy stopnie, wspinał się po schodach, w biegu zmieniając magazynek. Ktoś strzelił z najbliższej odległości, pocisk osmalił mu twarz. Na piętrze walka była wyrównana. Niemcy mieli czas, żeby się pozbierać. Po korytarzu potoczyły się granaty. Eksplozje, chmura pyłu, skowyt bólu, wykrzywione w grymasie twarze. Furia i strach. Kiedy kurz opadł, było ich tylko czterech, pozostali nie żyli albo ciężko ranni zwijali się na podłodze. Zanim się zaczęło, wiedzieli, że w tej walce dla nikogo nie będzie pardonu. Kto mógł się nadal poruszać, nie zważał na ból. Na zewnątrz panowała przygnębiająca cisza, automaty nie czekały, zamilkł moździerz. Nie było czasu na rozważania. Jeżeli mieli wykonać zadanie do końca, liczyła się każda sekunda. Ranny w rękę Hartley i on ruszyli na prawo, pozostali w przeciwną stronę. Ryknął:

- Jak dotrzecie do końca korytarza, skaczcie z okien.

Z pokoju wypadł potężnie zbudowany Niemiec uzbrojony w pistolet. Hartley trafił go w pierś. Nie zatrzymując się, biegli dalej. Zewsząd dobiegał huk wystrzałów. Na końcu korytarza stał niewysoki, szczupły oficer w czarnym mundurze. Hauser, „Kat Briańska”. Wymierzyli do siebie jednocześnie. Był o ułamek sekundy szybszy, uratował go trening na strzelnicy. Kula przeznaczona dla niego trafiła w podłogę. Po przeciwnej stronie korytarza nikt nie strzelał. Na schodach łomotały podkute buty. Wpadli do ostatniego pokoju. Na środku klęczał Niemiec w kalesonach i podkoszulce. Ręce trzymał nad głową, złożone jak do modlitwy. Podbił rękę Hartleya. *Wystarczy zabijania. Jeden nic nie znaczy.* Krzyki esesmanów słysząc było na korytarzu. Wyskoczyli, wybijając barkami szyby. Upadł ciężko,

lecz natychmiast się podniósł. Pobiegli w kierunku lasu, po drodze się rozdzielili.

Prześwitujący pomiędzy chmurami księżyc oświetlił sylwetkę Niemca. Składał się do strzału. *To koniec!* Nie usłyszał huku, poczuł tępe uderzenie kuli rozrywającej ciało, nie wiadomo dlaczego bez bólu. Strzelił, nie celując, Niemiec gdzieś znikł.

Zataczając się, pobiegł w mrok. Za sobą słyszał przekleństwa i wystrzały. Potknął się i upadł. Ból przeszył ciało. Nie wiedział, jak groźna jest rana, nie wiedział, ile krwi stracił. Jeśli tu zostanie, znajdą i dobiją. Z trudem podniósł się i biegł dalej. Znowu upadł, tym razem leżał przez chwilę, zbierając siły. Starał się opanować nerwy. Jeżeli prędko nie opatrzy rany, wykrwawi się... Mógł iść, co oznaczało, że bezpośrednio nie zagrażała życiu. Jego organizm, oprócz bólu i słabości, nie wykazywał niepokojących objawów. Szedł przed siebie, ślaniając się na nogach.

Po nieskończeniu długim marszu znalazł przerzedzenie pomiędzy drzewami. Zorientował się, że dotarł do skraju lasu. Dalej rozciągały się zaorane pola z wiszącą tuż nad ziemią mgiełką. W porannej szarówce zdjął bluzę i mokrą od krwi koszulę. Kula trafiła w bok na wysokości brzucha i wyłobowała w ciele bruzdę. Dlatego tak mocno krwawił. Rana była wprawdzie głęboka, ale powierzchowna. Nic groźnego. Nawet nie przestrzelina. Miał nieprawdopodobne szczęście, trafił na Dzień Konia. *Wylot lufy przesunięty dwa milimetry od śmierci.*

Oderwał z koszuli dwa pasy. Wykorzystując opatrunek osobisty, zabandażował ranę. Potwornie chciało mu się pić. Nie miał wody, przed walką wyrzucił manierkę. Zerwał świerkową gałązkę i żuł igły. Trochę pomogło. Nie wiedział, kto jeszcze przeżył. Obawiał się, że niewielu. Oddałby wszystko, żeby Garrick zdemolował mu ryja. Miał nadzieję, że pozbawiona dowództwa Grupa Hauser skapituje albo pójdzie w rozsypkę, co ocali wiele istnień ludzkich. Tej nocy grał w kości z Bogiem.

Zrobiło się jasno. W oddali odezwała się artyleria. Wkrótce działa zamilkły, zaatakowali. Było zbyt daleko, żeby usłyszeć pojedyncze wystrzały z broni ręcznej, moździerzy, nawet czołgów. Cisza nie była całkowita, dźwięki odległej bitwy tworzyły stłumiony pomruk. Nagle i ten pomruk ucichł. Może skapitulowali? Jeżeli tak było, dokonał czegoś ważnego. Poczł się bardzo zmęczony. Nawet nie wiedział, kiedy zmorzył go sen.

Obudził się. Otworzył oczy. Ktoś zasłaniał światło, pochylał się nad nim. Kobieta, czuł jej zapach. Wzrok się wyostrzył. Widział tylko jej kontur. Nie wiedział dlaczego, ale był pewny, że jest młoda i ładna.

- Kim jesteś i co tu robisz? - zapytała ze strachem w głosie.

Tak, musiała być bardzo młoda.

Z tyłu usłyszał tupnięcie i rzenie konia.

- Szatan, stój spokojnie - rzuciła przez ramię rozkazującym tonem.

- Jestem angielskim oficerem. Nazywam się Robert Meissner.

- Meissner nie jest angielskim nazwiskiem - zauważyła przytomnie.

- Zgadza się, nie jest. Uczestniczyłem w nocnej potyczce, zbłądziłem i zawędrowałem tutaj.

- Skąd znasz tak dobrze niemiecki? Jesteś z pochodzenia Niemcem?

- Mieszkałem w jednym mieście z Niemcami. Tak było.

- Ahaaa!

Zabrzmiało, jakby jego odpowiedź wszystko wyjaśniała. Odsunęła się, a on wstał. Poczł ostry ból, powstrzymał jednak grymas. Mógł ją teraz dokładnie obejrzeć. Była dosyć wysoka i szczupła. Od wyrazistej linii brwi przez delikatnie zarysowane usta, niewielkie, ale kształtne piersi, kibić z podkreślającym biodra wcięciem, po długie, zgrabne nogi, wszystko w niej było zachwycające. Włosy w kolorze ciemnoblonł opadały swobodnie na ramiona. Chłonał ją wzrokiem

i pogrążał się od samego patrzenia – w swojej doskonałości była nierealna.

Tak naprawdę jej nieosłonięta woalem zauroczenia twarz miała regularne rysy. Nieco pociągłe, o inteligentnych, rozświetlonych teraz błyskiem rozbawienia, niebieskoszarych oczach. Wysokie kości policzkowe nadawały jej wytwornego szyku. Twarz, która nie pasowała na okładkę kolorowego magazynu. Ładna, lecz z pewnością nie piękna. A on się zakochał. Odnalazł w niej ideał kobiety, który nosił w sercu, kobiety obdarzonej tajemniczą magią. Nawet nie odczuwał pożądania, jedynie podziw. Musiał ją zatrzymać. Coś mu mówiło, że jeśli ona teraz odejdzie, nigdy się już nie spotkają.

– Jesteś taka piękna.

Ze śmiałością desperata objął ją. Z jej twarzy wyczytał, jak bardzo jest zmieszana. Czy oburzona? Na chwilę zaniemówiła. Nie dał jej czasu na zastanowienie.

– Wystarczy, że przez chwilę pomilczysz, rozpląnę się w powietrzu i nigdy mnie więcej nie zobaczysz. Słowo honoru! Jeżeli będziesz wzywała pomocy, pocałuję cię. – Być może liczył, że zachowanie milczenia, nawet przez chwilę, jest dla kobiety zbyt wielkim wyzwaniem.

– Ładnie będzie wyglądała okupacja, jeśli angielscy oficerowie zaczną napastować wszystkie niemieckie dziewczyny. Puść mnie, natychmiast! – fuknęła oburzona. Nie sprawiała już wrażenia przerażonej. Co najwyżej rozbawionej.

– Jak masz na imię?

– Marion. Puszczaj!

Nie chciał puścić. Zamiast wołać o pomoc, popchnęła go gwałtownie. Przypadkiem trafiła w ranę. Tym razem ból był za silny. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest osłabiony. Rąbnął o ziemię z głośnym jękiem. Na mundurze wykwitła niewielka plama krwi. Wystraszyła się.

– Co ci jest? Jesteś ranny?

– Niegroźnie. Jęknąłem, bo mnie nie chcesz pocałować.

- Przestań się wygłupiać.

Najwyraźniej się nie gniewała. Po głosie, po błysku w oczach poznał, że się jej spodobał.

- Nie możesz ustać na nogach, a rwiesz się do całowania. Żeby mnie pocałować, trzeba mieć moją zgodę. Pokaż tę niegroźną ranę. Znam się na tym.

Wprawnymi ruchami odwinęła prowizoryczny opatrunek.

- Nieźle ci się oberwało. Ten, kto strzelał, musiał się domyślić, jaki to z ciebie impertynent. - Jej oczy się śmiały. - Zrobimy tak. Biorę cię do niewoli. Mieszkam niedaleko. W domu zrobię porządny opatrunek i poczekamy, aż się pojawią Anglicy. Idź sobie wtedy bałamucić inne dziewczyny. Oddaj pistolet.

Wiedział, że nie o siebie się obawiała. Gdyby trafili na niemiecki patrol, takie rozwiązanie miało sens.

- Wsiądziesz na konia. Szatan tylko imię ma groźne, ale jest bardzo spokojny. Zresztą, poprowadzę. Gdybyś próbował iść, do jutra byśmy nie doszli.

Patrząc na nią, pogrążał się z każdą chwilą.

- Oddam pistolet, a nawet wsiądę na Szatana, ale pod jednym warunkiem.

- Jakiż to warunek, panie oficerze? - Spojrzała ironicznie.

- Pozwolisz się pocałować.

- Ja mam się z tobą całować, ty podrywaczu od siedmiu boleści?! Zapomnij o tym! - Tupnęła nogą ze złością.

- Nie chcesz, to idę. Jutro albo pojutrze natknę się na nasze oddziały.

- Przestań się wreszcie wygłupiać. Nie mogę cię zostawić. Jesteś wrogiem, źle wychowany, okropny, jednak potrzebujesz opieki.

- Jeżeli mnie nie pocałujesz, życie straci dla mnie sens. Pocałunek albo sobie pójdę. Możesz nawet powiadomić Gestapo, o ile jeszcze nie uciekli.

- Nie życzę sobie, żebyś tak ze mną rozmawiał! Nie każdy Niemiec jest faszystą - powiedziała lodowatym tonem.

- Tak, niewątpliwie. Przepraszam, to było głupie. Najlepiej będzie, jak sobie pójdę. - *Wszystko schrzaniłem.* Czuł, że przegrał, i zbierał się do odejścia.

Patrzyła na niego przez chwilę i nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

- Możesz zostać, jeśli bardzo chcesz.

Już się go nie bała i wcale nie chciała, żeby zniknął z jej życia równie nieoczekiwanie, jak w nim się pojawił.

- Wygłupiłem się. To ten szok, jaki przeżyłem w nocy. - Wycofywał się ze swojej idiotycznej gry.

- Skoro przeprosiłeś, niech ci będzie. Zresztą pocałunek z tobą nic dla mnie nie znaczy - przyzwoliła nieoczekiwanie.

Co tam, pocałuję tę kalekę żabę, może się przemieni w księcia?

Był ciekaw, jak będzie całować. Czy spróbuje oszukać i cmoknie, czy to będzie prawdziwy pocałunek. Nie był natarczywy, oddał jej inicjatywę. Nie zawiódł się. Zarzuciła mu ramiona na szyję, lekko przechyliła głowę, a pocałunek był cudowny. Niezbyt długi, nie bardzo namiętny, po prostu słodki. Na pewno był czymś więcej niż oszukańczym muśnięciem wargami. Od upływu krwi, albo od smaku jej ust, zakręciło mu się w głowie. Oddał pistolet. Wprawnym ruchem sprawdziła magazynek. Pozostała tylko kula w komorze naboju. Zatknęła pistolet za pasek od bryczesów i podprowadziła Szatana do pieńka.

- Podejź! Taki łamaga przecież nie wsiądzie bez podpórki.

Robert gramolił się niezgrabnie na siodło, Szatan podejrzanie strzygł uszami, a Marion, uśmiechając się z politowaniem, pomagała, popychając od spodu.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Ruszamy. Siedź spokojnie, ja poprowadzę.

Dosiadał ogromnego wierzchowca, który ciągle kombinował, jak go ugryźć. Marion, z ironicznym uśmieszkiem, szarpnięciem za wodze poskramiała zapędy ulubieńca. Nawet Robert, choć nie znał natury koni, domyślił się, że zazdrosne o jej względy bydlę może i jest spokojne, ale teraz tylko czeka na okazję.

- Czy mogę rozmawiać, czy jesteś na mnie tak zła, że mam się nie odzywać?

- Zła jestem, okropnie, ale z chęcią posłucham.

- Myślałem, że wszystkie konie zabrała armia, a twój się uchował.

- Intuicyjnie wyczuł, jakim tematem najłatwiej zdobyć jej przychyłność.

- Słusznie myślałeś. Ale Szatan nie jest zwykłym koniem. - Poklepała go czule po pysku. - Jest reproduktorem rasy holsztyńskiej. Najlepsze ogiery i klacze ocalały. Na szczęście, bo gdyby zabrali Szatana, wpadłabym w czarną dziurę rozpacz. Mam go od źrebaka. Przywiązał się do mnie, biega za mną jak pies, ja go kocham - opowiadając o Szatanie, wyraźnie się ożywiła.

Jakby tu się zamienić z Szatanem? - Dostrzegając liczne korzyści, a płatki owsiane lubił.

- Masz narzeczonego?

- Co za pytanie! Czy wszyscy Anglicy są aż tak źle wychowani? Może uważacie, że w okupowanym kraju *savoir vivre* nie obowiązuje? Pewnie, że mam. Jest majorem. I... i jesteśmy zaręczeni! - obwieściła z mściwą satysfakcją.

Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, żeby dostrzec, że z niej mała kłamczucha.

- Najpierw złamałaś mi serce, teraz odebrałaś nadzieję. Żałuję, że mnie znalazłaś. Byłoby lepiej, gdybym cię nie spotkał.

Flirt ją wciągał. Na balach poznała wielu oficerów. Przystojnych, eleganckich, zamożnych, z najlepszych rodzin. Mówiąc krótko - same zalety. A ona miała wielkie powodzenie. Cóż z tego, skoro w żadnym się dotąd nie zakochała. Ten miał w sobie coś, czego nie potrafiła nazwać, lecz ją pociągało. Zmieniła taktykę.

- A ja się cieszę z naszego spotkania. Wcale nie jestem na ciebie zła. Lubię się podroczyć. Przecież nie mogłeś brać wszystkiego na poważnie?

Uznał, że lepiej pomilczeć i dać się jej wygadać.

- Z tym narzeczoną tylko żartowałam. Każdy by się połapał. Jestem wolna, wolna jak ptak. - Rozłożyła szeroko ręce, naśladując lot ptaka. - Jeszcze wolna. - Obrzuciła go zalotnym spojrzeniem. - A teraz powiedz, kim jesteś i skąd się wzięłaś w naszym lesie. Zaczniemy od tego, kim jesteś.

- Jestem Polakiem.

- Jak w takim razie trafiłeś do angielskiej armii?

- To długa historia.

- Nie szkodzi. Mamy czas. Do domu kawał drogi. Chętnie posłucham.

W kilku zdaniach opowiedział swoją historię od września trzydziestego dziewiątego.

- Znam niemiecki, dlatego zostałem dowódcą plutonu zwiadu.

W taki oto sposób znalazłem się na twojej drodze.

- Masz narzeczoną? - Nie przejęła się specjalnie *savoir vivre'em*.

- Miałem. Niedawno dostałem od niej zawiadomienie o ślubie.

- Nie powinna wychodzić za innego, kiedy jej narzeczony jest na froncie. Niemiecka dziewczyna nigdy by tak nie postąpiła. Poczekaliby.

- Jakoś to przeżyłem. Nie mam do niej żalu. Mówi się „serce nie sługa”.

- Może jej nie kochałeś? - Nie życzyła sobie, żeby ją przekonywał, jak bardzo kochał inną. Skwapliwie skorzystał ze wskazówki.

- Może mi się wydawało, że ją kocham... Z tobą jest inaczej. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Jakby we mnie piorun strzelił.

- Już wiem! W nocy ktoś cię walnął w głowę i jeszcze nie doszedłeś do siebie. To tłumaczy twoje zachowanie. Jak dobrze poszukasz, na pewno znajdziesz guza. - Parsknęła śmiechem.

- Przestań, jesteś złośliwa! - Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Robercie, dziewczyny lubią takie deklaracje, ale nie po godzinie znajomości. I z pewnością nie tak bezpośrednio. Dla mnie zabrzmiało

zbyt obcesowo, jak żart. Są sprawy, o których nie można rozmawiać tak wprost. O nich mówią spojrzenia, uśmiechy, gesty.

- Bądź pewna, że gdyby nie ta przeklęta wojna, nigdy bym swoich uczuć tak bezpośrednio nie wyznał, tylko się starał zdobyć twoją przychylność. Rana nie jest groźna, za dwa, trzy dni wrócę do jednostki. Nie wiemy, co się zdarzy jutro. Nie chodzi o to, że zginę, jeżeli przeżyłem tę noc, nic mi się nie stanie. Może się zdarzyć, że kiedy po ciebie przyjadę, ty będziesz zaręczona, gdzieś wyjedziesz. Wszystko, wszystko się może zdarzyć. Byłbym głupcem, gdybym nie wyznał, że cię kocham. Jesteś cudowną dziewczyną. Jeżeli dasz mi szansę, to się przekonasz, jakie niezwykle przeżycia nas czekają. Przeżycia, o jakich nie śniłaś.

- Skąd to wiesz? - Wyglądała na poruszoną.

- Czy nie czujesz, jak nasze ciała się do siebie zbliżają, chociaż obydwoje się nie poruszyliśmy? - starał się mówić to, co dziewczyna pragnęła usłyszeć.

To, co się zaczęło jak żart, przybrało nieoczekiwany obrót. Podobał się jej. Musiała to przyznać. *Na pewno i ja mu się spodobałam. Czy się zakochał, inna sprawa. Ale to przyjemne uczucie tak się podobać temu przystojnemu oficerowi. Jak pięknie o tym opowiada.*

- Bardzo cię proszę. Kiedy już będziemy w domu, nie opowiadaj rodzicom, że się we mnie zakochałeś. Nie zrobisz tego?

- Masz moje słowo. Będę się starał zachowywać taktownie. Domyślam się, że to kulturalny dom, a twoi rodzice należą do towarzystwa.

- Dlaczego tak uważasz?

- Wystarczy popatrzeć na ciebie.

- To było uprzejme, dziękuję.

- Powinnaś mnie lepiej poznać. Może znajdziesz jakieś ukryte zalety.

- Coś ty?

Dotarli do pierwszych zabudowań. Hitlerowskie bezprawie nauczyło Niemców ostrożności. Pomogła mu zsiąść z Szatana i poprowadziła tak, żeby szedł schowany za koniem. Niebezpieczeństwo było iluzoryczne, zawsze jednak mogli napotkać jakichś fanatycznych hitlerowców. Odprowadziła konia do stajni, on czekał przed drzwiami. Już po chwili była z powrotem. Musiała właśnie pobić rekord świata w szybkości rozsiodłania konia.

Zdążył zauważyć, że to stylowa, pokryta patyną czasu rezydencja. Wprawdzie niewielka, lecz o klasycznych proporcjach, wybudowana z najlepszych materiałów. Kamień, drewno, białe tynki. Nawet dach z łupków. Weszli do środka.

- Mamo, tato, wróciłam! Mamy gościa! - zawołała rozbawiona.

Ujęła go za rękę i uścisnęła, przekazując wiadomość: „Jesteś u mnie i tutaj ja się tobą opiekuję”. Rodzice schodzili z piętra. Obydwoje w średnim wieku. Ojciec nie miał jednej ręki, miał za to postawę zawodowego żołnierza. Matka była piękną kobietą. Wiadomo było, po kim Marion odziedziczyła urodę. Na widok przybysza w postrzępionym angielskim mundurze przystanęli niezdecydowani. Pomyśleli widocznie, że Anglicy wkroczyli do miasteczka.

- To jest Robert. Jest porucznikiem i jest ranny. Wzięłam go do niewoli. - Wyciągnęła zza paska pistolet i podała ojcu. - Zaprowadź go, tato, do piwnicy i zakup w kajdany - powiedziała, marszcząc groźnie brwi. - Jak dotrą tu Anglicy, spróbujemy wziąć za niego okup. Aha! On zna niemiecki. I to biegle.

- Dobrze, że nas ostrzegłaś, bo właśnie chciałem powiedzieć, że ci rozum odebrało. - Jej ojciec był wyraźnie niezadowolony. - I miałem nadzieję, że pan porucznik nie zrozumie. No cóż, trudno, musi tego wysłuchać. Co ci strzeliło do głowy? Jaki jeniec, jakie łańcuchy? Za dwa, trzy dni dotrą tu Anglicy. A naszych wojsk już nigdzie w okolicy nie ma.

- Tatusiu, ja tylko żartowałam. Chciałam was rozweselić. A Robert jest ranny i potrzebuje pomocy.

Poczuł, że musi się włączyć.

- Gdyby nie państwa córka, byłoby ze mną źle. Rana nie jest wprawdzie groźna, wymaga jednak leczenia. W nocy straciłem sporo krwi. Osłabiony i zmęczony, zasnąłem. Wtedy Marion wzięła mnie do niewoli.

- No, teraz wszystko jasne. - Jej ojciec mrugnął do niego. - Kobiety nie potrafią złożyć zwięzłego meldunku, to dlatego nie przyjmujemy ich do armii. Witamy, panie poruczniku. Zaczniemy od opatrzenia rany. Kto się tym zajmie?

- Ja, papciu! - Za nic nie pozwoliłaby odebrać sobie takiej okazji, żeby pobyć z nim trochę sam na sam. - Chodź na górę, dostaniesz pokój gościnny.

Zaprowadziła go do łazienki i kazała się umyć.

- Brudas z pana, poruczniku.

Sądziła, że korzystając z okazji, będzie próbował namówić ją do tego i owego, zachował się jednak jak dżentelmen. Wszedł pod prysznic dopiero, kiedy, uśmiechając się dyskretnie, wyszła. Czekala na niego z przygotowanymi materiałami opatrunkowymi. Rozcięła prowizoryczny bandaż i obejrzała ranę.

- Miałeś szczęście.

- Tej nocy miałem więcej szczęścia. To prawdziwy cud, że żyję.

- Co się wydarzyło?

- Nie chcę opowiadać. Szanuję twoje uczucia i mam nadzieję, że zrozumiesz.

Pokiwała głową.

- Na wojnie zawsze są dwie strony. Przez chwilę o tym zapomniałam. Dlatego, że jesteś wrogiem, a jednocześnie bardzo cię lubię. Na pewno podobasz się dziewczynom...

- Na pewno mnie lubią, ale się we mnie nie zakochują - odparł z uśmiechem ujawniającym, jakim szczęściem jest dla niego sama jej obecność.

- Próbujesz mnie poderwać i wydaje ci się, że weźmiesz mnie na skromności lep. Wymyśl coś oryginalniejszego, skromność wyszła z obiegu.

- Co na przykład? - zainteresował się podpowiedzią z pierwszej ręki.

- Na przykład? Na przykład, że jesteś nieślubnym synem króla Jerzego i Greta Garbo. Udajesz się w tajnej misji do Pekinu. Masz zamordować tego, no, jak mu tam? Mau?

Co powiedziawszy, obficie posypała ranę złotym, piekącym proszkiem, a brzegi wysmarowała jodyną. Miała fizyczną przyjemność z dotykania jego szczupłego, muskularnego ciała. Odkryła, że samo patrzenie i dotykanie jest uroczym zajęciem. Przeżycie, jakiego do tej pory nie zaznała.

Wierzyła, że ją darzy szczerym uczuciem. Może nie szaloną miłością, ale z pewnością kocha. *Chyba ma rację. Jeżeli nie spróbujemy teraz, to kiedy? Być może już się nie spotkamy. Znajdzie sobie inną. Miliony, wiele milionów młodych Niemców poległo, dostało się do sowieckiej niewoli, z której prędko nie wrócą, bądź zostało okaleczonych na duszy i ciele. Pięknych kobiet, które nie mogą znaleźć narzeczonego, jest wiele. Nigdy nie czuła się zagrożona samotnością.* Miała przecież wielkie powodzenie. Wystarczyło, że pojawił się ktoś, na kim jej zależało, a od razu opuściła ją pewność siebie.

Kiedy skończyła opatrywać ranę, była już pora obiadu.

Rodzice czekali przy stole. Nawet w tak zamożnym domu dawało się odczuć wojenną biedę. Na obiad była zupa jarzynowa oraz makaron zapiekany z niewielką ilością sera i warzywami. Mięso było od dawna nieosiągalne.

- Pan porucznik wybaczy, mamy wojnę i zaopatrzenie jest złe. - Matka Marion próbowała się tłumaczyć.

- Pochodzę ze skromnego domu i nawykłem do takich posiłków, proszę pani.

- Mam na imię Astrid, a mój mąż Hasso.

Hasso się nie odezwał. Poznał po oczach, że uwaga o skromnym domu do niego dotarła. Zjedli z apetytem. Po posiłku panie przyniosły

dzbanek z herbatą, filiżanki i domowe ciasteczka. A dla panów mocno napoczętą butelkę koniaku.

- Napijesz się, Robercie? Hennessy, ostatnia butelka.

- Z przyjemnością.

- Jakie koleje losu zawiodły cię w nasze progi?

- To długa historia. Walczyłem w Polsce w trzydziestym dziewiątym. Po naszej klęsce przedostałem się do Francji. Po kapitulacji Francji ewakuowano mnie do Anglii. Rok temu uzyskałem obywatelstwo brytyjskie i wstąpiłem do armii. Już po raz trzeci złożyłem przysięgę. Jestem, a raczej do dzisiaj byłem dowódcą plutonu.

- Co się stało? Dlaczego byłeś?

- Nie zdradzę wielkiej tajemnicy, z mojego plutonu pozostało niewiele. Nawet nie wiem, ilu.

- Nie wygląda najlepiej, jeśli dowódca nie wie, ilu jego ludzi przeżyło.

- Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że wszyscy mieliśmy równe szanse. Wydałem rozkaz: „Za mną!”, potem każdy musiał liczyć na siebie.

Hasso był weteranem Wielkiej Wojny i rozumiał, że Robert nie krył się za plecami swoich ludzi, lecz poprowadził ich do samobójczego ataku.

- Musiałeś wykonać ten rozkaz?

- Musiałem, zresztą to była moja decyzja. Wybacz, ale więcej nie powiem. Nie dlatego, że tajemnica, jesteśmy jednak po przeciwnych stronach. Udzieliliście mi gościny, twoja córka pomogła, więc opowiadanie o strzelaniu do Niemców nie ma sensu. Nie rozdrapujmy ran.

- Masz rację. Wojna stawia nas przed niełatwymi wyborami. Aliantom trudno będzie uwierzyć, że część korpusu oficerskiego nienawidzi Hitlera.

- Wiem coś o tym. Nieźle się orientuję w sytuacji III Rzeszy. Proponowano mi służbę w wywiadzie, jednak wybrałem zwiad. Nie

jestem waszym wrogiem. Jestem wrogiem nazizmu.

- Oby pozostali oficerowie alianccy rozumowali podobnie. Jednak wątpię. Dla nich Niemiec już na zawsze pozostanie hitlerowcem.

- Trochę optymizmu. Może nie będzie tak źle.

- Słyszysz, papciu? Robert myśli, że wszystko się jeszcze ułoży.

- Oby tak było, oby tak było - westchnął ciężko Hasso.

Podszedł do starego, rzeźbionego pianina, które stało w rogu salonu. Miał ochotę zagrać coś pogodnego dla poprawy nastroju.

- Czy mogę zagrać?

Obawiał się, że któraś z pań gra znakomicie, a jego klezmerskie popisy zostaną przyjęte z politowaniem. Obie się jednak do pomysłu zapaliły.

- Grasz na pianinie? Wspaniale! Właśnie muzyka jest nam dzisiaj potrzebna - zachęcała Astrid.

Na początek zagrał popularne niemieckie melodie, których nauczył się jeszcze w Bydgoszczy. Marion podeszła do pianina i stanęła tak, żeby na niego patrzeć. Uprosiły, żeby zagrał ich ulubioną melodię z pieśni *Partisanen vom Amur*, którą Hasso przywiózł z poprzedniej wojny. Nuty leżały na pianinie. Potem przerzucił się na szlagiery angielskie, stare pieśni folkowe: *Greensleaves*, *Scarborough Fair*, i irlandzką balladę *Here's to the Grog*. Zakończył, jakżeby inaczej, piosenką Ordonówny.

Szczęście raz się uśmiecha,

Jeden raz tylko dłoń podaje

Gdy okazję tę ominiesz

Toś przepadł, to już zginiesz

*Bo szczęście przyszło, mogłeś je mieć*³⁴

- Przetłumacz nam tę piosenkę. - Wyczuła, że jest o czymś ważnym.

Przetłumaczył. Doskonale rozumiała, co chciał powiedzieć. Jej matka chyba też. Tylko Hasso niczego się jeszcze nie domyślał.

Zatrzasnął klawisz pianina. Astrid podeszła i podziękowała.

- To było naprawdę wspaniałe. Jesteś niezwykle utalentowany.

- Wiesz, mam, Robert miał narzeczoną. Wyszła za innego, kiedy on był na froncie. - Marion nie mogła się powstrzymać.

- To sprawa Roberta, Mia. Nie powinnaś go wypytować ani tym bardziej o tym mówić.

- Ale ja powiedziałam, że niemiecka dziewczyna czegoś takiego by nie zrobiła. Prawda, mam?

- Nie wiem, co powiedzieć. Może przejdziecie się przed kolacją? Jeżeli wyjdziecie od tyłu, nikt was nie zauważy.

- Wspaniały pomysł. Masz ochotę?

Jasne, że miał. Był już w koszuli i spodniach Hasso. Spodnie były za krótkie, za to koszula leżała doskonale. Dostał jeszcze kurtkę myśliwską. Szli spacerem. Wiosna kawałek po kawałku wydzierała zimie zmarzlinę. Ziemia zdążyła obeschnąć, a na drodze nie było kałuż.

- Muszę przyznać, że zachowywałeś się jak dżentelmen. Tak jak obiecałeś. Po twoich porannych wygłupach trochę się obawiałam. Okazuje się, że niepotrzebnie. Spodobałeś się rodzicom. Są tacy kochani. Mama okropnie się o mnie martwi. Tatek też, tylko tego nie okazuje. Jak otworzą wyższe uczelnie, wyjadę na studia, a oni zostaną sami.

- Co chcesz studiować?

- Malarstwo. Lubię malować. Nie mam wielkiego talentu, ale naszą rodzinę stać na finansowanie moich studiów.

- Malarki to atrakcyjne kobiety. Krążą legendy o ich miłosnych talentach.

- Tobie tylko jedno w głowie. Ciekawe, skąd to wiesz. Chodziłeś może z malarką? - spytała podejrzliwie.

- Nie, skądże. Po prostu tak się mówi. Wiesz, takie męskie rozmowy.

- Ach, o tym rozmawiacie. Jaka jest która w łóżku.

- Może nie dosłownie, to by było zwykłe chamstwo, ale tak ogólnie i owszem. Wy też nie jesteście święte. Domyślam się, o czym plotkujecie. Nie są to bynajmniej niewinne pogawędki.

Była podekscytowana. Jak było w tej piosence? Szczęście raz się uśmiecha. Dzisiaj w nocy to sprawdzi. Ma już dwadzieścia lat, a niewiele wie o tym, co w życiu najważniejsze. Bez zwłoki przystąpiła do realizacji swojego planu. Ujęła go pod ramię. Czuła, że w ten sposób się do niego zbliża. Lecz on nie zrobił nic. Znikła jego poranna pewność siebie. W takim razie ona musiała działać. Objęła go w pasie, on ją też objął. Dłonią, którą go obejmowała, poszukała jego dłoni i się w nią wsunęła. Nie potrzebował dalszych zachęt. Przechodzili właśnie obok starego dębu, który niejedno widział. Objął ją, a ona mu się z wdziękiem poddała. Zamknęła oczy, jej zwinny język wśliznął się do jego ust. Spletli języki, napierając nimi na siebie. Tym razem całowali się długo i namiętnie. Pocałunek powiedział więcej, niż mogły wyrazić słowa. Czuł, jak jego pożądanie wzbiera. Ona też musiała to wyczuć.

- To nie był zwykły pocałunek, prawda? - spytała, kiedy się od siebie oderwali. W tym pytaniu zawarte było inne.

- Wszystko, co się między nami dzieje, jest niezwykle. Nasze spotkanie to nie był przypadek. - Wpatrywał się w nią zachwycony.

A potem zapadło milczenie, długa, magiczna cisza.

Kolacja upłynęła na sympatycznych rozmowach. Starannie unikano tematu wojny. Potem panie się oddaliły, aby spędzić czas na ważnych, kobiecych zajęciach, a panowie usiedli w przepastnych fotelach. W kominku, wesoło trzaskając iskrami, żarzyły się brzozowe polana.

Hasso zaczął wreszcie podejrzewać, że Robert jest zainteresowany jego córką. Tylko ślepy by tego nie dostrzegł. Co gorsza, jej to najwyraźniej nie przeszkadzało, a nawet wyglądała na zadowoloną. Nie wpadł wprawdzie w desperację, jednak taki zięć mu się nie uśmiechał. Wyobrażał sobie zawsze, że wyda ją za oficera ze starej junkierskiej rodziny. Marion była jedynaczką i jedynie w ten

sposób mogła kontynuować rodzinną tradycję. To powinien być ktoś z ich sfery, nie obcy bez grosza przy duszy i nie wiadomo skąd. O ile zechcą go wysłuchać, będzie się temu związkowi sprzeciwiał. Tylko czy będą chciały słuchać? Obawiał się, że żona stanie po stronie córki. Roberta wprawdzie polubił, nie widział go jednak w roli zięcia. *Najlepiej wziąć całą sprawę na przeczekanie. Marion jest taka młoda, może jeszcze wiele razy zmienić zdanie.*

Dyskutowali o sprawach wojskowych. O sposobach prowadzenia wojny, o dowódcach poszczególnych armii. Hasso zadziwiło wygłoszone przez Roberta z dużą pewnością twierdzenie, że w czerwcu czterdziestego roku wojna została rozstrzygnięta.

- Co znaczy „rozstrzygnięta”?

- Oznacza, że odnieśliście zwycięstwo. Tylko bezmyślne decyzje Hitlera spowodowały, że udało się wam przegrać wojnę, która już została rozstrzygnięta na waszą korzyść.

- Przegraliście, którą wygraliście? Przyznaję, że nie bardzo rozumiem. Możesz to szerzej wyjaśnić?

Streścił alternatywny przebieg wojny opisany Basilowi.

- Jak na porucznika masz interesujący sposób myślenia. - Hasso podkreślił niski stopień Roberta, nie była to jednak złośliwość, więc młodszy oficer przyjął tę uwagę z uśmiechem.

- Hitler nieoczekiwanie stracił swój niezawodny instynkt i tylko dlatego przegraliście wojnę. I dobrze, bo trudno sobie wyobrazić świat rządzony przez SS oraz Gestapo. - Zostawił Hassę pogrążonego w zadumie nad zmiennymi kolejami losu.

Panna von Thoma zapukała nieśmiało do drzwi pokoju gościnnego. Przyszła zmienić opatrunek. Nie była teraz przemądrzałą panią z dobrego domu, lecz spłoszoną dziewczyną, która czegoś pragnie, jednak trochę się wstydzi. Zmiana opatrunku poszła sprawnie. Zaproponowała, że przyniesie alkohol i posiedzą trochę we dwoje. Po chwili wróciła z tacką. Przyniosła dzbanek z herbatą, filiżanki, domowe ciasteczka, butelkę niemieckiej brandy i kieliszki. Postawiła tacę na stoliku i usiadła na drugim końcu kanapy. Widać

było, że się przygotowała, a alkoholu potrzebuje, żeby dodać sobie odwagi. W prostej bordowej sukience, pantoflach na niewielkim obcasie, z dyskretnym makijażem – wyglądała ślicznie. Pożerał ją wzrokiem. Ona za to była speszona i trochę unikała jego spojrzenia.

Trudno się jej było dziwić. Postawiła wszystko na jedną kartę. Jeżeli się powiedzie, będą razem. Jeżeli nie, dołączy do tych wszystkich kobiet na jedną noc. Miała tylko nadzieję, że ta noc będzie niezapomniana. Obydwoje byli skrępowani.

Nie była dziewicą, miała kochanków. Na początku było zauroczenie, które fizyczna bliskość przeistaczała w zachłanną, wojenną miłość. Kiedy się okazywało, że oprócz pożądania niewiele ich łączy, miłość wygasła.

- Podobam ci się, czy tylko tak mnie zwodzisz, żeby zaciągnąć do łóżka? – Podniosła na niego wzrok.

- Zastanów się, co mówisz. Musisz przecież wiedzieć, jaka jesteś piękna. Ale nie zakochałem się w urodzie, a w tobie. I jestem bezgranicznie szczęśliwy.

- Naprawdę się we mnie zakochałeś od pierwszego wejrzenia? – Przynęła się nieco bliżej.

- To święta prawda, daję słowo! Ta, która mi skradła serce, siedzi obok.

- Czy mam je oddać? – westchnęła.

- Chcę, żebyś je zatrzymała na zawsze.

- A ile muszę zapłacić?

- Miłość jest bezinteresowna. Jeżeli oczekuje czegoś w zamian, przestaje być miłością.

- Czyli że jeśli nie będę twoja, swego serca mi nie odbierzesz?

- Moje serce już na zawsze należy do ciebie. Gdybyś przez przypadek chciała zwrócić – nie przyjmę go z powrotem. – Jego pożądliwe spojrzenie doprowadzało ją do rozkosznego drżenia.

- Chyba nie powinnam być taka samolubna. Coś ci się w końcu należy. Ale na pewno nie tyle, na ile liczysz.

- Z pewnością lepiej jest dostać cokolwiek niż nie dostać nic.

- Też tak uważam. Kiedy masz zamiar odebrać to swoje cokolwiek?

- Pragnę cię tak, że nie mogę się doczekać.

- Właśnie widzę. - Zerknęła na jego spodnie.

Dopiła brandy, wstała i zaczęła rozpinąć guziczki od sukienki, a on pomagał. Zsunęła sukienkę wzdłuż ciała, wyginając się w biodrach, i pozwoliła jej opaść. Miała zgrabne nogi zwieńczone wdzięcznie wypiętą pupą. Biust niewielki, ale kształtny. Stała przed nim w samej bieliźnie, niepewna i zawstydzona. Usiadł na łóżku i pociągnął ją za rękę, a ona usiadła mu na kolanach, przycisnęła wargi do jego ust, rozchyliła i z głośnym westchnieniem wchłonęła jego język. Kiedy się całowali, w uszach dzwoniło mu od jej rozkosznych pojękiwań. Wiercącym się tyłkiem ugniatała mu krocze, co doprowadzało go na granicę eksplozji. Przez jedwab stanika czuł powiększone sutki, szczypał je, dając rozkosz i ból. Kiedy cichutko jęknęła, obnażył jej piersi i się w nie wgryzł.

- Czy podobają ci się moje piersi?

- Nie wyobrażałem sobie, że są takie piękne.

- Zawsze myślałam, że są za małe. Chyba wolicie większe?

- Być może, ale ja nie lubię dużych. Podobają mi się właśnie takie. Nie widziałem równie pięknych. Są doskonałe.

- I są twoje. Możesz z nimi robić, co zechcesz.

Pochyliła się, dotykając piersiami jego twarzy. Całował, podgryzał, szukając nacisku zębów, sprawiającego jej rozkosz. Ciche pojękiwania i pomrukiwania były subtelną wskazówką. Jakby mówiła: „Mocniej, nie tak mocno. Ooo, tak właśnie”.

Obawiała się, że rzuci ją na łóżko i wypieprzy po żołniersku, nie dając czułości, której tak bardzo oczekiwała. Położył ją na plecach. Czarne pończochy kontrastowały z mlecznobiałą, delikatną i gładką skórą. Ściągnął je. Miała teraz na sobie tylko koronkowe majteczki. Zsunął się między nogi, a ona mu się poddała, rozchylając uda. Pieścił ich wewnętrzną stronę językiem, zębami i dłońmi. Czuł, jak drży, widział, jak się podnieca. Uniosła w górę nogi, zachęcając do

ściągnięcia majtek. Miała jasne futerko. Gęste i delikatne w dotyku. I zapach. Subtelny, pociągający i jednocześnie odurzający. Woń, która odbierała rozum. Kiedy się rozbierał, obserwowała go spod przymrużonych powiek.

- Chciałabym, żeby ta chwila trwała wiecznie - wyszeptała.

Drapiąc delikatnie paznokciami, przesuwając dłonie wzdłuż jej ud. Kiedy dotarł do krocza, rozwarł ją i leniwymi liźnięciami pieścił cipkę. Wydawała z siebie niekontrolowane jęki i skomlenia. Każdym ruchem, każdym dźwiękiem okazywała pożądanie. Wcisnął się w mokrą, rozwartą pożądliwie pochwę. Pieściła go dziko, wbijając paznokcie w jego plecy, całując i gryząc. Chciała więcej, szybciej i mocniej, więc unosząc i opuszczając biodra, nasadzała się na niego. Wtedy przeżyła swój pierwszy orgazm. Przestała kontrolować ruchy, ciałem wstrząsały spazmy rozkoszy i wszystko przestało się liczyć. Doszedł zaraz po niej. Leżeli obok siebie w milczeniu. Jej zamglone spojrzenie mówiło więcej, niż da się powiedzieć.

- Jesteś taka piękna. - Urzeczony jej urodą wpatrywał się w nią z uwielbieniem.

Zarzuciła nogę na jego biodro i lekko nią poruszając, dawała do zrozumienia, czego oczekuje. Po chwili jego dłonie błądziły po jej pośladkach, wewnętrznej stronie ud, wreszcie dotarły do jej wilgotnej kobiecości. Pieścił ją, przeciągając językiem po łechtaczce, a kiedy przyciągnęła go do siebie niecierpliwie, jednym pchnięciem wbił się w jej gorącą, śliską miękkość i mógł się ponownie sycić jej pożądaniem. Potem mruzczała cicho, zaspokojona.

- Chcę cię! - zażądała po chwili. Napierała na niego pośladkami, ugniatając męskość.

Ułożyła się na pieska. Pomiedzy rozchylonymi udami widoczne były obrzmiałe *labia*. Kołysała nieznacznie biodrami, prowokując go tymi lubieżnymi ruchami. Kiedy brał ją od tyłu, poczuła się jeszcze bardziej jego i cicho mruzczała z aprobatą. Wyszedł z niej, a ona zajęła się jego uchem, muskała je językiem, podgryzała, ssała, pieściła gorącym oddechem i szeptała nieprzyzwoitości.

Czy naprawdę kocha? Tak mnie omotał, że straciłam głowę. A jeśli go już więcej nie zobaczę? Przestraszyła się, że wyjedzie i nie wróci. To się nie może tak skończyć!

- Roobee.

- Tak, kochanie?

- Jak ci było?

- Nieziemsko!

- Naprawdę? Pewnie tak mówisz, żeby, no wiesz, przez uprzejmość.

- Co ty opowiadasz!?! - Ugryzł ją w sutek. Tym razem nawet zabolalo. - Jak będziesz pleść takie androny, ugryzę mocniej. Tylko spróbuj!

- Bo mi było cudownie. Czy nie masz już dosyć? - Uśmiechnęła się rozkosznie, jak dziewczynka, która ma buzię wysmarowaną czekoladą. - Nie żebym chciała, ale jak ty bardzo chcesz, to ja... Uważasz może, że jestem nieprzyzwoita?

- Jesteś najcudowniej nieprzyzwoita, jak można sobie wyobrazić. A ja jestem niewiarygodnym szczęściarzem, bo cię spotkałem i jestem teraz z tobą.

Wsunęła rękę pod kołdrę. Był w fazie regeneracji. Jej subtelny dotyk sprawił cud i po chwili był sztywny jak kołek.

- Jaki wielki! Bałam się, że nie wejdzie, ale się zmieścił. Myślę, że on jest dopasowany na miarę do mojej cipeczki. Jak sądzisz?

- Specjalnie dopasowany, mówisz?

- Taa. Jest stworzony na mój wymiar. Jestem tego pewna.

- Może sprawdzimy, czy jest tak dopasowany, jak twierdzisz.

- Naprawdę? Chcesz sprawdzić?

- Jeżeli się bardzo postarasz...

- Postaram się, jak najbardziej - zgodziła się ochoczo. - Co mam zrobić?

Poszeptał jej do ucha. Zmieszana, nie wiedziała, gdzie uciec z oczami.

- Nigdy nie byłam taka nieprzyzwoita. Wstydzę się i nie wiem, jak to robić. - Twarz dziewczyny spłonęła rumieńcem, a uszy poczerwieniały jeszcze bardziej.

Wyswobodził się z jej objęć i poszedł do łazienki. Przyjęła go z otwartymi ramionami. W niemym oczekiwaniu rozchyliła wargi, pomiędzy którymi poruszał się ruchliwy, czerwony koniuszek języka.

- Kiedy się wstydzisz, jesteś taka śliczna. Wystarczy, jak popracujesz języczkiem, jakbyś oblizywała loda.

Zachichotała i zabrała się do lizania nadspodziewanie ochoczo. *To takie urocze, kiedy młoda dama zapomina, że jest dobrze wychowana.* Był już dobrze zwilżony, więc nasadził ją na siebie. Potrzebowała chwili, żeby znaleźć właściwe tempo. Zmieniając rytm i kąt pochylenia, znalazła to, czego szukała. Pochłaniał ją wzrokiem. *Ta baśniowa dziewczyna jest moja. Cała moja i tylko moja!* Unosiła się w górę, żeby po chwili wolno opaść w dół, wypychając biodra w przód. Pochwa była tak mokra i rozciągnięta, że przesuwiał się w niej bez oporu.

- Mógłbym na ciebie patrzeć bez końca. - Pieścił napęczniałe pożądaniami piersi.

- Wykorzystasz mnie, a potem wyjedziesz, zapomnisz i już nie wrócisz.

- Tyle razy przysięgałem, że cię kocham. Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła? Kiedy powiesz, że mam szansę, to się oświadczę.

- Nie igraj ze mną. Przecież wiesz, że tego nie zrobisz. - Choć po cichu na nią liczyła, jednak jego deklaracja ją oszołomiła.

- Najpierw byłaś pewna, że nie kocham, tylko sobie z siebie żartuję. Teraz, że się nie oświadczę. Jesteś wszystkim, czego pragnę.

Ustawił ją na czworakach i wszedł od tyłu. Nie potrzebowała wiele czasu, żeby odnaleźć powód do głośnych krzyków. W tym domu były solidne mury, żaden dźwięk nie wydostawał się na zewnątrz. Po tym, jak głośna się zrobiła, widać było, że jest to jej ulubiona pozycja. Ta herbaciana róża z prowincji lubiła wszystko.

- Dlaczego miałabym odmówić? - Jak tylko ochłonęła, powróciła do tematu. - Podobasz mi się, nawet bardzo. Może i ja się w tobie zakochałam? Pomyślałeś o tym? Jakże to mają być powody mojej rzekomej odmowy?

- Jesteś Niemką, ja Polakiem. Nie wydaje ci się, że to poważna przeszkoda?

- Mnie tam nie przeszkadza. Słowianie są tacy dzicy... Wiesz, co mam na myśli, prawda?

- Może tobie nie, ale twojej mamie, tacie, znajomym? Nie żyjemy na bezludnej wyspie.

- W końcu kto wychodzi za mąż, oni czy ja? - z wrodzonym niewieścim sprytem zmieniła tryb czasownika.

- Po drugie, bariery klasowe. Twoja rodzina... Chyba macie tytuł... A ja? Matka mnie wychowywała samotnie. Jaka była, wolę nie wspominać. Ojciec się do mnie nie przyznawał.

- Przecież to nie twoja wina - podsunęła życzliwie, już gotowa bronić go przed całym światem. - Będziemy szczęśliwą rodziną. Przekonasz się.

Jej rodzina. Przyglądał im się z zazdrością, wspominając własny dom rodzinny. *Dlaczego ja nie miałem podobnej? Czy Marion stworzy mi taki ciepły dom?*

- W to nie wątpię. Nie potrafię sobie wyobrazić lepszej. A twój ojciec? Z pewnością nie będzie zachwycony.

- Już my sobie z tatą poradzimy. Nasza w tym głowa.

Użycie liczby mnogiej dało do myślenia. Widocznie rozmawiała o swoich zamiarach z matką.

- Co powiedziałaś mamie?

- Nic takiego. Że ci się podobam. Tyle mogłam powiedzieć, prawda?

Za nic by nie zdradziła, że mama wie o wszystkim. Nawet gdzie jej córka spędza noc.

- Chyba tak. A mówiłaś, że się w tobie zakochałam?

- Wstydziałam się i bałam, że tylko tak mówisz. Tak mi zamotałeś w głowie, że się w głowie nie mieści. Uwierzyłam w twoje miłosne zaklęcia. To jak będzie z tym ślubem?

Aby poprawić swą pozycję negocjacyjną, wsadziła rękę pod kołdrę.

- Taaak. O taaak! Jak mnie zapewnisz, że zostanę przyjęty, to się oświadczę. Poproszę Hasso o twoją rękę.

- Naprawdę? Zrobisz to? - spytała podekscytowana. - Oczami wyobraźni widzę nasz ślub. To scena fantastyczna z realistyczną symboliką.

- Przecież ci dałem słowo.

- Jaka to oszczędność czasu, zakochać się od pierwszego wejrzenia. Jutro dostaniesz wiadomość. Tylko nie ucieknij. Pamiętaj, wzięłam cię do niewoli!

Odgarnęła kołdrę, żeby poćwiczyć nowo nabytą umiejętność. Miała ruchliwy, spiczasty i różowy język. Sam jego widok był najlepszym afrodyzjakiem. Czuł łapczywie ssące wargi, ruchliwy język, łaskotanie rozpuszczonych włosów. Ta noc zdawała się nie mieć końca. Nie mogli się nasycić swoją bliskością.

- Jest mi tak... tak rozkosznie, jakbym była zawiana. - Zachichotała. - Porozmawiajmy jeszcze. O czym mi opowiesz?... Nie! Ty sobie pomilcz, ja poopowiadam.

Nieźla z niej była gaduła. Trajkotała o swoich dziewczyńskich, bardzo ważnych sprawach, a on pomrukiwał uprzejmie. Zdawało mu się, że słucha bajki na dobranoc.

Kiedy się obudził, łóżko po jej stronie było puste. Wziął szybki prysznic i zszedł na dół. Na śniadanie podano jajka. Do wyboru smażone, na miękko lub po wiedeńsku i pachnący świeżością wiejski chleb z masłem. Marion była w niego zapatrzona. W jej wzroku nie było wczorajszej ironii, lecz dzisiejsze rozmarzenie. Panie były w doskonałych nastrojach, czego nie dało się powiedzieć o Hassie.

Po śniadaniu poszli na spacer. Miała się już za narzeczoną i ochoczo to demonstrowała. Zabawiała rozmową, trzymała za rękę,

z wdziękiem podawała się do pocałunków. Nie wspominała o oświadczeniach, ponieważ matka rozmawiała właśnie z ojcem. Od wyniku tej rozmowy wiele zależało. Była zdecydowana wyjść za niego niezależnie od tego, co powie ojciec. Ale chciała, żeby wszystko przebiegało w zgodzie. Wrócili tuż przed obiadem. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby odgadnąć wynik rozmowy. Ojciec się zgodził. Szczęście ją rozpierało. Nuciała pod nosem, śmiała się z niczego, kręciła piruety i żartowała. Po obiedzie Hasso poszedł do gabinetu. Powiedziały mu, że ma tam iść i czekać na Roberta. Obawiał się tej rozmowy i wahał, więc długo go przekonywały.

Baron von Thoma siedział w fotelu z kieliszkiem w ręku. Dla niego nie była to ani łatwa, ani przyjemna rozmowa. Wydanie jedynaczki za nieznanego, obcokrajowca, w dodatku Polaka, bardzo go smuciło. Był baronem, jego jedyna córka baronessą. W Niemczech, w odróżnieniu od Anglii, primogenitura³⁵ była ograniczona do dziedziczenia majątku, dlatego arystokratów było wielu. On jednak był dumny ze swojego tytułu szóstego Barona von Thoma. Odległy przodek, generał, dostał tytuł za zasługi w wojnach napoleońskich. Wolałby, żeby to był syn sąsiadów albo ktoś z dalszej rodziny, najlepiej oficer z tytułem i majątkiem. Takiego zięcia sobie wymarzył. Astrid przekonywała, że czasy się zmieniły. Tytuły, formalnie zniesione po poprzedniej wojnie, po tej będą znaczyły jeszcze mniej, a Marion jest szczęśliwie zakochana i tylko to się liczy.

- Ona tak prędko nie traci głowy. Robert jest pierwszym, w którym się tak zakochała. Nie odmawiajmy jej szczęścia. Nie da się przewidzieć, kiedy spotka następnego. Może już nigdy? Weźmiesz na siebie taką odpowiedzialność? - Tym argumentom musiał ulec.

Na szczęście nie musiała wyjaśniać mężowi smutnych prawd, o których nie pomyślał. Większość jej przyjaciółek była w żałobie po śmierci synów. Niektóre straciły wszystkich. Po wojnie będzie brakowało mężczyzn. Ponad pięć milionów poległo na froncie. Inni zostali inwalidami albo mają problemy psychiczne po latach dramatycznych przeżyć. Wielu trafiło do niewoli sowieckiej i słuch

o nich zaginął. Jedynie nieliczni powrócą z tej ziemi przeklętej. I nieprędko³⁶. Na jednego zdrowego mężczyznę będzie przypadać kilka młodych kobiet. Każda będzie chciała wyjść za mąż, rodzić dzieci. Marion wcale nie będzie łatwo znaleźć odpowiedniego kandydata na męża.

Z drugiej strony Robert, wprawdzie tylko porucznik, Polak i bez majątku, będzie jednak oficerem armii okupacyjnej. Porucznik zwycięskiej armii znaczy więcej niż generał przegranej. Astrid była mądrą, chłodno kalkulującą, a jeżeli zaszła taka potrzeba – wyrachowaną kobietą. Doszła do wniosku, że w obecnej sytuacji Robert jest dla córki całkiem przyzwoitą partią. Nie idealną, taką byłby młody wiekiem major brytyjski, najlepiej z tytułem, lecz nie ma co czekać na lepszą okazję, bo z tego czekania zostanie starą panną. Zresztą nie o pieniądze chodziło. Pieniądzy von Thomowie mieli dosyć, a ani ona, ani jej córka nie były chciwe. Zgadzając się, żeby Marion przyjęła oświadczyzny, swoich przemyśleń jej nie zdradziła.

- Siadaj, Robercie. Dobrze nam robi kieliszek czegoś mocniejszego. - Nalał mu brandy. - Słyszałem, że chcesz się oświadczyć mojej córce.

- Mam taki zamiar, ale najpierw chciałbym dostać twoją zgodę.

Hasso machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę.

- Czy sądzisz, że tym babom z piekła rodem moja zgoda jest potrzebna? Poczekaj, aż ty będziesz miał córkę. Wtedy zobaczysz, jak to jest. Żeby niepotrzebnie nie przedłużać: jeżeli Marion powie „tak”, macie moje przyzwolenie.

- Nawet się nie domyślasz, ile to dla mnie znaczy. Jesteście taką zgodną rodziną. Za nic nie chciałbym wkraczać między was.

- Rozumiem. Zanim poprosimy nasze panie, pozwól, że omówimy kilka spraw. Co masz zamiar robić po wojnie?

- Zamierzam wrócić na uczelnię i dokończyć studia. Został mi ostatni rok. Będzie nam trudno, ale z pewnością sobie poradzimy. Dostanę odprawę z wojska, spróbuję coś zaoszczędzić. Studiując, będę jednocześnie pracował. Robiłem tak przez trzy lata. Z dyplomem

Oksfordu nie będę miał problemu ze znalezieniem pracy. Możliwe, że zaproponują mi pozostanie na uczelni. Dziekan już o tym wspominał. Dla Marion to będzie szansa. Niemieckie uczelnie są w tragicznej sytuacji. W tym roku z pewnością nie będzie naboru. Nie da się przewidzieć, co będzie w przyszłym. Mogłaby studiować w Oksfordzie. Wspominała, że pasjonuje ją malarstwo. Jeżeli dostanę pracę, bez trudu nas utrzymam.

- Brzmi dosyć rozsądnie. O pieniądze nie musisz się martwić. Nie jesteśmy wprawdzie bogaci, dysponujemy jednak pewnymi zasobami. Na szczęście przed wojną, nie wierząc w fantasmagorie austriackiego kaprała, zainwestowałem w akcje szwajcarskich banków. Inwestycja mogła nie przynieść zysku, ale przynajmniej nie straciliśmy wszystkiego. Marion ma w spadku po mojej matce niewielki fundusz powierniczy. Również bezpiecznie przechowany w szwajcarskich aktywach. Będzie mogła decydować o przeznaczeniu pieniędzy, kiedy skończy dwadzieścia pięć lat, lecz jako powiernik nie odmówię córce tego, co się jej należy.

Zasepił się. Pragnął Marion, nie jej pieniędzy. Dojdzie do wszystkiego sam, był przekonany, że mu się powiedzie. Nie chciał nikomu, nawet teściom, których zdążył polubić, zawdzięczać czegokolwiek.

- Szlachetna propozycja, nie mogę jednak korzystać z waszych pieniędzy. Musimy przed ślubem sporządzić intercyzę.

- Intercyzę? Po co wam intercyza?

- Żeby rozstrzygnąć sprawy finansowe. Od utrzymania rodziny jestem ja. Jeśli nie podołam, będę zmuszony poprosić ciebie albo Marion o pomoc. Póki co spróbuję sobie radzić samodzielnie. Mam nadzieję, że zrozumiesz.

- Rozumiem, tylko że to bez sensu. Znamy się dopiero dwa dni, ale masz w nas przyjaciół. Przez myśl nam nie przeszło, że chcesz się ożenić z naszą córką dla pieniędzy, nie musisz niczego udowadniać. Zresztą nie wiedziałeś o tych funduszach. Równie dobrze mogliśmy być zrujnowani.

- Nie jestem uparty. Obiecuję, że jeśli zajdzie potrzeba, bez wahania poproszę o pomoc. Na razie daj mi szansę. Zobaczymy, jak sobie poradzę, sam jestem ciekaw.

- Skoro tak, zgoda, ale zamiast intercyzy wystarczy nasza umowa. Za drzwiami dało się słyszeć szuranie. Panie traciły cierpliwość.

- Wejźcie, wejźcie - zawołał Hasso. - Przecież wiem, że podsłuchujecie.

Wtargnęły do gabinetu. Powstrzymały się od wymówek, ponieważ najważniejsze były zaręczyny.

- Marion, Robert poprosił mnie o twoją rękę. Nie ukrywam, jestem trochę zdziwiony, przecież znacie się tak krótko. Ale jeżeli obydwoje tego chcecie, to i ja jestem szczęśliwy. Teraz chcę usłyszeć od ciebie, czy pragniesz za niego wyjść.

Podbiegła do ojca jak strzała, wskoczyła mu na kolana i zarzuciła ręce na szyję.

- Chcę, chcę, bardzo chcę! - Zasypała go pocałunkami. - Jesteś najcudowniejszym tatą na świecie.

- Zwłaszcza, kiedy się na wszystko zgadzam - mruknął pod nosem.

- No, dzieci, możecie się pocałować. - Astrid umiała się znaleźć w tej sytuacji.

Pocałunek był skromny, obecność rodziców mimo wszystko krępowała. Nadszedł czas na omówienie szczegółów. Wszyscy byli zgodni, ślub powinien się odbyć jak najszybciej, nie było żadnego istotnego powodu do zwlekania. Wojna wymusiła zmianę obyczajów, jeżeli ślub brał żołnierz, nie było tradycyjnych zaręczyn. Pojawił się problem wyznania. Marion była protestantką. Von Thomowie byli przekonani, że Robert, jak każdy Polak, jest katolikiem i będzie oczekiwał, że to narzeczona zmieni wyznanie. Lecz on ich wtedy bardzo zaskoczył.

- Jeżeli mam wybierać pomiędzy miłością a wyznaniem, to wybieram miłość i przechodzę na protestantyzm!

Polacy mieli opinię zatwardziałyh katolików, stąd jego decyzja była w ich mniemaniu wielkim poświęceniem. Marion zawisała mu na szyi. Nie wyprowadził ich z błędu, nie przyznał, jak obojętna jest mu wiara. Żeby się przypadkiem nie rozmyślił, omówili szczegóły konwersji. Von Thomowie znali pastora i zapewniali, że wystarczy, jeżeli złoży oświadczenie woli, konfirmację, nawet w przeddzień ślubu. Po uzgodnieniu tej kwestii panie zaczęły omawiać szczegóły wesela. Widać było, jak się tym tematem emocjonują. Z ich twarzy biła radość, aż przyjemnie było na nie patrzeć. Robert musiał udzielać niezliczonych wyjaśnień. Na większość pytań nie umiał zresztą odpowiedzieć.

Sprawa ślubu została uzgodniona, a on przypomniał sobie, że nadal jest żołnierzem. Rana go usprawiedliwiała, wprawdzie niegroźna, wymagała jednak kilku dni na podleczenie. Była najwyższa pora dać znać, że żyje. Łączność telefoniczna na szczęście działała. Po godzinie wydzwaniania od jednego operatora do drugiego uzyskał obietnicę, że meldunek o jego miejscu pobytu zostanie przekazany do dowództwa batalionu. Telefon zadzwonił o dwudziestej pierwszej. Na linii był Knox.

- Rob!?

- We własnej osobie.

- Co za nieprawdopodobna historia! Myśmy cię już pogrzebali. Gdzie jesteś i co się z tobą działo?

- Jestem lekko ranny, nic poważnego. Mieszkam w rezydencji pod Meppen. Wzięła mnie do niewoli pewna urocza panna. Właśnie się zaręczyliśmy. Przed chwilą skończyliśmy planować wesele.

- Nadzwyczajnie! Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę. Jesteśmy twoimi dłużnikami, cała brygada. Miałeś dostać DSO³⁷ pośmiertnie, a przypnę ci osobiście. Nie wiesz jeszcze, że z twojego plutonu ocalało zaledwie pięciu. Ty, Garrick, Hartley i jeszcze dwóch chłopaków. Grupa bojowa Hausera skapitulowała, część zresztą poszła w rozsypkę. Podobno osobiście zastrzeliłeś Hausera, tak twierdzi Hartley. Ile dni chcesz jeszcze pobyc tam, gdzie jesteś?

- Może trzy? Im dłużej tu jestem, tym później weźmiemy ślub.
- Nie mogę się doczekać, kiedy poznam pannę młodą. Musi być wyjątkową piękną, jeśli aż tak ci zawróciła w głowie.
- Jest niebianką. Mam nadzieję, że zostaniesz moim świadkiem.
- Będzie to dla mnie zaszczytem, poruczniku. W takim razie przyjedziemy za trzy dni. Potrzebujesz czegoś?

Lista potrzeb była długa. Zakończył, kiedy wydał wszystkie oszczędności.

Marion zarządziła przeprowadzkę. Nie musieli się już ze swoją miłością ukrywać. Po kolacji zamknęli się w jej pokoju. Była niezwykle rezydentna.

- Mój drogi, jestem niedoświadczona, ale będę się starała, żebyś niczego nie musiał szukać u innych. Ja ci wystarczę! - Uśmiechała się niewinnie.

- Uwielbiam, kiedy się tak uśmiechasz. Tyle w tobie radości i wdzięku.

- Jak ci się podobam jako narzeczona? Nasza miłość przestała być owocem zakazanym. Jak ci teraz smakuje?

- Im dogłębniej poznaję twoje ciało, tym bardziej się w tobie zadurzam.

- Im dogłębniej, mówisz? Robercie, jesteś bezwstydnym rozpustnikiem. Czy masz zamiar również dzisiaj pogłębiać znajomość mojego ciała? Nie będę się zbytnio opierała.

W świetle lampki nocnej rozbierała się przed nim i dla niego, bez wczorajszego uroczego skrępowania.

Obudziły ich promienie słońca prześwitujące przez żaluzje. Wiosenny dzień wstał chłodny i rześki. Marion odsłoniła firany i otworzyła na oścież okna, wpuszczając do pokoju więcej światła i powietrza.

- Dzień dobry, śpiący królewiczu. - Uśmiechała się do niego naga, długonoga boginka.

- Kiedy się spotkaliśmy, wyczytałem w twoich oczach, że jesteśmy sobie przeznaczeni. - *Ty szczęściarzu, jaka niewiarygodna*

dziewczyna ci się trafiła.

- Lubię, kiedy mówisz takie rzeczy. Która to godzina? - Zerknęła na zegarek. - Mój Boże, już tak późno? Długo jeszcze będziesz się guzdrał? - Z wrodzonym swojej płci sprytem zrzuciła winę na niego.

Zeszli na dół. Powitały ich ironiczne, acz życzliwe spojrzenia rodziców. Nawet ślepy by zauważył, że ich córka jest po uszy zakochana.

Do Meppen wkroczył brytyjski oddział. Było to zajęcie symboliczne, lecz przyjęte z ulgą. III Rzesza dogorywała, w ostatnich konwulsjach potrafiła jednak dotkliwie pokąsać. Mnożyły się wyroki śmierci na faktycznych i rzekomych zdrajców i dezertersów. Fanatyczni hitlerowcy przestali się liczyć z ludzkim życiem. W takiej atmosferze łatwo było o bezmyślne mordy. Kiedy władzę przejęli Anglicy, Niemcy, naród zdyscyplinowany, powiedzieli fanatykom: Stop!

Czwartego dnia w południe pod dom, głośno trąbiąc, podjechał dżip. Wsiadł z niego major Knox i energicznie zapukał do drzwi. Narzeczeni właśnie zeszli na dół. Zasypiali o pierwszym brzasku, a wstawanie w południe weszło im w nawyk. Drzwi otworzyła Astrid.

- Dzień dobry. - Simon szarmancko zasalutował.

- Serdecznie witam, panie majorze. - Astrid, jak wiele Niemek z jej sfery, dobrze znała angielski.

- Czy w tym domu znalazł schronienie porucznik Meissner?

- Zgadza się. Znalazł schronienie i jeszcze więcej. Nasza gościnność nie zna granic, oddaliśmy mu nawet córkę. - Uśmiechnęła się do majora, którego pełen zachwyty wzrok mówił, że wystawi na jej cześć wartę honorową.

- Wiem, wiem, zdążył się pochwalić. Jeżeli nie będzie przeszkód, zostanę pierwszym drużbą.

- Zapraszam do środka.

W salonie byli już wszyscy. Simon serdecznie wyściskał Roberta.

- Zmartwychwstałeś! A to jest z pewnością twoja narzeczona. Wcale się nie dziwię, że straciłeś dla niej głowę. Przepraszam na

chwilę.

Wyszedł przed dom i zarządził wnoszenie prezentów. Od zakończenia walk w tym rejonie minął zaledwie tydzień, jednak miseria powojenna doskwierała dotkliwie. Brakowało wszystkiego. Sklepy były zamknięte, nie miały się gdzie zaopatrzyć w towar, a sprzedawcy nie chcieli przyjmować reichsmarek. Jedzenia było tyle, ile kto przygotował zapasów albo wyprodukował sam. W tej okolicy wielu coś uprawiało, jednak nie wszyscy. Tym, którzy nie mieli własnych zasobów, zaglądał w oczy głód. Niemcy już wiedzieli, że dla nich pokój będzie równie ciężki jak ostatni rok wojny. Kapral wnosił kartony z konserwami i puszki mleka w proszku. Honorowe miejsce na stole zajął kosz cytrusów. Knox miał niepokojące przecucie, że były przeznaczone na stół generała Ridleya. W następnej kolejności pojawiło się dziesięć kartonów papierosów, prawdziwy skarb. Przez najbliższe lata miały zastępować pieniądze. Następnie skrzynka cygar, funtowa paczka kawy i karton czekolady. Na obliczu Hassy zagościł szeroki uśmiech. Jego zapasy dawno się wyczerpały. No i specjalnie dla pań – niewielkie pudełko z nylonowymi pończochami. Radosnymi okrzykami, a nawet bardzo kobiecymi piskami potwierdziły, jak bardzo im się ten prezent podoba. Dalej – nielegalna szkatułka z ampułkami penicyliny. Robert domyślił się, że wartość prezentów dawno już pochłonięła jego skromne oszczędności. Na koniec kapral przytaszczył ćwiartkę jagnięcia. Astrid załamała rękę.

- Córeczko, przez myśl mi nie przeszło, że trafisz na taką dobrą partię. Robercie, czy jesteś Świętym Mikołajem?

Simon chrząknął głośno.

- Mam jeszcze jeden drobiazg. Dla ciebie. Oficjalna ceremonia odbędzie się w jednostce, nieoficjalnie udekoruję cię dzisiaj. Przyznano ci DSO.

Wzruszony, co mu się zdarzało niezmiernie rzadko, stanął, wyprężony jak struna. Największe wrażenie dekoracja zrobiła na teściu. Robert stał się dla niego kimś. Był ktoś kto nie dostawał takiego odznaczenia.

- To jak, dowiemy się w końcu, za co dostałeś ten order?

Hasso był zaintrygowany. Panie zresztą też.

- Opowiedz może ty - poprosił Knoxa Robert. - Tobie będzie zręczniejsze.

Major rozpoczął laudację słowami Churchilla: „*Sometimes it is not enough that we do our best; we must do what is required*”³⁸. Następnie opisał wydarzenia owej dramatycznej nocy.

- Dzięki poświęceniu Roberta i jego plutonu udało się ocalić życie wielu z nas, również naszych przeciwników.

Hasso był zaskoczony i podsumował krótko.

- Zawsze myślałem, że Waffen SS to najlepsza formacja wojskowa na froncie. Mój zięć rozwiął te iluzje.

- Pozwól, że wyjaśnię Simonowi - wtrącił Robert. - Waffen SS nie jest tym samym, co SS. Ci pierwsi to oddziały frontowe. Rzeczywiście najlepsze w armii niemieckiej. Zostali podczas szkolenia poddani praniu mózgowi, dobro i zło pomieszało im się w głowach. Popelnili jako formacja i jako jednostki wiele zbrodni, jednak nie wszyscy byli zbrodniarzami. Wielu wyróżniło się odwagą i walecznością, a nie okrucieństwem. Ci z SS byli zbrodniarzami. I to bez wyjątku! Spośród nich rekrutowano załogi obozów koncentracyjnych. Czy zgodzisz się z moją oceną, tato? - Po raz pierwszy nazwał tak teścia.

- Z przykrością muszę ją potwierdzić.

Panie zarządziły obiad. W przywiezionych zapasach odnalazła się skrzynka czerwonego wina. Do obiadu wypili kilka butelek. Humory dopisywały, więc ustalili termin wyjazdu na następny dzień.

Przy kawie, której aromatem von Thomowie się rozkoszowali, Robert opowiadał Simonowi o swoich planach.

- Kiedy pojawi się taka możliwość, złożę wniosek o przeniesienie do cywila.

- Wywiad chciał z tobą rozmawiać.

- Wywiad? Czego oni mogą ode mnie chcieć?

- Znasz niemiecki, studiowałeś w Oksfordzie, co się zawsze liczy, masz doświadczenie frontowe, no i znakomite opinie. Wrażenie zrobił

na nich DSO. Potrzebują takich ludzi, odważnych i z inicjatywą. Zmartwili się, że zginąłeś. Możesz mieć problemy z przejściem do cywila. Nie będą zatrzymywali na siłę, ale z pewnością usilnie cię namawiali.

Pozostała do uzgodnienia kwestia ślubu i wesela. Ślub miał się oczywiście odbyć w Meppen. Najrozsądniej było pobrać się po zakończeniu wojny, ale walki trwały, a Marion słyszeć nie chciała o przekładaniu zamążpójścia na nieokreśloną przyszłość. Była to prorocza niecierpliwość. Już w kwietniu Montgomery wydał przypominający haniebną ustawę norymberską rozkaz zakazujący „małżeństw mieszanych”. Wiele kobiet doszło do podobnych jak Astrid wniosków, a dowództwo nie chciało, żeby żołnierze żenili się z Niemkami, kiedy w ojczyźnie z wytęsknieniem wyczekiwały ich powrotu samotne Angielki. Ustalili termin na piątek 6 kwietnia. Na przygotowania pozostało zaledwie szesnaście dni.

Zapadł zmierzch, zasiedli do kolacji. Rozmowa się nie kleiła, Marion była markotna, narzeczony ją opuszczał. Nie mogła powstrzymać łez. Na szczęście wzięła się w garść i nastrój zaraz się poprawił.

W drodze na kwaterę wypytywał o swoich ludzi. Dowiedział się, że Garrick jest ranny i przebywa w szpitalu. Pozostali, którzy przeżyli, odnieśli niewielkie obrażenia i szybko doszli do siebie.

- Co z Colinem? Wszystko w porządku?

- Jak go odwiedzisz, lekarze wyjaśnią, co mu dolega. - Simon unikał jego wzroku. - To jemu zawdzięczasz DSO. Ridley odrzucił mój wniosek. W uzasadnieniu napisał, że nie spełniasz wymogów formalnych. DSO mogą otrzymywać oficerowie od majora wzwyż. Kiedy Garrick się o tym dowiedział, napisał do niego, że odmawia przyjęcia Victoria Cross. Stary musiał się ugiąć, aby uniknąć skandalu. Kapituła zatwierdziła już VC dla Garricka. Po porażkach w Caen i Arnhem pojawiło się zapotrzebowanie na bohaterów. Zawsze tak jest, kiedy na wojnie nie idzie najlepiej. Ustąpił, ponieważ

kapituła w szczególnych okolicznościach ma prawo przyznać order oficerowi niższemu stopniem.

Przez resztę drogi zadreślał się obawami o Colina. Następnego dnia z samego rana zameldował się w szpitalu polowym. Jeszcze nigdy się tak nie denerwował. Kazali mu czekać w małej, obskurnej salce. Pielęgniarka włożyła wózek, na którym siedział Colin. Robert przerażony wpatrywał się w przyjaciela. Przez te kilka dni przybyło mu dziesięć lat. Ściągnięta, poczerniała twarz, pozbawione wyrazu oczy, nawet siedząc, przygarbiony. Nie musiał pytać, widział, że był sparaliżowany od pasa w dół. Garrick spojrzał na niego ponuro i krzywo się uśmiechnął.

- Masz szczęście, nie zdefasonuję ci ryja. Nikomu nie zdefasonuję.

- Colin, przykro mi. Bardzo przykro.

Ten potężny, twardy jak głaz mężczyzna popłakał się. Szlochał jak mały chłopiec. Robert objął go i przytulił. Nic więcej nie mógł zrobić.

- Dobrze już, stary, dobrze, jeszcze nie wszystko stracone.

Po chwili Colin się opanował.

- A wiesz, że fiut mi działa? Tylko po jakiego? - Smutno potrząsnął głową.

Podczas tej pierwszej wizyty nie próbował pocieszać przyjaciela. Obwinił siebie za jego tragedię i czuł, że pocieszenie byłoby próbą usprawiedliwiania się.

- Nie spodziewałem się, że któryś z nas przeżyje. Nie przejmuję się, na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Teraz zjeżdżaj do swoich spraw, ale przyjedź jeszcze, pogadamy.

Poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, co w jego mocy, a jeśli zajdzie potrzeba, wezwie na pomoc samego Lucyfera, byle tylko Colin miał godne życie.

Dziesięć dni zleciało jak z bicza strzelił. Knox nie powiadomił o planowanym ślubie dowódcy 147 Brygady, ponieważ jego niechęć do małżeństw angielskich żołnierzy z Niemkami była już nazbyt

widoczna. Wydał zgodę, chociaż nie miał takich uprawnień. To był jego najwspanialszy prezent ślubny. W razie czego kumple z Eton i Sandhurst wyciągną go z tarapatów. Na nich zawsze mógł polegać.

Bieda doskwierała Niemcom coraz dotkliwiej. W sklepach pozostały puste półki. Tradycyjnie organizacja wesela należała do rodziny panny młodej, jednak nie mógł oczekiwać od von Thomów, że dokonają niemożliwego. Knox uzgodnił z Astrid, co jest najbardziej potrzebne, zrobił więc listę. Każdy mógł się dołożyć. Kwatermistrz zorganizował prezent od batalionu. Mięso potrzebne do wykarmienia gości weselnych.

Ślub był skromny. Do kościoła przyszło sto osób. Marion wystąpiła w tradycyjnej białej sukni z welonem. Kiedy Hasso prowadził ją do ołtarza, Robertowi zazdrościli wszyscy mężczyźni. Po ślubie zaproszeni goście przenieśli się do rezydencji von Thomów. Wesele było kameralne, za to stół weselny ugiął się od potraw. W tych ciężkich czasach możliwość najedzenia się do syta była dla wielu gości powodem do radości. Grała trzyosobowa orkiestra, a oni przetańczyli pół nocy. Robert cieszył się, że nie musi uczestniczyć w wielkim weselu sam pośród Niemców. Marion upajała świadomość, że jest jej na zawsze. Kochali się tkliwie, rozkoszując każdą chwilą. Tej szczególnej nocy ona najbardziej potrzebowała czułości. Była to dla niej podróż w nieznane. Wyruszyła w nią pełna nadziei.

³² Bocage - teren, na którym przeplatają się obszary zadrzewione i pastwiska, z krętymi drogami ograniczonymi wysokimi zboczami i gęstymi żywopłotami.

³³ „Nic tak nie ujawnia najgorszych cech człowieka jak postawienie go na wysokim stanowisku dowódczym”- powiedział o Montgomerym jego zwierzchnik marszałek polny Alan Brooke.

³⁴ *Szczęście raz się uśmiecha*, kompozytor: Henryk Wars, tekst: Julian Tuwim.

³⁵ Prawo dziedziczenia całego majątku oraz tytułu przysługujące najstarszemu synowi. W Polsce zbliżone zasady miały ordynacje.

³⁶ *Spośród 110 000 Niemców wziętych do niewoli w Stalingradzie zaledwie 5000 powróciło do ojczyzny.*

³⁷ Distinguished Service Order – po Victoria Cross najwyższe brytyjskie odznaczenie wojskowe.

³⁸ Czasami nie wystarczy dać z siebie wszystko; musimy jeszcze spełnić obowiązek.

5. HAMBURG

Wojna trwała jeszcze kilka tygodni. Na północnym odcinku frontu Niemcy nie stawiali większego oporu. Resztki dywizji pancernych walczyły z Amerykanami na południu, w Austrii i Bawarii. 147 Brygada wkroczyła do Hamburga już po zakończeniu zażartych walk, jakie stoczyły z brytyjskimi jednostkami pancernymi niedobitki I Armii Spadochronowej. Miasto przedstawiało porażający widok. Po dwóch latach dywanowych nalotów w centrum nie ostał się żaden budynek. W jednej tylko operacji Gomora, bombardowaniach w lipcu 1943, zginęło bądź zostało rannych osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców, zaś zniszczeniu uległo pięćdziesiąt tysięcy budynków. Porównywalne straty miało ponieść Nagasaki. W następnych latach Hamburg doświadczył kilkudziesięciu nalotów.

Dowództwo przez pierwsze tygodnie zajęte było zakwaterowaniem wojsk. Wykorzystywano wszelkie dostępne budynki publiczne, które nie zostały zburzone do fundamentów. Rozeszła się wiadomość, że Hamburg będzie siedzibą dowództwa Brytyjskiej Strefy Okupacyjnej - *British Zone of Occupation*.

Robert musiał znaleźć jakieś prowizoryczne lokum, co w zrujnowanym mieście okazało się zadaniem arcytrudnym. Naloty pozbawiły dachu nad głową setki tysięcy Hamburgczyków. Mieszkali teraz w piwnicach, w schronach przeciwlotniczych, na stacjach

metra, na ulicy. Po długich poszukiwaniach wystarał się o jednopokojową klitkę w peryferyjnej dzielnicy. Marion znalazła lepsze rozwiązanie. Namówiła go na wynajęcie mieszkania w położonej o dwadzieścia kilometrów od Hamburga niewielkiej miejscowości Buxtehude. Miał do dyspozycji dżipa i dostęp do benzyny, mogli dojeżdżać do Hamburga. Zaczął się dobijać o zwolnienie ze służby. Zamiast upragnionego dokumentu pojawiło się dwóch panów w garniturach. Byli bliźniaczo podobni do tych z Oksfordu. Zaprosili go do kantyny. Restauracji jeszcze nie otwarto.

- Słyszeliśmy, że się wybierasz do cywila.

- Taki mam zamiar. Skończę studia. Ożeniłem się i muszę utrzymać rodzinę.

- Mamy dla ciebie pewną propozycję.

- Słucham, jaka to propozycja?

Jeżeli propozycja będzie atrakcyjna, to ją rozważy. Negocjując warunki, nie powinien okazywać, że mu na niej zależy.

- Możemy zaproponować przejście do MI6. Wiesz, co to oznacza?

- Oczywiście, wywiad.

- Warunki finansowe są korzystne. Przy obecnym kursie funta do marki twoja pensja pozwoli utrzymać rodzinę na poziomie odpowiednim dla oficera.

Za jednego funta płacono czterdzieści koma trzy reichsmarki. To było rzeczywiście dużo.

- Zastanowię się i porozmawiam z żoną.

- Do jutra musimy znać odpowiedź.

Zamiast z Marion porozmawiał z Knoxem. Był najlepszym przyjacielem i tylko jego rad słuchał. Simon pokręcił głową.

- W mojej ocenie lepiej zrobisz, wracając do Oksfordu. Na dłuższą metę kariera akademicka może się okazać korzystniejsza. Nie zderzysz się ze szklanym sufitem, który w MI6 prędzej czy później cię ograniczy. Nic jednak nie ryzykujesz, stawiając warunek, który to zmieni.

- Jaki to ma być warunek?

- Awans. Z pensji kapitana utrzymasz rodzinę na poziomie, do jakiego twoja żona jest przyzwyczajona. I będzie zachwycona, że nie musi wyjeżdżać za tobą do Anglii.

Knox trafnie przewidział, że jeden awans, a wszyscy będą zadowoleni. Hasso, bo zięć został kapitanem; Astrid, bo udowodni mężowi, że to ona miała rację; Marion, bo ma wspaniałego męża, rodzice się cieszą, a pozycja towarzyska lepsza; i Robert, któremu do szczęścia wystarczy, że żona jest szczęśliwa.

- Nie dziękuj. Są niewielkie szanse, że się zgodzą. O awanse po wojnie będzie wyjątkowo trudno, jeżeli teraz sobie tego nie wywalczysz, to możesz zapomnieć o kolejnych gwiazdkach na wiele lat.

Jednak się zgodzili. Nie od razu, ale się zgodzili. Był im potrzebny. Awans oznaczał więcej niż wspięcie się na drabinie o jeden szczebel. Dotąd jego dwie gwiazdki były powiązane z funkcją dowódcy plutonu. Stopień kapitana w MI6 nie był powiązany z pełnioną funkcją. No i miał bez porównania większy prestiż.

Marion była zachwycona. Wychowana w wojskowej rodzinie, potrafiła docenić, że w wieku dwudziestu pięciu lat jej mąż został kapitanem. Były w czasie wojny szybsze awanse, jednak w czasie pokoju kapitan MI6 to było już coś. Bardzo chciała, aby mężczyźni, których kocha, polubili się. Nie mogła się doczekać, kiedy pojedą do rodziców. Wieczorem przyszyła gwiazdki na pagonach. Była też nagroda wręczana bardzo osobiście.

Promocja rzeczywiście zrobiła wrażenie na Hassie. Pułkownik w głębi duszy był dumny z zięcia. Nie powiedział tego wprost, ale radość, z jaką zapraszał na brandy, była wymowna.

Robert zegnał się z batalionem, Knoxem i z żołnierzami swojego plutonu. Nie był sentymentalny, jednak łza się parę razy w oku zakręciła. Zameldował się u swojego nowego dowódcy. Podpułkownik Mungo Sparks okazał się inteligentnym i doświadczonego oficerem. Był po czterdziestce, lecz oczy miał młode. Wysoki, szczupły, wyglądał

na zawodowego oficera. Zachowywał się powściągliwie, choć potrafił wybuchnąć. Miał doskonałe maniery i choleryczny temperament. Z akt znał przebieg służby Roberta. To on zdecydował, kiedy zastanawiano się nad awansem. Doszedł do dosyć oczywistego wniosku. Pieniądze na pensję Roberta nie będą pochodziły z jego kieszeni, a lepszego oficera do tych konkretnych zadań, jakie przed nim postawiono, prawdopodobnie nie znajdzie. Zaproponował koniak. Zdobywczy - zaznaczył.

- Opowiedz o sobie.

Opowiedział tyle, ile należało.

Sparks zadał jeszcze kilka uzupełniających pytań.

- Jaki jest twój stosunek do Niemców? Tego w aktach nie wyczytałem.

- Zdziwisz się, ale nie ma we mnie wrogości. Walczyłem z nimi, kiedy było trzeba. Teraz mamy pokój i musimy się jakoś dogadywać.

- Zawsze myślałem, że Polacy nienawidzą Hunów³⁹ nawet bardziej od nas.

- Samą nienawiścią daleko nie zajedziemy. Dla tych, na których nie ciąży zarzuty, mam wiele współczucia. Nie cieszy mnie obecna sytuacja, szczególnie w Hamburgu.

- Jak w takim razie widzisz swoją pracę? Na czym ci będzie zależało?

- Będę próbował wyłapać zbrodniarzy: SS, Gestapo, NSDAP. Znajdę takich Niemców, którzy będą pomagali. Z zawiści, dla sprawiedliwości, z poczucia winy, ze zwykłej przyzwoitości. Dla pieniędzy. Nie będzie mi obojętne, dlaczego z nami współpracują, ale liczyć się będzie skuteczność.

- Wszystko ładnie, pięknie, ale czy znajdziesz takich? Przecież oni nas nienawidzą - Sparks nie krył wątpliwości.

- To się jeszcze okaże. Jeśli nie znajdę, wtedy mnie rozliczysz.

- Może w tym coś jest - pyk... pyk... - a może i nie. - Zamyślony palił fajkę. - Interesujące podejście. Nic nie mówiłem, żebyś się nie

sugerował, kogoś takiego potrzebuję. Będzie nam się zgodnie pracowało.

Ze swojej pensji mógł bez problemu opłacić wynajem trzypokojowego mieszkania w Buxtehude. Byli szczęśliwi, że są razem i mają komfortowe warunki w mieście, którego większość mieszkańców nie miała dachu nad głową.

Po przeprowadzce musiał się skoncentrować na pracy. Mungo wspierał, ale i wymagał. Okazało się, że ma wielkie doświadczenie. Wolny od grzechu próżności, nie chwalił się swymi dokonaniem. Utało się, że on myślał, a Robert realizował jego polecenia. Ten układ im odpowiadał. Sparks lubił planować operacje, lubił pracę koncepcyjną, Robert, mając takiego przełożonego, czuł się pewniej. On z kolei łatwo nawiązywał kontakty z Niemcami. Powrócił do pomysłu stworzenia siatki składającej się z ludzi, którzy nie będą pracowali dla pieniędzy. Zamierzał wspierać finansowo tych, którzy cierpią biedę, a przekazują wartościowe informacje.

- Czy to jest możliwe? - Sparksa bawił entuzjazm podwładnego. - Już dawno powinienem zaproponować: przejdźmy na „ty”. - Wyciągnął z zamykanej na klucz metalowej szafki butelkę whisky. - Oblejmy to.

- Jesteś dzisiaj wyjątkowo łaskawy, Mungo.

Mieli niewielki fundusz na różne wydatki. Za pieniądze, które były przeznaczone na opłacanie agentów, nabył penicylinę. Ponieważ kupował bezpośrednio od tych, którzy okradali wojskowe składy medyczne i w ilościach hurtowych, płacił znacznie mniej, niż wynosiła cena rynkowa. Oprócz tego nabył większą partię papierosów. Tak zaopatrzony krążył zdewastowanymi ulicami, lawirując pomiędzy lejami po bombach i stertami gruzu. Przystawał w miejscach, w których gromadzili się hamburczycy, i przysłuchiwał się rozmowom. Niektóre budynki, choć pozbawione ścian, nie zawały się. Przechodnie zaglądali do pokoi, kuchni, łazienek, które przypominały wystawy sklepowe albo przecięte na pół domki dla lalek. Po tych przepołowionych eksplozjami i wystawionych na widok

pomieszczeniach mieszkańcy krążyli jak aktorzy na scenie. Zawieszane w powietrzu pomiędzy zachowanymi ścianami: kanapy, stoły, łóżka, toaletki, wiszące na ścianach obrazy, dywany – pełniły funkcję scenografii. Zachowane fragmenty murów wykorzystywano jako słupy ogłoszeniowe, wypisywano na nich kredą komunikaty, a nawet prywatne listy:

„Wszędzie cię szukamy, Giselle. Odezwij się. – Mama i tata”

„Czy widział ktoś moją siostrę, Ingrid? – Hans”

Pod niektórymi dopisano odpowiedzi: informacje, pozdrowienia, adresy.

Poznawał wielu ludzi. Choremu na syfilis zdemobilizowanemu żołnierzowi dał kilka ampułek penicyliny. Młodej kobiecie z trójką drobiazgu raz na tydzień dawał dwie paczki papierosów. Mąż nie wrócił z wojny i nawet nie wiedziała, czy zginął, czy jest w sowieckiej niewoli, a usiłując za wszelką cenę dochować mu wierności, nie prostytuowała się. Odwdzięczała się, wskazując informatorów.

Niemcy zbierali z ulicy niedopałki. Za paczkę amerykańców można było mieć kobietę. Stopniowo, krok po kroku, zdobywał zaufanie zdemobilizowanych żołnierzy i samotnych kobiet. Nie zniżał się do seksu za prezenty, chociaż wiele kobiet proponowało. Niektóre nawet w dobrej wierze, brakowało mężczyzn. Uważał takie wykorzystywanie sytuacji za haniebne. Poznani Niemcy przekonywali się, że z jego strony nie zagraża im niebezpieczeństwo. Dopiero wtedy się otwierali. Wysłuchiwał wielu opowieści, niekiedy tragicznych. W mieście, w którym policja dopiero się formowała, przyszło mu pełnić rolę powiernika ludzkich dramatów. Zaczął zbierać informacje. W pierwszej kolejności najbardziej jednoznaczne. Adresy przestępców wojennych. Nie dochodził, jakie motywy kierowały tymi, którzy donosili. Ważne, że po wielu tygodniach mógł poinformować Mungo o pierwszych zatrzymaniach. Pułkownik niewiele w tym czasie mówił, widać było jednak, że coraz bardziej wątpił w realność idealistycznych pomysłów podwładnego. Liczba zatrzymań oraz ranga wyłapanych zbrodniarzy rosły tak szybko, że placówka hamburska

zaczęła być stawiana za wzór. Odnosili również inne sukcesy. Namierzali i likwidowali ukryte składy broni. Po tym, jak skonfiskowali kolejny, a przy okazji aresztowali tych, którzy go nadzorowali, Mungo zdobył się na ostrożne wyrazy uznania.

- Może te twoje pomysły - pyk... pyk... - nie były takie beznadziejne - pyk... pyk...

Potem przyszły sukcesy w zwalczaniu czarnego rynku. Spekulanci, którzy bogacą się kosztem głodujących, są znienawidzeni w każdym miejscu pod słońcem. Stworzył przejrzysty system. Informator dostawał dziesięć procent skonfiskowanego towaru. Wspólnie z sierżantem Royem, który w podobnych misjach okazał się niezastąpiony, zabierali po cichu kolejne dziesięć procent. Pozostałe osiemdziesiąt, już oficjalnie, trafiało do magazynów celnych. Ponieważ dwadzieścia procent to nie było wiele, a celnicy oraz żandarmeria byli powiadamiani dopiero po wyprowadzeniu ich części, system funkcjonował sprawnie. Mungo zauważył, że Robert od pewnego czasu wpada w zły nastrój, a nawet wybucha złością, co mu się nigdy dotąd nie zdarzało.

- Masz jakiś problem? - Sięgnął po fajkę i zaczął nabijać tytoniem.

- W pewnym sensie tak. Chodzi o te dziesięć procent, które zabieramy, a następnie rozprowadzamy pomiędzy tych, których uznałem za wartych wsparcia. Jak wiesz, rozdaję te towary i tym sposobem poszerzam nasze kontakty. I to funkcjonuje coraz lepiej.

- Zgadza się. Dostaliśmy pochwałę za skuteczną walkę z czarnym rynkiem. Zatem w czym rzecz?

- Cała ta akcja przypomina prywatną inicjatywę. Opiera się na twoim zaufaniu do mnie. Zaufaniu, że nic ze skonfiskowanych towarów sobie nie przywłaszczę. Prawdę mówiąc, lepiej bym się czuł, gdyby bardziej oficjalnie.

- Daj spokój, skaut się znalazł. - Mungo odetchnął z ulgą. - Masz moje zaufanie. Jestem bardzo tego zdania, że wykonujesz doskonałą robotę. Łapiemy zbrodniarzy, konfiskujemy broń, uderzyliśmy

w czarny rynek. Rób, co robisz, bo masz rezultaty. Nawet ja jestem pod wrażeniem. I niczym się nie przejmuj.

Pewnego dnia, jadąc dżipem przez morze ruin, które jeszcze niedawno było tętniącym życiem miastem, zauważył opartą o mur, płaczącą kobietę. Nie był to nawet płacz, lecz rozpaczliwy szloch. Zatrzymał samochód i podszedł.

- Co się stało? Umarł ktoś?

Okazało się, że mąż wrócił z frontu bez ręki, a teraz rozchorował się na przewlekłe zapalenie płuc. Ponieważ, jak zawsze, miał przy sobie kilka fiolek penicyliny, na przełamanie lodów dał jej paczkę lucky strike'ów i poprosił, żeby zaprowadziła go do męża. Wzięła paczkę z błyskiem w oku. Była zabiedzona, choć zachowała ślady dużej urody.

- Ja nie jestem taka... - zastrzegła łamiącym się głosem.

- Jak masz na imię?

- Hilda.

- Ładne imię. To prezent, Hildo. Nic od ciebie w zamian nie chcę.

Widać było, że nie do końca mu ufała, do dżipa wsiadła ze strachem w oczach, jednak pilotowała go do kamienicy przy Stephanstrasse. Pozbawiony dachu i całego najwyższego piętra budynek był doszczętnie zrujnowany. Zniekształcone, stalowe schody przeciwpożarowe, powykrzywiane przez ogromną temperaturę, zwisały niebezpiecznie przytrzymywane jedynie murem, który groził w każdej chwili zawaleniem. Pomiedzy piętrami poprzez wyrwy w ścianach widać było osmalone belki stanowiące elementy konstrukcyjne ścian i sufitów. Zajmowali niewielką służbówkę pozbawioną jednej ściany, wody i ogrzewania. Tylko prąd doprowadzono prowizorycznym kablem. Uszczelniona czym się dało, sprawiała wrażenie, że wisi na kawałkach żelazobetonu powyrywanych przez bomby. Mąż Hildy, brudny i nieogolony, leżał w łóżku, które przypominało barłóg, i co chwila zanosił się mokrym kaszlem. Robert położył na stoliku kilka ampułek penicyliny.

- Powinny wystarczyć. Jeżeli nie pomogą, przyniosę następne.

Antybiotyki, zupełna nowość, były wtedy niezwykle skuteczne i taka prosta kuracja działała cuda. Dopiero po latach wirusy się uodporniły.

- Nie mamy pieniędzy - burknął mężczyzna.

- Nie chcę pieniędzy. Przyszedłem, żeby wam pomóc.

- Jeżeli tak, dziękuję. Chociaż trudno mi uwierzyć, że robisz to bezinteresownie. - Wskazał fiołki. - Mógłbym podejrzewać moją Hildę, ale z biedy zrobiła się tak chuda, że ktoś taki jak ty nawet na nią nie spojrzy... Tylko żartowałem. Jest mi wierna, jest najlepszą żoną na świecie. Przytrafił się jej beznadziejny mąż. Georg Aschenbach - przedstawił się.

- Beznadziejny czy nie, jeszcze się okaże. Najpierw wyciągniemy cię z zapalenia płuc, potem podtuczemy Hildę. Zgadza się, Georg, mając taką żonę, jesteś szczęściarzem, więc nie zmarnuj tego - próbował dodać inwalidzie wiary w siebie.

Kobieta popłakiwała w niewielkiej niszy, która pełniła rolę kuchni.

- Nie mam nawet herbaty. - Zarumieniła się i raczej nie z powodu herbaty.

- Nic nie szkodzi. - Wyjął z portfela banknot stumarkowy. - Kup kurczaka i ugotuj rosół. Dobrze wam zrobi.

Pensja robotnika wynosiła sto pięćdziesiąt marek miesięcznie, była to więc znacząca suma. Jednak tylko pozornie, ponieważ gospodarka pieniężna została zastąpiona przez wymianę towarową. Cały system utrzymywania przy życiu społeczeństwa niemieckiego bazował na racjonowaniu żywności. Kartkowy przydział wynoszący zaledwie tysiąc kalorii dziennie nie wystarczał do przeżycia. Stąd rozkwit czarnego rynku oraz ogromny popyt na papierosy, które zastąpiły pieniądze. Niemcy palili, ponieważ tłumiły głód. Ceny żywności na czarnym rynku były astronomiczne. Za sto marek Hilda mogła kupić trzy czwarte kilograma mięsa albo pół kilograma cukru⁴⁰. Paczkę lucky strike'ów mogła sprzedać za dziesięć marek lub wymienić na dowolny towar. Wszystko, co niezbędne do przeżycia, było wyceniane w papierosach.

Przed wyjściem zapisał ich dane. Bardziej dla pozorów niż z rzeczywistej potrzeby. Hilda skończyła szkołę ekonomiczną. Pracowała w stoczni Blohm & Voss, zanim ta została zrównana z ziemią. Georg był zegarmistrzem. Bez ręki nie mógł wykonywać swojego zawodu. Zauważył na ścianie zdjęcie ślubne. Uśmiechała się do niego promiennie młoda para, nieprzypominająca zniszczonych ludzi, których miał przed sobą. Jedynie zdjęcie im zostało. Nie miał pomysłu, jak im pomóc. Nie był cudotwórcą i nie potrafił załatwić Hildzie pracy. Finansowo mógł poratować raz i drugi, lecz nie stale. Takich jak oni były miliony. Z ulgą wyjechał na szosę do Buxtehude.

Jeżdżąc po mieście, przez przypadek odkrył położoną na wzgórzu górującym nad Elbą niewielką dzielnicę Blankenese. Stara osada rybacka rozbudowała się i była jedną z lepiej zachowanych dzielnic. Miała staroświecki urok, jakby czas zatrzymał się tutaj przed laty. Z zachwytem oglądał murowane i drewniane domy położone w zadbanym ogrodach. Były porozrzucane, jakby przypadkowo. Kręte uliczki opadające ku rzece albo biegnące równolegle wiodły pomiędzy malowniczymi rezydencjami. Najbardziej strome kończyły się kamiennymi schodami. Od kiedy zobaczył tę enklawę dobrobytu i stabilności, myśl o niej nie dawała mu spokoju.

Odwiedził biuro nieruchomości. Znalazł kilka aktualnych ofert. Wybrał dwie najtańsze, na które i tak nie było go stać. Poszedł z tymi ofertami do Deutsche Banku, w którym miał konto. Hamburg był przed wojną bogatym miastem, w którym ze swoimi obecnymi dochodami byłby jednym z tysięcy klientów drugiej kategorii. Teraz jednak wartość nabywczą jego wypłacanej w funtach pensji była wielokrotnie wyższa. Wśród zubożałych Niemców póki co był klientem pierwszej kategorii. Przedstawił swój problem obsługującemu go zwykle Herr Freissnerowi, który po zapoznaniu się z nim poszedł porozmawiać z przełożonym.

- Niestety, Herr Meissner. Ma pan wysokie dochody, jednak przy takiej cenie domu jedynie kredyt na pięć lat pozwoli sfinansować

zakup. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co się wydarzy za pięć lat. Bardzo nam przykro.

Bez słowa zabrał się do wyjścia. Nie oczekiwał, że rzuca mu się na szyję.

- Proszę zaczekać. - Bankowiec wpadł najwyraźniej na jakiś pomysł. - Gdyby pan zebrał wkład własny, biorąc pod uwagę ryzyko, jakie mamy, dwadzieścia procent, niech będzie, wtedy okres kredytowania możemy skrócić. Na taki kredyt bank się prawdopodobnie zdecyduje.

Willa, którą sobie upatrzył, kosztowała cztery tysiące osiemset funtów. Zarabiał dwieście sześćdziesiąt miesięcznie. Domy w Hamburgu były drogie, ponieważ większość mieszkańców nie miała gdzie mieszkać. Byli wśród nich ludzie zamożni, za dom w dobrej dzielnicy gotowi zapłacić każdą cenę. Kupno mieszkania nie wchodziło w rachubę, niemal wszystkie kamienice zostały zburzone. Dlatego w zrujnowanym wojną mieście ceny domów były wyższe niż na przykład w Liverpoolu. Willa była okazała, modernistyczna, z płaskim dachem. Z okien roztaczał się wspaniały widok na Elbę, co miało wpływ na cenę. Do tej pory zaoszczędził zaledwie dwieście funtów. Potrzebował tysiąca.

Podczas wędrówek po Hamburgu wysłuchał wielu opowieści. Jedna szczególnie zapadła mu w pamięć. Popyt na zegarki był rzekomo we Wschodnim Berlinie nieograniczony. Żołnierze rosyjscy mieli niezrozumiały szacunek dla zegarków, szczególnie złotych, i gotowi byli za nie płacić każde pieniądze. Od jednego z aresztowanych *Schieberów*, rekinów czarnego rynku, sporo się o tym interesie dowiedział. W desperacji postanowił zaryzykować. W razie wpadki straci wszystko, również dobre imię, ale jeżeli nie zaryzykuje, nigdy sobie nie wybaczy. Bez zwłoki przystąpił do realizacji tego ryzykownego przedsięwzięcia. Na początek musiało wystarczyć dwieście funtów.

Odwiedził ponownie Aschenbachów. Od poprzedniej wizyty minęły cztery dni. Georg powracał do zdrowia. Podarował Hildzie sto

marek. Na rosół. I paczkę herbaty. Z satysfakcją stwierdził, że klitka wygląda znacznie lepiej, a łóżko nie przypomina barłogu. Nie widział wprawdzie błysku w ich oczach, lecz nie były już martwe. Przy herbacie wyjaśnił, co planuje. Na pełniącym funkcję stołu kulawym i poobijanym taborecie położył cztery banknoty. Obydwoje przyglądali się z zaciekawieniem angielskim pieniądzom.

- Dwieście funtów. To chyba kupa forsy.

- Za te pieniądze kupisz złote zegarki, Georg. - Posługując się notatkami, wyjaśnił szczegółowo, na jakich mu zależy. - Dostaniecie prowizję od całej transakcji. Pozwoli wam przeżyć kilka tygodni.

- Mam dla ciebie kupować zegarki? - Niemiec sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Moje pieniądze, więc mogę wydać, jak chcę. A ja chcę kupić zegarki. Nie mówiłem wam? Wyleciało mi z głowy. Jestem kapitanem w MI6.

Obydwoje aż podskoczyli. Instytucja ta, obok CIA, była dla Niemców „twarzą” przymusowej denazyfikacji, pozbywania się pozostałości reżimu faszystowskiego, który w III Rzeszy, podobnie jak partia komunistyczna w ZSRR, przeniknął wszelkie obszary funkcjonowania państwa, a nawet brutalnie wtargnął w życie prywatne. Organizacje młodzieżowe Hitlerjugend i Komsomoł można by spokojnie nazwać bliźniaczymi. Działacz jednej z nich przeniesiony za pomocą magii do drugiej mógł podjąć pracę organizacyjną praktycznie z dnia na dzień, bez żadnego szkolenia. Podobnie było z NSDAP i KPZR. Funkcjonariusze tych partii mogliby się wymieniać miejscami.

- Nie przychodzę do was służbowo. Chciałem pomóc Hildzie, niczego w zamian nie oczekiwałem. Jestem oficerem, więc niezręcznie mi kupować zegarki. Nie wspominając, że się na nich nie znam. Na pewno by mi wcisnęli tombakowe.

Fałszowanie wszystkiego - od żywności, poprzez dokumenty, bez których w okupowanym kraju żyć się nie dało, po zegarki - osiągnęło rozmiary epidemii. Zamiast produkować to, co do życia niezbędne,

Niemcy marnowali czas na podrabianie wszystkiego, co się podrobić dało. Falszerstwo powoduje wzrost produktu krajowego, a w konsekwencji dobrobytu, jeżeli uda się wyeksportować fałszywkę - wcisnąć ją obcokrajowcowi. Ponieważ oszukiwanie tych, którzy wojnę wygrali, było zbyt ryzykowne, Niemcy mogli co najwyżej oszukiwać się nawzajem, co w skali makroekonomii było zajęciem bezproduktywnym. Zysk oszukującego równał się stracie oszukanego.

- Teraz rozumiem. - Georg się rozluźnił. W ekonomii zrobił ostatnio postępy. - Mogę to dla ciebie zrobić bez prowizji. Już i tak nam bardzo pomogłeś.

- Pomogłem, bo pomogłem. Teraz będziesz dla mnie pracował, należy ci się wynagrodzenie.

Miał się zgłosić za trzy dni. Dopiero po odebraniu niedużej torebki z zegarkami poczuł strach. Pełzł w górę kręgosłupa aż po kark. Rozbolała go głowa. *Co ja najlepszego robię? To wielkie ryzyko.* Przypomniawszy sobie, jak okradł kościół. Teraz bał się tak samo, nawet bardziej. Zabrnął już jednak za daleko. Żonie powiedział, że dostał zadanie poza Hamburgiem. To przynajmniej była prawda. Miał zadanie, lecz nie takie, jak przypuszczała.

W niedzielę o świcie z duszą na ramieniu wyruszył do Berlina. Granicę przekroczył na jednym z punktów kontrolnych. Wylegitymował się radzieckim pogranicznikiem i mógł wjechać do sowieckiej strefy okupacyjnej. Przez godzinę krążył po ulicach, szukał odpowiedniego miejsca. W końcu znalazł nieduży plac w okolicach Bramy Brandenburskiej, na którym kłębili się sowieccy żołnierze. Pełnił funkcję rynku. Handlowano wszystkim, co sobie można wyobrazić. Od papierosów, złota przez żywność, szaber, po kobiety. Dziewczyny, które wpadły w ręce czerwonoarmistów i nie potrafiły się uwolnić spod kontroli, tutaj zmieniały opiekunów. Nie zdawał sobie sprawy z drugiego oblicza tego miejsca. Mundur brytyjskiego kapitana wzbudzał respekt. Nikt go nie zaczepiał, kiedy jednak chodził po placu, tworzyła się wokół niego próżnia. Rozeznał się w cenach zegarków, rzeczywiście były astronomiczne. Siadł za

kierownicą. Na siedzeniu pasażera rozłożył niewielką kolekcję zegarków. Znał trochę rosyjskich słów. Wystarczająco, żeby sobie poradzić. Zagłuszając gwar, donośnym głosem wołał:

- *Dawajcie zdies, druzja, u mienia czasy. Zołotoje, samyje łuczszyje. Dawajcie, pakupujcie!*⁴¹

Zaroilo się wokół niego. Obawiał się, że jeśli poda zegarek do obejrzenia, nie zobaczy ani zegarka, ani pieniędzy. Nic takiego się nie wydarzyło. Ci prości żołnierze byli z natury uczciwi. Bez oporów pozwalał więc oglądać zegarki. Szybko dobijali targu. Rosjanie płacili reichsmarkami, których mieli niewiarygodnie dużo, ponieważ naiwni Amerykanie nieopatrznie przekazali im matryce do drukowania. Wychodziło sześćset procent zysku na zegarku, więc się nie targował. Jeżeli któryś proponował nieco mniej, zgadzał się natychmiast. Czas odgrywał zasadniczą rolę. W każdej chwili mogła się pojawić sowiecka żandarmeria. Wołał nie myśleć, co się wtedy wydarzy. W zaledwie kilka minut sprzedał wszystkie zegarki. Schował do kieszeni ostatni plik banknotów i pospiesznie odjechał. Jadąc, rozglądał się uważnie. Był już bezpieczny, ponieważ mogli go zatrzymać wyłącznie podczas popełniania przestępstwa. Na przykład - sprzedaży przemyconych zegarków. Minęły go dwa samochody żandarmerii. Jechali prawdopodobnie po niego. Obieg informacji mieli wzorowy.

Do Hamburga dotarł wieczorem. Jechał ostrożnie, musiał odreagować strach. Żona przywitała go radośnie. Musiała coś wyczuć, bo - jak mówiła - cały dzień się o niego martwiła. Zarobił tyle, że wystarczyło na wkład własny. Chciwość jest jednym z grzechów głównych. Nocami śnił o pieniądzach, dniami marzył o bogactwie. Wzbogacił się tak bardzo, że postanowił zaryzykować ponownie. Jeżeli się uda, nie będzie potrzebny kredyt. No i miał dług honorowy wobec Colina, co trochę go tłumaczyło, choć chciwości przyznawał pierwszeństwo.

Całą drogę dodawał sobie animuszu, wymyślając, co powie Marion, kiedy się dowie, że kupił taki wspaniały dom. Wyobrażał

sobie jej zachwyty, spontaniczną radość. I jak się będą kochali we własnym domu. Jak ją będzie pieprzył od tyłu, a ona wpatrzona w płynącą pod oknami rzekę będzie wydawała pierwotne odgłosy, których uwielbiał słuchać. Wyobrażał sobie, jak zaimponuje jej oraz teściom. Były to marzenia tak piękne, że zagłuszały strach. Tym razem kupił więcej zegarków, za tysiąc sto funtów, bo aż tyle warte były marki. Wymieniał je legalnie, na pocztę, po kursie dziesięć do jednego - na dolary. Georgowi udało się nawet znaleźć dwa zegarki z Myszką Miki na cyferblacie, o jakie pytali Rosjanie.

Potrzebował więcej czasu, żeby wszystkie sprzedać. Nerwy miał napięte do ostatnich granic. Sprzedał ostatni zegarek. Żołnierz szarpał się nerwowo z plikiem banknotów w wewnętrznej kieszonce. Był bardzo młody i zażenowany, że taki niezdara z niego. Pomyślał: *Niech mu będzie na szczęście*, i wdusił gaz. W lusterku wstecznym widział, jak biegnie za nim z pieniędzmi w wyciągniętej ręce. Wyjeżdżając z placu, niemal otarł się o łazika żandarmerii. Nawet się za nim obejrzel. Na targu był tłok i zamieszanie, więc nie mogli zawrócić. Uśmiechnął się, wspominając wyraz zaskoczenia na twarzy Rosjanina. Na pewno długo będzie pamiętał angielskiego oficera, który mu zrobił taki kosztowny prezent. Za zaoszczędzone pieniądze kupi swojej dziewczynie z odległej wioski zagubionej w bezmiarze Syberii jedwabny szal i czule ją nim okryje, kiedy zasłuchani w klangor żurawi będą spacerować połą drogą w cichy, wiosenny wieczór. Z Berlina wyjechał bez problemów, jednak całą drogę nie mógł się uspokoić. Otarł się o katastrofę. Nie mógł dłużej postępować tak głupio.

Wymówił się początkiem grypy i położył do łóżka. Marion zaopiekowała się nim tak troskliwie, że się wzruszył. Wstał, rozmawiali o pozornie nieistotnych sprawach, dla niej jednak ważnych. W ten sposób sprawiał jej największą radość. Z zapalem opowiadała o swoich problemach, a on pomrukiwał zachęcająco.

Postanowił, że więcej do Berlina nie pojedzie. Uznał, że to, co zrobił, było skrajną głupotą i nieodpowiedzialnością. Po przeliczeniu

pieniędzy rozsądek ponownie przegrał jednak z chciwością. Za dwie Myszki Miki dostał po dziewięćset dolarów. Miał pięć tysięcy siedemset funtów, więcej, niż potrzebował. Męczył go jednak wewnętrzny mus, nad którym nie potrafił zapanować. Nie chodziło już o dom. Pożądał wielkich pieniędzy.

Pohamuj się, głupcze, zbyt śmiało sobie poczynasz – podszeptował rozsądek. Chciwość padła mu jednak na mózg, przejęła nad nim kontrolę. Kupił zegarki, ponownie za wszystkie pieniądze. Jechał do Berlina, umilając sobie drogę marzeniami o bogactwie.

Krążył po mieście tak długo, aż znalazł podobny, nieco mniejszy plac handlowy. Podzielił zegarki na pięć części. Na tym rynku sprzedał pierwszą partię. Poszło sprawnie, miał już doświadczenie. Po kilkunastu minutach odjechał z markami w kieszeni. Znalazł następny plac targowy i sprzedał drugą partię. Nawet się zbytnio nie denerwował. *Zamiast ścigać Schieberów, sam zostałem przemytnikiem* – pomyślał cynicznie. Pojechał na największy rynek, na ten, na którym sprzedawał poprzednio. Zaparkował dziesiąt kilometrów dalej. Zegarki ukrył przemyślnie, bo kradzieże były prawdziwą plagą. Spacerował po rynku, rozglądał się i czekał, za bardzo nie wiedząc na co. Wtedy przechodzący obok zwalisty rosyjski major rzucił przez ramię:

*- Iditje za mnoj!*⁴²

Trochę się bał, jednak za nim poszedł. Rosjanin, nie oglądając się za siebie, kluczył wąskimi uliczkami willowej dzielnicy. Wreszcie się zatrzymali przed zatopioną w zieleni ogrodu willą o ścianach pokiereszowanych pociskami z broni ręcznej. Jeden narożnik był zburzony, część okien zabita deskami. Jego przewodnik otworzył furtkę i skinieniem głowy zaprosił do środka. Pomieszczenie było słabo oświetlone i tak zadymione, że wokół zwisających smętnie z sufitu gołych żarówek powstało halo. Poczował się jak w burdelu. Nigdy w domu publicznym nie był, miał jednak dostateczną wyobraźnię. W willi przebywało kilku żołnierzy i kilkanaście młodych dziewcząt. Wszystkie półnagie, niektóre pijane. Na stołach walały się

pełne i puste butelki wódki, sterty brudnych naczyń, popielniczki wypełnione petami i resztki jedzenia. W powietrzu zawisł odór niemytych ciał, spermy, wódki i machorki – najpodlejszego rosyjskiego tytoniu.

Major zaprowadził go do pustego pokoju i zapytał, czy mogą rozmawiać po niemiecku. Odetchnął z ulgą, będą się mogli porozumieć. Rosjanin postawił na stole dwie szklanki. Otworzył butelkę wódki, nalał do pełna i wzniosł toast:

- *Za pabiedu!*⁴³

Taki toast mógł wypić. To nie była kremlowska propaganda. Alkohol eksplodował w przełyku i rozlał się gorącem po całym ciele. Zakaszłał, a do oczu napłynęły łzy. Zagryzł czarnym chlebem z wędzoną słoniną, Rosjanin nie zakąsił. Zaciekawiony spytał, dlaczego. Major odpowiedział po rosyjsku:

- *Pa pierwom nie zakuszaju. Ponimajetie?*⁴⁴

Robert pokiwał głową.

- To bardzo dobrze, żeście wszystko zrozumieli. Wypijmy za zrozumienie! – jego gospodarz przeszedł na niemiecki, którym posługiwał się biegle.

Robert zdecydował, że wypije, ale następnego odmówi. *To nie na moje zdrowie, nie doceniłem majora.*

- Gdzie się tak dobrze nauczyłeś niemieckiego? – zapytał Rosjanin.

- Jestem Polakiem, pochodzę z miasta, w którym mieszkało wielu Niemców. Studiowałem też germanistykę. – Nie spytał, skąd jego rozmówca zna niemiecki. Na kilometr pachniało od niego NKWD.

Major intensywnie się w niego wpatrywał. Krzaczaste, przypominające włochate gąsienice brwi podjechały w górę.

- Poljak, polskij pan! Poljacy potrafią pić wódkę, nie tak jak my, ale potrafią.

Z ulgą przyznał mu rację. W tej rywalizacji nie miał szansy.

- Przywozisz *czasy* i sprzedajesz tutaj?

- Tak. Nieźle na tym zarabiam.

- Widać, że ty polskij pan, nie Żyd, co by mi wpierał, że on do tych *czasow* dopłaca. Będziesz, kapitan, *woził czasy* dla mnie. Mniej zarobisz na jednym, za to dużo więcej na całej dostawie. Będziesz *woził mnogo czasow* i będziesz bogaty.

Po godzinie twardych negocjacji, wojennych wspominek i trzeciej szklance wódki wrócił na rynek, odpalił dżipa i ostrożnie podjechał pod willę.

- Wołodia jestem. - Wymienili się imionami. Ze zrozumiałych względów, bez nazwisk.

Rosjanin obejrzał zegarki, podliczył na kartce i podał ją Robertowi. Suma, którą zaproponował, była niższa od tej, jaką płacili na rynku, nadal jednak atrakcyjna. No i ryzyko bez porównania mniejsze. Dobili targu. Wołodia musiał być bardzo bogaty, pieniądze wypłacił od ręki. Umówili się za tydzień na kolejną, jeszcze większą partię zegarków. Major zażyczył sobie również dostawy papierosów. Warunki finansowe były korzystne. Udaną transakcję oblali kolejną szklanką. Wołodii wódka wreszcie zaszumiała w głowie. Rozrzewnił się po słowiańsku i śpiewał barytonem:

*Ach, dla Ruskich cóż dziś za święto,
Samogonu rozlała się rzeka.
Harmonista z nosem zapadniętym
Śpiewa mi o Wołdze i o Cze-ka⁴⁵.*

Wychodził już, wtedy jedna z dziewcząt zaczęła do niego szybko mówić. Niech ją wykupi i wywiezie z rosyjskiej strefy. Ona zrobi wszystko. Będzie dla niego pracowała, cokolwiek, byle ją stąd zabrał. Wołodia, który się przysłuchiwał, kopnął ją.

- Jak ci się zdzira podoba, bierz. Prezent dla ciebie, *brat*. Dla nas za chuda. My lubimy grubsze, a ta, sam widzisz, skóra i kości. - Sentymentalny nastrój jeszcze mu z głowy nie wyszumiał.

Nie do końca ufał Wołodii, coś w jego oczach wzbudzało obawę. Pod maską jowialnego żołdata czaiły się niebezpieczne błyski. Major

przyglądał mu się uważnie, jakby na coś czekał. To jeszcze bardziej niepokoiło. U czerwonych nic nie jest tym, na co wygląda. Widząc, że się waha, dziewczyna przypadła do niego, objęła go za nogę i całowała w rękę. Musiał szybko znaleźć wyjście z tej koszmarnej sytuacji.

- Ale mnie urządziłeś. Co z tą kurewką mam zrobić? Za paczkę papierosów znajdę lepszą. Ruszaj się! - warknął i nie oglądając się na nią, poszedł do wyjścia.

Wołodia zastąpił jej drogę i wpatrywał się w przerażone oczy. Wreszcie, po chwili długiej dla niej jak wieczność, odsunął się, robiąc przejście.

W dziupie miał koc, który woził na wszelki wypadek. Podał go dziewczynie i kazał usiąść z tyłu. Widział przed sobą problemy, całą ich masę.

- Jak się nazywasz?

- Marlina.

- Posłuchaj, Marlen. Zawiozę cię teraz tam, gdzie zechcesz. Dam trochę pieniędzy, dalej musisz sobie radzić sama. Gdzie cię zawieźć?

Cisza.

- Nie będę tu stał cały dzień. Dokąd cię zawieźć?

Był poirytowany całą sytuacją, a do tego zalany w pestkę.

- Nie wiem, nie mam rodziny, nie mam domu. Dom zburzony, rodzice zginęli pod gruzami, brat zaginął na froncie.

Rozpłakała się. Spojrzał na nią. Przecież to jeszcze dziecko!

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

Nie wyglądała na tyle, zapewne dlatego, że była zabiedzona.

- Mogę być twoją kobietą. Spodoba ci się.

- Co ty wygadujesz! - zachnął się.

- Wywieź mnie przynajmniej z Berlina. Możesz to dla mnie zrobić? - Nie spuszczała z niego wzroku.

- Jak mam to, do cholery, zrobić? Nawet gdybym chciał, nie schowam cię w tym samochodzie, nie ma jak. Widzisz przecież, że jest

otwarty. Na punkcie kontrolnym Rosjanie zatrzymują i sprawdzają dokumenty.

- A czy rewidują? - zadała logiczne pytanie.

- Nie, na razie nie mają prawa, ale jak będziesz w samochodzie bez dokumentów, zatrzymają cię i pewnie odstawią z powrotem do Wołodii.

Znów zaczęła płakać. Połykając łzy, wykrztusiła:

- Kupisz mi walizkę? Taką dużą?

- Kupię, jaką będziesz chciała.

Odetchnął z ulgą. Kupi walizkę, da pięćset marek i radź sobie. W podobnej sytuacji były tysiące Niemek. Wszystkim im przecież nie pomoże.

Żeby sobie poprawić nastrój, przeliczył pieniądze. W głowie mu się zakręciło, jakby wypił piątą szklanekę wódki. Miał w saszetce, którą w tym celu zabrał, ponad milion reichsmarek wartych dwadzieścia siedem tysięcy funtów. Poczł się niewiarygodnie bogaty. Jak po ograbieniu kościoła, jakby ograbił siedem kościołów. Próbował obliczyć, ile będzie miał po następnej wizycie w Berlinie. Musiał się tylko pozbyć Marleny. Na jednym z rynekczków wskazała walizkę. Była olbrzymia, stara i poobijana, ale skórzana. Jeżeli taką akurat chciała, proszę bardzo. Zapłacił, walizę wrzucił do samochodu i odjechał.

- Dokąd cię zawieźć?

Wymieniła nazwę niewielkiego parku na trasie do Check Point Charlie, głównego przejścia pomiędzy strefami. Zatrzymał samochód, dziewczyna wysiadła. Dał jej pięćset marek. Niewiele za pozbycie się takiego kłopotu. Pieniądze wzięła i wetknęła za biustonosz zasłaniający piersi wielkości połówek cytryny. Odetchnął z ulgą, nareszcie się jej pozbył. Park był przeraźliwie pusty, pogrążony w ciemnościach. Namacał browninga. Miał przy sobie sumę, za którą bandyci zabiliby bez wahania własną matkę. *Ale co ona robi?* Otworzyła walizkę, weszła do niej, zwinęła się do pozycji embrionalnej i pociągnęła za klapę, która opadła tak, że do zamknięcia niewiele brakowało. Dopiero teraz zrozumiał, po co jej

była potrzebna wielka waliza. Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Był pijany, więc bez zastanowienia, dociskając kolanem, domknął i wrzucił na tylne siedzenie lekką jak piórko walizkę. Na przejściu nie było problemów. Rosjanie nie mieli prawa rewidować ani samochodu, ani jego. Ze złości na Marlenę postanowił, że przetrzyma ją trochę w zamknięciu. Już po chwili zrobiło mu się jej jednak żal. W końcu to dziecko i tak ją należy traktować. Zatrzymał samochód i otworzył walizkę. Musiał jej pomóc, zwinięta ciasno jak sardynka w puszcze straciła czucie w rękach i nogach. W świetle latarni mógł się jej po raz pierwszy dokładnie przyjrzeć. Była blada, miała wielkie oczy, wyglądała jak dziewczynka z mrocznej baśni dręczona przez złego czarownika. Podenerwowana, jakby w ciemnościach czyhało niebezpieczeństwo. Patrząc na kupkę nieszczęścia siedzącą na tylnym siedzeniu z podkurczonymi nogami i skrzyżowanymi na piersi rękami, poczuł wstyd. Nie zachował się, jak powinien. Otulił ją kocem i zapewnił, że nie musi się o nic martwić.

- Zaopiekuję się tobą, dokąd nie staniesz na nogi. - Spod koca wpatrywała się w niego z niepokojem para wielkich, brązowych, smutnych oczu. - Prześpij się, za dużo wypilem i będę jechał ostrożnie. To zajmie kilka godzin.

Po godzinie zatrzymał auto, żeby się wysikać. Spała niespokojnie, coś przez sen mówiła. Obudziła się dopiero, kiedy zaparkował pod domem.

- Wsiadaj, dojechaliśmy na miejsce.

- Gdzie jesteśmy?

- Pod moim domem.

Była parna sierpniowa noc. Nad miastem przeszła burza, która pozostawiła za sobą mgłę. Zaczynało świtać. Po ostrym chlaniu męczył go potworny kac, w głowie łupało i chciało mu się rzygać. Całą noc nie spał. Cekał go koszmary dzień. Dwadzieścia siedem tysięcy funtów było jednak wystarczającą rekompensatą za te niedogodności. Marion czekała do późna, aż w końcu zasnęła. Obudził ją dzwonek do drzwi. Była w prześwitującej koszuli nocnej, tej,

w której lubił ją najbardziej. Na ich widok zaniemówiła. Zaraz jednak odzyskała głos.

- Co to za dziewczyna? I dlaczego wracasz nad ranem? - Pociągnęła nosem i wyczuła kwaśny zapach częściowo strawionego alkoholu. - W dodatku piłeś. Nie próbuj wciskać mi kitu. Nie jestem naiwna.

Spojrzała na niego najgroźniej, jak potrafiła, dając do zrozumienia, co myśli o tym wszystkim. W Marlenie instynktownie nie wyczuwała konkurentki. Widziała w niej zabiedzoną dziewczynkę.

- A ty, jak masz na imię? - zwróciła się do niej łagodniej.

- Marlena, proszę pani - odpowiedziała cicho.

Obawiała się, jak na jej widok zareaguje żona Roberta. Nie dostrzegła niechęci, co oznaczało, że przez najbliższe dni będzie miała gdzie spać i co jeść. I nie będą jej pieprzyć, kiedy im przyjdzie ochota. To cud, że się wyrwała spod ich władzy.

- Maszeruj do łazienki! Wszystko, co na sobie masz, wrzuc do prania, bo śmierdzisz wódką i papierosami. Tylko opłucz po sobie wannę! Wykąpiesz się po nim, Marleno. I zrzuć wreszcie ten koc. - Marion przejęła kontrolę nad sytuacją.

Szybko wszedł do łazienki. Nie chciał patrzeć, jak Marlena będzie stała przed jego żoną. Dziewczyna miała na sobie podartą, brudną halkę i podarty biustonosz. Marion nie była przygotowana na taki widok. Zobaczyła, jak Marlena jest zabiedzona i jak okropnie wygląda. Siniak po kopniaku Wołodii nie był jedyny. Całe ciało miała poznaczone sińcami, zadrapaniami i innymi śladami pozostawionymi przez Rosjan. Trudno jej było nie współczuć. Wzięła ją w ramiona i przytuliła. Nie miała pojęcia, gdzie Robert ją znalazł, ale sądząc po tym, co widziała, było to straszne miejsce. Złość na męża jej przeszła.

- Najpierw przygotujemy ubranie. Chodź ze mną.

Zaprowadziła ją do szafy, żeby wybrać coś odpowiedniego. Marlena niewiele ustępowała jej wzrostem, więc szybko skompletowały, co trzeba. Wprawdzie wszystko na niej wisiało, ale to było najmniejsze zmartwienie.

- Możesz już się wykąpać, Robert zwolnił łazienkę.

Zaczął wyjaśniać. Niespodziewanie objęła go i przytuliła.

- Nie musisz się tłumaczyć. Miałbyś się z czego tłumaczyć, gdybyś ją tam zostawił. Widziałam, jak wygląda. Kto jej to zrobił?

- Rosjanie, a któż by inny.

- Rosjanie? Gdzie się z nimi spotkałeś? I po co? - Zawsze była taka dociekliwa.

- Wykonywałem niebezpieczne zadanie we Wschodnim Berlinie. - Nie mijał się z prawdą, zadanie było niebezpieczne. - Wiesz, że pracuję w wywiadzie. - Wzruszył ramionami, chcąc wypaść przekonująco. - Tajny agent wyznaczył spotkanie w domu, w którym więziono ją i inne dziewczyny. Błagała, żebym ją wykupił. Rosjanie to usłyszeli i dali w prezencie. Powiedzieli, że jest dla nich za chuda, oni lubią grube. Zresztą i tak bym ją wykupił.

Miała już dosyć. Wiedziała, że takie rzeczy dzieją się w rosyjskiej strefie. Że gwałcone są tysiące, setki tysięcy niemieckich kobiet. Co innego wiedzieć, a co innego taką kobietę, dziecko jeszcze, zobaczyć.

- I co my z nią teraz zrobimy?

- Kochanie, nie spałem całą dobę. Mam potwornego kaca. Jak się chce coś załatwić z Ruskami, trzeba się z nimi napić wódki. Oni tak każdego sprawdzają. Tylko że nawet dla mnie to za dużo, choć mam podobno mocną głowę.

- Słyszałam. Ojciec opowiadał, ale myślałam, że przesadza.

- To nie do uwierzenia, ile oni potrafią wypić! Nie da się przepić Rosjanina.

- Więc co z nią zrobimy? - Miała już dosyć tematu wódki.

- Najpierw zrobisz kawę. Dla mnie mocną i z mlekiem. Potem przyrządzisz śniadanie. Solidne, niemieckie, jakie tylko ty potrafisz zrobić. Przypuszczam, że ta mała pochłonie podwójną porcję. Po śniadaniu zawiozę was do lekarza.

Ze smutkiem pokiwała głową. Było niemal pewne, że Marlena zaraziła się syfilisem. O tym też wiele mówiono, a ona była wyjątkowo narażona.

- Zaopiekujesz się nią w klinice?

- Oczywiście. - Podziwiała męża za troskę o obcą dziewczynę, która mu się w żaden sposób nie mogła odwdziaczyć.

Marlena jadła i jadła. Wreszcie skończyła, a brzuch jej sterczał wydatnie.

- Wyglądasz jak wąż, który który połknął słońca. - Starał się być dowcipny.

A Marlena była szczęśliwa. Znalazła schronienie w ciepłym, przyjaznym domu. Po raz pierwszy od miesiący nie wahała smrodu panującego w willi, w której ją więziono. Po raz pierwszy od miesiący zjadła normalne śniadanie, mogła jeść, ile chciała, i nie musiała się spieszyć. Piła kawę, której smaku już nie pamiętała, jadła pachnące kiełbaski, do których ślina jej ciekła. Nikt jej nie pieprzył, nie bił i nie przypalał papierosem dla żartu. Nie można chcieć od życia więcej.

Pojechali do Hamburga we trójkę. Wysadził panie pod kliniką. Marion miała się opiekować dziewczyną podczas badań. Mogły wyjść różne rzeczy, dlatego nie należało pozostawić jej samej. Z kliniki pojechał do „firmy”. Zameldował się u szefa, jak zwykle w poniedziałek rano. Mieli omówić zadania na cały tydzień.

- Jak minął weekend? Prawdę mówiąc, nie najlepiej wyglądasz. Zabalowałeś?

Mungo wprawdzie zawsze grzecznościowo pytał, jednak tego dnia pytania były bardziej szczegółowe. W jego mimice również dostrzegł drobną zmianę.

Powinien odwiedzić Aschenbachów, żeby się rozliczyć i dać pieniądze na zakup zegarków, ale poczuł się tak wyczerpany, tak słaby, że zdecydował się przenieść wizytę na następny dzień. Zmagając się heroicznie z pozostałościami kaca, zrobił w firmie, co musiał. Potem podjechał pod klinikę. Dziewczyny jeszcze biegały po gabinetach. Były to już ostatnie badania. Zapłacił rachunek. Zauważył, że wyszła spora sumka. Zawiózł Marlenę, nie wiedząc czemu, do renomowanej kliniki, więc i rachunek był słony. Kiedy płacił, obie panie M, jak je zaczął nazywać, stały obok niego. Marion

nie myślała o rachunkach, a o tym, czego się dowiedziała od lekarzy. Postanowiła pomóc Marlenie. Wiedziała już, że nie będzie to łatwe. Marlena widziała, ile zapłacił, jednak nie odczuwała wdzięczności. Ani za to, ani za wszystko, co dla niej do tej pory zrobił. Za to jego żonie była niezmiernie wdzięczna.

Było za późno, żeby pojechać do Buxtehude i ugotować obiad, zatem zaprosił dziewczyny do restauracji. Gdyby przypisać im role, Marlena mogła być córką. Mocno przerośniętą, byli zbyt młodzi na takie dziecko. Znając jej apetyt, zamówił półmisek dla czterech osób. Obydwoje patrzyli z satysfakcją, jak pałaszuje z wilczym apetytem.

- Jak tak dalej pójdzie, zabraknie słoni. Zostaną zjedzone przez węża.

- Przestań się z niej wreszcie nabijać. Nie przejmuj się, kochanie. Już ja cię podtuczę. I coś mi się wydaje, że jak przytyjesz, będziesz miała zabójczą figurę. - Marion zachowywała się opiekuńczo.

Żeby nie wypaść z roli, na deser zafundował paniom *crème brûlée* i kawę dla siebie. Do domu wrócili wieczorem. Marlena dostała pokój gościnny. Kiedy się zagospodarowała, usiedli w saloniku.

- Jakie masz plany? - spytała Marion. Wiedziała, że w takich sprawach jak opieka nad tą dziewczyną jej mąż był niezastąpiony.

- No cóż. Będzie u nas mieszkała, dopóki nie odzyska zdrowia. A później? Sam nie wiem. To będzie zależało od ciebie. Nie będę ci narzucać roli, na którą nie masz ochoty - zwrócił się do Marleny.

Pamiętał, jak matka zmuszała go do wszystkiego, za nic mając jego zdanie. Takie podejście bardzo się kobietom podobało.

- Nie chcemy być wścibscy, jednak powinnaś nam o sobie trochę opowiedzieć. Co byś chciała robić, do jakiej szkoły pójść? - dopytywała Marion.

Marlena pochodziła z rodziny inteligenckiej. Ojciec był profesorem biologii na Uniwersytecie Humboldta. Po nim interesowała się naukami przyrodniczymi. Chciała studiować medycynę. Teraz sprawiała wrażenie zagubionej, ochota na studia

medyczne jej przeszła, czemu trudno się było dziwić po tym, co przeżyła.

- Najlepiej, gdybyś po prostu poszła do szkoły. Muszę się zastanowić, jak to zorganizować - doszedł do wniosku Robert.

We wtorek Marion miała umówione spotkania. Znalazła pod miastem klub jeździecki. Zapisała się też do klubu tenisowego dla armii brytyjskiej. Jako żona oficera miała ten przywilej. Robert zamierzał wpaść do firmy i porozmawiać z szefem. Potem chciał spotkać się z Georgiem, na skupienie zegarków pozostało już niewiele czasu. Marlina jednak, nie słuchając jego wyjaśnień, kategorycznie zażądała rozmowy. Widząc, ile w tym chucherku zadziorności, był rozbawiony.

- Skoro to dla ciebie takie ważne, nie pozostawiasz mi wyboru. Mój szef będzie musiał poczekać. - Pobłaźliwie się uśmiechnął.

Zabrał ją do kawiarni. Zamówił dla siebie kawę, dla niej herbatę i ciastko.

- Cóż to za ważna sprawa, czy jak?

Rozmawiając z nią, nie potrafił się wyzbyć protekcyjnego tonu.

- Błagałam, żebyś mnie od nich zabrał. A ty nie chciałeś.

Nie spodobał mu się ani jej ton, ani cała ta rozmowa.

- Nie będę się przed tobą tłumaczył. Myśl sobie, co chcesz. O co ci właściwie chodzi? Dlatego chciałaś ze mną rozmawiać? Żeby wypominać, czego nie zrobiłem? Przecież cię od nich zabrałem.

- Nie bądź hipokrytą. Gdyby Wołodia nie podarował mnie w prezencie, jakbym była przedmiotem, palcem byś nie kiwnął. - Rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót. To Marlina nadawała ton, zepchnęła go do defensywy.

- Czego ty, u diabła, chcesz?! Mówiłem już, nie będę się przed tobą tłumaczył. Zakończmy temat, bo to do niczego dobrego nie doprowadzi. Proponuję, abys przyjęła, że jestem grzesznikiem, zrozumiałem swój grzech i teraz odpokutowuję poprzez dobre uczynki.

Nie siedziała w jego głowie, nie mogła wiedzieć, co wtedy myślał. Ambicja nie pozwalała na wyjaśnianie. *Niech sobie myśli, co chce.*

Zamiast odpowiedzieć, zajęła się z wielkim zapałem sernikiem.

- Czy kupić ci jako zadośćuczynienie jeszcze jakieś ciastko?

- Może być szarlotka, co nie znaczy, że ci wybaczyłam.

To jakiś kompletny absurd. Siedzę tu i się tłumaczę przed taką siksą. Przecież wyciągnęłam ją z tego burdelu. Zawsze na końcu liczą się fakty. Bez dwóch zdań, ma dziewczyna jaja. Niejeden facet mógłby jej pozazdrościć.

Nie był obrażony, jedynie bezgranicznie zdumiony. *O co jej tak naprawdę chodzi?*

- Masz wspaniałą żonę. Nie zasługujesz na nią.

- Prawda? Też tak uważam. - Odetchnął z ulgą. Poczuł wreszcie grunt pod nogami.

- Twoje szczęście, że masz taką żonę i że mnie nie wypieprzyłeś, jak wracaliśmy do Hamburga.

- Szczęście? Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

- Zaraz zrozumiesz. Chwila cierpliwości i zrozumiesz. Handlujesz zegarkami z Ruskimi. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. - Nie mówisz o tym Marion. Dlaczego? Wstydzisz się, obawiasz, jak zareaguje?

- Nie będę odpowiadał na twoje pytania. Przestaje być zabawnie, kończymy rozmowę. - Rzucił na stolik banknot, wstał i czekał, aż ona wstanie. Nie wstała, tylko pociągnęła go za rękaw.

- Jeszcze nie skończyłam. Siadaj i słuchaj, co mam do powiedzenia, uciec zawsze zdążysz.

- Oby to było coś sensownego. - Zrezygnowany przysiadł na krześle.

- Widzę, że się mnie boisz - zadrwiła.

- Zamieszkaż u nas, przynajmniej przez jakiś czas. Czy masz zamiar zawsze mnie tak traktować? Zapewniam cię, że Marion się to nie spodoba.

Może to ze względu na uwagę o Marion dużo łagodniejszym tonem spytała:

- Czy umówiłeś się już z Wołodią na następną dostawę?

- Co ci do tego?

- No, bądź rozsądny. Mieszkam u was, więc i tak będę wiedziała, że zamierzasz gdzieś wyjechać. Jeżeli nie ty, powie mi o tym Marion.

- Dlaczego pytasz?

- Wyjaśnię, ale najpierw odpowiedz.

Nie widział problemu. Gdyby próbowała go szantażować, że powie żonie o zegarkach, wykopałby ją z domu, niezależnie od współczucia.

- Taa, jadę do Berlina w niedzielę.

- Czy kupiłeś już zegarki, które zamówił Wołodia?

- Jeszcze nie, kiedy miałem kupić, jak od dwóch dni podcieram ci tyłek?

Pierwszy raz się roześmiała.

- To dobrze, że nie kupiłeś. Ponieważ nie spotkasz się z Wołodią. Nie chcesz chyba, żeby twoja żona została wdową? - Spojrzała na niego z politowaniem.

- Skąd to wiesz? - Przestraszył się. Wyczuł instynktownie, że mówi prawdę.

- Słyszałam, co o tobie mówili. Zamierzali cię zabić. Myśleli, że głupia niemiecka kurwa niczego nie rozumie. Już raz tak zrobili. Zamordowali amerykańskiego sierżanta - odpowiadała po rosyjsku, całkiem składnie. Robert od samego słuchania pobladł z wrażenia. - Za pierwszym razem płacą za dużą partię zegarków czy papierosów. Zdobywają w ten sposób zaufanie swojej ofiary i zamawiają następną, większą. Dopiero wtedy zabijają. Sierżant był chciwy, mało mu było tego, co zarobił. Podśluchałam, jak o tym opowiadali.

- A niech to diabli! - jęknął przerażony.

- Wołodia to człowiek bez sumienia. Jest z NKWD⁴⁶, teraz działa w biznesie. Przełożonym odpala działkę, dlatego jest bezkarny. W Berlinie Wschodnim może wszystko. Nienawidzę drania!

- Nie wiem, jak ci dziękować, uratowałaś mi życie - szepnął, kręcąc głową, jakby nie chciał uwierzyć w swoją głupotę.

- Teraz jesteśmy kwita. Skończyłabym ze sobą, gdybyś mnie od nich nie zabrał. Dłużej bym nie wytrzymała. Tak cię błagałam, bo szło o moje życie.

Przypomniał sobie, jak pani Aniela przestrzegała przed chciwością. „Nie rób tego nigdy więcej. Złoty cielec to fałszywy bożek. Jeżeli go wpuścisz do serca, toś przepadł” - ostrzegała. Tym razem dotrzyma przyrzeczenia, nie może zawieść pani Anieli. Wiedział, że ona nie żyje. Ustalił to przez Czerwony Krzyż.

- Pojedziemy teraz do kogoś, kto skupywał dla mnie zegarki. Rozliczę się i powiem, że z zegarkami koniec. Stamtąd pojedziemy do mojej pracy, mam się spotkać z szefem. Potem zawiozę cię do kliniki. Jak będzie po zabiegach, pójdziemy na obiad do dobrej restauracji.

- Obiad to za forszę z zegarków? Nie wygadaj się przed żoną, bo będzie miała pretensje, że cię kryję. - Zachichotała.

Zapłacił Aschenbachom prowizję, łącznie tysiąc funtów. Byli oszołomieni obrotem fortuny, która potwierdziła, że się kołem toczy. Oczy im błyszczały, jak na zdjęciu ślubnym. Od nich pojechał do firmy, miał coś do uzgodnienia z Mungą. Marlena poczekała na wartowni. Następnie zawiózł ją do kliniki. Była dwunasta, zabiegi miały zająć dwie godziny. Z żoną miał się spotkać przed czternastą, w innej dzielnicy. Wyglądało, że zdąży wszystko załatwić. Kiedy wychodzili, Georg szepnął, że chce jeszcze zamienić słowo. Pojechał więc do nich. Pili sznapsa, który Aschenbachowie postawili, żeby oblać sukces.

- Co robisz w wywiadzie, jeżeli to nie tajemnica? - zapytała Hilda, zaczerwieniona po wypiciu dwóch kieliszków.

- Nic specjalnego. Zatrzymujemy zbrodniarzy wojennych, zabezpieczamy broń, której na ulicy jest za dużo, wyłapujemy najbezpieczniejszych Schieberów.

- Myślałam, że jesteś szpiegiem. - Sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Jest w MI6 wielu szpiegów, niewątpliwie, ale ja się do nich nie zaliczam. Jak widzisz, same nudne zadania.

- Nas nigdy nie prosiłeś o informacje - zauważył Georg.

- Nikogo nie proszę, nie namawiam, nie zmuszam. Ludzie sami mówią. Widocznie uważają, że tak trzeba.

- Gdybym miał dla ciebie cenną informację, to co?

- Zależy jaką. Za niektóre nie płacę. Ale za przejęcie towarów czarnorynkowych temu, który doprowadził do zajęcia, dajemy po cichu dziesięć procent skonfiskowanego towaru.

- Dużo płacicie. - Hilda była praktyczna, jak na niemiecką Frau przystało.

- Lepiej mieć dziewięćdziesiąt procent niż nic. Prawda?

- A inne informacje? - Widać było, że Georga coś dręczy.

- Zależy. Za pewne informacje dajemy nagrody. Na przykład za pomoc w ujęciu poszukiwanych zbrodniarzy wojennych.

- Aha! - Zamyślił się.

Wreszcie podjął decyzję i przeszedł do rzeczy.

- Wolfgang Detleffsen, Brigadeführer SS odpowiedzialny za zbrodnie na wschodzie. Przez pewien czas był komendantem obozu zagłady w Bełżcu. Chyba szukają go Rosjanie.

- Jeżeli dzięki twoim informacjom go aresztujemy, dostaniesz nagrodę pieniężną. Możesz pozostać anonimowy. - Obydwoje zgodnie potakowali. - Teraz nie powiem, ile dostaniesz, muszę przejrzeć akta. Przypuszczam, że będziesz zadowolony.

Okazało się, że Detleffsen jest na wysokim miejscu sowieckiej listy życzeń. Również alianci go poszukiwali. Z kartoteką pod pachą wszedł po raz drugi tego dnia do gabinetu szefa. Położył akta na biurku i zasalutował z przytupem.

- Kapitan Meissner z meldunkiem, panie pułkowniku.

- Przestań się wygłupiać, co ci tak wesoło? - Mungo wskazał fotel dla gości, niższy od jego fotela, żeby spoglądać na nich z góry. - Masz coś dla mnie?

- Mam coś, co ci się spodoba. Podpiszesz i możemy go zgarnąć już dzisiaj.

Mungo wziął teczkę i uważnie przejrzał.

- Znakomicie! Szczerze gratuluję. Jesteś coraz lepszy. Jak chcesz to zrobić?

- Takiego aresztowania powinieneś dokonać osobiście.

- Wspaniałomyślna oferta. Nie będzie ci żal?

- Żal? To gruba ryba. Należy się tobie, naprawdę tak uważam. Wezwij też patrol żandarmerii. Nie możemy pozwolić, żeby się nam wymknął.

- Załatwione. To kiedy wyruszamy?

- Późnym wieczorem. Teraz pojedziesz ze mną do informatora. Uzgodnisz nagrodę finansową, dostaniesz adres.

- Czy ja muszę załatwiać to osobiście?

- Nie, skądże, zaproponowałem z grzeczności.

- W porządku, załatw to.

Mungo zadzwonił do dowództwa żandarmerii i uzgodnił szczegóły.

Zdążył jeszcze podjechać do banku. Z dwudziestu sześciu tysięcy funtów, które pozostały po rozliczeniu z Georgiem, pięć tysięcy odłożył na dom. Usiłował sobie przypomnieć, co to jest tajemnica bankowa. Nie wiedział, czy taka tajemnica obowiązuje w kraju pod okupacją i nie zamierzał sprawdzać. Wynajął skrytkę bankową. Uznał, że tak będzie bezpieczniej, odeszła mu ochota na wszelkie ryzyko. Odebrał żonę z klubu jeździeckiego i pojechali do kliniki. Marlina czekała w holu. Zapłacił rachunek za jej zabiegi i zaprosił dziewczyny na obiad. W sumie to się ucieszył, że z zegarkami koniec, więc z tej okazji postawił szampana. Miał już dość ryzyka i towarzyszącego mu nieustannie strachu. Marion dociekała, skąd ma pieniądze i bezustannie go podpytywała. Marlina, widząc, jak się mota w tłumaczeniach, z trudem powstrzymała śmiech. *Kiedy niewieścia*

ciekawość zwęszy tajemnicę, jest nienasycona. Jęknął pod nosem. Po obiedzie odwiózł dziewczyny do domu i powrócił do Hamburga. Miał za sobą wcale pracowity dzień. I wreszcie nigdzie mu się nie spieszyło.

Dochodziła dwudziesta druga. Mały, niepozorny domek w cichej, podmiejskiej dzielnicy był szczelnie otoczony. Mungo dał znak. Żandarmi wdarli się do budynku. Padły strzały. Kiedy wbiegli do środka, było już po wszystkim. Na podłodze leżał zakrwawiony młody mężczyzna. Wysoki, barczysty Niemiec stał w rogu pokoju, z pogardą przypatrując się żandarmom.

- Piękny dzień, panie Detleffsen.

Słowa Roberta mocno go poruszyły.

- To jakaś pomyłka, nazywam się Wolfgang Kopf. Jestem handlowcem.

- Zupełnie możliwe, wyjaśnimy to na spokojnie. Jeśli się okaże, że nie byłeś Brigadeführerem SS, wypuścimy, a nawet przeprosimy. Jeżeli byłeś, osobiście przekażę cię Rosjanom. Już oni się tobą zajmą.

Mówił to, spoglądając Niemcowi w oczy. Był jego wzrostu, więc nie musiał zadzierać głowy. Detleffsen lekko pobladł. Tego się nie spodziewał. Z Anglikami czy Amerykanami mógłby dojść do porozumienia. Ale Rosjanie? Po zbrodniach, jakie popełnił na Wschodzie, wolał nie myśleć, co z nim zrobią. Czujnemu oku Munga nie uszła ta chwilowa zmiana. Szturchnął Roberta.

- To nasz człowiek.

Żandarmi zabrali rannego i więźnia. Zostali sami.

- I co teraz? - zapytał starszy oficer.

- Jak zwykle. Zrobię dokładną rewizję. Może się uda coś znaleźć, chociaż wątpię. Wygląda na wyjątkowo sprytnego.

- Zostawiam cię samego. Nie siedź zbyt długo, bo twoja żona będzie miała do mnie pretensje.

Mungo poznał Marion i jak niemal każdy mężczyzna był pod jej urokiem. Klepnął Roberta po plecach i wyszedł. Pomimo że się starał, niczego nie znalazł. Następnego dnia wycisnął z Munga przyzwoitą

nagrodę dla Georga. Wziął od niego pokwitowanie, obiecał, że trafi prosto do archiwum, i zbierał się do wyjścia.

- Nie uciekaj. - Hilda z każdym dniem nabierała ciała i pogody ducha. - Opowiedz, jak było.

- Aresztowaliśmy go, ale niczego, co by go obciążało, nie znaleźliśmy.

- Bo nie umiesz szukać. - Georg był bezlitosny.

- Jak jesteś taki mądry, sam poszukaj.

- Ja nie. - Wymownie poruszył kikutem. - Ale znam kogoś, kto znajdzie.

- Skontaktuj mnie z nim.

- Zapłacisz?

- Z góry nie płacę. Dopiero, jak coś znajdzie.

- To załatwione.

- Mamy jeszcze pewną sprawę do omówienia.

Hilda, słysząc o ważnej sprawie, chciała ich zostawić samych. Nawet po ostatnich przejściach, kiedy to jej pomyślnej gwiazdzie Georg zawdzięczał zdrowie i odmianę losu, ich małżeństwo było konserwatywne. Mąż decydował w najważniejszych kwestiach. Zakres kompetencji Hildy definiowało *Kinder, Küche, Kirche*⁴⁷. Robert zamierzał to zmienić.

- Nie wychodź, Hildo, właśnie z tobą chciałem porozmawiać.

Georg zrobił zdziwioną minę, jednak się nie odezwał. Autorytet Roberta był tak duży, że obejmował relacje pomiędzy Georgiem a jego żoną. Hilda przycupnęła nieśmiało przy stole, a wtedy wyjaśnił, o co chodzi.

- Mówiłaś, że jesteś ekonomistką, pracowałaś w Blohm & Voss. Co tam dokładnie robiłaś?

Zanim zdążyła otworzyć usta, Georg odpowiedział za nią.

- Robiła jakieś analizy i prowadziła dokumentację. Taka tam papierkowa robota - podsumował pobłażliwie dokonania żony.

- Jak jeszcze raz odpowiesz za Hildę, zaproszę ją do restauracji i porozmawiamy bez twojego wtrącania się.

Georg nie był zachwycony tym tonem, jednak zmilczał. Za to jego żona poczuła się ważna. Opowiedziała szczegółowo, jakie analizy robiła. Okazało się, że była kompetentna, a przełożeni to doceniali.

- Mam dla was propozycję pracy. Jest jeden warunek. - Przyglądał im się z ironicznym uśmiechem.

- Jaki warunek? - Georg był zainteresowany. Przekonał się, że praca dla Roberta oznaczała duże pieniądze.

- Będziecie pracowali razem, ale to Hilda zostanie szefową. - Wstał i już w drzwiach dodał: - Wrócę za jakiś czas. Przemysłcie moją propozycję. Zajęcie jest legalne, opłacalne i interesujące.

Gdy powrócił, na ustach Hildy gościł triumfalny uśmiech. Georg, nieco przygaszony, wyciągnął butelkę jägermeistera i rozlał do kieliszków. Sam fakt, że nalewa żonie taką wódkę, świadczył, że relacje między nimi się zmieniły. Jägermeister jest wódką ziołową, o delikatnym smaku i zapachu, lubianą przez kobiety.

- Chcę, żebyście skupowali dla mnie akcje niemieckich firm.

- Akcje? - Dopuszczony tym razem do głosu Georg nie bardzo rozumiał, o co chodzi. - Jakie akcje? Co chcesz z nimi zrobić?

Za to Hilda domyśliła się, ku czemu Robert zmierza.

- Na początek dostaniecie dziesięć tysięcy funtów.

Szczęka Georga wypadła z zawiasów i uderzyła w stół.

- Nie obiecuj sobie za wiele, Georg. Nie mam na razie pomysłu, co zrobić, jak już te akcje skupicie. Na okaziciela mogą zmieniać właściciela praktycznie bez ograniczeń. Te, które skupicie, zgłosimy w firmach, które je wyemitowały. Wtedy dowiemy się, jakie przywileje przypisane są do akcji imiennych, a jakie na okaziciela. Może być z tym bardzo różnie. - Nie miał wiedzy na temat giełdy, akcji, obligacji oraz sposobów zarabiania na nich. W czasie półgodzinnej rozmowy z maklerem dowiedział się niewiele, tyle, ile im przekazał. - Ja się na tym nie znam, dlatego niezbędna jest Hilda, która ma jak najszybciej podciągnąć się z wiedzy o rynku kapitałowym. Twoja rola, Georg, jest równie istotna. Będziesz poszukiwał atrakcyjnych cenowo akcji, które są do kupienia w Hamburgu. Hilda z pewnością nie

potrafiłaby tego zrobić tak dobrze, jak ty. Będzie ci przekazywała informacje, jakich akcji masz szukać.

Nie wiadomo, kto był mu bardziej wdzięczny. Georg odzyskał twarz, Hilda była zadowolona, że mąż nie jest już urażony. Tej nocy liczyła na pieprzenie, którego po latach przymusowej abstynencji oczekiwała z wytęsknieniem. Georg dopiero niedawno odzyskał potencję i obydwójce nieustannie się tym upajali. Miała nadzieję, że zajdzie w ciążę, co było jej największym marzeniem.

Siedzieli do północy i omawiali szczegóły tej skomplikowanej operacji. Umówił się z Georgiem w banku, żeby przekazać pierwszą ratę. Pomyślał, że ma szczęście, ponieważ trafił na uczciwych i kompetentnych ludzi. Przekazując im coraz większe sumy, nie musiał się obawiać. A Hilda faktycznie wyładniała. Nabrała ciała gdzie trzeba i zrobiła się całkiem, całkiem.

Dwa dni później czekał w domku przy zacisznej Aalwisch Strasse. Punktualnie o osiemnastej rozległo się pukanie. Wpuścił do środka Georga i mężczyznę w nieokreślonym wieku z dziobatą, szczurzą twarzą i sprytem zapisanym w małych, bystrych oczkach.

- Siemaneczko, panie generale. - Dziobaty miał poczucie humoru.
- Dobry wieczór, Arsenie Lupin.

Maks, tak nowy znajomy miał na imię, wiedział, kim był Lupin, nawet mu się to porównanie spodobało.

- Mógłbym tego Lupina sporo nauczyć, ale nie marnujmy czasu.

Potrzebował godziny, żeby znaleźć skrytkę na dokumenty ukrytą w zabytkowym biurku biedermeier opieczętowanym już przez intendenturę. Bez niego dotarcie do niej byłoby możliwe wyłącznie przez porąbanie cennego mebla.

- Znakomicie, Maks, jesteś nadzwyczajny. - Na pierwszy rzut oka widać było, że dokumenty są cenne i pomogą przygwoździć generała.
- Co teraz?

- Panie pułkowniku - Maks najwyraźniej przeszedł do poważniejszych tematów, ponieważ go zdegradował - mamy

dokumenty. Jednak coś mi mówi, że znajdziemy tu jeszcze dziuplę. Co pan na to?

- Szukaj. Mamy czas, poczekamy.
- Co zrobimy z zawartością?
- Jak coś znajdziesz, będziemy negocjować.

Maksowi spodobała się ta odpowiedź. Znalezienie drugiej skrytki zajęło dwie godziny. Aż się spocił z wysiłku fizycznego i intelektualnego. Wreszcie triumfalnie wyciągnął z dziupli w kuchni niewielką kasetę. Była w niej gotówka: dolary oraz funty. I dwa duże brylanty. Robert obserwował go z satysfakcją. Miał niepowtarzalną okazję poznać jego metody.

- Pofarciło się nam, panie kapitanie. Jak podzielimy fanty? - Maks już nie dowcipkował, tylko oczy świeciły mu się z chciwości.

- Znajdźcie w kuchni flaszkę. Rozpijemy i coś wymyślimy.
- Pan kapitan coraz bardziej mi się podoba. Skąd pan pochodzi?
- Jestem Polakiem.
- Polakiem? Nie może być! Zna pan niemiecki nie gorzej od nas.
- Robert jestem. - Podał rękę Maksowi.

Wypili szklankę whisky. Maks się rozpromienił.

- No, teraz zrozumiałem. Miałem kiedyś wspólnika Polaka. Ten potrafił wyłoić, skurkowany. Od początku coś mi nie grało. Nie pasowałeś mi na Angola.

- Do rzeczy. Podział - Robert przeszedł do konkretów.
- Proponuję dla mnie i dla Georga do podziału połowa, druga dla ciebie.

- Ty się chyba tą jedną szklanką upiłeś, Maks.
- Co w takim razie proponujesz?
- Dla was dwadzieścia procent. I tak za dużo.

- Nie ma mowy, to bardzo niesprawiedliwe! Moja ostatnia propozycja, czterdzieści.

- No to wyjaśniliśmy kwestię podziału. - Ku zaskoczeniu Maksa Robert podał mu rękę.

Za znalezione dokumenty nie płacił, pomimo że były bez porównania cenniejsze niż diamenty. Maks się w tym temacie nie orientował. Gotów był opuścić, ale po długich targach i nie więcej niż kilka procent. Takie podejście Roberta spodobało mu się.

Widać, że gość ma klasę i nie jest chciwy. Na szczęście nie umie się targować.

- Co zrobimy z brylantami?

- Jest z tym problem. - Maks i Georg byli zgodni. - Ceny na takie fanty spadły. Żeby przeżyć, ludziska wyprzedają biżuterię, a kupuje niewielu.

- Co proponujecie?

- Trzeba żenić za granicą.

- Gdzie?

- Najbardziej optymalnie w Amsterdamie. Tam jest największy rynek.

- Dostaniecie odpowiedź za dwa, trzy dni. Zależy, czy mi się uda zorganizować rozkaz wyjazdu; ja ich nie podpisuję.

- Wiemy, że nas nie przewieziesz. Masz w Hamburgu dobrą opinię. Ale tak na wszelki wypadek - Maks mrugnął porozumiewawczo - skontaktujesz się w Amsterdamie z moim kumplem, dopilnuje kłóren, żeby cię nie wykiwali ani nie zrobili kuku.

- No to ustalone. Jak będę gotowy, dam znać.

Pieniądze podzielili na dwie kupki. Na niego wypadło dziewięćset dolarów. Brylanty, póki co, podzielili po jednym. Dowiedziawszy się, ile mogą być warte, Robert zagwizdał z podziwu.

Wyszli przed dom. Zrobiło się po drugiej.

- Kima czarna jak Murzyna dupa. Świeci co trzecia latarnia. Jacyś skurwiele mogą ożenić kosę z przyczajki. - Maks spojrzał na niego znacząco.

W przypiływie dobrego humoru zgodził się rozwiązać wspólników. Maks wpadł na pomysł:

- Jak już jedziesz do Amsterdamu, w sensie, nie zależy mi na tym tak bardzo, przy okazji zahaczysz o Paryż?

- Czemu nie. Dwa razy byłem we Francji, ale Paryża jeszcze nie widziałem.

- Bo jakoś tam wiesz, jest interes do zrobienia.

Nauczył się, że jeżeli jego znajomi coś proponują, warto słuchać.

- Horch 830. Bryka jak z bajki. Podobno jeździł nim sam Canaris⁴⁸. Auto trzeba dostarczyć klientowi w Paryżu.

- To nielegalne.

- No właśnie. Żandarmi, punkty kontrolne, granica. Kapujesz.

- Ile? - Poznał już zasady.

Chwilę poszeptali.

- Dwieście dolców. Więcej nie możemy.

- Pięćset - wystrzelił z grubej rury.

- Nie da rady. Trzysta. Nasze ostatnie słowo.

- Niech będzie.

Wzięłyby i sto, żeby przelecieć Marion w horchu Canarisa. Krążył wokół gabinetu szefa jak sęp. W końcu trafiła się okazja. Mungo został wywołany na dłuższą rozmowę telefoniczną. Z bijącym sercem wszedł do środka. Pamiętał, że blankiety są w najwyższej szufladzie. Po chwili szedł korytarzem, wesoło pogwizdując. W kieszeni miał dwa puste blankiety z podpisem i pieczętą. Drugi wziął na wszelki wypadek. Wpadł do domu jak bomba.

- Moje panie! Jedziemy na wycieczkę do Paryża. Horchem!

Zareagowały entuzjastycznie, jednak u Marleny realizm szybko wziął górę. Przez te parę dni zaprzyjaźniła się z Marion i połapała się, że jej opiekunowie robią to gdzie popadnie i kiedy popadnie. Nie będzie przeszkadzać, w końcu tyle dla niej zrobili. Przyglądając się Marion, zrozumiała, dlaczego Robert jej nie chciał. *Gdzie mi do tak pięknej kobiety*. Od tych myśli posmutniała, jednak zachowała się przytomnie. Zaproponowała, że zostanie i popilnuje mieszkania.

- Potrzebuję spokoju - wyjaśniła. Była to po części prawda, tylko ten Paryż, wiadomo.

Jechali przez zrujnowane Niemcy. Im bliżej granicy francuskiej, tym zniszczenia były mniejsze. Marion nie mogła się doczekać Paryża. Obsypywała go pocałunkami, podskakiwała z radości jak mała dziewczynka. *Jak ta dziewczyna potrafi się cieszyć!* Nie żałował już ryzyka, na jakie się naraził, żeby zdobyć pieniądze. Podróż zamieniła się w miódowy tydzień. Mijając leśną drogę, skręcał w nią. Wiedziała, co się święci, i udawała krzywdzoną.

- Znów? Ty nigdy nie masz dosyć. Miej dla mnie litość - protestowała płaczliwie.

- Powiem coś, o czym doskonale wiesz. Kocham cię.

- Wiem, ale ile razy najdzie cię ochota, możesz powtarzać. Słuchanie tego akurat nigdy mi się nie znudzi.

W Paryżu zatrzymali się w eleganckim i drogim hotelu. Następnego dnia horch zniknął. Była zaskoczona i rozczarowana.

- Co się stało? Tak się cieszyłam na drogę powrotną. - Udawała, że się dąsa.

Szybko jej przeszło, ponieważ z Paryża mieli jechać do Amsterdamu.

- Zawsze marzyłam, żeby zwiedzić Rijksmuseum.

Zamiast ją zaprowadzić do Moulin Rouge, szarmancko zapytał, gdzie chce pójść.

- Myślałam, że mnie zaprosisz do Moulin Rouge, ale jeśli mogę wybierać, chcę do Luwru. Nie obawiaj się, skarbie. Będę oglądała malarstwo, na pewno się nie zanudzisz.

- Rozdzielmy się. Oglądaj sobie obrazy, jak długo chcesz, ja zwiedzę zabytki pierwszych cywilizacji.

- Wolę być z tobą, ale trudno. Znajdę przystojnego Francuza, który mi dotrzyma towarzystwa. Tylko nie miej potem pretensji, słyszałeś zapewne, jak oni traktują samotne cudzoziemki.

Dał jej klapsa. Przypuszczał, że gdyby nie dostała, byłaby zawiedziona. W pakiecie z klapsiem były dodatkowe atrakcje. Z upodobaniem grali w tę grę.

- A gdybyś bardzo chciał, wieczorem możemy pójść do Moulin Rouge. Pójdę z tobą, żeby cię mieć na oku.

Wracali do hotelu spacerem, trzymając się za ręce i co kilka kroków całując.

W Amsterdamie nie było problemów. Znajomy Maksa, pracownik słynnej De Beers⁴⁹, dorabiał na boku, wprowadzając do obrotu brylanty bez certyfikatu. Marion była szczęśliwa, że może zwiedzić Riiksmuseum. Uwielbiała malarstwo flamandzkie. Wrócili promem. Spóźnił się z urlopu, ale Mungo machnął ręką na niewielką zwłokę.

- Te dokumenty, które znalazłeś w mieszkaniu Detleffsena, okazały się niezwykle cenne. Miał listę niemieckich agentów na Wschodzie. Wyobrażasz sobie!? W Londynie z radości się posikali. Teraz jest mi niezręcznie, że to mnie chwalą za twoją robotę.

- Nie ma twoje - moje. Skąd wziąłem informację o tym szkopie? Od ludzi, którym wcześniej pomogłem. A pomogłem ze środków wywiadu, nie prywatnych. - Opowiedział historię znajomości z Georgiem.

- Jesteś niesubordynowany, ale cię lubię. Masz rezultaty i tylko to się liczy - podsumował krótko Mungo.

- Marion jest zachwycona wyjazdem. Przesyła podziękowania i całusy za to, że mi dałeś urlop. - Chciał wyjść, ale szef go zatrzymał.

- Musimy porozmawiać.

Od dziecka nienawidził tych dwóch słów. W żartach uzgodnili kiedyś z Marion, że w ich domu są zakazane. Już na poważnie - tego humorystycznego zakazu przestrzegali. Po wyrazie twarzy szefa domyślił się, że potwierdzą swoją fatalną reputację.

- Wszczęto dochodzenie. Oskarżali cię o liczne przestępstwa. Mieli donosy. Zarzutów było wiele. Z jednym musiałem zmierzyć się sam. Chodziło o te nasze dwadzieścia procent. Potraktowałem to jako sprawę honorową, pamiętając, o co mnie prosiłeś. Tę sprawę zamknęli, węszyli jednak dalej. Podejrzewali, że przemycasz jakieś zegarki do sowieckiej strefy. Musiałem dać słowo honoru, że cię nie ostrzegę. Chyba rozumiesz, że nie mogłem nic powiedzieć. Chcieli cię

zatrzymać na punkcie kontrolnym. Zorganizowali zasadzkę, byli pewni swego. Tego dnia się nie pojawiłeś. Czekali jeszcze kilka dni. Do Berlina w tym czasie nie pojechałeś, więc sprawę zawiesili. Nie zamknęli, lecz zawiesili.

- Ciekawe, kto mógł coś takiego wymyślić. - Starał się zachowywać normalnie i kontrolował głos. Nie miał nerwów ze stali. Bał się, że Mungo coś mu wyczyta z twarzy albo domyśli się po głosie.

- Nie chce mi się nawet komentować. Dla mnie jesteś czysty. Szczególnie, jak zobaczyłem wysrane z palca zarzuty, że sobie przywłaszczasz skonfiskowane towary. Wiem, że to nieprawda. O zegarkach nic nie wiem, ale przyjmuję, że to taka sama bzdura. Węszą też w sprawie jakiejś niemieckiej dziewczyny, podobno niepełnoletniej, która jest twoją kochanką. Na dodatek żyjecie w trójkącie. Brytyjski oficer nie może się tak prowadzić. O co chodzi z tą dziewczyną?

- Sprawa jest skomplikowana. Przyprawdę ją, żebyś mógł sobie wyrobić opinię z pierwszej ręki. - Usiłował ukryć ogromną ulgę.

Opisał, przez co przeszła Marlina. W całej tej historii był słaby punkt. Jak ją poznał i w jaki sposób uciekła z Berlina. Nie mógł powiedzieć prawdy. Mungo nigdy by mu nie wybaczył przemytu zegarków.

- Jest jeszcze coś. Rosjanie zamordowali amerykańskiego sierżanta. Marlina nie była wprawdzie świadkiem morderstwa, ale wie, kto to zrobił. Nasi sojusznicy mogą się tym zainteresować.

- Czy ta twoja Marlina będzie zeznawać?

- Zeznawać nie będzie musiała, zostanie informatorką, a my chronimy źródła informacji. Opowie wszystko, co wie. Kiedy ją wzięli, nauczyła się rosyjskiego. Ma dziewczyna talent do języków. Mamy w BZO tłumaczy, ale w naszej placówce nikt rosyjskiego nie zna. Ktoś taki bardzo by się przydał. Nie powiem słowa więcej, bo znów sobie narobię wrogów. - Wiedział, że jego problemy to robota zawistnych donosicieli. *Kto doniósł o zegarkach? Musiał śledzić Georga, tylko tak*

mógł się dowiedzieć. – Ty z nią pogadaj i ty decyduj, nawet mnie nie pytaj o zdanie.

– Nie zaperzaj się. Ja ci ufałem i nadal ufam, a prokuratorem się nie przejmuj. Węszyli i nic nie wywęszyli. Taką mają pracę. W porządku, dawaj ją tutaj. Ile ma lat?

– Szesnaście, ale wygląda na mniej. Nie ma dokumentów, więc nie sprawdzimy. Sam ją zresztą zapytasz.

– Będiesz przy tej rozmowie, nie musisz nic mówić.

– Już mówiłem: Nie będę! Uważają, że jestem pedofilem, to gadaj z nią w cztery oczy.

Mungo gorączkowo rozglądał się za czymś wystarczająco ciężkim, żeby wyrzuciło Robertowi krzywdę. Wpadł mu w ręce zszywacz, jednak spóźnił się i trafił w zamykające się drzwi.

Musiał porozmawiać z Marleną. Przewidywał, że będzie to trudna rozmowa. Żonie powiedział wprost.

– W związku ze zdarzeniami, jakich Marlen była świadkiem, będziemy rozmawiali o sprawach służbowych. Ty nie możesz w tej rozmowie uczestniczyć.

– Dobrze, dobrze, mój tajny agencie. Rozmawiajcie, ile chcecie. Bylebyś jej nie zamęczył.

– Cześć, mała, jak minął dzień?

– Zrobiłyśmy sobie dzień dziewczynki.

Wyglądały i zachowywały się jak siostry. Marion, opiekując się Marleną, realizowała niespełnione marzenie z dzieciństwa o młodszej siostrze. Tego dnia zostały w domu. Naszła je akurat ochota pochichotać, poprzymierzać ciuchy, pomalować paznokcie i pogawędzić.

– Było znakomicie. Mia jest dla mnie taka serdeczna. Gdyby nie ona, koszmary nieustannie by mnie dręczyły. Gdzie ty ją spotkałeś i jakim cudem poderwałeś? Jedynie wierność za tobą przemawia. Ona się zaklina, że jej nie zdradzasz, a ja muszę potwierdzić. I nie mów do mnie „mała”, bo wcale nie jestem mała.

- Będzie, jak zechcesz. Ktoś na nas doniósł. Podobno żyjemy w trójkacie. Wiesz coś na ten temat?

Uśmiechnęła się półgębkiem. Robert się jej podobał, ale mężczyzna miała dosyć na długo. Poza tym nigdy by nie zrobiła takiego świństwa Marion.

- Wielkie mi halo.

- Spotkasz się w cztery oczy z moim przełożonym, podpułkownikiem Mungo Sparksem. To wspaniały człowiek.

- Nie wątpię. Po co mam się z nim spotkać?

Była młodziutka, lecz niezwykle rzeczowa.

- Masz opowiedzieć, jak się poznaliśmy i w jaki sposób uciekłaś z Berlina.

- Czyli mam powiedzieć prawdę?

- W tym rzecz, że nie. Było dochodzenie, podejrzewano mnie o przemyt zegarków. Urządzili nawet zasadzkę. Wpadłbym, gdyby mnie nie ostrzegła pewna rezolutna panna.

- Nieźle namieszałeś! Na zachodzie prokurator, na wschodzie zbir z NKWD. Gdzie się teraz podziejesz, biedaku?

- No właśnie. Nie mam się gdzie podziać.

- I ja mam ci pomóc?

- Na to liczę.

- Jeżeli chcesz, żeby pomagano tobie, pomagaj innym, kiedy są w biedzie. Niech ci będzie, porozmawiam z nim, a nawet postaram się go polubić. Słucham, co mam mu powiedzieć?

- Musimy coś wymyślić.

- Ale co?

- Zaczniemy od ucieczki. Zakochał się w tobie pewien rosyjski żołnierz i pomógł uciec. Przekroczyłaś granicę stref i znalazłaś się w naszej części Berlina.

- Może być, tylko kto by się we mnie zakochał? Jak się wydostałam z Berlina? Bez dokumentów, bez pieniędzy.

- Zakocha się wielu, bo jesteś mądra, a wyrośniesz na piękność. Z Berlina wyjechałaś okazją. Oddałaś się amerykańskiemu

żołnierzowi za przewiezienie do Magdeburga. Z Magdeburga w podobny sposób dotarłaś do Hamburga. Chciałaś wsiąść na statek i wyjechać do Ameryki Południowej. W Niemczech nie widziałaś dla siebie przyszłości, ponieważ prześladowały cię koszmarne wspomnienia. Spotkaliśmy się na nabrzeżu portowym.

- Trzyma się kupy. Powinieneś zmienić zawód, mógłbyś pisać książki. Być może pochopnie cię oceniałam. Pomagasz ludziom, Marion o tym opowiadała. Ale dlaczego mnie nie chciałeś pomóc?

- Mówiłem już, nie będę się tłumaczył przed taką smarkulą. Jeżeli jednak tak daleko zaszliśmy... Pomagając, zawsze mam dylemat. Wszystkim nie pomogę. Muszę wybierać. Czasami lepiej, czasami gorzej. Takich kobiet jak ty są w Berlinie tysiące. Zauważ, że w tej willi było was wiele, pomóc mogłem jednej. Jest mi niezręcznie o tym mówić, ale kiedy mnie błagałaś, myślałem, że mi serce pęknie. Musiałem cię stamtąd wyrwać. Dlatego nie mogłem okazać, jak bardzo mi na tobie zależy. Oni są cwani, a ja nie jestem takim idiotą bez serca, jak sądzisz. Gdyby Wołodia się zorientował, postawiłby warunki. Nie wiem jakie, ale już on by coś wymyślił. Nie chodziło zresztą o pieniądze. Zapłaciłbym. Obawiałem się innych warunków. Więc ich przekonałem, że mnie nie obchodzisz. Jeżeli idzie o wywiezienie z Berlina, przyznaję, nie miałem pomysłu. Nie wpadłem na to, żeby cię ukryć w walizce. Byłem pijany. Zresztą, uważałem, że musisz sobie radzić sama, jak tysiące kobiet w Berlinie.

- Teraz rozumiem. Pan kapitan taki honorowy, że dziwce tłumaczył się nie będzie.

- Nie mów tak. Jesteś wspaniałą dziewczyną, lubię cię i szanuję. Zawrzyjmy rozejm.

- Niech będzie rozejm, może być nawet pokój.

- No to pokój.

Poprosił żonę, żeby do nich dołączyła. Pojawiła się szansa, że dziewczyna coś ugra na tym „trójkącie”. Marion, kiedy dowiedziała się o całej sprawie, była tak wściekła, że gdyby miała ogon, toby nim

potłukła wszystkie naczynia. W gniewie jej oczy błyszczały, twarz oblał rumieniec. Z trudem panowała nad sobą.

Marlena zrobiła na Sparksie korzystne wrażenie. Bardzo jej współczuł, traktował z kurtuazją. Wypytał o znajomość rosyjskiego i zaproponował pracę tłumacza na zasadzie wolnego strzelca. Atrakcyjna oferta, więc natychmiast ją przyjęła. Wiedziała, jak trudno znaleźć pracę młodej dziewczynie bez kwalifikacji. O trójkąt nie pytał, przez gardło mu nie przeszło. Wychodząc z gabinetu, minęła się z Robertem.

- Co o niej sądzisz?

- Miałeś nosa. To wartościowa dziewczyna, będzie przydatna. Tylko czy sobie poradzi? Taki dzieciak w zrujnowanym mieście...

- O to się nie martw. Pomożemy jej. Marion jest jedynaczką, więc Marlen została jej przybraną siostrą. Są jak papużki nierozłączki.

Polubili Marlenę, jednak nie mogła mieszkać z nimi wiecznie. Marion zasięgnęła języka i znalazła pokój przy starszym małżeństwie, które na wojnie straciło synów. Marlena miała im wypełnić przeraźliwą pustkę. Mieszkali w za dużym dla nich domu we wsi oddalonej od Hamburga o godzinę jazdy rowerem. Było to korzystne dla niej rozwiązanie, ponieważ się u nich stołowała. Robert sprezentował jej damkę z przerzutką. Do szkoły miała pójść w jesieni. Z tłumaczeń mogła liczyć na niewielkie wynagrodzenie, w sam raz na kieszonkowe dla takiej pannicy. Marion podarowała jej kilka sukienek, kosmetyki i bieliznę, z których się bardzo ucieszyła, a Robert tysiąc marek, które wstydziła się przyjąć.

- Jak będziesz potrzebowała pieniędzy, nie kombinuj, tylko przyjdź do mnie. Unikaj przypadkowych znajomości i nie pij za dużo.

Panie M. spojrzały na siebie i wzniosły oczy ku niebu. „Jak ty z nim wytrzymujesz?” - zdawała się pytać młodsza. „Sama widzisz, co ja muszę znosić” - skarżyła się starsza.

Z handlu zegarkami oraz „rekwizycji” u Detleffsena zebrał prawie trzydzieści osiem tysięcy funtów. Pieniądze trzymał w skrytce

bankowej. Zapłacił za swój wymarzony dom. Musiał ponieść dodatkowe koszty, w tym notariusza. W sumie uzbierało się dwieście funtów. Właściciel domu zaproponował, że za trzysta pozostawi całe umeblowanie. Zgodził się. Po zapłaceniu wszystkich opłat zostały trzydzieści dwa tysiące. Mógł sobie pozwolić na zakup drugiej nieruchomości z przeznaczeniem na wynajem. Dom, który sobie upatrzył, znajdował się w tej samej dzielnicy, był większy i nieco droższy. Kupił go za pięć tysięcy funtów. Zatrzymał trzy tysiące, a resztę włożył do skrytki bankowej.

Wybrał się do małego, urokliwego miasteczka Looe w Kornwalii. Wsiadł na dworcu i wziął taksówkę. Po chwili witał się z Garrickiem.

- Jednak przyjechałeś. Wiem, jak to w życiu bywa. Coś sobie obiecujemy, a potem nieustannie wypadają różne sprawy. Ty jesteś inny. Nie uciekasz przed inwalidą. Wchodź, rozgość się.

Domek wynajmowany przez Colina był maleńki i zaniedbany. Z renty inwalidzkiej jedynie na taki było go stać. Robert narąbał drewna, rozpalił w kominku, rozlał whisky do szklanek. Dopiero wtedy przystąpił do rzeczy.

- Poszedłem ostatnio na skróty, stary.

- Jak wielkie były te skróty?

- Takie, że jestem bardzo bogaty i nikt o tym nie wie.

- Obrabowałeś bank?

- Aż tak przedsiębiorczy nie byłem. Takie tam numerki. Przemyt, skarby generała SS. W sumie uzbierała się fortuna. Między innymi dlatego tu jestem.

- Jeżeli chcesz zaproponować to, co myślę, wypierdalaj, pókiś cały!

Przegadali całą noc. Musiał się wznieść na szczyty swoich talentów oratorskich, aby w końcu przekonać wyczerpanego kłótnią Garricka do swojego pomysłu. Przez następne dni urządzał przyjacielowi takie życie, na jakie ten zasługiwał. Nawet polubił to zajęcie. Po wizycie na poczcie, w sklepie i pubie obejrzał wszystkie

wystawione na sprzedaż domy w okolicy. Wybrał ten, który w jego opinii najlepiej się nadawał. Colin po raz kolejny bluznął koszarową wiąchą. Po drugiej rundzie perswazji machnął w końcu ręką i na wszystko się zgadzał.

W ciągu trzech dni, które spędził w Looe, znalazł ładny domek z widokiem na morze, zadatkował go, znalazł kobietę do prowadzenia domu, wdowę po kapralu poległym na Malajach. Te życiowe dla Colina sprawy załatwił od ręki, ponieważ zdeponował na jego koncie dwa i pół tysiąca funtów. Powiedział Marion, że odwiedził przyjaciela, który został ranny tej samej nocy co on, ale nie miał jego szczęścia i jest sparaliżowany.

Formalności związane z przejęciem domu miały jeszcze potrwać. W tym czasie skontaktował się z Maksem i zlecił mu nowe zadanie. Znaleźć mercedesa. Nie ukraść, jak miał w zwyczaju, ale znaleźć używanego w doskonałym stanie. Maks wywiązał się wzorowo. Po trzech dniach Robert miał już kluczyki do swojego wymarzonego samochodu. Klucze od domu odebrał w piątek.

Tak się złożyło, że wieczorem pokłócił się z Marion, o jakąś błażostkę zresztą, a ona w niespotykanym u niej napadzie złości wyrzuciła go na kanapę. Gdyby zechciał, mogli się natychmiast pogodzić. Ale to mu nawet odpowiadało. W środku nocy obudziły go odgłosy dochodzące z sypialni. Leżała w łóżku i głośno płakała. Nie miał serca realizować dalej misternego, lecz w tych okolicznościach zbyt okrutnego planu, więc utulił ją do snu. Rano nie było po niej widać śladu nocnych rozterek. Miała zdumiewającą umiejętność zapominania rzeczy przykrych. Jeżeli się obrażała, to tylko na chwilę. Rzadka i cenna zaleta. Po śniadaniu zaproponował spacer. Zgodziła się z radością.

- Czy pamiętasz jeszcze nasze spacerunki w Meppen?

Wyszli przed dom. Wiśniowego mercedesa 230n cabrio zaparkował kawałek dalej, żeby się nie domyśliła. Zatrzymał się przy aucie.

- Zawsze chciałem mieć taki samochód. Podobno rozwija sto szesnaście na godzinę. Wyobrażasz sobie? - rozwodził się szeroko nad zaletami mercedesa.

- Mnie się też podoba. Będiesz taki miał, najmilszy, już niedługo. *Nawet się nie domyślasz, jak niedługo.*

- Nie będę czekał. Szkoda zmarnować taką okazję. - Wyjął z kieszeni podłużny teownik i udawał, że otwiera drzwi.

- Co robisz? - zapytała zaniepokojona.

Ponieważ nie odpowiadał, przestraszyła się jeszcze bardziej.

- Robert! - Nerwowo szarpała go za ramię. - Ani się waż! Zwariowałeś chyba!

- Daj spokój, już kończę - pociągnął za klamkę i otworzył. - No proszę, udało się.

- Robert, błagam!

Nie mogła uwierzyć, że jej mąż jest złodziejem, jednak nie reagował na jej błagania. Niemal siłą wsadził ją do auta. Chciała uciec, ale zablokował drzwi. Miał przygotowane kable. Zwarł końce i dyskretnie przekręcił kluczyk. Podjechali pod dom. Pogmerał w kłódce na bramie jej szpilką do włosów, otworzył i próbował wnieść ją na rękach. Rozpaczliwie się wyrywała, więc ją przerzucił przez ramię. Na stole w hallu stała butelka szampana i dwa kieliszki. Kiedy otworzył szampana, zrozumiała. Wpierw złapała się za głowę, a potem wybuchła szalonym śmiechem. Wskoczyła na niego, objęła za szyję, nogami oplótła w pasie z takim impetem, że upadli na podłogę.

- Ty nikczemniku! Jak mogłeś mnie tak podle oszukać!? Nie przyznałeś się, że jesteś dziedzicem rodowej fortuny?

- Tak, małpko. Bałem się, że padnę ofiarą pewnej sprytnej panny, dla której najważniejszy będzie mój portfel. Od samego początku udawałem biednego.

- A tak naprawdę?

- Kredyt bankowy - wyjaśnił skromnie. - Bank dał kredyt, za który kupiłem dom. Nasz własny dom.

Skłamał. Wstydział się, nie widział jednak innego wyjścia.

- A samochód? Też z banku? - dopytywała z typowo kobiecą dociekliwością.

- Nnnie - brnął dalej. - Kupiłem za gotówkę. Okazyjnie. Oszczędzałem, brałem nadgodziny i się uzbierało.

- Martwiłam się, że nie wracasz wieczorami, bo masz kochankę, a ty ciężko pracowałeś. - Czuła się strasznie winna. - Ma dużo pokoi, prawda?

- Wydaje mi się, że sześć.

- Cudownie, dzieci będą miały swoje. Będzie pokój gościnny dla rodziców. I twój gabinet.

- Nie rozpędzaj się, bo za chwilę będziemy spali w kuchni.

- Jesteś okropny. Za co ja cię tak Kocham? Chyba zupełnie rozum postradałam. I co jeszcze tu jest? - zmieniała tematy jak inne kobiety kapelusze.

- Dwie łazienki, toaleta, garderoba, kuchnia, korytarze na dole i na górze, pomieszczenie gospodarcze, hall, w którym jesteście. No i garaż.

- Musimy wypróbować wszystkie pomieszczenia. Każde po kolei.

- Wypróbować? Jak masz zamiar je wypróbować?

- Wypieprzysz mnie w każdym. I w każdym inaczej. Twoja w tym głowa. Z góry zgadzam się na wszystko. Na stole, pod stołem, cokolwiek wymyślisz. - Jej oczy lśniły pożądaniem. Szybko ściągnęła spódnice. - Dopijmy szampana i bierzmy się do roboty.

W trakcie dopijania ściągnęła majtki. Półnaga, w samej bluzce, z podgoloną cipką, w czarnych pończochach i czółenkach na obcasie wyglądała jak senne marzenie fetyszysty. W tym półnegliżu była tak pociągająca, że się nawet nie zastanawiał, jaką pozycję wybrać.

Mieli własny dom, w pracy potwierdził swoje kompetencje i zdobył uznanie. Wszystko osiągnął dzięki zdolnościom, odwadze oraz determinacji. I chciwości. Sprawy finansowe ułożyły się nad wyraz pomyślnie. Nie naruszył funduszu Marion. Nikt nie dociekał, skąd wziął pieniądze na zakup domów. Mogło to być konsekwencją

dziurawego niczym szwajcarski ser systemu informacji finansowej. Ewentualnie przyjęto, że pieniądze pochodzą od teściów. A takich ludzi jak baronostwo von Thoma nie wypadało pytać o pieniądze. Nieistotne, jaka była przyczyna, fiskus się na nim nie pożywił.

Za zarobione pieniądze Aschenbachowie kupili niewielki domek w robotniczej dzielnicy na obrzeżach Hamburga. Hilda potrzebowała spokojnego miejsca do pracy, a w przyszłości bezpiecznej przystani dla rodziny.

- Znajdę pracę. Nie pozwolę, żebyś tak harowała od świtu do zmroku. Utrzymanie rodziny to męska rzecz - oponował Georg.

- Może byś zapytał, czego ja chcę, Georg? Nie forsy. Chcę, żebyś mnie przytulił, kiedy tego potrzebuję, rozśmieszył, zabrał na spacer. Ładnie się ubiorę i pójdziemy do twojej knajpy na sznapsa. Mam z tego zrezygnować, bo ty się uparłeś pracować? A po fajrancie co, z kumplami na piwo? Bo się zmęczyłeś! Schlasz się i nawet nie zauważysz seksownej bielizny, którą dla ciebie założyłam.

- Ale... - próbował jeszcze dyskutować.

- Czy ty mnie słuchasz, Georg? Żadnych ale! Ręki nie straciłeś w barowej bójce, a NA WOJNIE! Coś ci się od życia należy, do cholery!

- Może jednak...

A ona na to:

- Nie gadaj głupot i nie zawracaj teraz głowy.

Rzeczywiście. Nie oszczędzała się, pracowała dziesięć na siedem. W tym, co robiła, dostrzegła ogromną szansę dla nich i dla dzieci, których planowała całą gromadkę. Do zadania podeszła metodycznie. Zrobiła listę spółek wartych uwagi. Znalazły się na niej aż trzy tysiące firm. Następnie przeprowadziła uproszczoną analizę ekonomiczną. Brała pod uwagę zysk operacyjny na działalności podstawowej, dynamikę wzrostu zysku operacyjnego oraz rentowność sprzedaży. Przez takie sito przeszło dziewięćset firm. W kolejnym kroku poszukiwała przedsiębiorstw, które dzięki zyskom z produkcji wojennej miały nowoczesny park maszynowy i wykwalifikowaną

kadre. Na koniec oceniała, jak się będzie kształtował popyt na produkty wybranych firm w najbliższych latach. Pozostało trzysta spółek. Niewiele w porównaniu z trzema tysiącami na początku. Zgromadzenie wiedzy o podaży i popycie na rynku oraz cenach akcji przypadło Georgowi. Po kilku tygodniach zameldował, że z listy, którą dostał, znalazł papiery stu spółek. Z czego połowy w ilościach śladowych. Robert był zaskoczony ogromem pracy, jaki wykonała Hilda, oraz uzyskanymi rezultatami. Nadszedł czas na kolejną naradę.

- Mamy wyselekcjonowanych pięćdziesiąt perspektywicznych spółek, których akcje są dostępne po okazyjnej cenie. Proponuję kupić po jednakowym pakiecie każdej. Pojedziemy do siedziby firmy, zdeponujemy akcje, dopilnujemy, żeby wpisano mnie do księgi akcjonariuszy i się rozejrzemy. Dopiero na miejscu ustalimy, ile firma jest warta. Zrób prawo jazdy, Hildo. Z pewnością nie będę miał czasu, żeby pojechać do wszystkich.

Georg kupił akcje pierwszych pięciu i w piękny majowy poranek czterdziestego szóstego roku wyruszyli przed siebie.

Czekała go niełatwa rozmowa z Marleną. Pomimo że była teraz jego przyjaciółką, czuł się niepewnie i potrzebował wsparcia żony. Nie powiedział, o czym chce rozmawiać, wspomniał tylko, że jest potrzebna. Usiedli w taki sposób, że Marion siedziała obok niego. Widząc, jak jest spięty, trzymała go za rękę. Marlena nie obawiała się już, że zaskoczy ją w nieprzyjemny sposób. Dopiero kiedy zobaczyła, że żona tak jawnie go wspiera, spoważniała i zaczęła się niespokojnie wiercić.

Zaczął niezwykle ostrożnie.

- Tę rozmowę powinniśmy odbyć wcześniej. Tak się między nami układało, że obawiałem się poruszania tego tematu.

- Ty się bałeś? Mnie bałeś? - *O co chodzi? Dlaczego jest taki spięty?*

Zdecydował, że tym razem nazwie wszystko po imieniu.

- Przez wiele miesięcy więzili cię Rosjanie. Byłaś gwałcona i torturowana. Przeżyłaś piekło.

Wyczucie kazało jej teraz milczeć. Po sposobie, w jaki rozpoczął, domyśliła się, że to będzie dla niej trudna rozmowa. Przed nim leżała gruba papierowa teczka związana tasiemką.

- Przygotowałem pewne materiały. Kopie dokumentów z naszych archiwów. Wszystkie dotyczą zbrodni popełnionych przez Niemców w Rosji. Jeżeli zapoznasz się z tymi dokumentami, dowiesz się, jak potwornych zbrodni. Uprzedzam, to przerażająca lektura. Nie chcę usprawiedliwiać Wołodii i jego kamratów. Chcę jedynie, żebyś wiedziała. Zanim ty zostałaś zgwałcona, SS, Sonderkommando popełniły niewyobrażalne zbrodnie. Wybacz, Marleno, po prostu muszę o tym powiedzieć, chociaż ciężko mi to przychodzi, byłaś przecież niewinną ofiarą. Nie ponosisz odpowiedzialności za zbrodnie popełniane przez hitlerowców.

Przerwał i zbierał myśli. Po chwili kontynuował, mniej już podenerwowany.

- To III Rzesza napadła na ZSRR. To Niemcy wymordowali miliony rosyjskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Nie o żołnierzach mówię, a o bezbronnych, niczemu niewinnych cywilach.

Nic więcej nie miał do powiedzenia. Zdawał sobie sprawę, że rozmowa była dla Marleny trudniejsza niż dla niego. Wstała i bez słowa wyszła do ogrodu. On też wyszedł z domu. Niech będzie, uciekł, zabrakło mu odwagi, aby patrzeć jej teraz w oczy. Wrócił dopiero wieczorem. Teczka zniknęła. Marion nie nawiązała do rozmowy. Jej też musiało być ciężko wysłuchiwać gorzkich słów prawdy o rodakach. Sam podjął temat, chciał wyjaśnić, dlaczego to zrobił.

- Musiałem o tym powiedzieć. To nie była sytuacja czarno-biała. Może Marlenie będzie łatwiej, jeśli się dowie, jak do tego doszło? Sam nie wiem.

- Nie martw się, kochanie. Postąpiłeś właściwie, a Marlenie nic nie będzie. Może faktycznie dobrze się stało. Tyle się mówi o naszych

zbrodniach, niestety nie do każdego fakty docierają tak dobitnie, jak powinny. Ja też jestem Niemką i wzięłam to, co mówiłeś, do siebie.

- Wy, smarkule, jesteście za młode, aby ponosić odpowiedzialność za wojnę i zbrodnie wojenne. Odpowiedzialni są ci, którzy głosowali na Hitlera, i wszyscy, którzy pomagali, wspierali, wiwatowali. Ciebie ani Marleny tam nie było.

- Jakie to dziwne, jesteśmy razem tak długo i dopiero teraz o tym rozmawiamy.

- Nie widziałem wcześniej takiej potrzeby. Pomyślałem, że obraz Rosjan, jaki ma Marlena, jest niepełny. Jeżeli pozna okoliczności, lepiej zrozumie, dlaczego i w jaki sposób usprawiedliwiali gwałty, również inne popełniane w czterdziestym piątym zbrodnie. Ja ich w żadnym razie nie tłumaczę, szukam prawdy, usiłuję zrozumieć.

**6 września 1946 r. 19.15,
Hamburg, willa Roberta Meissnera**

Czekali na ważne przemówienie sekretarza stanu USA Jamesa Byrnesa. Marion, Marlena i on. Wszyscy troje wpatrywali się w radiodbiornik. Niemcy dobrze pamiętali Plan Morgenthaua z czterdziestego czwartego, który przewidywał podział Niemiec na trzy kraje, likwidację przemysłu ciężkiego i stworzenie państwa rolniczo-pasterskiego. Plan ten nazwano kartagińskim, ponieważ traktował Niemcy z bezwzględnością, z jaką Rzym stał z powierzchni ziemi Kartaginę. Czy z dzisiejszego przemówienia dowiedzą się czegoś równie przerażającego? W końcu Churchill i Roosevelt poparli ten plan. Musieli się wycofać dopiero pod naciskiem opinii publicznej, która wykazała się umiarem i zdrowym rozsądkiem.

Byrnes rozpoczął od potwierdzenia, że proces demilitaryzacji oraz denazyfikacji będzie kontynuowany. Potwierdził konieczność spłacania reparacji wojennych. Zapewnił jednak, że nie będą ściągane z bieżącej produkcji, jak to robili Rosjanie i Francuzi, uniemożliwiając w ten sposób odbudowę przemysłu. Zapowiedział zniesienie podziału kraju na strefy okupacyjne, powołanie demokratycznego rządu,

odbudowę gospodarki i włączenie Niemiec do struktur europejskich. Za punkt wyjścia uznał prowadzenie jednolitej polityki finansowej i unii monetarnej w zachodnich strefach okupacyjnych. Im dłużej przemawiał, tym większy entuzjizm ogarniał słuchaczy. Zakończył mocnym akcentem:

„Naród amerykański dąży do jak najszybszego przywrócenia suwerenności narodowi niemieckiemu. Naród amerykański będzie wspierał Niemcy w ich dążeniu do zajęcia należnego miejsca we wspólnocie narodów”.

Dziewczyny się wycalaowały, a potem odtańczyły na środku salonu szalony taniec radości. Trzymając się za ręce, wirowały z odchylonymi do tyłu głowami i opadającymi ku ziemi włosami. Wyglądały jak bawiące się na podwórku dziewczynki. Podświadomie jego wykluczyły, nawet nie zauważyły, że cieszą się one dwie, a jest ich przecież troje.

- Kochanie, cieszysz się razem z nami, prawda? - Marion wreszcie zauważyła, że nie jest w równie entuzjastycznym nastroju.

- Tak... hmm... Bez wątpienia. Wspaniałe przemówienie, bardzo potrzebne takie.

Jego obawy nie dotyczyły zasadniczej części wystąpienia. Martwił go niewielki fragment, zaledwie kilka zdań. Byrnes granicę na Odrze i Nysie uznał za tymczasową. Uznanie nowych granic uzależniał od przeprowadzenia demokratycznych wyborów w Polsce.

Co się wydarzy, jeżeli, jak można oczekiwać, wybory w Polsce nie będą demokratyczne? Czy wtedy granica ma się zmienić? *W Jałcie Roosevelt przehandlował nas Rosjanom, dzisiaj ten kretyn przyklepał transakcję.*

Jego obawy były uzasadnione. Przemówienie Byrnesa niepotrzebnie zatruło stosunki pomiędzy Polską a Republiką Federalną na długie lata⁵⁰. Dlatego nie potrafił się cieszyć jak obie Niemki. Wiedział, że relacje między skazanymi na sąsiedztwo narodami rozmaicie się układały. Jednak przez długie cztery stulecia były poprawne, często dobre. Nie było wojen, przebieg granicy się nie

zmieniał, co w rozdzieranej krwawymi konfliktami Europie było zjawiskiem niespotykanym. Jak się teraz ułożą wzajemne stosunki? Czy pomimo fatalnego błędu Byrnesa uda się przywrócić normalność, przyjazne relacje między sąsiadami?

Nastroje w alianckiej strefie okupacyjnej po przemówieniu najlepiej oddał w redakcyjnym tytule „Wiesbadener Kurier”: *Nareszcie promień światła.*

Po roku Hilda mogła podsumować wspólne osiągnięcia.

- Z tych pięćdziesięciu spółek, których akcje kupiliśmy, kilka to nieporozumienie. Tych akcji pozbedziemy się w pierwszej kolejności. Pozostałe mają zróżnicowany potencjał. Od prawdziwych gwiazd, które powinny po otwarciu giełdy zarobić krocie, po przeciętne inwestycje porównywalne z oprocentowaniem lokaty bankowej.

Wiedzieli wszystko, co potrzebowali wiedzieć. Poznali dogłębnie dwadzieścia firm, na które ostatecznie postawili. Robert został ich akcjonariuszem, dzięki czemu uzyskał dostęp do dokumentów finansowych. Z pozostałych wybrali dziesięć na listę obserwacyjną. Hilda miała też pomysł na dodatkowy zarobek.

- Część akcji należy puścić w obieg. Odsprzedawać, najlepiej na nieformalnym parkiecie we Frankfurcie, a odkupywać taniej, gdzie się da. W rezultacie przebudujesz portfel, pozostaniesz z najlepszymi akcjami, a po drodze zarobimy. Sądzę, że z takiego handlu my się utrzymamy, ty będziesz miał dochód porównywalny do lokaty bankowej, więc wyjdiesz na swoje.

Marion z zapałem uczestniczyła w życiu towarzyskim Hamburga. Baronessa von Thoma spotkała się z życzliwym przyjęciem hamburskiej socjety. Zachowała po ślubie nazwisko panieńskie. Robert jej tak doradził, a Hasso był zachwycony. Wolny czas spędzała na kortach tenisowych lub na ujeżdżalni. W obu tych sportach odnosiła sukcesy. Nie znała życia, nie zdawała sobie sprawy, że tytuł, uroda, pieniądze, urok osobisty przysparzają wrogów.

Robert nie chciał do niej dołączyć, pomimo że posiadał predyspozycje do gry w tenisa. Powrócił za to do treningów bokserskich. Trenował w klubie z Niemcami. Na początku się na niego boczyli, jednak szybko im przeszło. Tym bardziej że nad kilkoma rozciągnął parasol ochronny, wspierając z funduszu służbowego. Jak dotąd wiele z tego nie miał, już się jednak nauczył, że w tym fachu niezbędna jest cierpliwość. Mieli teraz z Mungą więcej czasu na rozmowy i analizy. Właśnie ten doświadczony oficer podkreślał, jak ważna jest konsekwencja.

- Mówiłeś, że nie masz pewności, czy to właściwi ludzie. Poczekaj. Nic nas nie pogania. Łowisz siecią z drobnymi oczkami, chwytasz płotki. Twoja sieć ma wielkie oka, wpadają grube ryby. Klub bokserski jest perspektywicznym miejscem. A jak Marion? Co u niej słyhać?

- Realizuje się, urządzając dom, udziela towarzysko, gra w tenisa.

Trenował intensywnie. W jego wadze, półciężkiej, do osiemdziesięciu jeden kilogramów, było dwóch bokserów. Sami od siebie nie mogli się już wiele nauczyć, był więc idealnym sparingpartnerem dla bokserów wagi ciężkiej. Po treningach zapraszał wszystkich na piwo. Po roku doszedł do wysokiej formy. Trener Uwe Wenck powtarzał:

- Robert, ty nie bij dobrych Niemców, ty bij złych Rusków.

- Jak się pojawią, to drani pobiję - zapewniał.

W drugiej połowie czterdziestego szóstego przyszły nowe rozkazy. Akcja „Wulkan!”⁵¹. Mieli stworzyć grupy dywersyjne. Polską i niemiecką. Mungo pukał się w czoło. Zżył się ze swoim podkomendnym i nie obawiał się ujawniania poglądów osobistych.

- Czy oni w tym Londynie na głowy poupadali? Po jaką cholere grupy dywersyjne?! Rozumiesz coś z tego?

- Mogę jedynie spekulować. Ktoś chce się podczepić i zrobić karierę.

- Masz cholerną rację, tak może być. Jaką trzeba być szują, żeby robić karierę kosztem naiwnych idealistów. Za żelazną kurtyną wyłapią ich jak bezpańskich psów. Wiem, co mówię.

Rozkaz to rozkaz. Niezależnie od tego, co o nim myśleli, musieli wykonać. Nie chciał brać takiej odpowiedzialności na siebie. Przytargał do gabinetu Mungi naręcze teczek osobowych i wspólnie je analizowali. Ustalili, że stworzą dwa czteroosobowe zespoły. Jeden złożony z Niemców, drugi z Polaków. Z niemieckim nie mieli problemu. Spośród wielu kandydatów wybrali czterech doświadczonych żołnierzy. Wszyscy służyli na froncie wschodnim. Trudno było o lepsze rekomendacje.

Z Polakami mieli pewien problem. Najlepszym rozwiązaniem było szukanie w obozach przejściowych. Przebywało w nich nadal sto tysięcy byłych więźniów obozów koncentracyjnych, robotników przymusowych i jeńców wojennych. Jedynie ci ostatni mogli być przydatni. Zażądał, żeby Mungo z nim pojechał. Potrzebował jego doświadczenia. Po drodze omówili szczegóły. Do sekcji polskiej chciał przyjąć ludzi wykształconych i prowadzić biały wywiad. Analiza artykułów z prasy, rozmowy z marynarzami w porcie, nasłuch audycji radiowych.

- Jeżeli będziemy mieli rezultaty, może nam dadzą spokój.

- Być może. Ty im wyjaśnisz, o co chodzi?

- Ja? Skądże. Ty, i to przez tłumacza.

- Lepiej cię mieć po swojej stronie. - Sparks zakrztusił się ze śmiechu.

Byli w mundurach, rozmawiali po angielsku. Mungo wyjaśniał, jaki jest cel wizyty. Ustawiła się kolejka chętnych. Podśledzał rozmowy i szepnął:

- Z tych w kolejce tylko jeden się nadaje.

- To co robimy?

- Zakończmy spisywanie tych cwaniaków. Ogłosimy, że szukamy chętnych do batalionu saperskiego. Gwarantujemy ciężką pracę, wymagane wykształcenie techniczne.

Druga grupa była mniej liczna. Po rozmowach indywidualnych wybrał kolejnych dwóch, którzy się w jego opinii nadawali. Kazał

wszystkim spakować manatki i poinformował komendanta, że ich zabiera z obozu. Byli zaskoczeni, kiedy zwrócił się do nich po polsku:

- Będę waszym dowódcą.

- To pan kapitan jest Polak? Ale numer. Dobrze, że czegoś nie chlapnęliśmy.

- Wy nie, za to wasi koledzy byli bardziej wylewni.

- No nie uwierzę. Nieźle nas podeszliście.

- Podeszliśmy? Przecież nie pytaliście, czy znam polski.

Przyjęliście, że oficer w brytyjskim mundurze nie może być Polakiem. Będziecie pracowali w wywiadzie. Nie możecie się kierować stereotypami.

Zakończył rozmowę i przetłumaczył, o czym rozmawiali. Mungo zawołał:

- Polska, dobre! Kurwa! Na zdrowie! - Dostał szczere oklaski.

Zdecydowali, że nie potrzebują więcej współpracowników. Mieli się od tej pory ograniczyć do tych, z którymi wcześniej pracowali i zdążyli ich poznać. Wykluczyli ludzi, którzy się nie sprawdzili. Po takiej selekcji pozostała rozsądna agentura. Mungo zdecydował, że pora na tradycyjne podejście. Mają wyselekcjonowaną, sprawdzoną siatkę, teraz zaczną płacić za informacje wywiadowcze. Zasady wynagradzania za informacje o transportach na czarnym rynku pozostawili bez zmian. Nie oponował.

- Masz rację. Czasy się zmieniły, więc i my musimy zmienić metody.

Małżeństwo przeszło z fazy romantyczno-namiętnej w ustabilizowaną. Kochali się znacznie rzadziej. Trudno powiedzieć, dlaczego. Tak im się po prostu układało. Nie mieli w sobie takiej pożądlivosti, jak dawniej. Byli zadowoleni z życia, więc pogodzili się z rzeczywistością. Starali się cieszyć codziennością, prozą małżeńskiego życia.

Marion spędzała teraz większość czasu na kortach i w klubie jeździeckim. Tam czuła się znakomicie. Adorowana, flirtowała chętnie, poprzestawała jednak na etapie kokietowania. Nie pozwalała

się nawet pocałować, irytując mniej atrakcyjne koleżanki. Nie dość, że panowie zwracali na nią szczególną uwagę, to na domiar złego była wierna mężowi. W babskich rozmowach często próbowały nakierować ją na właściwą drogę. W snuty na tarasach klubowych kawiarenek opowieściach kochankowie mieli w sobie to coś, czego brakowało mężom, a seks w małżeństwie? Z nudów można umrzeć. Zgodnie z zasadą: kropla drąży kamień, libertyńska atmosfera hamburskiej socjety wywierała na nią demoralizujący wpływ. Wierność przestała być zasadą, pozostała wyborem. Robert nie zdawał sobie sprawy, w jakie towarzystwo wpadła żona ani co jej do głowy kładą koleżanki. Gdy spotykał kobiety z jej kręgu, nieodmiennie próbowały go poderwać. Na liście życzeń tych pań zajmował wysoką pozycję. Nic nie sprawiłoby im większej satysfakcji, jak uwiedzenie męża tej nieznośnej Marion. A że był przystojny, tym lepszą miałyby zabawę. Ponieważ unikał dwuznacznych sytuacji, przykleiły mu łątkę nieudacznika i pantoflarza.

Marlena odwiedzała ich regularnie. Zawsze w niedziele. Polubili jej wizyty. Nadawały przeciętnej niedzieli odświeżający charakter. Pomimo że protestowała, nigdy nie wyszła z pustymi rękami. Od niej dostawała rajstopy, częściowo zużyte kosmetyki, ciuchy, które się opatrzyły. On nieodmiennie wciskał banknot. Była między nimi niewielka różnica wieku, lecz traktowali ją jak córkę.

Doceniany w MI6, starał się uczciwie zapracować na pensję. Sprawy zawodowe przestały być najistotniejsze. Stały się równie ważne jak małżeństwo, poszukiwanie równowagi i na koniec – drobne przyjemności. Rutynę, która zagościła w sypialni, rekompensował sobie na sali treningowej. Trenował, jakby jego kariera zależała od wyników sportowych.

Marion nie rozstawała się ze szkicownikiem oraz woreczkiem na ołówki i węgiel. Dużo rysowała, ale była to twórczość amatorska. On szukał dla siebie jakiegoś zajęcia. Z kanału Elby kazał wydobyć wrak łodzi motorowej zatopionej podczas nalotów. Była to solidna motorówka portowa. Nieoceniony Georg przyprowadził skutnika

i motorzystę, którzy za niewielkie pieniądze podjęli się kapitalnego remontu. 1 maja 1948 mógł zabrać żonę w dziewiczy rejs „Arabeską”. Luksusowy jacht motorowy, w jaki przeistoczyła się motorówka, miał pokład pokryty odpornym na wodę drewnem tekowym i wykończoną mahoniem kabinę wiadomego przeznaczenia.

- Rozpieszczasz mnie. Najpierw dom i samochód, teraz jacht.

- Bo jesteś tego warta.

Rodzice kupili jej auto, zgrabnego renaulta juvaquatre'a. Podjechała nowym, czerwonym samochodem do klubu i opowiadała z przejęciem, jaką niespodziankę sprawił jej mąż i jak cudowna była wycieczka jachtem po Elbie. W ten sposób przekroczyła niewidzialną granicę. Kilka pań na poważnie postanowiło dać nauczkę tej nieznośnej Marion. Nieświadoma gromadzących się nad jej głową chmur, bezlitośnie ogrywała je w tenisa.

Na następny rejs zabrali Marlenę - bardzo chcieli sprawić dziewczynie przyjemność. Wrócili dopiero o zmierzchu. Po zacumowaniu Marlena powiedziała, że to był najpiękniejszy dzień w jej życiu. Na wodzie, z wiatrem we włosach - zapomniała o swoich przejściach.

Do dowództwa BZO przyszło w lipcu czterdziestego ósmego pismo z dowództwa Zachodniej Grupy Wojsk Armii Czerwonej. Zaproszenie na mecz bokserski we wszystkich kategoriach wagowych. Stosunki między byłymi aliantami stawały się z dnia na dzień bardziej napięte, a mecz, przeniesienie rywalizacji na grunt sportowy, mógł przynieść chwilowe odprężenie. Uzgodniono, że spotkania będą się odbywały rotacyjnie. Na miejsce pierwszego wylosowano Hamburg. Armia miała własny klub bokserski. Nawet się zastanawiał, czy w nim trenować. Zobaczył jednak, jak marny poziom reprezentują, i wstąpił do klubu niemieckiego. Spotkanie z Rosjanami zostało potwierdzone, lecz nie chciał się wychylać. Miał złe przeczucia. Do trenera drużyny brytyjskiej dotarło pocztą pantoflową, że jest dobry. Ponieważ zbywał

go, jak umiał, potrzebnych było kilka telefonów. Na koniec Mungo zaprosił Roberta na rozmowę.

- Boks nie jest moim ulubionym sportem, nie mogę cię do niczego zmusić, ale proszę. Dla mojego świętego spokoju zgódź się.

- Zgadzą się, ponieważ ty mnie poprosiłeś.

Mungo zadowolony poklepał go po plecach.

- Równy z ciebie gość. Musisz mi wreszcie szczegółowo opowiedzieć o tej akcji, za którą dostałeś DSO. Tym razem się nie wywiniesz.

- Masz moje słowo, opowiem. Pod warunkiem, że przeżyję.

- Może być aż tak źle? - Pułkownik się przestraszył.

- Mam złe przeczucia. Wprawdzie mojemu życiu nic nie zagraża, to przecież boks amatorski, ale wcale się nie zdziwię, jak Rusek obije mi głowę.

- Będę trzymał za ciebie kciuki.

Marion, kiedy dowiedziała się o całej sprawie, wpadła we wściekłość.

- Zabraniam! Słyszysz?! Kategorycznie zabraniam!

Rozumiał ją, troszczyła się o niego. Tłumaczył, że unikał tej walki, jak mógł, ale Mungo tyle dla niego zrobił... Musiał się zgodzić. Nadal była wściekła, chociaż wewnętrznie pogodziła się z sytuacją.

- Mia, proszę.

- Mia, proszę, Mia, proszę! Kiedy ja ciebie prosiłam, to co? - Nie mogła się uspokoić.

W dniu meczu groźne niebo wisiało nad miastem. Uprzedził trenera, że przyjdzie zaledwie pół godziny przed swoją walką. Czasu starczało na założenie rękawic i krótką, intensywną rozgrzewkę. Oczekiwanie, przesiadywanie w szatni denerwowało go, a zwątpienie było najlepszą drogą do klęski. Jak się okazało, przeczucia nie zawiodły. Z siedmiu stoczonych walk zaledwie jedną wygrał Anglik. Pozostałe miały jednostronny przebieg. Brytyjczycy mogli się cieszyć, jeżeli dotrwali do końcowego gongu. Cztery walki zakończyły się przed czasem. Rozpoczęła się ósma.

Marion wślizgnęła się na salę i przycupnęła w jednym z ostatnich rzędów. Bała się strasznie i nadal była wściekła, chociaż starała się opanować. Im bliżej walki w wadze półciężkiej, tym bardziej się bała. Sędzia ogłosił werdykt, jednogłośnie na punkty zwyciężył Rosjanin. Z tablicy informacyjnej dowiedziała się, że na osiem pojedynków Rosjanie wygrali siedem. Ogarnęły ją złe przeczucia. Kilka rzędów bliżej siedziała Marlana. Dla niej mecz miał szczególne znaczenie. Przyszła zobaczyć, jak Ruscy padają na deski. Wmawiała sobie, że silni są tylko wobec kobiet. To, co zobaczyła, pogłębiło jej rozgoryczenie. Rosjanie brali górę nad Anglikami z taką samą łatwością, jak nad niemieckimi kobietami. Nie mogła na to patrzeć, musiała wyjść na powietrze. Wtedy zapowiedziano walkę w półciężkiej. Została na miejscu.

Patrzył na rywala z respektem. Jego twarz była mapą życiowych doświadczeń. Blondyn, o zimnych, bezbarwnych oczach. Mocno zbudowany i umięśniony. Sprawiał wrażenie, że zbijając wagę, zszedł z ciężkiej. Robert wyglądał przy nim jak wyrostek. Na ustach Rosjanina błąkał się szyderczy uśmiech. Widział w nim chłoptasia, którego życie nie doświadczyło. Takich jak on się nie obawiał. Pojedynek miała rozstrzygnąć naga siła.

Pierwsze wymiany były spokojne, badali się nawzajem. Już od drugiej minuty Rosjanin zdecydowanie zaatakował. Robert bywał już w podobnych opałach. Ratował się techniką. Jak mało kto potrafił unikać ciosów. Igor Frołow był najlepszym bokserem w ekipie rosyjskiej. Dysponował znakomitą techniką, był szybki, a przede wszystkim niewiarygodnie silny. Robert też miał swoje atuty. Podejrzewał, że ma lepszą kondycję, choć tego nie mógł być pewny. Miało się okazać pod koniec trzeciej rundy, o ile do niej dotrwa. Jego mocnym punktem była praca nóg. Poruszał się w ringu lekko. Na Frołowa było to jednak za mało, trafił kilka razy. Robert jeszcze nigdy nie przyjął takich ciosów. Miał wrażenie, że to nie człowiek uderzał, lecz młot parowy. Inkasując kolejne trafienia, nie stał całym ciężarem na obydwu nogach, co nieco amortyzowało uderzenia. Próbował

wyprzedzających lewych prostych. Przeciwnik nie dawał się trafić. Stosował uniki, Frołow miał wrodzoną umiejętność wyprzedzania. Zdesperowany klinczował, za co dostał upomnienie. Wreszcie schował się za podwójną gardą. Jedynie taka obrona mu pozostała.

Marion była blada jak ściana. Okrucieństwo tego pradawnego spektaklu, głuchoe odgłosy ciosów, ochlapujące koszulkę męża szkarłatne paciorki jego krwi przyprawiały ją o mdłości. Chciała uciec, jednak nogi odmówiły posłuszeństwa. Próbowwała odwrócić wzrok, nie była w stanie. Zafascynowana, wbrew sobie, pożerała wzrokiem rozgrywający się na jej oczach dramat.

Druga runda miała podobny przebieg. Robił wszystko, żeby się nie dać trafić bezpośrednio. Każde takie uderzenie kończyło walkę. Coraz mocniej odczuwał skutki ciosów. Już w połowie rundy ukrył się za podwójną gardą. Zabrzmiał gong, a on odetchnął z ulgą. Zaczął się obawiać o zdrowie, miał odruchy wymiotne. Rzucenie ręcznika na ring nie wchodziło w grę. Toczył bitwę, którą mógł przegrać, lecz której nie miał prawa poddać. To nie był boks, lecz walka o przetrwanie. Pod koniec rundy zauważył u przeciwnika ledwie dostrzegalne oznaki zmęczenia. Pojawiła się szansa. Nie uderzył dotąd tak mocno, jak potrafił. Rosjanin był za szybki. On mógł się jedynie bronić, oszczędzać siły i czekać. Na nic innego nie było go już stać.

Rozległ się gong na trzecią rundę. Przewaga Frołowa była przygniatająca, walka jednostronna. Werdykt mógł być jeden. Przez pierwszą minutę niewiele się zmieniło, dominacja Rosjanina rosła. Zwycięstwo mu nie wystarczało. Chciał znokautować „faszystę”, jak nazywali Anglików kremlowscy propagandziści. Czasu pozostało niewiele, więc rzucił się do ataku. Uderzył z półdystansu i ponad rękawicą trafił w szczękę. Pod Robertem ugięły się nogi. Upadł na deski. Marlena już nie zakrywała oczu. Zrozpaczona patrzyła na przyjaciela leżącego u stóp przeciwnika. Z daleka wyglądało, jakby mu całował buty. Wstał z trudem, nogi się pod nim ugięły, chwiał się.

Postawę przyjął na osiem. Zaniepokojony sędzia ringowy zajrzał mu w oczy.

- Boks!

Równy z komendą Frołow rzucił się do ataku. Nie myślał już o obronie. Posłał przeciwnika na deski, Anglik słał się na nogach. Pozostało go wykończyć. Wyprowadził prawy sierpowy. Żeby uderzyć mocniej, wziął szerszy zamach, jednocześnie się odsłaniając. Robert, nie zmieniając korzystnej pozycji, zrobił nieznaczny unik balansem ciała. Rękawica Frołowa otarła ucho, wiązanie boleśnie je rozorało.

Rozpoczęły skurczem mięśnie łydek i ud. Po krótkim jak przeskok iskry czasie rozkurczem przeniosły skumulowaną energię na miednicę oraz barki, które skrętem nadały jej dodatkową moc i przyspieszenie. W kierunku szczęki przeciwnika wystrzeliła pięść. Takim ciosem można powalić byka. Rosjanin usiłował zrobić unik, jednak nieznacznie się spóźnił. Po ciosie padł na deski.

Widownia oszalała. Przed chwilą milcząca posepnie, stała się nagle najradośniejszym miejscem w Hamburgu. Kibice wiwatowali, tańczyli, obejmowali się. Siedzący obok Marion żołnierz porwał ją w ramiona, a ona całowała go jak szalona. Jedyne rosyjscy goście zachowali kamienne twarze. Nie spodziewali się, że ich najlepszy bokser przegra przez nokaut. Dla kibiców przestały się liczyć poprzednie walki. W ogólnym rozgardiaszu Robert zachował spokój. Zdjął rękawice, wziął od trenera szklankę wody, przykucnął przy leżącym bez ruchu Frołowie i spryskał mu twarz. Rosjanin otworzył oczy. Zobaczył pochylonego nad sobą, zatroskanego rywala. Oszołomiony leżał na deskach, nie mogąc się podnieść. Wreszcie, z pomocą sędziego, stanął na nogi i można było ogłosić werdykt. Stali, czekając na jego ogłoszenie. Sędzia szepnął do Roberta:

- Ty skurczybyku! - On jeden wiedział, co się wydarzyło.

Wyszedł z hali bocznym wyjściem. Marion wsadziła go do auta i paplając ze szczęścia, zawiozła do domu. Poprosił, żeby wezwała lekarza.

- Nie martw się, to nic groźnego.

Rozmawiając ze szpitalem, słyszała, jak wymiotuje. Lekarz przyjechał nadszpodziewanie szybko. Rozpoznał lekki wstrząs mózgu. Pozwolił zostać w domu, zalecił wzięcie pielęgniarki. Tak też zrobili, korzystając z jego pośrednictwa. Po wyjściu doktora Marion się popłakała. Wtedy powiedział, że to była jego ostatnia walka i więcej w ringu nie stanie. Zrezygnuje również z treningów.

- Ten Rusek wybił mi z głowy boks.

- Już go polubiłam.

Była taka szczęśliwa, że zapominając o wstrząsie mózgu, rzuciła się, żeby go wycałować. Odskoczyła dopiero, kiedy jęknął.

- Wszystko widziałam! Dziesięć razy umarłam ze strachu. Jak to zrobiłeś?

- Poszło łatwiej niż uwiedzenie pewnej panny.

- Leciła na ciebie od początku, tylko tego nie dostrzegłeś. - Delikatnie go pocałowała.

- Nikt oprócz Mungi nie może się dowiedzieć, że mam wstrząs mózgu. Wszyscy potrzebowali tego zwycięstwa. Niech się nacieszą.

- Jak wyzdrowiejesz, dostaniesz nagrodę specjalną. A teraz śpij. - Puściła do niego oko i poszła otworzyć pielęgniarcę.

Telefonicznie uzgodnili oficjalną wersję. Musiał pilnie wyjechać do teściów. Sprawy rodzinne. Po dziesięciu dniach stanął na nogi. Urządzili mu królewskie powitanie. Mungo przeproszał. Czuł się winny, namówił go na walkę, która miała fatalne następstwa.

- To nie tak, stary, nie musisz przeproszać. Dzięki tej walce zrozumiałem coś ważnego. Jak dobry byś nie był, prędzej czy później trafisz na lepszego. Dlatego zrezygnowałem z boksu.

Trzeba było powrócić do rzeczywistości. Przystąpił do szkolenia obu sekcji. Nazwali je przekornie „Bandyta 1” i „Bandyta 2”. Jedyńka była kryptonimem sekcji niemieckiej, dwójka - polskiej. Znalazł czwartego do sekcji polskiej. Porucznik Andrzej Gliński pochodził z polskich Tatarów. Był cichociemnym, komandosem przeszkolonym do zrzućenia w kraju. Zanim nadeszła jego kolej, wojna się skończyła. Podczas okupacji stracił rodzinę i nie miał do kogo wracać. Teraz on

przejął ciężar przygotowań. Spędzili zakrapiany burbonem wieczór na omawianiu założeń. Gliński nie od razu pojął, o co Robertowi chodzi.

- Dość już rozlewu krwi. Polacy umierają na różne choroby, najczęściej na honor. Nie damy się podpuścić i wykorzystać, jak w 1939.

Niestety, nie mógł zaręczyć, że pozostaną w Hamburgu. Porucznik otrzymał rozkaz przygotowania całej operacji. W odróżnieniu od tego, co pisali w raportach, Robert przyjął diaboliczne założenia.

- Zaplanuj, co będziemy musieli zrobić, jeżeli się okaże, że zostaliśmy zdradzeni.

- Kto i kiedy ma nas zdradzić? - Zdziwienie Glińskiego nie miało granic.

- Przecież nie ty ani nie ja. Ktoś. Wszystko jedno kto. Komuniści wiedzą, gdzie i kiedy wylądujemy. Znają nasze zadania, pseudonimy. Wiedzą wszystko.

- Niewiarygodne!

- Niewiarygodne? Nie chrzań! Nie mogłeś tego wiedzieć, ja dowiedziałem się o operacji Nordpol⁵² przypadkowo. Przez dwa lata Anglicy wysyłali holenderskich dywersantów na pewną śmierć. Jedna po drugiej grupy wpadały w ręce Niemców. Cała siatka SOE⁵³ w Holandii była mistyfikacją. Operacją kierował major Giskes z Abwehry, a wyłapani radiotelegrafisci wysyłali do Londynu meldunki pod dyktando wroga. Jak wiesz, każdy drucik dostaje znak *security check*, którym ostrzega, że został schwytany i zmuszony do współpracy.

- I co, żaden nie wprowadził znaku?

- Rzecz w tym, że wprowadzali.

- Jesteś tego pewien? Jak to możliwe?

- Ano możliwe. Mało tego, pewien oficer w końcu dodał dwa do dwóch i złożył meldunek dowódcy operacji, generałowi Gubbinsowi.

- I nadal nic?

- Nie inaczej. Wysyłano kolejne grupy. Łącznie siedemdziesięciu pięciu młodych ludzi, patriotów. Wszystkich rozstrzelano. Niemcy przejęli kilka tysięcy sztuk broni, tony amunicji, złoto, kilkadziesiąt radiostacji i tak dalej. Oficera SOE, który wykrył wyspę, odsunięto od operacji i zakazano mu z kimkolwiek rozmawiać.

Oficerem tym był niepozorny porucznik Krzysztof Szpot Dunin. Dostał kopniaka w górę. Awans i przeniesienie do innej sekcji. Tego Robert nie wiedział.

- Opowiadasz jakieś niestworzone historie. Takiej zdrady być nie mogło.

- A jednak. Albo w sekcji holenderskiej na najwyższym szczeblu był agent, albo zrobili to celowo, tylko nie mam pojęcia, po co.

- Coś podobnego! Można to jakoś udowodnić?

- Zapewne. Za pięćdziesiąt lat, jak odtajnią archiwa, poznamy nazwisko zdrajcy. Bądź pewien, że te akurat będą utajnione tak długo, jak przepisy pozwalają, a i potem dostęp do nich będzie ograniczony. Powtórzę założenia. Jest dokładnie tak, jak podczas operacji Nordpol. Wyskakujemy, a na lądowisku czeka komitet powitalny. Jeśli jakimś cudem zwiejemy, urządzają polowanie z nagonką. Siatka, z którą mamy nawiązać kontakt, jest fikcyjna. Kanał powrotu spalony. Wiedzą, na jakie nazwiska mamy dokumenty. Szyfrogramy, które wysyłamy, Urząd Bezpieczeństwa zna po kilku dniach.

- To jakieś szaleństwo.

- Szaleństwo albo i nie, musimy przeżyć. Jeżeli nie mam racji, nic złego się nie stanie. Ostrożność niewiele kosztuje, niekiedy jest to cena życia.

- Rozkaz, kapitanie! - Gliński wyprężył się, odchylił od pionu i zasalutował.

Nadszedł rok 1949. Na balu noworocznym bawili się szampańsko. Wracali spacerem, co kilka kroków obejmowali się i całowali. Zawiani, rozbawieni, spragnieni siebie i szczęśliwi, wpatrywali się w niebo pełne gwiazd. Wydawało się, że wystarczy sięgnąć ręką, aby

złowić całą ich garść. Spadające meteory zwiastowały pełną nadziei, szczęścia i spełnionych marzeń przyszłość. Składając sobie życzenia noworoczne, byli o tym przekonani. A tymczasem tragedia szukała sobie miejsca, gdzie mogłaby się zdarzyć.

Philip St. John, szef sekcji IX MI6 odpowiedzialnej za wywiad na kierunku wschodnim, pojawił się w Hamburgu na początku marca. Odpowiadał za działania MI6 we wszystkich państwach bloku wschodniego. Biorąc pod uwagę zakres obowiązków, był jednym z ważniejszych funkcjonariuszy MI6. Być może ważniejszym od szefa, generała Menziesa. Pułkownik St. John był niewątpliwie człowiekiem odważnym. Szła za nim legenda. Podczas wojny zorganizował i osobiście przeprowadził wiele brawurowych, zakończonych sukcesem operacji. Absolwent Westminster i Cambridge, pochodził z arystokratycznej rodziny. Jego ojciec przez wiele lat służył w armii. Mówiąc krótko: urodzony pod szczęśliwą gwiazdą.

Pojawił się niezapowiedziany w czwartkowe popołudnie. Przystojny, pewny siebie, ubrany z niedbałą nonszalancją w zgniłozielony trencz burberry, który rzucił na oparcie fotela, i beżowy kardigan od Wolseya. Promieniował arogancją, a pozę miał stylizowaną na niedbałą. Widać było, że ma o sobie wysokie mniemanie. Wszystko przychodziło mu łatwo, sukcesy w tajnych operacjach, uznanie w wyższych sferach i kobiety - zwłaszcza te ostatnie.

- *How do you do, old sport?*⁵⁴

Powitał Sparksa z udaną serdecznością, nawet poklepał po ramieniu. Robert od razu wyczuł, że pomimo pozorów serdeczności traktuje Mungę z pobłażliwością starszego brata. Na niego nie zwracał uwagi. Istniała pomiędzy nimi przepaść. Stopień wojskowy, klasa społeczna, osiągnięcia wreszcie. Phil go w końcu raczył zauważyć.

- A więc to jest kapitan Meissner.

Robert już spotykał się z tym stylem, który od pokoleń należał do przejawów angielskiej arogancji klasowej. St. John zaczynał go nieznośnie drażnić. Stał na baczność i gromkim głosem zameldował:

- Tak jest, panie pułkowniku!
- Dajmy spokój formalnościom. Dla przyjaciół jestem Phil.
- To dla mnie zaszczyt, że mogę cię poznać osobiście. Jesteś żywą legendą.

Mungo patrzył na niego zdumiony. Nie dał się oszukać, zbyt dobrze go znał.

- Darujmy sobie uprzejmości. Przyjechałem, ponieważ planujemy operację w Polsce.

Robertowi zaschło w gardle. Jego najgorsze obawy właśnie się materializowały.

- Nie podjąłem jeszcze decyzji. Po rozmowie z wami, spotkaniu z grupą dywersyjną, zadecyduję. Ale tym będziemy się zajmowali od jutra. Teraz porozmawiajmy o istotniejszych sprawach. Gdzie tu się można dobrze zabawić?

- Znakomicie się składa - Mungo odzyskał mowę. - Pojutrze mamy w dowództwie BOZ bal.

- Więc dobrze trafiłem! Mam nadzieję, że jest tu wiele pięknych kobiet.

Phil cieszył się zasłużoną sławą konesera niewieściej urody.

- Przekonasz się w sobotę.
- *Magnifique, old boy, magnifique*⁵⁵.

Bal był rzeczywiście imponujący. Przyszli wyżsi oficerowie z żonami lub partnerkami. Kapitan Meissner był w tym towarzystwie najniższy stopniem. Pojawiło się również kilku Niemców. Od wojny minęły cztery lata, rany się zablizniały. Siedzieli przy jednym stoliku z Mungą i jego sekretarką Allison. Żona pułkownika mieszkała w Anglii. Odwiedzała go raz w miesiącu.

Jak zwykle Marion stanowiła wyjątkową atrakcję dla panów. Szczególnie przypadła do gustu Philowi. Z żadną inną nie tańczył. Coś

szeptał do ucha, a jej się bardzo podobało, co chwila wybuchała śmiechem i się wdzięczyła. Zerknął na nich dyskretnie. Choć zazdrość go zżerała, musiał przyznać, że są uderzająco piękną parą.

Phil powolnym ruchem przesunął dłoń po jej plecach, aż oparł ją na poruszającym się w rytm muzyki biodrze. Poczł, jak zadrżała. Jakby przez zapomnienie na chwilę zarzuciła mu ręce na ramiona. Kiedy nie tańczyła, rozglądała się po sali, szukając go wzrokiem. Zauważyła, że i on ją obserwuje. Z mężem wymieniała jedynie zdawkowe uwagi, starannie unikając jego spojrzenia. Był wściekły i zrezygnowany, czuł się jak, nie przymierzając, część zapasowa. Nie potrafił się poniżyć do sceny zazdrości. Zastanawiał się, czy warto słuchać rad poety. *Przecież nie jest nieomylny!*

*Znieś rywala bez szemrania
a ujdiesz niechybnej klęski.
Do świątyni Jupitera
wjedziesz w triumfie zwycięski.*

Mungo zauważył oczywiście, jak są obsadzone role w tym trójkącie. Był przygnębiony. W oficerskim kodeksie honorowym uwodzenie żony podwładnego było niedopuszczalne. Ale kto by się przejmował anachronicznymi kodeksami? Robert przesiedział pół balu. Nie miał ochoty na tańce z innymi kobietami. Był wdzięczny Mundze i Allison, że dotrzymują mu towarzystwa. Żeby się zrewanżować, zaprosił ją do tańca. Na parkiecie zaczepiła go atrakcyjna brunetka.

- Mam nadzieję, że wreszcie z tobą zatańczę. Znamy się już długo, a jeszcze nigdy mnie nie zaprosiłeś. Powinam się obrazić.

Była koleżanką Marion z klubu tenisowego, żoną wysokiej rangi urzędnika administracji okupacyjnej.

- A ja mam nadzieję, że mi wybaczysz, Fiono.

- Wybaczę pod warunkiem, że mnie nie porzucisz po pierwszym tańcu.

- Zatem umowa stoi. - Spodobała mu się jej zaradność i tupet.

Widząc, jaki spektakl jest grany, Fiona zwietrzyła sensację i nie mogła sobie odmówić komentarza.

- No proszę, Mia wpadła w oko Philowi. Chodzą słuchy, że żadna mu się nie oparła. - Zaśmiała się cynicznie.

- Znasz Phila? - Jemu nie było do śmiechu.

- Nasze rodziny są skoligacone, kuzyn studiował w Cambridge dwa lata wyżej. Zawsze go podziwiał.

Humor popsuł mu się jeszcze bardziej, o ile było to możliwe.
Pieprzony Casanova. Palant! Dupek!

- Nie bądź taki kwaśny. W Hamburgu jest wiele pięknych kobiet, a ty jesteś atrakcyjnym mężczyzną. Podobno żadna cię jeszcze nie zaliczyła?

Nie odpowiedział. Jakie to miało znaczenie? Cała sytuacja coraz bardziej go irytowała. W duchu sklął Fionę, a złe przeczucia odrzucił ze wzdargą. Nie będzie odpłacał pięknym za nadobne. Nie dopuszczał takiej myśli. Do niczego jeszcze nie doszło i z pewnością nie dojdzie. Odprowadził ją i wrócił do stolika. Jednocześnie podeszli St. John z Marion. Miał okazję im się przyjrzeć. Phil pożerał wzrokiem jego żonę. Oczy mu płonęły, a na ustach błąkał się pożądlivy uśmiech.

- Wkrótce się zobaczymy - powiedział do Roberta, obrzucając wzrokiem jego żonę. Jakże krótkie spojrzenie. Ale ona wiedziała, dla kogo przeznaczona była wiadomość.

Spłynęła na niego fala gorzkiej zazdrości. Intuicyjnie wyczuł, że wymówkami tylko się ośmieszy. Nie odmówiła tańca przystojnemu oficerowi? Zapewne powiedziałyby: „Słucham!?!... Żartowałeś, prawda?”. Albo coś w tym stylu. Więc z trudem dławił w sobie gniew i milczał. Nie zadając pytań, nie musiał słuchać wykrętnych odpowiedzi. Wydawało mu się, że w jej głosie pojawił się odpychający ton. W nocy było jeszcze gorzej. Pożądał jej, jednak z milczenia zbudowała wokół siebie barierę, której nawet nie próbował

przełamać. *Dokąd nas to doprowadzi?* – zastanawiał się, nie mogąc zasnąć. Ona również nie spała, choć z innego powodu.

Phil podjął decyzję. Protestował, został jednak postawiony do pionu.

- To jest rozkaz, kapitanie. Obejmiesz dowództwo. Wykonacie zadanie w Polsce. To nie takie straszne, jak ci się wydaje. Brałem udział w wielu takich misjach, a Gestapo było sprawniejsze od UB. Nadałem tej operacji kryptonim „Ulisses”. Polska będzie twoją Itaką. Poradzisz sobie, zdobędziesz szlify agenta terenowego, przestaniesz być szpiegiem z za biurka. – Usiłował grać na jego ambicji, którą Robert miał w nosie.

Mungo nie potrafił pomóc, przekraczało to jego kompetencje. Na domiar złego dostali na przygotowania zaledwie pięć dni. Phil był bezlitosny.

- Nie widzę problemu. W końcu przygotowujecie się do tego zadania od roku. Podczas wojny nie mieliśmy takiego komfortu. Przydzielano zadanie i następnego dnia wsiadaliśmy do samolotu – mówił z tym swoim nieznośnie aroganckim akcentem.

Z tych pięciu dni spędził z nimi zaledwie dwa. Był w doskonałym nastroju. Dowcipkował z nieporadności UB, sypał jak z rękawa opowieściami o swoich wojennych przewagach. Mówiąc krótko: doświadczony agent pomaga żółtodziobom.

Marion zniknęła na całe dni w tych swoich klubach. Wracała późno, ignorowała go i pracowicie zajmowała się niczym. Wymieniali jedynie zdawkowe uprzejmości. Ona chłodno uśmiechnięta, obojętna na słowa. Jeszcze nigdy nie doszło między nimi do takich zgrzytów. Nie potrafił zasnąć. Jak miał w zwyczaju, sięgnął po książkę. Wybrał na chybił trafił.

Czy się kto kiedy zalecał w ten sposób?

Czy sobie ujął w ten sposób kobietę?

Chcę ją posiadać, ale nie na długo.

Jak to? Jam zabił jej męża i ojca

*I ja zdołałem ją sobie zniewolić...*⁵⁶

To nie mógł być przypadek! Ktoś nad nim czuwał. Nie wolno takiej oczywistej przestrogi zlekceważyć. Zabójstwo jej ojca mogło być metaforą, której znaczenia nie potrafił na razie odczytać. Jego zabicie metaforą z pewnością być nie musiało. Pozostałe dni poświęcił na gorączkowe przygotowania. Gliński nie umiał znaleźć wyjścia, jeśli UB zastawi pułapkę na lądowisku.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Chyba po prostu nie skakać.
- To by była odmowa wykonania rozkazu - zaprotestował Robert.
- Wylaliby nas.
- Może lepiej być wydalonym niż wpaść w łapy UB?
- Lubię robić to, co robię, więc nie przekreślę czterech lat służby z powodu niepotwierdzonych podejrzeń.

Nie miał zamiaru przyglądać się bezradnie, jak nieszczęścia spadają mu na głowę. Spotkał się z czwórką zbirów z sekcji niemieckiej. Patrząc na nich, nabrał otuchy. Same typy spod ciemnej gwiazdy. Lepszych, czyli gorszych, trudno było sobie wyobrazić.

- Jak wiecie, wysyłają nas do Polski. Szczerze mówiąc, niespieszno mi do tej misji, muszę jednak wykonać rozkaz. Wam nie mogę rozkazywać. Mogę jedynie prosić, ponieważ to moja prywatna sprawa.

- Wal śmiało.

Porucznika Karla Zorna poznał w czterdziestym piątym. Penicylina, którą mu wtedy podarował, uratowała życie jego trzyletniego synka, jedynaka. Od tamtej pory Karl gotów był skoczyć za nim w ogień. Był weteranem frontu wschodniego, jednym z najlepszych żołnierzy, jakich spotkał.

- Martwię się o żonę. Nie będzie mnie długo. Mam powody do niepokoju. Założmy, że komuniści mnie złapią, co zawsze może się zdarzyć. Gdyby i ją porwali, wolę nie myśleć, w jakiej byśmy się znaleźli sytuacji.

- Jak to porwali? Tutaj? W Hamburgu?

- Dla GRU⁵⁷ to nie będzie problemem.

- GRU? Nie piłeś dzisiaj przypadkiem?

Poprzedniej nocy, nie mogąc zasnąć, rozmyślał. *Co się dzieje? Dlaczego tak się boję?* Myśli szaleńczo wirowały. Phil. Ktoś zdradzi, skąd się wzięła Marion? Widział światła, zaraz skoczą. Chaos. Odrapana suka. Wloką do celi. Zasnęta krew wszędzie. Czyja to krew? Jego odbicie w lustrze. Zamknąć oczy. Jeszcze więcej krwi. Strach. Konwejer się nigdy nie skończy. Rozpacz.

Doszedł do wniosku, że jak się na spokojnie zastanowić, to sprawa nie jest zbyt skomplikowana. Jeżeli mają ich schwytać, ktoś musi zdradzić. Były tylko dwie możliwości. Kapitan Kos, przywódca organizacji Wolność i Niezawisłość, WiN, z którym mieli nawiązać kontakt, albo - co wyglądało na pomysł księżycowy - Phil St. John, szef sekcji dziewiątej MI6. Nikt inny nie pozna z wyprzedzeniem miejsca i terminu lądowania. *Może i jestem obłąkany, a zazdrość pozbawiła mnie rozsądku. Może i mam urojenia. Takie rzeczy się zdarzają. Jeżeli nie obłąkanie, to skąd ten strach? Czy mogę ryzykować życiem, i to nie tylko swoim, dlatego że brak mi zdecydowania? Jeżeli jestem w błędzie, nic złego się nie wydarzy. Jeżeli moje podejrzania się potwierdzą...*

- Sprawy poważne traktuję poważnie. Nie mogę wam powiedzieć wszystkiego, ale nawet jeśli brak pewności, czy moje obawy są słuszne, moim obowiązkiem jest zadbać o bezpieczeństwo żony. Zorganizujcie dyżury. Jeszcze dzisiaj podpiszę rozkaz. Oficjalnie zostaniecie skierowani na obóz treningowy na jakimś zadupiu. Przyczaicie się tutaj. Macie jej pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dacie radę?

- Masz nasze słowo.

Dotarło do nich, że to nie żarty. Honor nie pozwalał porzucić dowódcy w potrzebie. No i mieli rachunki do wyrównania z Ruskimi.

- O niczym innym nie marzę. - Najmłodszy, kapral Noske, pokazał w złowrogim uśmiechu garnitur białych zębów.

- Ilu ich może być? Przyjdą po samotną kobietę, która się niczego nie spodziewa. Jeden wejdzie do środka, drugi zostanie za kierownicą.

- Nas będzie dwóch. Ukręcimy łby jak kurczakom.

- Bez fanfaronady! To zawodowcy. Jeden ma pozostać żywy, mam go zamiar przesłuchać.

- Martw się o siebie. Dotarło do nas, że masz powody. Będzie, jak należy.

- W porządku, chłopaki. Macie tu aparat fotograficzny. Leica, prosto z magazynu. Przyda się podczas obserwacji. Kto wie, co się wydarzy.

W dniu odlotu pożegnał się z żoną. Przyjęła do wiadomości, że nie będzie go kilka tygodni i że to sprawa służbowa. Objęła go z czułą nieszczerością, unikając jego spojrzenia. Ani się martwiła, ani cieszyła. Czuł, że jest jej obojętny. A jeszcze w Nowy Rok było tak pięknie...

Na odprawie Mungo podał mu pas. Był niezwykle ciężki.

- Złote monety dla grup dywersyjnych zrzuconych za żelazną kurtynę. Ktoś pociągnął za sznurki i dostaliście podwójny przydział, dwieście uncji.

- Możesz nie dziękować, dbam o swoich ludzi. Tylko nie wydajcie wszystkiego na dziewczyny - mrugnął do niego St. John. - *Bonne chance!*⁵⁸

Noc z 18 na 19 marca była zimna, deszczowa i wietrzna. Nie była to sprzyjająca pora na wykonie zadania w terenie, jakie im przydzielono. Zakładali, że przynajmniej jakiś czas będą biwakować w lesie. Za przygotowania na taką ewentualność odpowiadał Gliński. On się do tej akcji palił i nie miał żadnych złych przeczuć.

Nadchodził czas mrocznych przedsięwzięć i występnych czynów.

³⁹ Pogardliwe określenie Niemców odwołujące się do ich barbarzyństwa.

⁴⁰ Ceny oraz wynagrodzenia są aktualne na tyle, na ile autorowi udało się je ustalić z dostępnych materiałów historycznych. Należy pamiętać, że dolar i funt brytyjski miały w roku 1945 nieporównanie większą siłę nabywczą.

⁴¹ „Do mnie, do mnie, przyjaciele, mam zegarki. Złote, najlepsze. Kupujcie!” (ros.).

⁴² „Idź za mną” (ros.).

⁴³ „Za zwycięstwo!” (ros.).

⁴⁴ „Po pierwszym nie zakąszam (cytat z książki Szołochowa *Los człowieka*). Rozumiecie?” (ros.).

⁴⁵ Sergiusz Jesienin, *Moskwa karczemna*, przeł. Seweryn Pollak.

⁴⁶ Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych funkcjonujący pod tą nazwą w latach 1917–1946.

⁴⁷ „Dzieci, kuchnia, Kościół” (niem.).

⁴⁸ Admirał niemiecki, szef Abwehry.

⁴⁹ Kompania założona przez Cecila Rhodesa, światowy monopolista na rynku diamentów.

⁵⁰ Bazując na deklaracji Byrnesa, RFN odmawiała uznania zachodniej granicy Polski. Nieprzemyślane stanowisko USA zupełnie niepotrzebnie pchnęło Polskę w ramiona ZSRR, który, wykorzystując okazję, zagwarantował granice Polski. Dopiero w układzie z 1970 roku RFN tę granicę uznała. Był to życiowy sukces Gomułki, osiągnięty wbrew intrygom Breżniewa.

⁵¹ Zarówno kryptonim, jak i przebieg akcji przedstawiony na podstawie źródeł historycznych.

⁵² H.J. Giskes, *London Calling North Pole*.

⁵³ Special Operations Executive – brytyjska tajna agencja rządowa, której zadaniem było prowadzenie dywersji, wspomaganie ruchu oporu w okupowanych państwach Europy.

⁵⁴ „Jak się masz, stary?” (ang.). Język klasy wyższej, który cechuje słownictwo, akcent, ironia, wtrącenia francuskie. Phil o swoim sposobie mówienia nie powie *talk posh*, jak Robert, ale – *smart*. Wszystkie przypadki użycia zachowane w oryginale.

⁵⁵ „Wspaniale, stary, wspaniale” (ang.).

⁵⁶ William Szekspir, *Ryszard III*, przeł. Józef Paszkowski, Lwów 1924, s.18.

⁵⁷ Zarząd Główny Wywiadu. Wywiad wojskowy Rosji Radzieckiej.

⁵⁸ „Powodzenia!” (fr.).

6. PŁASZCZ, SZTYLET I ŁZY

Samolot, wysłużona dakota, wystartował punktualnie o osiemnastej. Najpierw skierowali się na północ, następnie zrobili zwrot w kierunku wschodnim. Utrzymując ten kurs, przelecieli nad Danią. Po dwustu milach lotu nad Bałtykiem osiągnęli długość geograficzną punktu zrzutu. Dopiero wtedy skręcili na południe. Nadlatywali nad Polskę od strony morza. Robert wszedł do kabiny pilotów. Nie było go zbyt długo, a kiedy wyszedł, nie potrafili nic wyczytać z jego twarzy. Po kwadransie rozległ się głośny brzęczyk. Zapaliło się czerwone światło. Zaraz się zacznij! Radiotelegrafista wymiotował. Gliński dodawał mu otuchy. Zapaliło się zielone. Pierwszy skakał sierżant Boenisch, inżynier i świetny saper. W drzwiach się zawahał.

- Nie widzę świateł, to nie jest nasze lądowisko!

Wypchnął go gwałtownie, nie było czasu na wahania. Następnie z Glińskim pomogli pokonać lęk pozostałym. Skoczył ostatni. Najpierw był ogłuszający świst powietrza, potem trzepotanie otwierającej się czaszy. Ciemnoszare spadochrony były niewidoczne na tle zasnutego chmurami, nocnego nieba. Wylądowali w lesie, zawiśli na drzewach, porozrzucani na dużej przestrzeni. Dopiero po godzinie się zebrali. Mieli podrapane twarze, ciała poranione gałęziami, a Boenisch zwichniętą rękę. Szczęśliwie nie było poważniejszych obrażeń.

- Kapralu Kłos. - Utrzymywał wojskową dyscyplinę, choć ich nie obowiązywała. Mieli wykonywać rozkazy, to wszystko.

- Taa jest!

- Pójdiesz tą drogą na południe. Może być zasadzka w miejscu zrzutu. Jeżeli coś usłyszysz, zobaczysz, wskakuj w las. Nie pokazuj się, żeby nie wiem co. Jeżeli wyruszą w naszym kierunku, musisz ich wyprzedzić i nas ostrzec.

Kłos służył w leśnym oddziale partyzanckim. Pod koniec lipca czterdziestego czwartego przez przypadek znalazł się w Warszawie i wziął udział w powstaniu. Po kapitulacji został osadzony w obozie jenieckim. Werbując go, Robert pamiętał, jaką rolę w ataku na sztab Hausera odegrał Hartley. Kłos urodził się w leśniczówce, a las był jego domem. Szli przez pogrążoną w mroku puszcze. Przeszli już dobrych kilka kilometrów. Na ścieżce jak duch wyrósł Kłos.

- Kurwa mać! Co się dzieje?! Tam są światła lądowiska i od cholery wojska. Cała kompania. - Wskazał ręką. - Przeczucie nie zawiodło, uratował nas pan.

- Jeszcze nie uratowałem, to początek kłopotów. Zaszycemy się w lesie. Kiedy zwiną obławę i odjadą, wtedy i my ruszymy. - Weszli głębiej w las.

- Andrzej, ci tam na lądowisku nie mają sprzętu goniometrycznego?⁵⁹

- Nie mają. Nie jest im potrzebny? Mieli nas złapać po wylądowaniu.

- W takim razie nadamy depeszę. Zszyfrujesz?

W świetle latarki napisał zwięzły meldunek. Gliński przeczytał i doszedł do wniosku, że nic już z tego nie rozumie.

- Co jest, do kurwy nędzy, grane? Kto nas wsypał i jakim cudem o wszystkim się dowiedziałeś?

- To żaden cud, ktoś mnie uprzedził. - Zachichotał. Z głębi lasu odpowiedziało pohukiwanie puszczyka. - Gdyby nie ostrzeżenie, diabłom w piekle byśmy teraz usługiwali. Zszyfruj, a ja wyjaśnię, ile mogę.

Zaznaczył hierarchię. Mogli być kolegami, jednak to jemu zawdzięczali wolność. Jeżeli chcieli przeżyć, musieli być bezwzględnie posłuszni.

- Nie potrzeba geniusza, żeby się domyślić. Podejrzewałem, że mają kreta w Centrali. Stąd informacja, że lądowaliśmy zgodnie z planem i nawiązaliśmy kontakt z WiN. W depeszy jest też klucz ostrzegający, że nadajemy pod przymusem. Co w ten sposób uzyskamy? Ten, który nas wydał, przyjmie depeszę z zadowoleniem. Wszystko poszło zgodnie z planem. Jego planem! Dopiero kiedy dotrze do niego wiadomość, że jednak nie wylądowaliśmy, bardzo się zdziwi. Dostanie sprzeczne informacje. Nie będzie wiedział, która jest prawdziwa. W UB również zbaranieją. Zapytają: „Jakie lądowanie? Zrzutu nie było!”. Sun Tzu⁶⁰ powiedział: „Wprowadzenie w błąd jest istotą wojny”. Po kilku dniach będą wiedzieli, co się zdarzyło. Te kilka dni może się jednak okazać decydujące.

Cytat zrobił na Glińskim odpowiednie wrażenie.

- Wiedziałem, że jesteś dobry, jednak nie sądziłem, że aż tak.

- Jak skończysz nadawać, zakop radiostację. Więcej jej nie użyjemy.

- Jak to nie użyjemy? No to w takim razie... No to nie wiem. Bo co nam szkodzi odbierać informacje?

- Rozgrywamy partię szachów. Naprzeciw nas, w jednej drużynie, zasiedli gracze z GRU, UB oraz, niestety, ktoś z MI6. Nie przestrzegają żadnych reguł. Wiesz już, dlaczego nie możemy wlec z sobą tej przeklętej radiostacji?

- Chyba zaczynam załapywać. Ale dopiero kiedy myślę jak paranoik.

- I o to chodzi. Gra się dopiero zaczęła. Szczęśliwe otwarcie oznacza tylko tyle, że jeszcze nie wypadliśmy z gry.

Rozszyfrowana depesza leżała na biurku Mungi. Phil stał za nim i zaglądał przez ramię.

- Udało się. Rozumiesz?! Udało im się! - Sparks nie krył radości.

- Niczego innego przecież nie oczekiwaliśmy. - St. John zachował spokój.

- Mówiłem ci, że Meissner to znakomity oficer. Czy wiesz, że został odznaczony DSO?

- Popatrz! Nie dotarło do mnie. Musieli zawieruszyć w aktach. Skoro są na miejscu i nie grozi im niebezpieczeństwo, nic tu po mnie. Gratuluję, Mungo. To twój sukces. Wspomnę o tym w raporcie.

Sparks był zaskoczony wspaniałomyślnością przełożonego.

- Daleka kuzynka zaprosiła mnie na kameralną imprezę. Wyjątkowo kameralną...

- Ach, ten St. John! Niepoprawny kobieciarz. A one lecą do niego jak ćmy do ognia. Chciałbym mieć choć niewielką część jego powodzenia.

Phil faktycznie dostał zaproszenie od przyszywanej kuzynki. Całą drogę zastanawiał się nad wydarzeniami w Polsce. Instykt podpowiadał, że coś poszło nie tak. W odróżnieniu od Mungi, z racji stanowiska wiedział, że depesza zawierała *security check*. *Jakim cudem tak szybko złamali Meissnera? Może poszedł na współpracę, ponieważ liczył na sygnał alarmowy?* Było to jedyne rozsądne wytłumaczenie, jakie mu przychodziło do głowy.

Kilka minut po pierwszej usłyszeli warkot silników. Mijała ich kolumna ciężarówek. Otwierał ją łązik. Jechał nim zapewne dowódca obławy. Na widok ostatniego pojazdu zadrżeli. Suka! Niewiele brakowało, żeby w niej siedzieli. Skuci, zmasakrowani, śmiertelnie przerażeni. Kiedy tylne światła pojazdów znikły w ciemności, wyszli na drogę.

- Kłós! Maszeruj na lądowisko i zrób zdjęcia. Niedopałki papierosów, ślady opon. Cały śmietnik, który po nich pozostał. Potem jak najszybciej do nas dołącz.

- Po co zdjęcia? - zapytał Kłós. - Widzieliśmy ich na własne oczy.

- Sądzisz, że nam w Hamburgu i Londynie uwierzą na słowo? A jak ten WiN się wszystkiego wyprze?

- No tak, o tym nie pomyślałem.

Po przejściu dwudziestu kilometrów dotarli na peryferia małego miasteczka o nazwie Biały Bór. Było już jasno. Zarządził, że maszerują w nocy, a dzień spędzają w ukryciu. Dopiero teraz, kiedy opadły emocje, dotarło do nich, jak przeraźliwie było zimno. A zanosiło się na deszcz.

Miał wprowadzić trochę gotówki, jednak na długo by nie wystarczyła. Zdecydował, że teraz najlepiej załatwić problem pieniędzy. Do miasteczka poszedł z Kłosem. Zostawił go na ławce przed kościołem. Obszedł rynek, znalazł zakład zegarmistrzowski. Wszedł po godzinie spędzonej na nerwowym czekaniu. Pas był lżejszy, on bogatszy o pokaźny plik banknotów. Było ich tak dużo, że ledwo mieściły się w kieszeniach. Żeby zebrać gotówkę, zegarmistrz musiał obejść znajomych. Słowa nie piśnie. Za handel złotem groziły drakońskie kary. Zrobili zakupy na rynku. Wypadło po dwadzieścia kilo wałówki na głowę. Rolnicy produkowali obfitość żywności i mogli sprzedawać nadwyżki na rynku. Rujnująca produkcję rolną kolektywizacja dopiero się rozpoczęła.

- Dlaczego aż tyle kupiliśmy? Ktoś może donieść. - Kłos miał wątpliwości.

- I co z tego? Mamy teraz zapasy na kilka dni, będziemy się poruszali nocami po leśnych drogach, a zajęce jeszcze w tym kraju nie donoszą.

Polacy ze służalczą gorliwością zasypywali donosami wszelkie instytucje, ujawniając skrywaną pod maską bigoterii najgorszą stronę ludzkiej natury. Brat donosił na brata, żona na męża, syn na ojca.

Musieli się jak najszybciej oddalić na bezpieczną odległość i znaleźć miejsce na biwak. Ze smętnego nieba siąpił zimny kapuśniaczek. Zabrali nieprzemakalne pałatki i ciepłą bieliznę, jednak deszcz i zimno dawały się we znaki. Kłos wywęszył zagubiony w głuszy paśnik. Miał pokryty omszałymi belkami, przeciekający dach, który uszczelnił darnią. Obłożył szkielet gałęziami, zamieniając w chroniący przed deszczem szałas. Mogli się wreszcie odprężyć. Pod

okapem rozpalili niewielkie ognisko, zjedli gorący posiłek. Na koniec wypili po szklance bimbrow. Alkohol podniósł ich na duchu. Mieli ochotę na więcej, lecz się nie zgodził. Warty nie wystawił. Uznał, że nie należy przesadzać z ostrożnością. Okryci kocami, natychmiast zasnęli. Obudzili się po zapadnięciu zmroku. Po zjedzeniu posiłku byli gotowi.

- Dokąd teraz?

- Do magistrali kolejowej Gdańsk-Katowice. Jak się pospieszymy, dojdziemy w trzy dni.

W budynku Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na rogu Koszykowej i Alei Ujazdowskich trwała narada. Przewodniczył major Poznański. Doświadczony oficer, który szlify zdobywał w NKWD, instytucji o reputacji nie gorszej od Gestapo.

- Zaczynamy, towarzysze. Operacja „Żądło”⁶¹, przechwycenie zrzutu. Odpowiedzialny, lejtenant Kowalski. Zreferujcie stan na dzisiaj, godzinu sziestnastu. - Był w Polsce od roku. Języka do końca nie opanował.

Kowalski, przez kolegów zwany „Dentysta”, przez dwa lata odgrywał rolę przywódcy konspiracyjnej antykomunistycznej organizacji WiN - kapitana Kosa. Operacja „Cezary”⁶² okazała się wielkim sukcesem. Systematycznie wysyłali szyfrogramy o udanych akcjach sabotażowych oraz propagandowych. Londyn łykał wszystko. Problem pojawił się niedawno. Zmarł radiotelegrafista. Był lojalny, wykonywał rozkazy, niestety jego organizm zrujnowały tortury, jakimi Kowalski zmusił go do współpracy. Każdy radiotelegrafista ma osobisty, niepowtarzalny styl nadawania, nie można więc było jego śmierci zataić. MI6 przyjął wyjaśnienia, uparł się jednak wysłać misję łącznikową. Kowalski starał się odwlec przybycie gości, ale Poznański, z powodów mu nieznanych, kazał się na wszystko zgadzać. Ten parszywy Żyd był cwany i ostrożny. Kowalski pochodził z zabitej dechami wiochy w Małopolsce. Jak wielu polskich chłopów,

nienawidził Żydów, a teraz musiał się tłumaczyć przed nim i resztą oficerów.

- Zasadzkie wyszykowalim bez błędnej omyłki, towarzysze. Mielim dość ludzi. Światła rozstawiłem, jak na tej kartce. Samolot nadleciał, one nie skoczyły. Nie wiem, co się stało, towarzysze.

Zastępca Poznańskiego kapitan Smuda położył przed Kowalskim kartkę.

- Szyfrówka wysłana dwie godziny po planowanym zrzucie. Przechwycona przez nasze służby goniometryczne. W odróżnieniu od was wykonali zadanie. Domyślcie się, jaka jest jej treść?

- Widzę pierwszy raz na oczy. - Wziął do ręki kartkę, ze zdenerwowania litery latały mu przed oczami. Z czytaniem miał niewielkie problemy. Wstępując do milicji, Kowalski był półanalfabetą. Władza ludowa doceniła jego oddanie sprawie i pomimo drobnego defektu zapewniła promocję oficerską. - Jest szyfrem, towarzyszu kapitanie.

- I co z tego? Została wysłana, co oznacza, że wylądowali.

- Nie rozumiem. - Kowalski był szczery.

- Kto ma rozumieć, jak nie wy? Przecież odpowiadacie za operację „Cezary” oraz przechwycenie zrzutu.

Oskarżenie było niebezpieczne. Nie tacy jak Kowalski kończyli karierę w kazamatach UB. Nowa władza nie dowierzała nikomu. Nawet tak oddanym sprawie funkcjonariuszom jak on. Wszędzie wietrzono imperialistyczne spiski. Kowalski o tym wiedział. Sam wymusił przyznanie się do winy kilku imperialistycznych agentów. Jeden z nich, jeszcze niedawno pułkownik Wojska Polskiego, zeznał bezżębnymi ustami, że od trzech lat szpiegował dla Kanadyjczyków. Aresztowano go tylko dlatego, że przechodząc koło ambasady, zawiązał sznurowadło.

- Towarzysze! Dołożę każdych starań, żeby zdemaskować knowania faszystoskich wrogów. Nasza rewolucyjna czujność stanie się jeszcze większa. Nie pozwolimy imperialistycznym kanaliom sypać piasek w tryby proletariackiej lokomotywy naszej ludowej ojczyzny.

Takim pozbawionym sensu bełkotem posługiwali się funkcjonariusze partyjni. W wolnym tłumaczeniu oznaczał: „Jestem jednym z was”. Kowalski, na wszelki wypadek, wyuczył się kilku podobnych dysertacji na pamięć.

Poznański zabrał głos. Machnął niecierpliwie ręką, uciszając narastający gwar.

- Lejtenant nawarił piwa, dajmy jemu szansę, żeby naprawił swoje błędy.

Jednym zdaniem, niby broniąc, przypisał winę za wszystkie niepowodzenia.

Pierdolony parch. Hitler dobrze robił, plewiąc te ludzkie chwasty. Szkoda, że nie wyplewił wszystkich. Podobnie myślało wielu chłopów.

- Kontynuujemy operację „Żądło”. Ponieważ to, co się dzieje, jest przedmiotem zainteresowania radzieckich, będę oficerem łącznikowym. Wszystko, co nam przekażą, wykorzystamy dla schwytania Meissnera i jego ludzi. Rozejść się. Wy, lejtenant, ostatecznie.

Poznański nie znosił Kowalskiego. Miał go za tępego oprawcę, który znajduje przyjemność w torturowaniu ludzi. Sam był zwolennikiem subtelniejszych metod. Po co od razu wybijać zęby? Wystarczy postraszyć, że skrzywdzi dziecko albo żonę, coś obiecać. Zdarzało się nawet, że uzyskawszy to, co chciał, dotrzymywał obietnicy. Doświadczony enkawudzista widział przez ściany. Wiedział, że Kowalski nienawidzi Żydów, co w jego oczach było grzechem śmiertelnym. Nigdy jednak swoich myśli nie ujawniał.

- Co w tej sytuacji zamierzasz zrobić, Kowalski?

- Dalszych planów jeszcze nie planowałem, towarzyszu majorze.

- Posłuchajcie, lejtenant, ta akcja ma większy wymiar. Ja sam do końca tego nie rozumiem, ale radzieckie zaniepokojony. Bardzo zaniepokojony. Nie wiem, dlaczego. Mogę się jedynie domyślać. Z przekazanych nam informacji wynika, że mają kogoś w Londynie. Muszą mieć, ponieważ znają fakty, które jedynie w ten sposób mogli zdobyć. Obawiam się, że stawkoj w tej grze może być życie ich

agenta. Wiecej, co zrobią, jeśli zawalicie sprawu? – Kowalski zastygł w bezruchu. – Domysliatje się. Więc pracujcie najlepiej, jak potraficje.

Przerażony, musiał się ukorzyć przed znienawidzonym szefem.

– Brakuje mi doświadczenia. Czy mogem liczyć na waszom pomoc?

– Z pewnością, lejtenant.

Kowalski wyjął z raportówki meldunek.

– Nasz informator, szewc z Białego Boru kryptonim „Kiliński”, donosi, że w miasteczku pojawiło się dwu obcych. Najsampierw poszli do zegarmistrza, potem na rynek. Nakupili żarcia i znikli. Nikt nie wie, gdzie się podziali. Miasteczko, towarzyszu majorze, jest aby dwadzieścia kilometrów od miejsca zrzutu.

– Potrafię czytać z mapy. Co proponujecie?

– Proponuje aresztować zegarmistrza i przesłuchać. Sam go osobiście przesłucham! – Twarz Kowalskiego pokryła maska okrucieństwa.

– Nie wątpię, że będzie to skuteczne przesłuchanie. Pripomnijcie no, Kowalski, co jest waszym celem?

– Jakże co? Chycić te faszystoskie świnie. Już ja się nimi zajme!

– Zapewne. Czy uważacie, że nadal przebywają w okolicy tego miasteczka?

– No niewiada, towarzyszu majorze.

– Zatem przemieszczają się?

– Gdzieś łajzy lezom, ino niewiada gdzie.

– Wy nie wiecje. Czy przywiezienie zegarmistrza w Warszawu przybliży was do rozwiązania sprawy?

– Może on jest ich agent?

– Nie sądzę. Co zrobili po wyjściu od niego?

– Kupili żarcie?

– Za co kupuje się żywność?

– Za pieniądze?

– Widzicie, jak udatnie wam idje. Jak uważacie, po co poszli do zegarmistrza?

- Po pieniądze?

- Wszystkie grupy dywersyjne dostają złoto monety. A złotom na bazarze nie zapłacisz.

- Rozumiem. Najsamprzód go aresztuję, którego handlował złotem, tego zegarmistrza. Już on nam, kurwa, wszystko wyśpiewa!

Za co mnie pokarał los? Dlaczego muszę pracować z tym głuptakiem? Jak tak dalej pójdzie, sam mu wpakuję kulę między oczy.

- Zapytam jeszcze raz. Co jest waszym celem?

- Jakże co? Złapać tego bydlaka Meissnera.

- Jak aresztowanie zegarmistrza ma się przyczynić do jego zatrzymania? Zanim coś powieć, pomyśl dwa razy, a jak nie pomoże, to i trzeci nie zaszkodzi.

Dopiero teraz Kowalski zrozumiał, jakie głupstwo palnął. Był idiotą, lecz jak wielu idiotów, niepozbawionym sprytu.

- Skutkiem tego potrzebuje wsparcia. Musze się od was wiele nauczyć - mówił głosem lepkiem od wazeliny.

Poznański wyjął z szuflady zniszczoną drewnianą linijkę i podszedł do mapy. Miejsce zrzutu połączył linią prostą z miasteczkiem i poprowadził dalej.

- Spójrzcie. Poruszają się w tym kierunku. Wokół punktu zrzutu jest wiele miast i miasteczek, ale wybrali właśnie to. Jaki stąd wniosek?

- Według mego przekonania idom w te strone.

- Znakomitje, robicje postępy. Żeby to ustalić, nie musjelismy wysyłać milicji do Białego Boru, priwozić zegarmistrza i dowiedzieć się na koniec, że nie wie, dokąd poszli. Powiadomcje posterunki. Niech obstawią wszystkie dworce PKS i PKP w okolicy, wypytuja miejscowych o grupę pięciu obcych. - Narysował linię prostopadłą do narysowanej wcześniej. - Zapolujcie na nich wzdłuż tej linii.

- Rozkaz, towarzyszu majorze!

- Aha, Kowalski!

- Taa jest!

- Zorganizujcie zasadzkę przy grobie matki Meissnera. Ci sanacyjni oficerzy bywają sentymentalnyje.

W lodowatym deszczu krok za krokiem podążali do celu, jakim była linia kolejowa. Na miejsce dotarli trzeciego dnia po północy. Właśnie przestało padać.

- Tu się rozdzielimy. Porucznik Gliński obejmie dowództwo. Zdajcie broń.

Złożyli ją z ociąganiem. Jako jedyny zatrzymał pistolet.

- Kłos, zakop i zaznacz miejsce. Jak będziemy wracali, może się przydać.

- Mamy iść dalej bez broni? - Gliński był zrozpaczony.

- Macie dotrzeć na Śląsk i zatrudnić się w kopalni. Tylko nie wszyscy w jednej.

Dzięki białemu wywiadowi znał warunki panujące na Śląsku. Każdego, kto nie bał się ciężkiej pracy, przyjmowano bez zbędnych pytań.

- Wasze dokumenty.

Podali dokumenty, a on rozpałił małe ognisko i je spalił. Swoje również.

- Jak mamy sobie radzić bez dokumentów? - Porucznik domyślił się, że czeka ich wiele niespodzianek.

- Lepiej bez żadnych niż z tymi. Są spalone. - Wyszedł mu dowcip słowny, atmosfera się rozluźniła. - Macie dosyć czasu na zaplanowanie, jak zdobyć nowe. Pociąg towarowy jedzie do Katowic dobie.

- Jakie zadania mamy w Katowicach?

- Przeżyć. Nie dać się złapać. Nie naprowadzić UB na kolegę. - Zabrzmiało jak rozkaz.

- Tylko tyle? - Patrzyli na niego z niedowierzaniem. Nie takie mieli rozkazy.

- Nie tylko, lecz aż tyle. Wiedzą o nas wszystko, chyba nie macie wątpliwości. Jeżeli przeżyjemy, dostarczymy Centrali dowody, że nas

rozpracowali. Jeśli nas złapią, kapitan Kos będzie jak pajak wylapywał w swoją pajęczynę kolejne muchy.

Więcej pytań nie zadawali. Uratował im życie, więc mu ślepo wierzyli.

A on im swoich poglądów nie wyjawiał. Od dnia, w którym poznał plan „Wulkan”, przeżywał rozterki. Był oficerem MI6, złożył przysięgę, z drugiej strony był Polakiem. Wprawdzie za patriotę nigdy się nie uważał, gardził tym wyświechtanym pojęciem, jednak dobro ojczyzny leżało mu na sercu. Plan „Wulkan” temu dobru z pewnością nie służył. Dla strategów przygotowujących w zaciszu londyńskich gabinetów III wojnę światową pojęcie „polska racja stanu” nie istniało. *Gdyby to sprzyjało ich zamierzeniom, bez wahania pchnęliby Polaków z gołymi rękami na sowieckie tanki. Wykorzystywali nas nie raz i zawsze dawaliśmy się podpuścić.* Dla niego sprawa była oczywista. Wojna domowa jest największym nieszczęściem, zatem nie zrobi nic, co by ją mogło podsycać. A honorem ojczyzny niech nie wycierają sobie gęby najwięksi krzykacze.

Nie czuł się na siłach, żeby przekonać podwładnych do swoich racji. W okresie przygotowań milczał, licząc na cud. I tego cudu w postaci zdrady się doczekał. Skomplikowana partia, którą rozgrywał, toczyła się na dwóch ustawionych jedna nad drugą szachownicach. Każdy ruch na górnej, na której grali o życie przeciw wszystkim, przekładał się na zmianę położenia na dolnej, na której zmagał się z Przeznaczeniem w grze o swoje sumienie. Ujawnienie zdrady na górnej planszy pozwoliło zyskać przewagę na dolnej.

- Gra się dopiero rozpoczęła. Nie będę przed wami ukrywał, nasze szanse są niewielkie. Im już nawet nie chodzi o nas. Im chodzi o agenta, ich agenta. Jest bez porównania cenniejszy od takich płotek jak my. Zrobią wszystko, żeby nas dorwać. A wtedy... - Wiedzieli, co się wtedy wydarzy. - W najbliższym czasie może dojść do wielu niebezpiecznych zdarzeń. Jeżeli nie będziemy przygotowani, żeby nimi pokierować, one pokierują nami. Bądźcie ostrożni.

Dopili resztę bimbru. Potem doradzał, jak unikać wpadki.

- Nie wystawiajcie się na zbędne ryzyko, nie odstawiajcie bohaterów. Ostrożnie z alkoholem. Niemal każdy Polak tankuje, więc żeby się nie wyróżniać, trochę pić musicie. Może was zdradzić dosłownie wszystko, każde kłapięcie dziobem. Tu się roi od dwulicowych szpicli. Podprowadzają rozmówców na niebezpieczne tematy. Kobiety... Zdemaskują, choćby po bieliźnie, i doniosą. Wszystko, co ma nieusuwalne metki albo znaki firmowe zachodnich producentów, bezwzględnie wyrzucie.

Na donosicielstwie, po kilku latach pracy w Hamburgu, znał się jak mało kto. Na koniec dał Glińskiemu dziesięć złotych monet i większość gotówki.

- Postępuj rozważnie. Sprzedaż złota jest niebezpieczna.

- Bądź spokojny, poradzę sobie. Dotarło do mnie, o co jest grane. Nie zrobimy nic głupiego, nie damy się złapać. Będę pilnował chłopaków, masz moje słowo.

Ustalili jeszcze, gdzie i kiedy się spotkają.

- A ty? Co zamierzasz?

- Mam coś do załatwienia w Warszawie. Tyle ci mogę powiedzieć.

Od samego rana potrojono liczbę patroli na tym odcinku trasy kolejowej. Mieli ludzi, psy, samochody terenowe, wiedzieli, kogo szukają.

Robert wczesnym rankiem był już w Kutnie. Wsiadł do autobusu dowożącego robotników do podwarszawskich fabryk. Za banknot o wysokim nominale kierowca przymknął oko. Wścibskim pasażerom wyjaśnił, że to krewniak, ucinając dalsze pytania.

Wysiadł w Sochaczewie, do którego docierała kolej podmiejska. O tej porze robotnicy pracowali już w fabrykach, które państwo przejęło od właścicieli. Ku swojemu zaskoczeniu odkryli, że państwo robotników i chłopów, ich państwo, jak im nieustannie wmawiano, wymaga od nich większego wysiłku, dłuższego czasu pracy niż poprzedni właściciele, kapitalistyczni wyzyskiwacze. Tak widocznie musiało być. Dopóki nie zbudują nowego, wspaniałego świata, muszą być gotowi do wszelkich poświęceń.

Przeszedł wzdłuż całego pociągu. Dopiero w ostatnim wagonie znalazł tego, którego szukał. Zarośnięty, brudny jegomość pochrapywał na ławce. Usiadł obok niego. Gdy po chwili wstawał, z jego kieszeni ubyło banknotów. Za to z kieszeni podpitego współpasażera znikły wszystkie dokumenty.

Wysiadł na Centralnym. Wiedział, że miasto się odbudowuje. Z uznaniem stwierdził, że ruin już nie widać. Przynajmniej w centrum. Atmosferę gorączkowej odbudowy poznał w Hamburgu, jednak nie oczekiwał, że zobaczy podobną w rządzonej przez komunistów Warszawie. Plakaty głosiły: „Cały naród buduje swoją stolicę”. Był wprawdzie w Warszawie przed wojną, miasta jednak nie znał. Kupił mapę i przystąpił do realizacji swojego planu. Zrobił fotografie do dokumentów. Sprzedał u jubilera kilka złotych monet. W Podkowie Leśnej, małej miejscowości pod Warszawą, do której docierała kolej podmiejska, wynajął pokój w drewnianej willi, która najlepsze czasy miała już za sobą. Zapłacił bez targowania za cały miesiąc z góry. Właścicielka, skromnie ubrana, otyła kobieta w średnim wieku, o nic nie pytała. Lata okupacji nauczyły ją dyskrecji. Znalazł jadłodajnię i zjadł pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin gorący posiłek. Kupił książki. Klasykę i poezję. Po namyśle dorzucił propagandową *Nr 18 produkuje*, napisaną przez funkcjonariusza pionu kultury PZPR. Udawała powieść, ale jemu nie chodziło o żenującą wartość literacką, lecz o poznanie realiów kraju, z którego wyjechał dziesięć lat temu. Jak na przykład panoszącej się nowomowy, którą musiał szybko przyswoić. Przykleił do dokumentów zdjęcia i podrobił pieczętki. Nie golił się, nie kąpał, wyglądał jak typowy robotnik. Zapach niemytego ciała był przepustką podczas legitymowania przez niezliczone patrole. Był swój, nie wzbudzał podejrzeń.

Zatrudnił się w brygadzie odbudowy Warszawy. Połowę wynagrodzenia robotnicy pobierali w gotówce. Za resztę dostawali ekwiwalent w postaci wódki, cukru, chleba. Typowa gospodarka wojenna. Zrozumiała przy takich zniszczeniach. Pobrał wiele

dokumentów i kartek, potem zniknął. Miał już potwierdzone na piśmie zatrudnienie i dokument tożsamości.

Rozpoczął dyżury pod MBP. Dwa razy po godzinie. Rano zajmował punkt obserwacyjny w Parku Łazienkowskim, naprzeciw wejścia od Alei Ujazdowskich, wieczorem w ruinach na Koszykowej. Dobrze zapamiętał twarz ze zdjęcia, twarz kapitana Kosa. Na niego polował. Miał kłopot z wolnym czasem. Szwendanie po Warszawie było równoznaczne z szukaniem kłopotów. W peryferyjnej dzielnicy znalazł bibliotekę z czytelnią. Tam spędzał czas do obiadu, stołując się w pobliskiej jadłodajni. Potem chodził nad Wisłę. Spacerował, pływał kajakiem, zabijał czas na różne sposoby.

Miał pecha, przyszło mu czekać całymi tygodniami, a marzec był dżdżysty, padało niemal codziennie. Zaczynał już wątpić w swój pomysł, a wtedy się wreszcie poszczęściło. Wieczorem z MBP, bramą od Koszykowej, wyszedł średniego wzrostu mężczyzna. Szedł za nim, specjalnie się nie ukrywając. Kiedy ubek kupował w kiosku papierosy, Robert w świetle witryny rozpoznał twarz o ziemistej cerze. Świeciły jedynie nieliczne latarnie, mógł więc bezpiecznie iść za Kosem aż do jego domu. Była to jedna z nielicznych kamienic, która została zburzona tylko częściowo. Przeszła szybki remont, następnie przekazano ją do dyspozycji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Następnego dnia czekał w zaułku, nieopodal domu, w którym mieszkał podwójny agent. Tego dnia Kowalski wracał później niż zwykle. Pościg za bandą Meissnera nie przynosił rezultatów. Radzieccy się irytowali. Oddelegowali nawet do operacji „Żądło” obserwatora. Szedł szybko, pogrążony w myślach. Niespodziewanie drogę zastąpił mu wysoki mężczyzna. Ulicę oświetlał poblask najbliższych latarni i światło księżyca.

- Pozdrowienia z Londynu, kapitanie Kos.

Kowalski znieruchomiał. *Coś poszło nie tak, kurwa!* Zanim do niego dotarło, jakie konsekwencje niosą te słowa, trzasnął piorun o piekielnej jasności, a potem była już tylko ciemność i cisza. Robert

wciągnął zwłoki do pobliskiego zaułka. Przetrzęsnał kieszenie zabitego, zabrał wszystko, co znalazł. Wokół panował spokój. Wystrzały w nocy nie były czymś niezwykłym. Warszawiacy, kierując się zdrowym rozsądkiem, oddalali się szybko w przeciwnym kierunku. Nie spieszył się, nie denerwował. Od włamania do kościoła przebył długą drogę. Nabrał dystansu do sytuacji, w których groziło niebezpieczeństwo. Z torby wyjął aparat z fleszem. Błysnęło światło. Zrobił zdjęcia martwej twarzy kapitana Kosa oraz zdjęcia ogólnego planu.

Miał nadzieję, że zabójstwo doprowadzi do zakończenia esbeckiej prowokacji kryjącej się za szyldem organizacji WiN, jak również „Planu Wulkan”, przynajmniej w jego polskiej części.

Phil zsunął się z kobiety, którą zerznął. Była jego kochanką od kilku tygodni. Od początku owładnęło nimi nieprzytomne pożądanie. Rzucił się na nią z dziką pasją, oddawała się z gorączkową zachłannością. Zahamowań pozbywała się z sukienką. Dawno nie miał tak zmysłowej dziwki. Jej urodzie nie można było nic zarzucić. Uległa nadszpedziewanie łatwo. Pomogła kuzynka. Z niejasnego powodu postanowiła uszczęśliwić go tą kobietą. Próbował ją podpytać, jednak nie chciała powiedzieć, dlaczego. Jej mąż wyjechał do Anglii, więc korzystając z okazji, urządziła kameralną imprezę. Intrygi, jaką zaplanowała, nie powstydziliby się de Talleyrand⁶³.

Zabawa zaczęła się wcześniej. Sześć kobiet i pięciu mężczyzn. Marion się irytowała, że tylko ona nie ma partnera. Fiona zaproponowała, że awaryjnie ściągnie kuzyna. Miało przyjść więcej gości. Byłoby do pary, coś im jednak powypadało. W salonie panował półmrok. Wszyscy sporo już wypili, Marion też sobie nie żałowała. Pozostali goście zachowywali się swobodnie, całowali bez skrępowania, kobiety pozwalały się obmacywać, bluzki miały rozpięte i wyciągnięte na wierzch. Butelka szampana stała owinięta w biustonosz, który właścicielce przestał być potrzebny. Z żyrandola zwisały koronkowe majtki. Sypialnię odwiedzała para za parą.

Marion wyszła do toalety. Korzystając z okazji, Fiona dosypała jej do kieliszka hiszpańską muchę. Była ciekawa, jak zareaguje na ten afrodyzjak. Zamieniły wcześniej kilka zdań. Panna niedotykańska wcale nie była oburzona tym, co dzieje się wokół. Wręcz przeciwnie, zazdrosna, że ją te wszystkie atrakcje omijają. Była przekonana, że z hiszpańską muchą czy bez, tej nocy Phil ją zerżnie, nie mogła jednak odmówić sobie tego niewinnego psikusa. Kiedy się pojawił, Marion na jego widok zadrżała. Otaczająca tego mężczyznę tajemnicza atmosfera, jego charyzmatyczna osobowość, reputacja cynicznego uwodziciela nieodparcie ją pociągały. Między nogami czuła wilgotne wibracje. Wiedziała, że przyszedł po nią. Po chwili całował ją w usta. Nie zamierzała się opierać, pogryzła mu wargi, dyszała podnieceniem.

- Kochaj mnie - powiedziała.

W pokoju hotelowym rzucili się na siebie zamroczeni pożądaniem. Rozpalona, mokra i nabrzmiąta była nienasycona. Zezwalała na wszystko bez skrępowania. Lubił je pieprzyć w dupę, akurat to go podniecało.

Połykała łzy, głośne jęki przechodziły w skomlenie.

- Dla ciebie zniosę każdy ból - wyznała.

Zasnęła w jego objęciach z uśmiechem szczęścia na opuchniętych wargach. Obudził go ruchliwy język. Wilgotne i miękkie usta wsysały twardniejącą żołądź. Jęknął z rozkoszy. Spoglądając mu w oczy, zataczała językiem kręgi, przeciągała, wylizywała, ssła, brała do ust. Na koniec bezwstydnie się oblizwała. W świetle dnia wyglądała zachwycająco. Pieścił powolne mu ciało, białe jak mleko krągłości i płaskości, sekretne cienie, rozmyślając nad przewrotnością losu. Jej męża przesłuchiwała bezpieka. Wizja była tak perwersyjna, że mu ponownie stanął. Nie przypuszczał, że jest taka namiętna. I jeszcze ta błękitna krew. *Za dobra dla takiego kmiota. Co ona w nim widziała?*

Mijające dni zlewały się w oszalamiającą orgię rozkoszy, a wszystko, czego doświadczała, zdawało się jedynie halucynacją. Kiedy dotarło do niej, co się dzieje, było za późno. Zakochała się.

Wiedziała, że będzie cierpieć, że Phil złamie jej serce, nic jednak nie mogła na to poradzić.

Byli z sobą już kilka tygodni. Tego dnia długo wybierała bieliźniane fantazje, uśmiechając się na myśl, że je z niej zedrze. Kręciła przed lustrem piruety, lubieżnie się wypinała. *Czy mnie kocha? Dlaczego nigdy mi tego nie powiedział?* Nie chciała, aby to dręczące ją pytanie wymknęło się mimochodem. *Czy go Kocham, czy chcę z nim być? O Boże! Niczego bardziej nie pragnę.* Marzyła, że ją kocha, potrzebuje jej tak mocno, jak ona potrzebuje i kocha jego. Kobięcym instynktem wyczuwała, że coś się zmienia. Znała na pamięć jego ciało, jednak nie potrafiła odgadnąć, co siedzi mu w głowie. Na balu wydarzyło się między nimi coś żywiołowego jak siła natury, jak huragan, co poraziło ją swoją intensywnością. Powietrze naładowane było elektrycznością. Jeden taniec wystarczył, by się w nim zakochała! Rozniecił w niej pożar, który rutyna małżeńskiej sypialni stłumiła do płomyka.

Potem leżeli obok siebie spoceni i wyczerpani. Słysząc było jedynie ich przyspieszone oddechy. Phil podjął decyzję. I tak byli ze sobą dłużej, niż zamysłał. *W końcu taka jest kolej rzeczy. Nie mogła przecież oczekiwać, że będziemy razem. Zresztą niczego nie obiecywałem.* Nie mógł się wiązać z żadną.

Jej przychodziły do głowy różne myśli.

Okazją dojechał do Radomia. Następnego dnia dotarł do Katowic. Na dworcu wziął taksówkę i zdążył na spotkanie w punkcie kontaktowym, w którym codziennie oczekiwał Gliński. Z ulgą przyjął wiadomość, że nic złego się nie wydarzyło. Mieli tylko dosyć katorżniczej pracy w kopalni. Następnego dnia podjechali podmiejskim pociągiem do Tarnowskich Gór. Za miastem, przy semaforze, czekali na pociągi towarowe. Szybko znaleźli pusty wagon. Po osiemnastu godzinach jazdy wyskoczyli w lesie i odetchnęli pełną piersią. Do Kołobrzegu pozostało sto siedemdziesiąt kilometrów

leśnymi drogami. W okolicy tego miasta mieli szukać swojej szansy. Gliński wybrał wieś rybacką Mielno.

Dotarli na miejsce po czterech nocach forsownych marszów. Jeden dzień przeznaczyli na przygotowania. Po zapadnięciu zmroku, korzystając z osłony wydm, podpełzli do wyciągniętych na plażę łodzi rybackich. Kupionym w tym celu rakiem przecięli łańcuch. Obserwując przystań, zauważyli, że rybacy wykręcali świece, żeby dodatkowo zabezpieczyć łodzie przed kradzieżą. Kupili świece, kupili też kanister z benzyną. Otworzyli pokrywę silnika i wkręcili świece. Zepchnęli łódź na wodę i próbowali odpalić silnik. Kaszłał, kaszłał i dopiero po uregulowaniu gaźnika, ku ich niewyobrażalnej uldze, zaskoczył i ryknął wesoło:

- Jaki kurs, kapitanie?

- Północny wschód.

Nie był to kurs prowadzący na Bornholm. Ufali mu, więc nawet nie prosili o wyjaśnienia. Mieli do pokonania trzydzieści mil. Stara, niezbyt szczelna łajba wyciągała zaledwie pięć węzłów. Przy tej pogodzie potrzebowali co najmniej sześciu godzin na dopłynięcie do celu. Plan, w najdrobniejszych szczegółach, dopracował Gliński. Dumny ze swojej roboty, przysiadł na burcie, obok Roberta.

- Jak poszło w Warszawie?

- W porządku, zrobiłem to, co zamierzałem.

Gliński nie pytał dalej, lecz on już nie musiał cenzurować wiadomości.

- Zastrzeliłem kapitana Kosa.

- Bez jaj. Co zrobiłeś?

- Zastrzeliłem kapitana Kosa vel porucznika Kowalskiego z UB, bo tak się ten łajdak w rzeczywistości nazywał.

- Zastrzeliłeś go? - Gliński zmarkotniał. - To była robota dla mnie. Do takich zadań mnie wyszkolono.

- Tak się ułożyło. Wybacz, stary.

Przerwali rozmowę, bo na horyzoncie rozbłysły flary i rozległ się głuchy wystrzał.

- Co to? - zapytał zaniepokojony Boenisch.

- Kołobrzeg, baza ścigaczy. Patrol zauważył kradzież łodzi, więc ogłosili alarm. Będą nas ścigali. Rozwijają do trzydziestu węzłów - wyjaśnił Gliński.

- O cholera! - wystraszył się Kłos. - Są znacznie szybsi.

- Dlatego nie płyniemy prosto na Bornholm, bo na tym kursie będą nas szukali. Zwalamy maszt!

Przecięli rakiem stalowe liny podtrzymujące niewielki maszt służący do zawieszania świateł pozycyjnych i wyrzucili za burtę.

- Przy takiej pogodzie łodzi bez masztu na radarach nie zobaczą. Dopytałem w bazie ścigaczy w Bremerhaven. - Gliński przygotował precyzyjny plan. - Jest noc, nie widzą nas na radarach, szukają nie tam, gdzie trzeba. Powinno się udać.

I się udało. Po dobieciu do brzegu wskoczyli do lodowatej wody. Krzyczeli, skakali, chlapali. Mieli powody do radości. Wbrew wszelkim przeciwnościom uszli z głowami na karku.

Sprowadził ich brutalnie na ziemię.

- Nie cieszcie się. Jeżeli mam rację, to nie koniec. Prawdopodobnie ściga nas teraz GRU.

Zapadła cisza. Byli na wyspie należącej do Danii, w wolnym świecie. Ponura sława GRU robiła jednak swoje.

- Co teraz?

- Idziemy do najbliższej wioski. Nie mamy wyjścia, musimy się zameldować na policji. Idźcie przodem, ja do was dołączę.

W Warszawie od samego rana rozpętało się piekło, istne pandemonium. Do gabinetu Poznańskiego z impetem wpadli Mietkowski⁶⁴ i generał Ogarkow, szef delegatury GRU w Warszawie. Ten drugi najwyraźniej ważniejszy. Poznański nie przypuszczał, że zobaczy kiedyś wystraszzonego Mietkowskiego.

- Wy spierdolili sprawu - wrzeszczał Ogarkow. - Wpierw zrzut, którego według was nie było, potem szyfrogram, w którym wprowadzili w błąd swoje dowództwo, pościg, w którym kompletnie

zawiedliście. Na koniec zabójstwo tego idioty Kowalskiego. Miał chłop szczęście, bo bym go osobiście rozstrzelał, a wcześniej urwał mu jaja. Na koniec ci bandyci uciekli na Bornholm. Dostaliśmy informację, że zostali zatrzymani przez duńską policję. – Generał z trudem łapał oddech. – Nie zdajecie sobie sprawy, jakie to było ważne. Trzeba było, kurwa, od samego początku przejąć sprawę. Nasi ludzie by ich wyłapali. A wy, kurwa, jak ślepe kocięta.

W tym czasie Robert walczył dzielnie z duńską biurokracją. Udało mu się nakłonić komendanta posterunku, żeby powiadomił o ich przybyciu pułkownika Mungę Sparksa z Hamburga. Mungo zadzwonił na komendę policji w Rønne, kazał ich zwolnić i eskortować na prom do Kopenhagi. Udało mu się nawet połączyć z posterunkiem, na którym ich przetrzymywano. Po czterech godzinach zdjęto im kajdanki.

– Żyjesz? Ty drobny cwaniaczku! My tu umieramy z niepokoju, a ty się byczysz na Bornholmie, wczasy sobie urządziliście, psia krew.

– Ja też się cieszę. Sprawa jest skomplikowana. Nie mogę mówić przez telefon. Weź kilku żandarmów i przyjeźdź do Kopenhagi. Odbierzesz nas z promu. Żandarmi niech wezmą broń długą. Nikomu ani słowa. Zrozumiałeś? Nikomu!

– Jest aż tak źle?

– Tak, i jeszcze gorzej.

– Będziemy, o nic się nie martw. Do zobaczenia.

Ledwo Mungo odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon.

– Co się dzieje z Robertem? Wyjechał ponad miesiąc temu i nie daje znaku życia. Martwię się o niego – pytała zdenerwowana Marion.

– Nie musisz się martwić, właśnie rozmawialiśmy. Jest cały i zdrowy. W nocy przyjedzie do Hamburga. Będziemy go kilka godzin maglowali. Do domu powinien dotrzeć rano.

– Dziękuję, bardzo mnie uspokoiłeś.

Mungo napełnił tytoniem podniszczoną fajkę z korzenia wrzosu, zapalił i zamyslił się. Zdawał sobie sprawę, na co się zanosi, i był

z tego powodu przygnębiony. W tym dramacie przypadła mu jednak rola niemego obserwatora.

Marion odłożyła słuchawkę i przez chwilę wpatrywała się w telefon. *Dlaczego zadzwonił do Mungi, a nie do mnie? Dlaczego się nie odezwał? Jeszcze nigdy w ten sposób nie postąpił.* Wróciła pamięcią do ostatnich miesięcy. *Co ja takiego zrobiłam? Przecież popsuło się między nami na długo przed moim romansem, o którym zresztą nie wie. Wprawdzie było między nami źle, ale możemy to jakoś naprawić.* Czowała, że przez całą noc nie zmruży oka. Odebrała telefon. Dzwoniła Fiona.

- Cześć Mia, będziesz jutro w klubie?

- Nie, na pewno nie. Wraca Robert. Muszę ogarnąć dom i przygotować się. Nie było go ponad miesiąc.

- Ty się przez ten miesiąc nie nudziłaś... - Zaśmiała się cynicznie i przerwała połączenie.

Na myśl o spotkaniu z mężem ogarnął ją strach. Dotarło do niej, jakie może ponieść konsekwencje. Kiedy była z Philem, miała to w nosie. Rzuciła się w jego objęcia opętana dziką namiętnością, a teraz miała wielki kłopot. Nawet nie chciała myśleć o rozwodzie, panicznie się bała rozstania. W opowiadaniach koleżanek mężowie nie istnieli. Nigdy nic nie wiedzieli, nigdy o nic nie pytali, nigdy nie mieli pretensji, jak te trzy małpki z gabinetu Mungi. Ale to byli ich mężowie. Postanowiła nie przyznawać mu się do tego, co zrobiła. *Na pewno niczego się nie domyśli.* Tej nadziei się uczepiła.

Sparks ponownie dowodził operacją w terenie. Tak rozstawił żandarmów, żeby mieli wolne pole ostrzału. Niewielki prom z Bornholmu dobił do nabrzeża. Kiedy wszyscy pasażerowie zeszli na ląd, na trapie pojawiło się pięć postaci. Z daleka rozpoznał sylwetkę Roberta. Sądził, że jest przewrażliwiony, w stolicy Danii nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Życie nauczyło go jednak, że na wątpliwości jest czas po zakończeniu akcji, toteż cierpliwie czekał.

Znikąd na kei pojawił się samochód z wyłączonymi światłami. Otworzyły się drzwi i wysiadło czterech mężczyzn. Ściągnięto ich z Niemiec. Rozkaz był jeden: „Nikt nie może wyjść żywy”. Z tej odległości Mungo nie widział, czy w samochodzie pozostał kierowca. Nie miał czasu na medytację, podniósł w górę pistolet sygnałowy. Żandarmi strzelali długimi seriami. Zgodnie z rozkazem, początkowo nad głowami. Kule zasypały samochód, dziurawiąc go jak sito. Kierowca, jeżeli pozostał w środku, zginął. Najemnicy byli doświadczonymi żołnierzami, natychmiast padli na ziemię. Przy takim natężeniu ognia z broni maszynowej na odkrytym nabrzeżu nie mieli szans. Krzyczeli, że się poddają. Strzały zamilkły. Wstali, zamaszystymi ruchami odrzucili pistolety i podnieśli ręce do góry. Robert odetchnął z ulgą.

- To koniec - powiedział... nie bez ponurej satysfakcji.

Przyjechała duńska policja. Sparks przekazał im więźniów. Mógł co najwyżej prosić, żeby informowano go o przebiegu śledztwa. GRU miało zbyt długie ręce, aby ci ludzie ponieśli karę. Grzywna, areszt, to wszystko, co im groziło. Najważniejsze, że nie wykonali zadania.

Debriefing się przeciągał. Wychodziły coraz to nowe okoliczności wymagające wyjaśnienia. Mungo szybko się zorientował, że Robert nie mówi wszystkiego. Miał czas, żeby poinstruować swoich ludzi, jak mają zeznawać, więc od nich też nie zdołał nic konkretnego wyciągnąć. W innej sytuacji pomyślałby, że podejrzewa go o zdradę. Jednak fakty temu przeczyły. To jego poprosił o pomoc. Musiał mu zatem ufać. Pocieszał się, że w cztery oczy Robert powie więcej. Coś, co nie powinno trafić do akt. Wreszcie zakończyli i Robert mógł pójść do domu. Wyszedł przed budynek, zaczerpnął świeżego powietrza. Tęsknił za żoną, nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy. Był spragniony widoku, zapachu, pożył najśłodszy z ciał. Na jej wspomnienie miał wzwód. W Polsce zrozumiał, jak bardzo ją kocha, i postanowił, że nie oglądając się na nią, zrobi wszystko, żeby między nimi jak najlepiej się układało.

- Panie kapitanie! - Przed nim stał Zorn.

- Ach, to ty. Cześć, stary. Jak wam poszło? Wynudziliście się?
- Taa. Wynudziliśmy. Wiem już, że agenci GRU rzeczywiście się pojawili, ale nie tu, lecz w Kopenhadze. Przeczucie cię nie zawiodło.
- Dzięki wam spałem spokojnie, wiedząc, że żona jest bezpieczna.
- Musimy porozmawiać.
- To rozmawiajmy.
- Nie tu, pójdziemy gdzieś. Przykro mi, Rob. Bardzo przykro.

Poczuł w piersiach ból tak wielki, jakby go ktoś kopnął. Po ciele rozeszła się fala gorąca. Nie wrócił do domu. Był właścicielem budynku, nie miał domu. Miał żonę, nie miał już rodziny. Porzuciła go dla innego. Była jego miłością, pragnieniem i spełnieniem. Dała mu wszystko, a teraz wszystko odebrała. Jego świat wywrócił się do góry nogami.

Ze spuszczoną głową szedł przez opustoszałe ulice, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierza. Wyglądał jak sflaczały balon. Zaszył się w tanim, obskurnym hotelu, który wyrósł na jego drodze. Stać go było na najlepszy, lecz takiego właśnie - brudnego, podłego jak jego nastrój - potrzebował. Z recepcji przyniósł szklanekę herbaty i butelkę wódki. Pokój był długi i wąski, okno wychodziło na zaśmiecone podwórze. Nad umywalką wisiało popękane lustro, z którego przyglądała mu się obca, poszarzała ze zmęczenia twarz. Worki pod oczami, kilkudniowy zarost, we wzroku rezygnacja.

- Muszę się schlać - powiedział do lustra.
- Chcesz mnie golnąć na odwagę? - zapytała wódka.
- Stul pysk, wywłoko - warknął.
- Wiadomka.

Strzelił, jedną po drugiej, trzy setki. Wypił kilka łyków parzącej usta herbaty, podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Szczerze mówiąc, guzik mnie obchodzi, co zrobisz - zakończył bezpardonowo tę rozmowę.

A ona została sam na sam z potokiem żalonych i chaotycznych myśli. Uświadomiła sobie, że potraktował jej zdradę wyjątkowo poważnie, a po tym, co od niego usłyszała, nie ma co liczyć na

wyrozumiałość i wybaczenie. Jej świat, po raz drugi w ciągu kilku dni, wyrócił się do góry nogami.

W powietrzu panował niepokój. Było duszno, zanosilo się na burzę. Siedział w tym klubie od godziny. Sącząc koniak, myślał o rozmowie, do której mogło dojść w każdej chwili. Londyn jest wielkim miastem, ale gdzie może pójść po przesłuchaniu funkcjonariusz MI6? Było niewiele takich miejsc. Mógł szukać Phila, jednak wtedy już na starcie jego pozycja byłaby słabsza, a i tak miał w ręku same blotki.

- *How d'you do, old bean*⁶⁵.

Wyrósł jak spod ziemi. Ta arogancja, ta pewność siebie, ten ironiczny uśmiezek. Philip Zwycięzca. Z nim wygrał, uwiódł mu żonę. Bardziej mężczyzny upokorzyć się nie da.

- Co za przypadek, właśnie cię szukałem! - W słowniku Phila hasła „przypadek” brakowało. - Hmm, chciałem podziękować. *Jolly good show*⁶⁶. Na przesłuchaniu. Sposób, w jaki przedstawiłeś mój udział w tym przedsięwzięciu, zrobił wrażenie. Jeszcze raz dziękuję.

Przesłuchiwany przez komisję dyscyplinarną tak umiejętnie manewrował faktami, że nie mieli wątpliwości. Pułkownik St. John nie miał z tą niefortunną wpadką nic wspólnego. Plan był doskonały. Może zawiodło wykonanie, może agenci w terenie.

- Usiądź, chcę z tobą porozmawiać - powiedział chrapliwym głosem.

- Chętnie, mój drogi, ale mam zaledwie kilka minut. Obowiązki, rozumiesz. - Mrugnął porozumiewawczo.

Trudno mu się było dziwić. Rozmowa z mężem kochanki, nawet byłej, nie należy do najprzyjemniejszych.

- Wiesz dobrze, że moje zeznania przed komisją nie miały wiele wspólnego z prawdą?

Nie chciał okazać emocji, był jednak wyjątkowo zdenerwowany. Opanował się i mówił swobodniej, choć głos pozostał zmieniony. Na szczęście Phil nie znał go na tyle, żeby to rozpoznać.

- Nie podoba mi się ten ton.

- Tak się złożyło, że wpadły mi w ręce dowody.

- Jeżeli są takie mocne, czemu ich nie pokazałeś? Nie bądź śmieszny.

- To nie mój problem. Jestem Polakiem i w dupie mam, czy zostaniesz zdemaskowany. Interesują mnie sprawy dotyczące bezpośrednio mojej osoby. Zaczniemy w takim razie od dowodów. - Sięgnął do aktówki i wyjął legitymację służbową Kowalskiego. - Czy wiesz, co to jest?

- Nie mam pojęcia. Pierwszy raz coś podobnego widzę. I jeszcze język, którego nie znam. To bardzo interesujące, oczywiście, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego mi to pokazujesz. - Phil uważnie oglądał legitymację.

- A zdjęcie nie wydaje ci się znajome? Masz je w aktach. Legitymacja oficera UB, porucznika Kowalskiego. W twojej kartotece figuruje jako kapitan Kos, przywódca organizacji WiN, mój kontakt w Polsce.

Phil perfekcyjnie kontrolował sytuację. Nawet nie mrugnął.

- Nie rozśmieszaj mnie. Taki dokument potrafi podrobić nawet dziecko.

- W naszym raporcie jest nieścisłość, prawdę powiedziawszy - nieprawda. Nie ściągnąłem chłopaków bezpośrednio na Wybrzeże. Przez cztery dni byliśmy w Warszawie. Nie wiem, co Polacy ustalili, ale Kowalski był przed śmiercią torturowany. Może nie znaleźli śladów, może nie zwrócili uwagi. Oszczędzę ci szczegółów. To był twardy gość, jednak każdy się w końcu załamuje. Kiedy on wył z bólu, moja żona jęczała pod tobą. Jest głośna, prawda? - powiedział beznamiętnym głosem. Nareszcie się opanował.

Cios był precyzyjny. Widać było, że rywal odczuł uderzenie. Nie dał jednak po sobie wiele poznać. Znikł jedynie przyklejony do warg pogardliwy uśmieszek.

- Nie bądź wulgarny, nie ma takiej potrzeby.

- Przecież nie zaprzeczysz, że rznąłeś moją żonę. Co w tym wulgarnego?

- *Golly gosh!*⁶⁷ Skąd masz takie informacje? - zamiast odpowiedzieć, zadał pytanie. Jego zdziwienie było niemal doskonałe.

- No, Phil, nie wstydź się, przecież nie zrobiłeś nic złego. Jak było?

- Wybacz, na takie pytania nie odpowiadam.

Pogardliwym spojrzeniem dał do zrozumienia, co o nim myśli.

- No cóż, skoro tego chcesz... - Sięgnął ponownie do aktówki i podał mu zdjęcie.

Phil w milczeniu wpatrywał się w nie. Zapewne rozważał różne ewentualności. W końcu doszedł do wniosku, że zaprzeczanie nie ma sensu.

- No dobrze, miałem romans z twoją żoną. - Zamilkł na chwilę, zbierając myśli. - Bardzo tego żałuję. Naprawdę.

- Nie wierzę, że żałujesz. To atrakcyjna kobieta i świetna w łóżku. Ty z pewnością nie masz czego żałować.

- Jeżeli już musimy o tym rozmawiać, to przynajmniej *comme il faut*⁶⁸.

- Gawędzimy o Marion, a mieliśmy rozmawiać o Kowalskim. Pod wpływem perswazji opowiedział nam o wszystkim. Interesujące zeznania. Zdradził nawet, skąd wiedzieli, gdzie i kiedy przylecimy. Przygotowali komitet powitalny. Całą kompanię KBW. Szkoda, że taki wysiłek poszedł na marne. Jego zeznania zostały spisane, a po powrocie do Anglii potwierdzone u notariusza. Przez całą naszą piątkę. Jak wiesz, nie dołączyłem ich do akt. Oprócz legitymacji oraz zeznań tego nieszczęśnika mam inne dowody.

- Błefujesz. Co możesz mieć? Legitymacja jako dowód? Śmiechu warte. - St. John intuicyjnie wyczuł niebezpieczeństwo. Był wyraźnie zainteresowany, jakie jeszcze materiały może mieć Robert i czym mu może grozić ich ujawnienie.

- Masz rację. A może nie masz racji? Na szali twoje życie. Zagraj, przecież lubisz ryzyko. Czerwone czy czarne? Z pewnością obstawisz czerwone.

Phil milczał, kalkulował. W końcu powziął decyzję.

- W porządku. Porozmawiajmy w takim razie inaczej. Dlaczego broniłeś mnie przed komisją i nie pokazałeś dowodów, jeżeli je masz? To nielogiczne.

- Dziękuję.

- Za co mi dziękujesz? - Był mocno zdziwiony.

- Za to, że porzuciłeś ten protekcyjny, nadęty ton i możemy porozmawiać normalnie.

St. John umiał jak mało kto za pomocą wyszukanych manier okazać rozmówcy pogardę.

- Przez myśl mi nie przeszło...

- Doprawdy? - *Najchętniej bym ci ten talk posł w gardło wsadził. Kutas!* - Z jakiego powodu milczałem przed komisją? Jak mówiłem, interesują mnie moje sprawy. Wszystko inne mam w głębokim poważaniu. Nie mam ochoty uczestniczyć w śledztwie przeciwko tobie. Sprawa waszego romansu stanie się głośna. Zapewne już jest głośna. Mąż, który oskarża kochankę żony o szpiegostwo, robi z siebie idiotę.

Trzeba przyznać, że uwiedzenie Marion było genialnym posunięciem. Łącząc przyjemne z pożytecznym, łajdak nieźle się zabezpieczył. Potrafił sobie wyobrazić te uśmieszki podczas przesłuchań.

- Uważam też, że jesteś groźniejszy od kobry. Miałbym niewielkie szanse, doceniłbym profesjonalizm twoich przyjaciół.

Był przekonany, że mocodawcy Phila zabijają, żeby go chronić. W Kopenhadze nie wyszło, ale był to wypadek przy pracy.

- Czego chcę? Przede wszystkim chcę się zabezpieczyć. Nie będę wchodził w szczegóły, ale wszystkie dokumenty, które mają związek z tobą, zdeponowałem u pewnego notariusza. Jeżeli przytrafi mi się nieszczęście, trafią, gdzie trzeba. W tym do prasy. Nie tylko brytyjskiej, tak będzie lepiej. W twoim interesie leży, żebym zmarł śmiercią naturalną.

- Faktycznie niewiele. Nie są ci potrzebne żadne zabezpieczenia. Nie będę nastawał na twoje życie. Nie jestem, wbrew temu, co

sądzisz, krwiożerczym potworem. Potrafię docenić twój spryt i odwagę. Szanuję cię za to. Czy jest coś, czego oczekujesz? Mam wpływy, mogę pomóc. W najbliższym czasie będą redukcje w wywiadzie. Nie potrafię zapewnić ci awansu, mogę jednak spowodować, że pozostaniesz na obecnym stanowisku.

- Nie, dziękuję bardzo. To niesmaczne, jeśli mąż korzysta z pomocy kochanka żony. Zresztą, złożyłem rezygnację. - *Naczytał się palant Machiavellego, woli mieć wrogów blisko siebie.*

- Jak to złożyłeś rezygnację? Dlaczego? - Phil nie ukrywał zaskoczenia.

- Mam inne plany życiowe.

- Rozumiem. Jak najbardziej rozumiem. Szkoda, że utracisz prawo do emerytury. Wielka szkoda. Skoro osiągnęliśmy coś na kształt porozumienia, pozwól, że jeszcze raz przeproszę. Zrobiłem coś, czego absolutnie robić nie powinienem. Mogę jedynie dodać, że ona kocha ciebie. Zorientowała się, że to nieporozumienie, i zerwała. A co u niej? Wszystko w porządku?

- Co u niej? Dokładnie nie wiem, bo się wyprowadziłem, ale z tego, co słyszałem, jest w szpitalu. Nic groźnego, nieudolna próba samobójcza.

Phil lekko przybladł i kolejny raz na chwilę zaniemówił.

- Próba samobójcza, co się stało?

- Nic poważnego, może chciała zwrócić na siebie uwagę? Nie wiem i szczerze powiedziawszy, nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobiła. Mieszkały z teściową w moim domu. Z tego, co słyszałem z trzeciej ręki, Astrid wyszła, żeby coś załatwić, wtedy wzięła tabletki. Być może liczyła, że matka szybko wróci. Coś ją niespodziewanie zatrzymało i zrobiło się niewesoło. Jest w szpitalu. Gdybyś chciał do niej zadzwonić, masz tu numer.

Phil wyczuł pogardliwy ton Roberta. Zaczął się niepokoić. Szukał sposobu, żeby dowiedzieć się więcej.

- A tak między nami, dlaczego ją śledziłeś?

Wiedział, że jego nikt nie śledził, więc to Robert zlecił śledzenie żony.

- Jak się okazało, przeczucie mnie nie myliło. - Nie miał zamiaru tłumaczyć się przed nim. - Nasza historia do pewnego momentu przypomina opowieść ze Starego Testamentu o królu Dawidzie, pięknej Batszebie i jej mężu Uriaszu. Studiowałeś filologię klasyczną, więc powinieneś ją znać. Dawid kocha Batszebę, a ona jego. Wysłał zatem jej męża na wyprawę pod mury Raby z pocałunkiem śmierci. Uriasz ginie, a Batszeba jest wolna. Phil wysłał Roberta do Polski. On ginie. Dosłownie albo w podziemiach bezpieki, na jedno wychodzi. Marion może się bez ambarasu pieprzyć z Philem. Czym nasza historia różni się od biblijnej? Batszeba nie знаła planów Dawida, wy wszystko ukartowaliście wspólnie. Zdradzony Uriasz dał się zabić, ja przejrzałem wasze knowania i złapać się nie dałem. Wreszcie, Dawid kochał Batszebę, ciebie nasza ochota na zaliczenie mojej żony.

Maniery Phila nie pozwalały mu przerwać, jednak z trudem się hamował.

- *Poppycok!*⁶⁹ Zwariowałaś chyba zupełnie! Marion nie miała o niczym pojęcia. Jak możesz tak myśleć! - podniósł głos. Oficerowie z sąsiedniego stolika przypatrywali im się z zaciekawieniem.

- Widocznie mogę. Kto mi zabroni? Gramy w pokera kłamców. Ty nie wierzysz w to, co ja mówię, ja nie wierzę w to, co ty mówisz. Jeśli chcemy coś ustalić, musimy to udowodniać. Powiedziałem, że mam dowody na twoją zdradę. I udowodniłem, pokazując legitymację. Czy jest coś jeszcze? Każ mnie sprzątnąć, to się dowiesz. *À propos.* Jeżeli Marion się coś przydarzy, notariusz nikogo nie powiadomi. Nie dostał takiej instrukcji.

Phil się wzdrygnął. *Psychopata! Trafiłem, kurwa, na psychola!*

- Wracając do jej roli. Nie jesteś w stanie udowodnić, że było inaczej. Zleciłem śledzenie od naszego wylotu, więc nie wiem, czy się spotykaliście wcześniej. Nie oczekuj, że uwierzę ci na słowo. Nam się od dawna nie układało, dlatego przypuszczałem, że skorzysta z okazji.

- Czy zamierzasz coś zrobić z Marion?

- Co z nią zrobię czy nie zrobię, nie twoja sprawa. Nadal jestem jej mężem. Jak się jej nie podoba, może wystąpić o rozwód. To cywilizowana forma rozstania.

- Jeżeli, jak twierdzisz, wiedziała, dlaczego sam nie wystąpisz o rozwód? Masz zdjęcia, będzie się musiała zgodzić - Phil tak łatwo się nie poddawał.

- Moich problemów małżeńskich nie będę omawiał z tobą. Najwidoczniej mam powód. Jeżeli uważasz, że jest taka cudowna, to się z nią ożeń. Dostaniecie nawet moje błogosławieństwo.

- Mówiłem przecież, że to ona zerwała. Zrozumiała, że nasz romans to pomyłka, i nie chciała się więcej spotykać.

- Zrozumiała, kiedy się dowiedziała, że mnie nie złapali. Była wściekła, że spartaczyłeś robotę.

- Nie wiem już, jak z tobą rozmawiać. Martwię się o nią. Doprowadziłem do ubolewania godnej sytuacji. Wychodzi na to, że ona za wszystko płaci. Jeżeli jest czegoś winna, to jedynie zdrady małżeńskiej.

- Jedynie zdrady małżeńskiej... To bez wątpienia najatrakcyjniejsza zdrada. Nie uważam, że wasz romans był pomyłką. Mnie na niej nie zależy. Jest dorosła, niech się pieprzy, z kim chce.

Za nałożenie maski, ukrywanie targających nim uczuć, poniżanie kobiety, którą pomimo zdrady nadal kochał, płacił wysoką cenę.

Tym razem Phil nie wytrzymał.

- Nie będę z tobą dłużej rozmawiał. Jesteś odrażający!

- W porządku, kończmy rozmowę, z niej i tak już nic dobrego nie wyniknie. Powyjaśnialiśmy sobie, ile się dało. Czego się nie dało, nie wyjaśniliśmy. Mam nadzieję, że się już nigdy nie spotkamy.

- Kończmy. Mam pytanie. Chcę zadzwonić do twojej żony. Wyłącznie po to, żeby spytać, jak się czuje, i przeprosić osobiście. Czy masz coś przeciwko temu?

- Prosisz mnie o pozwolenie na wydzwanianie do tej dziwki? Jakie to wżruszające. - Zaśmiał się pogardliwie. - Dzwon, dzwon. Po to ci dałem numer.

Widać było, że Phil niechętnie kończy rozmowę, już nie wyglądał na wyluzowanego. Zrozumiał, że w sprawie Marion jest bezradny. Był poruszony.

To jakiś cholerny psychopata. Najchętniej bym go kazał sprzątnąć. Tym razem skutecznie. Ale diabli wiedzą, co ukrywa w zanadrzu. Mój błąd, że go nie doceniłem. Sprawa lądowania nadal wygląda tajemniczo. Jakby siły nieczyste maczały w tym palce. Pomimo intensywnego śledztwa Polacy niczego nie ustalili. Pilot potwierdził zrzut na oznaczony światłami teren lądowiska. Kiedy Phil chciał go ponownie przesłuchać, napisał skargę, a RAF go naturalnie poparł.

Szkoda tylko Marion. Warta grzechu, bez wątpienia. Całe szczęście, że z nią w porę zerwałem. Próbował jej bronić. Wprawdzie to on zerwał, ale korona mu z głowy nie spadła, kiedy zapewniał, że było odwrotnie. Nie potrzebował kolejnego rozwodu na swoim koncie.

Robert był usatysfakcjonowany. W umiarkowanym stopniu. Chciał zapewnić sobie bezpieczeństwo. Czas pokaże, jak St. John przekalkuluje. Jeżeli przesądzi na jego niekorzyść, nie będzie wiedział, że już nie żyje. Mówiąc o dowodach, blefował. Wiedział, że te, którymi dysponuje, nie wystarczą do postawienia go przed sądem. Były przesłankami do postawienia zarzutu szpiegostwa w wewnętrznym dochodzeniu. Niestety, wyłącznie przesłankami. Żeby kogoś takiego przygwoździć, niezbędne były żelazne dowody. On takowymi nie dysponował. W przypadku osoby tak ustosunkowanej jak Phil same przesłanki nie wystarczą. Na komisji kłamał, ponieważ jedynie w taki sposób mógł wyjść cało z tej opresji. Nie mógł zignorować Kopenhagi.

Chciał też ustalić, co się dokładnie wydarzyło, kiedy był w Polsce. Z tego, co usłyszał i co wynikało jednoznacznie ze zdjęć, mieli płomienny romans. Nie wierzył w spisek, niestety poza wiarą innych dowodów nie posiadał. Phil był wyraźnie poruszony. Bronił Marion, jak potrafił. Wiadomo, że umie rozpoznać kłamstwo, a kłamię tak swobodnie, jak oddycha, ale chyba uwierzył w to, co usłyszał. Jak to

wyglądało obecnie - jego żona zakochała się w niewłaściwym człowieku, w niewłaściwym czasie. St. John najwyraźniej nie wiązał tych dwóch spraw. Uwiódł jego żonę, bo miał na nią ochotę. Jego wysłał do Polski nie dlatego, że był jej mężem, ale dlatego, że wykonywał swoją krecią robotę. Z tym zamiarem przyjechał przecież do Hamburga, zanim jeszcze spotkał Marion.

Chciał przekonać rywala, że przestało mu na żonie zależeć, co po części było prawdą. Świadomość, że musiała uwielbiać wszystko, co z nią wyrabiał, doprowadzała go do szaleństwa. Przechodził męki zazdrości, to zdradliwe uczucie zżerało go od środka. Najlepszym lekarstwem byłby rozwód i kochanka, której powaby pozwolą zapomnieć o Marion.

Czuł się pokonany i poniżony. Próbował ukryć przed samym sobą targające nim uczucia. Obawiał się jednak, że nadaremnie. Jeżeli spojrzeć obiektywnie, stracił żonę z tej przyczyny, że Phil miał na nią ochotę, a ona bez namysłu rzuciła mu się w ramiona. *Jeszcze tego skurwysyna dorwę!* - obiecywał sobie.

Zrozumiał, jak nieistotnym jest trybikiem w MI6, w tym świecie klubów, tytułów, szkół publicznych, elitarnych uniwersytetów i kumpli, którzy się wspierają. *Philowi włos z głowy nie spadnie, ponieważ jest jednym z nich. Jak Marion. Do diabła z nią! Niech sobie znajdzie barona von coś tam, jakiegoś bogatego półgłówka, i zniknie z mojego życia. Niczym się nie różni od Laury. Jedna warta drugiej.* Miał niejasne podejrzenia, że Laura zaliczyła wpadkę. *Ich dziedzictwem są tytuły i marmury, moim - zamki z piasku. Będę unikał takich kobiet jak zarazy.* Nie chciał się przed sobą przyznać, że pomimo zdrady nadal ją kochał. *Czy jest szansa na uratowanie małżeństwa? A czy ona tego chce? Czy potrafię wybaczyć, czy zdołam zapomnieć? Sam romans zapewne bym przebolewał. Ale z kim i kiedy to zrobiła! Najlepiej będzie, jeśli dam się ponieść życiu. W końcu nie muszę składać pozwu rozwodowego już jutro.*

Z Londynu pojechał do Kornwalii. Poprzednio wmawiał sobie, że Colin oczekuje jego odwiedzin, potrzebuje ich. Tym razem było odwrotnie. To on potrzebował wsparcia. Tak naprawdę potrzebował kogoś, kto go wysłucha i zrozumie. Pierwsza wizyta w szpitalu była najtrudniejsza. Miał wrażenie, że przyjechał, aby uzyskać rozgrzeszenie, że poprzez pielgrzymkę odkupi choć niewielką część swojej winy. Każde następne odwiedziny były normalniejsze, stawały się tym, czym od początku być powinny. Spotkaniami przyjaciół. Również sprawy finansowe się ułożyły. Colin przyjął wreszcie do wiadomości, że daje pieniądze nie z poczucia winy, nie z litości, lecz z przyjaźni. A on cieszył się z każdego kroku przyjaciela ku normalności. Colin mógł sobie pozwolić na płacenie Annette, wdowie, która prowadziła mu dom. Zaprzyjaźnili się i było im z tym dobrze. Stać go było na kupno samochodu i przystosowanie go do przewożenia wózka inwalidzkiego, na wysłanie Annette na kurs prawa jazdy, na jednodniowe wypadki po okolicy. I stać go było na kupowanie miłości. Robert nie widział w tym niczego zdrożnego. Musiał wielokrotnie zapewniać przyjaciela, że powinien tak postępować i nie ma się czego wstydzić. Po wielu nietrafionych próbach Colin, atrakcyjny mężczyzna, poznał prostytutkę, która brała pieniądze za swoje usługi, lecz oprócz tego przychodziła, żeby z nim porozmawiać.

- Ta miła dziewczyna mnie nie kocha. Tak jest lepiej, z jej miłością nie miałbym co począć. Nie dlatego, że ją odrzucam z powodu profesji. - Kiedy o niej opowiadał, oczy mu błyszczały.

- Doskonale cię rozumiem.

- Spotykamy się, trochę pobzykamy, potem rozmawiamy, pijemy wino albo whisky. Muszę ją za każdym razem przekonywać, żeby za te rozmowy, za swój czas, brała pieniądze. - *Podświadomie boję się, że przestanie rozmawiać?* - Czasami myślę, że znalazłem szczęście. Wiesz, że one się zaprzyjaźniły? Rozmawiają, żartują. Nie pozwalają do siebie dołączyć, ale słyszę, jak się śmieją. Annette długo się nie uśmiechała. Dopiero jak poznała Daphne... Zanim przejdziemy do

twoich spraw, muszę ci coś powiedzieć. Miałem czas, żeby sobie wszystko poukładać. Na twoim miejscu podjąłbym identyczną decyzję. Jestem tego absolutnie pewny. Lepiej ci?

- Znacznie lepiej. Dobry z ciebie przyjaciel, Colin.

- Porozmawiajmy w takim razie o tobie. Jak widzę, masz jakiś problem. - Nie wspomniał wcześniej, że ma problem.

- Życie mi pokazało środkowy palec. Zdradziła mnie.

- A to suka!

- Aż taka podła nie jest - zaprotestował.

- Przecież wiem. Chciałem cię sprowokować, żebyś ujawnił swoje uczucia. Jeżeli pragniesz ją odzyskać, a pragniesz, nie możesz się unosić honorem. Niewierności niewieściej nie należy potępiać zbyt surowo. Stałość uczuć to dla nich za wysoka poprzeczka, a chwila zapomnienia to jeszcze nie koniec świata.

- Pewnie masz rację. Moje problemy łatwo się nie rozwiążą, ale jeśli ci o nich opowiem, nie będą wyglądały tak tragicznie.

Hamburg powitał go wiosenną burzą. Zawodziła wiatrem, chłostała twarz strugami deszczu. Jak znalazł na wisielczy nastrój. Zameldował się w dowództwie. Mungo już o wszystkim wiedział. Był zadowolony z przebiegu przesłuchania, jednak zaskoczony, wręcz urażony dymisją.

- Co się stało? Dlaczego tak nagle? Czy nie uważasz, że wypadało najpierw mnie poinformować?

- Wybacz, Mungo. Wydarzyło się coś w moim życiu prywatnym i musiałem podjąć decyzję z dnia na dzień.

Sparks był zażenowany, nie wiedział, co powiedzieć, więc zajął się fajką. Znał oczywiście całą historię, dlatego o nic już nie pytał. Kilka pań z towarzystwa zadbało, żeby o całej aferze usłyszało jak najwięcej osób. Wybrały najokrutniejszą wersję. Jeńców nie brały.

Zakochała się w brytyjskim oficerze. Po krótkim romansie on ją rzucił, bo mu się znudziła. Nie wystarczy dawać dupy na zawołanie, żeby taki mężczyzna jak St. John zapalał uczuciem do pierwszej

lepiej. Szantażowała go, a kiedy ją wyśmiał, nieudolnie symulowała samobójstwo. Myślała, że do niej wróci, kiedy zobaczy, jak bardzo go kocha. Rozpuszczały też plotkę, jakoby się zwierzał, że jest wulgarna jak ulicznica i ma ptasi mózdzek.

Miał wkrótce poznać tę wersję wydarzeń. Teraz jednak, nieświadom niczego, rozmawiał z Mungą.

- Rozumiem oczywiście twoje powody, ale to naprawdę wielka szkoda. Wiesz, jak bardzo cię lubię.

- Mam prośbę. Zamierzam uczciwie przepracować te trzy miesiące wypowiedzenia, ale potrzebuję dwóch dni urlopu.

- Nie ma problemu, podpiszę, co trzeba. - Wyraźnie zatroskany, mocno uściśnął mu dłoń. - Życzę powodzenia. Z całego serca.

Mieszkał nadal w hotelu. Plotki do niego nie docierały, ponieważ większość czasu spędzał w terenie. Spleen nie ustępował, nie miał ochoty na rozmowy z kimkolwiek. Najbliższe dni przeznaczył na pracę. Zaczął od przejrzania meldunków, jakie się zgromadziły podczas jego nieobecności. Głównie donosów, których Niemcy sobie nie oszczędzali. Ich liczba w porównaniu z czterdziestym piątym znacznie spadła, wciąż jednak była znacząca.

Postanowił ambitnie, że spróbuje każdego dnia wyjaśnić jedną sprawę. Zaparzył herbatę, dolał rumu, przekręcił klucz i kładąc nogi na biurku, rozsiadł się wygodnie w fotelu. Po tylu dniach wypełnionych niebezpieczeństwami zrobiło się bardzo cicho i spokojnie. A ciszy i spokoju potrzebował teraz najbardziej. Czytał wolno, próbując sobie wyobrazić, jak wygląda ten, na którego jest donos. Wydawało mu się, że jest czarodziejem, który w czapce niewidce wchodzi ludziom do domów. Wytypował kilka obiecujących spraw.

Wracał do hotelu na piechotę. Po drodze wstąpił do redakcji „Die Welt” i dał ogłoszenie o sprzedaży łodzi. Nie chciał wspomnieć. Przez dwa dni jeździł po Hamburgu, wyjaśniając donosy oraz meldunki, które wytypował. Jak zwykle nic się nie potwierdzało albo podejrzani mieli doskonałe dokumenty i łgali jak z nut. Pracował z zacięciem do

północy, żeby nie pogrążyć się w depresji i wyklócać z gorzalką, siedząc samotnie w hotelowym pokoju. Jadał na mieście. Doszedł do wniosku, że może tak żyć. Do gotowania żony nie potrzebował. Ze złośliwą satysfakcją wynajdywał potrzeby, dla zaspokojenia których Marion nie była mu potrzebna. Pojawiły się też takie, których przy niej spełniać nie mógł.

Wczesnym rankiem wyruszył na północ. Niespieszna jazda luksusowym samochodem przyjemnie go relaksowała. Po dwóch godzinach przekroczył granicę niemiecko-duńską. Jechał przez prowincjonalną Danię, podziwiał sielskie krajobrazy Jutlandii i rozmyślał o ostatnich wydarzeniach. Do Kopenhagi dotarł w południe. Odstał godzinę w kolejce i wjechał na prom płynący na Bornholm. Zanocował w Rønne. Wstał, kiedy za oknem było jeszcze ciemno. Po krótkich poszukiwaniach odnalazł plażę, na której wylądowali. Upłynęło zaledwie dziesięć dni, a jemu się wydawało, że minęła cała epoka. Znikł w krzakach porastających wydmy. Po chwili wyszedł, pogwizdując. Pod koszulą miał pas ze złotem, którego nie wymienili w Polsce. Sto pięćdziesiąt uncji. Po trzydziści osiem dolarów wychodziło pięć tysięcy siedemset.

Po długich wahaniach podjął decyzję. Żeby uniknąć kłopotliwych sytuacji z Laurą, przeprowadzi się do Cambridge i tam dokończy studia. Od czasu do czasu zagra w pubie dla przyjemności. Poderwie każdą ładną dziewczynę, która się nawinie. Będzie się trzymał z daleka od kobiet z towarzystwa. Po studiach zostanie na uniwersytecie. Kupi niewielki dom, na tyle blisko, żeby na uczelnię dojeżdżać na rowerze. Pensję będzie miał skromną, ale na pieniądzech mu nie zależało, miał ich aż za dużo. I nigdy już się nie ożeni.

W jakim celu miałbym się żenić? Żeby się bezradnie przyglądać, jak jakiś Phil uwodzi mi żonę, a ona się w nim bez pamięci zakochuje? Im Amor przypina skrzydła, mnie doprawia rogi. Miłość jest dla błaznów, ja byłem największym.

Powrócił do Hamburga w nocy z niedzieli na poniedziałek. Rano, po kilku godzinach snu, pojawił się w banku. Zdeponował złoto i wydał dyspozycję sprzedaży po kursie dnia. Nikt go o nic nie pytał. Bankowcy byli uprzedzająco grzeczni, ale do tego się już przyzwyczaił. Wiele rozmyślał o tym złocie. Phil z wyrachowania dał dwa razy więcej. Liczył, że wraz z nimi wpadnie w ręce UB. W jego przewrotnym planie kapitaliści mieli finansować komunistów. Cała ta historia kosztowała go rozpad małżeństwa. Rachunek był niewspółmierny do wartości złota. Z chęcią by je oddał za cofnięcie czasu.

Może jest w tym część mojej winy, że znalazła sobie kochanka? Powinienem poświęcać jej więcej uwagi i częściej ją pieprzyć. Być może nie szukałaby szczęścia w ramionach innego. Zapewne i tak nic by to nie dało. Zakochana kobieta zdolna jest do każdego szaleństwa. W zaczadzonym zazdrością umyśle pojawiły się myśli tak haniebne, że strząsnął je z siebie z odrazą.

Wziął z parkingu dżipa i wyruszył na wojnę ze zbrodniarzami wojennymi. Byli pod ręką, dlatego mieli zapłacić za nieszczęścia, jakie na niego spadały. Dzień minął bez istotnych zdarzeń. Czuł się samotny jak słup w Patagonii. Po powrocie do hotelu nie miał na nic ochoty. Samotność i wódka były jego najwierniejszymi przyjaciółkami. Osiągnął kompletne dno i się ze swojego upadku masochistycznie cieszył. Nie chciało mu się nic robić, nawet myć, poszedł spać brudny. Nie założył piżamy. Jedynym kompromisem, na jaki się zdobył, było ściągnięcie skarpetek. Długo nie mógł zasnąć, usiłując odegnać ponure myśli. Jakaś wyjątkowo natrętna mucha co chwila siadała mu na twarzy, co doprowadzało go do białej gorączki.

- Zatlukę cię, cholero!

- Człowiek czy mucha, morderstwo zawsze pozostanie morderstwem - zabzyczała mucha.

- Nie rozumiem, dlaczego cię rozumiem, Mucho?

- Żeby zrozumieć muchę, wystarczy uważnie wsłuchać się w jej bzyczenie - odbzycnęła uprzejmie.

- To mój pokój, a muchy mieszkają na śmietnikach, żyjąc z tego, co da im śmietnik, więc się stąd wynoś. Kim ty w ogóle jesteś?

- Jak człowiek jest samotny, to widzi we mnie drugą osobę - odbzyczała i odleciała.

Wreszcie zapadł w ciężki, czujny sen, w którym użalał się na swoje nieszczęścia gwiazdom i nieskończoności.

We wtorek pojawił się w firmie nieogolony i brudny. Szczęściem nikt go nie wachał. Zabrał bieżące teczki i wyruszył w teren. Wybrał do sprawdzenia trzy adresy. Pod jednym nikogo nie było, postanowił wrócić tam później. Według donosu miał się tam ukrywać drobny spekulant. Płotka niewarta zachodu. Zaczął się zastanawiać, po diabła wziął tę sprawę. Myślenie też nie wychodziło mu najlepiej. Załatwił z negatywnym wynikiem dwa pozostałe adresy. Spisał notatki służbowe, zjadł obiad i wieczorem pojechał po spekulanta. Nadal był nieobecny. Dobry pretekst, żeby nie wracać do hotelu. Poszedł na długi spacer po parku, wybierając taki, do którego nigdy z Marion nie chodzili. Powrócił w nocy. We wszystkich oknach oprócz jednego było ciemno. Miał na podobne sytuacje przygotowanych kilka scenariuszy. Użył metody „na sąsiada”. Zapukał.

- Kto tam?

- Sąsiad spod szóstki. Syn się źle poczuł. Pomoże pan?

- Nie zwracaj głowy - burknął ktoś zza drzwi.

Jednak się otworzyły. Uderzył sierpowym w żołądek, mocniej, niż należało. Wściekły na cały świat, chciał się wyładować. Wypadki potoczyły się jednak w sposób nieprzewidziany. Zdał sobie sprawę, że trafił na twardziela, kiedy Niemiec, leżąc na podłodze, sięgnął za pasek. W jego dłoni pojawił się pistolet. Zrozumiał, że swojego wyszarpnąć nie zdąży. Popęłnił błąd na wagę życia. Nie wyciągnął pistoletu z kabury przed drzwiami. Był zbyt pewny swego uderzenia.

Działał instynktownie, zrobił krok naprzód, na drugi brakowało czasu, i rozpaczliwie kopnął. Z nadmiaru szczęścia, które mu się nie należało, czubkiem buta zawadził o łokieć. Pistolet wypadł Niemcowi z ręki, więc gorączkowo próbował go sięgnąć. Robert wyszarpnął

wreszcie browninga i nie celując, strzelił. Rozległ się potężny huk. Mężczyzna znieruchomiał. To już drugi, którego zabił po wojnie. Tym razem w obronie własnej. Nie miał wyrzutów sumienia, nie wiedział nawet, kim był. Czekał, aż zjawią się mieszkańcy albo policja. Czas upływał, a do drzwi nikt się nie dobijał. Doszedł do wniosku, że sąsiedzi nie usłyszeli albo nie chcieli usłyszeć strzału.

Obejrzał zabitego. Podwinął mu lewy rękaw. Zdążył usunąć tatuaż, została jednak blizna po zabiegu. Był zatem esesmanem. Mieszkanie duże, drogie meble. W kuchni bateria butelek z dobrymi winami. Zamożny dom. Zaczął przeszukiwanie. Już od dawna nie robił tego sam. Wyręczał się sierżantem Royem. Teraz nie było Roya, a on miał mnóstwo czasu. No i podpatrzył mistrza złodziejskiego fachu w akcji. Starał się postępować podobnie. Na półkach stało wiele książek. Odłożył przeglądanie na później. Pobieżna rewizja zajęła godzinę. Nie znalazł nic godnego uwagi. Przypomniał sobie prywatnych detektywów z młodzieńczych lektur. Może skrytka w podłodze? Zniechęcony, miał już zrezygnować z dalszych poszukiwań, a wtedy znalazł schowek. Pomógł ślepy traf. Wypadł mu z ręki porcelanowy słonik. Od uderzenia w podłogę trąba się odłamała, a pozbawiony swojego atrybutu zwierzak potoczył się pod szafę. Wyciągając kalekę, zauważył, że przestrzeń pomiędzy podłogą a dnem szafy jest mniejsza, niż z zewnątrz wyglądało. Nie potrafił znaleźć ukrytego przycisku, więc znalezionym w skrzynce z narzędziami dłutem wyważył deski.

W skrytce były dwie koperty oraz irchowy woreczek wypełniony biżuterią i złotymi monetami. Niektóre były zabytkowe. Musiały być warte fortunę. W pierwszej kopercie były pieniądze. Dolary, funty, franki szwajcarskie. W drugiej dokumenty. Paszport wystawiony przez Watykan oraz książeczka wojskowa i legitymacja NSDAP. Na zdjęciach zastrzelony Nicholas Vormann z 3 Dywizji Pancерnej SS Totenkopf. Standartenführer, czyli pułkownik.

To był nazistowski *crème de la crème*. Dywizję sformowano z załóg obozów koncentracyjnych. Walczyli z bezprzykładną odwagą,

zasłynęli z okrucieństwa. Po kapitulacji Amerykanie przekazali jeńców Rosjanom. Większość zasłużyła na pluton egzekucyjny. I większość, w tym dowódca, generał SS Helmuth Becker, dostała to, na co zasłużyła. Przez przypadek zapisał na swoim koncie kolejnego zbrodniarza zastrzelonego w uczciwej walce. Znalezienie klejnotów nie było powodem do radości. Wręcz przeciwnie, wprawiło w wisielczy nastrój. Brudne złoto zrabowane pomordowanym Żydom. Złoto Szatana... Szatana? Jego w to nie mieszać. Nie on mordował ludzi, których jedyną winą było, że urodzili się Żydami. Stały mu przed oczami koszmary z obozu koncentracyjnego Bergen Belsen, który razem z Mungą wizytowali w maju czterdziestego piątego.

Pokryty boazerią, umeblowany skórzanymi fotelami pokój pełnił funkcję biblioteki. Wzdłuż ścian stały regały zapełnione książkami. Oprócz oprawionych w skórę, wydrukowanych na papierze czerpanym tomów literatury klasycznej znalazł jedenaście starodruków. Postanowił przyjrzeć im się bliżej w domu. Był środek nocy, najwyższa pora, żeby się ulotnić. Do znalezionych walizek zapakował książki, na których mu zależało. Uginając się pod ciężarem, zaniósł je do samochodu. Zaparkował przezornie przecznicę dalej. Rozbolały go ręce, strzyknęło w kręgosłupie, ale miał pewność, że nikt nie skojarzy go z zabójstwem.

Nie pojechał do hotelu, lecz do domu. Obawiał się spotkania z Marion. Nie był przygotowany na konfrontację. *Boję się, że we własnym domu spotkam żonę?* Przypuszczał, że po wyjściu ze szpitala wyprowadziła się. Jeżeli jemu było trudno, ona z pewnością odczuwała podobnie. W domu panowała atmosfera beznadziei i smutku, jakby mieszkańcy go porzucili, uciekając przed zarazą. Było cicho, ponuro i rozpaczliwie pusto. Po zakurzonym stole, pozostawiając ledwo widoczny ślad, biegał pajęczek, samotny lokator.

Wniósł książki do gabinetu i zostawił, nie otwierając walizek. Wrócił do hotelu. Pomimo że świtało, sen nie nadchodził. Wziął prysznic i ogolił się. Nadeszła pora na zmiany. Zaczął od najprostszej, pozostawił zarost pod nosem.

Spał długo. W firmie przywitał się z Mungą, zjadł coś w kantynie, następnie pojechał do redakcji „Die Welt”. Odebrał odpowiedzi na ogłoszenie. Było ich nadspodziewanie dużo. Obsługiwała go sympatyczna asystentka z biura ogłoszeń. Poprosił o rozmowę z dziennikarzem o długim stażu. Zadowolony z rezultatu, powrócił do firmy. Wpisał w dzienniku zdarzeń, że odebrał anonimowy telefon o nocnej strzelaninie. Wysłał tam Roya. Resztę dnia spędził w kawiarni nad Alsterem. Sącząc brandy, odprowadzał wzrokiem młode dziewczyny w wiosennych, zwiewnych sukienkach. Niektóre się do niego uśmiechały.

Wieczorem wpadł na chwilę do hotelu, zabrał niewielki neseser i pojechał do dzielnicy Neustadt na Poolstraße. Pod murem zburzonego budynku zebrała się niewielka grupa starszych ludzi. Stanął z boku, aby nie przeszkadzać. Obok przedreptała staruszka, mamrocząc coś gniewnie pod nosem. Zauważyli go, lecz nie było z ich strony reakcji. Po chwili spotkanie dobiegło końca. Uczestnicy się rozeszli. Mężczyzna w podeszłym wieku o wydatnych rysach twarzy, na której głębokimi bruzdami zapisały się życiowe tragedie, podszedł do niego.

- Czym mogę panu służyć?

- Jestem oficerem korpusu okupacyjnego. Chciałbym chwilę porozmawiać.

- Mów mi Szlomo. Co mogę dla ciebie zrobić?

Zdał relację z wydarzeń ostatniej nocy. Wyciągnął z nesesera woreczek.

- Ci, których te klejnoty zdobiły, zostali wymordowani. Niech te zrabowane kosztowności pomogą tym, którzy przeżyli.

Szlomo był poruszony. Zanurzył rękę w woreczku, wyciągnął garść biżuterii i w świetle latarni ulicznej oglądał w skupieniu.

- Zgadza się, nasza robota. Poznają motywy i ornamenty. Są charakterystyczne. Wiem nawet, z której pracowni w Amsterdamie pochodzi ten naszyjnik. I co ma pan zamiar z tym zrobić?

- Mam na imię Robert.

- Zatem co chcesz z tym zrobić, Robercie?
- Przekazać tobie albo w miejsce, które wskażesz.
- Nie zdarza się, żeby ktoś oddał znaleziony, bezpański skarb.
Nie skomentował.

- Mieszkam niedaleko. Zgodzisz się wypić ze mną herbatę?

Mieszkanko Szlomo składało się z jednego niewielkiego pokoju i toalety. Z przedmiotów kultu była jedynie menora, siedmioramienny lichtarz, i stare księgi w rulonach, zapewne Tora. Było skromnie i czysto. Po zwyczajowej rozmowie o niczym powrócili do tematu. Jeszcze raz musiał potwierdzić, że chce przekazać biżuterię gminie żydowskiej.

- Sam widziałeś, jaka to gmina, kilku starych ludzi. Synagogi też już nie ma. Tylko ruiny, pod którymi się spotykamy. Biżuteria znajdzie się tam, gdzie jej miejsce, w Jerozolimie.

- Jest jeszcze coś. - Robert wyciągnął z torby kopertę z pieniędzmi i legitymację SS Vormanna. - Tego człowieka wczoraj zastrzeliłem. Pieniądze i biżuterię znalazłem w skrytce. Nie należą do mnie, też zostały zrabowane.

Szlomo nasunął na nos druciane okulary i przyglądał się zdjęciu z uwagą.

- Szukaliśmy go od dawna. Jest, a raczej był, na naszej liście zbrodniarzy wojennych. Dosięgła go sprawiedliwość boska. Co do pieniędzy, nie możesz wiedzieć, skąd pochodzą. Pieniądz to pieniądz, jest bezimienny. Czy uważasz, że dla Jahwe jest ważniejszym interesem kilka woskowych świec czy szczęście twojej rodziny? Już ty dla nas dosyć zrobiłeś. Przekazałeś biżuterię. Zabiłeś tego człowieka. Był niezwykle groźny, więc ryzykowałeś życiem. Zabierz pieniądze i nie spieraj się ze mną. Jestem rabinem, nie nawykłem do sprzeciwów.

Przesiedział u Szlomo wiele godzin. Dyskutowali o wojnie, o pokoju i o czasach, które nadejdą. W pewnym momencie rabin powiedział:

- Widzę, że nie jesteś szczęśliwy. Jaka przyczyna spowodowała, że tak hojnie wyposażony przez Boga mężczyzna ma wielką troskę?

Mówił o swoich problemach otwarcie, starając się unikać goryczy. W końcu rabin to żydowski mędrzec. Może znajdzie receptę na sercowe udręki. Od kiedy zaczął o sobie decydować, przestał chodzić do spowiedzi. Rozmowa z tym starym człowiekiem była formą spowiedzi. Nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć dlaczego, jednak miał do niego zaufanie.

- Zatem twój problem polega na tym, że kochasz żonę, ale nie chcesz z nią być, ponieważ cię zdradziła.

- W uproszczeniu tak to wygląda.

- A to zranienie jakie jest głębokie?

- Wydaje mi się, że bardzo głębokie.

- No dobrze, a kiedy się dowiedziałeś o zdradzie, to jak byłeś nieszczęśliwy?

- Znacznie bardziej. Trochę mi przeszło.

- Zatem z upływem czasu krzywda staje się w twoim odczuciu mniejsza?

- Może nie zasadniczo, jednak łatwiej mi z tym żyć.

Uśmiechnął się, odnajdując tę logikę, która w przedwojennej Polsce była przedmiotem niezliczonych żartów. Pomimo że tematem szmoncesów byli Żydzi i ich sposób myślenia, pozostawały one ciepłe, pozbawione nienawiści.

- Jak sądzisz, za miesiąc, za dwa krzywda będzie mniejsza czy większa?

- Trudno przewidzieć. Chyba mniejsza.

- Wprawdzie w kwestiach sercowych nie należy udzielać porad, jednak tobie jej udzielę. Niewieścim obyczajem jest odpłacać zdradą za wierność. Taką już mają naturę. Dlatego decyzję nie podejmuj teraz, tylko za pewien czas. Jeżeli twoja żona będzie na ciebie czekać - jest twoja.

- Nawet jak wróci, nigdy nie będzie moja. Próbowwała popełnić samobójstwo z miłości do niego. Mnie tak nie kochała i nigdy nie

pokocha. Zасыpiając u mego boku, będzie śniła o nim.

- Z tobą rzeczywiście nie jest dobrze. Czegoś tu nie rozumiem, ale nieważne. Jedno wiem na pewno. Tron w sercu kobiety jest elekcyjny, więc trzeba o niego walczyć. Nie możesz poddać się tak łatwo, jakbyś abdykował. A zatruwając sobie głowę takimi myślami, to właśnie robisz.

Podziękował, umówił się na następny dzień i pojechał do domu pustego jak cmentarz o północy. Spędził godzinę, segregując książki. Spośród jedenastu starodruków wybrał sześć, zapakował do walizki i pojechał do siebie. W recepcji czekała koperta. List był napisany stylowym pismem Astrid.

Robercie,

od kilku dni usiłuję się z tobą skontaktować. Nie odbierasz telefonu, nie ma Cię w hotelu. Czy możesz zadzwonić jutro po 16? Będę czekała na Twój telefon. Numer znajdziesz na odwrocie.

Pozdrawiam serdecznie, Astrid

Środa była wyjątkowo spokojnym dniem. Roy przedstawił notatkę z miejsca zastrzelenia Vormanna. Jedynym znaleziskiem był paszport. Oryginalny, watykański.

- Te czarne świny skumały się z hitlerowcami i pomagają im nawiewać do Ameryki Południowej. Co za dranie. Niech ich papistowskie piekło pochłonie! - Roy, jako gorliwy anglikanin, nienawidził papistów. - Z całym szacunkiem, panie kapitanie, mam nadzieję, że nie uraziłem.

- Niech cię diabli, Roy! - Mógł się przynajmniej pośmiać. Od dawna nie miał okazji do śmiechu. - Jeżeli miał paszport, to ktoś go zastrzelił w ostatniej chwili.

- Prawdziwy szok, co? Z tym paszportem.

Będzie mu w cywilu brakowało przasných tekstów Roya. Byłby zapomniał - w cywilu. Przeglądając zaległą prasę, znalazł interesujące ogłoszenie. MSZ poszukiwało *attaché* do ambasady w Kairze. Warunkiem była biegła znajomość arabskiego. Poszedł do biblioteki, wybrał kilka książek pod tytułem „Jak znaleźć pracę?” i zasiadł do pisania. Po długich męczarniach wysmażył aplikację na wolne stanowisko. *Attaché* jest najniższym szczeblem w dyplomacji, co zwiększało jego szanse, które jednak pozostawały równie wielkie jak na główną wygraną na loterii.

Wielka Brytania przeżywała poważny kryzys. Ten dumny kraj nie potrafił rozwiązać swoich problemów, coś było nie tak z gospodarką oraz z samym społeczeństwem. Z tego powodu nawet w konkursie na podrzędne stanowisko spodziewał się wielu konkurentów. Miał jednak pewien atut. Czemu zatem nie spróbować? Zadowolony z siebie, zaadresował kopertę, włożył do niej zapisane w pocie czoła kartki, trzy razy chuchnął na szczęście i wysłał. Była najwyższa pora, żeby zadzwonić do Astrid. Odebrała po drugim dzwonku.

- Dziękuję, że zadzwoniłeś. Marion wyjechała i nie będzie jej jakiś czas. Dobrze się składa, bo właśnie o niej, o was, chciałam porozmawiać. W cztery oczy. Kiedy i gdzie możemy się spotkać? Wybierz miejsce, które ci odpowiada.

W normalnych okolicznościach ona wybierała miejsce i czas. Instynkt podpowiadał, aby wybrać teren neutralny, dogodnie położoną restaurację. Przyzwoitą, ale nie najwyższej klasy. W tych najlepszych czuła się jak u siebie.

- Jutro po południu?... Tak?... Doskonale... O szesnastej?... Do zobaczenia, Astrid.

Wieczorem po raz kolejny pokonał trasę do dziupli Szlomo. Z walizki wyciągnął sześć starodruków. Wszystkie były judaikami. Rabin obejrzał je starannie i nie potrafił ukryć wzruszenia.

- Czy wiesz, co przyniosłeś? Te księgi mają dla nas wielką wartość. Nie wiem, komu zostały zrabowane, ale wkrótce znajdą się w muzeum.

Włożył sporo wysiłku, żeby wyperswadować rabinowi pomysł dołączenia do ekspozycji tabliczki z jego nazwiskiem. W końcu zagroził, że jeżeli tego nie obieca, on zabiera starodruki, ponieważ są łupem wojennym. Dodał, że pozostałe pięć przywłaszcza sobie. Jeżeli odnajdzie się właściciel, to je zwróci. Dlatego ich nie odsprzeda ani nie odda Anglikom ksiąg, które do nich nie należały. Oni z pewnością nie zwrócą ich prawowitym właścicielom, nawet jeżeli się po nie zgłoszą. Jak nie oddali Egiptowi Kamienia z Rosetty⁷⁰.

- A jak twoje sprawy? Czy się coś zmieniło?

- Tak. Moja teściowa zaproponowała spotkanie. Umówiliśmy się na jutro.

- Jej matka, mówisz. To pomyślny znak, bardzo pomyślny.

- Dlaczego to ma być dobry znak, rabi?

Szlomo zamiast wyjaśniać, zaśmiał się. Rozstali się w przyjaźni. Na odchodnym rabin powiedział:

- Jeżeli się rozwiedziesz, czy twoja następna kobieta będzie lepsza?

Trafił w czuły punkt. Po doświadczeniach z Wiką, Laurą i teraz z Marion mógł się spodziewać, że nie trafi lepiej. Szlomo i Colin mieli rację. Zdrada, słabość do innych mężczyzn leży w kobiecej naturze.

W banku zdeponował część pieniędzy, które znalazł w mieszkaniu Vormanna. Okazało się, że dolarów i franków jest w przeliczeniu pięćset funtów. Wydał dyspozycję, aby całą sumę przetransferować na konto Garricka. Może z Daphne coś wyjdzie? Żeby jednak mogli rozmawiać, dziewczyna musi najpierw rzucić swoją profesję.

Po kolejnej wizycie w „Die Welt” zdecydował, że MI6 musi sobie na razie poradzić bez niego. Na wszelki wypadek wpadł do firmy, przywitał się z Mungą, który naturalnie zauważył wąsik, potem się urwał. Zadzwoił do dwóch chętnych na zakup jachtu i pojechał na przystań. Pierwszy pojawił się starszy pan wyglądający na emerytowanego finansistę. Obejrzał łódź, zainteresował się wykończeniem i wyposażeniem. Stwierdził, że w jego opinii cena

tysiąca funtów jest wygórowana, może zapłacić osiemset. Jeśli Robert się zdecyduje, ma telefon.

Wkrótce nadeszła parka. On pod czterdziestkę, wysoki, z niewielkim brzuchem. Biła od niego pewność siebie. Wyglądał na *Schiebera*, spekulanta, który odniósł sukces. Jego partnerką była młodziutka, urocza, błękitnooka blondyneczka. Kilka kilogramów nadwagi rozłożonych tu i ówdzie dodawało jej uroku. Miała naiwną twarz, szczery, naturalny uśmiech i była przyklejona do swojego mężczyzny. Napatrzył się na podobne pary. Pomyślał, że spekulant dobrze traktuje swoją Mitzi. Na jej twarzy nie zauważał niepokojących oznak. Porozmawiali chwilę, a Olaf zażyczył sobie przejażdżki próbnej. Pogoda była wietrzna. Jacht bez problemu radził sobie w takich warunkach. Wyprowadził łódź z kanału i przekazał ster. Pokazał, jak dodawać i ujmować gazu manetką. Siedemdziesięciokonna volvo penta pokazała, co potrafi, Arabeska śmignęła do przodu niczym klacz spięta ostrogą. Olaf był oszołomiony prędkością, za to Mitzi promieniowała radością. Na twarzy Olafa rozlał się szeroki uśmiech. Mitzi była uszczęśliwiona. Kupili jacht, na którym będzie się opalać nago, żeby Olaf mógł podziwiać jej apetyczne, skąpane w słońcu ciało, a on był zadowolony z okazynego zakupu. Robert nie musiał się targować.

Miał sporo czasu do spotkania z Astrid. Przed tą rozmową potrzebował się wyciszyć. Lubił teściową, w innych okolicznościach spotkanie byłoby przyjemnością. Zafundował sobie luksusowy obiad, potem zamówił kawę, koniak i czekał. Pojawiła się zaledwie pięć minut po czasie, lekko zdyszana, jak zwykle szykowna. Nie ubierała się elegancko, była elegancka. Pomyślał, że to również Marion ma po matce. Wstał na powitanie i się do niej uśmiechnął.

- Dobrze cię widzieć, Robercie. Wiesz oczywiście, o czym chcę rozmawiać?

Potaknął.

- Marion trzy dni temu wyszła ze szpitala. Jest osłabiona, na szczęście nic jej nie jest. Wydaje mi się, właściwie to jestem pewna, że nie zamierzała popełnić samobójstwa. Chciała pokazać swoją rozpacz, a inaczej nie potrafiła. To jeszcze młoda dziewczyna. Nie miała się kiedy nauczyć życia. Wszystko jej się dobrze układało. Rozpieszczaliśmy ją, może nawet za bardzo. Z tobą było jej cudownie. Wam było cudownie, prawda? Wiele razy o tym opowiadała. Gdyby wcześniej przeżyła życiowe dramaty, na pewno by tak lekkomyślnie nie postąpiła.

Astrid była podenerwowana.

- Nie powinnam, nie wypada, jednak powiem. Kiedy pojawiłeś się w naszym domu, miałeś we mnie najlepszego przyjaciela. Nigdy bym prawdy nie wyjawiała, jednak sytuacja jest wyjątkowa. Marion zdradziła mi, że idzie do ciebie. Obiecałam, że cokolwiek się zdarzy, będę ją kryła. Zakochała się w tobie. Bała się, co powie ojciec. Więc ją uspokajałam: „Nie martw się, ojca biorę na siebie”. Marzyłam, żeby moja córeczka wyszła za mąż z miłości. Ona jest zdruzgotana. Popełniła błąd. Nie chce się tłumaczyć, nie chce usprawiedliwiać. I nie chodzi nawet o to, żebyś wybaczył, żebyś zapomniał, co się wydarzyło. Przyszłam spytać: czy dasz jej szansę?

Była zbyt inteligentna, żeby powiedzieć, co naprawdę myśli. *Przecież to tylko głupia pomyłka, która każdej kobiecie może się zdarzyć. Zresztą, gdzie jest powiedziane, że monopol na szacunek, współczucie i rację mają ci zdradzani?* Z doświadczenia wiedziała, że częstokroć sami są sobie winni. Po co więc całe to halo? Chwilę milczał, zbierając myśli, a ona cierpliwie czekała.

- Zacznijmy od tego, że nie znacie pełnego przebiegu zdarzeń. Pewnych spraw nawet ja nie znam. Mogę się jedynie domyślać. Gdyby chodziło o romans, sprawa byłaby prostsza. Wbrew temu, co zrobiła, wciąż ją kocham. Jeśli chodzi o mnie, dałbym parę klapsów i postarał się zapomnieć. - Nie wiedział, kiedy wyleczy się z zazdrości.

- Co się wydarzyło? Powiedz.

Astrid wreszcie dostrzegła problem. Sytuacja nie była tak oczywista, jak się jej wydawało. Na szczęście zachowała ostrożność i nie zraziła zięcia, bagatelizując romans córki. Wiedziała, że w sprawach sercowych kobiety i mężczyźni reagują odmiennie. *Tam, gdzie my jesteśmy cyniczne, oni są nadwrażliwi.* Jej ukochana córeczka musiała, z pewnością nieświadomie, nieźle narozrabiać.

- Nie odpowiem na twoje pytanie. Przyjmij, że jest poważny kłopot. I to ja mam kłopot. Nie potrafię przewidzieć, czy sobie poradzę.

- Może jak się wygadasz, będzie łatwiej? Czasami potrzebujemy, żeby ktoś nas wysłuchał. - Położyła dłoń na jego dłoni, jakby mu chciała dodać otuchy.

- Nie, Astrid, nie mogę. Zrobię wszystko, żeby się uporać z problemami. Jak nie zdołam, będziemy się niestety musieli rozstać. Wspólnie z całą pewnością sobie nie poradzimy.

- Zaczynam się poważnie martwić. Co się stało? Powiedz choć trochę. Cokolwiek. Tyle, ile możesz.

- Nie, nie i jeszcze raz nie. Dlatego, że ciebie lubię, a na Marion mi zależy.

- Ona tak bardzo chce do ciebie wrócić, zgodzi się na każde warunki. Cudownie, że dasz jej szansę! - Chciała koniecznie potwierdzić ustalenia, więc spontanicznie, jak mu się wydawało, chwyciła go za ramię.

Uzgodnili spotkanie. zaproponował Atlantic Kempinski, najlepszy hotel w mieście, za sześć dni. Wymówił się obowiązkami. Termin był tak odległy, że teściowa odebrała go jako celowe lekceważenie. Chciał, korzystając z rady Szłomo, dać sobie kilka dni na ochłonięcie, a przy okazji przetrzymać żonę w niepewności. Jeżeli ma wybaczyć, to i tak niewielka kara. Astrid była zmartwiona, jednak nie nalegała. Dla niej przekaz był czytelny. Jej córka nie może być pewna uczuć męża, a przyszłość ich związku wygląda niepewnie.

W piątek spotkał się w banku z Olafem. Podpisali umowę sprzedaży jachtu. Pieniądze wpłacił na konto. W pokoju VIP-ów miał

umówione spotkanie. Czekał na niego szczupły, młody człowiek.

- Hermann Landgraf - przedstawił się. - Będę pod pana nadzorem zarządzał kontem, Herr Meissner.

Miał czarne, długie jak na bankowca, lśniące brylantyną włosy i pociągłą, bladą twarz. Podał mu wykaz swoich akcji. Połowa należała do spółek publicznych, które miały wkrótce zadebiutować na otwieranej ponownie giełdzie. Pozostałe, nienotowane publicznie, zamierzał oddać w powiernictwo. Nie planował na razie sprzedaży żadnych papierów. Nie było takiej potrzeby. Wręczył Landgrafowi skórzaną walizkę niewielkiego formatu.

- Ma pan tutaj wydrukowane papiery wartościowe, czyli akcje na okaziciela, oraz poświadczony przez spółki wpisy akcji imiennych do ksiąg akcjonariuszy. - Bankowiec był pod wrażeniem. Potwierdził, że papiery wartościowe są traktowane równorzędnie z depozytami i w razie potrzeby mogą służyć jako zabezpieczenie kredytu.

Robert pozostawił dziewięćset funtów na rachunku bieżącym. Resztówkę z konta oraz przyszłe dochody z czynszu przeznaczył na skup akcji. W ten oto sposób pozbył się pieniędzy, jakie podczas pobytu w Hamburgu udało mu się „zorganizować”. Wymienił je na akcje o nieprzewidywalnej wartości. Mógł się wzbogacić, mógł też stracić znaczną część zgromadzonego kapitału. Umówili się za kilka dni, aby omówić szczegóły skupu akcji. Z banku pojechał do firmy, pogawędził z Mungą, zjadł lunch, następnie zabrał się za papierkową robotę.

Po służbie podjechał pod ekskluzywny, najdroższy w Hamburgu sklep z odzieżą. Dotąd nie przykładał większej wagi do swojego ubioru. Tak mu się w życiu układało, że była to odległa pozycja na długiej liście potrzeb. Żonie się podobał. Było go stać na eleganckie i drogie ubrania, ale podczas oficjalnych imprez występował w mundurze, w pracy ubierał się tak, żeby wtopić się w otoczenie. Miał jeden, później dwa supereleganckie garnitury i niewielką kolekcję modnych ubrań w dobrym gatunku na co dzień. Te ostatnie kupował z żoną, korzystając z jej wyrobionego gustu.

Zdecydowanym krokiem wszedł do wielkiego, urządzonego z rozmachem salonu. Jak dotąd przez myśl mu nie przeszło, żeby marnotrawić tu pieniądze. Rozglądał się zaciekawiony, a ekspedientki, brunetka i wyższa od niej szatynka dyskretnie go obserwowały. *Zastanawiają się, czy mnie wyprosić, czy zaryzykować i zaczekać.* W końcu podeszła szatynka. Oceniał, że jest w jego wieku. Z wizytówki na kieszonce bluzki dowiedział się, że ma na imię Eva.

- Czym mogę służyć? - Była uprzejma i życzliwa. Nawet się uśmiechała.

- Wybieram się na ważne spotkanie. Nie potrafię się ubierać z wymaganym w pewnych sferach luzem ani rozsądnie wybrać. Czy może mi pani pomóc?

Na wzmiankę o pewnych sferach jej uśmiech zrobił się szerszy. W tym sklepie klienci, żeby dodać sobie wartości, udawali bogatszych albo ważniejszych, niż byli. Odwrotnego przypadku nie pamiętała.

- Co chce pan konkretnie kupić i ile planuje u nas wydać?

Już się nie uśmiechała. Ceny nie były wyeksponowane. „Jeżeli pytasz, ile to kosztuje, to lepiej poszukaj innego sklepu”. *Sądzi zapewne, że podam sumę, za którą można tu kupić skarpetki.*

- Potrzebuję trzy pary butów, w tym wygodne mokasyny i lakierki do tańca. Oprócz tego trzy pary spodni. Wyjściowe oraz dwie na co dzień. Cztery koszule. Co ja mówię, w tym sklepie koszule kupuje się na tuziny, jak na Saville Row⁷¹. Ależ prostak ze mnie! Niech będzie pół tuzina. Oryginalne i modne. Góra? Nie chcę typowej marynarki. Mam się czuć swobodnie. - Przez chwilę się zastanawiał. - Może blezer albo coś w tym stylu? - Przypomniał mu się kardigan Phila. - Zresztą nie znam się na tym.

- Czy to wszystko?

- Byłbym zapomniał, flanelowe spodnie. Czytałem w kryminałach. Nie mam pojęcia, jak wyglądają, flanela zawsze kojarzyła mi się ze ścierką do kurzu. Jedna para... nie, niech będą dwie. I jeszcze sweter. Nie, dwa swetry. Też z kryminału, którego akcja dzieje się w wyższych sferach. Ma być w najlepszym gatunku, wyglądać na znoszony,

sprawić wrażenie, że właściciel nie zwraca uwagi, co na siebie wkłada, jednak wtajemniczeni na pierwszy rzut oka mają rozpoznać jakość i renomowaną markę z dwustuletnią tradycją. Czy pominąłem jakiś szczegół? Rozumie pani coś z tego? Bo ja niewiele. Jeżeli idzie o finanse, nie ma ograniczeń. Z wyborem zdaje się na panią.

Tak ją rozbawił, że wbrew obowiązującej w sklepie etykiecie głośno się roześmiała.

- Aby ubranie i buty zostały przez Anglika uznane za „smart”, jego ogrodnik musiałby je wprawdzie znieść w pracy - zażartowała i poszła na zaplecze.

Poruszała się z gracją i pewnością siebie. Odprowadzał ją wzrokiem, oceniając tyłek i nogi. Zasłużyła na wysoką notę. Czas czekania się dłużył, więc zaczął oglądać ekspozycję w sklepie. Podeszła druga ekspedientka. Nie marnując czasu, zaczął ją podrywać.

- Już jestem. Mam na imię Eva. - Spojrzała wymownie na koleżankę, a ona odplynęła, przerywając w pół zdania obiecująco rozwijający się flirt.

- Robert.

- Wiem, jak się pan nazywa, kapitanie Meissner.

Zaskoczyła go. Był przekonany, że gdyby się gdzieś zetknęli, z pewnością by ją zapamiętał. Była ładna, zgrabna i sympatyczna. Spodobały mu się ubrania, które dla niego wybrała. Spoglądając w lustro, poczuł się jak Narcyz. Wyglądał świetnie. Lekko ogorzały po wycieczce do Polski, z militarnym wąsikiem i blizną nadającą twarzy arogancki i jednocześnie agresywny wygląd. Zapinany na rogowe, polerowane guziki blezer z miękkiego materiału, którego składu ani splotu nie potrafił określić, leżał doskonale. Spodnie na pośredni sezon z angielskiej sto czterdziestki, lejące się, trochę rozszerzane. Koszule nietypowe. Jak sobie zażyczył. Wykładany, uciekający na boki kołnierz ze śmiałym rozcięciem pod szyją odsłaniającym nieco za dużo klatki piersiowej. Szerokie na całej długości rękawy, zwężające się

w przegubach. Szyte wyłącznie dla ich firmy i według jej projektu, jak wyjaśniła Eva. Spojrzał na nią z uznaniem.

Eva von Hirschberg urodziła się i wychowywała w Prusach Wschodnich. Matka zmarła, kiedy ona miała dwanaście lat. Z tatą byli szczęśliwą rodziną. Ojciec zorientował się, że córka, pomimo młodego wieku, jest obdarzona życiowym sprytem, jak również niepospolitym intelektem i, z pewnymi oporami na początku, we wszystkich życiowych sprawach polegał na jej opinii. Mając dziewiętnaście lat, po kilku awanturach zmusiła go do sprzedaży majątku, w którym rodzina mieszkała od pokoleń. Jak się okazało, intuicja nie zawiodła. Sprzedali nieruchomość za atrakcyjną cenę, na fali entuzjazmu po zwycięstwie nad Francją jesienią czterdziestego roku. Od klęski pod Moskwą ceny spadały na łeb na szyję, trudniej też było znaleźć nabywcę. Po Stalingradzie sprzedanie czegokolwiek w Prusach Wschodnich było niemożliwe.

Przeprowadzili się do Kolonii. Ojciec zdawał sobie sprawę, jak rozsądną decyzję podjęli, i już się jej w niczym nie sprzeciwiał. Ominęła ich gehenna mieszkańców Prus Wschodnich, którzy w dramatycznych okolicznościach uciekali w czterdziestym piątym przed Armią Czerwoną. O mały włos, a straciliby wszystko, może nawet życie. Eva zainwestowała pieniądze ze sprzedaży majątku w złoto, byle nie stracić. Ojciec zmarł na zapalenie płuc jesienią czterdziestego siódmego. Została sama. Miała kochanków, jednak zdawała sobie sprawę, że znalezienie odpowiedniego mężczyzny w powojennej sytuacji będzie trudne. Jak to bywa, Eva, ładna, mądra i bogata, nie miała szczęścia w miłości.

Moda była jej pasją. Marzyła, że kiedy Niemcy znormalnieją, otworzy dom mody z prawdziwego zdarzenia. Nie miała wielkich ambicji, nie myślała o konkurowaniu z kreatorami z Francji i Włoch. Chciała efektownie ubierać ludzi i dobrze na tym zarabiać.

Roberta zobaczyła po raz pierwszy podczas walki bokserskiej. Siedziała w trzecim rzędzie ze swym aktualnym kochankiem, brytyjskim oficerem. Znała się trochę na boksie, gdyż ojciec był

zagorzałym kibicem Maxa Schmelinga⁷². Sama, jak wiele młodych Niemek z Prus Wschodnich, uprawiała jeździectwo. Startowała nawet w WKKW⁷³. Wiedziała, że jest żonaty. Spotykała go przelotnie na koncertach, w teatrze albo w parku z młodą, piękną kobietą. Po sposobie, w jaki się do siebie odnosili, widać było, że są zgodnym małżeństwem.

Niespodziewanie pojawił się w jej sklepie. Miała na niego ochotę. Chciała go mieć dla siebie, całować, oddać mu się. Żeby pójść z nim do łóżka, nie potrzebowała miłości. Brał ją za ekspedientkę, co jej było na rękę. Nie musiała odgrywać żadnej roli. Zwykła dziewczyna, która ma ochotę przespać się z klientem. Była przekonana, że nie jest dziwką, więc nie może liczyć na jego inicjatywę. Jeśli miała dostać to, czego pragnęła, musiała wziąć sprawy w swoje ręce. Żoną się nie przejmowała. Nie spotkała jeszcze żonatego czy nieżonatego mężczyzny odmawiającego atrakcyjnej kobiecie.

- Chcę zapłacić.

Trochę się tego płacenia obawiała. Wiedziała, ile kosztują ubrania, które dla niego wybrała. Była przekonana, że są poza jego zasięgiem finansowym. Na dodatek wykupił pół sklepu! Podała rachunek na firmowym papierze, uważnie obserwując jego reakcję. Nie dał po sobie nic poznać.

- Ponieważ zrobiłeś duże zakupy, należy się rabat. Mogę zaproponować dwadzieścia pięć procent. - Wiedziała, że tak wielki wydatek nastroju mu z pewnością nie poprawi, co jej utrudni zadanie.

Dałaby więcej, lecz nie chciała na razie wypaść z roli ekspedientki. W końcu i tak na tej transakcji zarabiała. Marże w jej sklepie były niebotyczne. Odebrał ofertę w dobrej wierze. Skarcił się za próżność i postanowił, że więcej jego noga w tej jaskini rozbójników nie postanie. Ale póki co był tu i cieszył się zakupami. *Zrozumiałem, dlaczego kupowanie ciuchów jest dla kobiet taką atrakcją.*

- Będziesz musiał spędzić z nami jeszcze trochę czasu. Mam nadzieję, że możesz. Ubrania wymagają poprawek. Skrócenia

nogawek, zwężenia w pasie. Krawcowa jest na miejscu i natychmiast się tym zajmie. Zapraszam na zaplecze.

Pomyślał, że się doskonale składa. Zamiast spędzać czas sam na sam z ponurymi myślami, poflirtuje z tą miłą dziewczyną. To również było dla niego nowością. Szczęśliwy w małżeństwie, nie komplikował sobie życia. Nie odczuwał potrzeby uwodzenia kobiet. Żona mu wystarczała. Kochał ją, no a ona była w łóżku nadzwyczajna. Stworzył sytuację, w której zawsze mogła być pewna jego miłości i lojalności. Nie doceniała tego, o co nie musiała zabiegać...

*Niektórzy z kochanków mogą
źle wyjść do ustępstw przywykły.
Miłość bez współzawodniczki
niektórym się z dziewic przykrzy.*

*Niewielka szczypta zazdrości
dla gnuśnych nie jest szkodliwa.
Niech więc od czasu do czasu
twa luba zazdrosną bywa.*

Wielka szkoda, że dopiero teraz zwróciłem uwagę na tę głęboką mądrość. Gdybym to zrobił w odpowiednim czasie, być może nie miałbym dzisiaj problemów. Przymiarek zwykle dokonywała krawcowa. Tym razem Eva zajęła się nim osobiście. Miała pretekst, żeby go dotykać. Robiła to z wyczuciem i znajomością męskiej natury. Łatwo się podniecił, od kilku miesięcy nie miał kobiety. Wymknęły się spod kontroli pierwotne instynkty. Pchnął ją na ścianę i zakleszczył w uścisku. Kolano uniósł w górę, wciskając brutalnie pomiędzy odporne uda. Barkiem naciskał na pierś, rozplaszczając ją. Czuł, jak jest jędrna. Gwałtownie się wyrywała, więc przytrzymał ręce. Najpierw chwycił za jeden przegub, po chwili, pomimo że uciekała z ręką, schwytał drugi. Uwięzione ręce przytrzymał nad głową, unieruchamiając ją. Głodny jej ust, przełamując opór zaciśniętych

warg, wdarł się w nią językiem. Całował drapieżnie, jakby już była jego. Była zaskoczona i wściekła. Nie przywykła do podobnego traktowania, nie spodziewała się, że właśnie on będzie zdolny do takiej agresji. Pociemniało jej w oczach ze złości i ugryzła tak mocno, że zęby przebiły skórę. W ustach czuła metaliczny smak krwi. Nie zważając na ból, nie przestawał całować. Wciskał język między jej wargi, ona swoim próbowała go wypchnąć. Krew mieszała się w sklejonnych ustach ze śliną. Kiedy ją wreszcie uwolnił, była wzburzona. Stała przed nim, piorunując go wzrokiem. Powinien przeprosić, jednak tego nie uczynił, ugryzienie za mocno bolało.

- Twoje zachowanie jest bardzo, bardzo dziwne. Czy mógłbyś się wytłumaczyć? - zapytała, starając się zachować pozory spokoju, choć wściekłość nią telepała.

Nie odpowiedział, ponieważ miał niekontrolowany napad śmiechu.

- Dlaczego rżysz jak matolek? - zapytała, zła jak osa.

- Sam nie wiem.

- To spotkanie, na które stroisz się jak stróż w Boże Ciało, to z żoną czy kochanką?

- Czy to ważne? - Wreszcie się opanował.

- Ale masz tupet! Wyduś z siebie wreszcie, kto jest pechową wybranką?

Zapatrzony w szarozielone oczy, powiedział:

- Chcę cię przelecieć - Tak bezczelny nigdy nie był.

Co za nielot! Gdyby się tak nie wygłupiał, poprowadziłabym za rękę i nawet by się nie zorientował. Stracił przyjemności uwiedzenia kobiety.

- Będziesz się musiał lepiej postarać. Spróbuj jeszcze raz.

- Hmm, Evo?

- Tak?

- Zjesz dziś ze mną kolację?

- Czy w tej samej restauracji, w której się umówiłeś z tą nieszczęsną kobietą?

- Doskonały pomysł. O której kończysz pracę?

- Jak zrobimy poprawki. Jednego dnia siedzisz przy stoliku z kochanką, następnego, przy tym samym, zasiadasz z żoną. Tak nie postępuje dżentelmen. Wiesz, kto to taki?

- Zanim się cokolwiek wydarzy, powinnaś wiedzieć, że złożyłem dymisję. Prawdopodobnie wkrótce wyjadę z Hamburga.

- Taktownie, że powiedziałaś. Nie pozostało nam wiele czasu, więc go nie marnujemy. Pojedziemy do mnie. Moim samochodem. Będzie mi potrzebny, rano muszę być w sklepie. Boli? - Patrzyła na niego przez chwilę, potem dotknęła delikatnie jego krwawiącej i pulsującej bólem wargi.

- Jeszcze za mało. Należało mi się.

- Zaczynasz mówić do rzeczy. Lubisz robić wszystko na opak, prawda?

- To mi dobrze robi na potencję.

- Że co...? Wszystko z tobą w porządku? - zapytała zatroskanym głosem. Pogrywając z klientami, szlifowała wrodzony talent aktorski.

- Dzisiaj nie jestem sobą - próbował się tłumaczyć.

- No, co za szczęśliwy dzień.

Najpierw gryzie do krwi, potem chce się pieprzyć. Trzeba przyznać, że dowcip ma tak ostry jak ząbki. Chyba ugryzła siekaczami, a może sięgnęła kłami? Los bywa przewrotny. Wszedłem do tego sklepu, chcąc zrobić wrażenie na niewiernej żonie, wyjdę z kochanką.

Krawcowa przyniosła poprawione ubrania. Przeszli do sklepu, gdzie odbył się rytuał pakowania. Stał z boku, a Eva szeptała z drugą sprzedawczynią.

Miała simcę 8. Oryginalne autko, które nie pasowało do ekspedientki. Nawet z takiego sklepu. Po dłuższej jeździe skręciła w jedną z nielicznych ulic, które ocalały z bombardowań, i wjechała w podwórko secesyjnej kamienicy. W Hamburgu ocalało niewiele takich solidnych, mieszczańskich budynków. Otworzyła drzwi i pierwsza weszła do środka. Mieszkanie było luksusowe i wielkie, co

mógł ocenić po długości korytarza. Zaprowadziła go do salonu. Na podłodze leżał dywan, który nawet dla takiego ignoranta jak on wyglądał na stary i cenny. Zażenowany zawrócił i zdjął w korytarzu buty. W tym mieszkaniu zaczynał się czuć nieswojo. zaproponowała coś do picia. Na kieliszek brandy miał wielką ochotę.

Chciała wziąć gorącą kąpiel, zrzucić z siebie zmęczenie całego dnia pracy. Poszła do łazienki, puściła wodę do olbrzymiej wanny i nalała olejku lawendowego. Kiedy wróciła do salonu, przeglądała książki. Zawsze tak robił, książki wiele mówią o właścicielu. Na półkach stała pięknie wydana klasyka, sporo lekkiej, kobiecej literatury. Były też albumy i książki o jeździectwie. Przyglądała mu się bez słowa. Wanna się napełniła, więc wzięła go za rękę i zaprowadziła do łazienki. Powiedziała, żeby wszedł do wanny, a sama poszła do kuchni. Przygotowała półmisek przekąsek oraz drugi z owocami, które podzieliła na kawałki. Na koniec wyjęła dwie butelki reńskiego. Jedną zostawiła na stole, drugą odkorkowała i zabrała do łazienki. Nie wiedział, czy planuje wspólną kąpiel, czy tylko chce, żeby się wykąpał. Zobaczył dwa kieliszki i już wiedział, czego chce. Zapaliła dyskretną, boczną lampę, zgasiła górne światło i zrzuciła z siebie szmatki z uśmiechem, który mówił: „Obejrzyj mnie. I jak, może być?”. Natura obdarzyła ją kobiecymi kształtami, krągłościami i wcięciami gdzie trzeba, nieskazitelną cerą i elegancją ruchów. Usadowiła się w wannie, twarzą do niego. A wtedy wszystko, co nie było rozkoszą, przestało się liczyć.

Po śniadaniu usiedli w fotelach. Eva, w kusym szlafroku, zarzuciła nogi na poręcz, żeby mógł je podziwiać.

- Kto zaczyna?
- Panie mają pierwszeństwo.
- Zdradzisz mi wreszcie, z kim się spotykasz?
- To żadna tajemnica, z żoną.

- To pierwszy taki przypadek, jaki znam. Jesteście przekonani, że o żony nie trzeba zabiegać, traktujecie je jak swoją własność. A ty wydajesz mnóstwo pieniędzy, żeby się przed nią pokazać. Jesteś

przystojnym mężczyzną. Ja poleciałam na ciebie, nie oglądając się na fason marynarki, nawiasem mówiąc, beznadziejny.

O co tu chodzi? Nie mogła opanować ciekawości.

- Podejmiemy decyzję o rozwodzie. Zdarzenia, które doprowadziły do naszej separacji, sprawiły, że chcę się pokazać. Rozumiesz... Nie chcę być „tym przegranym”. Szyk i elegancja, spotkanie w najlepszym lokalu.

Na twarzy Evy zaszła zmiana. Rysy jej złagodniały, przełknęła ślinę. *Dlaczego najlepszym facetom trafiają się wariatki albo dziwki?*

- Próżne, ale bardzo ludzkie. - Westchnęła z żalem.

- Z jakiego powodu właścicielka sklepu udaje ekspedientkę?

- Jak zgadłeś, spryciarzu?

- Moja piękna, to ja zadałem pytanie.

- Ach tak, faktycznie. Stanowczo protestuję, ekspedientki nie udaję. Przecież nie pytałeś, kim jestem. Lubię swoją pracę, lubię spotkania z klientami, nawet jak się na mnie rzucają. Pod warunkiem, że mi wpadli w oko. Teraz moja kolej. Skąd masz tyle pieniędzy? - Założyła nogę na nogę i lekko nią bujała. Od jazdy konnej miała pięknie wysklepione łydki, od których nie mógł oderwać wzroku. Przypomniawszy sobie, jak mu je zarzuciła na plecy i zaplotła. Lubiła, jak się tak na nią gapił.

- Pracowałem w wywiadzie. Potrafiłem wykorzystać informacje, które do mnie docierały, żeby zarobić. Nielegalnie, ale w zgodzie z sumieniem.

- Poszłam do łóżka z tajnym agentem. Czemu... Jaki jest powód separacji?

- Najzwyklejszy na świecie. Miała romans.

- Ty ją przecież też zdradzasz. Tobie wolno, a jej nie? Uważasz, że jesteś od niej lepszy?

- Ja jej nie zdradzałem. Nie jesteśmy razem, więc mi nie mów o zdradzie.

- Wprost nie mogę uwierzyć. - Zamierzała coś jeszcze powiedzieć, ale położył jej palec na ustach. Nie chciał o tym

rozmawiać. Za bardzo bolało.

- Czy chcesz się ze mną dzisiaj spotkać? - zapytała.
- Myślałem, że już nie będziesz mnie chciała widzieć.
- Bo nie chcę. Ale niekoniecznie od zaraz.

W soboty zamykała wcześniej, więc umówili się na szesnastą. Przez resztę dnia oglądała żurnale. Dziewczyny były ciche jak trusie. Nie wiedziały, czy miała randkę i czy się udała. Lubiły szefową i były szczęśliwe, że mogą pracować w takim sklepie. Każda liczyła, że znajdzie tu męża. Zamożnego dżentelmena, inni przecieź do tego sklepu nie przychodzili. Uśmiechnęła się i pogroziła palcem. Wiedziała, że o niej szepczą, wiedziała też, że życzą jej jak najlepiej.

Świtało, za oknem rozświergotały się ptaki. Objął ją, a ona, wpasowując się, oplótła go rękami i nogami. Kołysany do snu jej miarowym oddechem, zaczął się wahać.

Przyszedł do Hotelu Kempinski na długo przed spotkaniem. Chciał być przed nią. Przypuszczał, że przyjdzie nieco wcześniej, nie chcąc się spóźnić. Przechodząc przez salę, widział, jak eleganckie kobiety zrobione na najnowszy styl *New Look*, specjalnie się z tym nie kryjąc, obrzucały go spojrzeniami. Zamówił koniak i cygaro. Nie palił papierosów, jednak dym tytoniowy mu nie przeszkadzał. Nawet lubił niektóre zapachy tytoniu fajkowego, jak black velvet, który palił Mungo. Dymem z cygara usiłował napisać w powietrzu jej imię. Pojawiła się niemal punktualnie. Na jej widok mężczyźni odwracali głowy. Nie dzisiaj. Zauważył, że zmizerniała, a jej krok zrobił się sztywniejszy i niepewny.

Przyszła pełna nadziei i speszona. Uśmiechała się nieśmiało, jak kobieta, która nie wie, co ją czeka. Wybrała krzesło naprzeciw. Usiadła, wtedy zgasił cygaro, z którego została połowa.

Od razu zauważyła, jak się zmienił. *Wygląda znakomicie. Jakby nasze rozstanie dobrze mu służyło.* Naszły ją posępne myśli.

Z wyczuciem sytuacji założyła niebieską, rozkloszowaną princeskę - swoją szczęśliwą sukienkę. Chyba każda kobieta ma taką w szafie. Była skromna, ale doskonale leżała i podkreślała figurę.

Ograniczyła do minimum makijaż, pomimo że oczy miała podkrążone, a cerę bladą. Wiedziała, co robi.

Mógł się jej przyjrzeć po raz pierwszy od dwóch miesięcy. Nie była tą wesołą dziewczyną, w której się zakochał. Znikł figlarny błysk w oku. Nie próbował jej komplementować, wiedział, że zabrzmi nieszczerze.

Widziała, jak się jej bacznie przygląda. Usta zaczęły jej lekko drgać. *Nie mogę pokazać po sobie, jak bardzo jestem zdesperowana.* Poszła do toalety, spryskała twarz zimną wodą i uszczypnęła się w ramię tak mocno, że ból promieniował na całą rękę. Zdeterminowana i spokojniejsza, powróciła do stolika. W jego oczach nie widziała złości, czego się najbardziej obawiała, zdecydowała więc przejść do tematu. Przeciąganie rozmowy nie miało sensu.

- Czy podjąłeś decyzję? Chcesz rozwodu?

Czekała na odpowiedź, wpatrzona gdzieś w dal wzrokiem, który wydawał się nieobecny. Wyczuwała jego niezdecydowanie i nie mogła opanować drżenia rąk.

Swoją determinacją bardzo go zaskoczyła. Widząc, jaka jest spięta, nie chciał jej karać przeciąganiem odpowiedzi, był jednak nieprzygotowany na tak bezpośrednie pytanie już na początku rozmowy. Wahał się. Co serce nakłoniło do wyciągnięcia ręki na zgodę, poczucie krzywdy ją odtrącało. A wtedy coś podjęło decyzję za niego.

- Chcę, żebyśmy poukładali nasze małżeństwo od nowa. Nie przestałem cię kochać i bardzo mi na tobie zależy. - Wydawało mu się, że to nie on powiedział.

Wypuściła z płuc powietrze, nawet nie zauważyła, że wstrzymuje oddech.

- Najmilszy, wiem, zachowałam się podle. Nie będę się tłumaczyła, nie mam jak. Jestem tylko lekkomyślną kobietą, skłonną do najgłupszych pomyłek. Zrobię wszystko, żeby to naprawić. Nie musisz nawet wybaczać, tylko nie odchodź - prosiła.

- Jeśli mamy być razem, mam pewne warunki.

- Jakiegokolwiek, spełnię każde! - wykrzyknęła z ulgą.

- Moje warunki są rozsądne i nie będą sprawiały najmniejszego kłopotu.

- Mów, proszę.

- Zaczniemy od nowa, jakby się nic nie wydarzyło. Nie da się zapomnieć o przeszłości, ale nie należy do niej powracać, bo to z pewnością do niczego dobrego nie doprowadzi. Wszystko, co się wydarzyło przed moim wylotem, w trakcie oraz do dnia dzisiejszego, przestaje istnieć. Nie będziemy rozmawiali o zdarzeniach ostatnich miesięcy. Nie będziesz zadawała pytań, próbowała się czegoś dowiedzieć na własną rękę ani mnie podpytywać. Wprawdzie z tego powodu nie odejdę, ale dostaniesz lanie. - *Nie może poznać prawdy o Philu, bo nie uwierzy albo się ze wstydu zapadnie pod ziemię, i to mnie za tę prawdę znienawidzi.*

Pragnął powiedzieć: „zapomnijmy”, jednak nie miał złudzeń. *Wyszedłbym na idiotę. Ona do swoich wspomnień będzie wracała.*

Nie będzie robił wymówek! Chyba niewielu mężczyzn stać na taką wyrozumiałość. Zawstydził mnie.

- Pewnie, że się zgadzam, i bardzo ci dziękuję. Czy masz jeszcze jakieś oczekiwania? - Czuła się cudownie, jakby była zawiana.

- Właściwie to nic więcej, jednak chcę być z tobą szczerzy. Sprawy między nami ani łatwo, ani prędko się nie ułożą. - *Zapowiada się długie i trudne pojednanie, a cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Może znajdzie sobie nowego kochanka? Tym razem dyskretnie. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje w głowie tej kobiety.*

- Mama mówiła, że mój romans to nie wszystko i nie chciałeś powiedzieć, co się jeszcze wydarzyło. Nie będę dopytywać. Obiecuję! Codziennie, Robercie, codziennie coś mi o tobie przypominało, tęskniłam za naszymi rozmowami, za twoim głosem, chciałam ci coś powiedzieć, a teraz potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek - kłamała. Dla niego, żeby się pewniej poczuł.

To o mnie czy o nim? Chciał spytać: „Jak bardzo go kochasz?”, pomimo że znał odpowiedź. Jaką udręką jest kochać kobietę, która

kocha innego. Żeby jej dokuczyć, miał ochotę powiedzieć: „Nie znoszę melodramatów”, jednak się powstrzymał. Nie powinien zaczynać od złościwości.

- I ja ciebie potrzebuję - powtórzył jak echo. Milczenie zawisło między nimi jak kurtyna. Nie potrafili już ze sobą rozmawiać.

- Czy możemy zamówić coś do jedzenia? - zapytała, chcąc przerwać nieznośną ciszę.

Jest cholernie elegancki. Kobiety mu się przyglądają, pomimo że nie jest sam. Przechwyciła kilka ukradkowych spojrzeń. Najlepsza restauracja, nowe ubranie, z pewnością koszmarnie drogie. Czy to na mnie chciał zrobić wrażenie? Przecież wiedział, że nie musi. W końcu to ja jestem przegrana i ja o niego zabiegam. Skoro po tym, co się wydarzyło, chce ze mną być, a nie miałby najmniejszego problemu ze znalezieniem atrakcyjnej kochanki, to muszę być dla niego wiele warta. Jeszcze niedawno była przekonana, że ich związek przechodzi głęboki kryzys. Z perspektywy ostatnich zdarzeń wygodne życie u jego boku wydawało się rajem utraconym w porównaniu z sytuacją kobiety odtrąconej przez kochanka i porzuconej przez męża. Nie była stworzona do samotności.

Zamówił dla siebie stek z grilla. Zamówił też za nią. Wiedział, że lubi przepiórki.

Ja go zdradziłam, a on mi sprawia przyjemność. I to na każdym kroku, jak te przepiórki. Jednocześnie trzyma mnie na dystans. Często jest mi go trudno zrozumieć.

Skończyli jeść, była dziewiętnasta. Chciała się do niego przytulić i zakończyć wreszcie ten nieznośny stan zawieszenia. Żeby ją objął, żeby było jak dawniej.

Zamówił kawę i koniak dla siebie, dla niej likier, aby osłodzić jej życie. Zaczęła grać orkiestra, więc przesiadła się obok niego. W restauracji często przesuwiała stopą po jego łydce. Byli zasłonięci obrusem, dlatego nikt nie widział, co się wyprawia pod stolikiem. A teraz się obawiała, jak zareaguje na tę niewinną igraszkę. Straciła całą swoją pewność siebie. Wtedy po raz kolejny ją zaskoczył.

- Złożyłem rezygnację, odchodzę z MI6 – oznajmił beznamiętnie.

Kiedy ona romansowała, on doznał tajemniczej przemiany. Był teraz innym mężczyzną. Dojrzałym, pewniejszym siebie i obcym. Przestraszyła się, że stracił pracę, którą tak lubił. Widząc jego opanowanie, uwierzyła, że sobie poradzi.

- Dlaczego, kochanie, złożyłeś rezygnację?

Natychmiast uświadomiła sobie, jak idiotyczne pytanie zadała. *Co ma odpowiedzieć? Że przez nią?* Zmieszana, nerwowo skubała rękaw sukienki.

- Podanie złożyłem przed trzema tygodniami, czyli czas, o który nie powinnaś pytać. Jeszcze się nie przyzwyczaiłaś, więc nie ma problemu. Jednak staraj się nie zadawać takich pytań – wybrnął, udzielając jej lekkiej reprimendy.

Aż się zaczerwieniła. *Co się, do jasnej cholery, wydarzyło?* Nawet nie próbowała sobie tego wyobrazić. W Hamburgu? W Anglii? W Polsce? I kto tę burzę rozpętał? Najbardziej prawdopodobne było, że za wszystkim stał Phil. Zadzwoił do szpitala. Nie miała pojęcia, skąd się dowiedział. Powiedziała pielęgniarce, że nie chce z nim rozmawiać. Miała świadomość, że jeśli usłyszy jego głos, nie zapanuje nad sobą i wyzna, jak bardzo go kocha.

A może byś tak ze mną spędził tę noc? Omal się jej nie wyrwało. Lekko przechyliła głowę. Nie był zainteresowany. Nie zaproponował, żeby wróciła z nim do domu, na co bardzo liczyła. *Zaprośił mnie do naszego domu. Na jutro! A jeżeli nie pozwoli zostać na noc? Przecież nie może mnie tak poniżyć!*

Wstała, żałując, że nie pocałował, choćby w policzek. Uświadomiła sobie, że nawet jej nie dotknął. Potrzebowała kontaktu fizycznego. Jakiegokolwiek, nawet przelotnego muśnięcia dłonią.

Z restauracji wyszli razem, potem rozeszli się w przeciwnych kierunkach.

Pojechał do Ewy. Nie czekał, aż spyta, powiedział, że wraca do żony. Przyjęła to ze spokojem, nie robiła wymówek. Poprosił, żeby

była z nim tę ostatnią noc. Wprawdzie nie powiedział, ale się domyśliła, że tę noc ukradł dla niej.

- Tak cię zamęcę, że twoja żona nie będzie miała z ciebie żadnego pożytku. - Złapała go za jądra.

- Kręci mnie ten pomysł! - Wzruszony, przytulił ją, zanurzając twarz we włosach.

Pół dnia udawał, że pracuje. Wszedł z firmy wcześniej i wrócił do domu. Po drodze kupił kwiaty. Wszedł do środka, przystanął w korytarzu. Życie opuściło to miejsce, a wspomnienia, nachodzące go jak duchy z nawiedzonego dworu, tylko pogłębiały poczucie pustki. Nalał sobie brandy i wypił jednym haustem. Był zdenerwowany, więc wyjmował książki z walizek i ustawiał na półkach, co go trochę uspokajało. Przyjechała taksówka - poobijany, przedwojenny adler. Wsiadła z niej Marion. Miała jedną niedużą walizkę. Podeszła niepewnym krokiem i choć ścisnęła w ręku klucz, zadzwoniła do drzwi, jakby przyszła z wizytą. Kiedy otworzył, nie weszła, tylko czekała na zaproszenie. Objął ją, lecz nie pocałował. Nie chciał, nie potrafił, nie miał ochoty. Nieomal fizycznie odczuwał tę barierę. Jak mają być razem, jeżeli nie jest w stanie jej pocałować? Po co się przełamywać, jeżeli ona na pewno będzie się zmuszała, coś udawała? Z tego samego powodu, a nawet gorzej.

Był przekonany, że Marion nie zdradziła dla przelotnej przygody, lecz zakochała się w Philu i to bardzo, a co gorsza, nadal go kocha, a jej serce może się z tej miłości jeszcze długo nie wyleczyć. Musiał się pogodzić z gorzką prawdą. Miłości żony może nie odzyskać, a jej zapewnienia nic tu nie zmienią. *Po jaką cholere zgodziłem się do niej wrócić? Próbowала się zabić, bo ją rzucił. Życie bez niego musiało być dla niej nie do zniesienia, więc go kocha do szaleństwa. Mnie tak gorącym uczuciem nigdy nie darzyła. W jej sercu na zawsze pozostanę tym drugim. Gorszym. Będzie mnie na każdym kroku porównywała do kochanka, z którym było jej stokroć lepiej. Takie porównanie muszę przegrać. Kobieta nie przeniesie uczuć z jednego mężczyzny na drugiego tylko dlatego, że tak jej podpowiada*

rozsądek. Kiedy serce mówi „nie”, rozum nie pomoże. Czy zdołam unieść taki ciężar? Jaki sens ma zaczynanie czegoś, co się nie może dobrze skończyć? Wyjdziemy z tego jeszcze bardziej poobijani.

Rozglądała się wokół nieśmiało, jakby szukała śladów obecności rywalki. Wieczór spędzili na miłej rozmowie o niczym. Unikali drażliwych tematów i nie patrzyli sobie w oczy. Przygnębiające myśli krążyły po głowach, a oni się od siebie oddalali, coraz bardziej oddalali. Marion, przerażona spustoszeniem, jakie się między nimi dokonało, usiłowała przewyciężyć przygnębenie.

Na długo przed jej zdradą namiętność w ich małżeństwie wygasła. Z upływem czasu coś się zmieniało. Niemal niezauważalnie. To było właśnie najgorsze. Odsuwali się od siebie. Czy ona od niego, czy on od niej, trudno powiedzieć. Łóżko nadal ich łączyło, ale zamiast namiętnie, było beznamiętnie. Nie pożądał żony tak, jak dawniej, więc się z tym powolnym procesem pogodził.

Przesadna uprzejmość zastąpiła spontaniczną radość z bycia razem, miłość gdzieś odeszła, pozostawiając za sobą obojętność, rutyna zajęła miejsce pożądania. Tak wyglądało nasze małżeństwo! Winni byliśmy obydwój, nie ma znaczenia, kto bardziej, kto mniej. Należało coś zrobić i to dużo wcześniej. A my nawet szczerze ze sobą nie porozmawialiśmy. Może w tym, że się puszczała, jest i moja wina? Jakie to żałosne...

Pomimo że naprawdę tego nie chcieli, wyrósł pomiędzy nimi niewidzialny mur. Nie miał wzvodu, a ona nie pachniała sobą. Jeszcze nie przeżył takiej kompromitacji. Jeżeli szedł z kobietą do łóżka, pożądał jej i miał erekcję. Jedyna różnica polegała na tym, że czasami solidną, a czasami aż go rozsadzała. A teraz kłapa. Dosłownie i w przenośni. O blamaż obwiniał siebie. Jej ciało się nie zmieniło, było kuszące, pragnął jej. Niestety, pożądać mógł jedynie platonicznie. Wstydział się, że mu nie staje. Ona przeżywała inne rozterki. *Już mnie nie chce? Uważa, że jak byłam z innym, to jestem zhańbiona? Przecież nie może tak myśleć! Następną noc na pewno wszystko zmieni.* Usiłowała ukryć zakłopotanie.

Wbrew nadziejom ani następna noc, ani jej starania nie pomogły. Ponieważ kolejne dni nie przynosiły odmiany, z poczuciem porażki przeniósł się do pokoju gościnnego.

Marion obawiała się rozwodu. Mąż jej nie chciał, kochanek ją odprawił.

Było przed zmrokiem, gdy powiedział:

- Odchodzę, żegnaj.

Jej świat zawirował. Wstała i starając się iść prosto, bez słowa wyszła. Nie pamiętała nawet, jak wróciła do domu. Zrzuciła odkryte pantofle, które kupiła, kiedy zauważyła, że mu się podobają jej stopy. Zdjęła sukienkę, którą wybierała przez godzinę, łudząc się, że właśnie dziś wyzna jej miłość, i zrozpaczona rzuciła się na łóżko. Jej ciałem wstrząsały spazmy, poduszka zrobiła się mokra od łez. *Wróc do mnie, ukochany, nie chcę bez ciebie żyć. Pragnę cię tak, że serce boli.* Winy doszukiwała się w sobie. Napisała list z wyznaniem miłosnym i błaganiem, żeby do niej wrócił, nie zdobyła się jednak na jego wysłanie. Poczula w sobie absurdalnie oczywiste pragnienie śmierci. Z maszynki do golenia męża wyjęła żyłkę, położyła na niewysłanym liście i patrzyła tak długo, aż zapadła w odrętwienie, a potem niespokojny, pełen majaków sen.

Co zrobi, jeżeli, pomimo zapewnień, Robert się z nią rozwiedzie? Będzie się wtedy musiała wyprowadzić, ze wstydem ustępując miejsca szczęśliwej rywalce. Do rodziców nie wróci, w Meppen męża przecież nie znajdzie. Pozostają studia, tylko że na akademii też nie będzie łatwo. Zawsze miała wielkie powodzenie. Teraz miliony samotnych kobiet polują na mężczyzn i zrobią wszystko, żeby wyjść za mąż.

Początkowo mniej się tylko pieprzyliśmy. Kochaliśmy się, lecz nie byliśmy w sobie zakochani. Uznaliśmy, że nic złego się nie dzieje. Po ślubie pieprzyliśmy się jak króliki i jakoś nam nie zaszkodziło, wtedy się najbardziej kochaliśmy. Było naturalnie, jak oddychanie. Później zrobiło się inaczej. Bliskość ciała, do którego nie przytulałam się z czułością i niezbyt często go pożądałam, stawała się krępująca. Im

rzadziej to robiliśmy, tym byłam bardziej skrupowana. Jakbym szła do łóżka z nieznajomym. Nie potrafiłam powiedzieć: „Zerznij mnie tak, żebym odleciała”. Słowa grzęzły w gardle. Przemineła spontaniczna radość dawania i brania. A on? Nie pytał. Łapał za cipkę, zaciągał do sypialni i brał, jakbym była jego własnością. A mnie to właśnie najbardziej podniecało. Potem zaczął się chyba wstydzić, że coś powiem, pomyślę. Sama nie wiem. Dlaczego miłość przemija? Czy jest sposób, żeby to odmienić? Czy straciłabym głowę dla Phila, gdyby między nami układało się jak na początku? Niestety, teraz, kiedy naprawdę chcę to naprawić, jest już chyba za późno.

Przygnębiało ją, że zaufanie, jakim się dotąd cieszyła, miało swoje granice. Zapewne już nigdy nie odzyskam jego zaufania. Kiedy w każdym mężczyźnie, do którego się uśmiechnę, przestanie widzieć nowego kochanka? Przecież ja do niego również straciłam zaufanie. Boję się, że mi odpłaci tym samym, choćby po to, żeby się zrewanżować. Jakie to smutne.

On również myślał o zaufaniu. Niestety, nie mogę jej już ufać. Wszystkie te kluby, w których znika na całe dni... Jeżeli mnie zdradziła i było to dla niej niezapomnianym przeżyciem, z pewnością zrobi to ponownie. Tylko będzie ostrożniejsza.

Umówił się telefonicznie z Evą. Wieczorem przyszedł z bukietem róż i skórzaną teczką. Wstawiła kwiaty do wazonu, nalała wina do kieliszków.

- Mam coś dla ciebie. Drobnny upominek.

Z tajemniczą miną położył przed nią teczkę. Zapiszczała z radości, kiedy zobaczyła prezent. Piętnastowieczną, ręcznie kopiowaną w klasztorze Monte Cassino, wspaniale ilustrowaną *Sztukę jeździectwa* Ksenofonta.

- Skąd go masz? - zapytała, a jej piękne oczy błyszczały z pożądania.

- Zabiłem człowieka, żeby zdobyć tego Ksenofonta.

- Chyba nie mówisz poważnie!? - Nie odpowiedział. - Żartujesz, prawda? - Nie mogła opanować ciekawości.

- Wykonywałem swoje obowiązki. On pierwszy wyciągnął broń. Był esesmanem. Gdyby zdążył wystrzelić, ja bym zginął.

Przerażona, kobiecym gestem zakryła usta dłonią.

- Nie mogę przyjąć tak cennego prezentu.

- Możesz i przyjmiesz. Potraktuj tę książkę jako zapłatę za swoje usługi seksualne. Były najwyższej jakości. „Warta jest robotnica zapłaty swojej”⁷⁴.

Takie dowcipy wymagają ostrożności. Nie każda kobieta umie je docenić. Eva złapała Ksenofonta i chciała nim grzmotnąć w ten bezczelny łeb, jednak się zreflektowała. Manuskrypt był cenniejszy od pustej głowy. Żeby nie wypaść z roli, gorączkowo się rozglądała. Jej wzrok padł na paterę z owocami. Bez namysłu walnęła go w głowę dorodną gruszą. Uderzenie było tak silne, że gruszka pękła i zalała twarz sokiem. Miała go ochotę zlizać, ale byli już na innym etapie znajomości, więc z żalem zrezygnowała z tego pomysłu.

Wyszedł z domu wcześniej, wrócił późno. Ta sytuacja ciążyła mu coraz bardziej. Marion już spała. Wszedł cicho do sypialni. Jak miała w zwyczaju, jedną nogę wysunęła spod kołdry. Powinien wsunąć rękę pod pościel, potarmosić cipkę i już po chwili mógłby się cieszyć jej ciałem. Cicho zamknął za sobą drzwi.

Jej nie było łatwiej. Gdyby Phil się pojawił i powiedział: „Wyjedź ze mną”, nie wahałaby się ani chwili. Nadal go kochała uczuciem mocnym jak narkotyk. W jego ramionach było jej jak w niebie. Miał w sobie coś, czego nie posiadał mąż - był marzeniem, pragnieniem i spełnieniem. Uwierzyła, że odnalazła tego jedyne, a wtedy wszystko przestało się liczyć. Zatracając się w ogniu namiętności, zapominała o realnym świecie. O mężu, poprzednim życiu, o wszystkim. Znalazła się w innym wymiarze, w którym nie uwierał gorset hipokryzji, a może nie obowiązywały żadne reguły. Dla niego i tylko dla niego rozkwitała pełnym blaskiem swej kobiecości, dzięki niemu zrozumiała, czym jest prawdziwa miłość.

Miał nad nią władzę. Absolutną. Ona zaś była nienasycona. Szatan wzniecał w niej pożar, który był wyzwaniem dla jego męskości. Nieustannie gasił go spermą, nigdy jednak nie zdołał zdusić. Jej chuć domagała się daniny. Musiała mieć go w sobie, bo inaczej jej łono wyschłoby z pragnienia. Jego potrzeba dominacji i jej dzikie żądze były jak stos atomowy, który przekroczył masę krytyczną. Nakłaniał ją do najbardziej wyuzdanych występków, rozkazywał, a ona ulegała. Kiedy go naszała ochota, brał ją siłą. Choć żądza ją opętała, lubiła udawać oporną, ponieważ jeszcze bardziej się wtedy podniecała. Zmuszana przemocą, pozwalała mu poskramiać ukryte w niej zwierzę. I nigdy nie miała dosyć. Po przebudzeniu niewiele pamiętała. Może sam początek. To, co następowało później, było jednym wielkim chaosem, gonitwą myśli, jakby przed zaśnięciem wyczyszczono jej pamięć. Wszystko ją bolało, nic to jednak dla niej nie znaczyło. Odnajdywała na skórze zadrapania, czerwone pręgi, jakieś drobne skaleczenia, których przyczyn nie знаła. Obnosiła się z tymi śladami jego namiętności. On również nosił na skórze liczne dowody jej temperamentu.

Najgłębsze zaspokojenie osiągała, zezwalając ukochanemu na wszystko, czego zapragnął. Jej ciało zamieniało się wtedy w wulkan namiętności, nad którymi nie panowała i już nie wiedziała, gdzie następują eksplozje, a gdzie pochłania ją ogień. Zmysły porozrywane są na strzępy, a ból staje się rozkoszą. Co noc grzeszna para trafiała do piekła, w którym oczekiwały niebiańskie rozkosze. O tym, co będzie, kiedy mąż wróci, nie myślała. *Nic mnie to nie obchodziło. Nic a nic.* Wiedziała, dlaczego Robert się na takie porywy dzikiej żądzy nie zdobędzie. *Jest za słaby. Nie ma tej wewnętrznej siły, jaką ma Phil.*

Musiała się wreszcie pogodzić z rzeczywistością, jednak żyła wspomnieniami. Siłą rzeczy nie potrafiła odnaleźć w sobie miłości do męża. *Jak mam go kochać, kiedy moje serce należy do innego? Dopóki się nie odkocham, musi nam wystarczyć jego miłość. Czy to wyczuwa i dlatego nie może?* Zabiegała o niego. Na swój kobiecy sposób robiła wszystko, żeby się podobać, żeby układało się między nimi jak

najlepiej, jednak nie tylko od niej to zależało. Był do przesady uprzejmy, a swoim spojrzeniem gasił światło w jej oczach, co ją irytowało i jednocześnie wzbudzało ogromny niepokój. Mogła go nie kochać, lecz pozostawała spontaniczna, ciepła i tego samego oczekiwała od niego.

Takiego, jakim się stał, z pewnością nie pokocham. Jeżeli nie poda mi ręki, nie uda nam się. Ogarnęło ją rozgoryczenie. Nie traciła jednak nadziei.

Obudził go zapach świeżej kawy. W prześwitującym szlafroku przyniosła kawę i tosty z dżemem. Gdyby poprosił, zrobiłaby solidne śniadanie. *Przykładowy wizerunek wiernej żony.* Uprzytomnił sobie, co mu chodzi po głowie, i się zachnął. *Dobrze, że obiecałem nie wracać do tematu. Już dawno by mnie znienawidziła.*

- Mama przyjeżdża. Nie będzie nam przeszkadzała. Zatrzyma się w hotelu. Wyjadę po nią na dworzec. Czy zgodzisz się, żebym ją zaprosiła?

- Ja?! Dziewczyno! Przecież wiesz, jak lubię twoją mamę. Nie ma mowy, żeby mieszkała w hotelu. Po to mamy pokój gościnny.

Bała się, że czujnemu oku mamy nie ujdą ich problemy. *O! Mama potrafi takie rzeczy wywęszyć.* Nie mogła jednak oponować, bo wyszłaby na niewdzięczną córkę.

Po powrocie z firmy znalazł w skrzynce list z Oksfordu.

„Mamy zaszczyt zaprosić na symposium poświęcone demokratycznym przemianom w RFN”. Eleganckie, okrągłe pismo, które wyglądało bardzo oficjalnie.

- Widzisz? Mówiłam! Zawsze w ciebie wierzyłam.

Taa, szczególnie we mnie wierzyłaś, kiedy się puszczałaś. Nie chciał tego, nie wywoływał celowo złych emocji, takie myśli same przychodziły do głowy. *Czy ona się domyśla, co mi chodzi po głowie?*

Podejrzliwie obejrzał zaproszenie. Wyciągnął z biurka stary notes i znalazł numer, którego od lat nie wykrecał. Wstydził się, że nie zadzwonił do Allana. Oczywiście z powodu Laury. Obawiał się, że ona odbierze, że usłyszy jej głos. Po namyśle wykreślił centralę

międzynarodową i zamówił połączenie. Pora była odpowiednia, przed kolacją. Marion siedziała naprzeciw i się w niego wpatrywała. Nie chciała się narzucać, ale wiedziała, że gdyby rozmowa nie była przeznaczona dla niej, powiedziałaby. Nigdy nie powracał do tematu studiów, nawet go kiedyś zapytała:

- Nie korci cię, żeby dokończyć studia? Takie miałeś plany.

- Miałem, ale teraz się do Oksfordu nie wybieram. A co, chcesz się mnie pozbyć z domu?

Telefon odebrał Allan.

- Robert? Jaki Robert? Ach, to ty, chłopcze. No przecież, że pamiętam! Co u ciebie? Dawno się nie widzieliśmy.

Przeprosił, że się nie odzywał przez tyle lat. Nie mógł przecież powiedzieć Allanowi, że przyczyną milczenia był romans z jego córką. Przez chwilę wspominali jego studia.

- Dostałem zaproszenie do Trinity College, na sympozjum. Tak się zastanawiałem, czy to nie twoja robota?

- Nie, skądże. Nie miałem od ciebie wiadomości, ale, jak słyszę, i bez mojej pomocy doskonale sobie radzisz.

Po odłożeniu słuchawki siedział zamyślony. Wiedziała, że w takim stanie jest nieobecny duchem i nie należy go rozpraszać. Po chwili się ocknął i zabrał do pisania.

Szanowni Państwo i tak dalej,

bardzo dziękuję za zaproszenie, niestety moje obowiązki nie pozwalają... w przyszłości... Jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Zaglądała mu przez ramię.

- Dlaczego? To takie wspaniałe. Nigdy nie byłam w Oksfordzie. Tak bym chciała... Myślałam... - Znowu była smutna.

- Wiem, ale nie mogę. Wybacz. Obiecuję, że pojedziemy do Oksfordu kiedy indziej.

Nieprawdopodobne, aby donowie⁷⁵ z Trinity College przypomnieli sobie nagle o studencie sprzed tylu lat. W takie cuda nie wierzył. Tylko jeden człowiek miał wystarczające wpływy, żeby coś podobnego zaaranżować. A od niego chciał się trzymać jak najdalej. *Niech ten skurwysyn się wreszcie odpieprzy. Mało mu, że uwiódł mi żonę, to jeszcze mnie próbuje omotać swoją pajęczyną.*

Z trudem powstrzymała napływające do oczu łzy. Tak się ucieszyła, że docenili jej męża. Jeszcze niedawno by się z nim wyklócała, teraz potulnie skinęła głową.

- Skoro tak uważasz, to z pewnością masz ważny powód.

Przyglądał się z zaciekawieniem tej nowej wersji swojej żony i pomyślał, że ma niewątpliwe zalety, ale woli tę dawną, roześmianą, krnąbrną i niezależną.

Za każdym razem, kiedy nabierał na nią ochoty, przed oczami pojawiał się czarno-biały filmik. Za każdym razem inny, ale temat ten sam. Phil ją rżnie. Nie wymyślał tych filmów, same wyświetlały się w jego wyobraźni.

On, ubrany, siedzi w fotelu i czyta „Timesa”. Ona, naga, klęczy przed fotelem. Policzki się zapadają i wypełniają. Phil odkłada gazetę i z obojętnym wyrazem twarzy macha do niego ręką. Innym razem ona na czworakach, z głową między rękami, on ją posuwa od tyłu. Odwraca się i mruga porozumiewawczo. Na kolejnym leży w ich łóżku. Czyta książkę. Pod pościelą widać zarys kobiety. W jednym miejscu kołdra jest wybrzuszona niczym balon i rytmicznie się porusza, góra, dół, góra, dół, Phil z uśmiechem salutuje.

I było coś jeszcze. Kiedy próbowali się do siebie zbliżyć, nie pachniała sobą.

Takie wizje doprowadzały go do szaleństwa. Pomimo że bardzo chciał, nie mógł się w żaden sposób pozbyć natrętnych obrazów i, co zrozumiałe, nie mógł mieć wzvodu. Z bezradności zaczął unikać żony, kiedy próbowała stworzyć intymną atmosferę. W nocy nie mógł spać. Rozmyślał, w gwiazdach szukając rozwiązań. *To przecież niemożliwe, żeby każdy mężczyzna przeżywał zdradę tak boleśnie. Miłość, choć*

niby ponętna, srogię na sercu wypala nam piętna! Najgorsze było, że ją kochał całym sercem. Może nawet bardziej tą zbolełą częścią.

Jak wiele razy poprzednio, uciekał od problemów w literaturę. Przeglądał książki zabrane z mieszkania Vormanna. Konrad Lorenc, Julian Huxley, nic mu te nazwiska nie mówiły. Obaj rozwijali teorię Darwina. Lektura działała jak narkotyk, nie mógł się od niej oderwać. W książkach, które przez przypadek trafiły do jego biblioteki, skołatany umysł odnalazł wyjaśnienie przeżywanych męczarni.

Zazdrość ma zapisaną w genach. Z ewolucyjnego punktu widzenia jedynym celem życia samca, zwierzęcia czy człowieka, jest przeniesienie w przyszłość jak największej liczby swoich genów. Czyli wspólne z partnerką odchowanie dzieci, które przeniosą je dalej w niekończącej się sztafecie pokoleń. Celem samicy jest odchowanie potomstwa, niezależnie którego samca geny nosi. Zdradzany samiec zamiast własnego, wychowuje potomstwo innego samca, nie zrealizuje zatem swej misji życiowej. Zdradzająca samica w żaden sposób nie sprzeniewierza się swojej. Jej misją jest rodzić dzieci i je wychowywać. Niweczy jednak misję partnera. Z tego właśnie powodu samiec, jeżeli chce zrealizować cel ewolucyjny, musi być zazdrosny. W pierwszych, prymitywnych cywilizacjach za zdradę kobiety karano ukamienowaniem. I nie było to jedynie okrucieństwo, a ewolucyjna konieczność.

Czy dla samicy ma znaczenie, który samiec ją zapłodni? Ma, musi mieć. Samica, kobieta, zrobi wszystko, żeby zapłodnił ją ten najlepszy, czyli według kryteriów ewolucyjnych – najagresywniejszy. Najlepiej przewodnik stada, wódz, ponieważ to on posiada najlepsze geny. Bez znaczenia, czy będzie wspólnie z nią odchowował potomstwo. Do pomocy w wychowaniu poszuka innego, lepiej się nadającego. Spokojnego, nie tak agresywnego, wiernego, bardziej rodzinnego. Takiego, jak on. To jest właśnie w zdradzie najgorsze. Kobieta, zdradzając, uznaje cię za tego gorszego, niegodnego jej zapłodnienia. Postępuje zapewne nieświadomie, taką ją stworzyła natura. Przypomnił sobie słowa majora Donimirskiego: „One wychodzą za

ładnych i sympatycznych, a po nocach śnią o niegrzecznych". Widocznie dla jego żony tym niegrzecznym był Phil. Wiedząc, kim w rzeczywistości jest, nawet się jej nie dziwił. Bardziej niegrzecznego znaleźć nie mogła. Takie niewesołe rozważania pozwalały zrozumieć siebie, przetrwać kolejną bezsenłą noc, niestety w żaden sposób nie pomagały. Zazdrość za nic miała wszelkie teorie. Irytujące obrazy nie miały zamiaru pozostawić go w spokoju. Gdyby tak wystarczyło przełożyć Marion przez kolano, stłuc jej ponętne pośladki i w ten oto prosty sposób wyczyścić umysł z wszelkich złych treści...

Dzień upływał za dniem, a u nich niewiele się zmieniało. Jediną osobą, z którą spotykała się Marion, była Marlena. Wczytała w jej oczach tragizm sytuacji, więc zaczęła przychodzić częściej. Do nich, a raczej do niej. Jego nie unikała, jednak to ona wymagała pomocy. Bywała w firmie, więc i do niej dotarły plotki. Marion jej potrzebowała. Okazało się, że ta młodziutka dziewczyna po przejściach jest jedyną prawdziwą przyjaciółką. Poza rodziną, oprócz niej nie miała nikogo, kto w tym trudnym okresie byłby dla niej oparciem.

W życiu Marleny zachodziły zmiany i były to zmiany na lepsze. W miarę jak zimna wojna nabierała tempa, dostawała coraz więcej tłumaczeń. Już raz Mungo wspomniał, że przy najbliższej okazji zatrudni ją na etacie. Rossbachowie, u których nadal mieszkała, traktowali ją jak córkę i rozpieszczali na każdym kroku. Zastępowała im synów, którzy polegli na wojnie. Chodziła do szkoły, a do jej życia powróciła skrzypiąca normalność.

Po pamiętnej walce bokserskiej jej nastawienie do Roberta bardzo się zmieniło. Patrzyła na niego innymi oczami. Chciała zobaczyć leżącego na deskach Rosjanina, doświadczyć uczucia triumfu na widok poniżenia oprawcy. Zrealizował jej marzenie. Po walce nie chciała przeszkadzać. Sądziła, że będzie oblegany przez wielbicieli. Ale już następnego dnia zameldowała się w ich domu. Tym razem nie przysłała do Marion, lecz do obojga. Jemu przyniosła w prezencie

wierszyk specjalnie dla niego napisany. Spełniał rolę białej flagi. Wierszyk był napisany ołówkiem kopiowym na pergaminie, w który zapakowała gomółkę świeżutkiego wiejskiego twarogu, prezent od Rossbachów zmuszonych do wielokrotnego wysłuchania opisu całej walki. Kot

Szczegół po szczególe wydobyła od przyjaciółki historię jej romansu – dotąd znała jedynie plotki. Marion w największym sekrecie opowiedziała jej również o tajemniczych okolicznościach swojej przygody. Marlena zebrała się na odwagę i kiedy jej nie było w domu, spróbowała rozmówić się z Robertem. Rzecz jasna ją ofuknął i swoim zwyczajem powiedział coś o siksach, które wtykają nosy w nieswoje sprawy. Jemu ta historia również niemiłosiernie ciążyła. Dotąd nikomu nie opowiedział wszystkiego, co się wtedy wydarzyło. Wpatrywała się w niego w milczeniu swymi wielkimi, rozumnymi oczami, jakby chciała coś powiedzieć. Poszedł do łazienki, wrócił z brzytwą, wepchnął ją do gabinetu i zamknął drzwi.

- Wiesz, po co ją przyniosłem?

- Nie mam pojęcia. Poderżnąć mi gardło?

Nie zdając sobie sprawy, jakie dramatyczne konsekwencje przyniesie ta niedyskrecja, opowiedział jej całą historię. Pomiął jedynie wątek osobisty, nie wyzalał się, jak przeżywa zdradę i jakie ma problemy seksualne. Nie musiał. Z opowiadań Marion, półsłówiek udało jej się przejrzeć ich problemy. Skończył opowiadać, zapadła cisza. Intymnym gestem go objęła.

- Nie martw się, jestem pewna, że wszystko się między wami ułoży.

Choć nie zdradziła tego nikomu, Phil stał się jej śmiertelnym wrogiem. Służył Rosjanom, których nienawidziła, skrzywdził jedynych dwoje ludzi, których kochała, więc postanowiła go zdemaskować. Wiedziała, że potrwa to latami, o ile wcześniej jego zdrady nie wykryje ktoś inny. Jeżeli Robert nie był w stanie podołać zadaniu, ona będzie się musiała wykazać niebywałą cierpliwością.

Po kolejnej nieprzespanej nocy wczesnym rankiem podjechał do portu rybackiego. Chciał wyjść na świeże powietrze, popatrzeć na kutry, choć na chwilę zapomnieć o problemach. Nad Elbą unosiła się lekka mgiełka. Pomimo wczesnej pory na rzece panował ożywiony ruch. Przy nabrzeżu rybacy przygotowywali się do wypłynięcia. Ładowali na kuter skrzynki wypełnione suchym lodem. Szyper, starszy już zwalisty mężczyzna w przybrudzonej flanelowej koszuli, nadzorował załadunek. Pozazdrościł im pełnego trudów, lecz pozbawionego rozterek życia.

- Czy mogę z wami wypłynąć? Będę pracował za darmo - zapytał bez zastanowienia.

- Nie potrzebujemy dodatkowych rąk na pokładzie.

- Zapłacę. - Nie lubił się wycofywać.

Rybak popatrzył jak na wariata i wzruszył ramionami.

- Nie trzeba. Wsiadaj pan.

- Jak długo potrwa rejs?

- Tydzień, może krócej. Zależy, jak będzie szła ryba.

- Potrzebuję piętnastu minut. - Chciał powiadomić żonę i Mungę.

- Nie ma problemu, wypływamy za pół godziny; nie będziemy czekali.

Podjechał do najbliższej budki telefonicznej. Musiał ją obudzić, bo długo nie odbierała. Powiedział tylko:

- Wypadło mi coś pilnego, muszę wyjechać na tydzień. - Nie miał ochoty się przed nią tłumaczyć.

Była ciepła jesień, więc z ubraniem nie było problemu. Zresztą higiena osobista była teraz jego ostatnim zmartwieniem.

Wypłynęli na otwarte morze i wzięli kurs na łowisko. Dowiedział się, że jest na siedemnastometrowym kutrze HA 35 i będą łowić dorsze. Było ich na pokładzie pięciu. Czterech rybaków i on. Wiało trzy do czterech z północnego zachodu. Na miejsce dotarli po południu. Kuter miał na rufie płaski, opadający do samej wody pokład trałowy. Wypuścili włok denny, sieć, która po rozwinięciu w wodzie przybierała kształt meduzy. Włok zgarniający ryby miał kształt głowy.

Parzydełkami były stalowe liny ciągnące sieć za kutrem. Siedział z boku, żeby nie przeszkadzać. Rybacy, potężne chłopiska, ogorzali, nieogoleni, w szarych, wełnianych swetrach z golfami, poruszali się z oszczędną nonszalancją. Szyper, Olaf, sterował z maleńkiej, przypominającej domek czarownicy sterówki. Po kilku godzinach trałowania niemiłosiernie skrzypiącą windą trałową wciągnęli na pokład włok. Połów był niewielki. Załedwie kilkanaście dorodnych dorszy. Jeden z rybaków z godną podziwu sprawnością patroszył ryby trzema ruchami i wrzucał do skrzynki z suchym lodem.

- Widziałeś, jak to się robi? Będziesz patroszył dorsze. Coś taki wystraszony, nabierzesz wprawy.

Jego koledzy wybuchnęli śmiechem. Wpadli w rytm całodobowej pracy. Erwin, mechanik i rybak, najstarszy na pokładzie, szlify żeglarskie zdobywał na ostatnich wielkich żagłowcach przemierzających oceany, *windjammerach* - „pogromcach wiatrów”. Zauważył, że Robert się stara, i pochwalił go.

- Widzę, że się przykładasz do roboty i nie rzygasz.

Przy tej pogodzie kutrem porządnie kiwało.

Trzeciego dnia natrafili na dorsze. Zmienił technikę połowu. Płynęli nad ławicą i łowili tradycyjną metodą, hakami. Na jednej linie było po kilka haków z przynętą. Dziesięciokilogramowe dorsze desperacko walczyły o życie. Wyciągnięcie linki, na której szamotały się dwie duże ryby, stanowiło nie lada wyzwanie. Musieli się spieszyć, zarobek zależał od wagi złowionej ryby. Raz za razem wyciągał trzepoczące dorsze na pokład. Ryba szła, wszyscy byli w znakomitych nastrojach.

- Te, nowy, przyniosłeś nam szczęście.

Pracowali ciężko, na rozmowy był czas podczas krótkich posiłków. Erwin opowiadał o pływaniu na żagłowcu „Pommern”, jednym z ostatnich, jakie przemierzały morskie szlaki. Szóstego dnia, po zapełnieniu ładowni, wzięli kurs na ujście Elby. Wszyscy oprócz szypra patroszyli dorsze.

Kiedy odpływali z łowiska, wiała piątka. Już podczas ostatnich godzin wiatr się wzmacniał. Dopadł ich jesienny sztorm, o tej porze roku częsty na Morzu Północnym. Nie był to błąd sztuki żeglarskiej. Z radiowej prognozy wynikało, że rozwieje się dopiero w nocy. Zachodni wiatr wzmógł się do siedmiu, wzburzone goniąc fale. Nie mogli utrzymywać prowadzącego do portu południowego kursu, ponieważ uderzające w burtę grzywacze mogły w każdej chwili przewrócić kuter. Wzięli kurs na wiatr, z dziobem zwróconym naprzeciw nadchodzącym falom. Siła wiatru wzrosła do dziesięciu, silnik nie dawał rady i zaczęło ich znosić na Jutlandię. Teraz już walczyli o przetrwanie. Sztorm nadszedł w najgorszym możliwym momencie. Po wielu dniach wytężonej pracy, której skutki dotkliwie odczuwali, przy niewielkim zapasie paliwa i ładowni wypełnionej rybami. Z twarzy rybaków wyczytał, jak poważna jest sytuacja.

Wtedy właśnie, za sprawą przypadku, jaki się niekiedy zdarza na morzu, spalił się silnik pompy zęzowej, wypompowującej gromadzącą się na dnie kutra wodę. Na wzburzonym morzu rozpryski fal nieustannie wlewały się do ładowni. Awaryjna pompa ręczna w sztormowych warunkach miała zbyt małą wydajność. Żeby ją wspomóc, ustawili żywy łańcuch. Pierwszy nabierał wiadrem wodę z zęzy i podawał drugiemu, który stał przed zejściówką. On podawał wiadro stojącemu na pokładzie Robertowi. Jego zadaniem było sięgnąć do zejściówki, wyciągnąć wiadro, wylać wodę i oddać puste wiadro. Przez pierwszą godzinę wody nie przybywało. Później było już tylko gorzej. Człowiek nie jest maszyną, potrzebuje odpoczynku. Kręgosłup obrzucał go najgorszymi wyzwiskami, ścięgni pracowały na granicy zerwania, a wody w zęzie powoli, lecz systematycznie przybywało. Myślał z przeraźliwą jasnością.

Całe szczęście, że nie powiedziałem Marion. Umarłaby ze strachu.

Na wojnie był zaledwie porucznikiem, nawykł jednak do wydawania rozkazów. Szyper, pomimo wielkiego doświadczenia, nie

wiedział, co robić. Wiedza morska oraz praktyka nie mogły sprostać sytuacji. Złapał go za klapy.

- Kupuję od ciebie cały połów.

- Co robisz? - Olaf nie zrozumiał.

- To, co słyszysz, do cholery! - ryknął, przekrzykując wiatr. - Jeżeli chcesz, dam pokwitowanie.

Szyper machnął ręką, dotarło do niego, o co chodzi.

- Nie trzeba, wierzę na słowo.

- Ile jest wart?

Szyper wymienił sumę. Nie wahając się, przybił dłonią na dobiecie targu.

- Teraz wszyscy do roboty! Wyrzucamy ryby za burtę.

Dla rybaków podjęcie decyzji o wyrzuceniu połowu było niezmiernie trudne. Potrzebny był ktoś, kto zadecydował za nich. Łatwiej się pogodzili z utratą połowu, kiedy nie tracili ciężko zarobionych pieniędzy. Rybacy wyrzucali skrzynki, on gorączkowo się rozglądał. Jego wzrok padł na windę trałową. Wraz ze stalowymi linami nawiniętymi na bęben ważyła swoje. Kiedy dyszący ze zmęczenia Olaf pojawił się na pokładzie, Robert wskazał windę.

- Ile? - Tym razem szyper wymienił sumę bez wahania. - Kupuję!
- Przybili ponownie. - Za burtę!

Odciążony kuter uniósł się i lepiej pracował na fali. Szyper sprawdził barometr i zacisnął zęby. Utrzymywało się wyjątkowo niskie ciśnienie, wiatr wył jak sto czarownic na sabacie. Spiętrzone ściany wody jedna za drugą wyrastały ze zrywanego z powierzchni morza pyłu wodnego, zawisały nad dziobem, by po chwili runąć w dół, wgniatając dziób pod wodę i przetaczając się po pokładzie. Wynurzali się, kołysząc wzdłuż i w poprzek jak pijana kaczką, a sternik z coraz większym trudem utrzymywał kurs na wiatr. Zrobili, co mogli. Pozostawało wylewać wodę i czekać cudu. Mijały godziny, a sztorm nie słabł. Olaf sterował z wyczuciem, łagodził uderzenia ośmiometrowych fal, nie wspinając się na nie czołowo, lecz pod niewielkim kątem. Jednocześnie pilnował, żeby nie ustawiło ich burtą

do fali, co oznaczało wywrotkę. Konstrukcja kadłuba została nadwyreżona latami ciężkiej służby na morzu, więc umiejętność obłaskawienia żywiołu była na wagę przetrwania. Ponieważ kończyło się paliwo, musieli zgasić silnik. Wypuścili z dziobu dryfkotwę i stanęli w dryfie.

Harowali - mój Boże, jak oni harowali! Pierwszy odpadł najmłodszy rybak. Wiadro wyleciało mu z rąk, upadł. Po chwili wstał i zataczając się, zniknął pod pokładem. Pozostali byli na skraju wyczerpania, za moment mogli podzielić jego los. Wody w zębie zaczęło przybywać. Przegrywali walkę o życie. Następny opadł z sił szyper, jak w dziecinnej wyliczance. Zostało trzech. Było jasne, że długo nie wytrzymają. Nie dostawali zmian, męczyli się szybciej. Odpadł trzeci, pozostało dwóch. Najstarszy, Erwin, człowiek z żelaza, i on. Musieli pokonywać dodatkowe metry, tempo wylewania spadło. Wody przybywało. Od tej katorżniczej pracy pękały mu plecy. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak potwornego bólu. Mięśnie wyły w niemym proteście, a kuter coraz ciężiej pracował na fali.

Mijała doba morderczej pracy, nie spał od dwóch. Nie myślał o śmierci, ponieważ rzeczywistość, w której mógł odczuwać strach, przestała istnieć. Brakowało siły na jej przeżywanie. Erwin od czasu do czasu zaglądał mu w oczy. Wyczerpanie wzięło wreszcie górę. Erwin wciągnął go pod pokład w ostatniej chwili. Jeszcze moment, a zostałyby zmyty za burtę.

Rozbryzg fali wpadł pod pokład, przywracając mu świadomość. Zobaczył, że rybacy, którzy wcześniej opadli z sił, znów wylewają wodę. Poruszali się ślamazarnie, ale wiatr odkręcił i wiał teraz od rufy, a jego siła spadła. Barometr szedł w górę, rozpadało się. Doszedł do siebie i dołączył do reszty.

Przycumowali do kei. Był nieprzytomny ze zmęczenia. Po zejściu na nabrzeże ukląkł i pocałował ziemię. Odprawdzili go do mercedesa, który cierpliwie czekał. Rybacy byli podobnie zmordowani. Kazał szyprowi sięść za kierownicę i porozwozić wszystkich, na końcu podjechać pod jego dom. Zaprosił rybaków do

portowej tawerny, za trzy dni. Zostawił im mercedesa. Auta nie potrzebował, a im się przyda.

Jesienny dzień, wietrzny i dżdżysty, miał się ku końcowi. Napływające znad morza deszczowe chmury spowiły miasto. W mroku zawodziły podmuchy wiatru. Marion wyglądała ponuro przez okno. Deszcz zacinał, wygrywając na szybach melodię posępną jak jej nastrój. Denerwowała się z każdą chwilą bardziej. Powiedział, że wróci najdalej po tygodniu, mijał już ósmy dzień. Może wyjechał z inną? Na dźwięk dzwonka pobiegła do drzwi. Widząc, w jakim jest stanie, zaniemówiła i poszła do łazienki napuścić wodę do wanny. Kiedy wróciła, stał w tym samym miejscu, czekając, żeby się nim zajęła. Kapiąca ze sztormiaka woda utworzyła na podłodze kałużę. Wpatrywał się w tę kałużę wzrokiem, który jej wydawał się smutny, a w rzeczywistości był zobojętniały. Wyglądał jak własny cień i zajeżdżał rybami.

Widziała, jak nieludzko jest zmordowany i że niewiele do niego dociera, więc rozebrała go, zaprowadziła do łazienki i pomogła wejść do wanny. Śmiała się przy tym histerycznie, bo skojarzyła fakty. Jego wygląd, zapach i szalejący sztorm układały się w logiczną układankę. Wypłynął kutrem, złapał ich sztorm. Co go naszło? Nie wiedziała na pewno, ale się domyślała. Chciał uciec od rzeczywistości, w której nie potrafił się odnaleźć.

Jednak porzucił ją dla innej. Dawno, dawno temu przeczytała baśń dziejącą się na morzu, która się smutno kończyła. Zresztą większość naszych ulubionych baśni ma takie zakończenie. Wyobraziła sobie wtedy, że morze jest piękną, lecz pozbawioną uczuć kobietą, która uwodzi młodzieńców, żeby wciągać ich w swoje głębiny, odbierając dziewczynom ukochanych. I tak już jej zostało.

Gazety od dwóch dni pisały o sztormie na Morzu Północnym. Kilka kutrów zatoneło, rodziny rybaków pogrążyły się w żałobie. Na nadmorskich wydmach ubrane na czarno kobiety, nie zważając na boleśnie smagający twarze, niesiony wiatrem piasek, wypatrywały na

wzburzonem morzu kutrów, na których ich mężczyźni walczyli o życie.

Kucnęła przy wannie i obmywała pokryte nalotem soli, sponiewierane furią żywiołu ciało. Twarz miał szarą, oczy zapadnięte. Odetchnęła z ulgą, oprócz zmęczenia, licznych siniaków i mniejszych oraz większych zadrapań nic mu się nie stało. Podczas kąpieli zasnęła. Nie wycierając go nawet, zaprowadziła do sypialni i położyła do łóżka. Uświadomiła sobie, że mógł utonąć. Dramat, w którym uczestniczyli, miałby tragiczne zakończenie. Prosząc mamę o pomoc, powiedziała jej wszystko. Nie zdradziła jednak, że Phil pracuje w wywiadzie i jest przełożonym Roberta. To jej nie przeszło przez gardło.

Dotarło do niej wreszcie, że musiało się wydarzyć coś złego, może nawet gorszego od zdrady, którą przecież wybaczył, a o tym nawet nie chciał rozmawiać. *Może Phil celowo wysłał Roberta na niebezpieczną misję, żeby nam nie przeszkadzał?* Do tej pory jego wyjazd uważała za szczęśliwy przypadek. *Takie draństwo się w głowie nie mieści.* Ta myśl nie dawała jej jednak spokoju. Zadzwoiła do mamy.

- Przypomnij sobie, co dokładnie powiedział ci Robert.

- Mówił, że problemem nie jest wyłącznie twój romans. Że sam romans, dałby klapsa, wybaczył i zapomniał. Nawiasem mówiąc, klaps ci się należał. A o co chodzi, córeczko, jak się wam układa?

Po odłożeniu słuchawki nie miała wątpliwości. *Najchętniej bym go własnoręcznie zamordowała. Tak częściowo.* Trochę pomogło. Mierząc się z narastającymi problemami, zmuszona była spojrzeć na swój romans bez emocji. Nieprzytomnie zakochana, nie dostrzegała w umiłowanym żadnych wad. Dlatego kiedy twarda rzeczywistość zaczęła do niej docierać, poczuła się upokorzona. Zrozumiała, że jej marzenia utkane były ze złudzeń i iluzji. Wszystko, co uważała za czyste i piękne, zaczęło ukazywać swoje prawdziwe oblicze. Od samego początku była dla niego kolejnym trofeum i niczym więcej, lecz nie chciała tego dostrzec. *Przejrzyj na oczy, idiotko. On cię nie kochał, a ty dla niego gotowa byłaś zrobić wszystko, nawet porzucić*

męża, który cię nie przestał kochać, choć go zdradziłaś. Weszła do sypialni i patrzyła na śpiącego mężczyznę. Jak ty musiałeś cierpieć. I słowa nie powiedziałaś.

Spał bite dwanaście godzin. Mogła się do niego przytulać, przynajmniej w taki sposób nacieszyć się jego bliskością. Po przebudzeniu przeforsowane mięśnie i stawy skrzypiały i rzeziły jak zdezelowana młockarnia. Cały obolały powłókł się do kuchni. Marion podała kawę i ogólnie mu nadskakiwała. Na każdym kroku okazywała, jak wiele dla niej znaczy. Zdążył już przywyknąć, nawet polubił tę jej troskliwość. Odnosił wrażenie, że usiłuje mu w ten sposób wynagrodzić udręki, jakich była przyczyną. Poczul głód, więc zażądał solidnego śniadania. Przyglądała się z niedowierzaniem, jak pochłania jedną porcję po drugiej. Ledwo nadażała ze smaženiem kolejnych porcji jajek na bekonie. Był powściągliwy w jedzeniu i się nie przejadał. A dzisiaj zjadł za trzech. I pił już czwartą kawę.

Po śniadaniu był w doskonałym nastroju. Wyspany, najedzony, zadowolony z życia. Patrzył na uwijającą się w kuchni żonę. Był za słaby, żeby ją wypieprzyć, za to z penisem działało się coś wielce obiecującego. Po raz pierwszy od dawna czuł, że taki narząd posiada. Z obawą oczekiwał kolejnego filmu. Jediną wizją, jaka się pojawiała, były zachęcająco zadarte pośladki. Poszedł spać. Tym razem wystarczyły cztery godziny. Wstał rześki i wypoczęty. Za oknem było już zupełnie ciemno. Założył szlafrok i zszedł na dół. Marion siedziała w kuchni i czytała gazetę. Na jego widok się rozpromieniła.

- No, wstał nareszcie mój śpioch. Jak się czujesz?
- Znakomicie. Jaki dziś mamy dzień tygodnia?
- Czwartek.
- O cholera, omal bym nie przespał naszej popijawy.
- Z kim ty chcesz pić, niebożę?
- Jak to z kim? Z kumplami z kutra. To najlepsi ludzie na świecie.

Można na nich polegać.

Ostatnie zdanie było nie na miejscu. Nie zauważył, a Marion bez słowa przełknęła gorzką pigułkę. Zadzwoił do Olafa. Umówili się

w banku. Podśluchiwała, a kiedy odłożył słuchawkę, zapytała:

- Masz zamiar kupić kuter rybacki?

- To doskonały pomysł, ale na początek kupię kawałek kutra i cały połów.

- Czy się wreszcie dowiem, co się wydarzyło? Umieram z ciekawości.

- Z miłą chęcią, choć z ciekawością ci do twarzy.

Zasiadł przed kominkiem. Podała mu cygaro i przypaliła rozżarzoną drewnianką wyjętą z paleniska. Potem położyła u jego stóp skórzaną poduszkę, usiadła i oparła ręce na jego kolanach. Zasluchana, wpatrywała się w niego szaroniebieskimi oczami, których barwa zmieniała się zwodniczo w blasku ognia, a on opowiadał swoje morskie przygody.

- Na szczęście wszystko się dobrze skończyło.

- Przecież mogłeś utonąć!

- Na razie mi się nie udało.

- Mało brakowało?

- Mniej.

- Bogu dzięki! Ja tu odchodziłam od zmysłów.

Ciekawe, czy tak odchodziła od zmysłów, jak byłem w Polsce, gdzie było równie niebezpiecznie.

Pomyślała, że się jej trafił prawdziwy mężczyzna, a nie kiepska imitacja, jakich wokół wiele, a ona dopiero teraz to dostrzega. I że ta blizna nie jest dekoracją, lecz zewnętrzną ilustracją jego prawdziwego charakteru. I że wybaczył właśnie dlatego. Jest mężczyzną, który zna swą wartość i nie potrzebuje dodawać sobie męskości, gnębiąc i tak już pogiębioną żonę.

W piątek spotkał się w banku z Olafem. Szyper kręcił głową.

- Kto komu powinien płacić? Gdyby nie ty, kuter by zatonął, my byśmy potonęli. To nie chciwość, takie mamy charaktery - dodał, usprawiedliwiając się. - No i twoja praca przy wylewaniu wody. Kim ty właściwie jesteś?

- Pieniądze wziąć musisz. Zawarliśmy umowę, a umowa to święta rzecz. To ja jestem twoim dłużnikiem. Ale to zbyt skomplikowane, żeby teraz wyjaśniać. Auto na razie zatrzymaj. Zbierz załogę, żeby pod tawernę zajechać z fasonem. Dojadę taksówką, samochód zabiorę następnego dnia.

W tawernie był punktualnie. Rybacy już czekali.

- Co będziemy pili?

- My pijemy doppelkorn. Nieważne jaka, byle się uwalić, nie?

- A co byście chcieli pić?

- Za bardzo się nie znamy. Doppelkorn. Może absolut?

Szczęśliwym trafem mieli przemyconą przez polskich marynarzy wyborową.

- W porządku. - Zamówił dziesięć butelek.

- Dziesięć? - Patrzyli z niedowierzaniem. - To droga wódka; i po co nam aż tyle?

- Stawiam, więc ceną się nie przejmujcie. Bierzemy, żeby wypić, ma się rozumieć.

Kelner przyniósł baterię butelek, półmisek wypełniony wędlinami i kosz czarnego chleba. Były też inne zakąski.

- I my to mamy wypić? - Olaf był bardzo zdziwiony.

- Się nie martw, damy radę. - Erwin położył mu rękę na ramieniu.

W tawernie pojawiło się dwóch Cyganów. Podeszli do ich stołu, pokłonili się i przygrywając na skrzypcach, stworzyli chwytający za serce nastrój. Okazało się, że wypili całą wódkę. Podjechały taksówki, a oni, zataczając się i śpiewając, szczęśliwi, wolni od wszelakich trosk i złych myśli, rozjechali się do domów.

Taksówkarz musiał pomóc, sam nie dałby rady dotrzeć do drzwi. Marion załamała rękę. Liczyła, że wróci wstawiony, a wtedy da się uwieść. Po raz pierwszy widziała go zalanego w trupa. Wracał na rauszu, ale nigdy w takim stanie. Pojęła, jak to jest mieć męża pijaka. Zaopiekowała się nim jednak troskliwie. Tak się spił, że jeszcze rano rzygał i skarżył się, że go wszystko boli. W głowie mu łupało, jakby toczyła się w niej bójka. Pijani przeciwnicy obrzucali się wyzwiskami,

tłukli butelki, rzucali krzesłami, demolowali lokal i okładali się pięściami. Znają ten stan wszyscy, którzy trzeźwili po ostrym chlaniu. Doszedł do siebie dopiero po południu. Był blady i osłabiony, ale przynajmniej nic mu nie dolegało. Ani na ciele, ani na duszy. Wódka wypłukała do dna dręczącą go zazdrość.

- Mój biedaku, ile musiałeś wycierpieć, żeby się upić - uzalila się nad nim, podając kubek gorącego barszczu.

- A żebyś wiedziała - odparł zbolalym głosem.

Irytowało ją, że pieprzenie znów odsunęło się w czasie. Odkąd do niego wróciła, zawsze były jakieś przeszkody. Kiedyś robili to bez przerwy i nic im nie przeszkadzało. Zdążyła zapomnieć, kiedy był ostatni raz z nim. Jak tak dalej pójdzie, może liczyć na jedno pieprzenie... Rocznie! Robert I Pobożny się znalazł, cholera! Miała duże libido. Po prostu lubiła to robić i wcale się z tym nie kryła. Przymusowa abstynencja źle na nią wpływała. Przed poznaniem Roberta masturbowała się. Ze wstydem powróciła do tej praktyki. Była mężatką, a żeby się zaspokoić, musiała pomagać sobie ręką. Postanowiła, że choćby go miała zgwałcić, dopnie swego. Ta myśl podsunęła jej pewien pomysł. Uśmiechała się tak, że po plecach przeszły mu ciarki. Znał ten uśmiech. Następnego dnia wieczorem siadła mu na kolanach i szeptała do ucha.

- Absolutnie nie! Jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy?! - Był zaskoczony.

Pod naciskiem perswazji, z wprawna kobiecą dłonią myszkującą w okolicach rozporka i wszędobylskim językiem w uchu, dał się przekonać. Poszła na górę, on został w kuchni i niespiesznie dopił wino. Kiedy wszedł do sypialni, stała przy oknie, wpatrując się w płynącą dołem rzekę. Podszedł i chciał ją objąć. Odepchnęła go energicznie.

- Nie dotykaj mnie, pijaczyno!

Nie ustępował. Siłowali się coraz gwałtowniej. W końcu udało mu się ją objąć wpół i zawlec na łóżko. Chciała uciec, ale przytrzymał za

włosy. Usiłowała ugryźć, cofnął dłoń w ostatniej chwili. Podrapała go po twarzy do krwi. Sypialnię wypełniły odgłosy bezpardonowej walki.

- Puszczaj, chamie! Natychmiast! Bo ci oczy wydrapię! - wydzieriała się.

Nie zważając na protesty, rzucił się na nią i nakrył swoim ciałem. Próbowwała się wyrwać. Nie dawała rady, więc podciągnęła nogi i kolanami wparła mu się w brzuch, podudzie wciskając w krocze.

Poczuł, że za chwilę eksploduje, a do poskromienia dziwki droga była daleka. Miał ją już na łóżku, przygniatał swoim ciężarem. Nadal się desperacko broniła. Wreszcie przewrócił ją na brzuch, usiadł okrakiem i wykręcił rękę. Była teraz zupełnie unieruchomiona. Używając jednej ręki, z trudem się rozbierał. Uniósł się, żeby ściągnąć gatki. Korzystając z okazji, usiłowała gwałtownym wyrzutem ciała zrzucić go z siebie. Musiał z niej zedrzeć spódnicę i majtki. O zdjęciu bluzki i biustonosza nawet nie myślał. Był podniecony jak ogier, którego chrapy wypełniła woń grzejącej się klaczy. Rozrywając, zdarł z niej koronkowe majteczki. Spódnica również mocno ucierpiała. Była już u kresu sił, jednak się nie poddawała. Próbowwała gryźć i drapała. Im się bardziej broniła, tym bardziej był na nią napalony. Nareszcie miał ją od pasa nagą i pod sobą. Jeszcze ostatni wysiłek i z jedną ręką przygnięcioną własnym ciałem, drugą w jego uścisku, z uchwyconą w kostce i odciągniętą na bok nogą - musiała skapitulować. Wtedy z rozszalałej lamparcicy zmieniła się nagle w domową kotkę. W niemej prośbie zadarła w górę pupę. Poruszała biodrami, prowokując go tym lubieżnym ruchem. Wszedł w nią jednym pchnięciem, była mokra, a rozswarty wlot waginy nie stawiał oporu. Pochwa też była luźna, penis gładko przesuwiał się po jej śliskim wnętrzu. Żeby więcej poczuć, pieprzył brutalnie, gwałtownymi pchnięciami. Podbrzusze z mokrym klaśnięciem uderzało w pupę. Wydawała z siebie nieartykułowane dźwięki: jęczała, kwiliła, skomlała. I wtedy o mały włos, a wszystko by schrzaniła.

- Och tak, właśnie tak. Błagam, F...

Miała zawołać „Phil” i coś tam jeszcze, ale kiedy zaczęła wykrzykiwać imię kochanka, uświadomiła sobie, co ma na języku, i jej serce zatrzepotało z trwogi. Wykazała się jednak refleksem. Przeciągając „f”, szukała gorączkowo słowa na tę literę.

- F...ffffuck me.

Modliła się, żeby nie zrozumiał. *To się nie może powtórzyć. Na szczęście nie musiałam udawać, że jest wspaniale, a tego się najbardziej obawiałam.*

Nie wysunął się. Wstrzelił w nią potężną porcję gorącej spermy. Przez chwilę nie rozumiała, potem z głośnym jękiem oplotła go nogami i przyciągnęła. Długo dochodzili do siebie, a ona się śmiała i płakała jednocześnie. Miała go nareszcie z powrotem. On również odzyskał, przynajmniej częściowo, coś, co utracił.

Pokpiwała, że gdyby się bardziej postarała, nie dałby rady. Zaczęli liczyć blizny. W dwóch miejscach odnalazł już nie czerwone, ale śliwkowe ślady po zębach i długie, czerwone rysy po pazurkach. Jedna szczególnie widoczna, krwawiąca, zdołała prawy policzek. Była w niemal tym samym miejscu, co blizna. Polizała zadrapanie i przytomnie stwierdziła, że jest nareszcie symetryczny. Ona nie wyglądała lepiej, cała posiniaczona, jakby padła ofiarą brutalnego gwałtu. Poszli do wanny i znów się pieprzyli. Po wyjściu z łazienki nadal mu sterczał. Zeszli na dół, chichocząc. Napadła ich głupawka. Śmiali się, rozładowując całe narosłe emocje. Podała talerz przystawek. Zjedli, nie przestając się śmiać. Podeszła, ujęła penisa w dłoń i mu się zaoferowała:

- Możesz ze mną zrobić, co zechcesz. Wszystko, na co masz ochotę, bez ograniczeń. Korzystaj, bo prędko ci się taka okazja nie nadarzy. - Liczyła, że zerznie ją w dupę.

- Jesteś pewna? Mężczyźni robią z kobietami różne rzeczy. - Uśmiechnął się tak, że jej ciarki przebiegły po grzbiecie. *Byłem dla niej za grzeczny!*

- Jednak zaryzykuję. - Zabrnęła za daleko, żeby się wycofać. *Przecież nie wymyśli nic, czego bym nie przerabiała z Philem.*

Zaprowadził ją do sypialni. Zszedł na dół i nie było go jakiś czas. Wrócił z jej własną szpicrutą i sznurem.

- O nie! Wybij to sobie z głowy, ty wariacie. Nawet o tym nie myśl!

Protestami się nie przejął. To był w końcu jej pomysł. Przerzucił linkę przez hak od żyrandola. Jednym końcem związał jej rękę.

- Nie rób tego, proszę, bądź rozsądny. Co masz zamiar ze mną zrobić?

- Przekonasz się.

Pociągnął za wolny koniec sznura. Ręce pojechały nad głowę. Ciągnął dalej, więc musiała stanąć na palcach. Napięte mięśnie łydek rysowały się pod skórą. Oszołomiony doskonałością jej ciała, nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Jaka ty jesteś piękna - wyszeptał.

- Przestań, ja tylko żartowałam. Jak mogłeś wziąć moje słowa na poważnie? Proszę! - Wpadła w panikę.

Naciągnął linę i przywiązał do ciężkiej komody. Była pod jego kontrolą. Pozostawił ją, aby dojrzała i oswoiła się z myślą, co ją czeka. Kiedy wrócił, zgasił górne światło i zapalił dyskretną lampę nocną. Nie zważając na lamenty, jeździł szpicrutą po całym ciele. Wsunął między jej nogi i przesuwiał, jakby grał na skrzypcach. Drugą ręką obmacywał. Przestała protestować. Z ust, w miejsce zawodzeń i błagań, wydobywały się teraz dźwięki przyjemniejsze dla ucha. Wysunął szpicrutę i zaszedł ją od tyłu, więc próbowała się okręcić. Przytrzymał ją za ramię. Pierwsze smagnięcie było słabe. Nie chciał rozciąć skóry, spowodować krwawienia. Uderzając raz za razem, znalazł siłę, przy której na skórze pozostawały wyraźne czerwone pręgi. Krzyknęła po pierwszym smagnięciu. Potem już tylko łkała. Sięgał szpicrutą ud, pośladków i pleców. Kiedy ją wreszcie uwolnił, opadła na podłogę jak szmaciana lalka. Jej delikatna skóra nie była już kremowobiała. Plecy, uda i tyłek naznaczone były pręgami. Podniósł ją, a ona przyłgnęła do niego całym ciałem.

Odgłos szpicruty spadającej na bezbronne ciało, gwałtowne skręty, jakimi się próbowała uchylać, miały na nią zaskakujący wpływ. Wsunął palec i wyczuł, że jest wilgotna. Broniła się, nie zważając jednak na opór, jednym pchnięciem wbił się w jej śliską miękkość. Nadgryzał, ssał, lizał, całował. Chwycił sutek zębami i pociągnął, wydobywając z niej skomlenie. Jej ciało ożyło i wygięło się w łuk. Wypychała biodra, żeby przyjąć go głębiej. W miłosnym upojeniu pokąsała mu wargi i podrapała plecy. Ściskając penisa skurczami pochwy, eksplodowała, wydając jęki i stęki ruszającej lokomotywy. Wpadła w takie podniecenie, że nie mogła się opanować. Wylizywała mu jak opętana. Nie przeszkadzało jej, że spływał spermą i jej śluzem.

- Im dłużej na ciebie czekałam, tym bardziej mi Ciebie brakowało. Jesteś wszystkim, czego potrzebuję. - Pociągnęła się nieświadomie za koniuszek ucha.

To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Westchnął. Choć kłamała, nie miał do niej pretensji. Robiła to dla niego. Zapadło między nimi milczenie.

- Bałam się, że mnie znienawidzisz - powiedziała wreszcie.

- Dlaczego miałbym Cię nienawidzić? - Zazdrość wprowadziła go zżerała, ale to nie była nienawiść.

- Za to, że Cię zdradziłam - odparła, nieświadoma burz szalejących w jego głowie.

Nareszcie mogłam powiedzieć prawdę. Już mu nigdy nie nakłamię. Powtarzała sobie to kłamstewko tak często, że w nie uwierzyła.

- Możemy zmienić temat? Doszliśmy do czerwonej linii.

- Czy... czy... już to kiedyś robiłeś? - spytała, czerwieniąc się ze wstydu.

- Zostawmy ten temat. - Chciał dodać: „Ja Cię nie wypytyuję”, ale się powstrzymał.

A więc robił. O, święta naiwności. Zatem to nie kara, a początek czegoś nowego. Jest jak odmieniony, niczym nie przypomina

zadręczającego się zazdrością mężczyzny, jakim był kilka dni temu. Takiego go dotąd nie znałam.

- Kiedy myślę o przyszłości, widzę tylko ciebie. - To również była prawda, na powrót kochanka straciła nadzieję. - Dałabym wszystko, żeby cofnąć czas.

„Non, je ne regrette rien” - nuciła sobie od czasu do czasu.

- Niewielu mężczyzn za zdradę odpłaca miłością i wybaczeniem. Musiałam ci to powiedzieć.

- Obiecałeś nie wracać do tematu. Jeszcze słowo, a dostaniesz paskiem w pupę!

Obydwoje mieli już dosyć. Zасыpiając, dzierżyła w dłoni penisa, żeby dowieść swoich do niego praw. Obudził się w łóżku sam i przez moment sądził, że zrobi mu awanturę. Ale z jakiegoś powodu nie nawiązała do nocnych przejść. Oglądając się w lustrze, znalazła na swoim ciele pręgi od szpicruty, siniaki i zadrapania. Bardzo ją zaskoczył, nie mogła uwierzyć, że potrafi być taki brutalny. Nawet Phil jej tak ostro nie traktował. *Jak on śmiał? Już nigdy się nie zgodzę na tak bolesne i poniżające traktowanie. Nie zmusi mnie do robienia czegoś, czego robić nie chcę. Niech tylko spróbuje! Co on sobie wyobraża?!*

Kiedy Robert wyszedł z domu, wydała tryumfalny okrzyk i zaczęła skakać po łóżku. Nie jestem pierwsza, która kocha jednego i jest szczęśliwa w małżeństwie z drugim.

Od wielu dni, zajęta swoimi problemami, nigdzie nie wychodziła. Podczas gdy on rozliczał się z intendenturą, zaszła do klubu tenisowego. Zauważyła, że koleżanki dziwnie na nią patrzą. Któraś ze złośliwą satysfakcją uświadomiła ją, że jest teraz na ustach wszystkich, i nie odmówiła sobie przyjemności powtórzenia, co się o niej mówi. Fałsz to straszna broń. Przekonała się o tym boleśnie. Odtrącona, poniżona, ośmieszona, nie mogła się zdecydować, czy mieć je gdzieś, czy ze wstydu zapaść się pod ziemię. Nie potrafiła tego zrozumieć. W końcu nieustannie miały jakieś przygody, a jej raz się przytrafiła i od razu tyle hałasu. Zapewne przez te tabletki. Tego

dnia wpadła w podły nastrój. Poczwała się zupełnie opuszczona. Porzucona i samotna we własnym domu, który przestał być jej domem, stał się przytłaczająco obcy i nieprzyjazny.

Wspominała słowa liryczne, słowa wulgarne, którymi opisywał to, co z nią robił, patrząc jej w oczy. Miał wytworny akcent, ekscentryczne słownictwo i ironiczny styl bycia angielskiego arystokraty. Mogła go słuchać bez końca dla samego dźwięku jego głosu. Dotyk rąk, pewny, zachłanny i czuły; i jak bezwstydnie cieszył się z jej posiadania. Ich pierwszy taniec, wspomnienie, które jej umysł odtwarzał niczym zapętłony film. Tyle wystarczyło, by się w nim zakochała. Nie mogła się z tej miłości wyleczyć. Zresztą nie chciała, było zbyt pięknie. Jednak perspektywa rozvodu ją przerażała. Z tego wszystkiego za dużo wypiała. Źle znosiła samotność, mama gdzieś poszła, nie miała się komu wyzalić i się zdarzyło. Nie wiadomo jak. Dyskretny romans zakończył się głośnym skandalem. Towarzysko była skończona, przynajmniej na jakiś czas.

Znalazł Marion w łóżku, zwiniętą w kłębek i zapłakaną. Miała zapuchnięte oczy i sińce. Nazbierało się tyle zmartwień, że o łyzy nie było trudno. Objął ją i czekał, aż się uspokoi. Wdzięczna za troskę, schroniła się w jego ramionach i dygocząc, wypłakiwała swoją rozpacz. W jego objęciach było jej tak ciepło, tak bezpiecznie, tak błogo. Przechodził żal do świata, wstyd i poczucie straty.

Następnego dnia, wychodząc z intendenty, wpadł na Elisabeth Murray. Była cywilnym urzędnikiem BZO wysokiego szczebla. Znała go z widzenia, jak również z plotek na temat kłopotów małżeńskich. Nikt w Hamburgu nie wiedział, że przez kilka lat była kochanką wpływowego polityka. Rozstali się w zgodzie, a nawet przyjaźni. Niektórzy unikają niezręcznych sytuacji, a rozmowa ze zdradzonym mężem o jego problemach z pewnością należy do drażliwych. Liz nie miała takich obiekcji. Interesowało ją, dlaczego Robert złożył dymisję, i postanowiła go podpytać.

- Zaprosisz mnie na kawę?

- Z przyjemnością, Liz.

Wsiedli do mercedesa, co było dla niej niespodzianką. Podejrzewała, że wzbogacił się na czarnym rynku. Nienawidziła takich, którzy się dorabiali na nędzy i głodzie. Była jednak ostrożna w osądach. W restauracji, pomimo wczesnej pory, było sporo gości. Ku jej zaskoczeniu kelner rozpoznał Roberta. *Jakie pan sekrety skrywa, kapitanie Meissner?* Intrygował ją coraz bardziej. Panie z administracji BZO uważały, że jest towarzyski, lecz nie ugania się za spódniczkami. *Rzadki okaz. I co mu z tego przyszło? On taki święty, a żonka przyprawiła rogi.*

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

- Nie, skądże. Też palę. Od czasu do czasu cygara.

Wyjęła z torebki paczkę brązowych, tureckich papierosów. Zawołał kelnera.

- Co pijesz, Liz?

- A ty, czego się napijesz?

- Ja? Jak zwykle brandy.

- To i ja poproszę brandy. - Uśmiechnęła się, żeby łatwiej nawiązać kontakt.

Zamówił dwie brandy i dwie kawy, a dla siebie cygaro, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

Liz była pełną życia, dosyć ładną i wyjątkowo inteligentną czterdziestoletnią kobietą. Miała kobiece kształty, kasztanowe włosy i ciemne, bynajmniej nie niewinne oczy. Ubierała się z szykiem, jednak bez ostentacji, a poruszała z gracją.

Rozmawiali o wymianie pieniędzy, jak z dnia na dzień sklepy w cudowny sposób zapełniły się towarami, a Niemcy z optymizmem spojrzeli w przyszłość. Od tego dnia rozpoczął się dynamiczny rozwój gospodarczy. Zamiast szwendać się w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, Niemcy zajęli się produkcją żywności i wszelkich innych towarów, na które był popyt.

- To zniszczyło czarny rynek. - Uważnie go obserwowała.

- Nareszcie! Zwalczyliśmy czarny rynek, była to jednak walka z wiatrakami. Wielka szkoda, że nie zrobili tej reformy wcześniej.

Chyba nie zarabiał na czarnym rynku. Potrafiła bezbłędnie wyłapać kłamstwo i fałsz, a szczególnie u mężczyzn.

- Chodzą słuchy, że masz problemy małżeńskie. - Mało kto odważyłby się zadać tak intymne pytanie. Zaskoczył ją spokój, z jakim je przyjął.

- Oczekiwanie, że żona zawsze będzie wierna, prowadzi do bezsensu. Tak nie jest, tak nie było, uchowaj Boże, żeby tak było. O czym by wtedy pisali poeci? Przecież większość utworów literackich opiewa zdradę małżeńską.

- Współczuję. Czy dlatego odchodzisz z MI6?

- Prawdę mówiąc... Tak, do cholery! - wypalił. Odczuł ulgę. Była drugą osobą, której powiedział prawdę, i drugą, która miała ponieść tej prawdy konsekwencje.

- Przykra sprawa. O tobie mówią, że nie zdradzasz żony. Czy to też prawda?

- Zadajesz osobiste pytania.

- Sprawiałam ci przykrość, przepraszam. Zapraszasz do restauracji, ja się rewanżuję niedyskretnymi pytaniami, które stawiają cię w kłopotliwej sytuacji.

- Nic nie szkodzi. Urażony, nie odpowiadałbym, obrażony, zakończyłbym rozmowę. Jesteśmy w lokalu znanym ze znakomitej kuchni, jest pora lunchu, zjedźmy coś.

- Wprosiłam się na kawę, a ty zapłacisz słony rachunek. Nie jestem aż taka głodna.

- Ani taka wścibska. Nie przejmuj się, obrabowałem bank i przepuszczam łup. Zresztą dobrze mi się z tobą rozmawia, bystra z ciebie dziewczyna.

Przywykła do komplementów, ten jednak sprawił jej satysfakcję. Woląла usłyszeć, że jest bystra, zamiast kolejnego kiepskiego na temat oczu albo tyłka.

- Dziękuję za komplement. Jeżeli zamawiając lunch, skazałeś się na moje towarzystwo, będę pytała dalej. Tak z babskiej plotkarskości, co z waszym małżeństwem?

- Pogodziliśmy się i wszystko jest w najlepszym porządku.

- Musisz ją bardzo kochać, jeżeli wybaczyłeś - powiedziała, patrząc w zadumie na falującą w powietrzu smugę dymu z papierosa.

- Wybaczyłem, ponieważ zazdrość mi się znudziła. Jest przereklamowana. Staram się o pracę. Złożyłem podanie i czekam. Może coś z tego wyjdzie. Tak czy inaczej, wyjeżdżamy z Hamburga, co zamyka temat.

- Nie chodzi ci po głowie, żeby wyrównać rachunki?

- Zemsta jest rozkoszą bogów - stwierdził. - Ochota by się znalazła, jednak on jest w MI6 legendą. Nie strąca się bezkarnie legendy z piedestału.

- Są tacy, dla których ten bohater nie jest jakimś wielkim bohaterem.

- Wiem, że nie doceniasz Phila i zdecydowanie zaniżasz jego poziom.

- Umiejętnie zabiega o swój wizerunek genialnego, nieustraszonego, a przy tym lekko szurniętego arystokraty. Czy coś pominęłam? - O powodzeniu u kobiet litościwie nie wspomniała.

- Nie pamiętam go zbyt dobrze, a to, co o nim zapamiętałem, zdążyłem zapomnieć. - Wiedział, że mówiąc, co wie, wydałby wyrok śmierci na siebie i na nią. - Polubiłem Hamburg. Pomijając ostatnie wydarzenia, wywozę z tego miasta piękne wspomnienia - zmienił temat.

Zrozumiała, że nic więcej nie powie. Zaczęła się zastanawiać, jaki jest w łóżku. Tak się złożyło, że jej obecny partner był na delegacji w Londynie. Rozszerzyła nieznacznie nogi, dając do zrozumienia, że jeżeli chce, to może ją mieć. Ponieważ nie rozumiał, zaproponowała:

- Masz ochotę mnie wypieprzyć? Bez zobowiązań. Jeśli tak, jesteś mile widziany. - Rozchyliła i oblizwała wargi, pomiędzy którymi dostrzegł ruchliwy czubek języka.

Zaskoczyła go, aż zaniemówił. Takiej propozycji jeszcze nie otrzymał. Żeby zyskać na czasie, przywołał kelnera i zamówił dwie brandy. Jej nawet nie spytał o zdanie. Począł, aż kelner odejdzie, i wypił jednym haustem.

- Czy ja naprawdę słyszę to, co widzę? - Próbował ukryć zmieszanie. - Zależy mi, żebyś uwierzyła, że to nie zemsta na żonie. Podobasz mi się i mam na ciebie ochotę.

- Jakiś ty uroczo sentymentalny. Pewnie, że wierzę. Przez myśl mi nie przeszło, że może być inaczej. Mam o sobie zbyt wysokie mniemanie.

Pojechali do jej mieszkania. Przekonał się, że jest utalentowaną i wyrafinowaną kochanką. Tego, co o damach w jej wieku pisał Owidiusz, mówić głośno nie wypada.

*W sztuce kochania ucześnie
bywają dojrzałe damy.
Jak wiadomo przez ćwiczenia
talent udoskonalamy.*

*Wiadome im są tajniki
miłości, innym nie znane...
przykuwają nas do siebie
zwłaszcza przez pieśczęt odmianę.*

*Żadne malowidło nie zna
tak bezmiernej lubieźności
jaka w sercach, jaka w ciałach
tych namiętnych istot gości.*

Ona również nie miała powodu do narzekania. W przerwach usiłowała wydobyć z niego coś więcej. Współpracowała z MI6. Liczono się z nią, w końcu była protegowaną samego X-a. W konfrontacji z Rosjanami ponosili niewspółmierne straty. Pojawiły

się niepokojące pogłoski. W zaciszu gabinetów szeptało o krecie. Nie znała sprawy Roberta ani tym bardziej przebiegu „Ulissesa”. Nie byłaby jednak sobą, żeby temat nie podrażnić. Było dla niej podejrzane, że Robert tak łatwo skapitulował. Złożył rezygnację i wyjeżdża z Hamburga. Podczas oficjalnej uroczystości zauważyła na jego mundurze baretkę DSO. Ktoś taki nie ucieka, jeśli ma rachunek do wyrównania. Chciała się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Dlaczego uważasz, że Phil gra w innej lidze?

- Znowu zaczynasz? - Spojrzał z wyrzutem. - Nie wiem, jak odpowiedzieć. Muszę pomyśleć. Nie chcę kłamać, zresztą byś poznała.

- To ci się chwali, kotku - zamruczała, a język zatańczył na czubku prącia.

- Uważam, że jest przebiegłym łotrem, który gryzie przez zamkniętą gębę. Niewiele bym mu zaszkodził, za to naraził się na poważne konsekwencje. Takich jak on bezpiecznie jest unikać.

- Słyszałam, że znokautowałaś Rosjanina - zagadnęła, zmieniając temat.

Wiedziała, że opowiadanie o tej walce może ułatwić wydobycie czegoś na temat, który ją interesował.

- Jeżeli chcesz tego słuchać... Przeciwnik był o klasę lepszy. Już na początku walki zrozumiałem, że przegram. Jak ten chrześcijanin wystawiony na pożarcie lwów. Rusek miał potężny cios. A trafiał często. Na szczęście nie bezpośrednio, wtedy szpital murowany. Chciał mnie koniecznie znokautować, żebym leżał na deskach, z pocałowaniem jego butów. Dostrzegłem w tym swoją szansę. Mam nie gorszy cios, lecz on o tym nie wiedział, bo nie potrafiłem go trafić. Pragnąłem zwyciężyć, ale nie widziałem szansy, grając fair.

- Ring bokserski nie jest odpowiednim miejscem do rozważań nad moralnymi dylematami - zachichotała Liz.

- Nie przerywaj. Trafił znowu. Cios mną wstrząsnął, jednak byłem w stanie ustać na nogach. Żeby go sprowokować, padłem na deski. Sędzia wznowił walkę. Udawałem zamroczonego, a on, przekonany,

że mnie ma na widelcu, natarł jak wściekły byk, zapominając o obronie. No i się przekonał, jaki ja mam cios.

Liz dostrzegła zaskakujące podobieństwo pomiędzy tamtą walką a rozgrywką pomiędzy Philem i Robertem. W ringu odnalazł szansę i ją wykorzystał, a teraz rzuca ręcznik? Chce uśpić czujność rywala? Była przekonana, że sprawa ma drugie dno, które ona odkryje. A na razie trzeba korzystać z życia. Po jego wyjściu zadzwoniła w kilka miejsc.

Marion czuła się samotna i opuszczona. Zasnęła dopiero nad ranem. *Nie uprzedził, że nie wróci na noc. Na pewno znalazł sobie kochankę* – użalała się nad sobą.

Robert ponownie zastał w domu krajobraz po bitwie. Marion siedziała na podłodze, zapłakana, ubrana w jego podniszczone, domowe spodnie i sweter. Czuł z nią wtedy szczególną więź. Na stole stała napoczęta butelka whisky. Na jego widok wpadła w histerię, łzy spływały jej ciurkiem po twarzy.

- Gdzieś ty był!? Tak się denerwowałam, że całą noc oka nie zmrużyłam. Nigdy więcej mi tego nie rób, słyszysz?! Nigdy!

Opowiedziała, że cały Hamburg plotkuje na jej temat. I że ma kochankę, bo nie wraca na noc.

- Co ty wygadujesz?!

- Nie tłumacz się! Nie chcę wiedzieć! - krzyczała przez łzy. - Idź już sobie, zanim zrobię coś głupiego.

Pomyślał z goryczą, że bardziej przejęła się tym, co o niej mówią, niż swoim postępkami. Doszedł do wniosku, że kobiety takie już są i należy się z tym pogodzić. Jednak zapakował ją do samochodu i wywiózł z miasta. Spacerowali po leśnych duktach. Trzymał za rękę, przytulał, kiedy trzeba, osuszał łzy, a ona się uspokajała. Dziękowała, że się nią tak troskliwie zaopiekował. Do kolacji podała wino. Była w takim nastroju, że wypila butelkę i chciała się pieprzyć. Żeby go uwieść, obrysowała kredką powieki, przyciemniła tuszem rzęsy, na koniec pomalowała usta na czerwono.

- Zaczekaj w łóżku. Mam pilną robotę na jutro. Przyjdę, jak tylko skończę.

Po nocy spędzonej z Liz nie był w formie ani w nastroju. Wziął ją za rękę i próbował odprowadzić do sypialni. Wyrwała się.

- Ach tak! Już mnie nie chcesz! Nie to nie, idź sobie, bo w ciebie rzucę czymś ciężkim! - Nie czekając, aż sobie pójdzie, rzucała w niego, czym popadnie. Ta kobieta temperament miała piekielny.

Miał nadzieję, że szybko zaśnie, jednak jej nie docenił. Po chwili przysła do gabinetu. Nie wiedział, jak z tej sytuacji wybrnąć. Była, jak dla niego, zbyt pijana. Przesadnie wytapetowana wyglądała jak... no cóż... jak zalana dziwka. *Jakie to nieszczęście mieć żonę pijaczkę!* Współczuł jej. Wiedział, ile przeszła.

- Kładź się! - warknął.

Posłuchała i nieproszona rozsunęła nogi, prezentując, co na tę chwilę miała najlepszego. Zapach alkoholu mieszał się z piźmowym zapachem pobudzonej samicy.

- Nie zerzniesz żoneczki? - kusiała?

Zamiast ją zerznąć, dał jej szpicrutę i kazał się masturbować. Kiedy zaczęła przyspieszać, odebrał szpicrutę. Usiadł na niej, twarzą do nóg. Palce pracowały jak oszalałe, a on uderzał szpicrutą poniżej cipki, w wewnętrzne części rozwartych ud. Jakby ją ponaglał. Znieczulona alkoholem i podniecona jak marcowa kotka, nie czuła bólu. Wyjął z szuflady aparat i robił zdjęcia. Była zalana, więc nic do niej nie docierało, pomimo że flesz błyskał raz za razem. Wsadziła mu ręce pod koszulę i drapała. W podnieceniu zbyt mocno, aż do krwi.

- Delikatniej - zażądał, ale nie usłuchała.

Uderzał mocniej, a wtedy zaczęła głośno jęczeć. Kiedy się zaspokoili, bezwolna opadła na podłogę. Rano miała potwornego kaca i nic nie pamiętała.

We Frankfurcie uroczyście otwarto giełdę. Mógł wreszcie podsumować swoje dokonania. Z handlu akcjami, jaki na jego rachunek prowadziła Hilda, oraz dywidend zarabiał średnio sześć

procent, bardzo przyzwoity zysk. Dla niego ważne było, że nielegalnie zarobione pieniądze zniknęły. Nikt nie wiedział, jakich akcji jest właścicielem, ponieważ nie istniał centralny rejestr.

Na zakup akcji wydał trzydzieści siedem tysięcy funtów, czyli pięćset tysięcy marek. Miał gest, żył na szerokiej stopie, pomagał Garrickowi i Marlenie. To wszystko kosztowało. Większość pieniędzy udało się jednak zainwestować. Wyceniona przez rynek wartość jego portfela wynosiła pięćset tysięcy marek. W akcjach notowanych na giełdzie miał połowę pieniędzy, drugą połowę w akcjach spółek niepublicznych. Jeżeli uwzględnić wartość domów, jego majątek znacznie przekraczał milion marek. Knox trafnie przewidział, że będzie miał w Hamburgu jedwabne życie.

⁵⁹ Sprzęt do namierzania radiostacji poprzez pomiar kąta emisji fal radiowych.

⁶⁰ Jeden z największych myślicieli starożytności, autor *Sztuki wojny Sun Tzu*.

⁶¹ Operacja fikcyjna.

⁶² Nazwa operacji i rola kapitana Kosa vel Kowalskiego w WiN są faktami historycznymi.

⁶³ Minister spraw zagranicznych Napoleona, słynny intrygant, który spiskował z wrogami Francji.

⁶⁴ Mieczysław Mietkowski, w latach 1944–1954 wiceminister Bezpieczeństwa Publicznego.

⁶⁵ „Jak się masz, stary” (ang.).

⁶⁶ „Znakomita robota” (ang.).

⁶⁷ „Nie do wiary” (ang.).

⁶⁸ „Na odpowiednim poziomie” (fr.).

⁶⁹ „Kretyństwo!” (ang.).

⁷⁰ Jeden z najcenniejszych zabytków starożytności. Miał przełomowe znaczenie w odczytaniu hieroglifów. Znajduje się w Muzeum Brytyjskim. Rząd egipski do tej pory bezskutecznie domaga się zwrotu wywiezionego artefaktu.

⁷¹ Ulica w Londynie, przy której mieszczą się ekskluzywne zakłady krawieckie.

⁷² Bokser niemiecki, mistrz świata wagi ciężkiej z 1930 roku.

⁷³ Wszechstronny konkurs konia wierzchowego, konkurencja olimpijska.

⁷⁴ Parafraza powiedzenia biblijnego: Ewangelia według św. Łukasza, 10:7; 1 List do Tymoteusza 5:18.

⁷⁵ Zwyczajowy tytuł uniwersytecki. Pracownicy naukowci (*fellow*) lub wykładowcy (*tutor*).

7. KAIRSKIE DNI, NOCE ARABSKIE

Samolot schodził do lądowania ścieżką znad Morza Śródziemnego. Za oknem pasażerowie widzieli błękit morza. Nagle błękit zastąpiła intensywna zieleń delty, pocięta meandrującymi odnogami Nilu. Od niebieskich wstążek rozchodziły się dziesiątki cienkich jak nitki kanałów nakładających się na zieleń lazururową siatką przypominającą układ nerwowy. Potem, już przez cały czas, za oknem rozciągała się żółtoszara, pomarszczona z tej wysokości pustynia. Lot z Londynu trwał pięć godzin. Listopadowy Kair przywitał Roberta piękną pogodą. Było ciepło, wiał orzeźwiający wiatr, nie odczuwało się upału. Po odprawie zabrał swój niewielki bagaż i pojechał do Sheppard's Hotel. Duże wrażenie zrobiła na nim imponująca fasada budynku. Lubił takie nostalgiczne klimaty.

Spotkanie z ambasadorem było wyznaczone na czternastą. Z hotelu do ambasady miał blisko, nie musiał się spieszyć. Spacerowym krokiem wędrował nadrzecznym bulwarem, podziwiając rezydencje Garden City. Do ambasady, okazałego budynku w kolonialnym stylu, dotarł przed czasem. Usiadł na ławce nad błękitnym Nilem i się relaksował. Ambasador przyjął go w swoim gabinecie. W średnim wieku, w okularach, siwiejący, sprawiał wrażenie roztargnionego urzędnika.

- Robert Meissner, nieprawdaż? Proszę siadać. Jak podróż? Świetnie? Świat się kurczy. Mój dziadek służył w Egipcie w 1895.

Płynęli z Anglii dwa tygodnie. Dzisiaj wystarczy kilka godzin. Mam tu pana akta. Imponująca kariera, młody człowieku.

- Ten młody człowiek odszedł bezpowrotnie w przeszłość, sir, za chwilę stuknie mi trzydziestka.

- Studia w Oksfordzie, zaszczytna służba w armii. No i cztery lata w MI6. Co robiłeś w wywiadzie? Ach tak, tajemnica. Może kiedyś o tym porozmawiamy.

Milczał, zachęcająco uśmiechnięty.

- Najważniejsze, że biegle znasz arabski. Twoja praca będzie polegała na rozpatrywaniu wątpliwych podań wizowych, odwołań, odmów. Zresztą wprowadzimy cię i nie mam wątpliwości, że doskonale sobie poradzisz. Prawdę mówiąc, obawiam się, że to zajęcie poniżej twoich aspiracji. Ale takie mamy czasy. Ech, szkoda mówić.

- Obawiam się, że zaszło nieporozumienie, sir.

- Nieporozumienie? - Ambasador się zaniepokoił.

- Pomyłka dotycząca mojej znajomości języka arabskiego - powiedział tonem równie obojętnym, jakby opowiadał o wczorajszej pogodzie w Patagonii.

Sir Anthony Herbert sprawiał wrażenie poruszonego.

- Czy możesz wyjaśnić bliżej, na czym owa pomyłka polega?

- Jeżeli w dokumentach, które pan posiada, jest napisane, że opanowałem biegle arabski, zaszło nieporozumienie. Stawiam pierwsze kroki w tym języku.

- No i co my teraz zrobimy? Fatalnie, fatalnie.

Ambasador był wyraźnie zaniepokojony. Jak większość urzędników, nie znosił problemów. Gorączkowo myślał, jak wybrnąć z sytuacji, jednak wszystkie rozwiązania, jakie przychodziły mu do głowy, wydawały się złe. Najprostsze oczywiste było jedynie z pozoru. Wyrzucenie Roberta, wprawdzie możliwe, wiązało się niestety z problemami. *Attaché* z arabskim potrzebny był od zaraz. Poprzedni wpadł w taką fazę choroby alkoholowej, że trzeba go było odesłać na leczenie do Anglii i to pod opieką, ponieważ stwarzał zagrożenie.

Przede wszystkim dla siebie, ale również dla opinii, jaką cieszyła się służba dyplomatyczna JKM. Był to również problem ambasadora, w pewnym stopniu odpowiadał za swój personel. Rozwinięta faza choroby alkoholowej w kraju muzułmańskim wygląda nieciekawie. A teraz ten tutaj mówi, że nie zna arabskiego. To jak chce rozmawiać z Arabami? Po grecku?

- Jeżeli mogę coś zaproponować, sir? - głos Roberta wyrwał ambasadora z głębokiej zadumy.

- Jak najbardziej, słucham, słucham.

- Mam następującą propozycję - mówił, mówił. - Na pół roku, jeżeli zajdzie taka potrzeba - na dłużej, zatrudnię na własny koszt tłumacza. Egipcjanina, biegle znającego angielski. Będziemy pracowali wspólnie. Jedynym problemem jest jego przepustka.

Ambasador lekceważąco machnął ręką. Zobaczył światło w tunelu.

- Zapewniam, sir, że do tego fatalnego błędu nie doszło z mojej winy, czuję się jednak w obowiązku rozwiązać zaistniały problem. Jeżeli w ciągu pół roku nie opanuję arabskiego w stopniu wystarczającym, przedłużę umowę z tłumaczem.

- Co mówisz, Robercie? Nadzwyczajnie! - Ambasador się ożywił. - Nie będziesz musiał szukać odpowiedniego człowieka. Wszędzie tylko oszczędności i oszczędności. Wyobraź sobie, że ci idioci z ministerstwa nawet mnie zmniejszyli przydział sherry. Jak mam w takim razie prowadzić politykę? Do czego to wszystko zmierza?... Ale do rzeczy. Z powodu cięć budżetowych zwolniliśmy kilku Egipcjan. Niektórzy pracowali u nas od lat. Smutna historia, bardzo smutna. I twierdzisz, że mógłbyś mu wypłacać pensję? Nie musisz nawet takiej, jaką miał. Zadowolili się niższą.

- Ależ sir! Zapewniam, że dostanie identyczną.

- To wspaniałomyślnie z twojej strony. Znakomicie, znakomicie. Cieszę się, że będziesz z nami pracował. Czasami potrzebna jest świeża krew. Spójrz, jakie to szczęśliwe zdarzenie, że jakiś półgłówek

w ministerstwie pomylił się z twoim arabskim. Mam jeszcze parę minut, potem wzywają obowiązki. Grywasz w polo?

- Niestety, nie jeżdżę konno. Uraz z dzieciństwa.

- Tak, rozumiem. Wielka szkoda, zmontowaliśmy niezłą ekipę.

- Za to moja żona jest zapaloną amazonką. Z pewnością wstąpi do klubu jeździeckiego.

Wypełniając w Hamburgu arkusz aplikacyjny, na przedostatniej stronie znalazł rubrykę: znajomość języka arabskiego. Mógł wybrać spośród następujących możliwości: podstawowa, komunikatywna, płynna, znakomita.

Z samej treści ogłoszenia wynikało, że to klucz do zdobycia posady. Z nieznanego mu wówczas powodu *attaché* musiał biegle znać arabski. Wpisanie znajomości podstawowej bądź komunikatywnej nie wchodziło w rachubę. Musiał tylko samokrytycznie ocenić, czy zna arabski płynnie czy znakomicie. Stwierdził, że czytał w dzieciństwie *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*, zatem język opanował znakomicie.

Po miesiącu dostał pismo z MSZ. Aplikacja przeszła wstępną selekcję. Zapraszali na egzamin potwierdzający znajomość arabskiego oraz rozmowę kwalifikacyjną. Nie przejmując się specjalnie, poleciał do Londynu. W pierwszej kolejności miał zdać egzamin ze znajomości języka u profesora arabistyki w Szkole Badań nad Orientem i Afryką⁷⁶.

Zapłacił pięciu niebieskim ptakom z podrzędnego pubu za krótką rozmowę telefoniczną. Każdy z nich prosił o spotkanie z egzaminatorem. Po tych rozmowach odtworzył kalendarz profesora na najbliższy tydzień. Miało go nie być cały piątek. Już sam, bez pośredników, dowiedział się, kiedy dokładnie zostanie dziekana i jakie ma w piątek okienka. Pojawił się w gabinecie swojego niedosłego egzaminatora w piątek o trzynastej siedemnaście. Precyzyjny timing miał w jego planie kluczowe znaczenie.

- Jak to nie ma profesora? Przecież się umawialiśmy! - Otworzył notes i pokazał wpis sekretarce. - Przyleciałem specjalnie na tę

rozmowę z Hamburga! – Z kieszeni wyciągnął bilet i poruszał nim jak matador muletą.

Sekretarka próbowała ratować sytuację.

– Umówić się na inny termin? Wykluczone! Mam wykupiony bilet lotniczy do Kairu. Właśnie na jutro!

– I co my z panem zrobimy?

Sympatyczna Edith była wyraźnie zmartwiona tym zamieszaniem. Pomyślała, że profesor musiał coś pokręcić. Takie pomyłki już mu się zdarzały.

– To może spotkam się z dziekanem? Jak sądzisz, Edith? – Uśmiechnął się do niej ujmująco.

– To będzie trudne, Robercie. Chyba niemożliwe. – Westchnęła ciężko i zadzwoniła do dziekanatu. – Masz szczęście. Dziekan zgodził się na kilkuminutowe spotkanie. Za dziesięć minut w sąsiednim budynku. Tylko się pospiesz, o trzynastej czterdzieści musi wyjść.

Profesor Peter Walls się spieszył. Za parę minut miał ważne spotkanie.

– Co ja mam z tobą zrobić? Twierdzisz, że przyleciałeś na egzamin specjalnie z Hamburga, a młody Emmott jak zwykle coś pokręcił? Nie znam za dobrze arabskiego. Nie będę cię przecież egzaminował z języka, którego nie znam.

– Panie dziekanie, studiowałem germanistykę w Oksfordzie. Arabskiego nauczyłem się, żeby czytać w oryginale arabską poezję.

– W Oksfordzie? U Halla? Cóż za zbieg okoliczności! Jego córka wyszła za syna mojego przyjaciela.

Tego w planie nie było. Chętnie by się dowiedział czegoś więcej o Laurze, niestety bezcenne sekundy uciekały. Zamknął oczy i recytował po arabsku.

*Przyrzekła mnie odwiedzić po zachodzie słońca,
Gdy księżycą twarz świata zabłyśnie marząca.
Przybyła... jak blask świtu, gdy niebo zapali,
Cichutko... niby wietrzyk błędzący wśród fali.*

*Jak bliskość róży zdradza zapachu jej siła,
Tak i ona powietrze wonią napęłniła!...⁷⁷*

W Hamburgu kupił tomik wierszy Muhammada ibn Abbad al-Mutamida, władcy Sevilli, następnie wygnańca i poety. W arabskiej restauracji właściciel, Arab z Bejrutu, z cierpliwością i pobłażliwą wyrozumiałością nauczył go poprawnej recytacji. Wiersz był piękny i chętnie nauczyłby się całego. Niestety, zwrotka musiała wystarczyć. Na dziekanie recytacja zrobiła widoczne wrażenie. Minęły już trzy minuty rozmowy.

- Pracuję, żeby zarobić na życie, ale moim prawdziwym życiem jest poezja. Kiedy dostanę pracę w Kairze, po to jest potrzebny egzamin, opanuję farsi. Będę mógł wreszcie czytać Hafiza w oryginale!

Po raz kolejny recytował. Tym razem Hafiza po angielsku. Po raz kolejny musiał się ograniczyć do kilku wersów. Zegar tykał nieubłaganie.

*The days of Spring are here! The eglantine,
The rose, the tulip from the dust have risen--
And thou, why liest thou beneath the dust?
Like the full clouds of Spring, these eyes of mine
Shall scatter tears upon the grave thy prison,
Till thou from the earth thine head shalt thrust⁷⁸.*

Trafił w sedno. Dziekan kochał poezję. Poruszając ustami, recytował bezgłośnie oryginalny tekst. Z notki biograficznej w *Britannice* dowiedział się, że przedmiotem zainteresowania profesora Wallsa jest poezja Hafiza. Spędził pół dnia w bibliotece uniwersyteckiej, przygotowując się do tej krótkiej rozmowy.

- A niech tam! Daj ten arkusz egzaminacyjny!

Walls własnoręcznym podpisem oraz pieczętką potwierdził znajomość arabskiego na najwyższym poziomie.

- Kiedy będziesz w Londynie, musimy się koniecznie spotkać. Zapraszam do mojego klubu, nikt nam nie będzie przeszkadzał. I mają przyzwoity claret. O poezji Hafiza należy rozprawiać przy winie. Inaczej to profanacja. W dzisiejszych czasach napotkanie miłośnika poezji perskiej jest nadzwyczajną rzadkością. Cieszę się z góry na naszą biesiadę. O cholera! Jestem spóźniony na spotkanie.

Sukces miał szczególny posmak. Chyba jeszcze nigdy nie był z siebie taki dumny. Wstydu nie odczuwał. Wkrótce będzie znał arabski znakomicie. Było to kwestią honoru. Nie cieszyło go, że tak sprytnie podszedł Wallsa. Przez krótkich osiem minut zdążył go polubić. Był dumny, że opracował subtelny plan, który bezbłędnie zrealizował. *Szkoda, że nie mogę opowiedzieć o tym pani Anieli!*

Pracę miał podjąć za trzy tygodnie. Zadzwoił do żony i zdał jej dokładną relację. Cieszyła się razem z nim, może nawet bardziej. Również dlatego, że bardzo chciała wyjechać z Hamburga. Na szczęście gorący klimat Egiptu jej odpowiadał, lubiła słoneczną pogodę i ciepło. Następnego dnia zarezerwował na miesiąc apartament w Shepherd's Hotel. Lot powrotny do Hamburga, z przesiadką w Londynie, zajął cały dzień.

Natychmiast po powrocie do domu zaczęły się przygotowania do wyjazdu. Pod nadzorem Marion robotnicy wszystko, co miało być wysłane frachtem morskim, pakowali w drewniane skrzynie, a ona je opisywała. Zamykali otwarte sprawy, żegnali się z przyjaciółmi i ze znajomymi.

Wyruszyli już po tygodniu. Jechali na południe niespiesznie, jak na wycieczkę. Pozostawiając za sobą Hamburg, pozostawili też niejako symbolicznie wiele problemów osobistych, z jakimi przyszło im się ostatnio zmierzyć. Ona nieprzyjemne wspomnienia, ale i po części spełnione marzenia o wielkiej miłości. On nękającą go zazdrość. Poczuli się jak w podróży poślubnej. Mieli to szczęście, że mogli rozpocząć od nowa. Tym razem bogatsi o wspomnienia, te dobre i te złe, bliźny na sercu, jak również o doświadczenia z nich płynące.

- Zdradzisz mi, jakim cudem dostałeś tę robotę?

Podejrzewała, że ktoś mu załatwił. Uraczył ją całą historią ze szczegółami. Zaniemówiła, a potem brzuch ją rozboleł ze śmiechu.

- Niemiec by tak nie potrafił. Coś w tobie musi być. Uwiodłeś mnie słowiańskimi czarami.

- Uwiodłem czarami, a teraz zrobiłem ci dziecko, księżniczko.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się. - Dopiero za kilka dni będę miała okres.

- Nie będziesz miała okresu. Mam przecucie, chcesz się założyć?

- Czy ty aby nie masz konszachtów z siłami nieczystymi?

- Wierzysz w duchy?

- Oczywiście, że nie wierzę, nikt rozsądny nie wierzy. Przecież one okropnie kłamią.

Przez całą drogę plotła mu do ucha rozkoszne androny. Wjechali na prom w Wenecji, po dwóch dobach żeglugi zjechali w Aleksandrii. Marion była zachwycona hotelem, a zagadka jego pieniędzy dręczyła ją niemiłosiernie.

Do ambasady pojechali razem. Ona została w pokoju przyjęć, on zniknął w środku. Przez pół godziny podeszło do niej kilku mężczyzn. Każdy pytał, jak może pomóc. Słyszając, że czeka na męża, byli wyraźnie zawiedzeni. Wrócił z karteczką wypełnioną telefonami i adresami. Najpierw podjechali pod klinikę medyczną. Pomógł w rejestracji, zostawił ją i pojechał do biura nieruchomości. Przy pomocy banknotu zwrócił na siebie uwagę kierownika. Po chwili wyszedł z Egipcjaninem, który zabrał ze sobą dziesięć najatrakcyjniejszych ofert. Podjechał pod przychodnię. Już czekała. Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała pocałunkami.

- Czy to nie cudowne?! - wykrzyknęła. - Co będzie: chłopczyk czy dziewczynka? - Była nieziemsko szczęśliwa.

- Wspaniała nowina. Skąd mam wiedzieć?

Resztę dnia spędzili na oglądaniu przeznaczonych na wynajem nieruchomości. Dyskutowali przez cały wieczór. Nie mogli się

porozumieć. Jeżeli zachodziła potrzeba, walczyła jak lwica, a wyklócała jak przekupka. Odłożyli wybór na następny dzień.

Rano pojechali do ambasady. Jak się okazało, miał spotkania, których nie mógł przełożyć. Zaproponowała, że wróci do hotelu, a kiedy on skończy, przyjedzie po niego. Był wolny nie po dwóch, lecz po trzech godzinach. Zadzwoił do hotelu, nie odebrała. Zaniepokoił się. Wielkie miasto, obca kultura, samotna kobieta. Odetchnął, kiedy podjechała pod ambasadę. Przepraszała za spóźnienie, poprosiła, żeby ponownie odwiedzili agencję. Może trafią na lepszą ofertę. Niechętnie, ale się zgodził, zawsze się zgadzał, nie umiał jej odmawiać.

Kierownik zaprosił do gabinetu. Traf chciał, że wpłynęła interesująca oferta. Luksusowy apartament zdecydowanie atrakcyjniejszy od tych, które oglądali poprzedniego dnia. Kondominium z basenem i niedużym ogrodem, w fantastycznej lokalizacji. Wszystko wydawało się na pierwszy rzut oka w porządku. No cóż, widocznie cuda się zdarzają. Postanowili pojechać i obejrzeć sześciopokojowy apartament o powierzchni stu sześćdziesięciu metrów w El-Tagamu El Khames - Piątej Dzielnicy, jednym z lepszych adresów w Kairze. Do ambasady miał zaledwie kilka kilometrów przelotowych arterii. W sumie doskonały dojazd. Oględziny potwierdziły wszystkie zawarte w ofercie informacje. Nie pozostawało nic innego, jak wynająć tę atrakcyjną posiadłość z basenem. Wrócili do biura nieruchomości i ustalili warunki. Wynajem na cztery lata z możliwością przedłużenia. Widząc, że Marion jest zadowolona, nie targował się, pomimo że cena była wygórowana. W drodze do domu usta się jej nie zamykały. Przecież będą mieli więcej dzieci. A co będzie, jeśli się urodzą bliźniaki? On po prostu musi mieć gabinet, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał - trąkotała z radosnym śmiechem.

Rano się skarżyła, że boli ją głowa i źle się czuje. Wprawdzie jej nocne swawole tego nie potwierdzały, ale się zgodził, że nie powinna wychodzić z hotelu. Zaraz po jego wyjściu wzięła taksówkę i znikła na

parę godzin. Zdążyła wrócić przed jego powrotem. Była z siebie bardzo zadowolona. Wczoraj, korzystając z pieniędzy zgromadzonych w funduszu powierniczym, zabukowała kupno apartamentu w Kairze. I tego samego dnia znalazła klienta na wynajem. Wyliczyła, że ta inwestycja da całkiem przyzwoitą stopę zwrotu. Dzisiaj się wymknęła, aby dopełnić formalności. Zadzwoiła do matki, żeby się wszystkim pochwalić. Cudowny kraj, cudowni ludzie, Robert ma cudowną pracę. A ona jest w ciąży i sprytnie załatwiła sprawę mieszkania.

- No widzisz, córeczko... Pamiętasz, jak mówiłam, że się wszystko ułoży? Hmm, żona dyplomaty... Brzmi nieźle.

- Swoją drogą, on coś przede mną ukrywa. Nawet przy atrakcyjnej cenie wynajmu to i tak spora suma, z pewnością przekraczająca możliwości *attaché*. Jak sądzisz? Mam go przycisnąć, żeby się wreszcie wygadał, skąd ma tyle pieniędzy?

- Z apartamentem sprytnie wymyśliłaś. Ja bym lepiej nie potrafiła.

W ustach Astrid był to wyjątkowy komplement. Przez lata małżeństwa stała się mistrzynią w popularnej wśród kobiet konkurencji - manipulowaniu mężem.

- A z jego pieniędzmi daj sobie spokój. Tak szybko zapomniałaś, jakie miałaś kłopoty, i już szukasz nowych?

Przyganę wzięła sobie do serca. Tak bardzo, że na długo zrezygnowała z wypytywania.

Hamid był skromnego wzrostu i wyschnięty na wiór. Niedawno skończył czterdzieści lat. Jak większość Egipcjan, miał pogodne usposobienie. Jednak nie dzisiaj. Po zwolnieniu z ambasady pozostawał bez pracy ponad trzy miesiące, oszczędności właśnie się wyczerpały. Był zdenerwowany. Robert dowiedział się od kolegi, który ich skontaktował, jaka jest sytuacja. Nie chciał jej wykorzystywać, miał swoje zasady. Zależało mu jednak na właściwym ułożeniu relacji. Dlatego zaczął sztywno. Wycisnął z Hamida wszelkie potrzebne informacje. Egipcjanin z każdą chwilą robił się mniejszy. Zapytany o wynagrodzenie, obawiał się prosić o to, które dostawał

w ambasadzie. Zdesperowany, podał połowę swojej poprzedniej pensji.

- Co by o mnie ludzie mówili, gdybym płacił ci połowę poprzedniej pensji? Że jestem biedny, że nie jestem... - Starał się wczuć w rolę. - Żeby nie utracił twarzy, musisz zarabiać tyle, ile poprzednio. Jaką miałeś pensję?

- Sześćdziesiąt funtów, efendi - zaczął już stosownie tytułować Roberta.

- Nie sądzę, żebyś był tyle wart, jednak będę ci płacił sześćdziesiąt pięć. Jak będą pytali, ile zarabiasz, będziesz mógł powiedzieć, że więcej niż w ambasadzie. Masz wyglądać jak człowiek, któremu się dobrze powodzi. Zrozumiałeś?

Hamid był inteligentny, zaczynał rozumieć.

Dał mu pięćdziesiąt funtów.

- Zaliczka. Wyrównanie na koniec miesiąca. Wypłata ostatniego dnia każdego miesiąca.

- Dziękuję, efendi.

- Nie nazywaj mnie „efendi”. Mów do mnie „mister Rob”. Nie powtarzaj przypadkiem „mister Rob” na początku każdego zdania, to idiotyczne. Potrzebuję znajomego angielski Araba, przewodnika, który będzie ze mną chodził po Kairze. Zatrudnię również profesjonalnego lektora arabskiego. Z tytułem uniwersyteckim, na dwie godziny u mnie w domu, pięć dni w tygodniu.

- Znajdę przewodnika i odpowiedniego nauczyciela, mister Rob.

- Widzę, że się rozumiemy.

Hamid popędził do domu. Na bazarze kupił jagnięcinę, pomidory, czosnek i bakłażany. Po raz pierwszy od wielu dni będzie prawdziwa uczta, wokół same uśmiechnięte twarze, nikt nie pójdzie spać głodny.

Pensja *attaché* nie pozwalała na takie ekstrawagancje jak prywatny asystent, ale jeżeli uwzględnił dochody z wynajmu domów i zyski giełdowe, wynagrodzenie Hamida nie miało znaczenia. *Kto wie, jak się losy potoczą. Może będę kiedyś potrzebował jego pomocy?*

Początki nie były łatwe. Zaaplikował sobie solidną dawkę nauki arabskiego. Na dodatek praca w ambasadzie okazała się przeraźliwie nudna. Zaczął się zastanawiać, czy podjął właściwą decyzję. Czy wytrzyma lata takiej monotonii? Były też jasne punkty: czas pracy, paszport dyplomatyczny, immunitet, pozycja towarzyska, dostęp do ekskluzywnych klubów. Dwie ostatnie pozycje z tej listy najbardziej interesowały Marion. A na jej satysfakcji wyjątkowo mu zależało.

Wnioski wizowe przyjmowano przez cztery godziny. Siedział obok Hamida i przyglądał się jego pracy. Jego podwładny był kompetentny i doskonale sobie radził. Egipcjanie starający się o wizy stanowili przekrój całego społeczeństwa. Od zamożnych, pewnych siebie biznesmenów w tropikalnych garniturach lub śnieżnobiałych galabijach, po nubijskich wieśniaków o skórze ciemnej jak u Murzyna. Przysłuchując się rozmowom, starał się zapamiętać jak najwięcej. Dwie godziny, które Hamidowi zajmowało przygotowanie dokumentów do podpisu, wędrował po Kairze.

Abdul Aziz, dwudziestoparoletni kuzyn Hamida, okazał się pogodnym i dobrze zorientowanym przewodnikiem. Włóczyli się bez celu po ulicach i bazarach wielkiego miasta. Angielszczyzna Abdula nie była wprawdzie najwyższego lotu, Robertowi jednak wystarczało, że go rozumie. Uczył się arabskiego, lecz przede wszystkim poznawał życie kairskiej ulicy. Zaczęli od omówienia systemu ekonomicznego, cen, realnej wartości waluty, kursów wymiany i tym podobnych. Był zaskoczony stabilnością egipskiego funta. Oczekiwał śmieciowego pieniądza, okazało się, że jest poważną walutą. Kurs wymiany z funtem brytyjskim wynosił jeden do jednego i utrzymywał się na tym poziomie od lat.

7 grudnia 1949 r.,

Londyn, Belgravia, apartament Phila St. Johna

St. John wpatrywał się w ogień w kominku. Spotkał się w kinie z Kontrolerem. Robili *damage assessment*⁷⁹ „Ulissesa”. Ocena nie wypadła najlepiej. Wyznaczając Meissnera na dowódcę grupy,

bezsensownie sprowadził na siebie ryzyko, niczego w zamian nie zyskując. No, może poza zaliczeniem Marion, jednak to niewiele w porównaniu z kłopotami, na jakie naraził Centralę, i ryzykiem, na jakie naraził siebie. Kontroler wytknął mu to i miał rację.

Taa, Marion. Nie wiadomo skąd pojawił się jej obraz. Rozprawiczał ją wtedy analnie. Miała taką wyrazistą twarz. Dostrzegał w niej ból i namiętność. I jeszcze bezgraniczne oddanie. Miał w życiu wiele kobiet. Byłoby ich więcej, lecz jako kret musiał się nieustannie mieć na baczności i nie korzystał z każdej nadarzającej się okazji. Większości nie pamiętał. Oderwane obrazy przeskakiwały przed oczami. Nie potrafił ich nawet przypisać konkretnym kobietom. Były zaledwie cztery, do których powracał pamięcią. Pozostałych trzech nie wspominał od dawna. Niespodzianie w jego wyobraźni odżyła Marion. I to po raz drugi. Nie rozumiał przyczyny. Kiedy mieli romans, był przekonany, że jej nie kocha. Nieprzytomnie się pożądali i niewiele więcej.

Do wywiadu przychodziły najlepsze. Piękne, inteligentne, odważne, nieprzeciętne. A on był w MI6 legendą. Miał wiele takich niesamowitych kobiet. Więc dlaczego właśnie ona? Pomyślał, że jest wypalony podwójnym życiem, jakie prowadzi od lat. Jednak pomimo nieustannego zagrożenia, gardząc szarą egzystencją, w której niewiele się dzieje, nie zamieniłby go na inne. Jej obraz pojawił się dlatego, że jest przemęczony. Żeby nie myśleć, wypije tyle, ile zawsze, czyli dużo. I zaśnie. Ona zniknie i niech się więcej nie pojawia. Tak będzie lepiej.

We wspomnieniach praca w MI6 była ekscytującą przygodą. Robert zrozumiał, że biurokracja jest jedenastą, ponadczasową plagą egipską, a on się do tej roboty po prostu nie nadaje. Gdyby zdawał sobie z tego sprawę przed odejściem z wywiadu, trzy razy by się zastanowił. Zawód dyplomaty wyglądał atrakcyjnie. Tak sądził, dopóki nie zapoznał się ze swoimi obowiązkami.

Wędrówki po Kairze pozwalały choć na chwilę odetchnąć od urzędniczej mitręgi. To nie było miasto fanatycznych wyznawców islamu i ascetów, lecz wrzaskliwa, hałaśliwa, przesycona odurzającymi zapachami Orientu metropolia. Spontaniczne, radosne uwielbienie życia. Gorączkowy pęd dokądś mieszkańców. Lepki upał i nieustanna kakofonia klaksonów, krzyków, zawodzenia muezzinów.

Pograżał się w świecie kipiącym energią, bogactwem kolorów, egzotycznych zapachów, gorączką i podnieceniem. Życie kairskiej ulicy przypominało chaos tropikalnej dżungli. Wspominał Bydgoszcz. Tam też był rynek, dni handlowe. Okoliczni chłopcy przywozili swoje produkty: żywność, wyroby rzemiosła, płody lasu. Pokwikiwały prosiaki, pogdakiwał drób. Przekupnie wystawiali na straganach blaszane koguciki, baloniki, złote pierścionki z błękitnym oczkiem i setki innych wyrobów. Nie dało się porównać rynku z dzieciennych wspomnień do kairskich bazarów. Jak tu porównywać wróbla z wielką, kolorową papugą?

W arabskim robił zdumiewające postępy. Marion nie była zachwycona, że przedkłada naukę języka nad spędzanie czasu z nią, musiała się jednak pogodzić z koniecznością. Jak wiele kobiet w ciąży, bywała humorzasta. Żeby ją udobruchać, obiecał, że wkrótce zrezygnuje z lekcji. Urlop mu jeszcze nie przysługiwał.

Po sześciu miesiącach pojawił się w gabinecie sir Herberta.

- Chcę poinformować, że mogę się już obejść bez tłumacza. Język znam tak dobrze, jak to wynika z akt. - Mrugnął do rozbawionego ambasadora. - Przez miesiąc będę się zajmował wizami osobiście. - Zdążyło się rozejść, że nie zna arabskiego. Chciał ukreślić łeb tej ohydnej plotce. - Pozostawię jednak Hamida. Pracy przybywa z każdym dniem. Już obecnie druga osoba się przydaje.

Mówiąc o osobie, która się przydaje, miał na myśli siebie. Od czasu do czasu bywał przydatny. Na przykład, kiedy trzeba było osadzić nadętego oficjela.

- Jeśli odejdzie, powstaną zaległości w rozpatrywaniu wniosków.

Żeby się nie spóźnić, musiałbym wstawać znacznie wcześniej, czego nie znoszę, i zrezygnować z wypadów do klubu w porze lunchu, co bardzo lubię.

- Wszędzie są napięcia i ludzie jakoś sobie radzą. Klną, jednak sobie radzą. Zatem uważasz, że podolacie, niezależnie od tego, jak wzrośnie liczba wniosków?

- Do czasu. Nie martwmy się na zapas. Zawsze coś się może zmienić. Na przykład zniesiemy wizy dla Egipcjan.

Ambasador dostał napadu niepohamowanej wesołości.

- Lubię twoje poczucie humoru. Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

- W rzeczy samej. Żona niedługo będzie rodzić. Nie przysługuje mi urlop, ale przez dwa tygodnie Hamid poradzi sobie sam. Ja bym wpadał podpisać dokumenty.

- Zrozumiałe, jak najbardziej, jak najbardziej. Pierwsze dziecko?

- Tak, pierwsze.

- Będziemy trzymali kciuki. Słyszałem, że twoja żona jest piękną kobietą. Czekamy niecierpliwie, kiedy się pojawi w ambasadzie.

- Dziękuję, Anthony.

Dzień po dniu za oknem stał obezwładniający żar. Marion szybko zasypiała. Brzuch miała duży, ciąża ją męczyła. Po przyjeździe do Egiptu wspólnie zdecydowali, że rezygnują z klimatyzacji. Spędzą w tym kraju wiele lat, zatem nie mają wyboru, muszą przywyknąć do klimatu. Zresztą ona lubiła upalną pogodę. Teraz, widząc, jak się męczy, zmienił zdanie. Zamówił klimatyzację do jednego pokoju, żeby mogła znaleźć wytchnienie od upału.

Poród był długi i bolesny, na szczęście bez powikłań. Siedział w barze Shepheard's i popijał dżin z tonikiem. O trzeciej nad ranem zadzwonił doktor Campbell, który się opiekował Marion.

- Masz córkę. Zdrową, śliczną dziewczynkę. Żona jest osłabiona, ale czuje się dobrze. Zapraszam za kilka godzin.

Był poranek 1 lipca 1950 roku. Został ojcem.

W prezencie kupił żonie auto. Nie czekał, aż Hasso zrobi to z funduszu, jak poprzednio w Hamburgu. Po Kairze jeździła brudnymi taksówkami, co z niemowlęciem było nie do pomyślenia. Chciał jej koniecznie zaimponować. Nie mógł sobie tej demonstracji sukcesu odmówić. Wiedział, że ona się domyśla, musi się domyślać, że ma mnóstwo pieniędzy. Na szczęście od dawna nie pytała, skąd się wzięły. Może nie jej, lecz sobie chciał udowodnić, że nie jest gorszy od St. Johna, który stał się dla niego niedościgłym wzorcem męskiej atrakcyjności. Za bardzo nie wiedział, o co mu tak naprawdę chodziło. Nie wyszła za niego dla pieniędzy i nie łączyła ich związku z jego sukcesami finansowymi czy zawodowymi. Miała swoje wady, lecz jej miłość była bezinteresowna. Dlatego nie umiał dociec, z jakiego powodu chciał się pokazać. Zapewne cieszył się z prezentu bardziej niż ona. Podarował jej piękny kabriolet bugatti type 101. Decydując się na dwuosobowe cabrio, liczył skrycie, że ona będzie raz na jakiś czas potrzebowała większego auta, przesiądzie się wtedy do mercedesa, a on poszaleje rozwijającym dwieście na godzinę cackiem.

Dziękując za prezent, myślała z uznaniem, jak przewidująca była mama, kiedy strofowała ją za nadmierne zainteresowanie jego kontem. *Bugatti dostałam za to, że nie kłapałam dziobem, nie zadawałam głupich pytań... Swoją drogą, skąd wziął forszę?* Niewyjaśniona zagadka pieniędzy męża nie dawała jej spokoju. *Może napadł na bank? Mógłby się przyznać, przecież bym go nie wydała.*

Promieniała szczęściem. Jak każda matka, była przekonana, że ma najpiękniejszą i najmądrzejszą córkę. Obydwoje tak byli pochłonięci rolą rodziców, że nie dostrzegali nadciągających chmur. Nie pieprzyli się od dawna. W ciąży miewała ochotę i nawet go namawiała, jednak on na sam widok brzucha wpadał w panikę. Po porodzie nic się nie zmieniło. Jak się mieli kochać, jeżeli w sypialni stała kołyska z malutką, często zapłakaną córeczką? Nie za bardzo mu nawet stawał. Nie wiedział, co o tym myśleć, a kolejne miesiące

abstynencji odkładały się w kalendarzu. Do Marion, zaabsorbowanej rolą matki, nie docierało, że ponownie narasta problem.

Nie wiadomo, jak by się sprawy potoczyły, gdyby nie przyjazd teściów. Postanowili, że muszą jak najszybciej zobaczyć wnuczkę. W tym byli zgodni. Spierali się, jak mają dotrzeć do Kairu. Mogli popłynąć statkiem wycieczkowym albo polecieć samolotem. Astrid była za romantyczną podróżą morską, Hasso za tańszym, szybszym i praktyczniejszym samolotem. Stało, jak zwykle, na tym, czego chciała ona. Zamierzali zatrzymać się w Shepherd's Hotel, ale córka i zięć kategorycznie zaprotestowali. Mają duży dom, w którym rodzice zmieszczą się bez problemu. Robert zamówił nawet klimatyzację do pokoju gościnnego. Pierwszą noc matka z córką przegadały do białego rana. Kiedy wyszedł do pracy, powróciły do przerwanej rozmowy. Potem wzięły się za przemeblowanie. Po powrocie zastał Julkę w pokoju dzieciennym.

- Taka malutka, a zostawiamy ją samą na noc. Nic jej się nie stanie?

- Ty się lepiej nie wtrącaj! - Astrid zareagowała stanowczo na próbę podważenia autorytetu pań von Thoma w fakultecie opieki nad niemowlakami.

- Jeżeli tak twierdzicie...

Tej nocy, pierwszy raz po wielu miesiącach abstynencji, oddawali się rozkoszom ciała. Kiedy rano wyszli z sypialni, Astrid siedziała w kuchni z kubkiem aromatycznej, egipskiej kawy. Mijając ją, córka mrugnęła.

11 sierpnia 1950 r.,

Londyn, Belgravia, apartament Phila St. Johna

Z przyjęcia wyszedł z dziewczyną. Była w łazience, szykowała się. Siedział w fotelu w spodniach, bez koszuli. Na stoliku stała szklanka whisky. Miał wzwód. Nie jakiś specjalny, ale wystarczający, żeby wsunąć bez wstydnego wyginania. Nieoczekiwanie pojawiła się

Marion, jak zwykle bez zapowiedzi. Nie zapraszał jej, miał się pieprzyć z inną. Nie chciała wyjść.

Hamburg, jego pokój hotelowy. Też miał wzwód, ale wtedy go rozsadało. Przyszła stęskniona, chętna, rozwiązała. Ofiarowywała mu siebie bez reszty. Całowała gorączkowo, gryzła wargi, wsysała język, zanim zdążył zamknąć za nią drzwi. Sukienkę zdierała w gorączkowym pośpiechu, byle szybciej. Nie mogła się doczekać, kiedy w nią wejdzie. Pokój był przesycony jej zapachem.

Narieczona na tę noc wyszła z łazienki. Bardzo ładna, podniecona. Spojrzał na nią i oklapł mu zupełnie. Jeszcze nigdy nie poniósł tak haniebnej porażki. To przez Marion, nie musiała przychodzić akurat teraz. Popsuła randkę. Zamknął drzwi za rozwścieczoną narieczoną. Uśmiechała się przepraszająco. Przyszła, bo chciała porozmawiać, tylko porozmawiać, usłyszeć jego głos.

23 września 1950 r.,

Hamburg

Marlena Fremery zebrała książki, zeszyty i wyszła z sali wykładowej. Szkoła, którą w poprzednim życiu tak lubiła, była nudnym obowiązkiem. Dawniej wiedziała, co chce w życiu robić. Po maturze zamierzała studiować medycynę. Wprawdzie uczelnie wznowiły działalność, jednak medycyna przestała ją interesować. Stała chwilę przed budynkiem pomaturalnej szkoły nauki języków, mrużąc oczy w oślepiającym słońcu. Kiedy przyzwyczyły się do jaskrawego światła, podeszła do stojaka i zdjęła kłódkę ze swojej damki.

- Fajny masz rower, Marlen, jakiej marki?

Przy drugim końcu długiego na dwadzieścia rowerów stojaka Anton Kempf, kilka wojennych lat od niej starszy kolega z grupy, zdejmował kłódkę ze swojego gruchota pamiętającego czasy Republiki Weimarskiej.

- Raleigh⁸⁰.

Odpowiedziała zdawkowo, nie miała ochoty na rozmowę. Wsiadła na rower i bez słowa odjechała, a przynajmniej tak się jej wydawało.

Dogonił ją po kilkuset metrach. Jechał po zewnętrznej stronie, usiłując wciągnąć w rozmowę. Jego sentymentalne epistoły nie robiły na niej wrażenia. Nie miał zamiaru rezygnować. Wyjechali poza miasto. Wyprzedził ją i na pustej o tej porze drodze zaczął się popisować. Na zdezelowanym herkulesie pokazywał różne sztuczki. Jechał na tylnym kole, robił kółka bez trzymanki, stójki, podskakiwał w miejscu. Żeby spojrzeć łaskawszym okiem. Ominęła go szerokim łukiem, nie odwróciwszy głowy. Znowu popędził do przodu. Postawił rower na nóżce, a sam położył się na asfalcie w poprzek drogi. I ten desperacki czyn nie zrobił na niej wrażenia, więc po raz kolejny ją wyprzedził. W przydrożnym rowie pospiesznie nazbierał stokrotek. Minęła go, ale ją dogonił i z pełnym nadziei uśmiechem wręczył bukiet - dowód szczerości swoich uczuć. Łaskawie go przyjęła i po przejechaniu kilku metrów wyrzuciła nieszczęsne kwiatki do rowu. Spadły na trawę i rozsypały się tak, jak się rozsypały nadzieje Antona. Sytuacja powtarzała się przez szereg dni. Biedny Anton jeździł za nią po dwadzieścia kilometrów tam i z powrotem, nic w zamian nie zyskując. W końcu skapitulował.

W tym czasie Marlena próbowała znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia, żeby zdemaskować Phila. Z wielu źródeł, w tym z podsłuchanych strzępków rozmów, złożyła całkiem rzetelny obraz struktury MI6 i zakresu jego obowiązków. Odniosła pierwszy skromny sukces. Potwierdziło się, że odpowiadał za operacje dywersyjne za żelazną kurtyną. Następnym krokiem było stworzenie rejestru operacji i poddanie, jedna po drugiej, skrupulatnej analizie. Od Roberta znała najistotniejsze szczegóły „Ulissesa”.

Pewnego dnia jadła lunch w kantynie. Do stolika podszedł chłopak w mundurze.

- Czy mogę się do pani przysiąść? Wszystkie stoliki są zajęte - usprawiedliwił się. Marlena go onieśmiała.

Demonstracyjnie rozejrzała się po sali, próbując znaleźć dla niego wolne miejsce. Rzeczywiście, były zajęte. Skinęła głową. Ograniczała kontakty z mężczyznami do niezbędnego minimum.

Żołnierz postawił talerz i się przedstawił.

- Kapral Timothy Barrow. Tim Barrow.

Wyglądało, jakby się przed nią meldował. Nie mogła go dalej ignorować. Niezrażony widocznymi objawami braku zainteresowania, powiedział, że jest szyfrantem. Niechęć natychmiast jej przeszła. *Jeżeli jest szyfrantem, może być przydatny.* Zaszczyciła nawet Tima uśmiechem. Zachęcony, usiłował ją przekonać, jak fascynujący jest zawód szyfranta.

- To niezmiernie ciekawe, co opowiadasz, Tim. Nie wiedziałam, że praca szyfranta jest taka interesująca. Jestem tłumaczką, to nudna praca, zazdroszczę ci pasjonującego zajęcia.

Dalej rozmowa potoczyła się gładko. Zgodziła się łaskawie, żeby dotrzymał jej towarzystwa. Ona prowadziła swoją damkę, on robił, co mógł, żeby ją zainteresować. Następnego dnia już na nią czekał w kantynie.

Marion trafnie przewidziała. Wyrastała na prawdziwą piękność. Dawno już przestała być garścią kości w worku ze skóry. Piersi się powiększyły i przybrały kształt połówek dorodnego grapefruita. Miała w sobie to coś, w jej uśmiechu skryta była tajemnica Mony Lizy, nieodparcie przyciągająca pewien typ mężczyzn, do których i Tim się zaliczał.

W powrocie do normalności pomogła rozmowa z Robertem. Opowiedział o zbrodniach, jakie Niemcy popełnili na Wschodzie, udostępnił dokumenty. Zobaczyła Rosjan w innym świetle. Jako oprawców i ofiary jednocześnie. Przypomniała sobie, że wielu z tych młodych mężczyzn, którzy ją gwałcili, straciło na wojnie kogoś bliskiego. Czasami o tym rozmawiali, jednak pogrążona w swym cierpieniu nie zwracała uwagi na ponure opowieści. Z upływem czasu trauma przemijała. Z każdym dniem była bliższa normalności, ale problemy w kontaktach z mężczyznami pozostały. Jedynym, którego akceptowała, i to wyłącznie jako przyjaciela, był Robert. Nie była gotowa ani na miłość, ani na związek z mężczyzną. Jednak Tim był jej potrzebny. Zaczęła wypytywać o szyfrowane informacje od i do grup

dywersyjnych. Ponieważ pracowała w MI6, wszyscy ją znali, bez obaw opowiadał o tym, co ją interesowało.

- A gdybym poprosiła o kopie wszystkich radiogramów... Dałbyś?

Tim był zaskoczony, zbyt jednak zauroczony, żeby otrzeźwieć. Żartem, bez ukrytych intencji, zapytał:

- Co bym dostał w zamian?

- Co byś dostał? Wszystko, czego zażadasz.

Dla niego ta wymiana zdań przybrała nieoczekiwany obrót. Miała opinię niedotykałskiej. Nikt nie mógł się pochwalić choćby pocałunkiem.

- Tylko tak mówisz. Wszystkiego na pewno byś nie dała. - Przeszedł do defensywy.

- Dlaczego tak sądzisz? Jeżeli obiecałam wszystko, miałam na myśli wszystko.

- Postaram się, jednak niczego nie mogę obiecać.

Kilka dni później, dygocąc ze zdenerwowania, podał jej grubą teczkę z kopiami szyfrogramów.

- Pierwsza część. Będzie jeszcze druga, jak wykonam kopie.

Siedzieli na ławce w parku. Nie miał pojęcia, do czego są jej potrzebne.

- Idziemy do ciebie. Gdzie mieszkasz?

- Ja tylko żartowałem, nie musisz...

- Powiedziałam, idziemy - przerwała mu w pół zdania i wstała.

We własnym pokoju poczuł się zagubiony, nie wiedział, do czego ona zmierza. Za to Marlina nie wyglądała na zagubioną. Nie tracąc czasu, rozebrała się i położyła na łóżku.

- Masz godzinę, możesz robić wszystko, na co masz ochotę - powiedziała beznamiętnie.

Leżała przed nim naga, z zamkniętymi oczami. Poczuł, że nie może. Gdyby ktoś wcześniej obiecał, że Marlina mu się odda, odleciałby ze szczęścia. Pochłaniał ją wzrokiem, nagą, urzekającą, tajemniczą, i nie wiedział, co ze sobą począć. Czekala z zamkniętymi oczami. Wiedziała, że na czas fizycznego kontaktu jej dusza opuści

ciało, zawisnie w kosmosie i nie będzie się przyglądała, co z nią robi. Czekanie się przedłużało. Poczwała, że przykrywa ją do pasa prześcieradłem. Nadal miała zamknięte oczy, dopiero kiedy usłyszała szelest, otworzyła je. Siedział na jedynym w pokoju fotelu, ze szkicownikiem na kolanach. Rysował węglem. Na jej zaciekawione spojrzenie odpowiedział nieśmiałym uśmiechem.

- Czy możesz się ułożyć na boku?

Po godzinie odłożył blok.

- Godzina minęła - powiedział z żalem.

Wstała i podeszła. Szkic był niedokończony, ale widać było, jaki jest utalentowany. Nie uważała, że ma piękne ciało. Potrafił wydobyć to, czego sama nie dostrzegała. Rysy jej twarzy naszkicował z godną podziwu precyzją. Bez słowa położyła się w tej samej pozycji, lecz nieprzykryta prześcieradłem. Czas mijał, Tim rysował z coraz większą pasją. Skończył i pokazał jej dwa akty. Wpatrując się w nie, pogodziła się ze swoim ciałem. Pocałowała go delikatnie w usta.

- Kochany jesteś i masz wielki talent.

- Marlen, skoro tak daleko zaszliśmy, może dasz się zaprosić na kolację?

- Nie, muszę jechać do domu - zaczęła, jednak po chwili zmieniła zdanie. - A właściwie tak. Mam tylko jeden warunek. Ja płacę.

Podczas kolacji był zamyślony. Ona musiała mówić, bo inaczej jedliby w milczeniu. Wreszcie się odezwał.

- Nie mam pojęcia, poco ci te kopie. Wiem, że nie zrobisz z nich złego użytku. Żeby przeanalizować takie materiały, potrzebny jest ktoś mający z nimi do czynienia na co dzień.

Była to rozsądna propozycja. Pomyślała, że ma rację i tylko idiotka z takiej oferty nie skorzysta.

- Jeżeli naprawdę chcesz pomóc, dziękuję. Faktycznie, bez ciebie byłoby trudno.

- Co za to będę miał? - Uśmiechnął się konspiracyjnie.

Również nie mogła powstrzymać uśmiechu. Po raz pierwszy od rozmowy z Robertem.

- A co byś chciał?
- Zgodzisz się na wszystko?
- Pewnie, że na wszystko, głuptasie.
- W takim razie będziesz pozowała do aktu. Namaluję cię akwarelą. Nie potrafię sobie wyobrazić piękniejszej modelki.
- Tylko tyle i nic więcej?

Kolejny, szczęśliwie niegroźny kryzys pozostawili za sobą. Na własnych błędach uczyli się, jak delikatna jest harmonia pomiędzy kobietą a mężczyzną i jak łatwo ją naruszyć.

Znaleźli opiekunkę do dziecka. Młodą, rozsądną i ciepłą Egipcjanek Basimę. Nieustannie się uśmiechała, udowadniając, że imię, „Uśmiechnięta”, wybrano nieprzypadkowo. Znała angielski na podstawowym poziomie, zatem Marion mogła się z nią porozumieć. Robert rozmawiał z nią po arabsku, czym zdobył jej szacunek. Musieli zaakceptować, że mówi do Julii po arabsku. Jego żonie się to nie podobało, ale ją przekonał, że dodatkowy język może się córce przydać. A już na pewno nie zaszkodzi.

Marion rozkwitała. Przetrwiała aklimatyzację, szczególnie trudną ze względu na ciężę, gorący klimat i zmianę kultury. Mogła wreszcie rzucić się w wir życia towarzyskiego. Każdą wolną od opieki nad dzieckiem chwilę przeznaczała na rozrywki: sport i życie towarzyskie. Zapisała się do Gezira Sporting Club. On również zapisał się do tego klubu, czym sprawił jej niespodziankę. Nawet się uparł, że będzie za nią płacił składkę.

- Gdyby były tylko korty, to bym za ciebie nie płacił. Ale w tym klubie jest pływalnia i wiele innych atrakcji. Pójdziemy na basen, mężczyźni, którzy cię zobaczą w kostiumie, będą mi zazdrościli. A ty się będziesz ze mną migdalić. Tak żeby wszyscy widzieli. Za to, co wtedy pomyślą, zapłacę nawet podwójną składkę - wyjaśnił z rozbijającą szczerością.

- To ci się marzy, kotku? Że się będę migdalić, tak? I żeby widzieli? I żeby zazdrościli? Poczekaj, niech zapiszę, bo potem coś

popłaczę i będzie na mnie. Migdalić się, koniecznie na widoku, dobrze zapisuję? I z kim mam to robić?

Wybierali się do teatru. Robert wyszedł z łazienki, a Marion przeżyła wstrząs. Zakręciło się jej w głowie i zbladła. Bała się, że straci panowanie nad sobą. Żeby niczego nie zauważył, długo się do niego przytulała, usiłując zapanować nad emocjami. Zmienił wodę kolońską. Przypadek sprawił, że wybrał muelhensa, którego używał Phil, a dla niej miał na zawsze pozostać jego zapachem. Woń podnieconej męskości nakładająca się na zapach tej wody kolońskiej.

Skąd ten nagły przyptyw uczuć? – zastanawiał się.

Czy to się nigdy nie skończy? Płakała w łazience.

Gdy ją nawiedzały wspomnienia, rumieniła się, a Robert niczego nie podejrzewał. Niekiedy przed zaśnięciem pozwalała sobie na marzenia. Coraz częściej jednak jego obraz rozmywał się we mgłę zapomnienia. Zrozumiała, że ich romans, ale również trudny i bolesny czas odnajdywania się z mężem były jej najintensywniejszymi, najprawdziwszymi i najpiękniejszymi przeżyciami. Czasami zasmucała ją myśl, że takiej szalonej miłości już nie przeżyje, jednak przekonała się aż za dobrze, że nieodwzajemniona miłość do pełni szczęścia nie wystarczy.

Znalazła ekskluzywny klub jeździecki w zagubionej w zieleni delty Nilu mieścinie. Egipskie baladi, krzyżówka arabów i pełnej krwi anglików, były suche i niewysokie w kłębie. Za to temperamentu im nie brakło. Kupiła trzyletnią klacz o wdzięcznym imieniu Princessa. Już po pierwszej jeździe, podczas której energicznie skracając rozleniwioną brakiem twardej ręki Księżniczkę, było dla wszystkich oczywiste, że jest znakomitą amazonką. Wolny czas spędzała na ujeżdżalni i w klubie. Kilka setów, najchętniej mikst w parze z przystojnym dyplomata, basen, czasami z mężem, niekiedy z migdaleniem, ploteczki, niewinne flirty. Czas upływał szybko i przyjemnie. Nad horyzontem nie zbierały się nawet najmniejsze chmurki, na świat spoglądała przez różowe okulary.

W Gezira Club nazwali ją Bugatti Girl. Ten atrakcyjny przydomek nie do końca oddawał jej sprawiedliwość, ponieważ podkreślał szyk i urodę, pomijał zaś zalety ducha. Ale ona bardzo go lubiła, a nawet robiła wszystko, żeby ugruntować taką o sobie opinię. Zaczęła nosić krótsze sukienki w pastelowych kolorach, na granicy prześwitu, i ciemne okulary. Włosy rozpuszczała, usta malowała na kolor karmazynowy, a w przyływach szaleństwa – karminowy. Na kairskich bulwarach czerwone cabrio z blond pięknnością za kierownicą wywoływało sensację. Kierowcy na jej widok tracili głowy, dochodziło do stłuczek. Ją całe to zamieszanie bawiło, a nawet uśmiechała się do zapatrzonych w nią automobilistów i posyłała zdmuchiwane z dłoni całusy.

Podczas gdy ona cieszyła się macierzyństwem i dobrze bawiła, on ziewał z nudów. Jedynym urozmaiceniem były wypadki do Gezira Club, gdzie spotykali się na lunchu. Szukał zajęcia, które go wyrwie z otępiającej rutyny i nada życiu głębszy sens. Któregoś dnia zamówił połączenie międzynarodowe. Po chwili rozmawiał z redaktorem działu zagranicznego „Die Welt”. Zaproponował pisanie krótkich reportaży z Egiptu. Raz w tygodniu, w uzgodnionej formie. Dziennikarz zapisał istotne informacje i obiecał, że oddzwoni. Zadzwoił po dwóch tygodniach. Zaproponował pięćdziesiąt marek, czyli pięć funtów za reportaż, co nawet nie pokrywało kosztów. Nie zależało mu na pieniądzach, więc, ku ich zaskoczeniu, zaakceptował honorarium. Zanim zadzwonił do redakcji, przemyślał o reportażu. Po sześciu latach od zakończenia wojny widać było, że Niemcy nadspodziewanie szybko otrząsnęły się z wojennej katastrofy. Nie oznaczało to jednak, iż warunki życia ludzi pracy, niebieskich kołnierzyków, znacząco się poprawiły. Znakomita większość Niemców nigdy na wycieczce w Egipcie nie była. Chyba że wyjazdy grupowe, które organizował swego czasu Afrika Korps, uznać za wycieczki z survivaliem w programie. Pragnął, aby jego reportaże pozwalały czytelnikom choć na chwilę uciec z szarej, codziennej rzeczywistości do egzotycznego świata, do krainy marzeń. Na początek opisał bazar w Kairze. Z duszą

na ramieniu wysłał pocztą lotniczą pierwszy artykuł. Pisał pod pseudonimem Herodot⁸¹.

Praca, kąpiele z córeczką w basenie, wędrówki po Kairze, pisanie artykułów. Uczucie niepokoju, frustracja jakby zelżały. Zauważył, że nie ma tyle energii, co jeszcze niedawno. I nie była to kwestia upływu lat, starzenia się. Fizycznie był nawet silniejszy. Zmęczenie pochodziło z głębi istnienia, było ze swojej natury egzystencjalne, dotykało samej istoty bytu. Nie ciało zawodziło, lecz dusza. Doszedł do wniosku, że ostatnie lata przeżył intensywnie, może zbyt intensywnie, i dlatego się wypalił. Nadeszła pora, aby zwolnić, wtedy energia, radość życia powrócą. Był bogaty, o przyszłość się nie martwił. Intuicja podpowiadała, że prędzej czy później jego talenty okażą się potrzebne, więc nie przejmował się swoim mizernym statusem w ambasadzie.

Wypracował autorski styl reportażu. W Kairze działały tysiące niewielkich zakładów, z których utrzymywali się właściciel i jego rodzina. Profesji nieznanych w Europie było mnóstwo. Wystarczało, że raz w tygodniu odwiedzał jakiś interesujący warsztat i spędzał w nim kilka godzin. Sącząc kawę, obserwował pracę rzemieślnika, niekiedy prawdziwego artysty, dyskutował, zadawał pytania. Dawał na odchodne banknot, żeby zrewanżować się za gościnność, pozostawić za sobą dobrą aurę. Kupował przedmioty, które mu się spodobały bądź nadawały się na prezenty. Po powrocie do domu opisywał wszystko, co zobaczył i usłyszał.

Młody Arab, prawdziwy artysta, robiący misternie zdobione puzdra na kosmetyki. Starszy, grubo ciosany kowal, w pocie czoła wykuwający dające przewiew wzierniki do drzwi, w sam raz na upały. Chemik samouk wytwarzający formowane w wymyślne kształty mydła zapachowe. Każde z innego tłuszczu roślinnego, niektóre o właściwościach leczniczych. A tych tłuszczów w Egipcie wyrabiano dziesiątki.

Tego wieczoru opisywał pracę rzeźbiarza, który z bryły porowatego, brunatnego gipsu na jego oczach wyczarował subtelnego kształtu połyskujący odcieniami burgunda wazon z alabastru. Pisząc, wpatrywał się w stojący na biurku wazon. Dzień już zgasł, noc była gęsta od gorąca. Julcia spała, Marion, cicho podśpiewując, przygotowywała się do snu. Słyszał, jak się krząta. Są bezpieczni, nic im nie grozi. Zadowoleni z przeżytego dnia, cieszą się na nowy, który obudzi blaskiem słońca. Wstaną, by korzystać z jego łask. Żona stworzyła dom, o jakim marzył. Uwierzył, że i on może mieć szczęśliwą rodzinę, w dniu, w którym ją poznał. Zamarzyło mu się, że jeżeli zostanie jego żoną, stworzy im taki szczęśliwy dom.

Ponownie zaszła w ciążę. Wcześniej uzgodnili, że będą mieli dwójkę dzieci. Na razie. Zastrzegła, że w przyszłości do tematu powróci.

W Egipcie wybuchła rewolucja. Nie od razu, z dnia na dzień, lecz krok po kroku, z miesiąca na miesiąc. Zaczęło się od Czarnej Soboty. W Ismailii 5 stycznia 1952 doszło do bitwy pomiędzy siedmiotysięcznym, uzbrojonym w artylerię i czołgi brytyjskim korpusem dowodzonym przez brygadiera Kennetha Exhama a uzbrojonymi w karabiny żołnierzami egipskimi w liczbie siedmiuset. W wyniku tych walk poległo pięćdziesięciu Egipcjan. W tym czasie jedynie strefa Kanału Sueskiego pozostawała pod brytyjską okupacją. Wypierając Egipcjan ze znajdującej się w strefie kanału Ismailii, Brytyjczycy usiłowali utrzymać kontrolę nad kanałem. Z punktu widzenia brytyjskiej racji stanu sama decyzja była słuszna, natomiast sposób wykonania katastrofalny. Mając tak wielką przewagę, dowódca brytyjski powinien zwyciężyć, nie zabijając żołnierzy egipskich. Sun Tzu powiedział: „Kto wie, kiedy może walczyć, a kiedy nie może, odnosi zwycięstwo”. Egipcjanie zamordowali brytyjskiego negocjatora. Chcieli sprowokować Anglików i sprowokowali. Anglia, nazywana z racji swojej polityki „perfidnym Albionem”, natrafiła na cwańszego przeciwnika. Exham, wysyłając negocjatora, nie mógł

wiedzieć, jaki jest zamysł Egipcjan. Jednak po jego zamordowaniu powinien przejrzeć na oczy. Tymczasem zrobił dokładnie to, czego chcieli. Walczył, chociaż walczyć nie powinien. W rezultacie to iluzoryczne zwycięstwo doprowadziło do katastrofalnych dla Wielkiej Brytanii następstw.

Następnego dnia rozruchy ogarnęły cały Kair. Spłonęło kilkaset budynków, w tym Shepherd's Hotel, do którego Robert lubił wpadać na kawę. Brytyjczycy oświadczyli, że rozruchy świadczą o słabości rządu, i przygotowywali się energicznie do okupacji całego kraju. Najwyraźniej premier Churchill nie rozumiał pokojowych czasów.

Cały spisek - od bitwy w Ismailii, poprzez rozruchy w Kairze, do obalenia króla Faruka - był wspólnym przedsięwzięciem CIA oraz GRU. Znane są nawet nazwiska agentów CIA, którzy zorganizowali przewrót. Nigdy się nie dowiemy, czy to któraś z agencji wpadła na pomysł zamordowania negocjatora.

W rezultacie tej „genialnej” manipulacji Egipt wyswobodził się spod wpływów sojusznika USA - Wielkiej Brytanii - i znalazł sobie nowego protektora - ZSRR, który jako żywo sojusznikiem nie był. A w polityce liczą się wyłącznie rezultaty finalne.

Robert obserwował rozwój zdarzeń z niepokojem. Namawiał żonę, żeby przynajmniej na ostatnie tygodnie przed porodem wyjechała do rodziców.

- Wiem, że chcesz się mnie pozbyć, bo wpadła ci w oko ta ruda flama z ambasady francuskiej. Zapomnij o niej! Nie dzieje się nic, co by mnie zmuszało do ucieczki - oznajmiła tonem świadczącym, że uważa się za niezastąpioną.

Władze wprowadziły stan wyjątkowy. W Kairze obowiązywała godzina policyjna. Zamknięto szkoły i uniwersytety. Mogli w pełni docenić wygodę i luksus swojego domu. Mieli basen i niewielki ogród. Wolny czas spędzali w basenie, bawiąc się z córeczką, czytając pod parasolami, no i kochając się.

3 lipca Ruch Wolnych Oficerów obalił króla Faruka. W gorącym czasie rewolucji Robert, nieźle znający kraj, biegle władający

arabskim, na dodatek z doświadczeniem w MI6, był na wagę złota. Odbyli z ambasadorem długą, dosyć szczerą rozmowę, w rezultacie której awansował z *attaché* na III sekretarza. Przestał być nareszcie ostatnim w porządku dziobania⁸². Za awans zapłacił przejęciem dodatkowych obowiązków. Po namyśle stwierdził, że rewolucje przemijają, a III sekretarze pozostają, i przystąpił do pracy. Zaprzyjaźnił się z Hamidem, nabrał do niego zaufania, więc mianował go prywatnym sekretarzem. Dał mu nawet niewielką podwyżkę i przydzielił drobny fundusz na opłacanie informatorów. Stać go było, ponieważ ostatni rok dla jego portfela akcji okazał się wyjątkowo korzystny.

Hamid kupował z samego rana gazety egipskie, angielskie oraz amerykańskie. Do pojawienia się szefa miał już przygotowaną prasówkę. Następnie ruszał w teren i zbierał informacje. Robert zabronił mu wypytywania o sprawy wojskowe. Kłopotliwe ograniczenie, rządzili wszak oficerowie. Dostał nawet aparat fotograficzny. Miał fotografować wszystko, co uzna za istotne. Hamid był inteligentny. Złośliwość losu oraz tak istotne w Egipcie niskie pochodzenie nie pozwoliły mu na rozwinięcie wrodzonych talentów. To za jego sprawą Robert był jednym z lepiej poinformowanych dyplomatów w Egipcie. Nie uszło to uwagi przełożonych.

Dla Europejczyków życie toczyło się swoim trybem, jednak kairska ulica była niespokojna. Przywódcą puczu został młody, charyzmatyczny pułkownik Naser. Ten zawodowy oficer okazał się politykiem wielkiej miary. Robert rozpoznał jego talenty przywódcze. W notatkach służbowych podkreślał, że nowy reżim jest silnie nacjonalistyczny, Naser nie odda władzy i może prowadzić różną politykę, a Egipt z całą pewnością nie będzie sojusznikiem Wielkiej Brytanii. Jego analizy nie spotkały się z pozytywnym przyjęciem. Rząd brytyjski nie potrafił przyjąć do wiadomości, że Egipt wyzwolił się spod brytyjskiej kurateli i szuka protektora.

Marion była w zaawansowanej ciąży, nie mogła jednak usiedzieć w domu. Zapakowali więc do auta Julkę, tony wiktuałów, pieluszek oraz niezbędnego wyposażenia i kiepską terenową drogą ruszyli szlakiem wielkich odkrywców na południe. Po kilku godzinach jazdy dotarli do biednej, zapomnianej przez Allaha wioski rybackiej Safadży.

Po przyjeździe przeczytał kilka podręczników historii Egiptu. Dowiedział się, że pięć tysięcy lat temu, czterysta przed wybudowaniem piramidy Cheopsa, władcy I Dynastii zbudowali Al-Qusayr, port nad Morzem Czerwonym, do którego docierali kupcy-żeglarze z odległych krain. Port ten, położony nieopodal Safadży, istniał nieprzerwanie pięć tysiącleci. Sama Safadża nie mogła się poszczycić równie imponującą historią. Port w tym miejscu wybudował trzysta lat przed naszą erą Ptolemeusz II.

- Pomyśl, kochanie, jakie to niesamowite! Jesteśmy dumni z naszej historii, szcycimy się wspaniałą kulturą. Al-Qusayr zbudowano, kiedy my tkwiliśmy w epoce kamiennej. I jakieś gliniane garnki. My, Europejczycy, spoglądający na Egipcjan z pogardą, pouczający, jak mają rządzić swoim krajem. Kim, do cholery, jesteśmy, że przyznajemy sobie prawo do rządzenia innymi narodami, narzucamy, co i jak mają robić?

Podniecił się, oczy mu błyszczały. Wpatrywała się w niego zafascynowana. Jak w dniu, w którym się poznali. Tyle razem przeszli, a nie poznała go z tej innej, dobrej przeciw strony. Jest w ciąży, ale jak urodzi, będą o takich sprawach rozmawiali. Koniecznie. Na rozmowy nigdy nie jest za późno i nigdy nie jest ich za wiele. Muszą się jeszcze lepiej poznać, przeciw przed chwilą dowiedziała się o nim czegoś, o czym nie wiedziała. Ona mu opowie, co jej w duszy gra. Nie tak, jak on, bo jest kobietą i nigdy nie myślała o sprawach, o których mówił. Ale jest wiele ważnych dla niej kwestii, o których chce mu opowiedzieć. O przyjaźni z matką, o malowaniu, o którym wciąż myśli, o swoich strachach.

Rozbili namiot na plaży, morze było ciepłe, mała, znużona podróżą, szybko usnęła. Brodząc po wodzie, rozmawiali o nieistotnych

sprawach. Kategorycznie oświadczyła, że po sposobie kopania rozpoznała płeć dziecka.

- To jest chłopiec i bez wątpienia kawał łobuza, zupełnie jak jego tatuś. Żadna dziewczynka tak by nie kopała. Juleczka była delikatna, a on wali tymi nożynami, jakby piłkę kopał.

Od kiedy urodziła, patrzyła na niego inaczej. Przestał być mężczyzną, który jest partnerem w życiu i zaspokaja potrzeby seksualne. Teraz doceniła, jak bardzo się o nią troszczy, jak się opiekuje. Jest tym mężczyzną, przy którym się niczego nie boi. Przed zaśnięciem szepnęła:

- Chciałabym tu zostać na zawsze.

Rano zjedli szybkie śniadanie i pojechali do wioski. Rozmawiał z rybakami, ona z Julią na biodrze spacerowała po plaży. Nagle zawołał:

- Chodź, jedziemy coś zobaczyć.

Zabrali ze sobą Araba, który służył za przewodnika. Jechali krótko, zaledwie kilka minut. Zatrzymali się przy piaszczystej drodze, kilkaset metrów od brzegu. Wysłał żonę na spacer morskim brzegiem, a sam wdał się z Arabem w ożywioną rozmowę. Miał do sprzedania grunt nad morzem. Pilnie potrzebował pieniędzy na nową łódź, ponieważ stara rozpadła się ze starości. Cena nie była wygórowana. Chciał tysiąc pięćset dolarów za kawałek osiemset metrów długi i sto pięćdziesiąt szeroki po linii brzegu. Dla poszanowania tradycji potargował się, lecz bez specjalnego zacięcia. Stańto na tysiąc trzystu. Arab był przekonany, że ubił doskonały interes. Za kawałek bezwartościowego piachu będzie miał nową łódź, wystarczy nawet na niezawodny, trzydziestokonny silnik evinrude, o jakim od dawna marzył. Zaprosił Roberta do domu, poczęstował kawą. Choć żył w ubóstwie, miał typowo arabskie zalety: gościnność i poczucie godności. Siedzieli na macie i pociągając sziszę jak starzy znajomi, niespiesznie omawiali szczegóły sprzedaży. W Egipcie takie transakcje odbywały się od tysięcy lat, funkcjonował sprawny system katastralny. Umówili się na piątek u notariusza. Wieść o transakcji

obiegła wioskę. Dobijali targu, kiedy pojawił się drugi Arab. Chciał sprzedać sąsiednią działkę, identycznej wielkości. Zdecydował się kupić drugi plac, żeby jego działka miała dłuższą linię brzegową. Szybko dobili targu.

Marion była poirytowana – zamiast zajmować się nią, traci czas na pogaduszki z Egipcjanami. W drodze powrotnej jeszcze się nad nim pastwiła. W grze, w jaką z upodobaniem grali, odgrywała z autentycznym talentem i zaangażowaniem rolę tej nieomyślnej. Docinała żartobliwie i z klasą. Jemu zaś przypadła rola poczciwego matołka zapewniającego tło dla jej błyskotliwego poczucia humoru. Uwielbiali swoją grę, doskonale się bawili i za nic by z niej nie zrezygnowali.

W czwartek z samego rana wyruszył do Safadzy. Uprzedził, że wróci następnego dnia. Obowiązki. Wrócił dopiero w sobotę. Najbliższy notariusz był w Luksorze. Cały czwartek, piątek i pół soboty spędził za kierownicą. Zaczęła coś podejrzewać, ponieważ w niedzielę wnętrze auta zajeżdżało rybami. *A niech robi, co chce, przecież nie ma kochanki w Safadzy.* Tydzień później zapowiedział kolejną wycieczkę. Energicznie protestowała, zdołał ją jednak przekonać.

- Żadnych Arabów, ty, ja, morze, plaża i księżyc.

Wyrwał się z ambasady wcześniej, więc mogli wyruszyć w piątek w południe. Po kilku godzinach jazdy dotarli do celu. Kluczył po piaszczystych drogach. Wreszcie znalazł właściwe miejsce. Ustawił latarnie gazowe, przy ich świetle rozłożył duży namiot z przedsionkiem i dwiema sypialniami z moskitierą. Nadmuchał materace, ustawił składany stolik i krzesła, wyjął jedzenie, zapalił kuchenkę benzynową. Była zaskoczona, że nakupił tyle sprzętu biwakowego. Otworzył wino, rozstawił talerze i kieliszki na stoliku. Przyglądała się tej mrówczej krzątaniu z rosnącą podejrzliwością. Wreszcie nie wytrzymała.

- No dobrze, możesz się przyznać. Co się znowu narozrabiało?
Nie odpowiedział.

- Przyznaj się zaraz, to może nie urwę ci głowy.
- Jesteśmy na naszej ziemi, Mia.
- Jak to na naszej?
- Kupiłem ten kawałek tydzień temu.
- Kupiłeś ten piach? Toż tu nie ma kropli wody. A namiot możemy rozbić, gdzie się nam podoba.

- To się jeszcze przekonasz, co można tu zrobić.
- Kopalnię piasku. Życzę sukcesu, tylko najpierw znajdź kupca na ten piasek.

- Złośliwa kobieto, przestań mi dokuczać. Chodź tu i się przytul.

Tej nocy nie miała ochoty na spacer brzegiem morza. Była już wyraźnie zmęczona noszeniem coraz większego brzucha. Na ten wyjazd zgodziła się wyłącznie dlatego, że jemu tak zależało. Rano wstała pierwsza i wyszła z namiotu. Wróciła szybciej, niż wyszła - przestraszona.

- Przed namiotem siedzi Arab. I gapił się na mnie. Zrób coś, on jest na naszej ziemi! Obiecałeś: żadnych Arabów!

- Może się najpierw ubierzesz, bo jak będziesz tak biegać z gołymi cyckami, zejdą się tu wszyscy mężczyźni z Safadzy.

Dotarło do niej, że jest w samych majtkach. Zrobiła się czerwona i rzuciła w niego pierwszym przedmiotem, który wpadł jej w rękę.

- Jesteś okropny, nienawidzę cię.

Wyszedł przed namiot i powitał Sulejmana. Zatrudnił go przed tygodniem. Ona robiła śniadanie, oni uzgadniali szczegóły.

- Za dwa tygodnie przyjadą ciężarówki. Przywiozą dziesięciotonowy zbiornik na wodę ze stali nierdzewnej i cztery otwarte, płaskie wanny z mosiądzu. Do tego czasu kupisz dwa osły i wybudujesz dla nich stajnię. Przyjadę z transportem.

- Zapal kuchenkę.

- Będziesz obsługiwał prostą odsalarnię mojego pomysłu. Jedna wanna zmieści tonę wody. Ułożysz mosiężne szyny. Wanny będą miały kółka.

- Otwórz konserwę.

- Osły wciągną wannę do morza, a po napełnieniu wodą przeciągną po szynach pod umieszczony na kratownicy osiem metrów nad ziemią zbiornik. Uzyskamy w ten sposób wystarczające ciśnienie wody.

- Śniadanie! Przerwijcie, dokończycie później.

Po śniadaniu podjął temat w miejscu, w którym przerwał.

- Narysowałem projekt odsalarni. Nad wanny będziemy nasuwali okapy z dwóch tafli szklanych tworzących po sklejeniu dwa boki trójkąta. Podgrzana słońcem woda wyparuje i skropi się na szkło. Kąt pochylenia szyb dobierzemy tak, żeby słodka woda spływała do rynien zamocowanych wzdłuż wanien.

- Nasmaruj mi plecy, skarbie.

- Po odparowaniu pompą spalinową przepompujesz wodę z rynien do zbiornika. Przywieziemy sadzonki palm, krzewów, nasiona na trawnik i krzewy. Posadzisz rośliny i będziesz podlewał.

- Julka, nie wchodź do wody na bosaka, bo się pokaleczysz!

- Kiedy poznasz wydajność odsalarni, dopasujesz wielkość ogrodu, gatunki roślin do tej ilości wody, jaką będziemy dysponować. Nie wiem, jak duży ogród uda się nawodnić. Jak rośliny się ukorzenia, wybuduję niewielki dom.

Miał w sobie niezaspokojoną potrzebę tworzenia. Zamieni kawałek pustyni w rajski ogród. Cel wart wysiłku. Dlatego nie zamierzał na tym przedsięwzięciu oszczędzać.

W drodze powrotnej Marion już nie narzekała, dała się ponieść fali entuzjazmu. *Nawet, jak mu się nie powiedzie, będzie miał przynajmniej nową pasję.* Najbardziej lubiła, kiedy do niej mówił z ogniem w oczach.

Po powrocie do Kairu spotkał się z Hamidem. Wykonał rysunki i szacunkowe obliczenia oraz przygotował specyfikację zakupów. Wręczył mu dwa tysiące funtów i zapowiedział, że jak wyda, dostanie więcej. Dwa tygodnie później kolumna pojazdów dotarła do posiadłości. Powitał ją smętny ryk osłów. Tego dnia Sulejman

przyprowadził je do nowego domu. Odtąd miały pracą zarabiać na życie, a odchodami użyźniać ziemię.

Rozsiadł się wygodnie w składanym fotelu i popijając sorbet, przyglądał się, jak Aziz z Hamidem zarządzają rozładunkiem ciężarówek. Marion została w Kairze. Cięża była zaawansowana i tak nakazywał rozsądek. Po wyładowaniu materiałów kierowcy zainkasowali zapłatę i odjechali, żegnając Safadzę wesołym trąbieniem.

Trzeba było pilnie uruchomić odsalarnię. Sulejman wykopał doły pod palmy, jednak przeżycie sadzonek zależało od wody. Nie kłopotał się budżetem, ponieważ go nie przygotował. Pieniądzy miał dosyć. Czy wyda więcej, czy mniej, nie miało znaczenia. Liczył się cel. Harmonogram? Każde zadanie miało zająć tyle czasu, ile zajmie. Rezultat? Z pewnością przekroczy oczekiwania. Przy tak optymistycznym, bardzo orientalnym podejściu nie musiał się niczym przejmować.

Prace postępowały nadspodziewanie szybko. Z zadumą obserwował egipskich robotników. Pozornie powolni, nigdy się nie spieszyli. Okazało się, że to złudzenie, pracowali wydajnie. Sekret tkwił w systematyczności. Ich ruchy były precyzyjnie odmierzone, nie marnowali wysiłku. Na przestrzeni tysięcy lat nauczyli się szanować pracę. Budowniczości piramid pracowali w tym samym, nieśpiesznym rytmie. Nie było większych problemów. Jedyne odsalarnia miała wydajność mniejszą od oszacowanej. Część wody nie spadała do odprowadzających rynien. Szkło było zbyt gładkie, strumyki za wcześnie się od niego odrywały, skapując z powrotem do zbiorników. Wymienili szklane tafle na większe. Kąt nachylenia wzrósł, skroplona woda nie odrywała się już od szkła i spływała do rynien. Do prac ciesielskich zgłaszało się więcej rzemieślników, niż potrzebował. Żał było odsyłać ich z kwitkiem. Planował zbudować dom dopiero, kiedy ogród zakwitnie, ale zdecydował, że zrobi żonie niespodziankę. Nie musiał się głowić nad projektem. Egipcjanie go wysłuchali, zadając wiele pytań. Jak duży ma być dom, z ilu i jakich

pomieszczeń się składać. Potem uprzejmię poprosili, żeby się nie wtrącał. Po dwóch tygodniach przedstawili plany. Był zachwycony. Żaden europejski architekt nie potrafiłby wyczarować w tak krótkim czasie tak atrakcyjnego domu. W orientalnym stylu, wpasowanego w otoczenie, które widział oczami wyobraźni. Tego dnia dobry humor go nie opuszczał. Był potrzebny żonie bardziej niż zwykle. Czowała się gruba, ociężała i brzydka. Musiał ją bezustannie zapewniać, że właśnie z brzuchem jest najpiękniejsza.

30 maja 1952 roku Marion urodziła chłopca. Dali mu na imię Andreas. Byli już doświadczonymi rodzicami, więc tym razem wszystko poszło gładko. Kiedy chłopczyk skończył siedem miesięcy, zainteresowała się nagle ich posiadłością.

- Co tam się dzieje? Zaczekaj, nie mów. Chcę pojechać i sama zobaczyć! Będzie niespodzianka. Wiesz, polubiłam to miejsce. Jeszcze w ciąży marzyłam, że tam pojedziemy. Rozbijesz namiot i będziemy się kochać przy księżycu.

- Kiedy chcesz jechać?

- Jak najszybciej.

Basimie dali parę dni wolnego. Zajechali na miejsce. Jego żona zaniemówiła.

- Coś wspaniałego! - powiedziała, odzyskując wreszcie głos.

Oczekiwała marnego, wysychającego ogródka, przed nią rozpościerał się oszałamiający, starannie pielęgnowany ogród, pełen rajskich roślin, obsypanych kwiatami krzewów i utrzymywanych w pionie odciągnikami wysokich palm. W samym środku stał niewielki dom. Orientalny w stylu, otoczony białym murem, wyglądał jak sekretna rezydencja jakiegoś emira. Było wszystko, co niezbędne, żeby wygodnie mieszkać. Kuchnia na węgiel drzewny, łazienka z prysznicem, cztery sypialnie, salon, a w nim pianino. Zadaszony taras zapewniał schronienie przed upałem.

- Nazwijmy naszą posiadłość Eden. Jak uważasz?

- Doskonały pomysł. - Objął ją i całował w szyję, którą wdzięcznie przechyliła, żeby mu było wygodniej.

Ze stajni rozległo się głośne ryczenie. Osły, Adam i Ewa, przypominały o swojej obecności. Julka popędziła na swoich krótkich nóżkach, żeby sprawdzić, co tak strasznie ryczy. Po chwili wybiegła ze stajni z wypiekami na twarzy.

- Mamusiu, tu są osiołki. Prawdziwe! Chodź, to ci pokażę. Są takie piękne.

Mogli spędzić w swojej posiadłości kilka dni. Znaleźli w Safadży opiekunkę do dzieci, więc mieli czas dla siebie. Wracali do Kairu zadowoleni i wypoczęci. Marion czuła się wspaniale. Nieoczekiwanie dopadły ją refleksje. Tak niewiele brakowało, a przez chwilę słodkiego zapomnienia zamieniłaby swoje obecne życie na inne, zupełnie nieprzewidywalne. Gdyby ją wtedy zostawił, nie byłoby Julki ani Andego, nie byłoby rezydencji w Safadży. Objęła go za szyję i szepnęła:

- Sprawileś mi wielką, wielką satysfakcję. Powinnam się zrewanżować. - I tknięta przez złe лихо spytała: - Co masz ochotę zrobić ze mną tej nocy?

Pod jego zdziwionym spojrzeniem opuściła wzrok. Wiedziała, co zrobi. Od pewnego czasu myślała o takim seksie. Zaskoczona, odkryła, że za nim tęskni.

Wprawdzie bała się bólu, ale irytujące uczucie zdominowania przeszło w podniecające oczekiwanie. *Ja chyba oszalałam. Dlaczego mówię takie rzeczy?*

- A konie, czy możemy mieć stajnię i konie? - zapytała, chcąc ukryć zawstydzenie.

- Nie przyszło mi to do głowy. Sądzę, że tak.

- Bądź dla mnie dobry, proszę. - Zatrzepotała rzęsami.

- Jeżeli już, to ty je kupisz. Mnie do tego nie mieszaj. Nie umiem jeździć i boję się tych bestii. Raz na jakiś czas wsiądę na konia, ale wyłącznie, jeśli ty będziesz przy mnie.

- Ty się boisz? Nie kłam obrzydliwie. Jak było z tym Rosjaninem, pamiętasz? Ma się rozumieć, że kupię. Wreszcie będę mogła za coś zapłacić.

Oczekiwała, że przyniesie linę i szpicrutę. Ku jej zaskoczeniu, nie przyniósł żadnych akcesoriów. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy wziął ją tak, jak brał co noc. Nie tego oczekiwała. Pamiętała, jak Phil posuwał ją w dupę. Kazał się jej wtedy masturbować. Szybko przestało boleć. Polubiła nawet taki seks, był ekscytującą odmianą. Wspomnienie, ilekroć się pojawiało, wywoływało rozkoszny dreszczyk. Z kochankiem był pierwszy raz. Gdyby teraz to zrobiła, na pewno przypomniałaby sobie, jak na nią patrzył, jak się pod jego spojrzeniem zatracala. Nie mogła zasnąć, obrazy powracały, pomimo że ich nie wywoływała. Nie miała pomysłu, jak namówić męża. Kiedy pewnego razu delikatnie mu to zasugerowała, nie chciał. Powiedział, że będzie bolało. Przecież nie mogła wyjawic, że nie tak bardzo, jak mu się wydaje. Równie dobrze mogła spakować walizki i się wyprowadzić. I po raz kolejny go skrzywdzić. Wiedziała teraz dużo więcej. Rozumiała, jak ciężko mężczyźni przeżywają zdradę. Koleżanka, przyglądając się wałachowi, z cynicznym uśmiechem stwierdziła, że najprostszym sposobem wykastrowania faceta jest go zdradzić i to tak, żeby się dowiedział. Odwróciła się twarzą do niego. Miał spokojny sen.

10 lutego 1953 r., 13.00,

Londyn, Chelsea

Kontroler czekał na spotkanie z Philem St. Johnem. Umówili się w kinie. Wybrał wczesną godzinę i najgorszy film. Bilety kupił wcześniej. Na wszelki wypadek cztery miejsca. Jeszcze nigdy nie zachowywał takiej ostrożności, dzisiaj miał ku temu dobry powód. Przed wylotem z Moskwy przyjął go sam Ławrentij Beria. Nikt, kto wchodził do Berii, nie miał pewności, czy wyjdzie tymi samymi drzwiami. Był wyjątkowo uprzejmy. Z barku wyjął leżakowany dwadzieścia lat ormiański nairi. Jak każdy Gruzin, był koneserem

koniaków. Kazał mu usiąść w fotelu, zajął drugi, nalał alkohol do kieliszków.

Kontroler zdołał opanować nerwy. Nie wyprowadzą drugimi drzwiami, nie tym razem. Wiedział, że kiedyś to nastąpi. Wszyscy tak kończyli.

- Zastanawiacie się, w jakim celu was wezwałem? Boicie się?

Było to jedno z tych pytań, na które nie ma właściwej odpowiedzi, dlatego nie powinno być zadawane. Istniał sposób, żeby wyjść cało z opresji.

- Służymy Związkowi Radzieckiemu najlepiej, jak potrafimy, towarzyszu premierze. Nie mamy czasu na strach. - Berii odpowiedź się spodobała.

- Amerykanie mają bombę atomową. My również. Wywiad znalazł dojścia do ich ośrodka w Los Alamos. Zdobyliśmy wiele dokumentów i planów, które znacząco przyspieszyły nasz program atomowy. Jednak ten wyścig nigdy się nie skończy. Amerykanie pracują nad nową, dużo potężniejszą bombą. Czy zdajecie sobie sprawę, jak istotny jest dla nas dostęp do ich tajemnic atomowych?

- Tak jest, towarzyszu premierze.

Beria od czterdziestego szóstego pełnił funkcję wicepremiera odpowiedzialnego za radziecki program atomowy, dlatego zainteresował się bezpieczeństwem agenta Jago.

- Towarzysz Stalin osobiście się tym interesuje.

W nomenklaturze sowieckiej osobiste zainteresowanie Stalina oznaczało, że nie ma ważniejszej sprawy od czasu ukrzyżowania pewnego Żyda dwa tysiące lat temu. Kontroler stanął na baczność na siedząco.

- Odnieśliśmy ostatnio duży sukces. Z naszym wsparciem Jago objął stanowisko oficera łącznikowego pomiędzy CIA a MI6. Udało mu się nawet zaprzyjaźnić z Angletonem⁸³. Na tym stanowisku jest dla nas bezcenny. Waszym zadaniem będzie zapewnienie bezpieczeństwa. Stworzycie w Anglii komórkę, której jedynym zadaniem będzie

ochrona Jago. Wyłącznie to będzie się liczyło i my was, towarzyszu, rozliczymy. Czy mieliście z nim jakieś problemy?

Kontroler był potwornie spięty. Beria mógł coś wiedzieć, wtedy trzeba powiedzieć prawdę. Jeżeli to pytanie grzecznościowe, lepiej nie mówić nic.

- Były pewne problemy, towarzyszu premierze, ale zostały rozwiązane.

W tej sytuacji była to najbezpieczniejsza odpowiedź.

- Jakie problemy? - Beria nie dawał się zbyć byle czym.

- Problemy po naszej stronie. Dwóch zdrajców, oficerów wywiadu, próbowało uciec na Zachód. Dysponowali wiedzą, która mogła doprowadzić do jego zdemaskowania. Problem rozwiązany. Jago miał w tym udział.

Rozwiązanie problemu oznaczało rzecz jasna zabicie zdrajców. Miał na końcu języka, że Jago nie umie trzymać chuja w rozporoku, jednak się pohamował. Beria słynął z rozwiąźłości. Uwagę mógł wziąć do siebie.

- Coś jeszcze?

- Była taka sytuacja, że zdradzony mąż narobił kłopotów. Ale i ten problem rozwiązaliśmy.

Dla Berii było oczywiste, że sprawiający kłopoty mąż, niewierna żona, ich pies i kot zostali zlikwidowani. GRU nie zostawiało świadków.

- *Wot mołodiec!*⁸⁴

Beria poczuł nagły przyływ sympatii do Phila za to, jak traktował kobiety. Kontroler wyszedł z gabinetu mokry od potu, omal nie potknął się o próg.

Za swoje usługi Phil nie brał pieniędzy, szpiegował dla ZSRR z pobudek ideowych. Kontroler przekazywał najnowsze instrukcje. Nie wyjawiał, że ochrania go obecnie zespół specjalny składający się z trzech funkcjonariuszy, nielegalów. Jeżeli zajdzie taka potrzeba,

mógł zażądać wsparcia dowolnej liczby agentów. Dostał jasny rozkaz. Stwarzających zagrożenie – likwidować!

Phil był zabezpieczony. Nie powiedział mu, żeby nie poczuł się zbyt pewnie. Są sytuacje, w których i stu agentów nie pomoże. Śmierć lub zdemaskowanie Phila oznaczały koniec Kontrolera. Ich losy były związane pępowiną.

18 kwietnia 1953 r., 19.10,

Londyn,

budynek Sekcji IX MI6 w Croydon

Kapitan Krzysztof Szpot Dunin z westchnieniem odłożył ostatnią teczkę. Nie zauważył, kiedy zapadł zmierzch, a pracował od rana. Nie zrobił nawet przerwy na lunch. Był mężczyzną drobnej budowy, niepozornym. Zaczynał łysieć, czarne niegdyś włosy przyprószyła siwizna. Pojawił się niewielki, lecz widoczny brzuszek. W SOE pracował od listopada 1941. Po rozwiązaniu tej instytucji przeszedł z automatu do MI6. Przed wojną był porucznikiem Dwójki. Tym skrótem określano Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego zajmujący się wywiadem i kontrwywiadem. Dwójka miała na swoim koncie liczne sukcesy.

Dunin, rocznik 1903, był człowiekiem drugiego planu. Pozostawał w cieniu, jego sukcesy szły na konto innych. Praca w wywiadzie jest działaniem zespołowym. Na sukces agenta składa się wysiłek wielu ludzi. Koledzy potrafili rozpychać się łokciami, zbierali pochwały i awanse, on wykonywał czarną robotę.

Przed wojną pracował w Bydgoszczy, w Ekspozyturze wewnętrznej numer 3. Wspólnie z panią Anielą wymyślili i dopracowali w najdrobniejszych szczegółach plan operacji „Wózek”⁸⁵, nielegalnej kontroli korespondencji pomiędzy Berlinem a Prusami Wschodnimi. Operacja okazała się ogromnym sukcesem, lecz wszystkie splendory spłynęły na szefa ekspozytury majora Żychonia. „Dwójka” prowadziła zaciętą walkę na dwa fronty,

z wywiadem sowieckim i niemieckim. Dunin znał obydwaj języki, dlatego znalazł zatrudnienie w MI6.

Od pewnego czasu z własnej inicjatywy analizował przebieg operacji dywersyjnej „Wulkan”. Operacja ta była próbą zdyskredytowania reżimów komunistycznych poprzez działania dywersyjne. Pogląd Dunina na tę akcję był jednoznaczny. Według niego od samego początku była skazana na niepowodzenie. MI6 zakładało, że organizacje takie jak WiN w Polsce, obok wywiadu wojskowego, po wybuchu III wojny światowej podejmą również działania dywersyjne na liniach komunikacyjnych, zniszczą ważne zakłady przemysłowe. Zadawał sobie pytanie, kto i w jakim celu wymyślił ten plan. Na pierwszy rzut oka nic niepokojącego się nie działo. Dywersanci oraz oficerowie łącznikowi byli zrzucający na spadochronach, w ten czy inny sposób przenikali na teren państwa bloku wschodniego. Bez problemu nawiązywali kontakt z miejscowymi organizacjami antykomunistycznymi. Posługiwali się radiostacjami. Do Centrali regularnie spływały meldunki o przeprowadzonych akcjach sabotażowych. Nie było zatem powodu do niepokoju.

Doświadczenie podpowiadało, że wpadki są nieuniknione. Doskonale pamiętał do tej pory nierozliczoną operację o kryptonimie „Nordpol”. Nigdy nie ustalono, kto odpowiadał za śmierć kilkudziesięciu agentów. Nie wyobrażał sobie, żeby taka sytuacja mogła się powtórzyć. A jednak. Wpadek szukał właśnie w teczkach, które wertował od rana. Nie znalazł ani jednej, więc jego niepokój narastał. Obraz, jaki wyłaniał się z akt, bardzo przypominał haniebną operację w Holandii. Tam też nie było wpadek. W końcu się okazało, że cała siatka SOE była kontrolowana przez Niemców. Czy teraz nie jest podobnie? Dlaczego nikt nie docieka, skąd takie nierealne rezultaty? Wydawało mu się, że spomiędzy akt spogląda na niego złowroga twarz Ławrentija Berii.

Ci Rosjanie są zdolni do wszystkiego. Otworzył ostatnią teczkę. Operacja „Ulisses” w Polsce. Pomimo zmęczenia poczuł przyływ

emocji. Operacja została przeprowadzona w jego ojczyźnie. I jako jedyna zakończyła się niepowodzeniem. Dunin nabierał coraz większych wątpliwości. Im głębiej wgryzał się w akta, tym były one poważniejsze. Dowodzący, kapitan Meissner, był najwyższym stopniem i bez wątpienia jednym z najbardziej kompetentnych oficerów, jacy uczestniczyli w „Planie Wulkan”. Zastępcą był cichociemny. W aktach znalazł szereg niedopowiedzeń. Jego doświadczone oko natychmiast wypatrzyło sprzeczności, wzajemnie wykluczające się informacje. Meissner po powrocie stanął przed komisją powołaną w celu wyjaśnienia okoliczności tej nieudanej akcji. Komisja nie znalazła niczego niepokojącego. Dunin pokręcił głową. Coś się wtedy wydarzyło. Ktoś zmusił Meissnera do złożenia dymisji. Poczł, że ta sprawa go przerasta. Przerosła Meissnera, który był mu równy stopniem, ale miał zdecydowanie lepszą pozycję w MI6. Był przekonany, że doszło do zdrady. „Ulisses” jako jedyny zakończył się niepowodzeniem, ponieważ Meissner jako jedyny nie dał się złapać, okazał się Ulisesem z krwi i kości. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby kret, który bez wątpienia działał w MI6, ograniczył się do tej jednej operacji. Zaczł nabierać przekonania, że rzekome sukcesy, o których wyczytał w aktach, były jedną wielką mistyfikacją. Mając wolną rękę, bez trudu by to udowodnił. Musi znaleźć potężnego sojusznika. Jeżeli kret dowie się o jego zainteresowaniu „Planem Wulkan”, spróbuje go zlikwidować. Powinien zwrócić teczki do archiwum, był jednak przepracowany. Jeżeli ma coś w tej sprawie zrobić, potrzebuje więcej dowodów, najlepiej z akcji w innych krajach. *Ech, gdybym mógł pogadać z Meissnerem... Gdzie się z tym nazwiskiem zetknęłam, tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie.*

Elisabeth Murray spotkała się z X-em w londyńskim hotelu Ritz. Zgodził się pomóc jej w dochodzeniu, tym bardziej że ewentualny sukces obiecała przypisać właśnie jemu. Pierwsze kroki skierowała do archiwum MI6. Wyposażona w rekomendacje X-a mogła się na

miejscu zapoznać z dokumentami. Zażądała akt „Ulissesa”. Archiwista sprawdził w ewidencji.

- Niestety, proszę pani, te akta zostały wypożyczone.

- Wypożyczone? - Wyczuła zapach krwi.

- Przez niejakiego kapitana Dunina. Powinien je zwrócić, jednak tego nie zrobił. Czy mam poprosić o pilny zwrot?

Przez chwilę się zastanawiała.

- Nie, nie trzeba, sama się tym zajmę. Jak go znajdę?

Wsiadła do metra i pojechała do Croydon, gdzie znajdowało się biuro MI6. Wsiadła na West Croydon i dalej poszła piechotą. Mżył kapuśniaczek, ale ona go nie zauważała. Rozwiązanie zagadki było coraz bliżej. Weszła do maleńkiego pokoju zawałonego po sufit teczkami. Dunin na jej widok z wrażenia zaniemówił. Po chwili odzyskał głos, przedstawił się i podał krzesło, które rozpaczliwie usiłował odkurzyć.

- Czym mogę pani służyć?

Odetchnęła z ulgą, ten śmieszny człowieczek nie próbował obślinić jej ręki. Wszyscy polscy oficerowie, oprócz Meissnera oczywiście, mieli ten kretyński obyczaj.

- Nazywam się Elisabeth Murray.

Poprzedziły ją rekomendacje X-a. Na Duninie zarówno rekomendacje, które przekazał osobiście jego przełożony, jak i ona sama zrobiły wielkie wrażenie. Na emigracji wiódł żywot ascety. Z Elisabeth do jego dziupli wpadł powiew wielkiego świata.

- Zabrałaś akta „Ulissesa” i nie zwróciłaś w terminie. Dlaczego?

- Tak, rzeczywiście. - Czuł się jak uczeń wezwany na dywanik przez dyrektorkę szkoły. - Pracowałem do późna. To mnie nie usprawiedliwia, jednak nie miałem zdrowia wozić takiej masy papieru tam i z powrotem. Potrzebowałem ich od rana.

Liz zarejestrowała, że mówi o wielu teczkach, nie o jednej. Zamiast wypytywać o zawartość, sięgnęła na chybił trafił. „Operacja Meduza” w Albanii i następna - „Operacja Golem” w Czechosłowacji. Dalej nie musiała sprawdzać. Dunin zabrał z archiwum akta

wszystkich operacji dywersyjnych w państwach bloku wschodniego przeprowadzonych przez MI6. To, co zobaczyła, raczej zdejmowało z niego podejrzenia. Gdyby był zamieszany, nie zabierałby z archiwum wszystkich teczek. Nie są potrzebne komuś, kto zna zawartość. A zatem ten bezbarwny oficer czegoś w nich szukał. Otaksowała go wzrokiem i doszła do wniosku, że się jej do niczego nie przyda. Sprawiał wrażenie osoby, która ma problem z prawidłowym zasznurowaniem buta.

- Czego szukałeś w tych teczkach? - zapytała surowym tonem.

Dunin zaczął się zacinać. Pod wpływem emocji miał kłopoty z wymową. Jako dziecko jąkał się niemiłosiernie. Wprawdzie mu przeszło, jednak kiedy się denerwował, miewał nawroty tej wstydlivej dolegliwości. Wstydlivej szczególnie, jeśli rozmawiał z kobietą. Z piękną kobietą, która miała poparcie ze szczytów władzy. Zdobył się na wysiłek i wydusił z siebie.

- Chciałem się zappoznać z akkktami.

Nie zrobiła nic, żeby mu pomóc, wpatrywała się w niego zimnym wzrokiem.

- Widzę, nie jestem ślepa. Dlaczego chciałeś się zapoznać z tymi akurat aktami?

- Tto jest w mo moim zakkresie obowiazków. Mam do ttych dokumentów dosstęp.

Pomyślała, że jeśli go bardziej wystraszy, nic już z niego nie wydobędzie. Zmieniła taktykę.

- Mam na imię Liz. - Uśmiechnęła się zachęcająco.

- Krzy...sztof - wyjąkał zaskoczony.

- Skoro już tu jestem, może mi zrobisz herbatę? - Ponownie się uśmiechnęła.

Podjezwała, że jej uśmiech był jego największym przeżyciem erotycznym od dekady. Biedaczysko. Podał herbatę w niezbyt czystej szklance i nieco zabrudzone kostki cukru w oblepionej cukiernicy.

- Jeżeli mamy pracować na tych samych dokumentach, najlepiej będzie, jeżeli zrobimy to razem.

- Rrrazem?

- Będziemy pracowali w twoim pokoju. Ty i ja. Masz coś przeciwko temu?

- Oczywiście, Elisabeth, jeżeli tak uważasz, ja się zgadzam, jak najbardziej.

Nie było mu to na rękę, w tym, co planował, nie potrzebował wspólników ani świadków.

- Wystarczy Liz, nie musisz być taki oficjalny. Jakie jest zdrobienie od Krzysztof?

- Mówimy: Krzyś. - Aż się zaczerwienił z zażenowania.

- Krzysz? O! Jakie ładne imię.

Miała kłopot z wymawianiem „ś”, ale dla Dunina jej „Krzysz” brzmiało czarownie. Poczerwieniał jeszcze bardziej, speszony niczym sztubak na pierwszej randce. Udawała, że tego nie widzi.

- To jak się podzielimy pracą, Krzysz? Co będziesz robił?

Dunin zapomniał o zasadach bezpieczeństwa. Zauroczyła go tak, że brnął dalej bez zastanowienia. Z przejściem wyjaśnił, że sam nie wie, czego szuka, ale mu się nie podoba, że wszystkie operacje przebiegały bez problemów.

- Dwójka, polski wywiad, przeprowadzał podobne w latach trzydziestych, przeczucaliśmy agentów na przygraniczne tereny ZSRR. Procent niepowodzeń mieliśmy niestety wysoki. Z uwagi na dużą liczbę wpadek pospiesznie zamknęliśmy całą operację.

Ośmielony, ponieważ słuchała z uwagą, kontynuował.

- O tu, sama zobacz. - Otworzył teczkę „Ulissesa”. - Bardzo dziwne. Oni jedni mieli problemy. Nie wiadomo właściwie, dlaczego. Kapitan Meissner sprawia wrażenie przedsiębiorczego i kompetentnego oficera. I tylko jego zespół nie wykonał zadania? Coś tu nie gra. Poza tym znalazłem w aktach tej właśnie operacji liczne sprzeczności, wzajemnie się wykluczające informacje. Dziwne, że komisja nie zwróciła na nie uwagi.

Na wzmiankę o wysokich kompetencjach Roberta Liz uśmiechnęła się w duchu. *Kompetentny? Jak najbardziej, szczególnie*

w *robieniu minety*. Zmieniła zdanie o Duninie. Nie jest kolejnym nierozgarniętym oficerem, jakiego spotyka. Jest inteligentny, a jej oplota się wykorzystać jego doświadczenie.

- Jak widzę, ten Meissner jest Polakiem, podobnie jak ty. Może go znasz?

- Nie znam, a szkoda. Chętnie bym mu zadał kilka pytań. Niestety, nie mam do niego dostępu, tymi teczkami zająłem się trochę nieformalnie.

Obawiał się, że Liz zrugą go za tę nieformalność, ale ona zapytała:

- Rozmawiając z Meissnerem, o co byś zapytał?

Dunin zaczął recytować pytanie po pytaniu, jakby się wyuczył na pamięć. Nie mogła za nim nadążyć. Jakże pozory potrafią zmylić! Pamiętała, jakie pierwsze wrażenie zrobił.

- Poczekaj, Krzyszu, jeszcze raz od początku, tylko wolniej, żebym mogła zapisać.

- Chcesz zapisywać? Dlaczego chcesz zapisywać? - Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Nie obawiaj się, znajdę Meissnera i zadam pytania w twoim imieniu. Zapiszę odpowiedzi i przekażę tobie. Jeżeli się zgodzisz, zostanę twoją asystentką. - Uśmiechała się przyjaźnie. Nie chciała go peszyć, nie zasługiwał na to.

- Naprawdę to zrobisz?

Powtarzał słowa Liz: „Zostanę twoją asystentką”. Jeszcze nigdy taka kobieta nie zaszczyciła go uwagą. Był dla nich nikim i od dawna się z tym pogodził.

- Niczego nie obiecuję, ale może mi się uda z nim skontaktować. Teraz lecę, spróbuję ustalić, gdzie obecnie przebywa. Pa.

Cmoknęła go i już jej nie było. Jeszcze długo po wyjściu Liz czuł dotyk jej ust na policzku. A ona dodała wreszcie dwa do dwóch. Była na siebie wściekła, że tak późno. *Kiedy ta kretynka Marion pieprzyła się z Philem, Robert przebywał w Polsce. St. John był jego przełożonym i odpowiadał za „Ulissesa”. Czy to przypadek, czy coś*

więcej? Robert wie, musi wiedzieć. Poczwała, że skacze jej ciśnienie. Dlaczego tak się go boi? W tym czasie Dunin czytał akta osobowe Roberta i inne dostępne dokumenty na jego temat.

Elisabeth jeszcze tego samego dnia zadzwoniła do ambasady w Kairze. Rozmowa miała burzliwy przebieg. Robert złościł się na nią, nazwał kłamliwą intrygantką, jednak w końcu zgodził się wysłuchać pytań, na niektóre nawet odpowiedział. Zakończył w typowy dla siebie sposób:

- Bardzo cię lubię, Liz, dlatego ostrzegam. Odpuść, tylko sobie narobisz kłopotów. Nie zdajesz sobie sprawy, jak poważnych kłopotów!

Podziękowała za ostrzeżenie, za to, że sporo jednak wyjaśnił, i zakończyła rozmowę. Po odłożeniu słuchawki zaśmiała się szyderczo. Kłopoty? Jakże ona może mieć kłopoty?

W ciągu najbliższych dni wspólnie z Duninem wiele ustalili. Na pierwszy ogień wzięli sprawę kapitana Kosa. Meissner napisał w raporcie, że podczas drugiego spotkania Kos został podstępnie zamordowany. Zarówno on, jak i obecny na tym przesłuchaniu porucznik Gliński zgodnie oświadczyli, że zabił człowieka Kosa, agent UB, który przeniknął do organizacji. Po zastrzeleniu przywódcy WiN agent uciekł, więc nie mogli swoich podejrzeń zweryfikować. Byli również zmuszeni zakończyć misję. Przedstawili mocne dowody. Zdjęcia zastrzelonego kapitana Kosa były dla komisji decydującym argumentem. Za niepowodzenie odpowiadał kontrwywiad WiN, a raczej jego brak. Nie było w tym winy pułkownika St. Johna ani samego Meissnera. Dunin z łatwością wyłapał słabe punkty tej legendy. Nie mógł się doczekać powrotu Liz, aby jej o tym opowiedzieć.

- Spójrz, Liz, mamy w aktach zdjęcia zastrzelonego Kosa. To absurd. Jak mogli coś takiego kupić?! Kos leży na środku ulicy. Żadnemu agentowi przez myśl nie przejdzie, żeby spotkanie konspiracyjne w mieście rojącym się od patroli organizować na środku ulicy. Musiało ich być co najmniej czterech. Kapitan Kos

i agent, który go rzekomo zastrzelił, ze strony WiN oraz Meissner i Gliński. Obydwaj zeznali, że po zastrzeleniu kapitana Kosa jego zastępca, domniemany agent UB, rozplynął się w ciemnościach. A tu? No popatrz sama! Zdjęcie zastrzelonego Kosa! Czy w tej komisji zasiadali sami debile? Kto na rutynowe spotkanie zabiera aparat fotograficzny z fleszem pochodzący z magazynu MI6? Musiał wiedzieć, że Kos zostanie zastrzelony, i dlatego zabrał aparat. Rozumiesz, co to oznacza? Mamy pewność, że raport Meissnera to ściema. Napisany, żeby ukryć prawdę o wydarzeniach, jakie rozegrały się w Warszawie.

- Na to wygląda - przytaknęła. - Skoro tak otwarcie rozmawiamy, muszę ci powiedzieć o czymś jeszcze. Kiedy Meissner był w Polsce, jego żona romansowała z Philem St. Johnem.

Konsekwencji wyjaśniać nie musiała.

- Ten romans był w swoim czasie ogólnie znany. Robert, chciałam powiedzieć - kapitan Meissner... - Upss! Zacięła się, ponieważ popełniła właśnie szkolny błąd. Wygadała się. Lapsus, jaki się jej dotąd nie przydarzył. Przez chwilę zastanawiała się nad przyczyną oraz konsekwencjami. Chlapnęła, bo Dunin tak na nią wpływał. Uspić jej czujność. A konsekwencje? Uśmiechnęła się. - Wypaplałam! To ty tak na mnie działasz. Znam kapitana Meissnera, dlatego tak szybko dostarczyłam odpowiedzi na niektóre pytania. - Zgadywała, czy się przypadkiem nie zaczerwieniła. - Ustalmy może, do czego doszedłeś.

- Razem doszliśmy, Liz. Wnioski są szokujące, aż strach mówić.

Tydzień później Liz zadzwoniła do X-a. Poprosiła o pilne spotkanie. Opowiedziała „twardemu człowiekowi z Pałacu Westminsterskiego”, jak go nazywała prasa, do czego doszła w swoim śledztwie. O Duninie nie wspomniała. Nie pominęła go, żeby przypisać sobie zasługi. Postąpiła tak z wrodzonej ostrożności.

Ze zrozumiałych względów X nie był zachwycony. Jako doświadczony polityk wiedział, że w podobnych sytuacjach działacze partyjni za winnego kompromitacji uznają tego, który aferę zdemaskował, *whistleblowera*, a nie odpowiedzialnego za skandal,

w tym przypadku sir Menziesa, ponieważ to za jego kadencji St. John zrobił w wywiadzie błyskotliwą karierę. Trudno będzie obarczyć winą obecnego szefa MI6 sir Johna Sinclaira, z tej przyczyny, że sprawował swoją funkcję od kilku tygodni. Podobnie jak Komitet Mędrców odpowiedzialny za nadzór nad służbami. Obecny skład został powołany po wyborach w pięćdziesiątym pierwszym.

Obiecał Liz, że na razie nikomu nie powie ani słowa, zrobił coś dokładnie odwrotnego. Poprosił o pilną rozmowę kumpla ze szkolnej ławy, sir Waltera Hivesa pełniącego odpowiedzialną funkcję Stałego Sekretarza Stanu, najwyższego stopniem urzędnika nie pochodzącego z nadania politycznego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Z racji pełnionej funkcji sir Walter był jednym z pięciu mędrców zasiadających w Komitecie Bezpieczeństwa Państwa.

Na spotkaniu, które odbyło się jeszcze tego samego dnia, zakomunikował zaskoczonemu Hivesowi o rewelacjach, jakich się ostatnio dowiedział. Kiedy pierwszy wstrząs minął, Walter poprosił X-a, żeby niczego nie robił na własną rękę. I broń Boże nikomu nic nie wspominał. Następny kwadrans wykorzystał, żeby, nie pytając wprost, wydusić od starego kumpla, od kogo się tego wszystkiego dowiedział. X nie zachował wystarczającej dyskrecji. Nie wymienił wprawdzie nazwiska Liz, ale przekazał dosyć informacji, żeby inteligentny funkcjonariusz MI6 mógł ustalić jej tożsamość. Po przetrwaniu rewelacji następnego dnia Hives, po raz pierwszy od nawiązania w 1938 współpracy z NKWD, użył sygnału alarmowego. W Savile Club spotkał się z Philem St. Johnem, człowiekiem, który go wystawił NKWD, o czym on do tej pory nie wiedział - i nazywał go nadal swoim najlepszym przyjacielem. Werbunek Hivesa okazał się banalnie prosty - był homoseksualistą. Homoseksualizm był wtedy i nadal pozostawał w Wielkiej Brytanii przestępstwem karanym więzieniem.

Liz zaprosiła Dunina na kolację do restauracji. Zazwyczaj to mężczyzna zaprasza kobietę, ale wiedziała, że nie może liczyć na inicjatywę z jego strony. Podczas kolacji się rozluźniła, wypiła o kieliszek za dużo i w przypiływie otwartości przyznała, że komuś

jednak o ich ustaleniach powiedziała. Był w niej beznadziejnie zakochany, wybaczyłby jej absolutnie wszystko. Liz go nie zdradziła ani nie okłamała, więc uważał, że nie ma jej czego wybaczać. Postanowił jedynie czuwać nad nią w miarę swoich ograniczonych możliwości. Odprowadził ją pod sam dom. Po pożegnaniu stał jeszcze przez trzy godziny w załomie sąsiedniej kamienicy i wpatrywał się na zmianę w ciemne okno sypialni oraz w drzwi domu.

5 czerwca 1953 r.,

Londyn, Kensington

Phil spotkał się z Kontrolerem jak zwykle w kinie. Kontroler zapewnił, że problem zostanie w najbliższych dniach rozwiązany.

- Czy mówi ci coś nazwisko Marlena Fremery?

- Pierwsze słyszę.

- Jak ustaliliśmy, od trzech lat, z nieznanego powodu, zbiera na własną rękę materiały, które mogą cię dotyczyć. Dlatego pytam.

- Nie mam pojęcia, skąd się wzięło zainteresowanie tej pani moją osobą. Kim ona jest?

- Twoją podwładną! Pracuje w MI6 w Berlinie Zachodnim. Niemka, tłumaczka z rosyjskiego. Robaczywe jabłko w twoim koszyku.

- Tłumaczka, mówisz, w Berlinie? W czym problem? Ustrzelimy dwa gołębie jednym strzałem. Jak się dowiedziałeś?

- Jeden z naszych ludzi z berlińskiej placówki zainteresował się nią, próbował poderwać. Dała mu kosza. Wtedy z zemsty zaczął ją obserwować, sprawdzać, grzebać w dokumentach, no i się dogrzebał. To wszystko przestaje mi się podobać, Phil. - Kontroler był zaniepokojony. - Przez tyle lat nie mieliśmy problemów i nagle dwie kobiety usiłują cię zdemaskować. Czy to przypadek, czy ktoś zachęca je do szperania w twoich sprawach, jak sądzisz?

- Nie mam pojęcia, ale to akurat będzie łatwo sprawdzić. Pannę Fremery uprzejmie zapytamy, a akta tej Murray dam do analizy któremuś z naszych ludzi.

9 czerwca 1953 r., 3.15,

20 czerwca 1953 r.,

Kair

Marion była w domu z Andreasem. Basima zabrała Julię na bazar. Nie podobało się jej, że córka znika z opiekunką w zakamarkach wielkiego miasta, ale Julka za nic w świecie nie zgodziłaby się zostać w domu, kiedy Basima idzie na pełen czarodziejskiej magii suk.

- Mamusiu, ona sobie sama nie poradzi, muszę jej pomagać, przecież wiesz.

Telefon zadzwonił po dwunastej. Dzwonił Robert. Musi wyjechać na tydzień, dwa do Europy. Prosił, żeby go spakowała i wysłała walizkę taksówką do ambasady, bo nie zdąży przyjechać i się pożegnać. Wszystko wyjaśni po powrocie. *Kocham was*. Zawsze tak mówił, wyjeżdżając, nawet na jeden dzień.

⁷⁶ Szkoła Badań nad Orientem i Afryką (SOAS) jest częścią Uniwersytetu Londyńskiego i cieszy się wysoką renomą.

⁷⁷ Muhammad ibn Abbad al-Mutamid, *Przyrzekła mnie odwiedzić*, przeł. Julian Świącicki, cyt. za: <https://wiersze.fandom.com/wiki/>

⁷⁸ Hafiz, *The days of Spring*, przeł. Gertrude Lowthian Bell, Londyn, Heinemann, 1897.

⁷⁹ „Ocena strat” (ang.).

⁸⁰ Jeden z najstarszych producentów rowerów na świecie (od 1885 roku), słynie z wysokiej jakości.

⁸¹ Herodot z Halikarnasu żył w latach 484–426 p.n.e. Historyk i podróżnik grecki.

⁸² Termin opisujący hierarchię w stadzie wprowadzony przez Thorleifa Schjelderupa-Ebbego.

⁸³ Objęcie stanowiska oficera łącznikowego przez agenta rosyjskiego Kima Philby’ego, jak i jego znajomość z Angletonem, wysokiej rangi oficerem CIA, to fakty historyczne.

⁸⁴ „Zuch chłopak!” (ros.).

⁸⁵ Zarówno przebieg operacji, jak i istnienie osoby majora Żychonia są faktami historycznymi.

8. ZEMSTA

20 czerwca 1953 r., 20.45,

lotnisko Tempelhof, Berlin Zachodni, RFN

Robert wyszedł przed budynek lotniska i wsiadł do taksówki. Niemiecki oddział MI6 został niedawno przeniesiony do Berlina Zachodniego. Mungo niewiele się zmienił, przybyło mu siwych włosów, zmarszczek i dziurka w pasku. Poza tym był to ten sam Mungo, z którym zegnał się w Hamburgu. Rano odebrał od przyjaciela telefon, który postawił go na baczność. Marlena zniknęła. Sparks miał złe przeczucia. Nie oczekiwał jednak, że Robert wsiądzie w samolot i przyleci do Berlina. A on siedział teraz w jego gabinecie. Mungo z zazdrością stwierdził, że jest w tym wieku, w którym upływ czasu nie zostawia odpychających śladów starzenia, lecz poprzez nieliczne, celnie ułożone zmarszczki dodaje atrakcyjności.

- Co się stało? Opowiadaj. - Robert wyjął notes.

Mungo był przekonany, że w Hamburgu nigdy nie notował. Polegał na swojej pamięci, która ani razu nie zawiodła. Albo mu się pamięć pogorszyła, albo przykłada do tej sprawy najwyższą wagę. Z pewnością to drugie, przecież w kilka godzin porzucił rodzinę, pracę i przeleciał pół świata. Mungo wiedział więcej niż wtedy, kiedy Robert odchodził z MI6, jednak nadal nie miał wystarczającej wiedzy, żeby stworzyć koncepcję wiążącą „Ulissesa” z nagłym zniknięciem Marleny.

- Gdzie się zatrzymałeś?
- W Kempinskim.
- Nie wiedziałem, że w dyplomacji tak dobrze płacą.
- Daruj sobie, Mungo.

Pułkownik pokiwał głową.

- Często myślałem, że jesteś za inteligentny na pracę w MI6. Słusznie postąpiłeś, odchodząc, im dłużej byś z nami pracował, tym większe miałbyś kłopoty.

- A ty z mojego powodu. - Poklepał go serdecznie po ramieniu.

- Zanim przystąpimy do pracy, powiedz, co słyhać u twojej pięknej żony. Jak się wam układa?

- Znakomicie. Mamy dwójkę dzieci, a ja uważam się za wybrańca fortuny, ponieważ ona mnie kocha - powiedział z wielkim przekonaniem.

- No cóż. Bierzmy się w takim razie do roboty. Jeżeli takie asy połączą siły, pokonamy każdą przeszkodę.

- Co wiemy? Kiedy zniknęła? - Nie nawiązał do optymistycznej deklaracji.

- Przed dwoma dniami. Sęk w tym, że wiemy niewiele, bardzo niewiele. Szczerze mówiąc, nic jeszcze nie ustaliliśmy. Taka jest prawda.

- Zrobimy tak. W tej akcji ja będę dowodził. Nie możemy się opierać na MI6. Wszystko musimy ustalić, następnie przeprowadzić na własną rękę. Wtedy nikt nie uprzedzi tego, którego tak naprawdę ścigamy.

Co niewyobrażalne, zostało wyobrażone, co nie do pomyślenia - pomyślane. Zaległa posępna cisza, która trwała i trwała. To, czego Sparks się obawiał, zostało wreszcie nazwane. Skończyły się niedomówienia, domysły, czas niepewności.

- Musisz mieć istotne powody do takich oskarżeń. Co mi powiesz?
- odezwał się wreszcie Mungo.

- Ponieważ chodzi o życie Marleny, wyduszę to z siebie. Mam dowody, że Phil St. John jest sowieckim agentem. I to od wielu lat.

Niestety, nie są to dowody wystarczające do postawienia go przed sądem. Odlatując do Polski, założyłem, że wysłała mnie w łapy bezpieczeństwa. Tylko dlatego przeżyliśmy.

- *Fuck! Fuck! Fuck!* Dlaczego nie powiedziałeś?! - W tym zdaniu było tyle wyrzutu, ile da się zawrzeć w trzech słowach.

- Dlaczego? Z tego samego powodu, dla którego nic nie zrobiłem. I tak by mnie nie wysłuchali, jeszcze bym się ośmieszył. Rozumiesz... Marion narobiła głupot! Przyznaję, Marlena obciąża moje sumienie. - *Co mnie naszło, że się wtedy wygadałem?* - Reszta ofiar Phila to odpowiedzialność MI5, która jest po to, żeby wyłapywać takich jak on. Czemu nie powiedziałem? Mam pewność, że nie działa sam. Nie wiemy nawet, czy ludzie, których wypromował, są na niższych stanowiskach, czy go przerośli. Mogą być wszędzie. W rządzie, w kierownictwie MI5. Wszędzie. Pozwoliliście agentowi Moskwy funkcjonować latami w sercu systemu bezpieczeństwa państwa. Z kim ja rozmawiam?

- Zaczynam cię rozumieć. Miałeś z nim osobiste porachunki, a nic nie mogłeś zrobić.

- Cieszę się, że rozumiesz. Nic by mi nie sprawiło większej satysfakcji, jak zdemaskowanie drania. Wiedziałem jednak, że kumple wyciągną go z każdej opresji. Nie wspominając, że po drodze Ruscy by mnie załatwili. Może i Marion, z rozpędu. Przypomnij sobie Kopenhagę. Oni się nie patyczkują. Jak sądzisz, dlaczego porwali Marlenę? Musiała na coś trafić.

- Jak się domyśliłeś? Przez żonę, tak?

- Jak się domyśliłem? Nie, to nie tak. Są dwie wersje. Pierwsza, ktoś stamtąd mnie ostrzegł. - Wymownym ruchem uniósł kciuk w górę i podążył za nim wzrokiem. - Druga? Odrzuciłem wszystko, co niemożliwe, więc to, co pozostało, pomimo że się wydawało nieprawdopodobne, musiało być prawdziwe. A było tak, że zastosowałem drugie, kiedy się zdarzyło pierwsze. Niewiele w tym mojej zasługi. Ktoś nade mną czuwał.

- Ja, przynajmniej wtedy, niczego nie podejrzewałem. A myślałem, że w naszej profesji jestem niezły. Dopiero ostatnio coś mnie zaczęło niepokoić.

- Bo jesteś, zapewniam! Widocznie ten, który patronuje tobie, schlał się i cię nie ostrzegł. A teraz do roboty! Rozwiążemy nasz problem bez zbędnego hałasu. Zwerbujemy najlepszych ludzi, znajdziemy ją i odbijemy. Z sekcji niemieckiej na ilu możemy liczyć? Bierzymy wszystkich. Dochodzenie zlecimy agencji detektywistycznej. Dopilnuj, żeby udzielili gwarancji poufności na piśmie, z wysokimi karami finansowymi. Bezwzględnie musimy kupić kogoś od Gehlena⁸⁶. Naszym kontaktem w MI6 będziesz ty. Nikt z firmy nie może wiedzieć, co planujemy. Musimy zorganizować uzbrojony oddział. Będę dowodził.

- Wybierasz się na wojnę?

- Taa, wybieramy się na wojenkę z GRU, ze Stasi, możliwe, że z MI6. Mają ogromną przewagę, spróbujemy więc unikać walki tak długo, jak się da. Jednak i my dysponujemy pewnymi atutami. Będziemy działali przez zaskoczenie i mamy pieniądze! Zdaje się, że to Cyncero powiedział: „Pieniądz jest nerwem wojny”.

- Zadam ostatnie pytanie. Marlana. Dlaczego chcesz dla niej tak ryzykować?

- To dług honorowy, uratowała mi życie.

Na szczęście Mungo nie dopytywał, w jakich okolicznościach. Wykazał się za to nadzwyczajnymi zdolnościami organizacyjnymi. W ciągu dwóch dni wynajęta przez niego agencja odtworzyła ostatnie dni i godziny Marleny przed jej zniknięciem. Świadkowie, którzy dla zasady, ze strachu lub z niechęci do policji odmawiali informacji glinom, stawali się wylewni, rozmawiając z ładnymi kobietami, które wzięły na siebie przesłuchania mężczyzn, oraz z przystojnymi młodymi mężczyznami wypytującymi kobiety. Mówili swobodniej, sądząc, że ich słowa rozplywają się w powietrzu. Jeżeli pojawiała się dodatkowa zachęta w postaci banknotu o wysokim nominale, starali się nadzwyczajnie. Ustalono, że Marlana została porwana ze swojego

mieszkania przez agentów Stasi i wywieziona do Niemiec Wschodnich. Przechowywana jest w niewielkim *safe house*. Potrzebne informacje, w tym zdjęcia budynku, sprzedał im człowiek od Gehlena. Nie było czasu do stracenia, GRU mogło ją w każdej chwili przejąć i wywieźć w głąb Rosji. Robert wiedział, że popełni wtedy samobójstwo. Przedyskutowali sprawę i byli zgodni: Marlena jest przechowywana w NRD, ponieważ Rosjanie chcą, żeby dla nich pracowała. To była znakomita wiadomość. Najlepiej, gdyby się zgodziła, niestety nie mieli możliwości przekazania jej informacji. Robert wywiózłby ją wtedy na koniec świata, gdzie wystawiona do wiatru GRU nigdy by jej nie odnalazła. Ale to było pobożne życzenie. Mungo jak mógł, pocieszał.

- To etap wstępnej obróbki. Nie będą jej na razie torturowali, liczą, że się załamie ze strachu. Agent, który pójdzie na współpracę bez wywierania presji fizycznej, jest cenniejszy. Jeżeli się pospieszymy, kto wie. Mamy szansę.

Problemem okazało się przedostanie do NRD. Zadzwoił do kumpli z kutra. Powiedzieli, że zrobią to nie dla pieniędzy, tylko dlatego, że to on prosi. Wystarczyło czekać na odpowiednią pogodę. Zorganizowali zespół do odbicia Marleny i uzbrojenie. Odnaleźli dwóch Niemców z hamburskiej grupy, porucznika Zorna i kaprała Noskego. Mieli stałą, dobrze płatną pracę, lecz na wiadomość, że Meissner ich potrzebuje, zgodzili się bez wahania. Zaproponował znakomite pieniądze, wiedział jednak, że nie dla forsy za nim idą. Odnalazł też porucznika Glińskiego, robotnika w zakładach metalowych, który staczał się w alkoholizm. Na wezwanie do służby odpowiedział z radością. Garrick przez swoje kontakty podesłał trzech najemników, byłych komandosów SIS.

Nieoczekiwanie, poprzez agencję detektywistyczną, zgłosił się jeden ze świadków. Anton Kempf twierdził, że jest chłopakiem Marleny. Mieli z nim problem. Robert, widząc w oczach Antona rozpacz, przepytął go z dokonań wojennych. Służył w Wehrmachcie, był szeregowcem. *Przynajmniej strzelać umie* - pomyślał i machnął

ręką. Jak chce się dać zabić, niech jedzie. Po skróconych do maksimum przygotowaniach byli gotowi. Przed wypłynięciem zebrali się w lesie pod Hamburgiem. Wyglądali naprawdę imponująco.

Wykorzystał doświadczenia wojenne i uzbroił swoją prywatną armię w MG 42, które siłą ognia przewyższały breny. Ich pociski przebijały ceglane mury. Przeszli skrócone szkolenie ze strzelania z ręki. Karabin ważył jedenaście kilogramów, magazynek na dwieście pięćdziesiąt naboji, *Patronenkaseten*, dodatkowe dziesięć. No i miały niezły odrzut. Żeby z takiej zabawki strzelać z ręki, trzeba było mieć nie lada krzepę. Niemcy i ci od Colina ważyli ponad setkę. On osiemdziesiąt trzy. Komandosi przyglądali się zaciekawieni, jak sobie poradzi z tą maszyną do zabijania z piekła rodem. Okazało się, że radził sobie nie gorzej od nich. Zrzucił broń na ramię i zakomunikował:

- Zabieramy po dwa zapasowe magazynki.

Ludzie z SIS mieli swoją Wunderwaffe. Dwie ręczne wyrzutnie raketowe M20 Super Bazooka. *Obchodzili się z nimi z niedbałą swobodą profesjonalistów*. Nie mrugnął okiem, płacąc bajońskie sumy za zakupione na czarnym rynku uzbrojenie. Mungo był coraz bardziej zdumiony. Stworzyli dwa dwuosobowe zespoły uderzeniowe. Jednym dowodził sierżant Redding, drugim Noske. Nie przewidywał, wiedział, że pojawią się nieprzewidziane kłopoty. Dlatego wydzielił oddział pod swoim dowództwem. On i Zorn z MG 42, Peacock z bazooką, Mungo i Anton ze schmeisserami stanowili odwód, który w razie potrzeby roznieście kompanię wojska.

W sztormową noc 25 czerwca wylądowali w zatoce pod Wismarem. Radary nie wykryły pozbawionej masztu i nadbudówki łodzi rybackiej. Miała pokład, więc skryli się przed falami w spełniającej funkcję kabiny, przesyconej zapachem ryb ładowni. Przy brzegu wsiedli do gumowych *dinghy*.

Agent Gehlena okazał się nieoceniony. W umówionym miejscu czekały dwa stare, lecz sprawne mercedesy. Mieli nawet fałszywe dokumenty. Nie na wiele by się zdały, gdyby natrafili na blokadę.

Dziwiciu mężczyzn stłoczonych w dwóch samochodach nie miało szansy uniknięcia szczegółowej rewizji. W razie czego mieli się przebijać.

Do willi zagubionej w lasach pod Wittenberge dotarli bez przeszkód, przemieszczając się bocznymi drogami. Podkradli się na skraj lasu. Układ był podobny jak u Hausera. Dwa budynki, w głównym przetrzymywano Marlenę, w drugim kwaterowali wartownicy. Nie mieli czasu na medytacje. Jeszcze tej nocy planowali powrót. Dwóch komandosów wycelowało bazooki w wejścia budynków.

- Robię postępy - szepnął do Mungi. - Podczas ataku na sztab Hausera nie wydzieliłem rezerw. - Spojrzał na zegarek. Była druga jedenaście.

**Piętnaście minut wcześniej,
las pod Wittenberge,
NRD, *safe house* Stasi**

Zadzwoił budzik. Franz Westhoven otworzył zaspane oczy, ziewnął i sprawdził godzinę. Pora wstawać, lada chwila pojawią się goście. Rosjanie zapowiedzieli, że tej nocy przejmą więźniarkę. Nie miał pojęcia, dlaczego, w końcu ta Fremery to zwykła płotka. Skąd w tej sprawie GRU? Może się dowie, tylko nie może pytać. Zadawanie pytań tym z GRU źle się kończy. Poczekaj, może sami coś powiedzą. Zresztą, co go to obchodzi. Obudził dwóch pozostałych strażników.

**26 czerwca 1953 r., 2.11,
droga z Wittenberge do *safe house'a* Stasi**

Podpułkownik Władimir Spirydonow rozsiadł się wygodnie na siedzeniu pasażera. Był w znakomitym nastroju. W kroczu odczuwał przyjemne mrowienie, w głowie buzowało jak po wypiciu butelki wódki. Po licznych zakrętach kariery dobił do bezpiecznej przystani. Został szefem delegatury GRU na północne NRD z siedzibą w Rostocku. Miał pięćdziesiąt trzy lata i od dawna szukał takiej

synekury. Posada zapewniała spełnienie wszelkich aspiracji. Nikomu na swoim terenie nie podlegał, władzę miał absolutną. Kobiety? W dowolnej liczbie. Alkohol? Ile wątroba wytrzyma. Pieniądze? Zgromadził fortunę. Osiągnął w życiu wszystko. A teraz taka wspaniała niespodzianka. GRU przeprowadzało operację, której celem było zwerbowanie tłumaczki MI6. Spiridonow z uznaniem pomyślał o oficerze, który wytypował obiekt. Zna się chłop na rzeczy. Tłumacz jest pozornie podrzędnym stanowiskiem. W rzeczywistości kluczowym. Przez jego biurko przechodzą wszystkie dokumenty pozyskane przez MI6. Wołodia nie wiedział, że Marlenę wskazali wspólnie kret w MI6 oraz jego Kontroler. I że oprócz przyczyn obiektywnych, których się domyślał, istniały również szczególne, dla których wskazali właśnie ją. Na jego biurko trafiła teczka z aktami, w której znalazł szczegółowe instrukcje dotyczące przesłuchania. Zobaczył zdjęcie i przeżył szok.

*Kurwa! To ta chuda dziwka, którą jebaliśmy w Berlinie. Jak to się, kurwa, mogło zdarzyć? Potrzebował czasu, żeby mu się dopasowały elementy układanki. Kiedy wszystko zrozumiał, klął jak szewc. Suka nauczyła się rosyjskiego i rozumiała, o czym rozmawiali. Polskiej pan nie przyjechał z zegarkami? Ostrzegła go, swołocz! Podśluchała, jak opowiadali o tym sierzancie. A on mu ją dał w prezencie! *Jebać wszystkich*. Miał ją w swoich rękach i mógł z nią zrobić wszystko. Zapłaci za zdradę! Usiądą na tylnym siedzeniu, w długiej drodze do Rostocku. Posadzi ją na kolanach ze skutymi z tyłu rękami, z zawiązanymi oczami, czule obejmie i przez całą drogę będzie szeptał do ucha. Tylko szeptał. Gotów był założyć się o każde pieniądze, że przed końcem podróży Marlena się zmoczy. Jego wyobraźnia pracowała tak intensywnie, że poczuł na udach ciepło jej moczu.*

**26 czerwca 1953 r., 2.11,
safe house Stasi pod Wittenberge**

Wystrzały z bazook zwały się w jeden ogłuszający huk, drzwi budynków rozprysły się na kawałki. Jeden z funkcjonariuszy przechodził akurat obok. Zginął na miejscu. Z pozostałych tylko Westhoven zdążył sięgnąć po broń i wpełzł pod łóżko. To było wszystko, co mógł w tej sytuacji zrobić. Sierżant Reading wbiegł do budynku, zanim opadł kurz po wybuchu. Jak zaprogramowany robot przesuwiał się wzdłuż korytarza. Oddawał serię w drzwi, następnie wskakiwał do środka, żeby dobić każdego, kto przeżył. Już w pierwszym pokoju zastrzelił drugiego agenta. Gliński poruszał się korytarzem w przeciwnym kierunku. Dotarł do pokoju Westhovena i wystrzelał magazynek w drzwi. Wymienił na nowy, kopnięciem wywalił framugę, skoczył do środka. Zanim cokolwiek dostrzegł, dostał kulę między oczy.

Reading doszedł do końca korytarza i zawrócił. Widział, jak jego partner wbiega do budynku, słyszał serie z automatu. Teraz nie widział Glińskiego, wewnątrz budynku panowała niepokojąca cisza. Wymienił magazynek i podkradł się do pierwszego pokoju po drugiej stronie korytarza. Zobaczył, że drzwi są wyłamane. Wysunął lufę i wystrzelał pół magazynka. Był profesjonalistą, pokrył ogniem cały pokój. Wskoczył do środka i zobaczył posiekane kulami ciało. Okno było otwarte. Człowieka, który zastrzelił Glińskiego, nie było. Wybiegł z budynku i obszedł go od tyłu. Znalazł zwłoki Westhovena pod ścianą. Kule przebiły pruski mur i miały jeszcze dosyć energii, żeby przestrzelić agenta na wylot. Wtedy rozległa się ogłuszająca kanonada. Odruchowo padł na ziemię i doczołgał się do rogu wartowni. Widok zmroził mu krew. Cały podjazd zastawiony był samochodami z zapalonymi reflektorami. Było jasno jak w dzień. Strzelali do nich funkcjonariusze Stasi oraz żołnierze w mundurach Armii Czerwonej.

Po wysadzeniu drzwi budynku głównego Noske wbiegł do środka. Nie strzelał na oślep. Gdzieś tutaj więziono Marlenę. On i jego partner mieli zachować ostrożność. Mogli strzelać jedynie do rozpoznanych celów.

Agent zakwaterowany w tym budynku usłyszał potężny wybuch, który wstrząsnął fundamentami, więc zamiast odgrywać bohatera, przeskakując po trzy stopnie, wspiał się na strych i ukrył w starej szafie. Uciekał tak szybko, że nie zdążył wyjąć z szuflady służbowego walthera.

Marlena nie spała, przerażona nie mogła zasnąć. Zastanawiała się nad ucieczką. W jedyny dostępny sposób, przez samobójstwo. Przed podjęciem tej dramatycznej decyzji powstrzymał ją pewien istotny powód. Była w ciąży, w trzecim miesiącu, z Antonem. On jeszcze nie wiedział, że zostanie ojcem. Po namyśle podjęła decyzję. Jeżeli Rosjanie zażądadają, będzie dla nich pracowała. Uważała, że przynajmniej tyle jest winna swojemu nienarodzonemu dziecku. Łudziła się nadzieją, że może jednak nie będzie zmuszona służyć znienawidzonemu wrogowi, że zdarzy się cud, jak w Berlinie. Wówczas usłyszała wybuch, potem strzelaninę. Wiedziała, że to Robert. Tylko on mógł się przedostać aż tutaj, żeby wyrwać ją z łap Stasi. Wstała z łóżka i szybko się ubrała. Wyjście z celi prowadziło przez pokój zajmowany przez małżeństwo Gasse. Odpowiadali za utrzymanie domu. Zamykane od zewnątrz drzwi otworzyły się. Frau Gasse mierzyła do niej z pistoletu. Kobieta ta służyła nowym władcom NRD z taką samą gorliwością, z jaką w fabryce amunicji pracowała dla III Rzeszy. Jej oczy płonęły nienawiścią. Marlena była piękna, ona brzydka jak noc. Była młoda, ona zbliżała się do pięćdziesiątki. Podobała się wszystkim mężczyznom, ona żadnemu. Podobała się jej mężowi, ona już dawno przestała mu się podobać. I wreszcie pracowała dla imperialistów, a ona osiem lat temu z dnia na dzień została żarliwą komunistką.

Frau Gasse strzeliła z mściwą satysfakcją. Kula trafiła w pierś. Rana była śmiertelna, ale dziewczyna nie umarła natychmiast. Życie uchodziło z niej powoli, jak sączący się strumień. Frau Gasse stała nad nią i syciła się widokiem umierającej.

Noske usłyszał strzał. Tknięty złym przeczuciem, kopniakiem wyważył drzwi pokoju Gassów. Na środku stał, trzęsąc się ze strachu,

Herr Gasse. Ręce trzymał nad głową. Noske wszedł do drugiego pokoju. To, co zobaczył, poraziło go, choć nawykł do widoku śmierci. Frau Gasse patrzyła na umierającą Marlenę i chichotała. Skosił ją krótką serią. Odwrócił się i zastrzelił jej męża. Marlena z ogromnym wysiłkiem spytała, czy to Robert Meissner po nią przyszedł.

- Tak, Marlen, on. Zaraz tu będzie, trzymaj się, wyjdiesz z tego.

Był świadom, że kłamie, a ona za chwilę umrze. Na froncie widział setki rannych i dobrze wiedział, kiedy nie ma nadziei. Pobiegł do wyjścia, żeby sprowadzić Roberta. Tuż przed nim do wyrwy, jaka została po drzwiach, podszedł jego partner. Nie mógł przewidzieć, że właśnie wtedy włączą się reflektory, a Niemcy i Rosjanie zaczną strzelać. Zginął na miejscu. Noske, lekko ranny, zdążył paść na podłogę. Kule gwizdały mu nad głową. Przygwożdżony, usiłował odczołgać się w głąb korytarza. Wtedy Peacock wystrzelił z bazooki. Samochód zamienił się w pochodnię. Kierowca spłonął, trzech żołnierze wyskoczyli wcześniej i nie czekając na rozkazy, strzelali w ziejące czernią dziury, pozostałość po drzwiach. Spirydonow jechał drugim samochodem. Jeżeli miał wybór, nigdy nie jechał pierwszym. Rozejrzał się i podjął jedyną rozsądną decyzję.

- Wycofaj - warknął.

Kierowca z kłopotami wrzucił wsteczny i próbował odjechać. *Za wolno!* - zdecydował Wołodia i wyskoczył z auta. Zdążył odbiec kilka kroków, gdy Peacock wystrzelił ponownie. Pobjeda Spirydonowa przemieniła się w ognistą kulę. Podmuchił nim o ziemię. Skryty w mroku zespół ubezpieczający potrzebował chwili na otrząśnięcie się z zaskoczenia i ocenę sytuacji. Otworzyli ogień z broni maszynowej, kiedy Peacock wystrzelił powtórnie. Wszyscy agenci Stasi i Rosjanie zginęli na miejscu. Strzały ustały, zapadła kompletna cisza, nie słyhać było jęku rannych.

Noske podszedł do Roberta i złożył meldunek.

Pobiegł do Marleny. Jeszcze żyła. Czuł, że mu pęknie serce.

- Przyprowadź Antona, powinni się pożegnać - szepnął do Noskego.

Pogrążony w rozpacz, mógł ją tylko trzymać za rękę. Gdyby próbował cokolwiek powiedzieć, zalałby się łzami. Była spokojna, uśmiechała się.

- Czekałam, wiedziałam, że po mnie przyjdiesz. Pozdrów Marion. Szkoda, że się nie zobaczymy. Anton, Anton Kempf. Znajdź go. Powiedz, że bardzo go kochałam. Zapamiętałeś? Anton Kempf. - Wiedziała, że koniec jest bliski.

Za plecami rozległo się szuranie. Noske pochylił się i szepnął:

- Anton nie żyje, przypadkowa kula. Ale zobacz, kogo schwytaliśmy, pułkownika GRU.

Nie miał ochoty na oglądanie kogokolwiek, nawet pułkownika GRU, jednak odruchowo odwrócił głowę i zamarł. Wpatrywał się w niego Wołodia, numer jeden na liście. Spirydonow ogarnął całą scenę. *A zapowiadała się wspaniała noc.* Spotkali się, jak przed laty, lecz role się odwróciły. Dzisiaj Robert decydował o życiu i śmierci. Po jego wzroku zrozumiał, że swej władzy użyje.

- Spójrz, Marlen, kto nas odwiedził. Będzie okazja, żeby wyrównać rachunki.

Kazał Noskemu wyprowadzić Wołodię i nie spuszczać z oka. Marlena uśmiechnęła się smutno, chwilę jeszcze popatrzyła na piękny świat i odeszła. Płakał jak dziecko. Mungo odciągał go od niej siłą, musieli uciekać. Złożył raport.

- Straciliśmy trzech ludzi. Gliński, chłopak z SIS i Anton. Wysokie straty, jednak nie można było przewidzieć, że w środku nocy pojawi się tu kawalkada pojazdów z agentami i na dodatek Rosjanie. Ich zginęło dwudziestu. Co zamierzasz zrobić z tym Rosjaninem?

Jeszcze nie widział Roberta w takim stanie. Wyglądał jak sama śmierć.

- Zaraz wracam, przygotuj wszystko do odjazdu. Zabieramy zwłoki Marleny i Antona. Pochowamy ich obok siebie.

Wszedł do budynku. Spirydonow siedział spokojnie na krześle w pokoju Gassów. Noske trzymał go na muszce.

- Wyjdź! - Został z Wołodią sam na sam.

- Co, polskij pan, zabijesz mnie? Nie boję się.

- Przyznaj się, byłeś w Katyniu, strzelałeś w karki? Co wtedy czułeś?

Wołodia pobladł. Jego największy sekret! Chciał go ukryć nawet przed samym sobą. *Skąd ten Polak może wiedzieć? Nikt nie wie.*

Po wykonaniu zadania, które wyznaczyła partia, cała drużyna katów pogrążyła się w orgii pijaństwa. Dowództwo zadbało, żeby wody nie zabrakło. Wiedzieli, z jakimi siłami nieczystymi zmagają się podwładni. Trzech nie piło dosyć - dwaj popełnili samobójstwo, jeden zwariował. Jemu udało się ukryć w oparach wody jak we mgle przed demonem szaleństwa, który dopadł go w godzinie śmierci.

- Zastanawiasz się, skąd wiem? - Uśmiechał się ustami, oczy patrzyły zimno. - Ojciec mi powiedział. Zastrześliś go, wtedy do mnie przyszedł i wszystko opowiedział. Musiałem przysiąc, że go pomszczę.

Spirydonow nie był tchórzem, jednak słowa Roberta śmiertelnie go przeraziły. Usiłował trzymać fason, lecz strach już pochwycił go za gardło. Gdzie spojrzał, widział duchy pomordowanych gromadzące się, żeby go nawiedzać przez wieczność. Robert po oczach poznał, że odgadł, gdzie Wołodia był w kwietniu czterdziestego. Strzelił mu w to przepełnione strachem, kamienne serce.

Zdarzyła się rzecz nieoczekiwana. Zauważyli stojącą na uboczu więzienną sukę. Kierowca zginął, zbyt wolno wyskakiwał z szoferki. Otworzyli tylne drzwi i znaleźli dwóch przerażonych, ciężko pobitych mężczyzn. Ku ogromnemu zaskoczeniu Mungi jednym z nich był Mark Strutt, młody, niedawno przyjęty do służby funkcjonariusz MI6, a drugim Niemiec z NRD, który wpadł podczas spotkania z nim. Wyjaśniło się, skąd na odludziu, w środku nocy, tylu agentów. Nie było zdrady, jedynie nadzwyczajny zbieg okoliczności.

Zaczęło im się spieszyć. Od pierwszego strzału minęło zaledwie pół godziny, czas płynął jednak nieubłaganie. Pozostało ich ośmiu. Zwłoki Marleny i Antona owinęli w wykrochmalone prześcieradła Frau Gasse i złożyli do bagażników.

- Jak wracamy? Tą samą trasą?
- Nie, Karl, pojedziemy czternastką. Będzie szybciej, liczy się każda minuta.
- Zatrzymają nas. Narobiliśmy tyle bałaganu, że będą nas ścigać.
- Nie powstrzyma nas żadna blokada. W razie czego przebijemy się.
- Tak jest, kapitanie.

Zorn nie miał zamiaru podważać rozkazów. Widział, że jego dowódca jest w takim stanie, w którym trzeba mu schodzić z drogi, niezależnie, czy się jest wrogiem, czy przyjacielem. Zastanawiał się, sięgając pamięcią doświadczeń frontowych, czy kiedykolwiek spotkał człowieka tak zdeterminowanego. *I dobrze! Tylko w takim stanie wyciągnie nas z tego gówna.* Zorn wiedział, że problemy dopiero się zaczynają.

Przejechali połowę drogi, wtedy zobaczyli światła zbliżających się z przeciwka pojazdów. Nadjeżdżający zatrzymali się i w odległości kilometra ustawili w poprzek drogi blokadę z trzech ciężarówek. Robert jechał pierwszym samochodem, prowadził Zorn. Przednią szybę stłukł kolbą. Deszcz zacinał w twarz, płuca dławił wiatr. Dobra pogoda na żalobę. Drugi mercedes zrównał się z nimi. Przednią szybę też miał wybitą. Z odległości trzystu metrów ogień z dwóch MG 42 miał morderczą skuteczność. Po kilku sekundach zapaliła się pierwsza ciężarówka. Strzelali dalej, amunicji mieli dosyć. Po chwili zajęła się druga. Trzecią posiekali kulami. Wraki ominęły poboczem. Nikt do nich nie strzelał. Żołnierze Armii Ludowej zginęli, uciekli albo się pochowali.

Przed Wismarem zjechali w boczną drogę. Uszli bezpośrednio pościgowi, nadal jednak zagrażało im niebezpieczeństwo. Wiedział, że poluje na nich teraz cała armia. Myśliwi znali trasę ucieczki. *Safe house* i rozstrzelana na drodze numer czternaście blokada tworzyły linię wyznaczającą kierunek odwrotu.

W niewielkiej, osłoniętej od wiatru zatoce ukryli *dinghy*. Wziął na ręce ciało Marleny i niósł do łódki. Drogę zastąpili mu Mungo, Zorn

i Peacock. Stali twardo, wzajemnie się wspierając. Obawiali się, że na łodzi, sam z trupem Marleny, pogrąży się w szaleństwie. Zrobił ruch, jakby chciał się na nich rzucić, ale ze zwłokami na rękach był bardziej patetyczny niż groźny.

- Panie kapitanie! - Zorn odebrał zwłoki i nie czekając na reakcję, poszedł do łódki.

Mungo postanowił płynąć z Robertem. Był najstarszy stopniem i w razie czego miał największą szansę, aby nad nim zapanować. Zła gwiazda, która nad nimi wisiała, przeniosła się nieoczekiwanie w inne miejsce, więc bez przeszkód dotarli na łódź, na której Olaf i Erwin od wielu godzin z nerwów obgryzali paznokcie.

- Nareszcie, nareszcie!

Olaf nie krył, jak bardzo cieszy się z ich powrotu. Uśmiech znikł z jego twarzy na widok zwłok zawiniętych w mokre prześcieradła.

Popłynęli na północ, w kierunku wód międzynarodowych - szlaku wodnego do Travemünde. Mieli do przebycia dziesięć mil. W normalnych warunkach - półtorej godziny. Na tak rozkołysanym morzu - dwie.

Zaczynało świtać, przepłynęli już dwie trzecie dystansu. Nagle Erwin wskazał ręką w stronę Wismaru. W ich kierunku, szybko skracając dystans, płynął okręt. Nie był to ścigacz torpedowy, ale wolniejsza, lecz większa i lepiej uzbrojona fregata. Dzielilo ich pięć, może sześć mil. Dla fregaty dwadzieścia minut. Przy takiej fali nieco więcej. Ponieważ uciekali, mieli dodatkowe kilka minut przewagi. Od wód międzynarodowych dzieliło ich dwadzieścia pięć minut. Zaczęli dyskutować.

- W tej sytuacji to nie ma najmniejszego znaczenia. Cokolwiek zrobimy, mamy przerąbane - Peacock brutalnie sprowadził ich na ziemię.

- Przecież nie mogą nas ścigać na wodach międzynarodowych. Zanim nas dogonią, opuścimy wody terytorialne NRD. - Mungo był pełen optymizmu.

- Ich wody opuścimy, ale nadal będą nas ścigali. Nie słyszałeś o prawie pościgu⁸⁷? Nie wygląda to najlepiej. - Peacock znał wszelkie przydatne w jego profesji przepisy. - Przesaną nas ścigać, kiedy wpłyniemy na wody terytorialne RFN. Jeżeli wpłyniemy. Do tego czasu z pewnością nas dopadną.

Robert nie brał udziału w dyskusji, wypatrywał czegoś w zupełnie innym kierunku i po chwili z ulgą dostrzegł to, czego szukał. Frachtowiec płynący torem wodnym z Malmö do Travemünde. Był od nich oddalony o kilka mil, mieli szansę dotrzeć do niego przed ścigającą ich fregatą. Wskazał szyprowi kierunek.

- Steruj na przecięcie z kursem „Szweda”. Przejdź na zawietrzną i podpłyn od sterburty⁸⁸.

Olałowi zaczynało świtać, co Robert kombinuje. Nastrój wyraźnie mu się poprawił.

Wiał wiatr południowo-zachodni, sprzyjający jego planom. Przecięli kurs frachtowca przed jego dziobem i ustawili się na kursie równoległym. Byli zasłonięci od fregaty kadłubem statku, który pod obciążeniem wynurzał się dwa metry ponad poziom wzburzonego morza. Kiedy ich wyprzedzał, dobili do jego burty i dokonali abordażu. Rozkazał zabrać całą broń. Posłuchali bez szemrania, pomimo że wniesienie na rozchybotany, unoszony i opadający pokład setek kilogramów uzbrojenia oraz amunicji było zadaniem kaskaderskim. W sam raz dla komandosów.

- Co teraz? - Mungo był przerażony. Ten akt zwykłego piractwa go przerósł.

- Peacock, bazooka! Odciąć cumy, zatopić łódź! Doskonale! Teraz na mostek! Mungo, Peacock, Reading! Za mną!

- *Aye, aye, sir.* - Po ostatnich wyczynach Roberta Peacock nabrał dla niego szczerego uwielbienia.

Na mostku zastali trzech marynarzy. Dowódcę, pierwszego oficera i wachtowego przy sterze. Kapitan powitał ich wiązką wyzwisk. Robert spojrzał na niego chłodno i bez niczego uderzył w szczękę. Szwed, wielkie chłopisko, stęknął i zwałił się bez czucia na

podłogę. Z pomocą pierwszego z trudem stawał na nogi. Z radia dolatywało *staccato* chrapliwych wrzasków. Fregata dogoniła znacznie od niej wolniejszy frachtowiec i płynęła kursem równoległym, w odległości pół kabla⁸⁹. W panujących warunkach pogodowych to było naprawdę blisko. Kapitan okrętu, powołując się na prawo pościgu, zażądał zwolnienia do „wolno naprzód” i nie pytając o zgodę, zapowiedział przeszukanie jednostki.

- Cała naprzód! - krzyknął Robert.

Płynęli prędkością marszową, więc mieli rezerwę mocy.

- Przejmujemy jednostkę! Lepiej dla was będzie, jeśli zaczniecie wykonywać moje rozkazy, bo od tej pory przestaję żartować - zwrócił się do oniemiałych Szwedów.

MS „Magnus Gustavsson” rozpędzał się powoli. Kiedy osiągnął maksymalną prędkość, Robert odepchnął wachtowego od koła sterowego i dał prawo na burtę. Frachtowiec nie był okrętem, miał jednak nad fregatą jedną przewagę - olbrzymią masę. Dziób skręcał w prawo, celując w burtę okrętu. Z tej odległości widzieli przerażone twarze na mostku. Sternik zareagował odruchowo, nie czekając na rozkaz, powtórzył manewr frachtowca. Fregata była mniejsza i zwrotniejsza, tylko dlatego nie doszło do katastrofy. Dziób „Magnusa” przejechał po burcie okrętu, wgniatając ją na długości kilku metrów. Przerażliwy zgrzyt ocierających się blach brzmiał jak jęk potępionych dusz. Z radia dochodziły dzikie wrzaski kapitana fregaty. Przekazał ster wachtowemu, a on bez komendy próbował wrócić na poprzedni kurs.

- Sternik, trzymaj trzysta trzydzieści, kurwa!

Tym kursem nie płynęli na południowy zachód, do Travemünde, ale na północny zachód. Zamierzał, trawersując tor wodny, najkrótszą drogą dotrzeć na wody terytorialne RFN. Kapitan fregaty „Ernst Thälmann” należącej do Policji Morskiej NRD połapał się, gdzie „Szwed” go wywozi. Nie mógł na to pozwolić, jego okręt, w odróżnieniu od statku handlowego, bez zezwolenia nie miał prawa wpłynąć na obce wody terytorialne. Rozkazał oddać strzały

ostrzegawcze z karabinu maszynowego, i to nie przed dziobem, ale nad pokładem dziobowym „Magnusa Gustavssona”. Kule z przeraźliwym gwizdem rykoszetowały od wsporników dziobowego żurawia. Robert zareagował natychmiast.

- Panie Peacock, widzi pan wieżę działka pokładowego?

- *Aye, aye, sir!* - Zabawiali się w nieustraszonych wilków morskich. Szwedom do śmiechu nie było.

- Trzeba ją zniszczyć!

Twarz Mungi przybrała kredowy kolor. Jemu również nie było do śmiechu. Robert za chwilę wywoła III wojnę światową, a on będzie współodpowiedzialny. Za to Peacock był wniebowzięty. Miał niepowtarzalną okazję uczestniczenia w bitwie morskiej! Wyskoczył na otwarte skrzydło mostka z gotową do strzału bazooką i nim ktokolwiek na fregacie połapał się, co zamierza, wypalił. Okręt był uzbrojony w dwa sprzężone działka Boforsa trzydzieści osiem milimetrów w wieży obrotowej - morderczą broń. Kumulacyjny pocisk przeciwpancerny z bliskiej odległości przebił stumilimetrový pancierz i eksplodował wewnątrz wieży, uszkodzając działa. Peacock zdążył oddać strzał na kilka sekund przed zajęciem stanowisk bojowych przez działonowych. Swoim zdecydowaniem ocalił im życie.

Sprawy zaszły za daleko, co od początku było celem Roberta. Kapitan fregaty nie potrafił już samodzielnie podjąć decyzji. Zatopienie statku handlowego neutralnego kraju na wodach międzynarodowych przekraczało jego kompetencje, a nawet wyobraźnię. Pozbawiony działka okręt mógł storpedować frachtowiec, oddalając się najpierw na odległość umożliwiającą odpalenie torpedy, albo ostrzelać z karabinu maszynowego. Dowódca fregaty, doświadczony oficer, zdawał sobie sprawę, że „Szwed” podczas manewru poprzedzającego odpalenie torpedy zorientuje się w jego zamiarach i nada radiodepeszę, która następnego dnia trafi na pierwsze strony gazet z całego świata. Podjął konsultacje z dowództwem Seepolizei w Rostocku. Oni z kolei zwrócili się do swoich patronów. Rosjanie rozkazali ostrzelać mostek „Magnusa

Gustavssona” z broni maszynowej. Robert przewidział ten manewr. Zebrał, kogo miał pod ręką, i wystawił na pokład. W mostek kapitański fregaty wymierzili dwa MG 42 i dwie bazooki. Więcej ludzi do tej demonstracji siły nie miał. To jednak wystarczyło. Przestraszony kapitan zameldował, że „Szwed” wpłynął właśnie na wody terytorialne RFN, co jeszcze przez pięć minut nie miało być prawdą. Zanim informacja ta przeszła przez łańcuch dowodzenia i dotarła do kontradmirała Czerkasowa w jego centrum dowodzenia w Rostocku, była już prawdziwa.

- Niemieccy towarzysze zwariowali! - Admirał poczerwieniał ze złości. - Chcą ostrzelać szwedzki frachtowiec na erefenowskich wodach terytorialnych i jeszcze próbują mnie w to wrobić! *Rauss!*

Fregata przyspieszyła i odpłynęła w kierunku Wismaru. Z pokładu „Magnusa Gustavssona” żegnały ją gwizdy i obraźliwe gesty.

- Co zamierzasz zrobić? Natychmiast po zacumowaniu w Travemünde zostaniemy aresztowani. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie wyroki dostaniemy? - Mungo był przerażony, już nie o życie, lecz o konsekwencje ich działań.

- Wyluzuj, stary, do żadnego więzienia nie pójdziemy.

Oprócz pułkownika, pozostali wierzyli mu już w ciemno. Nawet Strutt, który znał go od kilku godzin. Zwołał odprawę i przedstawił swój plan.

- Sam Lucyfer lepszego by nie wymyślił. Tylko Szwedów szkoda - podsumował Mungo.

- Znakomicie, nazwiemy nasz plan „Lucifer”. Tak się składa, że bliżej mi do niego niż do Boga, do którego zniechęca mnie jego ziemską administracja. Jak chcę pogawędzić z Lucyferem, nikt za mną z tacą nie biega. - Nie zdawał sobie sprawy, że ta szczerza deklaracja została skrupulatnie odnotowana. - Szwedami się nie przejmuj. Stasi ich wymagluje, dosoli armatorowi grzywnę i wypuści. Na drugiej szali nasza wolność. Co, u diabła, miałem zrobić?

Optymizm udzielił się wszystkim. Plan był prosty i rzeczywiście szatański. „Magnus Gustavsson” zawrócił i płynął prosto ku wodom

terytorialnym NRD. Załogę zamknęli w pomieszczeniu ambulatorium. Stłoczeni jak śledzie w beczce, Szwedzi nie mieli możliwości wydostania się z tej kabiny bez pomocy z zewnątrz. Ustawili maszynę na „wolno naprzód”. Dwa Schmeissery i kilka granatów pozostawili na widoku, w kabinie nawigacyjnej. Strutt, który nadspodziewanie szybko odzyskiwał animusz, wytarł broń, żeby nie zostawiać śladów. Pospiesznie zwodowali szalupę i zajęli w niej miejsca. Na pokładzie pozostali tylko Robert i Peacock. Od enerdowskich wód terytorialnych dzieliły ich zaledwie dwie mile. Zastanawiał się gorączkowo, czy czegoś nie przeoczył. Nie było marginesu błędu. Nawet najmniejszy mógł kosztować czyjeś życie. Jego wzrok padł na zabytkowy dzwon okrętowy. *Będzie się znakomicie prezentował na werandzie w Edenie.* Odciął linkę i podał dzwon Peacockowi.

- W twoje ręce, poruczniku. - *Szkoda, że mnie Laura teraz nie widzi.*

Skierowali się na północ, żeby jak najszybciej dotrzeć do wód terytorialnych RFN. „Ernst Thälmann” nie zdążył odpłynąć daleko. Załoga po raz kolejny została poderwana na nogi. Rozkaz brzmiał: Przejąć „Magnusa Gustavssona”.

W Berlinie miał sporo czasu do odlotu, mogli więc podsumować przebieg operacji. Nie powiodła się, Marlena została zamordowana. Z ich perspektywy osiągnęli niewiele. Uratowali funkcjonariusza oraz tajnego współpracownika MI6, zlikwidowali podpułkownika GRU. Zginęło trzech porządnych ludzi. Po przeciwnej stronie było wiele przypadkowych, w sumie niepotrzebnych ofiar. Robert był w wisielczym nastroju.

- To się nazywa *human factor*. Nieprzewidywalny czynnik ludzki. Nikt jeszcze nie wymyślił, jak się ustrzec przed szaleńcami. Baba, która zastrzeliła Marlenę, była fanatyczką.

- Czy ta ekspedycja cię nie zrujnowała? Wydałeś bardzo dużo. Na koniec musiałeś odkupić łódź rybacką - dopytywał Mungo.

- Nie martw się o moje pieniądze, martw się o siebie. Siedzisz na chybotliwym stołku. Jeżeli Phil się dowie, że brałeś udział w tej

impresie, doniesie Sinclairowi i po tobie.

- Niestety. Żeby go czymś zająć, podrzucimy fałszywy trop. Zajmę się tym w pierwszej kolejności.

- Nie jeden, a trzy. Znaczone, może przy okazji ktoś jeszcze wpadnie.

- Znakomity pomysł, tak zrobię. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego wtedy nic nie powiedziałeś. Poczucie bezsilności jest przytłaczające. Ciężko z tym żyć. Jak sobie poradziłeś? Miałeś powody osobiste, a mimo to przyczałeś się na lata.

- W pewnym sensie tak, przyczałem się. Marlena wiedziała, jej jednej powiedziałem, że mam prywatną listę i z zemsty nie zrezygnuję. Phila zastrzelę, ale potrzebuję czasu, żeby znaleźć na niego sposób. Stanać z nim twarzą w twarz, zabić i nie dać się złapać. Jednak ciągle to od siebie odsuwałem. Gdybym był bardziej zdecydowany, nie doszłoby do tragedii. A może by doszło, podobno losu nie da się odmienić. Wołodia był na mojej liście numerem jeden. Chwilę przed jego śmiercią dowiedziałem się, że pierwszeństwo słusznie mu się należało. Jednak w porównaniu z Philem to była drobna szuja. Na zakończoną niepowodzeniem próbę uratowania Marleny i zabicie go wydałem sto osiemdziesiąt tysięcy. Jak na mnie to niemało, jednak nie żałuję. No i zostało kilka sztuk niezwodnej broni. Może się jeszcze przydać.

- Amen. A Phil pozostanie szefem sekcji IX. Mam wrażenie, że całe moje życie, praca, wszystko na marne, ponieważ za sznurki pociągają Rosjanie. *Madness! Madness... madness!* ⁹⁰ - Tym razem Mungo wpadł w wisielczy nastrój. Trudno mu się było dziwić. - Na korytarzu czeka Strutt. Wybłagał spotkanie z tobą. Jesteś teraz jego idolem.

- Taa, drugim po Philu. Niech wejdzie, pogadam z nim w cztery oczy. Może uda się wyciągnąć z niego jakieś istotne informacje. Na przykład, o co go pytali podczas przesłuchań.

- Istotne jest również, o co nie pytali.

Po rozmowie ze Struttem wiedział już, jak i kiedy zabije Philipa St. Johna. Świadomość, że wyznaczył datę pojedynku, podniosła go na duchu. Jak się nazywa łowisko w majątku barona Chelmsford? Stare Dęby! Sezon na bażanty zaczyna się 1 października. Mark zaprosił go w imieniu ojca na polowanie 2 października. St. John na Stare Dęby przyjeżdżał co roku.

W samolocie z każdą chwilą jego nastrój się pogarszał. Spotka się z żoną i będzie jej musiał powiedzieć o Marlenie. Zastanawiał się, co może ujawnić, a czego pod żadnym pozorem nie powinien. Nie był to łatwy wybór. Znała go zbyt dobrze, żeby nie poznać, kiedy kłamie czy przemilcza istotne fakty. Postanowił pominąć absolutnie wszystko, co choćby pośrednio wiązało się z Philem. Również te nieszczęsne bażanty nad dębami. Miała to być rozmowa z gatunku tych, których starał się unikać. Ale czego mógł uniknąć? Musiał jej przecież powiedzieć.

Rozmowa miała nieoczekiwany przebieg. Najgorzej było na początku. Powiedział, że Marlena nie żyje. Wtedy znikła na dłużej w łazience. Wyszła spokojna. Jedyne zaczerwienione oczy i pobladła twarz świadczyły, jak bardzo przeżyła jej śmierć. Potem było dziwnie. Czuł się nieswojo, jakby stał przed komisją śledczą. Pozwoliła mu opowiedzieć wszystko, ani razu nie przerywając. Dopiero kiedy skończył, zaczęła zadawać pytania. Bardzo go zaskoczyła. Nie spodziewał się, że jego żona potrafi być tak rzeczowa, logiczna i dociekliwa.

- Okłamałeś mnie, Robercie!

- To nie było kłamstwo!

- Owszem, było.

Pod jej pełnym wyrzutem spojrzeniem zmuszony był przyznać się do nieścisłości w swojej relacji. Nie robiła wymówek, czekała, aż poskłada nową, bardziej wiarygodną wersję. Po godzinie miał już dosyć, jednak ona dopiero zaczynała. Wydobyła z niego znacznie więcej, niż miał zamiar powiedzieć. W jednym był konsekwentny. Ani

razu nie wspomniał o Philu. Zmęczony tą dziwną rozmową nie zauważył, że ona również ani razu o niego nie zapytała, pomimo że takie pytanie samo się nasuwało.

4 lipca 1953 r., 14.00,

Londyn, Chelsea

Kontroler czekał na Phila St. Johna. Umówili się jak zwykle w kinie.

- Tydzień temu na terenie NRD niezidentyfikowana grupa odbiła Marlenę Fremery. Doszło do masakry. Na miejscu, w *safe house*, zginęło pięciu żołnierzy rosyjskich, w tym podpułkownik GRU, oraz piętnastu agentów Stasi. Na blokadzie drogowej kolejnych dziewięciu żołnierzy Armii Ludowej, szesnastu zostało rannych. Potem uszkodzili ścigający ich okręt wojenny. Fremery zniknęła - kontroler mówił beznamyślnym głosem, ale spokojny nie był. Od pewnego czasu wokół Phila zaczęło się dziać coś dziwnego, dla jego podopiecznego wyjątkowo niebezpiecznego.

- O tym już wiem. Niepotrzebnie porwaliście Strutta. Stasi potraktowała go wyjątkowo brutalnie. Na domiar złego pozwoliliście mu uciec. Robi teraz z siebie bohatera. Złożył zeznania, z których niewiele wynika. Powiedział, że nie ma pojęcia, kto go uwolnił. „Nie przedstawili mi się”. Powinniśmy mocniej go przycisnąć, jednak jego ojciec, baron Chelmsford, jest wpływowym politykiem i nawet ja muszę się z nim liczyć. Niestety, nie mam pełnego obrazu zdarzeń.

Wiedział, kto jest odpowiedzialny za tę krwawą jatkę. Akcja odbicia Marleny Fremery nosiła znak. Jedyny w swoim rodzaju znak firmowy Roberta Meissnera. Zrozumiał, że on nie zapomniał. W klubie nie mówił prawdy. Oszukał z premedytacją jego, Philipa St. Johna, który przez lata wodził za nos MI6 i CIA. Powiedział, że zależy mu wyłącznie na spokoju. Kłamał w żywe oczy. Czy mijał się z prawdą, mówiąc o Marion? Oczywiście, nadal są małżeństwem. Jak donosi rezydent MI6 z Kairu, szczęśliwym małżeństwem. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego rozmowa miała tak zaskakujący przebieg.

Nie zostawi mnie w spokoju. Czeka na właściwy moment. Jest tym bardziej niebezpieczny, że potrafi czekać.

Był przeświadczony, że następnym razem zobaczy Roberta w dniu, w którym on przyjdzie wyrównać rachunki. Tego również był pewny. Tu chodziło o nią, wyłącznie o nią. Dla jakiejś Fremery tak by nie ryzykował. To była jego prywatna wojna, musiał za nią zapłacić. Ile kosztowała? Skąd miał takie pieniądze? Same pytania, żadnych odpowiedzi. Nie mógł wydać rozkazu: „Zabić go!”. Po tym, co pokazał, widać było, jak jest niebezpieczny. Musiał niestety założyć, że istnieją kompromitujące materiały, których nie zdoła w żaden sposób zneutralizować. No i zapewne doszły nowe. Od tej cholernej Fremery. Zupełnie możliwe, że to właśnie dla tych materiałów ją uwolnił.

Nie wyjaśnił Kontrolerowi, co łączy Fremery z Murray i jeszcze z Meissnerem. Hamburg - tam się wszystko zaczęło. Pamiętał, jakby to było wczoraj. Bal, na którym się poznali. Od tamtego dnia myślał tylko o niej, przesłoniła mu cały świat. Wiedział, że nie powinien, że nie wolno. Tańcząc z nią, czuł, jak pod cienką sukienką porusza się ciało, którego pożądał, nozdrza wypełniała odurzająca woń. Śmiech urzekał radosnym brzmieniem. Był spragniony jej ciała, jej miłości. Wmawiał sobie, że jest dziwką, aby uporać się z problemem, jakim dla niego była. Owszem, w łóżku zachowywała się jak dziwka, ale nie była dziwką, lecz kobietą zakochaną w mężczyźnie, który nie był jej mężem.

On się również zakochał, jednak wtedy tego nie zrozumiał. Dlatego nie wydał rozkazu, dlatego zataił prawdę. Jest matką, a on nie uczyni cudzymi rękami, jak tchórz, wdową kobiety, którą kocha. Nie wyda wyroku nawet, jeżeli się okaże, że nie ma żadnego notariusza, nie ma dokumentów. Co innego, jeżeli staną oko w oko, wtedy bez wahania wyśle Meissnera, gdzie jego miejsce. Do piekła! I niech się dzieje, co chce!

6 września 1953 r., 11.15,

Londyn, London Aiport

Marion von Thoma wyszła przed halę przylotów. Miała tylko niewielki neseser od Gucciego. Przez moment zastanawiała się, jak dojechać do Ritza. Wybrała metro, najszybszy sposób dotarcia do hotelu. Od przystanku Piccadilly dwie minuty. W swoim apartamencie otworzyła neseser. Wyjęła z niego irchowy woreczek i włożyła do pokojowego sejf. Znajdowały się w nim wybrane klejnoty rodzinne, jakie może założyć elegancka kobieta. Skórzany notes położyła na biurku, był dla niej równie cenny. Zawierał adresy i telefony, rezultat tygodniowych zabiegów Astrid. W hotelowym garażu czekał rover 75 z kierowcą wynajęty na cały tydzień. Wzięła prysznic, założyła koktajlową sukienkę, jedyną, jaką przywiozła do Londynu, i zeszła do hotelowej restauracji.

Męża poinformowała, że wyjeżdża na kilka tygodni w sprawach osobistych i nie będzie z nią kontaktu. Zadzwoiła z lotniska tuż przed odlotem, żeby nie próbował jej powstrzymać swoimi magicznymi sztuczkami. Nie prosiła o zgodę, po prostu oznajmiła. Z dziećmi poradzi sobie z pomocą Basimy. Jest jej przykro, jednak musi wyjechać.

6 września 1953 r., 14.20,

Londyn, Oxford Street

Salon z odzieżą Eva's przy Oxford Street był jednym z wytworniejszych w Londynie. Należał do sieci pięciu identycznych. Właścicielką była Eva von Hirschberg. Rozmawiała właśnie z dostawcą australijskiej wełny, kiedy zadzwonił telefon. Dzwoniła kierowniczka sklepu znajdującego się na parterze budynku, w którym miała biuro. Wysłuchiwała w milczeniu, co Rebecca ma do powiedzenia.

- Nie pozwól jej wyjść, zaraz tam będę.

Bez słowa wyjaśnienia zaprowadziła zdumionego Australijczyka do swojego zastępcy i zjechała windą do sklepu. Marion właśnie przymierzała czółenka.

Nareszcie ją poznam.

- Pani von Thoma, to dla nas zaszczyt. Nie miałyśmy okazji poznać się w Hamburgu, tym bardziej się cieszę. - Wpatrywała się w nią spojrzeniem, jakim kobieta taksuje rywalkę.

- W Hamburgu? - Marion była zaskoczona.

Eva zerknęła na jej nogi. Z zazdrością musiała przyznać, że w czółenkach wyglądają rewelacyjnie.

- W Hamburgu zaczynałam, miałam pierwszy sklep. Widywałam panią przelotnie, ale się nie poznałyśmy. Czym możemy służyć? - zmieniła ton na biznesowy. - Czego pani szuka?

- Prawdę mówiąc, wszystkiego. Przyleciałam do Anglii w jednej sukience. W Londynie będę bywała na imprezach. Zależy mi, żeby dobrze wypaść.

Kiedy wyjaśniła, czego potrzebuje, Eva przypomniała sobie spotkanie z Robertem. Też wykupił pół sklepu. Chciał się pokazać przed żoną! *Przed kim ty, kiciuniu, chcesz się pokazać, przed mężem? Mało prawdopodobne, ale sprawdzę. Nie chciałabym rzucać niesprawiedliwych oskarżeń.*

Podczas gdy ekspedientka zdejmowała wymiary, Eva rozmawiała z Rebeccą.

- Ta pani podjechała limuzyną z kierowcą. Zanim przyszłaś, dużo przymierzała. Jest jakaś dziwna. Babka jak kupuje ciuchy, to się cieszy, żartuje, a ona nic, kamienna twarz. Jakby kupowała ubrania na żałobę.

Eva próbowała podpytać, na jakie imprezy się wybiera. Takie zainteresowanie było naturalne, nie wzbudzało podejrzeń.

- Mam kilka zaproszeń, jednak sama nie wiem, które wybrać - przyznała uczciwie Marion.

To był dla Evy impuls:

- Może będę mogła pomóc. Sporo bywam, znam wielu ludzi. Kto cię interesuje, mężczyźni, konkretne osoby, szukasz może kontaktów? W jakiej branży? - rzuciła wiedziona intuicją.

W tym momencie rozmowa zmieniła charakter. Do tej pory Eva chciała się czegoś dowiedzieć. Teraz obie, jedna od drugiej, usiłowały

wydobyć jak najwięcej informacji. Marion nie miała pomysłu, jak spytać o Phila, nie wymieniając nazwiska. Eva, pamiętając, z kim miała romans, nie wiedziała, jak spytać, czy szuka właśnie jego. Przeprosiła na chwilę, wjechała do biura i od ręki zrobiła listę gości na kameralne przyjęcie. Wypisała nazwiska z palca. W tym St. Johna. Zjechała na dół i podała kartkę Marion.

- Zerknij, proszę. Urządzam bankiet z okazji trzeciej rocznicy otwarcia pierwszego sklepu w Londynie. Myślałam o zaproszeniu tych osób.

Rzut oka na listę wystarczył, żeby Marion zapalała do Evy wielką miłością. Z emocji kupiła kolejne dwie pary butów, w tym budzące jednoznaczne skojarzenia czerwone czółenka na wysokim obcasie. Umówiły się na przymiarce następnego dnia. Terminy były dłuższe, Eva specjalnie dla niej wyznaczyła taki krótki.

Po powrocie do gabinetu wezwała do siebie Raya Clemence'a. Wiele razy kierowniczka HR pytała, na jakim stanowisku zatrudniony jest Ray. Odpowiadała, że jest doradcą zarządu. W rzeczywistości był odpowiedzialny za bezpieczeństwo i z pewnością zasługiwał na swoją pensję. Tym razem dostał zlecenie prywatne. Przekazała mu informacje, jakie udało się jej zgromadzić.

- Masz przede wszystkim ustalić, gdzie obecnie przebywa Robert Meissner, prawdopodobnie dyplomata brytyjski w Egipcie. Zbierz też wszystko, co się da, o Philipie St. Johnie. To szycha w MI6. Dalej, żona Meissnera, Marion von Thoma. Dzisiaj została naszą klientką. To jej wizytówka. Chcę wiedzieć, kiedy i skąd przyleciała, co robi, gdzie bywa, z kim się spotyka. Miała kiedyś romans z St. Johnem. Zupełnie możliwe, że to z nim chce się spotkać. Żadne z nich nie może się dowiedzieć, że ich sprawdzasz.

- Postaram się oczywiście zrobić wszystko, czego oczekujesz. Czy możesz powiedzieć coś więcej? Na przykład, po co potrzebujesz tych informacji? To by mi ułatwiło życie. Wiedziałbym przynajmniej, które są ważne, a które nieistotne.

- Mogę powiedzieć tyle, ile wiem, czyli niewiele. Podejrzewam, że Marion ma romans. Tutaj w Londynie. Chcę wiedzieć, z kim.

- Znasz ją?

- Nie osobiście. Pierwszy raz rozmawiałam z nią dzisiaj w sklepie.

Ray o nic więcej nie musiał na razie pytać. Czego nie dopowiedziała, tego się domyślił. Zanim go zatrudniła, pracował w policji. Zajmował się zwalczaniem przestępstw gospodarczych. Dla Evy robił mniej więcej to samo. Z góry cieszył się na tę robotę. Przyda się urozmaicenie. Z ustaleniem, gdzie przebywa Robert, nie miał problemu. Żeby się dowiedzieć, skąd i kiedy przybyła Marion, wydał piętnaście funtów.

6 września 1953 r., 16.30,

Londyn, restauracja The Palm Court w hotelu Ritz

Zeszła do zalanej światłem kryształowych żyrandoli restauracji. Miała rezerwację. *Maître* zaprowadził do stolika. Z krzesła podniósł się niepozorny, łysiejący mężczyzna o szarzałej, niestarannie ogolonej twarzy i smutnych, piwnych oczach spaniela.

- Krzysztof Dunin - przedstawił się.

Objęła go serdecznie. Dunina polecił jej Mungo. Zadzwoiła do niego i poprosiła o kontakt na detektywa z dogłębną wiedzą o funkcjonowaniu wywiadu.

- Masz dla mnie to, o co prosiłam?

- Bergmann. Najmniejszy, jaki udało się znaleźć w tak krótkim czasie.

Skinęła głową z aprobatą.

- Co chcesz zrobić, po co ci pistolet?

- A jak myślisz? - Miała zachmurzoną twarz, którą na moment rozjaśnił blady uśmiech.

Pogłaskała go po policzku. Bariery, jakie wyznaczają konwenanse, pękają jak zapalki w dramatycznych sytuacjach. Ludzie pozornie obcy, których dzieli niemal wszystko, stają się sobie bliscy. Liz głaskała go tak samo. Wspomnienie wywołało ból.

- Boję się, że zamierzasz zrobić coś głupiego. Twój mąż ma rację, trzeba zapomnieć o Philu St. Johnie. On ma za długie ręce i jest śmiertelnie niebezpieczny. - Rozmawiali kilka razy telefonicznie i poznał wiele szczegółów.

- Może tak, a może nie. - Nadal była smutna, lecz w jej oczach pojawiły się zimne błyski. - Kup hiszpańską muchę. - Wyjęła z torebki banknoty. - Zwracam za pistolet, będą kolejne wydatki, to zaliczka.

Nie chciał pieniędzy, ale ucięła:

- Jeżeli chcesz być przydatny, nie dyskutuj ze mną.

Biła od niej siła i autorytet. Gdyby znał ją lepiej, wiedziałby, że jest zdeterminowana jak nigdy dotąd.

- Marion, na nim wszyscy połamali sobie zęby. Jeżeli jest, jak myślimy, stoi za nim potężna organizacja. Dostyc morderstw, Elisabeth była wspaniałą kobietą.

Uciszyła go gestem ręki.

- Marlena również. I jej chłopak Anton, i wielu innych, których wysłał na pewną śmierć, tak jak usiłował pozbyć się mojego męża. Byłam kochanką Phila. Pierdoliłam się z nim, a w tym czasie Robert usiłował ujść z życiem z Polski. Potem mnie odprawił, bo przestałam być potrzebna albo mu się znudziłam. Jeden diabeł.

Mówiła obojętnym tonem, ale Duninem zatrzęsło. Nie miał doświadczenia w tej materii, jednak jeśli kobieta jej klasy opowiada o sobie takie rzeczy, to złowróżbny znak.

- Mam nadzieję, że nie planujesz czegoś szalonego. Po co ci hiszpańska mucha?

- Uwiode go. Zadbam, żeby miał na mnie ochotę.

Był zażenowany. Agentki pieprzyły się niekiedy dla zdobycia ważnych informacji. Ale ona nie była agentką, miała męża i dzieci. *To jakieś szaleństwo!*

Była szalona. Błękitna krew w jej żyłach kipiała.

Zdecydował, że zamiast ją bezskutecznie odwozić, pomoże. Też miał rachunek do uregulowania. Zamierzał zabić Phila. W biały dzień, na środku ulicy. Czekał na odpowiedni moment. Mentalnie się

przygotował, było mu obojętne, co się z nim stanie potem. Był sam jak palec, Marion miała rodzinę. Jednak on nie miał dostępu do Phila, boleśnie się przekonał, jak niezawodnie jest strzeżony i ochroniany z góry. Z obstawą by sobie poradził. Niestety nie potrafił go odnaleźć.

Niech znajdzie Phila. Być może jest jedyną szansą, żebym pomścił Elisabeth. Odtrącona kobieta nie cofnie się przed niczym. Gdyby to była akcja wywiadu, dostałaby kryptonim „Tosca”. Doprowadzi mnie do Scarpai, a ja załatwię resztę.

Po powrocie do apartamentu Marion usiadła w fotelu z notesem w rękę i wykonała szereg telefonów. Długo się jej nie szczęściło. Kiedy lista zrobiła się niepokojąco krótka, znalazła wreszcie obiecujący kontakt. Humphrey Paget był kuzynem Fiony i jednocześnie krewnym Phila. Studiował w Cambridge, dwa lata wyżej. Należeli do tych samych klubów. *Czy przez Humphreya uda mi się dotrzeć do Phila?* Musiała z pokorą przyznać, że nie ma planu. Decydując się na przyjazd do Londynu, liczyła, że jakoś to będzie. Jej niewielkie doświadczenie życiowe w Londynie okazało się bezużyteczne. W Hamburgu i w Kairze środowiska, w których się obracała, były stosunkowo nieliczne i zamknięte. Wszyscy się znali. Londyńska socjeta była nieporównanie liczniejsza. W Kairze tytuł miał pewne znaczenie. Tutaj – żadnego. Lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Była nikomu nieznaną, niewyróżniającą się niczym poza przemijającą urodą Niemką. Zostawiła gospodyni Pageta numer telefonu z prośbą o kontakt i zjechała do restauracji.

6 września 1953 r., 19.00,

Londyn, Oxford Street

Ray Clemence skontaktował się z agencją detektywistyczną w Kairze i wyjaśnił, jakich informacji potrzebuje. Były nieskomplikowane, więc je uzyskali od ręki. W klubie tenisowym zapamiętali, kiedy Marion przestała przychodzić. Ustalił również, że ma dwójkę małych dzieci. Wieczorem pojawił się z tymi rewelacjami u Evy, nie chciał, żeby czekała.

- Z Egiptu wyjechała tydzień wcześniej. Do Londynu przyleciała z Niemiec. Chyba ma romans. Nie przesądzam sprawy, jednak zostawiła męża samego z dziećmi i to na wiele dni. Jak inaczej wytłumaczyć podobne zachowanie? Przecież nie zabiega o audiencję u królowej.

Zlecił śledzenie koledze, byłemu glinie. Harold Larwood był w tym rzemiośle najlepszy. Jeżeli spotka się z kochankiem, on dołączy do Harolda.

Eva się zastanawiała. Informacje, jakie do tej pory zebrał Ray, nie układały się w spójną całość. Nie mogła oczekiwać, że Robert do niej wróci, kiedy pozbędzie się niewiernej żony. Co osiągnie, jeśli go oświeci? Zada ból, doprowadzi do rozwodu? Postanowiła poczekać. Jeżeli to jednorazowa przygoda, jak przed laty, zachowa dyskrecję. Jeżeli poważniejszy romans, znajdzie sposób, żeby go poinformować. W całej tej zagadce było kilka puzzli z innej układanki. Romansuje matka dwójki malutkich dzieci? Umawia się z kochankiem na drugim końcu świata? Nie można wykluczyć. Tylko dlaczego jest taka dziwna? Tak się nie zachowuje kobieta oczekująca ukochanego.

6 września 1953 r., 20.30,

Londyn, hotel Ritz

Dunin zauważył, w jak podłym jest nastroju. Nie umiał pocieszać kobiet, ale potrzebował jej pomocy, wobec tego musiał coś zrobić. Zakładając niekorzystny rozwój zdarzeń, po południu zaszedł do Purdeya.

- Byłem dzisiaj u rusznikarza. Ma minipistolet, z którego zrezygnował klient. Przygotuje go dla nas na jutro. Jest bardzo drogi, jak wszystko, co wychodzi z tej pracowni. Pomyślałem, że mając miniaturowy pistolet, możesz zbliżyć się do Phila, a obstawa nie znajdzie takiej broni.

- Biorę - nie wahała się. Jeżeli ma zrobić to, co zaplanowała, musi się wyrwać z nieznośnego przygnębienia.

- Nie spytasz, ile kosztuje?

- Ile kosztuje?

- Osiemdziesiąt.

- Biorę.

- Łatwo się z tobą robi interesy. Musisz jeszcze kupić torebkę. Zrobię podwójne dno z prostym dostępem. Pistolet waży zaledwie pół funta. Jeśli ochroniarz weźmie do ręki torebkę, niczego nie zauważy. Muszę cię jednak ostrzec. Jeżeli wysypie całą zawartość, może znaleźć pistolet. Dodatkowe pół funta w pustej torebce zapewne wyczuje.

- Zaryzykuję, taki pistolet zwiększa moje szanse. Powinnam coś jeszcze wiedzieć?

- Jesteś obyta z bronią?

- Pochodzę z wojskowej rodziny.

- Rozumiem. Z pistoletu kaliber trzy najpewniej zabić, strzelając z przyłożenia. Dasz radę?

- To zwiększy moją satysfakcję.

Dała Duninowi dwieście funtów, umówili się w sklepie Evy na jedenastą trzydzieści. Mieli wybrać odpowiednią torebkę.

Zwiększy satysfakcję! Dobrali się z mężem jak Bonnie & Clyde. St. John powinien trzy razy pomyśleć, zanim poszedł z nią do łóżka. A odprawienie takiej kobiety? Bezpieczniej mu było wejść do klatki z głodnymi tygrysami.

Zadzwoił Paget. Miał sympatyczny głos, z niepozbowionym emfazy oksfordzkim akcentem.

- Paget. Czym mogę służyć?

- Marion von Thoma. Jestem przejazdem w Londynie i chciałam się z tobą skontaktować. Masz pozdrowienia od cioci Charlotty z Weimaru. Znają się z moją mamą. Kiedy się dowiedziała, że będę w Anglii, dała mi twój telefon. Przed kilku laty mieszkałam w Hamburgu, tam poznałam Fionę Pannett.

Miała na końcu języka „najlepszą przyjaciółkę”, jednak przezornie zrezygnowała. Istniało ryzyko, że kobieta z charakterem Fiony nie jest lubiana nawet we własnej rodzinie.

- Ach, teraz kojarzę. Słyszałem o tobie co nieco. Podobno gorąca z ciebie sztuka.

- Przyjaciółka, Eva von Hirschberg, ta od luksusowych sklepów, zaprosiła mnie na przyjęcie. Wpadnij, a się przekonasz, jaka jestem gorąca.

- Jaka szkoda, że żona nie spuszcza mnie z oka. Ale z radością cię poznam. Fiona o tobie wspominała, kiedy dzwoniła kilka lat temu. Szukała kontaktu z Philem St. Johnem. Może go znasz?

Brew jej nie drgnęła.

- Nie znam Phila zbyt dobrze, widziałam go raz czy dwa. Możliwe, że zamieniliśmy kilka słów, jednak głowy dać nie mogę. Tak się składa, że jest na liście gości. Nie wiem, czy przyjmie zaproszenie. Evie bardzo zależy, żeby przyszedł. Jest znany, krążą o nim legendy, jego udział podniesie prestiż imprezy.

- Jeżeli chcesz zrobić przysługę koleżance, specjalnie dla ciebie przeprowadzę go. Znamy się jeszcze ze studiów.

- Mam prośbę, Humph.

- Wal śmiało.

- Nie wspominaj mu, że prosiłam, żebyś go ściągnął. Eva będzie zła, że załatwiam takie sprawy za jej plecami. Ona jest przewrażliwiona na tym punkcie, taka z niej Zosia Samosia.

- Dla ciebie wszystko, będę milczał jak grób. Do zobaczenia, piękna.

- Do zobaczenia, Humph.

Po raz pierwszy od dnia, w którym dowiedziała się o śmierci Marleny, zasnęła bez tabletek nasennych.

7 września 1953 r., 10.30,

Londyn, Oxford Street

Informacje, które przekazał Ray, utwierdziły Evę w przekonaniu, żeby nikogo pochopnie nie osądzać.

- Marion spotyka się z mężczyzną.

- Jak myślisz, czy jest jej kochankiem?

- Nie, niemożliwe. Absolutnie niemożliwe - rozbawił się.

- Więc kim on jest?

Ray zdążył już zidentyfikować zagadkowego znajomego Marion. Przyniósł nawet zrobione z ukrycia zdjęcia. Eva mogła potwierdzić, Krzysztof Szpot Dunin - bo tak się nazywał - z pewnością nie jest jej kochankiem.

- Kupił w Chinatown afrodyzjak, hiszpańską muchę.

- Afrodyzjak? Czy dobrze zrozumiałam? Po co jej afrodyzjak? Dla siebie? Nie wygląda na taką, która potrzebuje afrodyzjaków, jej przydałby się jakiś spowalniacz.

Roześmiał się, Eva potrafiła być błyskotliwa.

- Spotkali się w Ritzu. Nie poszedł z nią do apartamentu.

- Apartamentu, mówisz?

- Taa. Kosztowny kaprys. I ten rover. Po co samotnej kobiecie apartament w Ritzu?

- Mnie pytasz? Ja jestem od zadawania pytań, a ty od udzielania odpowiedzi.

- Dziwne, o tym człowieku trudno cokolwiek ustalić. Sądząc po nazwisku, nie jest Anglikiem. Był dzisiaj u Purdeya, najlepszego rusznikarza w Londynie. Nie wiem, w jakim celu, i się nie dowiem. Nie udzielają informacji o klientach.

- Może być Polakiem, Robert jest Polakiem - skojarzyła Eva.

Zauważył, że ma informacje świadczące o tym, iż nieźle znała męża Marion. *Czy to o niego jej chodzi?*

- Posłuchaj, Evo. Nie rozmawialiśmy na ten temat, bo cię to nie interesowało. Powiem, jak pracujemy. Przede wszystkim szukamy powiązań. Jestem twoim pracownikiem, dlatego ze zrozumiałych względów nie mogę szukać powiązań pomiędzy tobą a Robertem i Marion. Co pozostaje? Niewiele. Mogę ich szukać pomiędzy Duninem, Robertem, Marion, no i Philem. Zapewne wynajęła Dunina do jakiegoś zadania. Uważasz, że może być Polakiem. Phil jest nie byle kim w wywiadzie. Moje możliwości w tym miejscu się kończą. Doszedłem do ściany, przez którą się nie przebiję. Podaj powiązania.

Ciężko westchnęła. Nie w smak jej było otwierać się przed pracownikiem.

- No dobrze, niech ci będzie.

Nie powiedziała Rayowi wszystkiego, jedynie tyle, ile uznała za stosowne.

7 września 1953 r., 11.30,

Londyn, Oxford Street

Marion z Duninem weszli do sklepu. Rebecca natychmiast powiadomiła szefową, która pojawiła się w okamgnieniu.

- Dobrze, że przyszedł. Jestem taka podekscytowana. To pierwsza impreza, którą moja firma organizuje w Londynie. Wynajęłam salę u Ritza, więc będzie ci wygodnie.

- Jak ci idzie z gośćmi? Czy wszyscy potwierdzili udział? Jeżeli ktoś w ostatniej chwili zrezygnował, mogę podpowiedzieć kilka nazwisk.

Wymieniła Humphreya. Eva natychmiast go zanotowała.

- Zaraz wyślę zaproszenie. Z listy, którą ci pokazałam, większość już potwierdziła. Pozostało niewielu. - Wskazała cztery nazwiska, w tym Phila.

Marion wspólnie z Duninem oglądali torebki. W końcu wybrali czarną mulberry ze srebrnym wykończeniem, spełniającą ich rozbieżne wymagania.

Eva przyglądała się tej niezrozumiałej ceremonii ze zdumieniem. Nie potrafiła rozwikłać zagadki, więc po ich wyjściu złapała za telefon.

- Rozumiesz coś z tego, Ray?

9 września 1953 r., 11.00,

Londyn, Oxford Street

Kiedy Marion przyszła po odbiór sukienek, Eva już na nią czekała. Podczas przymierzania obsługiwała ją osobiście. Rebecca patrzyła z szeroko otwartymi oczami. Szefowa po raz pierwszy osobiście

obsługiwała klientkę. Eva musiała z zazdrością przyznać, że w małej czarnej, odsłaniającej w kilku miejscach więcej niż stosowne, Marion wyglądała jak ucieleśnienie współczesnej Wenus. Założyła wyjęty z irchowego woreczka pojedynczy sznur pereł, zegarek z brylancikami Santos de Cartier i dyskretne diamentowe kolczyki. Uzyskała powalający efekt. Wtedy zrobiła coś jeszcze. Z torebki wyjęła złoty łańcuch spinany oksydowaną, czarną kłódką i założyła na kostkę prawej nogi. Evie odjęło mowę. Jej na tak zuchwałą prowokację seksualną nie byłoby stać. Pomyślała, że mężczyźni, którzy zobaczą taką Marion, potracą głowy. Zrozumiała też, dlaczego Robert tak łatwo wybaczył jej zdradę.

Wyszli ze sklepu.

- Zastrzelę go o trzeciej nad ranem, o tej samej godzinie, o której zastrzelili Marlenę i Antona.

- To z pewnością zbieg okoliczności, Elisabeth też została zamordowana o trzeciej.

- Więc mam podwójny powód, żeby to zrobić o trzeciej.

W rzeczywistości miała inny powód, którego nie zdradziłaby nikomu.

- Zaczęłam odliczać czas. Jest trzynasta, Philowi pozostało osiemdziesiąt sześć godzin.

Pomyślał, że Marion odlicza czas nie tylko Philowi, ale i sobie, może również jemu. Prawdopodobieństwo, że zastrzelili Phila i wyjdzie z tej opresji cało, było niewielkie. Lepiej nie pytać, komu bije dzwon.

Pojechali do rusznikarza. Pistolet się jej spodobał. Kalibru trzy milimetry, na dwa naboje, wykonany z chromowanej stali, z rękojeścią wyłożoną masą perłową. Nie miał przyrządów celowniczych ani kabłąka nad spustem. Mogła go zakryć dłonią, był bardzo lekki. Śmiercionośna ślicznotka.

Dunin zaproponował, żeby pojechać za miasto i przestrzelać broń. Kazali kierowcy wracać do hotelu, a sami pojechali metrem do końca. Znaleźli mały lasek, w którym Marion oddała kilka strzałów. Metodą prób i błędów ustalili, że największa odległość, przy której siła

rażenia jest wystarczająca, wynosi jeden metr. Była usatysfakcjonowana. Wróciła do hotelu, wzięła prysznic i zeszła do restauracji. Minęła osiemnasta, Philowi pozostało osiemdziesiąt jeden godzin.

9 września 1953 r., 12.00,

Londyn, biuro Eva's, Oxford Street

Po wyjściu Marion Eva zadzwoniła do Raya.

- Przyjedź, proszę, jesteś potrzebny. - Mógł przyjechać dopiero o piętnastej.

Czekając na niego, zastanawiała się, jak ściągnąć Phila, nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Pojawił się Ray, więc przydzieliła mu nowe zadanie.

- Rzuć wszystko i szukaj ludzi, którzy znają Phila St. Johna. Takich, na których to jemu może zależeć.

- Zanim zacznę szukać, mam ci do powiedzenia coś istotnego. Ten Dunin faktycznie jest Polakiem. Co najdziwniejsze, pracował w MI6. Niedawno został usunięty, prawdę mówiąc, wywalony na zbity pysk. Podejrzewali, że zamordował niejaką Elisabeth Murray. Została zastrzelona w tajemniczych okolicznościach. Scotland Yard widział go na ławie oskarżonych, ale MI6 ukręciło całej sprawie łeb. Jego zmuszono do złożenia dymisji.

- Zostaw to, Ray, najpierw znajdź przyjaciół Phila.

Zadzwonił do kolegi, emerytowanego policjanta z Cambridge Rona Boothby, i wyjaśnił, czego od niego oczekuje. Eva przestała myśleć o Marion jako o rywalce. Po tym, czego się do tej pory dowiedzieli, stało się dla nich jasne, że nie o spotkanie kochanków tu chodzi. Sprawa, na pierwszy rzut oka banalnie prosta, zaczęła niespodziewanie żyć własnym życiem. Nie chodziło już o odbicie Roberta ani o doniesienie, że żona ma romans. Chodziło o prawdę.

- Podsumujmy fakty. Najpierw uzupełnię twoją wiedzę o tym, co się wydarzyło w Hamburgu. Jak mówiłam, byliśmy krótko, bardzo krótko, razem. Robert nie zdradzał żony, byli w separacji, ponieważ

Marion miała romans z Philem. Wyjaśnił, że nie chodziło wyłącznie o romans. O ile sobie przypominam, powiedział: „Gdyby chodziło o samą zdradę, byłoby mi łatwiej”. Po Hamburgu krążyły różne plotki, jednak mało wiarygodne.

Zauważyła, że pilnie notuje. Otworzyła sejf i wyjęła Ksenofonta. Ray nie znał się na starodrukach ani na jeździectwie, więc wyjaśniła, skąd go ma, ile jest wart i dlaczego jest dla niej ważny.

- Nie wiedziałem, że uprawiałaś jeździectwo, nigdy się nie pochwałałaś.

- Stare dzieje, pozostał jedynie Ksenofont i coroczne wizyty w Ascot.

- I zakładasz wtedy śmieszny kapelusz?

- Ależ oczywiście! Ascot bez kapelusza się nie liczy. - Chciał ją zobaczyć w Ascot, w śmiesznym kapeluszu, jednak nie śmiał się do tego przyznać. - Wracajmy do naszej zagadki. Robert złożył dymisję i odszedł z MI6. Chyba nie miał innego wyjścia. Jeżeli ktoś tak sławny jak St. John miał romans z żoną podległego mu oficera, atrakcyjną baronessą, która z tego powodu próbowała popełnić samobójstwo, to zrozumiałe, że w zamkniętym środowisku wszyscy o tym plotkowali. Dostał posadę *attaché* w Egipcie i z tego, co słyszę, są szczęśliwym małżeństwem. Mają dwójkę dzieci, wydaje się, że zdrada została już dawno wybaczona i zapomniana. Poczekaj chwilę.

Podniosła słuchawkę i zamówiła kolację dla dwojga. Niewzruszonemu zwykle Rayowi zabiło szybciej serce, kiedy usłyszał, że zamawia dwie butelki wina. Dobrze wiedzieć, że szefowa docenia jego pracę. O większym zbliżeniu nie mogło być mowy. Eva była zawodniczką ekstraklasy. Tak o niej myślał.

- Po tym, co powiedziałaś, łatwiej dojdziemy do sedna tej intrygującej historii. Po pierwsze, jest niemal pewne, że Marion nie przyjechała do Londynu romansować z Philem. Gdyby tak było, już dawno by się spotkali. Zgadzą się?

- Tak, zgadzamy się, szefie. - Nigdy nie miała szefa, po raz pierwszy tak się do kogoś zwróciła.

- Po drugie, nie możemy definitywnie wykluczyć, że chce się spotkać w Londynie lub gdzieś poza miastem z innym mężczyzną. A na razie na niego czeka. Kiedy się pojawi, będziemy świadkami romansu.

- Zgadza się, na razie nie możemy wykluczyć. Jak uważasz, czy to jest prawdopodobne?

- Co ja sędzę? Mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Jeżeli schadzka jest umówiona, z jakiego powodu przyjechała wcześniej? Na kochanka nie czekałaby samotnie i tak długo. Poza tym, po co chodzą z Duninem do rusznikarza? Dunin był oficerem wywiadu, po co się z nim spotyka? Przecież nie zleciła śledzenia kochanka. Idźmy dalej. Po co jej apartament u Ritza i limuzyna z kierowcą? Wkrótce będzie jedną z najlepiej ubranych kobiet w Londynie i jest, jak twierdzisz, atrakcyjna. Dla kogo jest przeznaczona hiszpańska mucha?

Przywieziono kolację, więc zrobili przerwę. Kiedy skończyli, Philowi pozostało siedemdziesiąt dziewięć godzin. Hipotetycznie. Jak to on, mógł spać na cztery łapy. A im pozostała napoczęta butelka. Ray złapał się za głowę. Wino udrożniło mu zwoje mózgowie.

- Miałem przed nosem wszystkie fakty, a nie potrafiłem poskładać ich w całość. Zacznijmy od rusznikarza i torebki. W torebce ukryje pistolet. Zapewne minipistolet. Dunin pomagał wybrać torebkę, ponieważ wykona schowek.

- To już ustaliliśmy. Co dalej?

- Dalej? Wszystko się zgadza. Afrodyzjak? Chce się zabezpieczyć. Poda go mężczyźnie, którego zamierza nastraszyć, a może zabić. Chce mieć pewność, że na nią polecą.

- Gdybyś ją dzisiaj zobaczył, sam byś na nią poleciał. Jeżeli dołożymy hiszpańską muchę, oznacza to, że na cel wzięła nie byle kogo. Kogoś wyjątkowo trudnego do upolowania. Przychodzi ci ktoś do głowy?

- Jedyłą taką osobą jest Phil St. John. Szycha w wywiadzie. Z założenia ma się na baczności. Musi uważać na kobiety, zawsze są słabym punktem. Tylko że byli kochankami, więc skąd te podchody, jak sądzisz?

- Na to pytanie ty musisz odpowiedzieć. Rozstałeś się z kochanką, spławiłeś ją. Po latach spotyka cię przypadkiem na imprezie i proponuje szybki numer, bez zobowiązań, żeby sobie przypomnieć dobre czasy. Co zrobisz? Pójdiesz z nią do łóżka czy zrobisz unik?

- Nie mam specjalnego powodzenia u kobiet, dlatego nie mam pojęcia, jak zachowa się Phil, który, jak wieść niesie, kobiet ma mnóstwo.

Evie zrobiło się żal Raya, którego bezwiednie dotknęła, a z każdym dniem bardziej go doceniała. Musiała to *faux pas* załagodzić.

- Wiesz, Ray, teraz i mnie wszystko się zaczyna składać w logiczną całość. Chcesz posłuchać, co zobaczyłam w magicznym zwierciadle?

- Oczywiście, szefowo, słucham.

Szefowa się jej nie spodobała. To była prywatna sprawa, nie chciała przenosić relacji służbowych na prywatny grunt. Chciała w nim widzieć partnera.

- No więc słuchaj, partnerze. Zrobiła się z tego sprawa życia i śmierci, więc przestałam być szefową. Od teraz jesteśmy partnerami. Biuro detektywistyczne Ray & Eva. To zajęcie ciekawsze od handlowania kieckami. Ale do rzeczy. Marion i Robert są szczęśliwym małżeństwem. Dopóki w Hamburgu nie pojawia się Phil. Jest przełożonym Roberta i wysyła go na jakąś misję. Tego fragmentu na razie nie rozwiązaliśmy. Przypominam, co Robert opowiadał o swoich kłopotach małżeńskich. Nawiasem mówiąc, gdybyś ją dzisiaj zobaczył, zrozumiałbyś, dlaczego każdy mężczyzna wybaczy jej zdradę. Muszę przyznać, że na jej widok zrobiłam się zielona z zazdrości. Założyła na kostkę złoty łańcuch z czarną kłódką! Wyglądała jak Anais⁹¹.

- Jak Anis al Dżalis⁹² - sprostował.

- Kto?

- Później ci opowiem.

- Koniecznie, trzymam za słowo. Ja się nie odważę zrobić czegoś aż tak prowokującego. Ale wracajmy do naszej historii. Phil musiał zrobić jeszcze coś i to bardzo brzydkiego. Na domiar złego spławił naszą Marion jak pierwszą lepszą. Po drugie, dlaczego Robert odszedł z wywiadu? Nie mówiłam ci? Ma DSO. Ktoś taki nie ucieka przed kochankiem żony, lecz stawia mu czoła. A jeżeli już, to musi mieć istotny powód, prawda? Phil był jego przełożonym, jednak to za mało.

Ta informacja zrobiła wrażenie na Rayu. On też był na wojnie. Nigdy o tym Evie nie powiedział, zresztą była Niemką. 6 czerwca 1944 lądował w pierwszym rzucie na plaży Gold w Normandii. Miał dwadzieścia siedem lat, był kapralem w regimencie East Yorkshire i był śmiertelnie przerażony.

- No i trzecia zagadka. Co się takiego wydarzyło, że po czterech latach Marion zostawia dzieci, męża, swoje życie i jedzie do Londynu wyrównywać rachunki? Pomijam już koszty, które wydają się astronomiczne. Żeby się efektownie prezentować, przywozi rodową biżuterię. Nie pomija żadnego szczegółu, chce być atrakcyjna. Ma plan i się go trzyma. Moje sukienki, powiem nieskromnie, najlepsze w Londynie, wyzywające czółenka, zakuwa się w łańcuchy, jak wschodnia niewolnica. Zdajesz sobie sprawę, jak to podziała na facetów? Potracą resztki rozumu, o ile im jakieś pozostały. Dla niego afrodyzjak. Nic nie pozostawia dziełu przypadku. Na początku traktowała mnie z rezerwą. Wszystko się zmieniło, kiedy zobaczyła listę gości. Wpisałam Phila, ponieważ podejrzewałam, że jej przyjazd może mieć z nim coś wspólnego. Nagle zostałam najlepszą przyjaciółką. Dlaczego? Ponieważ chce przyjść na przyjęcie, żeby przypadkowo go spotkać. Zaraz, zaraz, znów coś mi się nie zgadza. Pokazałam jej listę gości, którzy nie potwierdzili zaproszenia, był na niej, a nawet nie mrugnęła okiem.

- Być może coś wie. Przypuszczalnie ktoś jej pomaga ściągnąć Phila na naszą imprezę? Tylko kto to może być?

- Odpowiedź brzmi: Humphrey Paget. Marion chciała, żebym go zaprosiła. Specjalnie dla niej ściągnie Phila. Nie wiem, skąd ona go zna, ale to nie ma znaczenia.

- Najważniejsze pytanie: co chce zrobić i czy w twoim interesie leży, żeby to zrobiła? Jeżeli pytam, co chce zrobić, obawiam się, że mamy wybór pomiędzy zabójstwem a zastraszeniem, ewentualnie szantażem.

- Chce zabić, za wiele poświęciła, żeby to miało być zastraszenie - Eva nie miała wątpliwości.

- Zgadza się, ale dlaczego? I jak to twoim zdaniem należy rozegrać? Przeszkodzić w zabójstwie, ostrzec Phila czy udawać, że nic nie wiesz?

- Masz może inne pytanie? Skąd mam wiedzieć, co jest słuszne? Tak naprawdę nie mamy pojęcia, co nią powoduje. A czasu pozostało niewiele. Nawet ty nie zdołasz tego ustalić przed przyjęciem.

- Ile nam zostało?

- Zrobiła się dwudziesta druga, zatem niecałe trzy dni.

Wyszli z biura razem. Philowi pozostało siedemdziesiąt siedem godzin.

9 września 1953 r., 23.35,

Londyn

Kontroler odebrał telefon. Dzwonili z Ambasady, mieli coś dla niego. Meldunek, który przekazał Eugene Villas, wykładowca literatury iberoamerykańskiej w Cambridge. Jeden z pożytecznych idiotów, którzy pracowali dla ZSRR, sądząc, że pracują dla innego kraju. Ten akurat był przekonany, że pracuje dla Argentyny. Jego rodzice wyemigrowali z tego kraju pięćdziesiąt lat temu. Eugene urodził się w Anglii, z niezrozumiałych względów nie identyfikował się jednak ze swoją ojczyzną. Rekrutacja pod fałszywą flagą nie stanowiła zatem problemu. Informacja, którą przekazał, postawiła Kontrolera na

baczność. Ktoś, Villas nie wiedział kto, wypytywał o Phila. Zdołał jedynie ustalić, że najbardziej był zainteresowany jego kolegami ze studiów.

Phil konsekwentnie nie informował, z kim spędzi noc. Ponieważ ochroniarze jeździli za nim krok w krok, Kontroler pogodził się z tym fatalnym nawykiem. Musiał jednak działać. Wysłał do Cambridge Borisa Woroncowa vel Arthura Rowledge'a. Boris dostał jedno zadanie: zidentyfikować człowieka, który wypytywał o przyjaciół Phila. Woroncow był *nielegatem*, rodowitym Rosjaninem podającym się za Anglika. Otrzymał fałszywą tożsamość po Arthurze, który w wieku lat trzech zmarł na zapalenie płuc. Przygotowania do odegrania roli Arthura zajęły pięć lat i wymagały wyczerpanej pracy wielu ludzi.

10 września 1953 r., 11.10, Cambridge

Woroncow wysiadł z pociągu i przeciągnął się, rozprostowując kości. Przyjechał do Cambridge pierwszym porannym. Umówił się na trzynastą, więc zdążył zjeść lunch. Villas był średniego wzrostu barczystym mężczyzną po czterdziestce. Miał lśniące, czarne włosy, za długie nawet jak na wykładowcę literatury, i nieco zaniedbaną brodę.

- Jak leci, Eugene?

Zmuszony był wysłuchać fanzolenia o jego podbojach seksualnych. Wreszcie dureń się zamknął i mógł go wypytać o człowieka, którego szukał.

- Czy to ważne? Kogo obchodzą znajomości sprzed lat?

Villas potwierdził ugruntowaną w Wydziale 11-A opinię o swoim intelekcie. Boris najchętniej dałby mu w ryja. Zamiast tego, marnując czas, musiał tłumaczyć idiotcie, dlaczego jest ważne. Prawdy oczywiście nie powiedział. Villas łyknął wyjaśnienia i zaczął mówić do rzeczy. Przypadek sprawił, że był w pubie, który odwiedził człowiek wypytyujący o Phila. Opisał Rona i dodał, że jego twarz wydała mu się znajoma.

- Cambridge nie jest dużym miastem, barmani będą go znali. Mężczyzn w zbliżonym wieku nie ma aż tak wielu.

Rozstali się po czternastej. Boris potrzebował pół godziny, żeby znaleźć pensjonat, zameldować się, zostawić bagaż, wziąć lodowaty prysznic i wreszcie wyruszyć na łowy. Nie miał zdjęcia człowieka, którego szukał, na dodatek brakowało mu luzu niezbędnego do nawiązywania znajomości. Rozmowy w pubach szły opornie. Przez przypadek, przed samym zamknięciem, dowiedział się, gdzie szukać Rona. O tej porze, nie znając adresu, niewiele mógł zdziałać.

11 września 1953 r., 8.00,

Cambridge

Boris powrócił do poszukiwań o ósmej rano. Ponownie miał pecha. O tej samej godzinie, jak w każdy pogodny dzień, Ron wyjechał do pracy rowerem. Nawet się minęli na ulicy. Philowi pozostały czterdzieści trzy godziny.

Ron wstawił rower do stojaka przed domem i otworzył drzwi. Traf chciał, że spotkał starego przyjaciela. Postanowili uczcić niespodziewane spotkanie w najbliższym pubie. Woroncow czekał na niego od wielu godzin. Przestał się już irytować. Wiedział, że nawet jeżeli zdoła ustalić nazwisko, tej nocy i tak nic już nie zdziałają. Godzinę później wychodził z mieszkania Rona, pogwizdując, wielce z siebie zadowolony. W kieszeni miał kartkę, na której zapisał numer telefonu i nazwisko człowieka, którego kazano mu odnaleźć - Raya Clemence'a. Zwłoki ukrył w pojemniku na brudną bieliznę. Ray, doświadczony policjant, podobnie jak wielu przed nim, popełnił fatalny błąd. Nie docenił Phila i dlatego zostawił swój numer Ronowi.

Woroncow przedstawił sytuację Kontrolerowi.

- Dobra robota, stary, wracaj jak najszybciej.

Philowi pozostało dwadzieścia dziewięć godzin. Następnego dnia sprawę mieli przejąć ludzie ze Specnazu⁹³.

12 września 1953 r., 9.00,

Londyn

Philowi pozostało zaledwie osiemnaście godzin. Do akcji wkroczyła ekipa Specnazu. Pomimo bolesnych perswazji Boothby nie podał adresu, ponieważ go nie znał. Wieczorem poprzedniego dnia Kontroler zadzwonił na numer, który zdobył Boris. Ray odebrał telefon, właśnie wrócił do domu po pracowitym dniu. Agent przedstawił się jako przyjaciel Phila i zaproponował spotkanie z samego rana. Ray był jednak czujny. Nie tak umawiał się z Ronem. To mogło nic nie znaczyć, Ron mógł postąpić wbrew instrukcji i podać jego numer Benowi Greenwoodowi, jak się przedstawił rozmówca. Ray improwizował. Swojego adresu nie podał, poprosił o telefon za kwadrans. W tym czasie bezskutecznie próbował dodzwonić się do Rona. Nie udało się, lecz nadal nie było powodu do niepokoju. Ron mógł spać, mógł wracać spacerem z pubu, mógł wziąć nocny dyżur, mógł wyłączyć na noc telefon. Postanowił sprawdzić z samego rana. Zresztą Greenwood już nie zadzwonił. Kontroler był zły na samego siebie. Nie powinien dzwonić do Clemence'a. Spróbował pójść na skróty, a w jego fachu to niedopuszczalne. Rozmawiając z Rayem, zorientował się, że ma do czynienia z kutym na cztery nogi cwaniakiem. Teraz musiał liczyć na chłopaków ze Specnazu. Oni nie zawadzili nigdy. Adres zdołał ustalić dopiero rano.

Ray wyszedł z domu o dziewiątej trzydziści. Godzinę później przed budynkiem, w którym mieszkał, zaparkował dostawczy bedford. Przyjechało nim czterech krótko ostrzyżonych mężczyzn i kierowca. Wkrótce dwóch czekało w mieszkaniu, pozostali rozsiedli się w bedfordzie, żeby w razie kłopotów wesprzeć kolegów. Ray miał zajęty cały dzień. Na szesnastą umówił się z Duninem. Nadeszła pora wyłożyć karty na stół. Poprzedniego dnia zastanawiali się z Evą, czy mają iść razem, czy powinna pokazywać się Duninowi. Był szczery.

- Jesteś moją partnerką, więc powinnaś w tej rozmowie uczestniczyć. Z drugiej strony, jesteś szefową i właścicielką firmy. Dajesz pracę ponad stu osobom. Niektórzy z nich mają rodziny. To wielka odpowiedzialność, Evo. Gdyby coś poszło nie tak, możesz mieć

kłopoty. Dunina raz już aresztowano, nie wiemy dokładnie, co oboje planują. Są argumenty na tak i na nie, decyduj.

- Nie pójdę, tak będzie lepiej, partnerze.

12 września 1953 r., 16.00,

Londyn, hotel Ritz

Spotkali się w Ritzu. Dunin nie przyszedł sam, była z nim Marion. Ubrała się skromnie, ale Ray od razu zrozumiał, co Eva miała na myśli, opisując ją. Nie było w niej kokieterii, tylko śmiertelna powaga. Ray, pracując w policji, nauczył się rozpoznawać, kiedy rozmówca kłamie. Marion mówiła prawdę. Prosto ze spotkania miał pojechać do Ewy. Telefon do Rona wyleciał mu z głowy.

12 września 1953 r., 18.20,

Londyn, apartament w hotelu Ritz

Marion zostawiła w recepcji wiadomość dla Humphreya. Głos wewnętrzny mówił, że zazdrosna żona nie istnieje, to jedynie autoironia.

Zamierzała się spóźnić, przyjść po Philu, aby był świadkiem jej *entrée*. Do tych decydujących chwil się przygotowała. Nalała wody do staroświeckiej, miedzianej wanny wspartej na nogach w kształcie lwich łap. Na stoliku kąpielowym przygotowała wszystko, czego potrzebowała. *Małe ptaszki* Anaïs Nin, dla wprowadzenia w nastrój, lampka koniaku, dwie tabletki i filizanka herbaty. Weszła do wanny i wyciągnęła się swobodnie. Jej ciało się zmieniało. Uda nie były już takie smukłe. Piersi wypełniły się i nie sterczały, w talii przybyło centymetrów. Liczył się jednak efekt końcowy. Ociekała seksualnością. Wcięcia bioder nadal były szerokie. Biorąc ją od tyłu, mężczyzna miał za co przytrzymać. Kiedy wypięła się na czworakach, cycki zwisały niżej. Były lepiej widoczne, łatwiejsze do uchwycenia. Przyglądała się swojemu ciału, zdając sobie sprawę, że jej atrakcyjność nie maleje. Zaczęła się masturbować. Robiła to delikatnie, z rozmysłem. Celem nie było wykradzenie chwili

rozkoszy, chciała się doprowadzić do podwyższonego napięcia erotycznego. Pomimo niewielkiej liczby partnerów – do tej pory, oprócz męża, było ich czterech – miała swoje przemyślenia. Robert opowiadał, jak pachnie, kiedy się kochają, i jak go ten zapach podnieca. Jest najlepszym afrodyzjakiem. Skojarzyła jego słowa z zachowaniem koni. To zapach grzejącej się klaczy podnieca ogiery. Miała być dla Phila grzejącą się klaczą. Nadal ją do niego ciągnęła jakaś przemożna siła. Może to nie była miłość, nie chuć, lecz okoliczności. Zamorduje z zimną krwią, patrząc mu w oczy. Wyobrażając sobie, jak to robi, podnieciła się.

Czy ja aby na pewno jestem normalna? Czy dostanę orgazmu, jak mnie będzie rznął? O czym będę wtedy myślała? O nim czy o strumieniu krwi, który z niego wytryśnie, jak strumień spermy? Co poczuję, kiedy krew ochlapie mi cycki? Obrzydzenie, przerażenie, szalone podniecenie?

Takie myśli kołatały się jej po głowie, gdy starała się podnieść swoje libido. Wypiła lampkę koniaku. Potrzebowała alkoholu dla rozluźnienia. Wyznaczyła sobie limit: lampka koniaku i trzy kieliszki szampana. Na tę noc zostanie dziwką. Jego dziwką. Phil lubił, kiedy była na lekkim rauszu. Dla niego będzie na lekkim rauszu. Zaspokajanie wszelkich jego pragnień będzie spełnieniem ostatnich życzeń skazańca. Połknęła dwie tabletki hiszpańskiej muchy. Nie wierzyła w skuteczność afrodyzjaku, chciała go tylko wypróbować na sobie.

Nie uważała swojego postępowania za zdradę. Zdecydowanie odrzucała takie myśli. Poprzednio było inaczej. Nie myśląc opierać się płomiennemu uczuciu, poszła za głosem serca. Teraz nie zdradzi, nie odda się z miłości. Jeżeli poczuje coś nadzwyczajnego, to będzie dar od niebios. Odmawiając sobie, nie zbliży się do niego. Nie odda się dla erotycznych przeżyć ani dla zemsty. Jej to już nie dotyczyło. Robert wyrzucił z pamięci, ona zaakceptowała to, co się wydarzyło, wybaczyła sobie krzywdę, jaką mu wyrządziła.

Wytarła się, założyła czarny koronkowy pas i kończące się niewiele nad połową uda pończochy. Reszta bielizny tylko by przeszkadzała. Sukienkę zostawiła niedopiętą na karku. Była dziewiętnasta dwadzieścia pięć. Z recepcji zadzwonili, że przyszedł Paget. Pospieszył się. Czekala na niego, siedząc niedbale w fotelu. Obok stały czółenka. Na stoliku położyła naszyjnik z pereł, zegarek i kolczyki. Suknię opuściła tak głęboko, że jedna brodawka i część sutka wysunęła się ponad dekolt. Humph wszedł do apartamentu i zamarł. Nie przywykł do takich widoków.

- Zamurowało cię? Wchodź śmiało, nie ugryzę.

- Przyznam, że mnie zaskoczyłaś. - Nie dopowiedział, czym zaskoczyła.

- Tym? - Poglaskała sutek. - Przecież chciałeś sprawdzić, czy jestem gorąca. - Podeszła, ujęła jego dłoń i położyła na piersi. - I jak? Gorąca?

Speszony chciał cofnąć rękę, ale ją przytrzymała.

- Nie odmawiaj moim piersiom. Są stworzone, żeby mężczyźni robili im te okropne, cudowne rzeczy. Humph, pomóż mi, proszę.

- Wodzisz mnie na pokuszenie. Co mam zrobić?

- Popraw sukienkę i zapnij na karku.

Poprawił, z zażenowaniem wsuwając sutek do sukienki, i zapiął haftkę. Podczas kiedy on wpatrywał się w nią z zachwytem, założyła perły i kolczyki.

- Jeżeli masz ochotę, załóż mi czółenka.

Miał wielką ochotę. Przytrzymał stopy zdecydowanie dłużej, niż to było niezbędne. Rozsunęła nogi. Nieznacznie, jednak musiał ten ruch zauważyć.

- Od dzisiaj zazdrozczę subiektom w sklepach z obuwem. Co teraz?

- Teraz? Należy ci się nagroda, napracowałeś się. - Pocałunek był namiętny. - Humph, na tym koniec.

- W porządku, Mia, dostałem więcej, niż mogłem oczekiwać, a ty jesteś niesamowita.

- Mam do ciebie prośbę.
- Wszystko, czego sobie zażyczysz, piękna.
- Proś mnie do tańca. Nie musisz nieustannie, ale przynajmniej kilka razy.

Ktoś zapukał do drzwi. Była dziewiętnasta trzydzieści cztery.

12 września 1953 r., 18.55,

Nikt nie jest w stanie wytrzymać przesłuchiwania Specnazu i cokolwiek zataić. Jedynym pytaniem pozostaje, jak szybko przesłuchiwany powie wszystko, co wie. Ray nie był Mucjuszem Scewolą⁹⁴. Był przeciętnym człowiekiem, który niespodzianie trafił w sam środek koszmaru. Jakkolwiek by się zachował, był już martwy. Opowiedzenie wszystkiego, o co pytali, przyspieszało egzekucję. Myślał o Evie. On przeszedł na drugą stronę, istniała szansa, że ją ocali. Dopiero w ekstremalnych sytuacjach wychodzi prawdziwy charakter. Raya został wykuty z hartowanej stali, lecz on jeszcze o tym nie wiedział. Ponownie zadzwonił telefon. Była dziewiętnasta sześć. Rosjanin zapytał.

- Kto dzwoni?

Gorączkowo się zastanawiał. To Eva. Chce sprawdzić, co się dzieje, dlaczego nie przyjechał, jak się umawiali. Dzwoni drugi raz. Lepiej nie odbierać. Poprzedniego też nie pozwolili odebrać.

- Nie mam pojęcia. Jak odbiorę, powiem ci.

- Nie ma takiej potrzeby, Ray, pogadajmy.

Dowódca, porucznik Jewgienij Łapiszyn, zadał pierwsze pytanie o dziewiętnastą dziesięć. Philowi pozostało niespełna osiem godzin życia. Jeżeli Łapiszyn zawiedzie. Najtwardsi załamywali się po godzinie. Porucznik nie musiał się nawet spieszyć. Nie lubił tego, co musiał zrobić, wolał uczciwą walkę. Uważał, że torturowanie jeńców jest zajęciem w sam raz dla tchórzy. Jeżeli jednak nie miał wyboru, był w tym najlepszy. Wiedział, że osobiste odczucia porucznika Łapiszyna nikogo nie interesują.

- Kto ci płaci, Ray?

Miał przygotowaną odpowiedź. Starał się mówić jak najdłużej, bez wzbudzania podejrzeń, że celowo przeciąga. Była dziewiętnasta czternaście.

12 września 1953 r., 19.07,

Londyn, Belgravia, apartament Evy von Hirschberg

Denerwowała się coraz bardziej. Zaplanowali, że przyjedzie i opowie, co ustalili z Duninem. Później razem pojedą na przyjęcie. Myśl, że wejdzie na salę z Rayem u boku... nie, ona u jego boku, niepokoiła ją. Nie życzyła sobie, żeby się do niej za bardzo zbliżył. Lubiła go, jednak był pracownikiem. Podjęła decyzję. Musiało się wydarzyć coś złego. Nigdy się nie spóźniał. Nie zadzwonił, nie ma go w domu albo z jakiegoś powodu nie może odebrać. Są partnerami, więc nadeszła pora na nią. Przyjęcie, jej przyjęcie, niedługo się zacznie, na dobrą sprawę powinna być na sali, doglądać ostatnich przygotowań, witać pierwszych gości. *Chrzanić przyjęcie, Ray jest ważniejszy.* Przypominała Ewę sprzed lat. Tę, która zmusiła ojca do sprzedaży rodzinnej posiadłości. Przez te lata niczego jej nie ubyło. Ray zostawił na wszelki wypadek numer Larwooda. Na szczęście odebrał.

- Harold? Mówi Eva von Hirschberg. Wiesz, kim jestem?... No więc słuchaj! Wydarzyło się prawdopodobnie coś złego, co może mieć związek z twoim ostatnim zleceniem. Musimy za wszelką cenę odnaleźć Raya. Zaczniemy poszukiwania od jego mieszkania. Za ile możesz u niego być?... Oczywiście, taksówką!... Za dwadzieścia minut? Doskonale. Nie możesz przyjść sam. Musisz kogoś zabrać. Najlepiej dwóch uzbrojonych ludzi. Zresztą, im więcej, tym lepiej... Tak, jestem pewna, macie być uzbrojeni. Spotykamy się zatem za czterdzieści minut pod mieszkaniem Raya.

Otworzyła sejf, ze zdenerwowania musiała po raz drugi wprowadzić kod, co dotąd się jej nie zdarzyło. Wyjęła webleya i paczkę banknotów. Założyła buty na płaskim obcasie i wybiegła z domu. Ruszyła astonem, paląc opony, ale nie pojechała do Raya, tylko do pubu, mieszczącego się w bocznej uliczce, nieopodal jego

domu. Zaparkowała na zakazie, pod samymi drzwiami. Pub cieszył się fatalną opinią, takiego właśnie potrzebowała. Weszła do środka, przecisnęła się energicznie przez tłum podpitych facetów, wskoczyła na szynkwasa i trzymając w dłoni plik banknotów, nawykłym do wydawania poleceń głosem oznajmiła zdumionym gościom:

- Mam robotę, potrzebnych jest kilku ludzi. Nic trefnego, wybieram się w odwiedziny do mojego chłopaka i potrzebne mi wsparcie.

Kiedy ucichł ryk śmiechu, kontynuowała spokojnie.

- Źle mnie zrozumieliście. On ma kłopoty. Płacę pięćset funtów za godzinę każdemu, kto ma broń i się nie boi.

Stawka była kosmiczna! W Londynie za podobną robotę jeszcze nikt tyle nie zapłacił. Życie Raya nie miało dla niej ceny. Zapadła cisza. Nikt się nie odezwał, nikt nie poruszył. Odczekała wlokące się niczym żółw dwie minuty, wzruszyła ramionami, rzuciła na blat banknot dwudziestofuntowy, zeskoczyła i pobiegła do samochodu. Przed pubem czekało trzech mężczyzn.

- Bierzymy tę robotę, ślicznotko.

- Macie przy sobie broń?

Dwóch skinęło potakująco.

- Biorę tylko was, mój chłopak jest byłym policjantem. Jeżeli ma problem, to nie będzie łatwa robota.

Trzeci nie chciał tak łatwo zrezygnować. Wyciągnął nóż sprężynowy.

- Mam wprawę, psze pani.

- W porządku, biorę cię, ale trzymaj się z tyłu. Jak masz na imię?

- Ray, psze pani. Nie pożałuje pani. - Wyglądał na osiemnaście lat.

Zanim dojechała na miejsce, zdążyła wprowadzić ich w sytuację. Przyjechali o dziewiętnastej czterdzieści osiem. Rozglądała się za Larwoodem. Podjechał chwilę po niej i podobnie jak ona zaparkował za rogiem. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn.

- W tak krótkim czasie udało się znaleźć jednego - powiedział usprawiedliwiającym tonem.

- Nie szkodzi, miałam więcej szczęścia. - Za nią wyrosło jak spod ziemi trzech jej nowych znajomych. - Razem jest nas szóstka.

Ku własnemu zaskoczeniu, przejęła dowodzenie.

- Trójka ze mną idzie do mieszkania Raya. Dwóch ubezpiecza, zostaniecie w bramie. - Wyjęła z torebki webleya.

- Idziesz z nami? - Larwood był zdumiony. Zamilkł, bo w oczach Ewy dostrzegł bitewną furię.

Do bramy weszli w szóstkę. Policjant, którego przyprowadził Larwood, i jeden z jej ludzi zostali w bramie. Reszta wspięła się szybko po schodach. Eva zapukała energicznie.

- Ray, jesteś tu? - Była godzina dziewiętnasta pięćdziesiąt trzy.

12 września 1953 r., 19.34,

Londyn, apartament w hotelu Ritz

Marion otworzyła drzwi i stanęła twarzą w twarz z Rebeccą, która w niczym nie przypominała stonowanej kierowniczką sklepu. Złocistorude włosy, uwolnione od krępującej je na co dzień wstążki, spływały w dół, poskręcane w loki. Ze swoją śliczną buzią, w dobranej pod kolor włosów błękitnej sukience, wyglądała jak dobra wróżka z bajki.

- Pani Meissner. - Jej głos był bliski paniki. - Ich ciągle nie ma. Co mamy robić?

Podświadomie przeciągnęła ją na stronę firmy. Marion myślała z szybkością i precyzją, jakiej mąż mógłby jej pozazdrościć.

- Rebecco, skup się, to bardzo ważne. Musisz zrobić dokładnie, co powiem. Zapamiętasz?

- Na pewno, proszę pani.

- Mów mi Marion. W hallu siedzi pewien człowiek, ten sam, który kupował ze mną torebkę. Idź do niego. Niech weźmie z garażu rovera. Pojedziesz z nim. Wszystko jasne?

- Tak, Marion.

Otworzyła sejf i wyjęła z niego bergmanna oraz pieniądze.

- Potrafisz się tym posługiwać? - Podała jej pistolet.

- Ojciec jest policjantem. Znam się trochę na broni.

- Rozumiem. Masz tu pieniądze, daj je Duninowi. - Dała Rebecce tysiąc sto funtów, całą gotówkę, jaka jej została. - Podaj mu adresy Raya i Evy. O której ostatni raz rozmawiałaś z Evą?

- O osiemnastej. Miała jechać do siebie, żeby się przygotować. Około dziewiętnastej zadzwoniła, że zaraz przyjadą z Rayem, miał ją zabrać.

- A z Rayem?

- Pamiętam, że wcześniej. Chyba pojechał do domu, żeby się przebrać.

- Powiedz Duninowi, żeby natychmiast jechał do Raya. Tylko nie może wejść do niego sam. Niech wynajmie uzbrojonych cyngli. Najszybciej, jak się da. Gotówki wystarczy, żeby nawet o tej porze kogoś znaleźć. Wydaje mi się, że potrzebuje dwóch i to znających się na robocie.

- Zrobię wszystko, jak powiedziałaś.

Potwierdziła, jakby przyjmowała zamówienie na zamki i guziki, a nie na wynajmowanie uzbrojonych zbirów. Dotarło do niej, że niepojętym zrzędzeniem losu Eva jest w niebezpieczeństwie. Pobiegła, żeby jak najszybciej wykonać wszystkie polecenia. Ostatnie słowa dogoniły ją na korytarzu.

- Rebecca! Ty zostań w samochodzie. Pistolet dałam na wszelki wypadek.

- Wybacz, Mia, przez przypadek usłyszałem coś, co mnie zaniepokoiło. Nie słuchałem od początku, ale z tego, co zdążyłem usłyszeć, to raczej sprawa policji, nie pięknych kobiet.

- Nie wiem, czy policji, na pewno nie twoja. Byłam dla ciebie uprzejma, a ty? Wykorzystałeś okazję i bezczelnie podsłuchiwałeś, teraz próbujesz się wtrącać. Wiesz, co ci powiem? Jesteś podłym skunksem! Idziemy na przyjęcie.

12 września 1953 r., 19.53,

Londyn, mieszkanie Raya

Pomiędzy dziewiętnastą piętnaście a dziewiętnastą pięćdziesiąt Łapiszyn torturował Raya. Spieszyło mu się, Kontroler naciskał. W ciągu tych trzydziestu sześciu minut zdążył wbić długie, cienkie gwoździe pod każdy z paznokci. Po wbiciu kolejnego przerywał i zadawał to samo pytanie.

- Czy powiesz wreszcie prawdę, czy mamy to ciągnąć dalej? I tak powiesz, każdy w końcu mówi.

Za każdym razem Ray wymyślał nową bajkę. Wszystko na nic. Łapiszyn przerywał po kilku słowach.

- Znów mnie okłamujesz, przyjacielu. Oj, nieładnie, nieładnie.

O dziewiętnastej trzydzieści pięć przyszła pora na wrywanie paznokci. Rosjanin przygotował się sumiennie. Wyciągnął z brezentowej torby niewielkie, wykonane z chirurgicznej stali kombinerki. Po kwadransie Ray nie miał paznokci. Jedna z kolejnych wersji zeznań przyciągnęła uwagę porucznika. Złapał oddech, jego oprawca skontaktował się z Kontrolerem. Już po chwili odłożył słuchawkę i z niesmakiem pokręcił głową.

- Nie to, kolego, nie to.

Był na skraju załamania. Nie wytrzymał potwornego bólu. Wiedział, że za chwilę będzie dużo gorzej, wtedy powie wszystko. Myślał o niej. Prędzej czy później ją zdradzi, powie prawdę, a oni zabiją i jego, i ją. Eva nawet się nie dowie, że to on zdradził, choć tak bardzo ją kocha. Od pierwszego dnia, kiedy go zatrudniła. Dzięki takim myślom przetrzymał wrywanie paznokci. Udało mu się przeciągnąć ten zabieg o dodatkową minutę, całą minutę. Rosjanin kneblował go przed wyrwaniem kolejnego paznokcia. Podczas wyciągania knebla Ray przytrzymał go trochę zębami. Miało wyglądać naturalnie. Nie chciał, żeby Rusek się domyślił, jak rozpaczliwie gra na zwłokę, walczy o każdą sekundę. Jakby te sekundy miały teraz jakiegokolwiek znaczenie.

Łapiszyn doszedł do wniosku, że pora kończyć. Zdecydował pominąć kolejne etapy i przejść do ostatniego, którego jeszcze nikt nie przetrzymał. Jego autorski pomysł. Wyciągnął z torby niewielką wiertarkę wysokoobrotową Siemens.

- Domyślasz się, co zrobię?

Ray zaprzeczył. Wiedział i się bał. Bardziej niż na plaży Gold przed skokiem z amfibii w ogień karabinów maszynowych, chociaż strach większy niż tego dnia wydawał mu się niemożliwy.

- Nie? Wywiercę ci dziurkę w kolanie. Taką małą dziurkę. Podłączył wiertarkę do prądu i sprawdził. Zawarczała dźwiękiem wiertarki dentystycznej.

Wtedy Eva zapukała do drzwi. Usłyszał jej wibrujący niepokojem głos.

- Ray, jesteś tam?

Tylko nie to! Dlaczego przyszła i sama pcha im się w łapy?

W okamgnieniu porucznik i jego towarzysz mieli w rękach pistolety i zajęli pozycje w rogach pokoju, za meblami. Ray się nie odzywał. Łapiszyn podszedł do niego bezszelestnie i na wszelki wypadek ogłuszył uderzeniem kantem dłoni w skroń. Głowa przywiązanego do fotela Raya opadła na pierś. Porucznik nie mógł przewidzieć, jakie konsekwencje przyniesie to uderzenie.

12 września 1953 r., 19.58,

Londyn, mieszkanie Raya

Łapiszyn rozglądał się wokół, przerażony. Był ranny i to poważnie, na szczęście mógł chodzić. Tylko jeden z jego ludzi wyszedł ze strzelaniny bez szwanku. Na podłodze, wśród łusek, leżały zwłoki kilku mężczyzn. Sączyła się z nich krew, tworząc kałuże. Przed chwilą dobił jednego ze swoich. Tak było lepiej. Był ciężko ranny i nie widział szansy, żeby go ewakuować. Stracił trzech ludzi, przeciwnik pięciu. Rezultat, jak na Specnaz, katastrofalny. Z napastników przeżyła jedynie kobieta. No i Ray, którego szczęśliwie ominęły fruwające po mieszkaniu kule. Jedna z nich zraniła go w głowę, dlatego mocno

krwawił. Rana była powierzchowna. Gdyby siedział wyprostowany, kula zamiast przeorać czubek głowy, trafiłaby w środek czoła. Łapiszyn zachował zimną krew. Pomimo że ranny, zadzwonił do Kontrolera. Dostał rozkaz, żeby kobietę i mężczyznę zawieźć do pewnego domu pod Londynem, on będzie na nich czekał.

Musieli się spieszyć, zaczęli schodzić po schodach. Pierwsi Ray i Eva, ze związanymi rękami, Rosjanie za nimi. Wyszli z bramy. Ray bez ostrzeżenia runął na ziemię, podcinając Evę. Łapiszyn spojrział w lufę pistoletu i w ostatnim przebłysku świadomości zrozumiał, że nie zdąży wystrzelić. Że tym razem zawiódł. Podobno tuż przed śmiercią całe życie przewija się przed oczami w zawrotnym tempie. Nie wiadomo, czy jest w tym bodaj ziarno prawdy. Łapiszynowi w ciągu tej chwili pomiędzy spojrzeniem w oczy Duninowi a śmiercią przewinął się jedynie niewielki fragment. Za to bardzo dokładnie.

Przed chwilą zastrzelił kobietę. Dla ojczyzny. Dowódca po każdej udanej akcji gratulował sukcesu, a on odpowiadał: „Służę Związkowi Radzieckiemu”. Tylko ostatnie słowa: „towarzyszu majorze”, „towarzyszu pułkowniku” się zmieniały. Wybiegł z bramy. Już na schodach słyszał strzały. Tak jak dzisiaj, na ulicy stał ten śmieszny człowieczek. Ale wtedy stał dalej i to on był ranny. Sierżant Gromow, sam śmiertelnie ranny, zdołał go jeszcze postrzelić. Łapiszyn strzelił pierwszy i trafił. Nie sprawdzał, czy zabił, musiał wciągnąć do samochodu Gromowa i jak najszybciej odjechać. Nie dobił rannego. Dlatego teraz, usiłując ująć sprzed lufy, siłą woli wciskał swoje potężne ciało w sylwetkę karła.

Dunin strzelił dwukrotnie. Tak szybko, że wystrzały zwały się w jeden. Rosjanie zginęli na miejscu. Nie posłuchał Marion, nie szukał cyngli. Doskonale wiedział, że czas jest bezcenny. Podjechał wprost pod mieszkanie Raya. Wyrównał rachunki z Rosjaninem. Satysfakcji to nie przyniosło, Liz nie pomścił. Ktoś inny, wiedział kto, ponosił odpowiedzialność za jej śmierć. Byli z Rayem zgodni, muszą uciekać. Za chwilę pojawi się policja. Na składanie wyjaśnień przyjdzie pora. Dunin z piskiem opon zawrócił do Ritza.

12 września 1953 r., 20.00,

Londyn, William Kent House, hotel Ritz

Weszli na salę. Niemal wszyscy goście już byli i się niecierpliwiili. Brakowało jedynie gospodarzy, Evy i Raya. Zauważono ich. Dokładniej – ona zwróciła na siebie uwagę. Uzgodniły z Rebeccą, że do przyścia Evy przejmie na siebie rolę gospodyni imprezy. Mogła się pokazać, nie ryzykując, że Phil zacznie coś podejrzewać. Wygłosiła krótką mowę powitalną. Okazało się, że jest stworzona do takich wystąpień. Nie znała tremy, była dowcipna, mówiła ciekawie i ciepło. Dostała żywe brawa. Nie klaskał tylko jeden gość, który wpatrywał się w nią z mieszaniną irytacji i zachwytu. Orkiestra zagrała walca. Podszedł do niej. Udawała zaskoczoną i rozbawioną jednocześnie.

- Phil St. John. Jaki ten świat jest mały. Co ty tutaj robisz?

- Dostałem zaproszenie, więc przyszedłem. - Wzruszył ramionami. - Zatańczymy?

- O ile mnie pamięć nie myli, rzuciłeś mnie. Czy dobrze zapamiętałam? Jeżeli chcesz ze mną zatańczyć, musisz się bardziej postarać. - Przechyliła lekko głowę i posłała mu ten uśmiech, którym mąciła mężczyznom w głowach.

Twój kochanek wciąż żyć winien

między lękiem a nadzieją.

Po odmowie niech nadzieje

rosną, lęki zaś maleją...

Ta kobieta rad Owidiusza nie potrzebowała. Była z siebie dumna. Nie miała jednak czasu na rozpamiętywanie sukcesu. Znalazła szeroki, skórzany fotel o niskich oparciach. Wzięła od kelnera kieliszek szampana. „Usiadła”, nie było adekwatnym określeniem tego, co zrobiła. Rozłożyła się w poprzek fotela. Dół ciała przewiesiła przez jedno oparcie, górę wsparła na drugim. Długie nogi w czółenkach ułożyła w taki sposób, że lewa luźno opadała w dół, prawa odstawała pod kątem. W tej pozycji kostka ze złotym łańcuchem była najbardziej wyeksponowana. Sukienka podjechała do góry. Zakończenie pończochy ze srebrną zapinką i kawałek

obnażonego uda były doskonale widoczne. Rozpięta guziki w dekolcie na tyle, że piersi odsłoniły się niemal do sutków, a rowek pomiędzy nimi był wyeksponowany. Poszperała w torebce i wyciągnęła szklaną lufkę oraz brązowe, tureckie papierosy. Zanim zdążyła zapalić, pojawiły się przed nią dwie zapalniczki.

Z każdą chwilą krąg czarnych smokingów wokół niej się powiększał, potwierdzając opinię Evy, że samce tracą resztki rozumu na widok atrakcyjnej kobiety. Większość pań patrzyła na nią teraz z jawną wrogością. Gdy już zgromadziła wokół siebie niemal wszystkich godnych uwagi mężczyzn, z ulgą schowała papierosy do torebki. Szybko wypła lampkę szampana. Trzech podawało następną. Z wyrachowaniem stopniowała efekty specjalne dedykowane męskiej części widowni. Palec wskazujący przesuwiał się powoli wzdłuż kieliszka. Dotarł do krawędzi i obrysowywał główkę. Kiedy nie opowiadała pikantnych dowcipów, usta pozostawiała rozchylone, oblizywała wargi. Aspazja⁹⁵ mogłaby jej pozazdrościć. Pozbawione asysty partnerów panie z trudem powstrzymywały się od złośliwych komentarzy. Jak bywa, im bardziej się wściekały, tym bardziej mężczyzn do niej ciągnęło. Interesował ją jeden, a on nie dołączył do kręgu adoratorów, pomimo że doskonale widział, co się dzieje.

Humph wyglądał jak zbity pies i chociaż próbował, nie mógł się do niej docisnąć. Usiłował się przepchnąć, więc został potraktowany łokciem. Co pewien czas towarzystwo zgromadzone wokół niej wybuchało śmiechem, za każdym razem głośniejszym. Pogłębiało to jedynie poczucie wyobcowania pozostałych. Co atrakcyjniejsze kobiety przełamywały niechęć i dołączały do elity. Je przepuszczano chętnie. Postanowiła wykorzystać sytuację. Zsunęła się z fotela i podeszła do Humpha.

- Zatańczysz ze mną?
- Mia, ja naprawdę nie chciałem, przepraszam, ja...
- Tańczysz w końcu czy nie?
- Oczywiście, jesteś taka wyrozumiała.

Okazało się, że pomimo przeciętnego wyglądu Humph jest doskonałym tancerzem. Niespodziewanie poczuła wilgoć w cipce. Atmosfera, jaką wykreowała, również jej się udzieliła. Zaraz, zaraz, skąd zna to doznanie?

Impreza u Fiony. Podobne odczucie wilgoci. Fiona tak serdecznie zaprasza i jednocześnie dzwoni do Humpha, kolegi Phila. I pary pieprzące się niemal na jej oczach, i kobiety, które w tańcu zezwalają partnerom na wszystko, i ona jedna bez mężczyzny, może tylko patrzeć i zazdrościć. I Phil dziwnym zbiegiem okoliczności pojawia się właśnie wtedy.

Zrzuciła czólenka, odchyliła głowę do tyłu, włosy wirowały w powietrzu. Widok bosych stóp, kreślących wzory na parkiecie, podwyższał mężczyznom tętno. Tańczyli w kręgu utworzonym przez inne pary. Z każdą chwilą oklaskiwało ich więcej widzów.

- Czy teraz ze mną zatańczysz? Proszę.

Marion w perfekcyjnie skrojonej ciemnoczerwonej sukni z głębokim dekoltem była uderzająco piękna. Jej niebieskoszare oczy błyszczały, a wysoko upięte jasne włosy odsłaniały szyję, którą zdobił skromny naszyjnik ze szmaragdów. Phil nie wytrzymał i pomimo odmowy poprosił ponownie. Stała przed dylematem. Machnie na wszystko ręką, powie, że musi się bardziej postarać, co da jej chwilę mściwej satysfakcji, albo...

Zakochała się na balu. Nocami, leżąc u boku męża, marzyła o nim, wyobrażając sobie, jak się kochają. Kiedy zostali kochankami, pieprzyła się jak natchniona, nikt jej do niczego nie przymuszał, więc nie była niewinną ofiarą, sama chciała. I to jak! A jednak. To koleżanki, kamień po kamieniu, zburzyły mur z solidnych zasad, jakie wyniosła z domu. Po zrobieniu wyłomu upadek był kwestią czasu. Trafił się Phil, Fiona podała mu ją na tacy.

- Tak, Phil, z radością z tobą zatańczę.

Minęła dwudziesta pierwsza, czas uciekał. Musiała szybko rozpalić w nim ogień, w przeciwnym razie nie zajeździ go przed świtem, znała jego apetyt seksualny. Nie mogła jednak przyspieszać,

mógłby ją zacząć podejrzewać. Kiedy próbował całować, uchylała się ze śmiechem. Im bardziej się podniecał, tym łatwiej przychodziło prowokowanie do śmielszych zalotów. Wsunęła udo pomiędzy jego nogi, lekko nacisnęła i cofnęła. Całował w szyję. Drapieźnie. Zrobił jej malinkę. Od takich karesów nie mogła uciec. Manewrował tak, że znaleźli się w samym rogu sali, niemal niewidoczni dla pozostałych gości. Znow spróbował ją pocałować. Tym razem nie uciekła. Oddając pocałunek, pokąsała mu wargi. Zaśmiała się do ucha chrapliwym śmiechem. Zapach jej potu, zapach podnieczonej kobiety, mieszał się z chanel N°5, tworząc bukiet o piorunującym działaniu.

- Całuję cień twojej woni. - Jego głos falował z namiętności.
- Doprawdy? A ja odpływam w dal obłokiem. - Roześmiała się.
- Wychodzimy!

W jego stylu, nie prosił, rozkazywał! Za to go tak kochały. Kobiety nie znoszą mężczyzn, którzy się nieustannie wahają. Podroczyła się z nim przez chwilę, trzymając w niepewności. Zgodziła się, kiedy wyczuła podbrzuszem, jak silny ma wzwód.

- Coś mi się wydaje, że masz na mnie wielką ochotę.
- Zaraz się przekonasz, jaką mam na ciebie cholerną ochotę - warknął.

Ona zaś, oprócz szalonego podniecenia, czuła własną bezbronność i grożące jej niebezpieczeństwo. Planowali, że Dunin pojedzie za samochodem Phila. Nie udało się ustalić, gdzie mieszka. Jazda za nimi była jedynym sposobem wyciągnięcia jej, kiedy będzie po wszystkim. Nie wiedziała, czy Dunin zdąży wrócić, czy w ogóle wróci. Mogli go zastrzelić, w końcu raz już ranili. Zabić Phila było niezmiernie trudno, zabić i ujść z życiem - niemal niemożliwe. *Jeśli tej nocy mam umrzeć, chcę żegnać się z życiem jako kobieta zaspokojona.* Wyszła zaraz po nim. Czekał w aucie. W lusterku zobaczyła, że jedzie za nimi drugi samochód. A ciąg wydarzeń, który miał swój początek wiele lat wcześniej, zbliżał się nieubłaganie do finału.

Rover zahamował na hotelowym podjeździe chwilę po ich odjeździe. Dunin był bezsilny. Spóźnił się, pomimo że jechał jak szalony, łamiąc po drodze wszelkie przepisy.

Położył rękę na jej udzie. Żeby go zachęcić, rozchyliła nogi. Czuła, że jest na niego napalona, dyszała mu do ucha podnieceniem. Położyła dłoń na jego kroczu. Widziała, z jakim wysiłkiem przełknął ślinę, więc zaczęła poruszać palcami. Nie chciała wyciągać, a jedynie utrzymywać w stanie pobudzenia. Wiedziała, że w łóżku przejmie nad nią kontrolę. *Niech ze mną robi wszystko, czego zapragnie.* Sama miała ochotę pójść na całość. Przysięgła sobie, że tej nocy da mu więcej niż kiedykolwiek. Dopiero potem zastrzeli. Będzie miał wieczność na wspomnienie tej nocy, dlatego zrobi wszystko, żeby miał co wspominać.

Zatrzymali się przed skromnym pensjonatem. Nie umiała powiedzieć, gdzie są, nie знаła Londynu. Zobaczyła, że w drugim samochodzie jest dwóch mężczyzn. Dwie kule – na trzech. Jeden został w samochodzie, drugi wszedł do środka. Phil podszedł do tego w samochodzie i coś do niego mówił. Budynek był niewielki, sprawiał wrażenie opuszczonego. W korytarzu, przed apartamentem stało biurko i dwa krzesła. Na biurku, oprócz telefonu, leżała sterta ilustrowanych gazet. Ochroniarz jej nie zrewidował.

Było jak w Hamburgu. Rzucili się na siebie ze zwierzęcą pasją, zdzierali ubrania w gorączkowym pośpiechu. Nie była zdolna do myślenia. Całym jej światem było wsadzanie kutasa, on był tego świata bogiem. Torebka leżała rzucona na podłogę. Posuwał ją zwyczajnie, jednak czuła, jak narasta w nim niekontrolowane szaleństwo. Właśnie to ją najbardziej pociągało. Jego szaleństwo, nieposkromiona gwałtowność przechodząca w brutalność. Jak pierwszej nocy w Hamburgu. Z nim zawsze chciała ostrej jazdy.

Posuwanie przestało mu wystarczać. Gwałtownym ruchem przewrócił ją na brzuch i wziął od tyłu. Była zabezpieczona, miała wkładkę, zupełną nowość. On o tym nie mógł wiedzieć. Z przekory zapytała, czy chce jej zrobić dziecko. Nie odpowiedział. Czekala, co

zrobi. Dał jej soczystego klapsa. Gdy robił to Robert, dla zasady głośno protestowała. Phil mógł z nią robić wszystko, co mu przyszło do głowy. Uderzył mocniej. Nie wiadomo, do czego by doszedł, ale miał wytrysk. Wysunął się z niej i oblał spermą pupę. Poczula, jak jest gorąca. Nie doszła, nie zdążyła. Wiedziała, że zaraz zacznie się ponownie. Jak oczekiwała, tym razem wsadził jej w dupę. Zaczęła się masturbować. Bardzo energicznie, szybko więc zaśpiewała. Gdy usłyszał belcanto, zaczął uderzać w tyłek. Tak mocno, że musiała go wyhamować, wysuwając rękę. Wysunął się i zrobił jej kolejny gorący prysznic. Tym razem na plecy. Intensywność emocji była niesamowita.

Mokrzy od potu, poszli do łazienki. Brał prysznic, a ona uklękała i zaczęła mu wylizywać. Był wygolony, więc mogła brać do ust. Na przemian ssala penisa i lekko gryzła jajka, naciągając, żeby skóra nie była luźna. Wbił się palcami w jej włosy i odchylił do tyłu. Oczy zmrużone, usta tak rozchylone, że widziała zęby. Wyglądał jak rozdrażniony lampart. Kiedy tak na nią patrzył, czuła się bezbronna. Nie czekając, aż się wytrze, wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i z impetem cisnął na łóżko.

Od pierwszej chwili traktował ją, jakby była przedmiotem, który dobry Bóg stworzył wyłącznie w tym celu, ażeby mógł na nim zaspokajać swe żądze. Bez zawahania robił z nią wszystko, na co mu przyszła ochota. Był kochankiem doskonałym. Bezceremonialne traktowanie jeszcze bardziej ją podnieciło. Przewróciła się na plecy i prezentowała swe wdzięki. Ujęła oba płatki i mocno je rozchyliła, okazując swoje różowe wnętrze. Zaczął robić minetę, lecz po chwili przerwał i wsunął jej w usta. Chwycił garść włosów i owinął wokół dłoni. Dopiero teraz poczuła, że jest jego własnością. Trzymał tak mocno, że skóra na głowie się napięła. Odsuwał ją i przysuwał. Nie musiał tego robić, sama by mu chętnie wylizała, wyssała, powsadzała. Tak widocznie wolał. Nabrał chęci na odmianę, więc wszedł w nią ponownie. Gwałtownie, jednym silnym pchnięciem. Dostała orgazmu tak intensywnego, że jeszcze długo jej ciało podrygiwało. Wydała z siebie, z samej głębi duszy, dziki, pierwotny okrzyk. Głos, jaki tylko

on potrafił z niej wydobyć. Ochroniarz z zazdrością zatkał uszy. Teraz ją ogarnął seksualny amok. Rzuciła się na niego, jakby chciała pochłonąć. Całowała, lizła, gryzła, drapała, nie mogła się opanować.

Powiedział wtedy coś, czego by się po nim nigdy nie spodziewała. Wyznał, że ją kocha, chce z nią być na zawsze. Niech rzuci męża, rozwiedzie się, on pomoże zatrzymać dzieci. Zrobi dla niej wszystko. Uciekną na koniec świata i będą się pieprzyć do końca świata. Była przekonana, że wierzy w to, co mówi. Wiedziała jednak, że tego nie zrobi, ponieważ dotrzymanie tej obietnicy przekraczało jego możliwości. Nawet jego. Nie wywiezie jej na koniec świata, ponieważ mu na to nigdy nie pozwoli. Co by zrobiła, gdyby miała pewność, że dotrzyma obietnicy? Którego by wybrała? Żeby o tym nie myśleć, musiała zmobilizować całą siłę woli. Przynajmniej jedno mogła dla niego zrobić. Kochać się do końca świata, do końca jego świata. Opadli z sił przed trzecią. Wyjął z barku butelkę białego wina. Nalał do kieliszków i poszedł do łazienki. Dunin dał jej tabletki usypiające. Bez smaku i błyskawicznie się rozpuszczające. Mogła je wrzucić do kieliszka. Nie zrobiła tego. Chciała, żeby na nią patrzył, kiedy będzie pociągała za spust. Obejmując go, czekała, aż zaśnie. Patrzyła na unoszącą się i opadającą pierś, zasłuchana w jego oddech. Nie był tak regularny jak Roberta. Nawet przez sen się pilnował. Nie umiała leżeć przy nim i czekać. Spokojna i bezgranicznie smutna wstała, otworzyła okno, założyła pas do pończoch. Z torebki wyjęła śmiercionośną ślicznotkę. Wciąż miał zamknięte oczy i miarowo oddychał. Z pistoletem w dłoni usiadła na nim okrakiem. Przyłożyła lufę do serca. Nacisnęła mocno, przez kolbę wyczuwała jego bicie. Otworzył oczy, był zupełnie przytomny, uśmiechał się.

- Zobaczyłem cię i zrozumiałem, po co przyjechałaś. Jestem znużony, od lat kłamię, oszukuję, zdradzam. Nie wiem już, kim tak naprawdę jestem. Nawiedzają mnie myśli, że dokonałem złego wyboru. Wydawało mi się wtedy, że pomagam naprawić świat. Wartości, w które wierzyłem, okazały się jednak iluzją. Dobrze, że to ty. Drugiego ochroniarza odesłałem. Poradzisz sobie.

Splótł dłonie i podłożył pod głowę, aby pokazać, że nie będzie się bronił.

- Chcę, żebyś odpowiedziała na jedno pytanie. - Ponieważ milczała, mówił dalej. - Nie znaliśmy się ty, Robert i ja. Po raz pierwszy spotkaliśmy się dzisiaj. Tańczymy z tobą na zmianę. On namawia, żebyś z nim wyszła. Ja, żebyś ze mną wyszła. Z kim wyjdiesz?

- Zanim odpowiem, muszę ci coś wyznać. Chcę... żebyś wiedział. - Głos jej się załamywał.

- Mhm? - mruknął cicho.

- W Hamburgu zawiodłeś mnie w miejsce, do którego nie spodziewałam się dotrzeć. Wznieciłeś w moim sercu pożar. Byłam gotowa rzucić wszystko, żeby być z tobą. Gdybyś powiedział: „Wyjedź ze mną”, wyjechałabym bez zastanowienia! Nie interesowałaby mnie twoja mroczna przeszłość. Nic a nic.

Przerwała, by zaczerpnąć tchu, zebrać myśli. W zupełnej ciszy słychać było jedynie jej przyspieszony oddech.

- Nawet się nie domyślasz, ile dla mnie znaczyłeś. Wspomnienie szczęścia, jakie mi dałeś, pozostanie we mnie na zawsze - mówiła z goryczą. Było w tym wyznaniu coś wzruszającego.

- Bałem się, że mnie znienawidzisz, jeśli poznasz prawdę. Podpisałem cyrograf z diabłem.

- Nie wiem, sama nie wiem.

Ach, zakochana kobieta. Zakochana kobieta wybaczy wszystko. Na jego policzku zabłysła łza.

Pochyliła się, poszeptała do ucha, pocałowała w usta i strzeliła. Ręka nie zadrżała. *Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny.* Z rany trysnęła krew, opryskując jej nabrzmiałe piersi. Zsunęła się z martwego ciała i wsadziła ślicznotkę z tyłu, za koronkowy pas. Stanęła pomiędzy drzwiami a uchylonym oknem. Lewą ręką rozmazywała krew po cyckach. Wielka kropla spływała z wolna, pozostawiając czerwony ślad.

Ochroniarz łomotał w zamknięte od środka drzwi. Otworzyła i go przepuściła. W rękę trzymał pistolet. Omiótł cały pokój jednym spojrzeniem. Zobaczył zwłoki Phila, z których sączyła się krew, zobaczył uśmiech na jego martwej twarzy, zobaczył Marion, która stała z boku - naga, z piersiami umazanymi krwią. Wyglądała, jakby zeszła z planu pornohorroru. Zobaczył też otwarte okno. Spojrzał na nią. Bez słowa wskazała skinieniem głowy na okno. Nie zastosował się do zasad, które mu wpajano. Miał ją zastrzelić albo ogłuszyć. Dopiero potem mógł się zastanawiać. Ale wyglądała na obłąkaną. Naga, z półprzymkniętymi oczami, rozmazywała krew po swoich pełnych, jeszcze nabrzmiałych pożądaniem cyckach, na których na fioletowo odznaczały się ślady zębów. Odruchowo ruszył w stronę okna, przechodząc obok niej. Sięgnęła za plecy, wyciągnęła ślicznotkę i strzeliła mu w kark. I tym razem ręka nie zadrżała. Dogorywał, kopiąc nogami w przedśmiertnych drgawkach. Nie musiała się spieszyć, zobojętniała obserwowała, jak uchodzi z niego życie. Kiedy znieruchomiał, weszła do łazienki i splukała krew. Stojąc pod prysznicem, przyglądała się, jak zaróżowiona woda opływa jej zadbane stopy, które tak lubił całować. Potem ubrała się i wyszła z pensjonatu. Nie czuła ulgi, nie czuła satysfakcji, była przygnębiona. Czy zabiła, żeby pomścić Marlenę? Nieprawda! Zrobiła to dla siebie. Nie z zemsty za porzucenie. Nie miała do niego żalu, odkąd zrozumiała, kim był. Była mu wdzięczna. Gdyby nie zdecydował za nią, już wtedy doszłoby do tragedii. Nie wiadomo, jak by się ta konfrontacja zakończyła. Zabiła, żeby zapobiec pojedynkowi, do którego żadną miarą dopuścić nie mogła. Po rozmowie z mężem uświadomiła sobie, że jeżeli nic nie zrobi, jeden z dwóch mężczyzn, których kochała, odbierze życie drugiemu. Stała przed dramatycznym wyborem. Gdyby umiała odwieść Roberta od decyzji, jaką wyczytała w jego oczach, na pewno nie pojechałaby do Londynu.

Było jeszcze ciemno, a londyńskie powietrze pachniało jesienią. Szła w kierunku głównej ulicy, po drodze rozglądając się za taksówką. Do hotelu dotarła po czwartej. Padła na łóżko. Nie mogła zasnąć,

myśli wirowały w obłąkanej karuzeli. Godzinę później wstała, zadzwoniła do Dunina, zjechała do recepcji, wymeldowała się i pojechała na lotnisko. Dunin już czekał. Oddał jej pieniądze. Objęła go i rozszłochała się. Wypłakała w jego ramionach wszystkie łzy. Wsiadła do pierwszego lecącego na kontynent samolotu, w którym było wolne miejsce.

13 września 1953 r., 3.05,

Londyn, Belgravia, apartament Ewy von Hirschberg

Ewa zamknęła drzwi za lekarzem. Zostali sami. Ray leżał na kanapie w salonie. Ręce miał obandażowane, palców nie było widać spod opatrunku, dłonie wyglądały, jakby założył białe rękawice bokserskie. Czuł promieniujące na całe ciało, pulsujące rwanie. Morfiny nie chciał, ale zaczynał żałować, że się uniósł ambicją. Zwykły środek przeciwbólowy nie działał. Był przygnębiony śmiercią Harolda, przyjaźnili się od lat. Ewa również była zgaszona. Nie mogła się pogodzić ze śmiercią Raya. Uratował jej życie. W trakcie strzelaniny znalazła się na muszce Rosjanina, wtedy koło jej głowy przeleciał nóż i wbił się w jego pierś. Padając, zdążył wystrzelić, ale kula, która była jej pisana, trafiła w podłogę. Chwilę potem młodego Raya zastrzelił kierowca. Jako jedyny z trójki Rosjan ubezpieczających akcję przebił się przez Anglików z poświęceniem broniących wejścia do bramy.

- Jak się czujesz? - Wpatrywała się w niego z troską.

- Bywało gorzej, tylko nie pamiętam kiedy.

- Alkohol dobrze ci robi. Czego się napijesz?

Nalała mu szczerze. Podniósł zabandażowane dłonie, usiłując niezdarnie ująć szklankę. Pokręciła głową z dezaprobatą, usiadła obok niego i cierpliwie poiła, szepcząc kojące słowa, jakie jeszcze nigdy między nimi nie padały. Poczł nacisk jej uda. Nieoczekiwanie ból zelżał. Dopił whisky i podyktował numer telefonu. Po długim oczekiwaniu mógł ją pocieszyć.

- Chłopak przeżył. Jest w stanie krytycznym, operuje go zespół neurochirurgów. Ma szansę z tego wyjść. Nie martw się na zapas.

Z radości objęła go i pocałowała w policzek. Słowa uwięzły mu w gardle.

Martwił się o Marion. Wysyłając Dunina do jego mieszkania, uratowała im życie. Jednocześnie pozbawiła się jedyne go wsparcia. Miał nadzieję, że zrezygnowała z pomysłu zabicia Phila. Jednak dopóki ten człowiek żył, jemu zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeżeli nie wydarzy się coś nadzwyczajnego, z samego rana będzie musiał uciekać z Londynu. Na szczęście o Evie nie wiedzieli, więc póki co była bezpieczna. Czekał na informację o stanie chłopaka, postanowił, że się zwolni, jak stanie na nogi. Odejdzie, ponieważ kocha ją nieprzytomnie. Nie będzie mógł spotykać się z nią, pracować dla niej trapiiony tak silnym i beznadziejnym uczuciem. *Trudno sobie wyobrazić większe nieszczęście, niż być obojętnym kobiecie, która jest dla ciebie wszystkim.*

13 września 1953 r., 5.00,

Londyn, ambasada ZSRR, Kensington Palace Gardens

O piątej rano w kawalerce Kontrolera rozdzwonił się telefon. Dzwonili z ambasady. Powiedzieli, że Phil St. John został zamordowany. W ambasadzie dowiedział się więcej. Phil został zastrzelony. Była z nim kobieta, która zniknęła. Policja już jej szuka. Agent, który go pilnował, też został zastrzelony. Kontroler wiedział, że nie pozostawi tej sprawy otwartej, winni zostaną ukarani. Zastanawiał się, co ma zrobić. Do pokoju zajrzał major Kaługin.

- Jak skończysz, wpadnij do mnie.

Major był szefem Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Kontroler nie był w stanie pozbierać myśli. Wychodząc do Kaługina, w drzwiach przypomniał sobie, że na biurku zostawił notes, więc zawrócił, zabrał go i szedł przez pokój. Wtedy przez uchylone drzwi dostrzegł dwóch żołnierzy Specnazu idących korytarzem. Ostrożnie wyjrzał i zdążył zobaczyć, jak znikają w pokoju Kaługina. Wiedział, co to oznacza. Dostanie zastrzyk, wsadzą go półprzytomnego do samolotu i odeślą

do Moskwy. Kiedy się ocknie, Beria spyta, jak wypełnił rozkaz towarzysza Stalina. Wprawdzie Stalin nie żył, ale dla Berii nie będzie to miało znaczenia. Musiał się spieszyć. Wszedł na korytarz i poszedł w stronę odległego wyjścia. Nikt nie wołał, nie krzyczał, nikt za nim nie biegł. Idąc, odliczał sekundy. *Jedna, druga, trzecia. Tylko spokojnie, bez paniki, nie biegnij.* Jednym z przywilejów, jakie dawało jego stanowisko, było prawo wolnego przejścia. Nie musiał się odmeldowywać. Kiedy mijał wartownię, rozdzwonił się telefon. Przyspieszył kroku, wszedł na ulicę. Nad ranem Kensington Palace Gardens była zupełnie pusta. Teraz już biegł, za sobą słyszał krzyki i tupot kroków. Kula zaświstała koło ucha. Ktoś strzelał z pistoletu z tłumikiem, ponieważ samego wystrzału nie usłyszał. Dobiegł do jasno oświetlonej, wymarłej o tej porze Bayswater Road. Przy krawężniku stał radiowóz. Bez pytania wepchnął się do środka.

- Co jest, kurwa?! - Siedzący za kierownicą konstabl myślał, że Kontroler jest pijany i pomylił mu się radiowóz z taksówką.

- Jestem rosyjskim pułkownikiem. Zawieź mnie do MI5. - Podał znany na pamięć adres. - Ruszaj, bo mnie ścigają.

Konstabl wiedział, że sowiecka ambasada jest tuż obok, więc odjechał, o nic nie pytając.

Przed wyjazdem do Londynu zadzwoniła z lotniska. Nie chciała powiedzieć, dokąd jedzie, na jak długo i po co. Nie nalegał. Uważał, że ma obowiązek jej ufać. Zasługiwała na zaufanie. Powiedziała, jak bardzo jest mu wdzięczna.

Zadzwoniła ponownie. Powiedziała, że zrobiła coś, o czym nie może rozmawiać przez telefon. Na razie nie może wrócić do domu. Potrzebuje jeszcze kilku dni. Przeprasza, że wszystko tak długo trwa.

Pojechała do Szwajcarii. Zamieszkała w położonym na uboczu pensjonacie. Całymi dniami wędrowała samotnie po górach. Nie przyjechała tu dla odpoczynku. Nadeszła pora, żeby się ze sobą rozmówić. Potrzebowała czasu na spokojną medytację. Dunin opowiedział, co się wydarzyło w Polsce. Złamała daną przed laty

obietnicę i go wysłuchiwała. Ziściły się najkoszmarniejsze, spychane w głąb podświadomości podejrzenia. Ulisses został zdradzony. Przez swojego dowódcę i przez Penelopę. Dopiero teraz do końca rozumiała, przez co przeszedł jej mąż. Nie chciał powiedzieć, co się wydarzyło. Wiedziała, co by się wtedy stało. Nie potrafiłaby spojrzeć mu w oczy. Ze wstydu, z upokorzenia, z poczucia winy – uciekłyby. Odeszła na zawsze. Wyjechała na koniec świata. Dalej niż do rodziców, bo i tam by ją dopadł bezmierny wstyd. W takie miejsce, jak ten pensjonat, w którym odizolowała się od świata. Sama by wystąpiła o rozwód. A on wszystko przewidział!

Dlaczego był taki cholernie wyrozumiały? Nigdy się nie skarżył. To zresztą nie w jego stylu. Nie mścił się, nie odpłacał tym samym, chociaż miał z pewnością wiele okazji. Nigdy nie wypominał, co musiało być trudne, bo taka już nasza parszywa natura. Z pewnością się domyślił, że mój wyjazd ma coś wspólnego z Philem, a jednak zaufał, choć go z tym mężczyzną zdradziłam. Musiała się zmierzyć również z tym problemem.

Poznali się w romantycznych okolicznościach. Oświadczył się pierwszego dnia. Dopiero teraz zaczęła się nad tym dogłębnie zastanawiać. Zakochał się w niej, była pewna. Ona też się w nim zakochała, oddała mu się pierwszej nocy. Czy poszłaby z nim do łóżka, gdyby nie dawał nadziei? Trudno powiedzieć, to już tyle lat. Nic go nie zmuszało do ślubu. Mógł ją mieć, a potem wyjechać. Była wojna, był żołnierzem.

Jaki on naprawdę jest? Kłócili się, od czasu do czasu, tak jak się kłóć kochankowie, żeby po chwili jednać się w miłosnych uściskach. Nie o takich kłótniach myślała, lecz o zwyczajnych, do jakich dochodzi we wszystkich związkach. O przyziemne sprawy. Kłótniach, które narastają latami i potrafią zniszczyć każdą miłość. Tak na serio nigdy się nie pokłócili. Nie obrażał się. Jeśli coś palnęła, obracał w żart, rewanżował się czułością, co ją z kolei zawstydzalo. Był jej powolny w codziennych sprawach. Za to w tych życiowych, najważniejszych, podejmował decyzje samodzielnie. Jej prawie nigdy

o zdanie nie pytał. Są kobiety, które ustępliwość oraz wrażliwość mężczyzny postrzegają jako słabość i na niej żerują. Ona tej jego zgodności nie wykorzystywała. Kochała go takim, jakim był. *Dobrze jest mieć męża, który się na wszystko zgadza, a nie brutalna, co zawsze ma rację.* Dlatego nie wchodziła mu na głowę. Nieco ją ta ustępliwość raziła. Lepiej, gdyby na co dzień był wobec niej bardziej stanowczy, przynajmniej od czasu do czasu. No a w nocy... W nocy było wspaniale. Z tym jednym antraktem, o którym obydwójce starali się zapomnieć.

Następnego dnia powróciła do przerwanych rozważań.

Czy wiem wszystko o Ulissiesie? Wiem bardzo dużo. Nadal jednak pozostają pytania bez odpowiedzi. *Kto go poinformował o zdradzie Penelopy?* Była przekonana, że dowiedział się od Fiony lub któregoś z jej otoczenia. *Zadzwoił nad ranem, z hotelu, nie miały możliwości donieść. Kto to mógł być? Mungo? Wykluczone! Nigdy by tak nie postąpił. Najpierw by porozmawiał. Ostrzegł, co zamierza zrobić. Dał szansę. Zatem kto? Kto miał dostęp do Ulissesa? Kto mógł być w MI6 w środku nocy i jednocześnie wiedzieć o romansie?* Jediną osobą, która przychodziła do głowy, był Phil.

To przecież niemożliwe! Po co miałby to robić? Musiał zdawać sobie sprawę, że skazywał ją na rozwód. A jednak! Miał powód i to całkiem dobry. Robert, wbrew wszelkim jego staraniom, ocalał, więc jedynie w taki sposób mógł go zneutralizować. Czy podszedł do Ulissesa i rąbnął w twarz: „Rznąłem twoją żonę!”? Na coś takiego nawet on by się nie odważył. Posłużył się kimś? Mało prawdopodobne, jednak niewykluczone. Ona się w tej rozgrywce nie liczyła.

Z Philem pieprzyła się nie dlatego, że chciała z nim być. Pożądała bez opamiętania, kochała do szaleństwa. Cały świat się nie liczył, istniał tylko on. *Błądzenie jest rzeczą ludzką, a z nim byłam bezgranicznie szczęśliwa. Zrobiłabym dla niego wszystko. Gdyby skinął, poszłabym za nim do piekła.* Zachnęła się.

Dopiero kiedy ją rzucił, zaczęły się potwierdzać najstraszniejsze podejrzenia. Czy również te przeczucia były słuszne? *O czym myślał,*

kiedy mu się oddawałam? Wyobrażał sobie, jak komuniści torturują mojego męża. To go podniecało? O czynie tak haniebnym nie była w stanie myśleć, nawet po latach. Nie pozna odpowiedzi na te pytania. Phil zabrał do grobu wiele mrocznych tajemnic. Może i lepiej nie wiedzieć? Z ulgą porzuciła niewesołe wspomnienia.

Chciała zrozumieć męża. Tak do końca. Jeden jedyny raz zachował się chamsko. Próbowала go podpytać o dzieciństwo, o matkę. Nigdy o niej nie opowiadał. Nie widziała nic zdroźnego w takich pytaniach. Zawsze ją zbywał, obracał w żart. Tego wieczoru rozmawiali o Astrid. Poprosiła, żeby opowiedział o swojej matce. Zrobił się purpurowy, wrzasnął: „Odpierdol się!” i wybiegł z domu, trzaskając drzwiami. Popłakała się. Liczyła, że mu przejdzie, wróci i przeprosi. Nie wracał. Martwiła się, że aby ją ukarać, znalazł sobie kobietę na jedną noc. Zmęczona czekaniem i bardzo nieszczęśliwa, zasnęła. Jednak wrócił. Najwidoczniej czekał, aż zaśnie, żeby uniknąć konfrontacji. Rano znalazła go śpiącego na kanapie. Przeszło mu, jednak nie przeprosił. Pojechał do firmy, a ona dociekała, czym go tak rozwścieczyła. Byli dwa lata po ślubie, więc mogła odtworzyć, co mówił, kiedy się poznali. Powiedział, że chce się z nią ożenić. Sam z tym wyszedł, a przecież ledwie się znali. Wtedy się nie zastanawiała, taka była szczęśliwa. I jeszcze coś. „Matka mnie wychowywała samotnie. Jaka była, lepiej nie wspomnę”.

Nareszcie zrozumiała. Miał trudne dzieciństwo. Matka go krzywdziła. Jak? Wolała nie wiedzieć. Powiedział jeszcze: „Jesteście taką zgodną rodziną”. Może dlatego jest dla niego tak wiele warta? No i oczywiście łóżko. Jest namiętna, nie ma żadnych zahamowań. Ale o tym wiedziała od dawna. Czy to źle? Przecież ją kochał i nadal kocha. Że potrzebuje zgodnej, szczęśliwej rodziny? W końcu większość mężczyzn odczuwa podobną potrzebę. Jego była widocznie silniejsza. Stworzyła taką, jakiej pragnął – zgodną i szczęśliwą. A on, z wdzięczności, wybaczył jej wszystko. Mogła wracać do domu.

Przyjechał po nią na lotnisko. Widział, że zdarzyło się coś ważnego. Czekał, aż sama powie tyle, ile będzie chciała. Po kolacji usiedli na tarasie. Powiedziała:

- Zastrzeliłam Phila St. Johna.

Nic więcej nie powiedziała. On o nic nie pytał. Wolał nie wiedzieć. Zrobiłby wszystko, żeby nie wiedzieć. *Co się musiało dziać w głowie tej kobiety, kiedy strzelała do mężczyzny, którego tak kochała, że z jego powodu targnęła się na życie?* Wydaje nam się, że kogoś dobrze znamy, a on niespodziewanie wprawia nas w osłupienie. Robi coś zaskakującego i wtedy zdajemy sobie sprawę, że tak naprawdę nie znamy nikogo. Człowiek jest niepojętą tajemnicą.

Okazało się, że ma taki sam problem, jaki miał jej mąż, spowodowany przez tego samego mężczyznę. Po tym, co przeżyła, nie była zdolna do odbywania stosunków. Nie wiedziała, czy przyczyną było morderstwo, czy może jej skomplikowane uczucia do Phila. Ostatnia noc ciążyła najbardziej. Z mężem nigdy nie kochała się tak nieprzytomnie. I nie o szaleństwa splątanych ciał chodziło, lecz o huragan emocji. St. John nawet po śmierci nie dawał jej spokoju. Był ciężką i nieuleczalną chorobą. Niepokoiło ją, że Robert z pewnością się domyślił, co dokładnie zdarzyło się w Londynie. Miała do wykonania zadanie i je wykonała. Nie można jej winić za erotyczne przeżycia, ponieważ nie mogła nad swoimi emocjami zapanować. Czy oceniliby podobnie? Prawdy nigdy mu nie wyzna, a on na szczęście nie pytał.

24 września 1953 r., 9.00,

Londyn, więzienie Wandsworth

- Dunin!

Podniósł się leniwie z pryczy. Znał Wandsworth, poprzednio przesiedział w tym więzieniu dwa miesiące. Było szare, ponure, otoczone wysokim murem. Aresztowali go pięć dni temu. Tym razem mieli mocne dowody. Broń, ekspertyza balistyczna, odciski palców.

- Do komendanta!

- Jesteście wolni, Dunin, nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale dostałem oficjalne pismo i muszę was wypuścić.

Stał przed bramą i przyglądał się zasmarkanemu światu. Pogoda była podła, wiał wiatr, zacinał zimny deszcz, nikt na niego nie czekał. Naciągnął wyżej kołnierz i skulony poszedł do najbliższego przystanku autobusowego. Sir John Sinclair ponaglany przez Komitet Mędrców rozpoczął wielkie sprzątanie.

Uratowała ją choroba dzieci, nadeszła w odpowiednim momencie. Odra miała ciężki przebieg, szczególnie u Andreasa, który był blisko zapalenia płuc. Napięcia spowodowane troską o dzieci pozwoliły wyczyścić pamięć z burzliwych londyńskich przeżyć. Uczucia matki wyparły gwałtowniejsze, lecz wcześniejsze wspomnienia. Całe dni spędzała z dziećmi, w nocy dzielili się dyżurami. On o seksie nawet nie myślał. Już w Szwajcarii wyczuła, że z cipką jest coś nie tak. Podejrzewała, że Phil był zbyt gwałtowny i podrażnił naskórek w pochwie. Poszła do ginekologa. Doktor Campbell zbadał ją i zażenowany powiedział:

- Masz rzeżączkę, moja droga.

Opuściła wzrok. Wszystkie implikacje stanęły jej przed oczami. Zaraził ją Phil. Z pewnością sam o tym nie wiedział. Z Robertem nie pieprzyli się od powrotu. Gdyby nie jej pokrecona psychika, zaraziłaby go. Campbell się za chwilę dowie. Jego obowiązkiem jest spytać, od kogo się zaraziła. Powie prawdę.

- Byłam w Anglii, miałam przygodę. - Nie tłumaczyła się, był lekarzem, nie moralistą.

- Cóż mam powiedzieć, takie rzeczy się zdarzają.

Była pewna jego dyskrecji, ale zauważyła, jak posmutniał. Znali się od lat, bywał u nich w domu, teraz poznał inną, skrywaną stronę ich małżeństwa. Dowiedział się, że nie jest takie idealne, na jakie wygląda.

- Robert nie jest zarażony, nie spałam z nim od powrotu z Anglii. Tak się między nami układało.

- Przynajmniej jedna dobra wiadomość. Wyleczymy cię szybko. Ode mnie niczego się nie dowie. Mam nadzieję, że się wam ułoży.

Zrobił zastrzyk penicyliny, dostała uderzeniową dawkę.

- Przyjdź jutro. Dostaniesz drugi i po kłopotcie. Po tym kłopotcie.

Czekała ją rozmowa z mężem. Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Bała się, że straci panowanie nad sobą; albo że Robert zauważy tę zdradziecką bladość. Nie mogła dać po sobie poznać, że coś się wydarzyło. *To, o czym nie wie, nie sprawi mu bólu. Nie może poznać prawdy, prędzej wypiję cykutę!*

- Wszystko w porządku? - zapytał zatroskany.

Nic nie jest w porządku, ze mną nic nie jest w porządku i chyba nigdy nie było.

- Tak, typowe kobiece dolegliwości, błaahostka. Przez kilka dni nie będziesz miał ze mnie pożytku, ale ci to wynagrodzę. Obiecuję! - zapewniała gorliwie.

Dzieci wyzdrowiały nadspodziewanie szybko. Wiedziała, jak się pozbyć zahamowań. Namówiła go na wyjście do restauracji.

- Rzuć okiem, kochanie, może być?

Wykonując powabne ruchy faliste, na nagie, ozdobione jedynie łańcuchem z kłódką ciało naciągała obcisłą sukienkę.

- Miejże trochę cierpliwości! - Dała mu po łapach.

- Nie traćmy czasu, do restauracji pójdziemy kiedy indziej. Muszę cię zerznąć. Natychmiast!

- A ja nie mam ochoty i jestem głodna. - Przeciągnęła się. - Wychodzimy!

W sypialni, napalony jak nigdy, chciał ją pocałować. Gwałtownie go odepchnęła. Tym razem poszło znacznie trudniej. Rzuciła się na niego z dziką furją. Obrzucała najgorszymi wyzwiskami, okładała pięściami, kopała, starając się trafić w krocze, drapała do krwi. Walczyli długo, a ona desperacko się broniła. Niesamowity wysiłek, jaki włożyła w walkę, oraz wyzwolone emocje sprawiły, że jej umysł oczyścił się z miazmatów. Pozostał nagi instynkt. Udało się jej ugryźć tak boleśnie, że wrzasnął. Tryumfalnie zawyła. Wtedy pękła w nim

jakaś tama i wymierzył jej siarczysty policzek. Głowa gwałtownie odskoczyła, a z rozciętej wargi sączyła się krew. Po raz pierwszy uderzył żonę w twarz. Mógł zadawać ból, i to robił, jednak świadomie nigdy by jej nie spoliczkował. A ona w jednej chwili zamieniła się w potulną kotkę. Zachowywała się, nawet jak na jej swobodne obyczaje, lubieżnie. Dopiero teraz poczuła się na tyle bezpiecznie, żeby się wykazać unikalnymi talentami nabytymi na gościnnych występach.

- Ty niewyżyta samico! - wysapał, z trudem łapiąc oddech.

Rytm jej oddechu nakładał się na pulsowanie jego tętna. Zapach, który łakomie wciągał w nozdrza, łączył piżmową woń podniecenia, aromat perfum i spoconego ciała dojrzałej kobiety. Odurzał się jej miękkością, ciepłem, naciskiem mięśni i łaskotaniem włosów, uściskiem ud i gorącą wilgotnością sromu. Twarz mu błyszczała od potu i promieniowała szczęściem.

- Przecież obiecałam, że ci wynagrodzę niedyspozycję. - *Ma taki rozmarzony uśmiech, że wygląda jak matolek. Co tam, należało mu się.*

Obudził się pierwszy. Z głowy, jak przed laty, wyfrunął wierszyk. Pospiesznie, żeby przypadkiem nie odleciał, zapisał treść, dopisał dedykację i razem z poranną kawą zaniósł do łóżka. Po błysku w oku widział, jaką radość jej sprawił.

- Dzień dobry, kochanie. - Uroczo się uśmiechała. Usta miała miękkie i wilgotne, a język zachęcająco wścibski.

Ograniczyła aktywność towarzyską. Nie afiszowała się tym, po prostu z dnia na dzień zaczęła spędzać w domu więcej czasu. Po jego powrocie z ambasady raczej nigdzie nie wychodziła. A jeżeli, to z nim. Zrozumiała wreszcie, czego mu w życiu potrzeba najbardziej.

⁸⁶ Agencja wywiadu powołana przez amerykańskie władze okupacyjne w 1946 r. kierowana przez generała Reinharda Gehlena, szefa niemieckiego wywiadu wojskowego na froncie wschodnim.

⁸⁷ Prawo przysługujące okrętom w służbie rządowej, stosowane wobec jednostek, których załoga lub pasażerowie podejrzani są o naruszenie prawa.

⁸⁸ Prawej burty.

⁸⁹ Kabel = 185,2 metra.

⁹⁰ „Szaleństwo! Szaleństwo... szaleństwo!” Ostatnie słowa z filmu *Most na rzece Kwai*.

⁹¹ Amerykańska pisarka i skandalistka.

⁹² Postać literacka. Piękna niewolnica z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*.

⁹³ Wojskowe siły specjalne podległe zarządowi wywiadu wojskowego GRU.

⁹⁴ Rzymianin. Schwytany przez Etrusków włożył rękę w ogień, okazując, że nie lęka się tortur.

⁹⁵ Słynna kurtyzana ateńska. Pisali o niej Platon, Arystofanes, Ksenofont.

9. EDEN

22 stycznia 1955 r.,

Moskwa, Łubianka, siedziba KGB

Pułkownik Wiktor Kapitonow, szef sekcji brytyjskiej I Zarządu Głównego KGB, stał na korytarzu przed swoim gabinetem, przyglądając się w milczeniu pracownikowi technicznemu, który zawieszał na ścianie fotografie w ozdobnych ramach. Zabójstwo Philipa St. Johna, zdrada Kontrolera, której bezpośrednim skutkiem było samobójstwo Waltera Hivesa, zdemaskowanie, a w konsekwencji ucieczka do Moskwy Guya Burgessa i Donalda Macleana⁹⁶ – spowodowały w sekcji brytyjskiej prawdziwe trzęsienie ziemi. Nadal dysponowali agenturą, jednak dotkliwych strat, jakie wtedy ponieśli, nie udało się w żaden sposób powetować. W brytyjskich elitach oraz strukturach władzy postrzeganie ZSRR bardzo się zmieniło. Jego kraj przestał być w oczach angielskich idealistów ojczyzną żarliwych, zmieniających świat na lepsze komunistów, a stał się, czym zawsze był – bezwzględnym mocarstwem dążącym wszelkimi środkami do panowania nad światem. Technik powiesił dziewiętnaście opraw i poszedł. Wszystkie były zwrócone do ściany. Kapitonow zaczął je odwracać. Pierwsza – Philip St. John, odznaczony pośmiertnie tytułem Bohatera Związku Radzieckiego. Druga – Guy Burgess. Trzecia – Donald Maclean. Czwarta – Walter Hives. Pozostałych nie odwrócił. Nie można było tego zobaczyć, wiedział jednak, że zdjęć w nich nie

ma. Było kilku aktywnych agentów, którzy na takie wyróżnienie zasługiwali, jednak ich zdjęć, nawet na odwróconych do ściany fotografiach, umieścić nie mógł.

Korytarzem przechodził lejtnant Boris Ponomarev. Scena, której był świadkiem, przykuła jego uwagę. W siedzibie KGB nie było w zwyczaju, aby porucznik z własnej woli przystawał obok medytującego pułkownika. Tak się składało, że Kapitonow był przybranym wujkiem Borisa, przyjacielem i towarzyszem frontowym jego ojca, który poległ pod Kurskiem. Kapitonow był, jak na KGB, nietypowym pułkownikiem. Jako jeden z niewielu podczas wojny walczył na froncie. I nie w batalionach specjalnych NKWD, które szły za idącymi do natarcia oddziałami po to, żeby zastrzelić każdego, kto choćby pomyślał o odwrocie. Miał za sobą zaszczytną służbę w 3 Gwardyjskim Korpusie Pancernym, jednym z najbardziej zasłużonych w Armii Czerwonej. Do KGB został odkomenderowany przed rokiem, kiedy tę instytucję powołano po śmierci Stalina i rozstrzelaniu Berii. Potrzebni byli nowi ludzie, niepowiązani z poprzednim, zdegenerowanym kierownictwem aparatu represji. Tacy jak pułkownik Kapitonow. Jego rozkazem Boris został przeniesiony z Dywizji Tulskiej do KGB. Potrzebował zaufanych ludzi w tym gnieździe szerszeni.

- Jak leci, Boria?

- W porządku, pułkowniku. - Na Łubiance zawsze tak tytułował Kapitonowa. Poza siedzibą KGB był dla niego zwyczajnie wujkiem Wową.

- Czy zdajesz sobie sprawę, na co patrzysz?

- Nie mam pojęcia, pułkowniku.

- To galeria chwały. Nasi agenci w Wielkiej Brytanii, którzy zostali zamordowani, jak St. John, albo zdemaskowani, jak Burgess i Maclean. W ten sposób oddajemy im honory. Przyjrzyj się i zastanów, co widzisz. Za trzy dni zameldujesz się i wyjaśnisz, co i dlaczego zrobiłem. Jeżeli zdołasz rozwiązać łamigłówkę, przydzielę ci w nagrodę zadanie specjalne, ważne zadanie specjalne.

25 stycznia 1955 r.,

Moskwa, Łubianka,

gabinet pułkownika KGB Wiktora Kapitonowa

- Witaj, Boria. Domyśliłeś się, co zrobiłem i co zamierzam w ten sposób osiągnąć?

- I tak, i nie, pułkowniku. Miałem za mało informacji, żeby do końca rozwikłać zagadkę. Co nieco jednak powymyślałem.

- Opowiadaj, co takiego powymyślałeś? - Kapitonow z satysfakcją rozsiadł się w fotelu.

- Nie mam wiedzy, ilu nam pozostało agentów klasy St. Johna. Przyjąłem, że niewielu. Gdyby było ich tylu, ile jest nieodkrytych opraw, Wielka Brytania wystąpiłaby z NATO i złożyła wniosek o przyjęcie do Układu Warszawskiego.

Rozweselił Kapitonowa, który i tak był w znakomitym nastroju. Z towarzyszem frontowym majorem Aleksandrem Małachowem przez pół nocy wspominali przy wódce wojenne czasy. Byli młodymi porucznikami, każdy dowodził plutonem czołgów T-34. Zawzięcie ze sobą rywalizowali o liczbę zniszczonych maszyn wroga. Szlachetna rywalizacja nie miała jednak wpływu na ich przyjaźń.

- Dobrze myślałeś, mów dalej, Boria.

Dumny, że przyjął trafne założenie, Ponomarev kontynuował swoje rozważania.

- Jeżeli nie mamy tylu aktywnych agentów, oznacza to, że chcesz wprowadzić Angoli w błąd. Zasiać w ich głowach niepokój, wywołać szpiegomanie⁹⁷.

Kapitonow nie czytał Sun Tzu. Nie musiał. Jego pomysły były żywcem wzięte z katalogu forteli opisanych przez chińskiego stratega.

- Zgadza się. Szpiegomania przynosi lepsze rezultaty niż działalność szpiegowska nawet najlepszego agenta. Wpływa negatywnie na morale funkcjonariuszy, podważa zaufanie między nimi. Paraliżuje działalność wywiadu. Ale jest coś jeszcze. Na Łubiance od dawna funkcjonuje pewien stereotyp. Do naszej twierdzy

nie udało się wprowadzić kreta. Słowem, nie ma wśród nas zdrajców. Nie fikcyjnych, pokroju marszałka Tuchaczewskiego, jakich tysiącami wymordowali Beria i jego kamraci. W dniu, w którym się dowiemy, że Angole wiedzą o tych odwróconych portretach, będziemy mieli pewność. Wśród nas pojawił się zdrajca. Wiedząc, że jest, dopadniemy go. A ty rozwiązałeś zagadkę. Pora na nagrodę. Wysyłam cię do szkoły szpiegów⁹⁸. Od przyszłego miesiąca będziesz się intensywnie uczył angielskiego. Wczoraj rozmawiałem o tobie z przyjacielem. Kiedy opanujesz język, weźmie cię pod swoje skrzydła. Na początek pojedziesz do Egiptu. Tak będzie najlepiej. Pod jego okiem podciągniesz się w profesji, zgubisz trop. W Londynie nie pojawisz się bezpośrednio z Moskwy, z wypisanym na czole „KGB”, lecz jako doświadczony dyplomata ze stażem.

Andreas skończył trzy lata. Marion, mając po cichu nadzieję, że Robert się przełamie i wsiądzie na konia, zamiast go namawiać, kupiła drugiego. Klacz arabską pełnej krwi. Nazwała ją Szecherezada. Miała na niej jeździć po plaży; Szech spełniała jej oczekiwania. I dobrze znosiła klimat. W posiadłości przybyła stajnia na sześć boksów. Ponieważ płaciła za stajnię i za konia, zdecydowała się na taką liczbę boksów. Spytał, jakie ma plany.

- To dla dzieci. Jak podrosną, będą jeździć konno. Julka mnie zamęcza, żebym jej kupiła pony. To takie piękne galopować z dziećmi dziką plażą - rozmarzyła się.

- No, tak, o tym nie pomyślałem. Wspaniały pomysł. - Chrząknął i poszedł nadzorować montowanie wiatraka.

Będą mieli własny prąd. Do kompletu dokupił benzynową prądnicę na wypadek, gdyby długo nie wiało.

Z okazji urodzin królowej Elżbiety ambasada urządziła przyjęcie. Stali przy bufecie z pierwszym sekretarzem i jego żoną, sympatycznymi, młodymi ludźmi. Popijając szampana, obmawiali, kogo się dało. Kiedy zagrała orkiestra, Marion zaprosił do tańca postawny rudowłosy

mężczyzna. Tańczył przeciętnie, więc po chwili powróciła do plotek w miłym towarzystwie.

- Co mojemu misiowi dolega? Główka czy brzuszek?

- Mam chandrę. Sam nie wiem, skąd się wzięła. Nie oglądaj się na mnie, tylko baw się dobrze. Ja będę popatrywał na to targowisko próżności z perspektywy bufetu.

Nie przepadał za takimi przyjęciami, pusta gadanina zawsze go nudziła. Starał się tego po sobie nie okazywać, żeby nie psuć zabawy żonie. Marion na imprezach, na których dało się porozmawiać na dowolny temat, potańczyć, poflirtować, było co wypić i grała muzyka, czuła się fantastycznie.

Rudy od Marion tańczył z wysoką blondynką wyglądającą jak bohaterka skandynawskiej sagi. Ona dla odmiany poruszała się po parkiecie z niemal zawodową perfekcją. Dowiedzieli się, że jest nowym konsulem Szwecji. Kiedy ponownie zaprosił Marion, poczuł się zobowiązany poprosić jego ostro popijającą w damskim tercecie partnerkę. Najwidoczniej wzrost, perfekcja i zimna nordycka uroda wystraszyły mężczyznę. Wpatrywała się w niego bez słowa tak długo, aż stało się to nietaktowne. Wreszcie powiedziała:

- Nie mam ochoty z tobą tańczyć. - Cicho zabzyczało. Taka ostra odprawa zrobiła wrażenie na jej towarzyszках.

Był zaskoczony słowami, jakie w takiej sytuacji nie padają. Nie wiedział, jakie go znów лихо podkusiło i zamiast się zmyć, odpalił:

- Idź do diabła!

- Nikt jeszcze diabła nie widział, chyba że za dużo wypił - zrewanżowała się błyskotliwie. Koleżanki wpatrywały się w nią z uwielbieniem.

Drugi sekretarz Ambasady ZSRR major KGB Aleksandr Małachow stał w towarzystwie unikających powiedzenia czegokolwiek konkretnego dyplomatów z demoludów i rozglądał się po sali. Rozpoznał Roberta, ponieważ widział zdjęcie w teczce personalnej, jaką założyła mu GRU. Na takie zainteresowanie trzeba było zasłużyć. Znalazł w niej wiele interesujących materiałów, St. John zadbał

o kompletność akt. Oceniał, że Robert był oficerem wysokiej klasy. Nieprzeciętnie inteligentny, nie miał słabych punktów. Romans żony z agentem GRU wymusił dymisję Meissnera. Pozbycie się tego oficera z MI6 było sukcesem.

Małachow postanowił zweryfikować tę opinię. Domyślał się, kto mógł być jej autorem. Na Łubiance krążyły legendy o agentach w Wielkiej Brytanii. Śmiało podszedł i się przedstawił. Po angielsku mówił płynnie, bez słowiańskiego zaśpiewu. Poprosił Marion do tańca. Spojrzała na Roberta pytająco. Jeszcze nie tańczyła z Rosjaninem. Małachow był wysoki, wyższy nawet od jej męża, i potężnie zbudowany, lecz nie gruby. Nieodparcie kojarzył się z syberyjskim niedźwiedziem. Robert wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Nie patrz tak na mnie, to ciebie prosi do tańca”. Zgodziła się z widocznym ociąganiem. Rosjanin, pomimo swojej postury, tańczył znakomicie. Był urodzonym przywódcą, a kobiety to wyczuwały. Przyglądając się Marion, nie zauważył niczego nadzwyczajnego. *Bardzo ładna, sympatyczna i wesoła.*

Taniec z tym rosyjskim niedźwiedziem sprawiał jej ogromną przyjemność. Do tej pory słowo „Rosjanin” symbolizowało wroga. Małachow zupełnie do tego solidnie zakorzenionego wizerunku nie pasował. Zabawiał rozmową, był uprzejmy, miał poczucie humoru. Szeroko się uśmiechał, tańczył doskonale, lecz zachowywał właściwy dystans. Oceniała, że ma klasę. Po kilku tańcach odprowadził ją. Miała wielką ochotę szepnąć, że chce z nim jeszcze potańczyć, jednak się wstydziła. Mógłby zrozumieć opacznie. Ale i ona miała swój spryt.

- Czy zwróciłeś uwagę, kochanie, jak żona Małachowa na ciebie patrzyła?

- Nie przyglądałem się jej.

- Dostrzegłam w jej oczach rozczarowanie. Na pewno liczyła, że poprosisz ją do tańca. Oj, nieładnie, tak się nie robi. Małachow ze mną tańczy, jestem zachwycona, bo jest doskonałym tancerzem, a ona musi wysłuchiwać tych okropnych nudziarzy.

Powróciła na parkiet z Małachowem. Z Aleksandrem - zaproponowała przejście na „ty”. Tym razem przełamali barierę poprawności i zachowywali się swobodnie. Doszła do wniosku, że go lubi. Podeszli do bufetu i popijając sherry, chwilę jeszcze pogadali.

Będę ją musiał sprawdzić - zdecydował Małachow, obserwując Marion przez salę. Jego żona podążała za nim wzrokiem.

W Egipcie zdobycie potrzebnych informacji nie wymagało kosztownej inwigilacji. Wystarczyło kilka banknotów wręczonych pracownikom klubów, do których należała. Anonimowi, wiedzieli wszystko.

Robert zapisał się do klubu jeździeckiego. Wyjaśnił, że tak pięknie opowiadała o galopie po plaży, aż jej pozazdrościł i postanowił nauczyć się jazdy konnej. Zażądał kategorycznie, żeby w czasie lekcji jej na ujeżdżalni nie było. Zgodziła się i pomyślała coś zabawnego o męskiej próżności.

- Nauka od podstaw. Żadnych skrótów - zażądał od instruktora.

Jasir, młody, zawsze uśmiechnięty Egipcjanin, zaaplikował na początek wołtyżerkę. Szło mu fatalnie, co chwila łapał za pałąk, a jeżeli nie zdążył - spadał. Wypluwał piasek, zagryzał zęby i nie rezygnował. Po pierwszym treningu miał wrażenie, że Jasir mści się za wyprawy krzyżowe. Kiedy nauczył się utrzymywać równowagę dosiadem, instruktor zezwolił wsiąść na konia ze zwykłym siodłem. Wiele godzin spędził na lonży. Wreszcie po dwóch miesiącach upadków, stłuczeń, guzów i bolesnych otarć mógł z błogosławieństwem trenera samodzielnie wyjechać w teren. Nie musiał się już wstydzić swoich umiejętności, nadal jednak unikał spotkań z żoną. Wolał jeździć sam albo w przygodnym towarzystwie.

Konie przydzielał instruktor, a jeśli go nie było, stajenny. Akurat nie byli dostępni, więc sam wybrał klacz wyglądającą na spokojną. Zresztą wcześniej na niej jeździł. Wyczyścił, osiodłał i po chwili kłusował wytyczoną drągami trasą, ciesząc się, że dobrze mu idzie. Wtedy usłyszał za sobą dzikie wycie i tętent kopyt. Za nim, na

złamanie karku, pędziła Szwedka z balu. Dosiadała rośłego, karego ogiera. Galopowała, jakby go chciała za wszelką cenę doścignąć. Odchyliła się mocno do tyłu, bezskutecznie próbując zatrzymać rozpędzoną bestię, i ryczała najgłośniej, jak potrafiła.

- Z drogi, zjedź na bok, idioto!

Tuż obok od głównej drogi odchodziła boczna ścieżka, również zabezpieczona drągami. Klacz stawiała opór, musiał więc użyć wszystkich swoich umiejętności. Blond amazonka była coraz bliżej.

- Palcatem ją, ty durniu! - zawyła rozpaczliwie.

Nieco wystraszony, wykonał polecenie. Klacz w proteście kwiknęła, zrobiła niechętnie kilka kroków i weszła między drągi. Chwilę później goniąca ich para przegalopowała obok. Widząc, że klacz skręciła, koń Szwedki próbował się zatrzymać. Był tak rozpędzony, że potrzebował kilku metrów. Kiedy zwolnił, zręcznie jak cyrkówka zeskoczyła z siodła i błyskawicznie okręciła wodze wokół drąga. Wiedziała, co robi. Jej koń szarpał się na uwięzi.

Klacz wierzgnęła raz i drugi, oddała mocz i zakwiczała, tocząc wkoło błędnym wzrokiem. Pospiesznie uwiązał ją do drąga i czekał na Szwedkę. Nadchodziła energicznym krokiem, wyraźnie rozwścieczona. W rękę trzymała palcat. Było jej do twarzy z gniewem, który ją roznosił. Policzki w pąsach, oczy płonące. Wyglądała jak hrabina, która zamierza ukarać krnąbrnego wieśniaka, ponieważ nie uklonił się jaśnie pani. Zachwycająca kobieta, bez wątpienia.

Dotarło do niego, że chce go uderzyć. Miała taki zamiar, w ostatnim momencie się jednak opanowała. Potrzebowała chwili, żeby ochłonać. Wreszcie zapytała:

- Czy zdajesz sobie sprawę, co się stało?

- Przyznam, że nie bardzo.

- Widzisz tego konia? - Wskazała szpicrutą swojego wierzchowca.

- Widzę. Jest czarny.

- To ogier, ty cymbale. I to ostry. Ręce opadają! Co to jest? - Klepnęła po zadzie jego klacz.

- To mój koń.

- Twój koń? To grzejąca się klacz! Z takim durniem nie da się rozmawiać. - Jej gniew przeszedł teraz w zimną pogardę.

Nadal nie rozumiał, o co jej chodzi, coś mu jednak zaczynało świtać.

- Grzejąca się klacz wydziela intensywny zapach, od którego ogiery tracą rozum. Za wszelką cenę chcą ją pokryć. Żadna siła ich nie powstrzyma. To się właśnie stało. Kto ci, do cholery, pozwolił wsiąść na grzejącą się klacz, jeżeli wokoło są ogiery?

- Sam wziąłem. Nikogo w stajni nie było, a ja nie zdawałem sobie sprawy, że się grzeje, nie wiedziałem, czym to grozi - powiedział prawdę. Zrozumiał, że epitety, którymi go obrzuciła, były uzasadnione. - Mogę cię jedynie przeprosić, chociaż to już nie ma znaczenia.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że mogłeś przed chwilą zginąć?
Pokręcił głową. Było mu wstyd i wołał się nie odzywać.

- Gdybym pozwoliła Bukiemu, Bucefałowi, żeby cię dogonił, wskoczyłby na twoją klacz przednimi kopytami. Kopyto mogło trafić w głowę. Jest pusta, więc by pękła. Albo by cię zrzucił z siodła, a konie, kopulując, rozdeptały na miazgę. One nie przestrzegają immunitetu dyplomatycznego. Ja też mogłam oberwać, ale w ostatniej chwili bym zeskoczyła. Najwyżej potłukła.

- Cóż mogę powiedzieć. Jestem twoim dłużnikiem. - Dotarło do niego, że być może uratowała mu życie.

- Dłużnikiem? Spłacisz dług, schodząc mi z oczu. Teraz odciągnij swoją klacz. Ja zawrócę Bukiego i pojedę do stajni. Odechciało mi się jazdy. Na takich jak ty powinni wydawać zezwolenia na odstrzał. Pierwsza bym się zapisała.

Był zdenerwowany i zawstydzony. Patrzył, jak odjeżdża. Z najwyższym trudem skierowała ogiera do stajni. Opierał się, jak mógł. Piana wyciekająca z pyska była różowa. Widocznie, próbując za wszelką cenę powstrzymać Bukiego, poharatała mu pysk wędzidłem. Oczekał i odprowadził klacz. Szwedka siedziała na ławce przed stajnią i piła piwo z butelki. Długie nogi w bryczesach wyciągnęła

przed siebie. On również miał dosyć jeździectwa na ten dzień. Dał stajennemu banknot za oczyszczenie i rozkulbaczenie konia. Kiedy wyszedł ze stajni, nadal siedziała na ławce. Zdążyła wypić piwo.

- Siadaj. - Zaprosiła gestem ręki. - Masz, dobrze ci zrobi. - Podała otwartą butelkę. - Piwo, nie bój się, niezatrute.

- Dziękuję. Czy mogę zdjąć koszulkę? Jest cała mokra.

- No pewnie, ściągaj. Ja też chętnie bym się rozebrała, tylko nie wypada. - Była już spokojna i zrelaksowana.

Pił rozkosznie zimne piwo. Zamknął oczy i cieszył się rozchodzącym po ciele chłodem.

- Nazywam się Linda Wallenstein. Jestem konsulem Szwecji w Kairze. Powiadają, że jestem wyniosłą snobką. - Nie było w niej pozy.

Musi mieć o sobie naprawdę wysokie mniemanie. Spodobała mu się, nie znosił hipokrytów.

- Wolę wyniosłą snobkę, czem słodką idiotkę. Robert Meissner, trzeci sekretarz ambasady brytyjskiej.

- Ha, ha, ha. Wiem. Masz żonę, Marion, która w odróżnieniu od ciebie potrafi jeździć konno. Nie tak dobrze jak ja, ale wiele jej nie brakuje - powiedziała bez śladu pychy. - O tobie mówią, że jej nie zdradzasz i jesteś pantoflarzem.

- Skoro tak mówią... Mnie to nie przeszkadza.

- Jeśli to prawda, rzadki z ciebie okaz. Ja nie mam męża - ciągnęła niepytana. - Miałam, ale to była pomyłka. Skąd się tu wzięłeś? - Jak Marion, przeskakiwała z tematu na temat.

- Byłem żołnierzem, po wojnie stacjonowałem w Hamburgu. Misja okupacyjna dobiegła końca, musiałem coś dla siebie znaleźć. Złożyłem aplikację, wygrałem konkurs i od kilku lat jestem w Egipcie. Nawet polubiłem swoją pracę.

- Lubisz pracę w ambasadzie? - Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Na początku było beznadziejnie nudno, ale awansowałem i dostałem ciekawsze zadania. Znam arabski, dlatego przygotowuję analizy na podstawie artykułów i zebranych informacji. Tak, lubię to,

co robię. Poza tym papierkowa robota, której nie trawię. Na szczęście wykonuje ją za mnie pewien Egipcjanin.

- Jesteś z wywiadu? - Spojrzała podejrzliwie.

- Zaprzeczanie na wiele się nie zda, ponieważ, jak wieść niesie, szpiedzy kłamią od przedszkola, ale nie pracuję już w wywiadzie.

- Już?

- W Hamburgu pracowałem w wywiadzie wojskowym. To żadna tajemnica.

- Miło nam się gawędziło. Trochę za ostro cię potraktowałam, w przyszłości będę bardziej humanitarna.

- Zasłużyłem sobie.

7 listopada przypadała rocznica rewolucji październikowej. Ten październik w listopadzie nawet go nie dziwił. U Rosjan tak zawsze. Kancelaria ambasady poinformowała, że przysłali dla niego imienne zaproszenie, co było nietypowe. Trzecich sekretarzy na takie uroczystości nie zapraszano.

- Rosjanie cię polubili.

- Nie mnie, moją żonę. Będę musiał na nią uważać.

Gospodarze stanęli na wysokości zadania. W rocznicę rewolucji nie brakowało niczego. Był rosyjski szampan i kawior. Nie małeńkie porcyjki, ale prawdziwa góra czarnego kawioru ułożona na lodzie. Obowiązkowo zmrożona wódka w omszałych butelkach i wiele typowo rosyjskich przystawek. Zasmakował w armeńskim koniaku, który różnił się nieco od francuskiego oryginału. Nie był tak wytrawny, a piło się go rewelacyjnie. Po kilku kieliszkach świat nabierał żywszych kolorów. Czuł się wyśmienicie, miał ochotę wypić więcej niż zwykle. Nie musiał się kontrolować, po alkoholu nie robił się gadatliwy. Od pamiętnej walki bokserskiej przybrał na wadze cztery kilogramy, mógł więcej wypić i nawet bardziej się podobał kobietom. Odmierzał upływ czasu kolejnymi dziurkami w pasku. Jedli, pili, tańczyli, wznosili toasty. Orkiestra grała łzawe rosyjskie melodie. Małachow zaprosił Marion do tańca.

- Lubię z tobą tańczyć, Alek.
- Dziękuję, Mia. Masz wspaniałego męża.
- Prawda? Jest niesamowity.

Małachow zdążył sprawdzić to i owo. Ustalił, że nie ma kochanka. Nie ma i, jak twierdzą informatorzy, nie miała. Flirtuje chętnie, ale tylko flirtuje. Która Marion jest prawdziwa? Ta, z którą tańczy, czy ta z raportu? Był doskonałym agentem. Szukał okazji. Jeżeli nie znajdował, zaczynał szukać gdzie indziej.

Marion tańczyła teraz ze Szwedem. Robert odruchowo poszukał Lindy. Siedziała na stojącym na uboczu fotelu, nie patrzyła na niego. Paliła cienkie cygaro, wypuszczając okrągłe kółka dymu. Przypominała Marlenę Dietrich z *Błękitnego Anioła*. Był na rauszu, więc nie miał obaw i poprosił ją do tańca. Spojrzała jak poprzednim razem.

- Zalany jesteś czy co?

Oczekiwał błyskotliwej odprawy, a ona wstała i karnie za nim poszła. Ograniczyła popisy, więc tańczyło im się doskonale. Skończyli grać, chciał ją odprowadzić, ale go powstrzymała.

- Nie uciekaj. Doskonale tańczysz, jesteś dzisiaj zmysłowy i nawet mi się spodobało.

- Zmysłowy? Zapewne dlatego, że wypilem sporo armeńskiego koniaku.

Przetańczyli jeszcze kilka tańców.

- Marion nie będzie zazdrosna?
- Nie, skądże.

- Nadzwyczajnie, że masz taką wyrozumiałą żonę. - Uśmiechnęła się dyskretnie.

Z bankietu wracali spacerem. Noc była rozgwieżdżona, im nigdzie się nie spieszyło.

- Jak się bawiłaś?

- Znakomicie. Ty zresztą też. Ta Wallenstein to osobowość. Wszyscy mają przed nią respekt.

- Nie zauważyłem.

- Akurat!

Tego dnia Marion miała urodziny. Skończyła trzydzieści jeden lat. Wróciła z klubu, a oni czekali na nią całą trójką.

- Mamy dla ciebie prezent urodzinowy, mamusiu - oznajmiła przejęta swoją rolą Julka.

Rysowała od zawsze. Zabawne rysunekczki, karykatury, szkicowała sceny z kairskich ulic. Czasami farbkami, czasami ołówkiem albo węglem. Robert nie wiedział nawet, czy ma talent. Pokój gościnny zamienił się w pracownię malarską. Nie miał pojęcia, jaką techniką będzie malowała. Akwarelą, może farbami olejnymi? Na wszelki wypadek kupił jedno i drugie. Kompletne wyposażenie pracowni malarskiej. Usiadła na podłodze i złapała się za głowę. Julia usiadła obok i objęła za głowę zupełnie tak samo.

- Mamusiu, co ci jest, boli cię głowa?

- Nie, skarbie. Cieszę się, że o mnie pomyśleliście. Bardzo, ale to bardzo wam dziękuję.

Dopiero ulegając pasji, Marion się spełniała. Obrazy były jej słowami. Wszystkim, czego nie chciała bądź nie potrafiła wypowiedzieć. Miała talent i to ogromny. Skumulowane dziesięć lat twórczego wycofania eksplodowało z wielką siłą. Robert był z niej dumny. Trochę zazdrościł, lecz w tej zazdrości nie było zawiści, jedynie żal, że nie odnalazł w sobie podobnej pasji. Pocieszała go, że ma przecież wiele innych talentów i była mu wdzięczna, że tak ją wspiera.

- Nie martw się, że dopiero teraz wróciłaś do swoich marzeń. W międzyczasie były dwie ciąży, dojrzewałaś wewnątrz. Nie zmarnowałaś tych lat, Mia. Być może tych przeżyć ci wcześniej brakowało - pocieszał.

- Jesteś taki wrażliwy. Dziękuję. - *Dyskretnie przekazał, że również romans i to, co się wydarzyło potem, mogło pozytywnie wpłynąć na moją osobowość. I że nie ma już do mnie żalu.* Pocałowała go.

Do Safadzy ciągnęła cały sprzęt, tam również malowała. Poszła do biblioteki Uniwersytetu Kairskiego i wypożyczyła *Baśnie arabskie*, o których mąż jej opowiadał. Nie wolno było wynosić liczącego wiele tysięcy stron limitowanego wydania w tłumaczeniu Burtona, więc porobiła szkice i notatki. Zamknęła pracownię na klucz i zabroniła wchodzić bez jej zgody. Julia przychodziła do taty i konspiracyjnym szeptem pytała:

- Co mamusia tam robi? Czy to wielka tajemnica?

W pewien sobotni wieczór, kiedy dzieci już spały, wyjęła najlepsze wino. Po pierwszej butelce nabrała ochoty na następną. Coś się kroilo. Poczuł, że mu staje. Dodawszy sobie odwagi, wzięła go za rękę i uśmiechając się zagadkowo, zaprowadziła do pracowni. Na sztaludze wisiała akwarela. Naga kobieta przywiązana za ręce do liny zwisającej z haka. Na jej twarzy widać było przerażenie i błaganie jednocześnie. Pomieszczenie o wysokim, łukowym sklepieniu oświetlała lampa naftowa. Za nią stał brodaty Arab z długim, groźnie wyglądającym batem. Drugi, starszy, siedział na rozłożonych na kamiennej podłodze poduszkach i się przyglądał. Obraz nie był arcydziełem, jednak ze względu na treść robił wrażenie. Podpisała: „Poskramianie białej niewolnicy”.

- I jak, kochanie, podoba ci się? - Obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

Rozebrała się przed nim, wyciągnęła zwój liny i niewielki bat.

- Tę niewolnicę należy poskromić. - Pochyliła głowę i czekała.

Chłostał, opowiadając dalszą część historii, którą namalowała. Przerywał, całował i wsadzał palce w cipkę. Tak płytko, że ją to doprowadzało do szału.

- Jesteś świnią. - Związana, nie mogła nic zrobić.

- Mam wyjąć czy wsadzać głębiej? - zapytał, poruszając palcami w pochwie. Wyginając ciało w łuk, wypychała biodra, żeby przyjąć go w siebie.

Dbał, żeby uderzenia nie były zbyt mocne, lecz uderzał po całym ciele. Raz silniej, raz słabiej. Nie krzyczała ani nie szlochała,

pojękiwania mogły oznaczać zarówno podniecenie, jak i ból. Kiedy skończył, srom błyszczał od wilgoci. Zapach chętniej kobiety wypełniał pracownię.

- Już nie mogę. Błagam! Zerznij mnie! - Jej świat zaczynał się i kończył w jednym miejscu. Twarz, szyję i piersi pokryły czerwone plamy. Była pijana pożądaniem, pijana nim, pijana tą nocą. Dotąd jedynie kochanek potrafił doprowadzić ją do takiego szaleństwa.

Rano zachowywała się, jakby w nocy nic nie zaszło. Była tylko senna, bo skończyli nad ranem. Zaczęła wykorzystywać taką formę porozumiewania dla zaspokajania swoich fantazji erotycznych. Następny obraz, który namalowała, przedstawiał tę samą niewolnicę. Tym razem zgiętą w pół, lekko pochyloną, przywiązaną do drewnianej konstrukcji w taki sposób, że miała wypięty tyłek. Arab, który ją chłostał, stał teraz za nią. Przytrzymał ręką wielkiego kutasa, którego koniec nikł w tylnej dziurce. Usta miała otwarte w krzyku, na policzku błyszczały łzy. Widać było postęp w technice, ciało niewolnicy i pozostałe szczegóły namalowała z większą dbałością o detal. W kilku miejscach pojawiły się celowe deformacje. Narządy płciowe zostały nieco powiększone. I silnie wyeksponowane za pomocą kontrastującego tła.

Wcześniej dopilnowała, dolewając szczerze, żeby wypić dużo wina. Wszedł w nią wreszcie, jak chciała. Ból był równie silny jak wtedy, kiedy Phil robił to pierwszy raz. Wsunął się na całą długość i było nieco lepiej. Starał się być delikatny, ale po zaciśniętych kurczowo dłoniach widział, jak ją boli. Skomlała i postękiwała w rytm jego pchnięć. Po wytrysku wyszedł z niej, a ona była mokra od potu. Przyniósł ręcznik i ją wytarł. Na tę noc miała dosyć.

Nie wiedziała, zupełnie nie rozumiała, jaki czart ją do tego popycha. Ból wytrzymała, ale nie po to się pieprzyła, żeby bolało. Sesje z batem były bez porównania bardziej ekscytujące, działały na wyobraźnię. Niewiele bólu, a jakie emocje! Była jednak uparta. Następnego dnia wzięła tabletkę przeciwbólową. Tak zabezpieczona, ponownie zaprowadziła go do pracowni. Rozebrała się i podeszła do

obrazu. Wodziła palcem, zatrzymała się na penisie Araba w miejscu, w którym się zagłębiał w ciało niewolnicy. Dzięki środkom przeciwbólowym i dlatego, że była już rozciągnięta, bolało nieco mniej. Mogła się masturbować. Pojękiwała z bólu i pomrukiwała z ukontentowania.

Byli małżeństwem od wielu lat, a dopiero teraz odkrywał jej nieznane, rozwiązłe, przez to jeszcze bardziej pociągające oblicze. Musiał, po prostu musiał, znaleźć granicę, do której może się posunąć. Przed zaśnięciem szepnął jej do ucha:

- Chcę mieć cudowne przebudzenie. Wiesz, co masz zrobić...

Nigdy wcześniej nie żądali od siebie konkretnych zachowań, pieszczot. Chciał zaspokoić ciekawość. Nie posłuchała. Wieczorem czekała na seks analny. Zamiast tego związał ją. Zwisiała na linie zdana na jego łaskę, a on chłostał i to mocno. Wreszcie skończył i spytał:

- Czy teraz będziesz posłuszna?

Zrozumiała, o co mu chodzi. Nie obciągnęła rano. Nie zrobiła tego nawet specjalnie, po prostu nie miała ochoty. Chciał ją biciem zmusić do uległości. *Niedoczekanie twoje!* Energicznie pokręciła głową. Bił ponownie, tym razem mocniej. Dłużej już nie mogła wytrzymać.

- Stop! Stop! Przerwij natychmiast! Czy ty zupełnie zwariowałeś? Zaraz zacznę krwawić.

Dotarło do niego, co zrobił. Poddał się szaleństwu, zatracił wszelką miarę. Pożądanie wypaliło mu rozum. Przestraszył się. To się mogło skończyć rozwodem. Diabeł, który go kusił, nie chciał jednak ustąpić.

- Nie będę cię na razie chłostał. Powisisz tak długo, aż zmądrzejesz.

Zamiast go zwymyślać, jak tego oczekiwał, załamała się. Płakała i błagała, żeby jej nie zostawiał. Szlochała tak, że z nosa poleciały smarki.

- Widzę, że zmądrzałaś.

Nie miał pojęcia, skąd takie błyskotliwe teksty przychodzą mu do głowy. Gorliwie potakiwała.

- Tak, tak, tylko mnie nie zostawiaj i więcej nie bij.

- Wiesz, co masz zrobić?

Opuściła wzrok i przytaknęła.

Odwiązał ją i zaniósł do łóżka. Po tym, co przeszła, nie chciała i się broniła, ale nie słuchał. Wypieprzył ją analnie, pomimo że głośno protestowała, a kiedy próbowała się wyrwać, przytrzymał za włosy. Jękliwie zawodziła, bo tym razem nie był delikatny. Obudziła go przyjemna sensacja. Otworzył oczy i zobaczył, że wślizgnęła się pod prześcieradło, którym byli przykryci, i robi, co jej nakazał. Ściągnął z niej prześcieradło. Przyglądał się zachwycony, jak stara się go zadowolić. Kiedy chciała na niego wsiąść, zmarszczeniem brwi pokazał, że ma dokończyć ustami. Następnego dnia przyłapał ją, jak wpatrywała się w niego ukradkiem z dziwnym wyrazem twarzy, choć starała się, żeby nie zauważył. Rozmyślał o ostatnich zdarzeniach. Zaczęło się niewinnie, od pierwszego obrazu. Potem wypadki wymknęły się spod kontroli. Stracił panowanie nad sobą, zawładnęła nim dzika żądza. A ona? Dlaczego była taka uległa? Miała tysiąc i jeden powodów, żeby go powstrzymać. Bodaj na niego nawrzeszczeć, ale tak, żeby wiedział, że na poważnie, i śmiertelnie się obrazić. Przestałby natychmiast. To jej uległość prowokowała.

Wrócił z pracy, zjedli kolację. Upalny dzień miał się ku końcowi. Dzieci poszły spać, zostali sami. Rozmawiała z nim, jakby się nic nie wydarzyło. Może się wstydziła? Przez lata stworzyli pewien model. Mniej czy bardziej partnerski. Niespodziewanie to się zmieniło. Nawet nie zauważył, kiedy ją zdominował. Co najdziwniejsze, ona się bez większych protestów podporządkowała. Gawędzili o codziennych sprawach, omijając temat seksu i jego ostatnich ekscesów. Usiadła mu na kolanach i zadała nieśmiertelne pytanie:

- Czy ty mnie kochasz?

- *You may wonder if the stars are fire,*

You may wonder if the sun moves across the sky.

You may wonder if the truth is a liar,

*But never wonder if I love*⁹⁹

- *You gave me the key of your heart, my love*¹⁰⁰. - Rozpromieniła się. - A czy jesteś ze mnie zadowolony?

- Po co pytasz? Przecież wiesz, księżniczko.

- Może mam coś zmienić. Co byś chciał? - Wpiła mu się w usta. - Gdybyś miał kochankę, chyba bym się zabiła. Zachowałam się jak pierwsza lepsza, ale mi wybaczyłeś, prawda? Błagam, nie bądź dla mnie zbyt srogi.

Po raz pierwszy od jej nieszczęsnego romansu poruszyła ten temat.

- O czym ty mówisz, przecież każdy robi głupstwa. Dodają życiu emocji. Kocham twoje szaleństwa. Bez nich nie byłabyś sobą. A najcudowniejszym wariactwem jest nasza miłość. Zresztą, obiecałaś nigdy do tematu nie wracać, pamiętasz?

- Tyle lat jesteśmy razem. Może ci się znudziłam?

- Coś podobnego! - zawołał oburzony. - Chyba nie mówisz poważnie?

Pomrukując z ukontentowania, wpiła mu się w usta, ręka powędrowała do krocza i masowała powolnym ruchem. Nie było takiej potrzeby, podniecenie go rozsadzało. Zsunęła się z kolan i patrząc mu w oczy, rozpięła rozporek. Obsługiwała go powolnymi, lubieżnymi liźnięciami, potem wzięła do buzi. Tak się roznamiętniła, że zahaczała zębami.

- Jak chcesz mnie posuwać? Masz teraz trzy dziurki do wyboru.

Po takim zaproszeniu wszedł w tę trzecią. Pomagała sobie, drażniąc łechtaczkę. Widział, jak nadzwyczajnie jest podniecona. Wydawała z siebie ciche, głębokie pojękiwania, które jak muzyczny podkład przeplatały się z głośniejszymi, bardzo kobiecymi okrzykami podniecenia, wyzwalanymi masturbacją. Na *grande finale* zaśpiewali w duecie. Bardzo mu się jej koncert spodobał. Postanowił słuchać go częściej, tym bardziej że solistka była chętna. Poszli do łazienki i myli się nawzajem. Była nadal pobudzona. Śmiała się i próbowała złapać

za kutasa. Wrócili do łóżka. Położyła się na plecach i rozłożyła przed nim nogi. Na tym nie poprzestała. Chwyciła za płatki i odciągnęła na boki, odsłaniając różowe wnętrze.

- Podoba ci się?

- Najbardziej na świecie.

- Co chciałbyś z nią zrobić? Pobawić się, wsadzić palec? Dwa? A może posmakujesz żonkę? - kusiła.

Potem leżeli spleceni ze sobą, szepcząc coś sennie. Przed zaśnięciem czart naszeptał mu do ucha. Nie musiał się specjalnie wysilać. Tej pokusie nie potrafił się oprzeć.

- Wiesz, co masz zrobić?

- Tak, wiem, kochanie.

Miał zachwycające przebudzenie. Marion gorliwie wypełniała poranny obowiązek. Tym razem nie przerwała i obciągała do końca. Skończyła, zwinnie zsunęła się z łóżka, złapała szlafrok i zbiegła na dół robić śniadanie. Miał już pewność. Jeżeli tylko zechce, ona zgodzi się na wszystko, a nawet znajdzie w tym satysfakcję. Doszli jednak za daleko. W ten sposób, prędzej czy później, dojdą do tak drastycznych zachowań, że wszystko zniszczą. Na początku była zdziwiona, jednak pogodziła się z powrotem do normalności. Jemu pozostała świadomość, że jakiegokolwiek marzenie seksualne przyjdzie mu do głowy, ona je spełni. Samo patrzenie na nią i wyobrażanie sobie, co z nią robi, rozpalało go do białości.

Malarstwo stało się artystyczną formą jej fantazji erotycznych. Ponownie zaprosiła go do pracowni. Na sztaludze wisiał obraz podobny do pierwszego. Była jednak istotna różnica. Plecy niewolnicy były poznaczone pręgami od smagnień batem. Ślady po uderzeniach były czerwone i ostro kontrastowały z nieskazitelną bielą skóry. Niektóre nawet czerwono-fioletowe. Wiedział, jaką informację przekazuje. Zamiast zrobić to, czego oczekiwała, miał z nią długą i szczerą rozmowę. Wypili dużo wina, przegadali całą noc. Nie uciekali od najtrudniejszych, najbardziej wstydlivych tematów. Najdziwniejsze, że była to ich pierwsza taka rozmowa. Dotąd

w sprawach seksu porozumiewali się bez słów. Uzgodnili, że raz w miesiącu będą się zamieniali w pana i niewolnicę. Była zaskoczona, kiedy zaproponował, że co jakiś czas mogą się zamieniać w panią i jej niewolnika. Nie podejrzewała go o takie skłonności i wcale jej się to nie podobało, on jednak wiedział swoje.

- Przekonasz się, spodoba ci się.

- Nie mówię, że nie.

Zachodziła w głowę, co też takiego wymyślił. Początek nie wyglądał zachęcająco. Dawał dziwne instrukcje.

- Masz być w czarnych pończochach i czółenkach. Biustonosz? Jak uważasz.

Założyła koronkowy, francuski, który kosztował majątek, za to więcej odsłaniał, niż zasłaniał, i czerwone czółenka od Evy na nieprzyzwoicie wysokim obcasie. Wyciągnął z szuflady kajdanki i założył sobie na kostkę jedno ogniwo.

- Scenografia - wyjaśnił, uśmiechając się tajemniczo.

Położył się na brzuchu. Zgodnie z instrukcją przysiadła na kolanach, prostopadle do niego. Sypialnię oświetlała lampka, której światło tworzyło odpowiednią do okoliczności, intymną atmosferę. Usiłowała odgadnąć, ku czemu to wszystko zmierza. Sięgnął pod łóżko, wyciągnął kij grubości palca i podał jej. Rozpoczął swoją opowieść.

- Byłaś młodziutką, nieznającą świata dziewczyną, jedną z trzech córek pastora w małej miejscowości Looe w Kornwalii. Wczesną wiosną 1759 roku przyszedł do twojego ojca list z Karoliny Południowej. Wasz daleki kuzyn Stewart Cobby szukał żony. W kolonii brakowało białych kobiet. Ojciec zdecydował wydać za mąż ciebie, Anabello. Po kilku miesiącach rejsu na nabrzeżu w porcie Charleston zobaczyłaś po raz pierwszy swojego narzeczonego. Był wysoki, mocno zbudowany, lekko łysiejący, z niewielkim brzuchem. Nosił zielony surdut, miał rudawe bokobrody. Bez przerwy się pocił i wycierał czoło jedwabną chusteczką. Nie był księciem z bajki, nie był też odrażający. Przywitał się z tobą, pocałował w policzek, potem odsunął na

odległość ramion, żeby się dokładnie przyjrzeć. Spodobałaś mu się i dlatego nie odesłał cię do ojca. Zabrał twoje skromne bagaże i pojechaliście wygodnym koczem do jego posiadłości. Dom okazał się reprezentacyjną rezydencją w kolonialnym stylu. Murzyni stojący wzdłuż drogi nisko się kłaniali. Tak, przecucie cię nie zawiodło, byli niewolnikami. Już następnego dnia wzięliście ślub. Noc poślubna rozczarowała, ale wkrótce przywykłaś do małżeńskich obowiązków.

Kiedy mówił o obowiązkach, zachichrała. Niezrażony kontynuował.

- Przyzwyczaiłaś się do nowej roli. Z jednym tylko nie mogłaś się pogodzić. Twój małżonek pieprzył na prawo i lewo młodziutkie niewolnice. Nie widział w tym niczego zdrożnego. Pewnego dnia nie powrócił z polowania. Po długich poszukiwaniach znaleźli jego zwłoki. Spadając z konia, uderzył głową w kamień.

- Dobrze mu tak! - włączyła się kreatywnie.

- Zostałaś wdową. Zrzędzeniem losu ty, prosta dziewczyna z Looe, stałaś się właścicielką tych wszystkich kobiet, mężczyzn i dzieci. W odruchu serca chciałaś ich uwolnić i wrócić do Anglii. Okazało się jednak, że hipoteka plantacji jest obciążona dużym długiem. Twój mąż kupił niewolników za pożyczone pieniądze.

Wy tłumaczono ci, że nie możesz ich uwolnić, sprzedać plantacji i wrócić do domu, bo wierzyciele w pierwszej kolejności zlicytują niewolników. Chcąc nie chcąc, Anabello, musiałaś zarządzać plantacją. Wiedziałaś już, że kilkoro twoich niewolników jest białych. Angielskie sądy, w imieniu króla, skazywały na niewolę za bunt przeciwko Koronie czy za najcięższe przestępstwa, jak kradzież o wartości przekraczającej jeden funt. Byłem jednym z tych nieszczęśników, byłem twoją własnością. Młody lekarz podczas jednego z buntów w Szkocji udzielił pomocy rannym powstańcom. Ktoś go zadenuncjował i oto jest na twojej plantacji. Dzisiaj popełniłem karygodny występki. Widziano, jak całuję się z niewolnicą. Zrobiłem to bez twojego przyzwolenia, musisz mnie za to przykładowo ukarać.

Sam pomysł bardzo się jej spodobał.

- To okropne przestępstwo! Jak śmiałeś! I co mam zrobić?

- Mnie pytasz? Masz mnie ukarać! Po to trzymasz w ręku kij.

- Mam cię bić? - Jej zdumienie nie miało granic.

- Zrobisz, jak uważasz. Radzę, żebyś uderzała od pleców w dół.

Jeżeli ból będzie nie do zniesienia, krzyknę. Pojękiwania będą oznaczały, że wymierzasz karę z należytą surowością.

Zaczęła od słabych uderzeń. Nawet nie pojękiwała. Uderzała mocniej. Nadal cisza.

- Jeszcze mocniej?!

Poczuł, że to jest to i cichutko jęknął. Nie mogła uwierzyć, że może uderzać tak mocno. Wtedy poczuła coś między nogami. Rozłożyła palce, zmuszając ją do rozsunięcia kolan. Mógł się zabawić cipką. Nie potrzebowała wiele, żeby odnaleźć swoją kadencję. Przeniosła się w marzeniach do Południowej Karoliny, na swoją plantację.

- Tak, ten niewolnik zasłużył na surową karę.

Im intensywniej pobudzał, tym mocniej biła. Dla niego jej uderzenia do pewnego momentu były wyrafinowanym masażem. Wreszcie zmusiła go do krzyku. Dopiero wówczas dotarło do niej, jak mocno uderzała. Kiedy jego wyczulone ucho wyłapało w jej muzyce, że jest blisko, zarządził koniec kary. Uderzyła po raz ostatni. Tym razem w tyłek, z całej siły. Krzyknął z bólu i oburzenia. Chciał ją ukarać, była jednak sprytniejsza. Ze zwinnością łasiczki prześlizgnęła się między jego rękami, położyła na plecach i wdzięcznie rozchyliła nogi. *I jak tu ją karać?* - pomyślał i wszedł w nią. Sapnęła z zadowolenia. Kiedy ją posuwał, ból w tyłku i ekstaza połączyły się w jedno rozkoszne doznanie.

- No i jak było, cipko?

- Cudownie. Kochanie, żądam powtórki. - Oczy miała zamglone, usta rozchylone, między nimi poruszał się koniuszek języka.

- Jak odmówić, jeżeli tak prosisz? Nie licz jednak na częste przedstawienia. Muszę wymyślać kolejne scenariusze, a nie chcę się

sypać z rękawa. – To akurat było nieprawdą, ale niech doceni, co już dostała.

– Trudno, poczekam. Może być dalsza część przygód Anabelli. Wciągnęłam się, polubiłam ją i prawdę mówiąc, sama mam pomysły na ciąg dalszy.

– Mam nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy, żeby mnie ocechować.

– A wiesz, że to doskonały pomysł? Dziwne, że sama na niego nie wpadłam. Wypalę ci napis: „Własność lady Anabelli”.

– No bez przesady!

W południe pojechała do klubu tenisowego. Przegrała, pomimo że przeciwniczka była słabsza. Waliła z taką siłą, że piłki lądowały po autach.

Gdy ona usiłowała zerwać naciąg rakiety, on zaparkował na podjeździe klubu jeździeckiego. Podobnie jak podczas niefortunnej przygody z zakochanymi końmi, w stajni nikogo w niej nie było. *Pewnie się modlą* – pomyślał i postanowił poczekać. Przechodził koło siodlarni, w której przechowywano nieużywane siodła. Wtedy, za sprawą jednego z tych przypadków, jakie się zdarzają częściej, niż nam się wydaje, usłyszał cichy dźwięk, jakby chrobotanie myszy. Otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z młodą kobietą. W rogu, na wiązce siana, kuliły się dwie małe dziewczynki. Kobieta stała na środku, oczy jej dziko płonęły, w ręku trzymała duży, kuchenny nóż.

– Nie podchodź, bo zabiję! – Z drżenia głosu wyczuł, jak jest zdesperowana.

– Nazywam się Robert Meissner. Jestem sekretarzem ambasady brytyjskiej. Paszport mam w aucie. Jeśli ma pani wątpliwości, to okażę.

Opuściła rękę z nożem i usiadła ciężko na ziemi. Dziewczynki natychmiast do niej przywarły. Wszystkie trzy miały wyraziste rysy, czarne włosy i oczy. Po akcencie nie poznał, skąd pochodzą.

– Widzę, że masz problem. Może będę mógł pomóc?

– Nie pomożesz, ale dziękuję za troskę.

- Bywałem w trudnych sytuacjach. Zawsze sobie radziłem, może i tym razem się poszczęści – mówił cicho, kojącym tonem.

- Wiem, że chcesz dobrze, jednak nikt mi nie może pomóc. Szuka mnie policja.

- W tym kraju policja szuka co trzeciego. Nie jesteś wyjątkiem. Jeżeli nie popełniłaś poważnego przestępstwa, to cię z tego wyciągnę. Zaufaj mi.

- Ale mnie szuka cała egipska policja. Nie czytałeś gazet?

- Dzisiaj jeszcze nie.

- Więc nie wiesz, że w nocy aresztowali izraelskiego szpiega. To mój mąż.

Otworzyła się, chyba nie widziała innej szansy na ocalenie dzieci i siebie. Dopiero teraz dotarło do niego, co się stało, w co się wplątał i co musi natychmiast zrobić. Siebie w żaden sposób nie narażał. Miał immunitet i dużo pieniędzy, w razie czego mógł poukładać sobie życie poza dyplomacją.

- Jak masz na imię?

- Sara.

- Musimy się pospieszyć, Saro. Podjadę samochodem pod samo wejście. Auto jest na tablicach dyplomatycznych. Wsiądźcie, kiedy się zatrzymam. Może się uda i nikt nie zwróci na was uwagi. O resztę będziemy się martwili później.

Po raz kolejny szczęście dopisało. Było już po porannej modlitwie *Salat*, jednak nikt spośród wychodzących z sali modlitewnej nie zwrócił uwagi na kobietę i dwie dziewczynki wsiadające do auta.

Kiedy wyjechali z ośrodka, odetchnął z ulgą, a Sara się rozpłakała.

- O co chodzi? Przecież obiecałem, że cię z tego wyciągnę. Skąd jesteś?

- Mam paszport syryjski, ale jestem Żydówką. Z Izraela.

- Dlaczego płaczesz?

- Mój mąż... nie wyjdzie z tego żywy, teraz go torturują.

Nie mógł pojechać do ambasady. Nie widział szansy na wystawienie paszportów. Znał tych bezdusznych biurokratów aż za dobrze, żeby mieć złudzenia. A tylko z oryginalnymi paszportami i ucharakteryzowane mogły wsiąść do samolotu. Alternatywą była ucieczka morzem z Safadzy. Ryzyko jednak nieporównanie większe. Mogły ich przechwycić egipskie łodzie patrolowe. Z tarasu swojego domu widział je dosyć często. Zarówno w dzień, jak i w nocy pokazujące światła pozycyjne. Jego wydała. Jaką gehennę przeżyją Sara i dziewczynki, lepiej nie myśleć. No i nie miał łodzi. Podjął trudną decyzję. Jedyną dostępną.

Podjechał pod konsulat Szwecji. Wewnątrz znajdował się niewielki parking, na którym były wolne miejsca. Rozpoznał volvo PV Lindy, które zapamiętał z klubu jeździeckiego. Poprosił portiera, żeby zadzwonił do konsula Wallenstein. Ten wykręcił numer i podał słuchawkę; widać było, że robi to niechętnie.

- Robert Meissner. Jestem pod twoimi oknami. Mam do ciebie pewną sprawę. Czy mogę wjechać na wasz parking?

- Masz do mnie sprawę? - Jej głos brzmiał zimno i formalnie. - Ale ja nie mam do ciebie żadnej sprawy. Jeśli koniecznie chcesz mnie zobaczyć, to się zapisz. Przyjmuję w każdy wtorek od dwunastej do czternastej.

Zatkało go tak, że nie zdołał odpowiedzieć. Po dłuższym czasie, tym samym chłodnym tonem, wyraziła zgodę.

- Skoro to takie ważne, wejdz. Ale uprzedzam, czasu mam niewiele.

Siedziała przy ogromnym biurku. Nie wstała na powitanie, wskazała jedynie krzesło naprzeciw. Bez słowa. Dziwna kobieta, nie rozumiał jej.

- Jaka to ważna sprawa? Informuję, że pożyczek nie udzielam!

Jej arogancja sięgała poziomu śmieszności. Nie potrafił się pohamować.

- Co cię tak bawi? Powinieneś zostać klaunem, nadajesz się do tej roli. - Nadal była zimna jak lód. I najwyraźniej wstała lewą nogą.

- Lindo, błagam, przestań. Jesteś zdumiewająca.

- Jak słyszę pochlebstwa, wyrzucam za drzwi.

Postanowił przejść do rzeczy i przeciąć tę absurdalną rozmowę.

- Dzisiaj Egipcjanie aresztowali izraelskiego szpiega.

- Przyszedłeś mi zrobić prasówkę?

- W moim samochodzie są jego żona i córki. Chcę, żebyś wystawiła dla nich szwedzkie paszporty.

- Tam stoi flakon z zimną wodą. Wylej sobie na głowę i zjeżdżaj, zanim nie zadzwonię na policję.

Tego się nie spodziewał. W trakcie ich krótkiej znajomości bardzo go zaintrygowała. Miała męski charakter.

- Jeżeli im nie pomożesz, spróbuję je jakoś wywieźć. Jednak to duże ryzyko. Nie chodzi o mnie. Ja nic nie ryzykuję. Nie chcę ich narażać. Jej mąż, jeśli żyje, jest już martwy. Byłoby lepiej dla niego, gdyby nie żył. A ją... Przecież wiesz, jak Arabowie załatwiają takie sprawy.

Wstała i stanęła nad nim.

- Nie musiała przyjeżdżać, wiedziała, na co się naraża. Jak tak kochasz Żydów, to się obrzezaj i wyjedź do Izraela.

Starał się nad sobą panować, powściągać emocje. Niemal nigdy nie wpadał we wściekłość. Problemy rozwiązywał rozumem, czasami siłą, częściej pieniędzmi. Tym razem zupełnie stracił kontrolę nad sobą. Furia go dławiła. Matka cedzi: „Przecież mówiłam, że była lafiryndą”. Wtedy się opanował, musiał opanować, ponieważ była jego matką. Dzisiaj nic nie musiał, więc wpadł w szał. Na biurku leżał palcat. Rozwścieczony, porwał ten palcat i wyskoczył z fotela. Usiłowała odskoczyć, jednak był szybszy. Chwycił ją wpół i rzucił na biurko, piersią na blat. Impet uderzenia pozbawił ją oddechu. Miała smukłą szyję, a on długie, silne palce. Otoczył szyję i zacisnął. Ból ją sparaliżował. Była ubrana w bawełnianą spódnicę i białe figi bez ozdób. Jednym szarpnięciem zarzucił jej spódnicę na plecy. Nic do niego nie docierało, tak był rozsierdzony. Uderzenia nie przypominały

zadawanych Marion. Bił w te majtki, żeby bolało. Uderzył kilkanaście razy. Nie krzyczała, nie wzywała pomocy, rozdzierająco szlochała.

Wściekłość przeszła równie szybko, jak go dopadła. Dotarło do niego, co zrobił. Zrozumiał również, dlaczego nie wydawała żadnego odgłosu. Gdyby ktoś ich zobaczył, pomimo że była ofiarą, to ona padłaby ofiarą szyderstw i złośliwych plotek. Również dlatego nie mogła pójść na policję. Pani konsul na komisariacie ściąga majtki, żeby udowodnić swoje oskarżenia? Był bezkarny, ale zrozpaczony. Pobił kobietę, na domiar złego nie załatwił sprawy, z którą przyszedł. Jeszcze nigdy się tak nie zachował. Zły na siebie, odrzucił palcat i ruszył do wyjścia. Kiedy otwierał drzwi, usłyszał ciche, lecz wyraźne „Poczekaj”. Odwrócił się i spojrzał na nią. Stała oparta o biurko i płakała.

- Czy pobiłeś mnie do krwi? - spytała przez łzy.

Pytanie było niedorzeczne. Miał jej teraz ściągnąć majtki, żeby sprawdzić?

- Jak skończyłem, krwi nie było - burknął.

Bardzo chciał przeprosić, tylko jak można przeproszać za takie szaleństwo?

- Sama jestem sobie winna. Wylazła ze mnie suka. Do tej pory byłam bezkarna, pierwszy raz ktoś mnie tak potraktował. Miałam w życiu przejścia. Nie będę się wyplakiwała. Z Żydami też nieprawda. Coś mnie naszło.

W nocy nie mogła zasnąć. Z żalu nad sobą, z samotności upiła się do lustra, a teraz miała kosmicznego kaca. Z nosa leciały jej smarki, mieszając się ze łzami. Kiedy je wciągała, kłuło ją w głowie. Nie przypominała dumnej księżniczki wikingów.

Podał chusteczkę. Wytarła głośno nos, usiadła i zapytała rzeczowo:

- No dobrze, co mam zrobić?

Podszedł do niej i pocałował w rękę.

- Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że jesteś Polakiem - pociągnęła nosem.

- I słusznie byś pomyślała, jestem Polakiem.

- Aha! Więc co mam zrobić?

Wytłumaczył, co należy zrobić. Zastanowiła się i zaproponowała szereg zmian, które były przemyślane i nawet lepsze od jego pomysłów. Pisała przez dłuższą chwilę polecenia dla Svena, potem zeszli na parking.

- Jeżeli chcesz się mścić za Potop, to na Szwedach. Ze Svenem ci tak łatwo nie pójdzie. Był najtwardszym zadymiarzem w uniwersyteckiej lidze hokejowej.

Sara siedziała z dziewczynkami na tylnym siedzeniu. Linda miała chyba jakieś głęboko ukryte uczucia macierzyńskie, bo się odwróciła i zaczęła z nimi rozmawiać. Małe były wystraszone jak bezdomne kociaki, na szczęście po kilku żartach odzyskały humor. Okazało się, że pogodne dowcipy również ma mistrzowsko opanowane.

- Wspaniale, że zobaczę twoją posiadłość. Chodzą słuchy, że jest wyjątkowa.

- Bardzo się cieszę. Potraktuj to jako pierwszą ratę rekompensaty.

- Nie ma o czym mówić. - Była zaskakująco wspaniałomyślna. - Myślałam, że mercedesy mają miękkie siedzenia. A to jest bardzo twarde!

Był to pierwszy z żarcików zrozumiałych wyłącznie dla nich.

- Słyszałam, że trzymacie tam konie.

- Zgadza się, mamy dwie klacze, jedną arabską i jedną baladi, tę zresztą znasz, Marion na niej jeździła.

- Dasz pojeździć? Przejazdzka nie potrwa długo, podejrzewam, że siodła też są za twarde jak na moje wymagania.

- Jesteś urocza. Uwielbiam twoje poczucie humoru.

Podróż upłynęła w pogodnej atmosferze. Linda była jak odmieniona. Miała w sobie coś z psotnej dziewczynki. Sara się nie odzywała. Żeby ją podnieść na duchu, wyjaśnił, jakie mają plany. Nic nie powiedziała, ale pochyliła się, objęła i pocałowała Lindę. *Czy mi się przywidziało, czy Lindzie zaszklily się oczy?* Nie miał pewności, a nie chciał się w nią wpatrywać. Ponownie rozmawiała

z dziewczynkami. Wymogła na nich, że jak już dotrą do domu, napiszą do niej.

- Na wakacje zimowe musicie przyjechać do Szwecji. Zobaczycie prawdziwy śnieg. Góry śniegu. Będziemy jeździć na sankach, zrobimy bałwana, a nawet się w śniegu wytarzacie.

Dziewczynkom bardzo się ten pomysł spodobał. Do Safadży dotarli po południu. Zatrzymał samochód przed posiadłością. Sulejman właśnie karmił osły.

- Przyjechałem z kochanką. Żoną wyjątkowo zazdrosnego i niebezpiecznego człowieka. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jest. I nikt jej nie może zobaczyć. Również ty. Zrozumiałeś? No to zjeżdżaj i lepiej, żebym cię tu nie przyłapał.

Podjechał pod dom. Kobiety, te duże i te małe, były zachwycone.

- Nie przypuszczałam, że jest tutaj tak pięknie. Zupełnie jak w raj. I wszystko to sam zrobiłeś? - dopytywała się Linda.

- Sam wszystko wymyśliłem, ale zbyt wiele nie zrobiłem. Prawdę mówiąc, nie znoszę prac, które kobiety z upodobaniem przydzielają mężczyznom. Napraw kran, zrób coś z drzwiami, bo skrzypią, wymień pękniętą umywalkę.

Dziewczynki właśnie odkryły osły i nie mogły się powstrzymać od okrzyków zachwyty. Sara się zaniepokoiła.

- Bądźcie cicho, jeszcze nas ktoś usłyszy.

- Nie denerwuj się, Saro, niech się cieszą. Zaręczam, że nikt nas nie usłyszy.

Głodni byli wszyscy. Po drodze zaopatrzyli się w prowiant, Robert kupował pod dyktando pań. Obie zgodnie zabrały się za przygotowanie obiadu. Przy stole odetchnęli. Największe niebezpieczeństwo mieli poza sobą. Teraz wszystko zależało od Lindy. Po znakomitym posiłku podlanym winem poprosiła Roberta, żeby oprowadził ją po posiadłości. Poszli na spacer wzdłuż plaży. Wzięła go pod rękę.

- Muisz zawsze postawić na swoim, prawda?

- Niesprawiedliwie mnie oceniasz. Gdyby chodziło o mnie, nie prosiłbym cię o pomoc, nie wspominając o tym, co nastąpiło później. Bardzo nie lubię prosić.

- Ponownie mnie zawstydziłeś. - Zarumieniła się. - Nie przejmuj się, nie mam pretensji. Nawet mi zaimponowałaś. Przez myśl mi nie przeszło, że z ciebie taki gwałtownik.

- Zaimponowałam?

- Mężczyźni się mnie boją. Przybieram taką pozę, że tracą pewność siebie. Mięczaki i niedołęgi. Ty pokazałeś charakter, zrealizowałaś swój cel, zresztą kosztem mojego tyłka. Co nie oznacza, że pochwalam twój postępek. Okoliczności cię jednak tłumaczą.

- Mam prośbę. Nie wracajmy do tego tematu. Nie mam powodu do dumy. Podobają mi się twoje dowcipy, więc znajdź inny pretekst do żartów. Lubię się pośmiać z siebie, możesz żartować moim kosztem.

- Referat ironii rozpatrzy twoje podanie. Ale ja też chcę o coś poprosić. Zanim powiem, o co chodzi, daj słowo honoru, że zrobisz to, o co poproszę. - Przyglądała mu się z filuternym uśmiechem.

Ambicja nie pozwalała na tchórzliwą dezercję. Odmowa obietnicy, nawet w ciemno, po tym, co robiła dla Sary, byłaby tchórzliwą dezercją.

- Zgadzam się, daję słowo honoru.

- Zgodziłeś się jednak - ucieszyła się. - Hmm. O co by tu poprosić... Wiem! Przejedź się na ośle po placu Tahrir! Naturalnie nago i twarzą do ogona. Nieee, mam coś lepszego! Nasikaj na pomnik Namera.

Odczekała dłuższą chwilę, sycąc wyobraźnię widokiem Roberta na ośle.

- Skoro zachowałeś się tak lekkomyślnie i zgodziłeś na wszystko, nie będę okrutna. Chcę pojeździć na jednej z waszych klaczy. Zawsze marzyłam, żeby nago galopować po tropikalnej plaży. Moje marzenie może się spełnić.

- Nic nie sprawi mi większej radości, jak realizacja twojego marzenia. Czy poradzisz sobie sama?

- Czy chcę, żebyś mnie oglądał naga? Lepiej dotrzyмай towarzystwa Sarze. Ona potrzebuje twojego wsparcia.

Oprowadził całą czwórkę po ogrodzie. Tłumaczył budowę i przeznaczenie każdego urządzenia. Dziewczynki słuchały zafascynowane, panie były pod wrażeniem.

- Prawdziwy raj!

- Taką miałem wizję, kupując kawałek piachu. Niewiele tego raj, jednak dla mnie i moich gości wystarczy. Lindo... - Podał jej zapasowe klucze. - Możesz tu przyjeżdżać, sama albo z przyjaciółmi. Zawsze, kiedy nas nie będzie, dom jest do twojej dyspozycji. Jutro powiem Sulejmanowi.

- To bardzo ładnie z twojej strony. Jeszcze nikt nie zaoferował mi takiego prezentu, nie mogę go jednak przyjąć.

- To moje podziękowanie za wszystko, co robisz dla Sary. Nie odmawiaj, sprawisz nam zawód.

- Ty jesteś na mnie za sprytny. Co powie Marion? Zgodzi się?

- Zgodzi się na pewno. Już się zgodziła. - Mrugnęła.

- Skoro tak, dziękuję. Teraz idę spełnić marzenie.

Robert z Sarą usiedli na tarasie, dziewczynki rozpieszczały osiołki. Rozmawiali o błahostkach. Zdawał sobie sprawę, co czuje Sara, i usiłował oderwać jej myśli od dramatu, w jakim uczestniczyła. Zapewnił, że jutro będą w Europie.

- Rano przyjedzie Sven z aparatem fotograficznym, odczynnikami do wywoływania zdjęć i waszymi paszportami. Linda powie, jak się teraz nazywacie. Dopilnuj, żeby dziewczynki nauczyły się swoich nowych imion. Sven przywiezie akcesoria do charakteryzacji. Nie możemy zrobić z was blondynek, będziecie szatynkami. Jak skończymy, zawiezie was na lotnisko i wyprawi w świat. - Podał jej numer telefonu. - Po dotarciu na miejsce dzwoń. O każdej porze.

- Nie wiem, jak mam dziękować.

- Więc nie dziękuj. Podziękowania zamiast sprawiać radość, krępują mnie. Zawsze tak było.

Wróciła Linda, a Sara z córkami poszły do swojego pokoju.

- Czy ty naprawdę nigdy nie zdradziłeś żony? Takie chodzą słuchy.
- Nigdy? Nigdy nie miałem kochanki. Kocham moją żonę do upadłości. Miłość ta jest wieczna i trwać będzie aż do śmierci.

- Chcesz mi wmówić, że od ślubu twojemu wróbelkowi nie zbłądziło się do innej dziupli? Nie uwierzę!

- Raz czy dwa się zbłądziło. Byliśmy wtedy w separacji, więc się nie liczy. Jak wiele małżeństw, biegniemy przez życie z przeszkodami.

- No nie, tego zdradą nazwać nie można. Jesteście takim zgodnym małżeństwem. Wiele kobiet zazdrości twojej żonie. Jeżeli mogę spytać, tak ze zwykłej ciekawości, co się wtedy zdarzyło? Nie chcesz, nie odpowiadaj, nie lubię być wścibska.

- Takie tam głupstwo. Raz się zapomniała, nic wielkiego. Czym byłoby życie bez odrobiny szaleństwa?

Czas odmienił perspektywę. Zastanawiał się niekiedy, jak by się zdarzenia potoczyły, gdyby nie jej romans. Był coraz bardziej przekonany, że nieoczekiwanie scementował on ich związek. Z żoną się tymi przemyśleniami nie podzielił. Jeszcze by pomyślała, że ją zachęca, żeby się puszczała.

Następnego dnia wszystko poszło niezawodnie, jak w szwedzkim urzędzie pocztowym. Biedny Sven nie spał całą noc. Wypełniając instrukcje Lindy, podrabiał i przybijał w paszportach pieczętki wizowe kilku krajów. Następnie domowymi metodami postarzył paszporty, żeby nie wzbudzały podejrzeń. Wcale pracowicie spędzona noc. W południe odjechał z Sarą i dziewczynkami. Robert zaprosił Linde na wspólną przejażdżkę. Potem nurkowali wśród raf koralowych. Wyruszyli do Kairu dopiero późnym popołudniem. Zapytał ją, co sądzi o Svenie.

- Czy jego też traktujesz jak mnie na początku naszej znajomości?

- Czyli jak?

- Jak tchórzofretkę.

- Naprawdę taka byłam? Chyba ci się przyśniło. Jestem taka łagodna i serdeczna. A Svena traktuję tak, jak na to zasługuje.

- Odniosłem wrażenie, że jemu na tobie zależy. Widział, jak przyjaźnie się do mnie odnosisz, no i spędziłaś noc w moim domu. Oczywiście nic nie powiedział, ale wyczułem, że jest zazdrosny.

- Co on ma do powiedzenia?! Jestem jego przełożoną, nie ma prawa mnie oceniać ani tym bardziej ingerować w moje życie. Nie jego sprawa. Niech lepiej pilnuje własnego nosa, bo mu przytnę. - Powróciła dawna, apodyktyczna Linda.

- Jesteś ślepa, moja droga. Nie dostrzegasz, że cię kocha i cierpi, widząc, jak szukając siebie, miotasz się od ściany do ściany? Jemu na tobie zależy.

- A ty co, w swatkę się postanowiłaś zabawić?

Chociaż usilnie się starała, nie zdołała ukryć zmieszania. Powiedziawszy swoje, do tematu nie wracał. Linda sprawiała wrażenie zamysłonej. Swoje genialne żarty gdzieś zagubiła.

Zastał Marion podenerwowaną. Wprawdzie Sven zadzwonił i przekazał informację, że wróci dopiero następnego dnia, jednak nie znosiła, kiedy znikał na noc. Wypytywała, co się wydarzyło. Wymigiwał się, jak umiał.

Miesiąc później nadszedł list z Genewy. Profesor Lammerding zapraszał na symposium poświęcone perspektywom krajów arabskich. Pokrywali wszelkie koszty, w tym pobyt w pięciogwiazdkowym hotelu. Zaproszenie zostało tak sformułowane, że trudno było odmówić. Ambasador chętnie wyraził zgodę.

- No proszę, doceniają cię. Gratuluję, gratuluję. Mamy okazję wypić sherry. Pamiętam doskonale tego młodego człowieka, który miał rzekomo znać arabski. Tyle lat upłynęło, że się możesz przyznać, jak z tym arabskim rzeczywiście było.

Przyznał się.

- Ty się naprawdę nadajesz do dyplomacji. Z kłamstwa uczyniłaś sztukę. Nawet ja dałem się nabrać.

Na lotnisku czekał taksówkarz z tabliczką. W hotelu podeszła czarnowłosa, atrakcyjna kobieta.

- Jestem Cippi Szoham. W imieniu rządu Izraela witam, panie Meissner.

Więc o to chodziło! Domyślił się powodu zaproszenia. Lubił niespodzianki, dlatego nie był urażony.

- Z pewnością chce się pan odświeżyć. Jak będzie pan gotowy, proszę zejść do lobby. Będę czekała.

Kiedy zszedł do hallu, zamachała od stolika.

- Tutaj, panie Robercie.

- Mówmy sobie po imieniu.

- Oczywiście, Rob. Dziękuję. Za chwilę zabiorę cię do ambasady Izraela. A na razie, czego się napijesz?

W ambasadzie było bardzo oficjalnie i przyjaźnie. Odebrał izraelski order, ambasador wręczył mu osobisty list od premiera Szareta.

- Mamy na świecie niewielu przyjaciół, za to wielu wrogów, panie Meissner.

Dziękując, z trudem sklecił kilka zdań. Nie znosił takich oficjalnych uroczystości. Potem Cippi odwiozła go do hotelu.

- Co teraz?

- Dzisiaj jest już za późno na konferencję. Jeżeli chcesz się na niej pokazać, masz jeszcze dwa dni.

- Zastanowię się.

- Możesz się zastanawiać i jeść jednocześnie. Zapraszam na kolację.

Opowiadał, jak pomogli Sarze, ona pytała o mało istotne sprawy. O sobie mówiła niewiele, co w jej zawodzie zrozumiała.

- Mam trzydzieści lat. Włosy są niefarbowane. Lubię wino, taniec i śpiew. A ty? Co chcesz o sobie opowiedzieć?

- Nic specjalnego.

- Nie zdziwi cię z pewnością, że sporo o tobie wiem. Jesteś Polakiem, znamy przebieg twojej służby wojskowej. Mamy u ciebie dług wdzięczności za generałów SS. Tego, którego zastrześliłeś, i tego,

którego schwytaleś. W ambasadzie nie było okazji o tym mówić. Co sądzisz o Izraelu?

- Szczerze? Nic nie sędzę. Pomogłem Sarze, nie patrząc, czy jest Żydówką, Arabką czy Fenicjanką.

- Tak myślałam. Teraz jesteś tutaj, a ja się cieszę z naszego spotkania.

Zapadł zmrok. Orkiestra grała popularny szlagier. Na parkiecie pojawiły się pierwsze pary. Z jej tańca nie umiał odgadnąć, czy ma narzeczonego. Jeśli była okazja, przytulała się tak, że czuł nacisk jej piersi. Opierała głowę na jego ramieniu, jej przyspieszony oddech owiewał mu szyję. Potem pili wino, a rozmowa potoczyła się swobodnie.

Po trzech dniach wylądował w Kairze, Marion czekała na lotnisku.

- No i jak było? Opowiadaj. Zabrałeś głos?

- Było nie do końca, jak myślałem.

- Mów jaśniej, bo zaraz umrę z ciekawości.

- Opowiem wieczorem, jak dzieci zasną.

- Ty to potrafisz znęcać się nad kobietami. Toż do wieczora ciekawość mnie zeżre.

Opowiedział wszystko, od samego początku. Była dumna i zadowolona. Dumna, że ocalił kobietę i dzieci, że dostał odznaczenie i list od premiera Izraela. Przeczytała go już trzy razy. Zadowolona, ponieważ się wyjaśniło, co robił, kiedy zniknął na całą noc. Zadowolona, bo się dowiedziała, że z Lindą połączyło go przedsięwzięcie ratowania Sary i jej dzieci.

- Zazdroszczę ci. Masz takie fascynujące przygody. Ja też bym chciała mieć przygody, ale żadna nie chce się zdarzyć.

- Taaa? Jesteś pewna? - Uniósł brew.

Lekko się zaczerwieniła, jednak nie odpowiedziała.

Wiedział, że zastrzeliła Phila. Sama mu powiedziała. Nie wiedział, jak to zrobiła. Nie wiedział i nie chciał wiedzieć.

- Postaram się, żebyśmy wspólnie przeżyli niesamowitą przygodę. Następnej poszukamy razem, tylko że one przychodzą same

i niezapowiedziane.

Pokazała swoje ostatnie prace. Zdecydowała się ostatecznie na tematykę erotyczną i z każdym kolejnym obrazem była lepsza.

- Mam poprzestać na malowaniu paznokci?

- Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy albo nie dopuszczasz tej myśli, ale masz niezwykły talent.

- Naprawdę tak myślisz, czy mówisz, żeby mi sprawić przyjemność?

Tak na nią spojrział, że się jej w serduszkach zrobiło ciepło.

- Skoro tak uważasz, będę malowała dalej. - Rozpromieniła się.

Jak to się dzieje, że moja żona przynajmniej raz dziennie serwuje kilkudaniowy posiłek i nie przeszkadza jej to świetnie wyglądać, zachowywać się normalnie, zajmować dziećmi, wypełniać obowiązki towarzyskie i niemal codziennie bywać w swoich klubach? Jakby tego było mało, kilka godzin poświęca teraz na malowanie i okazało się, że ma wielki talent. Znajduje też czas na długie rozmowy i zawsze jest chętna. Jaka mi się cudowna kobieta trafiła!

Zaproponował, że wyreczy ją w niektórych pracach domowych i z chęcią zajmie się dziećmi, kiedy ona będzie malować.

- Może zatrudnię kucharza, żeby odciążyć cię od gotowania?

- Nikt obcy po mojej kuchni nie będzie się pętał! - Wzięła się pod boki.

14 marca 1956 r., wieczór,

Marsylia, północne dzielnice

Raul tak nienawidził matki, że by ją najchętniej zamordował. Miał czternaście lat, był drobnym chłopcem o subtelnych rysach. Nie miał przyjaciół, skutecznie wszystkich odstraszała. W szkole i na dzielnicy nie był lubiany. Koledzy wyśmiewali się z niego, dziewczyny traktowały go jak powietrze. Matka nieustannie coś na nim wymuszała. Nie wytrzymał jej nieustannych połajanek. Była w dochodzeniu swojego zajadła jak szkocki terier, który prędzej zginie, niż rozewrze szczękę. Nie zdawała sobie sprawy, co syn o niej

sądzi. Miała się za normalną matkę. Przez myśl jej nie przeszło, że poprzez swoje zachowanie prędzej czy później doprowadzi do tragedii. Jak wiele osób prymitywnych, nie dopuszczała myśli, że może nie mieć racji. Nigdy takiej ewentualności nie rozważała. Rozum jest najuczciwiej rozdzielonym dobrem. Każdy uważa, że ma go dosyć.

Za jej przyczyną uciekł z domu i w poszukiwaniu noclegu wałęsał się po La Canabiere – ulicy wiodącej do Starego Portu. Czujny wzrok notariusza Rambauda wyłapał błakającego się bez celu młodzieńckiego, ładniutkiego chłopca. Przywołał Raula machnięciem ręki. Godzinę później weszli do mieszkania notariusza. Po wypiciu butelki wina chłopiec był pijany. Rambaud ocenił, że chłopak ma już dosyć, i rozebrał go. Raul próbował się bronić, nie miał jednak szansy z dorosłym mężczyzną. Tej nocy Rambaud zgwałcił go wielokrotnie. Następnego dnia wrócił do domu. Zrozumiał, że nie potrafi przeżyć na ulicy. Nienawidził całego świata, a najbardziej matki.

Wiosenne popołudnie miało się ku końcowi. Robert i Marion siedzieli na tarasie kawiarni w klubie tenisowym. Sącząc gin z tonikiem, przyglądali się ostatnim meczom. Od strony kortów podeszli Linda i Sven. Widać było, że są razem. Mieli to wypisane na twarzach. Zachowywali się jak para nastolatków. Linda raz po raz wybuchała śmiechem, a Sven nieustannie jej dotykał. Choć przez chwilę, jakby się upewniał, że na pewno jest jego.

- Możemy się przysiąc? – zapytała Linda.

- Siadajcie. Nareszcie się dowiedziałam, co robiliście w Safadży. Szkoda, że mnie nie zabraliście. To takie fascynujące ratować komuś życie. – Marion ucieszyła się z ich towarzystwa.

Linda podziwiała urodę domu i ogrodu.

- Przyjedźcie, przyjedźcie koniecznie. Pojeździmy konno, a panowie zajmą się dziećmi. Sven niech się wprawia.

- To mi się podoba, jesteś kochana. Z pewnością przyjedziemy. Muszę się przyznać, że już u was jeździłam. Robert pozwolił. To

niezapomniane przeżycie. Na Szecherezadzie galopowałam samotnie po plaży. Kopyta rozpryskiwały wodę, wiatr owiewał twarz i rozwiewał włosy. Słońce świeciło w plecy, było jak w snach – opowiadała Linda.

Marion wyzbyła się ostatnich podejrzeń. Swoim czujnym uchem wewnętrznym wyłowiła najważniejsze słowo. Samotnie, czyli nie z Robertem. *Ale ja jestem zazdrosna. Przecież nie daje żadnego powodu, bym mu nie ufała.* Nieustannie była nieco zazdrosna.

- Polubiłam ją, a ty?

- Też ją lubię. Nieobliczalna i z charakterem. Należy ją pozostawić Svenowi. On jeden wie, jak się z nią obchodzić.

Malowała teraz więcej i z większą pasją. Wybrała dwa tematy i na nich się skupiła. Interpretowała motywy z baśni arabskich. Ideą jej sztuki było ścieranie się przeciwieństw. Fizycznych i rasowych. Brodaci, ascetyczni Arabowie o twardych, okrutnych rysach. Ich niewolnice o kuszących, lekko zaokrąglonych kształtach i niewinnych, subtelnym twarzach. Oni śniadzi, kruczowłosi, one jasnowłose, o mlecznobiałej karnacji. Oraz przeciwieństw emocjonalnych. Ból i namiętność. Rozkosz i cierpienie. Okrucieństwo i uległość. On pożera ją wzrokiem dzikim, pełnym pożądania, ona spojrzenie ma rozmyte, łagodne, pełne pokory. Malowała przeciwstawne uczucia. Śniady kupiec w średnim wieku okryty galabiją i biała, młodziutka niewolnica, naga, zawstydzona, przykuta do ściany. Jej wyobrażenia tworzyła fascynujące obrazy. Drugi motyw był odmienny. Te obrazy malowała w Safadży. Łączyła obraz egzotycznego ogrodu w stylu Celnika Rousseau, z naturalistyczną ilustracją stosunków seksualnych. Czarny Apollo z plemienia Mandingo i biała kobieta. On stoi, ona zarzuciła mu ręce na ramiona i zawisała na jego wielkim pytonie. Dwie białe kobiety i Murzyn. Jedna siedzi na nim okrakiem, druga się przygląda. Namiętność uchwycona na płótnie. Obrazy różniły się pozycjami i doborem kopulujących postaci.

Zażądała *Kamasutry*.

- Książka jest mi potrzebna do inspiracji.

Przed laty, po drodze do Egiptu, zatrzymali się w Wenecji, mieli jeden dzień do odpłynięcia promu. Padało, więc ograniczyli zwiedzanie do przejażdżki zadaszoną gondolą. Korzystając z wolnej chwili, wymknął się do zakładu fotograficznego i dał do wywołania zdjęcia masturbującej się, pijanej żony z rozmazanym makijażem. Trzymał te zdjęcia w skrytce bankowej. Kiedy z niej korzystał, chwilę na nie patrzył. Były jego inspiracją.

- Chcemy oberwać patelnię? - rozbawiony kobiecy głos przywołał go do rzeczywistości.

- Nie, nie, to znaczy tak. Oczywiście kupię *Kamasutrę*. Jak już robię zakupy w sex shopie, kupmy może coś jeszcze?

- Co masz na myśli? - Tym razem, zainteresowana, nie groziła patelnią.

- No nie wiem. Wiesz przecież, że ja nigdy do TAKICH sklepów nie chodziłem. Nie mam pojęcia, co w nich sprzedają.

- Niech ci będzie, moje ty niewiniątko. Tym razem wyjątkowo ci uwierzę. Co jeszcze chcesz kupić?

- Zamówię *Kamasutrę* i wibrator, żeby nam się nie nudziło, kiedy będziemy czekali na katalog. Jak przyjdzie, wspólnie coś wybierzemy.

Przy okazji kupił całą klasykę literatury erotycznej. Wszystkie książki, oprócz *Kamasutry*, schował. Przeznaczył je na prezenty. Wieczorem był bardzo tajemniczy. Prezentacja odbyła się w sypialni. Na łóżku leżały dwa małe wibratory. Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Czy to znaczy to, co ja myślę? Wyjaśnij, co wymyśliłeś.

Zademonstrował, po co są potrzebne dwa wibratory. Była pewna, że wsadzi w obie dziurki, lecz on używał ich do stymulowania *clitoris*. Nie bezpośrednio, poprzez dotyk, ale pośrednio. Dociskał je do płatków skrywających ten niewielki detonator kobiecych namiętności. Wibracje były tłumione przez płatki. Wzięcie wrażliwego organu w dwa ognie dało nadspodziewany efekt. Musiał co chwila przerywać, tak mocno się szarpała. Dyszała ciężko, a jej pełne cycki kobiety dojrzałej falowały, unoszone gwałtownymi wdechami.

- Kto by się spodziewał. Małe, a takie skuteczne. Myślałam, że mnie zabiją na śmierć. Niesamowite przeżycie. - Z zaciekawieniem oglądała wibratory.

- Tych zabawek możemy używać, kiedy jesteśmy razem.

- A bez ciebie nie mogę?

- Nie, kochanie. Jeszcze byś się uzależniła, a wtedy przestałbym być ci potrzebny.

- Jaki troskliwy się znalazł! Nie, to nie, idź sobie, bo czymś w ciebie zaraz rzucę - powiedziała z wdziękiem.

Pewnego razu Marion oświadczyła, że będzie zajęta, więc mają jej nie przeszkadzać. Na pewno miała zamiar spędzić wieczór na babskich zajęciach, które mężczyźni doprowadzają do rozpacz. Kiedy jednak zadzwonił telefon, to ona odebrała.

- Naczelną „Die Welt” - szepnęła z przejęciem.

Umierała z ciekawości. *Czego ona może chcieć od mojego męża?* Od dawna nie wysyłał artykułów do tej gazety. Redaktor naczelna była konkretna.

- Do Kairu przylatuje wkrótce mój bratanek Leo. Jest podróżnikiem i reporterem. Chce napisać reportaż o południowym Sudanie.

Miał dobry przegląd sytuacji w tym wzgardzonym przez Boga rejonie Afryki.

- To prawdziwe *heart of darkness*¹⁰¹, pani redaktor. Wyjątkowo niebezpieczne miejsce.

- Pan nie jest człowiekiem strachliwym, mój bratanek jest urodzonym awanturnikiem. Niestety - westchnęła. - Razem sobie poradzicie. Zna pan arabski, potrafi się po tym niebezpiecznym terenie poruszać, zatem bez pana wyprawa nie dojdzie do skutku.

Przez chwilę się zastanawiał.

- Skoro tak, podejmę się roli tłumacza i przewodnika. Czy zdaje sobie pani sprawę, jak mocny materiał przywiezie Leo? Nie

przesadzałem, mówiąc o jądrze ciemności. Tam kwitnie niewolnictwo, dochodzi do tak okrutnych zbrodni, jak w powieści Conrada.

- O to nam właśnie chodzi.

- Jeżeli tak się sprawy mają, jedźmy.

- Czego chciała? - Nie zdążył odłożyć słuchawki, a już przy nim była. O ważnych zajęciach zapomniała.

- No nie wiem, czy ci mogę powiedzieć, to wielka tajemnica.

- Możesz, możesz. Będę milczała jak grób.

- Zobaczymy. - Dał jej klapsa.

- Auu. Dlaczego ciągle mnie bijesz?

- Jakie znowu ciągle? Chciałem tylko sprawdzić, czy potrafisz milczeć.

Nie potrafił się powstrzymać od tych klapsów. Wykorzystywał każdy pretekst. Tyłek żony pociągał go nieodparcie.

- Masz mi natychmiast powiedzieć, co od ciebie chciała. I nie kombinuj.

- Jadę do Sudanu z Leo von Lewinskim, bratankiem naczelnej.

- Ty jedziesz? Chciałeś z pewnością powiedzieć: „My jedziemy”.

- To nie jest najlepszy pomysł. Tam panują średniowieczne obyczaje, kwitnie niewolnictwo. Jawnie i na wielką skalę.

- Niewolnictwo? To dlatego nie chcesz mnie zabrać! Chodzi ci o te uległe niewolnice?!

- Nasze gry miłosne nie mają nic wspólnego z prawdziwym niewolnictwem, mrocznym procederem. Martwię się, czy wrażliwa kobieta zniesie takie widoki. Patrzysz na niewolników i w żaden sposób nie możesz im pomóc. To dramatyczne przeżycie. Przysięgam.

- I nic nie można zrobić?

- Nic. Nie chcę cię zbywać. Jeśli chcesz, wyjaśnię szczegółowo. My, świat cywilizowany, jesteśmy bezradni wobec niewolnictwa i handlu ludźmi. Tak się dzieje nie tylko w Sudanie. Na mniejszą skalę również w Egipcie. Jeżeli koniecznie chcesz zobaczyć niewolnictwo, obiecuję zabrać cię na pogranicze egipsko-sudańskie. Będzie bezpieczniej.

- Mówisz? Skoro tak, niech będzie.

Miał w zanadrzu argument, którego na szczęście nie musiał użyć. Nie był zmuszony przypominać, przez co przeszła Marlana.

- Zróbmy tak: Jedź sobie z Leo do Sudanu. Jak wrócicie, opowiesz, jak było. Wtedy wspólnie zadecydujemy, czy wyjazd do południowego Egiptu ma sens. Tylko obiecaj, że nie będziesz kombinował, bo zdolności w tym kierunku masz.

- Obiecuję. Jesteś mądra jak królowa Saba.

Baron von Lewinski przyleciał po trzech tygodniach. Robert odebrał go z lotniska. Spotkał już kiedyś równie atrakcyjnego mężczyznę. Pełen złych przeczuć, zaprosił go do domu. Nie widział innego wyjścia. Marion zdążyła znaleźć odległe koneksje rodzinne. Utytułowanej szlachty niemieckiej było kilkadziesiąt tysięcy. Tyle, ile liczy niewielkie miasteczko. Nic więc dziwnego, że wszyscy się znali i byli skoligaceni. Po kolacji, przy butelce koniaku, który Leo przywiózł specjalnie na tę okazję, dyskutowali o wyprawie. Marion siedziała z boku, wpatrując się w obu mężczyzn.

- Byłeś wcześniej w Afryce?

- Taa, dwa lata w Afrika Korps. Brałszy udział w tej samej wojnie, ale na różnych podwórkach. - Leo uśmiechnął się ironicznie.

Nie był specjalnie zaskoczony. Akurat on idealnie pasował do powszechnego wyobrażenia o „lisach pustyni” Erwina Rommla.

- Jaki miałeś stopień?

- Przed kapitulacją dostałem awans na majora.

Z wyglądu byli rówieśnikami, a Leo miał dużo wyższy stopień wojskowy.

- Ja się nie mogę pochwalić taką szarżą. Wojnę zakończyłem jako skromny porucznik.

Marion nie wytrzymała i demonstrując wielką lojalność, wypaliła:

- Robert był bohaterem wojennym. Dostał nawet medal!

Na Leo ta informacja nie zrobiła większego wrażenia.

- Jak ktoś był zbyt odważny, to nie przeżył. Tylu poległo, że ci, którzy ocaleli, musieli ich zastąpić. Przygotowałeś jakiś plan?

- Wybieramy się w zapalne miejsce, gdzie nasze doświadczenie niewiele pomoże. Chcę wynająć trzech miejscowych obeznanych z bronią. Zresztą, tam wszyscy chodzą uzbrojeni. Sudańczyk bez karabinu przestaje być mężczyzną. Pojedziemy w dwa dżipy. Tak będzie bezpieczniej. Jeżeli stracimy jednego, będziemy się mogli ewakuować drugim.

- Jakie uzbrojenie?

- Normalnie, AK47, pistolety.

- Dlaczego akurat AK47?

- Są niezawodne, najtańsze, najłatwiej je kupić.

- Coś jeszcze?

- Na wszelki wypadek zabierzemy granaty.

- Nie! Naprawdę? Jadę pisać reportaż czy wybieram się na wojnę?

- Niestety, jedno i drugie, Leo. Ostrzegałem! W tej części Afryki wojna trwa nieustannie. To pogranicze Arabii i Czarnej Afryki. Islamu i chrześcijaństwa. Łowców niewolników i ich ofiar. Arabowie przez wieki niepodzielnie panowali na tych terenach. Teraz Murzyni mają kałachy i nie pozwalają się bezkarnie mordować. W południowym Sudanie, w Darfurze, trwają nieustanne walki. Stacjonują tam znaczne siły rządowe i milicje arabskie, które bezskutecznie usiłują zlikwidować czarną partyzantkę. Tam nawet moskity to mordercze bestie!

- Znakomicie, że mnie uprzedziłeś, przynajmniej się odpowiednio nastawię.

- A więc tak to wygląda! Jak opowiadałeś o niebezpieczeństwach, myślałam, że jak zwykle robisz mnie w balona. Teraz słyszę, że jest nawet gorzej, niż mówiłeś. Może jedźcie gdzieś bliżej, gdzie jest bezpieczniej. Nie chcę, żeby ci się coś stało.

Zarejestrował, że podświadomie obawia się o niego, nie o nich. Niby nic, a jednak... Leo oczywiście tego nie zauważył.

- Jak zorganizujemy wyjazd?

- Jest tylko jeden sposób. Samolotem do Chartumu. Lot mamy pojutrze.

- Widzę, że nie marnowałeś czasu.

- Zbyt wiele go nie mamy. W Sudanie są ogromne odległości. W Chartumie wynajmiemy ludzi, kupimy dżipy, wyposażenie, broń. Potem wyruszymy na południe. Początkowo afrykańską drogą, a dalej bezdrożami, na jedno wychodzi. Do celu dotrzemy za tydzień. Ponieważ czeka nas jeszcze droga powrotna, na miejscu będziemy mieli nie więcej niż dziesięć dni.

- To mi odpowiada, powinno wystarczyć.

- Wybacz, Leo, czeka ambasador. Nagła sprawa. Mia dotrzyma ci towarzystwa. Macie sobie z pewnością wiele do opowiadania.

- Mną się nie kłopotcz. - Leo nie miał nic przeciwko pozostaniu sam na sam z apetyczną baronessą.

Ambasador nie czekał. Chciał ich pozostawić samych. Nie wiedział, dlaczego to robi. Żeby ją wypróbować czy może aby coś sobie po raz kolejny udowodnić?

Marion odwiozła ich na lotnisko. Pożegnanie było czułe. Wpiła mu się w usta, jakby chciała wyssać ślinę. Była niespokojna, miała złe przeczucia.

- Uważaj na siebie. Jak ci się coś stanie, nie masz po co wracać do domu, bo cię zamorduję.

Po wyjściu z samolotu uderzyła w nich fala gorącego jak w piekle powietrza. Oddychali z trudem. W Chartumie poszło nad podziw sprawnie. Wynajdywał odpowiednich ludzi, targował się i finalizował transakcje. Na koniec Leo zażyczył sobie plastiku i zapalników. Tak na wszelki wypadek.

- Wybierasz się może na wojnę?

- Dopiero kiedy zobaczyłem tych ludzi, doceniłem twoje obawy. W niczym nie przypominają tunezyjskich wieśniaków. To prawdziwe wilki.

Sudan pozostawał protektoratem brytyjskim, jednak niepodległość można było wyczuć na każdym kroku. Data przekazania

władzy Sudańczykom została wyznaczona. Na miejscu byli pięć dni po wylocie z Kairu. Dotarli do małego miasteczka o nazwie Torit, nieopodal granicy z Ugandą, w którym mogli się zaopatrywać w żywność i wodę. Tu założyli bazę. Ludność była głównie czarna, jednak najważniejsze stanowiska zajmowali Arabowie.

Zasugerował, żeby poznać miejscowych notabli i od nich dowiedzieć się wszystkiego, co może zainteresować Leo. W Torit napotkali pierwszych niewolników, chłopców z plemienia Dinka, porwanych ze swoich wiosek i sprzedanych do niewolniczej pracy. Ta zapomniana przez Boga miejscina była ważnym karawanserajem dla karawan docierających do Sudanu z czarnego południa.

Pod wsią znaleźli otoczony płotem plac przeznaczony dla karawan. W milczeniu przypatrywali się rzędom zakotwiczonych w ziemi słupów. Do każdego było przymocowane żelazne kółko. Leo próbował poruszyć jeden ze słupów. Rozbawił towarzyszących im Arabów. Rękami pokazali, jak mały kawałek wystaje ponad ziemię. Wkopywali je niewolnicy. Robert był szczęśliwy, że nie musi opisywać tak ponurych historii. Samo oglądanie było przygnębiającym doświadczeniem.

Ceny, za jakie handlarze sprzedawali żywy towar, były w Torit najniższe. Takie informacje mogli bez przeszkód zebrać od miejscowych, ponieważ w ich mniemaniu niewolnictwo było czymś normalnym i nie mieli wyrzutów sumienia, kupując, a następnie wykorzystując niewolników. Jeden z bogatszych Arabów kupił kilka młodych kobiet i zmusił je do uprawiania prostytucji. Zbudował w tym celu na obrzeżu wsi budynek, w którym każdy mężczyzna mógł za niewielką opłatą zaspokoić swoje potrzeby seksualne. Islam zakazuje prostytucji, jednak takimi drobiazgami nikt się nie przejmował. Zawsze można się wytłumaczyć przed Allahem, że Murzynki nie są mużłmankami, zatem ich prawo koraniczne nie dotyczy. Leo namawiał Roberta, żeby wybrał się do burdelu i porozmawiał z dziewczynami.

- Tylko zapłacisz, nie musisz ich pieprzyć. Po prostu z nimi pogadasz. Ja nie mogę, nie znam arabskiego.

- Przykro mi, ale nie - odparł stanowczo. - Nie pójdę z jednego powodu. Twoje artykuły niczego nie zmienią. Nie ma na świecie siły, która mogłaby wypłenić lub choćby ograniczyć niewolnictwo w tym kraju. Jaki sens opisywać los tych nieszczęsnych istot? To miejsce, o którym zapomniał Bóg. Dopóki będzie żył choć jeden Murzyn, którego można złapać i zmusić do pracy, Murzynka, którą można zgwałcić, oni nie przestaną. Jedynym wyjściem jest uszczelnienie granic, żeby nie porywali mieszkańców sąsiednich krajów. Ale to zadanie przekracza możliwości tych państw. Niewolnicy są jak Żydzi w III Rzeszy. Czy zrobiłeś dla nich cokolwiek?

Zadał cios poniżej pasa, jednak taka była prawda. Leo wzruszył ramionami. Rozmowa zaczęła się rozjeżdżać. Każdy ciągnął w swoją stronę.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Tak sądzisz?

Nie chciał konfliktu, ale się go nie bał. Leo chyba wyczuł jego nastrój.

- Nie chcę kłótni. Nie mam zamiaru spierać się z tobą. Próbuje robić to, za co mi płacą.

Podchwycił pojednawczy ton. Wyciągnął butelkę, usiedli przed namiotem.

- Porozmawiajmy spokojnie. Może wymyślimy, o czym możesz pisać i jak zebrać informacje.

- Co proponujesz?

- Napijesz się kawy?

- Z chęcią, ta, którą parzą nasi ludzie, jest znakomita.

- Po pierwsze, powiedz, jak wygląda twoja religijność.

Leo się zdziwił, jednak odpowiedział.

- Wstyd powiedzieć, nie za bardzo. Na wojnie napatrzyłem się na takie potworności, że przestałem wierzyć w Boga. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem.

- Nie, skądże.

Wyjął z torby dwie zielone książki, jedną rzucił jemu.

- Koran? I to po niemiecku!

- Kiedy zgłębisz nauki Mahometa, zamierzasz przejść na islam. Nie obawiaj się. Nie zostawię cię samego.

Drugą książką również był Koran, po arabsku. Cenne wydanie, prawdziwy biały kruk. Zawołał ochroniarza i kazał zaparzyć kawę.

Rozeszło się szybciej, niż sądził. Sudańczyk zobaczył świętą księgę. Był dezorientowany. *A jeśli Frankowie¹⁰² zamierzają szydzić z Proroka?* Odszedł niedaleko i obserwował. Robert poznał obyczaje Arabów tak gruntownie, że mógł zaplanować przebieg zdarzeń.

- Otwieramy i czytamy. Z namaszczeniem! Co jakiś czas pokazujemy coś sobie, podnosimy głos, szeroko gestykulujemy. Allahu Akbar! Obserwuje nas.

Po chwili Sudańczyk popędził do kolegów. Z daleka słyhać było gardłowe odgłosy ożywionej dyskusji. Po południu poszli do wioski. Wieść o lekturze Koranu ich wyprzedziła. Zostali zaproszeni przez marabuta. Tak w Afryce Północnej nazywano duchownych muzułmańskich.

- Co was, bracia, sprowadza do naszej wioski? - zwrócił się do nich z widoczną estymą.

- Chcemy opisać wasz kraj. Nieustraszony wojownik i mąż wielce uczony - wskazał Leo i z szacunkiem się przed nim pokłonił - przybył z kraju Franków, żeby zobaczyć, jak żyjecie, dać świadectwo waszej niezłomnej wiary.

Pomyślał, że oszukiwanie duchownych przychodzi najłatwiej i przynosi niezrozumiałą satysfakcję. *Jak to możliwe? Przecież żyją z oszukiwania wiernych, więc dlaczego sami dają się tak łatwo nabrać?* Marabut mlasnął z zachwyty.

- Powiemy wam i pokażemy wszystko. Jesteście naszymi gośćmi.

Po wyjściu od muły Leo klepnął go w plecy.

- Możesz mi się kłaniać częściej. To kim ja według ciebie jestem?

Przez następne dni poznawali świat pogranicza. Arabowie chętnie opowiadali o swoim życiu. Również o niewolnictwie, z którego byli dumni.

- Żyjemy jak nasi przodkowie. Murzyni, którzy nie wyznają jedynej słusznej wiary, muszą nam służyć. Taka jest wola Boga.

Robert przytaknął i zacytował Koran:

- „Bóg wywyższył jednych z was nad drugimi w rozdziale swoich dóbr. Lecz którym dano więcej, nie oddadzą swoich dóbr niewolnikom, tak iżby byli równi. Czyżby zaprzeczali dobroci Boga?”. Mahomet rzekł jeszcze: „My uznaliśmy za dozwolone dla ciebie żony, którym dałeś wiana, i niewolnice, które ci darował Bóg jako zdobycz” - kontynuował, wciągając się w rolę.

Arabowie kiwali z uznaniem głowami. Byli pod wrażeniem jego dogłębnej znajomości Koranu. Z dumą demonstrowali kolekcję żelaz służących do wypalania piętna na ciele niewolników. Były różnej wielkości, przeznaczone do wypalania wiecznego symbolu zniewolenia na ciałach mężczyzn, kobiet, nawet dzieci. Najstarsze służyły do napiętnowania tysięcy niewolników.

Miliony nieszczęśników rasy białej doświadczyło tego najokrutniejszego losu, jaki ludzie zgotowali ludziom. Jedni tylko muzułmańscy piraci na przestrzeni kilkuset lat porwali z Europy ponad dwa miliony nieszczęśników. Nie wiadomo, jaką liczbę przy okazji wymordowali. Wyprawy krzyżowe kosztowały nieporównanie mniejszą liczbę ofiar. Dotarli na Islandię, a rajdy pirackie na Kornwalię były w XVII wieku prawdziwą plagą. Miliony chrześcijan, prawosławnych, Żydów pojмали w jasyr Tatarzy i jak bydło pędzili przez Dzikie Pola, na bazyry Stambułu, Kaffy, Saraju. Kolejne miliony Greków, Bułgarów, Serbów i innych Europejczyków zniewolili Turcy. Świat islamu nieustannie wystawia chrześcijańskiej Europie „rachunek” za wyprawy krzyżowe, „zapominając” o nieporównanie tragiczniejszej drugiej stronie tej nierówności. A Europa z wynikającą z tępoty i nieuctwa naiwnością daje się wodzić za nos.

Oprócz drastycznych faktów dotyczących niewolnictwa zebrali informacje o warunkach panujących w tej części Sudanu. Proste, pozbawione wad zachodniej cywilizacji życie ich gospodarzy stało w zdumiewającej sprzeczności z mrocznym rzemiosłem, jakim się parali.

Dowiedział się, że do wioski powinna wkrótce dotrzeć karawana. Leo chciał koniecznie wyjechać jej naprzeciw, żeby na własne oczy zobaczyć, a potem opisać karawanę niewolniczą w drugiej połowie XX wieku. Robert podzielał jego dziennikarski zapał, więc się zgodził. Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów napotkali karawanę. Ich ludzie powitali serdecznie konnych nadzorców, których było szesnastu. Wiedli ponad setkę Murzynów ze szczepu Dinka. Wysokich, smukłych, harmonijnie zbudowanych. Pięknych ludzi. Młode kobiety, które miały zostać sprzedane do zamożnych domów w całej Arabii. Zostaną służącymi lub nałożnicami. Najpewniej będą wypełniały jedną i drugą powinność jednocześnie. Niektóre z nich czekał tragiczniejszy los. Przeznaczeniem mężczyzn oraz młodych chłopców była niewolnicza praca w kopalniach czy na plantacjach.

Skuci łańcuchami, z grzbietami naznaczonymi batem, krwawiący w miejscach, w których żelazne obręcze ocierały ciało. Pokryci kurzem, nieludzko wycieńczeni. Potwornie spragnieni. Krok po kroku zamieniający się w zwierzęta. Zostaną sprzedani! Żywe, czujące, myślące ludzkie istoty sprzedane jak przedmioty. Przedstawiali przerażający widok. Trzeba kamiennego serca, żeby się trudnić taką profesją.

Po serdecznym powitaniu zarządzono postój. Przywódcą karawany był szejek klanu Awlad. Miał klasyczne, szlachetne i jednocześnie okrutne rysy twarzy. *Żywcem zdjęty z obrazu Marion. Jaką ona ma wyobraźnię!*

W cieniu parasola chroniącego przed palącym słońcem rozmawiali o przebiegu wyprawy. Opowieść Araba była jeszcze bardziej przerażająca niż widok karawany. Mieszkańców wioski, których nie mogli czy nie chcieli zabrać, wymordowali.

- Taka jest wola Allaha, zabijanie niewiernych jest prawem muzułmanina.

Długo nie mogli zasnąć. Leżeli na polowych łózkach i rozmawiali. Moskitiera się uniosła i do namiotu weszły dwie Murzynki. Były gibkie, smukłe jak trzcina i jak większość kobiet Dinka bardzo ładne. Ich pan kazał im umilać gościom noc. Dawno już porzuciły myśl o sprzeciwie. Skóra dziewcząt nosiła ślady perswazji, za pomocą której zmuszono je do uległości. Z powszechnym w tej części świata fatalizmem pogodziły się ze swoim losem. Chciał je odprawić, jednak Leo mu to wyperswadował.

- Jeżeli je wyrzucimy, zostaną ukarane. Arabowie uznają, że to ich wina, nie dość się starały.

- Nie przyszło mi to do głowy. Zresztą, najmniejszym zmartwieniem tych dziewczyn jest pieprzenie się z obcymi mężczyznami. Już do tego przywykły. Mają daleko większe problemy. Mogą zostać barbarzyńsko obrzezane lub trafić do burdelu. To dopiero będzie dramat.

Przyzwalającym gestem zachęcił, żeby weszły. Stały przed nimi, nagie i powabne. Ich czarna skóra błyszcząca w świetle lampy naftowej, jak naoliwiona. Przez chwilę dyskutowały. Najwyraźniej o tym, która ma iść do którego. Z gestów wynikało, że obie chcą do Leo. Ze stoickim spokojem przyjął ten afront.

Jego dziewczyna była młodsza, zapewne dlatego musiała ustąpić. Kiedy ją obejmował, drżała jak liść. W niewoli doświadczała tragicznych przeżyć. Była bezbronna, nie wiedziała, co ją czeka. Czy będzie bita, czego od niej zażąda. Żeby jej jeszcze bardziej nie przestraszyć, był delikatny jak dla nieśmiałej kochanki. Z sąsiedniego łóżka dochodziło skrzypienie sprężyn i pojękiwania, a on ją obłaskawiał. Wszedł w nią dopiero, kiedy się odprężyła. Wykorzystywanie ciała młodziutkiej niewolnicy wywoływało emocje, jakich jeszcze nie doświadczył. Przez okoliczności, przez swą odmienność wzbudzała niesamowite pożądanie. Kultura, humanistyczne wychowanie mówiły: „Nie rób tego! To hańba! Tę

dziewczynę porwano i siłą zmuszono, żeby się tobie oddała”. Jednak prymitywny instynkt, pierwotna natura brały górę: „Kobiety pokonanych należą do zwycięzców, są łupem wojennym. Takim jak bydło i złoto. Zawsze tak było. Zerznij ją, jest twoja, zrobi, co każesz”. Jakby ten pierwszy, cywilizowany, wykształcony Europejczyk nie próbował walczyć z tym drugim, dzikim i prymitywnym, nie miał szansy.

Poranną krzątanicę zakłóciły głośne krzyki i wystrzały. Robert wysłał jednego ze swych ludzi, żeby się rozeznał w sytuacji. Nie było go dosyć długo. Wrócił podekscytowany.

- Nad ranem uciekło dwóch chłopców i dziewczynka. Arabowie pojмали ich i przywlekli do obozu. Zostaną surowo ukarani.

- Co z nimi zrobią? - Już zadając pytanie, miał najgorsze przeczucia.

- Chłopców wykastrują. Jeżeli przeżyją, będą więcej wari. Dziewczynkę przywiążą do kija i wrzucą do mrowiska. Zawsze tak karzą za ucieczkę. Pradawny obyczaj. Ma odstraszać od naśladowania. Idziemy popatrzeć. Wielkie widowisko, trzeba koniecznie zobaczyć! - wykrzyknął i pobiegł po kolegów.

Przetłumaczył, co się wydarzyło i co ma wydarzyć. Leo, przewracając stół, poderwał się na nogi. Wyraz jego twarzy mówił wszystko. Robert, nie czekając na niego, poszedł do obozu handlarzy niewolników. Jego partner wyciągnął z bagażnika kałacha i przeklinając, dołączył. Powróciło wspomnienie tamtej nocy. Wtedy się bał. Zabijał z konieczności. Nie był skory do rozlewu krwi, jednak dzisiaj pałał żądzą mordy.

Szejk stał na środku drogi i bacznie ich obserwował. Był wojownikiem i po zdecydowanym kroku, jakim szli, zwietrzył niebezpieczeństwo. Żeby nie pozostawiać wątpliwości, strzałem w powietrze wypowiedział wojnę. Zanim Arab zdążył sięgnąć z pleców strzelbę, miał przestrelone podbrzusze.

Tłumiona, bezsilna złość przełożyła się na okrucieństwo strzału. Śmiertelnie ranny shejk, wyjąc nieludzko, zwił się na piasku jak

ranna kobra. *Mają, czego chcieli, wielkie widowisko.* Arabowie byli uzbrojeni w karabiny lee enfield z I wojny światowej. Broń ta sprawdzała się podczas napadów na wioski zamieszkałe przez nieuzbrojonych wieśniaków. Mieli teraz innego przeciwnika. Strzelali jak do kaczek, za chwilę drugi Arab kopał piasek w przedśmiertnych drgawkach. Rozprawa z pozostałymi, z których kilku, czując się w obozowisku bezpiecznie, nie nosiło karabinów, nie zajęła wiele czasu. Nieoczekiwanie nad ich głowami zajazgotała seria z automatu. W konflikcie pomiędzy złożoną na Koran przysięgą, której, przyjmując ich do służby, zażądał Robert, a solidarnością plemienną, Sudańczycy wybrali, jak należało oczekiwać, więzy krwi. Przysięgali niewiernym!

Nie musieli niczego ustalać, rozbiegli się w dwie strony. Kiedy oddalili się od siebie na wystarczającą odległość, padli na ziemię. Mogli teraz ostrzeliwać wroga ogniem krzyżowym. Leo zdążył się wysforować, więc go osłaniał, strzelając w krzaki, w których skryli się Sudańczycy. Lis pustyni oddawał krótką serię, przebiegał kilka kroków i z lisią zwinnością padał za stertą kamieni albo w zagłębieniu terenu. Kiedy dotarł na odległość pewnego strzału, role się odwróciły. Teraz to on podbiegał. Widział już ukrytych w krzakach Arabów. Z typową dla siebie nonszalancją strzelali, stojąc. Nagle jeden zawył z bólu i upadł. Dwaj pozostali, zapominając o rannym towarzyszu, rzucili się do ucieczki. Dopadli dżipa i zniknęli za zakrętem.

Robert i Leo dobiegli do drugiego auta. W stacyjce nie było kluczyka. Leo szarpnięciem wyrywał kable. Chciał uruchomić silnik na styk i ścigać uciekinierów. W tym czasie Robert obszedł samochód. Jedno koło było przestrzelone. Resztką powietrza uchodziła z sykiem.

- Daj spokój, mamy kapcia. Zanim wymienimy koło, będą daleko.

- Wielka szkoda. Z chęcią bym ich zastrzelił, nienawidzę zdrajców.

- Wracajmy do karawany, bo Murzyni poumierają ze strachu.

Zawołał po arabsku:

- Zabiliśmy złych ludzi, którzy was porwali. Jesteście wolni, wróćcie do swojej wioski. Czy któryś zna arabski?

Kilku drgnęło.

- Przetłumacz moje słowa - powiedział do najbliższego.

Przetłumaczył, ale Murzyni nadal byli przerażeni.

- Gdzie są klucze od kajdan?

- W magazynie, panie.

Uspokajał Murzynów, Leo w tym czasie obchodził pobożowisko. Trupy wpatrywały się w niego znieruchomiałymi białkami. Sprawdzał każdego i dobijał rannych. Robert go nie potępiał, postąpiłby podobnie. Na tej wojnie nie znano konwencji, nie było litości. W magazynie znalazł pęk kluczy i rozkuł kilku pierwszych. Wtedy zauważył dziewczynę, tę młodszą. Wpatrywała się w niego w milczeniu wielkimi, niemal granatowymi oczami. Nie odmówił sobie satysfakcji i ją uwolnił. Druga siedziała obok, więc ją też rozkuł. Dopiero kiedy pokazała zakrwawiony rękaw, dotarło do niego, że został draśnięty. W ferworze walki nie czuł bólu. Oddał klucze tłumaczowi i wrócił do magazynu. Jego kompan już tam był i sprawnie zabandażował ramię. Uśmiechnęli się do siebie z ulgą i powrócili na pole bitwy.

Leo z obojętną miną obszukiwał zwłoki. Znalazł kilka sakiewek wypełnionych złotymi monetami. Zabrał też siodło szejka. Wysadzane kamieniami szlachetnymi, okute srebrem - arcydzieło rzemiosła siodlarskiego. Był znakomitym jeźdźcem, więc ucieszył się z tej zdobyczy. Robertowi przypadł jatagan. Piękna i niebezpieczna broń w kształcie maczety, z inskrypcją do Allaha, opatrzona sygnaturą damasceńskiej pracowni płatnerskiej. Wygrali bitwę, wzięli bogate łupy.

- Co teraz? - Leo patrzył na niego wyczekująco.

- Ja mam decydować? Jestem kapitanem, ty majorem. Lisem pustyni. Potrzebny jest nam spryt lisa. Chodź, odetchniemy i zadecydujemy, co dalej.

Usiedli przy stoliku, od którego tak niedawno się poderwali. Musieli ugasić pragnienie. Słońce w zamkniętej kotlinie prażyło niemilosiernie. Chwilę pomilczeli, lepiej im było odetchnąć w ciszy.

- Musimy coś postanowić. - Leo długo nie usiedział, był wyraźnie zaniepokojony.

- Mamy co najmniej dobrą przewagę. Ta hałastrą z wioski nie będzie nas ścigać. Dowiedzą się, że wybiliśmy całą bandę, wtedy odejdzie im ochota. A nasi ludzie? - Przed chwilą Leo dobił tego, którego zranił. - Jadąc do Torit, mijaliśmy obóz wojskowy. Formalnie podlegają brytyjskim rozkazom. To nadal nasz protektorat. Jednak proces przekazywania władzy trwa, w obozie nie widziałem brytyjskich oficerów. Do nich pojadą.

- Sądzisz, że będą nas ścigali?

- To ich tereny plemienne, stąd pochodzą. Może zabiliśmy czyjegoś ojca albo brata? Obowiązuje ich fatwa, prawo zemsty. Zrobią wszystko, żeby nas schwytać.

- Co w takim razie zrobimy?

- Uciekniemy na południe, do Ugandy. To kolonia brytyjska. Granica jest kilkadziesiąt kilometrów stąd. Niestety po jej przekroczeniu nie będziemy bezpieczni. Nie zrezygnują z pościgu, tu nikt się nie przejmuje granicami.

- Kiedy będziemy bezpieczni?

- Dopiero po dotarciu do takiego posterunku ugandyjskiej policji lub wojska, którego nie odważą się zaatakować.

- Więc ruszajmy. Ruszajmy jak najprędzej, już po jedenastej.

Zorganizowanie karawany zajęło trochę czasu. Na szczęście mieli konie. Jeden był ranny, więc musieli go dobić. Został wypatroszony i poćwiartowany. Mięsa wystarczało dla wszystkich. Arabowie świadomie głodzili niewolników. Byli mistrzami mrocznej profesji, którą praktykowali przez tysiąclecia, przekazując wiedzę z ojca na syna. Wiedzieli, że zagłodzony niewolnik traci wolę walki, można go wtedy łatwo kontrolować.

- Będą musieli ścierpieć głód jeszcze dziesięć godzin. Nic im nie będzie.

- A ten, co wyprawia? - Leo wpatrywał się w chłopca, który wspiął się na samotne drzewo i pełził po grubym konarze. Owinięty

był liną.

- Zaraz zobaczysz. - Robert uśmiechnął się zagadkowo. -
Ruszamy! - rozkazał przewodnikowi karawany.

Murzyn dotarł do połowy długości konaru, przerzucił linę i spuścił na ziemię obydwie końce. Robert przywiązał trupa szejka do liny i wspólnie z bardzo niezadowolonym Leo podciągnęli zwłoki. Chłopiec przywiązał ciało do konaru, zsunął się na ziemię i dumny ze swoich dokonań pobiegł za karawaną.

- Co za barbarzyński obyczaj! - Nawet twardy weteran Afryka Korps był zaskoczony profanacją zwłok.

- Stanowczo protestuję. Co mieliśmy zrobić? Pogrzebać tych bandytów? To strata bezcennych minut, a pościg nie będzie musiał tracić czasu na pochówek. Znasz głupszy pomysł?

Leo nie znał, więc się nie odezwał.

- Gdybyśmy zostawili zwłoki, zwierzęta by je rozwłóczyły. Nie mieliby kogo grzebać. Pozostaje moje, niezwykle humanitarne rozwiązanie. Najwyżej sępy wyłupią mu oczy, ale to nie mój problem, podobno zmarli nie chowają urazy. Muzułmański ceremoniał pogrzebowy jest prosty, jednak na ściągnięcie trupa i pogrzebanie z należnymi honorami potrzeba czasu. Tyle jest wart mój pomysł!

Podeszli do dziupa. Leo ponownie znalazł powód do przeklinania.

- Benzyny zostało niewiele ponad rezerwę. Na długo nie wystarczy. Zapasowe kanistry były w drugim dziupie.

- Wsiadaj! - uciął przemowę kolegi. - Najważniejsze to odjechać jak najdalej.

Droga wiodła przez bezkresną, spaloną słońcem sawannę, ponad którą rysowały się sylwetki patriarchów - samotnych baobabów i akacji. Krajobraz tańczył w drgającym od gorąca powietrzu. Napotykali usiane skałami, wyschnięte łożyska rzek, które pokonywali z trudem. Dopiero wieczorem dotarli do kamienia granicznego. Wokół nie było żywego ducha. Granica istniała wyłącznie na mapie. Leo wyciągnął ze skrytki pakunek zawierający plastik oraz zapalniczki.

- Podobno szukałeś lisa? Zaczekam na nich i poproszę, żeby zaniechali pościgu. Dojedź jak najdalej i rozbij obóz. Do zobaczenia jutro.

- Dziękuję, dobry z ciebie kumpel. - Leo był bodaj jedynym człowiekiem, o którego nie musiał się w takiej opresji martwić.

Droga była w beznadziejnym stanie, przebyli zaledwie kilkanaście kilometrów, wtedy zabrakło paliwa. Nie było sensu jechać dalej. Zmrok zapadał, a pościg nie powinien tej nocy dotrzeć do granicy. W tej dzikiej krainie zachód miał magiczny urok. Słońce kryło się za horyzontem, pozostawiając za sobą podświetlone na purpurowo niebo. Na tle poświaty majaczyły sylwetki drzew. Murzyni rozpalili ogniska, upiekli koninę i po raz pierwszy od nie wiedzieć kiedy najedli się do syta. Byli wycieńczeni, czuli jednak zapach i smak wolności. Zasiedli wokół ognisk i śpiewali budzące dreszcze pieśni, w których można było usłyszeć pierwotną Afrykę.

Jego traktowali jak króla. Przynieśli najlepszy kawałek pieczeni zawinięty w liść. Malec, może ośmioletni, chciał mu koniecznie zzuć buty. Opędzić się nie mógł od tej opieki, uciekł więc do namiotu, jednak i w nim nie zaznał spokoju. Do środka wkroczyły, uśmiechając się promiennie, obie dziewczyny. Tym razem sprawiały wrażenie pewnych siebie. Miał je raz, mógł równie dobrze mieć i drugi. Były wolne, nikt ich nie przymuszał. Wczoraj wymieniał się kobietami, dzisiaj miał je obie. Robiły wszystko, żeby tej nocy długo nie zapomniał.

Rano nie chciało mu się wstawać. Dziewczyny obsługiwały go ochoczo. Przyniosły miskę z wodą, śmiejąc się, umyły, ubrały i zaprowadziły do stolika, na którym czekało śniadanie. Kiedy jadł, siedziały naprzeciw i pogodnie uśmiechnięte wpatrywały się w niego swoimi wielkimi oczami. Pomyślał, że Marion nigdy tego nie robiła. Wpatrywanie głęboko w oczy podczas śniadania trafiło na pierwsze miejsce listy życzeń. *Taa, od kobiet Dinka też się można czegoś nauczyć.* W sztuce kochania jego żona pozostawiała je daleko w tyle.

Wyruszyli zaraz po śniadaniu. Dżipa ciągnęły cztery konie. Zbędne zapasy zostawili. Na pozostałe wierzchowce posadzili najslabszych. Po dwóch godzinach w oddali wzbił się słup kurzu. Z tej odległości wybuchu nie słyszeli.

Mieli około dwudziestu kilometrów przewagi. Dżipa nie chciał, póki co, porzucić. Musieli dotrzeć do Kampali, a transportu publicznego w Ugandzie nie było.

Leo dogonił ich niepokojąco szybko. W samochodzie, który pełnił rolę karety, opowiedział, co się wydarzyło. Założył ładunki pod drogą. Podzielił plastik na pięć części. Zakopał je co cztery kroki. Chciał mieć pewność, że wybuch zniszczy przynajmniej jeden pojazd i zabije kilku ścigających. Większych ambicji nie miał. Podłączył zapalniki do induktora i znikł w buszu. Była to najryzykowniejsza część operacji. Dysponował zaledwie pięćdziesięciometrowym przewodem. Bezpośrednio po wybuchu, kiedy żołnierze byli jeszcze oszołomieni, pobiegł w dół drogi. W miejscu, w którym uwiązał konia, ponownie zapadł w busz. Wybuch zniszczył pierwszego land rovera i poważnie uszkodził drugiego. Sudańczycy mieli dwa auta terenowe i kilka półciężarówek, które pozostały nienaruszone. Ścigało ich stu żołnierzy. Znacząca siła. Wyruszyli dopiero po godzinie kłótni i narad. Oczekał i z kilkudziesięciu metrów wypróżnił w pierwszą półciężarówkę cały magazynek. Nie czekając, aż ochłona, wskoczył na konia i odjechał.

- Jak uważasz? Będą nas ścigali? - zapytał.

- Może... może. Na wojnie niczego nie wolno pozostawiać przypadkowi.

Jechali przez sawannę w doskonałych nastrojach. Opowiedział o swoich nocnych przygodach.

- Teraz wypada na ciebie. Z pewnością już to robiłeś.

- Z dwoma? Nie raz, kiedyś nawet z siostrami. We Francji miałem dwie lesbijki.

Tak gawędząc, dotarli do niewielkiej rzeki.

- Tu stajemy - zarządził Robert. - Odjechaliśmy kawał drogi od granicy. Jeżeli Sudańczycy nie zrezygnowali, to ich ostatnia szansa.

- Nieźle się wczoraj spisałeś. Nie przypuszczałem, że tak celnie strzelasz. I to z pistoletu. Jaki masz?

Podał mu browninga. Leo z uznaniem obejrzał broń.

- Doskonała robota. Świetnie wyważony, pojemny magazynek, długa lufa - oceniał okiem znawcy.

Rozbili obóz.

- Teraz moja kolej. Jadę ustalić, czy nadal nas ścigają.

Przygotował się starannie. Zabrał automat, zapasowe magazynki i granaty. Wyruszył po zapadnięciu zmroku. Krzyż Południa przyćmiewał blaskiem wszystkie gwiazdy. Zakochany Orion ścigał po niebie Plejady, przodem biegł jego wierny pies Syriusz. Księżycowa poświata wydobywała z mroku zarysy odległych wzgórz i pobliskie kopce termitów. Nie spodziewał się nocnego starcia, nie chciał jednak ryzykować. Bał się, że natrafi na stado polujących lwów, dla których koń będzie daniem głównym, a on przekąską, nie miał jednak wyboru.

W ciągu dwóch godzin pokonał wydeptanym, piaszczystym traktem dwadzieścia kilometrów. Nagle mrok przed nim rozjaśniły smugi światła. Zaklął szpetnie i zjechał w sawannę. Półciężarówki były odkryte, żołnierze siedzieli wzdłuż burt i śpiewali. Warkot silników, ich monotonna pieśń zagłuszały tętent kopyt. Kiedy minął go ostatni pojazd, przeszedł ze stępa w galop, zrównał się z nim, skracając dystans. Trzymał wodze w jednej ręce, drugą wyjął z przewieszanej przez ramię torby granat, odbezpieczył, podjechał, wrzucił do środka i odbił w sawannę. Zdążył oddalić się kilka kroków, kiedy granat wybuchł. Koń się spłoszył, a on omal nie wyleciał z siodła. Opanował go z najwyższym trudem. Jasir byłby z niego dumny. Za nim słyhać było krzyki i strzały, Sudańczycy strzelali na oślep. Zatrzymali się. Objechał konwój szerokim łukiem i wyprzedził. Jeżeli ruszą, będzie ich musiał powstrzymać. Zaklinał swoją gwiazdę, żeby zawrócili. *Oddalają się od granicy, prawdopodobieństwo, że nas dogonią, maleje. Ryzykują starcie z regularnym oddziałem*

ugandyjskim dowodzonym przez brytyjskiego oficera, w którym zostaną rozgromieni. O co chodzi?

Noc mijała, a oni tkwili w miejscu. Nie rozpalili ognisk, co źle wróżyło. Do świtu pozostawało pięć godzin. Mogli przed wschodem słońca dotrzeć do rzeki i schwytać uciekinierów. Niespodziewanie ruszyli. Klął jak szewc. Kilka kilometrów dalej droga wiodła przez niewielki, częściowo wyschnięty las, jedyne miejsce na szlaku nadające się na zasadzkę. Wjechał w zarośla, zsiadł z konia i klepnął w zad, żeby wrócił do obozu. Pewniej czuł się na własnych nogach. Dżungla nocną porą zdecydowanie nie była jego żywiołem. Zaczaił się w przydrożnych krzakach.

Zrządzeniem losu oficer dowodzący pościgiem był synem przywódcy karawany. Trudno nazwać ich pokrewieństwo nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności. W tej części Afryki najważniejsze stanowiska obejmowali mężczyźni z szanowanych rodów, wodzowie klanów. Zrozumiałe, że oficerem wojsk rządowych zostawał syn szejka. Ten, który ich ścigał, chciał pomścić ojca, przede wszystkim jednak odzyskać jatagan, święty amulet przechodzący w ich klanie z ojca na syna. „Ludzie prędzej puszczają w niepamięć śmierć ojca niż stratę ojcowizny”¹⁰³. Wbrew woli żołnierzy zmuszał ich do pościgu. Tym, którzy się opierali, groził śmiercią. Pochodził z potężnego rodu, więc musieli wykonywać jego rozkazy. Jechał w pierwszej półciężarówce, demonstrując, że nie kryje się za ich plecami. Żołnierze siedzieli wzdłuż burt z karabinami wycelowanymi w mrok. Już nie śpiewali.

Doszedł go warkot silników i zgrzyt zmienianych biegów. Rzucił, jeden po drugim, dwa granaty. Pierwszy chybił, drugi wpadł do transportera. Żołnierzowi siedzącemu obok kierowcy udało się w ostatniej chwili odrzucić granat. Brakło czasu na rozpamiętywanie porażki. Kierowca pomógł naprawić błąd. Słyszając wybuchy, odruchowo nacisnął hamulec. Pojazd gwałtownie zahamował, zatrzymując się naprzeciw kryjówki Roberta, który zaskoczony niespodziewanym prezentem wystrzelał cały magazynek w drewnianą

burtę transportera. Seria trzydziestu pocisków spowodowała masakrę. Większość żołnierzy zginęła, pozostali byli ranni. Tylko dowódca wyszedł z zasadzki bez szwanku. Nie potrafił jednak zmusić swoich ludzi do dalszego pościgu. Uklękli z twarzami zwróconymi w stronę Mekki, zobojętniali na groźby. Ku niebu wspięła się litania szahady.

Uspokojony, wyruszył w kierunku obozu. Wokół rozbrzmiewały niepokojące odgłosy tropikalnej nocy. Przedzierał się z trudem przez chaszczę, za drogowskaz mając Krzyż Południa. Na fluoryzującym cyferblacie odczytał godzinę – wpół do piątej. Przestał się obawiać Sudańczyków, ponownie bał się lwów. Ściskany kurczowo automat dodawał odwagi. Przez mrok tropikalnej nocy przebił się brzask. Najpierw niebo zaróżowiło się delikatnie, potem zdecydowanie, wreszcie słońce uniosło się niewielkim skrawkiem ponad horyzont. W jego promieniach dostrzegł sylwetkę samotnego jeźdźca z drugim koniem na uwięzi. Zerwał z głowy kapelusz i wymachiwał nim, wyjąc jak potępiony. Z ulgą dosiadł konia i zdał relację z nocnych zdarzeń. Kiedy wierzchowiec bez jeźdźca przybiegł do obozu, Leo się zdenerwował. Wyprosił dziewczyny, zabrał luzaka i wyruszył na poszukiwania.

Karawana gotowa do wyruszenia z niepokojem oczekiwała ich powrotu. Widzieli, jak Murzyni cieszą się, że wrócili. Obie dziewczyny biegły, trzymając za strzemiona i radośnie coś trąkając.

Przed wieczorem dotarli do wioski, w której znajdował się posterunek policji i dalekopis. Robert wysłał do władz kolonialnych w Kampali telegram z informacją, że zbuntowany oddział sudański przekroczył granicę. Kupili wystarczającą ilość benzyny, żeby dojechać do najbliższej stacji paliw. Chcieli jak najszybciej wyruszyć, ale najpierw mieli coś do załatwienia. Ustawili stołek na środku wsi. Z zabranych Arabom sakiewek Leo wytrząsał złote monety. Uzbierał się spory kopczyk. Każdy dostał równą część. Niewielką, bo podzielili złoto na sto trzy części, jednak w Afryce było to dużo. Ponieważ na każdego wypadało półtorej monety, Robert nożem rozcinał je na

połówki, Leo, który pilnował porządku w kolejce, stwierdził sarkastycznie:

- Na ich miejscu kupiłbym kałachy. Oni kupią krowy i paciorki. - Pokręcił głową z dezaprobatą.

Wyjechali szybko, żeby uniknąć pożegnań. Do Kairu przylecieli bez zapowiedzi. Leo zaproponował, że weźmie taksówkę i pojedzie do hotelu.

- Wykluczone! Poczekamy w barze, a Marion po nas przyjedzie. Zatrzymasz się u nas. Gdybym ci pozwolił pojechać do hotelu, nie dałaby mi żyć.

- A, tu są moi chłopcy! - zawołała, machając ręką, kiedy ich zobaczyła. Na widok Leo rozpromieniła się i nadstawiła mu policzek. - Opowiadajcie, umieram z ciekawości.

Przez drogę zdążyli rozpocząć relację z sudańskich przeżyć. Mówili na zmianę, jak para komentatorów.

- W sobotę jedziemy do Edenu. Leo, jedziesz z nami! - przerwała im. - Zaprosiłam też zakochanych, dojadą później. Zaprzyjaźniłam się z Lindą i często jeździmy razem. Ja gadam i gadam, a to wy mieliście opowiadać.

Po obiedzie dokończyli opowiadanie. Leo zachował się lojalnie. Nie wspomniał o nocnych wizytach. Marion podsumowała:

- Odechciało mi się na jakiś czas przygód. Prosiłam Roberta, żeby mnie zabrał. Całe szczęście, że on mnie nigdy nie słucha.

Rano powiedział, że pilnie wzywają go do ambasady. Nie musiał być w ambasadzie, ale z uporem maniaka dążył, żeby Leo i jego żona spędzili kilka dni we dwoje. Koniecznie chciał się dowiedzieć.

- Może tak wypaść, że będę musiał zostać w Kairze trzy, cztery dni. Mówię, żebyś się nie martwiła.

- Mam się martwić, że ciebie nie ma, kiedy jedzie ze mną taki przystojniak? Wiesz, Leo, mam kłopoty z pamięcią. Kiedy spotykam przystojnego mężczyznę, zapominam, że mam męża.

Chwyła go pod brodę i śmiejąc się, zalotnie zaglądała mu w oczy. A on sprawiał wrażenie zachwyconego.

- Za cztery dni przyjeżdża Linda. Możesz się z nią zabrać. Mam nadzieję, że nie musisz zaraz wracać, Leo?

- Skądże. Mam trochę czasu na napisanie tekstu, a słyszałem, że wasz dom jest idealnym miejscem do pracy.

Wieczorem po długim wylegiwaniu w wannie usiadł na tarasie. Zaparzył kawę, nalał brandy i sięgnął po ulubionego poetę.

Leo też siedział na tarasie i usiłował pisać. Nie najlepiej mu szło. Było za gorąco, z nieba bił pulsujący żar, w kwiatkach sennie bzycały owady. Rozmyślał o Marion. Wiedział, że nie jest jej obojętny. Jak głęboka jest ta namiętność, nie potrafił określić. Kontrolowała się i choć ochoczo flirtowała, w żaden sposób nie zachęcała do czegoś więcej. Warta była każdego zachodu, nawet jemu nieczęsto się takie trafiały. Wyobrażał sobie, jak smakuje, jak pachnie. Nie przeszkadzało mu, że jest mężatką. Żony były atrakcyjniejszą zdobyczą, trzeba je było odbijać mężom. Wobec Roberta nie miał zobowiązań. Podczas wyprawy byli kolegami, jednak nie zostali przyjaciółmi. Był jednak człowiekiem honoru. W jego kodeksie nie mieściło się uwodzenie żony kolegi, oficera, w domu, do którego został zaproszony. Był przekonany, że w innych okolicznościach byłaby jego. Całował, oddałaby pocałunek, przyszedł w nocy do sypialni, wciągnęłyby do środka. Zawlókł na plażę i pchnął na plecy, otworzyłyby się przed nim.

Jechała plażą na Szech i rozmyślała o Leo. Urocze zajęcie. Musiała przyznać, że cholernie się jej podobał. Fizycznie nawet bardziej od Phila.

Jest wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Wygląda jak Kirk Douglas w filmie Piękny i zły. Tak faceci odbierają zapewne piękne kobiety. Tak mój mąż z pewnością patrzy na wiele kobiet. Podobają mu się, chętnie by je przeleciał, a mimo to mnie nie zdradza. Dlaczego ja miałabym się wdąć w romans z Leo? Bardzo bym chciała spędzić z nim choć jedną noc, ale to chcenie niewiele znaczy. Widzę po jego oczach, że ma na mnie wielką ochotę. Ciekawe, czy mnie

teraz rozbiera w wyobraźni... Na pewno. Czułam, jak na mnie patrzył. Niech sobie myśli, co chce.

Umówił się z Lindą w klubie jeździeckim. Za jej autem stał koniowóz.

- Mia pozwoliła mi korzystać z waszej stajni. Mam nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy, żeby się sprzeciwić.

- Ależ skąd. Nie jestem szalony.

Sven wyglądał na rozbawionego.

- A ty, co tak zęby wietrzysz? - Mierzwiła jego włosy.

Pomyślał, że to Opatrzność kazała powiedzieć jej o czymś tak oczywistym, czego pomimo - a może dlatego - że była taka inteligentna, nie umiała dostrzec.

- Jakie konie wiesz?

- Pony dla twojej córki, ogiera arabskiego dla was i Bukiego. W Safadży będzie mu lepiej.

Na miejscu wyładowali konie.

- Nie mogliśmy przecież pozwolić, żeby nasze dziewczyny zostały starymi pannami. Wybrałyśmy im narzeczonego - śmiała się Marion.

- Ach tak. Zamieniasz stajnię w dom rozpusty. On jeden, one dwie. Słyszałeś, Leo, co tu się wyrabia?

Leo leniwie pomachał z tarasu. Wystarczył rzut oka i wiedział, że do niczego nie doszło. Wspólnie odwieźli go na lotnisko.

- Podejdz no bliżej, moje ty nierozczarowanie. - Złapała go za ucho i pociągnęła. Naprawdę mocno. - Nie rób takiej zdziwionej miny, myślałeś, że się nie domyślę?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. - Pójście w zaparte dawało nikłą szansę.

- Nie udawaj, wiesz doskonale. Zrobiłeś to specjalnie! Oświeć mnie, dlaczego wysłałeś nas samych do Safadży. I nie próbuj się usprawiedliwiać ważnymi zajęciami w ambasadzie, bo cię sprawdziłam. Nie wymyślaj na poczekaniu nowych kłamstw, jak to masz w zwyczaju, tylko się wytłumacz! - Obrzuciła go spojrzeniem pełnym wyrzutu.

Doskonale wiedziała, czemu to zrobił, i miała do niego pretensje. Nie powinien tak postępować i tym razem łatwo się nie wywinie. Chwilę się wahał, potem się przed nią otworzył. Kiedy skończył, przełknęła ślinę. Potrzebowała czasu, żeby się pozbierać.

- No dobrze, może ci nawet wybaczę, ale chyba rozumiesz, że zmuszona jestem cię ukarać. - Ze sposobu, w jaki na niego patrzyła, domyślił się, jaką karę ma na myśli. - Jeżeli chcesz zasłużyć na wybaczenie, wymyśl fascynującą historię.

Z wymyślaniem historii, które się jej podobały, nie miał problemu.

- I jeszcze jedno. Tym razem kajdanek nie założysz na kostkę!

Nie mogąc zasnąć, przewracał się z boku na bok. Nie chciał budzić żony, która wykochana, spała jak zabita. Tej kobiety głowa nigdy nie bolała. Może dlatego był z nią taki szczęśliwy? Wstał, z lodówki wyjął piwo i poszedł na taras. Noc była ciepła, piwo zimne, on w filozoficznym nastroju. Dumając nad sudańską przygodą, powrócił myślami do niewolnictwa, tego prawdziwego, okrutnego, które zobaczył na własne oczy. O niewolnictwie powinien porozmawiać z Marion na poważnie znacznie wcześniej. Dlaczego nie rozmawiał? Ponieważ, wcielając się w rolę pana i niewolnicy, mieli swoje namiętne noce. W końcu niewolnica musi zrobić wszystko, czego zażąda jej pan. A niewolnik musi wykonać każde polecenie swojej pani. I o te emocje, nie o prawdę, chodziło. Wiedział, że prawda bywa relatywna. Jest prawda pana, Araba i muzułmanina, i jest prawda jego niewolnicy, trzymanej w zamknięciu jak kolorowy ptaszek w klatce, białej chrześcijanki. Nie tylko Marion dała się nabrać na mit egzotycznego kochanka i ulegającej mu białej niewolnicy.

Pokolenie za pokoleniem blondwłose, długonogie, zaniedbywane przez mężów Angielki przybywały do Italii dla erotycznych przygód. Dziewiętnastowieczna literatura roi się od książek pisanych przez kobiety dla kobiet. W powieściach tych spisane zostały marzenia tych namiętnych istot, które snuły się w ich pięknych główkach, kiedy nie

mogły zasnąć, dręczone chrapaniem seksualnie niewydolnych, grubych i bogatych mężów.

Z marzeń wziął się *latin lover*¹⁰⁴. Taki mężczyzna nigdy nie jest realny. Nie żyje zwyczajnym życiem, przybywa z odległych krain bądź znikąd, jest tajemniczy i egzotyczny. Pełen magii, doprowadza kobiety do szaleństwa. Z biegiem lat, po ponownym odkryciu Arabii Felix¹⁰⁵, okrutny, dziki, pełen seksualnej pasji Arab zastąpił teatralnego, miękkiego Włocha. Kobiety bez żalu odrzuciły podróbkę dla oryginału. *Niewolnica Mahdiego*, *Urowadzona przez piratów*, *Markiza Angelika* i tym podobne powieści dła zalegały półki księgarń na przełomie wieków. Ten mit miał się doskonale również w XX wieku. Fenomen popularności filmu *Szejk* i samego Rudolfa Valentino potwierdził, że kobiety szukają spełnienia marzeń o miłości poza granicami swojej rasy, w scenerii zniewolenia, ponieważ wierzą, że mężczyźni o innym kolorze skóry, nieskażeni cywilizacją dadzą im więcej. A one, tylko w marzeniach naturalnie, gotowe są poświęcić wszystko dla zaspokojenia szalejących żądz. W tych radosnych ułudach czas płynie w miłosnej ekstazie, a proza życia nie istnieje. Ucieleśnieniem snuty w bezsenne noce rojeń był Szejk, który porywa i zniewala Lady Dianę, był Sandokan, malajski pirat, porywający, więżący i, co oczywiste, zdobywający serce Lady Marianny. Samą istotą tego mitu jest zdanie, które z ekranu wygłasza Szejk: „Kiedy Arab zobaczy kobietę, która mu się podoba, to ją bierze”.

Jak Phil i Leo. Oni nie musieli uwodzić kobiet, oni je po prostu brali. A on? Czy kiedykolwiek wziął kobietę w ten władczy, wyzywający sposób? W tę duszną tropikalną noc uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie zdobył w podobny sposób kobiety. Miał tak naprawdę trzy. W Marion zakochał się od pierwszego wejrzenia, ale przecież nie wziął jej, zabiegał o względy, uwodził, czego nie można nazwać braniem. Zdawał sobie sprawę, że się kobietom podoba. Jednak nie o to chodziło. *Dlaczego oni mają w sobie to coś, czego mnie brakuje?*

Potrzebował lat, aby zrozumieć. To matka! W dzieciństwie pozbawiła go tej niezachwianej pewności siebie, z jaką każdy samiec przychodzi na świat. Wielokrotnie poniżany mężczyzną, nawet w domowym zaciszu, nigdy nie będzie drapieżnikiem. Uratował duszę, lecz zdążyła zadać rany, z których już do końca życia się nie wyliże. Dlatego kobiety nie będą dla niego traciły głowy. A kiedy pojawi się drapieżnik, będzie drżał, że mu odbierze jego kobietę. Tak po prostu. Przyjdzie i odbierze. Jak Władek, który niemal odebrał Wikę, jak Phil, który zabrał mu żonę. Może i jest przystojniejszy, mądrzejszy, bogatszy, ale nigdy nie będzie drapieżnikiem, mężczyzną, który jak mu się kobieta spodoba, to ją bierze. A ona dla niego traci głowę i wszystko przestaje się liczyć, nawet mąż, którego jeszcze wczoraj na swój sposób kochała.

W najciemniejsze zakątki podświadomości spychał zdarzenia, jakie miały miejsce przed dniem, w którym po raz pierwszy przeciwstawił się matce. Fantazjował o kobietach. Nie były to jednak fantazje czysto erotyczne. Zadawał kobietom ból, torturował je. Takimi sposobami, jakie wyobraźnia czternastolatka umiała wykreować. W swoich marzeniach słyszał krzyki, widział cierpienie. To go podniecało. Choroba matki przyszła w samą porę. Potem wyrozumiała jak anioł pani Aniela pomogła uratować duszę. Nikczemne marzenia odeszły w niebyt. Wspominając odległe w czasie zdarzenia, które mogły zaważyć na całym jego życiu, zrozumiał, że Opatrzność w ostatniej chwili zapobiegła nadciągającej tragedii. Jeszcze rok, dwa życia pod kontrolą matki i wyrósłby na potwora, mizoginistę, który satysfakcję seksualną znajduje w torturowaniu kobiet. Zapewne z tej przyczyny koleżanki go unikały, zanim jeszcze fantazjował o zadawaniu kobietom bólu. Już wtedy wyczuwały zło, które szukało dla siebie miejsca w jego duszy. Ten drugi on, którym mógł się stać, nie wystrzelałby Arabów chcących zadręczyć małą, skamieniałą z przerażenia dziewczynkę. Ten drugi - odrażający potwór - stałby nad mrowiskiem i sycił chorą duszę cierpieniami dziecka.

Na szczęście litościwy świt, jak zawsze w subtropiku niecierpliwy, przerwał te ponure rozważania. Jedno wiedział na pewno. Marion... Jej nigdy nie wyjawi swoich przemyśleń. W końcu dzięki zabawie w pana i jego uległą niewolnicę zaczęła malować. Odnalazła cel w życiu, którego sama rodzina nie mogła bez reszty wypełnić. Gdyby odarł wykreowany dla niej magiczny świat *Arabskich nocy*, do którego, malując, z takim zapalem się przenosiła, z mitycznej osnowy, przedstawił mroczną prawdę, mogłaby nawet zarzucić malarstwo. A już na pewno poczułaby się oszukana. Usłyszał, że wstała i krząta się po domu. Nuciała cicho, jak zawsze, kiedy była w pogodnym nastroju.

- Wstałeś wcześniej, kochanie? Złe się spało? Jakies zmory we śnie męczyły? Chodź, to cię przytulę.

Nie poszedł do ambasady. Potrzebował tych kilku godzin, żeby powrócić do równowagi, odzyskać pogodę ducha. Odprawił do domu zachwyconą tą niespodzianką Basimę. Dał jej dziesięć funtów, żeby kupiła sobie sukienkę i poszła do kawiarni. Może właśnie dzisiaj spotka swego księcia z bajki. Marion pojechała do klubu na plotki, on został z dziećmi. Julka i Andy byli zgodnym rodzeństwem, chętnie się razem bawili. Czas spędzony z dziećmi nie był więc kłopotem, lecz szczęściem. Usiadł w wiklinowym fotelu i rozmyślał, a dzieci broiły w basenie.

Taa, zdobywcą takim jak Leo nie jestem, nigdy nie byłem i nie będę. Zresztą, do niczego nie jest mi to potrzebne. Wyobraził sobie, jak uwodzi właśnie poznaną kobietę. Podoba się jej, flirtują. Postanawia zostać zdobywcą. Staje się władczy i bierze jak swoją. Bierze? Wie, co się wydarzy. Zamiast ulec, jakby bez wątpienia uległa Leo czy Philowi, śmieje się i mówi: „Ale mnie rozbawiłeś, dawno się tak nie uśmiałam. Nie wiedziałam, że masz taki talent aktorski. W nagrodę dostaniesz buziaka”.

Julka poszła do kuchni, żeby się napić soku. Nie było jej zbyt długo. Rozległ się łomot, chwilę później głośny płacz. Zdenerwowany wpadł do mieszkania. Wstała już, ale mocno się potłukła i płakała.

Wziął na ręce, utulił, a ona się uspokoiła. Andy z palcem w buzi patrzył na to wszystko szeroko otwartymi oczami. W hallu znalazło się jakimś cudem przewrócone dziecinne krzeselko i stolik z jej pokoju. Na podłodze leżał jatagan. Wcześniej wisiał na ścianie. Postawił poobijaną, ale spokojną już córkę na podłodze i podniósł jatagan. Zauważył, że odpadła końcówka. W tym miejscu podłoga była wyłożona ciemnoszarym granitem. Jatagan uderzył o kamienną posadzkę końcem rękojeści. Oglądał go wielokrotnie, najpierw z Leo, potem sam, jednak skrytki nie odkrył. Najpewniej dlatego, że się jej nie spodziewał. Znalazł zakończenie rękojeści.

- Tatusiu, ja nie chciałam.

Dopiero teraz zobaczyła, że jatagan się rozpadł. Nie myślała już o bólu, tylko o tym, że narozrabiała. Była grzeczną, pogodną dziewczynką, do głowy mu nie przyszło, żeby ją karać. Musiał uroczyście zaprzysiąc, że mama się o niczym nie dowie.

Miesiąc później zakomunikował:

- Jedziemy na narty, całą rodziną. Do Austrii, na dwa tygodnie! Zarezerwowałam trzypokojowy apartament w najlepszym hotelu w Zell am See.

Cieszyli się jak dzieci, ponieważ dzieci śniegu dotąd nie widziały, a oni też jeszcze na nartach nie byli.

Marion, po raz nie wiedzieć który, usiłowała odgadnąć, skąd ma tyle pieniędzy. Takie wakacje muszą kosztować majątek! Wykupił bilety w klasie biznes! Lot do Wiednia z przesiadką we Frankfurcie. Nocleg w Wiedniu. W kurorcie wynajęcie apartamentu w i tak już drogim hotelu. Przez dwa tygodnie trzech instruktorów. Jeden dla niej, jeden dla dzieci i instruktorka dla niego. Ta część planu najmniej się jej podobała, ale co tam, będzie na niego miała oko. Koszt karnetów narciarskich, posiłki w restauracjach, szampan na stoku. No i musieli się ubrać od stóp do głów, nie mieli przecież zimowych ubrań. Nawet nie próbowała sumować, bo od wyniku rozbolełaby ją głowa. Za te pieniądze mogli spędzić na safari trzy miesiące! *Co się takiego wydarzyło, o czym nie wiem?*

Przylecieli do Wiednia pod koniec października. Robert zostawił rodzinę w Belvedere, żeby pooglądali zgromadzone tam skarby. Miał do wypełnienia pewną wymagającą dyskrecji misję.

Śnieg na polach i między drzewami dostrzegli dopiero w połowie podróży. Im wyżej wspinał się pociąg, tym śniegu było więcej i więcej. Na nartach bawili się doskonale. Wypoczęli, nabrali energii. Ostatniego dnia rozegrali rodzinny slalom. Wygrała oczywiście Marion. Robert się przewrócił i został zdyskwalifikowany. Obiecał, że powrócą tu za rok.

Trzy miesiące po powrocie z Austrii zadzwonił dyrektor oddziału DB w Kairze.

- Proszę przyjechać. Mamy coś do omówienia. Sprawa nie na telefon.

Sprawą nie na telefon okazało się dziewięćset trzydzieści tysięcy dolarów, które wpłynęły na jego konto z rachunku pewnej firmy zarejestrowanej w Gibraltarze. Dyrektor nie wypytywał o ich pochodzenie, lecz o dyspozycje ulokowania. Po obowiązującym kursie wymiany - trzy miliony dziewięćset tysięcy marek. W pierwszej kolejności przekazał pięćdziesiąt tysięcy marek na konto Garricka. Każdego roku przelewał pewną sumę, która pozwalała przyjacielowi godnie żyć. Ten przekaz był wyjątkowo hojny. Liczył, że pieniądze pozwolą Colinowi ustatkować się, ożenić wreszcie z Daphne, może otworzyć wspólnie z nią mały biznes. Taki, który zapewni im rozrywkę oraz kontakt ze światem. Pieniądze pochodziły ze sprzedaży diamentów. Handlarz niewolników, stary bandyta, nie dowierzał nikomu. Swój skarb nosił przy sobie. W wydrążonej rękojeści jataganu przechowywał diamenty. Cztery kamienie wielkiej wartości. Dlatego właśnie w Wiedniu, w ambasadzie Izraela, Robert pozostawił przesyłkę dla Cippi, zalakowaną szkatułkę zawierającą kamienie. Sam nie mógł tym razem wiele zdziałać. Kamienie, szczególnie tej wielkości, wymagały przy sprzedaży okazania certyfikatu pochodzenia, którego nie posiadał. Zresztą, gdyby nawet znalazł

szlifierza, skończyłyby prawdopodobnie na dnie kanału w Amsterdamie.

Nie miał kontaktów ani wiedzy o diamentach, był zatem wymarzoną ofiarą dla niebezpiecznych bandytów, którzy jak sępy krążyli wokół nielegalnych kamieni, pochodzących z przemytu lub innych, groźnych przestępstw. O oszukaniu Mossadu nikt nawet nie pomyślał, poza tym w Izraelu byli szlifierze nie gorsi niż w Amsterdamie.

Sudańska ekspedycja wypadła znakomicie. Uratował życie trójki dzieci, wydarł handlarzom setkę niewolników, no i się wzbogacił. Patrząc na diamenty, zrozumiał, dlaczego Sudańczycy tak zajadle ich ścigali. Domyślił się, że dowódca oddziału musiał być synem szejka, którego zastrzelił. Przez niezwykły zbieg okoliczności zdobył skarb starożytnego klanu. Jednocześnie zadał dotkliwy cios handlarzom niewolników. Pozbawił ich środków finansowych niezbędnych do sfinansowania kolejnej wyprawy oraz całego wyposażenia koniecznego podczas łowów na ludzi. Koni, broni i pozostałego sprzętu, który rozdali uwolnionym Dinkom. Poruszony tym, co zobaczył, znalazł organizację, która zajmowała się zwalczaniem niewolnictwa. Pięćdziesiąt tysięcy przeznaczył na zbożny cel. Wypisał czek i przesłał do biura Międzynarodowej Organizacji do Spraw Migracji. Do koperty, oprócz czeku, zapakował zwięzły raport o sytuacji w południowym Sudanie. Pozostałe trzy miliony osiemset tysięcy przelał na swój rachunek.

Dopiero teraz gotów był stawić czoła żonie. Opowiedział, jak dzięki ciekawości Julii odkrył skrytkę w rękoności jataganu, jak spieniężył niewielkiej wartości kamyki. Nie pominął niczego. Przyznał się nawet do wypieprzenia czarnych niewolnic. Potraktowała go, jak na jej wybujały temperament, wstrzemięźliwie. Z początku była wściekła i zazdrosna jak Dejanira¹⁰⁶. Znęcała się nad nim bezlitośnie. Kiedy pierwsza złość minęła, nasza ją refleksja, że jednak zdobył się na odwagę i wyznał prawdę. Dlatego ona, choć skrzywdzona, nie powinna urządzać dzikich scen zazdrości. Uznała, że pół godziny

połajaniek na razie wystarczy. Zastrzegła oczywiście, że zranił ją potwornie. *Tak łatwo się nie wywinie. Przekona się, czym pachnie rozjątrzony kobiecy gniew.* Po tonie głosu wyczuł, że jej nastrój się zmienił. Nawet dla niej było jasne, że nie może porównywać swojego romansu z tym wymuszonym okolicznościami, jednorazowym, czysto fizycznym aktem zdrady.

Tej nocy była łaskawa niczym księżniczka krwi, która wpuściła do łóża beznadziejnie w niej zakochanego trubadura. Pozwoliła zrobić sobie minetę i nawet pochwaliła, że się stara zmazać swoje winy. Stwierdziła tylko, że za karę może na baaardzo długo zapomnieć o obciążaniu. Coś jednak wyraźnie nie dawało jej spokoju. Następnej nocy zażyczyła sobie seansu z panem i niewolnicą. Żeby ją udobruchać, wymyślił intrygującą historię o niej, pięknej jak kwiat pustyni Anis al Dżalis w roli głównej. Jej jednak nie chodziło tym razem o romantyczne historie. Kombinowała, aby go nakłonić, żeby opowiedział, jak było z niewolnicami. Niech koniecznie opíše, jak się zachowywały. Z najdrobniejszymi szczegółami, ma się rozumieć. Za taką relację gotowa była wspaniałomyślnie przymknąć oko na ten akt jawnej zdrady małżeńskiej.

Po śmierci Stalina zegar historii przyspieszył. W 1956 doszło do wielu dramatycznych zdarzeń. Przejęcie władzy w ZSRR przez Chruszczowa, słynny XX zjazd KPZR, na którym ujawnił on bezmiar zbrodni stalinowskich. Przemiany w Polsce, dojście do władzy Gomułki. Powstanie na Węgrzech. Kolejna wojna na Bliskim Wschodzie.

Interwencja zbrojna Sowietów w Polsce została zażegnana praktycznie pięć po dwunastej. Rozmowa Gomułki z Chruszczowem odbyła się na Okęciu 19 października 1956 roku. W jej trakcie rosyjskie czołgi wyjechały ze swoich baz w Polsce i ruszyły na Warszawę.

W Egipcie również było niespokojnie. Naser znacjonalizował Kanał Sueski. Nie umiejąc się pogodzić z utratą kanału, Anglia

i Francja wspólnie z Izraelem przeprowadziły interwencję zbrojną. Nie był w stanie zrozumieć sensu przeprowadzonej w kolonialnym stylu interwencji. Nie potrafił również pojąć, po jaką cholerę Izrael wtykał nos w nie swoje sprawy. W końcu nacjonalizacja kanału nie była problemem państwa żydowskiego, a interwencja zaogniła konflikt z sąsiadami. W ciągu kilku tygodni ambasada zmieniła swój charakter. Nie wydalono ich z Egiptu tylko dlatego, że awantura skończyła się szybciej, niż się zaczęła. Rozwój wydarzeń potwierdził najgorsze obawy. Po raz pierwszy od zakończenia wojny USA i Rosja wystąpiły wspólnie w ONZ i pogroziły palcem. Wystarczyło, żeby interwencji się z Egiptu wycofali. Anglicy kanału nie odzyskali, a stracili cennego partnera. Naser odwrócił przymierza. Nowym protektorem Egiptu został niespodziewanie ZSRR.

Robert z uwagą śledził wydarzenia w Polsce. Czytał prasę, słuchał polskiego radia. Na początku stycznia 1957 pojawiło się dwóch panów w garniturach. Tym razem tropikalnych. Przedstawili propozycję. Zawodowo nawet interesującą.

- W Warszawie na skutek zdarzeń losowych straciliśmy dwóch pracowników znających polski. Foreign Office niezbędny jest rzetelny raport, w którym zostaną wykazane konsekwencje przemian w Polsce, wraz z sugestiami dotyczącymi bieżącej polityki. Proponujemy awans na II sekretarza ambasady. Wyższe stanowisko pomoże w rozmowach z polskimi politykami. Jeżeli zrobisz to, o co prosimy, nie będziesz się musiał martwić o dalszą karierę w dyplomacji.

W wolnym tłumaczeniu: „Jeżeli odmówisz, wywalimy cię”. Podjął częściowo wymuszoną decyzję, czekała go jeszcze rozmowa z żoną. Spodziewał się, że będzie trudna. Zaskoczyła go, po raz nie wiadomo który.

- Jesteś taki spięty, nie martw się na zapas. Jedź, my sobie poradzimy. Postaraj się wrócić jak najprędzej. Będę pisała, żebyś o mnie nie zapomniał.

Pomagała w przygotowaniach do wyjazdu. Miał nadzieję, że wróci po czterech miesiącach. Odwieźli go na lotnisko całą rodziną.

⁹⁶ Dyplomaci brytyjscy, członkowie siatki szpiegowskiej „Cambridge Five”. Zdemaskowani podczas operacji „Venona”. Ostrzeżeni przez Kima Philby’ego, zdołali zbiec do Moskwy.

⁹⁷ Po ucieczce Burgessa i Macleana, zdemaskowaniu innych agentów, w Wielkiej Brytanii zapanowała szpiegomania. Podejrzewano nawet premiera Harolda Wilsona, a MI5 prowadziło w tej sprawie dochodzenie.

⁹⁸ Wyższa Szkoła Wywiadowcza nr 101 przy 1 Zarządzie Głównym KGB.

⁹⁹ William Szekspir, *Hamlet*, akt 2. scena 2. List Hamleta do Ofelii.

¹⁰⁰ Lord Byron, „Podarowałeś mi klucz do swego serca, ukochany”.

¹⁰¹ Oryginalny tytuł *Jądra ciemności* Josepha Conrada. Dosłownie: ‘serce ciemności’.

¹⁰² Krajem Franków od czasu wypraw krzyżowych Arabowie nazywali Europę Zachodnią.

¹⁰³ Niccolò Machiavelli, *Księżę*.

¹⁰⁴ Stereotyp namiętnego i atrakcyjnego mężczyzny południowej urody oraz pochodzenia.

¹⁰⁵ Rzymianie nazwali południową część Półwyspu Arabskiego „Arabią szczęśliwą”.

¹⁰⁶ Żona Heraklesa. Podarowała mężowi koszulę, która miała rzekomo zapewnić wierność, a go zatrąła i sprowadziła na niego śmierć w cierpieniach. Z rozpaczony się zabiła.

10. WARSZAWA JEST SMUTNA BEZ CIEBIE

Z Kairu poleciał do Frankfurtu. Zadzwoił do ambasady i dowiedział się, że w Polsce złapanie taksówki graniczy z cudem. Opowiadając o transporcie publicznym, dyplomaci używali brzydkich wyrazów. Kupił więc trzyletniego mercedesa 220, do bagażnika załadował wielki telewizor, przekręcił kluczyk i przestąpił wrota czasu. Przekraczanie żelaznej kurtyny dostarczało mocnych wrażeń. Wyglądała, jakby ją zbudowali kosmici. Niczym nie przypominała prowizorycznego punktu kontrolnego ze szlabanem, przez jaki przejeżdżał w tym samym miejscu w 1945. Mury, zasieki, pas zaoranej ziemi niczyjej, reflektory, wieże strażnicze, ujadające psy policyjne. Żołnierze i celnicy z NRD pogłębiali to odczucie. Wyglądali na takich, co nienawidzą rodzaju ludzkiego. Przez Niemcy Wschodnie przejechał tak szybko, jak się dało. Na granicę dotarł w środku nocy. Był początek lutego, przenikliwy mróz i silny wiatr. Wsiadł z auta rozprostować kości. Funkcjonariusz sprawdził paszport.

- Witamy w ojczyźnie, panie Meissner.

Do Warszawy dotarł wieczorem. Dostał pokój gościnny w ambasadzie.

Obudził się późno, odsypiał podróż i zmianę klimatu. Przy kawie odnalazł go urzędnik i poinformował, że został wyznaczony do

pomocy w zagospodarowaniu.

Dowiedział się, że mieszkanie legalnie może wynająć wyłącznie w Pumie, przedsiębiorstwie należącym do państwa. Czynsze, jak go oświecili koledzy, były astronomiczne. Kluczem do tego absurdu było utrzymywanie dwóch cen dolara, oficjalnej i czarnorynkowej. Oficjalna wynosiła trzy złote za dolara, podczas gdy wolnorynkowa sto. Taka sytuacja pozwalała państwu okradać, *lege artis*, zarówno swoich obywateli, którzy posiadali dewizy, jak i obcokrajowców.

Dla nich rynkowe ceny przeliczano po trzy złote za dolara. Planował wynająć trzypokojowe mieszkanie w najlepszym punkcie Warszawy. Było go oczywiście stać na taki wydatek – tysiąc dolarów miesięcznie – jednak nie znosił, kiedy próbowano go okantować. Nie myślał nawet o nielegalnym wynajmie. Coś wykombinuję – postanowił i znalazł prywatny pensjonat w Konstancinie pod Warszawą. Za dwupokojowy apartament z obsługą i skromnym, lecz smacznym śniadaniem płacił w przeliczeniu sto dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Przy okazji zagrał komunistom na nosie.

Na rozmowę zaprosił ambasador. Anthony Hibbert był mężczyzną średniego wzrostu i byczej budowy. Miał po wojskowemu przystrzyżone włosy, kark wymagający koszuli o rozmiarze pięćdziesiąt dwa i przekrwioną twarz. Mówił tubalnym barytonem, który do niego pasował. Był też bezpośredni, co Robert uważał za zaletę.

- Siadaj, Robercie - zagrzmiało.

Hibbert władczo skinął ręką. Inaczej nie potrafił. Emanowała z niego siła i pewność siebie człowieka stworzonego do wyższych celów.

- Cygaro? Koniak?

Ponieważ ambasador odciął końcówkę, on również zapalił.

- Słyszałem, że się zagospodarowałaś. Godne podziwu. W tym przeklętym kraju nic nie jest normalne. Ale nie chciałem cię urazić, jesteś przecież Polakiem.

- Mam podobne wrażenie, sir.

- Tony, drogi chłopcze, Tony. Jesteś tu, ponieważ Fowler zachorował, a ci mądrale z ministerstwa uważają, że to dla nas ważny kraj. Też tak uważasz?

- Czy kraj jest ważny, dowiadujemy się, kiedy jest za późno.

- He, he, dobre, muszę zapamiętać. Więc przyjechałeś z Kairu, wcześniej pracowałeś w MI6. Czy masz instrukcje, o jakich nie powinienem wiedzieć?

- Nie, Tony, niczego takiego nie otrzymałem. Nie sugeruj się pracą w wywiadzie. To już od dawna nieaktualne.

- Znakomicie! Prawdę mówiąc, obawiałem się, że przyślą mi jakiegoś Lawrence'a z Arabii¹⁰⁷. Jak długo nie było cię w Polsce?

- Nie byłem w ojczyźnie od osiemnastu lat. Jeżeli nie uwzględniać tajnej misji, jaką wykonałem osiem lat temu.

- Co ty powiesz? - Ambasador wyraźnie się ożywił. - Tajna misja? No, ale ci się udało. Inaczej byś tu nie siedział. Komuniści się nie patyczkują, jak kogoś dorwą. A najgorsi są dla swoich. Musisz koniecznie poznać moją żonę. Ona uwielbia takie historie. Opowiedz jej tyle, ile będziesz mógł. Koniecznie.

Następny na liście był Bolton z MI6. I ta rozmowa przebiegła bez zgrzytu. Rezydent z ulgą przyjął zapewnienie, że nie zamierza się bawić w szpiega.

Nie podlegał bezpośrednio nikomu, formalnie tylko ambasadorowi. Miał swobodę, mógł robić, co chciał. Pod jednym warunkiem. Analizy będą trafne i nie zblądni się w średnioterminowych prognozach rozwoju sytuacji w Polsce. Tak postawione zadanie było nie lada wyzwaniem. Postanowił, że wykona je jak należy. Musiał od nowa poznawać swoją ojczyznę. Zaczął od odwiedzenia grobu pani Anieli.

Dopóki nie wejdzie w tłum, nie porozmawia z ludźmi, nie zrozumie tej komunistycznej Polski. Eleganckie ubrania dyplomaty odwiesił do szafy. Zamienił je na siermiężne, jakie nosili Polacy. Skompletowane po całym dniu wystawiania w kolejkach. Z produkowanych w Polsce butów zrezygnował, bo kaleczyły mu

wydelikaczone kapitalizmem stopy. Kolejka! Pierwsze słowo, którego się nauczył, nawet je zobaczył. Ustawiały się wszędzie i po wszystko. Przystawał w tasiemcowych kolejkach, wsłuchując się, czym żyją Polacy.

Nie interesowało go, na co wyzalają się zakutane baby, których w ogonkach wystawało najwięcej. Istotne było, co mówili robotnicy, studenci, a przede wszystkim szeregowi członkowie partii. Prominentni w kolejkach stawać nie musieli. Partyjnych było ponad milion! Zebrania partyjne, relacjonowane nieustannie w telewizji, przypominały spektakle wyreżyserowane przez pozbawionego talentu reżysera, według scenariusza napisanego przez grafomana, a odgrywane przez aktorskie beztalencia mające problemy z dykcją. Sufler był pijany. Polacy wystrzegali się tematów politycznych jak ognia, nawet w prywatnych rozmowach. Zasłyszany dowcip tłumaczył taką przesadną ostrożność.

Kto budował lewy brzeg kanału Wołga-Don?

Ci, którzy opowiadali kawały polityczne.

Kto budował prawy brzeg tego kanału?

Ci, którzy tych kawałów słuchali.

Roztaczała się przed nim wielobarwna i zróżnicowana panorama społeczna. Najważniejszą, przy tym zaskakująco liczną grupą byli komuniści. Nikt ich do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – PZPR – na siłę nie ciągnął, sami do niej ochoczo wstępowali. Co go niezmiernie dziwiło, ludzie ci w większości byli ideowcami wierzącymi w tę sympatycznie na pozór wyglądającą, jednak niebezpieczną utopię. Jedynie co poniektórzy byli cynicznymi graczami.

Oczekiwał, że naród będzie zmęczony zbiorowym eksperymentem, w którym wbrew woli uczestniczy. Przeciwnie. Dynamiczny rozwój oświaty, kultury, szkolnictwa wyższego, budownictwa, intensywna industrializacja robiły wielkie wrażenie. Jedynie powszechna bieda stanowiła pewną przeciwwagę dla tych

osiągnięć. Do tego dochodził nieprawdopodobnie wysoki przyrost naturalny. Wyczytał w roczniku statystycznym, że najwyższy w Europie.

Wpadł na chwilę do kawiarni na Nowym Świecie. Przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch młodych mężczyzn. Kelnerka poprosiła jednego z nich, sympatycznego blondyna, o autograf. Zapytał, kim on jest.

- To pan nie wie? Leszek Drogosz jest bokserem, mistrzem Europy. W finale pokonał kacapa. Nie dał się trafić. Ani razu! Kibice nieśli go do szatni na rękach. Zdobyliśmy pięć złotych medali!

W sporcie Polacy również odnosili ogromne sukcesy. Takie popularne dyscypliny jak boks czy lekkoatletyka stały na najwyższym światowym poziomie.

W czterdziestym dziewiątym ścigał go Urząd Bezpieczeństwa. W pięćdziesiątym szóstym zlikwidowano tę złowrogą instytucję. Została zastąpiona przez SB, Służbę Bezpieczeństwa, która na swoją opinię miała dopiero zapracować. Ludzie pracujący w aparacie opresji niewiele się zmienili. Ci sami funkcjonariusze pod zmienionym szyldem.

Kupił kanon literatury komunistycznej. *Kapitał* Marksa i po kilka pozycji Lenina oraz Engelsa. Za tuzin książek zapłacił równowartość jednego dolara! Po pobieżnym przejrzeniu tych „arcydzieł” zostawił tylko dwa. Drugi tom *Kapitału* oraz cienką książeczkę Lenina *O państwie*. *Kapitał* zamierzał przeczytać. Doszedł do wniosku, że jest dziełem wybitnego ekonomisty i filozofa, który nie ponosi odpowiedzialności za sposób, w jaki jego teorie zostały wypaczone i nadużyte. Traktat Lenina zostawił dla zalet kabaretowych. Rzucając cytatami, zabłyśnie na przyjęciach dyplomatycznych. Pozostałe, w jego ocenie bezwartościowe „dzieła”, zapakował i zawiózł do Parku Łazienkowskiego. Paczkę zostawił pod ławką i chichocząc ze sztubackiego dowcipu, pojechał do ambasady.

Do śmiechu nie było porucznikowi Buremu, kierującemu operacją „Sztuch”, inwigilacją agenta brytyjskiego, który po latach

nieobecności przyjechał do Polski. SB miała doskonałą pamięć instytucjonalną zawartą w przepastnych kartotekach. Na podstawie informacji uzyskanych od radzieckich agentów przypisano zabójstwo Józefa Kowalskiego, oficera UB i dobrego komunisty.

- Jak to nie wiecie, dlaczego te książki zostawił? Musiał to zrobić w jakimś celu! - Major Poznański był poirytowany. - Sprawdźcie księgarnię.

Księgarnia Proletariacka na Kruczej została zamknięta. Przerażone ekspedientki, dwie starsze panie, zostały przemaglowane. Do Burego dotarło wreszcie, że kobiety nic nie wiedzą. Kazał im podpisać lojalkę, że nikomu nic nie powiedzą, i trzaskając drzwiami, wyszedł. Poprzysiął sobie, że dorwie wszarza.

Poznański siedział w gabinecie zadumany i nieobecny. Wspominał młodość. Wszedł w życie w 1918, drugim roku Rewolucji. Niepozorny wyrostek z Anatewki, wsi w Galicji, syn wędrownego kramarza, uciekając przed pogromami białych Kozaków, przystał do czerwonych. Ślepy los pokierował życiem, nie dając wyboru. W siodle Konarmii nurzał się w uciechach rewolucji. Przyszło mu żyć w rzeczywistości bolszewickiej, w ugory zmieniającej żyzne pola. Pił samogon z jednej menażki z Bablem¹⁰⁸. Śpiewali: *Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany konarmiejskije naszi klingi.*

Żeby napisać rzetelny raport, Robert musiał poznać opinie intelektualistów i wpływowych polityków o sytuacji w Polsce. To drugie wydawało się nieosiągalne, ponieważ mafia komunistyczna była hermetyczna jak Cosa Nostra.

Opozycja nie istniała, mógł zatem rozmawiać z działaczami partyjnymi bądź z ludźmi kultury i dziennikarzami. Spędził wiele godzin w archiwum „Trybuny Ludu”, oficjalnego organu PZPR. Gdyby Polacy mieli alternatywę, dziennik by się na rynku nie utrzymał. Alternatywy nie mieli, opozycyjna prasa nie istniała, więc czytali „Trybunę”. W podobnej sytuacji znaleźli się dziennikarze. Najzdolniejsi, z ambicjami, jeżeli chcieli pisać, nie mieli wyboru.

„Trybuna” lub lokalna prasa basująca tej pierwszej. Może jeszcze ze dwie, trzy gazety, w treści powielające „Trybunę”. No i „Polityka”, nowy tygodnik, który szybko zdobywał reputację najlepszego periodyku na wschód od Łaby. Redakcja „Polityki” nie mogła jednak zatrudnić wszystkich zdolnych dziennikarzy.

Przeglądał kolejne roczniki „Trybuny”. Po wielu godzinach czytania był wykończony, litery tańczyły mu przed oczami. Od drażniącego zapachu kiepskiej, rozmazującej się farby drukarskiej bolała głowa, w końcu jednak znalazł to, czego szukał. W Polsce nie wydawano „Who is who”. Jedynym źródłem informacji pozostawała gazeta. Od niewielkiej liczby istotnych faktów musiał odsiać ogromną ilość ogłupiających tekstów ideologicznych. Realną władzą w państwach bloku wschodniego był Komitet Centralny partii komunistycznej. Każdy działacz partyjny wchodzący do KC zasługiwał na notkę biograficzną w „Trybunie”. Postawił na Włodzimierza Sokorskiego, ponieważ zamienił on niedawno fotel Ministra Kultury na stanowisko przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji. To był jego człowiek. Pozostawało jedynie do niego dotrzeć i nakłonić do szczerzej rozmowy z zachodnim dyplomatą.

Porucznik Bury wiedział, czego agent wroga szukał w „Trybunie”. Ogłoszenia – kontaktu. Nie potrafił jednak ustalić którego, ponieważ przejrzał trzy roczniki. *Sprytna kanalia. Wie, że go obserwujemy, więc zatarł ślady. Gdyby przeczytał jedną gazetę, z łatwością bym ustalił, którego ogłoszenia szukał. A potem po nitce do kłębka. Coś sukinsyn knuje, tylko nie potrafimy ustalić co.*

Robert nie miał wyjścia. Poszedł do ambasadora.

– Anthony, mam prośbę.

– Słucham? – Hibbert nie znosił wszelkich prośb, chyba że od żony.

– Muszę dotrzeć do Sokorskiego, partyjniaka, który został przewodniczącym Komitetu do spraw Telewizji. Potrzebna jest mi współpraca BBC. Nic wielkiego. Chcę, żeby go zaprosili na kilka dni,

zapoznali ze swoimi doświadczeniami. Mogę nawet pokryć koszty tej wizyty.

- Komunistę? Wykluczone! Jak chce się uczyć telewizji, niech jedzie do Moskwy. Już oni go wyuczą. Oby tylko żywy wrócił! - Ambasador głośno się roześmiał z własnego dowcipu. - Nie, Robercie, nie pomogę.

Wychodził, kiedy Hibbert coś sobie przypomniał.

- Ale, ale. - Zatrzymał go. - Jest pewna sprawa. Żona należy do klubu literackiego. Tym paniom się wydaje, że są utalentowane jak Agata Christie. Odkąd jej nieopatrznie zdradziłem, że w ambasadzie pojawił się prawdziwy szpieg, nie daje mi spokoju. Bądź tak dobry i poświęć jej godzinę. Jesteś żonaty, więc wiesz, jak to jest...

- Rozumiem, naturalnie. Chętnie się z nią spotkam. - *Hiob wytrzymał śmierć dzieci i zdechnięcie wielbłądów, ale biadolenia żony - nie.*

Ann Hibbert okazała się kobietą wielce niecierpliwą. Już po dwóch dniach spotkali się w kawiarni Bliklego na Nowym Świecie. Ann, drobna, przed pięćdziesiątką, fizycznie i charakterem stanowiła przeciwieństwo męża. Zapewne dlatego od ponad dwudziestu lat byli szczęśliwym małżeństwem.

- Wspaniale, że się zgodziłeś na spotkanie. Mam nadzieję, że opowiesz o swoich ekscytujących przygodach. Szukam oryginalnego pomysłu, ogłosili właśnie konkurs na opowiadanie kryminalno-szpiegowskie.

- Możliwe, że będę mógł pomóc, Ann. Co myślisz o opowiadaniu kryminalno-szpiegowskim z wielką miłością w tle?

- Cudownie, wiedziałam! Wiedziałam! - zawołała, podekscytowana jak pensjonarka.

Podeszła kelnerka. Młoda, grubokoścista, ubrana w śnieżnobiały fartuszek. Wyglądała na dziewczynę ze wsi. Zamówili pączki, z których lokal sływał, i herbatę. W sklepach była dostępna w jednej odmianie - chiński ulung w żółtym opakowaniu. Kiepskiej jakości, zawierała domieszkę zdrewniałych części kwiatostanu. U Bliklego

potrafili z niej wyczarować znakomity napój. Zgadywał, że przed parzeniem ręcznie przebierali.

- Więc co mi opowiesz?

- Opowiem ci historię mroczną i tajemniczą. Historię starą jak świat. Miłość, zdrada i zbrodnia.

- Cudownie, cudownie! - nie umiała opanować podniecenia.

- W Starym Testamencie, w Księdze Samuela, odnajdziesz historię króla Dawida, pięknej Batszeby i jej męża Uriasza. Klasyczny trójkąt miłosny. Dodaj mroczny niczym noc listopadowa wątek z Ryszarda III i masz oto swoją historię.

- Ależ ty potrafisz budować nastrój!

- Pułkownik Dawid jest wysokim oficerem brytyjskiego wywiadu. Pewnego dnia na balu w Arsenale poznaje Batszebę, żonę Uriasza, młodego porucznika. Zakochuje się bez pamięci. Nie je, nie śpi, myśli tylko o niej. Koniec końców postanawia pozbyć się Uriasza. Wysyła go z tajną misją do tajemniczego kraju, gdzieś na wschodzie.

- Do Polski, Robercie?

- Tak właśnie, do Polski! Pułkownik Dawid przekazuje polskiemu wywiadowi informację o tajnej misji. Liczy, że siepacze tajnej policji schwytają Uriasza. Zostanie przykuty łańcuchem do ściany w wilgotnym lochu, a najlepiej zamordowany. Zrozpaczona wdowa, piękna jak senne marzenie Batszeba, stanie się wtedy łatwym łupem.

Sprawy się jednak komplikują. Aeroplan, którym Uriasz wraz z towarzyszami leciał do Polski, zboczył z kursu. Czekałym na nich agentom tajnej policji nie udało się go pochwycić. Zdradzony, musi się ukrywać. W międzyczasie płocha Batszeba, nie czekając na powrót męża, ulega Dawidowi. Jak się potoczą ich losy? Kto przeżyje, komu pisana jest śmierć? To już pozostawiam tobie.

- Jak wspaniale to wymyśliłeś! Jakbyś to ty był Uriaszem. - Dłonie Ann zatrzepotały nad torebką, z której wyjęła chusteczkę.

Zjedli pączki, zamówili następne. Kując żelazo, póki gorące, namówił ją na kieliszek likieru.

- Jesteś taki kochany. Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

- W rzeczy samej, gdybyś znała kogoś w BBC. Chociaż to mało prawdopodobne.

Zaprosił ją ponownie do Bliklego i obiecał następną historię. O zbrodni, o karze i o tajemniczych manuskryptach.

- Jakie to ekscytujące, nie mogę się wprost doczekać. Tajemnicze manuskrypty, mówisz?

Zadzwoiła po kilku dniach. Okazało się, że siostrzenica kuzynki jej przyjaciółki jest żoną jednego z dyrektorów BBC.

Ponownie odwiedził ambasadora. Wyłuszczył, jakiej pomocy potrzebuje. Tym razem Anthony się zgodził. Dobrze wiedział, kto mu pomaga.

- Siedzi teraz i bez przerwy pisze, a ja mam święty spokój. Twoją prośbę oczywiście spełnię.

Niedługo potem do Radiokomitetu wpłynęło pismo z BBC. Wprowadzono go do gabinetu Sokorskiego. Z fotela wstał maleńki człowieczek o głowę od niego niższy. Na pierwszy rzut oka było widać silną osobowość i wielki nos.

- Dzień dobry, panie przewodniczący.

- A dzień dobry. Dostaliśmy wasze pismo. Interesująca oferta, tylko, widzi pan, mamy w Polsce realia, które musimy uwzględnić. Na przykład z żalem byliśmy zmuszeni zrezygnować z planu Marshalla.

Sokorski obawiał się, że kontakty z kapitalistami z BBC źle wpłyną na jego karierę. Robert myślał szybko, żeby nie stracić wyjątkowej okazji.

- A gdyby tak odwrócić sytuację, panie przewodniczący? Gdyby osobom niechętnym kontaktom zagranicznym zaczęło na nich zależeć? Oficjalna delegacja może liczyć nie dwie, jak zaproponowaliśmy, a trzy osoby.

Dalej nie musiał rozwijać tematu. Jeżeli trzeci człowiek będzie z bezpieki, to im zacznie na tej wizycie zależeć. Musiał być ostrożny. Sokorski wykazał się talentami, które właściwy komunikat ograniczyły do niezbędnego minimum.

- Sądzę, że to dobre rozwiązanie. Prawdę mówiąc, chciałbym zobaczyć BBC. My stawiamy dopiero pierwsze kroki. - Wpatrywał się w coś za oknem.

Trzy tygodnie później polska delegacja wylądowała na Heathrow. Zadbął o najdrobniejsze szczegóły. Na własny koszt wynajął limuzynę z kierowcą. Na tylnym siedzeniu miał po prawej dyrektora programowego Telewizji Polskiej, po lewej niejakiego Pawlaka, który został mu przedstawiony jako dziennikarz. Zatrzymali się w Claridge's. Zadzwoił do Sokorskiego i poprosił o rozmowę. Spotkali się w hallu. Szeptał coś przewodniczącemu, a on potakiwał coraz intensywniej i uśmiechał się pod nosem. Przed kolacją zamówił butelkę wódki. Poprosił o wymianę kieliszków na największe. Wszyscy piją wódkę z kieliszków. Oprócz Polaków i Rosjan. Te dwie nacje piją wódkę jak inni wodę. Od wieków trwa rywalizacja, kto ma mocniejszą głowę. Zdania są podzielone, ze wskazaniem na Rosjan. Kelner rozlał alkohol, stanął z boku i - zaciekawiony - przyglądał się. Sokorski, najważniejszy w tym gronie, wznosił toast.

- Za zdrowie pierwszego sekretarza, towarzysza Gomułki. Pod jego przywództwem nasza partia, realizując niezłomnie marksistowsko-leninowską linię, buduje prawdziwie proletariacką telewizję. Na zdrowie!

Odmowa była równoznaczna z sepuku. Wypili! On też. Był Polakiem, miał to w genach. Trochę się skrzywił, ale dał radę. Nadeszła jego kolej.

- Wznoszę toast za zdrowie Jej Wysokości królowej Elżbiety II.

Wypili! Polacy - naród szarmancki. W ten sposób opróżnili pierwszą i napoczęli drugą butelkę. Zamówił następną... nie, trzy - po co kelner ma niepotrzebnie biegać? W końcu to przedstawiciel brytyjskiego proletariatu. Toast ponownie należał do Sokorskiego. Wznosił go za zdrowie Chruszczowa. Grubszy kaliber! Wypili. Dziennikarz Pawlak, w życiowej roli kapitan Sawicki z SB, pomyślał,

że Sokorski to swój człowiek. Wygląda na dobrego komunistę. Nadeszła kolej Roberta. Swój toast miał przygotowany.

- Po latach emigracyjnej tułaczki mogę w Londynie gościć przedstawicieli polskich władz. Dla mnie to wielki zaszczyt. Wasze zdrowie, towarzysze.

Sokorski stwierdził, że tempo za duże, i zarządził przerwę. Przez następną godzinę raczyli się specjałami hotelowej kuchni. Robert i kelner zachowywali się jak troskliwi gospodarze. Pawlak czuł przyjemne buzowanie w całym ciele. Czteryście gramów czystej to dla przywykłego do mocnego bimbrowa z ziemniaków chłopaka ze wsi małe piwo. Po chwili przewodniczący oświadczył:

- Nie będziemy tak siedzieli o suchym pysku.

Wzniósł toast za zdrowie Roberta. Wypili! Nie wypić zdrowia gospodarza to afront. Robert nie pozostał dłużny. Wzniósł zdrowie Sokorskiego. Wypili! Dziennikarz i zastępca przewodniczącego byli prawie pijani. Wprawdzie sześćset gramów słabej, burżujskiej wódki to dla komunisty bułka z masłem, ale szybkie tempo zrobiło swoje. Sokorski jednak nie zwalniał. Wzniósł toast za PZPR. Takiego toastu nie sposób odmówić. Dziennikarz i zastępca przewodniczącego wyglądali na sfatygowanych. Przewodniczący wniósł następny:

- Za Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego!

Komunista nie odmówi takiego toastu. Licznik zatrzymał się na ośmiuset gramach.

Dziennikarz trzymał się wprawdzie na nogach, lecz był zalany w trupa. *Ale ten Sokorski ma głowę! Wszystko, co o nim gadali, to ohydne oszczerstwa. Jebaka i pijak pierwszej wody. Znaczy się swój człowiek i prawdziwy komunista.*

Sokorski zarządził koniec imprezy. Dziennikarz dowlóknął się do pokoju o własnych siłach. Beładnie runął na łóżko i natychmiast zasnął. Zastępcy przewodniczącego musiał pomóc boy hotelowy. Spotkali się w hallu dziesięć minut później. W rzeczywistości wypili po dwieście gramów, dla kurażu. Każdy następny kieliszek

wypełniony był wodą. Robert szczegóły uzgodnił wcześniej z kelnerem. Sokorski był podekscytowany.

- Ale numer. Dawno tak się nie ubawiłem. Co teraz, panie Robercie?

- Jak to co, panie przewodniczący? Limuzyna czeka, jedziemy do Soho.

Podjechali do słynnego Flamingo Club. Obawiał się, że Sokorski będzie się czuł nieswojo w nieznanym otoczeniu. Miał czterdzieści osiem lat i w takim lokalu nigdy nie był. Okazało się, że sława, jaka go otaczała, była uzasadniona. Nie umiał tańczyć, a wzbudził entuzjazm na parkiecie. Po chwili podczepiły się pod niego dwie ładne dziewczyny. Nie minął kwadrans, a podniecony szarpał Roberta za rękaw.

- Nie uwierzysz! One chcą się ze mną pieprzyć. Obie naraz!

- No i w czym problem? Wyciskaj życie jak cytrynę, którą mamy tylko jedną.

- Nie wystawisz mnie? To nie prowokacja?

- Jestem kapitanem w stanie spoczynku Armii Brytyjskiej, kawalerem orderu DSO. Masz moje słowo honoru. - Spojrzał na niego z naganą.

Sokorski nie miał wprawdzie pojęcia, co oznacza DSO, ale się autentycznie wzruszył. Omówili szczegóły techniczne. Nie chciał, żeby jego podopieczny zgubił się w wielkim mieście. O dziewiątej rano podjechał pod umówiony adres. Sokorski czekał w bramie. Widać było, że jest zachwycony. Nie wiedział, że Robert zapłacił panienkom. A on, choćby go łamano kołem, nie przyznałby się. Zdążył polubić tego małego człowiczka. Wrócili do hotelu. Po drodze spiskowali, jak wyrwać się na następną noc. Zadzwoił do narzeczonych Sokorskiego.

- Nie masz więcej takich przyjaciół? Jak przyjedzie ponownie do Londynu, dostanie zniżkę. Ubawiłyśmy się jak nigdy.

Chętnie by tę opinię przewodniczącemu powtórzył. Nie chciał jednak rozwiewać jego złudzeń. Wizyta przebiegała zgodnie z planem.

Wracali do Warszawy zadowoleni. Kapitan Pawlak wypełnił zadanie. Napisał w raporcie, że towarzysz Sokorski okazał się wzorowym komunistą. Za dietę kupił płaszcz ortalionowy i koszulę non-iron, których pożądał jeszcze bardziej niż żony swojego szefa. Sokorski nie zaszedłby tak wysoko, gdyby był naiwny. Wiedział, że wszystko ma swoją cenę. Wstępnie ustalił z Robertem, jak się odwdzięczy za londyńską eskapadę. Przed odlotem rozmawiali dwie godziny. Swym towarzyszom powiedzieli, że omawiają szczegóły następnej wizyty. Nawet ktoś tak ważny jak Przewodniczący Radiokomiteu musiał się nieustannie mieć na baczności. Lot trwał dwie i pół godziny. Zajęli sąsiednie fotele i mieli mnóstwo czasu. Robert zamawiał najlepsze alkohole, a Sokorski wprowadzał go w meandry życia partyjnego na najwyższych szczeblach władzy. Nie przekazywał informacji o wymiarze wywiadowczym. Na to by nigdy nie poszedł. Robertowi chodziło o ocenę sytuacji w Polsce przez kogoś dobrze poinformowanego. Dowiedział się wreszcie, co kryje się za znanymi ogółowi Polaków nazwami dwóch zawzięcie zwalczających się koterii partyjnych. Proreformatorskie, postępowe jak na realia PRL i inteligentne Puławy oraz Natolin zwany Matolinem, zmierzający do zaostrzenia represji wobec własnego narodu. Sokorski był oczywiście prominentnym członkiem Puław. Zawsze oszczędny w słowach, opowiadając o Natolinie, nie krył pogardy.

- Ludzie bez wykształcenia, wyjątkowe prymitywy. Na przykład Dworakowski, przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Pochodzi z rodziny wiejskich fornali, ma wykształcenie podstawowe.

Poznał już realia PRL-u, wiedział, co w komunistycznej nowomowie oznacza słowo „bezpieczeństwo” w nazwie instytucji.

- Wierzą w siłę i politykę grubej pałki - kontynuował, wyraźnie poruszony. - Mają olbrzymie poparcie wśród niższych stopniem oficerów i szeregowych funkcjonariuszy MO oraz SB. Nic dziwnego, do tych formacji rekrutowano masowo synów chłopskich, półanalfabetów. Takimi najłatwiej manipulować. Za możliwość

wyżywania się na innych, za bułkę z kielbasą odpłacają psią wiernością.

Identycznie postępowali hitlerowcy. Przeglądając akta osobowe, nie napotkał oficera SS z tytułem szlacheckim. Generałowie, których „wyeliminował”, przed wstąpieniem do tej zbrodniczej formacji byli robotnikami. Jeden, nomen omen, rzeźnikiem, drugi szklarzem. Z kolei w Wehrmachcie co trzeci wyższy oficer miał „von” przed nazwiskiem, wśród generałów roiło się od baronów. Po powrocie do Warszawy przystąpił do pisania raportu.

Wieczorami odwiedzał modne lokale: Harendę, Złotą Rybkę, Kameralną. Kawiarnie i restauracje pełniły rolę salonów artystycznych, które z powodu dotykającej wszystkich bez wyjątku nędzy mieszkaniowej zniknęły ze stolicy. W knajpach koncentrowało się życie towarzyskie i kulturalne.

Zauroczyła go Kameralna przy Foksal, lokal owiany legendą. W tej restauracji pragnął bywać każdy. Bywali aktorzy, pisarze, muzycy oraz wszyscy, którzy się za artystów uważali. Przychodził również warszawski półświatek. No i działacze partyjni snobujący się na intelektualistów. Elity PRL-u, nader się różniące od elit przedwojennych. Obydwie miały pewną cechę wspólną. Pito dużo, bardzo dużo. Dlaczego aż tyle? Odpowiedź sama się narzucała. Wystarczyło spędzić kilka wieczorów w „Kamerze”.

Artyści odreagowywali strachy stalinowskie. W nowym, bardziej liberalnym porządku odnaleźli radość życia, upajali się swoimi talentami. Intensywnie przeżywali sukcesy i porażki. Byli niedojrzali, zaangażowani w sztukę, jak pisał Hłasko, „piękni dwudziestoletni”. Przeżywali swoją młodość, oddawali się jej szaleństwu, ekscytowali miłościami i miłostkami. Alkohol pomagał również zapomnieć o wszechobecnej w komunistycznym kraju szarości. Szarości we wszystkich odcieniach. Nieco mniej szarej dla funkcjonariuszy partyjnych oraz hołubionych przez partię artystów. No i wszechogarniającej, szaroburej dla całej reszty.

Poznał w „Kamerze” intelektualistów: Słonimskiego, Andrzejewskiego, Kołakowskiego oraz wielu innych. Pił z nim i wódkę, zawzięcie dyskutując o filozofii, kobietach i o życiu. Szczególnie dobrze mu się rozmawiało z Kołakowskim. Przy wódce rozwiązywali paradoks istnienia. Do „Kamery” przychodził bezlik pozbawionych talentu artystów. Grafomani, pacykarze, beztalencia aktorskie, niewydarzeni poeci, cała ta barwna zbieranina – żeby się ogrzać w cieniu sławy. Wszyscy oni byli ludźmi szczęśliwymi. Za to ci wybrani, obdarzeni wielkim talentem, mieli w duszach zasiane ziarno autodestrukcji.

Pewnego dnia brał udział w intrygującej dyskusji. Stwierdzenie, że w niej uczestniczył, byłoby nieco na wyrost. Mógł się zaledwie przysłuchiwać. W tym specyficznym stylu, w jakim prowadzono rozmowę, się nie odnajdywał. Brakowało doświadczenia, nie dawali mu dojść do słowa. Zresztą, nawet gdyby się udało, pozostali uczestnicy, doskonale wytrenowani w tej formie prowadzenia dialogu, zaraz by go przegadali. Poza krajem z takim sposobem dyskusowania się nie zetknął. Zorientował się już, że w Polsce jest formą powszechną.

Przy stoliku siedziała ich piątka. Andrzej – płynący z prądem pisarz; Włodek – działacz partyjny z pionu kultury; Ela – zapowiadająca się aktoreczka, mocno po trzydziestce; Wojtek – znany artysta, mający za sobą piękną przeszłość. No i on. Dyskutowano o wszystkim, co w tym lokalu oznaczało rozmowę o Sztuce¹⁰⁹.

- Byłem dzisiaj w „Czytelniku”. Wydadzą mój zbiór opowiadań *Czwarta zmiana*. I to w jakim nakładzie! Nawet sobie nie wyobrażacie! – Pisarz podskakiwał, siedząc.

- Ten Konwicki, jeszcze niedawno tak jakby pierwszy socrealista, taki przyszczaty, teraz jaki się z niego oniryczny pisarz zrobił – Artysta zmienił temat.

- Włodek, zabierz rękę! Jest nareszcie obsada *Partyzanckiej ballady*. Łączniczką będzie oczywiście Magda Bielecka. Ja zagram dziewczynę dowódcy. Wiecie, taka duuużo rola. I z Cybulskim...

- Wiemy, wiemy.

- No więc pięćdziesiąt tysięcy. Macie pojęcie? Pięć-dzie-siąt-ty-się-cy! Spotkania z robotnikami po zakładach.

Dyskusja przybrała inny wymiar. Działacz, Aktoreczka i Pisarz mówili jednocześnie.

- Kawalerowicz reżyseruje, tak?...

- Miał reżyserować Ford, ale zrezygnował.

- Wajda tylko szum wokół siebie robi. Uhm, co on takiego nakręcił? Sam sobie zadaje pytania, sam na nie odpowiada, więc mógłby dać sobie spokój z widzami...

- On jest teraz z Magdą, wszyscy o tym mówią. Podobno zupełnie się nie kryją...

- A to heca! Ciekawe, co ona teraz robi...

- To już skądinąd wiem, prawdziwy szok, co?

- W fabryce zawsze zaczynamy od wódeczki z dyrekcją. Zagrychę dają przyzwoitą. Śledzik, czasami szyneczka. Jajeczko z majonezem - rozmarzył się Pisarz.

Pisarza podmienił Artysta. Reszta bez zmian. Robert z trudem wyławiał z ogólnego zgiełku poszczególne zdania.

- Partia jest teraz gwarantem swobód artystycznych. Zaraz wyjaśnię. Mysia¹¹⁰ dostała nowe zapisy. Tak próbujemy to, zaraz powiem skąd się wziął problem, jakoś ułożyć. Uhm, ze starych została już tylko mniejsza połowa.

- Nie, ona teraz jest, tak jakby z tym, no wiesz...

- Coś ty, nie wiedziałam. Chcę wiedzieć wszystko!

- Musimy być wierni ideałom. Uhm. Należy do dobrych namawiać, a od złych nakłaniać. Nie możemy przecież dopuścić, aby ktoś po nas nie płakał!

- W pisaniu liczy się prawda... - Pisarz powrócił do dyskusji.

- Lubię bryzol...

- Byłem na naradzie w ministerstwie. Kuryluk popiera liberalizację, a nawet współpracę z Zachodem. Uhm. Koniec z socrealizmem. Trzeba biec z wiatrem czasu. Nie przerywaj, to

ważne! Partia będzie wspierała wysiłek twórczy. I on to zresztą obiecał im to. Czyli może dawać komuś, coś odbierać, tak? Przyszedł akurat Putrament...

- Cybulski jest taki...

- Ho, ho, czyżbyś poczuła do niego miętę...?

- Chwila! Przyprowadził Iwaszkiewicza. Uhm, mam pogadać na Mysiej, mieli zastrzeżenia.

- Iwaszkiewicz? Czytałem tę jego *Sławę i chwałę*... - Osoba pisarza wzbudziła żywe emocje.

- *Sława i chwała*? Takie ecie-pecie. Piewca ziemiaństwa się znalazł. Uhm, w tej powieści jest używane słownictwo, które nie jest używane, czyli jest na wymarcu.

- Wiecie, co o nim mówią, no, że on... tego... no tak jakby... - Artysta nie stronił od plotek. - Ta historia obija się gdzieś tam, komuś tam o uszy.

- Hłasko, to co innego. U niego pocerowany szalik jest synonimem przemijania, a wytarty kapelusz symbolizuje śmierć. Powiesz za moment, już kończę. Wie, o czym mówi, i wie, że mówi, co czuje. Jego proza jest taka krwista.

- Jak bryzol. Koniecznie z frytkami. Jaki ten Cybulski przystojny... Andrzej! Daj skończyć. Ja ci nie przerywałam. Zagra porucznika. Będę z nim miała dwa całowania. Czy to nie cudowne...?

- Jak Gałczyński pisał ten wiersz, to musiał być, że tak powiem, nawalony...

- Użycie wykrzyknika w tym zdaniu jest wprost bezcenne...

- Wczoraj była bijatyka. Zaczął Hłasko. Jak zwykle poszło o Agnieszkę.

- Ile bananów podjechało? Tylko dwa? Lipa. To żadna bijatyka...

- Marek jest jak kobieta, raz agresywny, innym razem tak jakby baranek...

- Zaczęli się bawić dopiero po kilku głębszych, zawsze tak jest i będzie.

Emocje nieco opadły. Na scenie pozostali: Działacz, Artysta i Aktoreczka, wypadł ponownie Pisarz.

- Czytaliście *Kolumbów*? Jedno zdanie. Bratny mnie zaskoczył!

- Uhm, bardzo potrzebna powieść, rozrachunkowa taka...

- Jego niezwykle rozbudowane koncepcje artystyczne łączy to, że ludzie i tak mają pecha.

- Zbyszek...

- Ty dzisiaj, Elka, nikogo do głosu nie dopuścisz.

- Wojtek robi imprezę w SPATiF-ie. Zaprosił Luśkę.

- Żartujesz... Chryste Panie! Oni się tam wszyscy okocą!

- Ciekawe, z kim przyjdzie Agnieszka, jak sądzicie?

- Bratny...

- Nieważne, z kim przyjdzie, ważne, z kim wyjdzie.

W dyskusji tym razem udział biorą: Aktoreczka, Działacz i Pisarz.

- No po prostu w Zbyszku się wszystkie zakochałyśmy...

- Uhm, na Mysią przyszli nowi ludzie. Poczekaj, Andrzej.

Bardziej otwarci.

- Ja w *Czwartej zmianie*...

- Już mówiłeś.

Aktoreczka i Działacz.

- Włodek, zabierz wreszcie tę rękę!...

- Będą stypendia dla artystów, którzy tworzą po linii partyjnej. Już kończę, zaraz powiesz. I więcej spotkań w fabrykach z aktywnym partyjnym. Uhm, trzeba zacząć nawalankę z burżuazyjną ideologią.

- Czy coś państwu podać? - Na scenie pojawia się kelner.

Wszystkie spojrzenia kierują się wymownie w stronę Roberta. A on ma okazję zabrać głos w dyskusji.

- Dwie butelki Wyborowej i zagrycha dla każdego.

- Jesteś wspaniały, nieczęsto się zdarza spotkać prawdziwego dżentelmena - zaćwierkała Aktoreczka.

Aktoreczka, Artysta i Działacz mówią niemal jednocześnie.

- Słuchajcie, słuchajcie! No muszę wam powiedzieć! - Klasnęła. - Frykowski dał mi „Playboya”.

- Co to jest Plajboj?...
- Same świństwa! Ale żeby gołe baby! I sprzedawać po kioskach, jak „Trybuna”? Ciekawe, co ich Kościół u nich na to?
- W teatrze są zapisy. Wypożyczam na dwa dni.
- Musisz mi koniecznie pożyczyć.
- Ja też chcę Plajboja. Kiedy pożyczysz?
- Podobno są zdjęcia artystyczne. Nagie ciało kobiece... Jedno słowo. Zmysłowe takie ujęcia...
- Sam zobaczysz. Zapiszę cię na przyszły tydzień. Włodek, zabierz rękę! Zbyszek...

Nastąpił zwrot akcji, mówili już wszyscy jednocześnie.

- Co ty z tym Zbyszkiem bez przerwy? Kobieto, co się z tobą dzieje?
- Nie mogę dojść do słowa. Ile razy zacznę, przerywacie...
- Nie zrzedź, mów, co masz do powiedzenia...
- No właśnie...
- Więc chcę wam powiedzieć, że zacząłem pisać nową powieść.

Ambitną...

- Mówiłeś nam o tym wczoraj, Andrzejku, nie pamiętasz?...
- Kawalerowicz...
- Czytam *Mandarynów* Simone de Beauvoir. Ta książka nabiera sensu, kiedy się ją przeczyta. Uhm, okazuje się, że to, co mówi Biblia, nie ma znaczenia.
- Powiem wam, co zrobię. Chwileczkę, chwileczkę!
- Widzę pewne możliwości.
- Posłuchajcie! Surowa krytyka burżuazyjnej mentalności. Co za kobieta!

- Czy coś państwu podać? - Kelner ponownie wkracza na scenę. Zapada cisza. Robert po raz drugi ma okazję do głębszej wypowiedzi.

- Dwie flaszki żyta, bryzol dla pani Eli i rachunek. - Sięgnął po portfel.

Działacz i Aktoreczka.

On (szeptem, do ucha): - Chodźmy do mnie. Cóż by ci, Elu, szkodziło, przeżyć ze mną ponownie, co już przecie było. Noc upojną ponownie powtórzyć, namiętnością się zmysłów odurzyć.

Ona (również szeptem i do ucha): - Jak to poetycko powiedziałaś, Włodku. Nie sądziłam, że jesteś taki wrażliwy. A zapoznasz mnie z tym, no, wiesz z kim?

- Zapoznam. Uhm, obiecuję - odparł po namyśle i skinął głową.

- No to wychodzimy. Osobno, ale najpierw zjem bryzol.

Korzystając z okazji, wymówił się ważnym spotkaniem i z ulgą pozostawił rozgadane towarzystwo jego sprawom. Był zmęczony jak po nocy z żoną, kiedy wpadła w swój erotyczny trans.

Polska w okresie wczesnego Gomułki była krajem zapewniającym swoim obywatelom ograniczone swobody obywatelskie i zdecydowanie lepsze warunki życia niż jeszcze kilka lat wcześniej. Mógł z czystym sumieniem napisać, że stalinowski terror należy do przeszłości. Nie była jednak krajem demokratycznym. Zmieniła się jedynie nadbudowa dyktatury. W październiku lud zabrał głos i zadeklarował zgodę na narodową, polską wersję komunizmu - socjalizm. Polski socjalizm nie miał wiele wspólnego z europejskim. Był nieco złagodzoną wersją sowieckiego komunizmu.

Pierwsza, robocza wersja raportu liczyła trzysta stron. Uprościł styl, usunął zbędne fragmenty, co pozwoliło zredukować tekst i poprawić czytelność. Następnie streścił ten dokument na osiemdziesięciu stronach i mógł wreszcie powiedzieć: *finis coronat opus*¹¹¹.

Poprosił o recenzję ambasadora. Hibbert był zadowolony.

- Doskonała robota! - zadudnił.

Na wysoką ocenę wpływał niewątpliwie fakt, że jednym z zaleceń raportu było powstrzymanie się od działań destabilizujących oraz utrzymywanie poprawnych stosunków dyplomatycznych. Bez rzucania się w ramiona, ale i bez pouczania. Doskonale pamiętał, jak

katastrofalne skutki przyniósł nieszczęsny „Plan Wulkan” i kto był jego autorem.

Do końca pobytu pozostał tydzień. Doszedł do wniosku, że coś mu się od życia należy, i potraktował ten czas jako nostalgiczną podróż w kraj lat dzieciennych. Żony nie zdradził. Nie dlatego, że był taki porządny. Gdyby trafił na kobietę, która ma w sobie to coś, zapewne zapomniałby przez chwilę o żonie. Ale nie trafił. Nie umiał ocenić, czy to szczęście, czy pech. Nadrobił też zaległości w korespondencji. Napisał do niej długi list. Ślad wyschniętej łzy dodawał tym kilku kartkom autentyczności. Odliczał dni do wyjazdu. Nie mógł się doczekać powrotu do niej, do dzieci, do Egiptu. Napisał: „Warszawa jest taka smutna bez Ciebie”.

Porucznik Bury był wściekły. Meissner mu się wymykał. Od właścicielki pensjonatu wydobył informację, że wkrótce wyjeżdża. Zamiast sukcesu i awansu zaliczył porażkę. Po jego wyjściu Poznański zamknął teczkę operacji „Sztynch” i kazał odłożyć do akt. *Kolejny idiota, półanalfabeta, tylko walić w mordę potrafi. Najchętniej bym się go pozbył.* Po głębokim namyśle wykręcił numer ambasady brytyjskiej.

- Robert Meissner. Słucham.

- Mówi major Poznański ze Służby Bezpieczeństwa. Chciałbym się z panem spotkać. Proszę się nie obawiać, to będzie rutynowe spotkanie towarzyskie.

Spotkanie z oficerem SB nigdy nie jest rutynowe ani tym bardziej towarzyskie. Poznański zaproponował popularną knajpę na Pradze. Ani dzielnica, ani restauracja nie cieszyły się najlepszą opinią. Zameldował Boltonowi o planowanej rozmowie.

- Czego on może od ciebie chcieć?

- Nie mam pojęcia. Przychodzi mi do głowy wiele tematów, jednak gdybanie nie ma sensu. Jutro się dowiem. Zrobię notatkę ze spotkania, kopia dla ciebie, oryginał do archiwum.

Bolton był usatysfakcjonowany. Robert od samego początku nie przysparzał problemów, ambasador był z jego pracy zadowolony i, jak

widać, przestrzegał hierarchii. W sumie, choć Polak, równy gość.

Restauracja, w której się spotkali, okazała się jeszcze gorsza od swojej reputacji. Zadymiona, pachniała wymykającym się opisom, jedynym w swoim rodzaju zapachem taniej polskiej knajpy. Poznański siedział przy stoliku w rogu sali, twarzą do wejścia. Pół głowy niższy, drobnej budowy, w dopasowanym mundurze, przyszedł tu oficjalnie. Wstał i się przywitał. Robert uważnie mu się przyjrzał. *Więc tak oni wyglądają!* Nie zapytał, w jakim celu został zaproszony. Usiadł, zamówił setkę wódki, śledzia na zakąskę i czekał.

- Zapewne się pan zastanawiał, dlaczego prosiłem o rozmowę?

- Jeżeli mam być szczery, to nie. Nie czuję się zagrożony, jestem dyplomata, a ciekawość? Lepiej poczekać, zamiast niepotrzebnie łamać sobie głowę.

- Punkt dla pana, kapitanie.

Dla Roberta było oczywiste, że SB dysponuje jego szczegółowym dossier. Doskonale wiedzą, że był tu w czterdziestym dziewiątym, wiedzą niemal wszystko.

- Jak pan się zapewne domyśla, mam w aktach wiele informacji o panu.

Konsekwentnie się nie odzywał, nie potakiwał ani nie zaprzeczał. Istnieje wiele rodzajów milczenia. To było życzliwe, zachęcające do kontynuowania.

- Chciałem pana osobiście poznać. Jestem ciekawy pana osoby.

- Przypuszczam, że chce się pan czegoś dowiedzieć; jeżeli będę mógł, odpowiem. Może wtedy wyrobi pan sobie właściwy pogląd na moją osobę.

Tak zachęcony, Poznański przystąpił do rzeczy:

- Jak wam się udało wymknąć naszej obławie w czterdziestym dziewiątym? Do tej pory nie możemy tego zrozumieć.

Odchodząc z wywiadu, podpisał zobowiązanie, że nie ujawni żadnych szczegółów swojej służby. Z drugiej strony... minęło tyle lat. Nikt już do Polski dywersantów nie wysyłał.

- Od wojny nie byłem w Polsce. Pomyliliście mnie z inną osobą. Tak hipotetycznie, gdybym miał być zrzucony w miejsce, w którym zorganizowano zasadzkę, tobym wiedział, co należy zrobić. W trakcie lotu porozmawiałbym z pilotem, poprosił o zrzut kilka kilometrów wcześniej, poza zasięgiem wzroku ludzi, którzy na mnie czekają. Tak hipotetycznie.

Poznański docenił szczerą odpowiedź.

- W tej hipotetycznej odpowiedzi jest pewna nieścisłość. Niezależnie, kim był, skąd miał wiedzieć, że na niego czekano? Gdyby wiedział, toby się nie zgodził lecieć. No i musiał być przekonujący, pilota z pewnością niełatwo było namówić na zmianę rozkazów. Chociaż akurat pan potrafi być przekonujący.

- Logika podpowiada, że jeśli się zgodził, nie był do końca pewien zasadzki. Taka wyspa zawsze jest rezultatem zdrady. Musiał zwietrzyć niebezpieczeństwo. Może się domyślił? Jak widać przeczucie go nie zawiodło. Same podejrzenia mogły jednak nie wystarczyć do odwołania akcji.

- Skąd u niego takie domysły?

- Jesteśmy tylko ludźmi, popełniamy błędy. Na przykład ja, siedząc tutaj i rozmawiając z panem, popełniam ewidentny błąd. Na takiej rozmowie mogę jedynie stracić. Pomimo to, nie wiedząc dlaczego, brnę dalej jak idiota.

- Dwie sprawy. Pan pozwoli, kapitanie, że powrócę do tej niefortunnej akcji z czterdziestego dziewiątego. Ten ktoś się domyślił. Ale poleciał - może chciał polecieć? Może mu zależało? Musiał załatwić coś jeszcze, o czym my do tej pory nie wiemy i czego pan nam nawet hipotetycznie nie powie.

- Przyczyna mogła być zupełnie inna. Zna pan Stary Testament, majorze? Tak? W takim razie zna pan historię króla Dawida i Batszeby. Może w grę wchodziła miłość? W końcu świat kręci się wokół władzy, pieniędzy i miłości.

- Może. Ja w miłość nigdy nie uwierzę. Mam jeszcze kilka pytań.

- Proszę pytać.

- Nadano jeden szyfrogram, potem radiostacja zamilkła. Nigdy więcej się nie odezwała, nigdy jej nie odnaleziono. Tego też nie rozumiem. Jeżeli doszło do zdrady, a wasz agent miał już pewność, powinien wysłać więcej szyfrogramów.

- Trudne pytanie. Wymaga znajomości całej akcji, mnie tam nie było. Tak sobie głośno myślę, może kluczem do rozwiązania zagadki nie jest radiostacja ani liczba szyfrówek? Może kluczem jest treść tej jednej depezy?

Poznański nie chciał przyznać, że nie znają treści przechwyconej depezy. Nie potrafili odszyfrować, a radzieccy nie pomogli. Nie umieli albo nie chcieli.

- Cóż takiego ważnego mogło być w depezy nadanej bezpośrednio po lądowaniu? Chyba tylko informacja, że zostali zdradzeni.

- Może. Każdy wywiad ma swoje procedury. Radiotelegrafista nadający z terenu kontrolowanego przez wroga dostaje słowo klucz. Tym jednym słowem informuje, że został schwytany i nadaje pod przymusem. Wasi agenci też dostają słowa klucze.

Zamówili dwie wódki i tatarą na zagrychę. Wypili. Poznański do dna, on do połowy. Major nie skomentował. Widać po nim było, że intensywnie myśli.

- Jeżeli, jak jestem niemal pewny, nadali, że w miejscu zrzutu była pułapka, nadal ufali Centrali. Jeżeli jednak, w co za bardzo nie wierzę, wysłali informację o wylądowaniu ze słowem kluczem, celowo wprowadzili Centralę w błąd. Podjęli niezrozumiałą grę. Walczyliby na dwa fronty? I przeciwko nam, i przeciwko Centrali? Mało prawdopodobne. - Poznański zamilkł zamyślony.

Robert był usatysfakcjonowany dotychczasowym przebiegiem rozmowy. Nie widział zagrożenia. W końcu rozmawiają o historii. Phil nie żyje, on jest cywilem, akta leżą w archiwum, utajnione na wiele lat.

Poznański wreszcie przerwał milczenie.

- Jeśli przyjmiemy, że tak było, widzę tylko jedno wytłumaczenie. Operacja została spalona, zanim się rozpoczęła. Dowódca misji, człowiek, którego tożsamości nie znamy, wszak nie pan, coś przeczuwał. Z powodów trudnych do ustalenia nie był w stanie jej zapobiec. Kiedy się potwierdziło, że była zasadzka, podjął grę z Centralą. Wyjaśnienie może być jedno. Podejrzewał, że w centrum dowodzenia przebywał zdrajca. Takie historie rzadko się zdarzają. Ale co ma do tego opowieść ze Starego Testamentu? Miłość? Co za niedorzeczność!

Spojrzał z uśmiechem na starego ubeka.

- Miłość, panie majorze, miłość i pożądanie. Tak właśnie było.

Nie powiedział prawdy. W jego rozumieniu nie z miłości do Marion Phil zdradził Ulissesa. Za to jak efektownie zabrzmiało!

- No dobrze, muszę sobie wszystko poukładać w głowie. Tak. Znam historię Batszeby. Tylko coś się nie zgadza. Uriasza zabili Ammonici, a dowódca przeżył. Co by się wydarzyło, gdyby Uriasz powrócił do Jerozolimy? Jak by się wtedy zachował król Dawid? Interesujące pytania. - Poznański zamknął temat.

Uświadomił sobie, że on jest Żydem. Za dobrze znał Stary Testament.

- Panie kapitanie - kontynuował major - zamordowano naszego człowieka, który dowodził akcją. Po pewnym czasie dotarła do nas informacja, że zabił dowódca grupy.

To było najtrudniejsze pytanie. Nie było prostego wytłumaczenia tego zabójstwa. Nie chciał kłamać, czuł, że z Poznańskim połączyła go jakaś nieokreślona więź. Rozmawiali jak zawodowiec z zawodowcem. Przeciwnicy, lecz nie wrogowie. Gdyby skłamał, ta więź zostałaby zerwana.

- Jeżeli wasz informator tak twierdził... Widocznie z jakiejś przyczyny musiał. Zabicie człowieka jest ostatecznością.

Zabił po wojnie wielu ludzi. Tylko w jednym przypadku miał wątpliwości. Czasami się zastanawiał, czy zabójstwo Kowalskiego

było niezbędne. Potrzebne? Bez wątpienia! Udało się zakończyć plan „Wulkan”, przynajmniej w Polsce. Właśnie się do niego przyznał.

Poznański w milczeniu pokiwał głową.

- My zabijamy was, wy zabijacie nas. Niedobrze, bardzo niedobrze. Teraz na pana kolej. Ma pan pytania, kapitanie?

- Mam jedno.

- Słucham.

- Czy jest pan Żydem?

Poznański poczerwieniał, jakby dostał w twarz. Widać było, jak to przeżywa. W końcu odpowiedział. Zaczepnie.

- Tak, jestem Żydem. Wcale się tego nie wstydzę. Nie lubi pan Żydów?

Nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji. Nie miał pojęcia, co go naszło, że zadał tak idiotyczne pytanie.

- Czy nie lubię Żydów? Nigdy się nie zastanawiałem, kogo akurat nie lubię. Lubię albo nie lubię ludzi. Nie Żydów, Polaków czy Niemców. Wie pan zapewne, że moja żona jest Niemką.

- Jeżeli tak, dlaczego zadał pan takie pytanie? - Major już się uspokoił.

- Sam nie wiem. Bardzo przepraszam, widzę, że pana uraziłem.

- Nic nie szkodzi. Zdarzały mi się gorsze rzeczy. - Zamówił kolejną wódkę.

Wzniósł toast.

- Pana zdrowie, kapitanie. - Robert dopił poprzedni kieliszek, był o kolejkę za majorem.

- Mówi pan, że żona jest Niemką. Musi być piękną kobietą, jak biblijna Batszeba. Tak piękną, że dla jej zdobycia warto popełnić zbrodnię. Jeżeli można spytać, proszę wybaczyć ciekawość staremu Żydowi, jak wam się układa?

- Bardzo dobrze, jesteśmy szczęśliwym małżeństwem.

- Zatem to Uriasz wyprowadził w pole króla Dawida.

Wypili po kieliszku, rozmowa zeszła na sytuację w Egipcie i w Afryce.

- Niepodległość, zgoda. Afryka musi być wolna od kolonializmu w jego haniebną, dziewiętnastowieczną wersję. Tylko jak Afrykanie mają rządzić? Obawiam się, że bez jakiegoś wsparcia z zewnątrz nie będą w stanie. Na tym kontynencie, na południe od Sahary, nigdy nie istniały państwa. Szczerze mówiąc, panie majorze...

- Adam, mam na imię Adam. A chętni do wspierania z pewnością się znajdują. Nawet w nadmiarze.

Odetchnął z ulgą. Miał po dziurki w nosie nieustannego „panowania”. Wypili bruderszaft.

Poznański zaproponował, żeby spotkać się jeszcze raz, „na pożegnanie ojczyzny”. Nie rozumiejąc, co nim powoduje, zgodził się.

Przełożeni byli umiarkowanie zadowoleni z raportu, w każdym razie nie spotkał się z krytyką. Największe wrażenie zrobił jeden fragment:

„Gomułka cieszy się w partii dużym autorytetem, ma wsparcie Chruszczowa, którego szacunek zdobył odważną postawą w październiku. Posiada wielkie poparcie społeczne. W dającej się przewidzieć przyszłości nie widać zagrożeń dla jego pozycji. Nie należy podejmować działań destabilizujących. Gomułce nie zaszkodzą, a on zapamięta, kto przeciwko niemu intrygował. Obecnie nie ma realnej szansy na zmianę ustroju”.

Z Poznańskim spotkał się ponownie przed wyjazdem. Na początku rozmowy podał mu zapisaną w jidysz kartkę papieru. Rabin Szlomo prosił wszystkich Żydów, którzy przeczytają list, o pomoc adresatowi. Major przeczytał dwa razy i zapytał z sarkazmem:

- I co, chcesz mnie może zwerbować?

- Wiesz dobrze, że nie. Chcę udowodnić, że nie jestem wrogo nastawiony do Żydów.

Przegadali wiele godzin. Zeszło im na wojenne wspominki. Byli wprawdzie pijani, lecz umysły mieli jasne. Dopiero wtedy pokazał list od premiera Izraela. Major przeczytał, następnie powiedział coś, co

Robert miał sobie przypomnieć po wielu latach. Rozstali się w zgodzie.

We Frankfurcie wszedł do salonu Jaguara. Wyjechał luksusowym studziwieńcdziesięciokonnym jaguarem mark VIII w stworzonym do tropiku kolorze jasnego błękitu. Postanowił zrobić żonie niespodziankę. Sprawdził rozkład lotów, zadzwonił i zapowiedział, że przyleci do Kairu za trzy dni.

- Tacy jesteśmy szczęśliwi, że wracasz. Będziemy czekali na lotnisku.

Siedział w rogu lotniskowej restauracji. Do przylotu samolotu pozostała godzina. Przyjechali przed czasem. Dzieciaki rozbrykane, ona podenerwowana. Podchodziła nieustannie do lustra i coś poprawiała. A to makijaż, a to niesforny kosmyk włosów. Uśmiechnął się wzruszony. Weszła w wiek, w którym kobiety są najatrakcyjniejsze. Chyba nie zdawała sobie z tego sprawy, może wydawało się jej, że przegrywa z młodszymi? Nie miała takiej smukłej figury jak dawniej. Urodziła dwójkę dzieci, kształty się zaokrągliły. W oczach mężczyzn, którzy mieli szczęście ją poznać, emanowała zmysłową kobiecością. Była jak szlachetne wino, młoda uderzała do głowy niczym beaujolais nouveau, lecz dopiero z latami nabrała mocy, kolorów, bukietu. Po dwunastu latach małżeństwa obydwójce byli wyjątkowo atrakcyjni. Podobali się sobie. Na swój widok odczuwali pożądanie. Małżeństwo jak wino - nabierało wartości z upływem czasu.

Spikerka zapowiedziała, że samolot wylądje zgodnie z rozkładem lotów. Ze swojego miejsca, niewidoczny, przyglądał się rodzinie. Dzieci grały w berka, żona spacerowała wzdłuż linki oddzielającej pole odpraw. Lądowanie przedłużało się, nie było żadnego komunikatu. Mijały kolejne minuty. Oczekujący zaczęli się denerwować. Ktoś podszedł do informacji. Marion zawołała dzieci. Kazała im zostać. Objęła je i stali całą trójką, wtuleni w siebie, znieruchomiali.

- Jest nam niezmiernie przykro. Informujemy, że doszło do tragicznego wypadku. Z nieustalonych przyczyn samolot linii Lufthansa podczas podejścia do lądowania zaczął tracić wysokość.

Rozległ się świdrujący, kobiecy krzyk.

- Samolot rozbił się o ziemię. Wszyscy pasażerowie zginęli.

Potrzebował chwili, żeby zrozumieć konsekwencje swojego żartu. Wpatrzony w Marion poderwał się od stolika, dopadł do barierki odgradzającej restaurację od sali przylotów, przeskoczył i pobiegł w stronę rodziny. Z daleka widział, jak się chwieje, uginają się pod nią nogi. Kiedy do niej dobiegał, zemdląła. Dzieci podtrzymały ją na tyle, że nie upadła, tylko osunęła się na betonową podłogę. Już trzymał jej głowę na kolanach. Dzieci krzyczały i płakały. Pierwsza oprzytomniała Julia.

- Tatusiu, co się stało? Dlaczego ty żyjesz?

Pytanie było tyleż absurdalne, ile logiczne. Podszedł pracownik lotniska ze szklanką wody. Spryskał jej twarz, a ona odzyskała przytomność.

- Gdzie ja jestem, co się stało? - Dotknęła go. - Wróciłeś. Tak czekaliśmy. - Zaczęło do niej docierać, co się wydarzyło. - Ale zaraz. Jak to? Fałszywy komunikat? Przecież jesteś, żyjesz. - Spojrzała na dzieci, szukając potwierdzenia, że jest w realnym świecie. - Co się stało?

- Kupiłem samochód. Chciałem wam zrobić niespodziankę. Żeby się nie wydało, napisałem, że przylecę tym samolotem. Nie zrobiłem głupiego dowcipu.

Już stała na nogach. Zrozumiała, co się wydarzyło.

- Chodźmy stąd. Natychmiast! To straszne miejsce, tyle tu rozpaczy.

Pobiegli w stronę wyjścia. Przez podjazd dotarli na parking. Zaczęła mówić o jego nieprawdopodobnym szczęściu. Mógł być w tym samolocie. Nie sprostował. Gdyby leciał, to trzy dni wcześniej. Niech myślą, że wydarzył się cud, tak będzie lepiej. W końcu nie zrobił nic złego. Dla próżności, z chęci posiadania pięknej limuzyny, nieco

opóźnił przyjazd. W otwartym aucie powiew wiatru chłodził twarz, koił nerwy. Marion i dzieci ciągle się jeszcze cieszyli, że żyje. Pod moskitierą obiecał, że na tak długo już jej nigdy nie pozostawi.

Wyjazd do Polski przyniósł pewne korzyści. Awansował na II sekretarza ambasady. Szczebel po szczebłu wspinał się po drabinie. Najbardziej zadowolona była Marion. Nigdy nie dała po sobie poznać, że podrzędne stanowisko Roberta jej doskwiera. W zamkniętym światku dyplomatycznym pozycja męża przekładała się w pewnym stopniu na pozycję żony. Unikała zatem towarzystwa żon pracowników ambasady brytyjskiej. W miejscach dostępnych dla dyplomatów z wielu krajów żadnej dyskryminacji nie doświadczała. Pogodziła się ze stosunkowo niską rangą męża i nie widziała w tym problemu. Jednak awans o kolejny szczebel sprawił jej satysfakcję. Wiele mu w końcu tej wspinaczki nie zostało. Ambasadorem z oczywistych względów nie zostanie. Zresztą, nie zamieniłby swobody, jaką cieszył się na swoim stanowisku, na prestiż.

Pieniądze były ulokowane w akcjach niemieckich firm, żona miała fundusz powierniczy. Przyszłość swoją i dzieci mieli zabezpieczoną.

¹⁰⁷ Thomas E. Lawrence - brytyjski archeolog i szpieg. Autor wspomnień wojennych *Siedem filarów mądrości*. Na ich podstawie nakręcono obsypany Oskarami film *Lawrence z Arabii*.

¹⁰⁸ Isaak Babel - prozaik rosyjski. Uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej w szeregach 1 Armii Konnej. Autor zbioru opowiadań *Armia konna*. Rozstrzelany przez NKWD.

¹⁰⁹ W poniższej dyskusji wykorzystano materiały ze strony internetowej: mrozkowiak.wolsztyn24.pl.

¹¹⁰ Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk mieścił się przy ulicy Mysiej.

¹¹¹ „Koniec wieńczy dzieło” (łac.).

11. CO DO GROSZA

**1 lipca 1958 r., 12.00,
Londyn, Barings Bank,
oddział przy Oxford Street**

Z banku musiał ją wyprowadzić szwajcar. Wezwał taksówkę, pomógł wsiąść. Była półprzytomna i gdyby jej nie podtrzymał, upadłaby. Aston pozostał na parkingu, w takim stanie nie mogła prowadzić. Nie był już zresztą potrzebny. Straciła wszystko. Bankrutowi niepotrzebny aston martin. Ubrany w liberię szwajcar, weteran Wielkiej Wojny, widział wielu klientów wychodzących z banku w podobnym stanie. Za każdym razem serce mu się łamało.

Jakimś cudem dotarła do domu. Nie przebrała się, nie zdjęła nawet butów, tylko rzuciła się bezwładnie na łóżko. Zasypiała, błagając Boga, żeby się nie obudzić. Sen miała niespokojny, wypełniony koszmarami.

**3 sierpnia 1957 r.,
Nowy Jork, apartament Eddiego Thomasa,
907 Fifth Avenue**

W ten pogodny, letni wieczór zebrali się w apartamencie Eddiego. On, John Dingle i Kerry Marshall. Trzej przyjaciele z podwórka. Z Cobble Hill na Brooklynie. Zaczynali od drobnych kradzieży. Po pierwszej wpadce przerwali się na oszustwa. Zmiana specjalizacji okazała się

celnym posunięciem. Byli cwani sprytem dzieci dorastających na ulicach w najgorszych dzielnicach. Początkowo im nie szło. Drobne przekręty dawały niewielkie zyski. Z każdym kolejnym nabierali rozmachu. Po trzydziestu latach dotarli na sam szczyt, czego wymownym świadectwem był apartament Eddiego za półtora miliona. Mógł sobie pozwolić na taki zbytek, ponieważ na ostatnim oszustwie zarobił jedenaście milionów. Była to pierwsza tak skomplikowana operacja i od razu ogromny sukces. Lata doświadczeń uczyniły z nich profesjonalistów. Zrobili przekręt za czterdzieści milionów na obligacjach korporacyjnych. Rok po zamknięciu tamtej operacji przelewami na numerowane konta w Szwajcarii, zebrali się, żeby wysłuchać Johna.

- A więc zaczynaj, John, ty nas w końcu wezwałeś - powiedział Eddie.

- Chciałem się z wami spotkać, ponieważ jest okazja. Możemy wykupić pakiet osiemdziesięciu procent akcji niewielkiej spółki, First Overseas Building Company, FOBC.

Przygotowując przekręt na obligacjach, poświęcili wiele dni na zgłębianie sekretów tych wyrafinowanych oszustw. Nie potrzebowali zatem wiele czasu, żeby dopracować szczegóły. Okazje, kiedy można jedną transakcją zgarnąć umożliwiający pełną kontrolę pakiet spółki akcyjnej, należały do rzadkości. Szczęście tym większe, że była to spółka budowlana, która działała na rynku od kilkudziesięciu lat. Nie była notowana publicznie, co również odpowiadało ich zamierzeniom. No i okazyjna cena. Za ledwie dwieście tysięcy dolarów.

Transakcji dokonają przez spółkę zarejestrowaną w Panamie, czyli poza jurysdykcją amerykańską. Znajdą młodego, niedoświadczonego inżyniera, najlepiej po MIT¹¹² lub innej prestiżowej uczelni, którego powołają na prezesa. Powierzą mu ambitne zadanie postawienia firmy na nogi. Oni sami, dając łapówki przekupnym menadżerom, zdobędą nowe kontrakty. Tym łatwiej, że nie będą się kłopotać wykonaniem umów ani osiągnięciem zysku.

Rozliczenie nie będzie miało znaczenia, ponieważ spółka jeszcze przed ich zakończeniem ogłosi upadłość.

Zanim zaprezentują inwestorom raport ze znakomitą dynamiką sprzedaży oraz wysoką rentownością, zaproszą firmę audytorską z „wielkiej ósemki”, która wąskiemu gronu wtajemniczonych znana była z pewnej stosowanej od lat praktyki. Raz na pewien czas szacowni biegli rewidenci przymykali oko na luki w dokumentacji. Nie robili tego rzecz jasna bezinteresownie. Dlatego zapisali jako kolejną pozycję w budżecie wziętek wysokości trzystu tysięcy dla Martina Talbota, partnera zarządzającego Coopers & Lybrand.

Ponieważ legenda sukcesu finansowego zostanie przygotowana nadzwyczaj starannie, wystarczy, jeżeli analityka odpowiedzialnego za przyznanie ratingu zaproszą na szampański wieczór do restauracji, po którym niezapomnianą noc zapewni dziewczyna z *escort service*. W tej pozycji zapisali zaledwie pięć tysięcy jako „lobbing w Fitch Ratings”.

- Jakie jeszcze koszty będziemy musieli ponieść?

- FOBC przynosi straty na poziomie trzydziestu do czterdziestu patoli miesięcznie. Wymaga stałego dofinansowania, dlatego jest taka tania. Będziemy musieli pokrywać straty aż do zamknięcia całego kramu, czyli dziesięć miesięcy.

- Czy wpływy z kontraktów nie wystarczają pokryciu strat? - spytał Kerry.

- Coś ty się taki oszczędny zrobił? FOBC zatrudnia obecnie około stu pracowników. Aby uwiarygodnić wzrost obrotów, zwiększymy zatrudnienie. Zresztą, na nowych budowach trzeba będzie zatrudnić po kilka ludków, żeby przynajmniej udawali, że się coś dzieje. Narobią duży bałagan. Wpływy ze zleceń nie mogą zostać przejezione, musimy wykazać zysk i to bardzo duży. Ostrożnie założyłem, że dopłaty wzrosną i wydamy łącznie osiemset tysięcy.

- Kupa szmalu!

- Bez wątpienia, ale jeżeli chcemy zarobić, najpierw musimy te pieniądze wyłożyć. Nie ma innej możliwości, a ty o tym doskonale

wiesz.

Jakkolwiek by liczyć, zmieszczą się w dwóch milionach. Genialny interes pod warunkiem, że się te miliony ma i nie pęka przed perspektywą dożywotniej odsiadki. SEC¹¹³ w przypadku takich oszustw była bezlitosna. Gdyby wpadli, mieliby jak w banku po dwadzieścia pięć lat. Dla nich oznaczało to dożywocie. Zamknęli tę część spotkania. Dopiero wtedy padło najważniejsze pytanie.

- Ile? - zapytał Eddie.

Oczy jego i Kerry'ego spoczęły na pomysłodawcy. A on przez chwilę delektował się napięciem, z jakim oczekiwali odpowiedzi. Wreszcie wycedził z obojętnym wyrazem twarzy:

- Dziewięćdziesiąt.

- Ile, dziewięćdziesiąt?! Zwariowałeś chyba, tyle nigdy nie sprzedamy! Mieliśmy problem z ulokowaniem czterdziestu, teraz chcesz sprzedać dziewięćdziesiąt? Sprowadzimy sobie kłopot na głowę, a ty się udławisz swoją chciwością.

- Nie gorączkuj się tak, Eddie, pozwól Johnowi wyjaśnić, jak zamierza sprzedać obligacje warte dziewięćdziesiąt milionów.

John miał swoje pięć minut.

- Latem, kiedy wy się byczyliście na Wyspach Dziewiczych, byłem, jak wiecie, w Europie. Chciałem naocznie obejrzeć, jak u nich wygląda rynek obligacji korporacyjnych. Na jednym ze spotkań z inwestorami zblatowałem się z dyrektorem londyńskiego oddziału Baringsa i jednocześnie członkiem zarządu, George'em Carfittem. To git facet. Od słowa do słowa ugadaliśmy się, że jeżeli nasze obligacje będą miały trzy A, on je pogoni. Weźmie dwadzieścia pięć melonów.

Eddie pozostawał pod wrażeniem przedsiębiorczości Johna, nadal jednak nie był przekonany do pomysłu wyemitowania obligacji za dziewięćdziesiąt baniek.

- A pozostałe sześćdziesiąt pięć jak chcesz opylić? W Stanach wciśniemy frajerom nie więcej niż czterdzieści. Pamiętasz, jak było ostatnio? Pierwszy spanikowałeś, kiedy tydzień przed zamknięciem

emisji mieliśmy do sprzedania za dwanaście. Gdyby nie Kerry, w życiu byśmy tyle nie pogonili.

- Daj mu, do cholery, skończyć. Bezustannie się wcinasz.

- W Europie nikt nie sprzedaje obligacji tak jak u nas, że wydzwaniamy po domach i naciągamy frajerów. U nich zorganizowali ten biznes zupełnie inaczej. Nazywa się to *private banking*. Ktoś ma za dużo kasy, a brakuje jemu głowy do interesu, więc wyznaczony dealer inwestuje w jego imieniu. Dysponuje, rozumiesz, upoważnieniem.

- Coś ty? - Eddie był zaskoczony.

- Już kumacie, jak rozprowadzimy tego pięćdziesiątka? Jeżeli taki słynny bank jak Barings weźmie dwadzieścia pięć, wiadomość się rozniesie. Inne banki dla zasady, z ciekawości, zaryzykują parę baniek. Nasze obligacje sprzedadzą się bez problemu. Jest jeszcze coś, o czym musicie wiedzieć. Ten Carfitt to bystrzak. Nie wiem jak, ale wyniuchał, że są trefne. Zażądał prowizji.

- Ile chciał?

- Dziesięć procent.

- Chyba zwariował! Poradziłeś mu, żeby się napił zimnej wody? Nikt jeszcze tyle za obligacje nie zapłacił. Ponosimy koszty. Nie zrobiło na nim wrażenia, że sponsorem jest Salomon Brothers? W końcu za coś biorą tych pieprzonych pięć procent.

- Nie, Kerry, nic takiego nie powiedziałem. Po pierwsze, nie mamy czasu. Zegar tyka, nie znajdę nikogo innego. Mam dać ogłoszenie? Po drugie, wziętek rozkłada się na całe pięćdziesiąt baniek, tym z pozostałych banków nie zapłacimy. Procentowo wychodzi całkiem nieźle. Po trzecie, twardo negocjowałem.

- Jak twardo?

- Stało na ośmiu. On musi jeszcze z tych pieniędzy zapłacić pod stołem swoim dealerom, żeby się bardziej starali. Nawet dla szacownego Baringsa dwadzieścia pięć to sporo. Będzie też musiał stawić czoła wkurwionym klientom. Za darmo nie ma ochoty

wysłuchiwać żalów. Średnia prowizja od euroobligacji wyniesie cztery procent.

- Masz rację - przyznał Kerry. - Jaki mamy harmonogram?

- Żeby wyemitować obligacje, potrzebne są nowe zlecenia na dwieście baniek oraz dwa doskonałe raporty kwartalne. Dopiero wtedy inwestorzy uwierzą w cudowną przemianę FOBC. Od dzisiaj - siedem miesięcy. Potem przygotowanie prospektu i przychylnie zatwierdzenie emisji w SEC - dwa miechy.

Na wzmiankę o SEC przebiegły im po plecach ciarki.

- Sama emisja - miesiąc. Razem - dziesięć miesięcy. Po odliczeniu wszystkich kosztów pozostanie osiemdziesiąt jeden baniek do podziału. Dwadzieścia siedem na głowę!

- Chryste! Jak to wyjdzie, to się wycofam!

- Ty się nigdy nie wycofasz, Eddie. Będzie ci brakowało tego dreszczyka.

Uznali, że pora na artystyczną część wieczoru. Eddie poszedł do pokoju, w którym czekały dziewczyny z najlepszej w Nowym Jorku agencji *escort service*.

1 lipca 1958 r., 13.10.

Londyn, Barings Bank,

oddział na Oxford Street

Sekretarka wsunęła głowę.

- Panie dyrektorze, przyszedł Spalding, chce rozmawiać.

Carfitt wiedział, o czym chce rozmawiać szef dealerów obligacji. Nie będzie to miła rozmowa, lecz chciał ją mieć za sobą. Nie da się zarobić dwóch milionów dolarów, wachając kwiatki. Czasami trzeba powąchać gówno.

- Niech wejdzie, Ann.

Miesiąc po pamiętnej nocy, podczas której Eva uratowała mu życie, Ray zaprosił ją do restauracji. Przyszła zrobiona wystrzałowem. W misternej grze pomiędzy kobietą a mężczyzną potrafiła, jak mało

która, pociągnąć kolorem oczko, zadziwić modnym strojem, odurzyć perfum wonią. Poświęciła dwie godziny na wybór sukienki, przymierzanie i makijaż. Żeby odjąć sobie lat, założyła szmizjerkę, w której było jej wyjątkowo do twarzy. Nie mogła się zdecydować na uczesanie. Nigdy wcześniej nie stroiła się z takim przejęciem. Była podekscytowana. *To on tak na mnie wpływa?* Nie była przebojową właścicielką firmy, lecz kobietą, jakich wiele, niepewną uczuć wybranka.

- Wyglądasz zjawiskowo. - Z satysfakcją pomyślał, że odstawiła się tak dla niego.

- Dziękuję, Ray. Staralam się. Przecież to nasza pierwsza randka. Już myślałam, że mnie nigdy nie zaprosisz.

Czy ma ochotę poflirtować, czy się ze mną droczy?

- Odchodzę z firmy. Znalazłem kogoś na swoje miejsce, żebyś nie musiała tracić czasu na szukanie. To ten Polak, który nam uratował życie.

Patrzyła na niego zaskoczona, a chwilę potem już ciężko wystraszona. Kiedy zobaczyła, jak smutne ma spojrzenie, odetchnęła.

- Możesz się wypchać takimi bzdurami. Zamiast przeprosin, w ostateczności, przyjmę oświadczyzny. - Wpatrzone w niego szarozielone oczy rozbłysły.

Nareszcie i Evą zawładnął magiczny głód kochania. Był zaskoczony, ponieważ wiedział, jakie wymagania stawia partnerom. Wiedział również, że on tych wymagań, przynajmniej niektórych, nigdy nie spełni.

- Chcę ci coś wyznać.

Ma kobietę. Chryste Panie! tylko nie to. Słonę ze wstydu.

- Pokochałem cię, Evo, od pierwszego wejrzenia. Czy pamiętasz naszą rozmowę o pracy? Spojrzałem na ciebie i straciłem głowę. Byłaś życzliwa, uśmiechałaś się. Twój głos, taki ciepły, taki kobiecy. Nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Nie potrafiłem sklecić sensownego zdania. Z pewnością się zaczerwieniłem. Dotąd nie rozumiem, jakim cudem mnie zatrudniłaś.

- Jak mogłam nie zauważyć! Ty nie byłeś spięty, ty się we mnie zakochałeś! - Zaszklily się jej oczy. Zbyt długo nie dostrzegala zakochanego w niej mężczyzny, choć stał obok niej i cierpliwie czekał.

- Chcę zasypiać przy tobie i budzić się przed tobą, żeby móc patrzeć, jak śpisz, i wsłuchiwać się w twój oddech. I mówić, że podoba mi się twoja sukienka, i oglądać cię, kiedy po prysznicu wychodzisz z łazienki w szlafroku, bosa i z ręcznikiem na głowie, i być szczęśliwym, że tylko ja cię taką widzę, i całować twoje stopy, i wychodzić z tobą do restauracji i do kina, i na długie spacer. I dawać ci prowadzić, kiedy gdzieś pojedziemy, i nie obrażać się, kiedy będziesz ze mnie żartowała, i śmiać się z twoich dowcipów, i przyznawać ci rację, kiedy jej nie będziesz miała, i fotografować cię, kiedy śpisz, i przynosić ci do łóżka kawę i świeże bułeczki. - Na chwilę przerwał, żeby odzyskać oddech.

- Nie przestawaj. Chcę tego słuchać. Proszę. Mów dalej. - Wzrok miała nieprzytomny, a świat wokół niej zawirował.

- Chcę z tobą chodzić do kawiarni za rogiem, kiedy w środku nocy opadniemy z sił, i patrzeć w twoje piękne oczy, kiedy mi opowiadasz, jak minął dzień, i gapić się nieustannie na twoje niesamowite nogi, i jeździć z tobą do Ascot i podziwiać twoje śmieszne kapelusze, i oglądać z tobą Ksenofonta, i szczypać cię w pupę, i słyszeć, jak piszczysz, i cieszyć się, kiedy mi zrobisz malinkę. I delektować się twoim smakiem. I opowiadać, jak bardzo cię kocham, chociaż nie ma na to słów. I opowiadać ci kawały z brodą o policjantach, i liczyć z tobą spadające gwiazdy; i chcę słyszeć, jak mówisz „tak”, bo proszę, żebyś za mnie wyszła.

Zamiast powiedzieć „tak” - nie zważając, że wszyscy goście patrzą na nich z zapartym tchem, rzuciła mu się w ramiona.

- I obiecujesz, że będziesz mnie zawsze kochał? Chcę to dostać na piśmie! - zażądała, nie czekając na jego zapewnienia.

Jak wpadniesz w moje pazurki, zrobię z ciebie najelegantszego mężczyznę w Londynie. Miała minę kotki, która za chwilę złowi mysz.

Potem, promienna jak majowy poranek, dowcipkowała, robiła miny, plotła głupoty, droczyła się, zalewała potokiem słów. Miłość, którą wreszcie odnalazła, sprawiła, że czuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie. Przestała trajkotać, kiedy przypomniał, że czekają ich inne atrakcje.

- Tak bardzo cię pragnę, Evo, że nie potrafię nad sobą zapanować. Chodźmy już. Czy uważasz, że się źle zachowuję?

- Jeśli to nazywasz złym zachowaniem, Ray, to błagam - nie przestawaj - powiedziała, skracając dystans, żeby miał bliżej do jej spragnionych warg.

Patrzyli na siebie, jakby świat zatrzymał się specjalnie dla nich.

Po ślubie uparł się i pomimo nalegań żony odszedł z firmy. Wyjaśnił, że wystarczy w zupełności, jak nim rządzi w domu. Nie ma ochoty być jej podwładnym dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wierutne łgarstwo, ponieważ nigdy w domu nie rządziła, w pracy również się nie wtrącała, lecz i tak postawił na swoim. Początkowo chciał wrócić do policji, jednak ona poprzez swoje kontakty załatwiła ciekawą i dobrze płatną posadę w międzynarodowej korporacji. Wydawało się jej, że Ray nie wie, komu zawdzięcza stanowisko. Jego miejsce w firmie zajął Dunin.

1 lipca 1958 r., 17.30,

Londyn, Belgravia, apartament Evy von Hirschberg

Ray Clemence wrócił do domu w doskonałym nastroju. Otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Teczkę zostawił w korytarzu, w rękę trzymał czerwoną różę i butelkę wina. Liczył na ciepły wieczór, potem na upojną noc. Najpierw zjedzą kolację, którą przygotowują wspólnie, potem, przy drugiej butelce, Eva otworzy Ksenofonta, siądą na sofie, a ona, wtulona w niego, będzie mu szeptała do ucha swoją wiedzę tajemną o koniach. Przedwczoraj, po namiętnej nocy, spojrzała zalotnie i spytała, czy nie miałby ochoty na eksperymenty. Myśl, że będzie eksperymentował w łóżku z tak namiętną istotą, siedziała mu odtąd w głowie. Stąd róża i wino. Wczoraj nie chciała się kochać.

Mówiła, że jest podminowana, czuje niezrozumiały niepokój. Sama nie wie, skąd się bierze, przecież wszystko układa się doskonale.

Ray w swojej karierze policyjnej widział wiele ofiar przestępstw. Nie miał wątpliwości. Ktoś skrzywdził Evę i ten ktoś będzie musiał za to zapłacić. Obudziła się, wyczuwając przez sen jego obecność. Ściągnął jej buty, zmusił, żeby się przebrała, wykonując za nią większość czynności, potem wziął ją w ramiona i powiedział:

- Opowiedz, co się stało.

Kiedy skończyła opowiadać, zrozumiał, że tym razem nawet on nie będzie w stanie wymierzyć sprawiedliwości.

5 lipca 1958 r., Kair

Robert wrócił z pracy w nie najlepszym nastroju. Pokłócił się z nowym I sekretarzem ambasady, który najwyraźniej nie pałał do niego sympatią i robił wszystko, żeby to zademonstrować. Na dokładkę, wracając do domu, miał niewielką stłuczkę. W sumie błahostka, jednak nastroju nie poprawiła. Od progu zauważył, że coś się wydarzyło. Po tylu latach małżeństwa mogli się porozumiewać bez słów. Jak się domyślał, sprawa była poważna.

- Co się stało?

Nie była zdziwiona, że się domyślił. Byłoby dziwne, gdyby się nie domyślił.

- Dzwonił znajomy, Krzysztof Dunin. To Polak, pracował kiedyś w MI6. W Londynie bardzo mi pomógł. Poznałam wtedy Evę von Hirschberg. Jest właścicielką domu mody. Polubiłyśmy się, to wspaniała i odważna kobieta. Dunin dowiedział się, że zbankrutowała, pracuje teraz u niej. Bank ją oszukał na dwa miliony funtów, na domiar złego żąda natychmiastowego zwrotu kredytu. Ona tych pieniędzy nie ma, więc zabiorą jej firmę. Dunin próbuje pomóc, szuka kogoś z pieniędzmi.

No proszę, w Londynie poznała Evę. Świat jest jednak mały. Ze sposobu, w jaki opowiadała tę historię, widać, że Eva się nie wygadała. I chwala jej za to.

- Czy ten Dunin powiedział, o jaką sumę chodzi?

- Nie. Powiedział tylko, że dużą. Powie, jak się pojawi inwestor zainteresowany wejściem kapitałowym w biznes Evy.

- Dzwon do niego natychmiast i powiedz, że znalazłaś takiego inwestora.

Sięgając po słuchawkę, pomyślała, że jednak nie poznała swojego męża do końca i chyba nigdy nie pozna. Ona opowiada o kłopotach Evy, zupełnie dla niego obcej kobiety, a on natychmiast chce coś dla niej zrobić.

- Mam złe wieści, kochanie. Obawiam się, że nawet ty nie pomożesz Evie, chociaż ty wszystko możesz. - Uśmiechnęła się smutno. - Dunin powiedział, że potrzebny jest milion funtów i to najdalej za dziesięć dni.

- Milion funtów, mówisz?

Przez dłuższy czas się nie odzywał, przebywał w innym wymiarze. Milczała, żeby go nie rozpraszać. Wreszcie powrócił na ziemię.

- Spróbuję pomóc Evie von Hirschberg.

Myśląc jak przesłuchiwany przez matkę dwunastoletni chłopiec, użył pełnego imienia i nazwiska. Mógł równie dobrze powiedzieć „Evie”. Wtedy by zdradził, że ją zna. Przypuszczał, że jeżeli ma pomóc, Marion prędzej czy później dowie się o romansie. Ale może niekoniecznie teraz, ponieważ nie wiadomo, jak zareaguje. Mógł też powiedzieć „twojej Evie”, jednak udając, że jej nie zna, skłamałby.

- Ile pieniędzy masz w funduszu powierniczym?

Spytał ją o to po raz pierwszy. Wcześniej nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Mam niecałe trzysta tysięcy marek - odpowiedziała, trochę zawstydzona.

Był zdziwiony, przypuszczał, że ma nieco więcej. Nie mógł wiedzieć, że kupiła kondominium i wydała mnóstwo pieniędzy, aby zabić Phila.

- W przeliczeniu na funty - dwadzieścia pięć tysięcy. Doskonale. Dzwon do domu, chcę porozmawiać z Hasso.

Czy on naprawdę myśli, że moja rodzina jest aż tak bogata? Przecież nie może być taki naiwny. Ma jakiś plan. Najlepiej, jeśli poczekam, bo mi sam wszystko opowie. Po chwili odłożył słuchawkę.

- No i co? - Była niezmiernie ciekawa, do czego to wszystko zmierza.

- Twój ojciec wspaniałomyślnie zgodził się pożyczyć czterysta tysięcy, czyli trzydzieści pięć tysięcy funtów.

- Jak chcesz pomóc Evie, która potrzebuje milion? Do tej pory z mojego funduszu i od ojca uzbierałaś zaledwie sześćdziesiąt tysięcy. Skąd zdobędziesz pozostałe dziewięćset czterdzieści? Martwię się.

- To się nie martw, Mia. Mam pewne niewielkie oszczędności - powiedział jakby od niechcienia.

- Wiem, że masz pieniądze, ale przecież nie aż tyle!

- Skąd wiesz, ile? Rzeczywiście, nie mam dziewięćset czterdziestu tysięcy funtów, jednak niewiele mi brakuje.

Po raz pierwszy przyznał, jaki jest bogaty. Ratowanie Evy wymagało poświęceń, a ona była warta największych. Złapała się za głowę.

- Ty draniu! Jesteś aż tak bogaty?

- Może nie aż tak, ale jestem.

- Masz natychmiast odkupić ode mnie nasz apartament! Słyszysz?! A ten śmieszny czynsz wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić? To ja, głupia krowa, poświęciłam wszystko, żeby się nam mieszkało wygodnie, i czego się dowiaduję? Finansowałam męża milionera! Niesłychane! Ależ byłam głupia!

Śmiał się, aż mu z oczu poleciały łzy. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Od lat, niczego nie podejrzewając, płacił czynsz żonie. Złapał ją, choć przezornie próbowała uciec, i z lubością przełożył przez kolano.

- Nie licz, że parę klapsów załatwi sprawę. - Ugryzł ją w pupę. - W nocy będę potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć. Pojutrze lecimy do Londynu, podejrzewam, że na dłużej, więc zabieramy dzieci. Zajmiesz się organizacją wyjazdu, ja będę zajęty. Za to po

powrocie pojedziemy do Edenu. Tylko we dwoje. Na własnej skórze doświadczysz, jak to jest być niewolnicą okrutnego, a na dodatek rozwścieczonego despoty. W Safadży twoich krzyków nikt nie usłyszy! Będziesz miała co wspominać, już ja się postaram. Może nawet opiszesz swoje przeżycia w formie baśni – ma się rozumieć – bogato ilustrowanych. Byłbym zapomniał. Zatrzymamy się w Ritzu, weźmiemy apartament. I samochód, koniecznie z kierowcą. Oni jeżdżą pod prąd! A ty, księżniczko, przeżyjesz wyśnioną przygodę.

- Zgodzę się na wszystko, jeżeli uratujesz Evę.

Ciekawe, czy by się tak na wszystko zgadzała, gdyby wiedziała, jak niewiele wtedy brakowało...

7 lipca 1958 r., 19.30.

Londyn, Belgravia, apartament Evy von Hirschberg

Pojechał do Evy prosto z lotniska. Marion z dziećmi posłał do hotelu, ponieważ było już późno, a opiekunka miała przyjść dopiero następnego dnia. Drzwi otworzył średniego wzrostu, szczupły mężczyzna. Po przygnębieniu, jakie miał wypisane na twarzy, domyślił się, że jest mężem Evy. *Przynajmniej sercowo się jej ułożyło* – pomyślał, patrząc z sympatią na Raya.

- Robert Meissner – przedstawił się.

- Witaj, Rob, wspaniale, że tak szybko przyleciałeś.

- Ty jesteś Ray. Bardzo się cieszę, że Eva odnalazła swoje szczęście.

- Odnalazła, a przed kilkoma dniami utraciła. Firma była dla niej wszystkim, zresztą, sam zobaczysz. – Ray był bardzo przygnębiony.

Dopiero teraz pojawiała się Eva. Przez ostatnie dni nie wstawiała z łóżka. Ray wezwał psychiatrę.

- Przeżyła ciężki wstrząs. Mogę przepisać leki, które ją odurzą i ulżą nieco cierpieniom. Kiedy minie pierwszy szok, podejmiemy terapię. Na razie proszę jej nie spuszczać z oka. W tym stanie może się nawet targnąć na życie.

Zapamiętał ją jako pełną optymizmu, wyjątkowo atrakcyjną młodą kobietę. Stała przed nim zniszczona, niemłoda kobieta. Przez ostatnie kilka dni postarzała się o dziesięć lat. Tak ją skrzywdzili trzej hochsztaplerzy z Manhattanu i pewien przedsiębiorczy bankier z Londynu. Objął ją, a ona się rozszłochała. Ray obserwował tę scenę z posepną miną. Wreszcie się opanowała i mogli usiąść.

- Żeby zakończyć dramat, powiem od razu: mam ten milion, więc najgorsze ci nie grozi. Stawiam jednak twarde warunki, zapewne ci się nie spodoba.

- Jaki to warunek? - Ray zapytał za nią, ponieważ była zawieszona pomiędzy dnem rozpaczki a szaloną nadzieją.

- Za milion funtów Eva odsprzeda mi swoją firmę. Po zawarciu transakcji pozostanie dyrektorem zarządzającym.

Warunek był rzeczywiście twardy, firma była warta co najmniej dwa miliony funtów. Tylko że Ray wiedział coś, czego nie zdradził żonie, żeby jej nie dobijać. Swoimi kanałami ustalił, że bank po przejęciu firmy planuje doprowadzić do jej niewypłacalności.

Dla banku, który kontroluje firmę - to nie problem. Carfitt zamierzał zrobić to w pierwszej kolejności, ponieważ Eva's generowała zyski, i to duże. Po wykazaniu w ten szalbierczy sposób, że przynosi straty, będą mogli sprzedać firmę za symbolicznego funta pewnemu słynącemu z bezwzględności biznesmenowi. Banki tak robią. Schemat jest banalnie prosty. Znaleźć obiecującą firmę. Dać kredyt. Dowolnym sposobem doprowadzić do utraty płynności, jeżeli nie da się inaczej, pod byle pretekstem wypowiedając umowę w trybie natychmiastowym. Następnie, wykorzystując desperację właściciela, zmusić go do przekazania firmy za długi i na koniec sprzedać za grosze osobie powiązanej z zarządem. Bankrut jest dla banku bezużytecznym produktem ubocznym tej machinacji.

W przypadku Eva's Barings miał ułatwione zadanie, zabezpieczeniem kredytu było sto procent udziałów w firmie. Za tydzień przejmą wartą dwa miliony firmę, a ona nie dostanie ani

grosza. Mało tego, pozostanie winna bankowi milion, który komornik będzie egzekwował z bezduszną robotą do kresu jej dni.

Zyskami podzielił się biznesmen, który za grosze przejmie Eva's, i Carfitt, który z bezwzględnością, jakiej mógłby mu pozazdrościć Shylock¹¹⁴, od dawna planował, realizował i egzekwował swój udział w takich przekrętach. Kiedy się dowiedział, że George Alcock znany jako „Hiena z East Endu” szuka okazji i przygląda się branży odzieżowej, polecił dealerowi zarządzającemu portfelem, żeby wszystkie pieniądze, jakie były zdeponowane na firmowym koncie Eva's, przeznaczył na wykup obligacji FOBC. *Po co komu być dobrym dla innych, skoro można być dobrym dla siebie?* Polecenie wydał ustnie. O tym wszystkim Ray nie mógł wiedzieć.

- Zgódź się, Evo, to korzystna oferta. Będiesz nadal robiła to, co tak lubisz. Z naszych pensji będziemy żyli jak do tej pory.

Był nieco rozczarowany, w głębi duszy liczył, że ten milion będzie pożyczką, nie przejęciem, i tak jednak nie mieli wyjścia. Eva była w takim stanie, że za wiele do niej nie docierało. Z całej tej rozmowy zrozumiała, że pozostanie na stanowisku, nie będzie nic winna bankowi, zmieni się jedynie właściciel firmy. Wprawdzie ją straci, ale Robert pozwoli jej rozwinąć skrzydła. Była taka szczęśliwa, że ponownie się popłakała. Przez łzy wykrztusiła:

- W tym zamieszaniu zupełnie zapomniałam. Zabierz spod banku astona, Ray, bo go jeszcze ukradną.

Umówili się za dwa dni w banku. Zapewnił, że będzie miał wystawioną na nazwisko Eva von Hirschberg nieodwołalną akredytywę na milion funtów. Pożegnał się i pojechał do hotelu.

Miał problemy z zebraniem pieniędzy. Po podliczeniu portfela akcji oraz szacunkowego operatu domów bankowcom wychodziło dziewięćset tysięcy. Zaparli się i nie chcieli dać więcej. On też się zaparł i zakomunikował, że dają tyle, ile potrzebuje, czyli dziewięćset czterdzieści, albo przenosi swoje aktywa do rywala zza miedzy, Commerzbanku. Na takie dictum zmuszeni byli podnieść wycenę domów, żeby przepchnąć dziewięćset czterdzieści tysięcy.

Marion była tej nocy dziwnie spięta i nawet najbardziej wyrafinowane pieszczoty jej nie poruszały. *Na szczęście nie domyślił się, że to wspomnienia tak na mnie wpływają.*

Następny dzień przeznaczili na zwiedzanie Londynu i na zakupy. Zażądał, żeby go zawiozła do sklepu Evy, bo chce na własne oczy zobaczyć, co kupuje. W szczególności transakcji zdążył ją wtajemniczyć przy śniadaniu. W końcu i ona, i jej ojciec zostali jego wspólnikami. Była zdziwiona. Spodziewała się, że pożyczycy Evie milion funtów, a on odkupił firmę. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, ponieważ nie znała jej wartości.

- To ile masz pieniędzy? Raczysz w końcu powiedzieć?

- Mam dziewięćset tysięcy. W akcjach i dwóch domach w Hamburgu. Brakujące czterdzieści wymusiłem szantażem. Tylko że teraz ja, ty i twoi rodzice nie mamy ani grosza. Nie mam nawet na zapłacenie hotelu. W razie czego wyślę cię na ulicę. W jedną noc zarobisz na tydzień w Ritzu. Tobie nie ubędzie, a mnie uratujesz przed więzieniem za długi.

- Jesteś nieznośny. Raz ci nie dałam i tak mi się odpłacasz.

**9 lipca 1958 r., 11.00,
Londyn, Barings Bank,
oddział na Oxford Street**

Spotkali się po raz pierwszy w czwórkę. Dwa małżeństwa. Robert z Evą siedli przy stoliku i załatwiali formalności, Ray usiadł z Marion przy sąsiednim. Mógł nareszcie podziękować jej osobiście za to, że ryzykując życiem, wysłała Dunina do jego mieszkania, czym ich uratowała.

Eva miała przygotowane dokumenty sprzedaży spółki. Robert wyjął Mont Blanc, złożył podpisy na czterech egzemplarzach i wraz z akredytywą podał Evie. Zauważył, jak głęboko odetchnęła. Wiedział, że jeżeli jego plan się powiedzie, Eva poczuje się bez porównania lepiej. Było już po formalnościach. Wyszli przed budynek, w którym urzędował notariusz. Robert został właścicielem Eva's.

- Co teraz, szefie? - Eva odnosiła się do niego z taką uprzejmością, jakby się dopiero poznali.

- Teraz lecę na kontynent, a nawet dalej. Mam do załatwienia kilka spraw. Ty wracasz do pracy, ja się do niczego nie wtrącam. O szczegółach porozmawiamy, kiedy wrócę. Od ciebie, Evo, potrzebuję dokumentów finansowych firmy. Absolutnie wszystkich, jakimi dysponujesz. Bezwzględnie potrzebne są sprawozdania finansowe za ostatnie trzy lata. Z bieżącego roku powinno już być wstępne sprawozdanie za drugi kwartał. Wyciągi z konta również będą potrzebne. A teraz zajmijcie się swoimi sprawami, bo samolot mam o siedemnastej. Zabierz Mię, z pewnością będziecie chciały porozmawiać. Zamienię parę słów z Rayem, potem do was dołączymy.

Marion patrzyła na niego ze zdumieniem. Intuicyjnie wyczuła, że szykuje coś tak ważnego, że jest maksymalnie skoncentrowany. *Skąd u niego taka dogłębna wiedza o spółkach? Recytował, jakby był księgowym. Ciekawe, czym mnie jeszcze zaskoczy. Obiecał wspaniałą przygodę. Nie mógł mieć na myśli tego, co się do tej pory wydarzyło. To była rozpaczliwa akcja ratunkowa, gdzie tu przygoda? Coś jeszcze musi się zdarzyć!*

- Idziemy do najbliższego pubu - zwrócił się do Raya. - Prowadź.

Po przekazaniu Robertowi dokumentów Eva wybrała się z Marion do kawiarni. Piły kawę, napoje, do których ktoś chyba dolewał alkoholu, jadły różne słodkości i plotkowały z takim zapałem, że dostały chrypki.

14 lipca 1958 r., 15.30,

Londyn, Belgravia, apartament Ewy von Hirschberg

Jak obiecał, wrócił po pięciu dniach. Wyjechali po niego na lotnisko. Chciał jechać prosto do hotelu, ale solidarnie się sprzeciwili.

- Jedziemy do nas - powiedziała Eva. - Jesteś przegłosowany.

Sprawa się wyjaśniła, ponieważ przywitały go dzieciaki. Pod jego nieobecność Eva zaprosiła Marion do siebie, a ona z wdzięcznością się zgodziła. Pobyt w Ritzu jej ciążył. Co i rusz pojawiały się niezbyt

dla niej miłe wspomnienia. Po przeprowadzce odetchnęła z ulgą. Nie w smak mu było, że żona i była kochanka zamieszkały pod jednym dachem, z drugiej strony to, co zaplanował, wymagało współpracy całej czwórki.

- Wieczorem spotykamy się na naradzie - zakomunikował i poszedł się zdrzemnąć.

Po kolacji Ray otworzył wino, a on opowiadał, co wymyślił.

- My, Sahajdaczni, nie pozostawiamy takich spraw otwartych. Kto skrzywdził nas lub naszych przyjaciół, musi ponieść karę.

- Sahajdaczni? Jacy znowu Sahajdaczni, co ci strzeliło do głowy!? Jestem twoją żoną od trzynastu lat, a ty mówisz dzisiaj, jak się naprawdę nazywasz?

- Tylko żartowałem, kochanie. Mój ojciec, który, jak wiesz, mnie nie uznał, nosił nazwisko Sahajdaczny. Ustaliłem, że mój prapradziad był atamanem kozackim na początku XVII wieku. Niewiele brakowało, a zdobyłby Moskwę. Nie mam prawa do tego historycznego nazwiska. Z tym wyrównywaniem rachunków tak mi się powiedziało. W rzeczywistości planuję odzyskać co do grosza pieniądze zrabowane Evie.

Za kilka dni pojedziemy z Marion do posiadłości barona Chelmsford. Baron zaprasza na polowanie na lisa. Bezkrwawe, ponieważ sezon mordowania tych sympatycznych zwierzków jeszcze się na szczęście nie rozpoczął. Prawdę powiedziawszy, zorganizował je specjalnie dla mnie. Jego syn ma u mnie dług wdzięczności. Wypożyczymy waszego astona. Przysięgam, będę o niego dbał. Wyjedziemy wcześniej, żebyśmy się mógł zatrzymać przed każdym skrzyżowaniem i zastanowić, jak skrócić.

Kiedy skończył opowiadać, wszyscy byli pod wrażeniem.

18 lipca 1958 r., 14.30,

Gloucestershire, posiadłość barona Chelmsford

- Cotswolds to wymarzone miejsce na taką gonitwę.

Marion w stroju do jazdy konnej energicznym krokiem weszła do wielkiego jak sala balowa salonu posiadłości Chelmsford. Okazałość pałacu w stylu georgiańskim, liczna służba, witający na schodach portier w liberii, imponujące wnętrza, portrety przodków, wszystkich bez wyjątku z zaciśniętymi ustami i czołami pomarszczonymi od nadmiaru ważności, spoglądających ze ścian surowym wzrokiem, robiły na gościach ogromne wrażenie. W tej rezydencji czuć było zapach starych pieniędzy. Podeszła do stołu i niedbałym ruchem rzuciła wspaniałą lisią kitę. Wyglądała jak bogini łowów. Spod rozpiętego rajtroka energicznie wypychały się na swobodę apetyczne piersi. Uwolnione od toczka jasne włosy rozsypały się na ramiona, kontrastując z czernią materiału.

Oparłszy rękę na biodrze, przybrała triumfalną pozę, duma ją rozpierała. Pokonała kilkudziesięciu jeźdźców, arystokratów z okolicznych posiadłości. Dopadła tego, który odgrywając rolę lisa, uciekał przed kawalkadą myśliwych, i jednym szarpnięciem zerwała z jego ramienia kitę, cenne trofeum, przedmiot pożądania wszystkich uczestników gonitwy. Osiągnęła cel, nie przebierając w środkach. Po drodze do sukcesu bezpardonowo taranowała swoim gniadym hunterem konkurentów. Bezczelnie i ryzykancko zajeżdżała drogę, nie przejmując się przekleństwami, jakimi ją obrzucano. Kiedy doganiała lisa, przed nią, jak spod ziemi, wyrósł jeździec na karym ogierze. Wiele nie myśląc, wychyliła się z siodła i przylała palcatem w zad karego. Koń poniósł, przed nią otworzyła się droga do zwycięstwa. Sprytna z niej była charcica.

Odniosła również inny tryumf. Mężczyźni otoczyli ją kołem, adorowali i zasypywali komplementami. Niefortunny jeździec, którego pozbyła się palcatem, skomentował jej wyczyn:

- Jeżeli lubisz takie gonitwy bez żadnych zasad, Mia, powinnaś spróbować swoich sił w buzkasi.

- Z chęcią bym się z nimi spróbowała, Steve, gdyby te szowinistyczne męskie świnię pozwalały kobietom uczestniczyć w tych swoich buzkasi.

Oddała się wspomnieniom. Miała szesnaście lat. Był 3 listopada 1940 roku, dzień świętego Huberta. W tym dniu jeźdźcy urządzają polowania na lisa. W zależności od kraju, tradycji i umiejętności uczestników - na żywego nieszczęśnika albo bezkrwawe, jak dzisiejsze. Zdążyła wziąć udział w jednej takiej gonitwie. Od następnego roku Hubertusa nie urządzano. Młodzi mężczyźni, zamiast na bezbronnego lisa, polowali na groźniejszą zwierzynę. Jak każdy z uczestników gonitwy wierzyła, że lada dzień wojna się zakończy. Niemcy zawrą zwycięski pokój, ona znajdzie swego księcia z bajki, być może któregoś z tych młodych oficerów, którzy tak jej nadskakują. Ponieważ tamtego dnia każdy zabiegał o jej względy. Zupełnie jak dzisiaj. Czy dla młodziutkiej panny zarumienionej od wiatru, wysiłku i emocji mogły istnieć piękniejsze chwile?

Jeszcze przed wybraniem tego jedyne go pójdzie na tysiąc randek. Przecież to na randkach wybiera się męża. Będą chodzili na tańce, na spacer, usłyszy miłosne wyznania. W niewielkiej kawiarence będzie się wpatrywać w oczy ukochanego. Pójdą na film o miłości. W kinie będą się całowali, on będzie ją dotykał i szeptał do ucha. Po randce przyjdzie do matki, żeby o wszystkim opowiedzieć, wysłuchać porad. A w nagrodę zobaczyć, jak słuchając wyznań córki, ponownie przeżywa swoją młodość. Przez wojnę życie potoczyło się inaczej. Nie było tysiąca wysnionych randek. Z trudem oderwała się od wspomnień i powróciła do rzeczywistości.

Na przyjęciu były dwie królowe. Marion i tajemnicza nieznajoma. Księżniczka Jasmina bin Fahd przyjechała prowadzonym przez szofera bentleyem. Kierowca i służąca zostali ulokowani w pomieszczeniach dla służby. Zdobyli uznanie kolegów po fachu. Ray za pogodę ducha, Maud za kompetencje, które zrobiły wrażenie nawet na pokojówce wicehrabiny de Sackville. Mężczyźni obecni w Chelmsford podzielili się na dwie zbliżone liczebnie partie. Pierwsza adorowała Marion, druga, czyli wszyscy pozostali z baronem Struttem na czele, Jasmine.

Księżniczka prowadziła się z przyprawiającym panów o zawrót głowy melanzem skromności i zmysłowości. Wytwarzała wokół siebie aurę urzekającą mężczyzn, którzy pod jej powłóczystym spojrzeniem robili z siebie idiotów. Nie uczestniczyła wprawdzie w gonitwie, lecz towarzyszyła kawalkadzie konno, jadąc w damskim siodle, którego zażądała ku przerażeniu zatroskanego o całość jej kształtnych kończyn barona. Zjawiskowa piękność w długiej sukni pewną ręką prowadziła swoją klacz w jednostronnym dosiadzie. Zauroczony baron zamiast uganiać się za lisem, dotrzymywał jej towarzystwa.

Co zaskakujące, obu paniom ta rywalizacja nie przeszkadzała. Sprawiały wrażenie, że się lubią, a pojedynki o wprężenie do swego rydwana jak największej liczby zalotników je bawi. Baron zdążył już zaprosić Jasiinę na polowanie na bażanty, słynne Stare Dęby. Carfitt patrzył na te zaloty z zazdrością. On nie mógł zaprosić księżniczki nawet na przepiórki.

20 lipca 1958 r., 9.15,

Londyn, apartament w hotelu Ritz

George siedział naprzeciw Jasminy w jej apartamencie. Spędzili razem noc, a on nie mógł się pozbierać. Kochał się z księżniczką – swoich przeżyć nie potrafił nazwać pieprzeniem. Przez pół nocy przebywał w innym świecie. Wpatrywał się w nią cielecym wzrokiem i śnił na jawie, że ona się zgodzi raz jeszcze, choćby jeden jedyny. George się zakochał. Nie wiedział o tym, ponieważ do tej pory kochał wyłącznie pieniądze.

– George, chcę otworzyć rachunek w banku, czy możesz polecić najlepszy? Nie znam się na tym.

– Oczywiście, najdroższa, zajmę się tym osobiście. Pojedziemy do mojego banku i w nim otworzysz rachunek.

Polecił, aby go informowano o ruchach na koncie Jasminy. Jakież było jego zaskoczenie, kiedy następnego dnia po otwarciu konta wpłynęła na nie w formie akredytywy bająska suma sześciuset tysięcy funtów.

W przerwie na złapanie oddechu pomiędzy niewiarygodnymi wyczynami Jasminy pomyślał, że to musi być sen. Kocha go najpiękniejsza kobieta na świecie. Jakby tego było mało, bajecznie bogata. Uspokoiła go myśl, że jest wyjątkowy. Inaczej nie wspiałby się na swoją pozycję. W porównaniu ze zniewieściałymi – jak powszechnie wiadomo – Arabami okazał się prawdziwym mężczyzną. Dlatego księżniczka się w nim zakochała. Następnej nocy zagrała dla niego na lirze, potem poprosiła o pomoc.

- Och, George, jestem taka zagubiona. Mój były mąż chce mi wynagrodzić nasze wspólne życie. Tylko że on jest niewiarygodnie skąpy. Dał mi zaledwie siedemset tysięcy. Wyobrażasz sobie? Po prostu oburzające! Zamiast pieniędzy, które mi się należą, zaproponował pomoc w zgarnięciu wielkiej fortuny.

George z wysiłkiem przestawił w mózgu przełącznik z pozycji „rozkosz i spełnienie” na pozycję „koncentracja i pieniądze”. Zaiskrzyło, ale się powiodło.

- W czym mogę pomóc, królewno?

- Jest w Egipcie pewna spółka budowlana. Nazywa się International coś tam. Amir doradził, żebym kupiła jej akcje, czy jakoś tak. Ja się nie znam. Zanim posłucham jego rady, chciałabym sprawdzić tę firmę. Ale nie wiem, jak to zrobić.

George wiedział, co należy zrobić. Dwa dni później inżynier budowlany, który pracował jako rzeczoznawca dla Baringsa, wylądował w Kairze. George nie musiał płacić, znalazł fikcyjny powód tej delegacji, jednak Jasmina się uparła.

- My, kobiety Wschodu, stawiamy mężczyznę na pierwszym miejscu. - Zajrzała mu głęboko w oczy. - Jeżeli coś dla nas robi, staramy się wynagrodzić jego wysiłek najlepiej, jak potrafimy. Tak zostałyśmy wychowane.

George wyobraził sobie, że jest wynagradzany przez Jasminę do końca świata i z trudem przełknął ślinę. Inżynier sprawdził wszystko sumiennie i przywiózł entuzjastyczny raport. Ponieważ księżniczka nie znała się na finansach ani na budownictwie, George objaśniał

raport strona po stronie. Leżeli w łóżku, on czytał i wyjaśniał, ona odwdzięczała się tak umiejętnie, że miał nieustającą erekcję, którą podtrzymywała mięśniami. Czuł się jak księżę z baśni.

- George!

- Tak, serce moje?

- Jutro przylatuje osobisty sekretarz Amira, szejk Bandar al-Khaibari. Znamy się od dawna. Mam się z nim spotkać. Zatrzyma się w Ritzu. Czy pójdziesz ze mną na spotkanie z Bandarem, będziesz mnie wspierał, mój panie? Amir mówił, że mam kupić akcje, bo znaleźli ogromne pole naftowe, podobno największe, i trzymają w sekrecie. Mówił, że ta ABC ma wygrać kontrakt na budowę rurociągu, portu naftowego i eksploatację, ale zapomniałam, czego. Będziesz podpowiadał, jakie pytania mam zadać Bandarowi? Liczę na ciebie, ukochany.

Miłość oralna w wykonaniu Jasminy była spektaklem artystycznym. Robiła to, jakby George był jej bogiem, a ona kapłanką tego boga. Nie był przygotowany na tak wielkie emocje, więc wytrysnął wcześniej, niżby pragnął. Miał nadzieję, że Jasmina ponownie zawiedzie go do raję. Do tej pory pieprzył kobiety prymitywnie i brutalnie, a zachowywał się wobec nich chamsko. Taką miał naturę. Pod jej wpływem zmienił się nie do poznania. Chama i brutala zastąpił oddany i delikatny kochanek. Im bardziej tracił dla niej głowę, tym na wyższy piedestał ją stawiał. Jasmina śpiewała, tańcząc przed nim, przesłonięta delikatnym tiulem, który niemal niczego nie zasłaniał. Jej głos zniewalał.

Mówię: Boleję za tobą

Powiada: Boleść twa minie

Mówię: Bądź moim księżycem

Powiada: Jeżeli wszędzie

Mówię: U zakochanych ucz się cnoty wiary

*Powiada: Księżycolichy mniej obchodzą te sprawy*¹¹⁵

Był tak wzruszony, że nie mógł powstrzymać łez. *Czy ja śnię, czy może dostałem się do raju?* Biedny George zakochał się beznadziejnie.

21 lipca 1958 r., 11.15,

Al-Khaibari prowadził spotkanie z inwestorami bardzo sprawnie. Wyjaśnił, że ksiązę Amir bin Fahd wybrał egipską spółkę International EBC Ltd. jako generalnego wykonawcę rurociągu, terminalu naftowego, do którego będą mogły zawijać największe tankowce i – co najważniejsze – jako operatora rurociągu oraz terminalu na dziesięć lat. Decyzja księcia nie jest przedmiotem dyskusji. Ponieważ nawet ksiązę musi się liczyć z międzynarodową opinią publiczną, zostanie ogłoszony przetarg. Niezależnie, kto się zgłosi, zwycięzca został wybrany. W przetargu będzie wymagane wadium wysokości dwunastu milionów funtów. Zgromadzenie wspólników, czyli ksiązę bin Fahd, za trzy dni podejmie decyzję o podniesieniu kapitału poprzez sprzedaż nowych udziałów na kwotę potrzebną na opłacenie wadium. Decyzja, kto zostanie nowym udziałowcem EBC Ltd., należy oczywiście do księcia, który ma ostatnie słowo. On będzie jedynie rekomendował, kto może zostać udziałowcem.

- Obawiamy się, że Mossad spróbuje przez podstawione osoby wejść do EBC. Dla nich to nie lada gratka. Jako udziałowcy operatora terminalu, nie licząc ogromnych zysków, uzyskaliby dostęp do największych tajemnic branży naftowej. Do takiego skandalu w żadnym razie dopuścić nie możemy. Dlatego ważne jest zachowanie poufności. W tym gronie znamy się, wiemy, kto jest kim i ile wniesie do EBC, oprócz kapitału oczywiście.

Po powrocie do apartamentu George zapewnił Jasmine, że jej były mąż postąpił wspaniałomyślnie.

- Nie masz się czego obawiać, pani mego serca.
- Skoro tak, zlecam przekaz. Załatwisz to, serce? Nie potrafię wypełniać tych głupich papierków. Zawsze się gdzieś pomylę.
- Naturalnie. Kiedy chcesz zrobić przekaz?

- Może teraz. Już i tak zbyt długo zwlekałam. Potem, jeżeli się zgodzisz, pójdziemy Soho i się zabawimy. Nigdy tam nie byłam. Zaopiekujesz się mną? W Soho tylko z tobą będę się czuła bezpieczna.

Po wykonaniu przelewu George zaproponował, że odwiezie ją do hotelu, a spotkają się wieczorem.

- Soho ożywa o zmroku, w dzień wszyscy odsypiają.

Po wyjściu, zamiast zjechać na dół, wysiadł z windy dwa piętra wyżej i zapukał do drzwi apartamentu szejka al-Khaibariego. Ostateczną decyzję podjął, kiedy Jasmina przelała telegraficznie sześćset tysięcy funtów na konto EBC. Pozbył się ostatnich wątpliwości. Pozostało jedynie skłonić tego capowatego durnia, żeby zarekomendował go księciu. Okazało się, że do objęcia pozostały udziały za dwa miliony dwieście tysięcy.

- Dwieście tysięcy zarezerwowałam dla siostrzeńca. Wyjątkowo utalentowany młodzieniec. O pozostałych udziałach mam jutro rozmawiać z pewnym ranczerem z Argentyny. Arabia Saudyjska sprowadza duże ilości wołowiny z tego kraju, więc jest dla nas atrakcyjnym partnerem. Zapowiedział również przyjazd hodowca owiec z Australii. Dostarcza na nasz rynek czterdzieści tysięcy ton jagnięciny rocznie. Ale on nie potwierdził przyjazdu.

George zaproponował, że obejmie udziały za dwa miliony.

- Tyle nie mogę. Najwyżej milion. Wtedy drugi zostanie dla Argentyńczyka.

George wyszedł z apartamentu szejka dopiero po dwóch godzinach. Był wykończony, ponieważ musiał się ostro targować. I bardzo zadowolony. Bandar zdradził, że po ogłoszeniu kontraktu cena udziałów może skoczyć o siedemset procent. *Wybuduję dla Jasminy pałac, przy którym Chelmsford będzie wyglądał jak kurnik.*

26 lipca 1958 r., 20.45,

Londyn, Belgravia, apartament Evy von Hirschberg

Zebraли się, żeby podsumować operację „Co do grosza”.

- Na konto EBC wpłynęły dwa miliony funtów. Właśnie dostałem potwierdzenie ze Standard Chartered. Tak, moi drodzy, jesteśmy wielcy! Precz z fałszywą skromnością! - Robert, pomysłodawca całego przedsięwzięcia, nie zamierzał kryć dumy z sukcesu. - Odebraliśmy kradzione, co do grosza! Wszyscy byliście wspaniali, jednak bez Jasminy nic byśmy nie zdziałali. Dziękujemy, Jasmino.

14 lipca 1958 r.,

Londyn, Belgravia, apartament Evy von Hirschberg

Przed rozpoczęciem operacji „Co do grosza” Robert wprowadził pozostałą trójkę w szczegóły.

- Jutro przylatują do Londynu dwie osoby. Hamid, mój sekretarz, zagra rolę osobistego sekretarza szejka Amira bin Fahda, ministra do spraw ropy Arabii Saudyjskiej. Drugą osobą jest Jasmina, która przylatuje z Bejrutu. Jasmina jest kurtyzaną. Jak wieść niesie, najpiękniejszą na Bliskim Wschodzie. Poprosiłem ją o pomoc, a ona się zgodziła, za co jestem jej niezmiernie wdzięczny.

Marion wyłapała to zdanie i odczytała w oryginalnym brzmieniu. „Może być kurtyzaną, dla nas jest prawdziwą damą i tak ją będziemy traktowali”. Pochyliła się do Evy i szeptała coś przez dłuższą chwilę. Eva kiwała głową ze zrozumieniem.

- Jasmina wystąpi w Chelmsford w roli żony szejka bin Fahda. Szejk ma młodsze żony i z tej przyczyny chce się rozstać z Jasminą, w wielkiej zgodzie zresztą. Pozostaną przyjaciółmi, on bardzo ją szanuje. Przed wyjazdem prosiłem Raya, żeby wynajął bentleya.

- Znalazłem najnowszego R type w idealnym stanie. Szoferem będzie nasz, chciałem powiedzieć twój, pracownik, też Ray. Zdolny młody człowiek. Zatrudniłem również pokojówkę dla Jasminy. Z najlepszymi referencjami.

- Doskonale. W takim razie Ray zawiezie Jasminę do posiadłości Chelmsford i będzie jej kierowcą na czas pobytu.

26 lipca 1958 r., 21.00,

Londyn, Belgravia, apartament Evy von Hirschberg

Siedzieli przy suto zastawionym stole. Marion i Robert, Eva i Ray, Jasmina i Hamid. Pili wino, głośno się śmiali, mówili wszyscy jednocześnie i cieszyli się tak, jak tylko dobrzy, szczęśliwi ludzie potrafią. Na stole stał wazon wypełniony czerwonymi różami. Przypadek zrządził, że akurat były urodziny Evy. Róże przyniósł Robert, który o urodzinach dowiedział się od Raya. Mogli pójść do restauracji, ale nie mieli nastroju. Szczególnie Eva, która po ostatnich przeżyciach nie zrzuciła jeszcze z serca wszystkich ciężarów. Depresja, wyrzucona za drzwi frontowe radosnymi zdarzeniami, podstępnie zakradała się od zaplecza.

- Evo, uśmiechnij się. Dzisiaj twoje urodziny. Są kwiaty, wino, jesteś wśród przyjaciół, czegoż więcej potrzebujesz? - złożył życzenia Robert.

*Słuchaj rad wina i muzyki
Tajemnic świata nie dociekaj
Bo nikt rozumem nie rozwiązał
I nie rozwiąże tej zagadki¹¹⁶*

- Opowiadaj!

- Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, jak wpadłem na ten pomysł. Tej nocy siedziałem na tarasie, patrzyłem w rozgwieżdżone niebo i usiłowałem coś wymyślić. Niestety, nic mi do głowy nie przychodziło. W końcu zasnąłem. Kiedy rano wstałem, było jasno na dworze i jasno w moim umyśle. Wyśniłem rozwiązanie. Jakie proste. Zamknąć oczy i dać się unieść sennym marzeniom. Rozwiążą za ciebie wszelkie problemy. Cały plan ze szczegółami czekał, aż się obudzę. Tak było. Przysięgam. Wystarczyło zaprosić aktorów i wyreżyserować spektakl. Nasze gwiazdy, Jasmina i Hamid, genialnie odegrały swoje role.

- To takie nudne być sobą. - Jasmina przyjęła komplement z pobłażliwością. - Żeby na coś takiego wpaść, trzeba mieć niebywałą

fantazję - dodała i obdarzyła Roberta najskromniejszym spośród swoich uśmiechów.

- Nie sztuką jest mieć fantazję, gdy się ma pieniądze. Sztuką jest mieć pieniądze, gdy ma się fantazję - odparł z powściągliwym uśmiechem.

- Nasza maskarada to komedia dell'arte. Fałszywe wąsy, maski, kostiumy. Heca z romanssem i tajemnicza nieznajoma. Jeżeli w przyszłości będziesz coś reżyserował, to się polecam - powiedziała wielce z siebie zadowolona Marion.

Następnie nabrała kopiastą łyżeczkę czekoladowego sufletu i namalowała sobie imponujące wąsy.

Kiedy śmiechy ucichły, Ray podał jej serwetkę.

- Nie, nie, to zupełnie zbędne, mąż mi zliże. - Zerknęła dyskretnie na Jasmine. Kiedy jej mąż poznawał atrakcyjną kobietę, robiła się troszkę zazdrosna. - Jestem jakoś dziwnie trzeźwa. Chcę się upić!

Leo, który specjalnie na tę okazję przyleciał do Londynu, ze swadą zagrał wiceprezesa DMB Metallurgen GmbH. Bawił się znakomicie, okazało się, że jest doskonałym aktorem. Za przyjazd i odegranie roli zainkasował piętnaście tysięcy marek. Był wdzięczny Robertowi, jak zawsze było u niego krucho z forszą. Ciocia wspierała go finansowo, lecz on miał pański gest, może dlatego kobiety tak za nim szalały. Był dla nich księciem z bajki. Zakochana w nim ciocia, na co dzień zimna pani prezes wpływowej i potężnej gazety, na jego widok zamieniała się w troskliwą kwokę.

- Leo, ile bym ci nie dała, wszystko zmarnotrawisz.

- Ależ ciociu, z każdego tysiąca, który mi dajesz, dziewięćset wydaję na kobiety, konie i wino, a tylko stówę marnotrawię!

- No i co mam począć z tym nicponiem? Ile tym razem potrzebujesz?

Rolę emerytowanego brygadiera z wielkim talentem odegrał oczywiście Mungo.

- Ponieważ Eva ma dzisiaj urodziny, mam dla niej prezent.

Wyszedł do hallu i wrócił z cienką teczką, którą położył przed Evą. Otworzyła i zaniemówiła. Siedziała z otwartymi ustami i wpatrywała się w dokument, który przed chwilą przeczytała. Wreszcie wyrwała się z letargu, porwała teczkę i nie mówiąc słowa, wybiegła. Pytające spojrzenia spoczęły na Robercie. Jedyne Marion się domyśliła. Znała go lepiej niż on siebie i od samego początku pewna scena z reżyserowanego przez niego spektaklu brzmiała fałszywą nutą. Zaniepokojony Ray chciał pójść za żoną. Chwyła go za rękę i powstrzymała.

- Daj jej chwilę, poczekaj. Zaraz się dowiemy, jaki dostała prezent.

Eva wróciła do salonu dopiero po dziesięciu minutach. Oczy miała zaczerwienione, lecz błyszczące jak gwiazdy, a jej buzia śmiała się od ucha do ucha.

- Wiecie, co dostałam w prezencie urodzinowym?

Trzy osoby pokręciły przecząco głowami.

- Dostałam swoją firmę! Mam ją z powrotem! Robert mi odsprzedał za jednego funta. I jeszcze podarował milion! Oto czek gwarantowany, na moje nazwisko, wystawiony przez firmę EBC. - Uniosła niepozorną kartkę papieru. - Mam co do grosza tyle, ile miałam, zanim mnie okradziono. Miałam dwa miliony na koncie, z czego milion kredytu. Po zbilansowaniu milion. Tyle właśnie firma zaoszczędziła, żeby otworzyć sieć salonów w mojej ojczyźnie. - Dostała spontaniczne brawa. Robert poczuł, jak bosa stopa przesuwająca się w górę łydki.

- Musiałem ci odebrać firmę, ponieważ dostałem z mojego banku, pod zastaw udziałów, sześćset tysięcy funtów kredytu. Bez tych pieniędzy Carfitt by się nie nabrał. Ty nie miałaś możliwości uzyskania kredytu. Po ostatnich wydarzeniach będziesz miała zablokowany kredyt we wszystkich angielskich bankach. Złe wieści szybko się rozchodzą. Na szczęście nie ma to już znaczenia. Ponieważ zwróciłem kredyt i odebrałem udziały, możesz założyć konto

w dowolnym niemieckim banku. Jak będziesz otwierała sklepy, bez problemu dostaniesz kredyt.

- Mój mąż jest taki mądry, że na każde rozwiązanie znajdzie problem - oświadczyła z dumą lekko podcięta Marion.

- A moja żona jest taka nadzwyczajna, że zna pytania na wszystkie odpowiedzi - skwitował ją szarmancko jeszcze trzeźwy Robert.

Damska stopa podjechała wysoko. *Jak się jej udało tak wykręcić nogę? Przecież nie jest z gumy.*

- Mam jeszcze jeden prezent. - Wyciągnął z torby jatagan. - Zdobycz wojenna. Należał do herszta handlarzy niewolników, którego zastrzeliłem.

Wysunął jatagan z pochwy i machnął nim nad głowami biesiadników. Srebrzysta klinga z damasceńskiej stali zaświeciła odbitym blaskiem, świsnęła złowrogo. Wszyscy odruchowo zmrużyli oczy. Wyłamała się jedna osoba. Do niej właśnie podszedł i wręczył jatagan.

- Niech ta magiczna broń przyniesie ci szczęście, Jasmino.

Piękna kurtyzana, która wszystko w życiu widziała i była przekonana, że nic jej nie zaskoczy, ku swojemu ogromnemu zdumieniu wzruszyła się. Jasmina nigdy się nie wzruszała. Poleciała ją Cippi. Dała też rekomendacje od kogoś, kto ją znał. Bez takich rekomendacji Jasmina nie rozmawiała z nieznanymi. Zostać jej klientem można było wyłącznie z polecenia kogoś, komu ufała.

Robert odwiedził ją w jej luksusowym apartamencie we wschodnim Bejrucie. Spojrzał na Jasminę i odebrało mu mowę, jak zresztą każdemu mężczyźnie, który ją zobaczył. Podczas ich pierwszego spotkania zachowywała dystans. Powiedziała, że jej stawka wynosi dwieście funtów za dobę. Nie musiała dodawać, że nigdy nie pracuje na godziny. Ponieważ będzie pracować w Anglii, która jest znana z paskudnego klimatu, na dodatek nie może ocenić, czy mężczyzna, którego ma uwieść, spełnia jej wymagania, cena

wzrasta do czterystu funtów za jeden dzień, niezależnie, czy spędzony z klientem, w podróży czy na oczekiwaniu w hotelu.

Zgodził się natychmiast i obiecał premię. Podwoi wynagrodzenie, jeżeli londyńska eskapada zakończy się sukcesem. Przed godziną wręczył jej czek na trzynaście tysięcy sześćset funtów. Jatagan miał bez wątpienia dużą wartość. Trudno odgadnąć, jaką, ponieważ nie zlecił wyceny. Przeliczając zabytkową broń na złoto, odarłby ją z magicznej aury. Mógł dać Jasminie więcej pieniędzy. Z ręką na sercu, wyłącznie jej zawdzięczali sukces. Podarowując na oczach wszystkich zdobytą w walce broń, okazywał szacunek. A szacunek był jedyną wartością, jaką ceniła. Pieniądzy miała dosyć, pracowała dla przyjemności lub rozrywki. Wybierała interesujących mężczyzn, takich, którzy się jej podobali. Nacieszyła się prezentem i postanowiła się zrewanżować.

- Ja również dostałam prezent - pochwaliła się Marion. - Ten cwaniak, mój mąż, wmawiał mi nieustannie, że jest biedny jak derwisz! Dopiero kiedy Evie przydarzyło się to okropne nieszczęście, zdobył się na szczerłość i przyznał, że jest bogaty. I to jak bogaty! Teraz będzie się musiał ze mną podzielić. Całe szczęście, że nie zawarliśmy intercyzy. Przypomnij no, skarbie, ile dokładnie na mnie przypada? Czterysta pięćdziesiąt tysięcy funtów, jeśli dobrze pamiętam. Evo! Jutro spotykamy się w twoim sklepie, wybieram się na drobne zakupy. Rachunek wyślesz oczywiście jemu!

Robert podszedł do Jasminy, uderzył energicznie końcówką rękojeści o stół, potem podważył nożem i wyjął zakończenie.

- Skrytka. Jeżeli mamy noc niespodzianek, opowiem, jak doszedłem do wielkich pieniędzy.

Opowiedział historię diamentów od samego początku. Słuchali jak zauroczeni. Raz tylko Marion nie wytrzymała.

- Czy to te bezwartościowe kamyki, o których wspominałeś? Ale ty umiesz przyjemnie bujać! - Przeciągnęła dłonią po gardle, przewracając oczami.

Kiedy skończył, zapadła cisza. Po chwili Eva coś sobie uświadomiła.

- Wszystko pięknie, ale pieniądze wydarte z gardła Carfittowi mi oddałeś, a przecież wydałeś fortunę na inscenizację, reżyserię i wystawienie naszej komedii. Absolutnie nie możesz być stratny. Wylicz, ile to kosztowało, a ja ci zwrócę. Nic się nie stanie, jeśli zapłacę za nauczkę, jaką dostałam. Zresztą, odbiję to sobie na tych drobnych zakupach, które robi u mnie twoja żona.

- Taa, życie mnie nauczyło, że żona wychodzi najdrożej.

Marion za ten skandaliczny dowcip kopnęła go w kostkę, Jasmina dyskretnie się uśmiechnęła, Hamid pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Mylisz się, Evo. Nie dopłaciłem, ale dobrze, że poruszyłaś temat. Na śmierć zapomniałem. - Podał Hamidowi niewielkie etui. - To dla ciebie, przyjacielu, nagroda specjalna publiczności za wybitną kreację aktorską. Carfitt po wyjściu od Jasminy poszedł do al-Khaibariego i starał się go nakłonić do zarekomendowania bin Fahdowi. Nie mógł oczywiście przepuścić takiej okazji. Jednak to Hamid podpowiedział, żeby zażądać łapówki. Taki język Carfitt rozumie najlepiej. Założę się o każde pieniądze, że wziął łapówkę od tych bydlaków, którzy zrobili przekręt. Podliczyłem, ile do tej pory wydałem, ile jeszcze wydam i ustaliliśmy, że takiej właśnie sumy, czterdziestu tysięcy funtów, zażąda al-Khaibari za uzyskanie zgody bin Fahda.

Najwięcej kosztował entuzjazm inżyniera, który napisał raport o EBC. Odpowiednio opłacony dyrektor wielkiej firmy budowlanej zgodził się, żeby na czas wizyty inżyniera z Barings Bank jego firma zagrała rolę EBC. Osobiście zadbał, aby wszyscy aktorzy tego spektaklu znali swoje role. Firmę EBC Robert założył jeszcze przed wyjazdem z Egiptu. W raporcie inżyniera działała od dziesięciu lat i stale powiększała zyski. Wszystkie te cuda udało się sprawić za marnych dwadzieścia patoli.

- Hamid, jak przystało na Araba, potrafi się targować. Wytargował czterdzieści osiem tysięcy zamiast czterdziestu. Należy

mu się nagroda za wybitne aktorstwo oraz za osiem lat pracy dla mnie.

Hamid, dumny jak paw, puścił w obieg – żeby wszyscy mogli obejrzeć – czek na osiem tysięcy funtów.

– Najłatwiej być szczodrym za cudze pieniądze. Wiedzą o tym politycy. Odebraliśmy Carfittowi nieco więcej, żeby pokrył nasze straty. Przede wszystkim twoje, Evo, ale również moje wydatki. Sfinansował przekręt, którego padł ofiarą. Nie straciłem ani grosza, a przeżyłem wspaniałą przygodę. Poznałem Jasmine, poznałem ciebie, Ray, doskonale się bawiłem.

Marion uzyskała nareszcie potwierdzenie swoich podejrzeń. Nie powiedział: „Poznałem ciebie, Evo”. Biorąc pod uwagę inne fakty, uwzględniając okoliczności, przyznał, że byli kochankami. *Ciekawe tylko, kiedy. Czy jeszcze przed Philem? Już wtedy nie układało nam się najlepiej. Czy dopiero jak się dowiedział, że go zdradziłam?* Obstawiała drugie, więc był poniekąd usprawiedliwiony. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Nie oznaczało jednak, że odpuści. O nie, co to, to nie! *Już ja mu zalezę za skórę!* Syciła się w wyobraźni widokiem męża, który się zwija, próbując, beznadziejnie nieudolnie oczywiście, tłumaczyć z romansu sprzed lat.

– Pomagając Evie odzyskać firmę, sprawiłeś nam wielką radość. W dodatku zrobiłeś to zupełnie bezinteresownie. Bardzo ci dziękujemy.

– Taki zupełnie bezinteresowny to ja nie byłem, Ray.

– Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

Robert z nonszalancką miną dolewał sobie wina.

– Mów jaśniej, zaraz umrę z ciekawości. – Eva pierwsza straciła cierpliwość.

– Nie mów! Już wszystko wiem! Obrabowałeś bank. Szaleję za tobą! – zawołała nieźle już wstawiona Marion, zaczepiając go jednocześnie pod stołem.

– Kobieto, siedź cicho i słuchaj. Kupując od Ewy firmę za milion, a odsprzedając za funta, poniosłem stratę w wysokości tegoż miliona.

Taki byłem niefrasobliwy. Którą to stratę wykażę w rocznym zeznaniu podatkowym. Zgodnie z obowiązującym prawem będę mógł ją odliczać od przychodów przez dziesięć lat. Ponieważ podatek dochodowy wynosi szesnaście procent, zaoszczędzę na tym podatku sto sześćdziesiąt tysięcy funtów.

- Nigdy bym na to nie wpadła. - Eva była pod wielkim wrażeniem.

- Znakomicie to wymyśliliśmy, prawda? Kiedy dostanę moją połowę?

Zadzwoił telefon. Pora na dzwonienie wydawała się dziwna, było dobrze po północy. Odebrała Eva i podała słuchawkę mężowi. Ray po zakończeniu rozmowy miał niezwykle interesujący wyraz twarzy.

- To był szef Wydziału Przestępstw Gospodarczych Scotland Yardu. Rozmawiałem z nim o tym, co się przydarzyło Evie, dlatego zadzwonił o tak późnej porze. FBI poinformowało Scotland Yard, że aresztowali trzech oszustów, którzy stoją za emisją obligacji FOBC. Obserwowali ich podobno od roku i czekali na właściwy moment. Jeden z nich poszedł na współpracę. Dostanie łagodniejszy wyrok. FBI wystąpiło do Prokuratora Generalnego USA o wydanie nakazu aresztowania i wniosku o ekstradycję. Domyślcie się, na kogo ma być wystawiony nakaz?

- A co z pieniędzmi? - zainteresował się Robert.

- To jest najciekawsze, FBI udało się w ostatniej chwili zapobiec transferowi całej wyłudzonej kwoty na konto szwajcarskiego Reichmuth & Co. Gdyby nie zdążyli, pieniądze przepadłyby bezpowrotnie. Jeszcze nikt nie odzyskał forsy pochodzącej z finansowego oszustwa, która trafiła do szwajcarskiego banku. Na szczęście zdążyli. Sponsor emisji potrącił prowizję, będą niewątpliwie koszty, jednak z tego, co usłyszałem, jest szansa na odzyskanie nieomal wszystkiego. Trzeba wystąpić z roszczeniem do sądu amerykańskiego. Gdyby emitent nie wykupił obligacji z powodu bankructwa, pozew nie miałby sensu. W naszym przypadku jest inaczej. Emisja od początku była zaplanowana jako oszustwo. Pieniądze nie zostały przejedzone przez bankrutującą firmę.

Największą szansę będą mieli inwestorzy, którzy udowodnią przed sądem, że powodem zakupu obligacji FOBC był ich rating. Amerykański sąd i FBI będą chciały za wszelką cenę uniknąć międzynarodowego skandalu, jakim będzie oskarżenie współwinnych o znowę przestępczą. W razie problemów w sądzie zawsze możemy Fitch Ratings i Coopers & Lybrand pozwać prywatnie. Poświadczyli przecież nieprawdę.

- Pamiętam doskonale. Podpisałam zlecenie na zarządzanie portfelem firmy. Początkowo nie dawałam ograniczeń maklerowi prowadzącemu rachunek. Z pozytywnym rezultatem zresztą. Od kiedy zdecydowałam się otworzyć sieć sklepów w Niemczech, zmieniłam dyspozycję. Zażądałam, żeby inwestowano wyłącznie w obligacje o najwyższym ratingu. Wydawało mi się, że jestem ostrożna.

- Co w takim razie zrobimy? Zwracamy Carfittowi jego miliony? - zapytała Marion, usiłując policzyć, ile sukienek, torebek i butów da się kupić za taką forszę.

- Nie zwracamy! - uniósł się Robert. - Jest oszustem, dlatego trafi za kraty, gdzie jego miejsce. Teraz mam już pewność, że z premedytacją kazał maklerowi zarządzającemu portfelem Ewy kupić obligacje FOBC. Niesłychane, żeby dealer wydał wszystkie powierzone środki na zakup obligacji jednego emitenta. Za coś takiego odbierają licencję! Carfitt go zmusił albo przekupił, na jedno wychodzi! Chodziło o firmę, chciał ją przejąć! Za twoją krzywdę, Evo, nawet więzienie to za mało. Popełnił zbrodnię, świadomie skazując cię na bankructwo.

Ray podejrzewał Carfitta, jednak pewności nie miał. Nawet doświadczonemu glinie takie postępowanie nie mieściło się w głowie. Jakby lekarz zamiast ratować pacjenta starał się go jak najszybciej wyprawić na tamten świat.

- To co zrobimy z pieniędzmi, jak już je odzyskam? - Eva nadal była skonsternowana zaskakującym obrotem fortuny.

- Wiecie co? Mam świetny pomysł! - Marion się zapaliła. - Jak tylko Eva odzyska pieniądze, spotkajmy się w naszym gronie i wtedy

postanowimy, jak je wydać. A przy okazji zrobię zakupy w twoim sklepie, kochanie. Hej, dlaczego jestem ciągle trzeźwa? Nalej mi wina, Ray.

- Jeżeli tak się sprawy mają, to chyba skorzystam z zaproszenia barona Strutta - wyznała Jasmina.

- Z radością do ciebie dołączę. Nie ma nic lepszego na zapomnienie, jak dobra rozrywka i szybkie konie. Załatwisz dla mnie zaproszenie, Robercie? - zapytała Eva.

- A ja? A ja? Ja też chcę! - dopominała się Marion.

- Współczuję baronowi. Na wieść, że trzy takie amazonki przybędą bez męskiej eskorty, jego zamek przeżyje oblężenie. Wystawiły nas do wiatru, Ray.

Nadeszła pora na śmiechy, żarty i wino. Jasmina, żeby uhonorować gospodarzy, zatańczyła taniec z mieczem. Wirujący jatagan otoczył ją migoczącym srebrnymi błyskami okryciem. W kominku płonęły bierwiona, strzelając wesoło iskrami. W ich blasku wszystko wydawało się zaczarowane jak w baśni. Zapatrzyli się i zasłuchali. Biesiada była naprawdę wspaniała i do samego końca nie utraciła nic ze swego magicznego uroku, jakby miała miejsce nie w naszym, lecz w innym, stworzonym przez wyobraźnię, lepszym świecie.

¹¹² Massachusetts Institute of Technology.

¹¹³ US Securities and Exchange Commission - Komisja Papierów Wartościowych i Giełd.

¹¹⁴ Bohater tragikomedii Szekspira *Kupiec wenecki*. W opinii autora - niewiele w niej z komedii.

¹¹⁵ Hafiz, *Mówię: Boleję za tobą*, przeł. Władysław Dulęba.

¹¹⁶ Hafiz, *Gdybyż Turczynka ta z Szirazu*, przeł. Władysław Dulęba.

12. MARION

Marion przyjechała tego dnia do klubu jeździeckiego bardziej towarzysko niż z ochoty na przejażdżkę. Było za gorąco. Pokręciła się po stajni, potem siadła pod parasolem na niewielkiej trybunie nad padokiem. Przyglądała się, jak mniej wprawni jeźdźcy ćwiczą skoki i ujeżdżanie. Obok niej usiadł Egipcjanin. Poznała go niedawno. Wiedziała, że jest przedsiębiorcą z branży odzieżowej, ma żonę i gromadkę dzieci. Widać było, że nieźle mu się powodzi. Cechowała go klasyczna uroda i dosyć jasna jak na Egipcjanina karnacja. Wyglądał na włoskiego hrabiego z Sycylii. Od czasu do czasu rzucał na nią ukradkowe spojrzenia, których starała się nie zauważać. Nawet jej to sprawiało przyjemność. Czuła się bardziej kobieca. Pożądana. Oprócz ogromnej sympatii, nic do niego nie czuła... No, i był pociągający. Taki inny. Nie potrafiła tej jego inności opisać. Był po prostu inny, ją zaś ta inność pociągała.

- Czy mogę ci przynieść coś do picia, Mia?

- Oczywiście, Omarze. Poproszę zimny sok pomarańczowy.

Pobiegł po sok jak na skrzydłach. Przyglądała mu się z uśmiechem, a w głowie lęły się figlarne myśli. *Jak całują Arabowie? Może jakoś inaczej?* Zdecydowała, że sama nic w tym kierunku nie zrobi, ale... Omar dostał swoją szansę - czy ją wykorzysta, zależało teraz wyłącznie od niego. Gotowa była poddać się wszelkim regułom uwodzicielskiej gry.

Omar stracił dla niej głowę, choć świadom był barier, jakie ich rozdzielały. Była Europejką, żoną dyplomaty. Wiadomo, że zamożną, wystarczyło popatrzeć na jej samochód. No i niewiarygodnie piękną. Czy taka kobieta mogła na poważnie zainteresować się Egipcjaninem? Owszem, był bogaty, przystojny, inteligentny. Niewiele to znaczyło. No i pozostawała kwestia wiary. Islam zakazuje związków z zamężnymi kobietami.

- Kupiłem ogiera, araba. Nazwałem go Wezyr. Jest młody, jeszcze nieułożony. Masz ochotę zobaczyć?

- Wiesz, jak mnie podejść. Młody ogier, arab, jasne, że chcę. Prowadź!

Wezyr był rzeczywiście wspaniałym koniem. Nawet w boksie mogła ocenić, jak wielki ma temperament. Takie konie lubiła. Dała mu kostkę cukru. Dotyk aksamitnych chrap na dłoni zawsze był dla niej zmysłowym przeżyciem. Wezyr, pomimo że gorączkrewisty, był delikatny, jego chrapy pochwyliły kostkę subtelnym muśnięciem. Delikatniejszym od pocałunku.

- Może na niego wsiądziesz? Na razie mało komu udaje się utrzymać w siodle. Jasir go układa, ale nie ma zbyt wiele czasu.

- No pewnie, że wsiądę!

Poszedł po siodło, a ona zaprzyjaźniała się z koniem. Był gniady, z zadziornie sterczącym ogonem. Wrócił Omar. On siodłał, ona przytrzymała oburącz wodze, żeby się nie kręcił. Wezyr wykorzystywał okazję i skubał pasek od bryczesów. Przy okazji zostawił na białej bluzce mokrą plamę.

- Ty łobuzie!

Żeby pokazać, że wcale się nie gniewa, głaskała go po pysku. Omar podciągnął popręg, wyczyścił kopyta i wyprowadził konia ze stajni. Dosiadła go jednym płynnym ruchem. Jak tylko wjechali na padok, Wezyr, chcąc ją sprawdzić, zrobił dwa baranki i poprawił, strzelając dwa razy z zadu. Na Marion nie zrobiło to wrażenia. Jej sympatia dla młodego ogiera jeszcze wzrosła. No bo kto, jak nie taki koń, ma krzesać skry. Przez godzinę zabawiała się ujeżdżaniem,

próbując zrobić, ile się da, z rozbrykanym arabem. Nawet nieźle jej wychodziło. Na koniec podjechała do zachwyconego Omara, który mógł się w nią wpatrywać, nie musząc tego ukrywać. Zsunęła się z siodła gibkim ruchem, od którego zakręciło mu się w głowie, i podała wodze.

- Masz wspaniałego konia. Polubiliśmy się.

Weszli do boksu. Pomiedzy nimi powstało napięcie, które wywołało silne iskrzenie. Obydwoje intensywnie je odczuwali. Istniał tylko jeden sposób, żeby napięcie rozładować. Czekala, uwazajac, ze do niego nalezy inicjatywa. Po godzinie spędzonej na słońcu spocila się. Biala, mokra od potu, przeswitujaca bluzka przylegala do ciala, piersi falowaly. Pachniala kobietą i koniem. Omarowi wydawala się w tej mokrej bluzce zjawiskowa. Gdyby w stajni przez przypadek pojawil się święty Józef, i on stracilby głowe. Rozkojarzona, czyscila wiązka słomy Wezyra. Omar świętym nie był, więc ją objal, okrecil i spróbowal pocałowac. Objela go za szyję, przywarła całym ciałem i wpiła się wargami w gorącym pocałunku. Wiazka słomy wypadła z ręki. Czul, ze ona nie ma ochoty konczyc. Nie wiadomo, jak dlugo by się całowali, gdyby Wezyr nie zrobil się nagle zazdrosny i szturchajac łbem w plecy, nie przywołal jej do rzeczywistosci.

- A ty co, zazdrośnik jesteś? Poczekaj, a znajdziemy ci ładną klacz.

Oparła dłoń na piersi Omara gestem sprawiającym wrażenie, że utrzymuje go na dystans. To, co powiedziala, potwierdzilo mowe ciala.

- Mój drogi. Całowaliśmy się, było cudownie. Mam nadzieję, że tobie również.

Zajrzala mu w oczy. Nie odpowiedzial, tylko przelknal slinę. Nie zdazył się jeszcze pozbierac.

- Lepiej, zebym powiedziala teraz, unikniemy niepotrzebnych rozczarowan. Jak się przekonales, bardzo mi się podobasz. - Oczy błyszczaly jej pozadliwie. - Podobanie to nie to samo, co miłosc. Nie kocham cie i z tej przyczyny nie bede twoja. Musisz się z tym

pogodzić. Jak wiesz, my, kobiety Zachodu, jesteśmy zepsute. Dlatego mam ochotę od czasu do czasu z tobą pogrzeżyć, jak przed chwilą. Jeżeli spróbujesz wziąć więcej, nie dostaniesz nic.

- Zrozumiałem, Mia. Zrobię, jak mówiłaś, obiecuję. I wcale nie myślę, że jesteś zepsuta. Jesteś cudowna i szczodra.

- Skoro popełniłam jedno głupstwo - powiedziała, z niewinnym uśmiechem - równie dobrze mogę zrobić następne. Na co czekasz?

Omar dotrzymał obietnicy. Nie próbował brać więcej, zadowalał się tym, co dostawał, chociaż było mu ciężko; mogła nawet wyczuć, jak ciężko. Doszedł do wniosku, że może zostać pobożnym muzułmaninem. Pocałunki to wszak nie stosunki miłosne. Całując się z Marion, w żaden sposób nie łamie nakazów Koranu. Niczego więcej od niej nie oczekuje, ponieważ jest pobożnym muzułmaninem. Kiedy jej o tym opowiedział, tak się uśmieła, że z tej wesołości pozwoliła mu obmacać cycki. Nawet je pokazała. Od tego czasu Omar łamał sobie głowę, jak by ją ponownie rozweselić.

Odkryła, że ten niewinny flirt ma inspirujący wpływ na jej zachowania w sypialni. Namówiła Roberta, żeby ją wychłostał, lekko oczywiście, a w trakcie chłosty wyobrażała sobie, że tak ją każe za niewierność. Z Omarem spotykała się raz na tydzień. Za każdym razem scenariusz był podobny. Najpierw walczyła z lenistwem Wezyra, potem, spocona i rozpalona, całowała się z właścicielem. Po kilku miesiącach jej przeszło. Rozstali się w przyjaźni. On również nie miał powodów do narzekań, ponieważ przez ten czas ułożyła Wezyra. Nie dość, że nie wzięła ani grosza, to jeszcze po każdym treningu coś od niej dostawał.

SPOTKANIE

Siedzieli naprzeciw siebie przy niewielkim kawiarnianym stoliku. O tej porze, kiedy większość ludzi jest w pracy. Wystarczyło, że jedno się pochyliło, żeby ich wargi się spotkały. To była pierwsza randka,

pomimo że kochali się od dawna. Ona zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Zdawał sobie z tego sprawę. Nie zrobił jednak nic, żeby ją zachęcić, spotkać się, porozmawiać o łączącym ich uczuciu, chociaż zrozumiał, że ta kobieta nie jest mu obojętna. Ona o tym nie wiedziała. Wypisywała na kartce jego imię i patrzyła, jak wysycha atrament. Wiedziała, że nierozważnie jest łączyć się nadzieją, jednak tylko ona jej pozostała.

Spotkali się przypadkowo na ulicy. Chciała mu powiedzieć, niczego w zamian nie oczekując. Zapytała, czy ma ochotę na kawę. Zgodził się z radością. Wiedział, musiał wiedzieć, zatem jej nie unikał, nie uciekał przed kłopotliwymi wyznaniem. Mówili niewiele, spojrzenia wyrażały więcej niż słowa. Bardzo przeżyła jego wyznanie miłosne. Zdecydowała, że poza te skradzione pocałunki nie wyjdą. Miłość do niego była tak głęboka, że jego szczęście znaczyło więcej od spełnienia marzeń. Wspólne życie nie było im pisane, dlatego lepiej dla nich było pozostać przy kawiarnianych skradzionych pocałunkach. Również ich randki miały być nieczęste. A już na pewno nieregularne. Od czasu do czasu, aby poobijane uczucie miało się czym pożywić w oczekiwaniu następnego spotkania.

Boris Ponomariev zobaczył Marion na przyjęciu z okazji rocznicy Rewolucji. Zrobiła na nim wielkie wrażenie. Jego mentor Małachow często z nią rozmawiał albo tańczył i jak na dłoni widać było, że się w swoim towarzystwie dobrze czują. Oldze w żaden sposób to nie przeszkadzało, więc doszedł do wniosku, że to przyjaźń. Bez przerwy się wygłupiali albo głośno śmiali z własnych dowcipów. Również jej mężowi ta wzajemna sympatia nie wadziła. Zdawał się lubić Małachowa – z wzajemnością zresztą. Nie mieli okazji zbyt często rozmawiać, wiadomo, zimna wojna, ale nawet grzecznościowe formuły, jakie od czasu do czasu wymieniali, były pogodne.

Ponomariev przyjechał do Egiptu w październiku 1956, po rocznym intensywnym kursie angielskiego oraz rzemiosła szpiegowskiego. Zanim wyjechał, musiał wziąć ślub. Kawalerów na

placówki zagraniczne nie wypuszczano. Jego wybranką była Zoja Kaługina, ładna, skromna dziewczyna, studentka ostatniego roku filologii angielskiej na Uniwersytecie Łomonosowa. Znakomicie się składało, ponieważ na placówce miał rozmawiać wyłącznie w tym języku. Taka żona była prawdziwym skarbem szczególnie w pierwszych miesiącach. Boris nie szpiegował Egipcjan, jego zadania były innej natury. Pomagał im w tworzeniu skutecznego kontrwywiadu. W dobrze pojętym interesie obydwu stron leżało zorganizowanie profesjonalnej służby, która byłaby w stanie przeciwstawić się Mossadowi. Egipcjanie już myśleli o przyszłej wojnie z Izraelem. Rosjanie, dostarczając Egiptowi coraz nowocześniejsze uzbrojenie, chcieli mieć pewność, że tajemnice wojskowe nie wyciekają na zewnątrz.

Już w Egipcie Zoja urodziła syna, Wiktora. Ojcem chrzestnym został oczywiście Kapitonow. Od pewnego czasu w małżeństwie Borisa coś się prućo. Kochali się, niestety w sypialni było gorzej i gorzej. Robili, co mogli, nie potrafili jednak odnaleźć w swoim związku namiętności, jaka ich jeszcze niedawno łączyła. Ani on, ani ona nie mieli pojęcia, gdzie szukać przyczyn. Boris nie miał kochanki. Zoja nawet nie pomyślała o zdradzeniu męża, bardzo go kochała.

Ponomariev miał wolne przedpołudnie, więc wpadł do Gezira Club. Zapisał się do tego ekskluzywnego klubu za radą Małachowa. Wysłuchał argumentów i zgodził się, że to wymarzone miejsce dla agenta wywiadu. Pozna właściwych ludzi, nawiąże cenne kontakty, nabierze obycia. O tym, że do klubu przychodziło wiele atrakcyjnych kobiet, Aleksandr nie wspominał.

Nauczył się grać w tenisa jeszcze w Moskwie. Sport ten uważano w ZSRR za burżuazyjny, dlatego uprawiany był przez nielicznych. Tenis mógł się okazać przydatny, dlatego dla szpiegów zrobiono wyjątek. W Egipcie docenił, jak przewidujący byli ci, którzy układali program w szkole wywiadu. Przez trzy lata pobytu na placówce bardzo się podciągnął i grał teraz na przyzwoitym poziomie.

Pok! pok! pok! Trójka tenisistów leniwie przebijała piłkę nad siatką. Zapewne czekali na czwartego do miksta. Zobaczyli Borisa i podjęli decyzję, chyba stracili cierpliwość. Jedna z kobiet podeszła, żeby zaprosić go do gry. Przypadek sprawił, że była to Marion. Miał z nią grać przeciwko parze Francuzów. Serce waliło jak oszalałe. Od dnia, w którym ją zobaczył, często o niej myślał. Nie często, nieustannie. Wstyd powiedzieć, zdarzało mu się myśleć o niej, kiedy się kochał z żoną. Odkrył, że takie marzenia pomagają. Przynajmniej miał wzwód, co ostatnio nie było takie oczywiste.

Po meczu, który - ku jej spontanicznej radości - wygrali, zaprosił ją do klubowej kawiarenki. Zaproszenie przyjęła z widocznym ociąganiem. W końcu był Rosjaninem. Okazało się, że jest świetnym partnerem do rozmowy. Wpatrzony w nią, słuchał z uwagą, nie przerywając ani nie próbując jej przegadać. Przeżyła uroczą chwilę zapomnienia. Musiała jednak wracać do domu, dzieci za chwilę miały przyjść ze szkoły. Odprowadził ją na parking. Widziała, jak niechętnie się z nią rozstaje. Od czasu platonicznego, jak uważała, romansu z Omarem była otwarta na flirty. A Boris się jej podobał i to bardzo. Umówili się na debla za tydzień o tej samej porze. Od dawna nie czuła się taka atrakcyjna.

Po kolejnym spotkaniu podwoziła go do centrum Kairu. Zatrzymali się w urokliwej cukierni Groppiego. Pograżając się w jej oczach, recytował:

*Dziś wekslarza w rynku zapytałem
Szeptem lżejszym od fali na Wanie,
Jak zaskarbić sobie piękną Łałę,
Najpieściwszym słowem „całowanie”.*

*Potem znów wekslarza zapytałem,
W sercu mym nieśmiałość kryjąc skromnie,
Jak zaskarbić sobie piękną Łałę,
Jak powiedzieć „Chcesz należeć do mnie?”¹¹⁷*

Która kobieta oprze się takiemu wyznaniu? W rewanżu zanuciła ulubioną melodię z młodości, *Partisanen vom Amur*. Była zaskoczona, kiedy się dowiedziała, że to popularna rosyjska melodia *Dolinami i wzgórzami*. Zdobył się na odwagę i położył dłoń na jej dłoni. Skłoniła go, żeby ją pozostawił, nie mówiąc słowa. Dla niego było to wielkie przeżycie, był po słowiańsku sentymentalny i zakochany. Miała świadomość, że ją do niego ciągnie. Na następnej schadzce całowali się w krzakach za kortami. W jej brzuchu przebudziły się motylki. Wydawało się jej, że nie kocha Borisa, ale w jego towarzystwie było jej cudownie. Z pewnością za bardzo go lubiła, żeby to była zwykła przyjaźń i nic więcej. Na ostatniej randce, zaledwie przed chwilą, całując go, wyobrażała sobie, jak się kochają. Była to urocza fantazja. Oderwali się od siebie z niemałym trudem, a ona poszła do szatni.

Otworzyła szafkę i zdrętwiała. Na dnie leżała szara koperta. Wpatrywała się w nią, jakby to była żywa kobra. Z dwojga złego wybrałaby kobrę. Przed jadowitym wężem można chyba uciec. Przed tym, co się znajdowało w szafce, ucieczki nie było. Nie musiała nawet otwierać, znała zawartość. Wiedziała również, co dla niej oznacza i jakie konsekwencje poniesie. Przypomniła sobie powrót Ulissesa. I telefon od Fiony. I co wtedy pomyślała: „Może się nie dowie?”. Złudzeniami karmiła się kilka bezsennych godzin. Zadzwoił nad ranem. Pamiętała, co poczuła, słysząc ten dzwoniący telefon, zanim jeszcze podniosła słuchawkę. Podobnego odczucia doznała na widok szarej koperty. Wprawdzie z Borisem jeszcze się nie kochała, ale istotne było to: „jeszcze”. Gdyby nie koperta, zrobiłaby to prędzej czy później. Nawet nie z szalonego pożądanego, jak przed laty. Z jakiej zatem przyczyny? Żeby pokazać, jak bardzo go lubi? Bo kochać się jest tak pięknie? Z jej samej nieznanego powodu? Zrezygnowana, otworzyła kopertę. Były w niej oczywiście zdjęcia. Sądziła, że na ławce zasłoniętej żywopłotem, w zacisznym kąciku za kortami są niewidoczni. W kopercie było coś jeszcze. Napisany na maszynie list.

Droga Marion,

wysyłam zdjęcia, aby Cię ostrzec. Przypuszczam, że pomiędzy Tobą a Borisem, oprócz pocałunków, do niczego jeszcze nie doszło. I niech tak pozostanie. Nie będę moralizował, nie będę Cię straszył konsekwencjami, jakie możesz ponieść, jeżeli Twój mąż się dowie. Musisz te następstwa rozważyć sama. Jeszcze jedno. Boris nie jest odpowiednim partnerem. Wasz romans również dla niego może być niebezpieczny, i to bardziej niż dla Ciebie. Negatywy zniszczyłem. Kopii nie zrobiłem. Zdjęcia, które otrzymałaś, są jedynymi. Możesz spać spokojnie.

Twój przyjaciel

Zapatrzyła się w list. Sprawiał wrażenie przyjaznego, nawet bardzo. Nie mogła mieć pewności, czy anonimowy autor napisał prawdę, czy jednak nie zachował negatywów, choćby na wszelki wypadek. Dlaczego podrzucił zdjęcia akurat teraz? Byli po zaledwie kilku randkach. Poza gorącymi pocałunkami do niczego jeszcze nie doszło. Na samą myśl o tym „jeszcze” poczuła falę gorąca. A gdyby ten tajemniczy przyjaciel trochę odczekał? Wtedy nie byłoby „jeszcze”. Jednak nie czekał. Wyglądało, że bardziej zależy mu na zakończeniu romansu niż na jej pognębieniu. *Boże, co ja znowu nawyrabiałam!?* *Zachciało mi się niewinnych flirtów, takich dla zabawy, a zakończy się rozwodem. Jak mogłam być taka lekkomyślna? Tym razem mama nie pomoże. „Idiotko! Idiotko, idiotko...”* – wykrzykiwała sama do siebie.

Zadzwoiła do ambasady. Poprosiła o rozmowę z Ponomariewem. Na szczęście telefonistka połączyła bez poniżających przesłuchań. Umówili się u Groppiego. Nie mogła zerwać przez telefon. Bała się, że jest na podsłuchu. Wpadliby z deszczu pod rynnę. Pozatym, chciała się z nim pożegnać osobiście. Przynajmniej tyle była mu winna. Jadąc na spotkanie, zastanawiała się gorączkowo, co mu powiedzieć.

Wróciła do domu później, niż planowała. Pożegnalna rozmowa się przeciągnęła. Dzieci wróciły ze szkoły i rozrabiały w basenie. Ją czekała konfrontacja z mężem. Panicznie się jej bała. Za godzinę, dwie – wszystko się wyjaśni.

Czas upływał, a on nie wracał. *Dowiedział się i – jak poprzednio – wyprowadził do hotelu?* Bała się zadzwonić do ambasady. Jednak najbardziej się bała aparatu telefonicznego. Tkwiała przy nim zobojętniała na otoczenie. Nie zrobiła dzieciom kolacji, powiedziała, że się źle czuje. Trudno, muszą sobie poradzić. Była zbyt pochłonięta własnymi myślami, by poświęcić im więcej uwagi. Pod energicznym przywództwem Julii na szczęście sobie poradziły. Nawet czytanie bajek na dobranoc sobie podarowała. Za bardzo się denerwowała. *Jeżeli dożyję jutra, mogę im czytać bez końca.* Wydeptywała nerwowo ścieżkę na dywanie, wpatrując się w tę przeklętą czarną skrzynkę. Na szczęście telefon milczał. O tej porze – było po dwudziestej drugiej – pozostał jeden powód, dla którego mógł się rozdzwonić. Na informację, że coś mu wypadło, było po prostu za późno. Chwile oczekiwania ciągnęły się w nieskończoność, a zegar stał w miejscu. Miała aż za dużo czasu, żeby przemyśleć ostatnie wydarzenia. Zaczęło się od niewinnego flirtu z Omarem. W końcu kilka pocałunków to żaden romans.

Wyszła za męża, mając zaledwie dwadzieścia lat. A młodość swoje prawa ma, musi się wyszumieć. Przez wojnę bezpowrotnie utraciła zielone lata. Nie było tysiąca wysnionych randek. Oprócz jednego romansu, który się nie liczył, była wierna mężowi. Może całując się z Omarem i Borisem, szukała nieprzeżytej młodości, randek, które ją ominęły, kochanków, których zabrała wojna.

Z Borisem jakoś samo wyszło. Na pewno nie szalała za nim jak za Philem. Była zauroczona. Czy zauroczenie jest dobrym powodem, żeby zdradzić męża? Zapomniała się i gdyby nie tajemniczy przyjaciel, narobiłaby głupot niczym płocha panienka, umawiająca się z trzema chłopakami jednocześnie.

Przypuszczała nawet, że gdyby sama, z własnej woli zerwała, zanim doszło do tego nieszczęsnego „jeszcze”, i szczerze wyznała wszystko mężowi, on by wybaczył. Pewnie dostałaby lanie. Może nawet paskiem, żeby się odróżniało od klapsów, które między nimi oznaczały pożądanie. Jak go znała, wymierzyłyby karę tak, żeby nie bolało. No, troszeczkę. Zapewne uśmiechałyby się pod nosem, żeby nie widziała. Takie tam pogroźenie palcem i pokazanie, że jest stanowczym mężczyzną. A po chwili pojednanie w łóżku. Jednak na wyrozumiałość mogła liczyć wyłącznie, gdyby sama się do tego niewinnego skoku w bok przyznała. No i gdyby rzeczywiście był niewinny. A tak mogła jedynie liczyć na cud, który z każdą mijającą chwilą był mniej prawdopodobny.

Z goryczą uprzytomniła sobie, że ich związek nie był taki idealny, jak się jej wydawało. Podobnie jak w Hamburgu, zaczęli się rozchodzić. Nie umiała winy za ten zdrażliwy proces przypisać ani jemu, ani sobie. Jemu, ponieważ starała się za wszelką cenę być obiektywna. Sobie, bo wydawało się jej, że jednak on wykazywał brak zainteresowania. *Zrobił się ostatnio jakiś taki kłocowaty. Przestał o mnie zabiegać. Kiedy ostatnio przyniósł kwiaty? Nie zauważył nowej fryzury! To mnie częściej się chce, na pewno przez te niewinne flirty. Nie ma na mnie ochoty? Już mu się nie podobam?*

Nauczona przykrym doświadczeniem, wiedziała, że nie ma co czekać na cud, ponieważ można go nie doczekać. Obiecała sobie, że jeżeli tym razem się nie wyda, coś zrobi. Przez lata wypracowała całą paletę zachowań, ruchów, tekstów i podtekstów, które podniecały jej męża. Chyba każda kobieta ma takie, jednak jej były subtelniejsze, nawet się nie orientował, iż jest przedmiotem seksualnej manipulacji. Miała wtedy uczucie, że nad nim panuje, kiedy ma taki kaprys, rozbudza jego pożądanie. Skuteczność tych niecnych praktyk nie przestawała jej zadziwiać. Wystarczy, że do nich powróci, co może się okazać całkiem miłe.

Roberta zatrzymały w ambasadzie obowiązki. W Zurychu strony konfliktu cypryjskiego prowadziły negocjacje pokojowe. Wkrótce

miało się rozpocząć wycofywanie brytyjskich wojsk okupacyjnych. Dostał zadanie: uzyskać zgodę władz egipskich na zawinięcie transportowców z żołnierzami do Aleksandrii. Nie zadzwonił do domu, ponieważ z nadmiaru zajęć wyleciało mu to z pamięci, poza tym wiedział, że żona tam jest, więc nie widział powodu do niepokoju.

Ku jej niewyobrażalnej uldze, wrócił po dwudziestej trzeciej. Dopiero jadąc do domu, uprzytomnił sobie, że w całym tym rozgardiaszu nie uprzedził o spóźnieniu. Szykował się na zmywanie głowy.

- Strasznie mi przykro, że nie zadzwoniłem, kochanie.

- Głupstwo - zapewniła - nie przejmuj się.

Omali nie zemdląca ze szczęścia, kiedy się zorientowała, że o niczym nie wie. Myśl o robieniu wymówek była jej tak obca, jak pokusa kolejnych romansów. Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała pocałunkami. Nieco zaskoczony, zatopił twarz w jej włosach, wdychając ich zapach. *Czy coś się stało?* Nie chciał zepsuć nadmierną podejrzliwością jej spontanicznej radości.

Leżeli pod moskitierą. Noc była parna, nie chciało im się spać. On nie miał nastroju na kochanie, ona doskonale to wyczuwała. Nie miała żalu. Dzisiaj nie miałaby żalu, czegokolwiek by nie zrobił i cokolwiek by zrobił. Taka była szczęśliwa, że nie poniesie konsekwencji swojej lekkomyślności. Po emocjach, jakie przeżyła, potrzebowała spokoju, poczucia bezpieczeństwa i czułości.

- Skarbie?

- Mhm...

- Bardzo bym chciała zrobić ci przyjemność. Taką wieeelką przyjemność, no wiesz jaką, prawda?

- To wspaniale.

- Tylko nie wiem, co by ci sprawiło największą. Podpowiesz? Na przykład, jak było w Sudanie, kiedy robiłeś to z dwiema? Było jakoś inaczej? Możesz śmiało opowiedzieć. Nie będę dokuczała. Przysięgam!

- A jak miało być? Normalnie. To były porządne dziewczyny, które zmuszono, żeby się z nami pieprzyły. Nigdy nie mówiłem, nie znoszę się tłumaczyć, ale kiedy weszły do namiotu, chciałem je odesłać. Tak było, słowo daję! Dopiero Leo mi uprzytomnił, że jeżeli je odesłamy, zostaną ukarane, bo się nie starały.

- No widzisz, trzeba było powiedzieć. Byłam okropna i ciągle ci dokuczałam. Teraz mi wstyd.

Wstyd jej było z zupełnie innego powodu, jednak zapewnienie było szczere. Bardzo się wstydziła. Po tym, czego się dowiedziała, jeszcze bardziej.

- To jak było? Opowiesz wreszcie? Czy one oprócz pieprzenia robiły coś jeszcze? No wiesz, jedna drugiej? Zrozumiałeś, o co pytam, prawda?

Poszła na żywioł. Nie miała pojęcia, dokąd ich ta rozmowa zaprowadzi.

Ach, więc o to jej chodzi! Najwidoczniej z nudów lub z ciekawości zainteresowała się miłością lesbijską. No proszę, kto by pomyślał. Jak wielu mężczyzn, nie miał absolutnie nic przeciwko miłości homoseksualnej. Pod warunkiem, że robią to dwie kobiety, są ładne i biseksualne. Nad innymi wariantami nigdy się nie zastanawiał, ponieważ temat go nie interesował.

- Nie, kochanie, niczego takiego nie robiły. Mówiłem przecież, że to były porządne dziewczyny. Jeśli idzie o techniki miłosne, one się do ciebie nie umywały. Ustępujesz im tylko w drapaniu, zdecydowanie za mocno.

- Naprawdę? Czy uważasz, że jak robią to dwie kobiety, muszą być zaraz nieprzyzwoite? - Czart nieustannie coś jej podszeptował. Taka to była noc...

- Nie, skądże, tak mi się powiedziało. Przypadkiem.

Do czego ona zmierza? Nie, to chyba niemożliwe.

- A gdybym ja coś takiego zrobiła, co byś o mnie pomyślał? Że jestem rozwiązła, prawda? Tylko nie bujaj, że nigdy sobie nie wyobrażałeś, jak to jest. Chciałbyś może popatrzeć?

Nadeszły długie lata szczęśliwej normalności. Jakiej pragnie niemal każdy, a staje się udziałem tak niewielu. Dzieci rosły. Kłaczki urodziły i odchowwały źrebaki. Osły też się mnożyły, i to tak szybko, że musieli je oddawać w dobre ręce. Robert odnalazł spełnienie marzeń w rozbudowie wakacyjnej rezydencji. Podwoił liczbę zbiorników i usprawnił proces skraplania. Mieli tyle wody, że mogli zamienić w ogród połowę parceli. Skrawek biblijnego raju na pustynnym brzegu. Marion dopilnowała, żeby konie miały trawiasty padok z cienistymi drzewami, poidłem i daszkiem, pod którym mogły się chronić przed palącym słońcem. Każdy wolny dzień spędzali w swojej posiadłości. Powiedział jej, że w Edenie zawsze pozostaną młodzi.

Zastanawiał się, czego tak naprawdę oczekuje od życia. Jego problem polegał na tym, że wszystko układało się aż za dobrze. Szczęśliwe małżeństwo, udane dzieci, swoje miejsce na ziemi, które odnalazł w Safadzy, mnóstwo pieniędzy. Wszystko to ograniczało ochotę na zmiany. Mijał rok za rokiem, a w ich małżeństwie oprócz tego, że dzieci rosły, niewiele się zmieniało. W jakim celu mieli cokolwiek zmieniać, skoro byli szczęśliwi? Jedynym, ale to jedynym zmartwieniem był strach, że takie szczęście nie może trwać wiecznie.

Ona również była bardzo szczęśliwa. Przez większość czasu. Tyle że... ostatnio nie odstępowało jej przecucie niebezpieczeństwa, które nawiedzało sny pod postacią cienia i kryło się w zakamarkach umysłu.

Więcej teraz malowała, robiła nieustanne postępy. Obrazy nabrały wyrazistości, biła z nich pasja. Malowała nie tylko erotyki. Również rybaków z Safadzy, portrety starców i dzieci. Wyciągnięte na brzeg łodzie, suszące się na sznurach ryby. Poznała mieszkańców wioski. Jeżeli zaszła potrzeba, pomagała. Nauczyła się nawet arabskiego. Wystarczająco, żeby się porozumiewać. Postanowił zorganizować wystawę jej prac w Londynie. Powiedział, że obrazy są tego warte. Zapoznał się z obowiązującymi w świecie marszandów regułami i pracował nad organizacją. Miał to być prezent na czterdzieste drugie urodziny.

W piątek 18 marca 1966 roku wróciła do domu wcześniej i zamknęła się w pracowni. Jeszcze nigdy tak się nie zachowała. Nie wyszła też na kolację. Ze zdenerwowania nie potrafił usiedzieć w miejscu. Pytał przez drzwi, czy wszystko w porządku.

- Tak, kochanie, nie martw się, potrzebuję побыć trochę sama.

Dzieci poszły spać, w domu zapadła cisza. Dopiero wtedy drzwi od pracowni się otworzyły. Stała w nich Marion. Przez te kilka godzin bardzo się zmieniła. Mógł z jej twarzy wszystko wyczytać. Zrozumiał, że nic nie jest w porządku. Zanim zaczęła mówić, objął ją i przytulił. Całował po włosach, głaskał, jak głaszcze się małą dziewczynkę. Oddalał choćby o chwilę moment, w którym pozna prawdę i ona się na niego zwali, jak wcześniej zwała się na nią. Odsunęła się na odległość ramienia i powiedziała:

- Najdroższy, wkrótce od was odejdę. Mam nowotwór z przerzutami. Poszłam do lekarza, bo zaczęło mnie boleć. Właśnie się dowiedziałam. - Z rozpaczą połykała napływające do oczu łzy.

Los wystawił szalbierczy rachunek za całe szczęście, którego w życiu doświadczył. Wydawało się, że nie zniesie jej płaczu. Jednak zniósł, musiał znosić. Nie wyobrażał sobie życia bez niej. A ona? Przez jaką tragedię przechodziła? Co czuje człowiek, który wie, że niedługo umrze?

Wiemy, że umrzemy. Ale nie wiemy kiedy i jest to nasz największy skarb. Niewiedza daje nadzieję na życie bez końca.

Przegadali całą noc. Dzień po dniu odtwarzali wspólne życie. Powróciła do stajni, w której tego dnia siodłała Szatana.

- O czym ja wtedy myślałam? Nie mogę sobie przypomnieć. Na pewno marzyłam o miłości. I kiedy się wreszcie dowiem, co czuje kobieta zaspokojona.

- To cię ciekawiło?

- No pewnie! A co myślisz? - Jaką trzeba mieć odwagę, żeby się uśmiechać, patrząc śmierci w oczy.

Teraz on opowiadał, jak przeżył ten dzień. Jego opowiadanie zaczęło się wcześniej. W lesie, kilometry od miejsca, w którym się

spotkali.

- Coś mnie do ciebie ciągnęło - opowiedział o tajemniczym puszczyku.

- Kto pierwszy opowie, jak się spotkaliśmy?

Skończyli, kiedy świt wślizgnął się cicho do pokoju. Była sobota, więc pozostał w domu. Spędził z nią każdą minutę. W poniedziałek rano pojechał do ambasady złożyć wypowiedzenie. Poinformował, że więcej do ambasady nie przyjdzie. Oddał paszport dyplomatyczny, wypełnił wniosek o wydanie zwykłego i wrócił do domu. Powiedział, że się zwolnił i teraz już zawsze będą razem.

Nie dowierzając diagnozom, rzucił się gorączkowo w wir poszukiwań terapii, która uratuje Marion. Zatrudnił jednego z najlepszych w Egipcie onkologów, żeby jak świat długi i szeroki, szukał pomocy. Takie dostał zadanie i się z niego wywiązał. Okazało się niestety, że nie ma takiego lekarstwa, nie ma chirurga, nie ma zabiegu, nie ma szpitala, w którym mogliby ją uratować. Chemioterapia, najnowocześniejsza metoda leczenia nowotworów, w której pokładali resztki nadziei, nie została jeszcze udostępniona pacjentom. Nigdzie i za żadne pieniądze. Posunął się tak daleko, że chciał wykupić jakiś szpital, żeby tylko dać jej szansę. Przekonał się, że nie ma na świecie pieniędzy, którymi da się przekupić przeznaczenie.

Z godnością znosiła swój los. Choroba dzień po dniu odbierała jej resztki życia. Został miesiąc, w najlepszym wypadku dwa. Jej alabastrowa cera jeszcze wyjaśniała, a wysuszona skóra zrobiła się przezroczysta jak saska porcelana. Widział wyraźnie pulsujące pod cienką skórą szarogranatowe żyły.

Była spokojna, pogrążona w swoim świecie. Jej podróż się zaczęła. Już nie była tu, jeszcze nie dotarła tam. Bezsilnie patrzył, jak z każdym dniem jej ubywa. Nosił ją na rękach, była lekka jak ptaszyna, jej ciało delikatne i wiotkie.

Zastanawiała się kiedyś, co czuje skazaniec w celi śmierci. Teraz się dowiedziała. Czuje się tylko strach. Jak dziecko, które

w ciemnościach woła: mamó! Śmierć przybywająca bez zapowiedzi jest straszna, jednak straszniejsza jest śmierć, która wyznaczyła spotkanie w niedalekiej przyszłości. Odsuniętej w czasie jedynie na tyle, żeby można było docenić życie. Ożywały w pamięci piękne chwile, które przeżyła, i radości, które nie staną się już nigdy jej udziałem. Dzieciństwo, szkołę, pierwszą miłość, Szatana, pierwszy bal, bieganie boso po rosie, skakanie na siano w stodole. Wspomnienie, jak którejś nocy, nie mogąc zasnąć, wyszła do ogrodu. Nocne powietrze, rześkie i upojne, przesycone zapachami kwiatów, muskało jej skórę delikatniej od pieśczoły kochanka. Poczwała euforię, chciała biegać po trawie, zaprağnęła, aby ktoś ją dogonił i porwał. Jej stopy nie dotykały ziemi, a wszystko było nierealne niczym we śnie.

Siedział przy łóźku, wsłuchując się w coraz cichsze szepty, nieubłaganie odmierzające czas, jaki jej pozostał. Z rozpaczliwą bezradnością przeżywał jej zmagania z bólem, ze strachem, z żalem, z przeraźliwą samotnością w obliczu śmierci. Znienacka budził się w niej demon bólu, towarzysz wierny jak cień. Wyciągał po nią swoje szpony, wysysał resztki życia, które się w niej jeszcze tliły. W swoim cierpieniu wysubtelniała.

Wkrótce trafiła do szpitala. Z pięknych oczu znikły iskierki nadziei. Pomimo opalenizny cerę miała bladą, oczy podkrążone. Choroba jej nie oszczędzała, gasła w oczach. Spędzał całe dnie w szpitalu. Wracal do domu, żeby się chwilę przespać, wykapać i coś zjeść. Ból był coraz silniejszy, miazdżył swoją wszechobecnością. Musiała przejść na morfinę. Przyniosła chwilową ulgę. Mogli powrócić do wspomnień.

- Byliśmy szczęśliwi, przeżyłam wiele lat tak cudownych, że... -
Trzymała go za rękę. - Mamy teraz nasze wspomnienia, prawda?

- Jesteś natchnieniem mojego życia. - Popłakał się. Musiała go pocieszać.

- Czemu się, miły, smucisz?

Próbował wziąć się w garść, wtedy poprosiła o przysługę.

- Zrobię wszystko.

- Wiem, ale ja potrzebuję tylko jedną pigułkę. Wezmę ją dopiero, kiedy morfina przestanie działać. Mamy jeszcze dużo czasu.

Chciała odejść na swoich warunkach. Ich wspólny czas nie był już mierzony latami ani miesiącami. Lekarz powiedział, że pozostało kilka tygodni.

Zaparkował przed ambasadą. Zapadał zmrok, kiedy ten, na którego czekał, wreszcie wyszedł. Wysoki, potężnie zbudowany, szedł energicznym krokiem do pobliskiego kwartału, w którym mieszkali pracownicy ambasady. Wyprzedził go i zatrzymał samochód. Na jego widok Małachow szeroko się uśmiechnął.

- Witaj, *anglijskij szpion*. - Rozłożył szeroko ramiona i uściśnął Roberta. - Co cię sprowadza, czego potrzebujesz? Mów, a będzie ci dane.

- Potrzebuję dwóch tabletek.

- Dwóch? Aspiryny?

- Nie, trucizny, która nie pozostawia widocznych śladów. Może być wykrywalna, ale dopiero po sekcji zwłok.

- Kogo chcesz otruć, przyjacielu?

- Marion umiera. Potrzebuję tabletek dla niej.

Małachow natychmiast spoważniał.

- Chodź, wypijemy, porozmawiamy. O tabletki się nie martw.

Klepnął go w plecy i pociągnął za sobą. Mieszkali w niewielkim, dwupokojowym mieszkaniu w warunkach bez porównania skromniejszych niż rodzina Roberta.

- Zobacz, moja droga, kogo przyprowadziłem.

Olga, w młodości utalentowana baletnica, pozostała atrakcyjną kobietą, pomimo że wiek pozostawił na jej twarzy swoje ślady. Żona oficera KGB nie musiała pytać. Wiedziała, że wydarzyło się coś złego. Posadzili go w kuchni, Aleksandr wyciągnął z lodówki butelkę stolicznej. Olga postawiła na stole kiszone ogórki, sało, suszone rybki i chleb. W samowarze kipiał czaj. Chciała ich zostawić, ale mąż ją zatrzymał.

- Zostań, proszę. Jesteś nam potrzebna.

Robert wyjaśnił, co się zdarzyło. Aleksandr rozlał wódkę.

- Mój Boże, Marion... Taka piękna, pełna życia. Brak mi słów. -
Olga była bardzo smutna.

Rozmawiali, wspominali, pili wódkę. Aleksandr zadzwonił do ambasady i kazał postawić samochód.

- Daj kluczyki. W którym szpitalu leży? Jutro twój samochód będzie stał pod szpitalem. Kluczyki zostawię na portierni. Czy będę mógł zobaczyć Marion? Chcę się z nią pożegnać.

- Na pewno się ucieszy. Niedługo przylatują jej rodzice, teraz jesteśmy tylko my i dzieci.

- Tabletki dostaniesz. To przysługa. Nic mi nie będziesz winien.

Marion na widok Aleksandra wzruszyła się. Wspominali swoją przyjaźń, jak się poznali, jak tańczyli, jak się bawili. Była osłabiona, więc nie mogła zbyt długo rozmawiać. Poprosiła Roberta, żeby zostawił ich na chwilę samych. Po kilku minutach Małachow wyszedł i serdecznie uściskał Roberta.

Julia niespodziewanie została panią domu. Musiała zadbać o siebie, o młodszego brata i o ojca. Pilnować, żeby jadł regularnie, żeby się mył i zmieniał ubranie. Wszystko jej spadło na głowę. Codziennie razem z bratem odwiedzali mamę.

Zadzwonił Aleksandr.

- Wpadnij.

Położył przed nim paczuszkę.

- Wystarczy jedna. Jak druga zostanie, będzie lepiej, jeśli zwrócisz. - Była w tym niewypowiedziana troska.

Koniec był bliski, brała maksymalną dawkę morfiny. Pozostało im kilka dni. Dał jej czerwono-czarną kapsułkę.

- Nic nie poczujesz. Mam jeszcze drugą. Na wszelki wypadek.

- Gdzie ją zdobyłeś?

- Małachow.

- To dobry człowiek.

Poprosiła, żeby przyprowadził dzieci. Andreas i Julia wiedzieli, że mama wkrótce umrze. Przygotowywał ich od pewnego czasu. Wyszedł

z sali, żeby się mogli pożegnać. Trzy dni potem powiedziała:

- To będzie jutro ze wschodem. Pamiętasz, ile razy kochaliśmy się do tej magicznej godziny, gdy spadają gwiazdy, a noc rozwiewa się jak mgła? Jaka wtedy byłam szczęśliwa. - Skapana w księżycowej poświacie, była zjawiskowa.

Rozmawiali przez całą noc. Mówili o dobrych rzeczach, o dobrych czasach i co powinien zrobić dla dzieci. Chciała, żeby się ponownie ożenił; mówiła, jak cudownie jej z nim było. Śmiali się, a ona nie płakała, dopiero później.

- Miałam w życiu tyle szczęścia. Ty, cudowne dzieci, wspaniali rodzice. Nie potrafię sobie wyobrazić lepszego życia. Nie mogłam dostać więcej.

- Do zobaczenia, Marion.

Kiedy świat budził się do życia, połknęła tabletkę. Trzymając go za rękę, gasła jak płomyk świecy. Promienie słoneczne oświetliły jej twarz. Wyglądała nieziemsko, patrzył na świętą. Zapach choroby i śmierci mieszał się z zapachami wypełniających pokój kwiatów. Było cicho. Śmiertelna cisza.

Zapamiętał ją taką, jaką kochał: radosną, szczęśliwą, piękną kobietę, która była sensem jego życia. Skromny pogrzeb, stypa, oglądał świat przez mgłę. Hamid wszystko zorganizował, on do niczego nie był zdolny. Pochowali ją w Edenie. Powiedziała kiedyś, że chce tam pozostać na zawsze.

Były w nim rozpacz, gorycz i żal. Nie odnajdywał w sobie innych uczuć. *Już nigdy nie będę się śmiać razem z nią, już nigdy nie scałuję jej łez, już nigdy nie zajrzę w oczy...* Widział ją wszędzie. Nie przebrzmiał sen o miłości. Przeklinał los. Nie potrafił pogodzić się z przeznaczeniem. Pozostała po niej zaledwie garść wspomnień. Przypadkowe spojrzenia, jakiś gest, jakieś błahe słowo, perfum woń, głosu srebrzysty ton i jakby za mgłą... To wszystko. Marion odeszła, a kiedy jej zabrakło, uchodziło z niego życie. Jej pracownia pozostała w takim stanie, w jakim ją zostawiła. Zachodził do niej, łudząc się, że

będzie na niego czekała, stojąca przy sztaludze, w upačkanej farbami koszuli. Cierpiał. Rozpacz wiła się i syczała, zatruwając jadem duszę. Kiedy dzień zgasł, siadywał na tarasie, na którym tyle razy spijał z jej oczu szczęście. Wpatrując się w fotografię, rozmawiał z nią.

- Czym się, ukochany, smucisz? - pytała głosem cichym jak oddech wiatru.

- Nie potrafię bez ciebie żyć, nie mogę się doczekać spotkania z tobą.

- Nawet tak nie myśl. Zabraniam! Słyszysz? Kategoriecznie zabraniam! Przecież są dzieci, a ty nie wiesz, co cię czeka. Masz jeszcze do odegrania te role, w jakich cię obsadził los... Musisz mi coś obiecać.

- Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko.

- Wiem. Obiecaj, że porzucisz te niedorzeczne myśli i nie będziesz marnował czasu na żałobę. Nie okradaj się z życia, ukochany. Zrób to dla mnie i dla dzieci. Z tej choroby, na którą cierpisz, wkrótce się wyleczysz. A wtedy żyj. Żyj każdą chwilą. Żałoba to najgłupsza rzecz, jaką ludzie wymyślili, żyjącym nie pomoże, nas nie wskrzesi. Jeżeli będziesz ją przeżywał, będę cierpiała razem z tobą, a najbardziej ucierpią dzieci. Nie chcesz tego, prawda?

- Obiecuję...

- To mi nie wystarczy. Przysięgnij.

- Przysięgam.

Odetchnęła z ulgą.

- Mieliśmy cudowne życie. Czy dlatego musiałam odejść? Zakochani ściągają na siebie gniew mściwych bogów. Musiałam zapłacić za tyle szczęścia.

- To powinienem być ja...

- Nie opowiadaj głupot.

Milczeli przez chwilę.

- Kto ci powiedział, że...? Zawsze mnie to dręczyło, ale obiecałam. Ta obietnica przestała obowiązywać, prawda? - dopytywała się.

- Tak, przestała - stłumił łkanie. - Domyśliłem się, że mnie wrobili. Obawiałem się, że tobie również zagraża niebezpieczeństwo. Dlatego nakazałem moim ludziom, żeby cię ochraniali.

- Wrobili? Oni wrobili? Tu, gdzie jestem, nie mogę płakać, nawet jeżeli bardzo potrzebuję łez. Mogę sobie jedynie wyobrazić, że płaczę.

- Ja też chcę cię o coś spytać. Wiem, że go bardzo kochałaś. Czy twoja miłość do niego się wypaliła? Nie odpowiadaj, zapytałem, żebyś wiedziała.

- Robercie, dobrze wiem, o co zamierzałaś spytać. Bardzo bym chciała odpowiedzieć na każde twoje pytanie, zdradzić każdą tajemnicę, otworzyć przed tobą serce, żebyś poznał moje najskrytsze tęsknoty, poznał mnie lepiej, niż ja znam siebie. Ale wiesz, że nie mogę. Takie są zasady.

- Nic nie działo się przypadkowo. Byliśmy tylko marionetkami w teatrze, w którym za sznurki pociągał ślepy los.

- Skąd brałaś pieniądze na kupno domu i na te wszystkie luksusy, którymi nas otaczałaś? Przecież diamenty sprzedałaś później. Ta zagadka również nie dawała mi spokoju.

- Przed twoją dociekliwością nic się nie ukryje. Zarobiłem na akcjach.

- Hej, proszę pana, wszystko słyszałam! Kiedy kłamiesz, odczytuję twoje myśli.

- Kłamstwo to za mocno powiedziane. Czy nie uważasz, że lepiej brzmi: „Nie powiedziałeś całej prawdy”?

- Kiedy się spotkaliśmy, od razu wiedziałam, że to nie przypadek, bo jesteśmy dla siebie stworzeni. Dlatego tak łatwo dałam ci się zaciągnąć do łóżka.

- Dopiero po latach zrozumiałem, że twój romans był najlepszym doświadczeniem, jakie nas spotkało. Nie ma niczego złego w tym, że się zapomniałaś. Szalona miłość to bezcenny skarb. Gdybyś ją odrzuciła, żal by cię prześladował. - Wynajdywał wytłumaczenia, które jej by do głowy nie przyszły. - Ja się przekonałem, że cię kocham ponad wszystko i jedynie to się liczy.

- To najpiękniejsze słowa, jakie od ciebie usłyszałam. Dobrze jest kochać mężczyznę, który potrafi wybaczyć. Nie byłam wzorem cnót. Prawda? Wiedziałam, że cierpisz, jednak nie znając całej prawdy, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo. Dziękuję, że mi wtedy nie powiedziałeś.

- Dlaczego go zabiłaś?

- Przecież wiesz.

- Tylko się domyślałam.

- Dobrze się domyślasz, zresztą jakie to ma teraz znaczenie? I ja, i on jesteśmy już tylko twoimi wspomnieniami. Nigdy mnie nie spytałeś, co się naprawdę wydarzyło w Londynie.

- Gdybyś chciała, tobyś opowiedziała. Każdy ma swoją prywatność, w której ma prawo zachować sekrety.

- Jesteś wrażliwy, szanujesz uczucia innych. Znam przyczynę. Wiem, dlaczego nie lubisz się tłumaczyć. Szkoda, że się przede mną nie otworzyłeś, byłoby ci wtedy łatwiej.

- Powinienem się domyślić. Nie da się zachować sekretu przed przenikliwością kochającej kobiety.

- Prawda? Obiecałam Julce, że jej kupię sukienkę i nie... - Tym razem jej głos się załamał. - Zakupy z nią dobrze ci zrobią. Tylko nie marudź przy kupowaniu - szybko się pozbierała.

- Kupię jej te dwie powiązane sznurówkami chusteczki do nosa, które nazywacie wystrzałową kiecką, a nawet powiem, że wygląda w niej znakomicie.

- Jesteś wspaniały. Zawsze taki byłeś. Czy pamiętasz ten wiersz, który dla mnie napisałeś, ten o wiatyku, który mi przyniosłeś do łóżka z poranną kawą?

- Wiem który, ale go nie pamiętam. Nie zapamiętuję swoich wierszy.

- A ja pamiętam. Nigdy nie byłam szczęśliwsza. Kiedy mi smutno, powtarzam go sobie. Jest taki pogodny...

- Kiedy ci smutno?

- Czy jak byliśmy razem, miałeś romans z inną? - zrećnie zmieniła temat.

- Niczego takiego sobie nie przypominam.

- Panie Meissner, proszę mi tu nie serwować perełek pańskiej błyskotliwej retoryki, tylko odpowiedzieć na pytanie.

Przez ostatnie miesiące Linda często odwiedzała Marion. Z rozmów, z przemyśleń wyszło jej, że powinna jak najszybciej wyjść za Svena. Zaprosiła go do restauracji. Kiedy kelner zabrał talerze, z udawaną dyskrecją oglądała lewą dłoń. Zrozumiał. Wstał i na oczach zachwyconych gości poprosił ją o rękę.

- Lindo Wallenstein, czy wyjdiesz za mnie?

Jak on się zmienił, ten zakochany we mnie mężczyzna, któremu nieustannie dokuczałam. Skończy się tak, że po ślubie mnie wychłoszcze. Oglądała obrazy Marion i dowiedziała się od niej wielu intymnych szczegółów.

- No, wreszcie jaśnie pan się zdecydował! - zaczęła w swoim stylu. - A już myślałam, że zostanę starą panną. Przecież oczywiście, Sven, że za ciebie wyjdę.

Zmagał się z depresją i chciał jak najszybciej wyjechać z Kairu. Pewnych spraw nie udawało się niestety poukładać. Każdego ranka przeżywał męczarnie. Żeby otworzyć oczy i wstać, zmuszał się do wysiłku jak wspinaczka na Mount Everest. Najgorsze było światło, słońce. Bał się go, unikał, jak mógł. W swoim pokoju rolety zaciągnął na stałe. Nie mył się, nie golił, nie zmieniał ubrań. Jadł byle co i byle gdzie - jeżeli z najwyższym trudem zmusił się do wyjścia z domu, w najpodlejszych ulicznych garkuchniach. Właściwie nie wiedział, co je, ponieważ zatracił poczucie smaku.

Kto nie doświadczył depresji, nie zrozumie, że w takim cierpieniu śmierć staje się wyzwoleniem, gwiazdką z nieba, wymarzonym spokojem i ukojeniem. Wszystko wydaje się lepsze od życia z takim chaosem w głowie. Nie chciał iść do psychiatry, uważał, że leczenie

nie ma sensu. Dzień po dniu mijał bez zmian. Przeżywał je mimochodem, pogrążony w rozpacz, bezradny.

Pewnego dnia pojawił się Hamid. Powiedział, że ktoś na nich czeka i muszą do niego koniecznie pojechać. Odrętwiały, dał się posadzić w samochodzie Hamida. Jechali szerokimi, zatłoczonymi i hałaśliwymi ulicami. Zakrył oczy, z najwyższym trudem opanowując panikę.

Przyjechali na cmentarz, Nekropolię Kairską. Jedyłą taką na świecie. Mieszkali na niej obok siebie żywi i duchy zmarłych. Na tym jednym cmentarzu znalazło miejsce do życia ponad milion Egipcjan. Najuboższych, których na inne zakwaterowanie nie było stać. Hamid wiódł go przez niekończący się labirynt zatłoczonych uliczek. Po drodze napotykali wszelakie możliwe schorzenia, każde nieszczęście, jakie może dotknąć człowieka. Kaleki, ludzie o zniekształconych ciałach, umierający, którzy nie mieli siły wstać. Wszyscy mieli wypisane na twarzach cierpienie. Miał wrażenie, że przestąpił wrota piekieł, zaś Hamid jest jego Wergiliuszem. Wreszcie, po wędrówce, która zdawała się nie mieć końca, dotarli do celu. Grobowiec wyróżniał się architekturą. Miał elewację z wypalonych, gdzieś nadgryzionych zębem czasu niebieskich kafli pokrytych ręcznie malowanymi, wschodnimi ornamentami. Weszli do środka. Panował półmrok, który rozjaśniała lampa naftowa. W powietrzu unosił się zapach mirry. W pomieszczeniu przebywał jeden człowiek. Wysoki, chudy, z pomarszczoną tysiącami drobnymi zmarszczkami skórą o kolorze kawy z mlekiem. Musiał mieć sto lat. W stanie, w jakim się znajdował, przyjąłby pomoc od każdego, byle ulżyć cierpieniom. Starzec uścisnął mu rękę z siłą, jakiej się nie spodziewał.

- To jest Anglik, o którym opowiadałem, Mistrzu.

- Nie jest Anglikiem. - Usiadł na poduszce. - Wiem, co mu dolega.

Nie zdziwił się. Wiele słyszał o niezwykłych umiejętnościach magów.

Czarownik zaczerpnął z glinianego naczynia garść ziół i wrzucił do ognia. Chmura żółtego, gryzącego dymu rozpełzła po

pomieszczeniu.

- Wypij to. - Podał mu czarę z dymiącym naparem.

Miał ziołowy zapach i był gorzki jak piołun, którego smak pamiętał z dzieciństwa. Posłusznie wypił.

- Usiądź! - Wskazał miejsce obok siebie.

Wydobył z kieszeni pęk drobnych kostek zwierzęcych i rozrzucił jednym szerokim ruchem. Ułożyły się w przypadkowy wzór. Mag, wpatrując się w nie intensywnie, wpadł w trans.

Poczuł, że zasypia. Nie bronił się przed stanem niebytu. Morfeusz pojawił się jak na zawołanie, jednak zamiast pozbawić świadomości, przeniósł go do krainy sennych marzeń. Wiedział, że śni, jednocześnie świadomość go nie opuszczała. Z prędkością światła przewijało się przed oczami całe jego życie. Pęd zdarzeń w miarę zbliżania do teraźniejszości zwalniał. Ostatni raz pożegnał się z Marion. Z piersi wyrwał się głuchy jęk. Unosił się nad własnym ciałem. Leciał coraz wyżej i wyżej, jakby grobowiec nie miał sklepienia. Dusza je opuściła, była zawieszona w przestrzeni, połączona z mózgiem cienką nitką pojedynczego nerwu. Uwolniona od wszelkich ziemskich trosk, wolna i szczęśliwa.

Wrócił do domu. Wykąpał się, ogolił, zmienił ubranie, zjadł ze smakiem kolację, którą przygotowała córka. Podziękował jej za wszystko, co zrobiła.

- Musimy się naradzić. Co z nami będzie, gdzie będziemy mieszkali.

Dyskusja trwała pół nocy. Wyjaśnił, że są zamożni i mogą zamieszkać w dowolnym kraju. Próbowali się porozumieć, szło im jednak opornie. Pierwszym wyborem były z oczywistych względów Niemcy. Drugim - Egipt, jednak wykluczył ten kraj. Potrzebował odmiany. Na kolejnym miejscu dzieci wymieniały Francję. Uczyły się francuskiego w szkole, Marion opłacała bonę, która rozmawiała z nimi po francusku. Obiecała, że w nagrodę wakacje spędzą we Francji. Przyrzekł, że dotrzyma złożonej przez nią obietnicy, więc na cały lipiec pojechali do Francji. Sierpień był tradycyjnie

zarezerwowany dla dziadków. Nie odmawiał dzieciom niczego, żeby choć na chwilę zapomniały o stracie matki.

W Antibes Julia poznała chłopaka w swoim wieku i się w nim zakochała. Prowadzali się za rękę po plaży i tylko morskie fale to widziały, ile się nacałowali. Była tak zauroczona, że nie chciała wyjechać. Musiał przekupywać syna niezliczonymi atrakcjami, aby ona mogła chodzić na spacerzy ze swym chłopcem. Nie chciał gwałtownie zakończyć jej pierwszej miłości. Jednak jego wakacje się skończyły i musiał wracać do domu. Żegnając się, obiecali sobie, że za rok się spotkają. Odetchnął z ulgą, ponieważ każdego dnia wracała później. Gdyby wakacyjna miłość potrwiała dłużej, któregoś dnia powróciłaby rano, a rozstanie mogłoby złamać jej serce.

Julia nie chciała słyszeć o innym kraju. Muszą mieszkać we Francji i już. Przyjął postawę neutralną. Było mu obojętne, gdzie zamieszkają. Mógł się nauczyć francuskiego, hiszpańskiego, a jeżeli zajdzie potrzeba – japońskiego. Wykorzystała więc wrodzony spryt, w rodzinie von Thomów przechodzący z matki na córkę, żeby przekonać brata. Nie obeszło się bez przekupstwa. Długo pozostawał głuchy na jej coraz atrakcyjniejsze propozycje. Zmienił zdanie, kiedy obiecała, że będzie go zabierać na imprezy i wystawiać najładniejsze dziewczyny. Bardzo przekonująco opisywała przy tym zalety Francuzek. Stanęli przed ojcem, a Julia powiedziała:

- Tato, przeprowadzamy się do Francji!

Mieli niewiele czasu na przeprowadzkę, ponieważ rok szkolny wkrótce się zaczynał. Teściowie zgodzili się spędzić wakacje we Francji. Astrid zaproponowała, że pomoże w znalezieniu odpowiedniego domu, przeprowadzce i zagospodarowaniu. Jej pomoc okazała się nieoceniona. Po tygodniu wizyt w biurach nieruchomości zabrała Roberta na oglądanie najciekawszych ofert. Po obejrzeniu wszystkich byli zgodni. Najlepsza okazała się posiadłość na obrzeżach niewielkiej miejscowości Cassis, niespełna trzydzieści kilometrów na wschód od Marsylii. Robertowi spodobała się dewiza uroczego miasteczka: „Kto widział Paryż, a nie widział Cassis, ten nic nie

widział”. Dojazd do Marsylii urokliwą, krętą Route de la Gineste zajmował pół godziny. Julia i Andreas mieli pójść do liceum w Aubagne. Kilka kilometrów na rowerach, co im wyjdzie na zdrowie.

Zapakował do skrzyń wszystkie przedmioty mające wartość sentymentalną. Resztę, w tym większość mebli, sprzedał. Pozostawił jedynie zabytkową sekretkę, która należała do Marion, a przypadła Julii, i biurko z drewna iroko, z blatem obitym zieloną skórą. Dobrze mu się przy nim pracowało. Apartament sprzedał za korzystną cenę. Pieniądze wpłacił do funduszu powierniczego, który został przepisany na dzieci. W biurze nieruchomości pokazał zdjęcia i opis posiadłości w Safadzy. Otrzymali dziesiątki ofert, a jedna przebijała drugą. Poprosił Lindę o pomoc. Zapoznała się z ofertami i podsumowała.

- Wiedziałam, że Eden jest cudownym miejscem, jednak przez myśl mi nie przeszło, że jest aż tyle wart. Nawet mnie nie stać na wydanie takich pieniędzy. To była mądra inwestycja.

- Jaką ofertę ty byś złożyła, Lindo?

- Po co pytasz, przecież powiedziałam. Jest poza moim zasięgiem.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Nie byłabym w stanie zapłacić nawet połowy najwyższej oferty.

- Nie marudź. Ile?

Wymieniła sumę.

- Właśnie kupiłaś Eden.

- Znakomicie, ale dlaczego, dlaczego?

- Dlaczego? Moje, więc mogę zrobić, co mi się żywnie podoba.

A ja mam ochotę sprzedać właśnie tobie. Jeżeli nie masz teraz całej potrzebnej sumy, możesz wynajmować z opcją zakupu po stałej cenie.

- Dziękuję, jesteś wspaniałomyślny.

- Mam jeszcze prośbę. Zróbmy wystawę obrazów Marion. Ją by na pewno ucieszyła. W organizację wciągniemy Astrid. Jest jej bardzo ciężko, praca pomoże przeżyć jakoś najtrudniejszy okres.

¹¹⁷ Sergiusz Jesienin, *Dziś wekslarza w rynku zapytałem*, przeł. Włodzimierz Słobodnik.

13. BABIE LATO W CASSIS

Przeprowadzka oraz zagospodarowanie zajęły kilka tygodni. Julia z tak bardzo kobiecym zacięciem do urządzania domu wzięła na siebie rolę architekta wnętrz. Pod jej dyktando kupili meble i wszystko, co potrzebne do wyposażenia. Robert czuł się już dobrze, jednak zamiast pracować, wolał przesiadywać w ogrodowym fotelu z kieliszkiem wina. Zdobył się jedynie na nadzorowanie robotników. Córka była za młoda, żeby poradzić sobie z cwanyimi fachowcami. Dom był nieduży, ale dla nich trojga w zupełności wystarczający. Po odświeżeniu elewacji i drobnym remoncie prezentował się znakomicie. Zadbany, obficie podlewany ogród zazielenił się wesoło.

Dzieci poszły do szkoły. Znały francuski, ale nauka to jedno, a rozmawianie żywym językiem – drugie. Z każdym dniem szło im lepiej. Julia uwielbiała wymyślać niestworzone historie. Talent odziedziczyła po ojcu. Miejscem, w którym się rozgrywały, była posiadłość w Safadży, na potrzeby scenariusza przemieniona w ogród Bestii. Piękną była oczywiście ona. Znalazła grono wiernych słuchaczy, którzy zamiast wkuwać matkę, z wypiekami na twarzy wysłuchiwali jej zdecydowanie zbyt śmiałych jak na nastolatkę opowieści. Ponieważ pokazywała fotografie, nikt nie poddawał w wątpliwość tych bajań. Obydwoje znaleźli grono przyjaciół. Z nauką nie mieli problemów, poziom szkoły angielskiej przy ambasadzie był wyższy niż liceum, do którego chodzili.

Jemu nie szło równie łatwo. Uroki samotnego ojcostwa poznał w Egipcie. Tam życie było uregulowane. We Francji musiał je poskładać na nowo, zaczynając od tak prozaicznych czynności jak gotowanie posiłków. Śniadania przygotowywali wspólnie, potem dzieci pedałowały do szkoły. Przedpołudnia spędzał na zwiedzaniu okolicy, przesiadywał w kawiarniach. Czytał prasę, czasami książki. Jadł skromny posiłek w ulubionym bistro i czekał na powrót rodzeństwa. Wieczorami chodzili do restauracji.

Jaguara i bugatti sprzedał w Egipcie, więc musiał kupić samochód. Z salonu w Monte Carlo wyjechał dwustupięćdziesięciokonnym kabrioletem maserati sebring II z wystawy. Cena była korzystna, a samochód luksusowy – takie lubił.

Zakochał się w Marsylii od pierwszej włóczęgi urokliwymi uliczkami tego miasta z duszą. Każdą wolną chwilę spędzał, wałęsając się bez celu lub przesiadując w ogródkach kawiarnianych Le Panier – dzielnicy bohemy.

GRAJEK, MARSYLIA, JESIENNE PRZEDPOŁUDNIE

Starszy, masywnie zbudowany mężczyzna szedł krokiem człowieka, któremu się nigdzie nie spieszy. Z daleka usłyszał piosenkę śpiewaną przez ulicznego grajka, mężczyznę w jego wieku, o twarzy ogorzałej od częstego przebywania na świeżym powietrzu, pooranej bruzdami skrytymi pod kilkudniowym zarostem. Akompaniując sobie na podniszczonym akordeonie, śpiewał *Non, je ne regrette rien* głębokim barytonem, pozbawionym zachrypniętych wibracji zjawiskowej Édith Piaf. Jednak piosenka w takim wykonaniu robiła wrażenie.

Słuchał jak zahipnotyzowany. Jego duszę musiały rozdzierać burzliwe emocje. Wreszcie grajek skończył. Mężczyzna wyciągnął znoszony portfel. Były w nim dwa pogniecione banknoty – pięć i pięćdziesiąt franków. Wyjął pięciofrankowy i dał grajkowi. Potem poszedł swoją drogą, powłócząc nogami, jak człowiek, który nie ma

się dokąd spieszyć. Grajek odczekał chwilę, przewiesił akordeon przez ramię i ruszył w przeciwnym kierunku. Szedł sprężystym krokiem, uśmiechając się pod nosem. W wymanicurowanej dłoni ściskał wyglądający jak spod prasy banknot pięćdziesięciofrankowy.

Było słoneczne jesienne przedpołudnie. Robert siedział nad prasą w ogródku kawiarnianym. Pił białe cassis, poza tą miejscowością niedostępne lokalne wino, i czekał, aż zgłódnieje, żeby coś przekąsić. Przy sąsiednim stoliku doszło do burzliwej wymiany zdań. Lekko podpity jegomość nie miał na rachunek. Kelner chciał zastawu. Robert przyjrzał się pechowemu klientowi. Był masywnie zbudowany, miał sympatycznie brzydką, steraną życiem twarz, przypominającą kulę armatnią okrągłą, łysiejącą głowę. Ciężkie powieki opadały, nachodząc na oczy. Przypominał Jeana Gabina z jego ostatnich filmów. Zrobiło mu się żal niemłodego już człowieka, dla którego sytuacja musiała być upokarzająca. Zawołał kelnera i zapłacił rachunek, nie był zresztą wysoki. Gabin podszedł i się przedstawił.

- Jean Bart.

- Robert. Nie znam francuskiego, dopiero się uczę. - Wskazał słownik.

- Dziękuję. Rzadko się teraz zdarza spotkać porządnego gościa.

Zdziwił się, ponieważ Jean mówił po angielsku, i to całkiem składnie. Przypuszczał, że jest marynarzem. Tak sobie zawsze wyobrażał bosmana.

- Siadaj, Jean. Jeżeli ci niespieszno, możesz mi dotrzymać towarzystwa.

- Już dawno przestało mi się spieszyć. - Podał mu potężną, spracowaną dłoń.

- Czego się napijesz?

- Mając wybór, calvados. Z braku funduszy zadowolam się sikaczem.

- W porządku, jeżeli mamy pogadać, najpierw zjedzmy. Nie spieraj się ze mną. Kelner!

- Widziałem, jak podjechałeś, niezła bryka. - Wskazał zaparkowane przed kawiarnią maserati.

- Taki miałem kaprys, lubię moje auto.

- Gdzie mieszkasz?

- W małej miejscowości, niedaleko. Mam dom, mieszkam z dwójką dzieci.

- Bez kobiety?

- Niedawno owdowiałem. Jeszcze nie jestem gotowy.

- Ja też mieszkam niedaleko, w domu weterana.

Była to sieć domów przeznaczonych dla odchodzących ze służby żołnierzy, którzy nie mieli się gdzie podziać.

- W domu weterana? Służyłeś w wojsku?

- Noo. Trzydzieści lat, z tego dwadzieścia w Legii Cudzoziemskiej. I widzisz, czego się dorobiłem. - Na jego twarzy malował się smutek spowodowany niesprawiedliwością porządku spraw. Kelner przyniósł jedzenie, które on zaatakował z wielkim zapalem. Widać było, że mu się niezbyt dobrze powodzi.

- Ja również byłem w wojsku.

- Co ty powiesz? Gdzie?

- Tu i tam. Zacząłem w trzydziestym dziewiątym w Wojsku Polskim. W czterdziestym we Francji. Po inwazji przeszedłem cały szlak bojowy z Normandii do Hamburga.

Siedzieli i rozmawiali. Po dwóch godzinach zajmującej dyskusji wpadł na pewien pomysł.

- W moim domu, przy wjeździe, stoi niewielka służbówka. Nikt w niej nie mieszka i do niczego nie jest nam potrzebna. Jeżeli zechcesz, możesz w niej zamieszkać. Nie widać wprawdzie morza, ale jest niedaleko.

- Więc co dokładnie miałbym robić?

- Nie zatrudniam cię. Dostaniesz dach nad głową, jedzenie i trochę alkoholu. Wystarczy, żebyś trzymał fason, za mało, żeby się nawalić. Na kolacje chodzę z dziećmi do restauracji. Dołączysz albo sam coś ugotujesz; jeżeli lubisz, możesz pichcić. Będziesz mnie uczył

francuskiego. Jak dzisiaj, na tarasie kawiarni, przy szklance czegoś mocniejszego.

- Poznajesz mnie przypadkowo w knajpie i po krótkiej rozmowie proponujesz zakwaterowanie? - Jean był mocno zdziwiony.

- Weterani powinni się wspierać. Ta przysługa nic mnie nie kosztuje, przybędzie sąsiad przez ogród. Nie jestem strachliwy, a tobie dobrze z oczu patrzy.

- Coś w tym jest. Poczekaj tutaj, zbieram klamoty i zaraz wracam.

Wrócił zziębnięty po kilkunastu minutach. Przyniósł starą, obwiązaną sznurkiem walizkę. Faktycznie, niewiele się dorobił. *Jak by się moje losy potoczyły, gdybym się nie wcisnął na Louisianę?*

Przycisnął gaz, żeby się cieszyć jazdą. Andy grał w badminton z koleżanką Julii. Ona zaś z dwiema innymi dziewczynami dyskutowała zawzięcie na tarasie. Pokazała im niektóre obrazy mamy, odebrawszy wcześniej przysięgę milczenia po grób. Od razu została ich najlepszą przyjaciółką.

- O czym tak szpaczkujecie?

- O ważnych sprawach, których faceci nigdy nie rozumieją. - Zachichotały.

- Aha! To jest Jean. Zamieszka w pałacyku myśliwskim przy wjeździe.

- Cześć, Jean! - młodzież powitała go chórem. Zrobił na nich wrażenie.

- Cześć, dzieciaki! - Jego ponurą twarz rozjaśnił szeroki, zjednujący sympatię uśmiech.

Przez całe popołudnie wypytywali go o wszystko, a on cierpliwie odpowiadał. Dziewczyny wychodziły z ociąganiem. Jean, pomimo różnicy wieku, fascynował je. Robert, żeby im wynagrodzić koniec imprezy, zgodził się je porozwozić. Sprytnie bestyjki odkryły chłodzony schowek z szampanem i zmusiły go, żeby zatrzymał auto w punkcie widokowym. Pierwsza butelka zaledwie je rozochociła, więc, niewiele sobie robiąc z jego protestów, wypily drugą. Lekko wstawione,

narobiły jazgotu jak stadko wróbli. Było to niemoralne, zabronione, skandaliczne. Właśnie wtedy szampan smakuje najlepiej.

Jean się urządzał, a rodzeństwo nie odstępowało go na krok. Robert musiał interweniować, bo Julka, dziewczyna o złotym sercu, wszystko by z domu wyniosła, byleby mu było wygodnie. Przejął też władzę nad kuchnią. Okazało się, że gotowanie to jego pasja. Wreszcie znalazł warunki spełniające jego wymagania. Pełna lodówka, kompletnie urządzona kuchnia. Zadbała o to Astrid. Cała trójka była mało wymagająca. Jedli niemal wszystko i nie grymasili, pomimo że Marion dobrze gotowała. Dopiero zasmakowawszy kuchni Jeana, zrozumieli, jak wiele dotąd tracili. Nie mógł zastąpić matki, lecz swoim ciepłem częściowo wypełnił pustkę, jaką w sercach dzieci pozostawiło jej odejście.

Przedpołudniami, kiedy byli w szkole, Robert z Jeanem szlifowali marsylskie bruki, co okazało się zajęciem przyjemniejszym niż samotne wędrówki śladami Edmunda Dantesa. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Najczęściej o niczym. Czas nad kielichem upływał szybko. Jeśli nachodziła ich chęć na odmianę, jeździli po okolicznych miasteczkach. Robert robił szybkie postępy w nauce francuskiego. Mógł się już popisać znajomością wyszukanych przekleństw. Poznał ich tyle, ile do tej pory polskich i niemieckich razem wziętych. Jean był dumny ze swojego ucznia. Julia i Andreas również się przy nim podszkolili, czego szczerze im zazdrozczono w szkole. Jean namawiał Roberta, żeby znalazł sobie kobietę. Julia przyłączała się do tych perswazji.

- Gdyby mama nas teraz widziała, też by cię namawiała, żebyś sobie kogoś znalazł.

Zadzwoiła Astrid, zapytała oczywiście, czy ma już partnerkę.

- Nie możesz być wiecznie samotny. - Ona również powołała się na Marion.

Nie pracował, a pieniędzy przybywało. Niemiecki cud gospodarczy sprawił, że jego portfel akcji nieustannie zyskiwał na wartości. Żył mu się wygodnie i beztrąsko. Pojawiało się ponownie

pytanie: jak żyć? Poprzednio udawało się znaleźć zadowalającą odpowiedź. Teraz było trudniej. Nie chciał wiązać się pochopnie z kobietą. Dotychczasowe związki nauczyły go, że lepiej poczekać, a wybrać właściwie. Miał wielkie szczęście, że trafił na Marion. A ona zawiesiła poprzeczkę tak wysoko, że żadna nie była w stanie jej przeskoczyć.

Julia i Andreas szybko dojrzewali. Pojawiły się pierwsze miłości, rozczarowania i radości. Powiernikiem był Jean. Nikt nie umiał słuchać tak jak on. Jego rad wysłuchiwali z uwagą, na jaką rady ojca w ich opinii nie zasługiwały.

Julia miała siedemnaście lat, uczyła się w klasie maturalnej. Aniołkiem nie była, co rusz zaliczała jakiś wybryk. Na początku grudnia się zakochała. Jej wybranek miał na imię Raul. Skończył liceum i, jak twierdził, pracował w branży filmowej. „Festiwal w Cannes i takie tam” - rzucał od niechcienia. Kilka dziewczyn z jej szkoły podkochiwało się w nim. Była szczęśliwa, że wybrał właśnie ją. Kochała go tak, jakby dla niej zawiesił księżyc na niebie.

Spotykali się często. Wymarzyła sobie, że właśnie on będzie tym pierwszym. Oddała mu się na trzeciej randce. Raul był znakomitym kochankiem, przeżyła niezapomnianą noc. Od tego dnia stali się nierozłączni. Musiało się to odbić na nauce. Degradacja nie była dotkliwa, dostawała nieco gorsze stopnie. Nauczyciele nie mieli jednak podstaw, żeby wzywać ojca. Trójki i czwórki pozostawały ocenami zadowalającymi. Robert nie zdawał sobie sprawy, co dzieje się z jego córką. Andreas wiedział, jednak przez solidarność z siostrą - milczał. Na jednej z randek Raul dał jej kokainę. Porcja była niewielka, jednak wystarczająca, żeby odpłynęła. Potem się kochali, a jej przeżycia zyskały na intensywności. Tłumaczył, że wszystkie biorą, jeżeli chcą mieć superodlot. Julia naturalnie chciała i jak dawał, brała. Był ostrożny, nie chciał jej uzależniać. Najlepiej, gdyby się przyzwyczaiła, ale nie wpadła w nałóg.

Tego wieczoru kochali się w jego kawalerce. Lekko nagrzana, lizała mu. Co pewien czas wkładała do ust i ssała. Zaglądała mu przy

tym w oczy i uśmiechała się rozkosznie. Patrzył na nią wzrokiem, który wydawał się jej przepełniony miłością. Podczas kiedy ona, płonąc z podniecenia, starała się go zaspokoić, w jego głowie kłębiły się myśli zupełnie innej treści.

Raul był potworem. Socjopatą i sadystą. Wyjątkowo przystojny, miał w sobie to coś, ciągnęła się za nim sława zdobywcy serc. Dziewczyny leciały do niego jak ćmy do ognia. W jego przypadku to powiedzenie należało traktować dosłownie. Każdej się wydawało, że będzie tą jedyną. Julii brakło doświadczenia w sprawach sercowych. Nie miała mamy, której mogłaby się zwierzyć, wysłuchać porad. Z ojcem o tych sprawach rozmawiać nie potrafiła. Zakochała się i była teraz wzruszająco bezbronna, jak każdy, kto kocha więcej, niż jest kochany.

A on handlował kobietami. Rozkochiwał je w sobie i sprzedawał do cieszącego się ponurą sławą burdelu. Wtajemniczeni wiedzieli, że mogą w nim zaspokoić każdą, nawet najbrudniejszą fantazję erotyczną. Dziewczyny pracujące w burdelu nigdy i niczemu się nie sprzeciwiały. Klient mógł z nimi robić, co tylko chciał. Julia, piękna, młoda i naiwna, była idealną ofiarą.

Ojca uznał za niegroźnego dziwaka, który zamiast cieszyć się życiem, korzystając ze swojej forsy, marnuje czas na bezsensowne pogawędki z jakimś obrzempłą. Cudzoziemca niemogącego liczyć na znajomości ani na pomoc policji. Bywalcami burdelu, do którego miała trafić, byli policjanci, ustosunkowany prokurator, sędzia, dlatego właściciele, dwaj bracia, beurowie - repatrianci z Algierii - Ahmed i Mostefa Mesli czuli się bezpiecznie. Ich matka była Francuzką, ojciec Algierczykiem. Przyglądając się, jak traktuje matkę, przywykli pogardzać białymi kobietami. Byli przekonani, że wszystkie są kurwami, oni jedynie ujawniają ich wrodzoną rozwiązłość. Nie są muzulmankami, nie mają żadnych praw. Urodzeni sadyści, z niebywałą inwencją wymyślali coraz to nowe metody zmuszania dziewcząt do uległości.

Burdel mieścił się w zaniedbanym z zewnątrz, dwupiętrowym budynku położonym w willowej dzielnicy o nie najlepszej reputacji. Do dużego, zapuszczonego ogrodu na noc wypuszczano ostrego dobermana. Ponurego obrazu dopełniał wysoki na dwa metry płot zasłaniający od ulicy widok na wnętrze posesji. Młode kobiety, które miały nieszczęście do niego trafić, nie mogły wyjść, uciec, zgłosić się na policję. Uwięzione, nie miały się do kogo zwrócić o pomoc.

Zmienił pozycję, Julia dosiadła go i zaspokajała się z zapamiętaniem. Gdyby nie była taka zakochana, być może dostrzegłaby okrucieństwo w spojrzeniu Raula. Oczami wyobraźni widział, co z nią będą robili. Słyszał jej rozpaczliwe, pełne bólu krzyki, które podniecały go bardziej niż jej piękne, młode ciało.

Był zaufanym dostawcą towaru. Dla zaspokojenia sadystycznych wizji korzystał z możliwości, jakie stwarzali bracia. Ujeżdżanie, tak nazywali nikczemności wyczyniane z kobietami, było wyjątkowo okrutne. Tortury przeplatały się z gwałtami. Dziewczyny gotowe były zrobić wszystko, byleby zadowolić oprawców. Do ulubionych rozrywek należało przepuszczanie prądu przez najwrażliwsze części ciała, chłosta, zbiorowe gwałty, gaszenie cygar na ciele ofiary i wiele innych. Wypalane podczas petowania cygara smakowały braciom najlepiej. Jakby były skręcane z innego, lepszego tytoniu. Rozparci w fotelach palili nargile, siorbali herbatę, robili zdjęcia do katalogu dla klientów i naigrywali się z katowanych dziewcząt. Zadawali ból, ponieważ uwielbiali patrzeć, jak kobiety cierpią. Zadawali ból, żeby je zmusić do robienia rzeczy, których z własnej woli nigdy by nie zrobiły. Były to wszelkie czynności seksualne, jakie można sobie wyobrazić. Były również praktyki poniżające. Zmuszając kobiety do czynności upokarzających, sprowadzali ich samoocenę do samego dna. Ból przełamywał opór, jego brak był nagrodą za uległość. Przystawali zadawać ból dopiero, kiedy bez zawahania wykonywały wszelkie rozkazy. Dziewczyny odchodziły od zmysłów, jeżeli gwałcił i torturował ten, który wczoraj wyznawał miłość.

Uwielbiał słuchać jęków dręczonych kobiet. Przypominała mu się wtedy Mimi, dziewczyna, którą razem z kolegami zgwałcił wiele lat temu. Wtedy po raz pierwszy usłyszał ów rozpaczliwy, pierwotny jęk. Nie mógł się doczekać, kiedy usłyszy lamentsy Julii. Piwnica, w której ujeżdżali swoje ofiary, była izolowana akustycznie, żaden dźwięk nie wydostawał się na zewnątrz. Cierpiały samotnie, odizolowane od świata, bez nadziei na ratunek. Jedna z dziewcząt wybrała wolność. Powiesiła się na klamce. Bracia wykorzystali jej ciało. Również po śmierci miała dla nich pracować. Spędzili pozostałe i kazali oglądać zwłoki Lawinii. Powiedzieli, że ją udusili, bo się nie starała. Choć zdawało się to niemożliwe, poziom usług w burdelu się podniósł.

- Kocham cię - powiedział. Była taka szczęśliwa.

Bracia mieli wobec niej specjalne plany. Obejrzeni zdjęcia, do których tak ochoczo pozowała, dowiedzieli się od Raula, że jej ojciec jest bogaty. Dziewczyny, które do nich trafiały, wywodziły się z biednych dzielnic, rozbitych rodzin. Julia pochodziła z zamożnej rodziny, matka była arystokratką, ojciec dyplomata. Piękna, młoda, wykształcona, znała świat, potrafiła się odnaleźć w każdym towarzystwie. Zapotrzebowanie na takie kobiety było największe. Po latach prowadzenia swojego przedsiębiorstwa zrozumieli, że pewnych zachowań nie da się wyuczyć, trzeba je mieć we krwi. Zamierzali nad nią popracować, zniszczyć jej osobowość, a na ruinach starej uformować nową, odpowiadającą ich potrzebom. Jednym z elementów planu było wydobywanie od niej informacji o ojcu, zamordowanie go, następnie obciążenie współodpowiedzialnością za zbrodnię. Pokażą zdjęcie leżącego w kałuży krwi ojca.

- Dobrze się przyjrzyj. Wydałaś go mordercom!

Będzie zamykała oczy, żeby uciec od tego koszmaru, lecz zmuszą ją, żeby wpatrywała się tak długo, jak uznają za stosowne. O ile nie popełni samobójstwa, co w swoich planach uwzględniali - była zbyt cenna, żeby pozwolili jej uciec - stanie się osobą bezwolną, niezdolną do samodzielnego życia i zupełnie od nich uzależnioną. Wykonującą bez wahania wszystkie rozkazy. Tak ukształtowaną planowali

wypuścić na wolność, umieścić w wynajętym mieszkaniu i wykorzystywać do zadań specjalnych. Miała z nią zamieszkać doświadczona prostytutka. Mieć na nią oko, kontrolować wszystkie aspekty jej życia oraz wprowadzać w arkana zawodu.

Obsługę mężczyzn na najwyższym poziomie opanuje w burdelu. Przejdzie proces ujeżdżania i pozbędzie się godności, która by jej zawadzała w nowym życiu. prostytutka będzie ją uczyła sztuki zwodzenia mężczyzn. Po wyszkoleniu będzie robiła to tak umiejętnie, żeby byli przekonani, że to oni zrobili pierwszy krok, uwodzili, wreszcie, z niemałym trudem, zdobyli. Jak przekonywał braci Cédric Moers, były agent SDECE¹¹⁸, który to wszystko zaplanował, Julia stanie się bezwonną kukłą i na pewno nie ucieknie. Gdyby się opierała, mogą ją uzależnić od narkotyków. Była już na krawędzi.

Zanim Moersa z hukiem wywalono, pełnił funkcję szefa placówki w Bejrucie. Rozpoznał wtedy potencjał kobiet w tajnych służbach i ubolewał, że agentki odmawiają stosunków seksualnych podczas wykonywania zadań i nie chcą słyszeć o działaniach niezgodnych z prawem. Zawsze uważał, że gdyby nie te idiotyczne ograniczenia, mogłyby wykonać nawet najtrudniejsze misje.

Jeżeli eksperyment ze zmianą osobowości się powiedzie, przed braćmi otworzą się niezwykle perspektywy. Julia będzie pierwsza, po niej przyjdą następne. Staną się właścicielami stajni dziwki klasy lux, na jakie istnieje zapotrzebowanie na szczytach władzy. Gdyby Moers znał historię zastrzelenia Phila, wybrałby ją na przykład zadania, jakie będzie wykonywać nowa Julia. Podstawić się do uwiedzenia, odurzyć wyrafinowanym, pozbawionym zahamowań seksem, zdobyć zaufanie, następnie, w zależności od potrzeb, zamordować, skompromitować lub wykraść informacje. Jako potencjalnych klientów wymieniał zafascynowanym braciom kancelarie prawne, wywiadownie gospodarcze, mafię, szukające pretekstu do rozwodu żony milionerów, nawet tajne służby. Realizując zlecenia takich klientów, nawiążą kontakty. Oni, pogardzani beurowie, staną się partnerami dla tych, którzy mają władzę i pieniądze. Przekonując braci do swojego

pomysłu, Moers nie był do końca szczery. Od dnia, w którym Raul pokazał zdjęcia Julii, stała się ona dla niego taką obsesją jak Lotta dla Wertera. Musiał ją mieć. Myślał wyłącznie o niej, o niej śnił, w myślach prowadził z nią rozmowy. Nie chodziło o pieprzenie, chodziło o coś więcej – o posiadanie. Ciała i duszy. Wymarzył sobie, że kiedy już stanie się bezwolną marionetką, on przejmie nad nią kontrolę. Będzie jej przydzielał zadania, pieprzył ją, zdawał ból, poniżał. A ona będzie się na wszystko zgadzała.

Raul pospiesznie wyszedł z domu. Było mu pilno na spotkanie. Dzisiaj Julia podczas zmagania miłosnych zaśnie. Nie mógł się doczekać jej przebudzenia i niewyobrażalnego przerażenia w oczach.

Moers również niecierpliwie odliczał czas, jaki pozostał do ostatniej randki. Tej, po której ona obudzi się w piwnicy. Jego podniecenie narastało. Oczami wyobraźni widział powitalny pocałunek będący początkiem długiej podróży, którą zakończy jako bezwolne, pozbawione duszy ciało, całkowicie mu podporządkowane. Nie będzie jej ujeżdżał, a jedynie przyglądał się, jak robią to inni. Przyłączy się dopiero, kiedy ją złamię, zadając ból nie do wytrzymania. On będzie zadawał inny ból. Nie ciała, lecz duszy, i tak wielki, że od niego jej osobowość się rozpadnie. Zastrzeli jej ojca. Potem pokaże zdjęcia, żeby patrzeć, jak się załamuje, jak odchodzi od zmysłów. Nie przyzna, że to on. Obejmie, przytuli, poda leki uspokajające. Wypieprzy ją dopiero wtedy. Bezwolną, półprzytomną, uległą, jakiej pragnął. Przestanie być Julią, jaką była. Stanie się kobietą pozbawioną uczuć, z umysłem czystym jak wytarta szkolna tablica. A on zacznie zapisywać w tym dokładnie wyczyszczonym mózgu własne treści.

Trzy dni wcześniej Jean oświadczył, że jedzie do Marsylii i potrzebuje pieniędzy.

- Nie widzę problemu. Czy możesz powiedzieć, na co ci pieniądze?

- Teraz nie mogę, powiem, jak wrócę.
- Ile potrzebujesz?
- Dużo.
- Ile konkretnie? - Był coraz bardziej zdziwiony.
- Nie słyszałeś? Dużo! Dwadzieścia kawałków, tyle powinno wystarczyć.

- Mam nadzieję, że sprawa, którą jedziesz załatwić, się powiedzie.
Dotarło do niego, że to coś poważnego. Wypisał czek na trzydzieści, a Jean poprosił o wypożyczenie samochodu. Podał kluczyki bez komentarza.

Jean spędził w Marsylii dwa dni. Odnowił znajomości w podziemnym świątku. Zbierał informacje od starych przyjaciół albo od płatnych informatorów. Wyjeżdżał z Marsylii lżejszy o szesnaście tysięcy franków i bardzo z siebie zadowolony. Całą drogę pogwizdywał *Non, je ne regrette rien*, piosenkę, która w zagadkowy sposób odmieniła jego życie. Robert po wyrazie twarzy przyjaciela odgadł, że się powiodło. Odetchnął z ulgą.

- Jak poszło?
- Dobrze. Gdzie Julia?
- U siebie w pokoju. Coś od niej chcesz?
- Nie, tak tylko spytałem.

Zjadł kolację bardzo szybko, co również było niezwykle. Potem wyjął z barku butelkę.

- Chodź do ogrodu, musimy porozmawiać.

Robert teraz już naprawdę się zdenerwował. „Musimy porozmawiać” niemal zawsze oznacza kłopoty. Usiedli przy stole, Jean napełnił kieliszki.

- Stała się rzecz bardzo zła.

Opowiedział o wszystkim, co udało mu się ustalić.

- Jakies dwa tygodnie temu zauważyłem, że Julka dziwnie się zachowuje, jakby była na prochach. Nie spytałem wprost, tylko zacząłem dyskretnie obserwować. Wyobraź sobie moje przerażenie,

kiedy się okazało, że przejrzałem zamiary tego pierdazdalnika w ostatniej chwili.

Robert uświadomił sobie, jak niewiele brakowało, by utracił córkę. Przypadłby jej los gorszy od śmierci. Z emocji gwałtownie pobladł. Szybko wziął się w garść, wyściskał Jeana, następnie oświadczył martwym głosem:

- Zabiję go! Natychmiast! Dzisiaj w nocy.

- Dobra decyzja, wymaga jednak korekty. Nie tej nocy, a następnej, i nie ty. Ja to zrobię.

- Nie mogę na to pozwolić. Chciał skrzywdzić moją córkę, dlatego ja go zabiję. Za coś takiego jest jedna kara. A ty odwalileś kawał dobrej roboty.

- Julia nie może się dowiedzieć. To zbyt mroczna historia, żeby ją wtajemniczać. Jeśli się dowie, przeżyje szok. Może mieć uraz do mężczyzn, który zaciąży na jej życiu.

Jean po raz kolejny go zaskoczył. Prosty, grubo ciosany żołnierz okazał znajomość psychologii i wielką wrażliwość.

- Masz rację, ona nie może się dowiedzieć. Ale dlaczego ty, a nie ja?

- Jeśli zacznie coś podejrzewać, może spytać wprost. Nie godzi się w tak ważnej sprawie kłamać w żywe oczy własnej córce. Będiesz mógł z czystym sumieniem zapewnić, że nie ty zamordowałeś.

Przedstawił swój plan. Robert ponownie musiał przyznać, że nie doceniał Jeana. Sam by lepszego nie wymyślił. Dowiedział się również, z jak niebezpiecznym przeciwnikiem mają do czynienia. Jean w trakcie zbierania informacji napotkał poważne problemy.

- Każdy, z kim rozmawiałem, bał się. A nie rozmawiałem z ludźmi strachliwymi.

Przyrzekli sobie, że pozbywając się Raula, nie zamkną sprawy.

Środkiem chodnika szedł zygzakiem pijaczyna. Raul poirytowany wyminął łajzę i przyspieszył kroku. Wtedy coś ciężkiego uderzyło go w głowę, gwałtownie przerywając kolorowe myśli.

Nie tracąc czasu, Jean uniósł bezwładne ciało, przeszedł kilkadziesiąt metrów i wrzucił do bagażnika. Rozejrzył się. Poza bezdomnym włóczęgą, który przemykał wzdłuż ścian, starając się niczego nie widzieć ani nie słyszeć, wokół nie było żywego ducha. Ulica, przy której mieszkał Raul, była o tej porze wymarła. Pojechał na odludną plażę. Przy brzegu stała zacumowana do bojki łódka. Wszedł do wody i przyciągnął ją do brzegu. Z bagażnika wyjął nieprzytomnego Raula, przeszukał mu kieszenie, następnie wrzucił na dno łodzi. Zamknął auto, zepchnął łódź na głębszą wodę, wgramolił się do środka i powiosłował na otwarte morze. Oprócz zawsze obecnego rozkołysu nie było najmniejszej fali. Morze Śródziemne przypominało tej nocy sadzawkę. Kiedy odpłynął od brzegu na wystarczającą odległość, odłożył wiosła i zabrał się do pracy. Skrępował wracającemu do przytomności Raulowi ręce i nogi. Do nóg przywiązał żeliwny ciężarek. Na koniec zakneblował chustą. Mógł teraz bełkotać, nie mógł wrzeszczeć.

Chłopak z wolna odyskiwał świadomość. Noc była bezchmurna, księżyc w trzeciej kwarcie oświetlał wnętrze łódki. Kiedy do niego dotarło, gdzie jest, ogarnął go zwierzęcy strach. Zgroza go sparaliżowała. Chciał żyć. *Czy ten człowiek mnie utopi? Trzeba rozmawiać, za wszelką cenę wciągając w rozmowę. Co mu mogę dać? Kobiety i pieniądze. Nie mam dużo, skłamię.* Jean zaczął mówić. Kiedy skończył, Raul stracił nadzieję. Zrozumiał, że za chwilę umrze. Przez tę kurewkę, niech ją piekło pochłonie. Nie, nie przez nią. Przez matkę.

Gdyby nie tortury zadawane kłapiącą jadaczką, byłby normalny. Robiła to nieustannie, a on nie miał dokąd uciec. Raz spróbował, skończyło się tragicznie. Gdyby umiał przewidzieć przyszłość, nie zważając na konsekwencje, uciekłby ponownie. Kończyła, kiedy zgadzał się zrobić wszystko, czego chciała. Nigdy nie zabrakło jej energii. Wydawała się niezniszczalna. Był od niej słabszy. Nie fizycznie – był słabszy, ponieważ był jej synem. Tego nie wytrzymał. Nie znał nikogo, kto by wytrzymał. Odebrała mu godność, dumę,

zdolność do przeżywania miłości. Od tego poprzestawiało mu się w głowie. Przestał być mężczyzną. Nie potrafił już kochać. Żeby osiągnąć seksualną satysfakcję, musiał zadawać ból. Jak matka jemu. Poszedł dalej, zadawał ból fizyczny.

Gdyby miał kochającą, ciepłą matkę, wyrósłby na chłopaka z sąsiedztwa. Nie miałyby wielkiego powodzenia u kobiet, ale miałyby dziewczynę. Nie tak zachwycającą jak Julia, lecz dla niego najpiękniejszą. Kochałby ją i bronił przed niebezpieczeństwami. Matka wyzwoliła w nim bestię, teraz jest za późno, żeby to zmienić. Obejrzał niedawno *Psychozę* Hitchcocka. W głównym bohaterze widział jak w lustrze swoje odbicie.

Jean się nie spieszył. Miał tej nocy wiele do zrobienia, zdecydował jednak, że dla takiego łajdaka śmierć to stanowczo za mało. Powiedział, że go utopi, ale nie teraz, tylko za pewien czas.

- Naciesz się ostatnimi chwilami życia. Następnych nie będzie. Przypomnij sobie wszystko, co piękne, co zrobiłeś dobrego. Będzie trudno, prawda? Myśl, o czym chcesz, ale pamiętaj, to twoje ostatnie myśli, żegnasz się nimi z życiem - przeciągał egzekucję, widząc, jak potwornie Raul się boi. Za chwilę wszystko się skończy, czas przestanie płynąć. Ty. Raul. Nicość. Koniec. A tak się dobrze zapowiadałeś. Ileż wspaniałych dni było przed tobą. Czy będzie ktoś po tobie płakał? Tylko gdzie zapłakać, jeśli nie ma grobu?

Raul oszalał ze strachu. Usiłował krzyczeć, jednak knebel tłumił krzyki do niezrozumiałego bełkotu. *Jestem, muszę być, nie mogę tak po prostu przestać być.* Oczy wystąpiły mu z orbit.

Jean uznał, że wystarczy. Chwycił jak kota, za bluzę na karku, i wyrzucił za burtę. Obciążony żelazem Raul zniknął pod wodą. Nie pozostał po nim żaden ślad, oprócz łez skrzywdzonych kobiet.

Zaczął się spieszyć. Podjechał pod dom Raula. Wypożyczonego peugeota zaparkował na lokalnym parkingu i przesiadł się do jego sportowego auta. Plan opracował drobiazgowo, pomimo że miał na przygotowania zaledwie jeden dzień. Robert, potwornie zdenerwowany, czekał niecierpliwie w ogrodzie.

- Załatwione! - Zawrócił i odjechał.

Do Paryża dotarł przed południem. Krążył jakiś czas, w końcu znalazł odpowiednie miejsce. Zaparkował na zakazie, pod modną dyskoteką. Wytarł chusteczką kierownicę, gałkę zmiany biegów, wysiadł z auta i znikł w tłumie. Spotkali się pod Luvrem. Robert serdecznie go wyściskał.

- Mam u ciebie dług nie do spłacenia. - Wsiedli do auta i wrócili do domu.

Już następnego dnia Julia się zaniepokoiła. Raul nie przyszedł na randkę. Zniknął, nikt nie wiedział, gdzie jest. Po kilku dniach policja rozpoczęła dochodzenie. Została przesłuchana.

Tak, był jej chłopakiem. Nie, nie wie, gdzie jest, i bardzo się o niego martwi. Prowadzący przesłuchanie młody policjant pokazał zdjęcie samochodu.

- Czy to jego auto?

- Tak, jego. Wiele razy mnie woził. - Była bliska płaczu.

Policjant jej współczuł.

- Samochód odnaleziono w Paryżu na Boulevard de Clichy, pod nocnym klubem. Podejrzewamy, że był w tym klubie w noc zaginięcia.

Zapamiętała nazwę klubu. Zamięczała ojca tak długo, aż zgodził się pojechać z nią do Paryża. Pierwsze kroki skierował do Jeana.

- Co mam robić?

- Jak to co? Jedź! Doskonale się składa. Podróż? Nie znaleziono lepszej kuracji na złamane serce. Chce szukać? Pomagaj, pokazuj, że się starasz. Nie może się domyślić. Możliwe, że w Paryżu kogoś pozna, zakocha się.

- Tak by było najlepiej.

- Słyszałeś kiedykolwiek o ojcu, który marzy, żeby jego mała księżniczka się zakochała? - Jean był w wyśmienitym humorze.

Robertowi udzielił się pogodny nastrój. Przypomniał sobie rozmowę z Hasso. „Sam kiedyś zobaczysz, jak to jest”.

- Kiedy wyjeżdżacie?

- Jutro. Zwiedzę Paryż, rozerwę się. Ty popilnujesz domu.

Wyjechali wcześniej, żeby przed wieczorem dojechać do Paryża. Julia była w ponurym nastroju i całą drogę milczała. Kochała Raula i nie mogła się pogodzić z jego tajemniczym zniknięciem. *Może jest chory i potrzebuje pomocy?* Ze łzami w oczach wspominała jego przepełnione miłością spojrzenia. Zatrzymali się w hotelu Citadines. Tak nalegała, że pomimo zmęczenia zgodził się jeszcze tego wieczoru odwiedzić klub, pod którym znaleziono samochód. W środku było pełno dymu i beatników. Prosiła, żeby wypytywał o Raula.

- W końcu pracowałeś w wywiadzie. Ja się tych ludzi trochę boję.

Czego się nie robi dla córki, której o mały włos nie utracił. Przed wyjazdem zrobiła powiększone odbitki fotki, którą wyprosiła od Raula. Ze zdjęciem w ręku chodził po klubie i wypytywał gości. Nedorzecznosc, musiał jednak tak postępować.

Podczas gdy zagadywał beatników, wokół Julii zaczęły się kręcić podejrzane typy. Dealer sprzedawał jej kokę, sięgała właśnie po pieniądze. Napięcie spowodowane nagłym zniknięciem ukochanego było dla niej trudne do zniesienia. Koka miała pomóc. W ostatniej chwili zapobiegł transakcji. Dealer odszedł, miotając przekleństwa. Przypomniał sobie, co mówił Jean. Na szczęście był przy niej i mógł ją chronić.

Julia skończyła rozmawiać z długowłosym chłopakiem, coś zanotowała.

- Zapisałam adresy wszystkich klubów w okolicy, tatusiu. Jest jeszcze wcześniej i zdążymy do kilku. Może widzieli Raula. Ja muszę go odnaleźć.

Poszli do drugiego klubu. Sytuacja się powtórzyła. Kiedy została sama, natychmiast pojawił się dealer. Ponownie musiał interweniować. Zorientował się, że nie była niewinną ofiarą. To ona szukała okazji, żeby kupić kokę. Dysponował jednym atutem i musiał go użyć.

- Jeśli zobaczę, że bierzesz, natychmiast wracam. Szukaj wtedy sama. Jeżeli go kochasz tak, jak mnie przekonujesz, powstrzymaj się. O ile jest w Paryżu, odnajdę go. Znajdywałem takich, którzy się

ukrywali, a on się przecież nie ukrywa – kłamał jak z nut, zabrął już jednak za daleko.

- Tato, jaki ty jesteś zacofany! – pyskowała, jak na nastolatkę przystało, ale postawiona przed taką alternatywą, musiała skapitulować.

Następnego dnia rozpoczęli poszukiwania od rana. Kazał jej obdzwonić szpitale. Chciał być w jej oczach wiarygodny, obawiał się, że zacznie coś podejrzewać. Przed południem lokale były zamknięte, więc i tak nie mieli nic lepszego do roboty. Wieczorem wyruszyli na obchód klubów. W drugim, który odwiedzili, Julia, wyraźnie podekscytowana, przywołała go. Stojący obok niej czarnowłosy chłopak w zmęczonym, brązowym swetrze i wypchanych na kolanach, wytartych sztruksach wpatrywał się w zdjęcie Raula. Chyba się od trzech dni nie golił i z pewnością grał na gitarze bądź malował jakieś bohomy. Doskonale wpasowywał się w otoczenie, tysiące takich jak on szwendało się po okolicy. Wyróżniał się pagórkowatym, galijskim nosem.

- On mówi, że przedwczoraj spotkał Raula i nawet chwilę rozmawiali.

Jej oczy świeciły blaskiem, którego były od kilku dni pozbawione.

Co, do cholery! Co ten łapserdak kombinuje? – zirytował się.

- Wspaniale, cudownie. Jak się nazywasz?

- Henri, proszę pana.

Chłopak odnosił się do niego z szacunkiem. Zaoferował pomoc w poszukiwaniu Raula. *Chce od nas wyrwać trochę kasy. Jeżeli nie będzie zbyt zachłanny, niech mu tam. Może się okazać pożyteczny.* Ku zaskoczeniu córki, zgodził się. Usiedli przy stoliku i omawiali plan działania. Julia wyszła do toalety. Korzystając z okazji, postanowił rozmówić się z Henrim.

- Ona bierze.

- Julia? – Był zaskoczony.

- Tak, Julia! Skorzystam z twojej pomocy, ale jeśli zobaczę, że ona albo ty bierzecie, nogi z dupy powyrywam. Jasne?

Było widać, że jest naładowany złością. Henri patrzył na niego z respektem.

- Oczywiście, proszę pana. Obiecuję jej pilnować. Może pan na mnie liczyć.

Resztę wieczoru spędzili, odwiedzając kolejne kluby. Było ich tyle, że clubbingu mieli na miesiąc. Robert obserwował ich dyskretnie i z zadowoleniem stwierdził, że Henri się Julią opiekuje. *Podrywacz od siedmiu boleści albo chce zarobić*. Okazało się, że to drugie. Nie skusiły go wdzięki powabnej Julii, lecz pieniądze. Odprowadził ich do hotelu, poczekał, aż ona pójdzie do swojego pokoju, i powiedział to wprost.

- Porozmawiamy. - Wskazał wolny stolik. - Ile chcesz?

Henri wymienił absurdalną sumę. Jeździli maserati, więc uznał, że trafiła się wyjątkowa okazja i postanowił ją wykorzystać.

- Wykluczone. Jesteś przydatny, ale za połowę tej sumy mogę mieć licencjonowanego detektywa.

Chłopak zrozumiał, że wpadł w pułapkę, którą sam na siebie zastawił. Chciwość go zgubiła. Jeśli zgodzi się na połowę stawki, której zażądał, wyjdzie na człowieka niepoważnego.

Robert, widząc, co się dzieje, pospiesznie rzucił koło ratunkowe.

- Jeżeli zgodzisz się na stawkę, którą wymieniłem, jesteśmy dogadani.

- Jak najbardziej, zgadzam się. - Odetchnął z ulgą.

- Jeszcze raz ostrzegam. Żadnych narkotyków. Twoim zadaniem jest pilnowanie, żeby mojej córce nie strzeliło coś głupiego do głowy. Zrozumiałeś?

- Oczywiście, proszę pana.

- No to zmykaj. Jesteśmy umówieni na szesnastą.

- Będę. Na pewno.

Nie wątpię! Chłopak potrzebuje pieniędzy. Tylko dlaczego kłamie? Mógł to rozegrać inaczej. Przynajmniej Julia się nie pogrąży. Ależ się dziewczyna wplątała. Narzeczony - handlarz żywym towarem i jeszcze do tego narkotyki.

Dwa dni zeszły na bezowocnych poszukiwaniach. Za radą Henriego przenieśli się do klubów studenckich, których w okolicach Sorbony było wiele. Czuł się w nich jak u siebie. Studiował architekturę, był na trzecim roku.

Robert zauważył, że jest wobec Julii opiekuńczy i usiłuje ją sobą zainteresować. Obserwował te zabiegi spod oka. Najważniejsze, że z każdym dniem córka lepiej się czuła. Nie rozpaczała już po utracie ukochanego, chociaż nadal była zdeterminowana, żeby go odnaleźć. Kilka dni bez narkotyków też dobrze wróżyło. Henri spisywał się wzorowo. Robert widział, jak odprawiał dealerów i kłócił się z Julią. W tej jednej sprawie pozostawał nieugięty. Mogło być gorzej – stwierdził i zaprosił ich na kolację. Widział, jak chłopak stara się spodobać Julii, ona zaś go nie dostrzegała. Był jej tak obojętny, że co mówił, puszczała mimo uszu. Od czasu do czasu robiła wyniosłą minę: „Za wysokie progi”. Zrobiło mu się żal Henriego. Gdyby go porządnie ubrać, wysłać do fryzjera, dodać pewności siebie, no i wypchać portfel, nawet by się dziewczynom podobał. Kiedy zostali sami, Julia narzekała, że próbuje ją poderwać, a przecież ona ma narzeczonego. Na dodatek ubiera się tragicznie i nie jest w jej typie.

- Zauważyłem, a jakże! Bezczelny typ! Musimy się go pozbyć.

Zaczął wymieniać prawdziwe i wyimaginowane ułomności urody oraz charakteru Henriego. Wsparł córkę, więc powinna się z nim zgodzić, ona jednak, ze zmiennością uczuć nastolatki, zmieniła front.

- Nie chcę, żebyś się go pozbywał. Jest pomocny w poszukiwaniach. Poza tym wygląda... wygląda... nie jest beznadziejnie. Wprawdzie do Raula mu pff... - wydeła wargi - jednak innym dziewczynom może się podobać. Ma intrygujące oczy, bardzo ciemne i z żółtymi plamkami.

- Wybacz, córeczko, w oczy mu nie zaglądałem. Skoro twierdzisz, że się przydaje, niech zostanie. Ale tylko na trzy, góra cztery dni. Potem musimy liczyć na policję. Mają ludzi i środki techniczne, na pewno znajdą Raula.

Nie pozostało jej nic innego, jak się zgodzić. Była mu wdzięczna, że bez słowa protestu przyjechał do Paryża i robi wszystko, żeby pomóc. *Wiadomo, że ojcowie nie pałają sympatią do chłopaków swoich córek. Nie ma co, stary pokazał klasę.*

Następny dzień przyniósł niespodziewane wydarzenie. W recepcji czekał list. Zaproszenie na przyjęcie w ambasadzie Izraela. Zaproszenie podpisał ambasador. Wyczuł w tym rękę Cippi. Zaraz potem zadzwonił Jean. Potwierdził, że szukała go jakaś kobieta.

- Czy dobrze zrobiłem, podając adres hotelu?

- Dobrze zrobiłeś, to stara znajoma. Niedługo wracamy, pomimo intensywnych poszukiwań nie udało się znaleźć Raula.

- Może szukaliście w niewłaściwym miejscu? A jak Julia?

- Całkiem nieźle, mogło być gorzej. Chłopak, który pomaga w poszukiwaniach, chyba się w niej zakochał, a ona nawet na niego nie spojrzy. Tobie by się spodobał. - W sprawach sercowych córki Jean stał się wyrocznią.

- Jaka szkoda. Nic nie można zrobić?

- Zdajesz sobie sprawę, że moja sytuacja jest dwuznaczna, a nawet trójznaczna.

Julia zeszła na śniadanie w nie najlepszym nastroju. Poinformował, że tego dnia się rozdzielią.

- Wkurza mnie, jak Henri się do ciebie przystawia. Dzisiaj będziesz szukała sama, świetnie sobie radzisz jako prywatny detektyw.

Zaprowadził młodego Francuza do eleganckiego salonu odzieżowego.

- Jutro idziemy na przyjęcie do ambasady Izraela, dlatego trzeba cię przyzwyczaję ubrać. Zrobimy Julii niespodziankę.

- Niepotrzebnie wydaje pan na mnie pieniądze, przecież nie muszę tam iść.

- Jeżeli chcesz, żeby Julię poderwał jakiś przystojny, młody dyplomata, to nie idź.

Henri się zarumienił.

Porządny chłopak. A ona się zakochała w tym łajdaku. Gdzie ta dziewczyna ma oczy!?

Wieczorem Henri zapukał do drzwi. Był zdenerwowany.

- Co znów nowego? - Przeczuwał, że czeka go doskonała zabawa.

- Dzouli tould mii, dzet ze day afteh tomohow jou gou back - starannie dobierał słowa. Przeszedł na angielski, chcąc się wykazać przed ojcem ukochanej.

- Tak przynajmniej planujemy.

- Właśnie się dowiedziałem, że widział ktoś Haula w małej miejscowości pod Pahyżem. Może wahto sphawdzić? - Nie umiał kłamać, był czerwony jak buhak.

- Ktoś widział Raula? Interesujące.

- Nie chodzi o pieniądze. Nie chcę pieniędzy. Towarzyszył wam będę, może się psydam - mówił, lekko się zacinając. - Tak w ogóle, to wstyd mnie, że chciałem skorzystać z nieszczęście, jakie spotka Julię, żeby się wzbogacenie. - Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów. - Phosę, zwhacam, phawie wsystko. Część wydać musiałem, ale odłożę i też zwhócę.

Zakochał się w Julii. I co mam teraz zrobić?

- Doceniam, że chcesz zwrócić pieniądze, jednak ich nie przyjmę. Zakochałeś się w mojej córce. Nie przeszkadza mi to. Jest jednak problem. Ona kocha Raula i nie zwraca na ciebie uwagi. Z was dwóch wolę ciebie, lecz to ona decyduje. Jutro idziemy do ambasady. Może tam się coś wydarzy. Przestań wreszcie pożerać ją wzrokiem z tym kretyńskim wyrazem uwielbienia na twarzy, a najlepiej zainteresuj się inną... Powinno podzielać. - Poklepał go po ramieniu.

- Dziękuję panu. Nie psypuszczałem, że pan jest taki... taki... - Nie umiał znaleźć słowa.

- Musisz się jeszcze nauczyć kłamać. Na razie zupełnie ci nie wychodzi. Nie ma żadnego nowego tropu.

- Jak to nie ma, nie hozumiem?

- Kiedy już zostaliśmy sojusznikami w pewnej drażliwej sprawie sercowej - mrugnął porozumiewawczo - mogę ci zdradzić. Nie ma

Raula, ponieważ Raul zniknął na zawsze. I mów mi Robert, jak się uparłeś zostać moim zięciem.

- Skąd pan... skąd możesz wiedzieć, że Haul zniknął?

- Wiem, ponieważ wydałem rozkaz, żeby go zamordować.

- Zabić kazałeś narzeczonego swojej córki? - Otworzył usta ze zdumienia.

- Przestał mi się podobać, więc zdecydowałem, że należy go zlikwidować. Żeby nie zostawił po sobie żadnych przodków.

- Psestał się podobać?

Henriemu przyszło do głowy, że jeżeli powiedzie się z Julią, pewnego dnia i on może wypaść z łask jej ojca.

- Hozumiem. Ty tak zahtujes? - Uchwycił się ostatniej deski ratunku.

- Jeżeli tak uważasz... Żartowałem, oczywiście.

Kolor twarzy jego rozmówcy zmienił się z czerwonego na zielony. Dotarło do niego, że Robert nie żartował. Zamordował chłopaka własnej córki!

- A ja? Co będzie, jeżeli ja psestaję się podobać?

- Nic nie będzie. Masz się podobać Julii, nie mnie. I tym się martw.

- Nie każes mnie zabić?

- Ja? Co ci strzeliło do głowy. Dlaczego miałbym zamordować? Lubię cię.

- Co w takim hazie zhobił Haul?

- Ponieważ zabiegasz o względy mojej córki, powinienes wiedzieć. Obiecay tylko, że jej nie powiesz. Bo jak powiesz, przestanę cię lubić.

- Zmarszczył brwi.

- Psysięgam, nie powiem!

- Ten łajdak kibicował AS Monaco! Wyobrażasz sobie?! Sam dla siebie wykopał dół, a potem się do niego wrzucił. Ty masz ją tylko poderwać. Należy się jej porządny chłopak, a tobie dobrze z oczu patrzy. Jakiej drużynie kibicujesz?

Słyszając dowcip, chłopak się rozluźnił. *Jej ojciec się ze mnie nabijał.*

Umówili się w lobby. Henri przyszedł pierwszy, Julii jeszcze nie było. Kazał mu stanąć nieco z boku. Córka pojawiła się wreszcie. Pomimo że skromnie ubrana, wyglądała olśniewająco. Wydawało mu się, że jest wiosna czterdziestego piątego. *Czy zmysły mnie tumaniają, czy widzę ją znów?*

- Gdzie Henri, czy już przyszedł? - Zjawa się rozplynęła.

Omiotła salę wzrokiem. Nie dostrzegła go, choć stał obok niej.

- Nie wiem. Poszukaj, może gdzieś jest.

Przeszła parę kroków, niemal się o niego ocierając. Nagle stanęła w pół kroku. Dotarło do niej, że właśnie go minęła. Szykownie ubrany, po wizycie u fryzjera prezentował się znakomicie. Patrzyła i nie widziała. Dotarło do niej, jaki jest przystojny. Wprawdzie nie tak, jak Raul, ale mimo wszystko...

Podjechali pod ambasadę. W drzwiach powitała ich promiennie uśmiechnięta Cippi. Z upływem lat wyglądała coraz atrakcyjniej. *Starzeje się jak Marion. Jak długo będę porównywał do niej wszystkie kobiety?* Przywitała się z Robertem, całując go w policzek. Julia przyglądała się podejrzliwie. Nie znała jej i nigdy o niej nie słyszała. Zastanawiała się, czy nie była przypadkiem kochanką ojca. Nie miałyby obiekcji, gdyby znalazł taką partnerkę jak Cippi. Była kochanka to jednak inna sprawa. Zawsze się jej wydawało, że tata nie zdradzał mamy.

- A to jest Julia! Wiele o tobie słyszałam.

Ujęła ją za ręce i przyglądała się z ujmującym uśmiechem. Julia się uspokoiła. *Kochanki tak się chyba nie zachowują.* Weszli do środka, a Cippi porwała Roberta i zaprowadziła do ambasadora. Julią i Henrim zajęli się podejrzanie serdeczni pracownicy ambasady. Ambasador, starszy, szpakowaty pan o typowo semickich rysach, podniósł się na powitanie. W gabinecie oprócz niego był jeszcze mężczyzna w średnim wieku. Robert miał przecucie, że z całej trójki

to on jest najważniejszy. Przywitał się uprzejmie, usiadł i nie zabierając głosu, dyskretnie go obserwował.

- Znakomicie, że znalazłeś dla nas czas. Siadaj, proszę. Koniak, cygaro?

Widząc, że nie zapowiada się na rozmowę towarzyską, przytaknął. Ambasador poczęstował go kubańskim romeo y julieta.

- O co chodzi, panie ambasadorze?

Mówiła Cippi. Przeszła od razu do rzeczy.

- Mamy ogromny problem. Naser chce wojny.

Wiedział o tym. Wystarczyło czytać prasę.

- Byłeś po wojnie w Niemczech, widziałeś obozy koncentracyjne, komory gazowe. To się może powtórzyć na oczach zubożniałego świata. Jeżeli mamy zapobiec tragedii, musimy mieć plany techniczne pewnego urządzenia, które jest produkowane w Polsce.

- Co to za urządzenie?

- W Gdańsku jest zakład produkujący radary na potrzeby Układu Warszawskiego. Nazywa się Mors. Zakład jest pilnie strzeżony, a dokumentacja techniczna najpilniej. Przez Moskwę wyprodukowany w Morsie światowej jakości sprzęt trafił do Egiptu. Jeżeli mamy mieć w tej wojnie jakieś szanse, musimy zdobyć plany radarów. Znając pasma, na jakich emitują fale radiowe, będziemy mogli zakłócać ich pracę.

Cippi mówiła bez owijania w bawełnę. Musieli być zdesperowani, jeżeli o tajemnicach wywiadu rozmawiali z gojem.

- Czy możesz nam pomóc? Byłeś już przecież w Polsce z tajną misją.

Czuł niemal fizycznie wpatrzone w siebie trzy pary oczu.

- Nie mogę nic obiecać, mogę spróbować. Widzę pewną szansę. - Pomyślał o Poznańskim. Jeżeli ma się powieść, to tylko dzięki niemu.

- Naprawdę? - W głosie Cippi wyczuwalna była nadzieja.

- Powiedziałem, że spróbuję. Kupno biletów lotniczych, rezerwacja hotelu, paszporty, wizy. Na przygotowania potrzeba trochę

czasu. To jednak drobiazgi. Będę też musiał wprowadzić cię w mój plan, ponieważ jedziesz ze mną.

Trochę odetchnęła. Jeżeli ma jechać, to znaczy, że plan jest realny.

- Proponuję nie omawiać teraz szczegółów, przyszedłem z córką i młodym Francuzem. Nie chcę zostawiać ich samych.

- Nasi pracownicy już się nimi zajęli. Jeszcze jedno. Co chcesz w zamian?

- Nie chcę nic, niczego nie potrzebuję. Jeżeli będę potrzebował, poproszę.

- Zaufanie jest bezcenną walutą. Dobrze, że się nią posługujesz. Nie zawiedziesz się na nas.

- À propos, mam prośbę.

Wyłuszczył, czego od nich oczekuje. Ambasador był rozbawiony.

- Jaka szkoda, że nie mogę osobiście uczestniczyć w tak zawilej intrydze miłosnej.

Wezwał *attaché* od spraw kultury. Sara miała kruczoczarne włosy, zniewalający uśmiech oraz rysy twarzy o korzeniach łatwych do odgadnięcia. Był przekonany, że pod powabną oprawą kryje się wulkan namiętności. Kiedy ambasador wyjaśnił, co ma zrobić, aż podskoczyła z radości.

- Uwielbiam takie romantyczne historie. Ta jest ze *Snu nocy letniej*. - Uśmiechnęła się szelmowsko i już jej nie było.

Umówili się na dziesiątą w ambasadzie.

Na sali znajdowało się niewiele osób. Zapewne raut był pretekstem, żeby go zaprosić. Julia stała w otoczeniu młodych dyplomatów, którzy prześcigali się w nadskakiwaniu jej. Nie musieli przesadzać, wyglądała olśniewająco. Komplementy sprawiały jej widoczną radość. Usiadł przy stole, skąd miał doskonałe pole obserwacji. Henri stał z boku, z sekretarką ambasady, która zabawiała go rozmową. Podeszła do nich Sara. Sekretarka знаła swoje miejsce, więc się ulotniła, a Henri i Sara zostali sami. Wtedy zademonstrowała swój kunszt. Słuchając Henriego, wpatrywała się w niego, jakby był jedynym mężczyzną na świecie. Jej uśmiech

obiecował wszystko. Mówiąc, pochylała się, przybliżając usta do jego ucha, zdecydowanie za blisko na towarzyską rozmowę. Wyczuwał na policzku jej gorący oddech. Nieustannie go dotykała. Przytrzymywała przedramię, subtelnym ruchem składała dłoń na jego piersi.

Julia tak była zajęta flirtowaniem, że nie od razu zauważyła, co się dzieje. Nim się spostrzegła, wyglądali na szczęśliwą parę. Sara chwyciła jego dłoń i zaczęła z niej wróżyć. Wywróżyła coś zabawnego, ponieważ obydwójce głośno się śmiali. Ze złości pociemniało jej przed oczami. *Jak ona śmie tak jawnie uwodzić Henriego!* Nie mogła do nich podejść, ponieważ się wstydziła. Zresztą, co by im powiedziała? Wybrała najprostsze rozwiązanie. Wyładowała złość na ojcu, który był pod ręką.

- Ty widzisz, co oni robią?

- Kto robi, co robi?

- Jak to? Nie widzisz? Ta kobieta z Henrim. Zachowują się, jakby byli narzeczonymi.

- Ach, o to ci chodzi! Chyba zrobił na niej wrażenie. Sara jest uroczą i utalentowaną dziewczyną. Tylko pogratulować takiego podboju. Nie spodziewałem się po nim, ale cicha woda brzegi rwie.

- Nie interesuje mnie ta Sara. On tu przyszedł ze mną. Ze mną, rozumiesz?! - wykrzyczała, pochylając się nad nim, żeby nie robić z siebie widowiska.

- No tak, ale nie zwracałaś na niego uwagi, tak byłaś zajęta flirtowaniem, więc wziął sprawy w swoje ręce. Jeszcze chwila, a się wymkną.

Właśnie wtedy Sara, śmiejąc się, złapała Henriego za krawat i pociągnęła do ogrodu. Było oczywiste, w jakim celu to zrobiła. Julia straciła pewność siebie.

- Jak on tak może!? Powiedz, tato. Nie powinien, prawda?

- O co ci chodzi? Jest beznadziejny. W garniturze wygląda jak przebrana małpa. Pewnie pożyczony z teatru. Prawdę mówiąc, nie potrafię zrozumieć, co taka dziewczyna jak Sara w nim widzi. Ten krzywy nos i sterczące siekacze...

Nie chciała dłużej słuchać tej wyliczanki.

- W tym garniturze wygląda super. Jest tutaj najlepiej ubranym mężczyzną. No, może po tobie. Zęby ma bardzo ładne. Takie białe i w ogóle. Ty się na tym nie znasz. Jest bardzo przystojny.

- Przystojny? Mówiłaś, że Raul jest przystojny.

Na wspomnienie Raula Julia zmarkotniała. Przypominając o nim, postawił wszystko na jedną kartę. Całe starania, miłosna intryga na nic, jeżeli w serduszkach córki duch zatriumfuje nad żywym. Przez moment ważyły się losy tej rywalizacji.

- Henri jest tak samo przystojny jak Raul, studiuje architekturę i maluje obrazy. - Z przekonaniem rzuciła serce na właściwą stronę.

Żeby zabezpieczyć z takim trudem zdobyty teren, kontynuował.

- Raul nie maluje wprawdzie bohomazów, ma za to piękne auto i pracuje w filmie. A Henri? Goły jak święty turecki. Nie może zaprosić dziewczyny na randkę, bo ma dziury w kieszeniach.

Zapłonęła oburzeniem.

- Jak możesz tak mówić! Przecież to nie jego wina! Studiuje i musi na siebie zarobić, więc nie należy mu z tego powodu robić wyrzutów. Zresztą, tej okropnej Sarze to nie przeszkadza. A jeżeli sądzisz, że lecę na czerwone, wiecznie psujące się auto, to naprawdę, naprawdę...

Jeszcze chwilę się z nią droczył, dumny z osiągniętego z takim trudem triumfu. Sara i Henri wrócili na salę. Julia tym razem podeszła do nich bez wahania. Spojrzała na Henriego i ze złości mało jej szlag nie trafił. Z jego szyi szydził z niej odcisnięty szminką ślad kobiecych ust. Chłopak był zdezorientowany. Brak pieniędzy nie ułatwiał życia. Ubierał się w lumpeksach, nie stać go było na fundowanie dziewczynom czegokolwiek. A że był inteligentny, utalentowany i próbował malować? Nie zwracały na niego uwagi. Najwidoczniej jego zalety nie miały brania. A dzisiaj niebiańsko piękna Sara go uwodzi. Nie mógł w to uwierzyć, lecz ciągle jeszcze czuł zapach i smak jej ust.

Sara była osobką frywolną, o gorącym temperamentem i wybujałej wyobraźni. Kiedy się dowiedziała, jakie ma zadanie, pomyślała, że jest aktorką, która gra scenę uwodzenia. W końcu aktorki całują się przed kamerami z obcymi mężczyznami, za co je wszyscy podziwiają. Czemu jej pocałunki miałyby przeszkadzać? Tym bardziej że Henri był przystojny i w jej typie. Żeby odegrać rolę do końca, słodkim głosem spytała:

- Czy odrobiłaś już lekcje, skarbie?

Trudno było znaleźć podlegszy sposób, żeby ją poniżyć. I to przy nim. Przecież od wielu dni zabiegał o jej względy. A ona, z nadmiaru zajęć, nie zdążyła wyjawic, jak bardzo się jej podoba. Zjadliwie uządliwszy, Sara wymówiła się obowiązkami i kusząco kołyszając biodrami, odfrunęła. Zadziałała niezawodna zasada pchająca dziewczyny w ramiona Raula. Miał powodzenie i dlatego miał coraz większe powodzenie. Każda chciała podjąć wyzwanie i zmierzyć się z jego legendą.

Wracali do hotelu. Musiała coś wymyślić i to szybko, ponieważ za chwilę mieli się rozstać. Tylko jak to zrobić, kiedy obok siedzi ojciec, który niczego nie rozumie? Pogrzebała w torebce i znalazła długopis. Trzymając rękę w środku, z trudem nagryzmoliła na wizytówce jakiegoś klubu numer pokoju i dopisała „Czekam”, żeby na pewno wiedział, o co chodzi. Obróciła się, co w sportowym fotelu wymagało prawdziwej akrobacji, i skręcona w korkociąg, zadała Henriemu pierwsze pytanie, jakie jej przyszło do głowy, wsuwając mu jednocześnie wizytówkę w rękę. Widziała w lusterku, jak czyta, a jego twarz się rozpromienia.

Wyczyny gimnastyczne córki nie uszły uwadze byłego tajnego agenta. Sytuacja rozwijała się zgodnie z planem. Rano zszedł na śniadanie. Julia dołączyła dopiero po godzinie. Oczy miała podkrążone. Na pierwszy rzut oka widać było, jak spędziła noc.

- Ale ty wyglądasz, nie jesteś przypadkiem chora? Mierzyłaś temperaturę?

Jeżeli to, co czuję, jest chorobą, to chcę tak chorować całe życie.

- Nie, tatusiu. Źle spałam. Za chwilę dojdę do siebie. - Rzuciła się na kawę.

Henri wszedł do hotelu. Przezornie wymknął się wcześniej. On również wyglądał na sfatygowanego. Julia, pomimo młodego wieku, była zniewalającą kochanką. W końcu wyszła ze stajni Raula, a on się byle czym nie zadowalał. Wstydziła się demonstrować swojemu nowemu chłopakowi pełny zakres miłosnych talentów, ale nawet tym, którym odważyła się wykazać, zawróciła mu w głowie. On, dla odmiany, nie miał doświadczenia. Umiejętnie prowadzony przez Julię, szybko się z nią zgrał. A ona ze zdumieniem odkryła, że z tym nieporadnym studentem było lepiej niż z Raulem.

Robert sprowadził ich na ziemię.

- Dzisiaj wyjeżdżamy. Na ciebie, moja droga, czekają z utęsknieniem dziadkowie. Henri musi wracać do swoich zajęć i do dziewczyny, którą zaniedbał przez nasze poszukiwania.

- Dziewczyny? Jakiej dziewczyny? - Podskoczyła nerwowo na krześle.

- Taki utalentowany chłopak z pewnością nie uskarża się na samotność.

Miał na końcu języka Sarę, w porę jednak dostrzegł bojowy błysk w jej oku. Jego córeczka posiadała, niewątpliwie po mamie, zbyt wielki temperament, żeby się jej lekkomyślnie narażać. Julia odetchnęła. W nocy spytała, czy ma dziewczynę. Zapewniał, że nie.

- Tato, zostaję w Paryżu. Mówiłam ci przecież. Wycofam papiery z uniwerka w Marsylii i złożę na Sorbonie. Potrzebuję czasu, żeby wszystko pozłatwić.

- Nic mi nie mówiłaś. I jak to sobie wyobrażasz? Dziadkowie czekają. Będiesz w Paryżu sama jak palec. Poza tym z Marsylii miałybyś blisko do domu.

- Mówiłam, mówiłam, tylko zapomniałaś. Zresztą nieważne. Tatusiu, wiem, że mnie kochasz, zgódź się. - Uśmiechnęła się słodko i pocałowała go w czoło.

- No dobrze, skoro tak ślicznie prosisz. Czy znajdziesz sobie mieszkanie?

Chciała powiedzieć, że tak, znajdziemy, jednak w porę ugryzła się w język.

- Dam sobie radę.

- W razie czego zwróć się o pomoc do Henriego. Może się zgodzi.

Henri widział, jaką grę prowadzi, i podziwiał go za kunszt, z jakim ją rozgrywał. Był mu niezmiernie wdzięczny. Który ojciec pomaga uwieść własną córkę? Zawsze uważał się za największego pechowca. Od dnia, w którym Julia podeszła i pokazała zdjęcie Raula, jego życie nabrało barw. Robert, szczęśliwy, że córce się układa, postanowił zrobić jej dodatkową przyjemność.

- Jeżeli się uparłaś studiować w Paryżu, powinnaś się szykownie ubierać.

Julia naturalnie miała się w co ubrać, ale jeszcze żadna kobieta nie odmówiła zaproszenia na zakupy ciuchów.

- Jesteś taki kochany. Wiesz, Henri, tata ma najważniejszy brytyjski order. Jest bohaterem wojennym i był szpiegiem - wyrecytowała na jednym wydechu. Chciała się pochwalić przed swoim nowym chłopakiem.

W to, że był szpiegiem, nie wątpię - pomyślał Henri.

- Julia jak zwykle przesadza.

- Chodźmy wreszcie na te zakupy. - W cudowny sposób wyparowało z niej zmęczenie.

- Skarbie, idź się przebrać, przypudrować nosek, my tu na ciebie poczekamy.

Pobiegła jak na skrzydłach. Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów.

- Narzeczony mojej córki płaci rachunki w restauracjach. Wiem, jak to jest, kiedy się nie ma pieniędzy. Kup też ubrania do noszenia na co dzień. Te, które masz na sobie, natychmiast wyrzucić.

Henri poznał Roberta na tyle, że nie protestował.

- Dlaczego to wszystko dla mnie robisz?

- Julia miała problemy. O narkotykach już wiesz. Aniołkiem nie jest, ale nie zasłużyła na takie przejścia. Masz pilnować, żeby znowu nie wpadła w kłopoty.

- Możesz być spokojny. Zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa.

Klucze z linii jej babki są gorącokrwiste i bywają narowiste, ale umiejętnie prowadzone dają jeźdźcowi najwyższą satysfakcję. Nie zdradził Henriemu, jak cudowna mu się dziewczyna trafiła. Niech sam do tego dojdzie.

- Jej matka była wspaniałą kobietą. Julia jest do niej podobna.

Jego córeczka z fałszywym fochem przyjęła wiadomość, że będzie sama przez cały dzień, ponieważ on ma ważne spotkanie w ambasadzie.

Usiedli w pokoju przeznaczonym dla takich rozmów. Cippi się zwierzyła:

- Nie spałam całą noc. Dla nas to takie ważne, że z nerwów nie mogłam zasnąć.

Mężczyzna, który był obecny u ambasadora, tym razem się przedstawił.

- Jestem Dawid.

Wiedział, że jest wyższym oficerem Mossadu odpowiedzialnym za tę operację. Nie zazdrościł mu. Ciężar, jaki na nim spoczywał, mógł przytłoczyć każdego. Od zdobycia planów radaru nie zależał zapewne wynik całej wojny, ale zależało bez wątpienia życie bardzo wielu Izraelczyków. Z takim obciążeniem pracuje się niezmiernie trudno. On również był pod presją. Najchętniej nie opowiadałby się po żadnej stronie. Pokochał Egipt, polubił pracowitych, zawsze uśmiechniętych Egipcjan. Nasera doceniał za wszystko, co dla Egiptu w tak krótkim czasie zrobił. Jego dyktatorskich, lecz sprawnych rządów nie można było porównywać do nieudolnego i skorumpowanego reżimu Faruka. Decyzję podjął z jednego powodu. Kraje arabskie odmawiały Izraelowi prawa do istnienia. Jeżeli zwyciężą, zniszczą Izrael, tak jak zrobili to Rzymianie przed dwoma tysiącami lat. Żydzi zostaną wygnani, okrutnie wymordowani. Nieliczni, którzy ujdą z życiem, zostaną nową

diasporą. Arabowie otwarcie głosili hasło: „Cel, jaki nam przyświeca, to całkowita zagłada Izraela!”. Naser powiedział: „Samo istnienie Izraela stanowi agresję”. Głównym ideologiem propagandy arabskiej był uznany przez aliantów za zbrodniarza wojennego Amin al-Husajni¹¹⁹.

Na nowe „ostateczne rozwiązanie” nie mógł się zgodzić. Naser nie pozostawił mu wyboru. Był wstrząśnięty postawą Rosji i pozostałych reżimów komunistycznych. Arabowie nie kryli się ze swoimi zbrodnymi zamiarami. Komuniści, pomagając krajom arabskim, brali na siebie współodpowiedzialność za tragiczne skutki ich zwycięstwa.

Przeglądając Koran, rozmawiając z Sudańczykami, najbardziej religijnymi spośród Arabów, z jakimi się zetknął, zrozumiał, że muzułmanie mają wypaczone poczucie sprawiedliwości. Trudno nawet mówić o sprawiedliwości. Na każdy zbrodniczy czyn potrafili w jakiś pokrętny sposób znaleźć wytłumaczenie w Koranie. „Taka jest wola Allaha” – mówili, mordując dzieci za małe, żeby je porwać. Ubolewał, że w jego ukochanym Egipcie tak mało pozostało spuścizny wielkich faraonów, tak wiele dziedzictwa okrutnego islamu.

Inne religie, ideologie, nie lepsze. Łatwo poszczuć jednych przeciw drugim. Byle się różnili. Czymkolwiek, nieważne. Posprzątanie takiego bałaganu zajmuje lata, niekiedy pokolenia. Kto ten mechanizm uruchamia, winien jest zbrodni. Są tacy, którzy ze wzniecania nienawiści uczynili sztukę. Posługując się plugawym, pełnym insynuacji językiem, wycierają sobie gębę Bogiem. A motłoch podchwyci, na motłoch zawsze można liczyć. Przejmie haniebne hasła i poniesie na sztandarach. Niewiele się zmieniliśmy od czasu, kiedy publiczne tortury i egzekucje były ulubioną rozrywką gawiedzi.

Pomijając nieistotne dla sprawy szczegóły, opowiedział o Poznańskim.

- Można uznać, że w waszym imieniu zwerbowałem go do Mossadu.

- Nie wiem, co powiedzieć. Brzmi nieprawdopodobnie...
Nieprawdopodobnie obiecująco - poprawiła się Cippi.

- Korzystne jest, że całe ryzyko spadnie na niego. Ja wychowuję dwójkę dzieci, ty jesteś za młoda, żeby najlepsze lata spędzić w polskim więzieniu.

- A jeżeli Poznański nic nie zdoła?

- To jest niestety wielce prawdopodobne. Ale nie martwmy się z góry. Teraz i tak niewiele wymyślimy.

- Jak to wszystko zorganizujemy?

- Pojedziemy do Warszawy jako małżeństwo.

- Wreszcie dasz się uwieść. Będziemy mieszkali w jednym pokoju. Nie będziesz miał dokąd uciec. - Uśmiechnęła się.

- A nie możemy wziąć dwupokojowego apartamentu?

- Wykluczone! Księgowość nigdy nie zatwierdzi takiej ekstrawagancji. - Zmarszczyła groźnie brwi.

- Wolą narazić twoją cnotę, niż zapłacić za apartament?

- Jeszcze nie wyceniono mojej cnoty. Może się podejmiesz?

Wyraźnie się odprężyła. Dawid się nie odzywał, widać było jednak, że i jego ten niewinny flirt relaksuje. Omówili szczegóły. Ona pytała, on odpowiadał.

- Hotel?

- Bristol.

- Kiedy najwcześniej możesz wylecieć?

- Choćby jutro. Byle nie o szóstej rano.

- Na szóstą nie będzie gotowy mój paszport. Ty lecisz na swoim. Ja muszę zostać panią Meissner. Jakiej narodowości jest pani Meissner?

- Obojętnie. Kocham wszystkie kobiety.

- Z wyjątkiem mnie. Czyli wylatujemy po południu, a ja jestem Francuzką. Czy mam zabrać pieniądze dla Poznańskiego?

- Obrazisz go. Gotów jest oddać życie za Izrael.

- Rozumiem, jak najbardziej. Co powinnam zabrać?

- Będzie potrzebny dokument potwierdzający, kim jesteś. I list do Poznańskiego od najwyższego rangą urzędnika izraelskiego, jakiego zdążycie znaleźć.

- W Paryżu jest delegacja gospodarcza z wicepremierem. Wystarczy?

- Musi wystarczyć. Obiecasz, że rozwinięcie przed nim czerwony dywan.

- Wiesz, ilu ludziom uratuje życie?

Może mojemu narzeczonemu? Był pilotem wojskowym, ich związek trwał kilka lat. Nie była to miłość jak z filmu, ale było im ze sobą dobrze.

Wylądowali na Okęciu wieczorem. Wzięli taksówkę. Za kurs zapłacili dziesięciokrotnie więcej, niż wynosiła oficjalna taryfa. Ponieważ płacił podatnik izraelski, Robertowi nie chciało się wyklócać. Taksówkarz wcisnął im wizytówkę i namawiał, żeby przez cały pobyt korzystali z jego usług. Bristol był nostalgicznym, luksusowym, niestety zaniedbanym hotelem położonym w samym sercu Warszawy. Rozpakowali się, zjedli kolację. Cippi bardzo smakowała.

- Mają doskonałą kuchnię.

- To hotel z tradycjami. Pierwszym właścicielem był Ignacy Paderewski, premier i wybitny pianista.

- Jak się skontaktujemy z Poznańskim? - Nie miała nastroju na wykłady z historii.

- Wiem, gdzie pracuje. Będę na niego czekał. Umówimy się poza Warszawą, w miejscu, w którym da się bezpiecznie porozmawiać.

Poszli na spacer po Starym Mieście. Zabawiał się w przewodnika. Cippi objęła go, wyglądali na małżeństwo w średnim wieku.

- Musimy przekonująco odgrywać nasze role. Nie pocałujesz żony?

Pachniała owocami i winem. W tych okolicznościach byłoby niezrozumiałe, gdyby ze sobą nie spali. Przejął inicjatywę. Cippi sama by do niego przyszła, ale byłoby jej niezręcznie. Atrakcyjna kobieta

nie musiała się nikomu narzucać. Pół nocy poświęcili na bliższe zapoznanie. Przedpołudnie spędzili w hotelu. Zjedli śniadanie, potem on przeglądał polską prasę, ona kupiony w Empiku „Paris Match”. Zaproponował:

- Chodźmy do pokoju na szybki numerik.

- Czemu nie. - Zgodziła się chętnie, a numerik nie był taki znowu szybki.

Po lunchu poszedł pod Pałac Mostowskich, stołeczną siedzibę SB. Tym razem szczęście dopisało. Po godzinie z budynku wyszedł Poznański. Szedł za nim, trzymając się w dużej odległości. Nikogo podejrzanego nie zauważył, więc zrównał się z majorem.

- Witaj, Adamie.

Poznański nerwowo drgnął, ale od razu go poznał.

- Robert! Tyle lat. Co ty tutaj robisz?

Upływ lat bardziej dał się we znaki majorowi. Wyraźnie się zestarzał.

- Przyjechaliśmy specjalnie do ciebie.

- Przyjechaliście?

- Ja i pewna kobieta. Jest z Mossadu i ma dla ciebie zadanie.

- Może się wreszcie przydam. - Uśmiech rozjaśnił steraną życiem twarz.

Umówili się w Puszczy Kampinoskiej. Wrócił do hotelu wielce z siebie rad. Przywiózł Cippi do Warszawy, licząc na łut szczęścia. Gdyby przeprowadzić chłodną kalkulację, wyjazd nie miał większego sensu. Spotkanie pozwalało zachować twarz. Nawet jeżeli nie wykonają zadania. Spijała mu z ust każde słowo.

- Już dzisiaj... Jak my ci się odwdzięczymy?

- Ty już zaczęłaś. Dawałaś chętnie, na kredyt, bez pokwitowania.

- Ale ty jesteś. Wiesz dobrze, że to nie tak. Dlaczego mi dokuczasz?

- Bo mi się podobasz i cię lubię. Wtedy się właśnie dokucza. Nie wiedziałaś?

- Macie dziwne obyczaje. My, jak kogoś lubimy, to mu nie dokuczamy.

Spotkali się w umówionym miejscu. Cippi się przedstawiła i wylegitymowała. Poznański nie miał wątpliwości, że jest tą, za którą się podaje.

- Co mam zrobić? - Jak zwykle był rzeczowy.

- Potrzebne nam są plany radaru ZX 145 z Morsa.

- Fiu, fiu, skromne macie wymagania. Planów MiG-a 23 nie potrzebujecie przypadkiem?

Cippi spochmurniała. Widocznie zbyt wiele od niego oczekiwali.

- I nic się nie da zrobić?

- A tego, młoda damo, nie powiedziałem. Czy da się coś zrobić? Nie wiem, ale spróbuję. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Objęła go i pocałowała w policzek. Poznański się wzruszył.

- Dajcie mi tydzień.

- Czy jest panu coś potrzebne? Może pieniądze, żeby kogoś przekupić?

Pamiętała ostrzeżenie i nie proponowała pieniędzy bezpośrednio.

- Nie wydaje mi się. Nie widzę obecnie szansy na kupienie tych planów. Jeżeli się nie powiedzie, a nie zostanę aresztowany, zastanowię się nad tą opcją.

Pożegnali się w nieco lepszych nastrojach. Spędzili w Warszawie cały tydzień. Nie mieli informacji od majora. Przez ten tydzień Cippi była kłębkim nerwów. Wytłumaczyła Robertowi, jak bardzo plany są potrzebne Izraelowi. Od nich może zależeć przebieg wojny. Pierwszej nocy po spotkaniu w Kampinosie wykorzystała go seksualnie. Nie kochała się z miłości. Nie był jej obojętny, przede wszystkim jednak potrzebowała odprężenia i zapomnienia, jakie przynosił seks. Przez następne noce było podobnie. Doszła do wniosku, że nie jest małym chłopcem, więc w razie czego powie, żeby przyhamowała. Czas zabijali, włócząc się bez celu po Warszawie albo przesiadując w kawiarniach.

Odzyskał wreszcie oddech. Cippi, po której nie było widać zmęczenia, zaproponowała:

- Może zrobię coś dla ciebie? Masz jakąś fantazję seksualną? Taką, o której od dawna marzyłeś, ale nigdy nie odważyłeś się zrealizować?

- O czym ty mówisz?

- Mam dzisiaj ochotę poeksperymentować. No, nie wstydz się, kotku, co byś chciał? Nigdy o niczym nie fantazjowałeś?

- Nie przypominam sobie - skłamał bez zawahania.

- Nigdy nie miałeś ochoty wejść tylną bramą?

- Prawdę mówiąc, nie. Nigdy mnie to nie pociągało.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze nigdy nie wsadziłeś w tylną dziurkę?

- Tego nie powiedziałem. Nigdy nie zaproponowałem kobiecie seksu analnego.

- Całe szczęście, nie znoszę tego.

- To po co pytałaś?

- Z ciekawości. Ale już się tak pieprzyłeś?

- Tylko kiedy dama tego oczekiwała.

- Czy miałeś jakieś inne marzenia erotyczne? Coś niezwykłego? Musisz mieć. Przecież każdy je ma. Masz okazję je spełnić. Wyłącznie dzisiaj. Śmiało, nie wstydz się.

- Mam takie marzenie. Wiążę kobietę, chłostam, potem ją pieprzę - powiedział obojętnym tonem.

- Chyba nie mówisz poważnie? Która kobieta by się na coś takiego zgodziła?

Pomimo że sama wywołała temat, wyglądała na zaskoczoną. Nie odpowiedział, za to tajemniczo się uśmiechnął.

- No nie wierzę. Robiłeś to siłą? To przecież przestępstwo!

- Nie musiałem nic robić siłą. Były takie, które się godziły.

- Koteczku, kłamiesz! Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach na coś takiego nie pójdzie.

- Żartowałem oczywiście. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił, znasz mnie przecież. Jak mogłaś pomyśleć, że mówię serio?

- Rob, popatrz na mnie. - W jego oczach zobaczyła iskierki. - Zrobiłeś to! - wykrzyczała mu w twarz. - A one? Przecież cierpiały, o tym nie pomyślałeś? Jesteś potworem!

- Zaraz, zaraz, dlaczego potworem? Zakładając, że to robiłem, musisz przyjąć do wiadomości, że one się godziły, niektóre kobiety tak lubią... do pewnego stopnia. Nawet namawiały, żeby powtórzyć.

- W to już nigdy nie uwierzę.

- Nie uwierzysz, dopóki sama nie spróbujesz.

- I tu cię mam. Chciałeś mnie wciągnąć w perwersyjne gierki. Zagrać na mojej ambicji. Nic z tego. Nie dam się tak dziecinnie podejść.

- Nie musisz. W końcu nie ja obiecywałem, że zrobię, co zechcesz. Jeżeli się boisz, zapomnijmy o tym, nie będę cię trzymał za słowo. - Nastąpił jej na odcisk. - Nie sądziłaś chyba, że chłószczę do krwi? Owszem, boli, ale tak, że każda choć trochę odważna wytrzyma. Nie chodzi o zadawanie bólu. Gramy w grę wyobraźni. Są kobiety, które taka gra wciąga. - *Niech ją zeżre ciekawość.*

- A gdybym się zgodziła?

- Darujmy sobie. Nie zależy mi, żeby taką grzeczną dziewczynkę wciągać w niegrzeczne zabawy.

Prowokował w ewidentny sposób. Czasami jednak takie grubymi nićmi szyte metody bywają najskuteczniejsze.

- Nie prowokuj, i tak się nie zgodzę. - Nie odpowiedział, więc kontynuowała. - Chociaż właściwie... Żeby ci udowodnić...

Dalej się nie odzywał. Rozlał resztę wina.

- Za sukces!

Jeżeli chciała się dowiedzieć więcej, to za wiele się nie posunęła. Nie miał zamiaru prosić. Musiała z tego jakoś wybrnąć.

- Kiedy byśmy to zrobili?

Spojrzał na nią krytycznym wzrokiem kupca oglądającego klacz na jarmarku.

- Będę gotowy na jutro. Potrzebuję, hmm... potrzebuję pewnych rekwizytów.

Sposób, w jaki mówił o rekwizytach, wywołał dreszczyk podniecenia. W sklepie z akcesoriami jeździeckimi na Chmielnej kupił linę, palcat i bat. Czekala przed sklepem. Domyślała się, jakie rekwizyty kupuje. *Czy ja zwariowałam? Dałam się wciągnąć temu cwaniakowi w idiotyczną grę. No, Cippi, ostatnia chwila, żeby się wycofać.* Wszedł ze sklepu, a ona wzięła go pod rękę. Mieli udawać małżeństwo.

Rozbierała się powolnymi, zmysłowymi ruchami. Naga stanęła na środku pokoju i czekała, podarowując mu samą siebie. Miała delikatną skórę o jasnej karnacji, z piękną opalenizną. Ciało o harmonijnych kształtach było kobiece i twarde jednocześnie. Włosy czarne, gęste i długie spływały na ramiona. Obrazu dopełniały szeroko rozstawione, przepastne oczy, wyrazista linia brwi i obiecujące nie byle jakie rozkosze, pełne usta. Bez protestów pozwoliła przywiązać się do łóżka i zawiązać sobie oczy. Sycił się widokiem wyeksponowanych wdzięków. Uświadomiła sobie, że leży przed nim otwarta. Szybko ściągnęła nogi.

- Wstydzisz się, że oglądam twoją cipkę? Już mi ją pokazywałaś.

- Ale nie tak. Co ze mną teraz zrobisz?

- Pora na nagrodę za posłuszeństwo.

Kiedy robił minetę, diabeł szeptał jej do ucha nieprzyzwoite opowiadki. Zrobiła się za głośna, więc dał klapsa. Przez chwilę się zastanawiała, co powiedzieć. Nie dał jej czasu do namysłu, pocałował w usta. Drapieźnie. Odpowiedziała równie gwałtownie. W ustach poczuł smak krwi.

- Kąsasz, diablico!

Przełknęła ślinę. Wszedł w nią. Zrobiła się jeszcze głośniejsza. Uniósł jej nogi, pogłaskał tyłek i uderzył nieco mocniej niż poprzednio. Słyszał przyspieszony oddech. Powtórzył jeszcze raz. Wydobyła z siebie ledwo słyszalny jęk. Cichy jak szept. Położył się na niej całym ciężarem i całował. Czuł, jak jej pełne piersi rozplaszczają

się na jego torsie. Całowała zaborczo, gryzła wargi, wsuwała głęboko swój, zasysała jego język, po wciągnięciu mocowała się. Doprowadził ją do szczytowania i rozwiązał. Usiadła na łóżku, przez chwilę przyzwyczajając wzrok do światła, potem lubieżnie się przeciągnęła, spojrzała na niego przeciągle i poszła do łazienki. Wróciła pogodna i zadowolona.

- Gdzie ty się tego nauczyłeś?

- Sam wszystko wymyśliłem. Eros sprawia, że życie nabiera sensu, dlatego warto się z nim zaprzyjaźnić.

- Następnym razem, jak będziesz eksperymentował z moją pupą, to nie tak mocno. Eksperyment z pewnością się powiedzie, jeśli klapsy będą słabsze.

„Następnym razem” zabrzmiało zachęcająco. Z torby wyciągnął linę i przerzucił przez hak od żyrandola. Miał nadzieję, że w starym hotelu wszystko jest wykonane nadzwyczaj solidnie.

Związał jej ręce krawatem, żeby nie obetrzeć nadgarstków. Czerwony jedwab prezentował się na szczupłych przegubach doskonale. Z krainy przeżyć estetycznych powrócił do ekscytującej rzeczywistości. Przywiązał do krawata koniec liny i podciągnął do góry. Wyciągnęła się jak struna. Pod napięciem mięśni cycki się spłaszczyły. Wolny koniec liny przywiązał do klamki. Z torby wyjął szpicrutę. Objął ją i całował po spragnionym pieszczot ciele. Przygotowana na ból, odprężyła się. Wcisnął rękojeść między jej zaciśnięte uda, podciągnął w górę do samej cipki i jeździł w przód i w tył.

- Jestem wirtuozem, gram na cipce.

Wydawała dźwięki przypominające łkanie skrzypiec, a on wszeptował jej do ucha swoją opowieść.

- Mieszkałaś w miasteczku na południu Włoch. Było oddalone piętnaście mil od morza, jego mieszkańcy czuli się bezpieczni. Jak bardzo się mylili, okazało się pewnej sierpniowej nocy 1788 roku. Spowita w burzowe chmury galera podpłynęła do brzegu. Piraci, słynący z odwagi oraz okrucieństwa Berberowie, w strugach

nawałnicy podeszli skrycie pod bramę, wyważyli ją i wdarli się do miasteczka. Mężczyzn stawiających opór zabili. Ocalałych z rzezi mieszkańców związali i jak bydło popędzili na galeryę.

Ten fragment zilustrował mocniejszymi smagnięciami bata, które oddawały klimat opowieści.

- Kiedy oddalili się od brzegu, wywlekli na pokład młode kobiety. Kilka było dziewczycami, za które płacono najwyższą cenę. Na razie byłyście bezpieczne.

Co chwila przełykała ślinę. Opowiadanie zajęło ledwie moment, a wywierało na nią magiczny wpływ. Niski, melodyjny głos szepczący jej do ucha tę historię, jej historię, potęgował narastające wbrew woli napięcie.

- Zawlekli cię na targ niewolników. W ocienionym patio wystawiono na sprzedaż najpiękniejsze kobiety. Nagie stoicie na podeście. Kupcy, Arabowie w barwnych galabijach i turbanach, przyglądają się wam z bliska, niektórzy dotykają. Czujesz się potwornie upokorzona, oglądają cię, jakbyś była kłaczą na jarmarku. Masz związane ręce i nic nie możesz zrobić. Najgorsze jest to straszliwe poczucie bezradności. Wreszcie nadchodzi twoja kolej. Na początku licytuje kilku. Jesteś piękna, dlatego cena rośnie. Pozostaje dwóch licytujących. Nie wiesz, jak to możliwe, ale odczuwasz dumę, że zostaniesz sprzedana aż tak drogo. Jeden z kupców jest sędziwy, niechlujny i brzydki. Ma małe, kaprawe oczka. Boisz się go potwornie. Ten drugi, młody i smukły, wygląda jak arabski korsarz z obrazu *Bitwa morska pod Prevezą*, który widziałaś w Neapolu. Ubrany w białą, zakurzoną i zabrudzoną szatę, za pasem ma zatknięty wielki, groźnie wyglądający jatagan bez żadnych ozdób. Broń wojownika. Twarz drapieżna, pokryta bliznami. Na spalonych słońcem wargach błąka się szyderczy uśmiech.

Opowiadając, jeździł palcatem po cipce. Wsuwał pomiędzy napuchnięte płatki, które przybrały kształt nabrzmiałych kobiecych warg. Za nic by nie przyznała, że jest aż tak podniecona. Nie mogła

jednak oszukać natury. Śluz ją zdradzał. Podetknął jej palec pod nos. Zaczerwieniła się ze wstydu.

- Stoisz naga i drżąca, a oni licytują. Twarz starucha wykrzywia złość. Jeszcze raz podbija. Zapada cisza. Drętwiejesz ze strachu. Modlisz się do swojej Madonny, żeby cię kupił ten drugi...

Z podniecenia posapywała i pofukiwała. Machnął szpicrutą. Zadrzała. Końcem przejechał po napiętej skórze cycka. Drzewcem trącił jeden sutek, drugi. W oczekiwaniu na ból, napinała odruchowo mięśnie. Uderzył raz, potem następny i następny. W tyłek, w plecy, w uda. Szpicruta pozostawiała widoczne pręgi. Uderzenia przyspieszały obieg krwi, rozgrzewały ciało. Pojękiwała, jednak nie protestowała ani nie szlochała. Kiedy skończył, odwiązał ją i zaniósł na łóżko.

Wstali późno i zamówili śniadanie do pokoju. Cippi była w doskonałym nastroju, sprawiała wrażenie rozbawionej. *No tak, w nocy się wstydziła, teraz będzie wygadywać, co ślina na język przyniesie.* Nie musiał długo czekać. Kiedy śniadanie znikło, głównie dzięki jej doskonałemu apetytowi, przy kawie zaczęło się.

- Wczoraj w nocy...

- Tak, kochanie?

- Jak możesz mówić do mnie „kochanie” po tym, jak mnie skrzywdziłeś?

- Sama się zgodziłaś.

- Zgodziłam się wyłącznie dlatego, że mnie wprowadziłeś w błąd. Oszukałeś! - Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

Nie przypominał sobie, żeby ją wprowadził w błąd, lecz rozsądniej było nie zaprzeczać. *Oto kobieta logika. Jeśli mężczyzna ją uszczęśliwił, to potem musi za to zapłacić!* Wzruszył ramionami.

- Przez myśl mi nie przeszło, że potrafisz być taki okrutny. I jeszcze udajesz, że się nic nie wydarzyło. Gdyby nie waga sprawy, z którą przyjechaliśmy, wystawiłabym ci walizki na korytarz. Pozostały tylko dwa dni, więc jakoś zniosę twoje towarzystwo.

Uznała, że wystarczająco go pognębiła i nie pozostawiła wątpliwości, co sądzi o jego wybryku. Była przekonana, że jedynie w taki sposób zachowa twarz. Najbardziej ją zirytował ten palec. *Jak mógł coś takiego zrobić!*

- Co dzisiaj będziemy robili? - Zaskoczyła go tym pytaniem. Zadała je uprzejmym tonem, zmieniając nastrój.

- Na co byś miała ochotę? - Przezornie nie dodał „kochanie”.

- Ty jesteś mężczyzną. Decyduj! - Ujęła go pod ramię.

- Przed południem popłyniemy stateczkiem wycieczkowym po Wiśle, wieczorem pójdziemy do teatru. Jeszcze nie wiem, na co. Zaraz sprawdzę.

Zszedł do recepcji i odnalazł konsjerża. W Sali Kongresowej występował zespół Mazowsze. Konsjerż protestował:

- Bilety na Mazowsze? W dniu koncertu? Niemożliwe!

- Za fatygę.

Pięćdziesiąt dolarów było w polskich realiach królewskim napiwkem. Przeciętny Polak zarabiał w przeliczeniu dwadzieścia dolarów miesięcznie.

- Rozumie się, proszę szanownego pana. Dwa bilety, pierwsze miejsca. Będą do odbioru w recepcji.

Wrócił do pokoju.

- No, piękna, zbieraj się, idziemy nad Wisłę.

Rejs bardzo się jej podobał.

- U nas nie ma takich malowniczych rzek. Jest morze, jednak to nie to samo. W Paryżu pływałam statkiem po Sekwanie, ale tłumy pasażerów odbierały całą przyjemność z wycieczki. Na Wiśle było baśniowo. Dzika rzeka, piaszczyste plaże, nawet czaple.

Mazowsze spodobało się jej bardziej, niż oczekiwała.

- Cudowny koncert, znakomity zespół. Macie piękną muzykę ludową. Ci chłopcy tacy przystojni, a jak tańczą! Sprawiliś mi ogromną przyjemność.

Wracali spacerem przez odbudowaną Starówkę, która o tej porze była pogrążona w ciszy. Czasami tylko przemknął zapóźniony

przechodzień, zamiauczał bezański kot, w ciemnym zaułku zaszczał pies.

- Oto mniej znana twarz komunizmu. Po dwudziestej drugiej, kiedy na całym świecie zabawa trwa w najlepsze, tu panuje martwa cisza - wyjaśnił zdziwionej Cippi.

Objęła go. Patrząc na nich, trudno było odgadnąć, że nie są małżeństwem.

- A ty gdzie się wybierasz? - Przezornie szykował sobie spanie na kanapie.

- Tak cię zezłościłem, że wolę się trzymać z daleka.

- Przestań się wygłupiać. Potrzebuję kogoś, żeby się przytulić.

Nadspodziewanie łatwo zapomniała, jak ją skrzywdził. Nie byłaby sobą, żeby go nie przesłuchać. Miała w tym doświadczenie.

- To, co ze mną robiłeś... - Oczywiście milczał. - Te okropne rzeczy.

- Mhm... - Musiał coś wreszcie powiedzieć.

- Gdzie się tego nauczyłeś? Robiłeś to już wcześniej? Jak często? Z iloma?

- Litości! Zarzuciłaś mnie pytaniami. Na które mam odpowiedzieć?

- Naturalnie, że na każde po kolei.

- Pytanie pierwsze. Nigdzie się nie nauczyłem. Sam wszystko wymyśliłem.

- No zgroza! Gdyby ktoś ci pokazał, miałbyś wymówkę. A tak, skandaliczne zachowania pójdą na twój rachunek. Oj, nieładnie, mój drogi, bardzo nieładnie.

Ponieważ skończyli się przed chwilą pieprzyć, była do niego przytulona, ich pot się mieszał - jej słowa nie brzmiały przekonująco.

- Teraz drugie. Naturalnie, że robiłem.

- Przynajmniej wiem, że nie byłem pierwszym obiektem twoich eksperymentów. Inne też miały to nieszczęście. Jak często? Z iloma?

- Nie pamiętam.

- No dobrze, ponieważ widzę, że dotarło do ciebie, jak nieładnie się postąpiło, przeprosiłeś, tym razem ci wybaczam.

Wspaniałomyślnie podsunęła cycek, żeby mógł na nim wyrazić swą wdzięczność. Na koniec pochwaliła.

- Lubię, jak tak robisz. Za co jeszcze masz mnie przeprosić? - Zasnęła niemal natychmiast.

Tego dnia wszystko miało się rozstrzygnąć. Byli umówieni w tym samym miejscu. Gdyby Poznański nie przyszedł, mieli na niego czekać kolejne dwa dni.

Już był. Sylwetka wyprostowana, brzuch wciągnięty, ramiona proste. Robert po mowie ciała poznał, że się udało. Cippi podbiegła, zobaczyła minę Poznańskiego, więc nie musiała pytać. Obsypała go pocałunkami.

- Zabierzemy cię do domu.

Przekazał im plany. Cippi, profesjonalnej agentce, trzęsły się ręce, kiedy je chowała do ukrytej w torbie kieszeni.

- Tu macie wszystko, czego potrzebujecie.

Nie pytała, jak zdobył plany. Na to przyjdzie pora. Robert poszedł na spacer, żeby mogli swobodnie porozmawiać. Niech się wycieszą, ustalą szczegóły wyjazdu Adama. Kiedy wrócił, majora już nie było.

- Prosił, żeby cię pozdrowić. Na pewno się jeszcze spotkacie. Powiedział, że jest twoim dłużnikiem.

Samolot do Paryża mieli dopiero następnego dnia w południe. Cippi z emocji nie mogła usiedzieć w miejscu. Była na tyle uczciwa, że sobie przyznawała najmniejszą rolę. To Poznański zdobył plany. Równie istotną rolę odegrał Robert. Nie pracowała dla stopnia ani dla pieniędzy, lecz dla ojczyzny, była jednak pewna, że tym razem awans jej nie ominie.

Udawała oburzoną na jego praktyki seksualne. W rzeczywistości ją ekscytowały, nie przestawała o nich myśleć. Widziała film *Szejk*. Artystycznie koszmarny, odniósł jednak ogromny sukces. Jeden z największych w historii kina. Kobiety mdlały na widok Valentino. O czym jest ten film? O porwaniu białej lady przez arabskiego szejka.

Robi się niebezpiecznie blisko do białych niewolnic sprzedawanych na targu niewolników. Beształa go dla rozrywki. Musiała wymyślić jakiś sprytny sposób, żeby wyjść z twarzą i jednocześnie dostać to, na co nabierała coraz większej ochoty. *Boże! Jak nisko upadłam. Zastanawiam się, jak sprawić, aby był tak uprzejmy i ponownie mnie wychłostał.*

- Robee.

- Słucham, kochanie.

- Jestem taka szczęśliwa, że nawet sobie nie wyobrażasz. A to głównie twoja zasługa. Porozmawiamy o tobie, jak wrócimy, ale czy już teraz mogłabym coś dla ciebie zrobić?

Owszem, pozwolic mi spokojnie dokończyć gazetę.

- Nie, nic nie musisz robić. Ja też się bardzo cieszę.

- Jesteś taki wspaniałomyślny, a ja byłam złośliwa. Jak chcesz, przepraszę.

- Nie ma takiej potrzeby, należało mi się.

- Myślałam o takich innych przeprosinach, no wiesz jakich.

- To bardzo ładnie z twojej strony, ale jest za wcześnie. Chodźmy na kolację.

- Wolę zjeść w pokoju. Z tobą. - Uśmiechała się przymilnie.

Przed kolacją miała do zrobienia coś ważnego. Rozkręciła kamerę filmową, którą z sobą przywiozła. Na wszelki wypadek nakręciła kilka filmów. Rączka na pozór wydawała się monolitem. Po naciśnięciu ukrytego przycisku odskakiwała blaszka, odsłaniając skrytkę. Wyjęła z rękojeści miniaturowy aparat fotograficzny. Przygryzając z przejęcia wargę, robiła zdjęcia planów. Każdą stronę sfotografowała dwukrotnie. Plany oraz swoją kartę identyfikacyjną spaliła, popiół wrzuciła do sedesu. Kolację jedli w wyśmienitych nastrojach.

- Roobee.

- Tak, Cippi?

- Opowiadałeś taką historię.

- Ja? Historię? - Nie wiedział, o jaką historię pyta.

- Jak to jaką, o tej Włoszce, co ją porwali.

- A tak, zapomniałem.

- Właśnie. Całkiem dobra ta historia. Tak ci się spieszyło, no wiesz, do czego... że nie zdążyłeś dokończyć. - Skromnie opuściła wzrok. - Mógłbyś? Jestem strasznie ciekawa, jak się kończy.

- Przecież to wymyślona na poczekaniu historyjka. Nie wiem, jak się kończy. Treść sama przychodzi mi do głowy w miarę opowiadania.

- Potrafisz tak? Jesteś niesamowity. Wprawdzie mówiłam, że już nigdy nie pozwolę, żebyś mi robił takie okropne rzeczy... Dzisiaj wyjątkowo... Gdyby ci zależało...

- Przemyślałem twoje słowa. Miałaś rację, nie powinienem tak postępować.

Ale z niego kotek. Podeszła zdecydowanym krokiem do czarnej torby i wyciągnęła potrzebne akcesoria. Podała mu sznur i wskazała na hak od żyrandola. Żeby nie było wątpliwości, o co chodzi, złożyła dłonie. Rozpoczął opowieść od miejsca, w którym poprzednio zakończyli.

W pokoju na najwyższym piętrze Bristolu dwóch funkcjonariuszy SB pochylało się nad głośnikiem wielkiego magnetofonu szpulowego. Jak wszystkie hotele odwiedzane przez obcokrajowców, również ten był na podsłuchu. Nie podsłuchiowano stale i wszystkich, ponieważ brakło możliwości technicznych. Tak się złożyło, że poprzednią sesję z batem nagrali przez przypadek. Od tego czasu podsłuchiwali wyłącznie pokój osiemnaście. Spotkała ich nagroda za wytrwałość. Odgłosy uderzeń i towarzyszące im kobiece jęki nie pozostawiały wątpliwości.

- To musi być kurwa. Urwał się żonie i przyjechał do nas, żeby się nikt nie dowiedział.

- On jest na wspak przesiąknięty materialistycznym złem, co wywiera na mnie dialektyczną odrazę!

- Noo! Użycie bata ma na celu podkreślenie, że taki burżuj wszystko może, tak właśnie było przed rewolucją.

- Jak powszechnie wiadomo, przed rewolucją panował wyzysk masy pracującej miast i wsi, więc świat był nieciekawą

rzeczywistością, teraz jest trochę ciekawiej¹²⁰.

- Znacznie ciekawiej. Na Wieczorowym Uniwersytecie Leninizmu mówili, że w kapitalizmie istnieje podział na ludzi pracujących i bogatych. I to by się zgadzało. Ona jest kobietą pracującą, a on jest bogaty.

- Lenin wymyślił takie pomysły, na które do dziś szukamy odpowiedzi.

- Może on zbyt długo siedział nad tymi pomysłami?

- Uważam, że powinniśmy to zgłosić na milicję.

- I co im powiemy? Że podsłuchiwaliśmy gościa? Czy ona wzywa pomocy?

- No nie, chyba się sama zgadza. Jak myślisz, ile jej zapłacił?

- Spokojna głowa. Za tę nockę dostała więcej, niż ty zarobisz przez cały rok.

- Za takie pieniądze i ja bym się dał wychłostać.

- Mojej starej taka chłosta też by się przydała. Zrobiła się ostatnio strasznie zrędliva.

- Posłuchaj, posłuchaj! Jak ona jęczy. Nie do wiary! Ją to bierze!

- Nawet od takiego burżuja można się czegoś nauczyć. Wie, jak postępować z kobietami.

- A jeśli ona się zgadza na to, co on z nią wyprawia, bo go kocha? Podobno dla babeczek miłość to mocne uderzenie, na które nie potrafią się wypiąć.

- Może faktycznie ta kurwa nie jest kurwą? Chyba spróbuję z żoną.

- Próbuj, próbuj. Tylko nie przyłaż do mnie, jak ci wystawi walizki za drzwi.

- Nie da się zrozumieć kobiety. Czy kiedykolwiek mozołący się w trudzie i znoju tłum literatów odpowiedział na pytanie: czym jest kobieta? Na pewno nie.

- Aby odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba by księdza.

- Jak wiadomo, Kościół kieruje się tym, że krzyż dąży do dobra, a biust kobiety do zła.

- Moim podsumowaniem jest to, że Kościół ma z jednej strony rację, a z drugiej nie. Dzięki kobietom mężczyzna robi rzeczy, których nigdy by nie robił.

- E tam. Pomimo różniących je różnic wszystkie kobitki są do siebie podobne, w każdej coś jest. Najpierw trzeba to znaleźć, a potem zobaczyć.

- Właśnie! To dlatego nie mogę oderwać od Kryśki z bufetu wzroku ani rąk.

- Nie ma wyjścia. Chcemy czy nie chcemy, musimy się uganiać albo za kobitkami, albo za forszą.

- Chciałbym ich teraz pooglądać.

- To sobie wyobraź. Świerszczyka nie widziałeś?

- Oczyma wyobraźni nic nie widzę. Jak myślisz, kiedy założą podgląd na pokojach?

Dyżur w siedzibie SB, Pałacu Mostowskich, pełnił kapitan Bury. Na jego biurko trafiła właśnie notatka. Przyjazd Roberta został odnotowany, od czterdziestego dziewiątego miał swoją teczkę. Cippi nie była polskiemu kontrwywiadowi znana. Przeprowadzono rutynową kwerendę w dostępnych SB bazach zawierających dane obcych agentów. Kolejny przypadek sprawił, że została rozpoznana ze zdjęcia, jakie SB w dniu przylotu pstryknęła jej rutynowo na Okęciu.

Buremu wszystko poukładało się w głowie. Zawył z wściekłości. Zaniepokojona sekretarka wsadziła głowę do gabinetu.

- Kryśka! W moim gabinecie! Zubek i Kosiniak. Natychmiast!

Bury od roku pięćdziesiątego siódmego, kiedy po raz pierwszy zetknął się z Robertem, zrobił karierę. Ciałem i duszą oddany SB, był, jak się w tej instytucji mawiało, „urodzonym czekistą”. W latach pięćdziesiątych nawiązał kontakt z Natolinem. Ostatnio wstąpił do lewicowo-nacjonalistycznej frakcji „Partyzantów”, której przewodził Mieczysław Moczar. Generał, agent KGB, wojnę spędził w komunistycznej partyzantce. Byłych partyzantów z Armii Ludowej, AL, w partii było wielu. Robili kariery, jednak do najwyższych

stanowisk nie mieli dostępu. Te były zarezerwowane dla przedwojennych komunistów, których Stalin znał osobiście, jak Gomułka czy Bierut. Moczar rwał się do władzy pazurami. Najpierw jednak musiał zdobyć poparcie aparatu partyjnego. Tysiące działaczy, którzy mieli pewien wpływ na to, kto zasiądzie w KC, a w konsekwencji na wybór członków Sekretariatu KC. Generał robił, co mógł, aby jego ludzie zajmowali jak najwyższe stanowiska. Bury liczył, że awansuje. Jego marzeniem było zostać majorem SB przed czterdziestką.

Kiedy Naser znalazł sojusznika w osobie Breżniewa, w PZPR oraz w SB ujawniły się silne nastroje antysemickie. Chodziło głównie o stołki. Decydowała geopolityka. Jeżeli Egipt był sojusznikiem ZSRR, stawał się automatycznie sojusznikiem Polski. Jeżeli Izrael był sojusznikiem USA, stawał się wrogiem ZSRR i Polski. A Izrael, wiadomo, Żydzi. Pozostało ich w Polsce niewielu. Nieliczni, którzy ocaleli z Holocaustu, oraz ci, którzy przybyli z Armią Czerwoną. Wielu z nich zajmowało eksponowane stanowiska. I o te stanowiska chodziło „Partyzantom”. W kraju, w którym hitlerowcy zbudowali obozy zagłady, nie przejmując się światową opinią publiczną, dla własnej korzyści zamierzali rozpętać kampanię antysemicką.

Niesiony falą przyływu Bury czuł się coraz pewniej. I nagle powraca stary wróg, na dodatek w towarzystwie agentki Mossadu. Szybko ustalił, że w samo południe odlatują do Paryża. Zarezerwowali taksówkę na Okęcie. Nie było już czasu na nic. Jeszcze niedawno nie miałyby takich problemów. Cudzoziemcy czy nie, trafiliby do osobnych cel w podziemiach budynku, w którym urzędował. *Już ja bym z nich wszystko wycisnął* – pomyślał z mściwością, na jaką potrafią się zdobyć jedynie słabi ludzie. Cóż, jest jak jest. Podwładni w niedbałych pozach będących wariacjami na temat „Spocznij!” oczekiwali na rozkazy.

- Za kilka godzin ta parka odlatuje do Paryża. - Rzucił zdjęcia na biurko. - Byli u nas z misją wywiadowczą o szpiegowskim charakterze, czego nie możemy udowodnić, bo to jest zawsze

notorycznie niełatwe na udowodnienie. Nie wiemy, czego szukali. Dowiedziałem się o nich przed chwilą. Ten Meissner jest bezwzględny zabójcą. Zamordował z zimną krwią naszego oficera. Po latach nie możemy nic udowodnić. Macie ich zatrzymać na Okęciu i dokładnie zrewidować.

Buremu nastrój się nieco poprawił. *Może nie wszystko stracone.* Starszy stopniem, porucznik Zubek, przerwał mu fantazjowanie o osobistym przesłuchiwanie Cippi.

- Jakie mamy uprawnienia, towarzyszu kapitanie?

- Nie możemy odwołać lotu, ale możemy opóźnić wylot. - Chwilę się zastanawiał. - Może o dwadzieścia minut?

- Taa jest, towarzyszu kapitanie! - Zasalutowali i poszli się przygotować.

Na lotnisko wiozł ich ten sam taksówkarz. Był tajnym współpracownikiem SB i dlatego zbierał ze stołu najlepsze kąski. Kłótnia z tym akurat taksjarem mogła się dla pasażera źle skończyć. Robert rozpoznał go przy wsiadaniu. Był wściekły, nic już jednak nie mógł zrobić. Ochłonął szybko, a złość mu przeszła. Zamiast się bezsensownie kłócić, postanowił wykorzystać ostatnie chwile sam na sam z Cippi i wsadził jej rękę pod spódnicę. Udawała, że niczego nie zauważa.

- Wydawało mi się, że o seksie wiem wszystko. A ty mnie zaskoczyłeś. I było to baaardzo przyjemne zaskoczenie - szeptała mu do ucha.

Taksówkarz, wykorzystując, że zajęli się sobą, pojechał okrężną trasą, co ich kosztowało kwadrans spóźnienia.

Porucznik Zubek sądził, że pojawią się wcześniej. Był podenerwowany, wpatrywał się w zegar i odliczał kurczący się czas na przeprowadzenie rewizji. Taksówkarz odliczał pieniądze, które zarabiał, wioząc pasażerów okrężną trasą.

Podeszli z dwóch stron. Nie spodziewali się problemów, jednak Zubek wiedział, że jeżeli popełni błąd, Bury mu nie wybaczy. W najlepszym razie będzie szlifował krawężniki.

Wylegitymowali się i wyjaśnili, że przeprowadzą rewizję osobistą oraz gruntowną rewizję bagażu, do której natychmiast przystąpili. Ponieważ przylecieli na kilka dni, nie mieli go wiele. Ubecy wysypali zawartość skórzanej walizki Roberta i przypominającej kufer, która należała do Cippi, na długi, obity blachą stół. Najpierw sprawdzili walizki. Bez skrupułów oderwali wyściółki z materiału. Podobnie potraktowali torebkę Cippi. Pod spodem była czysta skóra. Nie dawało się w niej czegokolwiek ukryć. Przetrzęsli dokładnie oderwaną tkaninę. Niczego nie znaleźli. Torebka zatrzymała ich na dłużej, znaleźli ukrytą przegrodę. Ku ich rozczarowaniu była pusta. Nadeszła kolej na bagaż. Zaczęli od odzieży. Każda sztuka została dokładnie sprawdzona. Przesuwali dłonią wzdłuż szwów, przetrząsali kieszenie. Ciągle nic. Od początku rewizji minęło dwadzieścia minut, z czego cztery stracili na wylegitymowanie i doprowadzenie podejrzanych do pomieszczenia przeszukań. Pozostało czterdzieści pięć minut, wliczając dopuszczalne opóźnienie. Skończyli z odzieżą, wzięli się za kosmetyki oraz wszelkie pojemniki. Podstawili kosz na śmieci, do którego wyciskali wszystkie tubki. Pasty do zębów, kremy. Pianka do golenia stawiała czynny opór. Zażądali od celników narzędzi i przy pomocy nożyc do blachy zgilotynowali krnąbrną tubę. Okazała się niewinna. Jednak nie dało się jej przywrócić do życia. „Obiekty”, jak ich nazywali, i tak nie będą mogły złożyć skargi. Jeżeli znajdą cokolwiek, zażalenia z celi nikt nie rozpatrzy. Jeżeli – odpukać – nie znajdą, będą musieli natychmiast wsiadać do samolotu. Na protesty zabraknie czasu.

Przyszła pora na rewizje osobiste. Roberta rewidował Zubek. Z konieczności Cippi musiała przeszukać celniczka. Dostała szczegółowe instrukcje. Zaczęli od mocnego uderzenia. Obydwojgu sprawdzili odbyty, wsadzając palce w gumowych rękawicach. Obrzydliwe przeżycie, lecz nie wydali z siebie dźwięku. Nie chcieli dawać prześladowcom satysfakcji. Ona musiała dodatkowo znieść kontrolę waginy. Celniczka, obrzydliwa, gruba baba, zniechęciła ją od pierwszej chwili. Za urodę. Za to, że mieszka we Francji. I za to, że

nie musi grzebać pasażerom w odbytach. Żeby sobie ulżyć, penetrując pochwę, wykonała kilka zbędnych ruchów, które miały przynieść ból i poniżenie. Cippi była jednak ponad to. Zdobyła plany radaru. Jeżeli Jahwe zezwoli, to je wywiezie, a wtedy wszystko, co robi ta żalosna celniczka, nie będzie miało znaczenia.

Kazali im otworzyć usta i świecili małymi latarkami. Robert nie myślał o planach. Zastanawiał się, skąd takie zainteresowanie безпеki ich osobami. Drogą logicznej eliminacji odrzucił szereg hipotez. Nie śledzono ich, obydwójce potrafili rozpoznać ogon. Zresztą, gdyby ich śledzono, i oni, i Poznański siedzieliby już dawno w areszcie. Wiedział, że Adam nie zdradził. Jeśli wpadł wczoraj, SB miała trochę czasu. Jednak mało prawdopodobne, żeby przesłuchanie oficera SB rozpoczynało się od tortur. A tylko w ten sposób mogli zmusić go do ujawnienia ich roli. Pokój nie był podglądany. Gdyby tak było, już dawno znaleźliby mikrofilm. Ewentualny podsłuch nic nie dawał, oprócz radiowego programu erotycznego. Na samą myśl o tym zrobiło mu się wesoło.

Porucznik Zubek był zaskoczony, że podczas rewizji osobistej Robert się śmieje. Był przekonany, że z niego. Z trudem się pohamował przed strzeleniem gnoja w pysk. Tak sobie radził w podobnych sytuacjach. Niestety, nie z obcokrajowcem. Nasłuchał się o starych, dobrych czasach. Wówczas wolno im było niemal wszystko. Czasami żałował, że nie urodził się wcześniej.

Zakończyła się rewizja osobista. Pozostały minuty. Na stole leżało tylko kilka przedmiotów. Kamera, aparat fotograficzny i elektryczna maszynka do golenia. Zaczęli je sprawdzać. Po kolei rozkręcali każde urządzenie. Wyjmowali wszystkie dające się wyjąć części i starannie je oglądali. Powiedział do Cippi:

- Idź do ubikacji. Już!

Zaczęła się domagać, żeby puścili ją do toalety. Zubek i Kosiniak przerwali rewizję. Tłumaczył tak nieudolnie, jak potrafił. Niechętnie, jednak musieli się zgodzić. Zarobili na sikaniu Cippi czterdzieści

sekund. Na początek dobre i tyle. W ich sytuacji było to dużo. Na odchodne rzucił:

- Nie wychodź, dokąd cię nie zmuszą.

Do sali wszedł kierownik lotów. Był w granatowym mundurze przypominającym mundury pilotów.

- Panie poruczniku, zostało wam jakieś sześć minut.

Zubek zareagował gwałtownie.

- Jakie sześć? Według mojego zegarka jeszcze szesnaście.

- Nie uwzględnił pan czasu dojścia pasażerów do samolotu. To nie mniej niż dziesięć minut. Chyba że chce ich pan zmusić do biegu, strzelając pod nogi. - Kierownik lotów nie lubił SB i przez tę drobną złośliwość mógł im dokuczyć. - Pozostaje sprawa bagażu. - Wskazał bałagan na stole. - Może pan spakować walizki, co jest obowiązkiem po nieudanej rewizji, albo poprosić o spakowanie. Tylko nie wiemy, ile czasu im to zajmie.

Na tej jałowej dyskusji zeszły dwie minuty. Pozostały cztery. Podporucznik Kosiniak wziął do ręki kamerę, rozkręcił i oglądał rączkę. Zajrzał do wnętrza i popukał. Robert zareagował natychmiast.

- Chcę do toalety.

- Wykluczone. Rewizja się kończy. Jeżeli nic nie znajdziemy, za chwilę czasu będziesz pan mógł skorzystać ze sracza w samolocie - burknął Zubek.

Robert bez słowa odsunął się trzy kroki od stołu i rozpiął rozporek. Początkowo nikt nie zwrócił na niego uwagi. Kosiniak przy pomocy małego śrubokręta usiłował podważyć blaszkę zakrywającą aparat.

- Co pan robisz? - Krzyk kierownika lotów poderwał wszystkich na nogi.

- Sikam. A co? Miałem się zmoczyć w spodnie?

Strumień uryny spadał na podłogę, rozpryskując się na setki drobnych kropelek. Bawił się, sikając raz bliżej, raz dalej, jak mały chłopiec. Coś takiego jeszcze się na tym lotnisku nie przydarzyło. Esbecy i funkcjonariusze straży granicznej zgłupieli. Skończył sikać,

demonstracyjnie strącił ostatnie krople, uśmiechając się szeroko, starannie zapiął rozporek i zwrócił się do esbeków:

- Ulżyło mi. Kto po mnie posprząta? - Spojrzał znacząco na Kosiniaka. Scena, której był świadkiem, tak go pochłonęła, że zapomniał o kamerze. - Jest pan niższy stopniem, więc to chyba pański obowiązek? Macie tu jakieś szmaty? Porucznik zmyje podłogę.

Esbekom na taką bezczelność odebrało mowę. Zubek nie był już w stanie się pohamować.

- Zapłacisz za to, ty, ty...

- Ty wstrętny imperialisto - podsunął uprzejmie.

Zawsze to parę sekund, walczył o każdą. Widział, jak Kosiniak usiłował podważyć blaszkę. Kierownik lotów uśmiechał się ironicznie. Zaraz jednak przestało mu być do śmiechu.

- Chwila! Jeżeli natychmiast nie zakończycie rewizji, samolot odleci z dużym opóźnieniem. Proponuję - zwrócił się do Zubka - żeby pan aresztował pasażerów i załatwił swoje porachunki poza budynkiem lotniska.

Nagle zauważył, że nie ma Cippi.

- Co pan zrobił z kobietą?

- Ja? Nic nie zrobiłem. Poszła do toalety.

Kosiniak z rozdziawioną gębą przysłuchiwał się rozmowie. Po chwili powrócił jednak do badania rękojeści.

- Kiedy poszła? - Kierownik był nieustępliwy.

- Noo, jakiś czas temu. - Do Zubka dotarło, że ma kolejny problem.

- I co, będzie pan czekał? Ma pan ją natychmiast sprowadzić albo ich aresztować. Ma pan dziesięć sekund na decyzję. Wasz czas minął.

Polska z roku sześćdziesiątego siódmego nie przypominała tej z czterdziestego dziewiątego. Nawet oficer SB nie dostawał zgody na aresztowanie obcokrajowca, jeżeli nie dysponował dowodami. Bez wątplenia będzie interweniowała ambasada. A Bury? Ten skurwiel się wszystkiego wyprze. *Zubek ich zapuszkował? Ja nie mam z tym nic wspólnego.*

Było niemal pewne, że tak się zakończy aresztowanie.

- Nie mogę ich aresztować.

- Pan musi ich aresztować. Jest pan minutę po czasie. Jeżeli samolot zostanie na Orly odesłany na drugi krąg, Air France może nas obciążyć kosztami paliwa. W dolarach, jeżeli pan tego nie wie.

Organicznie niewydolna gospodarka komunistyczna nie była w stanie produkować dóbr wzbudzających zainteresowanie poza blokiem komunistycznym. Wartość rocznego eksportu liczącego trzydzieści dwa miliony mieszkańców europejskiego kraju wynosił mniej niż miliard dolarów, z czego jedna trzecia pochodziła ze sprzedaży węgla. A dolary były niezbędne do zakupu najnowszych technologii, części zamiennych do maszyn oraz niektórych surowców. Odpowiedzialny za utratę dewiz był karany z całą surowością prawa.

- Idę pisać raport o waszych wyczynach. Będziecie świadkami - zwrócił się do funkcjonariuszy Straży Granicznej. - Od tej chwili odpowiedzialność za lot przejęła SB. Nam nic do tego. Żegnam panów.

I odwrócił się na pięcie. Zubkowi pociemniało w oczach.

- Kończ, kurwa, głupi kretynie, nie widzisz, co się dzieje?! - ryknął.

W tym momencie Kosiniakowi udało się wreszcie oderwać blaszkę i odsłonić wnętrze rękojeści. Przerażony sytuacją, jak i napadem furii Zubka, zamiast spojrzeć do środka, gwałtownym ruchem odrzucił od siebie kamerę, jakby parzyła. Blaszka wypadła z rękojeści i lecąc swobodnym lotem, spadła na podłogę. W ogólnym rozgardiaszu nikt nie usłyszał odgłosu upadku. Aparat fotograficzny siłą uderzenia o dno kufra wyrzuciła z rączki kamery. Wpadł pod koronkowe majtki. Zdenerwowany Kosiniak tego nie zauważył.

Gruba celniczka od dziesięciu minut usiłowała wyciągnąć Cippi z lotniskowej toalety. Ona jednak, wykonując polecenie Roberta, nie reagowała na prośby, na pogróżki ani na szarpanie drzwiami.

Od początku rewizji przeklinała samą siebie za próżność i zadufanie. Powinna zanieść mikroaparat do ambasady. Wysłałiby

bezpieczną pocztą dyplomatyczną. Nie zrobiła tego, ponieważ była przekonana, że nikt nie odkryje przemysłnej skrytki. Chciała osobiście wręczyć Dawidowi plany radaru. Popełniła grzech próżności, za który krwią może zapłacić jej naród.

Zdesperowana celniczka rozpędziła się i całym ciężarem uderzyła w drzwi. Cippi podglądała przez dziurkę od klucza. Widząc, co się dzieje, przekręciła zasuwkę i stanęła z boku. Kobieta z rozpędu przeleciała przez niewielką toaletę i walnęła głową w żeliwną rurę pisuaru. Z czoła pociekła krew, z oczu łzy bólu. Cippi obojętnie przeszła obok niej.

Niemal ich wlekli do samolotu. Nie było czasu na włożenie walizek do luku bagażowego, więc zabrali je na pokład. Samolot natychmiast wystartował. Kapitan poinformował, że mają niewielkie opóźnienie, które postarają się nadrobić podczas lotu. Dopiero kiedy samolot wzniósł się w powietrze, Robert położył swoją walizkę na kolanach. Po zakończonym niepowodzeniem przeszukaniu wiedzieli, że kamera musi być w drugiej walizce. Po jej otwarciu zobaczyli pustą rączkę od kamery.

- O Boże! - jęknęła Cippi i zakryła twarz dłońmi.

Robert zachował jasność umysłu. Przecież nie znaleźli mikroaparatu. Wydawało mu się, że nic nie upadło na podłogę. To gdzie jest? Była tylko jedna możliwość. Po chwili mógł ją uspokoić.

Reszta lotu upłynęła w euforii. Cippi co chwila dotykała mikroaparatu, który spoczywał bezpiecznie na dnie torebki. Była wdzięczna Robertowi, że nie robił wymówek. Z pewnością wiedział, co należało zrobić w Warszawie.

Całą noc nie mógł zasnąć. Przez ostatnie tygodnie w jego życiu panował istny kołowrotek. Potrzebował wytchnienia, mniej nerwów, mniej hałasu. Rano limuzyna czekała przed hotelem. Spędził w ambasadzie godzinę i wysłuchał niekończących się podziękowań.

- Nie, niczego nie potrzebuję. Jak będę czegoś chciał, z pewnością się do was zwrócę.

O rewizji nie wspomniał, żeby nie sprawić kłopotów Cippi. Podczas pożegnania widział, jakim wzrokiem na niego patrzyła.

Z Julią umówił się w niewielkiej restauracji. Czekali na niego obydwój. Ona speszona, on spokojny, rozluźniony i *en vogue*.

- Tatusiu, jesteśmy teraz razem z Henrim - powiedziała niepewnym głosem.

- Nie! Naprawdę? Znakomita wiadomość. Gratuluje! - Zrozumienie, z jakim zaakceptował nowego narzeczonego, zaskoczyło ją.

- Tak się cieszę! Jesteś cudowny.

Po lunchu zabrał ich na przejażdżkę. Zatrzymali się przed salonem Renault. Julia była zaskoczona.

- Chyba nie chcesz zamienić maserati na renault?

- Kto mówi o mnie? Pomyślałem o was.

Zapałali miłością do zgrabnego sportowego renault R8 gordini.

- Podoba wam się, czy szukamy innego?

Rzuciła mu się na szyję.

- Samochód jest twój, ale masz słuchać Henriego. Z was dwojga on wydaje się rozsądniejszy. Zapamiętajcie moje słowa: rodzice kupują dziecku samochód, aby sprawić radość, a nie po to, żeby rozpaczać na pogrzebie. Zapamiętaliście?

Wrócił do hotelu. Rzucił się na łóżko w ubraniu. Potrzebował czasu, żeby dojść do siebie po ostatnich przejściach.

Zadzwoił Jean.

- Przygotowałeś wszystko, jak ustaliliśmy?

- Tak jest, *my Captain!* Melduję gotowość do akcji.

Błękitne maserati zaparkowało przed zabytkowym dworcem Saint-Charles w Marsylii. Wysiedli z niego dwaj panowie w znoszonych, nierzucających się w oczy ubraniach i po przejściu kilometra zatrzymali taksówkę, która zawiozła ich do jednej z willowych dzielnic. Po wyjściu z taksówki poszli na dłuższy spacer, który

doprowadził ich do pustego domu w remoncie. Do ogrodu weszli przez dziurę w siatce. Jean wyważył łomem prowizoryczne drzwi wejściowe. Budynek był w środku ciemny, pachnący wilgocią i wapnem. Oświetlając schody latarką, wspięli się na poddasze. Z okien roztaczał się rozległy widok. Otworzyli lufciki w lukarnach. Były dwie, zatem każdy miał stanowisko strzeleckie. Jean wyciągnął z zapinanej na suwak torby dwa francuskie karabinki snajperskie FR F1.

- Skuteczne do ośmiuset metrów. Dla naszych potrzeb aż za dobry.

- Dzisiaj zło znajdzie szczęśliwe zakończenie. - Robert pociągnął solidny łyk z piersiówki i podał przyjacielowi. - Mówią, że dobrze robi na celność.

- Musimy być ostrożni, bo możemy to przypłacić życiem, a nawet głową. - Jean jak zwykle w formie.

Karabinki miały magazynki na dziesięć naboii. W razie pudła mogli poprawiać. Ci, na których polowali, nie mieli szansy. Ustawili broń na trójnogach i przymierzyli się do strzału. W celownikach drzwi burdelu widzieli z doskonałą precyzją. Jean sądził, że czekanie nie potrwa długo. Bracia codziennie o tej porze jeździli do pobliskiej arabskiej restauracji. Spotykali się z rodakami i wymieniali najnowszyimi wieściami z Algierii. Po kilkudziesięciu minutach, które spędzili na sympatycznej pogawędce, coś się zaczęło dziać. Beurowie byli ostrożni. Najpierw wyszedł ochroniarz i uważnie się rozejrzał. Nie zauważył niczego niepokojącego. Dopiero wtedy z garażu wytoczyła się limuzyna. Kierowca nie zgasił silnika. Drzwi od budynku otworzyły się, wyszło z niego kilku mężczyzn.

- Cholera, jak mam rozpoznać tych kutasów?!

- Nie przewidziałem, że tylu papudrawców wyjdzie jednocześnie.
- Jeana zaskoczył nieoczekiwany przebieg zdarzeń.

- To co robimy? Przekładamy?

Na szczęście sytuacja się wyjaśniła. Dwóch czekało na schodach, pozostali zajęli miejsca po obu stronach samochodu. Bracia wystawili

się na strzał.

- Biorę tego po lewej - zdecydował Robert. - Na trzy. Raz, dwa...

Dwa wystrzały zwały się w jeden. Trafili w to samo miejsce, środek klatki piersiowej. Bracia wychowywali się razem, wspólnie prowadzili mroczny biznes i razem zginęli. Trafili do ósmego kręgu¹²¹, w którym ich niecierpliwie wyczekiwano. Ochroniarze padli na ziemię i rozglądali się gorączkowo, usiłując ustalić, skąd padły strzały. Robert miał wielką ochotę zastrzelić przynajmniej jednego, w końcu brali udział w tym procederze, z żalem jednak musiał się powstrzymać. Ochroniarze nie zauważyli, skąd strzelano. Każdy następny wystrzał ujawni ich pozycję. Poza tym nie byli w stanie zastrzelić wszystkich, co oznaczało, że ci, którzy ocaleją, nakierują pościg na właściwy trop. Ocenili swoje dokonania, odsunęli się od lukarn i wycofali się. Karabinki zabrali. Ustalili, że bezpieczniej zaryzykować wpadkę podczas odwrotu, niż pozostawić je w opuszczonym budynku i dać śledczym punkt zaczepienia. Taksówkę wzięli dopiero po dłuższym spacerze. Po powrocie do domu Jean wytarł z karabinów odciski palców, owinął w nasączone olejem szmaty, wsadził do brezentowej torby i zakopał w odległym wąwozie. Wydał na nie mnóstwo pieniędzy i nie chciał zatapiać w morzu.

- Mogą się jeszcze przydać - wyjaśnił.

Inspektor Joussin odebrał telefon. Rozmówca się rozłączył, a on zaczął kląć. *Jak to się, kurwa, mogło stać i kto za tym stoi?! Bracia opłacali haracz marsylskiej mafii, więc nie mafia. W takim razie kto i dlaczego?* Joussin bywał w burdelu, był nawet stałym klientem. Nie płacił, ponieważ należał do wewnętrznego kręgu. Tych, którzy w zamian za darmowe usługi dbali, żeby nikt się nie wtrącał do interesów. Ofiary nie miały najmniejszej szansy, żeby uciec prześladowcom. Dziewczyny dobrze wiedziały, kto przychodził do burdelu i jakie to mogło mieć konsekwencje dla tych, które spróbują uciec lub - nie daj Boże - złożyć zeznania.

Joussin odebrał kolejny telefon. Dzwonił Moers. Wiedział już, co się wydarzyło.

- Wiesz, co masz zrobić?

- Tak, wiem - warknął do słuchawki i się rozłączył.

Miał posprzątać. Za wszelką cenę posprzątać, nie dopuścić do skandalu. Wielu wpływowych ludzi bywało w burdelu. Tylko jak to zrobić? Ukręcenie łba takiej sprawie przekraczało jego możliwości. Musiał przynajmniej spróbować. Zaczął od dziewczyn. Trzeba je zatrzymać i zastraszyć. W tym akurat marsylska policja była doskonała. Kobiety, które padły ofiarą gwałtów i próbowały dochodzić sprawiedliwości, były przepuszczane przez taką ścieżkę zdrowia, że natychmiast odchodziła im ochota na szukanie sprawiedliwości. Większość marsylskich glin miała ultrakonserwatywne poglądy. Tylko w filmach byli tacy wspaniali. Kobieta zawsze była winna. Niepotrzebnie prowokowała, zbyt wyzywająco się ubrała, znalazła się w miejscu, w którym nie powinna się pokazywać, nie opierała się wystarczająco.

Wystarczył telefon do kolegi z obyczajówki, u którego wylądowały dziewczyny z burdelu, żeby uzgodnić sposób postępowania. Niech je sterroryzuje i zniechęci do składania zeznań. Pierwszy problem rozwiązany. Pozostawały inne, z którymi nie pójdzie równie łatwo.

Prasa zacznie węszyć i może coś odkryć. Pismaków nie da się zastraszyć tak łatwo jak sponiewieranych dziwek. Problemów było zresztą więcej. A on był sam, nikt go, póki co, nie wspierał. Owszem, byli potężni przyjaciele zainteresowani zatuszowaniem całej sprawy, jednak to on pozostawał na pierwszej linii.

Sędzia Edgar Puaud miał koszmarną noc. Zadzwoił Joussin i powiedział, że mają problem. Ktoś zastrzelił braci Mesli. Musiał ustalić, kto będzie sędzią śledczym, i jak najszybciej, jeszcze tej nocy, skontaktować się z nim. Najlepiej młody Pérignon. Łatwo będzie nim manipulować. Sięgnął po słuchawkę.

Moers zrozumiał, co się wydarzyło. *To nie przypadek. Najpierw bez śladu zniknął Raul, teraz zabójstwo braci Mesli. Ktoś się mści.*

Tylko kto i za co? Może za Lawinię. On jeden spośród klientów specjalnych nie sprawował ważnej funkcji. Po wywaleniu ze służby wspaniałomyślnie pozwolono mu zachować uprawnienia emerytalne. Mógł więc swój czas przeznaczyć na wyjaśnienie tej sprawy. Szczęście było tak blisko i wszystko się nagle zawaliło. Nie czas na rozpamiętywanie. Trzeba działać. Tajemniczy mściciel może na tym nie poprzestać. Zagrożony jest każdy, kto miał z tą sprawą coś wspólnego.

Robert szybko się zorientował, że ktoś usiłuje ukrećić łeb całej sprawie i działa wyjątkowo skutecznie. Zaczął się bać. Ci, którzy stali za całą tą aferą, mieli długie ręce. Pozostał niestety wyraźny ślad. Nie było dla nich tajemnicą, kim miała być kolejna ofiara. Przez Julię, Raula - dotrą w końcu do niego i Jeana.

Mógł się przyczaić, licząc, że sprawa przycichnie. Mógł poprosić o pomoc przyjaciół z Mossadu. Nie był to najlepszy pomysł. Lada chwila na Bliskim Wschodzie wybuchnie wojna. Mają obecnie aż za dużo własnych problemów. Mogli z Jeanem zabijać dalej, to była jednak ostateczność. Co pozostawało? Podpowiedział Sun Tzu: Przenieść wojnę na terytorium nieprzyjaciela. Spędził pracowity tydzień, gromadząc dokumenty, zdjęcia, informacje. Następnie wytypował właściwą osobę.

Dziennikarka „Paris Match” i feministka Simone de Beauharnais nadawała się do roli, którą jej wyznaczył, jak nikt inny. Jej tak łatwo nie zastraszą. Stał za nią potężny i wpływowy tygodnik. Wysłał Simone anonimowo komplet materiałów, jakie pracowicie zgromadził. Identyczny wysłał do redakcji marsylskiego „La Marseillaise”. Lewicowa gazeta powinna się przejąć losem kobiet przemocą zmuszanych do prostytucji. Materiał nadawał się na pierwszą stronę. Seks i przemoc najlepiej się sprzedają. Na tym nie poprzestał. Korzystając z pośrednictwa kancelarii prawnej, wynajął agencję detektywistyczną. Zlecił im zbadanie sprawy. Najważniejszym zadaniem było ustalenie i ujawnienie wszystkich klientów burdelu. Zebrane materiały planował anonimowo wysłać do „Paris Match”

i „La Marseillaise”. W miarę jak upływały dni, a w sprawie panowała cisza, ogarniał go coraz większy niepokój. Agencji detektywistycznej zlecił dotarcie do wszystkich dziewcząt, które zdążyły rozproszyć się po Francji, i skłonienie ich do mówienia. W razie potrzeby – za pomocą pieniędzy. Jak na razie jest wypłacalny, więc nie mają bezustannie pytać, czy zdaje sobie sprawę, ile to kosztuje, tylko brać się do roboty. Jeżeli nie będzie rezultatów, wynajmie inną agencję. W prasie ukazały się wreszcie artykuły wsparte rezultatami „dziennikarskiego śledztwa”. Miesiąc po zabiciu braci Mesli inspektor Joussin został odsunięty od sprawy i zawieszony. Podobnie jak szef obyczajówki i dwóch policjantów z tego wydziału. Wszystkim czterem groziły poważne zarzuty. Wezwał ich do siebie komisarz i zakomunikował, że albo odejdą z policji na własną prośbę, albo zostaną oskarżeni o nadużycie władzy.

- Gdyby nie ta lesba de Beauharnais, sprawa by przycichła. Przykro mi, nic na to nie poradzę. – Komisarz był zniesmaczony.

Kilka dni później podobny los spotkał sędziego śledczego Pérignona. Moersa odwiedzili dawni koledzy z SDECE. Dali mu wybór. W ciągu dwudziestu czterech godzin opuści Francję i wybierze się na długi, najlepiej roczny urlop za granicą albo będzie miał poważne kłopoty. Tylko sędzia Puaud nie miał problemów. Jego nazwisko nie pojawiło się w materiałach agencji detektywistycznej. Jeden z prezesów był dawnym towarzyszem broni.

Robert uznał, że sprawa jest zakończona. Spędzali z Jeanem czas na przyjemnych formach nieróbstwa. Zwiedzali okolicę, żeglowali na małym jachcie, głównie jednak wysiadali w kafejkach nad kielichem wina.

Po dogłębnych przemyśleniach uznał, że jego obecny styl życia jest najwyższym osiągnięciem ewolucji. Spędza czas, jak lubi i z kim lubi. Od czasu do czasu podrywa się do wielkich czynów niczym antyczny bohater. W końcu bohaterowie nie spędzali całego życia na dokonywaniu wspaniałych dzieł. W przerwach się byczyli, jak on, pieprzyli, jak on, i już zupełnie nie jak on – mordowali, gwałcili,

rabowali i robili przeróżne bliskie ich sercom, paskudne rzeczy. Pozbył się wreszcie problemów egzystencjalnych.

Uspokojony swoimi przemyśleniami pojechał do Saint Tropez na nocne łowy.

Robert siedział w ogrodzie i czytał gazetę. Nieoczekiwanie ją odrzucił, krzyknął:

- Jadę do Marsylii, wrócę wieczorem! - Wskoczył do samochodu i odjechał.

Jeana zaciekawiło, co on takiego wyczytał, więc podniósł leżącą na trawie gazetę. Na drugiej stronie znalazł artykuł o niepokojącym wzroście napięcia na Bliskim Wschodzie. *Wybiera się na wojnę? Chce sobie postrzelać?* Pokręcił głową z dezaprobatą.

Nie wybierał się na wojnę. W Marsylii podjechał prosto pod Deutsche Bank. Od progu zażądał rozmowy z kierownikiem. Po chwili siedział w pokoju VIP-ów i miał na linii Hamburg. Przez niemal godzinę uzgadniał szczegóły z dyrektorem biura maklerskiego.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, jak wielkie ryzyko podejmuje? Z transakcjami terminowymi różnie bywa. Przy takim poziomie lewarowania, jeśli coś pójdzie nie tak, straci pan cały zainwestowany kapitał i jeszcze będzie musiał dopłacić, żeby zamknąć transakcję. Niech pan przynajmniej nie inwestuje wszystkiego. To wielka transakcja. Proszę się jeszcze zastanowić.

Przez lata współpracy Robert wyrobił sobie jednoznaczną opinię o banku, którą uogólnił na pozostałe. Bank nigdy nie kieruje się dobrem klienta, lecz interesem własnym. Dziesiątki razy nachalnie wciskali mu rozmaite formy inwestowania. Nie uległ presji cwanych doradców, których traktował, jak na to zasługiwali, czyli jak naganiaczy. Z czystej ciekawości zadawał sobie niekiedy trud prześledzenia „cudownych” inwestycji. Zyski, o ile w ogóle były, okazywały się niższe od tych, które osiągał, trzymając się swoich zasad.

- Macie zrobić dokładnie, jak powiedziałem. Koniec dyskusji!

- Rozumiem, Herr Meissner. Proszę o pisemne potwierdzenie dyspozycji. Podpisze pan na miejscu, w Marsylii, oni odeślą do nas.

- Doskonale. Na kiedy możecie zrobić wycenę domów?... Tydzień? Za długo. Potrzebuję kredytu hipotecznego za trzy dni.

- Jest pan naszym najlepszym klientem, prawdopodobnie da się zrobić. Wykonamy szacunkowy operat i udzielimy kredytu na osiemdziesiąt procent wyceny.

Odetchnął z ulgą. W jego planie czas odgrywał kluczową rolę. Wykonał jeszcze jeden telefon, tym razem do Frankfurtu, gdzie mieszkała teraz Eva. Pogadali o starych czasach. Na koniec udzielił jej porady inwestycyjnej.

- Tylko nie inwestuj zbyt dużo, Evo. To nadal wielkie ryzyko.

- A ile ty zainwestowałeś?

Trzy dni później ponownie pojawił się w banku. Zapoznał się z wypisami transakcji, które na jego rachunek przeprowadził DB. Udało się zgromadzić osiemnaście milionów trzysta tysięcy marek. Siedemnaście milionów sześćset pięćdziesiąt tysięcy pod zastaw portfela akcji plus sześćset pięćdziesiąt tysięcy kredytu pod zastaw domów. Tyle były warte akcje, jakie zgromadził przez dwadzieścia lat, inwestując większość dochodów oraz pieniądze ze sprzedaży diamentów. Kierownik podał mu dalekopis z hamburskiego oddziału.

- Został pan jednym z największych graczy na rynku kontraktów terminowych na ropę.

- W waszym banku?

- W Europie! Powodzenia, Herr Meissner.

Kolejne dni upływały w nerwowej atmosferze, pomimo że jego stan posiadania się nie zmieniał. Cena ropy pozostawała stabilna od wielu lat. Podobnie zachowywały się kontrakty. Ich istota polega na tym, że przy pomocy małych pieniędzy można dokonywać wielkich transakcji. W jego przypadku, kupując opcje, musiał wpłacić zaledwie dziesięć procent jako depozyt zabezpieczający. Oznaczało to, że jeżeli kontrakt terminowy podrożeje dwa procent, a on trafnie przewidział, to zysk od wyłożonej sumy wyniesie dwadzieścia procent. Jeżeli się

pomyli, tyle samo straci. Zainwestował w kontrakty terminowe na ropę, ściśle powiązane z jej ceną. Kupił opcje typu call, czyli zajął drugą pozycję. Zarobi, jeżeli ropa podrożeje. Trudno było oczekiwać, że wybuch wojny Izraela ze wszystkimi jego sąsiadami nie wpłynie na cenę ropy. Mechanizm był prosty. Na Bliskim Wschodzie wybuchła wojna - ropa drożała.

Pozostawało czekać na wojnę. Wybuchła szybciej, niż się wszyscy spodziewali. Piątego czerwca rozpoczęła się zmasowanym atakiem izraelskich Mirage III na egipskie bazy lotnicze. Niemal wszystkie egipskie MiG-i 21 zostały zniszczone na ziemi. Eksperci długo zachodzili w głowę, jakim cudem egipskie radary nie wykryły nadlatujących samolotów¹²².

Od wybuchu walk całe dni spędzał w banku. Wiele godzin naradzał się z dyrektorem biura maklerskiego, który gratulował mu wyczucia. Z niepokojem śledził notowania ropy naftowej i powiązanych z nimi opcji. Nie potrzebował suwaka logarytmicznego, żeby wiedzieć, jak każde wahnięcie przekłada się na wartość jego portfela. Transakcje terminowe są wyjątkowo ryzykowne. Znaczącymi pieniędzmi można wchodzić, jeżeli się wie o czymś, czego nie wiedzą inni. W dniu zakupu opcji cena baryłki ropy wynosiła trzy dolary i była stabilna. Po początkowych wahaniami ustabilizowała się na poziomie trzech dolarów siedmiu centów¹²³. Był nieco rozczarowany. Wzrost okazał się mniejszy od oczekiwanego. Pozytywnym zaskoczeniem była stabilizacja na nowym poziomie. Nie miał problemu ze sprzedażą opcji i zamknięciem pozycji. Mógł podsumować swoje dokonania. Wzrost ceny ropy spowodował, że opcje podrożały o dwa i trzydzieści trzy setne procenta. Jego zysk wyniósł dwadzieścia trzy i trzy dziesiąte procenta. Nie było powodu do narzekań. Po odliczeniu kosztów transakcji zarobił dwadzieścia dwa procent, czyli cztery miliony dwadzieścia sześć tysięcy marek. Założył subkonto dolarowe. Po przewalutowaniu miał na nim milion dolarów. Tyle wynosił zysk brutto z transakcji. Zapłacił szesnaście

procent podatku dochodowego. Na koncie pozostało osiemset czterdzieści tysięcy.

Opowiadał Jeanowi szczegóły tej skomplikowanej operacji. Siedzieli na tarasie kawiarni Hôtel de Ville. Przed nimi roztaczał się wspaniały widok na Vieux Port – Stary Port, najpiękniejszą przystań jachtową we Francji. Wejścia do niego strzegły forty Saint-Jean i Saint-Nicholas. Jachty odbijały od nabrzeży i przybijały do nich, żagle łopotały w morskiej bryzie, woda lśniła w promieniach słońca.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, stary, ale bardzo lubię cię słuchać.

Jean ni w ząb nie rozumiał, jak Robert zarobił aż tyle forsy. Zrozumiał jedynie, że przyjaciel zastanawia się, jak ją wydać.

- Ba... Tuś mnie zabił! Nie poradzę ci, takie pieniądze nie mieszczą się w mojej wyobraźni. Myślę, że tyle wydać się nie da.

Robert zapatrzył się przed siebie. Przed nimi przepływał duży jacht, na pokładzie uwijało się kilku żeglarzy.

- Wiesz co, Jean?

- Co takiego?

- Kupimy jacht. - Liczby mnogiej używał już rutynowo.

- Jacht? Po co ci własny jacht? Zawsze możemy wypożyczyć.

- Takiego raczej nie da się wypożyczyć. Kupimy duży jacht.

- Kto nim będzie pływał?

- My dwaj. Wypijemy? - Wzniósł toast za swój genialny pomysł.

- *A votre santé!*¹²⁴ Po co nam taki duży? Może wystarczy mniejszy?

- Zobaczysz! - Tym zwrotem zawsze kończył dyskusję.

- Aha. Gdzie kupimy ten jacht? W Marsylii?

- Nie, kupimy w Ameryce.

- W Ameryce? Dlaczego akurat w Ameryce? To bardzo daleko.

- Bo jachty kupuje się w Ameryce.

- Kupowałeś już jakiś jacht?

- Jeszcze nie. Wypijemy?

- Skąd w takim razie wiesz, że jachty kupuje się w Ameryce?

- Nie mówiłem, że wiem. Mówiłem, że my kupimy, bo tam jest podobno więcej jachtów na sprzedaż, a przy okazji zobaczymy Amerykę.

- Aha! Zamów jeszcze jedną flaszkę.

Tym sposobem przedyskutowali sprawę i wspólnie podjęli decyzję o kupieniu jachtu. Pozostawało ją oblać. Ta część planu najbardziej się spodobała Jeanowi.

¹¹⁸ Service de Documentation Exterieur et de Contre-espionnage - francuski wywiad i kontrwywiad.

¹¹⁹ Wielki Mufti Jerozolimy. Uznany za zbrodniarza wojennego. Po wojnie znalazł schronienie we Francji, która z niejasnych powodów odmówiła deportacji do Anglii. Jego sumienie obciąża wymordowanie 5400 żydowskich dzieci. Zapobiegł ich ewakuacji z III Rzeszy do państw neutralnych. Trafiły do obozów zagłady. W 1941 spotkał się z Hitlerem. Wygłosił w Radio Berlin przemówienie: „Arabowie... zabijajcie Żydów, gdziekolwiek ich znajdziecie. To podoba się Bogu, historii i religii. To ocali wasz honor. Allah jest z wami”. Przed wojną sześciodniową wygłaszał podobne przemówienia. Jego ukochanym siostrzeńcem był Jasir Arafat. Podczas wojny izraelsko arabskiej w 1948 roku Liga Państw Arabskich namaściła tego zbrodniarza wojennego na szefa rządu państwa palestyńskiego, jakie miało powstać na gruzach Izraela.

¹²⁰ W powieści wykorzystano materiały ze strony internetowej: mrozkowiak.wolsztyn24.pl.

¹²¹ Wedle Boskiej komedii Dantego w VIII kręgu piekielnym cierpią męki stręczyciele.

¹²² Zdarzenie historyczne. W pierwszej fali nalotu izraelskie samoloty zniszczyły 8 stacji radarowych oraz 197 egipskich samolotów, z czego zaledwie 8 w walce powietrznej. W drugiej fali nalotu zniszczonych zostało 107 maszyn. Egipskie lotnictwo przestało praktycznie istnieć.

¹²³ Dane historyczne.

¹²⁴ „Na zdrowie!” (fr.).

14. LOU LOU

18 lipca 1967 r., USA,

Miami (Floryda)

Przylecieli do Miami lotem bezpośrednim z Paryża. Lecieli klasą biznes. Jean był zachwycony, przez cały lot sympatyczne stewardessy podawały darmowe drinki. Szybko stał się ich pupilem. Niemal obraził się na Roberta, ponieważ ten pseudoprzyjaciel zakręcił mu wreszcie kurek.

Pierwsze dni zeszły na sprawach organizacyjnych. Znalezienie hotelu, rozpakowanie bagaży, odespanie różnicy czasu, wynajęcie samochodu, kupno prasy żeglarskiej i lektura ogłoszeń o sprzedaży jachtów. To ostatnie na hotelowym, skąpanym w słońcu basenie, w otoczeniu amerykańskich ślicznotek.

Robert szybko znalazł interesującą ofertę. Piękny jacht o klasycznych proporcjach. Kecz długości dwudziestu dwóch metrów - i stosunkowo dużej szerokości, sześciu metrów. Jacht należał do milionera, który dorobił się na dzierżawieniu maszynek do popcornu w kinach i parkach rozrywki. Nazywał się „Mickey Mouse”, ponieważ tak sobie zażyczyła żona milionera, słodka idiotka młodsza od niego o czterdzieści lat. „Myszka Miki”, jak wiele jachtów należących do ludzi zbyt bogatych, niemal stale cumowała przy kei. Akurat w tym roku właściciel postanowił spędzić wakacje na swoim jachcie. Pech chciał, że w Zatoce Meksykańskiej trafili na ostatnie podmuchy

tropikalnego huraganu. Schronili się w najbliższym porcie. Nieudolnie zabezpieczona łódź, miotając się na fali, uderzyła w wystający fragment pirsu, który wybił w burcie potężną dziurę. Na szczęście uszkodzenie było powyżej linii wodnej. Jacht znajdował się w Fort Lauderdale, dwadzieścia mil od Miami. Podjechali, żeby go obejrzeć.

Żona właściciela odcisnęła na nim idiotyczne piętno. Pomalowane na biało burty były pokryte wielkimi myszami w kolorze niebieskim. Dziura wyglądała paskudnie. Najgorsze było jednak wnętrze. Tapicerka różowa jak w buduarze - wszędzie ta Cholerna Mysz. Właściciel był przekonany, że wystrój wnętrza podnosi wartość jachtu. Żonka przebierała się w skąpy, zredukowany do maski z uszami i ogonka kostium myszy, siadała mu na kolanach i szeptała do ucha, że jest maleńką myszką, która się bardzo boi ogromnego kocura. Tylko od tego mu stawał. Zapewne z tej przyczyny chciał za swój jacht aż sto dwadzieścia tysięcy.

Jacht miał dwie przestronne, luksusowo urządzone kabiny po obu stronach zejściówki oraz ogromną messę z wydzielonym kambuzem. Trzecia, największa kabina mieściła się w forpiku. Został zaprojektowany dla niewielkiej załogi, której zapewniał wysoki komfort. Takiego właśnie szukał, nie planował zbiorowych wycieczek. Do maszynowni, która znajdowała się pod pokładem rufowym, prowadziło osobne zejście z pokładu. Wąskie drzwi znajdowały się na tylnej ścianie kokpitu. Jean zaniemówił, kiedy zobaczył, co kryje się pod pokładem. W odróżnieniu od Roberta, który na silnikach się nie znał, był znakomitym mechanikiem. Dwa wolnossące, ośmiocylindrowe diesle perkinsa po dwieście osiemdziesiąt koni mechanicznych każdy napędzały dwie śruby. Taki napęd zapewniał znakomitą manewrowość oraz bezpieczeństwo. W razie awarii jednego silnika pozostawał drugi. Był też trzeci, niewielki silnik napędzający prądnicę. Płynąc pod żaglami, mieli prąd bez konieczności włączania silników napędowych.

- No i jak?

Jean był ciekawy, co jego przyjaciel myśli o „Myszce”. Bardzo mu zależało, żeby zdecydował się na ten właśnie jacht. Marzyła mu się lśniąca czystością maszynownia, której będzie głównym mechanikiem.

- Ma potencjał, ale ta Myszka Miki... Odpada!

- Ile byś dał za ten jacht w jego obecnym stanie?

- Nie więcej niż dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. Dwadzieścia trzeba wydać na niezbędne naprawy. Jacht jest wart znacznie więcej. Posiada pewne ukryte walory. - Uśmiechnął się tajemniczo.

- Dziewięćdziesiąt pięć, mówisz. A tapicerka, te wszystkie kanapy i dywaniki, na ile je wyceniasz?

- Na tyle, ile trzeba zapłacić za wyrzucenie i kupno nowych. Najtańszych.

Wartość ujemna - trzy tysiące.

- Umów się z pośrednikiem za trzy dni.

- Jak sobie życzysz, sierżancie.

Po trzech dniach podjechali do mariny w towarzystwie agenta. Jean był w doskonałym nastroju. Uśmiechał się tym szelmowskim uśmiechem, który zazwyczaj zwiastował jego kolejny sztubacki dowcip. Pośrednik otworzył drzwi zejściówki z przyklejonym do warg zawodowym uśmiechem i szerokim gestem zaprosił do środka. Jean zrewanżował się równie szerokim oraz równie fałszywym uśmiechem i zszedł na dół. Zszedł i zaraz wyszedł.

- Sam to zobacz, Ben.

Wewnątrz „Mickey Mouse” kłębiło się stado kotów. Były różnych kolorów: czarne, ławkowce, bure i rude. Wszystkie przeraźliwie miauczały, a w kabinie unosił się koszmarny smród kocich sików.

- Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść. - Ben pobladł z wrażenia.

- Za to ja rozumiem - Robert błyskotliwie włączył się do rozmowy.

- Mickey Mouse! Koty przyszły z wizytą do Myszkki Miki! Jean, jedziemy! - zarządził. - Mamy jeszcze cztery jachty do obejrzenia.

- Zaczekajcie! - pośrednik próbował ratować sytuację. -
W obecnym stanie... No cóż, ile jesteś skłonny zapłacić, Rob?

- Dziewięćdziesiąt pięć i ani centa więcej. Tę unikalną, niezwykle atrakcyjną tapicerkę trzeba wyrzucić. Sam rozumiesz, Ben, jak to wpłynie na wartość jachtu.

Pośrednik odjechał, żeby skontaktować się z właścicielem, a Jean wybrał się na przechadzkę. Na pobliskim boisku grało ospale w kosza kilku czarnoskórych chłopaków. Najwyższy, zapewne przywódca, podszedł do Jeana.

- No i jak, człowieku, zadowolony jesteś?

- Nawet bardzo. Dobrze się spisaliście. Druga połowa, zgodnie z umową. - Wyjął z kieszeni plik banknotów z Franklinem i odliczył dwa.

Ben zadzwonił wieczorem.

- Właściciel obniżył cenę do stu tysięcy.

Następnego dnia przeprowadzili się do hotelu w Lauderdale. Remont rozpoczęli od wyrzucenia tapicerki. Żeby usunąć zapach kocich szczyń, do messy wstawiono wyciąg, a wynajęta ekipa wyszorowała wnętrze. Po trzech tygodniach remont był na ukończeniu. Dziura została dwustronnie załatana matą z tworzywa nasyconą żywicą. Łata była paskudna, za to solidna. Zamówili nowe materace na wymiar. Pokryte praktyczną tapicerką w kolorze jasnoszarym, z bawełny o grubym splocie. Nie była piękna, jednak w porównaniu z poprzednią, prezentowała się znakomicie. Nadawała wnętrzu surowy, prawdziwie żeglarski klimat. No i była tania. Z wyborem nazwy nie było problemu. Robert wymalował na pawęży „SY Marion”, a pod spodem mniejszymi literami „Marsylia”.

8 sierpnia 1967 r.,

USA, Fort Lauderdale (Floryda)

Robert Meissner wracał spacerem z centrum. Nigdzie się nie spieszył, a spiekota spowalniała ruchy. Jak w wielu amerykańskich miastach, po obsadzonej palmami i hibiskusami przelotowej alei niemal wszyscy

poruszali się samochodami. Niespodziewany hałas i ruch gwałtownie go zastopowały. Przy krawężniku stał kabriolet z otwartymi drzwiami. Kawalek dalej, pod palmą, mężczyzna bił młodą kobietę. On jej nie bił, on ją katował, jakby chciał zabić. Jeżeli miała przeżyć, nie było chwili do stracenia. Bicie przeszło w kopanie, gdzie popadnie. Ostatnim kopniakiem trafił ją w serce. Dziewczyna poczuła, że odpływa gdzieś daleko.

- Hej, ty! - Usiłował odwrócić uwagę damskiego boksera od nieprzytomnej ofiary. Mężczyzna uniósł głowę i wyprostował się, demonstrując imponującą posturę - niczym niedźwiedź chcący przegonić rywala samym swoim wyglądem. Wielki, wytatuowany, brutalny. Dobiegł i zamarkował sierpowy. Wytatuowany zamachnął się potężnie. Wykorzystał to i rozpoczął precyzyjnym lewym prostym. Przeciwnik był mało ruchliwy, technicznym ciosem zmiażdżył mu nos. Dawno już przeszedł do wagi ciężkiej, więc jego uderzenie miało swoją moc. Ból pozbawił wytatuowanego orientacji. Miał dość czasu, żeby przyłożyć się do sierpowego na wątrobę. Mężczyzna wydał z siebie głośne stęknięcie i zwałił się na chodnik. Widać było, że ma dosyć. Zrobił wtedy coś, co do tej pory nie przeszło mu przez myśl. Z całej siły kopnął w miejsce, w które trafił sierpowym. Nie wiedział, czy da się takim kopniakiem uszkodzić wątrobę. Miał nadzieję, że się da.

Była tak lekka, że wziął ją na ręce i poniósł na jacht. Zwisła mu z rąk bezwładnie jak szmaciana kukła. Nie zdawał sobie sprawy, że przestała oddychać. Miał do przejścia spory kawałek, więc żeby sobie ułatwić niesienie, przerzucił jej bezwładne ciało przez ramię. Rytmiczne ugniatanie klatki piersiowej sprawiło, że zdarzył się cud. Serce dziewczyny zaczęło bić i wrócił jej oddech. Znajdowała się w stanie śmierci klinicznej od dwóch minut. Gdyby walka potrwała dłużej, byłaby już martwa.

Jean siedział na pokładzie i degustował kalifornijskie wina. Wokół krzątało się niemrawo kilku robotników. Nie podnieśli wzroku, kiedy wnosił ją na pokład. Upał dawał się wszystkim we znaki. Uważał, żeby

w zejściówce nie zahaczyć jej głową albo nogami o poręcz. Jean zszedł za nim. Robert stał z boku i czekał, a on jednym ruchem opróżnił stół; rozłożył koc, a następnie wyciągnięte z szafki czyste prześcieradło. Dopiero wtedy położył dziewczynę na tym zaimprovizowanym stole zabiegowym i delikatnie rozebrał z tych strzępków odzieży, które na sobie miała. Całe jej ubranie składało się z króciutkiej bawełnianej spódniczki i bluzki bez rękawów. Leżała teraz naga, zupełnie bez ruchu, jak popsuta lalka. Tylko wielkie, czarne oczy, którymi za nimi wodziła, świadczyły, że żyje. Nie wydawała żadnych dźwięków. Pod jednym okiem wyrósł nabrzmiąły na pół policzka fioletowy siniak. Łuk brwiowy nad drugim okiem był pęknięty i mocno krwawił, a dolna warga – rozcięta i napuchnięta. Nieproporcjonalnie duże kolana i łokcie sterczały z długich, chudych kończyn pokrytych siniakami. Trudno było określić kolor sińców – oprócz fioletu była w nich żółć, a na obrzeżach purpura. Jedynie brzuch kontrastował z wątłym ciałem. Wystający, pękaty, skutek niezdrowego odżywiania. Wyglądał na wypożyczony od innej osoby. Cieszył się, że nie musi dokonywać oględzin zmasakrowanego ciała. Jean znał się na ranach i obrażeniach lepiej niż niejeden doktor. W Legii wielokrotnie zastępował na polu bitwy sanitariusza. Bez zwłoki przystąpił do oględzin. Zaczął od ustalenia, czy ofiara wymaga pomocy lekarskiej. Może, szczęśliwym trafem, rany i sińce były tylko powierzchowne. Obmacał ją dokładnie, poszukując objawów obrażeń wewnętrznych. Nie pojękiwała, choć naciskał miejsca pokryte sińcami. Słabym głosem odpowiadała na pytania. Badanie się przedłużało. Wolał zadać ból, niż przeoczyć jakiś uraz. Po zakończeniu oględzin był zadowolony.

- Nie wiem, jakim cudem, ale nic groźnego jej nie jest. Trzy pęknięte żebra, odbite nerki i pęknięty łuk brwiowy. Jakiś czas będzie sikać na czerwono. Jeszcze raz powtarzam: patrząc na nią, to prawdziwy cud. Domyślam się, że znalazłeś ją gdzieś niedaleko. – Jean nie zdawał sobie sprawy, jak nieprawdopodobny cud się zdarzył.

Dziewczyna dalej leżała bez ruchu, nie wydając dźwięku.

- Przygotuj wszystko, żeby ją obmyć, ja spróbuję z nią porozmawiać.

- Jestem Rob. Łapiduch, który się nad tobą znęcał, to Jean. Jak się nazywasz?

Jego akcent brzmiał obco, ale w połączeniu z niskim, spokojnym głosem był przyjemny i kojący.

- Louise. Lou Lou - poprawiła się szybko.

- Czy masz rodzinę, znajomych, do których moglibyśmy cię odwiedzić?

Pokręciła w milczeniu głową, broniąc się rozpaczliwie przed utratą świadomości.

- Wobec tego musimy powiadomić policję i zawieźć cię do szpitala.

Tym razem zaprzeczyła gwałtownie i usiłowała unieść się na łokciach. Wrócił Jean z miską wody, mydłem i kilkoma ręcznikami. Robert zauważył, że wybrał jego własne, najlepsze ręczniki.

- Boi się policji i szpitala - wyjaśnił przyjacielowi.

Jean obmywał ją delikatnie, z fachowością, która świadczyła, że wykonywał już takie czynności. Robert zauważył, że dziewczyna nie reaguje, kiedy dotyka miejsc intymnych. Jej twarz wyrażała całkowitą obojętność.

- Lou Lou. - Uśmiechnął się, żeby nawiązać porozumienie. - Nie chcesz iść na policję, co mogę zrozumieć, ale szpital? Zaopiekują się tobą znacznie lepiej, niż my możemy to zrobić na jachcie.

- Nie mam ubezpieczenia, a gdybym nawet miała, i tak by mnie znaleźli. Poniżyłeś szefa gangu, Marrona. On nie wybacza. Powinniście natychmiast uciekać. To straszny człowiek.

Długie mówienie ją wyczerpało. Opadła bezwładnie na prześcieradło i zamknęła oczy. Pomyślał, że Marron nie wyglądał na groźnego, kiedy skopany związał się z bólu. Był jednak w obcym kraju, o którym niewiele wiedział.

- Co mamy z tobą zrobić?

- Nie wiem, nie trzeba się było mieszać. Wysadźcie mnie na brzeg i uciekajcie jak najprędzej.

Przez chwilę się nie odzywał, rozważając to, co przed chwilą usłyszał. W końcu zwrócił się do przyjaciela:

- Jak sądzisz, to chyba dobra rada?

Jean, nie podnosząc głowy i nie przerywając mycia, powiedział krótko i dobitnie:

- Jeżeli ją wysadzisz, wysiadam razem z nią.

- Nie pozostawiasz mi wyboru. Jesteś potrzebny na jachcie, sam go do Marsylii nie przeprowadzę - droczył się z nim, żeby wyluzować napięcie.

Lou Lou śledziła rozmowę, nie odzywając się. Tylko jej oczy przeskakiwały z jednego na drugiego, co nie było trudne, ponieważ stali pochyleni nad stołem.

- A druga sprawa: uciekamy czy walczymy?

- Ty decyduj, *mon capitaine*. Nie lubię uciekać, ale nie mamy broni, a te kurdypaki z pewnością mają i będzie ich wielu.

- Zgadza się, uciekamy. Nie będziemy niepotrzebnie ryzykowali.

- Ty tutaj dowodzisz. Dasz radę przygotować jacht do wypłynięcia?

- Zrobię, co się da, a jeśli się nie da, to i tak to zrobię.

Wziął na poważnie ostrzeżenie. Tak mu podpowiadała intuicja. Nie musiał nikomu udowadniać, że nie jest tchórzem. Nie wiedział, czy zdążą. Wydawało się to niemożliwe, maszty nie były jeszcze osadzone. Wynajął dźwig pływający i kazał położyć obydwu na pokładzie. Na osadzenie i mocowanie do kadłuba za pomocą takielunku brakowało czasu. Wystawały poza dziób i rufę, ale cała konstrukcja sprawiała wrażenie stabilnej. Przynajmniej do pierwszego sztormu. Takielunek i olinowanie w trzech wielkich pakach przymocowano do pokładu. Grupa robotników zrzucała żagle przez właz do forpiku. Na żadne inne przygotowania nie było czasu. Po kilku godzinach mogli wypłynąć. W międzyczasie odprawił jacht. Na liście załogi Lou Lou nie dopisał. Liczył, że nikt nie będzie

sprawdzał. Jeden podpis, jedna pieczętka, dostali *cruising license* i mogli odbijać. Sprawdził prognozę – idealna na krótki skok, pod warunkiem, że jacht ma wystarczającej mocy silnik. Zdecydował, że popłyną na Bermudy.

- Przeskoczmy do Daytona Beach, stamtąd najbliższej na Bermudy. Postawimy maszty i zaopatrzymy się na podróż. Może dziewczyna poczuje się lepiej i zdecyduje zejść na ląd. Tak by było najlepiej. Jako port docelowy wpisałem Tampę. Na wypadek, gdyby ten Marron był szczególnie zawzięty. W Daytona Beach długo nie zabawimy. Gdzie ona jest?

Jean wskazał swoją kabinę.

- Pewnie śpi. Zabandażowałem ją, żeby usztywnić żebra. Powinny się szybko zrosnąć.

Robert zajrzał do kabiny. Jean dał jej bawełnianą koszulkę i bermudy. Była tak szczupła, że z jednej nogawki zrobiła spódniczkę do pół uda. W sięgającej nad kolana koszulce, przepasana wiązaniami bermudów, którymi owinęła się dookoła, leżała jak zwykle bez ruchu i bez słowa. Ponieważ nie spała, uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy.

- Niedługo wypływamy. Jak widzisz, posłuchaliśmy twojej rady i uciekamy. Płyniemy do Daytona Beach. Tam będziesz mogła wysiąść. Wrócimy do tej rozmowy, kiedy dopłyniemy. Teraz odpoczywaj. Jean zrobi kolację na spokojnie, po wypłynięciu. Za jakiś czas na pewno zgłodniejesz.

Żadnej reakcji. *Będziemy mieli kłopoty* – pomyślał i wyszedł z kabiny, ostrożnie zamykając drzwi.

- Aha, Lou Lou? - Zawrócił. - Jak będziesz chciała skorzystać z ubikacji, Jean wyjaśni, w jaki sposób ją obsługiwać. On będzie na dole, ja na pokładzie.

Jak zapowiedział, tak zrobił. Rzucili cumy i wypłynęli. Prowadził tak duży jacht po raz pierwszy. Przydało się doświadczenie z „Arabeski”. Staął za kołem sterowym i zagryzając z przejęcia

wargę, sterował w kierunku wyjścia. Zapadał zmierzch, latarnie nawigacyjne wskazywały drogę.

Minął główki portowe, nie mógł więc zobaczyć, jak jeden po drugim piętnaście ryczących motocykli gangu „The Pagans”, wzniecając chmury pyłu, z impetem hamowało na żwirowym parkingu przed mariną. John „Satan” Marron ruszył na czele uzbrojonych po zęby bikersów w kierunku zacumowanych jachtów. Portier przezornie skulił się w swojej budce. Niewiele mu to pomogło. Jeden z ludzi Marrona wywlókł go z bezpiecznego schronienia i przesłuchiwał, chcąc ustalić, który jacht należy do Roberta.

Daytona Beach powitała ich mżawką. Robert przezornie, jeszcze na otwartym morzu, wykonał szereg manewrów, dzięki którym poznał inercję, promień skrętu oraz dryf swojego jachtu. Wpłynęli do zatłoczonej mariny i po manewrach, które kosztowały go wiele nerwów, zacumowali. Panował duży ruch, jachty przybijały i odbijały. W powietrzu natarczywe kwilenie mew krzyżowało się z okrzykami żeglarzy. Jean zaprosił na angielskie śniadanie. Jajka na bekonie, fasolka, kiełbaski na gorąco, tosty, dżem i kawa. Lou Lou usiadła z nimi do stołu. Była przelękniona jak dziki ptaszek w klatce. Starali się dodać jej pewności. Traktowali uprzejmie, podawali wszystko, na co miała ochotę, i ogólnie nadskakiwali. Była niedożywiona z powodu nerwicy i głodna, jednak skutki pobicia nie pozwalały jej jeść. Napuchnięta jak bania wargą utrudniała gryzienie. Coś tam jednak skubała. Poczula się już nieco lepiej, zaczęła rozróżniać akcenty. Nie miała kłopotu z rozpoznaniem wibrującego, francuskiego akcentu Jeana. Robert miał wymowę, jaką znała z angielskich filmów.

Uzgodnili, że nie będą jej zadawali pytań. Jeżeli zechce coś opowiedzieć, niech to będzie jej decyzja. Mieli urwanie głowy z przygotowaniami do rejsu. Rozdając na prawo i lewo banknoty, Robert zapewnił niezłe tempo prac. Przeplącał, ale tego się już w Stanach nauczył. Maszty zostały osadzone i otaklowane, zbiorniki wody i paliwa zatankowane na full. Na dzień przed wypłynięciem pod jacht podjechała półciągarówka z zamówionym zaopatrzeniem. Jean

nikogo nie dopuścił do zapasów żywności. Osobiście wnosił do kambuza i chował do ogromnej lodówki, jeszcze większej zamrażarki, szafek oraz jaskółek zakupione rarytasy. Jakość i różnorodność produktów spożywczych pozwalała zaopatrzyć kuchnię czterogwiazdkowego hotelu. Podczas tej gorączkowej krzątaniny Lou Lou nie wychodziła z kabiny.

Po południu Jean wyciągnął leżak, rozłożył na pokładzie rufowym i żeby nie przeszkadzała w krzątaninie na jachcie, zaprowadził ją tam. Wyglądało, że chce zaprotestować, nic jednak nie powiedziała. Ponieważ zapadał wieczór, przyniósł pled. Przy okazji zapytał, czy chce, żeby jej coś kupić. Nie odpowiedziała. Wiedziony intuicją, zapytał ponownie. Odwróciła oczy w bok i poprosiła o papierosy. Zdążyła zauważyć, że nie palą. Uśmiechnął się porozumiewawczo i położył palec na ustach. Oznaczało to w powstającym właśnie ich konspiracyjnym kodzie: „Ani słowa Robertowi”. Na twarzy dziewczyny pojawił się ledwo dostrzegalny ślad uśmiechu. Poszedł do kiosku, kupił trzy kartony marlboro, zapalniczkę i przemycił na pokład. W forpiku, który zajął po oddaniu kabiny Lou Lou, zapanował żołnierski porządek. Zapasowe żagle zwinęli i przenieśli do żaglowni. Rozpakował karton i wyjął paczkę. Przysiadł obok dziewczyny, podał papierosy oraz zapalniczkę. Wsunęła je szybko pod pled i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Jej pierwszy uśmiech! Mieli wypłynąć wieczorem następnego dnia. Do tego czasu udało się dopiąć niemal wszystko. Przed wypłynięciem Jean przygotował kolację. Menu było wyszukane, jak w najlepszej restauracji. Robert nie chciał psuć nastroju, musieli jednak ostatecznie zdecydować, co dalej.

- Lou Lou, dzisiaj wypływamy. Pora na decyzję.

Akurat przełykała kęs i poczuła, jak rośnie w ustach. Tego się bała, na to czekała jak na wyrok. Zaraz ją wyrzucą. Jedyne pomysły, jaki przychodził do głowy, to zaproponować seks za pozostawienie na jachcie. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że gdyby mężczyźni tak bogaci chcieli kobiety, mogli mieć na pęczki dziewczyn sto razy piękniejszych. Nie, to nie miało sensu. Postanowiła, że musi być silna,

nie popłacze się. Po krzywdzie, jaką wyrządził Marron, nic gorszego nie mogło jej spotkać.

Robert głośno chrząknął, zapewne, żeby dodać sobie powagi, i rozpoczął spektakl, w którym plątał się jak lichy aktorzyzna, co na dodatek zapomniał roli. Jean nie miał zamiaru robić za suflera. *Désintéressement* zademonstrował, nalewając sobie szczerze wina, a następnie wyciągnął z jaskółki pierwszą lepszą książkę i udawał, że czyta. *Radź sobie sam, skoro jesteś taki mądry.*

Tłumaczył, że jest Amerykanką i powinna pozostać w Stanach. On naturalnie nic nie ma przeciwko jej pobytowi na pokładzie. Jest zadowolony, że może ją gościć. Rozumiejąc trudną sytuację, może oczywiście, o ile się nie obrazi, wspomóc ją skromną sumką. Może pięćset dolarów? Ponieważ się nie odezwała, w desperacji zawołał: „Tysiąc!?”. Nie rozumiała za bardzo, co się dzieje. Chce ją wyrzucić? Za co chce jej zapłacić? Przez te kilka dni po raz pierwszy w życiu czuła się bezpiecznie. Gdyby nie ten nieustanny strach, że to się zaraz skończy, że musi się skończyć, byłaby na tym jachcie spokojna. Ale z jej szczęściem to się nie mogło udać. W końcu Jean nie wytrzymał. Przerwał czytanie, co przyszło mu łatwo, ponieważ trzymał książkę do góry nogami, i zapytał:

- Lou Lou, czy chcesz z nami zostać?

- Tak.

- No to sprawa załatwiona, zostajesz. I kończymy tę idiotyczną rozmowę. - Spojrzał z wyrzutem na Roberta i zakomunikował: - Pan kapitan zmyje naczynia. - Żeby go do ostatka pognębić, dorzucił: - Nasz gość pali. Żeby tu nie słyszał żadnych narzekań.

Ponieważ Robert się nie odzywał, powtórzył:

- Czy zrozumiałeś?

- Tak, oczywiście, spróbuję się przyzwyczaić.

W tym momencie postanowiła, że rzuci palenie. W ten sposób okaże im wdzięczność. Ale nic nie powiedziała. Niech już lepiej odbijają, bo jeszcze się w ostatniej chwili coś wydarzy. Zasiedli w messie, żeby zebrać myśli przed podróżą. Jean, wielce z siebie

zadowolony, podał alkohol. Sobie calvados, Robertowi koniak, dziewczynie likier. Wyciągnął z forpiku papierosy i położył paczkę przed Lou Lou. Nie śmiała wyjąć papierosa przy Robertcie, więc z sadystycznym uśmiechem położył zapalniczkę obok niego, poza jej zasięgiem. Przeklinając w duchu, podał dziewczynie ogień. Jean szczyrzył się jak goryl na wybiegu. Bardzo go zresztą przypominał. Trzęsącymi rękami wyciągnęła papierosa i pozwoliła przypalić. Była tak zdenerwowana, że papieros zupełnie jej nie smakował. Za każdym pociągnięciem czuła, jak czarna, gryząca chmura wypełnia płuca. Zaciągnęła się kilka razy i odłożyła niedopałek do popielniczki.

- W porządku, wypływamy! *All hands on deck*. Lou Lou, usiądź w kokpicie i patrz. Prędko Stanów nie zobaczysz.

- Oby już nigdy! - burknęła pod nosem.

- Bosman Bart! Zobaczymy, jaki jesteś mocny w marynarskim rzemiośle. Do masztu i czekaj na rozkazy.

Sam stanął u steru. Rzucili cumy i odpłynęli w mrok. Rejs trwał trzy dni i upłynął bez nieprzewidzianych zdarzeń. Ocean był cierpliwy, wyrozumiały i pogodny. Zawieszeni w bezmiarze wody, próbowali ułożyć wzajemne relacje. Okazało się, że Jean uwielbia Lou Lou, ona odpłaca mu niemal psią wiernością. Zauważyła, że na przekór swej fizjonomii ma on gołębie serce i ogromne poczucie humoru. Roberta trochę się bała, pomimo - a może właśnie dlatego - że był wyjątkowo uprzejmy. Nieustannie starał się ją czymś zainteresować. Już pierwszego dnia pokazał bibliotekę i zachęcał do korzystania z niej. Ku jego rozczarowaniu, nie wykazała zainteresowania. Woląa spędzać czas na pokładzie, wpatrując się w horyzont. To nogi na krzyż, to pod siebie. Lubiła też siadywać w kambuzie, obok Jeana, kiedy przygotowywał posiłki. Jeśli tylko potrafiła, pomagała, a on, zachwycony towarzystwem, wyjaśniał zasady kuchni francuskiej. Rozmawiali przyciszonymi głosami, żeby Robert ich nie słyszał.

Okazało się, że interesuje ją nawigacja. Kiedy Robert szedł do kabiny nawigacyjnej, deptała mu po piętach. Ponieważ nie znał się na nawigacji, były to długie posiedzenia, podczas których zmuszony był

sięgać po podręczniki. Obydwoje uczyli się od podstaw. Ryzyko nie było wielkie. Odległość sześciuset mil „Marion” pokonywała, w zależności od siły wiatru, w dwa do trzech dni. Wiała trójka, więc płynęli szybko. W takich warunkach wystarczała w zupełności nawigacja zliczeniowa. Jacht był wyposażony w doskonałe przyrządy nawigacyjne. Log, radar, echosonda dawały gwarancję, że nie dojdzie do katastrofy. Radar znacząco zwiększał pole obserwacji, niezależnie od pogody. Precyzyjny log zliczał przebytą drogę. Do Roberta należało wprowadzenie poprawek. Uczył się również nawigacji astralnej. Sekstant traktował z należnym szacunkiem. Codziennie w południe robił pomiar wysokości słońca. Potem szli do kabiny nawigacyjnej i usiłowali za pomocą tabel wyliczyć pozycję. Dla niej znaczenie miało, że może w tym misterium uczestniczyć. Tłumaczył, że jeżeli każde z nich będzie robiło obliczenia osobno, zwiększy się pewność wyliczeń. Była niewielka szansa, że obydwoje popełnią ten sam błąd. Ma się nie przejmować swoją niewiedzą, ponieważ oboje wiedzą tyle samo, czyli nic. Wyjaśnienia znajdują w podręcznikach. Jak jej wyjdzie pozycja na Manhattanie, to będzie oznaczało, że się gdzieś pomyliła. Swoim zwyczajem nie odpowiedziała, lecz wyjaśniała z zadowolenia. Była wreszcie do czegoś potrzebna.

Żeby zrobić dziewczynie przyjemność, pozwalali jej sterować. Dla niej wielkie przeżycie. Oto ona, najnędnieszka dziwka, stoi za kołem sterowym wspaniałego jachtu, jak milionerka albo gwiazda filmowa. Przez pierwsze dni oczekiwała, że zażądadają seksu. Po kilku rozmowach z Jeanem zorientowała się, że traktuje ją jak ojciec i nie jest zainteresowany jej wdziękami. Jeśli idzie o Roberta, niepewność utrzymywała się nieco dłużej. Wkrótce się wyjaśniło, że i jego nie pociąga. Po tym, co przeszła, takie rzeczy jej spowszedniały, ale odczuwała wielką ulgę, że nie musi się z nimi pieprzyć. Nienawidziła swoich prześladowców oraz klientów i wiedziała, że gdyby ją wykorzystywali, na nich by tę nienawiść przeniosła. A tak, lubiła ich z każdym dniem bardziej.

Bermudy, zielone wyspy, to położona u wybrzeży USA jedna z ostatnich pozostałości po potężnym niegdyś Imperium Brytyjskim. Zaczynali w luksusowej marini. Małomiasteczkowa, senna atmosfera kontrastowała z krzykliwymi, pełnymi tandetnego blichtru portami Florydy. W Hamilton mieli kilka spraw do załatwienia. Malowanie kadłuba lakierem zapobiegającym porostom oraz drobne poprawki skutnicze. W sumie trzy dni, gdyby im się spieszyło.

Po śniadaniu Robert znikł. Wrócił po kilku godzinach w doskonałym nastroju, za kierownicą wynajętego buicka. Potem zamknęli się z Jeanem w kabinie i rozmawiali o, jak jej wyjaśnili, „ważnych sprawach”. Wyglądali na chłopców konspiracyjnych w tajemnicy przed rodzicami. Po minach poznała, że rozmawiali o niej, nie miała już jednak podobnych obaw jak w pierwszych dniach. Zaprosili ją na wycieczkę po mieście.

Nie zdziwiła się, kiedy podjechali pod szpital. Była przekonana, że chcą, żeby się dla pewności przebadła. Personel w kolejnych gabinetach był chętny do pomocy i przyjaźnie nastawiony. Wchodziła do gabinetów sama, oni cierpliwie czekali na zewnątrz. Pobrali jej krew, zmierzili wszystko, co się dało, przyjął ją internista, który powtórzył z grubsza te oględziny, które wykonał Jean. Jej uznanie dla niego wzrosło. Następnie poproszono ją do ginekologa. Była skrepowana, ale zacisnęła zęby i pozwoliła się zbadać. Lekarz ustalił, że ma zapalenie, które nieleczone wywołuje powikłania, a nawet bezpłodność. Zapewnił, że po przyjęciu serii zastrzyków wszystko będzie w porządku. Spytał, czy ma jej kto robić zastrzyki, czy będzie potrzebna pielęgniarka. Pomyślała o Jeanie i stwierdziła, że da sobie radę. Na końcu zostawili Jeana samego i przeszli do gabinetu sąsiadującego z salą zabiegową. Lekarz wstał na powitanie. Z Robertem przywitali się serdecznie. Widać było, że już ze sobą rozmawiali.

- Więc to jest ta lekkomyślna młoda dama, o której wspominałeś?
- To ona, we własnej osobie.

- Droga pani, w naszym szpitalu nie przeprowadzamy zabiegów kosmetycznych, ale biorąc pod uwagę, że Rob i ja służyliśmy w czasie wojny w tym samym korpusie, postanowiłem zrobić wyjątek. Usuniemy tatuaż, który - z tego, co słyszałem - powstał, ponieważ ktoś zrobił pani idiotyczny dowcip.

Wreszcie zrozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Rozebrali ją do badania i wtedy musieli zobaczyć, że ma na podbrzuszu, powyżej włosów łonowych, wytatuowane: „kurewka Paganów”. Dobrze pamiętała, jak Marron z niej szydził podczas tatuowania. Starła się wymazać z pamięci to ohydne wspomnienie. Na początku chciała się zbuntować.

Co im do tego, byłam kurwą i nic tego nie zmieni. Nie potrzebuję ich litości, ich współczucia, ich pieniędzy. Po przemyśleniu zmieniła zdanie. Robert dołożył tylu starań. Kłamał, żeby oszczędzić jej wstydu w gabinecie lekarza. Jej najlepszy przyjaciel, Jean, też widocznie uważał, że tak być powinno. Nie potrzebuje łaski, ale nie powie, co myśli. Niech im się wydaje, że to wielka przysługa.

- Dziękuję, panie doktorze. Jestem gotowa.

Zauważyła, że Robert odetchnął z ulgą. A przynajmniej takie wrażenie sprawiał. Zabieg był robiony pod znieczuleniem miejscowym. Okazało się, że jest długi i skomplikowany. Z przerażeniem patrzyła, jak chirurg wycina skalpelem cały płat skóry, na którym był napis, co wyglądało jak zdejmowanie skóry z zająca. Powiedział, że ma szczęście, ponieważ tatuaż nie był wielki. Ślad po zabiegu będzie widoczny, lecz po kilku latach zaniknie. Dodał jeszcze, że tego drania, który to zrobił, własnoręcznie by udusił.

- No, panienko, gotowe. Kiedy znieczulenie przejdzie, będzie bolało. Na wszelki wypadek dałem Robowi zastrzyki z morfiną. Nielegalnie, ale co tam.

W szpitalnej aptece wykupili leki oraz witaminy, które jej zapisano. Do Lou Lou zaczynało docierać, jak wiele dla niej zrobili. Zabieg kosmetyczny w takim szpitalu oraz pozostałe badania i leki musiały kosztować majątek. Doszła do wniosku, że gdyby odmówiła,

okazałaby czarną niewdzięczność. No i najważniejsze – pozbyła się upadającego tatuażu. Jeszcze niedawno potrafiła myśleć tylko o śmierci. I nagle wszystko zaczęło się układać jak w bajce.

Po wyjściu ze szpitala Jean zarządził lunch. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, jaka więź łączy tych dwóch tak różnych mężczyzn. Próbowwała też zgadnąć, skąd Robert ma pieniądze. Poznała jego charakter oraz podejście do życia i doszła do wniosku, że jest niepodobieństwem, żeby zarobił. Póki co siedzieli w eleganckiej restauracji i czekali na zamówione potrawy. Kelner podał smakowicie wyglądające danie z kurczaka. Po obfitym, splukanym winem posiłku Lou Lou poczuła się błogo. Doszła do wniosku, że nadszedł czas, aby ona również coś powiedziała. Rozmawiała z nimi wcześniej, ale to było co innego. Teraz siedzieli przy stoliku, ona mówiła.

- Chcę podziękować za wszystko, co dla mnie robicie. Jestem wam strasznie wdzięczna. Dziękuję, Jean. Dziękuję, Rob.

Jean się wzruszył, Robert był zadowolony. Zaczęli omawiać program na resztę pobytu w Hamilton. Uzgodnili, że jutro pojedą autem na wycieczkę po wyspie – wyprawę odkrywców. Bardzo jej się ta nazwa spodobała. A co do planów na dzisiaj, czekało ją zaskoczenie.

- W Daytona Beach zabrakło czasu na zakupy. Teraz nadrobimy zaległości. Powinnas być elegancko ubrana. Mam nadzieję, że tym razem cię to ucieszy.

Dlaczego „tym razem”, nie dopowiedział. Ponieważ przed chwilą im podziękowała, nie chciał powracać do tego, co zauważył u lekarza.

- No więc, nie chcemy ci nic narzucać. Myślimy z Jeanem – Jean potaknął – że najlepiej będzie, jak sama kupisz, co ci się spodoba. Niedaleko jest galeria handlowa, w której znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. Potem pójdziemy do sklepu z wyposażeniem żeglarskim, tam uzupełnimy zakupy. Ale nic za darmo, moja panno.

No to się zaczyna. Darmowy lunch właśnie się skończył.

- Nie będę stawiał warunków, mam jednak nadzieję, że zrobisz, o co poproszę.

- Tak, Rob? - W gardle jej zaschło.

- Zauważyliśmy, że jesteś inteligentną, porządną dziewczyną. Tylko los ci nie sprzyjał.

Nieco się po takim wstępie rozluźniła. *Może nie będzie tak źle.*

- Masz wrodzony książkowstręt. Odkąd jesteś na jachcie, nawet na żadną nie spojrzałaś. Bardzo byśmy chcieli, żebyś zaczęła czytać.

O co mu chodzi? O jakich on książkach mówi?

- Jeżeli biblioteka jachtowa ci nie odpowiada, pójdziemy do księgarni i wybierzesz powieści, które ci się spodobają.

Ach, o to im chodzi. Pewnie, głupty. Zrobię dla was wszystko. Tacy starzy, a zachowują się jak dzieci.

- Tak, oczywiście, zrobię, jak sobie życzysz.

- Jeżeli nie będzie ci przeszkadzało, podpowiem kilka tytułów.

W galerii czekało ją kolejne zaskoczenie.

- Musisz sobie kupić praktycznie wszystko. Buty, tenisówki, coś na głowę, koszule, jakieś spodenki i koniecznie ubranie na koniec rejsu, bo będzie chłodno. Masz niemało do kupienia.

Wyciągnął z kieszeni plik banknotów. Wysupływał po kolei setki i podawał. Jedna, druga. Spodziewała się, że dostanie najwyżej trzysta dolarów i tylko dlatego, że już poznała jego styl wydawania pieniędzy. Jakby nic dla niego nie znaczyły. Czwarta, piąta, szósta. Zamrugnęła rozpaczliwie oczami i całą siłą swoich chudych rąk ścisnęła dłoń, w której trzymał pieniądze.

- Proszę cię, nie rób tego! Już dałeś za dużo. Nie chcę tyle pieniędzy. Trzysta w zupełności wystarczy. - Starła się ukryć zakłopotanie.

- Poczekaj, aż zobaczysz ceny. Wtedy porozmawiamy, czy dostałaś za dużo.

Umówili się na dziewiętnastą pod palmą. Chciał, żeby dziewczyna nacieszyła się zakupami. Pomyślała, że zakupy byłyby piękniejsze, gdyby mogła je robić razem z kimś. Tylko kto by chciał mieć coś wspólnego z kurwą?

Zakończyli rajd po okolicznych barach i podchmieleni oraz bardzo z siebie zadowoleni przyjechali do galerii.

Już na nich czekała. Była obładowana torbami. Oparty o donicę stał futerał od gitary. Wpatrywała się w Roberta wzrokiem, jakim patrzy na swojego pana spaniel, który nasikał na dywan. Dostała pieniądze na ubrania, kupiła gitarę. Marron by ją za taki wyskok skopał albo zrobił coś jeszcze gorszego. Uwielbiał się nad nią znęcać, a wyobraźnię do wymyślania różnych okropnych rzeczy miał nieograniczoną.

- O co chodzi, Lou Lou?

- Kupiłam gitarę i...

- Przecież widzę, że nie puzon. Nie pochwaliłaś się, że grasz na gitarze. Teraz się nie wymigasz i będziesz musiała dla nas zagrać. Nie dzisiaj, dzisiaj będziesz cierpiała.

I już? Tak po prostu? Świetnie, Lou Lou. Żadnych uwag, żadnego krzyku?

- Co to za gitara?

Szczęśliwa, że może opowiedzieć o swoim ukochanym instrumencie, wpadła w trans. Mówiła bez zastanowienia, w gorączkowym pośpiechu. Tłumaczyła, że starała się być oszczędna.

- Wiesz co? Chodźmy do tego sklepu. Wymienimy gitarę.

Weszli do sklepu. Ruchem ręki posłał obydwójce na kanapę dla gości. Wziął pudło z gitarą i podszedł do ekspedientki. Zaczął z nią rozmawiać. Lou Lou domyśliła się, że ją podrywa, bo dziewczyna zaczęła chichotać. Po chwili poprosił, żeby podeszła.

- Ta urocza pani zgodziła się przyjąć gitarę z powrotem. Pomoże wybrać inną. Możesz kupić każdą. No, pospiesz się, nie mamy całego dnia do stracenia.

Dołączył do Jeana na kanapie. Nie musiała się zastanawiać. Oczywiście była w sklepie gitara, która wzbudziła jej pożądanie, była jednak zdecydowanie za droga. Wyciągnęła ją ze stojaka i podeszła do Roberta.

- Ta mi się podoba najbardziej, ale jest potwornie droga.

- Bierzemy. Proszę o rachunek.

Ekspedientka była zadowolona, sprzedawała drogą gitarę; z drugiej strony żałowała, że ten przystojny mężczyzna tak szybko wychodzi. *A jaki bogaty. Nie dlatego, żeby to było ważne, ale mógłby mnie zabrać na tańce do najlepszego klubu w mieście. W końcu nie żałował pieniędzy dla tej chudej myszy. Na pewno nie jest jego kochanką, ciekawe, skąd ją wytrzasnął. Co za wypłosz! Takie zawsze spadają na cztery łapy. Patrzcie, jaka jestem nieszczęśliwa. Mała cwaniara.*

Robert był zadowolony. Już dawno zrozumiał, że pieniądze są jak kobiety. Przychodzą do tych, którym na nich nie zależy. Uważał, że ma ich za dużo. Sam nigdy tyle nie wyda. Naturalnie, zostawi w spadku dzieciom, ale co im za różnica, po ile milionów dostaną? A tak, ma znakomitą zabawę z tą małą. Może niewielkim kosztem dać jej tyle radości. Jak ona niewiele potrzebuje do szczęścia.

Wrócili na jacht, żeby się odświeżyć i przebrać. Do Lou Lou zaczęło docierać, że nie żyje snem, z którego się obudzi w koszmarnej rzeczywistości. Całą drogę kurczowo ścisnęła gitarę i pyłowała bez składu i ładu, byle mówić cokolwiek. Jeszcze niedawno, gdyby zaczęła mówić niepytana, toby dostała parę strzałów w pysk, żeby nie zapominała, gdzie jej miejsce. Mieli zamiar zakosztować nocnego życia Hamilton. Robert potrzebował wsparcia Jeana, żeby wyperswadować jej zabieranie gitary. Nie chciała jej zostawić, bała się, że ukradną. W zestawie klubowym, ciemnogrnatowej, dwurzędowej marynarce z metalowymi guzikami i jasnopopielatych spodniach, z blizną, wąsikiem i pewnością siebie, wyglądał jak admirał. Nawet Lou Lou była pod wrażeniem, ale starała się na niego nie gapić.

Sprawy w restauracji potoczyły się nie tak, jak oczekiwała. Po kolacji zaczęła grać orkiestra, na parkiecie pojawiły się pary. Robert nie musiał szukać długo, wprawnym okiem wyłuskał kobiety, które przyszły bez partnerów. Wendy, długonoga amerykańska dziennikarka, wyrwała się na parę dni z Waszyngtonu ze swym kochankiem, wpływowym senatorem. Po dwóch dniach pilne sprawy

wezwały go do powrotu. Miała opłacony pobyt w najlepszym hotelu, więc postanowiła używać życia. Tego wieczoru wyruszyła na łowy. Nie trzeba im było wiele czasu, żeby się porozumieli i po kilku tańcach zdecydowali przenieść do jej pokoju. Poszeptał chwilę z Jeanem i wyszedł. Dziewczyna nie połapała się w temacie. Dopiero Jean otworzył jej oczy. Poczowała się dziwnie, nic do Roberta nie czuła, nie miała ciepłych uczuć dla nikogo oprócz Jeana. Postanowiła do końca życia unikać mężczyzn i nie pieprzyć się z nikim. Chyba że znowu ktoś ją zmusi. Była zdeterminowana, w razie czego będzie walczyć do końca. Wszystko to wymyśliła przez ostatnie dwa dni. A teraz Robert ulotnił się z jakąś dziumdzią, a ona była bardzo niezadowolona. Jean zrobił jej zastrzyk w pupę. Miał ochotę dać niewinnego klapsa, ale Robert ostrzegał, żeby nawet w żartach nie używał żadnych form przemocy, klapsów, przytrzymywania rąk czy czegoś podobnego.

Lou Lou poczuła się gorzej. Zaczęło ją boleć, znieczulenie przestało działać. Gitara w magiczny sposób poprawiła jej samopoczucie. Nastroiła ją i zaczęła grać. Beatlesów, Johnny'ego Casha, na koniec *Like a Rolling Stone* Dylana. Zasnęła w messie, obejmując swój największy skarb. Jean zaniósł ją do kabiny.

Mieli wyjechać na wycieczkę z samego rana, jednak Robert zjawił się dopiero o dziesiątej. Był po śniadaniu, więc zaraz wyruszyli. Otworzyli dach i rozkoszowali się powiewami świeżego wiatru. Uświadomiła sobie, że nic nie wie o swoich przyjaciółkach. Postanowiła po powrocie wziąć Jeana na spytki.

Następnego dnia wyruszyli w rejs przez ocean. Wypłynęli, tradycyjnie już, wieczorem. Po postawieniu żagli zasiedli w kokpicie. Robert sterował i pił herbatę z rumem, Jean czarną kawę, Lou Lou gorącą czekoladę. Po raz pierwszy poczuła się pełnoprawnym członkiem załogi. Zapytała, jak się podzielał wachtami przy sterze. Była z siebie dumna, że zadała profesjonalne pytanie.

- Nie ma takiej potrzeby, mamy samoster - wyjaśnił Robert.

Wskazał urządzenie, które ją od dawna intrygowało. Nie umiała go rozgryźć, a wstydziła się zapytać. Poprzedni właściciel miał bzika

na punkcie bezpieczeństwa i nie żałował pieniędzy na jego zapewnienie. Dlatego radar posiadał dodatkową funkcję. Pojawienie się nowego obiektu w strefie trzech mil sygnalizował zapaleniem czerwonej lampki oraz cichym brzęczeniem¹²⁵. Takiej funkcji nie miały radary nawet na nowoczesnych statkach handlowych.

Dzień upływał w powolnym rytmie, każdy robił to, na co miał ochotę. Jean realizował się w kuchni. Dziewczyna większość czasu spędzała z nim. Trochę pomagała, trochę zamęczała pytaniami. Na początku próbował zbyć ją żartami. Opowiadał, że Robert jest szefem kartelu narkotykowego, a on specjalistą od mokrej roboty. Nie z Lou Lou takie numery. Szczegół po szczególe wydobywała z niego fakty. Jak każdą kobietę najbardziej interesowało ją, czy są żonaci, i jak każda kobieta z ulgą przyjęła wiadomość, że nie są.

Po południu Robert postanowił się z nią rozmówić. Spędziła z nimi tydzień, a wiele spraw pozostawało w sferze niedopowiedzeń. Na początek omówił wszystkie sprawy organizacyjne. Potem było trudniej. Chwalił, że jest inteligentna, dysponuje potencjałem, ma przed sobą przyszłość. Ale, nie z jej winy, rzecz jasna, ma pewne braki w sposobie wystawiania i wiedzy ogólnej. Nie wypytywał o wykształcenie i bez pytania sprawa była oczywista. Przestała chodzić do szkoły w wieku szesnastu lat, wychowywała się w najgorszej dzielnicy Atlanty. Dlatego on sugeruje, tylko sugeruje, że coś z tym należy zrobić. Najlepiej, żeby zaczęła czytać. Na jachcie nie ma nauczycieli, książki pomogą tę lukę wypełnić.

- Pracy na pokładzie nie ma zbyt wiele i może... Z twoimi zdolnościami... - To akurat mówił z przekonaniem.

- Naturalnie. Już ci to raz obiecałam.

Za dobrze mi idzie - pomyślał z niepokojem.

- Czy możesz szczerze odpowiedzieć na jedno pytanie?

Zaskoczyła go, do tej pory nie wykazywała inicjatywy. O nic nie prosiła, o nic nie pytała.

- Dlaczego to wszystko dla mnie robicie? Przecież wiecie, kim byłam.

Spodziewał się tego pytania, lecz nie tak prędko i z pewnością nie tak bezpośrednio.

- Jest taki chiński przesąd. Jeżeli uratujesz komuś życie, stajesz się za niego odpowiedzialny. Wprawdzie nie uratowałem ci życia, skończyłoby się zapewne na pobiciu, ale na wszelki wypadek, żeby chiński smok mnie nie prześladował, będę ci pomagał. I wbij sobie do głowy, moja panno, że na tym jachcie przeszłość nie istnieje. Żyjemy teraźniejszością. Jeżeli to konieczne, myślimy o przyszłości.

Zaczerwieniła się. Wyglądało na to, że z radości. Jean z uznaniem kiwał głową.

Stwierdził, że poszło nadspodziewanie łatwo. Wybrał dla niej Pigmaliona, żeby zaczęła od czegoś pogodnego. Reszta przedpołudnia była równie ciekawa. Robert obudził Jeana, który właśnie ucinał sobie drzemkę.

- Czas rozprostować kości, stary.

„Marion” nie miała nadbudówki, dlatego pokład był płaski. Było wprawdzie mniej przestrzeni pod pokładem, ale nawet Robertowi sufit nie wisiał nad głową. Obawiał się, że długie przebywanie na jachcie bez wysiłku fizycznego może się nie najlepiej skończyć, dlatego kupił sprzęt sportowy. Wyciągnęli na pokład przyrządy do ćwiczeń: rower, wiosła, ławkę i inne. Z instrukcjami w ręku uruchamiali poszczególne urządzenia. Bawili się przy tym i robili mnóstwo hałasu. Ćwiczyli, wygłupiając się niemiłosiernie. Lou Lou obserwowała ich spod oka. Wreszcie nie wytrzymała, odłożyła książkę i stanęła z boku, przyglądając się w milczeniu. Przez myśl jej nie przeszło, że można tak bezproduktywnie tracić czas. Nie podobało się jej jednak, że została wykluczona. Nawet nie spytali, czy chce się przyłączyć. Dotąd wszystko robili wspólnie i od niczego jej nie odsuwali. W końcu się przemogła i zapytała, czy może spróbować. Spojrzeli po sobie i Jean, ten zdrajca, któremu najbardziej ufała, powiedział coś oburzającego!

- Przyrządy są dla mężczyzn! Kobiety nie mogą ćwiczyć, bo zaraz popsują.

Kobiety! Jakby tu jeszcze jakieś były oprócz niej. Ku jej zaskoczeniu, Robert się za nią ujął.

- Możemy pójść na takie ustępstwo pod warunkiem, że zagrasz na gitarze. Nie będzie grania, nie będzie ćwiczeń.

Przysięgła na wszystkie świętości, że zagra, i próbowała zepchnąć Jeana z rowerka. Śmiali się jak wariaci, bo ważyła połowę tego, co on. Po chwili spociała się i z zażenowaniem rozebrała do kostiumu. Na pokładzie jachtu przy takiej pogodzie nie dawało się wytrzymać w ubraniu. Wstydziła się chudości, sińców, które na szczęście zaczęły znikać, oraz całego swojego wyglądu. Zdecydowała, że lepiej mieć to za sobą. Ani Robert, ani Jean nie zaszczycili jej jednym spojrzeniem. Była im bardzo wdzięczna.

Ocean przyglądał im się z zaciekawieniem i niewyczerpaną cierpliwością. Płynęli na północny wschód. Wiatr im sprzyjał, wiała trójka z południowego zachodu. Żeby uczcić pierwszy dzień na morzu, Jean przygotował wystawną kolację. Lou Lou nałożyła sobie sporą porcję. Jadła z wielkim apetytem, niestety głośno. No, ciamkała. Robert nie wiedział, jak taktownie zwrócić uwagę, że nie potrafi zachować się przy stole. Postanowił odłożyć temat na później.

Po kolacji rozsiedli się wygodnie na pokładzie, a ona wyciągnęła gitarę. Początkowo tylko czule ją muskała i stroiła. Potem zaczęła grać. Nie była wirtuozem, braki techniczne nadrabiała uczuciem i osobowością. Miała zaskakująco głęboki, piękny głos. Zagrała kilka melodii folkrockowych, wypełniając meszę ciepłem. Kiedy skończyła, zapadła cisza. Żeby zmienić nastrój, zaśpiewała roześmiane ballady country. Zakończyła piosenkami Woody'ego Guthriego.

Od następnego dnia ustaliła się pogodna rutyna. Jedli, spali, czytali, dyskutowali. Wszyscy troje, każde na swój sposób, zadowoleni z takiego życia. Lou Lou w wielkich okularach przeciwsłonecznych, niedbale wyciągnięta na leżaku, czytała Pigmaliona. Robert podejrział, że już kończy. Widocznie zaczęła poprzedniego dnia, przed zaśnięciem. Od czasu do czasu wybuchała śmiechem.

Udało się jej wydusić z Jeana, kim była Marion. Instynktownie ją zniechęciła. Tak bez powodu. Odkryła też, że jedząc mniej, nie czuje się ociężała. Nigdy przedtem w swoim krótkim życiu nie jadła równie smacznych potraw. Było to dla niej nowe doświadczenie. Podobnie jak festiwal nieznanego smaku.

Po raz pierwszy Robert przyjrzał się jej tak, jak mężczyzna przygląda się kobiecie. Nogi długie. Jak przytyje, uda się wypełniać, będzie zgrabna. Drobne cycki młodziutkiej dziewczyny. Tyłek za chudy. Szyja smukła, włosy czarne, pofalowane. Kiedy urosną, będą śliczne. W sumie całkiem niezłe – ocenił okiem znawcy. Nie patrzył na nią jak na kobietę, ale jak na nieszczęsną istotę, którą los postawił na jego drodze w nieznanym mu celu. Zdawał sobie sprawę, że po przejściach trudno jej będzie pokochać mężczyznę. *Niech inni zmagają się z jej przeszłością.* Zakończył oględziny zadowolony, że pochłonięta lekturą, nie zauważyła, jak się jej przyglądał. Skończyła czytać przed kolacją i zrobiła rzeczową recenzję.

- Higgins? Dużo myślał, dlatego był bardzo mądry. Roztargniony, ale poczciwy. Jak sądzisz, Jean, czy wszyscy profesorowie są tacy? – Robert nie cieszył się nawet w połowie tak dużym autorytetem, jak jego przyjaciel. – Eliza to fajna dziewczyna, bo podążała za biciem serca. Chciałabym mieć taką przyjaciółkę. Tylko ten spadek, widać, że autor nie znał życia. Mógł się lepiej postarać. Ojciec Elizy powinien forsę ukraść. Wtedy byłoby jak trzeba, prawda, Jean?

Robert zaśmiewał się z tej recenzji. Obrażona pokazała język i poszła do kabiny. Po kolacji podziękowała łaskawie za *Pigmaliona* i poprosiła o kolejnego tipa. Poleciał jej *Naszego człowieka w Hawanie* Greena. Poszła do swojej kabiny, z której raz po raz dobiegał śmiech.

Ciemne chmury zebrały się następnego dnia po południu. Lou Lou ćwiczyła krótko i widać było, że się przymusza. Nie chciała jeść. Nie pomogły zachęty Jeana. Potem znikła w kabinie. Tym razem nie dochodziły z niej śmiechy. Wieczorem sytuacja wyglądała gorzej. Nadal nie miała apetytu. Po konsultacji z Jeanem Robert ustalił, że się nie myła. Zapukał do kabiny. Ponieważ nie odpowiedziała, wszedł

ostrożnie. Leżała na koi w ubraniu. Podniosła głowę, spoglądając na niego wypełnionymi smutkiem oczami. Niechętnie odpowiadała na pytania. Wiadome było, że dzieje się coś złego. I to w jej duszy. Nie próbował wypytywać. Od dnia, w którym przyniósł ją na jacht, miał przeczucie, że będą z nią mieli problemy. Zaskoczył go jednak żywiołowy rozwój depresji.

Na jachcie zapanowała ciężka atmosfera. Znikł gdzieś radosny gwar i śmiech. Samopoczucie Lou Lou wywierało na nich przygnębiający wpływ. Byli bezradni. Na środku oceanu, bez lekarza, bez leków nie mogli jej wiele pomóc. Wiedziony złym przeczuciem, poprosił Jeana, żeby miał na nią oko. Sam też dyskretnie ją obserwował. Ustalili, że nie będą jej namawiali na rozmowę. Wieczorem poszła do łazienki. Długo nie wychodziła, słyszeli szum prysznic. Wody mieli wprawdzie dosyć, obowiązywały jednak ograniczenia. Prysznic? Proszę bardzo, ale szybki. Robert rzucił się do drzwi łazienki. Były zamknięte. Zdesperowani wyrwali je z zawiasami. Woda leciała, Lou Lou leżała na podłodze. Z przegubów sączyła się splukiwana do odpływu krew. Obok niej leżała żyłtka wyjęta z maszynki do golenia. Na ich oczach traciła przytomność. Jean zabrał się za tamowanie krwi. Kiedy mu się udało, przeniósł ją na stół w messie, wytarł i okrył kocem. Potem wziął się za zszywanie. Robert chciał jej podać morfinę, ale pokręcił głową.

- Niech boli. Dopóki jest przytomna, jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Skończył zszywanie sznytów. Biała jak kreda twarz zaczęła nabierać kolorów. Przyniósł piżamę, ubrał ją, a potem zaniósł do koi. Przyciągnął swój materac i rozłożył na podłodze, blisko Lou Lou. Mógł teraz porozmawiać z Robertem. To, co od niego usłyszał, nie brzmiało optymistycznie.

- Nie mam wiedzy teoretycznej o chorobach duszy. Mam pewne doświadczenie. Po śmierci Marion wpadłem w głęboką depresję. Nie mogłem przeboleć jej odejścia. Objawy wyglądały podobnie. Nachodziły mnie myśli samobójcze. Miałem dzieci, więc nie mogłem

po prostu odejść. Nie wiem, jak by się moja depresja skończyła, gdyby nie egipski mag. Medycyna nie pomogła, uratowała mnie wiedza tajemna. Na oceanie maga nie znajdziemy.

- Poradzisz sobie, musisz poradzić. Ja w ciebie wierzę. - Jean zniknął w kabinie dziewczyny.

Jacht był wyposażony w radiostację umożliwiającą rozmowy z całym światem. Odnalazł kanał przeznaczony dla krótkofalowców. Udało się nawiązać łączność z psychiatrą. Mimo najszczerszych chęci niewiele pomógł. Świt zastał go zasłuchanego w rozproszone po zakamarkach umysłu myśli. Jean też nie spał dobrze. I Lou Lou miała tej nocy niespokojne, pełne koszmarów sny.

Nadszedł nowy dzień. W powietrzu czuć było wilgoć, wiatr osłabł. Ocean zmienił kolor ze szmaragdu na ołowiany pobłysk. Wstała, kiedy kończyli śniadanie. Zwlokła się z koi i niepewnym krokiem dotarła do messy. Jadła bardzo niewiele, za to piła dużo. Nie odzywała się, a oni nie wiedzieli, o czym z nią rozmawiać. Przy stole panowało grobowe milczenie, tak różne od rozbrzmiewającego jeszcze niedawno radosnego gwaru.

Skończyła jeść i wstała od stołu. Powiedziała tylko:

- Niepotrzebnie mnie ratowaliście. Zrobię to ponownie.

Wyglądało na to, że dotrzyma obietnicy. Z martwą twarzą usiadła na rufie z podwiniętymi po turecku nogami i zastygła w tej pozycji. Wpatrywała się w siebie tylko wiadomy punkt na horyzoncie. Jean miał niewesołą minę.

- Już wiesz, co jej dolega?

- Depresja, niestety ciężka. Ta dziewczyna ma okaleczoną duszę.

- Pamiętam. Mówiłeś: „Nie przytrzymuj rąk, żadnych klapsów, nawet w żartach”. Tego się bałeś?

- Nie tego, ale miałem inne, również nie najlepsze przeczucia.

- Twoje przeczucia niestety się spełniły. Jak możemy pomóc?

- W nocy rozmawiałem przez radiostację z psychiatrą. Nie pozostawił złudzeń. Sytuacja jest nieciekawa.

- Beznadziejna?

- Nie powiedziałem „beznadziejna”, tylko nieciekawa. Płakała?
- Nie widziałem. Nie, nie płakała. Musisz ją uratować. Dasz radę, prawda?

Jean nigdy o nic nie prosił. Teraz prosił i to tak bardzo.

- Postaram się, ale niczego nie mogę obiecać.
- Mogę pomóc?
- Musisz.
- Co mam zrobić?
- Teraz nie powiem, ale jak się dowiesz, masz wykonywać wszystkie polecenia bez zastanowienia. I żadnych pytań!
- *Aye aye, o Captain, my Captain!*¹²⁶ - Jean uśmiechnął się gorzko.

Kolejne godziny nie przyniosły poprawy. Po południu przystąpił do egzekucji swojego planu. Zrefował żagle, jacht wyraźnie zwolnił. Wydał instrukcje zaskoczonemu Jeanowi i zniknął w kabinie dokończyć przygotowania. Zdawał sobie sprawę, że sam pomysł jest w najwyższym stopniu niebezpieczny i skrajnie nieodpowiedzialny, ale na inny niestety nie wpadł. Wiedział również, że musi działać szybko i bez zawahania, inaczej strach go sparaliżuje. Pogodzony z ryzykiem, wyszedł na pokład. Lou Lou siedziała bez słowa, nieruchoma jak Sfinks. Podszedł zdecydowanym krokiem i wrzasnął jej prosto w ucho:

- *What a fuckin' idiot!*¹²⁷ Siedzisz tu i celowo obrzydzasz nam życie! Po jaką cholere mamy cię znosić, kretynko?! Jak chcesz nam uprzykrzać rejs, nie będę czekał, aż się łaskawie ukatrupisz. Pozbędę się ciebie.

Zaskoczona jego zaciekłością, podniosła głowę. Twarz Roberta zrobiła się purpurowa, wykrzywiona złością. Zanim zdążyła pomyśleć, poderwał ją i krzycząc: „*Go to hell!*”, wrzucił do wody. Pływała słabo. Gwałtowność ataku spowodowała, że nie zdążyła zamknąć ust i napiła się wody. Strach ją sparaliżował.

- Jean! - ryknął, cały czas obserwując miejsce, w którym znikła pod wodą.

Jean wyskoczył na pokład i chwycił koło sterowe. Ponieważ słyszał wrzaski, zrozumiał, co zaszło. Instrukcję dostał prostą: zapalić silnik, wrzucić całą wstecz, dać luz na żaglach i utrzymywać jacht na kursie przeciwnym.

Koszulę rozerwał jednym szarpnięciem. Zanim ją odrzucił, wyciągnął z kieszonki okularki pływackie i naciągnął na głowę. Przygotował się niezwykle drobiazgowo. Każdy, nawet najmniejszy błąd oznaczał nieuchronne utonięcie dziewczyny. Nie minęło kilka sekund, a był gotowy do skoku w miejsce, które obserwował. Głowa nie ukazała się na powierzchni, Lou Lou tonęła. Wszystko zależało od niego, a on, śmiertelnie przerażony, czekał. Jacht wytracał prędkość, jednak olbrzymia inercja nie pozwalała ruszyć do tyłu. Byli oddaleni od miejsca, w którym wpadła do wody, o ponad dwieście metrów. Wreszcie rufa poprzedzana wzburzoną wałą wodnym, wywołanym przez wirujące z maksymalną prędkością śruby, ruszyła wstecz. Od zanurzenia dziewczyny upłynęło trzydzieści sekund i nieubłaganie ich przybywało. Skoczył, kiedy rufa znalazła się w jego ocenie kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym wpadła do oceanu. Wszedł w wodę pod dużym kątem, żeby zanurzyć się jak najgłębiej. Część dystansu pokonał rozpędem. Znalazł się w okolicy miejsca, w którym, według jego obarczonych nieuchronnym błędem przewidywań, tonęła Lou Lou. Zawieszony we wspianym, przerażającym błękanie, niczego nie dostrzegał. Płynął, przepatrując toń. Po zaledwie kilku metrach dostrzegł coś albo mu się wydawało. Złożył się w pół i zanurkował w głąb, na rozmytą plamę, która, ku jego niewyobrażalnej uldze, z każdą sekundą rosła. Chwycił za włosy i pociągnął ku powierzchni. Kilkoma ruchami podpłynął do jachtu. Nie oddychała. Podał jej rękę Jeanowi, potem wszedł na pokład. Dostał gwałtownych dreszczy, rozdzwoniły się zęby.

Jean cucił Lou Lou. Z głośnym charkotem bezskutecznie usiłowała zaczerpnąć powietrza. Wreszcie z jej gardła, bulgocząc, wypłynęła woda, a oddech powoli się uspokajał. Wydawała z siebie dziwne odgłosy, ni to szloch, ni rżenie.

Odzyskała siły, a po kilku minutach chwiejnie stanęła na nogi. Zobaczyła Roberta, słabym głosem krzyknęła: „Ty gnoju!” i się na niego rzuciła. Rozjuszona, usiłowała drapać po twarzy, okładała pięściami. Nie zasłaniał się. Była tak osłabiona, że uderzenia nie robiły na nim większego wrażenia. W końcu się uspokoiła. Jean chciał ją zaprowadzić do kabiny. Wyszarpnęła się z wściekłością i zeszła sama. Z całej siły zatrzęsnęła za sobą drzwi kabiny.

Wyłączyli silnik i ustawili jacht na poprzednim kursie. Robert poszedł się przebrać. Jean zrobił mu herbatę, do której dolał bosmańską porcję rumu. Z kabiny Lou Lou nie dochodziły żadne dźwięki. Oni też siedzieli w milczeniu. Nie było o czym gadać. Jacht majestatycznie sunął naprzód. Ocean był jak zwykle obojętny. Zapadał zmrok.

Długo nie mogła się uspokoić. Emocje były zbyt żywe. Zaskakujący, furiacki atak. Przerazenie. Woda, jaka zimna! Zalewa twarz, wdziera się do gardła, do płuc. Strach. Tonięcie nie było przynoszącym ukojenie zapadaniem w nicość po podcięciu żył. Rozsadzający ból w płucach, przerażenie i jedna myśl: „Nie chcę umierać”. Beznadziejna walka o oddech. Potworny żal. Dlaczego? Chcę żyć! Jean, ratuj! Neeee! Koniec, ciemność.

Takie właśnie miała wspomnienia. Leżała na koi w mokrym ubraniu, koja przemokła. Nieoczekiwanie ogarnął ją kojący spokój.

Żyję! Jakie to szczęście! Dwukrotnie przeżyłam własną śmierć. I wystarczy.

Z tej trzeciej nie zdawała sobie sprawy. Kiedy wyszła z kabiny, Robert i Jean siedzieli w kokpicie. Pochyleni, rozmawiali przyciszonymi głosami. Nie podnieśli głów. Robert palił cygaro. Nie wiedziała, co ze sobą począć. Poczuła się niepotrzebna, wróciła do kabiny. Koją była mokra. Jakie to ma znaczenie? Położyła się na podłodze i natychmiast zasnęła. Obudziło ją pukanie.

- Kolacja! - I cisza.

Na stole nakrycie dla jednej osoby. Jedzenie na półmisku. A oni? Brudne talerze w zlewie. Nie wiedziała, gdzie są. Nie będzie ich

szukać. Co im powie? Wygłodniała, pochłonęła wszystko. Nadal nikt się nie pojawiał. Przyszła jej do głowy kretyńska myśl. Porzucili jacht, odpłynęli. Zostawili ją na środku oceanu. *Idiotka! Nie wymyślaj takich bzdur. Jeszcze nie zwariowałaś.*

Czekała w messie. Jedną godzinę, drugą. Pod drzwiami kabiny Roberta cieniutki promień światła. Jean też był w swojej kabynie. Cisza. Zawsze przesiadywali w messie. Popijali, wygłupiali się, żartowali, rozmawiali, wyklócali się. Jak im się znudziło, Robert czytał książkę, Jean wychodził na pokład i spacerował. Pokład był duży, miał gdzie chodzić. Tam i z powrotem.

Nadal była głodna. W lodówce znalazła mięso na zimno, pikle, sery. Jadła szybko, zachłannie, jakby ktoś miał jej zabrać. Popiła zimnym mlekiem. Co dalej? Dalej? Będzie jutro.

Żyje. Tylko to się liczy. Pięknie jest żyć. Jaki to dzień? Dzień urodzin. Na tym jachcie piątek jest sobotą, a sobota wtorkiem.

Robert obudził się pierwszy, chociaż spał zaledwie cztery godziny. Poprzedniej nocy nie spał wcale. I te emocje. *Jestem za stary na takie wyczyny. Co mamy począć z tą smarkulą?* Przed zaśnięciem próbował coś wymyślić, był jednak wykończony. Z trudem przypomniał sobie, o czym myślał przed zaśnięciem.

Jean i Lou Lou siedzieli przy stole. W milczeniu czekali. Jest kapitanem, nie wolno bez niego zaczynać. Jedli też w milczeniu. Śniadanie skromne. Jean sprzątał po kolacji, ona pomagała. Robert siedział i czekał. Kiedy skończyli, gestem zaprosił do stołu. Usiadł naprzeciw niej, Jean z boku, jak obserwator.

- Bardzo nas zawiodłaś. Popsułaś całą przyjemność z rejsu, a tak się cieszyliśmy z twojego towarzystwa. Pójdiesz do kabiny, a my się zastanowimy, jaką ci wymierzyć karę.

Co się dzieje? Przecież nigdy tacy nie byli. Ale ich rozsierdziłam. Z uchem w szparze niedomkniętych drzwi, podsłuchiwała.

Jean: Więc co z nią zrobimy?

Robert: Jak to co? Nic. Wymyślimy karę i będziemy się cieszyli, że dała sobie spokój z samobójstwami. Przynajmniej na to wygląda. Widziałeś, jak pochłonęła kolację? Musimy coś znaleźć. Nie będzie łatwo. Przecież nie będziemy jej karać za depresję. Po tym, co przeszła, jakiegokolwiek karanie byłoby barbarzyństwem. Ale jeżeli nie chcemy nawrotu, musimy ją ukarać. Tak mi się wydaje, nie jestem psychiatrą. Kara nie może być fizyczna ani poniżająca.

Jean: To co robimy?

Robert: Zakaz wstępu do nawigacyjnej. To chyba za mało?

Jean: Może szlaban na alkohol?

Robert: Jesteś genialny!

Jean: Zgoda, ale z wyjątkiem wina do obiadu. Dla zdrowia. Takie chucherko.

Robert: Poproś ją.

- No więc ustaliliśmy, jak zostaniesz ukarana. Masz zakaz wstępu do kabiny nawigacyjnej i zakaz picia alkoholu, z wyjątkiem wina do obiadu.

Na wargach Lou Lou pojawił się uśmiezek, który szybciotko zakryła dłonią. Z najwyższym trudem powstrzymywała wesołość.

Uratowali mnie, teraz udają, że chcą ukarać. Co mogą wiedzieć o karach? Marron, ten potrafił karać, nie przez przypadek nazwali go Szatan. Najchętniej bym ci zrobiła loda, taki jesteś kochany, Rob. Całe szczęście, że nie potrafi czytać w myślach. Zachowuj się, dziewczyno, nie świntusz! Aye, aye, kapitanie.

Nowy dzień. Lou Lou jest szczęśliwa i pełna życia, a wszyscy są z tego bardzo, ale to bardzo zadowoleni. Robert i Lou Lou siedzą na pokładzie i czytają. Ona kończy *Naszego człowieka w Hawanie*.

- Nigdy w życiu tyle się nie naśmiałam. Poleć podobną.

- Może *Kapitański stół* Gordona albo jakiś romans?

- Niech będzie ten *Kapitański stół*. To jakieś przepisy kulinarne?

Było gorąco. Pojawił się Jean z tacą. Dla Roberta schłodzone białe wino z kawałkiem brzoskwini. Dla niej porcelanowy kubek. Chyba

z sokiem. Spróbowała. Białe wino z brzoskwinią. Jean stał w zejściówce tak, żeby Robert go nie widział. Uśmiechał się szeroko, jak to on. Wskazał miejsce, w którym siedział Robert, i przyłożył palec do ust. Potem kantem dłoni przejechał po szyi, przewracając oczami. Leciutko się uśmiechnęła.

Godzina ćwiczeń. Robert wyzywa Jeana na pojedynek. Rowerek ma licznik. Który z nich przejedzie dłuższy dystans.

- Ja też, ja też! - wykrzykuje Lou Lou.

- Ty, chucherko? - nabijają się z niej.

Startuje Jean. Pędzi jak szalony, szybko jednak opada z sił. Nie te lata, nie ta kondycja, słaby wynik. Kolej na Roberta. Nie musi się wysilać, wygraną ma w kieszeni. Teraz Lou Lou, kobieta po przejściach. Pedałuje jak najszybciej. Mięśnie bolą. Jest niewytrenowana. Przegrywa z Robertem, wygrywa z Jeanem. Mruczy pod nosem. *Just you wait, `aptain `obert, just you wait!*¹²⁸

Przez cały dzień dziewczyna włąziła im pod rękę, wykonując mnóstwo herkulesowych prac. Zmywała naczynia, szorowała gorliwie pokład, zmuszając ich do przestawiania leżaków, donosiła drinki, pomagała w kuchni, a nawet wysprzątała im kabiny, w których panował wzorowy męski bałagan. Po jej porządkach niczego oczywiście nie mogli znaleźć. Zawsze chciała zrobić coś dla innych, kiedy była szczęśliwa. Po kolacji Robert zarządził zebranie załogi. Ucieszyła się, że za karę jej nie wykluczyli. *Pewnie jeszcze wtedy nie wiedzieli, że je zrobią.*

Robert (oficjalnie): Jest nowy rozkaz kapitana. Nie wolno wracać do ostatnich wydarzeń. Obowiązuje zakaz. Kto go złamie, zostanie przeciągnięty pod kilem.

Lou Lou: A jeżeli zakaz złamie kapitan?

Robert (oburzony): Kapitan nie może być przeciągany pod kilem!

Mówią wszyscy naraz. Kłócą się.

Robert (stanowczo): Koniec dyskusji. Drugi punkt. Ponieważ z powodów, o których nie mogę wspominać, straciliśmy kilka dni, to może przedłużymy rejs?

Lou Lou (wykrzykuje): Tak, tak, bardzo bym chciała. Tak mi tutaj dobrze!

Jean (protestuje): Niedługo zaczyna się sezon piłkarski. Nie zgadzam się!

Robert (z fałszywą troską): Sama widzisz. Chciałem dobrze.

Lou Lou ma nieszczęśliwą minę. Za nic w świecie nie zrobi przykrości Jeanowi. Ale tak by chciała jeszcze z nimi pobyc. Najlepiej, żeby ten rejs trwał wiecznie. Do kresu czasu. Robert zarządza tajne głosowanie. Każdy ma napisać na karteczce plus, jeżeli chce przedłużyć rejs, albo minus, jeżeli się nie zgadza. Wyciąga karteczki z kubka. Rozprostowuje. Patrzy i przez chwilę nie może zrozumieć. Przecież głosował za i ona też, a są dwie przeciw, jedna za. Dociera do niego, że nie chciała zrobić przykrości Jeanowi. Jak z tego wybrnąć? Nie ma pomysłu, trzeba się przyznać.

- Chcieliśmy pożartować twoim kosztem. Jeana piłka nożna nie interesuje.

- Mnie to nie bawi - oświadczyła wyniosłym tonem. - To co w końcu robimy?

- Jak to co? Przedłużamy rejs! Wszyscy jesteście za.

Wyciągnął mapę środkowego Atlantyku. Zmienia kurs z północno-wschodniego na południowy. Będą płynęli na południe, aż dotrą do pasatu wiejącego z Wysp Kanaryjskich do Karaibów, który zaniósł Kolumba do Nowego Świata. Popłyną w przeciwnym kierunku, więc będą halsowali. Proszą Lou Lou, żeby zagrała. Ona pędzi po gitarę. Tak jej spieszo, żeby dla nich zagrać, że się potyka i rozciąga jak długa. Natychmiast wstaje i masując kolano, idzie do kabiny. Śpiewa urzekająco. Kiedy kończy, proszą, żeby śpiewała dalej. Tej nocy zasypia natychmiast. Nic się jej nie śni. Rano bierze Jeana na spytki.

- Dzień dobry, słoneczko, jak się miewasz?

- A, dziękuję, bardzo dobrze. Masz mi opowiedzieć o Robercie. - Z energią przystąpiła do przesłuchania.

- Dziewczyno, gdybym chciał o nim opowiedzieć, tobym gadał od rana do wieczora przez pół rejsu - śmieje się.

- Opowiadaj od początku. Kim była Marion? - Nie tak łatwo ją zbyć.

- Albo od początku, albo o Marion.

- Opowiedz o Marion.

- Była jego żoną, jest wdowcem. Zmarła na nowotwór. Bardzo się kochali.

- Jaka była Marion? - Wstydzi się spytać, czy była piękna.

- Nie poznałem jej, niestety. Kiedy umarła, Robert przyjechał do Francji. Wtedy się poznaliśmy.

- Kim jest Robert, gdzie się urodził? - wyciąga od Jeana wszystko.

Siedzą na pokładzie i czytają. Pierwszy raz patrzy na niego jak na mężczyznę. Ogląda szczegół po szczególe. Siedzi tak blisko, że czuje zapach jego skóry, który na słońcu staje się intensywniejszy. Nie ma erotycznych myśli. Zresztą, taki facet nie polecą na kurwę. Nawet na byłą. On może mieć każdą piękną kobietę, której zapragnie. Jak tę cholerną Wendy. Ogląda go tak, jak się ogląda eksponat w muzeum. Rzeźbę albo obraz. Od zapachu jego skóry kręci jej się w głowie. *Podoba mi się, a go nie pożądam. Nigdy nie będę z mężczyzną.*

Robert wyciągnął wędkę, którą kupił w Hamilton, i zarzucił. Za jachtem ciągną przynętę - wielką, czerwoną sztuczną muchę. Ryby morskie są drapieżne. Taka przynęta powinna się sprawdzić. Lou Lou była tak podekscytowana, że podskakiwała. Liczyła, że zaraz coś złowią. Tłumaczył, że środek oceanu jest pusty i jedynym połowem, na jaki mogą liczyć, są tuńczyki, nomadowie, wielkimi stadami przemierzający wodne pustkowia. Tylko że łatwiej znaleźć igłę w stogu siana niż takie stado. Już nie podskakiwała, ale po cichu liczyła na szczęście. Przecież ostatnio tyle go miała.

I zdarzył się cud. Następnego dnia, ledwo zdążyli rozsiąść się na leżakach, rozdzwonił się dzwonek na czubku wędki. Robert wyrwał wędzisko ze stojaka i energicznie zaciął. Poczul, że ryba siedzi na haku. Rozejrzał się i zauważył, że Lou Lou wpatruje się w niego zafascynowana.

- Podejdz - zakomenderował. - Trzymaj wędkę. Możesz ją wyholować.

- Ja?

- Ty, chyba że nie chcesz.

- Ależ tak. Chcę, chcę, bardzo chcę.

Podał wędzisko i stanął za nią, żeby wspólnie holować rybę. Zadrzała, czując, jak do niej przylega. Musiała się jednak skoncentrować na wędce. Szybko rozeznała, co ma robić, a dotyk, który ją poruszał, ustąpił. Robert przyniósł specjalny pas, ponownie objął ją od tyłu i zapiął. Pokazał, jak wsunąć koniec wędziska do uchwytu w pasie, i z zadowoloną miną usiadł w kokpicie.

- Jak ci będzie za ciężko, zmienię cię.

Niedoczekanie twoje, żebym cię prosiła o pomoc, ty higgszaczku. Prędeż padnę trupem!

Pojawił się Jean zaciekawiony wrzawą na pokładzie. Zobaczył, co się dzieje, spojrzął na Roberta i z uznaniem pokiwał głową. Walczyła długo, już myślała, że nie da rady. Wreszcie ryba ulitowała się nad nią, osłabła i dała się wyholować na powierzchnię. Jak już złapała jeden i drugi haust powietrza, przestała się bronić. Jean czekał z olbrzymim podbierakiem i wciągnął ją na pokład. W słońcu mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Robert podszedł do problemu pedantycznie. Przyniósł atlas ryb morskich i aparat. Po przerzuceniu kilku kartek stwierdził:

- Makrela królewska. Cenna ryba, rzadki okaz.

Jean obcałował dziewczynę, ciesząc się razem z nią. Lou Lou podskakiwała z przejęcia. Nie wiedziała, jak utrzymać rybę, która ważyła ponad dziesięć kilo, więc Robert ułożył jej ręce na kołyskę i położył makrelę. Wyrwała się tak, że musiała ją obiema rękami przycisnąć do piersi. Jej twarzyczkę rozjaśniał uśmiech. Pstryknął zdjęcie i podał makrelę Jeanowi.

- Jest twoja, *chef*.

Jean postanowił uczcić sukces. Wydobył grill, o którym zdążyli zapomnieć, i zapowiedział ucztę na wieczór. Zaniósł makrelę do

kambuza, z Lou Lou drepczącą mu po piętach. Sprawnie wypatroszył rybę, potem wykonał cięcie V, wyciął dwa filety bez ości. Jeden włożył do zamrażarki, drugi zalał marynatą o tajemniczym składzie.

Ucztowali na pokładzie. Nocna bryza chłodziła twarze. Gwiazdy na niebie, królewskie jedzenie, wino. Pogratulowali dziewczynie sukcesu i stwierdzili, że to wielkie osiągnięcie. Robert dodał, że nie zasłużyła na cofnięcie kary, ale na bezterminowe zawieszenie – tak. W związku z tym może pić tyle wina, ile ma ochotę. Potem zagrała dla nich. Tak właśnie czuła, że gra i śpiewa dla nich. Zdążyła przybrać na kuchni Jeana ładnych parę kilogramów. Zaczęła się zaokrąglać tam, gdzie trzeba. Sińce dawno już zniknęły. Oczy nabrały blasku, włosy połysku i zaczęły się układać w sploty. Wypiła sporo wina i szczęście ją rozsadzało. Była pobudzona. Nie było to w żadnym razie podniecenie, zaledwie miły dreszczyk. Zdawała sobie sprawę, że pięknieje. Czuła się lepsza i atrakcyjniejsza. Widzieli i słyszeli tę przemianę.

Robert doszedł do wniosku, że zaczyna to być dla niego niebezpieczne. Przyglądał się jej jak atrakcyjnej kobiecie, wartej uwagi, a bardzo tego nie chciał. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna będzie miała kłopoty z poukładaniem życia seksualnego. Tam, gdzie była, mężczyźni nie dawali kobietom rozkoszy. Przeciwnie, zadawali ból dla rozrywki, poniżali. Drugi powód był zupełnie innej natury. Była od niego uzależniona. Szczególnie tutaj, na pokładzie jachtu. Jeszcze nigdy nie wykorzystał uzależnienia kobiety. Po wojnie mieszkał w Hamburgu. Nie wyobrażał sobie pieprzenia kobiety, która oddaje się z głodu. Nie wiedział, czy dochowałby wierności Marion, gdyby Hamburg był wtedy miastem pełnym atrakcyjnych, szczęśliwych, szukających przygód kobiet. Unikał więc, jak mógł, kontaktu fizycznego z Lou Lou. Kiedy ją dzisiaj objął, poczuł, jak jej ciało drętwieje. Nie wiedział, dlaczego, i nie chciał się dowiadywać.

Wtoczyła się do kabiny nieźle wstawiona. Rozpierała ją energia. Reagowała na alkohol pobudzeniem, nie mogła zasnąć. Kiedy tak nieoczekiwanie znalazła się na jachcie, marzyła, żeby już nigdy nie

pieprzyć się z mężczyzną. Teraz znalazła się na krawędzi przemiany. Zaczęła myśleć o Robercie jak o mężczyźnie, zastanawiać się, czy mogłaby się z nim kochać i co by wtedy poczuła. Zasnęła podczas takich interesujących rozważań.

Temperatura wody i powietrza stale rosła. Całe dni spędzali w kostiumach kąpielowych. Lou Lou zaczęła żałować, że kupiła tylko jeden dwuczęściowy. Robert był niezadowolony, widok częściowo odsłoniętych piersi rozpraszał go. Ona odczuwała inaczej. *Może kiedyś, w przyszłości, będę normalną kobietą, która kocha, bzyka się dla przyjemności, ma męża, a nawet dzieci.* Normalność, jaka jeszcze niedawno nie mieściła się w głowie.

Jej nie przeszkadzało, że przytrzymuje go za rękę, ponieważ chce mu powiedzieć coś niezwykle ważnego. On to odbierał inaczej. Na pewno by się nie obraziła, gdyby cmoknął w policzek jak Jean. Nie przeszkadzało jej, że - przypadkowo zresztą - wypina tyłek prosto na niego. Nie zwracała na takie drobiazgi uwagi, a jak raz czy drugi to sobie uświadomiła, to się uśmieła. Starał się unikać wszelkiego kontaktu fizycznego. W takich sytuacjach czuł się kuszony ponad miarę. Ona tego nie zauważała albo jej to nie przeszkadzało.

Jacht halsował, walcząc o każdy stopień długości geograficznej. W końcu Robert doszedł do wniosku, że wystarczy, więc skierowali się na północ. Wracali na stary szlak. Lou Lou, wiercipięta niepotrafiąca usiedzieć w miejscu, od samego rana była w radosnym nastroju. Pożyczyła od Jeana jego ukochaną czapkę marynarską z daszkiem, wdrapała się aż na saling i kazała robić sobie zdjęcia.

- Tylko uważaj! - ostrzegał co chwila.

W kostiumie kąpielowym, który wypełniał się ponętym ciałkiem, i czapeczce na głowie wyglądała uroczo. Opalona buzia, na której czas pozacierał ślady dramatycznych przejść, była z każdym dniem ładniejsza.

Robert ponownie zwołał zebranie załogi. Lou Lou próbowała podpytać Jeana, ale nie chciał nic powiedzieć. Usiedli przy stole wyniesionym na pokład, Robert z koniakiem, ona również, Jean

z calvadosem. Chciała się przymilić Robertowi i poprosiła o lampkę na spróbowanie. Spróbowała i przy tym trunku pozostała. Groził palcem, ale już dawno przestała się go bać. Tradycyjnie Robert chrząknął i wyjaśnił, o co tym razem chodzi.

- Jesteśmy na jachcie od kilku tygodni i dobrze nam razem. To głównie twoja zasługa, Lou Lou, jesteś jak powiew wiosny - powiedział szczerą prawdę.

Ale tekst - jęknęła w duchu. *Powiew wiosny!*

- Nie wiedziałam, że piszesz wiersze, dasz poczytać?

- Kobieto, siedź cicho i słuchaj! Wkrótce dopłyniemy do Marsylii. Trzeba ustalić, co będziesz robiła. Najprostsze rozwiązanie jest następujące. Zgłaszasz się do ambasady z jakąś bajeczką i występujesz o paszport konsularny. Dostajesz w prezencie bilet na samolot i pewną sumę pieniędzy, żebyś nie musiała startować od zera. Odprowadzamy cię na lotnisko i czekamy na zaproszenia. Na ślub, a potem na chrzciny.

Jak to? Chcą się jej pozbyć? Kocha ich. Nie tak, jak kobieta kocha mężczyznę, lecz jak człowiek człowieka. Nie myślała o tym wcześniej, ale nie wyobrażała sobie życia bez nich. Jej twarz ułożyła się w bolesny grymas, usta drżały.

- Czemu milczysz? Proszę, nie! Nie rób tego! - zawołał nagle Robert.

Płakała, nie wydając dźwięku, po prostu łzy spływały po policzkach. Łzy kobiece! Nie znaleziono na nie metody, choć są niebezpieczniejsze od broni masowego rażenia.

- Nie becz, jest druga możliwość. Zostaniesz we Francji.

- Tak! Tak! - zawołała, nie zastanawiając się ani chwili.

- Wprawdzie twoja kara została zawieszona, ale nie jestem przekonany, czy możesz zabierać głos.

- To niesprawiedliwe - protestowała, gotowa walczyć do upadłego.

- Milczeć i nie przerywać! Co jest, a co nie jest sprawiedliwe, decyduję ja, kapitan. A ja mam serdecznie dosyć kłopotów z tobą

i najchętniej bym cię zapakował do samolotu i odesłał do domu.

Do domu? Do jakiego domu? Ja nie mam domu. Przecież obiecał, że się mną zaopiekuje.

- No więc słuchaj, mała. Rozważę twój pobyt we Francji, jednak stawiam warunki. Nie sądzę, żebyś dała radę je spełnić.

- Jakie warunki? Co mam zrobić?

- Nie wyobrażam sobie, abyś mieszkała we Francji, nie znając języka. O ile wiem, nie znasz francuskiego.

Mógłby sobie darować te złośliwości.

- Mogę się nauczyć.

- Nie wątpię. Za rok, dwa będziesz umiała wydukać kilka zdań po francusku.

- Jestem zdolna, mam talent do języków!

- Ile ich znasz, kochanie?

- Wiesz dobrze, że żadnego, ale ja naprawdę jestem zdolna i będę się starała.

- Po części to moja wina. Taką rozmowę powinniśmy odbyć znacznie wcześniej. Od jutra zaczynasz naukę.

- Od dzisiaj, od zaraz.

Jean wyciągnął szampana, rozlał i wzniósł toast.

- Za wolność, za równość, za braterstwo. - I zaczął niestety śpiewać *Marsyliankę*.

Na szczęście zakończył w połowie pierwszej zwrotki.

- Nie cieszcie się tak. Są jeszcze inne warunki. Masz poważne braki w edukacji. Przeczytanie kilku książek nie zaszkodziło, niestety - wiele nie pomogło. Muszę cię pochwalić. Nie jestem wprawdzie Higginsem, jednak zauważyłem, że podczas rejsu twój sposób mówienia się zmienił. Na początku wystarczyło parę zdań, żeby uznać cię za prostaczkę. Bez urazy?

- Bez urazy - odpowiedziała z przekonaniem. Było jej przykro, wiedziała jednak, że on ma rację.

- Teraz za damę cię wprawdzie nikt nie uzna, jednak nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby nazywać cię prostaczką. Zaskakujące, jak

szybko i pięknie się zmieniłaś.

Już jej nie jest przykro. Od samego początku wsłuchiwała się, jak mówią, każdego dnia przejmowała kilka nowych dla niej słów. Ma fenomenalną pamięć i talent papugi. Doskonale naśladuje wszelkie dźwięki, wymowę.

- Coś dla ciebie wymyśliłem, Jean ci pomoże.

Obejmuje Jeana, przytula się.

- Zdziwisz się. Ta mała jest zdolniejsza od ciebie.

- W to nie wątpię. Ale zapewniam was, że temu drugiemu zadaniu ja bym nie podołał.

- Ty? Ty wszystko potrafisz! - W jej głosie brzmiało przekonanie.

Ignorując zapach kadzidła, ciągnął dalej:

- Chcę, żebyś rozpoczęła studia, najlepiej w szkole pomaturalnej.

- Na jajca Posejdona! Zastanów się nad racją swojej racji. Czego ty od dziewczyny chcesz? Przestań ją dręczyć. Widzisz przecież, jaka jest wrażliwa.

- Jeżeli ci się nie powiedzie, trudno. I tak się tobą zaopiekujemy - uspokoił ją Robert.

Obejmuje go. Całuje w policzek. Czuje, że on sztywnieje. O co chodzi? Nie podobam mu się? Muszę się dowiedzieć od Jeana, co się dzieje. Dlaczego on taki jest? Koniecznie. Dzisiaj.

- Jakże to sobie wyobrażasz? - Jean jest teraz rzeczowy. - To przecież niemożliwe. Nie ma paszportu ani prawa pobytu we Francji, nie zna języka, ma braki w edukacji. Co ci strzeliło do głowy?

- Wszystko będzie zależało od niej. Prawdę mówiąc, szanse ma niewielkie. Jednak grzechem byłoby nie spróbować. Kiedyś znalazłem się w podobnej sytuacji. Pomógł przypadek.

- Za studia Lou Lou! - Robert wznosi ambitny toast, piją z entuzjazmem i wiarą w powodzenie.

Wyjmują drugą butelkę. Robert opowiada historię przyjęcia do Oksfordu. Jean i Lou Lou co chwila wybuchają śmiechem.

- I co było dalej? - Lou Lou wykazuje się kobiecą ciekawością.

- Dalej, moja panno, mamy mnóstwo roboty. Od jutra zaczynamy naukę. Z Jeanem będziesz rozmawiała po francusku. Ja będę cię uczył gramatyki. Dostaniesz dokładny rozkład dnia. Czeka cię ogrom pracy.

Wzięła Jeana za rękę i zaciągnęła na rufę. Było ciepło, wiało słabo. „Marion” pod pełnymi żaglami majestatycznie prućła fale. Spod dziobu dochodził syk rozcinanej wody. Biały kilwater znaczył drogę.

- Muszę cię o coś spytać. Wstydzę się, jednak muszę. Zauważyłam, że Robert mnie unika. Nie tak, że unika mnie zupełnie. On mnie unika, no wiesz jak. Nie, żeby mi o coś chodziło, skądże! Sam rozumiesz. Dziwne, prawda? Wiem, byłam, kim byłam, ale jesteście dla mnie tacy dobrzy. Chyba nie dlatego, prawda? Może mu się nie podobam, no rozumiesz, jako dziewczyna. Ale nie jestem chyba taka brzydka, prawda? No powiedz coś wreszcie. Jak długo masz zamiar milczeć?

Jean aż sapnął ze zdziwienia.

- Jak mam mówić, skoro cały czas gadasz jak najęta?

- Och, nie bądź taki.

- Znaczy jaki?

- Przecież mówię, że taki, no wiesz jaki. Powiedz, czemu on to robi.

Nie miał wprawdzie pojęcia, jaki miałby być, spróbował jednak wyjaśnić, co się dzieje. Sam już zresztą zauważył.

- Nie jest tak, jak myślisz. Jeżeli uważasz, że przyczyna tkwi w twojej przeszłości, to jesteś niemądra. Prawda jest zupełnie inna, ty mu się bardzo podobasz. Nie miałby oczu, gdyby nie dostrzegał, jak z dnia na dzień piękniejesz.

Powiedział szczerą prawdę. Nawet nie zauważyli, jak z przerażonego, ospałego kurczaka zamieniła się w pełną energii, zachwycającą pannę. Na ich oczach przeszła zdumiewającą metamorfozę.

- Gdyby zaczął się z tobą migdalić, wiesz, takie tam, toby mu było trudniej.

- Obawiam się, że nie rozumiem. Przecież z Wendy nie robił ceregieli.

- Ale ty jesteś inna. On się tobą opiekuje.

Nie rozumiała z tego zbyt wiele. Doszła do wniosku, że z Jeana już nic nie wyciśnie. Musi wszystko przemyśleć. O co mu, u diabła, chodzi? W swojej kabinie, w przytulnej koi, próbowała, ale za bardzo nie wychodziło. *To w końcu jak jest? Podobam mu się czy nie? Ma mnie ochotę przelecieć czy nie? Dlaczego z Wendy nie robił problemów, a mnie nie chce nawet pocałować?*

Nie trawiła Wendy od pierwszej chwili. Na początku nie знаła przyczyny. Teraz rozumiała. Była o nią zazdrosna. W końcu doszła do wniosku, że jednak podoba się Robertowi i gdyby nie byli na jachcie, z pewnością by ją przeleciał.

Następny dzień rozpoczął się wyjątkowo wcześnie. Śniadanie zamiast o dziewiątej było o siódmej. Lou Lou wyszła z kabiny zaspana i w piżamie w misie. Wyglądała jak mocno przerośnięta dziewczynka.

- Co się stało? Po co mnie tak wcześnie obudziłeś, Jean? - Szeroko ziewnęła.

- Rozkaz kapitana, nowe porządki.

Aha! Dopiero teraz przypomniała sobie poprzedni wieczór. *Just you wait, `rofessor `obert, just you wait!*

- Poproszę kubek gorącej kawy z mlekiem.

Uśmiechał się, ale ani drgnął.

- Czemu się tak śmiejesz, powiedziałam coś zabawnego?

- Nie napijesz się kawy, dopóki nie poprosisz po francusku.

Powoli i dokładnie poprosiła o kawę po francusku. Była rozespana, ale powtórzyła całe zdanie bez najmniejszego błędu. Nawet francuskie „r” wyszło zaskakująco poprawnie. Jakby znikąd przy stole pojawił się Robert.

- Mówiłem ci przecież, że to papuga, wielka papuga w misie.

Dotarło do niej, że siedzi przy stole w piżamie. Chciała się przebrać, ale Robert dał znak, żeby została. Potem powtórzył zdanie po francusku. Domyśliła się, że to zdanie o papudze w misiach,

i powtórzyła. Francuskie „r” wyszło jeszcze lepiej. Z zazdrością stwierdził, że jemu opanowanie tej spółgłoski zajęło pół roku. *Ta siksa ma dar Boży do języków. Ciekawe, czym nas jeszcze zaskoczy.*

Cały dzień ciężko pracowała. Ani razu się nie poskarżyła. Wstyd się skarżyć, jeżeli pracowali z nią i dla niej. Przeszli na francuski, żeby mogła się osłuchać. Wprawdzie nic nie rozumiała, ale polubiła melodię języka. Oczywiście w wykonaniu Jeana. Francuski Roberta, choć poprawny i płynny, pozbawiony był polotu. Dał jej zapisaną dwustronnie karteczkę. Po jednej stronie wyraz angielski, po drugiej francuski odpowiednik i transkrypcja fonetyczna pozwalająca odczytać wymowę. Zaczęli od nauki tych właśnie znaków. Wyjaśnił jej, czego ma się nauczyć, i zadowolony rozsiadł się w leżaku, licząc na chwilę spokoju. Pracował do późna, żeby przygotować słówka, znaleźć w słowniku transkrypcję i zapoznać się z pierwszą lekcją gramatyki, którą zaplanował po południu. Zameldowała się po trzydziestu minutach.

- Nauczyłam się! - zakomunikowała, wielce z siebie rada.

Miała opanować kilkadziesiąt znaków fonetycznych, a także ich wymowę. Spodziewał się, że zajmie jej to dwie godziny, a on się w tym czasie zdrzemnie. Przepytał ją dokładnie. Był przekonany, że popełni błędy i będzie okazja palnąć mówkę o znaczeniu skrupulatności w nauce. Nie pomyliła się ani razu.

Tuż przed obiadem szczytówka wędki ponownie się rozdzwoniła. Lou Lou z Jeanem siedzieli naprzeciw siebie na pokładzie i próbowali rozmawiać. Spierali się o coś z rosnącą zaciętością. Poderwali się jednocześnie. Lou Lou, krzycząc: „Ja, ja, ja!”, popędziła na rufę. Niemal rozdeptała Roberta, który nieopatrznie znalazł się na jej drodze. Wiedziała, co zrobić. Ruchem podpatrzonym u niego zacięła i rozpoczęła holowanie. Robert pobiegł po pas wędkarski, ale nie założył jej, tylko podał Jeanowi. Pomimo że zmagala się z rybą, zauważyła ten manewr. Tym razem hol był dłuższy i trudniejszy. Ale i trofeum, które w końcu wylądowało w kambuzie, okazalsze. Bonito, pasiasty tuńczyk o smukłej budowie, przy tym wielki przysmak. Zanim

zajął się nim Jean, Robert pstryknął serię zdjęć. Lou Lou poszła wziąć prysznic, bo była spocona, a przy okazji się przebrać, gdyż ubranie było wysmarowane śluzem rybim.

W maleńkiej łazience, przeglądając się w lustrze, pogłaskała podbrzusze w miejscu, w którym ślad po tatuażu pięknie się zabił. Ku wielkiemu, jednak nieujawnianemu niezadowoleniu wodzonego na pokuszenie Roberta, opalała się z trochę opuszczonymi majtkami, żeby opalić okolice blizny. Teraz, pod prysznicem, ręka zupełnie nieświadomie powędrowała niżej. Zanim padła ofiarą gangu, była skromną dziewczyną i ze wstydu prawie nigdy się tam nie dotykała. Cofnęła rękę i zrozumiała, że jej nastawienie do cipki się zmieniło. Wcześniej, chyba podświadomie, uważała ją za przyczynę swoich nieszczęść. *Do polubienia droga daleka - pomyślała. Może. Może pewnego dnia...*

Końcowy etap rejsu upłynęły w wojskowej dyscyplinie, którą narzucił Robert.

Był to ostatni dzień na morzu, więc urządzili przyjęcie pożegnalne. Lou Lou się rozmarzyła. Gdyby tak mogła podziękować Robertowi bardziej bezpośrednio... Potem grała i śpiewała, pili wino, rozmawiali. Jean poszedł wreszcie spać, Robert zajął miejsce przy sterze. W tej okolicy Morza Śródziemnego nie można było polegać na samosterze, ruch był za duży. Był początek listopada i było już chłodno, więc się w niego wtuliła. Nie chcąc kusić losu, na tym poprzestała.

Zacumowali w Marsylii ponad dwa miesiące od opuszczenia Fort Lauderdale. Tyle się przez ten czas w ich życiu wydarzyło. Najwięcej w życiu Lou Lou. Wielu przez dziesięć lat nie przydarza się tyle, ile jej podczas tego niedługiego okresu.

Robert oznajmił, że jedzie do Paryża załatwić dla niej paszport oraz świadectwo ukończenia szkoły średniej. Zabrał ją do fotografa, żeby zrobić zdjęcia paszportowe. Korzystając z okazji, zamówił serię zdjęć artystycznych.

Oprócz ubrań i sprzętów domowych dziewczyna potrzebowała przedmiotów, którymi zapełni puste mieszkanie. Po pośpiesznej ucieczce ze Stanów nie miała nic osobistego. Fotografie nadawały się w sam raz.

Wyszedł na zewnątrz, nie chciał ich krępować swoją obecnością. Czas na spacer po tyłu dniach na pokładzie. Fotograf był przekonany, że dziewczyna jest jego kochanką.

- Pani mężowi bardzo na tych zdjęciach zależy.

Promiennie się do niego uśmiechnęła, co udało się uchwycić w kadrze.

- To nie mój mąż, mów do mnie Lou Lou.

Po trzech tygodniach nauki mogła prowadzić najprostszą rozmowę.

Wrócili na jacht. Zebrała się przy nim grupa gapiów. W Marsylii cumowało wiele reprezentacyjnych jachtów, jednak „Marion” się wśród nich wyróżniała. Nie była przeznaczona do urządzania przyjęć na pokładzie, była jachtem, którym w poszukiwaniu przygód żeglują się wśród sztormów i cisz szerokich oceanów.

Robert dotarł do Paryża późnym wieczorem. Następnego dnia pojawił się w ambasadzie izraelskiej. Wyjaśnił urzędnikowi, w jakim celu przyszedł, a ten pomyślał, że rozmawia z wariatem. Na wyraźne żądanie poszedł jednak do przełożonego. Po chwili wrócił, przeprosił i ustalił szczegóły. Paszport oraz świadectwo miały być do odebrania za trzy dni. Musieli jeszcze ustalić imię i nazwisko, na jakie będą wystawione. Z imieniem sprawa była prosta: Louise. Nazwisko? Uświadomił sobie, że go nie zna. Wybrał historyczne, pierwsze, jakie mu przyszło do głowy - Mirabeau. Zadowolony, że sprawę udało się załatwić na niskim szczeblu, zadzwonił do Jeana. Uzgodnili, że przywiezie dziewczynę do Paryża, pobędą tak długo, jak będzie trzeba, żeby ją urządzić, potem wrócą.

Jean i Lou Lou spędzili dzień na zabezpieczaniu jachtu. W marinie można było zlecić wszelkie prace. Zadowolony, że sam nie musi nic robić, Jean dostarczył do biura przygotowaną przez Roberta listę prac

do wykonania. Jacht należało opróżnić i wysprzątać, bawełniane żagle koniecznie wyciągnąć na brzeg, wysuszyć i przejrzeć. Robert planował wymienić je na wchodzące do użycia dakrony, lecz później. Do Cassis powrócili wieczorem. Jean pokazał Lou Lou swój domek. Po drodze opowiedział, jak poznał Roberta.

- Widzisz, nie jesteś jedyna. Życzę wam szczęścia. - Objął ją.

Do niej dotarło tylko WAM.

- Jesteś kochany, Jean. Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie.

- A Robert?

- Robert to co innego, zresztą, rozumiesz...

Jakby im było mało rejsu, przegadali pół nocy. W porannym słońcu maserati pysznił się swą doskonałością. Lou Lou zrobiło się nieswojo. Takich luksusowych aut nawet w Ameryce nie było zbyt wiele. *O kim ty, dziewczyno, marzysz?* Zaraz jednak poprawiła sobie humor. *Przecież nie chcę go usidlić, chcę mieć na trochę, nic więcej. W końcu nie jestem taka brzydka, żeby mnie nie chciał. Jeżeli zrobił to z tą prukwą Wendy, czemu nie miałby ze mną? Jestem chyba ładniejsza?*

- Jak ci się podoba samochód? - zapytał Jean, siadając za kierownicą.

- Ten błękit jest prześliczny. Taki pomarańczowy, prawda?

- Jaki znów pomarańczowy? - Jean jak zwykle za nią nie nadążał.

- Jak to jaki? Nie widzisz? Słońce odbija się w karoserii i w tym miejscu niebieski jest pomarańczowy.

- Aha - odparł, kręcąc głową.

Z rozkoszą zanurzyła się w fotelu. Czuła się jak gwiazda filmowa. Nawet lepiej, bo która gwiazda ma takiego przyjaciela jak Jean? Podróżowali w ciszy i w luksusie. Nie czuło się nierówności, auto płynęło majestatycznie.

- O czym się tak zamyśliłaś, słoneczko?

- Czy pamiętasz Wendy?

- Jaką Wendy?

- Jak to jaką? Tę, którą Robert zaliczył w Hamilton.

Postanowiła, że w sprawach seksu będzie używała kulturalnego języka. Przekleństw, wyzwisk, obelżywości nasłuchiwała się za całe życie.

- Ach, ta. Pamiętam, efektowna babka.

- Efektowna? Jak byś w takim razie nazwał mnie?

- No, ty jesteś przepiękna.

- Co jest lepsze, efektowna czy przepiękna?

- Przepiękna. Z całą pewnością.

- Czyli taka jak ja.

- Dokładnie. Taka jak ty.

- Więc jak Robert zaliczył Wendy, ze mną też by mógł, no, wiesz co? Nie żebym czegoś chciała, tak tylko pytam.

- O tych sprawach nie mogę rozmawiać. Robert jest moim przyjacielem, dlatego o jego sprawach nie mogę rozmawiać za plecami. Byłbym nielojalny.

- Jean...

- Mhm...

- Czy ja jestem twoją przyjaciółką?

- Przecież wiesz, jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- Ale ze mną o MOICH sprawach możesz rozmawiać?

- Jak najbardziej.

- Ponieważ to jest również moja sprawa, przestań się wykręcać.

Kobieca logika. Jean z rezygnacją machnął ręką.

- Wiem, że bardzo mu się podobasz. Jednak zawsze będzie myślał, co jest najlepsze dla ciebie, jego pragnienia będą na drugim miejscu.

- Skąd wiesz, że mu się podobam?

- Bo sam mi o tym powiedział.

- Ach tak. Nie zmyślasz przypadkiem?

- Naprawdę, Lou Lou. Nie zmyślam.

- Kiedy ci powiedział?

- Dajże mi spokój, nie prowadzę kalendarza.

- Rozumiem, tym razem uwierzę ci na słowo. Na przyszłość w tak ważnych sprawach masz wszystko zapamiętać, żeby mi potem

DOKŁADNIE opowiedzieć.

- Jak sobie życzysz. Będę się starał.
- Od kogo on się dowiadyuje, co jest dla mnie najlepsze?
- Litości, zamęczysz mnie.
- No dobrze, zrobimy przerwę, ale jeszcze do tego interesującego tematu wrócimy.

Podróż była jak z bajki. Zachwycała się krajobrazami Prowansji. Podziwiała mijane miejscowości i cieszyła się, że będzie mieszkać w tak pięknym kraju. Na samą myśl o Stanach robiło się jej niedobrze. Wykorzystała czas, żeby zapytać Jeana o Marion. To, czego się dowiedziała, ją usatysfakcjonowało. Doszła do wniosku, że była nieskończenie piękna, bardzo mądra i kochała Roberta. Ponieważ on był z nią szczęśliwy, już nigdy źle o niej nie pomyśli. Nie jest wprawdzie religijna, ale przy pierwszej okazji pomodli się za spokój jej duszy.

Nigdy nie będę taka jak Marion, ale może chociaż troszeczkę. Mogłabym na przykład być dobra w łóżku, ale się boję, bo pomyśli, że byłam kurwą i takie tam. Sama nie wiem, co zrobić, jeśli się jakimś cudem uda. Może samo się ułoży, tak by było najlepiej. Mogłabym go uratować od śmierci. Gdyby ktoś do niego strzelił, ja bym go zastoniła. Tak, żebym była zraniona, ale tylko trochę, żebym wyzdrowiała. Przed Paryżem, zdruzona podróżą, usnęła. Ocknęła się na podjeździe hotelowym.

Obudziła się cała w skowronkach. Zadzwoił telefon. W słuchawce wesoły głos Roberta zapraszał na śniadanie. Nie tak smaczne jak śniadania Jeana, jednak pieczywo było przepyszne. Białe, podłużne bułeczki z chrupiącą skórką rozplływały się w ustach. *Jak się nazywają? Croissanty.* Na świat spoglądała przez różowe okulary. Przed południem oglądali mieszkania. Była mocno wystraszona. Co innego buńczuczne deklaracje, a co innego realia życia w obcym kraju. Pogodziła się jednak z nieuniknionym. Stwierdziła, że nie jest dzieckiem i da sobie radę. Wieczorem, po odczekaniu w kolejce, wjechali na wieżę Eiffla. Na szczycie objęła Roberta i się w niego

wtuliła, on też ją objął. Paryż, ścielący się u ich stóp jak rozlampiony milionem świateł kobierzec, odebrał im poczucie rzeczywistości.

Wrócili do hotelu. Była zdziwiona, że dzień się tak wcześnie kończył. *Nawet nie zaprosił na kolację. Na pewno się z kimś umówił.* Zdążyła wziąć prysznic, wtedy zadzwonił dzwonek. Na palcach zakradła się do drzwi i zajrzała przez wziernik. Przed drzwiami stał Robert. Wszedł i podał jej schowany za plecami bukiet róż. Jeszcze nigdy nie dostała kwiatów. Tylko na filmach widziała, jak kobiety dostają kwiaty.

Wstawiła róże do wazonu i się nimi zachwycała. Tak bardzo chciała, żeby się do niej zbliżył. Nareszcie byli sami, a ona nie wiedziała, co powiedzieć. Przede wszystkim musiała się ubrać, była w szlafroku. Przebrała się w skromną bawełnianą sukienkę, którą kupiła jeszcze w Hamilton. Innej nie miała.

- Wspaniale, że ci się zaczyna układać. Zaslugujesz na trochę szczęścia. Jak mało kto.

- Dzięki tobie, nawet nie mogę podziękować. Jak można dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś?

- Wiesz co? Zawrzyjmy umowę. Na razie na ten wieczór. Nie będziemy mówili o mnie. Zgadzasz się?

- Nie podoba mi się ten pomysł, ale skoro tego chcesz...

- Jesteś prześliczna, samo patrzenie na ciebie jest przeżyciem eterycznym. Co byś powiedziała na kolację?

Nie wiedziała, co to jest przeżycie eteryczne. Robert też za bardzo nie wiedział, ale zabrzmiało intrygująco.

- Czy zejdziemy na dół?

- Nie, zamówimy do pokoju.

- Jak szukaliśmy mieszkania, dotarło do mnie, że będę tu mieszkała i byłam przerażona. Na szczęście przywykłam już do tej myśli.

- Mam przecucie, że podbijesz Paryż. Poznasz lepiej samą siebie, znajdziesz wielu przyjaciół. Może więcej niż przyjaciół...

- Nie chcę więcej niż przyjaciół.

- Teraz tak mówisz. Za miesiąc, dwa kogoś poznasz, spodoba ci się. Założę się, że tak będzie.

- Żaden mi się nie spodoba.

Nie było o czym mówić, wszystko było dla niej oczywiste. Wziął ją za rękę i posadził na kolanach. Przytuliła się, delikatna jak polny kwiatek. *Byle nie zwiądnął przedwcześnie.* Po chwili spróbowała go pocałować. Nieśmiało, jak dziewczyna na pierwszej randce. Był równie delikatny. Całowali się samymi wargami. Kelner przyniósł kolację. Poczekali, aż otworzy butelkę i wyjdzie. Zjedli, żartując i starając się przełamać bariery, które pomiędzy nimi wyrastały.

Była teraz bardziej zdecydowana, a jej pocałunki nieco śmielsze. Całował po szyi, po oczach, pieścił i coś szeptał. Wyczuwał, że jeszcze nie jest gotowa. Pili szampana, liczył, że alkohol pomoże. Najbardziej potrzebowała potwierdzenia swojej atrakcyjności. Cały czas była bierna. Jeżeli całował, oddawała pocałunek. Zsunął sukienkę do pasa. Piersi miała urocze. Pieścił je najdelikatniej, jak potrafił. Sutki twardością zupełnie nie przypominały pereł. I nie chciały stwardnieć.

Nie jest gotowa. Jej potrzebny jest seksuolog, psycholog i psychiatra, nie taki stary dureń jak ja. Zdecydował, że należy kończyć. Był ostatni moment, żeby obydwoje mogli wyjść z twarzą z krępującej sytuacji. Zaczął opowiadać anegdotki. Nie udało się jej rozśmieszyć, ale nastrój był już na tyle neutralny, że mógł się pożegnać. Po jego wyjściu odetchnęła z ulgą. Podczas zalotów niemal nic nie czuła. Żadnych wrażeń. Nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, sen jednak nie nadchodził.

Robert uprzytomnił sobie, że dziewczyna nie ma się w co ubrać. Odzież kupiona w Hamilton wystarczała na jachcie, w Paryżu potrzebowała dużo zasobniejszej garderoby. Jean poszedł na wyścigi kłusaków, oni na zakupy. Wybrał duży sklep przy Champs-Élysées. Wiedział, że ona nie potrafi jeszcze robić takich zakupów, potrzebuje wsparcia. Nie był jednak w nastroju. Umówili się, że wróci za trzy godziny. Kupił w kiosku prasę i usiadł w kawiarnianym ogródku. Pogoda była piękna, jesień rozsypała po ziemi złote liście. Czytał,

przyglądał się ulicy, gapił na paryżanki. Zawsze zadbane i zawsze eleganckie. Doszedł do wniosku, że na tym polega szczęście. Po latach pracy, podróży, niebezpieczeństw, radości i zawodów mógł robić to, co lubił najbardziej, czyli nie robić nic. To było najwspanialsze. O ileż prościej jest oglądać urocze dziewczyny, być darmowym gościem na spektaklu młodości i urody, niż mierzyć się z problemami, próbując zawłaszczyć ich cząstkę.

¹²⁵ ARPA - Automatic Radar Plotting Aid.

¹²⁶ Walt Whitman, *O Captain! My Captain!*.

¹²⁷ „Co za pieprzona idiotka!” (ang.).

¹²⁸ Lou Lou parafrazuje piosenkę *Just you wait* z musicalu *My Fair Lady*.

15. JESIENNA LEKKOŚĆ BYTU

Wiosenny sirocco pustoszył wszystko na swej drodze. Wył w koronach drzew, ogałając je z liści. Trzaskał niedomkniętymi okiennicami i zrywał dachówki. Gwizdał na wantach, klekotał olinowaniem. Jacht był gotowy do rejsu, musieli jednak czekać, aż wiatr wyczerpie swoją niszczycielską siłę. Zanim odbili, Robert spędził wiele tygodni na przygotowaniach do przebudowy, którą zaplanował w Aleksandrii. Do takiego wyboru stoczni skłaniało wiele powodów. Tęsknił za Egiptem. Chciał odwiedzić Lindę, spędzić trochę czasu w Edenie, wspólnie z nią zorganizować wystawę obrazów Marion.

Jeszcze w Fort Lauderdale, oglądając „Mickey Mouse”, odkrył ze zdumieniem, że pod warstwą białej farby ukryty jest kadłub skorupowy z mahoniowych obłogów. Wykonany w takiej technologii jacht był arystokratą, a jeśli z mahoniu, to już prawdziwym księciem krwi. Mogło być tylko jedno wyjaśnienie. „Marion” została zaprojektowana jako jacht dla znajdującego się na rzeczy zamożnego żeglarza, który nie licząc się z kosztami, zażyczył sobie takiego poszycia. Z nieznanых powodów skończyła jako „Mickey Mouse”. Zamierzał odsłonić poszycie. Wybrał małą stocznnię Alex Shipyard w Aleksandrii. W Marsylii kupił materiały oraz wyposażenie potrzebne do remontu i wysłał frachtem do stoczni. Rzucili cumy i położyli się na prowadzący do Aleksandrii kurs SE. W porównaniu

z bezmiarem Atlantyku odległości na Morzu Śródziemnym były niewielkie. Mieli do przebycia niewiele ponad tysiąc mil.

Na miejscu uzgodnił szczegóły remontu. Zostawił w stoczni Jeana i pojechał do Edenu. Spędził wiele godzin nad grobem Marion. Opowiedział o wszystkim, co się od jej odejścia wydarzyło.

Gospodarze byli zachwyceni, że po tylu zaproszeniach wreszcie się pojawił. Linda niedawno urodziła i uprosiła, żeby został ojcem chrzestnym ich syna. Od Marion wiedziała, w jakich okolicznościach zmienił wyznanie.

Niewiele się zmieniła. Przybyło jej lat, przybyło kurzych łapek, przybyło parę kilo, ale to była ta sama Linda, która wrzeszczała: „Na bok, idioto!”. Nie spoczęła, dopóki nie wydobyła od niego wszystkich interesujących ją informacji. Potem zajęli się organizowaniem wystawy. Byli zgodni – nadeszła pora na Paryż!

Nocami, kiedy wszyscy spali, chodził po domu, wpatrywał się w obrazy. Przypominał sobie, kiedy je malowała, jak wtedy wyglądała, co mówiła. Wspominał, jak się kochali, jak pachniała, jakie miłosne zaklęcia szeptała. To było ponad jego siły. Zrozumiał, że już nigdy w to miejsce nie powróci. Po kilku miesiącach jacht był gotowy, więc z żalem i z ulgą jednocześnie pożegnał się z Edenem i jego gościnnymi gospodarzami.

Z Aleksandrii wypłynęli w czwórkę. Na dłuższą metę obsługa jachtu wymagała liczniejszej załogi. Zamustrował dwóch młodych Egipcjan – Fadiego oraz Dżamila, który podobnie jak Robert miał bliznę na twarzy, lecz jego pochodziła od cięcia maczetą i była znacznie większa.

W każdym porcie, do którego zawijali, jacht wzbudzał zainteresowanie mahoniowym, świecącym odbitym słonecznym blaskiem kadłubem. Wzrok przyciągały również białe dakronowe żagle, na których pysznił się wyhaftowany błękitny Pobóg, herb Sahajdacznym. Wnętrze zdobiły wybrane obrazy Marion. Najbardziej korzystał na tym Robert. Panie wpraszały się na tak piękny jacht.

Miał czterdzieści siedem lat i nie było po nim widać zbyt wielu oznak starzenia. Nie stać go było wprawdzie na całonocne szaleństwa, nadal jednak mógł wypieprzyć atrakcyjną kobietę tak, żeby rano nie miała powodów do narzekania.

Lou Lou poszła do policealnej szkoły artystycznej. Przez pierwszy trymestr poznawała otoczenie. Dzięki skromnemu stypendium od Roberta czuła się swobodnie. Przed wyjazdem przedstawił ją Julii. Nie wiedziały o sobie najważniejszego – Lou Lou zakosztowała życia, jakie miało przypaść Julii. A ona zachodziła w głowę, jaki charakter ma związek ojca z tą Amerykanką. Chciała, żeby się ustatkował i przygruchał sobie sympatyczną macochę. Lou Lou była jednak na macochę za młoda. Koleżanką, owszem, mogła być, ale przecież nie macochą. Gdyby nie była szczęśliwą mężatką, to patrzyłaby z zazdrością, jak się za nią ugania wielu atrakcyjnych mężczyzn.

W Paryżu było niespokojnie. Miasto po raz kolejny w swojej historii stało się kuźnią rewolucyjnych idei. Julia była nieszczęśliwa. Chciała wyjść na ulicę i bić się z policją. Nie bała się fizycznej konfrontacji. Kipiała w niej błękitna krew von Thomów. Krew babki, która była bynajmniej nie platoniczną muzą wielu wybitnych i niemoralnych artystów w szalonym Berlinie lat dwudziestych, i krew matki, która bez zmrużenia oka zastrzeliła kochanka. Cięża nie pozwalała niestety na takie ekscytujące przeżycia.

Henri, zupełnie nieoczekiwanie, został jednym z przywódców studenckiego buntu. Od poznania Julii bardzo się zmienił. Z nieśmiałego studenta wyrósł wiecowy agitator. Żadna nie była nim zainteresowana – teraz nie mógł się opędzić od wpatrzonych w niego egzaltowanych studentek. Na szczęście nie ulegał licznym pokusom. Byli zaskoczeni listami Roberta. Pisał, że jest z nich dumny, ponieważ walczą o słuszną sprawę. Julia też była dumna, że ma takiego tatę. Wielu ich przyjaciół było w pokoleniowym konflikcie z rodzicami.

Lou Lou nie brała udziału w demonstracjach ani tym bardziej w starciach z policją. Po tym, co przeszła, przemoc fizyczna

wzbudzała w niej odrazę. Była za to sercem z buntującą się studenterią. Zdarzało się jej całować z płonącymi rewolucyjnym zapałem chłopakami, którzy poobijani i wielce z siebie dumni wracali z demonstracji. Całować, a nawet więcej. Słowem, powracała do normalności. Pozostało zdecydować się na takiego, który będzie ją kochał i którego ona pokocha. Wybrała kolegę Julii z roku, Pierre'a. On stracił dla niej głowę, a Julia go jeszcze zachęcała. Uważała, że robi przysługę przyjaciółce.

Pierre się jej bardzo podobał. Krew nie woda, więc poszła z nim do łóżka. Romans był burzliwy. Bez przerwy się kłócili, były to jednak pełne temperamentu kłótnie kochanków, z samej natury niegroźne. Przekonała się, że jest normalną dziewczyną, może mieć radość z kochania. Nie doświadczała cudownych przeżyć, ale było jej z nim dobrze. Za to on zakochał się po uszy i nic nie zapowiadało, żeby miało mu przejść. Zaczął wspominać o ślubie i zadręczał naleganiami na wyjazd do posiadłości rodowej. Chciał ją koniecznie przedstawić rodzicom. Ona tymczasem ochłodziła w swoich uczuciach. Nie chciała go zranić. Zabrakło jej odwagi, żeby opowiedzieć mu o swojej przeszłości. Zastosowała więc niezbyt ładną, lecz wygodniejszą metodę. Zadzwoiła do jego matki i powiedziała, że wprawdzie lubi jej syna, ale nie jest dla niego odpowiednią partią. Matka Pierre'a tyle się od niego nasłuchiwała o jej nieprawdopodobnych zaletach, że nie bardzo mogła zrozumieć, o co chodzi.

- Byłam kurwą.

- Kim byłaś? - Myślała, że się przesłyszała.

- Kurwą... no, prostytutką, sama pani rozumie.

Rozumiała. Rozumiała aż za dobrze. Zdobyła się na wygłoszone lodowatym tonem podziękowanie za szczerość. W następną sobotę w rodzinnej posiadłości Pierre'a miała miejsce niezła awantura.

Jesienne sztormy przegoniły ich z morza. Zacumowali w Marsylii. Robert miał kilka spraw do załatwienia. Przede wszystkim wystawę Marion. Wybrał się więc do Paryża. Udało się też ściągnąć Andreasa.

Podczas rodzinnych spotkań mieli okazję przedyskutować wszystkie kwestie organizacyjne i się sobą nacieszyć.

Ojciec Pierre'a zadzwonił do Lou Lou i zaprosił do restauracji w hotelu, w którym się zatrzymał. Od swojego byłego chłopaka wiedziała, że jest prezesem lokalnego, dobrze prosperującego banku. Ubrała się skromnie, lecz elegancko. Z lustra spoglądała na nią wysoka, szczupła dziewczyna o pociągającej figurze i interesującej twarzy.

Już na nią czekał. Średniego wzrostu, nieco otyły, ubrany tak, jak powinien być ubrany bankier. Jeżeli się znało pokrewieństwo z Pierre'em, podobieństwo rzucało się w oczy. *Czy Pierre też będzie tak wyglądał za trzydzieści lat? Nie będzie tragicznie, ale z pewnością nie będzie przystojny.* Nie powiedział od razu, w jakim celu ją zaprosił. Zapytał, co pije. Poprosiła o lampkę koniaku. Kiedy kelner odszedł, powiedział wreszcie, po co chciał się spotkać.

- Byłaś dziwką, więc pomyślałem, że cię wypieprzę. Jesteś piękna, dam pięć patyków za noc. I jak, pasuje?

Prędzej by się spodziewała Marsjan niż takiej propozycji. Nie mogła przełknąć śliny. Georges sądził, że nic nie mówi, ponieważ kombinuje, jak wyciągnąć więcej. Był gotów dorzucić tysiąc, albo i dwa. Zerznięcie dziewczyny syna niesamowicie go podniecało. W ostatnim czasie bardzo się wyrobiła. Ale jak ma się zachować w takiej sytuacji?

- Znakomity pomysł, pociupciamy sobie. Poczekał chwilkę, skoczę do toalety. Jak wrócę, od razu pójdziemy do twojego pokoju. Podobasz mi się, więc nie marnujmy czasu. Taki ogier będzie go potrzebował duuużo. Już się boję.

Ostra sztuka, nic dziwnego, że Pierre się w niej zadurzył. Całe szczęście, że się wydało, zwykła kurwa. Ciekawe, jak żona się dowiedziała. Za marnych pięć patoli zafunduję sobie ostre jebanie. Zresztą, ona do takich przywykła. W końcu zwykłe posuwanie mamy za darmo w domu, a kurwy są po to, żeby się na nich wyżyć. Georges

poczuł, że mu staje. Dopiero po dłuższym czasie dotarło do niego, że wystawiła go do wiatru.

Wróciła do domu, żeby spakować najpotrzebniejsze rzeczy.

Wiosna sześćdziesiątego dziewiątego się opóźniała. Robert niecierpliwie oczekiwał, kiedy morze uspokoi się na tyle, żeby żeglowanie było przyjemnością, a nie walką z żywiołem. O tej porze roku Morze Śródziemne potrafi nieprzyjemnie zaskoczyć. Czas spędzał na czytaniu oraz egzystencjalnych dyskusjach z Jeanem. Wiosna wreszcie się odnalazła. Swym przybyciem zaskoczyła wszystkich pewnego marcowego poranka. Korzystając z ładnej pogody, pojechali do Marsylii, żeby zrobić inspekcję jachtu. Wracali późnym wieczorem, lekko wstawieni. Jean zjechał na podjazd, a wtedy w świetle reflektorów zobaczyli siedzącą na schodach dziewczynę. Obok niej stała walizka.

Lou Lou czekała od wielu godzin. Pechowo się rozminęli. Nie czuła się pokrzywdzona. Potrzebowała czasu, aby wszystko sobie poukładać w głowie. Siedziała przed domem, zawieszona pomiędzy jawą a snem. Nie wiadomo skąd, w ogrodzie pojawiła się kobieta w średnim wieku w czarnej sukience. Miała długie, jasne włosy i niebieskoszare oczy obramowane kurzymi łapkami. *Te zmarszczki ma dlatego, że często się śmiała. Jest chyba w żałobie, może po mężu? Ciekawe, jak im się w życiu układało. Sądząc po tych kurzych łapkach, dobrze.*

- Co tutaj robisz, kochanie?
- Sama nie wiem, czekam na właściciela.
- Znasz go może?
- Tak, znam.
- Czy coś was łączy?

W sennym urojeniu nie zastanawiała się, czy obcej kobiecie wypada pytać o takie rzeczy.

- Kocham go, ale nie jesteśmy razem.
- Jeżeli jest, jak mówisz, to znaczy, że powinniście być razem.

- Bardzo bym chciała, dla niego zrobiłabym wszystko, ale nie wiem, czy mnie będzie chciał.

- Będzie, z pewnością będzie. On cię chce, tylko się boi. Jesteś taka ładna.

Wykonała gest, jakby chciała dotknąć jej twarzy, lecz powstrzymała rękę.

- Skąd pani wie, że chce? Czego się boi?

- Skąd wiem? Bo go znam. A czego się boi? Że ci zrobi krzywdę.

- Mówi pani, że go zna? To kim pani jest?

- Jak przyjedzie, pozdrów go ode mnie i powiedz... - nie dokończyła. - Kim jestem? Będzie wiedział.

I odeszła. Patrząc na rozplywającą się w ciemności sylwetkę, Lou Lou pomyślała, że sposób, w jaki się poruszała, nie pasował do niej. Szła powabnym krokiem młodej dziewczyny.

Jean zgasił światła i wyłączył silnik.

- Lou Lou! Przyjechałaś! Co za wspaniała niespodzianka! Długo czekasz?

Robert nie okazywał złości, jakby było oczywiste, że siedzi na schodach i na nich czeka.

- Przyjechałam do was. Pozwolisz mi zostać? - Postanowiła nie naciskać i nie wpraszać się na siłę.

- No pewnie, że pozwolę. Stało się coś?

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie, nic się nie stało.

Robert nie wypytywał, a Jean zajął się nią po swojemu. Przygarnął, przytulił i od razu zrobiło się ciepłej.

- Kiedy na was czekałam, miałam dziwny sen. Przyśniła mi się kobieta. - Opisała tajemniczą nieznaną ze snu. Nagle coś sobie przypomniała. - Miałam ci przekazać pozdrowienia.

- Pozdrowienia? Czy mówiła coś więcej? - Robert był zaskoczony.

- Nie, nie mówiła. Na pewno mi się przyśniła, sama już nie wiem.

Nie musiał pytać dalej. Opis był zbyt dokładny, żeby mógł być przypadkowy. *Dlaczego przyszła właśnie do niej? Czy we śnie? To*

przecież nie ma sensu. Nie umiał sobie wyobrazić, jak to możliwe. Lou Lou miała wrażenie, że jej przyjazd ich ucieszył. Tylko Robert był dziwnie zamyślony. Po kolacji posiedział trochę i poszedł do swojego pokoju.

- Czy Robert wspominał, jak wyglądała Marion? - To pytanie wisiało w powietrzu, odkąd wyszedł.

- Nie, w szczegółach nigdy - skłamał Jean.

Obawiał się, że dojdzie do czegoś, o czym bał się nawet pomyśleć. Przekazała zwięźle, co wydarzyło się w Paryżu. To była sprawa zbyt osobista, żeby się nad nią rozwodzić.

- Dobrze, że przyjechałaś. Paryż nie jest ciebie wart.

Opowiedziała o tym, o czym wstydziła się i bała powiedzieć Robertowi. Jean spochmurniał.

- Nie rozmawiajmy już o niej. Takie gadanie może ściągnąć nieszczęście.

Słoneczny poranek na pewno wszystko zmieni - pomyślała.

I rzeczywiście, w promieniach wiosennego słońca wczorajsze urojenia się rozwiały. Przy śniadaniu panowała pogodna atmosfera.

- Z ciebie lepsza cwaniara. Rzuciłaś szkołę, jak pogoda poprawiła się na tyle, że możemy wypłynąć. - Robert był w dobrym nastroju.

- Chcecie wypłynąć? - Jeszcze niedawno zapytałyby: „Zabierzecie mnie ze sobą?”.

- Nie wyobrażamy sobie żeglowania bez ciebie - Robert powiedział dosadnie, a Jean przytakiwał.

Jak się zmienił. Czy pod wpływem tajemniczej nieznajomej?

- Co powiesz na wycieczkę do Marsylii? Agent przywozi zaopatrzenie. Jean nie wiedział, że z nimi płyniesz. Jeżeli masz taki apetyt jak poprzednio, będzie musiał złożyć dodatkowe zamówienie. Kupimy też solidne, podszyte materiałem sztormiaki i grube, marynarskie swetry. Nawet przy umiarkowanych wiatrach będzie zimno.

Jacht nie przypominał starej, dobrej „Marion” z zaciekami na burtach. Mahoniowy kadłub jak lustro odbijał promienie słoneczne.

Inkrustowana złotem na owalnej płycie z czarnego, egzotycznego drewna nazwa „SY Shadow Line” zdołała pawęż. Weszli pod pokład, a ona nadal nie poznawała, tak wiele się zmieniło. Usiedli w messie na wygodnych pufach z miękkiej skóry.

- To jest nasz jacht. Przeszedł gruntowny remont, dlatego go nie poznałaś - wyjaśnił Robert.

- Chcesz powiedzieć, że to „Marion”? Przecież inaczej się nazywa i wygląda zupełnie inaczej.

- Nazywa się inaczej, bo zmieniłem nazwę. - Podsunął leżącą na stole książkę. *Smuga cienia* Conrada. - Jedna z moich ulubionych powieści.

Oprowadził ją po jachcie, objaśniając zmiany niewidoczne gołym okiem. Wiedziała, dlaczego zmienił nazwę. Chciał definitywnie zamknąć ten rozdział swojego życia. Marion nie żyje, a jacht nieustannie ją przypominał. Postanowiła, że po wypłynięciu przeczyta *Smugę cienia*.

- Możemy wypłynąć choćby dzisiaj. Mamy tylko jeden problem. Morze Śródziemne jest jednym z najbardziej zatłoczonych akwenów. Nie będziemy mogli zdać się na samoster, szczególnie w nocy. Dlatego na noc będziemy zawijali do portów. Nigdzie nam się przecież nie spieszy. Jeżeli będą dłuższe przeskoki, podzielimy się wachtami. A teraz jedziemy na zakupy.

Kupili sztormiaki, kalosze żeglarskie na vibramach, półbuty na pokład i komplet markowych ubrań żeglarskich na specjalne okazje. Podczas zakupów zaglądała mu przez ramię i tak się docisnęła, że jej pierś rozpląszczyła się na jego ramieniu. Kupił dwie kusze i dwa zestawy do nurkowania. Dla siebie i dla niej. Jean nie pływał zbyt dobrze, najbardziej lubił pluskać się w płytkiej wodzie z dziećmi, które go uwielbiały, ponieważ bawił się z nimi w hipopotama.

17 kwietnia wypłynęli w morze. Opowiadali, jak siedzieli na tarasie Hôtel de Ville i co z tego wynikło. Przepływali tak blisko, że mogli wskazać swój stolik. Rejs zamienił się w bajkową podróż. Było nawet

lepiej niż poprzednio. Nie przeżywali takich wielkich emocji, za to Lou Lou kochała się z Robertem, jak to sobie wymarzyła.

Z Marsylii pożeglowali na południe, do Bidżaji w Algierii. Mieli sprzyjający wiatr, a kiedy postawili spinakera, byli najszybsi. Usunięcie z kadłuba od dawna nieszlifowanej farby i pomalowanie, a następnie ręczne polerowanie lakierem bezbarwnym zmniejszyło opory tarcia. Dakronowe, powiększone żagle dawały siłę ciągu bez porównania większą niż stare, bawełniane.

Robert zauważył, że na regatach cała załoga, nieraz kilkunastu żeglarzy, siadała na nawietrznej, z nogami za burtą, żeby wybalastować jacht. Wymyślił prosty mechanizm. Dwa zbiorniki na wodę umieszczone symetrycznie na burtach, tuż pod pokładem, aby uzyskać najwyższy punkt ciężkości. Po zmianie halsu elektryczna pompa przepompowywała wodę na burtę nawietrzną. W zależności od siły wiatru decydował, ile wody przepompować do nawietrznego, żeby jacht utrzymywał optymalny przechył. Łączny efekt tych zmian był zdumiewający! Prędkość wzrosła o trzy węzły, a pod spinakerem aż o sześć, czyli do dwudziestu węzłów. Załogi mijanych jachtów przyglądały się z niedowierzaniem, jak „Smuga” wyprzedza ich niczym Orient Express. Czuli się upokorzeni, widząc na pokładzie zaledwie trójkę żeglarzy, w tym atrakcyjną siksę, która roześmiana stawała na rufie, trzymając powiewającą na wietrze linkę holowniczą. Robert nie był w stanie jej tego oduczyć. A może nie chciał?

Prześcigali się w opowieściach o krajach, do których płynęli. Jean opowiadał o swoich przeżyciach z wojny algierskiej. Ta brudna wojna przyniosła Francji upokorzenia, straty materialne oraz moralne, zdradę wielu oficerów, w tym generałów z OAS. Doprowadziła do władzy de Gaulle'a, którego paryscy studenci wysłali właśnie na zasłużoną emeryturę. W trakcie wojny Francja zmuszona była przyjąć wielu muzułmańskich emigrantów, takich jak braci Mesli. Dla Jeana wojna algierska była wielką życiową porażką. Podczas walk na pustyni jego pluton dowodzony przez młodego porucznika po Saint-

Cyr¹²⁹ zagubił się i został odcięty. Pozostawieni na pastwę losu, bez szansy przebicia się przez pozycje nieprzyjaciela, wytrwali. Pod koniec drugiego dnia skończyła się woda. Porucznik zmarł od ran, dowództwo przejął Jean.

Następnego dnia, kiedy odpierali kolejny szturm, skończyła się amunicja. Algierczycy wybili ich niemal do nogi, przeżył tylko on, był jednak ciężko ranny. Potomkowie okrutnych Berberów potraktowali go honorowo. Uważali, że jeżeli przeżył jako jedyny, jest to znakiem od Allaha. Podleczyli Jeana i uwolnili. Za to swoi poddali go poniżającemu dochodzeniu. Przesłuchującym go oficerom wydawało się podejrzane, że tylko on jeden przeżył. Najchętniej oskarżyliby go o zdradę, nie mieli jednak dowodów, więc zmuszeni byli go wypuścić. Na odchodne postarali się, żeby nie dostał emerytury.

Robert i Lou Lou wzięli ślub w Cassis.

6 sierpnia 1973 r.,

Tarragona, Hiszpania

Unikali ruchliwych portów, woleli mniejsze, z klimatem. Przyłąnęli do Tarragony wieczorem. Rano Robert i Lou Lou wsiedli na składane rowery i pojechali do miasta. Na ladzie kiosku były wyłożone gazety. Nawet nie znając hiszpańskiego, zrozumiał tytuły. Na Bliskim Wschodzie wybuchła wojna. Wiedział, co ma natychmiast zrobić. Kilka dni później poczuł po raz pierwszy ten ból.

6 października 1973 r.,

Marsylia, Francja

Ponieważ bóle się nasilały, Lou Lou wyblagała wizytę u lekarza. Musiała go pilnować jak chłopca, żeby w ostatniej chwili nie uciekł spod gabinetu. Lekarz, starszy pan z klasą, zbadał go dokładnie i wypisał skierowanie do onkologa. Hasło „onkolog” wywołało nawrót wspomnień i paniczny lęk. Jak każdy, kto czeka na wynik badania onkologicznego, bał się, i to bardzo. Wszedł do gabinetu, żeby

wysłuchać wyroku. Lou Lou i Jean denerwowali się w poczekalni. Wreszcie wyszedł. Z wyrazu twarzy wiele nie wyczytali.

- Chodźmy stąd - rzucił i poszedł do samochodu.

Dopiero kiedy ruszyli, powiedział:

- Mam dla was paskudną wiadomość. Zostało mi niewiele czasu. Lekarze nie mają pewności, ale w najlepszym razie są to miesiące.

Był spokojny, lekko przygaszony. Lou Lou płakała, Jean milczał i tylko zmiana koloru twarzy świadczyła, jak to przeżywa. Długo nikt się nie odzywał. Pierwszy milczenie przerwał Robert.

- Bardzo was potrzebuję. - Przez resztę drogi wyjaśniał, czego od nich oczekuje. Miał wszystko dokładnie przemyślane, spodziewał się, jaki wyrok usłyszy.

Lou Lou musiała mobilizować wszystkie siły, nieznane jej dotąd zasoby energii, żeby nie płakać, nie krzyczeć, nie poddać się rozpacz i być z nim tak bardzo, jak potrzebował. Najbardziej pragnął jej czułości. Lekarz chciał go natychmiast położyć w szpitalu, jednak kategorycznie odmówił. Pożegna się z tymi, których kocha, na swoich warunkach, jak żył. Powie: *Good-bye to all that*¹³⁰, kiedy przyjdzie pora, a przyjdzie, kiedy ból będzie nie do zniesienia.

Pierwsza rozprawa odbyła się w niedzielę. W ogrodzie ustawili w podkowie trzy stoły. Była łagodna, lecz chłodna śródziemnomorska zima, więc Jean rozstawił wokół podgrzewacze gazowe, które dawały tyle ciepła, że nawet lekko ubrani, mogli swobodnie spędzać czas w ogrodzie.

Przy szczytowym stole były trzy miejsca. Robert siedział pośrodku, po prawej miał Jeana, po lewej, od serca, Lou Lou. Przy stole po prawej usiedli dziennikarka i feministka Simone de Beauharnais, prokurator Oliwer d'Espérey i marsylski niebieski ptak Marcel Mauss, lepiej znany jako „Tiffany”. Przy stole po lewej antropolog Jacques Lévi-Strauss oraz dyplomata i pisarz Reginald Gary. Trzecie miejsce przy tym stole było nakryte, jednak nikt przy nim nie siedział. Gościom oddał do dyspozycji dom, on z Lou Lou

przenieśli się do domku Jeana, który przeprowadził się na poddasze. W ten sposób Robert i Lou Lou mieli zapewnioną prywatność, goście wygodne lokum.

Wystrój stołu, zastawa i dekoracje były renesansowe. Lou Lou zadbała o odpowiedni nastrój. Wzorowała się na obrazach Luisa Meléndeza. Na stołach stały lichterze, świece wydzielały zapach kadzidła. Z myślą o gościach były zastawione wymyślnymi potrawami i staromodnymi, pękatymi butelkami z różnymi alkoholami. Srebrne patery wypełniały dojrzałe owoce. Jean zatoczył do ogrodu beczki z winem. Kiedy już wszyscy zajęli miejsca, Robert przywitał gości i podziękował za przyjęcie zaproszenia.

- Mam nowotwór. Czas, jaki mi pozostał, przeznaczyłem na rozliczenie z życiem. Będę opowiadał o znaczących wydarzeniach, które przeżyłem. Do was należy ocena mojego postępowania. Mogę to zrobić wspólnie z wami, ponieważ poznałem ten dzień. Nie znając daty, rozliczenie odsuwałbym na nieokreśloną przyszłość. Wiecie, jak to jest, mówimy: „Jeszcze nie czas”. Niedawno się dowiedziałem, że mój czas właśnie nadszedł. Kiedy przyjdzie po mnie zniwiarka - śmierć - będę czekał. Poznałem ją, wpatrywałem się w jej oczy nie raz, łatwo się w nich zatracić. Jest taka młoda i pociągająca, gdybyście nie wiedzieli.

Kiedy ją opisywał z taką swadą, d'Espérey w milczeniu potakiwał.

Po uczcie nadszedł czas na pierwszą rozprawę. Mówił zdecydowanie, bez zażenowania.

- Dziś na wokandzie kradzież z użyciem przemocy. Kiedy byłem uczniem, okradłem kościół, uderzyłem księdza łomem. Na szczęście przeżył. Jestem do waszej dyspozycji.

Oliwer d'Espérey był doświadczonym prokuratorem. W swojej błyskotliwej karierze odnosił liczne sukcesy. Posłał na szubienicę legion przestępców, znakomitą większość zasłużenie. Przypadki, w których popełniał błędy, nie poruszały jego sumienia, ponieważ go nie miał. Pozbył się sumienia, kiedy doszedł do wniosku, że

przeszkadza w pracy. Wywołany, wkroczył do podkowy sformowanej przez stoły. Mieli go na wyciągnięcie ręki.

- Oskarżam cię o kradzież, świętokradztwo oraz usiłowanie zabójstwa. Domagam się kary wiecznego potępienia. Czyn, który popełniłeś, jest tak plugawy, tak nikczemny, że nie muszę uzasadniać wymiaru kary. Udowodnię, że popełniając zbrodnię, kierowałeś się najniższymi pobudkami. Chciwością, potrzebą zaspokojenia niskich rządź. Szkoda słów, moi drodzy.

Głos zabrał Reginald Gary. Poprawił okulary i cichym, spokojnym głosem zwrócił się do Roberta.

- Możesz nam wyjaśnić, co się wtedy wydarzyło i jakie miałeś intencje? Czy chciałeś zabić kapłana? Wytłumacz się, wysłuchamy cię uważnie.

Wyjaśnił, że wprawdzie okradł kościół, kierowały nim jednak wyższe pobudki, chciał ratować zdrowie, może nawet życie matki. O zabijaniu księdza nawet nie pomyślał.

- Zresztą - zwrócił się do sędziów - gdybym chciał zabić, toby nie przeżył.

Marcel Mauss zachichotał. Pozostali potakiwali ze zrozumieniem. Tylko Simone niewiele po sobie okazywała. Oliwer wykazał się refleksem.

- Skoro tak uważacie, nie będę się upierał, zmieniam kwalifikację na pobicie z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Używając łomu, powinien się liczyć z konsekwencjami.

I tym razem wszyscy okazali, że myślą podobnie, jedynie Mauss kręcił głową.

- To nie tak, nic nie rozumiecie. Gdyby każdy złodziej tak myślał, nic byśmy nie ukradli. Klecha sam sobie winien, nie musiał leżeć, gdzie go nie prosili. Ja kiedyś...

Nikt go nie słuchał, ponieważ reszta już się zgodziła z kwalifikacją Oliwera, nie musieli nawet głosować.

Głos zabrał ponownie Gary.

- Jeżeli mamy sprawiedliwie ocenić twój czyn, musimy poznać pobudki. Czym się kierowałeś, Robercie? Prokurator zarzucił ci niskie pobudki.

- Oczywiście, że się z nim nie zgadzam, myślałem o matce.

Oliwer, zaciekły jak irlandzki terier, prychnął oburzony.

- O matce myślałeś, a na co wydałeś pieniądze?

- Oddałem matce.

- Oddałeś matce, mówisz. Czy oddałeś wszystko?

Poczuł się jak złapany za rękę kieszonkowiec. Z mroku niepamięci wyłoniło się ubranie z angielskiego sukna, lody u Wiktora, kajaki i tym podobne. Opuścił głowę i nieudolnie się tłumaczył.

- Nic nie umknie twojej uwadze, Oliwerze. Część pieniędzy przeznaczyłem na drobne przyjemności. Było tego niedużo, nie więcej niż pięćdziesiąt złotych.

Nastąpiło coś nieoczekiwanego. Robert złapał się za gardło, usiłując oderwać dławiące go, niewidzialne ręce. Oczy wychodziły mu z orbit. Dusił się. Wszyscy patrzyli na ten makabryczny spektakl oniemiała ze zdumienia. Oliwer machnął packą, którą odganiał się od ciem, a wtedy równie niespodziewanie - odzyskał oddech.

- To jak było z pieniędzmi? Przypomniałeś sobie, ile tak naprawdę wydałeś?

- Tak, przypomniałem sobie. - Rozkaszał się na chwilę. - Na swoje potrzeby, drobne przyjemności wydałem trzysta pięćdziesiąt złotych.

- Ach tak, odzyskałeś pamięć! W takim razie zarzuty dotyczące niskich pobudek, jakimi się kierowałeś, ograniczam do sumy, którą byłeś łaskaw wymienić.

Głos ponownie zabrał Gary.

- Poznałem fakty i muszę się niestety zgodzić z Oliwerem. Popełniłeś przestępstwo z niskich pobudek. Czy zgadzacie się ze mną? - Mauss wstrzymał się od odgłosu, lecz nie miało to znaczenia. Pozostali byli za.

Żegnał się z gośćmi w ponurym nastroju, nadzieja go jednak nie opuszczała. Przegrał bitwę, nie przegrał wojny. Jutro się zrehabilituje. Przedstawi czyny, które z nawiązką odkupią grzech, jakiego się dopuścił. Takie były zasady tej rozgrywki, sam je ustalił.

Wieczorem spisał testament. Jean i Lou Lou asystowali w tej niewesołej, niestety koniecznej czynności. „Smugę cienia” podarował jej. Skinęła głową, że oczywiście zaopiekuje się jachtem. Jeanowi zapisał sto tysięcy dolarów i dom. Z takimi pieniędzmi, mając gdzie mieszkać, nie będzie się musiał troszczyć o byt.

Garrickowi podarował trzydzieści tysięcy dolarów. Chciał go w ten sposób zachęcić do aktywności. Gdyby zapisał więcej, jego przyjaciel nic by nie musiał robić, co mogło się nie najlepiej skończyć. Resztę pieniędzy podzielił na trzy równe części i zapisał Julii, Andreasowi oraz żonie. Na wykonawcę testamentu wyznaczył Evę. W nocy cykady koncertowały, Lou Lou przytuliła jego głowę do piersi i gładziła go po włosach, a on nie mógł zasnąć.

W dniu, w którym usłyszał wyrok, napisał do dzieci. Poinformował, w jakim jest stanie, jednak kategorycznie zabronił przyjeżdżać. Poprosił, żeby z nim byli przez ostatni tydzień. Kiedy przyjdzie pora, powiadomi.

Powoli, lecz systematycznie opadał z sił. O tym wiedziała wyłącznie Lou Lou. A czekała go ciężka batalia, którą musiał wygrać.

Kolejne epizody zostały osądzone bardzo sprawnie. Zyskał przewagę nad prokuratorem, który nieopatrznie postawił mu zarzut o Marlenę. Przypomniawszy, że Robert odmówił pomocy, pomimo że nieszczęsna dziewczyna na kolanach błagała o ratunek. Na sędziach jego przemowa wywarła duże wrażenie. Lou Lou nie chciała wierzyć i mocno ścisnęła mu rękę. Bronił się.

- Moi drodzy, wszystko odbyło się dokładnie tak, jak wam opowiedział Oliwer. Na koniec jednak liczą się fakty. Przecież zabrałem Marlenę z tego miejsca - tłumaczył się z goryczą.

Lou Lou otworzyła szeroko oczy. Za Robertem pojawiła się znikąd smutnooka dziewczyna. W geście wsparcia położyła dłoń na jego ramieniu. Nikt nie pytał, kim jest ani skąd przybyła, zatem pozostali nie mogli jej widzieć. Dlaczego jedynie ona widzi zjawę?

- To były negocjacje, jedne z trudniejszych, jakie prowadziłem. Marlena była dla mnie ważna. Oddałbym wszystko, żeby wyrwać ją z tego piekła. Rosjanie nie mogli się zorientować, jak bardzo mi na niej zależy. Mówiąc, że jej nie chcę, kłamałem.

Słyszac o wyrwaniu z piekła, Oliwer nerwowo poruszył wymanicuirowaną dłonią. Lou Lou zobaczyła, że dziewczyna pochyla się, całuje Roberta w policzek i rozwiewa się w mroku nocy.

- Czy coś przed chwilą czułeś?

- Tak? A co miałem poczuć?

- No, jakiś dotyk, może ćma?

- Nic mnie nie dotykało, ale czułem, że Marlena jest z nami. Wiem, w tym, co mówię, brak rozsądku, jednak tak właśnie czułem.

Następnego dnia coraz bardziej zdesperowany Oliwer zdecydował się postawić Roberta pod pręgierzem za skłonności sadystyczne. Liczył, że Simone, z którą w tym celu nawiązał romans, wesprze go, a pozostali się zawahają. Robert starannie się przygotował, spokojnie wysłuchał oskarżycielskiej przemowy. Poczekał, aż prokurator, zadowolony z siebie, skończy, i skinął na Jeana, który przed każdym sędzią położył zawiązywaną na tasiemkę zieloną teczkę. Otworzyli z zaciekawieniem, wysypała się zawartość. Reprodukcje obrazów Marion ilustrujących baśnie arabskie. I seria zdjęć rodzinnych. Na każdym roześmiana, szczęśliwa, wpatrzona w niego pożądlwym spojrzeniem. Zdjęcia i obrazy nie kłamały. Argumenty, jakie ze swadą prezentował d'Espérey, przestały się liczyć. Nawet Simone, jego sojuszniczka i zdeklarowana feministka, wpatrywała się w obrazy z dziwnym wyrazem twarzy.

Wtedy Lou Lou zobaczyła kobietę, którą spotkała w ogrodzie. Nieznajoma, ubrana tym razem w dyskretną granatową sukienkę, zajęła wolne miejsce. Przyglądając się Robertowi, lekko

przekrzywiła głowę, a na jej wargach igrał trochę kpiący, trochę figlarny uśmiech. Lou Lou, nie odrywając od niej oczu, ścisnęła dłoń Roberta, a on podążył za nią wzrokiem, jednak wyrazu twarzy nie zmienił.

Rozprawa, pomimo włożonego wysiłku, nie przyniosła d'Espérey sukcesu. Simone nie spodobało się takie rozstrzygnięcie, próbowała dyskutować.

- Czy naprawdę jesteś dumny z tego, co robiłeś z tymi kobietami? Może one tak cię kochały, że godziły się na wszystko, żeby cię zatrzymać. Nie pomyślałeś o tym?

- Pomyślałem, Simone, i to niejednym razem. Obejrzyj obrazy, które namalowała Marion. Była uczciwa, malowała, jak czuła. Ty, moja droga, zajrzyj do swojej duszy, może doszukasz się czegoś zaskakującego. Moja seksualność, którą nazwałeś „skłonnościami sadystycznymi”, była niczym innym jak spełnianiem marzeń. Te kobiety marzyły o egzotycznych kochankach, którzy je zniewolą, aby za chwilę wysłać do krainy szczęścia. Kiedy wyobraźnia podsuwała im takie obrazy, wystarczyło skiniecie ręką. Nie musiały się wyprawiać do odległych krain.

Do osądzenia pozostało niewiele spraw. Dzień rozpoczął opisem sudańskiej ekspedycji. Sprawa była oczywista. Następnie opowiedział o odzyskaniu pieniędzy Ewy, bardzo wszystkich rozbawiając. Kiedy opowiadał historię Lou Lou, wszyscy patrzyli na nią ze współczuciem. Po osądzeniu tej sprawy wysunął się na skromne, trzypunktowe prowadzenie. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy jeszcze komuś bezinteresownie pomógł, o wynik końcowy był jednak spokojny. Szykował się do zamknięcia rozprawy, a wtedy głos zabrał Oliwer. Nie docenił go - stopniując napięcie, wyczekał do ostatniej chwili.

- Twoja matka, Robercie. Czy wiesz, jak umierała?

Zbladł. Zrobiłby wszystko, żeby nie słuchać dalej. Lou Lou poszukała jego dłoni. Była zimna i spocona. Jej była ciepła. Promieniowało z niej opanowanie, pewność, spokój. Jakby mówiła: „Jestem z tobą, przejdziemy przez to razem”.

- Co czuła samotna, głodna i chora kobieta, czekająca już tylko na śmierć?

Gdyby wyznał prawdę, i tak by nie zrozumieli. Nikt, kto nie doświadczył, nie zrozumie. Sędziowie patrzyli na niego z potępieniem. Oliwer zbliżył się o krok do zwycięstwa. Czy miał w zanadrzu coś jeszcze?

Miał, oczywiście, że miał.

- Czy przypominasz sobie spotkanie z Philem St. Johnem w londyńskim klubie?

Jakże mógłby zapomnieć. Nie czuł zagrożenia.

- To twoje najpoważniejsze przestępstwo. Nie potrafię zrozumieć, co tobą powodowało.

- A ja nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Czy wiesz, czym zajmował się Phil poza rżnięciem twojej żony?

Chwył był poniżej pasa, lecz Oliwer ani myślał zachowywać się wytwornie, próbował wyprowadzić go z równowagi.

- Poza rżnięciem mojej żony Phil szpiegował dla Rosjan.

- Wiedziałeś i nic w tej sprawie nie zrobiłeś?

- A co miałem zrobić? Nie miałem przecież niepodważalnych dowodów. Kumple by go wyciągnęli z każdej opresji, fakty się dla nich nie liczyły. Był jednym z nich, więc nie mógł być zdrajcą.

- Czyżby? Za co oddała życie Marlena? Nie była obywatelką brytyjską, a została porwana, a następnie zamordowana, próbując zdemaskować Phila. A Elisabeth? Ona również próbowała go powstrzymać. Gdybyś zasiał ziarno wątpliwości, może by nie zginęły? Gdyby pojawiła się kolejna skaza na nieposzlakowanej opinii, MI5 by się nim zainteresowało? Zostawmy na razie obie kobiety. Czy wiesz, ilu ludzi po rozmowie z tobą Phil wysłał za żelazną kurtynę?

- Nie mam pojęcia.

- Zdążył wysłać pięćdziesięciu. Na wszystkich czekali, podobnie jak na ciebie. Niestety, ci nieszczęśnicy nie mieli twoich talentów. Czy wiesz, ilu przeżyło tortury i więzienie? Nie wiesz, bo cię to nie interesowało. Zaledwie trzydziestu. Nie chcę się nad tobą znęcać,

muszę niestety wyjawić coś jeszcze. Zanim twoja żona wymierzyła mi sprawiedliwość, St. John pośredniczył w przekazaniu GRU całych tomów wykradzonych z Los Alamos dokumentów dotyczących technologii nuklearnej. Rosjanie przyspieszyli swój program o rok, może o dwa. Przejmowałeś się swoim bezpieczeństwem tak bardzo, że machnąłeś ręką na skutki zdrady. Gdyby w czterdziestym dziewiątym Sowieci nie mieli bomby, do wojny koreańskiej prawdopodobnie by nie doszło. A już z pewnością nie w czterdziestym dziewiątym, tylko później. Możecie tego nie wiedzieć – zwrócił się do sędziów. – Stalin czekał z zielonym światłem dla Korei Północnej do dnia, w którym jego arsenał atomowy gotowy był do użycia¹³¹.

Lou Lou wreszcie się dowiedziała i mogła wszystko zrozumieć. Marion miała romans. Robert, kiedy się o tym dowiedział, tak się pogubił, że pozwolił Philowi uciec od odpowiedzialności. Teraz nie chciała się nad tym zastanawiać. To, co usłyszała, przytłoczyło ją. Głosowanie było zbędne.

Robert był zdruzgotany. To już nie była zabawa, sprawa stała się dramatycznie poważna. Zrezygnował z zadenuncjowania St. Johna z obawy o własne życie. Nie podejmował się konsekwencjami, nawet ich nie rozważał. Był rozchwiany emocjonalnie, co go jednak nie tłumaczyło. Zdrada Marion tak na niego wpłynęła, że przestał myśleć racjonalnie. Powinien coś zrobić. Chociażby skrytobójczo zamordować Phila. Czuł się podle. Złamał przysięgę, którą złożył, wstępując do Armii Brytyjskiej. Miał się za człowieka honoru, wierzył w to. Dzisiaj ta wiara została mu odebrana, rozsypała się jak domek z kart. Po zamknięciu wokandy nie chciał z nikim rozmawiać, wymówił się chorobą.

Świtało już. Lou Lou nie mogła zasnąć. Leżał odwrócony plecami. Chciała się do niego przytulić, ale bardzo się wtedy pocił. Wiedziała, że nie śpi. Umiała rozpoznać po oddechu, mógł być miarowy. Jego plecy niepostrzeżenie drgały. Płakał. Bezgłośnie, żeby jej nie obudzić.

Pogodził się z przegraną, był zobojętniały. Powitał wszystkich i oddał głos Oliwerowi. Zauważył przemianę prokuratora. Wprost

tryskał energią i optymizmem. Tak się zachowuje zwycięzca. Wtedy d'Espérey wielce ich zaskoczył.

- Rola prokuratora zmusiła mnie do grzebania w twojej duszy. Poszukiwałem tej ciemniejszej strony. Jednak nawet ja muszę stwierdzić, że nie wszystko w twoim życiu było godne potępienia. Opowiedz nam o swoich dzieciach. Jesteś z nich dumny, prawda?

Opowiadał bez emocji, jakby mówił o nie swoich dzieciach.

- Czy masz dwoje dzieci? - zapytał wprost Oliwer.

Lou Lou zrozumiała, ku czemu zmierza. Robert ma trzecie dziecko, o którym nie wie.

- Nie potrafię odpowiedzieć. Jeżeli jedna z kobiet, z którymi byłem, urodziła moje dziecko, to mi tego nie wyjawiała. Jestem bezradny, Oliwerze, choć nikt bardziej ode mnie nie pragnie poznać prawdy. - Nie docierało do niego, że to mogła być tylko Laura.

- Mówisz, że nie poinformowała. Jesteś tego pewien?

- Skończ z gierkami. Zrozumiałem, że mam nieślubne dziecko. Jestem ci wdzięczny, ponieważ uwzględnię je w testamencie. Zrobię choć tyle.

- Opowiedz nam, jak rozstałeś się z Laurą.

- A więc ona! Jak to się mogło zdarzyć? Gdyby powiedziała, nigdy bym jej nie pozwolił odejść!

Ten nagły wybuch rozpaczy zrobił wrażenie na wszystkich, nawet na Oliwerze.

- To twoja duma zawiniła, Robercie. Tak, masz syna, którego urodziła Laura. Kiedy dokładnie urwała się wasza korespondencja?

- W sierpniu 1944 roku.

- Kiedy miałeś ostatni stosunek z Laurą?

- W grudniu 1943.

- Sam widzisz, osiem miesięcy. W sierpniu do niej pisałeś. Wysłałeś, jeden po drugim, pięć listów, jak na warunki wojenne to dużo. Niepokoił cię brak odpowiedzi?

Przytaknął.

- Przyjrzyjmy się zatem waszej korespondencji od strony Laury. Dlaczego tak długo zwlekała z poinformowaniem cię o ciąży? To nie jest tematem rozprawy. Jedyne ona może odpowiedzieć na to pytanie. Najwyraźniej miała powody. Wysłała list, w którym powiadomiła cię, że wkrótce zostaniesz ojcem. Z treści twoich listów zorientowała się, że nadal nie wiesz o dziecku. Teraz przyszło jej tylko czekać. I czekała cierpliwie. Listy od ciebie przestały nagle przychodzić, nie dostała żadnej odpowiedzi. MUSIAŁA przyjąć, że zerwałeś z nią, ponieważ dowiedziałeś się o dziecku. Jej list, ten najważniejszy, zaginął. Zdarza się, nawet w czasach pokoju, a przecież trwała wojna. A ty - co zrobiłeś? Nie dostałeś odpowiedzi na pięć kolejnych listów, więc uniosłeś się ambicją i przestałeś do niej pisać. Była zrozpaczona. Kochała cię, urodziła twoje dziecko, a ty ją odrzuciłeś. Nie pisała więcej, było dla niej jasne, że nie chcesz jej znać. Od dawna miała adoratora. Takiego cichego. Była w zaawansowanej ciąży, miała narzeczonego. Jego to nie zrażało, tak bardzo ją kochał. Liczył na odrobinę szczęścia. Nie kochała go, jednakże kropla drąży kamień. Rodzice nalegali, chłopak pochodził z dobrej rodziny, był idealnym kandydatem na męża. Co twoim zdaniem miała zrobić?

Robert oparł głowę o stół, objął ją rękami, chciał się odgrodzić od całego świata. Lou Lou była bezradna. *To jest, kurwa, prawdziwy Szekspir!*

- Oskarżę cię, taka jest niestety moja rola. O głupią, niepotrzebną dumę, która zadaje cierpienia, niepotrzebnie rani. Oskarżam o spowodowanie wszystkich tych nieszczęść. Pogardzasz arystokracją za arogancję, zatem nie muszę ci niczego wyjaśniać.

Robert utkwiał w swoim kokonie. Było w nim coś tragicznego. Silny, dumny mężczyzna został przez prokuratora zredukowany do żalostnego zera.

- Uruchomiłeś, wprawdzie nieświadomie, ale jednak, łańcuch tragicznych zdarzeń. Laura nie pokochała męża, nadal kochała ciebie. On przez wiele lat cierpliwie czekał, liczył, że zdobędzie jej miłość. Wreszcie się rozpił, o wiele za późno rozwiódł i wyprowadził. Twój syn

dorastał w ciężkiej atmosferze. Ojczym się o niego troszczył, chciał być przykładnym ojcem, Laura go kochała, ale to nie była normalna rodzina. Nie dowiedział się, kto jest jego ojcem. Tak zdecydowała Laura.

Robert nagle podniósł głowę i powiedział:

- Kończmy to, przyznaję się do winy, nie będę się usprawiedliwiał.

Oliwer pokiwał głową.

- Mamy teraz wynik nierozstrzygnięty.

Miał przed sobą kilka teczek i zaczął je przekładać. Każda miała numer. Ostatnia, którą odłożył - trzynasty. Przerazona Lou Lou zauważyła, że leżące przed Oliwerem teczki mają wyższe numery. Miał ich do dyspozycji kilka. Nie widziała ratunku. Zaczęła się modlić.

Oliwer był usatysfakcjonowany. Trzymał Roberta w garści, nie było szansy, żeby przegrał wszystkie sprawy, jakie pozostały do osądzenia. Był jednak zawodowcem. Nie płacono mu za wygraną. Płacono, jeśli nie przegra. *Absurd! Beznadziejnie głupia pomyłka w administracji. Nie pomyśleli o wyniku nierozstrzygniętym. Kretyni! Skoro nie płacą, on się nie będzie wysilać.*

- Kończymy. Nie mam więcej zarzutów do oskarżonego. O jego winie rozstrzygnie wyższa instancja. - Wymownie uniósł w górę kciuk.

To była najweselsza zabawa, jaką d'Espérey pamiętał. Wszyscy bawili się doskonale. Robert nie miał już siły tańczyć, za to Lou Lou szalała za niego i za siebie. Najchętniej z Oliwerem. Odkryła, że tańcząc z nim sambę, zna kroki i doskonale się porusza, chociaż nigdy samby nie tańczyła. Nogi same ją niosły.

Dwa tygodnie później, wkrótce po Nowym Roku, przyjechały dzieci. Goście wyjechali, więc mieli dom dla siebie. Powiedział, że mają brata przyrodniego. Wieczorem zmienił testament. Majątek podzielił na cztery równe części. Tę czwartą zapisał synowi, którego nie było mu dane poznać. Brakło już czasu na poszukiwania i na sprowadzenie go do Francji. Cała trójka zgodnie protestowała.

- Niepotrzebne nam wielkie pieniądze! Zmień testament. Możesz zapisać nam jakieś pieniądze, z wdzięcznością przyjmiemy, ale nie aż takie!

- Cieszę się, że tak mówicie. Możliwe, że macie rację. Jeżeli chcecie wydać pieniądze, które wam zostawię, na jakiś szczytny cel, będę patronował stamtąd. I jeszcze jedno, po otwarciu testamentu będziecie zaskoczeni.

- Jak bardzo zaskoczeni, tato? - Julia nie mogła się powstrzymać.
- Jesteś bankrutem?

- Niedługo się przekonacie. Czy wiecie, o jakich sumach mówimy? Pokręcili głowami. Jedynie Lou Lou czegoś się domyślała.

- Cierpliwie poczekajcie. Powtarzam, czeka was zaskoczenie. -
Z wysiłkiem zdobył się na uśmiech.

Lou Lou coś podejrzewała, ponieważ od wielu tygodni bezustannie dzwonili z banku. Robert kategorycznie odmówił kontaktów ze światem, więc ich spławiła. Bystra dziewczyna odniosła wrażenie, że nie dzwonią, żeby powiadomić o bankructwie lub zaległych ratach. Za każdym telefonem odzywał się ważniejszy bankowiec. Ostatni rozmówca nie był już bankowcem, lecz bankierem! Co najdziwniejsze, Jean, w sprawach finansowych ciemny jak tabaka w rogu, sprawiał wrażenie, że się orientuje, co zdarzyło się na linii: jej mąż - bank.

W niedzielę wstali późno. Tak późno, że śniadanie zamieniło się w lunch. Potem Robert się zdrzemnął, był już bardzo słaby. Po przebudzeniu oświadczył, że idzie na spacer plażą i nie chce, żeby mu towarzyszyli. Potrzebuje samotności, chce sobie poukładać w głowie wszystko, czego się o sobie nieoczekiwanie dowiedział. Usiadł na piasku zasłuchany w szum fal i rozmyślał.

Przyszło mu żyć w niezwykłych czasach. Bogowie, nie wiedząc czemu, urządzili wyścigi rydwanów. Dla igrzysk porzucili olimpijskie komnaty, żeby rozjeżdżać świat. Kto wpadł pod koła, trafiał do Hadesu. Kto widzem był i z boku się przyglądał, tego na popiół paliły zaprzęgnięte do rydwanów ziejące ogniem rumaki. Parki,

zapracowane jak nigdy, rozstrzygały w nerwowym pośpiechu, czyje życie przeciąć wirującymi kołami, czyje spopielić płomieniem z końskiej gardzieli, żeby uleciało dymem obozowego komina. Jego bogowie wynieśli, zezwalając jechać przez życie na rydwanie. Nie dali przeżyć gorzkiej niedoli żołnierza pobitej armii, wyczekującego wolności w zniewolonej ojczyźnie. Dla pustego kaprysu ustrzegli od losu tych zgorzkniałych, którzy swój czas przeżyli w kraju rzuconym na pastwę Utopii. Szczęścia zaznał tak wiele, że nie do wiary. Z życia czerpał garściami. Za olimpijskie laury przyszło wreszcie zapłacić. Zabrakło czasu, żeby wyprostować zaległe sprawy. Nie pozna syna, nie będzie mu dane prosić Laury o wybaczenie za ich niespełnioną miłość.

Nie wracał wiele godzin. Jean i Lou Lou zdecydowali, że nie mogą dłużej czekać. On jechał drogą wzdłuż plaży, ona szła brzegiem morza. Wreszcie go zobaczyła, a była już najwyższa pora. Zapadał zmrok. Siedział na piasku i wpatrywał się w morze. Wyjaśnił, że szedł plażą i nagle poczuł się słabo. Był w pogodnym nastroju. Słuchając go, nikt by się nie domyślił, że wkrótce umrze, a na dodatek o tym wie. Z zaskakującym ożywieniem coś im wyjaśniał.

11 stycznia 1974 w południe Robert Meissner pojawił się przed budynkiem sądu w Marsylii. Nie musiał długo czekać. O tej godzinie sędziowie mieli przerwę. Naprzeciw sądu była kawiarnia Iustitia. W niej, przy kawie, rozmawiali o swoich sprawach. Był wśród nich człowiek, dla którego tu przyszedł.

Sędzia Puaud w młodości był faszystą, należał do Croix-de-Feu. Jako ochotnik walczył na wschodzie w dywizji SS „Wiking”. W 1943 został ranny. Ewakuowany do Francji, na front nie powrócił. Jeszcze przed wojną skończył prawo i odbył aplikację sędziowską. Po powrocie do zdrowia zrobił zdumiewającą karierę w aparacie sądowym Vichy. Po wojnie jego kariera zastopowała. Nikt nie rozliczył go ze służby w SS ani z niektórych wyroków wydanych podczas okupacji, lecz w atmosferze panującej w powojennej,

lewicującej Francji dla ludzi takich jak on droga do awansów była zamknięta. Nie mógł jednak narzekać. Był ogólnie szanowanym sędzią, miał żonę, trójkę dzieci, mieszkał w komfortowej willi w dobrej dzielnicy Marsylii. Na niego właśnie czekał Robert. Kiedy sędzia wyszedł z kawiarni, podszedł do niego.

- Mam dla ciebie wiadomość od pewnej dziewczyny, Puaud.

- Dziewczyny? Jakiej dziewczyny?

Sędzia zaczął się bać, pomimo że wokół stało kilku prawników, a nieznajomy nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego - wyglądał na człowieka chorego. Rozejrzał się, szukając wsparcia w kolegach, lecz oni przyglądali się tej scenie z zaciekawieniem, bez niepokoju.

- Wiadomość od Lawinii. Byłeś jej ostatnim klientem. Po twoim wyjściu powiesiła się.

Wyciągnął browninga, płynnym ruchem uniósł na wysokość piersi i strzelił. Sędzia przez chwilę stał osłupiały, potem jego serce się zatrzymało, a pozbawione duszy ciało zważyło się na chodnik. Zabijając sędziego, rozwiązał problem Lawinii, jego trzynastoletniej córki.

Otoczający go prawnicy zamiast obezwładnić napastnika, którego mieli na wyciągnięcie ręki, rzucili się do ucieczki.

Nie miał zamiaru uciekać. Przeszedł kilkadziesiąt kroków w stronę budynku sądu. Zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni cygaro z uciętym końcem. Zapalił lewą ręką, w opuszczonej prawej trzymał browninga. *Przeszło życie, przeszło jak chwila.* Myślał o Marion, co powie, kiedy się spotkają.

Z oddali słyhać było syreny wozów policyjnych. Zdążył się kilka razy zaciągnąć, zanim wysypali się z nich policjanci. Wtedy zaczął do nich strzelać. Mierzył nad głowami, lecz oni o tym nie wiedzieli, więc odpowiedzieli ogniem. Wystrzelili wiele kul, tylko dwie trafiły. W lewe ramię, które zwisło bezwładnie, i w biodro. Rany były bolesne, lecz nie zagrażały życiu. Strzelał dalej. Dostał kolejne dwa postrzały. Policjanci ukryci za radiowozami przestali strzelać. Czekali, aż się wykrwawi i zemdleje. Dostali wyraźny rozkaz: „Wziąć żywcem”.

W samochodzie dostawczym zaparkowanym dwieście metrów dalej siedzieli kobieta i mężczyzna. Mężczyzna mierzył do Roberta z karabinka snajperskiego, tego samego, z którego on zastrzelił Mostefa Mesli. Kobieta miała twarz we łzach, jednak się kontrolowała. Powiedziała: „Już czas”. Mężczyzna też tak uważał. *Najwyższy czas* – pomyślał.

*Szczęśliwy, kto oglądał świat
W chwilach przemiany i przełomu.
Bogowie go do swego domu
Wezwali, by do uczty siadł,
W ich radzie uczestniczył świętej,
Tak wzniosłych igrzysk widzem był...*¹³²

Kula przebiła czaszkę i wyleciała z drugiej strony.

Jean schował karabinek i zastukał w oparcie fotela. Zanim zdążyła nacisnąć gaz, ktoś zapukał w szybę. W oknie pokazała się uśmiechnięta twarz d'Espérey. Louise była w takim stanie, że było jej obojętne, czy ich złapią, czy nie złapią, więc nie odczuwała strachu.

- A ty, co tu robisz? Nie będziesz mi wmawiał, że jesteś tu przez przypadek - syknęła.

Za to on był w brylantowym nastroju.

- Nic ci nie wmawiam, chcę tylko pogratulować doskonałej roboty. Spodobało mi się to, co zrobiliście. A ty, Louise, uważaj na siebie. Jesteś w ciąży, dlatego takie emocje ci nie służą. Będziesz miała córkę, gratuluję. Zdradzę jeszcze, tak między nami, on chciał, żeby to była dziewczynka. Gdybyś miała kłopoty, takie poważniejsze, skontaktuj się ze mną. Pomogę, zupełnie bezinteresownie! Na koniec jeszcze ci powiem, że masz w sobie to coś, zresztą wiesz, musiałaś się domyślić. Ach, jaka by z nas była para. Dbaj o siebie, koleżaneczko. A teraz zjeżdżajcie, zanim gliny się zorientują.

I znikł równie niespodziewanie, jak się pojawił.

CIĄG DALSZY NASTĄPI.

¹²⁹ Akademia Wojskowa Saint-Cyr - wiodąca francuska uczelnia wojskowa.

¹³⁰ „Wszystkiemu do widzenia” (ang.).

¹³¹ We wrześniu 1949 r. Biuro Polityczne KPZR odrzuciło prośbę Przywódcy Korei Północnej Kim Il Sunga o pomoc w inwazji na Koreę Południową. Jednak w kwietniu 1950 r. Stalin zmienił zdanie i zgodził się wspomóc Koreę Północną; ZSRR dysponował już bombą atomową.

¹³² Fiodor Tiutczew, *Cycero*, przeł. Julian Tuwim.

Jazda na rydwanie

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8219-041-0

© Julian Hardy i Wydawnictwo Novae Res 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Katarzyna Ophelia Koćma, Paweł Pomianek

KOREKTA: Emilia Kapłan

OKŁADKA: Michał Duława

FOTO: SJ Duran / shutterstock.com

Merydolla / shutterstock.com

Ysbrand Cosijn / shutterstock.com

Rafael Trafaniuc / shutterstock.com

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacytani.pl.